

JANUSZ PRZYMANOWSKI

# CZTEREJ PANCERNI I PIES



# CZEŚĆ 1



## ROZDZIAŁ 1. TYGRYSIE USZY

PO RAZ DRUGI TEGO DNIA wyszli na przesiekę. Wilgotną trawę poznały ostrogi traktorowych kół. Siady były podobne odciskom długich pazurów drapieżnego zwiedza. Przycichł monsun wiejący od Pacyfiku. Deszcz nie padał, ale słońce było mętne, skąpo przeświecało zza chmur.

Stary przystanął na chwilę, rozejrzał się trzymając sztucer w rękę, a potem znowu ruszył w las. Za nim, z nosem opuszczonym ku ziemi, szła niewesoło suka Mura. Janek, o kilka kroków w tyle, zamykał pochód.

Nie wiodło im się dzisiaj. Co prawda rankiem zaraz po wyjściu z chaty chłopiec zabił dwa bażanty i niósł teraz na pasie duże koguty, których barwne ogony sięgały prawie ziemi. Oba strzały były pewne, pociski z małokalibrowej broni, której używał zimą polując na wiewiórki, trafiły w cel. Nie o to jednak chodziło. Chcieli zdobyć zapas mięsa na kilka dni, by móc wybrać się potem daleko poza szczyt Cedrowej.

Przesieka została w tyle. Kiedy zgasły ostatnie prześwity między drzewami, Stary począł skręcać lekko ku prawej, w górę stoku. Las był gęsty. Dołem rosły ciemne graby o poskręcanych pniach, o konarach zawężlonych gęsto; wyżej zieleniały jesiony, a górą, gdzie więcej powietrza i światła, podierały niskie niebo korony koreańskich cedrów.

Przeciskali się z wolna, bezszelestnie rozgarniając pędy dzikiego jaśminu. Trwało dość długo, nim puszcza zrzędała i wyszli w dębinę suchą, widniejszą, przeplecioną gdzieś daurską brzozą. Dołem krzewiła się leszczyna, ale kępami tylko. Widzieli teraz zbocze na kilkanaście kroków przed sobą i Stary powiesił sztucer na szyi. Janek pojął, że to oznacza, jak zwykle, przerwę w tropieniu.

Wyszli na polanę, brzegiem której leżał omszały, zwalony wiatrem grab. Chłopak wyjął z torby przewieszanej przez ramię dwa glony praśnego chleba i kawałek wędzonej słoniny. Przysiadłszy obok siebie na pniu, poczęli jeść. Obaj ostrymi kozikami krajali cienkie, przyżółkłe od dymu plastry, kładli je do ust, zagryzali chlebem, żując powoli. W tych jednakowych, spokojnym ruchach byli do siebie podobni jak ojciec i syn czy może wnuk i dziad, choć przecież spojrzawszy w twarze rzec można było od razu, że nie spod jednej

strzechy prowadziły ich drogi. Stary miał skórę ciemną, spaloną wiatrami, oczy poblakłe jak u jastrzębia, kości na policzkach wystające, włos kędzierzawy, przetykany srebrnymi nitkami, zwłaszcza na brodzie. Chłopiec był jasny, błękitnooki, drobnej kości, ale sprężysty jak leszczynowa witka.

Milczeli, bo las nie lubi rozmowy. Powiesz zbyt wiele słów i może się zdarzyć, że przegapisz trzask łamanej gałązki, szelest inny niż poszum wiatru, dźwięk mówiący wiele dla wprawnego ucha.

Stary na otwartej dłoni podał suce kawałek chleba ze słoniną; wzięła niechętnie, jednym zębem. Rozumiała, że nie wykonała pracy, że jeszcze jej się nie należy.

Janek z szerokiej kieszeni kurtki dobył Szarika, syna Mury, szczeniaka z ciężką głową i dużymi puchatymi łapami. Nazwał go Szarik, Kuleczka, bo psiak po urodzeniu podobny był rzeczywiście do kosmatego kłębka popielatej wełny. Dał malcowi niewielką przekąskę, a potem drapał go za uszami, delikatnie targał za kudły. Mura podeszła, polizała mu rękę, jak gdyby dziękowała za opiekę nad dzieckiem, i w psim uśmiechu podniosła górną wargę, znaczoną szramą po pazurze rysia.

— Ktoś tu poluje prócz nas — powiedział wreszcie Stary. — Człowiek albo zwierz. Las pusty, jakby wymiół.

I wówczas właśnie Mura uniosła mądry, siwiejący łeb, wzięła daleki wiatr.

— Śmiało, suka, śmiało — zachęcił ją myśliwy.

Ruszyła z początku niepewnie, kręto, a potem ostrzej poszła prosto przez leszczyny. Nie minęła minuta, gdy usłyszeli trzask z drugiej strony polany, zobaczyli ruch, migotanie poprzez gałązki. Zza pnia dużego dębu wyskoczyły dwa cienie. Mura sadziła przodem, zabiegając drogę, a nieco bliżej myśliwych sunął potężny odyniec z wysokim garbem karku ściętym w dół ku zadowi, z ogonem podniesionym zadzierzysto ku górze. Mura wyprzedziła, dała głos i skoczyła ku niemu, gotowa odbić się od ziemi na wyprostowanych, sprężystych nogach, gotowa wykonać unik. Trafiła jednak przednimi łapami na rozmiękle błoto pod warstwą dębowych liści. To ją zgubiło: zaatakowany dzik sięgnął wroga jednym skrzętem łba. W tej chwili huknął wystrzał. Zwierz drgnął, ugiął przednie nogi i zwałił się jak rażony piorunem.

Czuli obaj, że stało się coś złego. Ruszyli szybko, choć ostrożnie — Stary z palcem na spuście. Janek z długim myśliwskim nożem w rękę.

Dzik nie żył. Mura leżała na boku, spodem sączyła się krew. Wargi jej jeszcze drgały, obnażając zęby. Stary klęknął, położył rękę na łbie. Czuł pod palcami, jak sztywniała, jak gasło życie. Mimo tego powiedział do niej, do siebie i do lasu:

- Szkoda. Dobra byłaś, Mura, dobra suka.
- Szczeniak, wietrząc krew, popiskiwał w kieszeni.
- Trafiła na błoto — wyjaśnił niepotrzebnie chłopak.
- Każdy może trafić.

Janek wykopał podłużną jamę, rozgrzebując mech i ziemię szerokim ostrzem noża. Potem zasypał Murę, wtoczył omszały kamień. Dwoma cięciami zrobił zasiek na korze dębu, żeby pamiętać. Wsadził rękę do kieszeni, pogłaskał Szarika, a potem wyjął go, postawił na liściach. Patrzył, jak psiak porusza się niezgrabnie, szeroko rozstawiwszy łapy, niezdolny jeszcze zrozumieć tego, co się stało. I nagle, jak dalekie echo wystrzału, jak krzyk ptaka spoza chmury, przyszło wspomnienie gruzów domu, zapachu spalenizny i pokruszonego na miał tynku.

- Sam zostałeś, Szarik.
- Nikt nie zostaje sam. Taka rzecz każdemu może się trafić — mruknął Stary. — U ludzi pies został.

Tak może się trafić i psu, i człowiekowi — pomyślał Janek. On też został sam, prawie sam. By nie być samotnym, zwędrował pół świata. Nie znalazł tego, kogo szukał. Wówczas gdy było już bardzo źle, znalazł dom. Dom był niepodobny do tego, w którym się wychował. Tamten, murowany, stał nad brzegiem kanału w portowym mieście. Ten, złożony z cedrowych bierwion, wieczorem śpiewający głosami świerszczy i wiatrem w kominie — nad brzegiem dzikiej, toczącej głazy rzeki.

Mieszkał w nowym domu już trzecie lato. Nauczył się wielu rzeczy: chodzić po tropie wytrwale jak wilk, czytać wiatr, rozróżniać zapachy lasu i zwierząt, rozumieć szelesty i ślady, poruszać się cicho, sprawnie i szybko. Nauczył się tak strzelać, by z małokalibrowki trafić w oko wiewiórki, nie psując wybielonego zimą futra. Trzecie lato wędrował po leśnych ścieżkach. Do dziś nie zastanawiał się, dokąd te ścieżki prowadzą.

Słońce jeszcze bardziej przygasło. Chmury spełzały w dół po zboczu, zaczął padać deszcz. Stary powiesił na niskim sęku sztucer i wyszarzała kurtkę. Przyklęknął obok odyńca, trzonkiem noża rozwarł mu gwizd i

wyłuskał kły. Pożółkłe ze starości, lekko wygięte jak szable, były dłuższe niż dłoń.

Janek przyszedł mu na pomoc. Rozpruli skórę wzdłuż brzucha, nadcięli ją wokół nóg i pomagając sobie lekkimi, szybkimi ruchami noży, poczęli ją ściągać.

Deszcz przybrał na sile, szeleścił górami; ciężkie krople opadały z liści. Spieszyli się. Na rozesłany z boku brezent położyli szynki. Odwinawszy rękawy dobywali z grzbietu ponad zadem długie pasy soczystej polędwicy.

Nagle maleńki Szarik, pętający się wokół po mchu i liściach, szczeknął ostrzegawczo, krótko i zawarczał, podając sygnał grubego zwierza. Brzmiało to zabawnie, piskliwie, jak krzyk dziecka, które naśladowując dorosłych woła: „*Pożar!*”

— *Smotri*, popatrz — powiedział Stary, dźwigając w obu rękach płat świeżego mięsa. — Dorosłego psa udaje...

Urwał w pół słowa. Janek usłyszał tylko, jak mięso pada na ziemię, szeleszcząc toczy się po liściach. Unikając gwałtownych ruchów, z wolna obrócił głowę. Kątem oka dostrzegł najpierw Starego, przyczajonego na ugiętych nogach, ściskającego w rękę długi, okrwawiony nóż. Myśliwy był nieruchomy jak kamień, napięty jak sprężyna. Głowę miał opuszczoną, kark nabiegły czerwienią.

Idąc za jego wzrokiem Janek spojrzał pod dąb. Między dwiema kępami leszczyny, nisko, tuż nad trawą, zobaczył łeb płaski, koci, zdobiony rudymi bokobrodami. Przy łbie dwie potężne, wciśnięte w ściółkę łapy. Wszystko to trwało nieruchome i tylko ogon, długi, prężny ogon bił gniewnie o boki.

Chłopak zrozumiał, czemu nie spotykali zwierzyny, czemu Mura nie odchodziła od nogi, czemu czujny, stary odyniec oszalał ze strachu i wyszedł wprost na nich — w lesie polował ktoś silniejszy, gość rzadki, pan tajgi i gór, ussuryjski tygrys. Siadem zapachu świeżej krwi przyszedł po łup, który mu się należał; po zwierzę, które wytropił. Zdziwiło go, zapewne, że ludzie, niezgrabni i śmieszni, pozbawieni węchu, mają odwagę tu trwać, że nie uciekają na oślep w dół stoku. Od czasu wojny, która tliła się wzdłuż granicy jak żar pod mchem i tryskała niekiedy iskrami strzałów z zasadzek, jadał to mięso i przestał bać się huków. Przeciwnie, szedł na głos karabinów, wietrząc łatwą zdobycz. Gniewny więc był teraz, ogromnie rozdrażniony, ważył odległość w mięśniach i spinał je do skoku.



Stary nie obracając się, nie drgnąwszy nawet, szepnął:

— Strzelba na sęku... Uwaga... Bierz!

Janek skoczył, dłońmi dopadł kolby i lufy. Sęk złamał się z suchym trzaskiem i jednocześnie, jak niski grzmot, runął na polanę tygrysi ryk. Chłopiec obrócił się, dostrzegł w locie czerwono-czarną błyskawicę i Starego odskakującego w bok. Została tylko jedna szansa, jedna chwila, krótka jak uderzenie serca. Gdy zwierzę przednimi łapami sięgnął ziemi i przyłgął do niej, by odbić się do następnego skoku, Janek złowił na koniec lufy biały zygzak na ciemnej sierści i wypalił między wąskie, połyskliwe oczy.

Wielki kot zrolował przez łeb, ryk urwał się w pół tonu.

Chwilę jeszcze trwali obaj nieruchomo, czekając, póki obraz widziany oczyma nie utrwali się w myśli. Potem Stary powiedział:

— Gotów. Ale jednak czepił mnie pazurem.

Janek dopiero teraz spostrzegł rozdarty but i poszarpane spodnie, ciemniejące od krwi.

Stary siadł na ziemi. Chłopiec podszedł, nadciął cholewę od góry, ściągnął do kostki, a potem drąc brunatnozielony pakiet, taki, jakiego używają żołnierze na froncie, mocno zabandażował ranę.

Myśliwy położył mu rękę na włosach. Twarz miał pobladłą, poszarzałe wargi.

— *Spasibo...* Dziękuję, Janek.

— Co wy, Jefim Siemionycz... Za co? — rzadko tak mawiał, bo wszyscy tu w górach, w obrębie dobrych stu kilometrów od szczytu Cedrowej, nazywali go po prostu Starym.

— Za życie dziękuję.

— To ja wam... — urwał w pół zdania.

Zbyt wiele trzeba by mówić, żeby powiedzieć wszystko, a obaj mieli zwyczaj równie oszczędnego używania słów jak amunicji.

Szczeniak, potykając się o chrust, ostrożnie stąpając po mokrych i śliskich liściach, szedł powoli na tygrysa. Wciągał głęboko powietrze, drżał, strach zginał mu tylne łapy, ale ciężki, uparty łeb ciągnął do przodu. Instynkt przekazywany z pokolenia na pokolenie razem z mlekiem matki podpowiedział mu, że wróg jest martwy. Szarik zebrał wszystkie siły, zawarczał groźnie i dopadłszy tylnej łapy powalonego olbrzyma, począł targać ząbkami za sierść.

— Daj tego malca.

Janek złapał psiaka za kark, podniósł do góry i podał Staremu. Na dwu szerokich, poznaczonych szramami dłoniach Szarik zmieścił się, jak trzmiel w kielichu malwy. Siemionycz podniósł mu wargi, zajrzał w zęby, a potem począł drapać palcem między uszami po sierści nawilgłej od deszczu.

— Dzielny, dzielny pies z ciebie wyrośnie. Ostrzegłeś nas obu.

— Jak dalej? — spytał chłopak. — Będziecie mogli iść?

Stary dźwignął się, zrobił krok naprzód, krok wstecz i siadł znowu.

— Trudno. I mięso trzeba by zostawić. Ja tu z Szarikiem popilnuję, a ty wyjdź na przesiekę.

Janek spojrzał w górę, wyłowił lekki odblask słońca spoza chmur, by określić czas.

— Powinien niedługo nadjechać.

Podał Staremu strzelbę, której cały czas nie wypuszczał z ręki, wziął swoją małokalibrówkę i szerokim krokiem ruszył przez polanę z powrotem.

— Zaczekaj.

Odwrócił się i zobaczył, jak myśliwy, leżąc na boku, sięgnął tygrysięgo łba i odcinał nożem uszy.

— Chodź tu — zawołał siadając. — Weź i schowaj, bo to twoje.

Janek wrócił, pochylił się do wyciągniętej ręki i odebrał łup. Potem obiema dłońmi, tak jak to robią Chińczycy, witając drogiego gościa, przytrzymał twardą wyciągniętą rękę.

Wiatr, poprzez szmer padającego deszczu, doniósł z daleka słaby rytmiczny stukot silnika pracującego ciężko na zwolnionych obrotach. Wiedział, że traktor, ciągnąc dwie przyczepy ładowane cedrowymi pniami, wspina się pod górę. Wkrótce wlezie na przełęczkę przy Pięciu Grabach i potem zacznie zjeżdżać w dół. Skoczył więc przez zwalony pień, zamykający polanę, i pobiegł lekko, równo, sprężysto. Oddychał mocno rześkim powietrzem gór, wciągał zapach liści, grzybów i mchów. W kieszeni koszuli na piersiach niósł odcięte tygrysię uszy i głębiej, gdzieś pod żebrami, radość celnego strzału.

Stary tymczasem dobył z kieszeni kapciuch, pociemniały woreczek ze skóry jelenia, urwał prostokątny kawałek złożonej równiutko gazety, starannie skręcił cygarę. Potem dotknął lekko bandaża, ułożył nogę wygodniej, opierając stopę na kolbie. Szczeniak wędrował wokół niego z nastroszonymi

uszami, zataczając szerokie koło, pełnił służbę, jak prawdziwy, dorosły pies. Stary wsadził kapciuch do kieszeni, dobył krzesiwo, knot w łusce po karabinowym pocisku, skrzesał iskrę, rozdmuchał i zapalił.



## ROZDZIAŁ 2. KRZYK DZIKICH GĘSI

ZMARUDZILI SPORO CZASU, bo Stary nie mógł stąpnąć opuchniętą nogą i musieli go prowadzić pod ramiona we dwu z traktorzystą.

Potem Janek zrobił jeszcze jeden rejs od przesieki na polanę, by ściągnąć skórę z tygrysa i zabrać mięso odyńca. Zeszło na to chyba ze dwie godziny.

Jechać musieli wolno, ostrożnie, bo ciężkie przyczepy ześlizgiwały się po mokrej trawie i błocie. Przystosowali belkę nad tylnym kołem, podwiesili ją na łańcuchach i Janek szedł naciskając całym ciałem na cieńszy koniec, gdy stromizna ostrzej spadała w dół.

Nim ze zboczy Cedrowej wydobyli się na gruntową, rozjeżdżoną drogę, zapadła noc. Zostawili więc przyczepy z drewnem na obocznym traktu i samym już tylko traktorem — niewielkim, śmiesznym „STZ”, opatrzonym z tyłu w dwa szerokie, usiane zębami koła — skręcili na boczną dróżkę, prowadzącą nad rzekę, do chaty Starego.

Kiedy dojeżdżali, zgasły ostatnie czerwienie na chmurach od zachodu, zrobiło się całkiem ciemno. Traktorzysta zapalił latarnie. Proste pasma światła wydobyły z mroku pnie drzew i konary nawisłe nisko jak strzecha. Z boku rudawo świeciła rozgrzana rura wydechowa, z kominka dobywały się czerwone świetliki iskier, odlatywały ku górze i na boki.

Potem minęli dwa niskie słupki, żerdzie ogrodzenia, zajechali pod ganek. Traktorzysta zatrzymał ciągnik, zrzucił gaz na małe obroty. Wtenczas dopiero obaj, mechanik i Janek, usłyszeli, że silnik postukuje. Traktorzysta zaklął.

— Wprowadź do szopy — poradził chłopak.

Rzucił skóry i mięso pod dach, pomógł Staremu zejść, obejmując go wpół zawiódł po schodkach do drzwi. Zgasło światło latarni, silnik przyśpieszył i stanął. Miejsce warkotu zajęła cisza wypełniona bliskim szumem niewidocznej rzeki. Traktorzysta wrócił szybko i wszyscy trzej weszli razem do przestronnej izby.

Pachniało tu ciepłem, ziołami i skórą zwierząt. Janek odsunął szyber w kominie, rozgrzebał żar, dorzucił chrustu. Pojawiły się wesole płomyki, odbłask poszedł na izbę, wyławiając z mroku szerokie ławy pod ścianami, długi stół, malowaną skrzynię na proch i kule.

Zrzucili mokre, nasiąkłe deszczem kurtki. Janek plusnął wodę z wiadra do sagana i wsunął go w środek żaru. Dopiero teraz przypomniał sobie, że szczeniak śpi w kieszeni kurtki, wydobyl go stamtąd, odniósł w kącie na puste posłanie Mury.

Traktorzysta siadł, wyciągnął przed siebie długie nogi w zabłoconych butach, zwiesił czarną, kędzierzawą głowę i zaczął narzekać:

— Motor stuka, niedobry motor. Jutro rano trzeba szybko jechać, a motor niezdrowy. Stuka. Słyszałeś, *tawariszcz*, jak stuka? Zanim zrobię, będzie południe, przed nocą nie dojadę.

Stary go nie słuchał. Siedząc na ławie przy piecu, ostrożnie zsuwał nogawkę ze zranionej przez tygrysa nogi. Janek wyszedł do sieni, przyniósł mięso, odciął kęs nożem i uspokoił traktorzystę.

— Nie martw się. Noc długa, zdążysz naprawić.

— Sił brak. Nocna robota, zła robota. A drewno trzeba dowieźć jutro.

— Masz zapasowe wkładki do łożysk?

— Mam.

— Ja zrobię.

— Potrafisz?

— Potrafię.

Stary wyciągnął ręce w stronę żaru, grzał je chwilę, potem powiedział:

— Zostaw, Janek, garnki. Ja tu w chałupie dam radę, a będzie gotowe, zawołam.

Traktorzysta podniósł się z ławy i obaj młodzi wyszli. Lampa była dobra, pod szkłem; kładła równy krąg światła na błoto sieczone nieustannym deszczem. Wsunęli się do szopy, przymknęli wierzeje. Janek ściągnął z siana kawał brezentu, rozłożył pod ciągnikiem.

Nie mówili nic, rozumieli się bez słowa. Gorąca oliwa spływała do wiadra cienkim strumykiem, parowała w żółtawym świetle lampy. Klęcząc po obu stronach, podstawili kloc, zlurowali śruby, wykręcili je, zdjęli karter. Janek pakułami ocierał ciepłe kolana wału korbowego.

— Jak cię zwą? — spytał traktorzysta.

— Jan Kos.

— Jan Kos? — powtórzył tamten ostrożnie i powoli wymawiając słowa.  
— Trudne.

— A ciebie?

— Grigorij Saakaszwili.

— Też niełatwe.

— Ja, bracie, z Gruzji. Rozumiesz? Och, tam są góry, a na górach śnieg biały, świecący w słońcu jak cukier, że tylko lizać. A wysokie! Widzisz tę śrubę? Widzisz ten traktor? — pokazywał zaoliwionym palcem. — Tutaj góry takie małe jak ta śruba. Tam góry takie duże jak ten traktor.

Janek leżał pod ciągnikiem, uniesionymi ku górze rękami próbował kolejno łożyska. Popychał ku górze, ściągał w dół — luz był na drugim.

— Weź korbę, przekręć drugi na dół.

Grigorij wykonał polecenie, a potem kucnął na ziemi, zaglądał pod spód, obserwując, jak Janek obciążkami sprawnie odgina blokujące szpilki, wyciąga je, luzuje kluczem śruby.

— Stary mówił, zabiłeś tygrysa. Znaczy jesteś dobrym myśliwym. Ja patrzę i widzę: traktor znasz. Weź ten traktor, chodź na moje miejsce. Ja idę do armii.

Janek przysunął lampę, by blask padał na twarz tamtego.

— Biorą? — spytał z niedowierzaniem. — Ile masz?

— Dziewiętnaście, a ty?

— Ja siedemnaście — skłamał, dodając sobie prawie dwa lata.

Teraz Gruzin wziął w rękę lampę i poświecił.

— Tylko siedemnaście? Tygrysa zabiłeś, traktor znasz... Takich nie biorą?

— Nie dlatego. Ja nie tutejszy, z Polski. I Starego samego nie zostawię.

Jak często bywa z ludźmi, którzy beczynnie patrzą na robotę innych, Grigorij niespodzianie poczuł się rozdrażniony.

— Wojna nasza. Ciebie ta wojna nie obchodzi. Wy tu futerka zdzieracie z wiewiórek, z jenotów żabami karmionych.

— Na kombinezony dla lotników.

— Nasz brat w okopach, a ty na tyłach. Chytrze.

Janek wykręcił ostatnią śrubę, zdjął wkładki łożyska i odłożył na brezent. Potem wysliznął się spod ciągnika i stanął nad traktorzystą.

— Powiedziałeś, że chytrze? A kto pierwszy z Hitlerem się bił? Zaczęło się od Westerplatte.

— Wester... Powtórzyć trudno. Co to jest to, co się tak po niemiecku nazywa? Wasza wojna skończona dawno. Ja wiem, w dwa tygodnie was pobili.

— A ty umiesz się bić?

— A bo co?

— Stawaj.

Janek przesunął lampę na stąg porąbanego w szczapy drewna.

Pochyleni lekko ku przodowi, tkwili naprzeciw siebie nieruchomo, napuszeni jak dwa koguty. Skoczyli. Grigorij był znacznie wyższy, chwycił Kosa za głowę, ugiął pod siebie. Janek, padając, skurczył nogi i gdy plecami dotknął ziemi — wyprostował je z całą siłą, odrzucił tamtego pod ścianę szopy.

Poderwali się dysząc ciężko.

— Chcesz jeszcze?

— Chcę!

Traktorzysta pierwszy ruszył naprzód, Janek ćwiczoną, puszczańską ruchem skoczył pod nogi i zwałił go na ziemię.

Znowu poderwali się w różne strony, szli bez słowa do zwarcia, lecz zatrzymał ich nagły, idący z wysoka pomruk silników, przyniesiony przez wiatr.

— Lecą — powiedział Saakaszwili.

— Pilnują. Japończycy blisko. Na drugim brzegu Ussuri...

Zobojętnieli nagle wobec siebie, rozluźnili mięśnie i razem wyszli przed wierzeje, zadzierając głowy ku górze. Niebo na zachodzie przetało się trochę, świeciły gwiazdy. Nie widząc samolotów, odgadli jednak trasę ich lotu po nagłym gaśnięciu gwiazd. Warkot oddalał się, rozpływał w poszumie wiatru.

Wrócili pod dach.

— Będziemy się jeszcze bili czy masz dość? — spytał Janek.

— Nie, głupio. Moja wojna, twoja wojna, jedna wojna. Weź mój traktor, jak ja pójdę do armii.

Milczeli. Janek miał ochotę wytłumaczyć tamtemu, jak bliska jest dla niego wojna odległa o dziesięć tysięcy kilometrów. Nie wiedział jednak, od czego zacząć, i bał się, że trudno będzie ująć w słowa to, o czym myślał.

— *Rebiata!* — usłyszeli wołanie Starego.



Obmyli ręce w nafcie, otarli je mokrą ziemią, splukali pod rynną. Zabrawszy lampę wrócili do chaty, gdzie wprost na stole leżały ciepłe placki z żytniej mąki, a na blaszanym talerzu parowała gotowana dziczyzna.

Zjedli w milczeniu. Potem Janek przyniósł okopcony czajnik, nalał do dwu kubków i przy trzecim zawahał się.

— Herbata, ale gorzka. Skończył się nam cukier. Będiesz pił?

— Mam własny — odrzekł Grigorij, dobył z kieszeni szmatkę i odwinął. — Jeden kawałek został. Daj nóż.

Rozbił kostkę trzonkiem, dał każdemu po troszku. Pili, trzymając cukier pod policzkiem.

Szarik zbudził się, zaczął piszczeć w kącie. Traktorzysta zgarnął słodkie okruchy na dłoń, poszedł do kąta i radośnie oświadczył:

— Mały, ale zuchwały. Liże jak stary i jeszcze zębami moich palców próbuje.

Uszczęśliwiony psiak szczebkał wesoło, merdał ogonkiem. Janek przypatrywał się chwilę z uśmiechem, a potem przyniósł kozuch, rozesał na ławie i powiedział:

— Kładź się, śpij. Resztę sam zrobię.

Saakaszwili rozpiął pas, wyciągnął się i podłożywszy ręce pod kędzierzawą głowę, mówił sennie:

— Sen po robocie, dobry sen. Ciepło tu, miękko, woda na głowę nie kapie, ale jak spać naprawdę, to. tylko u nas w Gruzji. Tam kładziesz się, stawiasz obok dzban wina; drzwi szeroko otwarte, noc wchodzi do domu, gwiazdy do domu wchodzą...

— Przez drzwi czy przez sen?

— Jak gwiazdy wchodzą? I przez drzwi, i przez sen. Wszystko jedno.

Zrobiło się cicho. Stary chciał zapalić, wyciągnął rękę, ale nie sięgnął do gazety, leżącej przy lampie. Janek wstał, by mu podać. Rzuciwszy okiem na złożony papier, zatrzymał go jednak w dłoni.

— Mogę wziąć? — spytał.

— Ty co? Palić chcesz?

— Nie, ja wam drugą gazetę przyniosę i złożę. Taką samą. Dobrze?

— Dobrze — odpowiedział myśliwy.

Janek schował papier na piersi, do tej samej kieszeni, w której miał uszy tygrysa. Rozejrzył się czy jeszcze czego nie trzeba, ale Stary kiwnął mu ręką, że może iść.

Teraz był sam z traktorem w pustej szopie. Założył nowe wkładki da łożyska, zwilżył je oliwą, ulokował na miejscu i parę razy przekręciwszy korbą, zdjął z powrotem. Widział przy świetle lampy, które części srebrzystego stopu pasują dokładnie do kształtu korbowego wału — w zagłębieniach zostały ślady oliwy. Oстрыm, płaskim nożykiem, delikatnymi strużkami zdejmował miękki metal, dopasowywał.

Tę samą czynność powtórzył po raz drugi, trzeci i piąty, cierpliwie czekając, aż po ostatniej próbie cała powierzchnia będzie gładka i czysta, równomiernie pokryta cieniutką błonką oliwy. Korciło go, żeby zajrzeć do tej gazety, którą miał schowaną w kieszeni, bo w chacie dostrzegł tylko dwa słowa, ale postanowił sobie, że dopiero po robocie, dopiero kiedy skończy...

Deszcz ucichł i poprzez szparę pod okapem widać było teraz ostry róg młodego księżyca powisłego nad górami. Janek zamyślił się. Czy to ten sam księżyc, który przed laty czepiał się czubków masztów na statkach stojących w porcie? Czy to ten sam, który odbijał się w wodach zatoki i Wisły spływającej kanałami do morza?

Skrzypnęły lekko wierzeje pchnięte wiatrem. Chłopiec drgnął i wpełzając pod ciągnik, założył po raz ostatni łożyska. Podwiesił karter, zalał oliwę. Zapušciwszy silnik, pozwolił mu chwilę pracować na wolnych obrotach. Potem wyłączył zapłon, odczekał, póki smar spłynie, i poprzez luk wsunął rękę. Odnalazł palcami łożysko, sprawdził, czy się nie grzeje.

Wszystko było w porządku.

Dawniej, w tych czasach, które określał słowem „*przedtem*”, podszedłby do ojca i powiedział: „*Gotowe*”. Ojciec wstawał, szedł sprawdzać. Kontrolował surowo, niezależnie od tego, czy to był miś z przyszytą na nowo łapą, model samolotu, czy rower. Potem prostował się i z uśmiechem w swych szarych oczach wyciągał rękę mówiąc: „*Dobra robota*”.

Tak było „*przedtem*”, ale mijają już prawie cztery lata, od czasu gdy Janek został sam. Poczł nagle, że ciąży mu nie przespana noc, że boli go kark ściśnięty w walce przez Grigorija. Uśmiechnąwszy się smutno do siebie, pomyślał, czy tamtego obudził warkot silnika, czy też śpi mocno i smacznie,

tak jak sypiają w Gruzji, i czy przez sen przyszedł doń z dalekiego nieba gruzińskie gwiazdy.

Na dworze pochłodziło i dołem, pod drzewami, pod żerdziami płotu, bezszelestnie wpełzała od rzeki przedranna mgiełka.

W sionce zgasił lampę, powąchał dłonie, które choć starannie umyte pachniały jeszcze metalem, oliwą i naftą. Podpierając od dołu skobel, by drzwi nie skrzypnęły w zawiasach, wszedł na palcach do izby. Zbliżył się do pieca, nadpaloną szczapą zgarniał popiół z czerwonych głowni. Sięgnął do kieszeni i dobywszy gazetę rozłożył ją ostrożnie.

To, co go zainteresowało, było niepełne, z prawej strony u dołu brakowało wyrwanego kawałka. Przysunął papier do oczu, pochylił się w stronę żaru i czując ciepło na policzku, czytał w rudym świetle paleniska.

— Janek!

Drgnął. A więc Stary nie śpi.

— Słucham, Jefim Siemionycz.

— Przeczytaj na głos. Tamten śpi, nie zbudzisz go.

Janek zawahał się. Czuł falę krwi uderzającą do głowy, jakby został schwytany na gorącym uczynku. Minęła długa chwila, nim opanował się i zaczął czytać:

— „Komunikat o zgodzie rządu radzieckiego na formowanie polskiej dywizji na...” — tu właśnie brakowało reszty tytułu i zaczynały się drobne litery. — „Rząd radziecki postanowił zadośćuczynić prośbie Związku Patriotów Polskich... na terytorium ZSRR polskiej dywizji imienia Tadeusza Kościuszki w celu wspólnej walki... Formowanie polskiej dywizji już się...”

Janek cofnął twarz od żaru, złożył powoli gazetę i dodał:

— To wszystko. Trochę brakuje, bo urwane.

Znowu cisza zapanowała w izbie, tylko Grigorij Saakaszwili, traktorzysta z Gruzji, równo i spokojnie oddychał przez sen, tylko Szarik popiskiwał smutno, tęskniąc do ciepła mamy, która tak nagle zniknęła z jego życia. Długo tak było, a potem Stary zapytał:

— Zostaniesz, póki będę mógł chodzić?

Janek podszedł do niego, przysiadł na krawędzi ławy wysłanej skórą.

— Zostanę.

— Jeszcze przed śniegami zagoi się; będę mógł chodzić, nie zatrzymam... — myśliwy mówił powoli, niespiesznie. — Już chyba dwa lata,

jak mój Wania na wojnę poszedł. Starszy był niż ty, pamiętasz go przecież, ale dla kuli bez różnicy, że starszy... I nie robi jej różnicy, że młodszy... Zatrzymywać cię jednak nie będę — chropawą, szeroką dłoń położył na kolanie Janka.

— Pora budzić traktorzystę. Już za oknami szarzeje — powiedział chłopiec.

— Pora.

Janek nie ruszył się jednak, siedział dalej zapatrzony nieruchomo w przygasający żar pieca.

— Jefim Siemionycz, ja do was może wrócę potem, po wojnie, bo ja przecież nikogo...

— Nie mów na wiatr — powiedział spokojnie Stary. — Matka nie żyje, ale ojciec może się znaleźć... Będziesz szedł, to ja ci rękawice dam ciepłe, miękkie, ze skóry jenota uszyte... A jeśli nawet ojca nie znajdziesz, to i tak nie wrócisz, ze swoimi zostaniesz. Gazeta, coś z niej czytał, to niby papier, a jak krzyk dzikich gęsi jesienią, i już rady nie ma, w swoje strony musisz odlecieć.

### ROZDZIAŁ 3. POCIĄGI IDĄ NA ZACHÓD

TRANSPORT STAŁ NA WYSOKIM nasypie. W tyle za nim świeciło parę lamp stacyjnych, dwa żółte okna, ale wokół wagonów był tylko granat nocy i niepewny, drżący odblask gwiazd. Na przodzie posapywała lokomotywa, snując skośnie ku górze kitę dymu — cienką, zwiewną, jakby wyciętą z karbowanej bibuły. Na szyny padał blask z otwartych rusztów paleniska, wiśniowymi kręgami obrysowywał koła. Słysząc było spokojne posapywanie pary i chrzęst żwiru pod butami chodzących tam i z powrotem wartowników.

Kanciaste, prostokątne wagony towarowe rysowały się sztywnymi sylwetkami na tle nieba. Tylko na dachach pierwszego i ostatniego sterczały ku górze, jak wyprostowane palce uniesionych dłoni, poczwórnice sprzężone, przeciwlotnicze karabiny maszynowe. Dyżurowało przy każdym po dwóch żołnierzy. Jeden z nich, ten na samym końcu pociągu, grał cicho na organkach.

Daleko na przedzie, prawie u horyzontu, mrugnęło czerwone światło sygnału, opadło i nagle pozieleniało. Lokomotywa zawyła basem, jak parostatek w porcie, sapnęła i wzdłuż całego łańcucha wagonów przeszło metaliczne, dźwięczne szarpnięcie, napinające złącza. Wartownicy podbiegli do uchylonych drzwi, poczęli skakać na stopnie, wspinać się do środka. Od dołu widać było, jak koła drgnęły, jak okrągłe wycięcia poczęły się przesuwać — pociąg ruszał w dalszą drogę.

Właśnie wówczas w krzakach na nasypie ktoś cicho gwizdnął. Dwie postacie skoczyły ostro ku górze — człowiek i pies. Chwilę biegli obaj wzdłuż wolno sunącego pociągu, potem człowiek chwycił psa, podrzucił go w górę, sam skoczył chwytając metalową klamrę, podciągnął się na rękach i zaraz zniknął w lewo za ścianą, w mroku.

W wagonie na drewnianych, spiętrzonych w trzy rzędy pryczach, zbitych z nie heblowanych desek, spali ludzie. Posapywali rytmicznie. Wnętrze wypełnione było zapachem sukna, tytoniu i metalu — charakterystycznym zapachem wojska.

Tylko jeden żołnierz, widocznie dyżurny, siedział na skrzynce przy piecyku pośrodku wagonu. Był w płaszczu, sponad ramienia sterczała mu lufa karabinu, zaostrzona wąskim, czterograniastym bagnetem. Podkładał akurat szczapy drewna na otwarte palenisko blaszanej „kozy”. Usłyszawszy szelest przy drzwiach, nie odwrócił głowy i tylko spytał:

— Ty, Wania?

— Ja — burknął niewyraźnie nowo przybyły.

— Co z ciebie za człowiek? Zawsze się spóźniasz. Zobaczysz, że kiedyś zostaniesz... Jak już masz zostać, to nie na mojej służbie.

Burczał jeszcze dalej pod nosem, ale ten, którego wzięto za Iwana, nie odpowiadał. Na dolnej pryczy, z samego brzegu, było akurat miejsce, więc ułożył się i okrył połą sukiennego płaszcza sąsiada. Śpiący żołnierz zamruczał coś przez sen, odruchowo zrobił miejsce i postępując obrócił się na drugi bok; zaszeleściło siano. Korzystając z tego, spóźniony pasażer wyszarpnął spod siebie sporą ochapkę suchej trawy i wsunął pod spód, pod nary, szepcząc cicho:

— Tu, Szarik, tu... Leżeć.

POCIĄG NAJPIERW ZWOLNIŁ, jakby się zmęczył nieustannym biegiem, a . potem przyhamował, i stanął. Gdzieś od czoła jasnym wesołym dźwiękiem odezwała się trąbka. Nim umilkła, odpowiedział jej stukot i zgrzyt odsuwanych drzwi. Do wnętrza wagonów wraz z chłodnym wiatrem wpływał szarzejący świt i ostrzej było słyszeć mosiężne, rozkazujące tony pobudki.

Czerwonoarmiści zrywali się, naciągali buty i płosząc ziewaniem resztki snu, wyskakiwali na torowisko. Trawa była siwa od szronu, szeleściła pod butami jak nie golony zarost. Zbiegali po nasypie, rozbijając obcasami cienką skórkę lodu, myli się w rowie nad torem. Dokazywali przy tym, opryskiwali się jak dzieci szkolne, pokrzykując z chłodu i z tej ostrej rzeźkości, którą przydaje skórze chłodna woda. Długo tarli twarze, ramiona i piersi płóciennymi ręcznikami, póki skóra nie nabrała koloru krwi. Bieгли potem znowu pod górę przekomarzając się, spychając ‘ jeden drugiego, wskakiwali do wagonów.

— Tu na dolnej narze jeszcze ktoś śpi. Wstawaj, leniu!

— Zostaw go, pewno po służbie. Kiedy wstawałem, nie ruszyłem nawet swojego płaszcza, niech śpi...

Wzdłuż pociągu dyżurni roznosili termosy — zielone, owalne pudła, po «lwa wiadra w każdym. Podawali je do wagonów, biegli dalej.

- Odkręć, Fiedia, pokrywę, zobaczymy, co przynieśli.
- Zobacz, zobacz. Myślisz, że pierożki ze śmietaną i z serem.
- Jołki–pałki, znowu kasza! — wykrzyknął tęgi, rumiany Fiodor.
- Borszcz da kasza, piszczą nasza.

Parowóz gwizdnął krótko, ostrzegawczo, potem dał długi sygnał i pociąg ruszył z miejsca.

Ktoś siedzący pod samym dachem na najwyższej pryczy zaśpiewał wysokim tenorem, udając głos operowego artysty.

*Pszeno, pszeno, pszeno, pszeno!*

*Ono na radost nam дано.*

Żołnierze roześmieli się, bo naprawdę to piosenka mówi o winie, które niesie radość, a nie o kaszy jaglanej. Pobrzękując menażkami do taktu ustawiali się w kolejkę przy termosie.

— Hej, ty! Jeść też nie będziesz? — pyzaty Fiodor pociągnął za połe płaszcz. — Jak chcesz, to możesz spać, a ja się twoją porcją...

Nie dokończył myśli, stał chwilę zdumiony z otwartymi ustami, a potem wrzasnął:

— *Rebiata*, obcy! Jołki–pałki i pies jakiś tu warczy.

Obcy już dawno nie spał, obudziła go trąbka. Chciał jednak odwlec chwilę, w której go odkryją, i wolał, by to się stało raczej podczas jazdy, a nie na przystanku. Zdemaskowany, zeskoczył z nary i stanął pod ścianą. U jego róg przy warował pies — młody, ale już spory, z wilczą mordą i kosmatą sierścią o barwie popiołu, nieco ciemniejszą wzdłuż grzbietu.

— Ty kto?

Obaj milczeli — chłopiec i pies.

— Pytam się ciebie, kto ty jesteś?

Odpowiedzi nie było. Z całego wagonu schodzili się żołnierze, stawali kręgiem ciekawi, co z tego wyniknie, wyglądali zza ramion kolegów, wspinając się na palce.

— Transport wojskowy, a tu się wkradł jakiś typ. Nie będziesz gadał, to cię wyrzucimy za drzwi.

Pies obnażył zęby, zjeżył sierść.

Rosły, tęgi Fiodor nie zważając na to chwycił chłopca za ramię. I nagle, rzecz dziwna — wszyscy patrzyli, ale nim ktokolwiek dojrzał, co się stało, żołnierz już leżał na narach w sianie, a pies trzymał w zębach oderwany róg płaszcza. Chłopak po zadaniu ciosu, który zwałił Fiodora z nóg, cofnął się znowu w kąt wagonu i przywarł plecami do ściany.

— Toś ty taki? Bykiem, jołki–pałki, bijesz? — puciołowaty wstał zaciskając pięści.

— Zostaw go!

W przejście między narami a ścianą wszedł sierżant ze znaczkiem gwardii na wypłowiałej bluzie munduru. Stał przed chłopcem, długą chwilę przyglądał mu się uważnie, pogładził dłonią wąsy o barwie dojrzałej pszenicy i powiedział spokojnie:

— Przychodzisz nie proszony w goście. Pytają cię, a ty nie odpowiadasz. Nieładnie. Jak tak dalej pójdzie, to twój pies całemu plutonowi płaszcze poszarpie. Ze wszystkimi chcesz się bić? My jedziemy na front, a ty?

— Ja też.

Sierżant uśmiechnął się lekko.

— Rozumiem, ale dzieci, i to w dodatku z psami, do wojska nie biorą.

— A to dopiero dziecko! Towarzysze, jak mnie bykiem zaprawił w brzuch, to jeszcze czuję — skarżył się oburzony Fiodor.

— Poczekaj — przerwał mu sierżant i znowu zwrócił się do chłopca: — Zresztą, jeśli wybierasz się na wojnę, to powinieneś iść do wojenkomatu. Tam cię zmierzają, zważają, pytają co i jak, papier dadzą. A samemu nie wolno.

Pies, uspokojony cichym, równym głosem, zrobił pół kroku naprzód, powąchał cholewę sierżantowego buta i kiwnąwszy dwa razy ogonem wrócił na poprzednie miejsce. Janek pomyślał, że takie rady to nic nowego. On też wiedział, że trzeba przez wojenkomat, że byłoby łatwiej. Tyle tylko, że w papierach mieli zapisany jego rok urodzenia. O tym jednak sierżantowi nie mógł powiedzieć.

— Nic nie mówisz, ale myślę, że mnie rozumiesz — ciągnął wąsacz nie zrażony brakiem odpowiedzi. — Zwiąłeś z domu, matka płacze, nie wie, gdzie jesteś. Trzeba będzie wracać.

— Nie mam matki.

— A co się z nią stało?

— Hitlerowcy zabili.



Sierżantowi drgnęły wąsy, zastanowił się i dodał tonem twierdzącym:

- Ojciec na froncie.
- Nie wiem, zaginał na wojnie cztery lata temu.
- Wtedy jeszcze nie było wojny.
- Była, w Polsce. Ja do polskiej armii. Już trzeci dzień jadę.
- *Zajcom?*

Po rosyjsku takich pasażerów nazywają zajęcami, więc Janek potwierdził.

- Tak, na gapę. Z wami od wczorajszego wieczora.
- Masz jaki papier?
- Papier nie papier. Wyrzucić go trzeba — indyczył się rozzłoszczony Fiodor.

— Wy, towarzyszu szeregowy, nie wtrącajcie się, jak szef kompanii rozmawia. Kto stał wieczorem podczas postoju na warcie? No, pytam przecież, kto?

— Ja, towarzyszu sierżancie.

— A jak myślicie: ten chłopak wsiadł podczas waszej warty czy wyfrunął ze swoim psem zza chmurki i wskoczył przez komin?

Pyzaty nie odpowiedział, cofnął się, schował za plecy innych. Tymczasem Janek wydobyl z kieszeni równo złożoną gazetę i podał sierżantowi. Tamten obrócił ją w rękach, obejrzał i równie starannie złożony oddał.

— My gazetki czytamy, wiemy, ale sam rozumiesz, potrzebna bumaga, jakiś urzędowy papier, dokument.

Janek wydobyl zaświadczenie ze spółdzielni łowieckiej, dla której pracowali razem z Jefimem Siemionyczem.

— Toś ty znaczy myśliwy?

— A to ci heca, myśliwy! — odezwał się jeden z żołnierzy. — Ciekawe, co zabił, żabę czy tygrysa.

Roześmieli się wszyscy.

Janek nie odpowiedział. Sięgnął znowu do kieszeni i na otwartej dłoni pokazał duże, kosmate ucho. Śmiech się urwał, zapadła cisza.

— Rzeczywiście tygrys. No, dobyte — powiedział sierżant. — My tu gadamy, a kasza stygnie. W każdym razie dajcie śniadanie chłopakowi i psu. Potem zobaczymy.

Rozsiedli się na dolnych narach, drewnianymi łyżkami jedli tłustą kaszę jaglaną. Szef kompanii od swojej porcji chleba odkrajał ćwiartkę, podał Jankowi. Pociąg łomotał na stykach szyn, pogwizdując mijał nieduże stacje. Przez uchylone drzwi widać było zieloną, sięgającą horyzontu tajgę, zbitą gęsto jak wołok.

Janek wstał, podszedł do Fiodora i wskazując na leżący obok płaszcz, powiedział:

— Dajcie, przyszyję.

Tamten zastanowił się chwilę, ale potem skinął głową.

— Bierz.

Najbliżsi sąsiedzi patrzyli, jak chłopak zdjął czapkę, odmotał nici, wyciągnął z podszewki igłę i delikatnym ścięciem od spodu przyszywał urwany płat materiału.

— Zgrabnie to robisz. Jak tylko na front dojedziesz, to cię zaraz naczelnym krawcem mianują — zażartował ten sam, co pytał o żabę i tygrysa.

— Nie strzępcie języków — powiedział sierżant. — Nie traćcie czasu. Za godzinę broń przejrzę.

Ze stojaka w kącie wagonu poczęli brać karabiny i automaty, lokowali się w różnych miejscach, byle wygodniej.

— Ja bym wyczyścił tamto — Janek pociągnął szefa za rękaw i wskazał broń ze stalowym lejkiem na lufie, z talerzem magazynka na wierzchu, z cienkimi łapkami.

— To erkaem, ręczny karabin maszynowy. Znasz się na tym? — spytał sierżant.

— Nie — odpowiedział szczerze. — Ale w ogóle lubię broń.

— Przynieś tutaj, to ci pokażę.

Krótkimi, sprawnymi ruchami rozebrał i dożył zamek, potem jeszcze raz rozebrał i jeszcze raz złożył.

— Potrafisz?

— Spróbuję.

Pierwszy raz poszło słabo, drugi raz nieco szybciej. Janek sięgnął do pudła stojącego pośrodku wagonu po bawełniane szmaty i metalową oliwiarę. Nie spiesząc się, tak jak to setki razy robił w domu nad rzeką, u stóp Góry Cedrowej, począł czyścić ukształtowany i mądry metal.

Szarik, który był zdecydowanie niezadowolony, że odebrano mu urwany kęs żołnierskiego płaszcza, teraz poweselał, zaczął się kręcić, machać ogonem, a wreszcie wziął czapkę Janka w zęby i siadł naprzeciw, cichutko skomląc.

— O co mu chodzi? — spytał sierżant.

— Myśli, że pójdziemy na polowanie.

— Ma rację, ale to broń na grubego zwierza i polowanie nie dla dzieci.

Gładził psa po głowie, na co Szarik pozwalał, zorientowawszy się, że jego pan ma przyjaciela w tym człowieku o surowym, rozkazującym głosie. Sierżant zamyślił się na chwilę i dodał:

— Dla dorosłych też nie, ale co zrobić, kiedy trzeba.

Janek przeczyścił lufę, złożył zamek, otarł kolbę.

— Będą z ciebie ludzie — sierżant klepnął go po plecach.

Znowu zmienił się stukot kół. Pociąg zaczął zwalniać, maszynista parokrotnie gwizdnął, rzuciło wagonem na zwrotnicach i wtoczyli się na stację. Po lewej i po prawej stały inne pociągi, między torami kręcili się ludzie w mundurach. Nieco dalej widać było szeroką wodę — jezioro sięgające po horyzont.

Znowu wzdłuż wagonów biegli dyżurni, zatrzymywali się przy każdym na chwilę, podawali złożone w czworo paczuszki gazet. Żołnierze brali je, dzielili, rozkładali szerokie płachty i umawiali się między » sobą:

— Jak przeczytasz, nie chowaj. Podzielimy równo na cztery, żeby było w czym palić.

Fiodor podszedł do Janka i uderzając dłonią w zadrukowany papier pokazał mu:

— Popatrz, myśliwy, tu coś dla ciebie: „*Pierwsza polska dywizja piechoty im. Tadeusza Kościuszki stoczyła bitwę pod Lenino*”. Wcześniej trzeba się było wybrać, już się spóźnił na początek. Bez ciebie zaczęli, a ty tymczasem bykiem zaprawiasz żołnierzy sojuszniczej armii, psami szczujesz...

— Nie gniewajcie się — poprosił Janek. — Tak jakoś wyszło. Zabierzcie ze sobą. Broń pomogę czyścić, na warcie z psem mogę stać. My nikogo nie wpuścimy...

— Czekaj tu na mnie — zarządził szef kompanii. — Pójdę do dowódcy i dowiem się, co z tobą zrobić.

Powiedzieć łatwo: „*Pójdę i dowiem się*”, ale wykonanie zapowiedzi napotkało nieprzewidziane przeszkody — zniknęła gdzieś uszanka, futrzana czapka sierżanta.

— Co za nieporządki — rozzłościł się nie na żarty i nastroszył wąsy. Dyżurny, gdzie macie oczy! Natychmiast odnaleźć!

Szukał najpierw służbowy, potem cały pluton — nie pomogło; jak kamień w wodę. Tylko Janek nie ruszył się z miejsca, licząc, że jeśli pociąg odjedzie, to uda mu się znowu kawał drogi z transportem przemierzyć.

Wreszcie sierżant zdecydował:

— Idę bez czapki. Jeśli wrócę i do tej pory nie znajdziecie, to ja się z wami rozprawię — podniósł groźnie palec i jeszcze raz desperacko powtórzył: — Wbrew regulaminowi, żeby żołnierz bez czapki, ale idę.

Na te ostatnie słowo wyskoczył spod nar Szarik. Ucieszony, że wreszcie zapowiada się spacer, zamachał ogonem i stanął przed sierżantem na tylnych łapach. W zębach trzymał uszankę, podając ją właścicielowi.

— Ach ty kundlu paskudny!

— On nie jest kundlem — zaprzeczył Janek. — Pełnej krwi wilczur syberyjski.

— Towarzyszu sierżancie — oświadczył Fiodor. — Po prostu pies niedawno w wojsku i nie zdążył wkuć regulaminu.

Roześmieli się wszyscy. Szef kompanii pogładził futro swej uszanki, wsadził czapkę na głowę i machnąwszy ręką zbiegł po żelaznej drabince.

Janek miał ochotę wyskoczyć za nim z wagonu, gdyż wiedział z doświadczenia, czym skończy się pytanie dowódców. Trudno mu jednak było to zrobić — nie wypadało jakoś, a poza tym i żołnierze pewno by go nie puścili. Rozsiedli się teraz jeden przy drugim w szeroko otwartych drzwiach i patrząc na jezioro śpiewali:

*Sławnoje morie, swiaszczennyj Bajkał...*

Sierżant wrócił niespodzianie szybko, stanął na sąsiednim torze i kiwał na Janka ręką.

— Chodź, Szarik, znowu nas wyrzucają — przepchnęli się do wyjścia, zeskoczyli na ziemię.

— Czemuś nos spuścił na kwintę — szef kompanii objął go za ramię i poprowadził ze sobą. — Nic się nie bój. Ja bym cię nawet zabrał, skoro nie masz do kogo wracać, ale trafiła się dobra okazja. Sam zobaczysz.

Podeszli do jednego z wagonów sąsiedniego transportu, w którego drzwiach stali cywile w waciakach i płaszczach, w cyklistówkach i czapkach futrzanych, a w głębi nawet ktoś w kapeluszu. Jeden z nich czekał na torach, do kosmatej uszanki miał przyczepioną czarnymi nitkami blaszkę — orła wyciętego z puszki od konserw.

— To twoi — powiedział sierżant. — Też jadą do polskiej armii. Dobrej drogi, chłopcze — popchnął go lekko w kierunku wagonu. — A jak już będziesz na froncie, to miej oczy otwarte. Może się jeszcze spotkamy.

Ten z orzełkiem na czapce uśmiechał się szeroko i wyciągał rękę.

— Nazywom się Jeleń. Gustaw Jeleń.

— Jan Kos — przedstawił się chłopak.

— A pies?

— Szarik.

— Szarik? A co to po rusku znaczy?

— Kulka.

— Myślałech, że Szary, ale niech będzie Kulka, wszystko jedno. Posuńcie się, chłopcy, podom wom nowego kamrata.

Nim Janek się spostrzegł, był już w powietrzu. Jeleń podniósł go bez wysiłku nad głowę i wstawił do wagonu. Ruszył, by chwycić psa, ale Szarik sam odbił się jak sprężyna i wskoczył za swym panem. Janek obrócił się, chciał jeszcze zawołać, pożegnać sierżanta, ale szef kompanii był już daleko. Tyle, że się jeszcze obejrzał i pomachał ręką.

W wagonie śpiewali:

*Wiła wianki i rzuciła je do falującej wody...*

Janek rozejrzył się. Ze zdumieniem spostrzegł, że na drugim piętrze pryczy, z samego brzegu, siedzi nie chłopak, lecz dziewczyna. Ubrana była w gumowe buty, watowane spodnie i kurtkę, w męską czapkę uszytą z zielonego sukna, ale spod niej wysuwały się jasne, długie włosy. Dłonie miała drobne, wąskie, dziewczęce.

Uśmiechnęła się do Janka:

— Skąd jesteś?

- Z Przymorskiego Kraju...
- Ale z Polski, skąd?
- Z Gdańska.
- A ja z Warszawy. Na imię mam Lidka.

Jankowi się wydało, że usłyszał rzecz niezwykle istotną, ważną. Dziewczyna pokazała mu miejsce obok siebie i śpiewała dalej:

*Wiła wianki i rzucała je do wody...*

Podszedł nieśmiało, stanął obok, ale nie miał odwagi sięść. Spojrzał na sąsiedni tor. Ponad głowami widział wagony wypełnione żołnierzami w uszankach z czerwoną gwiazdą. Wagony poczęły się przesuwać i w pierwszej chwili nie wiadomo było, kto jedzie — my czy oni. Wspiął się na palce, żeby zobaczyć ziemię i koła.

*Sławnoje morie, swiaszczennyj Bajkał...*

*Wiła wianki i rzucała je do wody...*

- splatały się słowa i melodie.

Poznał swój wagon — w szeroko otwartych drzwiach spostrzegł pyzatego Fiodora i sierżanta gładzącego dłonią puszyste wąsy. Jakże go będę szukał na froncie — pomyślał;’ — Nawet nie wiem, jak się nazywa. Potem zobaczył jeszcze karabin maszynowy na dachu i zderzaki ostatniego wagonu.

Wsiadł Jeleń i podszedł do Janka.

- Bydymy kamratami, nazywej mnie Gustlik. Co się dziwosz, czego ci żal? My w to samo miejsce, co i oni. Wszystkie pociągi idom teraz na zachód.

## ROZDZIAŁ 4. FORTEL

RÓWNYMI RZĘDAMI SIEDZIELI na deskach przymocowanych do burt ciężarówki, podskakiwali wraz z nią na wybojach. Przez bramę z brezentu patrzyli, jak ucieka w tył szeroka, gruntowa droga rozjeżdżona setkami kół.

Listopadowy dzień był chłodny i przejrzysty. Zdawało się, że szron nie tylko sięga horyzontu, ale dołem wpełza na bezchmurne, wyblakłe niebo. Wjechali do wsi — przy szosie stały małe domki i podłużny klocek parterowej szkoły. Gdy ją minęli, poczuli, że samochód skręca, zjeżdża ostro po pochyłości, mieszając oponami wilgotną glinę. Zobaczyli wysoki brzeg dopiero wówczas, gdy skrzypnęła, zakołysała się pod nimi nawierzchnia pontonowego mostu.

Wiatr stał się wilgotny, niosło drobną mgiełką od rzeki, na twarzach poczuli rozpylone krople. Most pod ciężarem samochodu poddawał się lekko. Gdy patrzyli na ponton, zdawało się, że płynie i wraz z nim płyną przemarznięci saperzy w zielonych płaszczach z postawionymi kołnierzami. Trzepotały niewielkie flagi ustawione na drągach, dawno nie widziane biało—czerwone flagi.

Janek pamiętał jak przez mgłę: widział je po raz ostatni odszarpywane z drzewców, zdzierane, ciskane na bruk przez cywilów w butach z cholewami i w tyrolskich kapelusikach z piórkiem. Było to parę dni przed wojną, wówczas gdy ojciec wróciwszy ze szkoły poprosił matkę, by wydobyła z szafy jego oficerski mundur.

Matka, siedząc na krześle, przyszywała gwiazdki, po dwie do każdego naramiennika. Spytała: „*A twoi uczniowie? Kto ich będzie uczył?*” Ojciec odpowiedział: „*Młodszych już nikt. Sami się będą uczyć, będą powtarzali to, co zapamiętali na lekcjach. A starsi również założą mundury*”.

Janek otarł dłonią wilgotny od mżawki policzek, strzepnął z powieki łzę.

— Ostry wiatr — powiedział, ocierając dłoń o waciak.

Spojrzał na Lidkę siedzącą obok, ale nie widział jej twarzy; odwrócona w stronę brezentu poprawiała włosy. Jeleń, siedzący po drugiej stronie, zacierał swoje szerokie łapy, aż słyszeć było chrzęst kości.

— Terozki my som na dobrym miejscu. Teroz my som, gdzie nom trzeba.

Nie byli na miejscu — minęli jeszcze drugą wioskę, wjechali w las i dopiero tutaj zatrzymali się między namiotami.

— Wysiadać, dalej pociąg nie idzie — zawołał kierowca z szoferki.

Zeskakując na ziemię, czytali transparent rozwieszony między dwiema sosnami u wejścia do obozu. Nie było to łatwe, bo widzieli go z odwrotnej strony, sylabizowali słowa od prawej ku lewej: „*Witaj wczorajszy tułacz, dzisiejszy żołnierzu*”.

Przy dwu sosnach, które zastępowały bramę, stał wartownik z karabinem na pasie. Obstąpili go ciasnym kręgiem, uważnie oglądali od butów i owijaczy, przez płaszcz, na którym guziki były nie byle jakie, bo metalowe, z godłem, do rogatej polówki ze stębnowanym daszkiem i ciemnym, oksydowanym orłem. Orzeł był nie taki jak dawniej — niezgrabny, szeroki w barach, ale widać, że polski.

— Ludzie, ta co wy patrzycie — bronił się wartownik. — Żołnierzaście nie widzieli? Idźcie na obiad, a to „*kupcy*” przyjadą i zabiorą was „*nie żrawszych*”...

Posłuchali go, poszli do kuchni i przekonali się, że miał rację — ledwo zdążyli zjeść zupę (naturalnie z kaszą jaglaną, ale też i z mięsem), nadjechała ciężarówka, z której wysiadł młody chłopak z bardzo surową miną. Żeby nie gwiazdki aa naramiennikach, toby i nie poznali, że oficer.

— Obywatele żołnierze, kto do czołgów, do broni pancernej?

Siadł potem za stołem w namiocie, a oni, nowo przybyli, po jednemu wędrowali do środka, ściągając kurtki i koszule, żeby ich tam lekarz zbadał, żeby się zapisywać do czołgów.

Jankowi zeszło trochę dłużej przy jedzeniu, bo kucharz nie od razu dał się przekonać, że Szarik też do wojska przyjechał. Kiedy podszedł do namiotu, Jeleń już z niego wychodził ze zmierzwioną czupryną, z roześmianą gębą, w rozpiętym waciaku.

— Janek, chodźże tu szybko. Mnie już zapisali, a ty przecym też do czołgów.

— Ja bym chciał razem z tobą, ale nie wiem. Tam pójde, gdzie każą.

— Nie czekaj, aż ci każą. Som sobie każesz, to bydzie najlepiej. Jo się już zapisoł. Pytają mnie czemu, to jo mówię, żech był w czołgach. Pytają



gdzie, to powiadom: u Niemca. Siłą wzięli. Pytają, jak dalej było, no to ja mówię: „*związolech swoich szwabów i czołgiem na drugą stronę, do Ruska*”. Oni mówią: „*Tam czterech a ty som. Jakes doł radę?*” To ja zech wziął za rękę tego, co pisze, tego, co pyto, tego doktora i jeszcze dwie siostry w białych fartuchach, pocisnąłech ich do kupy, póki nie prosili, żeby puścić. Powiedzieli, że będzie pancerna brygada. Brygada imienia Bohaterów Westerplatte.

Janek chwycił Jelenia za rękę, przybladł i spytał:

— Jak mówisz?

— Jak słyszysz, Westerplatte. To ci, co się w Gdańsku pierwsi bronili, nie wiesz? Janek... Ty kaj idziesz?

Ale Janek już wpadł do przedsionka namiotu. Wartownik przytrzymał «go za ramię.

— Poczekaj, tam dziewczucha w środku.

Lidka wychodząc uśmiechnęła się wesoło i rzuciła mu w przejściu:

— Przyjęli. Do radia im dziewczyny potrzebne.

Janek wszedł do środka. Lekarz kiwnął na niego i od razu zaburczał.

— Rozbieraj że się szybciej, chłopcze. Czasu nie mamy.

Obejrzał, przytknął słuchawkę do piersi, spytał, czy zdrów.

— Zdrów.

— Podejdźcie tutaj — znużonym głosem powiedział chorąży. — Imię?

— Jan.

— Nazwisko?

— Kos.

— Skąd rodem?

— Z Gdańska.

— A teraz?

— Przymorski Kraj.

— Daleko cię zaniósł. Rok urodzenia?

— 1926.

— Dokumenty?

Janek podał swoje zaświadczenie, w którym była mowa, że taki to a taki polował na stokach Góry Cedrowej i w trzech sezonach dostarczył tyle a tyle futer, wykonując normę w tylu i tylu procentach.

— Tu nie napisane, kiedyś się rodził. Więc w którym roku?

— Powiedziałem.

— Oszukujesz. Ja też mam oczy. U nas służba ciężka, pójdziesz gdzie indziej.

W tym momencie uniosła się poła namiotu, spod brezentu wyrzała najpierw kosmata mordą i ślepia, a potem cały Szarik wlaźł do środka i siadł na zadzie przy nodze swego pana.

— A to co znowu? Co ten pies tu robi? Twój?

— Mój.

— No właśnie. Brygada pancerna to nie zwierzyniec. Możesz iść.

Janek wyszedł. Skręcił zaraz za namiot, by uniknąć pytań przyjaciół; z opuszczoną głową począł spacerować tam i z powrotem. Szarik zrozumiał, że coś jest nie tak, jak trzeba, wybiegł naprzód, zawrócił, począł podskakiwać, zapraszając do zabawy. Spostrzegłszy, że nie pora na to, liznął Janka w rękę, podtulił ogon i cicho stąpał za nim.

Spacerowali tak dość długo, aż wreszcie Janek skręcił ostro i podszedł wprost do krępego, małego szofera siedzącego na stopniu ciężarówki.

— Dzień dobry.

— Czołem — kierowca zasalutował nie wstając, by pokazać, że jest już starym żołnierzem. — Wichura.

— Skądże, ledwo dmucha — zdziwił się chłopak.

— Ja, Wichura. Nazwisko takie. A ty?

— Kos.

— Gdzie? — zrewanżował się szofer, patrząc na gałęzie drzew.

— Ja. Nazwisko takie. A ten chorąży, co przyjmuje?

— Nawet nie wiem. Na imię ma Zenek — rzucił niedbale, by nie tłumaczyć, że dopiero przedwczoraj trafił do brygady i nie zdążył się dowiedzieć.

— Ładny masz wóz.

— Ładny. A to twój pies?

— Tak. Jak lubisz psy, to możesz go pogłaskać, nie ugryzie. Siadaj Szarik.

Pies posłuchał rozkazu i choć niechętnie pozwolił się targać za uszy. Wykręcając mordę, patrzył, dokąd poszedł jego pan.

Janek tymczasem postukał dłonią po błotnikach, zajrzał pod maskę, pogładził wypukłe szkło na latarniach. Zatrzymał się chwilę z drugiej strony, przy tylnych kołach, i obszedłszy cały wóz wrócił do kierowcy.

— Ładny i dobrze utrzymany. Gdzieś się nauczył prowadzić?

— Wujek jeździł na taksówce w Warszawie, pozwalał czasem po podwórze. W Kazachstanie to mówili o mnie: Wichura — król szos.

— W Kazachstanie?

— Tak. Miłego masz psa. Jedziesz z nami?

— Tak, ale trochę później.

Chorąży Zenek wyszedł z namiotu, odczytał nazwiska i zrobił zbiórkę. Nie bardzo to wyszło od pierwszego razu, więc kazał rozejść się, jeszcze raz krzyknął „*baczność*” i „*w dwuszeregu zbiórka*”, a potem dał komendę, żeby siadać do wozu.

Janek stojąc za drzewem widział, że Jeleń się za nim rozgląda, że Lidka też popatrzyła dokoła, ale pozostał na swoim miejscu. Nijako było tłumaczyć, że mu nie wierzyli z tym rokiem urodzenia. Nie mógł mieć zresztą pretensji, bo sam najlepiej wiedział, że dodał sobie dwa lata.

Tymczasem chorąży z szoferem wleźli do kabiny, warknął starter, ale silnik nie zapalił. Janek siadł za drzewem, bawił się z Szarikiem, który radosny, że pan poweselał, chwycił jego palce białymi, ostrymi zębami. Starter zajazgotał po raz drugi, trzeci, chorąży powiedział coś do kierowcy, tamten mruknął „*zaraz*” i wyskoczywszy z wozu majstrował pod maską, postukując kluczami.

— Nowy wóz, co mu się stało? — spytał oficer.

— Bo ja wiem. Wszystko w porządku, zaraz ruszymy.

— Nie tak zaraz — powiedział cicho Janek, dając klapsa psu, który łapami włożył mu na ramiona, starał się liznąć jęzorem po twarzy.

Chorąży wysiadł z kabiny, a zwerbowani dzisiaj żołnierze brygady pancernej, ubrani jeszcze w swoje cywilne ciuchy, powyłazili z budy.

— Może by kto z was korbą.

— Daj te kurble — powiedział Jeleń.

Janek wyjrzał zza drzewa i patrzył, jak jego nowy przyjaciel podsadził się przed maską, szarpnął i potem kręcił długo jak katarynką, trzęsąc całym samochodem.

— Dość — powiedział szofer. — Ot, diabeł przeklęty, paskudne pudło!

Janek wstał, podszedł bliżej i powiedział do Wichury:

— Ładna maszyna, tylko trzeba wiedzieć, jak ruszyć.

— Odczepże się — burknął król kazachstańskich szos.

— Ja bym naprawił — powiedział Kos do oficera, ale nie doczekawszy się odpowiedzi, odszedł razem z psem pod drzewo.

Minęło jeszcze z dziesięć minut, a wóz tkwił ciągle na środku polany.

Lekarz wyszedł z namiotu:

— Żeby człowiek, to może bym poradził: aspiryna, albo olej rycynowy...

Chorąży spacerował nerwowo z założonymi w tył ramionami, spoglądał na zegarek.

— Już pół godziny, jak tu stoimy, na piechotę byśmy doszli.

Zrezygnowany Wichura siadł w trawie, ustawił łokcie na kolanach i zaoliwionymi dłońmi wziął się za głowę.

— Nic nie rozumiem. Wszystko, jak trzeba, a ruszyć nie chce.

Janek znowu stanął przed oficerem.

— Panie poruczniku, ja bym może naprawił.

— Spróbuj.

— Ale jak naprawię, to weźmiecie ze sobą?

— Nie, nie weźmiemy... Zresztą, zgoda, pał sześć!

— Nas jest dwóch.

— Kto znowu drugi?

— No, ja i pies.

— Niech to wszyscy diabli! Zgoda:

Janek podszedł do wozu, za nim chorąży, szofer i wszyscy inni, którzy mimo zakazu powyłazili z budy.

— To znaczy, jak wóz ruszy, obu nas zabierzecie? — spytał raz jeszcze dla pewności.

— Zobaczymy — burknął oficer, ale Jeleń stojący obok powiedział basem:

— Tak było powiedziane, przecym wszyscy słyszeli.

— No to siadajcie na górę. Obywatel chorąży do kabinki.

Posłuchali go. Kiedy wspinali się do pudła, a oficer obchodził dokoła maskę, Janek pochylił się nad Szarikiem i powiedział:

— Szukaj, Szarik, szukaj. Pan zgubił.

Pies pchnięty dłonią wbiegł pod wóz.

Janek wsiadł, przekręcił kluczyk i nacisnął starter. Silnik strzelił i zgasł. Nacisnął po raz drugi. Motor zawarczał i spokojnie dudnił na małych obrotach.

— Kos, jak ty to zrobiłeś? No, powiedz, jak zrobiłeś? — Wichura szarpał go za rękaw.

Chłopak nie odpowiedział. Pobiegł na tył wozu, a Szarik wyskoczywszy spomiędzy kół, radośnie machając ogonem, aportował gruby, wełniany szalik.

Janek chwycił psa na ręce, podał do wnętrza, a jego samego złapał pod ramiona Jeleń i wciągnął do środka.

— Gotowe, ruszać! — ci siedzący najbliżej zabębnilili pięściami po szoferce.

Ciężarówka szarpnęła z miejsca, brała rozpęd, słychać było, jak szofer raz po raz przerzuca wyższe biegi i ciśnie gaz, usiłując nadrobić straconą godzinę. Podskakiwali na korzeniach, na wybojach, a Jeleń objąwszy ramieniem Janka, tak że tamten nie mógł się ruszyć, pytał krzycząc mu do ucha:

— Jakaś to zrobił?

— Fortelem. Tu też trzeba mieć — puknął palcem w czoło.

— Powiedz, jak było, bo zaduszę.

— Puść. Puść, to ci pokażę, ty niedźwiedziu.

Kiedy Gustlik rozluźnił chwyt, Janek wydobył z za pazuchy szalik wysmarowany sadzą.

— Kapujesz?

— Rura? Wydechowa rura. Zatkales? A kto wyjął?

Kos nie odpowiedział, tylko wskazał palcem pod ławkę, skąd sterczała wesoła i zawadiacka psia mordą.

Nie jechali długo. Po półgodzinie samochód przyhamował, skręcił parę razy i stanął w lesie. Kiedy zeskoczyli na ziemię, zobaczyli pod drzewami niskie, kryte mchem dachy ziemianek. Z blaszanych kominów snuły się lekkie dymki.

— Kaj som nasze czołgi? — spytał Jeleń.

— Jeszcze nie ma, ale nic się nie martw, będą — odpowiedział Wichura.

Chorąży zrobił zbiórkę i dwóm ostatnim w szeregu, to znaczy Jankowi i Gustlikowi rozkazał:

— Wy pójdziecie do kuchni. Trzeba przynieść cały kocioł wody i naobierać kartofli.

## ROZDZIAŁ 5. GULASZ

NIM WYKONALI ROZKAZ, poszli najpierw razem ze wszystkimi do ziemianki — domu, w którym mieli od tej pory mieszkać. Schodziło się do niej po kilku stopniach wykopanych w ziemi, umocnionych żerdziami. Drzwi miała podwójne, zbite z desek. Zaraz przy wejściu, pod okienkiem, był stolik i pusty stojak na broń. Dalej, po lewej i prawej dwupiętrowe prycze, na nich sienniki, koce, a nawet prześcieradła. W głębi, po przeciwległej stronie, stał duży blaszany piec, zrobiony z beczki po benzynie; żarzył się w nim ogień.

Jeleń pociągnął Janka za rękę w tamtą właśnie stronę i szybko zajęli dwa miejsca obok siebie.

— Blisko pieca będzie ciepło. A na wierchu lepiej, bo ci z dołu to dycki muszą wstawać i drzewo podkładać — wyjaśnił jako doświadczony żołnierz. — I Szarikowi w winklu zrobimy posłanie, nikt mu nie będzie przeszkadzał.

Zostawili to, co niepotrzebne — Jeleń wypchany plecak, a Janek torbę myśliwską i rękawice. Potem od razu wyszli, żeby porucznik nie musiał powtarzać rozkazu.

Kuchnię znaleźli łatwo. Z daleka już zobaczyli brezentowy dach rozpięty na słupach i duży kocioł na samochodowych kołach z zaczepem na przodzie, z krótką rurą nakrytą blaszanym grzybkiem. Obok leżała sterta porąbanego drewna, a pod zasłoną był stół wkopany w ziemię i szafa; oba sprzęty z surowych, nie heblowanych desek.

Wyszedł im na spotkanie tęgi, łysawy mężczyzna w średnim wieku z dwiema naszywkami na naramiennikach. Jankowi wydało się, że kucharz ma cudzą skórę, zbyt obszerną w stosunku do swego wzrostu i tuszy. Gustlik trącił kolegę w bok, a sam stanął na baczność i dożył raport:

— Panie kapral, szeregowy Jeleń i szeregowy Kos meldują się do służby.

— Dobra, dobra, po co ten krzyk. Jeden ptak, jedno zwierzę, ogród zoologiczny mi tu robią — zażartował ponuro. — Ty będziesz nosił wodę, a ty siadaj i obieraj kartofle — podał Jankowi kozik z ułamanym końcem.

Jeleń wziął dwa wiadra z koromysłem i podtrzymując je końcami palców, powędrował przez las, nie pytając o studnię. Między drzewami widać było belkę żurawia skośnie sterczącą ku górze.

Janek obejrzał ułamek kozika, odłożył go i zza pasa, spod waciaka, wy dostał własny nóż myśliwski o wąskiej i długiej klindze. Siadł, biorąc po dwa, trzy ziemniaki z worka, począł je obierać tak, jak go kiedyś uczył Jefim Siemionycz. Nóż trzymał nieruchomo i tylko palce z dołu obracały szybko kartofel. Jeden po drugim białe, śliskie od krochmalu bulwy chlupały do dużego garnka, wypełnionego do połowy wodą.

Kucharz stał obok i patrzył uważnie.

— Zgrabnie. Będziesz się starał, to cię na kuchcika wezmę. Z kapralem Łobodzkim nie zginiesz, chłopcze — wyciągnął rękę i poklepał Kosa po ramieniu.

Spod stołu odezwało się krótkie warknięcie.

— A to co? Pies na kuchni. Nim się człek obejrzał, a ten tu wlaźł. Won, przybłądo! — zamierzył się ścierką zdjętą z gwoźdźcia.

— Zostaw — powstrzymał go Janek. — To mój. Chodź Szarik.

Odprowadził psa kilkanaście kroków pod drzewa, znalazł miejsce, gdzie więcej zebrało się iglastej ściółki, kazał mu leżeć i wrócił do roboty. Obrane kartofle poczęły znowu jeden po drugim wpadać do kotła.

Zdziwiony kucharz milczał chwilę, a potem przeszedłszy na drugą stronę stołu, odwrócił się i powiedział:

— Ty mnie nie tykaj, świń razem nie pasaliśmy.

Poczekał chwilę i nie usłyszawszy odpowiedzi, dodał:

— Czemu milczysz? Mówi się „*tak jest, obywatelu kapralu*”.

Janek odłożył na ławkę nóż i kartofle, wstał.

— Tak jest, obywatelu kapralu.

Łobodzki wzruszył ramionami i poszedł w stronę kotła, widząc, że Jeleń wlewa przyniesione wiadra.

— Ostrożnie, nie chlap, bo błota narobisz.

Janek pracował dalej. Ręce mu marzły od wilgotnych obierzyn i dotknięcia chłodnego metalu, a w głębi duszy czuł bunt. Inaczej wyobrażał sobie wojsko — dopasowany mundur, broń, strzelanie, czołgi... A zamiast tego zaczęło się od kartofli, głupich uwag i bezmyślnego recytowania: „*Tak*



*jest, obywatelu kapralu*”. Z chłodu i złości przyspieszał ruchy palców, zawzięcie strugał obierki, ciskał czyste ziemniaki do wody.

Co parę minut słyszał, jak Jeleń brzęcząc pustymi wiadrami rusza szybkim krokiem do studni, a potem wraca pogwizdując i wychlustuje je jednym ruchem do kotła.

Kucharz wyjął z szafy puszkę z konserwami, ustawił na stole jedna obok drugiej w równych rzędach po cztery, przeliczył. Jeleń powiesił wiadra i koromysło na gwoździu.

— Gotowe, panie kapral, ja teraz pomogę skrobać te zimnioki.

— Swoje zrobiłeś. Chcesz, to pomagaj, nie chcesz, to nie.

Odwrócił się, poszperał znowu na dole szafy i wyjął dużą kość z resztkami mięsa. Jeleń przysiadł obok Kosa, zabrał się do kartofli. Obaj, nie przerywając pracy, patrzyli, jak kucharz wyszedł z za stołu i gwizdnął, pokazując kość psu. Szarik nie ruszył się i nawet głowy nie podniósł.

— Ho, ho — powiedział Łobodzki.

Poszedł między drzewa, wysunął mięso pod psi nos, ale ten nie brał.

— Ty, Szpak czy Kos, jak cię tam zwać. Co ten twój pies taki hardy? Pod nos mu podsuwam, a on nie bierze. Może już co ukradł i nażarty — gderając, wracał do kuchni. — Masz, zanieś mu sam.

Janek wziął kość, zaniósł i Szarik z apetytem począł rwać resztki mięsa, kruszyć gnąc mocnymi, trzonowymi zębami.

— Ale bestia, nogę by odgryzł — kucharz siadł na końcu ławki i przypatrywał się. — Żyj Kos ze mną w zgodzie, to obaj nie zginiecie. I ty, i pies. Tylko musicie wiedzieć, kto was karmi.

Kos nic nie odrzekł. Łobodzki wzruszył ramionami, wziął puszkę z solą i poszedł do kotła.

— Czego żeś Janek nos opuścił, kuchorz ci się nie podobo?

— Kucharz i w ogóle...

— W wojsku tak już jest: ni ma mamy, wszystko sami.

— No, jak tam, szybko skończycie? — zawołał Łobodzki.

— Jeszcze trochę — odpowiedział Jeleń.

— Narąb drzewa. Zaraz będziemy rozpalać na całego.

— Tak, panie kapral.

Jeleń odszedł i niewidoczny za brezentem począł stukać siekierą po pniaku. Kucharz wrócił, odkrajał pajdę chleba i otworzywszy puszkę z

konserwą posmarował ją na palec grubo. Oparty o stół jadł spoglądając na boki. Janek cisnął ostatnie kilka ziemniaków, rozgarnął je ręką — ogromny gar był pełny. Otarł dłonie o waciacz, schował nóż do pochwy i patrzył.

— Co się gapisz? Głodnyś? Tyś nie pies, masz swój rozum. Weź sobie kawałek... No co, nie chcesz? Jak nie, to nie.

Kos wstał i powiedział:

— Konserwa do kartofli, dla wszystkich.

— Nie zbiednieją. Gdzie stu jada, to paru się naje — wyskrobał nożem resztę tłuszczu i mięsa, palcem otarł brzeg puszki i starannie ustawił ją w środku szeregu do góry nogami, tak że wyglądała jak pełna.

— Ty jesteś człowiek, swój rozum masz i pamiętaj, jak przyjdą patrzeć na wrzucanie do kotła, to ani słowa, bo ci bokiem wyjdzie — rozsmarował konserwę po nadkrajonym bochenku i mierzył nożem, jak gruby kęs odciąć.

Janek postąpił krok naprzód.

— Zostaw to.

— Ty smarkaczu! — kucharz aż poczerwieniał z gniewu. — Przestań się mądrzyć. Sam psu nosiłeś kości i mięso.

— Daliście.

— Patrzcie go, ja psu podawałem czy ty? — podnosił ku ustom chleb z konserwą.

— Zostaw to — jeszcze raz powtórzył Kos.

— Jak cię zdzieję — kucharz odłożył chleb, sięgnął za siebie po chochlę wielką jak miska, osadzoną na metrowym drążku.

Jeleń, zwabiony krzykiem, wychylił się zza zasłony. #

— Wyście mnie wołali, panie kapral?

Janek wziął ze stołu pustą puszkę i obróciwszy ją w stronę Gustlika, pokazał wycięte dno. Łobodzki podniósł rękę, chciał chwycić Kosa, ale Jeleń dwoma susami stanął między nimi.

— Weź te rękę, chacharze — powiedział groźnie.

Kucharz, zoczywszy siekierę u Gustlika, odskoczył, potknął się, zawadził nogą o kant ławki i siadł z rozmachem w kocioł z kartoflami.

— Cholera, ja was... — urwał, w osłupieniu patrzył ponad głowami żołnierzy, w stronę brezentu.

Poszli za jego wzrokiem i zobaczyli tęgiego mężczyznę, w zielonej połówce, spod której wymykały się na boki czarne, kędzierzawe włosy. Ze

strachem spostrzegli na naramiennikach srebrny generalski wężyk i haftowaną gwiazdkę.

— Wyleźcie z tego garnka. Co tu się dzieje? Kto kucharza wsadził do wody? A wy, szeregowy, co z tą siekierą robicie?

Jeleń dopiero teraz spostrzegł, że w prawym ręku ściska jeszcze stylisko i zrozumiał, czemu kucharz tak się wystraszył. Nie speszony jednak, odłożył topór na stół i zrobiwszy pół kroku, wyrecytował:

— Szeregowy Jeleń melduje, panie generale, że som wpadł do tych zimnioków. Som kucharz, panie generale.

Tamten wygramolił się wreszcie i strzepnąwszy ręką wodę ze spodni, pożałił się:

— Oni mnie napadli, obywatelu generale.

— Wprost z cywila traficie do paki. Jak śmieliście podnieść rękę na kaprała?

— Kaprał a szpek żrół — oświadczył Jeleń.

— Co za szpek?

— Szpek, czyli słonina. No, ta konserwa, panie generale. Zamiast do kotła, to on żrół — wskazał ręką na przewróconą pustą puszkę.

— Jak było? — zwrócił się generał do kucharza.

— Ten mały wynosił kości dla psa...

— Pytam, kto konserwę zjadł? — poczekawszy chwilę na odpowiedź, generał zawołał: — Dyżurny!

Od najbliższej ziemianki podbiegł wartownik z pepeszą.

— Zabierzcie go. Zameldujcie szefowi, że ma posadzić ha dziesięć dni ścisłego.

Kucharz chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zrezygnował i poszedł przodem przed wartownikiem, zdejmując pas.

— Z wami też jeszcze pogadam — groźnie obiecał dowódca brygady. — Kucharza nie ma, a ludzie jeść muszą. Potraficie dogotować?

— Domy se rady — odpowiedział Jeleń.

Generał odszedł, zostali sami i wzięli się do roboty. Niczego tu zresztą trudnego nie było — wymyli kartofle, przepłukali jeszcze raz, zsypali do kuchni i rozgrzebawszy żar poczęli podkładać na ogień.

Widzieli, jak koło ziemianek snują się żołnierze, jak zmieniano warty, słyszeli stłumioną, jakby spod ziemi płynącą piosenkę, ale kuchnia stała na

uboczu i nikt do nich nie zaglądał. Dopiero pod wieczór, kiedy zagotowała się woda i między drzewami poczęło zmierzchać, równie niespodzianie jak przedtem przyszedł generał.

— Będzie co jeść?

— Będzie — powiedział Jeleń, a Janek skinął głową.

— To jak to było z tym psem? I kto mu kości wynosił?

Janek opowiedział.

— Posadziłbym kundla razem z kapralem, ale boję się, że nic dobrego by z tego nie wynikło dla kucharza — mówił generał miękkiem, niskim głosem, ni to do nich, ni to do siebie. — Gdzież ten złoczyńca? Uciekł pewnie.

— Szarik, do nogi — zawołał Janek.

Zza drzew susami wypadł popielaty wilczur, szczęśliwy, że go zwolniono od warowania pod sosną, że może być bliżej swego pana i sytego zapachu mięsa.

— Nazywa się Szarik? Taka kuleczka, to on znowu nie jest. Chodź do mnie, no, chodź. Przepraszam, że cię kundlem nazwałem.

Pies, widząc wyciągniętą rękę obcego człowieka, warknął, lecz urwał nagle, poczuwszy uspokajające dotknięcie dłoni Kosa.

— Widzę, piesku, że jesteś niegłupi. Umiesz cudzego od swoich odróżnić. A co jeszcze umiesz?

Janek wyprowadził psa spomiędzy kuchennych sprzętów i począł demonstrować to, czego cierpliwie uczył syna Mury jeszcze tam, gdzie zginęła jego matka, na stokach Cedrowej. Pies chodził za nogą, zostawał w tyle na rozkaz, kładł się i pełzał, biegł za rzuconym patykiem, dawał głos.

— Nieźle, nieźle — pochwalił generał. — Czy to już wszystko, czy jeszcze coś potrafi?

Janek, niezupełnie pewny, jak pies się czuje w nowej dla siebie okolicy, wśród setek obcych ludzi, postanowił jednak spróbować rzeczy najtrudniejszej. Przysiadł obok Szarika i kładąc mu rękę na głowie począł tłumaczyć:

— Zgubiłem, nie mam. Widzisz przecież, że nie mam. Trop, piesku, trop...

Wilczur patrzył uważnie, obwąchał swego pana, zatoczył kilka kręgów wokół niego, coraz szerszych, coraz dalszych i odnalazłszy wreszcie cienką

nitkę zwietrzałego zapachu, stanął na sztywno wyprostowanych nogach, obrócił mordę.

— Dobrze, piesku, dobrze. Trop!

Szarik szczechnął krótko i pobiegł w las. Generał wyjął z kieszeni fajkę, nabił ją starannie. Jeleń, przerzucając z dłoni na dłoń, przyniósł mu z paleniska malutką główkę, świecąca w mroku jak czerwona latarenka. Generał wziął ją bez słowa, rozżarzył tytoń.

Tego czasu starczyło Szarikowi na wykonanie zadania. Wielkimi susami wypadł zza krzaków, wesoło unosząc ogon przesadził z rozpędu ławkę i zarywszy przednimi łapami, wyciągnął łeb do Janka. W zębach trzymał ciepłe rękawice ze skóry jenota.

— Mądry pies — stwierdził dowódca. — Dam rozkaz, żeby go zaliczono do stanu brygady. Będzie miał prawo do porcji z kotła.

Najbardziej jednak ucieszył się Jeleń i zapomniawszy o wszystkim zaczął:

— To jest pies! To taki pies, co auta umie... — w tym momencie Janek szturchnął go z całej siły w bok i Gustlik urwał w pół zdania.

Generał nie pytał jednak, co umie robić Szarik z samochodami, lecz kazał sobie opowiedzieć, skąd obaj pochodzą i jak trafili do armii. Więc najpierw Jeleń mówił o tym, jak wygląda domek jego rodziców, stojący pod samym lasem na zboczach Równicy, jak ojciec jego chodził do pracy w Kuźni. *„Ale ta Kuźnia to ni ma kuźnia, jyny tako fabryka, co się Kuźnia nazywo, bo kiedysikej na początku jak jeszcze żył ojciec starzyka, to tam była tako prawdziwo kuźnia”*. Mówił o tym, jak mając lat siedemnaście sam stanął przy młocie parowym i ojciec go do roboty przyuczał, a potem była wojna i przyszli Niemcy. Niemcy powiedzieli, że Ślązacy nie są Polacy i wzięli go do Wehrmachtu, do czołgów. *„...To jo pomysłolech, pierona, pokażę wam, kto są Ślązacy, i jak tylko przyszedliśmy na front...”*

Może dlatego, że pociemniało już zupełnie i nie widać było srebrnego wyszycia na naramienniku, że tylko od czasu do czasu, oświetlona żarem fajki, pojawiała się ciepła i spokojna twarz ich rozmówcy, Janek ośmielił się także. Opowiedział, jak wyglądała uliczka, na której mieszkali w Gdańsku, niedaleko Długiego Rynku; wyjaśnił, którądy chodził do szkoły; którądy oboje z matką odprowadzali ojca, kiedy w ostatnich dniach sierpnia szedł do wojska. Potem krótko, by łzy nie zdążyły napłynąć do oczu, zwierzył się, jak

matkę stracił pod gruzami spalonego domu, jak na ciężarowym samochodzie (bo przecież nie wiedzieli, że Polak) wyjechał z Gdańska i potem wędrował coraz dalej i dalej na wschód najpierw do cioci, która mieszkała we Lwowie, a kiedy mu napotkani żołnierze powiedzieli, że był tu niedaleko jeden porucznik Kos, postanowił ojca na własną rękę poszukiwać i zawędrował aż w pobliże Oceanu Spokojnego. Może to był ojciec, a może inny człowiek o tym samym nazwisku, dość że go nie znalazł. Głodny i bosy trafił na Starego, to znaczy na myśliwego, którego zwano Jefim Siemionycz. Tam już został, bo dalej nie było gdzie szukać.

— A wiesz, gdzie ojciec walczył?

— Jakże, wiem, niedaleko od naszego domu, na Westerplatte. Tam Niemcy naszych żołnierzy wzięli do niewoli, ale powiadano, że oni im uciekli.

— Na Westerplatte... — powtórzył generał. — Byłeś tam kiedy?

— Byłem. Razem z mamą. W trzy dni potem, jak przyszło wezwanie. Tatuś był nauczycielem, ale już więcej nie poszedł do szkoły, wziął mundur do teczki i pożegnał się. Szalika zapomniał i że jesień już była, to myśmy mu z mamą zanieśli.

— Pamiętasz, jak było na Westerplatte?

— To dawno, ale pamiętam. Dom taki był z belek, a między nimi czerwona cegła. Jak zwykły dom z oknami, parterowy, a pośrodku jedno piętro i tylko na dole, jak okna do piwnicy, to był mur z betonu i metalowa zasłona. Ojciec wyszedł do nas, przywitał się i potem przez las poszliśmy za druty kolczaste, za tory, w stronę morza, gdzie już tylko krzaki rosły na piaszczystych pagórkach i molo — długi pomost z latarnią morską na cyplu.

Janek umilkł, zdawało mu się, że jeszcze ma pod powiekami błękit i słońce tamtego dnia. Przymknął oczy, żeby jak najdłużej widzieć wspomnienie, ale w tym momencie Jeleń zapytał:

— A na Śląsku Cieszyńskim, w Beskidach, żeście panie generał byli?

— Nie byłem. W ogóle w Polsce nie byłem, ale będę. Razem z wami — zamyślił się na chwałę i spytał: — A jak tam kolacja?

— Jekku kandy! — krzyknął Jeleń i obaj zerwali się pospiesznie, chwycili wiadra napełnione wydobytymi z puszek konserwami, pobiegli do kuchni.

Kartofle gotowały się na całego, rozgniatali je chochłą, kiedy mieszały z mięsem.

— Jeszcze chwila i byłoby za późno.

— Dajcie spróbować... Niezły. Wygarnijcie teraz szybko żar. Jak się gada o Polsce, to i o kartoflach nie wolno zapominać. Tym bardziej wówczas, kiedy kucharz siedzi w pace.

Janek chciał zapytać, co się właściwie z tym kucharzem stało i co z nim będzie dalej, ale nie zdążył. Generał odszedł, a od strony ziemianek chorąży Zenek, który ich dzisiaj werbował, prowadził dwójkami całą grupę nowicjuszy.

Jeleń pobiegł do szafy i wrócił z zapaloną lampą. W jej świetle widać było, jak niezgrabnie przeformowują się w rząd, niosąc w rękach nowiutkie, ciemnozielone menażki.

— Kolacja gotowa? No to wydawać.

Janek stał z chochłą na stopniu kuchni i zaraz, pierwsza w szeregu, podeszła Lidka. Nie bardzo wiedział, jak się to robi, ale zaczerpnął wybierając po wierzchu, gdzie więcej tłuszczu i mięsa. Pomalutku przelał zawartość chochli do menażki i nagle się zatroszczył, że podobny jest w tej chwili do kucharza. Nie w ogóle do kucharza, ale właśnie do kaprała Łobodzkiego, którego wsadzono do paki. Bo chociaż kapral brał dla siebie, a Janek dla kogoś, ale to przecież niewielka różnica. Sobie za to mniej wezmę, same kartofle.

Nie zdążył jednak wykonać tej szlachetnej decyzji, bo Jeleń ujął go w pól i zsadził na ziemię.

— Uciekaj! Coś się zadziwoł, jak cielę u studni? Robiłeś to kiedy w życiu?

Stał na stopniu i raz po raz, równiutko zaczerpując chochłą począł wypełniać menażki — pierwszą podał Jankowi, a następne już jak szło.

Kos cofnął się, rozejrzał, gdzie by przy sięść i zobaczył siedzącą pod drzewem Lidkę. Podeszedł do niej i jedli razem, nie rozmawiając. Dopiero po chwili dziewczyna odłożyła łyżkę i zaczęła grzać swoje drobne palce o metal.

— Zmarzły ci ręce?

— Zmarzły trochę.

— Daj, to ogrzeję — ujął je między dłonie i tarł, lekko masując, tak jak to robił poprzedniej zimy, kiedy Mura na polowaniu wpadła do strumienia i trzeba jej było roztopiać sople przymarznięte do łap.

Dziewczyna cofnęła dłonie.

— Dziękuję, teraz mi ciepło, ale zaraz znowu zmarzną.

— To ja znowu rozgrzeję — powiedział wesoło Janek.

Wspomniał, że Szarik przyniósł mu przecież z ziemianki ciepłe, najcieplejsze na świecie rękawice ze skóry jenota. Dobył je zza pazuchy i podarował dziewczynie.



## ROZDZIAŁ 6. TRZY DZIESIĄTKI

Z SAMEGO RANA DOSTALI nowiutkie karabiny o ciemno oksydowanych lufach i gładkich kolbach pociągniętych brązowym lakierem, poprzez który widać było słoje — żyły drzew, które dostarczyły materiału na broń.

— Janek, mosz se tyn numer zapamiętać. Ze snu cię obudzą pośrodku nocy i mosz pamiętać. Jak się twoja dzieucha nazywa, możesz zapomnieć, a tyn numer mosz pamiętać.

Popatrzył na swego młodszego kolegę i urwał, bo przypomniał sobie, że będzie już ze trzy tygodnie, jak Lidka odjechała z brygady na kurs radiotelegrafistek. Odjeżdżając obiecywała Jankowi pisać. Jeleń wiedział, że nie pisze, bo przecież by spostrzegł, gdyby list przyniesiono. Wszędzie — na ćwiczeniach, w kolejce do kuchni, na narach w ziemiance — byli razem od świtu do nocy i od nocy po następny świt. Spali okrywając się wspólnie dwoma kocami. Wiedział więc, że Lidka nie pisze, a Janek o niej nie zapomina, coraz częściej zamyśla się wieczorami.

Chyba tydzień czy dziesięć dni temu dostali mundury. Poszli do łaźni, tam oddali swoje stare, cywilne ubrania. Wypuszczano ich drugimi drzwiami, każdego tak, jak na świat przyszedł, a tam magazynier siedział i wydawał wszystko nowe. Janek miał szczęście, bo w kieszeni munduru znalazł niedużą kartkę, pół stroniczki wyrwane z zeszytu. Nieznajoma dziewczyna, która szyła mundur, napisała na niej cztery słowa: „*Polskomu żołdatu na szczastie*”. I nic więcej, tylko te cztery słowa.

Nie wiedzieli, choć próbowali się domyślić, czy ma jasne czy ciemne włosy, czy jest młoda, czy może mogłaby im być matką. Podpisu ani adresu nie było. Janek posmutniał — dostał list bez adresu, a na adres, który specjalnie wypisał Lidce w jej notesiku, listy nie przychodzą.

Wolałby ten drugi, ale wstydził się powiedzieć na głos, bo przecież skrzywdziłby tamtą, która szyjąc w fabryce dziesięć czy dwanaście godzin, mając zapewne brata czy syna na froncie, znalazła czas, żeby przesłać życzenia szczęścia nie znanemu jej, polskiemu żołnierzowi.

Mundury wyszukał im magazynier takie, jak trzeba: szeroki w barach dla Jelenia i niewielki dla Kosa. Tylko cholewy w Jankowych butach były przyszerokie. Szewc zwęził je za trzy paczki machorki.

Tego samego dnia, w którym dostali broń, po śniadaniu nie było zajęć. Około dziesiątej stanęli wszyscy na zbiorce, pomaszerowali w stronę polany. Śnieg leżał na niej puszysty, biały, taki, który pada tylko nocą, ale dzień był nad podziw ciepły. Oficerowie ustawiali w podkowę coraz to nowe oddziały. Żołnierze po raz pierwszy zauważyli, jak wielu ich przez ten czas przybyło. W dwuszeregach zebrało się przeszło pięciuset chłopca, cały pułk pancerny. Pogadywali cicho z sąsiadami, czekali.

Tak wypadło, że kapral Łobodzki, kucharz, z którym wojowali pierwszego dnia, stał tuż przed nimi.

— Puścili was, panie kapral?

Zerknął do tyłu, nie odpowiedział. Jeleń położył mu ciężką rękę na ramieniu i tamten odwrócił się, zamrugnął powiekami.

— Czego?

— Jak to może być, że was puścili — Gustlik nie zdejmował ręki.

Kucharz poczerwieniał, ale opanował się i odpowiedział spokojnie:

— Obiecałem generałowi...

— A nie cyganisz?

— Nie tobie dawałem słowo.

— No, kamrat — powiedział Gustlik, zdejmując mu dłoń z ramienia i z tonu trudno było poznać, czy to ma być ostrzeżenie, czy też, że uwierzył.

— Ja bym mu nie przepuścił — szepnął Janek.

Jeleń obrócił głowę, pochylił się i powiedział równie cicho:

— Wierzyć trzeba. Z człowiekiem różnie w życiu bywa. Może go kto okradał i on teraz... Jakby tak mnie nie wierzyli? A przecym wierzą.

Oficerowie wystąpili przed szereg i półobróceni w stronę oddziałów podali komendę:

— Baczość! Na ramię... broń! Prezentuj... broń!

Od tej strony, ku której podkowa była rozwarta, nadszedł generał. Kroczył spokojnie wzdłuż zielonych, znieruchomiłych kompanii, uważnie patrzył w twarze. Potem przystawał, salutował i witał się.

— Czołem, chłopcy!

— ...ołem ...telu ...enerale — odkrzykiwali chórem, połykając pierwsze zgłoski.

Kiedy przechodził obok Jelenia i Kosa, wydawało się obu, że poznał ich i jakby cień uśmiechu przemknął mu po twarzy. Okrzyki przenosiły się coraz dalej, szły wraz z dowódcą brygady do drugiego skrzydła podkowy. Patrzyli, jak generał zawraca, wychodzi na sam środek, staje przed nimi na baczność i swym niskim, silnym głosem komenderuje:

— Do nogi... broń! Do przysięgi.

Szczęknięły przerzucane z ramienia karabiny, pochylili je lufą ku lewej ręce, zdjęli czapki. Gołe, bez rękawic prawice podnieśli dwoma palcami ku górze.

— Przysięgam ziemi polskiej ‘i narodowi polskiemu... — dzieląc słowa, wyraźnie mówił generał i zawiesił głos, a oni wszyscy odpowiedzieli chórem:

— Przysięgam ziemi polskiej i narodowi polskiemu...

Czekali chwilę na dowódcę jak na ojca i powtarzali dalej:

— ...rzetelnie pełnić obowiązki żołnierza w obozie, w pochodzie, w boju, w każdej chwili i na każdym miejscu... strzec wojskowej tajemnicy, wypełniać wiernie rozkazy oficerów i dowódców...

W listopadowym powietrzu oddechy unosiły się lekką mgiełką ponad szeregami.

— Przysięgam dochować wierności sojuszniczej Związku Radzieckiemu, który dał mi do ręki broń do walki ze wspólnym naszym wrogiem, przysięgam dochować braterstwa broni sojuszniczej Czerwonej Armii.

Wysoko z północnej strony nieba, widoczny tylko jako srebrna wałka, sunął po niebie samolot. Dźwięk silnika dobiegał na ziemię równy, wysoki niczym brzęk osy. Dostrzec nie mogli z tej odległości, ale wiedzieli wszyscy, że ma na skrzydłach gwiazdy, że patroluje w mroźnym powietrzu nad ziemią, którą mieli pod nogami.

— Przysięgam wierność sztandarowi mojej brygady i hasłu ojców naszych, które na nim widnieje: „*Za naszą wolność i waszą*”.

Przysięga była skończona, dowódca jednak nie podawał komendy i stali długą chwilę nasłuchując w ciszy, jakby mieli nadzieję, że z daleka, być może znad samej Wisły, przyjdzie echo. Od Oki zadał wiatr i pylił śniegiem z sosnowych gałęzi.

Nikt ich nie pytał, czy dotrzymają słowa. Może dlatego, że odpowiedzieć mieli nie słowem, lecz czynem.

DZIEŃ JUŻ DO KOŃCA był uroczysty, wolny od zajęć. Do obiadu wydano im w blaszanych kubkach po sto gramów wódki. Janek miał ochotę spróbować, jak smakuje, ale Jeleń przytrzymał go za rękę:

— Niechej to, chłapiec. Jak będą mleko dawać, to ci swoje dom, a tego nie ruszaj. Jo wypiję za twoje zdrowie.

Po południu większość poszła na mecz piłki nożnej, który, jak głosił afisz, miał się rozegrać na boisku korpusu między dywizją piechoty im. Henryka Dąbrowskiego a artylerzystami z brygady im. Józefa Bema. Inni, korzystając z ciszy, pisali w ziemiankach listy.

Janek i Gustlik, którzy nie mieli do kogo pisać, oraz Szarik, jako że się jeszcze stawiać liter nie nauczył, poszli na spacer, nad Okę. Psu się zresztą należała rozrywka, bo cały ranek spędził w ziemiance uwiązany na sznurku za obrożę. Obroża była nowa, z jasnej skóry, nabijana metalowymi ćwiekami, a sporządzona przez tego samego szewca, co cholewy Jankowi zwęzał. Dali za nią trzy dalsze paczki machorki, bez żalu zresztą, bo obaj nie palili, a fasowali razem z innymi.

Wyszli na niski zaśnieżony brzeg. Szarik gonił jak oszalały tam i z powrotem, koziółkował po śniegu, a oni stali. i patrzyli na szarą wodę, wolną jeszcze od kry, ale przymarzniętą po brzegach. O tej rzece śpiewali piosenkę, że „*plynie, plynie Oka, jak Wisła szeroka, jak Wisła głęboka*”. Przypomniało się to widać obu naraz, bo Janek powiedział:

— Wisła szersza, znacznie szersza. Chyba, żeby liczyć tylko jedną odnogę.

— Nie mów — obruszył się Jeleń. — Od mojego domu do Wisły bydzie nie dali jak do tamtej szosy. Całe lato chodziłech do Kuźni na drugą stronę po kamieniach, bo przez most dalij. Chyba, że może wiosną, po deszczach, ale i to tako szeroko nie bydzie.

Pamiętali Wisłę rozmaitą, inną dla każdego, ale coś z prawdy było w piosence. Może sosny, może piach okryty teraz śniegiem, czy brzeg wysoki, podcięty prądem po drugiej stronie. A może po prostu odkąd przyszli tu żołnierze w polówkach z orzełkiem, sama ziemia postarała się być podobna do Polski.

— To żeśmy już są pancerniacy, po przysiędze.

— Żołnierze, to tak, ale pancerniacy... Kiedy nam wreszcie te czołgi dadzą?

Szarik, po kolejnym koziołku wywiniętym w śniegu, stanął na sztywnych łapach, zjeżył sierść i nastawił uszy.

— Coś ty tam zwietrzył?

Pies warknął krótko i stał dalej nieruchomo.

— Poczekajże, cicho — Jeleń pochylił się, osłonił ucho dłonią.

Z daleka doszło ich najpierw jakby lekkie drganie ziemi, które nie ustawało, przybliżało się, a potem już zupełnie wyraźnie usłyszeli dudnienie przetykane jasnym, połyskliwym dźwiękiem metalu. Zawrócili od rzeki na pagórek, gdzie wyżej. Pies szedł za nimi nastroszony, ostrożnie stawiając łapy.

Warkot był coraz wyraźniejszy, dochodził od lasu, przez który biegła droga do obozu, i obaj spostrzegli nagle, jak za pniami mignął im niski, otyły, podany do przodu kształt. Tuż potem wyskoczył na pole czołg, osłonięty z boków wytryskami wirującego błota i śniegu. Za nim drugi, trzeci, piąty. Szły w krótkich odstępach, grając silnikami, podobne do słońi, które atakując wyciągają trąby do przodu.

— Czołgi...

— Czołgi!

Wymieniwszy tę oryginalną myśl, ruszyli klusem z miejsca i na przełaj, wyprzedzani przez psa, pobiegli w stronę obozu. Mokry śnieg czepiał się butów, hamował kroki, więc zasapali się solidnie, nim przecięli pole. Zwolnili i szli szybko, widząc z daleka, jak od znieruchomiałej kolumny idzie jakiś człowiek, składa meldunek generałowi, a potem wraca i daje chorągiewkami znaki stojącym na drodze wozom.

Czołgi znowu zadudniły silnikami, ruszyły teraz już wolno, jak posłuszne zwierzęta wpełzały między drzewa, obracały się w miejscu i ustawiały równym szeregiem jeden obok drugiego.

Kiedy Janek i Gustlik podeszli blisko, ostatni doszlusował i wyłączył silnik. Pachniało metalem, oliwą, ostrą wonią spalin i ziemią przemieszaną ze śniegiem na błoto. Tu i ówdzie koło wozów stali ludzie w granatowych kombinezonach, wdzianych na wierzch waciaków, ściśniętych skórzanymi pasami.

— Czołgi — powiedział Janek.

— No czołgi! — odrzekł mu jak echo Gustlik.

Szarik, który w życiu niczego podobnego nie widział, stał kilka kroków dalej, ukryty na wszelki wypadek za sosną. Z sierścią zjeżoną na grzbiecie, węszył niechętnie swym czarnym ruchliwym nosem. Kos i Jeleń podeszli do najbliższego wozu, oglądali go uważnie, poczęli dotykać pancerza.

— Ostrożnie, bo ułamiesz.

Zza wozu wyszedł smukły, ciemnolicy mężczyzna z gołą głową, okrytą jasnymi kędziorami, w ręku trzymał czarny trój grzebieniasty hełm czołgowy z długim kablem zakończonym wtyczką. Pod kombinezonem, rozpiętym przy szyi zobaczyli radziecki mundur oficerski.

— Z nami będziecie, *tawariszcz*? — zapytał Gustlik. — Czyście jeny czołgi przyprowadzili?

— Przyprowadziliśmy i jak się uda, to doprowadzimy do samego Berlina. Taki rozkaz. Wyszedłem ze szpitala, chciałem wrócić do swojej jednostki, a tu mi powiadają: „*Wy lejtienant, Wasyl Semen, będziecie sojuszników uczyć*” — niespodzianie roześmiał się wesoło i dźwięcznie, wyciągnął do nich rękę, żeby się zapoznać.

Wymieniając swoje nazwiska spostrzegli ze zdziwieniem, że lejtiant ma jedno oko niebieskie, a drugie czarne jak smoła.

— Będę was uczył. Chyba że sami lepiej ode mnie potraficie.

We wnętrzu wozu coś zastukało, skrzypnęło i włazem na przedzie czołgu począł wychodzić mechanik. Zobaczyli najpierw głowę, potem umorusaną twarz i wreszcie oba ramiona. W tym samym momencie Szarik szczerknął wesoło, podbiegł i opierając przednie łapy o pancerz, liznął czołgistę po twarzy.

— Co za porządki, do czarta. Na samym wstępie psy mnie w polskiej armii całują. U nas w Gruzji...

— Grigorij! — wrzasnął Janek.

Czołgista stał we włazie i przyglądał mu się niepewnie.

— Tak. Nazywam się Grigorij Saakaszwili. A ty kto?

— Pies poznał, pamięta, jak mu cukier dawałeś, a ty mnie nie poznajesz?

— Janek! Towarzyszu lejtenancie, ja go przecież znam. To mój przyjaciel. Myśmy się bili, solidnie żeśmy się bili, zanim wyszło, że to wspólna wojna jego i moja.

— Góra z górą się nie spotka, a człowiek... jak widać na obrazku — powiedział oficer i roześmiewszy się znowu wesoło, dodał: — Ale ja nic nie rozumiem.

— Jo też ni — zgodził się Jeleń.

Janek wyjaśnił krótko, a potem Saakaszwili powtórzył to samo obszerniej i kwieście, wyjaśniając na dodatek, jak go wzięto do armii, posłano do fabryki, żeby się tam nauczył prowadzić i remontować czołgi, jak wreszcie wyprodukowano wóz tak wspaniały, że wszyscy orzekli, iż nikomu nie można go powierzyć, jak tylko mechanikowi–kierowcy Saakaszwili. A kiedy zobaczyli, jak on jeździ, to powiedzieli: *„Od Kamczatki do Tbilisi nikt tak pięknie nie prowadzi czołgu. Niech nasz Grigorij jedzie z tym czołgiem do Polaków i pokaże, co umie”*.

— Ja z tobą, Grigorij, w twojej załodze będę. Chcesz?

— I ja z wami — dodał Jeleń.

— A mnie, dowódcy wozu, o zdanie nie pytacie? — wtrącił lejtenant. — Nie wiem, czy będziecie pasować do załogi, czy przypadniecie mi gustu. Musicie pokazać, co potraficie. Saakaszwili, jak wam już sam powiedział, jest kierowcą pierwszej klasy. Pokaż im Grigorij, co potrafisz.

— Ze szpilką?

Lejtenant kiwnął głową.

Mechanik skoczył do wozu. Po chwili, przez otwarty właz, podał Semenowi ogromne, zardzewiałe gwoździsko na pół palca grube, na dłoń długie. Lejtenant wziął gwóźdź. Odprowadzany zdziwionymi spojrzeniami Jelenia i Kosa, podszedł do niedalekiej sosny, wbił ostrze w korę.

— Odejdźmy trochę na bok — powiedział do swych nowych znajomych, a w stronę czołgu rzucił: — Gotowe. Nie zapomnij obrócić wieży.

Trzasnął zamykany właz. Chwilę było cicho, potem zajazgotał rozrusznik i zagrał silnik. Wieża, posłuszna niewidzialnej ręce, obróciła się zgrabnie i zatrzymała z lufą skierowaną do tyłu. Dudnienie z lekka wzrosło, drgnęły gąsienice i czołg ruszył nabierając pędu, wprost na drzewo.

— Złomie! — krzyknął Jeleń.

Nie złamał. Na dwie stopy przed pniem wóz przyhamował, stuknął z rozpędu pancierzem o gwóźdź i mocą trzydziestu ton wdusił go w drewno jak w masło. Potem zakołysał się i na wstecznym biegu odszedł grzecznie na swoje miejsce, równając do innych.

Sosna jeszcze drżała, osypując piaty śniegu i brunatne igły, ale gdy podeszli blisko, zobaczyli, że kora nie jest zgnieciona, że rdzawy łeppek wystaje na pięć milimetrów.

— No i jak? — spytał lejtenant.

Grigorij otworzył wąż, wyskoczył szybko i podbiegł do nich.

— Tygrysa trafić, skóry nie zepsuć. Tak trzeba jeździć — chełpił się, promieniejąc ze szczęścia.

— Fajnie! Wyście są starzy wojacy — z uznaniem potwierdził Jeleń.

— Grigorij stary wojak? Na froncie nie był. Roku jeszcze nie ma, jak mundur nosi. — śmiał się Semen.

— Ale wy, towarzyszu lejtenancie, to chyba od urodzenia jesteście czołgistą? — spytał Janek.

— Od urodzenia to my wszyscy jednakowo — synowie u mamy i ojca. Nie jestem zawodowym wojskowym. Dopiero jak wojna wybuchła. Ja... — urwał i znowu roześmiał się swoim zaraźliwym, dźwięcznym śmiechem, mrużąc różnobarwne oczy: — Spójrzycie w niebo, na chmurę... Na tamtą wysoką, taką białą, jak w mleku wymytą, prześwietloną słońcem. Wiecie, jak się nazywa? Cirrostratus. I mogę wam jeszcze powiedzieć, że za dzień, najdalej dwa, przyniesie nam zmianę pogody i śnieg. Widzicie teraz, jaki ze mnie czołgista, od chmur... — zamilkł na chwilę i patrzył na zaskoczonych chłopców, a potem dodał: — No, dobra, myśmy pokazali, co potrafimy. Grigorij umie prowadzić, ja wróżę z chmur, a wy?

Jeleń jeszcze raz uważnie obejrzał gwóźdź, a potem bez słowa ujął go w palce. Ręka poczęła mu drgać rytmicznie — w lewo, w prawo, w lewo, w prawo. Pod powierzchnią skóry wystąpiły niebieskawe żyły. Zdawało się, że drga tylko ręka, ale po chwili gwóźdź począł się wysuwać z drewna i wreszcie wyskoczył. Jeleń wziął go teraz w obie dłonie i już bez większego wysiłku skrzył w pierścień.

— U nas, w Gruzji, był taki jeden, co konia brał za kark i podnosił. Krewnych w Gruzji nie masz?

Lejtenant, trzymając gwóźdź na dłoni, podrzucał go lekko.



— Kto wie, może byś się nadał do załogi, ale twój kolega... Młody jeszcze jesteś — zwrócił się do Janka. — Lepiej byłoby gdzieś przy sztabie... W czołgu trudne życie. To nie to samo, co po polach na traktorze jeździć — znowu się roześmiał i dodał: — Łatwiej by ci było trzy razy w dziesiątkę trafić, niż do naszej załogi przystać.

— Zgoda. A jak trafię? Jutro akurat ostre strzelanie. Pójdziecie z nami?

— Pójdę.

— A weźmiecie?

— Zobaczymy.

— *Towariszcz* lejtenant — wtrącił Saakaszwili, mrugając do Kosa. — Raz słowo powiedziałaś, z ust wyleciało, nie goń teraz za nim jak kot za wróblem...

BRYGADA STRZELAŁA OD SAMEGO RANA i echo suchych karabinowych trzasków niosło się po lesie. Jednak dopiero przed południem przyszła kolej na kompanię, do której należał Janek. Zaczęto od początku szeregu, od najwyższych. Jeleń wystrzelał dwadzieścia cztery na trzydzieści możliwych i wpisano go zaraz na drugim miejscu listy najlepszych strzelców, tuż za chorążym Zenonem, który miał dziesiątkę, dziewiątkę i ósemkę.

Porucznik Semen i plutonowy Grigorij Saakaszwili, obaj już w nowych, polskich mundurach, cierpliwie czekali od samego rana, choć w lesie było wilgotno i chłodno. Niebo, zgodnie z wczorajszą zapowiedzią, zaciągnęły śnieżne, ołowiane chmury. Gdy przyszła kolej na Janka, podeszli bliżej, patrząc, jak chłopak układa się na stanowisku. Grigorij zdążył opowiedzieć swemu dowódcy wszystko, co wiedział o chłopcu, i Semen żałował wczorajszych żartów. Żałował, że jakoś prościej tego samego nie wytłumaczył. Teraz jednak było za późno.

Janek zaryglował karabin. Szarik, obecny tu również od rana, podniecony ciągłym hukem wystrzałów, niecierpliwie oczekiwał momentu, kiedy jego pan zrobi użytek z broni i będzie można przynieść zwierzynę, której nie czuł węchem, ale której istnienia był pewien: gdzie strzelają, tam musi być zwierzyna.

Janek przytulił policzek do chłodnej kolby, poprzez szczerbinę i muszkę zobaczył czarny krąg w środku tarczy. Spokojnie, spokojnie — pomyślał. — Niech ci się zdaje, że to tygrysie ślepia. Wdech, wydech, łagodne ciągnięcie

spustu, szeroko otwarte oczy. Strzał huknął, jak należy — niespodzianie i Janek ucieszył się, że broń jest spokojna, nie gniewna, że odrzut ma mniejszy niż sztucer Starego.

Wyrzucił łuskę, zarygłował. Raz za razem oddał drugi i trzeci strzał. Czekał leżąc, póki nie skończą sąsiedzi, a potem kiedy przejrzano już broń, ruszyli w stronę tarcz.

Szarik pobiegł pierwszy. Za nim szedł Semen, potem Jeleń i Saakaszwili. Wszyscy starali się z daleka wypatrzyć czarne przestrzelmy na białym tle. Janek pozostał kilka kroków w tyle. Kiedy doszedł, tamci już byli przy tarczy, pochylali się nad nią.

— *Maładiec* — powiedział porucznik wstając. — Masz dwie dziesiątki. Gdybyś trzeciej kuli w niebo nie posłał...

— Muszą być trzy — wyjaśnił Janek.

Zarozumialec — pomyślał oficer i poczuł się jakoś osobiście dotknięty, że chłopiec, który od pierwszej chwili wydał mu się sympatyczny, jest jednak zbyt pewny siebie.

— Dwie dziesiątki też dobra rzecz — starał się załagodzić Grigorij.

Janek obejrzał cel — pośrodku czarnego krążka były dwa otwory:

jeden w centrum, drugi po prawej u dołu. Bez słowa przeszedł za tarczę, gdzie stromo ku górze wznosił się nasyp kulochwyty. Klęknął, przesiewał ziemię między palcami, trzęsąc dłonią tak, jak poszukiwacze złota potrzęsają przetakiem. Piasek się osypywał, między palcami zostawały spłaszczone, ołowiane kule. Chłopiec odrzucał je, wybierając tylko niektóre.

Szarik usiłował dopomóc w poszukiwaniach: znosił patyki, obwąchiwał ziemię dokoła, udało mu się nawet ukraść rulon papierowych tarcz, z czego był bardzo dumny i długo nie chciał ich oddać dyżurującym na strzelnicy żołnierzom.

Wreszcie Kos wstał, podał na wyciągniętej ręce trzy metalowe, nierównomiernie rozbite kęsy pocisków. Porucznik wziął je na dłoń, kolejno dotykał poduszczkami palców i wreszcie rzekł:

— Przepraszam, masz rację, wszystkie ciepłe. To znaczy dwie przeszły jedna za drugą. Nie wiedziałem, żeś taki snajper.

— Weźmiecie?

— Wezmę.

— Z psem?

— Z psem. Tylko musisz się jeszcze nauczyć śpiewać.

— Jak to śpiewać?

— Twoje miejsce będzie w czołgu na dole po prawej, obok mechanika.

Potrzebny nam strzelec radiotelegrafista. Po radiowemu musisz nauczyć się śpiewać: ta-ti-ta, ta-ta-ta, ti-ti-ti... — Semen zanucił nazwisko chłopca sygnałami alfabetu Morse'a.



## ROZDZIAŁ 7. ZAWIEDZIONE NADZIEJE

LIST SZEDŁ DŁUGO. Był trójkątny, złożony z kartki zeszytowego papieru, podobnie jak chłopcy składają gołębie. Gołąb wypuszczony z ręki nie przeleci dalej niż na drugą stronę ulicy, a z listem było inaczej: otrzymawszy znaczek i pieczętkę na poczcie, powędrował koleją parę tysięcy kilometrów, aż pod Moskwę.

Tu jednak zdarzyła się przerwa w podróży. List odłożono, bo prócz imienia i nazwiska były na nim tylko dwa słowa skreślone dużymi, drukowanymi literami: „*Polska Armia*”. Potem ktoś na moskiewskiej poczcie długo i cierpliwie szukał w grubych, bardzo tajnych zeszytach i dopisał pod spodem pięciocyfrową liczbę — numer poczty polowej sztabu.

List powędrował do Sielc nad Okę, ale przyszedł w momencie, kiedy wojska już opuściły ziemianki i maszerowały na stację, niosąc karabiny, wioząc działa, prowadząc czołgi i samochody. Zabrano go więc ze sobą do wagonu, w którym było wiele innej poczty, i przewieziono do zaśnieżonej wioski pod Smoleńskiem. Tu młody żołnierz odczytał nazwisko i powiedział do kolegi:

— Kto tam wie, gdzie taki służy. Obywatelu sierżancie, chyba odesłać z powrotem?

Sierżant miał siwe włosy i po raz pierwszy założył mundur ze skrzyżowanymi trąbkami na kołnierzu przed bardzo wieloma laty. Widział i wiedział niejedno, zniechęcał się niełatwo.

— Odesłać? Listów tak od razu się nie odsyła, a tym bardziej daleko, aż na brzeg Oceanu Spokojnego. Napisać „*adresat nieznany*” — łatwo, a przyjąć na swoje sumienie ludzką troskę i myśli powierzone poczcie — trudno. Trzeba szukać.

Wieczorem, przy świetle benzynowej „*koptuszki*”, stary listonosz przygotował kartki z pytaniami: do 1 dywizji piechoty, do 2 dywizji piechoty, do 1 brygady artylerii, do 1 samodzielnego pułku moździerzy, do 4 pułku artylerii przeciwpancernej, do 5 pułku artylerii ciężkiej i jeszcze wiele innych. Naturalnie nie pisał nazw, bo tego robić nie wolno podczas wojny, lecz tylko

coraz to inne numery poczty polowej. I w każdej kartce zapytywał o to samo: „*Czy służy u was...*”

Trójkątny list powędrował na półkę i czekał. Kiedy wreszcie przyszła najważniejsza, potwierdzająca odpowiedź, cała poczta była już spakowana, worki wrzucano na samochody, bo 1 armia, która wyrosła z dywizji i korpusu, ruszyła na Ukrainę, gdzie front najbliżej do polskich granic podchodził.

Dlatego list dotarł na miejsce dopiero wiosną, gdy drzewa i pola pozieleniały. Trójkątna koperta z wieloma pieczęciami wyglądała jak mundur weterana ozdobiony orderami za dziesiątki stoczonych bitew. Listonosz brygady pancerniej z podziwem obracał ją w rękach, miał już odnieść, gdy nadarzyła mu się wyjątkowa okazja.

— Obywatelu plutonowy, zaczekajcie chwileczkę, poczta do was.

— Do mnie? Mały list, duża radość — ucieszył się Saakaszwili i przerzucił do lewej ręki paliwową pompę, którą wyfasował na składzie kompanii technicznego zaopatrzenia.

— Prawie tak jakby. Do kaprała Kosa, ale przecież u was w załodze wszystko jedno który. Liczycie się razem — czterej pancerni i pies.

— Podziękowanie w imieniu bohaterskiej załogi — Grigorij skłonił się, wziął list i włożywszy do kieszeni na piersiach, żeby nie pobrudzić, ruszył w stronę swego czołgu.

Porucznik Semen i kapral Jeleń leżeli rozciągnięci w trawie pod drzewem i prowadzili konwersację.

— Dziękuję pani, bardzo dziękuję.

— Dziękuj pani, bardzo dziękuj — powtarzał starannie Wasyl.

— Nie „*dziękuj*”, tylko „*dziękuję*”.

Obok nich leżał Szarik, w wyciągniętych łapach trzymał szyszkę, szarpał ją zębami. Kto go nie znał, myślałby, że to dorosły pies, taki był silny i duży, ale załoga wiedziała, że jeszcze wczoraj był szczeniakiem, że lubi się bawić.

Gdy zobaczyli nadchodzącego mechanika, Jeleń siadł i zawołał:

— Myślółech, żeś przepodł. Przyniosłżeś?

— Przyniosłem, ale nie nowa. Nowych pomp nie mają. Ta nie jest najgorsza. Założę i wóz będzie gotów — wyjrzał za czołg stojący obok głębokiego okopu i nie dostrzegłszy Kosa zawołał na cały las: — Janek!

— Cicho, nie drzyj się. Pies jest, a gospodarza nie ma. Zajęty — porucznik pokazał ręką za siebie.

Ze skraju lasu widać było ugór, a dalej zagajnik na górze, z którego sterczała wysoka, metalowa antena sztabowej radiostacji brygady. Obok zagajnika na tle błękitnego nieba rysowały się dwie sylwetki: chłopca i dziewczyny.

— Jak tak, to wszystko jasne — kiwnął głową Saakaszwili. — Ja tam wołę czołgu pilnować, jeśli dbasz o niego, to nie zawiedzie, nie zdradzi. Jak to się mówi po polsku: maszyna to nie dziewczyna.

— Prawda, tak się mówi — potwierdził Jeleń z profesorską powagą i zaproponował: — Trzeba ci pomóc, Grześ, to ja ci pomogę. Niech sobie chłopiec spokojnie pogodo, domy se rady bez niego.

JANEK NIE SŁYSZAŁ WOŁANIA. Może dlatego, że z daleka, może przeszkodziła mu krew pulsująca w skroniach, a może zbyt był zamyślony, bo szukał słów i nie mógł znaleźć. Lidka stała o dwa kroki, patrzyła pytająco. Niepodobna była do tamtej w waciaku — dopasowana spódniczka, oficerskie zgrabne buciki, całe z chromowej skóry, ponad cholewami kolana w jedwabnych pończochach.

— Chciałeś mi coś powiedzieć. Słucham.

— Długo cię nie było, my też już po kursach. W naszej załodze jest Wasyl i Grześ, ale ty ich nie znasz, oni przyszli, jak już ciebie nie było. Wasyl to nasz porucznik. Strasznie fajny, jedno oko ma niebieskie, a drugie czarne i z chmur przepowiada pogodę, bo on był przedtem meteorologiem... A Grześ, to nie Grześ, on się nazywa naprawdę Grigorij Saakaszwili, ale my tak mówimy, bo łatwiej. Trzeci to Gustlik Jeleń, ten co z nami jechał, a ja czwarty. Chcemy, żeby nasza załoga... Bo wóz należy do dowódcy brygady, do generała...

Mówił coraz szybciej, jak człowiek zbiegający ze stromej góry, którego już nie własna wola niesie, ale rozpęd. Nie wiedział, jak się zatrzymać, choć mówił nie to, co miał ochotę powiedzieć, i czuł, że dziewczyna słucha obojętnie.

— Długo bardzo cię nie było... — dodał nagle i zamilkł.

— Kurs trudny, a poza tym kwestia wprawy — mówiła niedbale Lidka. — To nie to, co na czołgu. Radiostacja sztabu pracuje dla całej brygady i do dowództwa armii meldować trzeba. Połowy tego nie umiesz, czego nas

uczono — zerknęła bokiem na swój naramiennik z trzema belkami plutonowego.

— Nie pisałaś wcale.

— Do mamy, na Syberię, ledwo dwa listy wysłałam. Nie było kiedy. Cały tydzień zajęcia, a w każdą sobotę i niedzielę tańce. Nie masz pojęcia, jakie miałam powodzenie — poprawiła ręką włosy. — Czemu tak ciężko wzdychasz?

W tych ostatnich słowach można się było dopatrzeć i niechęci, i ciepła. Tak jak zieleń łączy kolor żółty i błękit, tu można było odczytać obie barwy. Janek przyjął za prawdziwy ten ton, którego pragnął. Mam już szesnaście, skończone szesnaście — pomyślał. — A ona przecież nie wie, myśli, że osiemnaście. Wziął dziewczynę za rękę, ale Lidka cofnęła dłoń.

— Bez poufałości.

— Ja tak... Pamiętasz, jak grzałem ci ręce... Tam około kuchni. Inna wtenczas byłaś.

— Zaczekaj — powiedziała, pobiegła do samochodu radiostacji i wróciła z rękawicami. — Masz tu swój prezent z powrotem. Grzały, ale teraz wiosna i w ogóle... inne czasy. Zabierz je sobie.

— Nie, dlaczego? Ja przecież... Lidka, poczekaj.

Odwróciła się, szła w stronę zagajnika. Janek zrobił kilka kroków jej śladem, ale nagle od strony obozu ryknęła syrena: krótki — długi — krótki — długi.

Alarm!

Zawrócił na pięcie i co sił w nogach pobiegł w dół łagodnego pagórka, w stronę czołgu. Gdy wpadł między drzewa, Jeleń zeskakiwał już w głąb wieży. Silnik chwycił od rozrusznika, z rur wydechowych trysnęły pierwsze kłęбки spalin. Otwartym włazem mechanika wśliznął się głową naprzód i po kolanach Grzesia przelazł na swoje miejsce.

Szarik, oswojony z wozem i sygnałami, leżał w rogu na starym waciaku, tuż przy prawej nodze swego pana. Janek usadowił się, wcisnął na głowę hełmofon i czując, jak wóz rusza, przyłgnął do pancerza. Podpiął szybko słuchawki, włączył je do kontaktu. Z radiostacji napłynął szum i gwizdy. Lekkimi ruchami gałki nastroił falę brygady.

— Ti-ti-ti-ti-ta, ti-ti-ti-ti-ta, ti-ti-ti-ti-ta — popiskiwały sygnały Morse'a.



Nie odróżniał pojedynczych dźwięków, lecz chwycił melodię i od razu tłumaczył ją na ludzki język. Dopiął na gardle laryngofon. Dwa czarne, małe mikrofony przywarły do krtani — one „*nie słyszą*” warkotu silnika, klekotania gąsienic, ale przekażą starannie każdy dźwięk, chwytając go wprost z wnętrza gardła. Przełączył się na telefon wewnętrzny i zameldował dowódcy:

— Czterysta czterdzieści cztery.

— Rozumiem, trzy czwórki — odpowiedziały słuchawki głosem Semena. — Mechanik, prowadź wóz na drogę pod lasem; stań na wysokości mostka.

Włazy były zamknięte, czołg szedł po rozjeżdżonej drożni, drgając i kołysząc się na wybojach. Wtuleni w stal, kołysali się i drgali razem z nim, tworząc jedną całość. Nie od razu przywykli do tej jedynej metody ochrony przed zderzeniami z całą masą znajdujących się we wnętrzu twardych przedmiotów. Uczył ich tego Semen. Najtrudniej szło Szarikowi, któremu nie potrafili wytłumaczyć. Musiał zdobywać doświadczenie razem z guzami, warczał nawet na czołg, obrażał się, próbował kąsać, ale teraz i on, jak wytrawny czołgista, trwał w przednim kącie wozu przytulony do pancerza.

Obserwacja należała do tych z wieży — z góry widać lepiej. Normalnie Kos korzystał ze swego celownika, żeby wiedzieć, gdzie są, ale dziś nie patrzył. Jakoś go bolało we wnętrzu, nie mógłby zresztą powiedzieć na pewno gdzie i tylko czując skurcz w gardle, myślał, czy można uderzyć słowem.

Czołg toczył się po nie kończącej się, wciąż powracającej przed koła drodze z płaskich, gąsienicowych traków, przystawał, ruszał znowu, skręcał, ale Janek nie zwracał na to uwagi. Roboty nie miał, bo słuchawki milczały.

Po ogłoszeniu alarmu, tak jak w warunkach bojowych, panowała radiowa cisza. „*Przeciwnik*” nie powinien był ich usłyszeć, nie powinien wiedzieć, że wozy pancerne niosące armaty kalibru 76 mm i po sto pocisków każdy zbliżają się do linii jego obrony. Komendy w marszu przekazywane były znakami chorągiewek z wozu na wóz i komuś, patrzącemu z boku, wydawałoby się, że metalowe stwory rozmawiają na migi.

Janek ocknął się z zadumy dopiero wówczas, kiedy stanęli w lesie pod niskimi gałęziami olszyn, między pniami brzoź i umilkł silnik. Dowódca z mechanikiem poszli na rozpoznanie terenu, po którym mieli nacierać. Gustlik przysiadł w wieży na skrzynkach z pociskami, które zastępowały podłogę,

zajrzał dołem, co tam na przedzie u Janka słychać, ale jakoś nic nie rzekł i wzięwszy pistolet maszynowy stanął na warcie koło czołgu, chociaż to dziś nie jego była kolej.

Wychodząc przymknął górny właz i tylko przez przedni, otwarty, widać było gałęzie drzew. Młode liście nie straciły jeszcze żółtawego odcienia, słońce, rozsypawszy się między nimi na setki maleńkich krążków, pełzało po siedzeniu mechanika w takt wiatru.

Wrócił Saakaszwili. W chwilę po nim nadszedł porucznik, kazał zgrać wskazówki czołgowego zegara ze swoim i krótko wyjaśnił zadanie.

— Nacieramy z piechotą. Ostrożnie, bo nie z naszego batalionu, nie przyzwyczajona. Przejście okopów wyznaczone białymi taśmami. Sygnał będzie przez radio. Rzecz w tym, żeby ruszyć razem, jakby orzech zgryzł.

Zostawało im jeszcze dziesięć minut. Wasyl wyjął scyzoryk, obciął złamaną przez czołg cienką gałązkę brzozy i obróciwszy twarz w stronę Jelenia, począł obrywać liście, wymawiając starannie po polsku:

— Kocha... lubi... szanuje... — zastanowił się, roześmiał i spytał: — Jak dalej?

— Ni chce mnie... Ale nawet jakby ni chciała, to i tak na brzozie się nie rachuje, musi być akacja.

Zajęli miejsca w wozie. Saakaszwili uruchomił silnik, postawił na małe obroty. Janek dociągnął nauszники: prawie nie słyszał dudnienia cylindrów, w słuchawkach błąkał się poświstujący szmer jakby dalekiego wiatru. Wiedział, że musi uważać, że powinien od razu pochwycić rozkaz... Chciał usłyszeć tylko jeden głos, do którego tęsknił. I nagle pragnienie stało się rzeczywistością: tuż obok, przy samym uchu, śpiewnie, jak czynią to wszyscy radiowcy na świecie, odezwała się Lidka:

— Klon, Dąb, Grab naprzód!

„Grab” to było do nich.

— Klon, Dąb, Grab naprzód!

Słuchał jak zaczarowany i zdawało mu się, że tę ostatnią nazwę drzewa, kryptonim plutonu czołgów dowodzenia, dziewczyna wymawia jakoś bardziej miękko, cieplej i serdeczniej.

— Klon, Dąb, Grab... — teraz dopiero drgnął i przełączył fonię na słuchawki całej załogi; wszyscy czterej usłyszeli ostatnie słowo: naprzód!

Grześ wysprzęglił, wrzucił pierwszy bieg, płynnym ruchem począł zdejmować nogę z pedału sprzęgła. Janek czuł, jak napięły się gaśienice, jak drgnęła wraz z nimi masa stali. Przez celownik zobaczył najpierw zieleń liścia prześwietlonego słońcem, potem migotanie światła i wreszcie krążek napełnił się blaskiem — czołg wyjechał na pole.

Wyprzedziły ich inne wozy, kłębił się przed nimi pokarbowany kurz. Szli ostro, żeby je dognać. Mechanik przerzucał biegi, dodawał gazu. Wchodząc w mgłę miałkiego rozwichrzonego piachu, mieli już czterdzieści na godzinę. Bokiem, z lewej zamajaczyły trzy sylwetki żołnierzy ciągnących karabin maszynowy. Saakaszwili ostro ściągnął drążek, by na nich nie wpaść, poszedł skośnie i w coraz gęstszym kurzu musiał zwolnić.

— Duży kurz, mała szybkość — usłyszeli jego krótką informację.

— Uwaga, taśmy w prawo — ostrzegł głos Semena.

— Są z prawej, widzę — odpowiedział Grześ.

Czołg drgnął, przekraczając okopy, wyszedł na trawę i teraz dopiero zobaczyli inne wozy o dobre dwieście metrów na przedzie. W przerwach między nimi sadziła susami piechota. Natarcie szło nieco bardziej w lewo.

Grześ chciał poprawić kierunek, ale łąka przecięta była rowem, więc szedł naprzód, wypatrując sposobnego miejsca. Tymczasem wykop jak na złość skręcił łagodnie w prawo, spychając ich coraz dalej od osi natarcia, w stronę niskiej, ciemnozielonej łąki, zarośniętej tatarakiem. Podejrzana była ta zieleń, zbyt wilgotna, zapowiadająca błoto.

— Uważaj, woda przed nami — spokojnie odezwał się dowódca. — Przejdiesz rów po lewej?

— Stanę i sprawdzę.

— Brak czasu.

— Daj zgodę na forsowanie — poprosił Grześ.

— Zgoda.

Maszyna poczęła wykonywać skręt w lewo. Prawa gaśienica podcinała murawę, spychała ziemię poprzerastaną trawą. Wzmagał się ryk silnika pokonującego boczny opór i kiedy poszli wprost na rów, szybkość nie była duża. Nim sięgnęli gaśienicami przeciwległej burty, wóz opadł, uderzył czołem, dźwignął przed sobą stertę ziemi. Sunęli jeszcze rozpędem, ale gaśienice poszarpały murawę i czołg siadł na brzuchu, znieruchomiał. Chwilę jeszcze bezsilnie wirowały koła, traki szorowały po gładkich koleinach.

Semen podał komendę:

— Silnik stop. Mechanik zostaje, reszta z wozu.

Dolny właz był zablokowany, więc jeden po drugim skakali górą, staczali się po pancerzu w trawę i błoto. To były ćwiczenia, nikt nie strzelał, ale Wasyl od samego początku uczył ich w ten sposób opuszczać maszynę, nie pozwalał inaczej.

Kryjąc się za wozem, zdjęli stalową linę holowniczą. Jeleń dźwignął grubą, dębową belkę, którą wozili ze sobą przymocowaną do błotnika, i potaszczył ją przed czołg.

Nie mówili ni słowa, rozumieli się doskonale. Nie po raz pierwszy przecież wyciągali maszynę z błota. Belkę trzeba było teraz przymocować liną w poprzek do obu gąsienic tak, by nie drgnęła pod ciężarem trzydziestu ton. Wykonywali tę robotę leżąc w trawie. Dopiero kiedy skończyli, porucznik podniósł się i stanąwszy na wprost wizjera mechanika, pokazał obu rękami, że ma ruszać.

Zadudnił silnik. Odskoczyli na bok i patrzyli, jak z wolna poczynają pełznąć gąsienice, wgniatają belkę w błoto, ciągną ją pod spód. Zdawało się przez chwilę, że i to nie pomoże, ale oto drgnęła antena na wieży, cała wieża, silnik zaczął ryczeć basem i zwierz ze stali coraz szybciej dźwigał się w górę i ku przodowi.

Jeleń wybiegł naprzód, czekał na znak, kiedy Semen pokazał mu, że dębina wynurza się na końcu gąsienic, skrzyżował dłonie i czołg stanął.

Teraz, zakasawszy rękawy, packali się po łokcie w lepkiej, torfiastej mazi — zluzowali linę, zdjęli belkę, zamocowali jedno i drugie z powrotem na pancerzu.

— Do wozu!

Ścierając błoto z rąk pakułami, wdrapali się na powrót, zajęli miejsca. Ledwo Janek zdążył podłączyć swój hełmofon do radiostacji, usłyszał w słuchawkach ich własny kryptonim:

— Grab jeden, Grab jeden, słyszycie? — poznał baryton generała.

Czołg można było zobaczyć z daleka na tej otwartej łące i niewidoczny dowódca brygady sięgał do nich „*długą ręką*” radiowych fal.

— Ja Grab jeden, słyszę was.

— Tę bitwę przegraliście — odpowiedziały słuchawki. — Czekać na miejscu. Nasi skończyli ćwiczenia, zaraz wrócą. Wolno wyjść z wozu.

Kos przełączył się na telefon wewnętrzny i w momencie, gdy mechanik już miał ruszać, przekazał porucznikowi rozkaz generała.

— Wyłącz silnik — powiedział Semen i otworzył górne włazy.

Mogli opuścić wóz, położyć się w trawie na słońcu, ale jakoś nikt z nich nie kwapił się do tego. Wasyl i Gustlik przysiedli na skrzynkach z pociskami po obu stronach podstawy działa, Grześ obrócił się w tył na swym siedzeniu. Janek dopiero teraz wyjął z pasa niepotrzebne zupełnie rękawice, które mu przeszkadzały i cisnął w kąt, na legowisko Szarika. Nie obrócił się jednak i tylko odchylił jeden nauszник hełmu, by słyszeć, co tamci mówią.

— Pierona! Przegraliśmy. Som generał powiada: Grab jeden, przegraliście. Przez tę pierońską przykopę — złościł się Gustlik.

— Tak jakbym się kwaśnego wina napił. Gdyby w boju mniej o jedną armatę, o dwa kaemy, o jeden czołg... Niedobrze, kiedy koń pod *dżigitem* przed bitwą pada, niedobrze, kiedy czołg w błocie siedzi. — Grześ targał swoje czarne włosy. — Niedobry rów, brzegi miękkie jak z ciasta. Z tyłu jedziesz, kurz masz w oczy, żeby nie ten kurz, to byśmy po lewej od rowu wyszli, byłoby dobrze. Wszystko jedno: dużo mówić czy mało mówić, winien plutonowy Saakaszwili.

— Powoli. Przyznanie, to jeszcze nie dowód winy — powiedział Semen i zapytał, nie wiadomo, czy siebie samego, czy któregoś z załogi: — A skąd ten kurz się wziął?

— Tamci za wcześnie wyskoczyli, chachary, jak do pożaru.

— Oni za wcześnie czy my za późno? — pytał dalej porucznik.

— Oni dobrze, my późno i dlatego kurz — powiedział mechanik, zastanowił się chwilę i spytał: — Radio niedobre, odbiór zły?

Kos dopiero teraz obrócił się na siedzeniu.

— Nie, ja słyszałem, dobrze słyszałem od początku...

Porucznik, jakby nie zwracając uwagi na to, co mówi radiotelegrafista, wydobył z wewnętrznej kieszeni płaski, duży zegarek na łańcuszku, odwrócił go cyferblatem w dół i podważywszy paznokciem, otworzył kopertę. Wryto na niej zgrabnymi literkami nazwę: TACINSKA i datę — 24.XII.1942.

— Widzicie?

— Napis — powiedział Janek i pochylił głowę, by przeczytać.

— Napis nieważny. Nie o to chodzi — Semen przesłonił go palcem.

— Co mom widzieć? Zegarek jak zegarek — Jeleń wzruszył ramionami.

— Kirowski zegarek — stwierdził Saakaszwili. — Dobry zegarek.

Porucznik spod kłapy munduru wyjął igłę i zbliżywszy ją delikatnie do mechanizmu, zatrzymał sekundnik. Rozkołysane, maleńkie kółko ze srebrzystego metalu zamarło, a wraz z nim wszystkie inne zazębiające się o siebie, większe i mniejsze. Dopiero teraz, gdy ustał miarowy szelest, posłyszeli ciszę. Patrzyli jeszcze chwilę, nie pojmując. Jeleń otworzył usta, zamknął je i wreszcie powiedział:

— Stoi.

— A no właśnie — potwierdził Semen. — Wystarczyło zatrzymać na chwilę jedno maleńkie kółko i cały zegarek stoi.

Saakaszwili przestał, się drapać po głowie, popatrzył na rękę i wrócił do swych mechanizmów, jakby go tam nagle coś zainteresowało.

Jeleń zrozumiał nieco później, o co chodzi, i przypomniawszy sobie, że Kos nie dokończył zdania, zażądał:

— Mówiłeś, żeś dobrze od początku słyszoł. No i co, godojże dalej, bo cię spierym — zdenerwował się nagle. — Psa uspokój, czego on tam kotłuje się po barłogu i szkubie zębami.

Odsunął Janka lewą ręką, przycisnął psu łeb i wydarł mu z pyska rękawicę. Cofnął się z powrotem na swoje miejsce, pod światło padające z góry przez otwarte włazy.

— Ty żeś taki same doł Lidce na zimę, mosz drugie?

— Nie, to te same.

— Jakże te same?

— Dosyć tego siedzenia — powiedział Semen. — Załoga z wozu.

Mechanik szcęknał rygłem włazu i głową naprzód dał nura na zewnątrz, wywijając kozła w trawie, za nim poszedł Kos i Szarik zadowolony, że to już koniec ćwiczeń.

Dowódca i Jeleń wyskoczyli górą, ale Gustlik nie mógł sobie darować, więc obszedł czołg i zaczął znowu:

— Jakże to...

Saakaszwili dał mu kuksańca w bok i pokazał, żeby się wreszcie zamknął. Potem, przypomniawszy sobie, sięgnął do kieszeni i krzyknął:

— Ajaj! Słuchaj Janek, teraz będziesz tańczył. Ja coś dla ciebie mam. Wiesz co? List mam dla ciebie.

— Od Lidki? — rozpromienił się Kos i pomyślał, jak niesprawiedliwie postąpił mając do dziewczyny pretensję, że nie pisała. Może to ją obraziło.

— Możesz nie tańczyć — spochmurniał nagle Gruzini — Masz.

Janek zobaczył strudzony trójkąt, poznaczony stemplami i numerami polowych poczt. Papier wielokrotnie przekazywany z rąk do rąk zmechaniczył się, poszarzał. Poznawszy dłoń, która pisała słowa adresu, pomyślał, że pieczęcie są jak grudki błota na butach myśliwego, wracającego z tajgi, po których można poznać, w jakich okolicach polował. Odszedł za wóz, siadł koło gąsienicy, rozwinął kartkę. Wewnątrz była bielsza i bardziej czysta.

*Janie Stanisławowiczu! — przeczytał. — Pozdrawiam cię z okazji Nowego Roku 1944, zapytują o zdrowie i szczęścia życzę. U nas śniegi wysokie, zwierza dużo. Od syna mego, Iwana, list ze szpitala przyszedł, ranny w nogę. Wyleczy się, to na front wróci. Choć ty i nie mój rodzony, a tak myślę, jakbym was dwóch na wojnę odprawił, gdzie kule złe latają, wroga naszego niemieckiego faszysty, Hitlera, żeby go diabli wzięli. Napisz do mnie o sobie i o psie imieniem Szarik, synu suki Mury. Napisz także, czy z tobą jest albo czyś go musiał gdzie zostawić. Uważaj na siebie, żebyś w zdrowiu i cały do domu wrócił.*

*Jefim Siemionycz*

Kos złożył list, schował do kieszeni, wstał i poszedł do załogi, chcąc się podzielić myślami, powiedzieć, jak go zwiedziono i jak on sam zawiódł innego człowieka, zapomniał o nim, choć powinien był pamiętać.

Nim doszedł, zmienił jednak zamiar. Tak bywa, że się coś we wnętrzu zawęźli, uwiera i sam to musisz rozplątać, najlepsi przyjaciele nie pomogą. Pomyślał tak, ale już po chwili nie był pewien, czy ma rację.

Gustlik i Grześ leżeli w trawie obok siebie. Saakaszwili wypytywał Jelenia.

— No, nie bądź leń, wymyśl mi jakieś miejsce, żebym wiedział, skąd pochodzę. Przyjdziemy do Polski, ludzie spytają: „Gdzieżeś się rodził, żołnierzu?” Co ja im powiem? Tłumaczyć skąd i jak — za długo, czasu nie starczy. Ty mi wymyśl jakieś dobre miejsce w waszym kraju i powiedz, jak tam jest: czy góry, czy rzeka, jaki las, jakie domy stoją. Kiedy mnie spytają, to będę miał co powiedzieć.

Szarik hasający po łące podbiegł do Kosa, począł się łąsić do nogi.

Wasył stał oparty o przedni pancierz czołgu, grzebał ręką w kieszeni spodni i wreszcie wyjąwszy przybrudzoną nieco kostkę cukru podał ją chłopcu na dłoni.

— Masz, possij, to ci tak gorzko w gębie nie będzie. Spochmurniałeś jak front burzowy.

Janek wziął cukier, uśmiechnął się niepewnie i spytał:

— Chodzi już zegarek? Popchnąłeś kóleczo?

Porucznik przymknął prawą powiekę i spojrzenie jego stało się bardzo niebieskie.

— Tak. Zdaje się, że tak. Teraz będzie chodził jak należy.

Od strony poligonu zza horyzontu poczęły wysuwać się czołgi. Obok nich w kolumnie szła piechota, wracając po skończonych ćwiczeniach do obozu.



## ROZDZIAŁ 8. PRZEMARSZ

TAK SIĘ ZŁOŻYŁO, że pierwszy nie ćwiczebny, ale naprawdę bojowy alarm, kierujący brygadę pancerną na front, ogłoszono 15 lipca, akurat w rocznicę Grunwaldu. Był to naturalnie przypadek, ale czasem przypadek również coś znaczy.

Cały dzień trwał marsz. Czołgi okryte gałęziami, zamaskowane jak wielkie krze, szły długą kolumną i komuś patrzącemu z boku zdawać się mogło, że to lasy wyrwały z ziemi korzenie i suną na zachód. Nie widzieli tego polscy czołgiści zamknięci pod pancernem, okryci kurzem jak płaszczem rycerskim. Górą, ponad obłokami podobnymi do białych kalafiorów, strzegły tego marszu myśliwskie samoloty.

Nie oni jedni szli na front.

Ongiś, dokładnie przed 534 laty, w stronę Grunwaldu szło rycerstwo polskie, litewskie, a z nim smoleńskie pułki. Teraz w szerokiej fali radzieckiego morza domyślisz się, choć nie odróżnisz, ludów zamieszkujących ogromny kraj sięgający od Bałtyku do Oceanu Spokojnego. Przeciw hitlerowskim dywizjom szli ciemnowłosi, krągłolicy Ukraińcy z pól spopielonej pszenicy i od zalanych wodą kopalń Zagłębia Donieckiego. Szli Białorusini, płowi, wysocy, z pól spalonego żyta, z ciemnozielonych lasów, z miast obróconych w gruzy. Szły kraje wojowniczego Kaukazu — Gruzja, Armenia, Azerbejdżan. Szedł skośnooki Tatar, smągłoskóry Uzbek i Kazach. Szli najliczniejsi, pierwsi wśród równych, Rosjanie.

W morzu tym, jak rzeka czy prąd, barwą wody jeno a nie kierunkiem odmienny, płynęły polskie baterie, dywizjony i brygady artylerii, które pierwsze miały podać głos.

Korpusy i armie przysuwały się coraz ciaśniej, bliżej do frontu. Mocniej napinała się sprężyna, gromadząc siłę do przerwania zasieków z drutów kolczastych, wielokrotnych linii okopów, betonowych bunkrów.

Nie wyszukasz, nie dostrzeżesz w tej masie pojedynczego czołgu, którym jadą czterej pancerni i pies. A wołać „*Grab jeden*” nie wolno: jak najsurowsza panuje w eterze cisza radiowa. Tylko armaty na linii frontu

hałasują, wyrzucają pociski, by zagłuszyć idący z daleka warkot silników, szmer groźnego przypływu.

Minie jeszcze trzy dni narastającej, coraz groźniejszej ciszy i wreszcie jak fala z dalekiego morza w stronę lądu idąca, która łamie się przy brzegu i stroi grzebieniem piany, ryknie atakujący grzywacz. Skoro świt, na jeden znak, na wezwanie salwy gwardyjskich moździerzy — rakietowych wyrzutni, odezwą się tysiące dział 1 Frontu Białoruskiego, który miał już wkrótce stać się polskim frontem, i ruszy wszystko na zachód. Nie, nie wszystko. Tylko te dywizje, które jak ostrze grota uderzają pierwsze.

Gdy wszystkie drogi, wszystkie ścieżki i pola, które te ścieżki dzielą, pokryły się ludźmi, armatami i czołgami, do brygady pancernej radio przyniosło nazwę Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego i pierwsze jego słowa jak oddech bliskiej ojczyzny. Byli tuż za tarczą frontu na ziemi bezludnej, spalonej, gdzie ani wioski, ani chaty nie uświadczysz, tylko czasem popielisko i sterczący komin. Wszędzie zaś leje pocisków jak dzioby po ospie wojny; pogięty, szerniały metal; działa martwe, pochylone lufami ku ziemi. Stąd za tymi, którzy pierwsi sforsowali Bug, mieli ruszyć w gotowości do uderzenia, gdy tamci stępią broń, wykruszą się w bojach.

Już ruszają. Rozjeżdżoną drogą pełnie ta sama pancerna kolumna, tylko gałęzie na czołgach zmienili, by były świeże i zielone. Ludzie stoją w otwartych włazach, twarze mają ciemne od kurzu, ale mimo to można poznać Semena, Jlenia i Kosa do pół pasa wychylonych z wieży. Saakaszwili siedzi na dole, prowadzi maszynę, wypatrując drogi przez otwarty właz. Mijają akurat grupę spalonych tygrysów, które widocznie próbowały kontrataku i trafiły pod lufy dział.

— Ale natłukli tego draństwa — Kos przekrzykuje warkot silników.

Semen kiwa głową, a po chwili pokazuje oczyma w inną stronę. W bok od drogi, koło rozwalonego komina, stoi T-34 zatrzymany pociskiem w biegu. Wieża z opuszczoną lufą, jak pochylona na ramię głowa nieżyjącego człowieka, pancierz pokryty szarym kopciem i tylko gwiazda jest nieco ciemniejsza.

Taki sam jak nasz — myśli Janek, czując nagły chłód lęku w piersi. — Kim byli ci, którzy w nim zginęli?

Za przykładem Semena podnosi rękę do czoła, salutuje.

Po lewej, równoległe do czołgów, idzie kolumna piechoty. Gdzieś między ludźmi widać zielone brenty samochodów ciągnących działa. Piecze lipcowe słońce. Białe, kłębiaste chmury wiszą na niebu rzędami, układają się w pasy poprzeczne do osi marszu.

Nagle, gdzieś na przedzie, budzi się trzask karabinowych wystrzałów. Terkot broni maszynowej pełźnie szybko naprzeciw jak płomyk po lonicie. Jasno, dźwięcznie naszczekują rusznice przeciwpancerne. Buczą sygnały czołgów.

— Do wozu, luki.

Zsuwają się błyskawicznie w dół, zatraskują zamki. Janek wskoczywszy do wieży łapie uchwyt peryskopu, odpycha go, żeby przez szkła widzieć niebo.

Najpierw cały prostokąt wypełnia błękit, potem zjawia się biały kłęb chmury, jej ciemniejsza podstawa i wreszcie są: jeden i drugi za nim, nieco z boku. Lecą nisko, tuż nad drogą, błyskawicznie rosną w oczach — owale kadłubów, kręgi śmigieł, skrzydła załamane jak rozplaszczona litera „W”, a dołem koła podobne szponom, obute w łapcie owiewek. Nawet tu, we wnętrzu wozu, słysząc ich ryk, potem, obok i z tyłu, wybuchy bomb. Odlot, wyciszenie i radość, że niebezpieczeństwo minęło.

Dudnienie własnego silnika, jazgotanie gaśienic wydaje się teraz ciche i miłe jak szum chłodnego strumienia. I właśnie wówczas wóz nagle unosi się, wstrząsa, światło w peryskopie czerwienieje, przez skórę, wprost do mózgu, wali się huk. Jankiem rzuca w dół na mechanika i, nie wiadomo jak, Szarik łąduje im na kolanach. Silnik gaśnie, czołg nieruchomieje.

— Zdrowi?... Pytam, czy zdrowi? — niepokoją się słuchawki głosem porucznika.

Tak, wszyscy są zdrowi, tylko oszołomieni, a pies nie kryje przestachu. Janek, patrząc na niego, przestaje się dziwić i zaczyna odczuwać lęk.

— Z wozu, na lewą burtę — rozkaz nie daje czasu do rozmyślań.

Teraz dopiero, stojąc na ziemi, widzą swój znieruchomiły czołg obok drogi i zerwaną gaśienicę, która leży z tyłu jak długi wąż, zjeżony zębami na grzbiecie.

— Zjechałeś Grześ. Ręka ci drgnęła — spokojnie stwierdza Semen.

Rzeczywiście, wóz stoi dobre trzy metry za linią czerwonych chorągiewek, wytyczających prawą stronę drogi. Jedna z nich, przewrócona, sterczy spod zerwanej gąsienicy.

— Widzę, że lecą, popatrzyłem do góry...

— Nie wolno. Na szczęście to nie była mina przeciwczołgowa, tylko jakaś mniejsza. Janek do wozu, po erkaem. Nie gap się, to nie ćwiczenia. Grigorij na miejsce, a my z tobą Gustlik, do roboty.

Dwu ludzi do naciągnięcia ciężkiej, stalowej gąsienicy to mało. Mijają ich dziesiątki wozów, tysiące ludzi, z których każdy mógłby dopomóc, ale kolumnie nie wolno stanąć. Jedenczołg nie może powstrzymywać następnych. Gdyby im czegoś było potrzeba, mogą wzywać pomocy: rannymi ludźmi opiekują się sanitariusze, rannym wozem — kompania technicznego zabezpieczenia idąca na końcu kolumny. Jeśli jednak sami dadzą radę, nie powinni zatrzymywać nikogo.

Stalowa lina już jest nawinięta na koło wiodące, jej koniec zaczepiony do gąsienicy i Semen wybiega przedczołg, by pokazać mechanikowi, że może powoli ruszać prawą burtą. Jeleń zrzuciwszy kombinezon, mundur, koszulę wczepił się półnagi na końcu metalowego węża i teraz, kiedy ogniwa poczynają drgać, wprowadza go na kierunek. Kos, beczynny ze swym erkaemem, przekłada broń do lewej ręki, by mu pomóc.

Wówczas odczoła, od zachodu, od tej strony, w którą idą za słońcem, po raz drugi słychać narastający trzask palby. Janek biegnie zaczołg, opiera na pancerzu nóżki karabinu maszynowego i mrużąc oczy patrzy w niebo. Zza kłębów cumulusa, jak z zasadzki, pojawiają się znowu dwie maszyny, ostro nurkują w dół. Może to te same, może inne.

Wpiera nogi w piach, przytula kolbę do policzka, prowadzi samoloty na końcu lufy. Gdy urastają do wielkości jastrzębi, wybiera pierwszy, bliższy, kładzie muszkę nieco powyżej środka srebrnego kręgu śmigła, tam gdzie za owiewką kryje się człowiek.

Chłopak czuje, jak zczoła na policzki spływają mu krople potu. Wycie silnika i gwizd powietrza dartego skrzydłami stają się coraz wyższe, budzą skurcz gardła. Na dziobie samolotu poczynają migotać wystrzały. W tym samym momencie Janek naciska spust, widzi rudą trasę, przenosi ją nieco niżej.

Z lewej i z prawej krzyżują się ściegi ognia radzieckiej piechoty. Jęczy bity pociskami metal czołgu, tryska piach. Przez ułamek sekundy widać żółty brzuch nurkowca i dwa czarne krzyże. Samolot załamuje tor lotu, wykręca pół beczki i nagle, paręset metrów za nimi, w bok od drogi, tryska wybuch, wyrasta chmura czarnego dymu.

Janek z erkaemem w garści biegnij do Semena, szarpie go za rękaw i pyta:

— To ja?

Tamten odsuwa go na bok, mówi spokojnie:

— Do roboty, czas leci.

Nad kolumną jak dwie błyskawice migają myśliwce z ostrymi nosami i gwiazdami na skrzydłach.

Znowu dudni silnik czołgu, gąsienica pełźnie po piachu, wsuwa się pod koło napędowe i wreszcie pierwszy ząb chwyta. Semen podnosi drugą rękę do góry i krzyczy:

— Obiema, obiema burtami!

Wóz rusza, wpełza na gąsienicę i teraz już tylko trzeba wymienić pęknięty trak, spiąć rozerwane miejsce. To robota Jelenia. Wasyl szczypcami trzyma bolec, a Gustlik łomocze po nim ciężkim młotem.

Kos stoi przy czołgu i nie wierząc oczom, dotyka palcami dziobów i krech na pancerzu.

— Poskrobał po samym wierzchu. Wystarczy na początek, ale potem będzie takich znaków więcej — wyjaśnia mu porucznik.

Mocują z powrotem linę, zbierają narzędzia i znowu pada komenda:

— Do wozu!

Niedługo to trwało, ale kolumna już ich minęła i gdy ruszają z miejsca, muszą się bokiem wepchnąć między ciągniki wlokące ciężkie działa o długich lufach. Jadą teraz samotnie wśród artylerzystów i może dlatego wydaje im się, że jakby wolniej.

Kos wmontował karabin maszynowy na miejsce, prawą ręką targa za kudły Szarika, któremu cknę się w ciemnym kącie, i myśli stale o tym samym: Ja czy nie ja? Żeby tatuś to widział...

Dopiero chyba po godzinie Jeleń stuka go nogą w plecy i pochyliwszy się pokazuje ręką, żeby przeszedł na drugą stronę wieży, gdzie siedzi dowódca.

Twarz Wasyla pokryta jest kurzem, po którym strumyki potu żłobią kręte ścieżki. Porucznik bierze chłopca za ramiona, przyciąga do siebie i prosto do ucha mówi:

— Nie wiem, czy to ty. Rozumiesz? Nie wiem. Kropili do niego wszyscy, ale ważne, że nie zamykasz oczu. Podobasz mi się.

Teraz już Wasyl nie trzyma Janka za ramiona, ale obejmuje, przygarnia do piersi i całuje w policzek, a potem krzyczy:

— Otrzyj się, bo cię wymazałem.

Jeleń, który wylazł na wieżę i siedział majtając nogami w powietrzu, bębni po pancerzu i woła:

— Chłapcy, widać rzekę i most. To chyba ten Bug, czy jak?

Leżą na górę wszyscy trzej. Rzeczka jest niewielka, kręta, brzegi ma porośnięte krzakami wierzby i olszyną.

— Rzeczywiście, chyba Bug.

Są już na podjeździe, nie więcej niż pięćdziesiąt metrów od mostu, kiedy dziewczyna w granatowym berecie ostrzegawczo podnosi czerwoną chorągiewkę, a żółtą kategorycznie pokazuje w bok. Saakaszwili nie ma ochoty skręcać i czołg sunie wprost na regulującą ruch dziewczynę, ale tamta go się nie boi: wie dobrze, że ona tu jest najwyższym dowódcą. Robi parę kroków na spotkanie i stuka trzonkiem w pancerz, jak kanak w skórę słonia. Proporcja jest zresztą inna, czołg waży tyle, co dziesięć słoni.

Muszą zjechać na bok, stanąć i z żalem patrzeć, jak działa jedno po drugim przeprawiają się na tamten brzeg.

— Czemu ona nas wygnała?

— Nie nasza kolej — wyjaśnia Wasyl. — Będziemy tu stać, póki tamci nie przyjdą. Chyba żebyś ty, Gustlik, jakoś z nią pogadał. Powiedz że bracia Polacy, i jak tam jeszcze potrafisz.

Jeleń zlął na ziemię, podszedł do regulującej ruch dziewczyny i stanawszy na baczność zasalutował.

— Dzieuszko kochano, puść nas.

— Nie mogę, nie wolno. Jak oni przejdą, to może będzie miejsce.

— Nasi już na drugiej stronie. My przecież som Polacy, do domu wracamy. Kto tu pierwszy ma prawo?

— Ty. Jak chcesz, to cię pocałuję, ale czołgu puścić nie mogę.

Jeleń pokraśniał i wrócił. Wspiął się na pancerz, rozłożył ręce:

— Sroga baba, taki owczorz, co tylko swoje owce przepuszcza.

Z dołu wylazł do wieży Saakaszwili i wtrącił się do rozmowy:

— Ech, ty, *dżigit*, dziewczki się zląkłeś, uciekłeś i co teraz będzie? Do wieczora tu stać, czy jak?

— Wiecie co? Ja mam myśl — powiedział Janek i pochyliwszy się ku reszcie załogi, począł wyjaśniać coś szeptem, chociaż i tak nikt ich przecież nie podsłuchiwał.

— No to co, Wasyl, zgoda?

— Zgoda, niech będzie.

— Obywatelu poruczniku — oświadczył słuźbiście Kos — melduję swoje odejście w celu wykonania zadania bojowego.

Polazł w głąb czołgu i po chwili przez przedni właz wyskoczyli obaj z Szarikiem przed wóz. Janek rozejrzał się, nauczony doświadczeniem sprawdził, czy gdzieś blisko nie widać czerwonych chorągiewek, oznaczających skraj pola minowego, a potem wybrał sobie malutki pagórek ze sterczącą kępą wikliny, o parę metrów od drogi.

Czołgiści patrzyli z wieży na rozpoczynające się przedstawienie. Szarik najpierw parę razy aportował kawał patyka, potem odszukał zakopaną w piasku chustkę Janka, o której, ze względu na zbyt ciemną barwę, trudno byłoby powiedzieć, że mogła służyć do nosa.

Paru czerwonoarmistów, saperów od budowy mostu, obejrzało się. Pogadali między sobą wskazując palcami i wreszcie podeszli, żeby lepiej zobaczyć. Grupka widzów szybko rosła. Ktoś zaczął pokrzykiwać, żeby stanęli szerzej, bo nikt nie jest przezroczysty. Bawili się wesoło, rzucali uwagi, dawali Jankowi rady, jak ma postąpić, gdy pies nie od razu mógł pojąć, o co chodzi. Potem ktoś przyniósł „*szczup*” — długi patyk zakończony drutem, służący do nakłuwania ziemi w poszukiwaniu min i Szarik popisywał się skokami.

Z radiostacji, której maszt sterczał z krzaków opodal, wyszedł pułkownik lotnik i również począł się przyglądać. Dziewczyna regulująca ruch coraz częściej z uśmiechem odwracała głowę w tamtą stronę.

Nikt nie zauważył, że już od pewnego czasu z rur wydechowych czołgu tryskają białe kłębuszki spalin. Silnika nie było słycać — głużyły go artyleryjskie ciągniki wciąż jeszcze idące przez most. Żołnierze przykucnięci na działach, niczym wróble na gałęzi, patrzyli także w stronę Janka i machali

do tyłu, pokazując swoim nadjeżdżającym kolegom, co się dzieje na pagórku pod olchami. Kierowca jednego z ciągników zagapił się, zwolnił i tego tylko było trzeba.

Czteryście pięćdziesiąt koni ryknęło całą mocą, czołg wspiął się po nasypie, wpakował na podjazd i już dopadł mostu. Dziewczyna spostrzegła, podbiegła parę kroków, ale machnęła ręką i zawróciła. Janek czmychnął jej za plecami i klusem doganiał czołg, a za nim, wesoło szczekając, biegł rozradowany niespodzianą zabawą pies Szarik — piąty, ale nie najmniej ważny członek załogi.



## ROZDZIAŁ 9. RADOŚĆ I GORYCZ

PARĘ KILOMETRÓW ZA BUGIEM z polnej drogi wjechali na szosę. Szeroka była, brukowana kostką, wysadzana po obu stronach wierzbami. Za drzewami leżały pola barwne, pocięte wąsko jak paski z kolorowego papieru. Wojna przeszła tędy tak szybko, że nie zdążyła ich stratować i spalić.

— Bardzo śmiesznie, oj bardzo śmiesznie — pokrzykiwał Saakaszwili przyzwyczajony do szerokich, kilometrowych pól w Związku Radzieckim. — Jeden krok — kartofle, drugi krok — żyto, trzeci krok — wchodzisz w kapustę.

Nie przestając podziwiać nowego krajobrazu, nacisnął sygnał i zajadle nim bucząc dodał gazu. Ciągnik jadący przed nimi pospiesznie skręcił w prawo, armata zjechała nad sam rów, zostawiając wolną drogę.

Czołg, jak wiadomo, nie poduszka, ma skórę dostatecznie twardą, by każdy inny pojazd na szosie czuł przed nim respekt. Poczęli już mijać działo, ale w słuchawkach rozległo się szczęknięcie przełącznika i mechanik usłyszał głos Semena:

— *Dżigit*, zdejmij nogę z gazu i na miejsce w kolumnie. Nie zakłócaj porządku marszu.

Grześ, choć niechętnie, usłuchał natychmiast, zwolnił i mieląc gąsienicami jechał grzecznie w tempie ciągników. Nie mógł jednak wytrzymać, więc rozpiąwszy laryngofon na szyi, żeby go nikt nic słyszał, zagadał sam do siebie.

— Porządek marszu, miejsce w kolumnie... Jadę teraz jak stary osioł na targ. Wielka rzecz, ciągną te rury, nie spieszą się, a my możemy być potrzebni do uderzenia. Artyleria zawsze się pęta po tyłach. Ja tu pracuję, a oni wleźli sobie na wieżę, wietrzyk im dmucha, widoki oglądają.

Te ostatnie słowa wypowiedziane były naturalnie nie pod adresem artylerzystów, ale na temat reszty załogi, która łącznie z Jankiem Kosem siedziała w otwartych włazach.

— Widoki oglądają, a ja jak kto głupi sam na dole i jedno co widzę, to tylko tę rurę armatnią...

Choć lufa nie mogła tego ani zobaczyć, ani ocenić, mechanik pokazał jej język.

Zdarza się czasem w życiu, że nie mając odwagi powiedzieć komuś czegoś prosto w oczy, wolimy samotnie wykrzykiwać swe myśli, by inni nas nie słyszeli. Najczęściej dzieje się tak wtedy, gdy człowiek nie ma racji. Grześ właśnie nie miał racji, wymyślając na artylerię i tempo jej marszu, ale druga część jego wypowiedzi była słuszna — rzeczywiście, gdy ktoś siedzi na wieży czołgu na wysokości dwu i pół metra nad ziemią, więcej widzi niż przez właz mechanika.

— Spójrzcie, tam w prawo — porucznik pokazał ręką.

Daleko przed nimi, na czele artyleryjskiej kolumny, poczęło dziać się coś nowego. Ciągniki zjeżdżały z drogi, armaty toczyły się przez rów i wachlarzem szły polami, tratując żyto i kartofle. Kilkaset metrów od szosy traktory jak na komendę zawróciły, obracając działa. Obsługa zeskakiwała z armat, dźwigała ich łoża ku górze i odciągając przodki, sprawiała baterie do boju.

— Co oni robią, dlaczego? — spytał Janek.

— Las. Podziwej się na las, tam dalij — krzyknął do niego Jeleń.

Od horyzontu wcinał się w pola granatowy jęzor boru. Dołem spomiędzy pni tryskały ogniki i przed armatami poczęły nagle skakać kłęby kurzu, podobne do wyrastających krzaków. Przy działach uwijali się kanonierzy, dowódcy baterii stali nieco z tyłu, unosząc ku górze ręce. Widać było potem, jak jeden opuścił ramię w dół, najbliższe działo błysnęło, huknął wystrzał.

— Co to za hałas? — spytał Saakaszwili, ponownie włączając się w sieć telefonu wewnętrznego.

— Jakaś okrążona grupa — odpowiedział Semen. — Artyleria do nich łupi.

Czołg szedł na nie zmienionej szybkości, pancerniacy byli jak w ruchomej teatralnej łoży. Patrzyli na dalsze jadące do boju działa, widzieli w oddali baterię, która przystąpiła do walki. Oficer skorygował dane i teraz już ze wszystkich czterech luf tryskał ogień, nad polem toczyły się grzmoty salw.

Stamtąd, z boru, biły moździerze, przesuwały ogień coraz bliżej ku działom i nagle zobaczyli), jak wybuch trysnął między armatami, dwu kanonierów padło i jasnym ogniem poczęła płonąć opona, którą gasiła reszta,

sypiąc łopatomy ziemię. Dudnienie własnego motoru nie pozwalało słyszeć krzyku, wszystko odbywało się jakby na niemym filmie.

Skręcił ostatni idący przed nimi ciągnik i nagle szosa zrobiła się pusta.

— Pojedziemy z nimi, pomożemy? — spytał Kos.

Jakby w odpowiedzi na jego słowa czołg również zaczął skręcać, celując między dwie wierzby, w nieco szersze przejście.

— Wróć na kierunek, zwiększyć szybkość — powiedział spokojnie Semen, a potem dodał, zwracając się do Kosa: — Bez rozkazu nie wolno. Okrążeni po to się bronią, by powstrzymać tempo natarcia. Do likwidacji przeznaczone są specjalne siły. To nie nasza sprawa, my mamy iść naprzód.

Pędzili teraz ponad czterdzieści na godzinę, ciepły wiatr owiewał im twarze, wyciągał spod czołgowych hełmów kosmyki włosów i bawił się nimi. Prażyło słońce, ślepiło w oczy.

Minęli pozycje dział, droga opadła niżej, weszła w wykop i już nie było nic widać, tylko grzmoty i huki gonily za nimi, jak głos oddalającej się burzy. Niebo było pogodne, z rzadka znaczone kłębiastymi, niewielkimi cumulusami.

Szybko dogнали kolumnę brygady, minęli samochody ze zmotoryzowaną piechotą, kompanię moździerzy, baterię przeciwpancerną, przegnali działa szturmowe i wreszcie odnaleźli swoje miejsce w szyku. Z niewielkiego pagórka zobaczyli teraz jadących przed nimi i za nimi, całą kolumnę rozciągniętą na pięciu kilometrach szosy.

Od przodu podano chorągiewkami sygnał postoju. Bojowe wozy skracały lekko odległości, zatrzymywały się, zjeżdżając na prawą stronę. Tak szczęśliwie wypadło, że czołg Semena przystanął akurat we wsi. Zza pobielanych domków krytych słomianymi strzechami, z ogrodów, zza płotów biegli ludzie. Ledwie pancerni stanęli, otoczyli ich zewsząd, podeszli do samych wozów.

Janek i Gustlik, zeskoczywszy na ziemię, wpadli wprost w objęcia witających. Jakaś smukła, opalona dziewczyna, w białej sukience w kwiatki, objęła Kosa, ucałowała go w oba policzki, podała pęk georginii. Zaczerwienili się oboje i oboje cofnęli pół kroku.

Jakaś kobieta chwyciła Janka za rękaw.

— Ludzie! Taki młody, a już wojuje.

— Chłopaki, a skądżeście?

— Jo żech je z Ustronia, stamtąd Wisła wypływo...

Jeleń uczciwie wykonywał pracę, szedł wzdłuż ciasnej ściany ludzi, nie wybierał, nie przebierał, tylko kolejno, tak jak stoją — dziewczyna, kobieta czy chłop — obejmował za ramiona i całował.

— Kto jeszcze, z kim żech się jeszcze nie witoł? Już wszyscy? — odsapnął i otarł pot z czoła.

— A ten czarny, zamazany, czego nic nie mówi? — stary chłop pokazał w stronę czołgu, gdzie przez właz, wychylony do pasa, wyglądał żołnierz polski, Grigorij Saakaszwili. — Ten to musi nie nasz.

— Nasz, od Sandomierza — wyjaśnił z przekonaniem Jeleń. — Jeny tata kominiorz i tymu je taki czorny. A nie mówi, bo go ze wzruszenia zatkało.

— Maszyna to nie dziewczyna — wypowiedział Grześ jedną z maksym, których się dobrze nauczył po polsku i na wszelki wypadek dał nura do czołgu, zniknął pod pancierzem.

— To teraz już Polska będzie? — spytał stary.

— Ludowa Polska — wyjaśnił Janek.

— To niby jaka, że ludowa?

— Fabryki wezmą robotnicy, a ziemię dworską chłopci:

— Za pieniądze?

— Bezpłacie.

— Albo to prawda? W osiemnastym roku też tak mówili, a potem panowie nasze rady wojskiem rozegnali.

— Teraz wojsko nasze, nie rozgonią.

— Może i nie rozgonią, może rozgonią — chłop drapał się w głowę.

— Mleczka się napijcie. Chłodne, wyciągnęłam bańkę prosto ze studni — kobieta zanurzyła w wiadrze szczerbaty kubek, zdobny chabrami, podawała czołgistom.

Jeleń wypił jeden, drugi, poprosił o trzeci.

— A nie słyszeliście czasem... — ośmielił się Janek. — Może był tu w waszych okolicach porucznik Stanisław Kos?

Prosili, żeby im powtórzył nazwisko, pogadali między sobą, wspominali, ale okazało się, że nie słyszeli.

— A gdzie on, panie, wojował, ten porucznik?

— Na Westerplatte.

— Panie drogi, toż tam nikt żywy nie został. Wyginęło siedem tysięcy naszych co do jednego...

— Niemożliwe — zaprzeczył Janek. — Na Westerplatte i pięciuset na pewno nie było.

— Tak się mówi, panie, a jak co policzyć, to inaczej wypada..

Wyrostek w krótkich portkach przelazł dziurą w płocie na szosę, taszczył za sobą ułamaną gałąź, czerwoną, od dojrzałych czereśni wiszących gronami i cisnął ją na wieżę. Wasyl chwycił w locie, pomachał mu ręką i powiedział:

— Dziękuję pani bardzo.

— Nasz dowódca zaraz o gaździnce pomyślał, z której ogrodu chłopiec gałąź wyłamał — objaśnił Jeleń.

Przez właz mechanika wysunęła się ciekawa, kudłata morda.

— O rany, psa ze sobą wożą. Też we wojsku służy?

— A jakże, Szary, do nogi — Janek skinął mu ręką i wilczur uradowany wyskoczył na szosę.

— Nawet psa przywieźli... Polskiego psa przywieźli — poszło po kręgu z ust do ust. — Słyszycie, jak szczeka? Zupełnie jak mój Azor.

— Drogę, dajcie drogę Marcinowej.

Tłum się z wolna rozstąpił. Prowadzili pod rękę starą kobietę o twarzy pomarszczonej, oczach pokrytych bielmem. Stąpała powoli, trzymając ręce wyciągnięte, rozstawione na krzyż. Ludzie umilkli i słychać było, jak tamta powtarza szeptem:

— Chłopcy nasi, żołnierze, synkowie...

— Ona nie widzi — wyjaśnił stary chłop, ten sam co nie dowierzał, że Saakaszwili spod Sandomierza pochodzi. — O tam, popatrzcie, druga od skraju wsi chałupa jej stała, ale teraz nie stoi, Hitler spalił. Dajcie co, żeby zobaczyła, że Polaki przyszły, żeby mogła dotknąć.

Wasyl z wieży cisnął polówkę, Kos chwycił ją, i podał. Staruszka wodziła dłońmi po suknie, po daszku, trafiła palcami na metal.

— Orzełek... Boże bądź miłościw... Nasi żołnierze, Bóg dał doczekać...

— Julka! — zawołała kobieta, wylewając resztkę mleka z wiadra do kubka. — Przynieście psu miskę maszczonych kartofli, koło pieca stoją. Ino biegiem.

Julka uwinęła się szybko, Szarik jeszcze szybciej i w samą porę, bo postój się skończył, od czoła zamachano chorągiewkami i poszło wzdłuż kolumny dudnienie uruchamianych silników, przybierające jak fala.

— Do wozu!

Ruszali ostrożnie, powoli, żeby kogo nie trącić. Chłopi zdejmowali dzieciaki z pancerzy, za uszy, za czupryny wyciągali spod gąsienic.

Kolumna szła znowu na zachód. Z daleka, zza horyzontu widać już było pobłyskujące w słońcu co wyższe wieże Zamku lubelskiego i kościołów.

Janek Kos siedział na miejscu mechanika, prowadził wóz. Nie wierzył w te siedem tysięcy poległych na Westerplatte, ale posmutniał. Markotny Saakaszwili na jego siedzeniu w kącie bawił się z psem. Wasyl z wieży prześliznął się koło podstawy działa do nich, przykucnął między siedzeniami.

— Mechanik, czemuś nos opuścił na kwintę?

— Dla psa duża radość, małe zmartwienie. Był Szarik, a teraz Szary i w porządku. A co ze mną? Nie umiem mówić po polsku, jak będzie?

— Te kwiaty i czereśnie nie tylko dla nas. Takie same rzucają na radzieckie czołgi.

— Wiem, ale jakoś mi niewyraźnie. Ojciec kominiarz spod Sandomierza... Jaki Saakaszwili lepszy, ten prawdziwy czy ten udawany?

— Daj spokój, teraz brak czasu, żeby każdemu po drodze tłumaczyć, ale ludzie sami pojmą, zrozumieją — ciągnął spokojnie Semen. — Wyszkolimy polskich czołgistów, zakończymy wojnę, odjedziemy... Zrozumieją na pewno.

— Jak odjedziemy, zrozumieją? To późno.

— Może później, może wcześniej. Teraz wszystko jedno, nie o to chodzi, idziemy na front.

NIE OD RAZU JEDNAK brygada poszła na front. Stali za Lublinem, pod miastem i pełnili w nim służbę chroniąc fabryki i składy, patrolując dniem i nocą ulice. Byli w Lublinie ludzie, którzy stawali od razu do roboty, nie pytając o płacę, przynosili z domu narzędzia, uruchamiali silniki i obrabiarki. Tym trzeba było pomóc. Byli i tacy, którzy łamali wieże magazynów, brali to, co wczoraj należało do Niemców, a dziś zdawało się nie należeć do nikogo. Tym trzeba było przeszkodzić. Nocą nad miastem krzyżowały się reflektory przeszukując, czy po niebie nie skradają się obce samoloty. Nocą

po mieście krzyżowały swe trasy patrole, przeszukując ulice, czy nie skrada się nimi swój, a przecież obcy.

Po pierwszych powitaniach, w których widać było tylko kwiaty, czereśnie i mleko, uśmiechy i wyciągnięte dłonie, tłum zyskiwał twarze rozmaite. Jedni powiadali: „*Nowa armia, nowa władza, ziemię daje chłopom*”. Inni mówili: „*Nowa armia, nowa władza, ziemię właścicielom rabuje*”.

Na kilka godzin przed wyzwoleniem miasta, wówczas gdy radzieckie oddziały dopadały już pierwszych domów, hitlerowcy wymordowali na Zamku lubelskim więźniów i zakładników. Brygada pancerna delegowała pluton honorowy na ich pogrzeb. Janek chciał pójść, prosił, by go zwolniono, ale porucznik nie puścił. Twierdził, że jest robota przy wozie, że trzeba wszystko do jak najlepszego porządku doprowadzić. Okazało się potem, że nic szczególnie ważnego nie było, więc może po prostu nie chciał puścić.

Zeszło tak w obozowisku na różnych zajęciach chyba ze trzy dni, aż wreszcie kiedyś po obiedzie Kos, który o wszystkim pierwszy wiedział, przybiegł do swej załogi i zameldował:

— Idzie samochód na Majdanek. Ta ciężarówka, co kuchnię ciąga. Kto chce, może pojechać zobaczyć.

— Nie mam ochoty — odrzekł Semen. — Widziałem podobne rzeczy, potem przez dwa dni jeść nie mogłem.

— To zostańcie, a ja bym chciał. Tam było wiele ludzi, więc może... A wracając zajrzelibyśmy na cmentarz.

— Nie, sam nie pojedziesz. Jeśli tak, to wszyscy razem.

Pojechali. Oglądali druty, na drutach białe tablice z niemieckimi napisami, czaszkami i skrzyżowanymi kośćmi. Za drutami stały długie, niskie baraki, pełne dziwacznej woni i brudu. Oglądali ogromne, jak kilka stodół, magazyny ludzkich włosów, zsypanych na sterty okularów i lalek. Lalki były najstraszniejsze — jedne eleganckie, w starannie uszytych sukienkach, z przyklejonymi rzęsami do powiek, inne zwykłe, szmaciane, z oczyma i buzią narysowanymi węglem. Na samej górze siedział pluszowy miś bez prawej łapy i z wyłupanym okiem. Te lalki były groźniejsze nawet od pieców, w których palono zwłoki.

Zrobili kilka kilometrów po obozie, patrząc i nic nie mówiąc.

Gdyby ktoś nieznajomy spojrział teraz na twarz Janka, nie domyśliłby się, że to żołnierz, w którego papierach zapisano lat osiemnaście, a tym bardziej tego, że to chłopiec, który naprawdę miał szesnaście lat.

Jeleń zaciskał w pięści swe ogromne dłonie, aż mu bieleły palce, Grzegorz szeptał coś po gruzińsku, a Wasyl mrużył lewe oko i spojrzenie jego stało się ciemne, jak chmurna noc.

Koło obozowej kancelarii spotkali człowieka w pasiaku, z łątą i cyfrą na niej wypisaną.

— Pan tu był? — spytał Janek.

— Byłem.

— Znał pan wiele ludzi?

— Wiele, ale rzadko nazwiska; częściej tylko numery.

Chłopiec o nic już nie pytał. Zawrócili ku bramie, od której szło ku nim zawodzące wilcze wycie — Szarik przywiązany za obrozę do klamki auta objawiał swoje niezadowolenie i niepokój, czuł śmierć w powietrzu.

Gdy wspięli się do pudła ciężarówki, zobaczyli w kącie kucharza, kaprała Łobodzkiego. W tamtą stronę jechał w szoferce, a teraz wyszedł z obozu wcześniej od innych, siedział pod brezentem i odwróciwszy twarz płakał.

— Co ci je? — spytał Jeleń.

— Zostaw — starszy żołnierz ze zmotoryzowanej piechoty pociągnął, Gustlika za rękaw. — On z Lublina, pusty dom zastał. Nawet nie pusty, ale gorzej, bo obcy ludzie w nim mieszkają. A jego rodziny nie ma. Podobno dawno już ich zabrali i właśnie tutaj...

Samochód ruszył, jechał gładką szosą ku miastu i im dalej byli od drutów kolczastych, tym więcej słońca wpadało pod brezentową budę, tym energiczniej i śmieiej szarpał nią wiatr. W Lublinie już przyzwyczajono się do obecności wojska, ale niektórzy ludzie jeszcze przystawali, machali rękami za ciężarówką. Inni szli obojętnie, zajęci własnymi sprawami.

Miasto było niewielkie, wkrótce zostało w tyle. Zjechali na polną drogę wiodącą do folwarku, wokół którego w laskach i w zaroślach rozmieszczone były czołgi.

Minęli jasnozielony brzeziniak, rosnący tuż nad drogą i wówczas Jeleń spytał:

— No jak, wysiadomy? To już je tu.

— Nie warto — pokręcił głową Kos.



— Som żeś przecie chcioł — zdziwił się Gustlik.

Jak zwykle, zdecydował w ich imieniu Wasyl, energicznie zabębnił po blaszanym pudle szoferki. Kierowca przyhamował, stanął i Semen podał komendę.

— Załoga z wozu.

Zeskoczyli wszyscy — czterej pancerni i pies. Ciężarówka ruszyła, odjechała, a oni poszli dróżką obok brzeziniaka, w stronę, gdzie widać było niewysoki murek z kamienia i żelazną, otwartą bramę. Wyszedł im na spotkanie przygarbiony człowiek w drelichu powalany gliną.

— Do kogo?

— Kto żeś je? — zapytał go równie nieuprzejmie Jeleń.

— Ja grabarz — zmienił ton tamten.

— My do tych, co tu zostali od września trzydziestego dziewiątego roku.

— A to prosto, prościutko alejką. Nigdzie zbaczać nie trzeba, pójdziecie przez sam środek, aż do końca cmentarza i oni pod murem w dwóch rzędach leżą na piaseczku.

Spostrzegł Szarika, który susami wypadł spomiędzy brzóz i zaczął się łąsić do czołgistów.

— Ten pies to z panami? — zaniepokoił się. — Z psem nie wolno, cmentarz przecież — oczy mu biegały, twarz poczerwieniała z gniewu czy oburzenia. — Tam ludzie leżą na poświęcanej ziemi, wieczny odpoczynek racz im dać Panie...

— Dobrze, on tu zostanie — powiedział Kos i odprowadziwszy Szarika w cień muru, tuż koło bramy, rozkazał: — Waruj.

Zdejmując połówki weszli na cmentarz i ruszyli szeroką aleją biegnącą przez środek. Cicho tu było, spokojnie, tylko ptaki odzywały się nieśmiało w gałęziach drzew, wiatr szeleścił liśćmi i poskrzypywał blaszanymi wieńcami. Słońce stało już nisko, ślepiło w oczy, barwiło na różowo co jaśniejsze kamienie krzyży.

W połowie drogi zobaczyli starą brzozę, którą pocisk ściał parę metrów nad ziemią. Jej korona leżała skośnie, oparta czubem o mogiły, liście były zeschnięte, ale jeszcze nie pożółkłe. Dalej, tam gdzie pocisk sięgnął ziemi, jaśniał żółtym piachem lej, widniała krzywa szczerba w murze.

Mogły żołnierzy z Września były niziutkie, nieznaczące, ustawione w równych szeregach jak pluton na zbiorce. Krzyże takie same, jednakie, zbite gwoździami z palików, nawet nie okorowanych.

Szli wzdłuż tego szeregu, pochylali się, żeby odczytać na drewnianych tabliczkach zatarte deszczami napisy; dłońmi osłaniali oczy od czerwonego słońca. Napisy były krótkie: „nieznany”, „nieznany”, potem jakieś nazwisko, znowu „nieznany”, znowu nazwisko. Przy ostatnim Janek się wyprostował i cicho powiedział:

— Nie ma.

— Jakby było, to źle, a jak nie ma, to dobrze — oświadczył Saakaszwili.  
— Nie masz się czego martwić. Tu ojca nie znalazłeś, żywego znajdziesz. Słuchaj, Janek, ja ci powiem, uważnie słuchaj lewym i prawym uchem...

Pociągnął Kosa za rękę popod murek i przysiadłszy tam w cieniu na ugiętych nogach, tak jak to robią Gruzini w górskich aułach tkwiąc w kucki pod ścianami swych domów, począł mówić:

— U nas w Gruzji powiadają: była dziewczyna, był chłopiec, kochali się. Chłopiec dał pierścień dziewczynie. Szli górami wysokimi. Z lewej skała, z prawej przepaść głęboka, ścieżka wąska. Dziewczyna oparła rękę o skałę, pierścionek się zsunął, potoczył po ścieżce i wpadł w przepaść. Żal było dziewczynie pierścionka, żal było chłopcu dziewczyny. Ścieżkami kozic zbiegł na sam dół wąwozu, gdzie strumień płynął, gdzie kamienie zmielone przez wodę, jak ziarna leżą. Szukał uparcie, cierpliwie. Szukał rok, szukał drugi, szukał trzeci...

Nie wiedząc, ile czasu jeszcze gruziński chłopiec z opowieści Saakaszwili będzie poszukiwał pierścienia, czołgiści przysiedli obok Grzesia na piasku, a on ciągnął dalej:

— ...Szukał wiele lat. Wąwóz duży, pierścień mały. Wreszcie znalazł, bo kto szuka uparcie, ten znajdzie. Zaniósł pierścień do domu dziewczyny. Czekwała na niego, ale siwa już była i przygarbiona. Z żalem powiedziała do chłopca: „*Cóż nam teraz po pierścieniu, kiedy życie jak strumień popłynęło do dalekiego morza, kiedy w źródle czasu niewiele już wody zostało*”. Tak mówiła i wkładała powoli pierścień na palec. Kiedy włożyła, pomłodnieli nagle oboje — on i ona. Patrzy chłopiec na dziewczynę, na jej wargi czerwone jak pęknięty owoc granatu, na jej włosy czarne jak skrzydło kruka na śniegu.

— Saakaszwili wstał, objął Janka za ramiona i dodał: — Kto szuka wytrwale, ten nie tylko znajduje, ale jeszcze los mu w nagrodę godziny cofa na zegarze.

— Pora na nas, wieczór niedługo — powiedział Wasyl, roześmiał się swoim zwyczajem wesoło i szybkim krokiem ruszyli we cztery z powrotem.

Brama była przymknięta, grabarz się gdzieś zapodział i co dziwniejsze, nie było również psa.

— Gdzie nasz Szarik? — zaniepokoił się Grześ. — Może go ten człowiek ukradł?

— Nale, prędzy by Szarik kopidoła ukrocił, niż kopidół jego — mruknął Jeleń.

Janek kucnął, osłaniając oczy od słońca, rozglądał się po cmentarzu.

— Jest, nie zginął — ucieszył się — ale tkwi tam nieruchomo, jakby coś zwietrzył, jakby zwierza jakiego wystawiał.

— Gwizdnij — poradził Gustlik.

— Poczekaj — wstrzymał go Wasyl. — Przygotujcie broń.

Dowódca i mechanik mieli pistolety, a Janek i Gustlik automaty.

Przesunęli je na piersi, odbezpieczyli. Jeleń z niezadowoleniem burknął:

— Umrzyków bydemy strzyłoć?

— Zobaczymy. Ostrożność nie zawadzi — odpowiedział mu spokojnie Semen i rozkazał: — Wy dwaj, po lewej stronie alei, a my z Jankiem po prawej. Kryć się za mogiłami, zachować odstęp. Dam znak, to poszczujesz psa.

Zdziwieni rozkazem ruszyli jednak ostrożnie, przygięci ku ziemi, szybko przebiegali od drzewa do drzewa, od grobu do grobu.

Szarik tkwił nieruchomo na sztywnych nogach, wpatrzony w duży, kamienny grobowiec, złożony z ciosanych płyt piaskowca, podobny do kaplicy. U szczytu stał anioł z utraconą ręką. Mury miały po obu stronach okienka, z przodu grubą kratę, robioną chyba u wiejskiego kowala. Za kratą widać było płytę z resztkami złoconego napisu.

Wasyl skinął ręką, ale Kos nie posłuchał. Zamiast poszczuć psa, szepnął mu „*waruj!*” i Szarik niechętnie opadł na ziemię za szeroką mogiłą. Janek przepelznął do swego dowódcy i szeptem powiedział:

— Krata odchylona i ziemia z buta leży na kamieniu. Tam jest człowiek.

Jakby na potwierdzenie tych słów we wnętrzu grobowca zamajaczył cień, skrzypnęły zardzewiałe zawiasy i wyszedł grabarz. Mrużąc oczy od światła zobaczył psa i żołnierzy, pokiwał głową.

— Panowie tutaj, a mieli oglądać pod murem. Widać piesek przyprowadził. Dobry pies. Panom jeszcze czego trzeba?

Szarik wyszczerzył kły i warknął.

— Jak niczego nie trzeba, to chodźmy, panowie, bo noc niedaleko i zamykać pora.

Pies warknął powtórnie, obejrzał się na Janka i dwukrotnie szczeknął w stronę grobowca.

— Kto tam jeszcze jest w środku? — spytał Kos.

— W środku? Nikogo nie ma — grabarz nie oglądając się szedł do środkowej alejki.

Naprzeciw niezdecydowanie ruszył w jego stronę Jeleń.

— Tam jeszcze ktoś jest — powtórzył Janek.

Zrobił krok naprzód w stronę kraty i w tej samej chwili z okienka grobowca huknął strzał. Kula gwizdnęła tuż obok, strąciła blaszany wieniec z krzyża na sąsiedniej mogile.

Odruchowo wszyscy czterej przypadli do ziemi. Wasyl wypalił pierwszy i krzyknął: „*Ognia!*” Załoskotały dwa automaty, lecz niespodzianie odpowiedział karabin maszynowy, przy dusił seriami do ziemi.

— Pozór! — krzyknął Jeleń.

Cisnął granat i silny wybuch targnął powietrzem, strącając z wierzchołka nadtłuczonego anioła. Nim dym opadł, unieśli głowy, by znowu rozpocząć ogień, ale przez kratę tamci ze środka wysuwali na bagnecie kawałek białej szmaty.

— Wylezejcie, *raus!* — krzyknął Jeleń.

Komenda została zrozumiana właściwie i jeden po drugim z grobowca wyszło siedmiu Niemców, rzucając broń na ziemię.

— Wszyscy? Alle? — spytał Gustlik.

Unosząc ręce ku górze, zgodnie kiwali głowami.

— Dobra jest — powiedział Wasyl. — Tyle że grabarz nam zwiął.

— Jeszcze nie zwiął — odrzekł Kos. — Goń, Szarik, goń!

Wilczur rzucił się w pościg, a tymczasem Niemcy wyszli na alejkę, czekali cierpliwie. Jeleń zebrał broń, chwyciwszy rzemienie w garść, zarzucił

ją sobie na plecy jak ochapkę drewna. Wyszli przez bramę na pole i tam zobaczyli grabarza leżącego na ziemi. Szarik siedział nad nim z obnażonymi kłami i cicho warczał.

— Do nogi, Szarik! — rozkazał Kos. — A ty wstawaj!

— Nie ugryzie? — dopytywał się tamten lękliwie.

— Nie.

— Na pewno?

— To ty, pieroński kopidole, z Niemcami trzymosz? — Jeleń podszedł i wolną ręką uderzył na odlew.

Grabarz miękko zwalił się na ziemię.

— Co robisz? — krzyknął ostro Semen i oczy mu pociemniały. — Jeńca bez broni...

Janek przybladł. Niespodziane uderzenie, niespodziany okrzyk dowódcy wytrąciły go z równowagi.

— Po co ich wszystkich prowadzić? — zawołał wysokim, łamiącym się głosem. — To ci, co włosy zbierali i lalki. A ten, ten drań, dlaczego on z nimi? Dlaczego? Przecież Polak.

— Polocy som rozmaici. Ja jego bym pirszego zabił — burknął Gustlik.

— Kapral Jeleń, kapral Kos — ostro uciał porucznik, ale nie wydał żadnego rozkazu i tylko miękko, już po swojemu spytał: — Chcecie być do nich podobni?

Wzdłuż brzozonego lasu wyszli na drogę, skręcili w stronę folwarku. Przodem, równym rzędem, jeden za drugim kroczyli Niemcy i grabarz, bez komendy trzymali ręce splecione na karkach. Szarik biegał wokół nich, to z lewej, to z prawej, jak owczarek pilnujący stada. Dla niego jednego sprawa była oczywista i prosta.

Wasył, idąc z rewolwerem w rękę, patrzył w piasek pod nogi i myślał o tym, że nienawiść jest zaraźliwa jak dzuma czy ospa. Ten chłopiec powinien grać w siatkówkę, chodzić na wagary, podpowiadać na lekcjach, uczyć się i wieczorami odprowadzać dziewczyny do domów, trzymając ich dłonie w swoich, kradnąc pocałunki w cieniu drzew. Jest inaczej. Nie gra w siatkówkę, nie uczy się, chce strzelać i zabijać.

Janek również szedł ze spuszczoną głową. Patrzył na buty idących przed nim Niemców i widząc, jak miękko, ostrożnie stawiają nogi, myślał, że są inni niż wówczas w Gdańsku, gdy łomotali obcasami o bruk i krzyczeli pod

melodię werbli: *Die Strasse frei den braunen Batalionen*. Dziś byli podobni do ludzi, ale przecież...

— Może to oni zabili mi matkę i ojca? — szepnął cicho, nie spoglądając w stronę Semena.

— Być może zabili i mego — odpowiedział Wasyl.

Kos zamilkł. Pierwszy raz usłyszał, że ojciec Wasyla nie żyje, choć tyle czasu byli już razem z sobą, tyle dni spędzili w jednym czołgu, tyle nocy obok siebie przespali. Ale to on doradzał i pocieszał w sprawach najbliższych sercu, a tak się jakoś złożyło, że oni pytali go tylko o wojenne przygody lub o kształty i nazwy chmur, o to, jaką wróżą pogodę. I nie pomyśleli nawet, skąd dostaje listy, a od kogo listów nie dostaje.

Zbliżali się do folwarku. Spostrzegli ich już ludzie i między domami podniósł się krzyk:

— Szwabów, szwabów prowadzą!

— Kos z lewej, Grigorij z prawej — rozkazał porucznik. — Uważajcie, żeby ich nie pobito.

Szli chwilę w milczeniu, a potem Semen jeszcze raz podał komendę:

— Szybszy krok. Zdaje się, że dziś wyruszamy. Wozy się na drodze w kolumnę wyciągają.

Wszyscy obrócili głowy i między kłębami kurzu dostrzegli płaskie sylwetki czołgów, które w rudym świetle zachodzącego słońca wydawały się pokryte rdzą.

## ROZDZIAŁ 10. ZACHODNIA GRANICA

KOLUMNA SZŁA NOCĄ, bez świateł, na zwiększonych odstępach między wozami. Nieśli się przez mrok w niskim ryku, chrobocie stalowych łusek, jak długi, pięciokilometrowy smok z bajki wyczarowany albo raczej może jak jeźdźcy okuci w zbroje, którzy ziemię od smoka uwolnić jada.

Mijali wioski ciemne, bez jednego światła w oknach, ale przecież nie śpiące, patrzące ku nim zza płotów cieniami ludzi, powiewające zerwanymi z głowy czapkami i chustkami. Ciskano im niewidocznym, choć wiadomym i bliskim, kwiaty pozbawione przez noc barw, ale tym piękniejsze, bo kolorów ich mogli domyślić się z zapachu.

Do północy wóz miał prowadzić Saakaszwili i Wasyl kazał Jankowi spać. Kos przyjął rozkaz bez uśmiechu. Dawniej, na początku, nie pojmował, że można śnić w dudniącym silnikiem czołgu, że można zasypiać na rozkaz i budzić się na komendę. Ale przecież nauczył się tego, a najważniejsze zrozumiał, że nie należy się budzić przed pobudką, że nie można wstać wcześniej, by się potem nie spieszyć, że nie można wieczorem marzyć z otwartymi oczyma w ciemności, bo czas jest liczony i siły są liczone. Czas i siły należą nie do ciebie, lecz do załogi, do czołgu, do pancерnej brygady.

Teraz więc spał, ale budził się i znów zapadał w drzemkę. Wpół na jawie, wpół we śnie widziała mu się Polska jako marzenie i Polska jako prawda, jako rzeczywistość. Pierwsza zdawała się piękniejsza, nie było w niej takich ludzi jak grabarz i jak ci, co w Lublinie twarze odwracali, by na żołnierzy nie patrzeć. Druga była bardziej chropawa, mniej przyjazna. Nie mógł dać rady i rozstrzygnąć, która z nich lepsza. Kiedy zasypiał, wydawała mu się bliższa ta z marzenia; kiedy się budził i czuł pod plecami kabłąk metalu, skórę siedzenia, a tuż przed sobą dotykał gładkiej kolby erkaemu, kiedy przez otwarty właz nadciągały smugami zapachy z pól — lepsza wydawała mu się ta druga, trudniejsza, lecz prawdziwa.

Snęła się we śnie radość, że idą na front, gdzie okopy wyraźnie dzielą przyjaciół od wrogów, dobro od zła. Razem z tą radością splątany był lęk, jeszcze nie o siebie, o własne kruche ciało, ale o to, czy potrafi być równy

załodze, czy nie nawali jak podczas ćwiczeń, na których generał powiedział: „*przegraliście bitwę*” i Wasyl pokazywał zegarek.

Przystanęli na krótko w szczerym polu, pośród łąk. Z ziemi, jak pozbawione gałęzi, okorowane pnie, sterczały ku górze lufy baterii przeciwlotniczej. Saakaszwili obiegł czołg dokoła, macał dłońmi bandaże na rolkach, czy się nie poodparzały, a potem wrócił i zaraz ruszyli znowu.

Janek siadł za sterowniczymi dźwigniami, a Grześ, zajmąwszy jego miejsce, skręcił się w kłębek. Położył waciak pod głowę i spał smacznie. Przez otwarty właz, jak przez drzwi domu w górach Kaukazu, wchodziły gwiazdy do wnętrza czołgu i do jego snu.

Motor pracował równo, szosa była pusta i gładka. Trzeba tylko pilnować czerwonego światełka na czołgu jadącym przed nimi. Kos siedział prawie beczynnie. Od czasu do czasu poprawiał kierunek ściągnięciem drążka; zakręty zdarzały się rzadko.

Przypomniął sobie dawny bardzo wieczór. Wracał z matką i ojcem ze spaceru motorówką po Zatoce Puckiej. Tak jak dziś słysząc było spokojną pracę silnika i jak dziś lekki wiatr owiewał jego rozgrzane czoło. Siedzieli na dziobie, patrząc na coraz bliższe światła Gdańska. Nagle z jakiegoś wojennego okrętu wystrzeliła rakietą i Janek się przestraszył, drgnął. Matka przytuliła go mocniej: „*Nic się nie bój. Póki jesteś z nami, nic ci się nie stanie*”. Ojciec powiedział: „*Nie rozpieszczaj go. Zawsze z nami nie będzie. Musi się nie bać świata, również wówczas, gdy jest sam*”.

Nagłą falą przyplłynęła tęsknota. Wiedział, że matka nie żyje, a ojciec zaginął na wojnie. Do tej pory nie odnalazł najmniejszego śladu, nie ustalił nawet w przybliżeniu, co się z nim stało. Sam jest, zagubiony na dnie nocy. Prowadzi czołg w stronę frontu, na spotkanie bitew. Jeśli zginie, to nikt, absolutnie nikt...

- Co u ciebie, Janek? — rozległ się w słuchawkach głos Semena.
- W porządku. Temperatura wody i oliwy normalna...
- Nie o to pytam. Co poza tym?
- Dziękuję. Wszystko dobrze.

Gdy pociemniało przed świtem, znowu zmienili się miejscami. Teraz Janek również zapadł w sen głęboki, ciężki, a usypiając czuł tylko stwardniałe od pracy mięśnie ramion i nóg.



O szarówce wjechali do lasu i nim niebo z granatowego stało się niebieskie, nim drzewa odzyskały skradzione nocą liście, przypadli pod koronami sosen, znieruchomieli i ucichli. Coraz dalsze silniki gasły, obstępowała ich cisza, a z bliska, od zachodu, przyszedł nerwowy łoskot dział i moździerzy. W pauzach chwyтали suchy trzask serii. Od czasu do czasu szedł górą falujący pomruk silników i zwał się nagle w dół rykiem wybuchających bomb. Nawet tych bomb Kos nie słyszał i spał z twarzą wtuloną w sierść Szarika, który, bojąc się go zbudzić, jedną łapę trzymał sztywno ku górze.

— Janek... Janek, obudźże się! Spisz jak stary żołnierz. Obudź się i wyłaź. Generał przyszedł.

Tym razem zbiórka odbyła się inaczej niż zwykle — nikt nie formował szeregów, siadali grupkami w cieniu, opierając się plecami o pnie drzew. Generał stał przy grubej, prostej sośnie; palił fajkę i spokojnie czekał, aż się zbiorą.

Patrząc na czołgi ukryte w lesie, na swych pancerniaków, ważył w myśli groźną siłę, jaką stanowi osiemdziesiąt parę wozów bojowych i przeszło dwa tysiące zbrojnych, którymi dowodził.

Prawie czterdzieści lat temu ojca jego aresztowała carska żandarmeria na barykadach Łodzi. Zesłany wraz z rodziną znalazł się daleko, na Syberii. Rodzice nie doczekali, ale teraz syn wraca do ojczyzny i to z nie byle jakim posagiem.

Z przyczółka na zachodnim brzegu Wisły jest do Warszawy sześćdziesiąt kilometrów, a jeszcze sto kilometrów dalej — Łódź. Naturalnie uderzenie nastąpi nie od razu, trzeba zebrać siły. Teraz gra toczy się o utrzymanie tego skrawka ziemi, ważnego jako odskocznia. Ale potem, gdy front ruszy, pragnąłby być ze swą brygadą na ostrzu pancерnej strzały, załomotać gąsienicami o bruk, po którym ojciec szedł do przędzalni, z którego rwał kamienie w dniach rewolucji.

Generał zobaczył, że nadciągnęła ostatnia załoga, wydmuchnął kłęb dymu, wystukał popiół o obcas i zrobił pół kroku naprzód. Skośny promień słońca, jasny jak w południe, ale jeszcze nie upalny, prosto z rosy wyjęty, padł mu na ramiona i włosy.

Janek dopiero teraz spostrzegł, że dowódca jest w nowiutkim, świeżo odprasowanym, być może nawet po raz pierwszy założonym mundurze.

Srebrne wężyki na rękawach i naramiennikach świeciły nie przydymione kurzem. Jak na święto — pomyślał.

— Święto dziś, chłopcy — powiedział generał. — Idziemy za Wisłę...

Usłyszeli nagły, narastający gwizd, potem bulgot dartego powietrza nad głowami. Za lasem, w stronie drogi, którą przyjechali, błysnął ogień, huknęły wybuchy. Wronę lecącą ponad drzewami poderwało ku górze, zawirowało nią jak czarnym krzyżem, a potem spadła bezwładnie ku ziemi, zabita hukiem.

Generał nie obejrzał się, ciągnął dalej:

— Za Wisłą gwardia zdobyła przyczółek. Hitler rzucił na nią jedną dywizję, drugą. Odparli je, osadzili na miejscu. Rzucił trzecią, pancerną, nazwaną imieniem Hermanna Göringa. Tam teraz, chłopcy, ciężko, bardzo ciężko.

Urwał na chwilę, nie chcąc przecież powiedzieć, że owa dywizja ma ogromną przewagę: trzy razy tyle czołgów i siedem razy więcej ludzi niż nasza brygada.

— Niemiec bez przerwy bombarduje przeprawy, tłucze z artylerii, rzuca coraz to nowe siły do ataku i spycha gwardię ku rzece. Dowództwo wzięłoby pewno jakąś radziecką jednostkę pancerną do pomocy, ale nie ma żadnej pod ręką. Dowódca Frontu nas posyła na przyczółek. Słusznie, tak być powinno, bo tamtędy droga do Warszawy prowadzi... Wiem, że dla wielu będzie to pierwszy bój. Ale ja wam wierzę. Wiem, że dorównacie gwardii, że nie przyniesiecie wstydu. Szykujcie wozy, wkrótce idziemy na przeprawę.

Od chwili już nadciągał górą niespokojny, niski ryk silników, potem załomotała artyleria przeciwlotnicza i nad głowami czołgistów pojawiły się bombowce rozluźniające gwałtownie szyk. Z przeciwnej strony, od słońca ześlizgiwały się ku nim ostrodziobe jastrzębie myśliwców. Dobiegł na ziemię trzask podobny do darcia płótna, jeden z samolotów zadymił i wszystkie naraz, nie czekając wyjścia nad cel, sypnęły w dół bomby.

Metalowe krople zamigotały w słońcu, rosły coraz gwałtowniej. Padli na ziemię, wtulili twarze w mech i zaraz poczuli, jak drgnęło, zakołysało się wszystko. Bomby sięgły ziemi nieco dalej, za lasem. Gorący podmuch przyniósł ich huk i smród trotylu, a tuż potem w skośnych promieniach słońca zawirował kurz i grudy ziemi.

— Wkrótce na przeprawę — powtórzył generał stojąc w tym samym miejscu. — Idziemy na tamtą stronę. Zapamiętajcie, że drogi z powrotem nie ma. Gdzie my, tam granica ojczyzny. To wszystko.

Strzepnął z rękawa kurz, ruszył przed siebie, ale przystanął jeszcze i zawołał porucznika Semena.

— Wozy dowództwa przeprawiają się po pierwszej kompanii. Pójdziecie pod wioskę Ostrów, gdzie stanie sztab brygady, jako odwód. Ale nie będę was trzymał na rozjazdy, nie stać nas na to. Jeśli zajdzie potrzeba, ruszycie na pomoc.

— Tak jest, towarzyszu generale.

— Dobra... A jak tam Janek? — zapytał. — O tym zestrzelonym samolocie i o jeńcach wiem. O łobuzerze na moście nie chcę wiedzieć. Uważaj na chłopaka, bo młodziutki a gorący, byłoby go szkoda. I jeszcze jedno: chodź ze mną do samochodu, dam ci hełmofon dla niego. Sam go nosiłem, ale mam drugi. A w tym dobre słuchawki, chciałbym z wami utrzymać łączność lepszą niż na ćwiczeniach.

Parę minut później Janek przymierzył generalski prezent. Pasował, jak ulał, ale nie mógł się nim cieszyć, bo cała załoga szykowała czołg. Podczas wielokrotnych przemarszów i postojów w wozie nazbierało się sporo rozmaitych rzeczy, jakichś kubeczków, szmatek, pudełek. Teraz to wszystko usuwali, żeby się nie telepało, nie przeszkadzało w walce, żeby luźniej i swobodniej, żeby mniej żeru było dla ognia. Tylko Szarkowi po dyskusji zostawili w kącie waciak.

Sprawdzili jeszcze raz broń, amunicję, silnik. Nawet stara paliwowa pompa, którą niby na tymczasem postawili przed ćwiczeniami, sprawowała się dobrze. Wasyl pilnował porządku i kolejności, więc skończyli szybciej niż inni.

Po obiedzie nie mieli już roboty. Wleźli pod czołg, ułożyli się w trawie. Na dworze był suchy, sierpniowy upał, który koło południa wkradł się między drzewa, ale tutaj było nieco chłodniej; od gąsienicy do gąsienicy przewiewał lekki wiaterek.

Leżąc na wznak Janek patrzył na płaski spód czołgu, do którego przylepiły się grudki ziemi. Wokół okrągłego wjazdu awaryjnego wędrował zdziwiony żuk.

— Pod koniec 1942 roku, a dokładnie 17 grudnia, 24 korpus pancerny, w którym służyłem, przeprowił się przez Don pod Wierchnim Mamonem i wszedł w wyłom w szykach przeciwnika — zaczął Wasyl odgryzając słodki, żółtawy koniec źdźbła zerwanej trawki.

— Zaczekaj — przerwali mu wszyscy trzej i obracając się na brzuchy podpełzli bliżej, by widzieć jego twarz i słyszeć każde słowo. — Teraz mów.

— Poszliśmy ostro naprzód gromiąc wszystko, co przegradzało nam drogę. W ciągu pięciu dni czołgi pokonały dwieście czterdzieści kilometrów. 23 grudnia silne grupy hitlerowców usiłowały nas wstrzymać, ale zepchnęliśmy je i zdobyli wieczorem miejscowość Skosyrska. Wykruszyło się wiele maszyn, straciliśmy wiele ludzi; brygada zmotoryzowanej piechoty została w tyle, brakowało paliwa i amunicji...

— Mielicie prawo odpocząć, zebrać siły. Maszyna nie człowiek, bez paliwa nie ruszy — wtrącił Saakaszwili.

— Myśmy też tak myśleli — uśmiechnął się Semen — ale dowódca, generał major Badanow, zdecydował inaczej. O drugiej w nocy ruszyliśmy znowu naprzód, przeszliśmy całe trzydzieści kilometrów i o wpół do ósmej rano, na sygnał salwy dywizjonu gwardyjskich moździerzy, zaatakowaliśmy niespodzianie miejscowość Tacinska. Zdobyliśmy na stacji transport cystern z paliwem i pięćdziesiąt samolotów, ogromne składy żywności, a na lotnisku trzysta pięćdziesiąt samolotów: bombowców, myśliwców i transportowych, które nie zdążyły wystartować. W tym dniu Niemcy wyszli na nasze tyły.

— Nale! — westchnął Jeleń. — Trzeba było wszystko rozłomąć, spolic i uciekać.

— Trzeba było utrzymać to, co zdobyte — pokręcił głową Semen. — Tacinska leży na linii kolejowej prowadzącej z zachodu na Stalingrad. Wkopaliśmy się w ziemię i bronili. Hitlerowcy rzucili przeciw nam te jednostki, które miały z zachodu iść na pomoc Paulusowi, atakowali raz po raz. Na trzeci dzień przerwały się do nas trzy cysterny samochodowe z paliwem i sześć ciężarówek z amunicją pod osłoną pięciu czołgów T-34, nadeszła brygada zmotoryzowanej piechoty. Walki były coraz gorętsze, ale gdy z ziemi wystaje tylko wieża czołgu, to ugryźć go niełatwo. Trwaliśmy tam cztery dni i dopiero piątego nocą, na wezwanie sztabu armii, wyszliśmy nagłym uderzeniem z okrążenia już jako pancerny korpus gwardii. Dostaliśmy tę nazwę właśnie za zdobycie Tacinskiej...

— Nazwę i zegarek — przypomniał sobie Saakaszwili. — Na twoim zegarku jest napis...

— Taki korpus to siła — powiedział w zamyśleniu Janek.

— Siła — zgodził się Wasyl — ale nie dlatego, że liczny. W Tacinskiej mieliśmy już tylko czterdzieści cztery czołgi średnie i dziewiętnaście lekkich T-70, czyli połowę dzisiejszego stanu naszej brygady... Opowiadam wam o tym, bo może jeszcze dziś oddamy pierwsze strzały do wroga.

Porucznik uniósł głowę z trawy i swymi różnobarwnymi oczyma spojrzął po twarzach załogi.

— Chłopcy, pamiętajcie o dwu rzeczach, najważniejszych dla czołgisty — mówił powoli, starannie wymawiając każde słowo. — W natarciu decyduje szybkość. Jak ruszyłeś z miejsca, wal na całego, nie oglądaj się na boki, nie marudź. Szukaj tam wroga, gdzie się ciebie nie spodziewa... A w obronie — wkopuj się w ziemię po uszy, podpuszczaj blisko i bij na pewniaka...

Patrzyli nań z uwagą, a Jeleń lekko poruszał wargami, jakby powtarzając dla siebie te rady.

— Zresztą wszystko wypróbujemy w robocie — roześmiał się dźwięcznie Wasyl. — A teraz korzystajmy z okazji, spróbujmy się zdrzemnąć. Nie wiadomo, ile dni upłynie, nim będziemy mogli zasnąć po raz drugi.

Zamknął oczy, począł równo oddychać. Od strony przepraw dobiegały wybuchy pocisków, za Wisłą pohukiwała nerwowo artyleria. Janek Kos próbował myśleć to o jednym, to o drugim, ale w rytmie posapywania i oddechów przyjaciół splotło mu się to wszystko w jeden warkocz i zasnął.

Zbudzili się o zmierzchu, obmyli twarze wodą z wiadra, wdziali kombinezony, ściągnęli je pasami. Gońcy, przebiegający od wozu do wozu, prócz rozkazów przynosili wieści:

— Most rozbity... Pierwsza kompania przeprowia się promem. Jest dwóch rannych telefonistów... Podobno gdzieś ukryty niemiecki obserwator przez radio kieruje ogniem... Czołgi dowództwa na przeprawę!

Resztki dziennego światła trzymały się jeszcze rudej kory sosen, ale dołem mroczniało coraz bardziej, migotały zielono i czerwono sygnalizacyjne latarki. Jechali najpierw skrajem lasu, potem przez mostek, droga weszła między łoziny, w sypki piach. Spęzli ze skarpy w dół, mijając szkielet spalonego samochodu i rozbite, powalone na bok działo z urwanymi kołami. Pociągnęło rzeczną wilgocią i Wasyl podał komendę:

— Z wozu!

Poszli przodem do pomostu z nie okorowanych pni, a za nimi saper z latarką w ręku cofał się tyłem, pokazywał drogę mechanikowi. Saakaszwili prowadził pewnie, ostrożnie wspiął się na belki i mieląc gaśienicami wszedł na prom. Czołg chorążego Zenka już stał na przedzie po lewej, a ich wóz ustawiono po prawej z tyłu — jak dwa czarne znaki na karcianej dwójce pik. Ledwo umilkł silnik, zaterkotała motorówka, wyprężyła stalową linę, która drgając ciapnęła jeszcze parę razy o rzekę i między pomostem a burtą począł rozszerzać się pas wody.

Prom był zrobiony z dwu barek spiętych ze sobą. Prócz czołgów władował się nań pluton fizyliarów i drużyna rusznic przeciwpancernych, wskoczyło paru radzieckich żołnierzy dźwigających skrzynki z amunicją. Milczeli wszyscy, jak gdyby rozmowa mogła ich zdradzić przed wrogiem, jak gdyby cisza mogła uratować.

Wschodni brzeg rozmazywał się już w ciemności, zachodniego można się było tylko domyślać po czarnych szczytach topoli, wrysowanych na rude od pożarów niebo. Przegwizdały górą dwa pociski, werżnęły się w wodę, ale znacznie wyżej od nich, ku południowi. Zobaczyli pionowe fontanny rozświetlone na chwilę wybuchem.

Nad Wisłę od zachodu zaczął się nasuwać warkot bombowych silników. Po narastającym i gasnącym dudnieniu poznali, że nie nasze.

— Żeby wom tak w piersiach grało, ancychrysty przegrzeszone — zaklął Jeleń.

Z obu brzegów otworzyła ogień artyleria. Jak oszalałe kury po zniesieniu jajka, zagdakały szybkostrzelne 37–milimetrowe działka. Wysyłały ku górze zielone i czerwone paciorki serii, które szły najpierw stromo po liniach prostych, a potem zmęczone lotem, zaginały tor i gasły w krótkich błyskach. Basem, jak ciężkie cepy po klepisku, biły przeciwlotnicze działa kalibru 85. Nie można było śledzić drogi ich pocisków i tylko wokół widocznych już teraz samolotów wyskakiwały nagle kolczaste kłębki ognia, obłoczki czarnego dymu.

Prom płynący po Wiśle zamknięty był w tych krechach świetlnych i w huku, jak na dnie klatki. U szczytu jej narodził się gwizd, opadł w dół i wcześniej niż wybuch trysnęła za promem woda, runęła całym ciężarem na pomost, rozleciała się bryzgami. Janek zagarnął powietrze rękami jak pływak,

którego zniecka bije po głowie fala, zachwiał mu się pokład pod nogami, z całej siły chwycił gaśnicę, żeby nie spaść. Z drugiej strony czołgu podbiegli ku niemu Wasyl, Gustlik i chorąży Zenek.

— Jesteś?

— Jestem.

— Jak mokra kura — śmiał się chorąży. — Z takimi smykami tylko kłopot. Opowiem Lidce, będzie miała zabawę. On razem z nią do armii przyszedł, w jednej grupie...

— Ale cię, Janek, chlapnęło — przerwał Zenkowi Semen. — Do nas nie sięgło. Zrzucaj wszystko ze siebie... Wszystko, wszystko. Jeleń, wyzymaj, ale ostrożnie, żeby nie porwać na drobne kawałki. Kładź na płytę silnikową, to wyschnie. Grześ!

— Co takiego?

— Dawaj tu zapasowy kombinezon, bo nam Luftwaffe Janka wykapała. Dawno już taki czysty nie był.

Samoloty, zrzuciwszy bomby, odeszły. Od mostu, który bez przerwy naprawiali saperzy, niosły się krzyki i łoskot toporów. Płonęła jasnym ogniem trafiona przy wschodnim brzegu ciężarówka. Widać było ludzi sypiących na nią piasek łopatami. Ktoś na promie zapalił papierosa, ktoś inny burczał na niego, a tamten tłumaczył, że przecież tak szybko drugi raz nie przylecą.

Motorówka terkotała pracowicie, ciągnąc napiętą linę. Skośnie do nurtu przesuwali się coraz dalej. Zamajaczyły przed nimi gęste krzaki na piasku i ciemny prostokątny obrys pomostu — portu, do którego płynęli.

Zwolnili nieco u samego brzegu. Saperzy z dziobu i z rufy rzucili liny, które w locie chwyтали ich koledzy, mocowali na kołkach.

— Gotowe, ruszać.

Pierwsi pobiegli piechurzy, potem czołgi jeden po drugim spełzły z wolna na ląd, a obok nich, w przeciwną stronę, szli i kuśtykali ranni, spiesząc, by zdążyć, póki trwa wyładunek. Sanitariusze dźwigali nosze, ustawiali je ciasno jedno przy drugim. Twarzy nie było widać, bieleły tylko ręce, nogi lub głowy, a czasem szeroką plamą obandażowana pierś. Jazgotanie gaśnic głużyło słowa, słyhać było oddzielne przekleństwa, pojękiwania, urywki zdań.

— Tego zostawić. Już nie żyje. Tu pochowamy.

— Fryc lezie jak głupi, na nic nie patrzy...

— Trzymaliśmy do południa, a potem nie dało rady.

— Ostrożnie, sojusznicy, żeby was w palec nie skaleczyli.

— Z naszej kompanii tylko czternastu...

Załogi wsiadły do wozów, a na pancierzach gęsto, jeden przy drugim, rozlokowali się fizylierzy.

— Uwaga tam, bo mundur się suszy.

— Sam uważaj, żebyś nas nie zamoczył.

Prom przybił do wyspy. Przeciąwszy ją skośnie, wyszli na płytką łachę, wjechali w wodę, sięgającą prawie do wjazdu mechanika. Potem wspięli się na stromy nasyp przeciwpowodziowy. Zjechali zeń na drugą stronę i przystanęli między pniami starych topoli.

— Tu czekać?

— Czekać.

Jeleń ściągnął podsuszony drelich i Janek, nie wychodząc z wozu, przebrał się znowu. Może od tego przebierania chwycił go chłód, ciarki zaczęły chodzić po skórze. A może to i lęk.

Przed nimi, po całym horyzoncie, rozrzucone były pożary. Jedne rozpały się dopiero, żółte jak słoma owsiana, inne wiśniowe przygasały. Zdawało się, że huk wystrzałów dobiega ze wszystkich stron, że strzelają dokoła, że przyjechali na skrawek ziemi niewiele większy od tego, jaki jest potrzebny, by na nim stanęły dwa czołgi, a za plecami mają rzekę.

Z ciemności nagle wypadły oszalałe konie, niosące przodek urwany od wozu, przetętniły obok, zaczepiły dyszlem o pień i zwały się, kwicząc, zaplątane we własnej uprzęży.

Nie dalej niż sto metrów na przedzie błysnęły ogniem lufy, wyszarpując z ciemności dziwaczne, przygięte w ruchu sylwetki kanonierów. Bateria czterokrotnie uderzyła salwą i gdy zamilkła, ciemność wydała się jeszcze gęstsza niż przedtem.

Niespodzianie usłyszeli w pobliżu znajomy głos.

— Czyje wozy?

— Plutonu dowodzenia, melduje porucznik Semen — odpowiedział Wasyl generałowi.

— Dobra. Jedźcie nie do Ostrowa, lecz wprost na front. Dostajecie przewodników, oni zaprowadzą. Podczas marszu bądźcie na podsłuchu. A fizylierzy i rusznice do mnie.



Na pancierz czołgu wspiął się wysoki, smukły żołnierz w hełmie i pelerynie, z automatem przewieszonym przez piersi. Zasalutował otwartą dłonią i nie odrywając palców od krawędzi metalu meldował:

— Sierżant gwardii Czernousow — przekrzykiwał warkot silnika. — Pojechali?

Pobliska bateria znowu uderzyła raz po raz dwiema salwami.

— Porucznik Semen. Wejdźcie tu do wieży. Jeśli trzeba, to jedziemy. — Włączywszy telefon wewnętrzny, rozkazał: — Mechanik, naprzód.

Nim Grześ wysprzęglił i wrzucił bieg, usłyszeli jeszcze odpowiedź tamtego:

— Trzeba, bagnet na gardle. Jak nie zdążymy, to moich rozjadą gąsienicami.

Słowa brzmiały groźnie, ale oba głosy, i generała, i sierżanta, były tak rzeczowe i zdecydowane, że Janek dopinając ciasno słuchawki przestał czuć chłód. Wydawało mu się, że zna nie tylko dowódcę brygady, ale i tego drugiego, radzieckiego żołnierza. Wydawało mu się, jak gdyby gdzieś go już słyszał. Nie było jednak czasu na zastanawianie się, musiał pilnować radiostacji, dyżurując na podsłuchu, a jednocześnie co chwila wpadał mu w ucho głos Czernousowa, któremu Semen dał zapasowy hełmofon. Wydawało się, że przewodnik zna drogę na pamięć, jakby się urodził tu właśnie, nad Wisłą.

— Wolniej, będzie mostek. Teraz gaz... Uwaga, po prawej głęboki rów... Dwa leje po bombie, pierwszy na prawo, drugi na lewo... Znowu możesz gaz do deski przycisnąć.

Wozy plutonu dowodzenia niosły się przez noc bez świateł. Widać je było po czerwonych błyskach na pancerzu lub, gdy wóz Semena zjeżdżał niżej, na tle horyzontu. Nie sążone im jednak było walczyć razem. Gdy wjechali w las, tamte dwa przejęli inni przewodnicy, a sierżant powiódł załogę Wasyla po pagórkowatej drodze, na prostą przesiekę leśną i dwukrotnie ostrzegając: „*Wolniej, wolniej, pomalutku*”, wprowadził wóz w gotowy okop. Na nasypie zobaczyli sylwetki żołnierzy z łopatami, którzy dla nich przygotowali stanowisko.

— Wyłącz silnik.

Zrobiło się cicho. Sierżant zdjął hełmofon, wyszedł z wieży na pancierz i powiedział półgłosem:

— Zdążyliśmy. A tutaj, jak u mamy w domu. Fizylierzy gwardii osłonią wam boki. Możecie być pewni, że żaden grenadier z panzerfaustem nie podlezie. Po tamtej stronie przesieki, gdzie próchno świeci, stoi nasze działo. Z tyłu za grzbietem pagórka dwa moździerze. A przed nami, prócz fryców, już nie ma nikogo...

Słuchając przewodnika, Janek przypomniał sobie to, co mówił dowódca brygady: „*Gdzie my, tam granica ojczyzny*”. Dopiero teraz zrozumiał sens tych słów — wolna Polska sięga na przesiece do pnia spróchniałego, przy którym stoi radzieckie działo, do okopu ich czołgu. Na przedzie jest wąski pas ziemi niczyjej i dalej na zachód hitlerowcy. Jeśli odpędzą ich choćby o sto metrów — powiększy się wyzwolony kraj, jeśli zaś cofną się — ubędzie ojczyzny. Oto odpowiedzialność, którą niosą jako czterej towarzysze pancerni. Przyszło mu do głowy, że może nie tylko czterej, bo przecież Szarik jest także członkiem załogi. Uśmiechnął się i pogłaskał psa po karku.

## ROZDZIAŁ 11. W ZASADZCE

GŁĘBOKI, PROSTOKĄTNY WYKOP osłaniał wóz z przodu i boków do wysokości podstawy wieży. Lufa sterczała o dwie dłonie nad przedpiersiem. Wasyl obrócił ją w lewo, w prawo sprawdzając pole ostrzału. Janek zdjął erkaem z uchwytów, wysliznął się ze swego miejsca, przewiesił przez plecy torbę z zapasowymi magazynkami.

— To ja wyjdę. Tam na dole nie mam co robić, wyjdę i będę was ubezpieczał.

Wasyl pomyślał, że na swym miejscu w czołgu chłopak byłby bezpieczniejszy niż gdziekolwiek indziej. Nie miał prawa jednak zatrzymać go, nie miał prawa pozbawiać stanowisk piechoty dodatkowej lufy kaemu i celnego Strzelca.

— Zaczekaj — odpowiedział — przecież nie wiesz dokąd iść. Zawołam Czernousowa.

Sierżant położył chłopcu rękę na ramię i poprowadził Kosa w ciemności za czołg, a potem rowem łączącym do okopu, przy lewej burcie wozu. Stanowisko było przygotowane starannie, wryte głęboko, półksiężycem zwrócone ku przodowi. Na przedpiersiu miało miejsce dla karabinu maszynowego, na dnie drewnianą skrzynię, żeby można było przysiąść czy położyć magazynki.

— Nie strzelaj pierwszy. Czekaj, póki ci nie powiem albo póki inni nie zaczną. To zasadzka. Podpuścimy ich blisko i dopiero wtedy.

Sięgnął ręką do twarzy ocienionej hełmem od góry, przyglądał wąsy. Ten ruch również wydał się Jankowi dziwnie znajomy. Zrobił pół kroku, żeby się lepiej przyjrzeć, ale nie zdążył, bo telefonista siedzący gdzieś tuż obok, chyba na dnie okopu, powiedział:

— Wołga słucha... Rozumiem, oddaję zero czwartemu.

Sierżant odwrócił się, pochylił i wziął słuchawkę.

— Ja zero czwarty... Tak, „*Odyńce*” w lesie... na miejscu... Tak, gotowi.

Kos ustawił swego diegtiarowa i rozejrzał się. Wiele nie widział, bo mrok był gęsty. Tyle tylko, co z dołu mógł dostrzec na tle nieba: sosny wysokie po obu stronach jak ściany ulicy, a na wprost przesieka nie szersza niż trzydzieści

metrów i przodem przestrzeń wolna, jakby karczowisko, bo piach gdziegdzie jaśniejszymi plamami majaczył. Dalej, za karczowiskiem, obrys przeciwległej ściany drzew, ostry jak skalna, postrzępiona grań.

Stanowiska były na płaskiej górcie, w połowie zbocza, teren opadał w stronę przeciwnika. Za lasem na wprost kotłował pożar, iskry wyskakiwały garściami ponad drzewa i od nich jeszcze ciemniej robiło się dołem. W okopie gorzko pachniało przeciętymi korzeniami i przywiedłą trawą, a z prawej, od czołgu, metalem i oliwą.

Dość długo trwał samotnie. Doczekał się wąskiego, stromego księżycy na nowiu, który z trudem przepętał między gałęziami sosen w lewo od przesieki. Artyleria i moździerze hałasowały po bokach i z tyłu, ale leniwie jakoś, niespiesznie.

Zaskoczył go nagły gwizd, wybuchy na karczowisku. Trysnęło zrazu chyba sześć czy więcej błysków, a potem jeszcze raz, już bliżej. Patrzył osłupiały, przestraszony, nie wiedząc co robić, i dopiero telefonista chwycił go z tyłu za rękę, pociągnął na dno okopu. Janek zdążył jeszcze złapać karabin maszynowy, zasłonić lufę, żeby piachu nie nasypało. Gromy pocisków tłukły tuż obok, w powietrzu furczały i chichotały odłamki, lecz wkrótce wybuchy przeszły dalej za okop, na szczyt wzgórza.

— Wstawaj. Przenieśli ogień — szturchnął go znowu telefonista.

Śmierdziało trotylem i spalenizną, gdzieś w lesie tlił się we mchu ogień.

— *Smotri* — radziecki żołnierz wskazał dłonią nad przedpiersiem.

Janek przymrużył oczy, wpatrywał się w mrok i tam, gdzie księżyc sięgnął już światłem na karczowisko, dostrzegł niewielkie, rozmazane ruchem, pojawiające się i niknące sylwetki. Było ich coraz więcej, ukazywały się coraz bliżej.

Postawił karabin maszynowy na poprzednie miejsce, szarpnąwszy zamkiem wprowadził nabój do lufy.

— Nie strzelaj — szepnął telefonista.

Janek spostrzegł, że tamten ma słuchawkę przywiązaną taśmą do głowy i podpiętą paskiem od hełmu, a rękami repetuje karabin.

Artyleria wciąż tłukła w garb wzgórza poza nimi, pociski z ostrym gwizdem przenosiły tuż nad okopem. Kosowi zdawało się, że czuje na twarzy ich podmuchy. Nie mógł opanować lęku i za każdym razem przysiadł, wtulał głowę w ramiona.

Po lewej, w głębi lasu zerwała się gwałtowna strzelanina — odróżniał suchy łoskot karabinów, grzechotanie pistoletów maszynowych, pracowity stukot maksymów i szybkie serie niemieckich kaemów. Dźwięcznym, wysokim głosem huknęła czołgowa armata.

W tej samej prawie chwili z lasu za porębą wytrysnęła skośnie rakietą i ostry, rażący oczy blask zalał wszystko wokoło. Przysiedli obaj na dnie okopu, ale i tutaj dosięgło ich martwe światło.

— Jołki-pałki! — wrzasnął nagle telefonista. — To ty? Jechał, jechał i dojechał. A gdzie twoja sobaka, pamiętasz, jak kawał mojej szynieli urwała? Muszę uważać, bo płaszca nie mam, to mi teraz nogi poobgryza.

— To ty, Fiodor? — ucieszył się Janek. — O rany! — patrzył na uśmiechniętą, puciołowatą twarz żołnierza, tego samego, z którym jeszcze na Syberii stoczył walkę o miejsce w wagonie.

W powietrzu zawisła druga rakietą, opadała z wolna, a tamten mówił szybko, spiesząc się, by skończyć, póki nie zgaśnie.

— Jołki-pałki, aleśmy się spotkali, co? Pamiętasz, jakieś mnie bykiem zaprawił? Aż mnie w dołku ścisnęło, kiedy cię teraz poznałem... Naszych już wszystkich tu nie ma. Dowódca zginął podczas forsowania Wisły, ale w tej kompanii ja i sierżant, pamiętasz, ten z wąsami...

Światło zgasło i nagle usłyszeli groźny, niski ryk kilku silników.

— Potem pogadamy. Teraz zaraz fryc do ataku polezie.

Przez chwilę nie było nic widać, tylko coraz ostrzej wyły silniki. Strzeliła czerwona rakietą, zachwiały się czuby drzew na linii horyzontu i w księżycowe światło wyszły czarne, kanciaste pudła sunące szybko przed siebie, rosnące ku górze i wszcz. Między nimi pojawiły się sylwetki biegnących, nakryte głębokimi hełmami.

— *Agoń!* — powiedział raczej, niż krzyknął Czernousow.

Ocknął się las. Błyski wystrzałów zamigotały między pniami i nad przedpiersiem okopu. Janek słyszał ich warkot, wybierając cel dla kaemu, a potem tamte dźwięki znikły i całym ciałem czuł łoskot krótkich serii, drganie swego diegtiarowa podobne do trzepotu wyjętej z wody ryby. Widział błysk u wylotu lufy i czerwone kreski smugowych pocisków, które dziś rano starannie, co piąty układał w magazynkach. Gdy dostrzegął, że czerwony drut smugi przechodzi przez sylwetkę, gdy cel znikał, przenosił lekko lufę i znowu naciskał spust.

Za plecami raz po raz stęknęły dwa moździerze, wyrzuciły ku niebu gwizd wycichający u szczytu łuku. Miny znieruchomiały jakby na moment, przeważały i potem opadły ku ziemi gwizdząc coraz złośliwiej, trysnęły płaskimi rozpryskami ognia po karczowisku.

Na lufach niemieckich czołgów zapaliły się błyski. Urywane gwizdy i wybuchy napełniły przesiekę, ścięte drzewo pochyliło się zrazu niechętnie, a potem coraz szybciej padając, runęło na ziemię.

Wozy Niemców wciąż rosły ku górze. Przestały być niekształtnymi pudłami. Janek widział garb peryskopu na przednim pancerzu, grzyb u końca lufy. Zaciśnięty w dłoniach karabin maszynowy spłoszył mu się w nerwowej serii i zamilkł, wystrzeliwszy ostatni nabój. Zmieniając spieszenie magazyn pomyślał: Czemu nasi milczą?

Huknęła radziecka armata po lewej i w sekundę później odpowiedział jej wystrzał ukrytego w okopie T-34. Na pancerzu niemieckiego czołgu wpełzającego w przesiekę trysnęły dwa ogniki i zgasły. Wóz sunął dalej, ale teraz bez przerwy, raz po raz, jak dwu tęgich chłopów, walili na przemian to gwardziści, to Wasyl ze swej wieży. Nie wiedzieć po którym wystrzale buchnął wysoki płomień nad czołgiem, skłębił się u szczytu, okrył kapturem z czarnej sadzy. Paliwo z rozprutego zbiornika trysnęło na boki i wóz, rzekłbys stodoła po żniwach, zaświecił jak pochodnia.

Światło zalało całą porębę. Zobaczyli dwa inne zawracające wozy i uciekających skokami grenadierów. Janek gonił ich ogniem, krótkimi warknięciami kaemu zatrzymywał w biegu. W płonącym czołgu poczęła wybuchać amunicja i wreszcie wieża dźwignęła się, zwała na ziemię.

Sierżant, przeciskając się obok, położył rękę na ramieniu Kosa i krzyknął:

— *Dawolno*, wystarczy, oszczędzaj amunicję.

Nie zatrzymawszy się, podbiegł do czołgu i zastukał kolbą o pancierz.

— Nazad!

Wóz tyłem wypełznął i prowadzony przez Czernousowa odszedł przeszło sto metrów do tyłu. Równolegle doń cofali się piechurzy, pomagając ciągnąć działą artylerzystom. Przed samym grzbietem dotarli do okopów i znowu zajęli stanowiska.

— Czemu my się cofamy? Nie rozumiem — spytał Janek pucółowatego Fiodora.

— Poczekaj trochę, zaraz zrozumiesz.

— Janek, Janek! — usłyszał obok siebie głos Grzesia.

— Tutaj. Co się stało?

— Nic, Wasyl tylko kazał zobaczyć, gdzie jesteście. Szarik tęskni za tobą, skomli, zębami za nogawki mnie chwyta. Chodź z powrotem do wozu.

— Zostanę.

— Tak przypuszczałem. Przyniosłem ci nowe magazynki. Daj puste, to podładuję, bo nudno mi tam na dole i nie mam co robić, jak wy wojujecie.

Ledwo Saakaszwili zniknął w ciemności, odezwała się niemiecka artyleria. Ogień nie wędrował jak przedtem po lesie, nie szukał, lecz od razu spadł zbieżnym snopem na ich poprzednie stanowiska. Pociski rwały głębokie leje, karczowały drzewa, ścinały czuby sosen.

Trwało tak może pięć minut, może dziesięć (czas w bitwie biegnie nierównomiernym krokiem) i znowu na przeciwległej ścianie lasu pojawiły się czołgi, znowu poszła za nimi tyraliera grenadierów, siejąc przed siebie kulami. Gdy od opuszczonych okopów dzieliło ich kilkadziesiąt metrów, gdy rozerwały się pierwsze ciśnięte przez Niemców granaty, zasadzka odpowiedziała ogniem z nowego miejsca. Pancerniacy i artylerzyści bili znowu na przemian, jak młotem po kowadle, zapalili drugi czołg.

W chwilę potem płomień oślepił Janka, bliski wybuch cisnął nim na dno rowu. Gdy podniósł się przecierając oczy z piachu, armata gwardzistów milczała, słyszał już tylko wystrzały Semena. Na granicy przesieki i poręby sunął czołg z długą lufą. Janek go dostrzegł i rozpoznał: „Pantera”. Krótką serią zmiotł dwa cienie biegnące obok. W tym samym momencie ogień trysnął na przednim pancerzu „Pantery” i zgasł. Czołg wykręcił gwałtownie w miejscu, po raz drugi dostał od Wasyla przeciwpancernym pociskiem i znieruchomiał.

Kos patrzył na niego czekając ognia, ale płomień nie buchał. Dostrzegł natomiast, jak unosi się wąż i nagle z wnętrza wyskoczył człowiek, skrył się za pancerzem. Janek zrozumiał i przywarł policzkiem do kolby. Drugi i trzeci pojawili się jednocześnie i zostali skoszeni serią. Czwarty wysunął się dołem, zniknął za pniakiem, lecz potem nie wytrzymał, poderwał się do biegu i upadł po wystrzale. Piątego Kos nie zobaczył. Być może uciekł wcześniej, być może został wewnątrz wozu.

Po tym ataku ucichło. Przesunęli się znowu do przodu, na stare stanowiska; najpierw piechota, potem czołg. Rozkopywali zasypane przejścia,

ściągali ostrożnie grube konary zasłaniające przedpole. Trzech żołnierzy zostało koło rozbitej armaty, by pochować artylerzystów.

Księżyc spieszył się, odchodził na zachód, opadając coraz niżej. Chłodne smugi powietrza spływające na ziemię i wilgotny zapach traw podpowiadały Jankowi, że świt niedaleko.

Z przeciwległej ściany za porębą przeterkotała seria, potem gdzieś bardziej w lewo błysnął czołgowy wystrzał i znowu przycichło. Nawet samoloty zdrzemnęły się na lotniskach, bo niebo było puste, bez dźwięku. Pożar dogasał za borem.

Sierżant podszedł do Janka i oparty plecami o ścianę okopu palił grubego skręta, kryjąc ognik we wnętrzu dłoni. Kiedy pociągał, schylał głowę i wówczas Kos widział jego twarz oświetloną czerwono od dołu.

— A ja cię nie poznałem po ciemku. Zresztą mundur ludzi zmienia. Dopiero Fiedia, telefonista, powiedział mi, żeśmy znajomka spotkali. No i jak? Postawiłeś na swoim. Jesteś na froncie — sierżant jak zwykle pogładził dłonią wąsy. — A ja ci mówiłem, żebyś miał oczy otwarte. Góra z górą się nie zejdzie, a człowiek z człowiekiem... No, a jak, ojca znalazłeś?

— Nie, nie znalazłem... O was też się nie mogłem dopytywać, nawet nazwiska nie znałem.

— Czernousow. Łatwo zapamiętać, bo wąsy na twarzy mam jasne, a w nazwisku czarne. Powiedz, co u ciebie. Jak żyjesz, jak wojujesz?

Janek począł opowiadać o załodze, o brygadzie.

Niebo przed nimi zrobiło się granatowe, a za plecami jeszcze nie zaczynało różowieć, ale przejaśniało, nabrało odrobinę cieplejszej barwy. Światła od niego szło niewiele, toteż usłyszał raczej, niż dostrzegł, że otworzył się właz czołgu i ktoś zeskoczył na ziemię. Popatrzył, schylając głowę — od dołu lepiej widać.

— Obywatelu poruczniku, tutaj — odgadł po ruchach.

— Janek? Gdzie sierżant?

— Jestem.

— Uważajcie. My zobaczymy, co w tej panterze. Może się uda skorzystać.

— Jasne, *tawariszcz poruczyk*. Zaraz powiem naszym, żeby nie postrzelili.



— Dobra... Pójdiesz ze mną Janek. Podpełzniemy. Ja pierwszy, a ty moim śladem.

— Ja pierwszy. Lepiej umiem po lesie.

— Zgoda, tylko ostrożnie.

Minawszy czołg weszli między drzewa, skradali się od pnia do pnia, a potem przy skraju poręby wyciągnęli się na ziemi i długą chwilę nasłuchiwali.

Wrak czerniał nieruchomo o jakieś sto metrów przed nimi. Widać było wysoki zad. podcięty dołem i wysunięty ku górze, fragment obróconej wieży, a obok gąsienicę zwiniętą jak wąż, skręconą na bok. Bliżej nieco czerniały dwa wyrwane z ziemi pniaki i jasny lej po artyleryjskim pocisku.

Janek lekko unosząc głowę badał wzrokiem teren. Decydował w myśli, którądy będzie pełznął — pod cieniem kęp paproci, omijając lej po lewej stronie od pni. Obrócił się i dał znak Wasylowi. Porucznik skinął głową, że może ruszać.

Rozpoczęła się żmudna droga. Trzymając lufę erkaemu na lewej dłoni, Janek podciągnął naprzód kolano prawej nogi, wysunął prawą rękę, potem powoli przerzucił na nie ciężar całego ciała i znowu to samo, na odwrót: lewa noga podkurczona, wysunięcie lewej ręki razem z bronią, stopniowy przerzut ciężaru na lewy bok. W ten sposób przebył pół metra ze stu, leżących płasko przed oczyma.

Pełznął powoli, niespiesznymi ruchami, ale rytmicznie i wytrwale, tak jak go uczył Jefim Siemionycz, gdy podchodzili zwierza na zboczach Góry Cedrowej. Ziemię czuł całą powierzchnią ciała, wybierał miejsca płaskie, omijał zdradliwe suche sęczki, których w lesie pełno i łamią się nocą z trzaskiem podobnym do wystrzału. Starał się rozpląszczyć jak najbardziej, głowę niósł tuż przy ziemi. Rośnięte źdźbła trawy lizały go po policzkach swymi mokrymi języczkami.

Nisko, tuż ponad nimi, świsnęła garść kul, zatrzepotała z tyłu po pniach. Znieruchomiawszy słuchał, jak osypuje się wyschnięta kora. Wypatrzyli czy tylko przypadkiem? Po dłuższej chwili uniósł lekko głowę i końcem dłoni poruszył przed sobą wyschnięty krzak żarnowca. Zaszleściły strąki. Cisza, a więc nie wypatrzyli. Hałasują, żeby się nie dać zaskoczyć, żeby nie zasnąć.

Na podeszwie buta poczuł dotknięcie ręki Wasyla — porucznik dawał mu znak, by pełznął dalej. Słusznie — pomyślał Janek — zwierzę by spostrzegło, ale człowiek nie jest tak czujny. Czołgał się znowu przed siebie, minął kępę

paproci, potem pnie i wreszcie, czując już krople potu na czole, dotarł w cień czołgu. Przyległ za sterczącą z ziemi najeżoną gąsienicą, zatrzymał się na chwilę i ruszył dalej, robiąc miejsce porucznikowi.

Uniósł głowę, by popatrzeć, czy Semen jest blisko, i po drugiej stronie stalowych ogniów, tuż obok swej twarzy, zobaczył leżącego człowieka. Tamten był rozciągnięty na plecach, prawą rękę miał nienaturalnie wykręconą, podgiętą pod siebie, głowa dotykała traków i jasne włosy rozsypały się na metalu. Było dość widno, by na odległość kilkudziesięciu centymetrów zobaczyć jego młodą twarz, smużkę krwi w kącie ust i ciemny ścieg idący skośnie przez pierś.

Janek poczuł gorącą falę krwi uderzającą do głowy i nagle zrobiło mu się mdło. To nie była tarcza ani sylwetka, to nie był biegnący grenadier na celowniku, lecz człowiek. Człowiek ubrany w obcy mundur.

Trzy kroki dalej widać było cień Wasyla, który podpełznął do samego pancerza, nasłuchiwał przytykając do niego ucho, a potem odwrócił się i szepnął:

— Osłaniaj.

Janek zebrał wszystkie siły, wysunął karabin maszynowy przed siebie i strzegł przeciwległej ściany lasu. Kątem oka widział jednak, jak Wasyl dobywszy noża chwycił go w zęby, sięgnął rękami wysokiej burty czołgu, podciągnął się na niej, jednym skokiem dopadł wieży i przez otwarty luk, głową na dół, wśliznął się do wnętrza. Uczył ich wszystkich tej metody wchodzenia do czołgu, podczas której ciało nie odrywa się od pancerza, lecz przylega doń, jak ślimak do liścia.

Prócz szumu krwi w skroniach, prócz bicia własnego serca Janek niczego nie słyszał. Panowała cisza. Zdawała się trwać bardzo długo, ale być może upłynęło zaledwie 30–40 sekund, gdy wewnątrz czołgu rozległo się postukiwanie w pancerz: raz–dwa–trzy, przerwa, raz–dwa–trzy, przerwa, raz–dwa–trzy.

— Właż — usłyszał szept. — Podaj erkaem.

Janek przesunął bezpiecznik, podkradł się do wozu i osłonięty jego pancerzem od strony wroga, przekazał najpierw broń, a potem sam wspiął się na górę.

— Skacz.

Wzorem swego dowódcy, głową w dół, rzucił się we właz, prosto w ramiona Wasyla, który chwycił go w locie i postawił obok siebie.

— Nikogo. Pusty, ciepły jeszcze...

Janek zachwiał się na nogach, oparł plecami o działo. Pot chłodził mu czoło, spływał kroplami po plecach.

— Co z tobą?

— Niemiec.

— Gdzie?

— Zabity, koło gąsienicy.

— W porządku. Martwy nikomu krzywdy nie zrobi — burknął porucznik.

— Ale to ja go z erkaemu, przez pierś... I teraz leży tam, młody taki, z jasnymi włosami.

— Rozumiem — westchnął Wasyl i chwilę milczał. — Nie my zaczęliśmy tę wojnę i nie wy. Oni zaczęli. Pamiętaj o twojej matce, o Majdanku, o pluszowym misiu z urwaną łapą i wykłutym okiem... Przypomnimy sobie, że to ludzie, jak skończymy, jak odbierzemy im broń. Teraz nie wolno — tłumaczył miękkiem głosem, a potem, bez żadnego przejścia, dodał ostro i twardo: — W dole, obok siedzenia mechanika znajdź właz desantowy i otwórz. Jak otworzysz, powiedz.

Janek, macając dłońmi w ciemności, szukał długo. Słyszał, jak Wasyl szczeka armatnim zamkiem, sprawdza jego działanie.

— W porządku — mruknął. — No, jak tam u ciebie?

— Zaraz.

Trafił wreszcie ręką na uchwyt, odepchnął okrągłą stalową tarczę i wsunawszy głowę w otwór sprawdził, czy jest prześwit, czy można tamtędy wyleźć.

— Gotowe.

— Szykuj teraz pociski, tak żebyś je miał pod ręką.

Czołg widać długo był w walce, bo obmacawszy uchwyty, sprawdziwszy skrzynki na podłodze, znaleźli tylko dwadzieścia jeden. Przeliczyli raz jeszcze, zrywając kapsle bezpieczników.

— Dwadzieścia jeden.

— No to spróbujemy. Popatrz jeszcze, jak dostał, bo potem nie będzie czasu — Wasyl pokazał Jankowi dwie przestrzeliny.

Podkalibrowy przebił obie burty. Jeden otwór był błękitny, a w drugim, wejściowym, różowiało już niebo na wschodzie. Znowu od strony Niemców zaterkotał karabin maszynowy i zgasł. Przywarli obaj do peryskopów. Chwilę trwała cisza, a potem między drzewami trysnęły prawie jednocześnie dwa błyski i echo rozniosło po lesie huk armatnich strzałów.

— Dobra nasza, wyszli jak na zamówienie — powiedział Wasyl niespodzianie głośno i rozkazał: — Ładuj!

Teraz nie mieli po co się kryć. Kręcąc naraz obiema przekładniami, porucznik dźwignął długą lufę, obrócił ją w stronę, skąd padły strzały, i z twarzą u celownika czekał na trzaśnięcie zamka.

— Gotowe — powiedział Kos, dociskając rygiel i odskakując pod pancierz.

Odrzut targnął lufą. Oporopowrotnik cofnął ją na miejsce, z odryglowanego zamka z brzękiem wypadła dymiąca łuska.

— Ładuj!

— Gotowe!

— Ładuj!

— Gotowe!

Walili raz po raz, nie załując pocisków. Po jednym z odskoków Janek dopadł na moment peryskopu i zobaczył, że przed nimi, spomiędzy drzew, snują się długie jęczory ognia.

— Dostał?

Gdy znowu brzęknęła pusta łuska, Wasyl odpowiedział:

— Dostał.

Janek liczył w myśli wystrzały: szesnasty... siedemnasty... Po dziewiętnastym wrak jęknął i drgnął. Wstrząs był tak silny, że Kos ledwo nie uрониł pocisku.

— Dostaliśmy. Ale pancierz dobry, rykoszetem poszło — krzyknął Semen. — Ładuj szybciej.

— Przedostatni.

Wasyl odpalił i naciśnawszy spust karabinu maszynowego wypruł długą serię aż do samego końca taśmy.

— Ładuj ostatni i wiej dołem, ale już.

Janek zaryglował zamek i nie czekając odpalenia skoczył na dół. Przypomniał sobie jeszcze o karabinie maszynowym przedniego strzelca, więc

wymacał uchwyty MG, przesunął lufę jak najdalej w prawo i nacisnąwszy spust siał na oślep przed siebie, póki starczyło amunicji.

Potem zwinął się tak jak chłopcy, którzy chcą fiknąć koziołka, oparł barki na odchylonej płycie wjazdu i ześliznął się po niej na ziemię. Przekręcił ciało na brzuch, wypełznął szybko spod wozu, zatrzymał się dopiero w głębokiej koleinie wyrytej gąsienicami. Obróciwszy głowę spoglądał za siebie. Oddychał szeroko otwartymi ustami, chłonąc łapczywie powietrze wilgotne i czyste; wydychał smród prochu, który go dusił we wnętrzu pantery.

Nagle zmartwiał ze strachu: przez górny wjazd i przez szczeliny pod wieżą zaczął wysnuwać się ciemny dym. A więc jednak zapalili. Szarpnął się na ratunek, ale już spod wozu wyjrzała głowa, potem ramiona Wasyla i porucznik opadł tuż obok niego na ziemię.

— Ech, to wojaka. To ja mam nosić za tobą erkaem? — podał mu broń do ręki. — Wiejemy.

Las od strony Niemców osnuty był dymem. Radzieccy piechurzy pruli z automatów i karabinów maszynowych. Jeleń i Grześ osłaniali powrót kolegów ogniem z czołgu. Nie pełzli więc, lecz długimi skokami, od zasłony do zasłony przeskoczyli pustą przestrzeń, dopadli drzew i za murem pni wrócili biegiem do okopu.

— Czysta robota — powitał ich sierżant Czernousow. — Aleście mieli szczęście, że tamci akurat wyleźli na przedni skraj. Już się trzy czołgi na was piszą i jeden na naszych artylerzystów.

Podpalona przez Semena pantera dymiła coraz gęściej, zasnuwała czarnymi kłębami porębę i wreszcie buchnęła jasnym płomieniem. Jakby na ten sygnał przygasła strzelanina po obu stronach frontu.

W górze niebo było już jasne, na wschodzie zbladła czerwień, lecz promienie słońca opornie przebijały się przez dymy.

— Wasyl, o erkaemie nie powiesz? — szepnął Kos.

— Nie powiem — równie cicho odpowiedział porucznik.

— Nie mów.

Janek czytał uznanie w oczach sierżanta, stojącego obok nich w okopie, lecz tego było mu mało. Chciał się pochwalić jeszcze temu drugiemu żołnierzowi, który go pamiętał od jesieni zeszłego roku, od czasu gdy w waciaku i rękawicach z jenota jechał do armii, mając jako jedyne skierowanie strzęp gazety i jako jedyną rekomendację tygrysie uszy schowane w kieszeni

na piersiach. Chciał się pochwalić przed puciołowatym Fiedią, znajomość z którym zaczęła się od bitki, zapytać go, czy i teraz uważa, że nie powinien być na froncie, że należy go odesłać do domu. Zza ramienia sierżanta wyjrzał w stronę zagięcia okopu.

— Dokąd poszedł telefonista?

Sierżant nie odpowiedział. Cofnął się parę kroków, gdzie na dnie rowu zieleniał jakiś kształt. Przyklęknął, uniósł brezentową pelerynę. Janek zobaczył bladą twarz Fiodora z niebieskimi cieniami pod oczyma. Czernousow wyjaśnił:

— Jak zaczęliście bić z działa, to on się wychylił na przedpiersie. Mówię mu, złaż, a on powiada: „*Zobaczę, jak wojuje ten paryń, co mnie bykiem zaprawił*”. Niemcy wam odpowiedzieli i dostał odłamek pod serce.

Janek patrzył, szeroko otwierając oczy, i zdawało się, że nie pojmuje treści słów.

— Jak to tak? — spytał.

— Właśnie tak, proste.

Czując łzy napływające pod powieki, chłopak odwrócił twarz.

— Kapral Kos do wozu — rozkazał Wasyl i mijając go w okopie szepnął: — Otrzyj policzki, gwardia patrzy.

## ROZDZIAŁ 12. NOWE ZADANIE

W HISTORYCZNEJ KSIĄŻCE BITWA staje się czytelna jak partia szachów, a może nawet jeszcze bardziej prosta. Uczeń z VIII klasy łatwo podpowie Hannibalowi:

— Pora ruszyć słońce, posłać jazdę w obejście.

Słuchając rad uczniów X klasy, Napoleon bez trudu wygrałby pod Waterloo. W parę lub kilka lat po wojnie wiemy przecież dokładnie o siłach i ruchach obu stron, o stanowiskach baterii i zdradliwych jarach przecinających pola.

Ale wówczas, gdy bitwa się jeszcze toczy, jest bardziej podobna do bokserskiego meczu, w którym przeciwnicy mają zawiązane oczy. Sztaby frontów i armii znają w przybliżeniu ruchy dywizji przeciwnika. Nieustannie pracuje zwiad naziemny i lotniczy, spadochroniarze z radiostacjami lądują na tyłach wroga i obserwują jego manewry, partyzanci przekazują wiadomości, nasłuch radiowy rozszyfrowuje tajemnice. Ale duży procent pewności uzyskujemy tylko w przypadku działań wielkich jednostek. Trudno natomiast wykryć w porę ruchy kompanii i batalionów.

Jak się dowiedzieć, czy za ścianą lasu, maskowana hukiem strzelających baterii, nie podchodzi do frontu kompania czołgów, nie przesuwa się skrycie batalion grenadierów? Któż wie, dokąd w tej chwili mierzy setka luf naraz i na jaki cel skierowane zostaną nadlatujące eskadry bombowców, w które miejsce zostanie zadany cios i kiedy? Być może na zegarku nieprzyjacielskiego dowódcy dochodzi właśnie godzina wyznaczona do ataku, być może pozostały do niej minuty czy sekundy.

W jednym miejscu i o określonej porze wróg stara się zebrać druzgocącą przewagę, uderzyć masą ognia i stali, przerwać front obrony i wyjść na tyły. Wówczas gdy gdzieś zwiera się pancerna pięść, w innych miejscach dokonywane są demonstracyjne ataki lub też panuje cisza, jeśli ciszą można nazwać sytuację, w której przelatują nad głowami pociski i co pewien czas, jak pazury podstępny tygrysa, drapią po przedpiersiu serie broni maszynowej. A jednak o tej sytuacji w komunikatach wojennych pisze się, że

na takim to a takim odcinku frontu nic istotnego nie zaszło. I żołnierze nazywają te dni okresami ciszy.

Taka właśnie cisza po groźnej nocy zapanowała na leśnym wzgórzu, na którym wokół czołgu porucznika Semena broniła się kompania, dowodzona po śmierci jej dowódcy przez sierżanta gwardii Czernousowa. Przed nimi, osłonięty lasem, dogorywał pożar. Ponad nimi w stronę przepraw szły eskadry bombowców i zwały na Wisłę swój ładunek trotylu, niosły się z gwizdem pociski i wybuchały na tyłach, blokując skrzyżowania dróg. Za plecami, gdzieś w głębi lasu, ujadły gwałtownie karabiny maszynowe i grzmiały działa. Z drugiej strony poręby strzelano od czasu do czasu, odpowiadali fizylierzy i erkaemiści, ale poza tym była cisza.

Na śniadanie zjedli konserwy i chleb, popili paroma łykami wody. Mieli jej niewiele, bo tylko dwulitrowy termos, przywieziony w czołgu. Robiło się coraz goręcej i duszniej. Prażyło sierpniowe słońce, wciskając się pod korony drzew, sięgając samej ziemi. Niebo było blade, przydymione, bez jednej chmury i mimo gorących próśb całej załogi, nawet Wasyl nie mógł im obiecać deszczu.

W wozie został tylko Jeleń, dyżurujący przy dziale i peryskopach, a reszta wyszła z czołgu i siedziała w głębokiej jamie, którą wykopali pod brzuchem maszyny, pomiędzy gąsienicami. Gwarzyli ze sobą niespiesznie, to wspominając nocny bój, to troszcząc się o nie znane im losy innych kolegów. Wiedzieli tylko tyle od Czernousowa, że pozostałe dwa czołgi plutonu dowodzenia stoją na sąsiednich przesiekach, że przetrwały noc, że jeden z nich, dowodzony przez chorążego Zenka, tego samego, który ongiś w Sielcach werbował nowicjuszy do brygady, rozbił transporter opancerzony i podpalił niemiecki średni czołg T-IV.

Zbliżało się już południe, kiedy Janek, wyjrawszy z kryjówki, skinął ręką na kolegów i chwytając erkaem, z którym teraz nie rozstawał się ani na sekundę, szepnął:

— Popatrzcie, tam ktoś się skrada.

Spostrzegli, że rowem dobiegowym od szczytu pagórka sunie coś zielonego, gładkiego, jakby pudło. Potem rów się skończył i zobaczyli żołnierza w hełmie, z termosem na plecach, przebiegającego od drzewa do drzewa.



— Ej, sojusznicy, ostrożnie, bo nam obiad postrzelacie — zawołał sierżant. — *Zdrawstwuj*, Marusia.

Żołnierze wyglądali z okopu i wołali również:

— *Zdrawstwuj*, Ogoniok.

Dziewczyna zgrabnie zeskoczyła do rowu, zdjęła termos z pleców i pistolet maszynowy z szyi. Najbliżsi szli już ku niej z menażkami, wyciągając łyżki zza cholew butów, ale wstrzymała ich:

— Poczekajcie, z głodu nie umrzecie. Jest tu kto ranny?

Ruszyła w stronę ziemianki, gdzie siedzieli pokaleczeni nocą fizylierzy. Jedyne artylerzysta, który ocalał z działonu, mimo rozharatanej powyżej łokcia ręki, nie dał się również odprowadzić do szpitala. Zmieniła im prowizoryczne opatrunki, dezynfekując rany, bandażowała szybko i zgrabnie. Potem, gdy wszystko już było gotowe, odkręciła pokrywę termosu i dzieliła porcje.

— *Tankisty*, a wy co, nie głodni? Dla was też wystarczy.

Jeleń, którego zawołano z czołgu, stanął, przypatrzył się uważnie Marusi, jej czarnym brwiom wygiętym jak mongolski łuk i westchnął:

— Żebych wiedział, że taka dziouszka z bandażem przyjdzie, to bych się som czym dziubnął.

Saakaszwili sięgnął pod drzewo, gdzie rosła kępa liliowych dzwoneczków, zerwał ich kilka i przyklękając podawał jedną ręką menażkę, a drugą bukiet.

— Dla pięknej dziewczyny piękne kwiaty.

Nie odpowiedziała mu nic, tylko uśmiechnęła się, ale widocznie galanteria Grzesia przypadła jej do serca, gdyż, kiedy już wzięli resztki mięsa i kaszy, przysiadła na dnie okopu czołgistów, obok Janka Kosa. Szarik, zazwyczaj nieufny wobec nowych ludzi, tym razem jednak, być może znęcony zapachem obiadu, położył jej głowę na kolanach i pozwolił się głaskać.

— Poczekajcie, nie musicie psu oddawać. Jeszcze dla niego coś z dna wykrobiemy.

Podawał wilczurowi kaczę z mięsem i zdziwiona patrzyła, że nie je.

— Weź — powiedział Janek.

— Nie tylko ładny pies, ale i mądry.

Siadając powtórnie obok Janka zsunęła pasek spod brody i zdjęła hełm. Przycięte krótko włosy o barwie świeżo wyłuskanych kasztanów rozsypały jej się nad czołem.

— *Priviet pulemiotczyk*, chwałą tu ciebie, nachwalić się nie mogą. Mnie nazywają Marusia, albo „*Ogoniok*”, bo jestem ruda. A ciebie?

— Janek.

— Janek? Ładnie. A to co znaczy? — dotknęła palcem naszywek na jego naramienniku.

— Kapral.

— A po naszymu?

— *Mładszyj* sierżant.

— Jasne. Widzę zresztą, że z ciebie nie tylko *mładszy*, ale całkiem młody sierżant.

Grześ westchnął i zostawiwszy Janka na polu boju przy Marusi, polazł do czołgu. Z okopu wychylił się artylerzysta z obandażowanym ramieniem.

— Dla dziewczyn co nowe, to i ciekawe. Czemu ty, Marusia, tylko z Polakami rozmawiasz?

— Ja nie ze wszystkimi. Z jednym.

— Podobał ci się?

— Bardzo — pogładziła Kosa po policzku i dodała: — Na mnie już pora. Do zobaczenia.

Zarzuciła pusty termos na plecy, powiesiła automat na szyi i niczym chłopak podciągnąwszy drelichowe spodnie, odeszła. Prowadzili ją jeszcze wzrokiem, gdy przemykała się od drzewa do drzewa. Potem zeskoczyła w rów i zniknęła im z oczu.

Nie minęło pół godziny, kiedy po stronie Niemców usłyszeli warkot silnika czołgowego i dwa wystrzały z działa. Pociski przeniosły górą, rozerwały się na szczycie pagórka.

— Odpowiemy?

— Nie. Oni chcą, żebyśmy zdradzili stanowiska. Pamiętajcie, co mówiłem wczoraj o obronie? — przypomniał Kosowi Wasyl. — Ale chodźmy do wozu, bo Saakaszwili nam się zanudzi.

Jeszcze przed południem zrzucili mundury i wdziali tylko kombinezony na gołe ciała, ale mimo otwartych włazów pod pancierzem było piekielnie gorąco. Szarik pokręcił się, westchnął parę razy i z przednimi łapami opartymi

na krawędzi włazu mechanika oglądał się na Janka, czy mu pozwoli dać nura w las.

— Nie bądź za mądry. Jak wszyscy w wozie, to wszyscy. — Kos obawiał się, żeby psa nie trafiła zbłąkana kula. — Kładź się tutaj.

Przejawszy dyżur od Grzesia, Janek siedział na swym miejscu w hełmofonie podarowanym przez generała i co kwadrans włączał radiostację na podsłuch. Na fali brygady panowała cisza. Chcąc sprawdzić, czy dobrze jest dostrojony, lekko poruszył gałką, potem nieco szerzej i drgnął nagle, bo tuż przy samym uchu usłyszał chrapliwy głos:

— *Achtung! Drei... zwei... ein... Bomben!*

— *S prawa protivnik, idu w ataku, idu...*

Rozległ się gwizd, potem szybko poczęły kapać drobne kropelki dźwięków alfabetu Morse'a i znowu odezwał się ludzki głos:

— *Garit.*

Janek nie wiedział, czy głosy te przychodzą doń z bliska, czy z daleka; nie pojął, kto płonie: czy mówiący, czy może jeden z bombowców.

— Wróć na podsłuch — rozkazał mu Semen.

Niechętnie nastroił odbiornik z powrotem na właściwą falę, znalazł tam ciszę, szmer jakiś, lekkie piski. Szarik zamruczał, obrócił się dwa razy dookoła siebie i, położywszy łeb na kolana Jankowi, szybko dyszał z wywieszonym jęzorem, podobnym do płata świeżej szynki. Patrzenie na niego było trudno, bo jeszcze bardziej dokuczowało pragnienie. Semen kazał oszczędzać wody, ale pies o tym nie wiedział, wytłumaczyć mu było niełatwo.

— ...Pięc, Brzoza pięć. Brzoza pięć. Ja Oka, ja Oka... — głos Lidki dyżurującej na radiostacji brygady był stłumiony odległością; jeszcze raz powtórzyła: — Ja Oka, odbiór, odbiór — i znowu zapanowała cisza.

Od tamtej pory, kiedy zwróciła mu rękawice, widział ją parę razy z daleka, zawsze w towarzystwie oficerów ze sztabu albo chorążego Zenka, więc nie rozmawiali ze sobą. Teraz już nawet nie miał w czołgu rękawic, które nosiła, bo oddał je razem z innymi niepotrzebnymi rzeczami szefowi sztabowej kompanii. Nawoływanie „*Brzoza pięć*” nie do nich było skierowane, ale przyjął je jako ostrzeżenie. Przetarł oczy wierzchem dłoni, strzepnął krople potu z czoła, poprawił się na siedzeniu.

Znowu kilka minut trwała cisza, potem zaczęły się trzaski i piski. Odezwał się męski głos, ale słów nie można było rozróżnić. Ktoś kogoś wołał, Janek poruszył lekko gałką i zrozumiał.

- Ja Brzoza jeden, uwaga...
- Słyszę, Brzoza trzy... Brzoza dwa słyszy.
- Ja Brzoza jeden, od lewego naprzód... Lewy szybciej... Przed tobą...
- Widzę... Gotów.
- Mechanik wolniej... Ognia!... Gotów.
- Brzoza dwa, dostałem.
- Wolniej, podkalibrowym ładuj.
- Dwa się palą.
- Trzeci gotów.
- Trafienie, gąsienica, baki płoną!
- Z wozu.
- Ładuj, ładuj... O rany!
- Ja Oka, ja Oka. Brzoza pięć, czy słyszysz...

Głosy ścichły, uciekły gdzieś dalej i nagle zabrzmiało wyraźnie:

- Ogórki na grzędzie, skraj lasu, prawo pięć od komina...

Ktoś stukał w pancerz i wołał:

- *Rebiata*, wody chcecie? — nad włazem pokazała się twarz

Czernousowa.

W obu rękach podawał im hełm pełny po brzegi.

Wasył podziękował, przyjął i podając z rąk do rąk pili kolejno, po pięć łyków, licząc, żeby sprawiedliwie. Woda była letnia, miała błotnisty smak, który zostawał w gardle i na podniebieniu. Resztę na dnie oddali Szarikowi, który wychleptał ją szybko, pomrukując z wdzięcznością. Potem zwrócili hełm.

- Wasył, słyszałeś?
- Słyszałem, Brzoza to trzecia kompania.
- Bili się. Co się z nimi stało?
- Nie wiadomo, ale musiało być gorąco.
- U nas cisza. Może tam bylibyśmy bardziej potrzebni.
- Może.

Jakby w odpowiedzi na tę uwagę o ciszy, usłyszeli skrzypienie ogromnego, starego zegara, w którym pordzewiały nie nakręcane od lat

wszystkie tryby. Jeleń, siedzący na skrzynkach z pociskami, zerwał się i czym prędzej zatrzasnął włazy. Zrobił to w samą porę, bo nagle zaszumiało powietrze i jak gęsta seria grzmotów zadudniły jeden po drugim wybuchy.

— Nebelwerfer — powiedział Gustlik. — Znom chachara, oglądołem go kiedyś z bliska. Ma sześć luf razem złączonych i jak wali, to już wali.

Salwa, która położyła się w przodzie przed nimi, była tylko sygnałem. Teraz niemieckie moździerze poczęły ujadać, jak psy we wsi na przejeżdżający wóz. Odszczekiwały to z lewej, to z prawej, podniecały się nawzajem, a ogień ich, korygowany widać przez obserwatora, szukał leśnych okopów, kładł się coraz bliżej.

Odlamki, początkowo pojedyncze, dziabały po panczeru coraz gęściej, tłukły z brzękiem i odlatywały furcząc jak trzmiel. Zapachniało ziemią i kurzem, a potem nagle wstrząsnęło całą maszyną i uderzyło ich w uszy falą huk.

— Dziabnęli nas — nie wytrzymał Saakaszwili i dorzucił jedno z nielicznych, znanych mu polskich słów: — Niech ich cholera...

— Zdarza się — powiedział spokojnie Wasyl. — Nie szkodzi. Nasz koń ma mocną skórę.

— Wyjdę, zobaczę — niepokoił się mechanik. — To chyba na żaluzjach silnika.

— Zamknięte miałeś?

— Zamknięte.

— To zaczekaj, niech przestaną.

— Dobry koń — powtórzył Janek. — Właściwie trzeba by nasz czołg jakoś nazwać.

— Może Gniady — doradził Jeleń. — U mojego starzyka był gniady, nie bardzo wielki, ale dobry, wytrzymały...

— E, tam... Gniady do czołgu nie pasuje — sprzeciwił się Kos.

— Aleksander Macedoński miał słynnego Bucefała — powiedział z uśmiechem Wasyl — a Roland podczas bitwy w dolinie Roncevaux dosiadał Wejlantyfa, rączego rumaka...

— No właśnie, to może by i nasz wóz jakoś nazwać, albo uroczyście, albo jak człowieka.

— Ty byś pewnikiem chcioł, żeby się nazywoł Lidka lebo Marusia, bo terazki już som nie wiem — odciął się Jeleń.

— Daj spokój — przerwał mu Wasyl. — W ogóle zamknijcie twarze i posłuchajcie.

Miny rwały się rzadziej i bardziej w lewo. Podczas przerw między wybuchami usłyszeli lekki warkot.

— To nie czołg.

— Poczekaj, już nic nie słyhać. Może się tylko zdawało?

Z prawej burty, od strony lasu, ktoś zastukał w pancerz.

— Czego? — wrzasnął Jeleń. — Nie leżcie tam na darmo, póki minami biją.

— Otwórzcie — odezwał się znajomy, melodyjny baryton.

— Jejku kandy! — jęknął Jeleń, pospiesznie otwierając właz. — Pan generał przyszli w taki ogień...

Dowódca brygady stał na pancerzu ze swą nieodłączną fajką w dłoni i uśmiechał się.

— Nie szkodzi, mnie nie trafią. Ale nie jestem sam i chciałbym z wami pogadać, to może wleziemy do środka. Zmieścicie dwu gości? Jednego grubego i jednego chudego.

Generał mimo swej tuszy zgrabnie wszedł do wnętrza wieży, ale temu drugiemu, drobnemu chłopu w marynarce, musieli pomagać, bo zawisł we włazie i nie mógł nogami trafić na oparcie. Wreszcie jednak wciągnęli go i zamknęli włazy.

— Niech będzie pochwalony — pozdrowił tamten z ciemności.

— Na wieki wieków — odpowiedział grzecznie Gustlik, włączając światło.

Zobaczyli teraz, że chłop jest szpakowaty, od paru dni nie golony. Siwiejąca szczecina sterczała mu na brodzie i na chudej szyi, poznaczonej węzłami żył.

— Oj, ciasno tu u was — powiedział.

— Chałupka ciasna, ale własna. Wojować z nami gazdo będziecie? — Jeleń protekcjonalnie poklepał go po plecach.

— Oj, ostrożnie, panie, pomaleńku, bo to wiecie, jak ruskie przyszły do czworaków i powiadają, że będą odstępować, to myśmy z żoną akurat chleb piekli. Szkoda było zostawić, tośmy jeszcze czekali, póki się nie dopiecze, a potem jak Niemiec zaczął bić, to my gorące bochenki do worka, moja stara wzięła krowę na postronek i dawaj uciekać. Ze strachu to nic nie czułem, ale

jak już potem trafiliśmy między naszych, jak spotkałem pana generała, i pan generał kazał zabrać samochodem, co po pociski szedł, moją starą i krowę za Wisłę, to ja jej dałem worek i dopiero czuję, że całe plecy poparzone. Posmarowała mi je jedna taka żołnierka i ja bym też poszedł za Wisłę, ale z wdzięczności, skoro jeżeli trzeba pomóc...

Generał, nie przeszkadzając chłopu w opowiadaniu, otworzył torbę połową, przesunął się tak, by światło padało na arkusz mapy i powiedział:

— Chodźcie tu wszyscy. Chcę was zorientować, o co chodzi.

Stłoczyli się wokół, pochylili głowy śledząc koniec ostro zatemperowanego ołowka.

— Niemcy za wszelką cenę chcą zlikwidować ten przyczółek. Ściągnęli nowe siły spod Warszawy. Wczoraj w południe spadochronowo–pancerna dywizja „*Hermann Göring*” przerwała front. Tu, w tym miejscu. Wdarli się przez las, wbili klinem między stanowiska dwu radzieckich dywizji, zajęli wioskę Studzianki, folwark i cegielnię...

— Ja własne z folwarku, myśmy tam ten chleb piekli — wtrącił chłop.

— Potem, w nocy, Niemcy przeformowali szyki i uderzyli ku wschodowi, przez las — ciągnął dalej generał — ale natknęli się właśnie na wasze zasadzki i na czołgi pierwszej kompanii. Zatrzymaliście ich, o tym wiecie. Z rana poszli wzdłuż rzeczki, o tutaj, wzdłuż Radomki, zdobyli Chodków, ale nasza druga kompania odrzuciła ich z powrotem. Po południu ruszyli ze Studzianek na północ. Zaatakowała ich ze skrzydła trzecia kompania.

— Myśmy słyszeli — ożywił się Kos. — Przez radio słyszeliśmy.

— Tak. Poszli bez zwiadu, bez piechoty, ale nie było czasu na przygotowanie. Na wojnie nie zawsze tak, jak w regulaminie. Tarajmowicza zabili, Gajewskiego, Dackiewicza, Gusławskiego... O wszystkich nawet nie wiem jeszcze. Ponieśli duże straty, ale zatrzymali „*Göringa*”. A jutro rano będzie na tym brzegu drugi pułk. My będziemy mogli atakować.

Szarik, który od dłuższej chwili łaził wokół, znalazł wreszcie lukę i wpychając się między Jelenia i Kosa wysunął mordę nad mapę. Jedno ucho opuścił, drugie postawił i patrząc w twarz generała uważnie słuchał.

— Chodziło mi o to, byście znali ogólną sytuację. Ale dla was jest inna robota. Popatrzcie w to miejsce.

Generał pokazał na mapie oznaczone czerwonym kolorem pogięte kółko na południu za liniami niemieckiego frontu. Zewsząd, w stronę owego kółka, skierowane były ostre granatowe strzałki.

— Tam bije się okrążony batalion gwardii kapitana Baranowa. Dwa dni już walczą, bo dostali rozkaz, że cofać im się nie wolno. Teraz, gdy wykonali zadanie, trzeba, żeby przebili się do swoich. Słyszą ich jeszcze, jak walczą, ale amunicji już mają niewiele i brak łączności. Jeśli zostaną na miejscu — zginą, trzeba pomóc. Jak myślicie?

Generał uważnie patrzył na twarze załogi, przenosząc wzrok z jednej na drugą. Niewielka żarówka rzucała z góry ostre, podłużne cienie. Janek skinął. Jeleń powiedział: „*Tak jest*”. Saakaszwili podrapał się po głowie i oświadczył: „*Jasne*”.

— Trzeba do nich dotrzeć — rzekł Semen.

— Plan taki — ciągnął dalej generał. — Dwa wozy plutonu dowodzenia będą markowały atak na tej przesiece, pohałasują na całego, ściągną ogień na siebie. Wówczas wy, bez desantu, ruszycie przez las. Niemcy wojują według map, a my w swoim kraju mamy więcej dróg, niż można na papierze oznaczyć... Teraz pan ma głos, panie Czereśniak, tylko pomalutku.

— Ja pomalutku, pomaleńku... — chłop tarł szczękę, zarost zaszeleścił mu pod dłonią. — Znaczy tak: ścieżka wedle trzech buczków, co stoją nad przesieką, a tam zaraz dalej leszczyna. Jak iść prosto, to będzie jedna polanka, potem druga i trzecia, ale trzecia z błotem, lewą stroną trzeba obejść, i zaraz góreczka niewielka, na niej jeżyny. Za tą górką to już nie da rady przez las, bo tam się kończy, i takie krzaczki, jałowce rosną na piachu. Stamtąd jak popatrzeć, to widać chojniak, ten co to Ewinowem nazywają, i trzy chałupy w rzędzie ponad drogą. To tam.

— Powtórzcie jeszcze raz — poprosił generał.

Chłop powtórzył.

— Dobrze się wyznowocie w tym lesie — pochwalił Jeleń. — Gajowym byliście?

— Nie, ja to jestem studziancak. A las znam, bo jak najstarsi pamiętają, tośmy zawsze do puszczy po drzewo chodzili, tylko potem pan hrabia, znaczy się pan Zamoyski Stanisław, świeć Boże nad jego duszą, bo chyba już z siedemnaście lat będzie, jak się na aeroplanie zabił... To znaczy pan hrabia nie pozwał, a myśmy do lasu po drzewo, nie żeby kraść, bo do lasu zawsze



prawa były, ale właśnie nie przesiekami, tylko ścieżką wedle trzech buczków przez leszczybę, żeby się leśniczemu na oczy nie nawinać...

— Poruczniku Semen, jest teraz godzina 17.27.

— Tak jest, 17.27 — Semen zbliżył rękę do żarówki, przesunął nieco minutową wskazówkę.

— Tu podejście pluton naszych rusznic, żeby dopomóc gwardii, a wy odskoczycie za pagórek, przejdziecie na skraj sto dwunastej działki. Tam zatankujecie wasz wóz na polanie, uzupełnicie pociski i pojedziecie do trzech buczków, o których już wiecie. Tamte dwa wozy zaczną na dziesięć minut przed siódmą. Zaczną ostro, a wy odczekajcie, aż się dobrze rozпали cała awantura, i potem naprzód. Spieszcie się, żeby za widna wyjść do celu, bo inaczej jak nie Niemcy, to okrążeni gwardziści was po ciemku postrzelają. Nie mamy jak zawiadomić kapitana Baranowa.

— Jakby się spóźnili, to postrzelają? — spytał ze strachem chłop.

— Tak, panie Czereśniak.

— Nie poznają swego?

— Niemcy, jak ruski czołg chycą, to też nim jeżdżą — wyjaśnił Jeleń.

Usłyszeli w tej chwili, że ktoś wszedł na pancerz.

— *Tankisty* — poznali po głosie Czernousowa i otworzyli właz — podeszły wasze rusznice i jak raz Niemcy przed nami zapalili ściółkę, dymi na całą przesiekę. Korzystajcie, póki niczego nie widzą. *Spasibo, czto pomogli.* Do zobaczenia.

Jeden przez drugiego wyciągali doń ręce, ściskali dłonie. Ostatni pożegnał się generał. Sierżant zeskoczył i stał na nasypie okopu, nie odrywając dłoni od hełmu. Dopiero gdy zawarczał silnik, przestał salutować i jak zwykle pogładził wąsy.

Ruszyli na tylnym biegu, czujnie wpatrując się w dym przez celowniki i peryskopy. Odchodzili z wolna, gotowi w każdej chwili do otwarcia ognia. Dopiero gdy pagórek osłonił ich od strony frontu, rozwinęli się i poszli szybciej przesieką. Za nimi jechał generalski willys z szoferem i dwoma fizylierami, trącając niższe gałęzie srebrną anteną radiostacji.

Skręcili w lewo do polanki, gdzie zobaczyli czołg uzupełniający paliwo i amunicyjną ciężarówkę zamaskowaną między drzewami. Dowódca tankującego wozu, szczupły chorąży Zenek, machał ku nim ręką, pokazując, gdzie mają stanąć.

Janek patrzył na niego niechętnie. Początkowo trudno mu było zapamiętać, że nie chciał go wziąć do brygady, a potem jeszcze, że koło Lidki się kręcił, masło i herbatniki jej nosił z dodatkowej oficerskiej porcji, którą w załodze Semena dzieliło się równo na wszystkich. I oschły był, bardzo pilnował salutowania, meldowania, które u czołgistów stosowane było raczej odświętnie, a nie na co dzień.

Wóz stanął, Semen zeskoczył pierwszy na ziemię.

— Czego on chce? — mruknął Kos do Grzesia, pokazując mu chorążego Zenka, który podszedł i stanąwszy na baczność witał się z Semenem.

Nie dowiedzieli się tego, bo zaraz trzeba było brać się do pracy, a tamci rozmawiali kilkadziesiąt kroków dalej.

— Wiem już o wszystkim — powiedział chorąży. — Masz trudną robotę. Będę trzymał palce za twój wóz i za załogę.

— W ogóle wojna rzecz niełatwa. Ty też masz przecież parszywe zadanie. Będziesz ściągał ogień na siebie.

— Co za porównanie! My pohłasujemy, wrócimy, a wy musicie się przedzierać na tyły, prosto w paszczę tygrysów i panter... Pół godziny temu mój mechanik złapał w lesie jakąś wypłoszoną kurę. Dałem ją fizylierom, żeby oskubali i wsadzili do wrzątku. Na rosół zdążę. Słuchaj, Wasyl, mam wielką prośbę, zamieńmy się. Ja powiem generałowi, poproszę.

— Daj spokój, z jakiej racji.

— To trudno powiedzieć. Rozumiesz, ty tu przyszedłeś, żeby uczyć, a bitwa na naszej ziemi.

— Nie chciałbym być takim nauczycielem pływania, który chodzi po brzegu, boi się zamoczyć nogi, a uczniów spycha na głęboką wodę. Wykluczone. Nie mówmy już o tym — ostatnie słowa Semen powiedział surowo, twardo, ale zaraz uśmiechnął się, chwycił tamtego za ramię i dodał: — Dziękuję ci, Zenek.

Przez ten czas załoga nie próżnowała. Jeleń, że najsilniejszy, dźwigał jedną po drugiej skrzynki amunicji armatniej dla czołgu i strzeleckiej dla okrążonych piechurów. Grześ podawał je stojącemu na pancerzu chłopu, a tamten ostrożnie opuszczał do włazu, gdzie odbierał ładunek Janek, rozlokowywał we wnętrzu maszyny. Mechanicy z kompanii technicznego

zaopatrzenia uzupełniali paliwo i oliwę, technik obchodziłczołg dokoła, sprawdzał traki i bandaże na kołach nośnych.

Generał, widząc powracającego do wozu Wasyla, zawołał:

— Teraz już jest komplet, a pan, panie Czereśniak, na pewno się zmęczył. Pojedziemy, na nas pora.

Chłop zlął niezgrabnie na ziemię, podszedł zapinając marynarkę i zatrzymawszy się o dwa kroki przed dowódcą brygady powtórzył:

— Na nas pora, panie generale.

Nie ruszył się jednak z miejsca i nasadą otwartej dłoni szorował w dół i w górę po zarośniętej szczęce.

— Już jedziemy, o czym jeszcze myślicie?

— Ja tak myślę, czy oni te buczki znajdą. Nietutejsi przecież.

— Chyba znajdą.

— Ja bym tak może pokazał.

— A plecy nie bolą?

— Oj, bolą! Ale czy tu stoję, czy tam bym poszedł, to na jedno wychodzi.

— Kto wie, może macie rację, że nie byłoby źle.

— A pan generał dałby mi potem papier jaki na drzewo. Znaczy się, żeby chałupę postawić, bo czworaki spalone.

— Papier na drzewo dam. I ziemię też dostaniecie.

— Ruskie, co u nas byli, to też tak powiadali. Tylko co to cudzą ziemię obiecywać. Czy hrabina ich posłucha?

— To nie Rosjanie, to nasz rząd tak mówi. Folwarczni dostaną ziemię.

— Bo to prawda? Jak była tamta wojna, też mówili, a potem nie dali.

— Ale teraz dadzą. To prawda.

— Może i prawda... To jakby ten papier, to ja do buczków doprowadzę, tylko że dalej...

Opuścił prawą rękę i teraz lewą zaczął się trzeć po drugiej szczęce.

— Co dalej, panie Czereśniak?

— Tak mi się widzi, że dalej zabłądzą. Nie wychodzi inaczej, tylko do jałowców pokazać.

— Tam już Niemcy.

— Ja wiem, że Niemcy, ale ja bym w środku tego wozu pojechał. Tylko że musielibyście mi jeszcze coś dodać.

Szarik, który napotkawszy znajomych zdążył się tymczasem pożywić i wychłęptał do syta wody z leja po artyleryjskim pocisku, widząc, że jego załoga pracuje, przybiegł do generała i uradowany, że nie musi siedzieć w czołgu, począł się łąsić. Generał przytrzymał go za łeb i, wyciągnawszy w bok lewą rękę, zawołał na jednego ze swych fizylierów.

— Zabierz fajkę. Pies dymu nie lubi.

Mając obie ręce wolne, głaskał zwierzę, namyślał się.

— Coś trzeba by wam dodać, powiadacie. No to co? Świniaka może czy pieniądze?

— Czy to ja na jarmarku, żeby pieniądze czy świniaka targować? — oburzył się Czereśniak. — Karabin byście musieli dać.

— A potraficie strzelać?

— Jakżeby? Za pierwszej wojny to i ja byłem młody, u cara Mikołaja wojowałem. Ale i bez tego bym potrafił. My, tutaj mieszkający, naród leśny, jak powiadają — puszczański, i bez wojska wiemy jak strzelać.

— Dobrze. Dojedziecie z nimi do jałowców, a jak stamtąd wrócicie?

— Zwyczajnie, piechotą.

— A Niemcy?

— Jak mnie leśniczy nie widział, to i Niemiec nie dojrzy. A jak dojrzy, to będę miał przecież karabin. Niemiec straszny, jak on z karabinem, a u pana generała, na ten przykład, ręce gołe. A kiedy by tak, na ten przykład, pan generał miał karabin, to już nie taki straszny. Ja zresztą mam z nimi rachunki...

Nie dokończył, bo wspomniał właśnie, jak na wiosnę tego roku zabrali mu Niemcy świniaka i złość go taka wzięła, że już dalej słowa z siebie nie mógł wydobyć.

## ROZDZIAŁ 13. NA TYŁY WROGA

— TO TE BUCZKI?

— Jakby te same, ale za szybką.

— Pójdźcie haw, ojciec — Jeleń uchylił właz, podsadził starego, żeby mógł wyjrzeć na zewnątrz i jeszcze raz spytał: — Te czy jakiesik inne?

— Te same, tylko przedtem były za szybką, a teraz na własne oczy widziałem.

— W boju was, ojciec, wytyrkać nie bedem, boby utłukli. Przywyknijcie se, że będziecie się dziwać przez peryskop.

— Przez co?

— Przez tę szybkę. Takie okienko nazywa się peryskop. A terazki wiemy na pewno. To je ważne, bo jak szpacyr zaczniemy od kościoła, to potem już idzie.

Zamaskowani przywiązany do pancerza gałęziami, stali na skraju poprzecznej, idącej ze wschodu na zachód, przesieki. Ciasno było w czołgu. Wszystkie uchwyty wypełnili pociskami, pod nogami bokiem mieli ustawione skrzynki z nabojami dla piechoty i jeszcze przed samym odjazdem oficer saperów brygady wtrynął im na siłę dwa spore kuferki z minami, uparcie twierdząc, że się przydadzą.

Prócz tego przybył Czereśniak. Stał po prawej stronie wieży, przed Jeleniem. Na siwą głowę wdziali mu hełmofon, żeby słyszał i sam mógł mówić, gdyby zboczyli z drogi. Kłopotu było sporo, bo najpierw nie mógł pojąć, że zamiast krzyčeć ma spokojnie gadać przed siebie, w powietrze, i mimo dudnienia silnika doskonale usłyszą go wszyscy i on wszystkich usłyszy, „*jakby przez radio nadawali*”. Potem, kiedy już nauczył się korzystać z telefonu wewnętrznego, wybuchła sprzeczka o karabin. Czereśniak wszystkie kieszenie wypchał nabojami, przewiesił sobie broń przez plecy i w żaden sposób nie chciał odstawić do kąta.

— Ojciec, przecież mi tą flintą oczy wydziubiecie. Co za uparty człowiek! — złościł się Jeleń.

Wreszcie stanęło na tym, że karabin ulokowano w wieży, przyczepiono do uchwytu na pociski, żeby „*był pod ręką*”. Czereśniak stał teraz spokojnie i

grzebiąc coraz to w innej kieszeni, pobrzękiwał nabojami. Mimo że w czołgu było gorąco i duszno, nie chciał zdjąć marynarki. Pot mu spływał po twarzy, rozmazywał się na policzkach.

Najcięższa jest bezczynność i oczekiwanie. Tkwili pod pancierzem w ciszy, w upalnym mroku, kombinezony lepiły się do spoconej skóry, płucom brakowało powietrza. Włazy jednak trzymali zamknięte. Wentylatory nie pracowały — oszczędzali akumulatorów. Podobni byli do podwodnego okrętu przyczajonego na dnie zielonej wody leśnego morza.

Saakaszwili trącił łokciem Kosa i odginając duży palec ku górze pokazał, że wszystko będzie dobrze. Janek skinął głową, poprawił kolbę erkaemu tkwiącego w uchwycie o dwie dłonie od jego ramienia. Pochylił się w prawo, potargał psa za kudły. Szarik obrócił mordę, począł lekko chwytać zębami za palce. Jeden Wasyl siedział spokojnie na swym siodełku, rozglądał się wokół przez peryskopy.

Gustlik czując, jak mu zasycha w gardle, trącił ręką Czereśniaka.

— Mocie ojciec strach?

— Jakże, mam. A ty mnie nie szturchaj, bo plecy bolą. Mówiłem przecież, że jak chleb niosłem, tom sobie poparzył.

— Wiem, pamiętom, czwarty roz opowiadocie... Już chyba zarozki ruszymy... — w głosie Jelenia trudno było odróżnić, czy to stwierdzenie, czy może pytanie do dowódcy.

Saakaszwili zerknął na świecąca w mroku tarczę czołgowego zegara. Dochodziła szósta pięćdziesiąt.

— Uwaga, załoga — spokojnie powiedział Wasyl. — Za minutę tamci zaczną. Ładuj, Gustlik, odłamkowym.

Jak gong w teatrze, zapowiadający odsłonięcie kurtyny, zgrzytnął pocisk wsuwany do lufy i trzasnął zamek.

Jeleń, wykonawszy rozkaz, przywarł czołem do bocznego peryskopu. Zobaczył przyczajonych obok fizylierów, którzy ich strzegli przed niespodziankami na pozycji wyjściowej. Dalej, między dwiema brzózkami, sterczała lufa czołgu chorążego Zenka. Ktoś obcy wziąłby ją pewno za ułamany, pochylony drąg, ale Gustlik wiedział, że to lufa. O, teraz drgnęła, uniosła się troszkę i przesunęła w prawo szukając celu. Trzeciego wozu nie było widać, stał gdzieś dalej w prawo, przesłonięty pniami.

— Ojciec, macie strach? — zaczął znowu Jeleń, ale w tej chwili w słuchawkach rozległ się niski gwizd i potem głos:

— Grab trzeci, uwaga.

— Ja Grab trzeci, słyszę. Jestem gotów.

— No, to zaczynamy, ale z iskrą. Ognia!

Huknęły naraz armaty obu tamtych czołgów, rozjazgotały się karabiny maszynowe, zakaszłały moździerze i gdzieś w tyle uderzyła bateria haubic.

— Silnik w ruch — podał komendę Wasyl.

Świsnęło sprężone powietrze, zaszumiało wytrącone ze spoczynku koło zamachowe, nabrało pędu. Zgrzytnęły tryby w momencie, gdy Grześ przerzucił wirującą siłę bezwładu na silnik, i nagle zagrało naraz czterysta pięćdziesiąt koni mechanicznych, tłumiąc hałas rozpalającej się walki.

— Ruszają — zameldował Jeleń.

Najpierw dalszy, niewidoczny do tej pory wóz wspiał się na okop, wylazł unosząc wysoko łeb, obalił sosenkę i przejechawszy kilkadziesiąt metrów przystanął prowadząc gęsty ogień. Teraz ruszył chorąży Zenek, zniknął Jeleniowi z oczu za drzewami i nagle, poprzez huk wystrzałów, wdarło się pod pancierz czołgu gwałtowne: „*urra!*” piechoty. Niemcy odpowiadali coraz gęściej, ostrzej. Jeleń w szczelinach między pniami sosen, jak za gęstym płotem, zobaczył jasne pasmo płomienia.

— Poli się!

— Co się pali? — spytał Wasyl.

— Nie wiem, za drzewami.

Znowu do ich uszu dotarł okrzyk nacierających gwardzistów, wybuchy zaczęły skakać po przesiece. Janek pomyślał, że chyba teraz właśnie, że już czas, i usłyszał spokojny jak zwykle głos Semena:

— Naprzód, Grześ.

Ruszyli. Gęstwa sosenek i brzóz rozsunała się przed nimi, wóz wgarnął pod siebie pnie i korony, wytoczył się na przesiekę jak ogromna, krzaczasta kępa i nabierając pędu, wpadł w leszczyny. Giętkie pręty wstały po jego przejściu, przesłoniły czołg przed oczyma fizylierów.

SZLI ŚLEPO, JAK PŁYWAK w gęstej, zastalej wodzie pokrytego rzesą stawu. Krzewy przesłaniały im widok tuż przed wozem. Zielony cień zdawał

się być wilgotny i lepki. Zmrużyli oczy przy peryskopach, gdy zamigotało światło. Zobaczyli polankę z dziką gruszą pośrodku.

— Dobrze? — spytał Wasyl.

— Dobrze, panie — odrzekł Czereśniak. — Bardzo dobrze, jakbyście do naszego lasu na grzyby chodzili. Tu teraz będzie gładko, można poganiać.

— *Goni maszynu* — rozkazał porucznik i w jego głosie z radością wyłowili wesołe nutki śmiechu.

Grześ przycisnął gaz nogą i zablokował na ręcznym — pojawiły się grube drzewa, rzadkie co prawda, ale trzeba było wypatrywać pni, na czas robić uniki, jak w tańcu, kiedy gości zwali się wielu na wesele, a izba ciasna.

Co my tak, to na lewo, to na prawo — zaniepokoił się przewodnik.

— Musimy — wyjaśnił Jeleń. — Całego lasu przeca walić nie bydymy, wy se potym z cieśliczką przyjdziecie...

— Nie gadać — rozkazał Wasyl.

Czołg dudniąc silnikiem darł się przez las. Nieco z prawej mignęło im światło, zobaczyli drugą polankę.

— Od sie! — wrzasnął Czereśniak.

— Co takiego? — nie pojął Saakaszwili.

— Bier w prawo — wyjaśnił Jeleń. — On do ciebie jak do konia. Jeny dej pozór, bo ci batem po karku przygrzeje.

Przemknęli skrajem polany, znowu dali nura w las. Krzaki teraz były rzadsze i niższe. Wzięli okrakiem pod gąsienice wążutką, ledwo widoczną ścieżynkę. Wasyl dostrzegł z wieży żółtawe leje po pociskach i rozkazał:

— Wolniej.

Grześ zrzucił gaz, manewrował, ale wszystkich nie dało rady wyminąć. Wóz potknął się, zachybotał, począł przewalać z boku na bok.

— Ale rzuca! Jak diabłem po święconej wodzie — stwierdził Czereśniak.

— Trzecia polanka.

— Ano trzecia, przeciem mówił. Teraz *k'sobie*, bo błoto.

Wypadli na pustą przestrzeń, większą niż poprzednie. Po drugiej stronie sterczała z lasu okrągła kępa przyschniętych liści.

— Tego krzaczką nie było — zdziwił się Czereśniak. — Kto też ten krzaczek...

— Cały gaz! — energicznie przerwał mu Wasyl. — Taranem.



Wpatrzony w tę przywiedłą kępę, dostrzegł błysk metalu poprzez liście, a obok na trawie trzech grenadierów w cętkowanych panterkach, w osuniętych na czoła hełmach. Zbyt blisko byli na strzał.

Tamci, zoczywszy czołg, zawahali się na moment i to ich zgubiło. Gdy skoczyli do działa i załadowali pocisk w lufę, wóz był o kilkanaście metrów. Nie zdążyli przytrzasnąć zamka i tylko w nagłym przestrachu prysnęli na boki. Zgrzytnęło pod brzuchem wozu, targnęło całą maszyną, podrzuciło. Semen w lewym peryskopie dostrzegł na moment sylwetkę oficera, który spomiędzy drzew wystrzelił ku górze raketę.

— Z prawej drugi pak<sup>1</sup> obracają pierony — zameldował Jeleń. — Jak nic przygrzeją nam w zadek.

Czołg gnał przed siebie pełnym gazem, silnik grał na wysokich obrotach. Świsnął elektryczny motor, zgrzytnęły tryby, cała wieża błyskawicznie obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni. Wasyl starał się chwycić na celownik niemieckie działo przeciwpancerne, ale tamci byli szybsi. Już obrócili lufę, przyklęknęli za tarczą. Zobaczył błysk i ułamek sekundy bezradnie czekał na wybuch. Pocisk jednak minął czołg i Wasyl odpalił prawie na oślep, bo przesłoniły ich krzaki.

Tuż potem wyszli na szczyt pagórka i zaczęli zjeżdżać po lekkiej pochyłości w dół. Wieża znowu wykonała błyskawiczny obrót i Jeleń sam, bez komendy, załadował pocisk.

— Laboga, jak na karuzeli, na jarmarku. We łbie się kręci.

— Ojciec, tu już jałowce. Wysiadocie?

— Gdzie zaś, ja z wami.

Wyskoczyli na ugór, porośnięty z rzadka błękitnawymi kępami jałowców. Spod gąsienic trysnęły ku przodowi wysokie pióropusze piachu, omotał ich kłęb kurzu.

— Przed nami okopy. Janek, nie próżnuj!

Przy ostatnich słowach Wasyl odpalił i bliski wybuch wskazał Kosowi cel. Z góry więcej widać niż ze stanowiska kaemisty, więc dopiero teraz zobaczył poprzez kurz zygzakowatą linię rowów, a nad nią hełmy, trzy w jednym miejscu, i ręce grenadierów przestawiające karabin maszynowy.

---

<sup>1</sup> — Pak — Panzerabwehrkanone — niemiecki skrót oznaczający działo przeciwpancerne, nazwa używana i przez polskich żołnierzy w stosunku do dział przeciwnika (przyp. aut.).

Czołg chybotął, złowić na celownik było niełatwo, więc wypruł długą serię, żeby, jeśli nie trafić, to chociaż przygiąć tamtych do ziemi. W lewo od nich spostrzegł wysokiego draba z pancierzownicą na ramieniu. Byli już blisko, więc tylko ruszył lufą, pociskając jednocześnie spust. Nie wiedział, czy trafił, bo wóz podskoczył na nasypie przedpiersia i gnał dalej przez pole.

— Gdzie domy? — spytał Wasyl.

— Ano nie ma, ale komin chyba widać, gdzie te dwie sosny.

— Mechanik w lewo. Jeszcze w lewo, dość.

Krótki gwizd, wybuch. Ściana piachu przesłoniła komin i sosny. Tuż potem drugi wybuch.

— Ciężkie moździerze — mruknął Jeleń.

Poculi nagle, jakby ogromna łapa wparła się w łeb czołgu, wstrzymała go na moment i szarpnęła ku górze. Zwalił się na nich huk, od którego zabolalo w uszach, kurz i dym wypełniły wnętrze. Szarik zawył krótko i urwał.

— Zdrowaś Maryjo, plecy! — wrzasnął Czereśniak.

Czołg nie stanął, zwolnił tylko i dalej pracowicie mełł piach gąsienicami.

— Pompa wysiadła — ochryplym głosem zawołał Saakaszwili. — Idę na ręcznej.

— Dojdiesz?

— Dojdę.

— Gustlik, rakiety.

Zgrzytnął zamek wjazdu. Jeleń przez chwilę mocował się z nim, szarpnął i wreszcie krzyknął:

— Zaćpało pierona, zaklinowało.

— Uwaga, przed nami nasi. Wolniej, w prawo, jeszcze w prawo. Hamuj!

Było późno. Wasyl widział, jak z okopu przed nimi unosi się pleczysty żołnierz w poszarpanym mundurze, z jasnymi włosami, opadającymi spod hełmu na czoło i, krzycząc otwartymi szeroko ustami, ciska wiązkę granatów.

Wybuch uderzył w pancierz, czołgiem szarpnęło. Czereśniak zwalił się na skrzynki z amunicją, na niego Gustlik. Zgasł silnik, stanęli w miejscu. Zapachniało dymem. Saakaszwili boleśnie kropnął głową o pancierz, rozbił prawe kolano i wściekły, bo również widział przez wizjer, kto ich atakuje, nie wytrzymał — otworzył wjazd i krzyknął na całe gardło:

— Durak, gdzie masz oczy? Swoich bijesz, wóz niszczysz — i tu dodał parę słów, których powtórzyć nie sposób.

Wasył włączył kontakt. Prąd elektryczny przebiegł po przewodach na tył czołgu, iskra zapaliła świecę dymną, umocowaną na pancerzu. Gęste kłęby trysnęły na boki i w górę, osłoniły ich żółtą śmierdzącą chmurą.

— Mechanik, uruchom silnik i trzymaj na obrotach. Gustlik, podsadź no się pod ten właz, spróbuj, czy go nie ruszysz.

Jeleń zesunął skrzynki pod nogi, wlaź na nie i wsparłszy plecy w metalowy krąg począł rozginać się, opuszczając głowę coraz niżej i sapiąc ciężko. Puściło wreszcie. Kłapa z trzaskiem odskoczyła ku górze.

— Mechanik i Czereśniak na miejscu. Reszta z wozu.

Wyskoczyli po pancerzu na ziemię. Zerwana gaśienica leżała długim węzłem. Szczęśliwie, że na małej szybkości nie zdążyli z niej zjechać. Tuż obok w gęstym dymie majaczyły sylwetki czerwonoarmistów z automatami wymierzonymi w ich piersi.

— Wy kto? — spytał groźnie ten sam, który cisnął granaty i stał teraz najbliżej z niemiecką snajperką w garści.

— Do kapitana Baranowa, pakiet.

Przez dym przedarł się drobny, niski człowiek z obandażowaną głową, z oficerskimi naramiennikami na spłowiałej, poplamionej bluzie. Twarz miał czarną od kurzu, zaczerwienione oczy łzawiły ni to od dymu, ni to z niewyspania.

— Ja Baranow.

Porucznik Semen z polskiej brygady pancерnej. Tu macie rozkaz dowódcy. Ale jak tak będziemy stać i nie zepniemy gaśienicy, póki dym, póki się Niemcy nie połapali, to nas wszystkich rozwałą.

Kapitan nie powiedział ani słowa, wziął pakiet i dał ręką znać swoim żołnierzom. Rzucili się na pomoc. Gdy czołg przesunął się na gaśienicy, kaszłąc i dusząc się w dymie, spięli ogniwa. Wóz ruszył powoli, prowadzony przez jasnowłosego snajpera, i przeszedł za linię okopów.

Zrzucona na piasek świeca dymiła jeszcze, osłaniając ich przed wrogiem. Przejechali może pięćdziesiąt metrów w głąb pozycji, skręcili za rumowisko spalonej chałupy i przystanęli za stertą cegieł. Słońce już skryło się za horyzont, na wieżę sphywał mrok, ale Niemcy zauważyli ruch, oddali dwa strzały na chybił trafił. Pociski przeniosły, poszły daleko na tyły.

Grześ wyłączył silnik, zadzwoniła im w uszach cisza. Z północy, w stronie skąd przyjechali, dudniły echa bitwy, ale tu był jeszcze dziwny spokój.

— Sprawdzić stanowiska i z wozu.

Wychodzili pojedynczo, niespiesznie, jakby niepewni swoich własnych ruchów i siły mięśni. Siadali na ziemi, nie mogąc opanować dygotania rąk. Dopiero teraz, po stoczonej walce, zwałił się na nich strach i zmęczenie, ciężar nerwowego napięcia i tamtej nie przespanej nocy.

Czereśniak, trzymając w garści karabin, ułożył się na brzuchu, lewą rękę wsunął pod czoło. Szarik z podtulonym ogonem legł przy Janku, dyszał ciężko i popiskiwał. Patrzyli na stojący obok czołg wzrokiem, jakim patrzą chłopcy na śmiertelnie rannego konia. Pancierz był chropawy od płatów nadpalonej, porysowanej farby, okopcony po bokach, znaczony krechami draśnień. W takim stanie dotarli na miejsce, ale to mniej niż połowa zadania. Jak teraz wyprowadzą uszkodzoną maszynę? Czy sami wyjdą z życiem?

Dowódca radzieckiego batalionu siedział opodal na dnie dawnej piwnicy, której strop rozwalił pocisk i osłaniając się rąbkiem peleryny, czytał rozkaz, porównywał go z mapą. Młody, dziobaty fizylier, równie szczupły jak jego dowódca, przyświecał kieszonkową latarką. Ogromny, jasnowłosy Sybirak ze snajperskim karabinem w ręku stał oparty o ścięty pień sosny i w milczeniu spoglądał na czołgistów.

— Chłopcy — powiedział cicho Wasyl. — Chłopcy! — powtórzył z naciskiem.

Opanowali drzenie rąk, wyprostowali się, patrząc na Semena.

— Meldujcie, co u kogo.

— U mnie w porządku — powiedział Jeleń. — Ciepneło po włązie, ale już teraz w porządku.

— Pompa paliwowa wysiadła — z żalem zaczął Saakaszwili. — Jeszcze wtenczas, przed ćwiczeniami, mówiłem: „*Dajcie nową*”. Dali starą, powiedzieli, że zamienią. Nie zamienili. Na ręcznej paręset metrów przejadę, więcej nie da rady. I kolano potłukłem, boli jak cholera. Żeby tu choć była ta ruda Marusia, co na tamtej pozycji...

— Lampy rozbite po ostatnim wybuchu — przerwał mu Janek. — Łączności nie ma i nie będzie.

Rozumieli, że są teraz jak człowiek głuchy i kulawy, nieprzydatny w bitwie.

Mały kapitan wyszedł ze swej piwnicy, przysiadł obok Wasyla.

— Dostało wam się.

— Dostało.

— Głupio, że to od naszych, ale sami wiecie.

— Wiem. Mieliśmy strzelać rakiety, ale odłamek zaklinował właz.

— Będziemy się przebijać o świcie. Nie wiem tylko, czy dotrwamy. Niemcy leżą raz po raz, a ludzie mają po dziesięć sztuk amunicji.

— Mamy dla was amunicję.

— Mądrze. Do działa też dacie parę pocisków? Została mi jedna siedemdziesiątka szóstka.

— Damy. Tym bardziej że nasz wóz tu zostanie, z miejsca może walczyć, a z jazdą gorzej, nie da rady. Pójdziemy z wami pieszo. Dwa erkaemy też się liczą.

Baranow rozesał gońców. W zapadającym mroku do czołgu poczęli ściągać piechurzy. Jeleń wydawał im skrzynki z nabojami. Pociski artyleryjskie brali po dwa do rąk, nieśli pod pachami.

— Myny też mamy przeciwko piechocie.

— Nie ma komu stawiać, ludzie śpią. Nad ranem je zakopujemy, przed odejściem. Teraz jeden tylko w każdej drużynie dyżuruje, budzi, jak Niemcy leżą — spojrzął na zegarek i dodał: — U nich *Ordnung* — porządek, panuje. Biją się według zegarka. Zobaczycie, że za kwadrans poleżą.

— Nie macie czym pocisków do działa przewieźć? Szybciej by było.

— Mam dwa konie, ale je chowam. Rannych przecież trzeba zabrać.

Baranow mówił powoli, wrywając każde słowo z głębi piersi. Był obojętny, jak człowiek śmiertelnie zmęczony. Dopiero wstając ożywił się nieco.

— Idę, bo zaraz się zacznie. Nie miejcie żalu, głupio wyszło. Z całego serca jesteśmy wdzięczni, bo tak to część się przebije, a gdyby nie rozkaz, wszyscy byśmy zostali w tym piachu.

O określonej przez kapitana godzinie Niemcy rzeczywiście ruszyli do ataku, strzelając z daleka. W ciemności widać było tyralierę po błyskach luf. Szła coraz prędzej. Wspierały ją moździerze bijące w malutką radziecką wysepkę. Gwardziści trwali cicho i dopiero z krótkiego dystansu otworzyli gwałtowny ogień.

Załoga była w czołgu, Wasyl powiedział:

— Pomogły im te naboje. Jakbyśmy świeżej krwi przywieźli.

A potem bili z armaty i karabinów maszynowych, nie oszczędzając, bo przecież i tak nad ranem będą musieli wystrzelać do reszty.

Kiedy ścichło, usłyszeli jeszcze obok czołgu dwa wystrzały karabinowe. Wyrzeli na zewnątrz, zza pancerza — stojąc jeden obok drugiego, prowadzili ogień Sybirak i Czereśniak.

Po błyskach wystrzałów i huku walki zrobiło się bardzo ciemno i cicho. Wrócił Baranow, ponownie przysiadł obok Wasyla. Powiedział:

— Tak jakoś głupio wyszło...

Nie dokończył zdania i pochyliwszy głowę na kolana, zasnął.

Drobny fizylier siadł nad nim w kucki i obiema rękami trzymał przy piersi automat. Głowa mu się chwiała, opadała i wtenczas uderzał brodą w lufę, budził się i znowu czuwał.

Czołgiści milczeli. Janek między kolanami trzymał łeb Szarika, przyglądał mu się i drapiąc psa za uszami, poszeptywał coś cicho.

— Jeden będzie czuwał, a reszta musi spać — powiedział Semen. — Ja zaczynam kolejkę.

Gustlik i Grzegorz posłuchali od razu. Kos został.

— Wasyl...

— Co takiego?

— Napisz do generała meldunek, że nam pompa potrzebna.

Porucznik nie od razu zrozumiał. Zastanawiał się chwilę w milczeniu i wreszcie stanowczo odpowiedział:

— Nigdzie nie pójdziesz.

— To może ja, panie poruczniku — wtrącił się niespodzianie Czereśniak. — Plecy mnie bołą, ale bym poszedł. Samemu to by mi nawet było bezpieczniej, niż tak wszyscy razem. Karabin mam, naboje mam...

— Kto inny pójdzie, nie ja i nie on — przerwał mu Kos i targając Szarika za kudły, uparcie powtórzył: — Napisz.

Wasyl zrozumiał. Nie wierzył, że to się uda, ale nie chciał robić przykrości Jankowi i nie miał prawa odrzucić żadnej, najmniejszej nawet szansy uratowania czołgu i załogi. Szansy wsparcia odwrotu wydzierającego się z okrążenia batalionu. Poszedł do czołgu i przy świetle małej, gołej żaróweczki, podświetlającej przyrządy celownicze, skreślił kilka słów na kartce wyrwanej z bloku meldunkowego.

Janek tymczasem wziął z wozu swój szalik i hełmofon. Złożył szalik starannie, długo w ciemności nawlekał igłę. Obok, wsunąwszy się pod wóz, przytuleni jeden do drugiego, spali działonowy i mechanik.

Wrócił Wasyl i podał złożoną w czworo kartkę. Janek zawinął ją w szalik i okręciwszy wąską taśmę materiału wokół psiej szyi, zeszył ją starannie, ściąg przy ściegu. Odgryzł nić.

— Szarik, słuchaj: ty jesteś mądry, mądry pies; powąchaj, dobrze powąchaj — podsuwał mu pod nos hełmofon, który dostał w prezencie od generała tuż przed bitwą. — Duży, mądry pies — głaskał go dłonią po łbie, po karku, a potem pchnął od siebie leciutko i rozkazał: — Przynieś.

Szarik, ucieszony zabawą, zawrócił w miejscu i doskonale zrozumiałwszy, o co chodzi, pobiegł do czołgu, wskoczył przez otwarty właz. Wrócił, trzymając w zębach mundur swego pana. Czekał pochwały i nagrody, radośnie machając ogonem.

Ale pan jest niezadowolony. Powiedział ostro kilka słów, a potem zaczął mówić tym samym łagodnym, spokojnym głosem, który Szarik tak lubił. Znowu daje wąchać ten sam przedmiot. Szarik nie rozumie, o co chodzi. Zapach jest zdecydowany i prosty, należy do jego pana. Może było w nim jeszcze trochę innego, tego, którym pachniał cały stalowy dom, służący im za mieszkanie. Ale przecież nie sposób, żeby jego pan, najmądrzejszy, najmilszy człowiek na świecie, żądał od Szarika przyniesienia całego czołgu. O co więc chodzi?

Pies obwąchiwał starannie, dokładnie cały przedmiot. Razem z czarnym, wilgotnym nosem drgały mu wargi, a ogon nieruchomo zeszywniał. Wreszcie w głębi, na samym dnie odnalazł trzeci zapach, cichy, ale przecież zdecydowany i wyraźny. Było w nim trochę tytoniowego dymu i inny człowiek, dobry i sympatyczny. Człowiek, od którego już parokrotnie dostawał mięso i brał je ostrożnie zębami, zawsze naturalnie za przyzwoleniem swego pana. A więc chyba o tego człowieka chodzi, o tego samego, który zawsze odkładał nieprzyjemny, dymiący przedmiot, kiedy głaskał Szarika. Do tamtego człowieka jest daleko, ale jeśli trzeba, to biegnąc śladem ich jeżdżącego domu...

Szarik machnął ogonem raz i drugi, a potem liznął swego pana po twarzy. Na jęzorze została mu gorzka i słona wilgoć. Już dobrze, dobrze... Naturalnie

będzie szukał i znajdzie, po co więc te łyzy? Chciał zaraz biec, ale pan trzymał go mocno rękami.

— Już gotów — powiedział Janek.

Wasył podszedł i obudził kapitana Baranowa, szarpiąc go za ramię.

— Niemcy?

— Nie. Dajcie rozkaz, żeby wasi do psa nie strzelali.

— Co takiego?

— Żeby do psa nie strzelali.

— Aha, rozumiem — ocknął się teraz na dobre, zobaczył Janka siedzącego na ziemi z wilczurem w objęciach.

— *Gwardiejcy, po sobakie nie strelat'* — tak mało ziemi mieli we władaniu, że słyszeć musieli go wszyscy, których nie zmorzył sen.

Szarik, czując słabnący uchwyt, liznął Janka po rękę, ruszył śladem gąsienic i zniknął w mroku.

— Chmur nie będzie?

— Nie — odpowiedział Wasył.

— Szkoda.

— Ale nim wzejdzie księżyc, jeszcze sporo czasu upłynie.

Baranow, wyciągnięty na plecach, już spał z powrotem.

— Masz tu zegarek — powiedział Wasył. — Ja się zdrzemnę, a ty czuwaj. I tak wiem, że teraz nie zaśniesz. Obudzisz mnie o jedenastej.

Kiedy Semen odszedł, z ciemności wynurzył się Sybirak, przysiadł obok Kosa i w milczeniu podał mu woreczek z tytoniem, uszyty z miękkiej, jeleniej skóry.

— *Spasibo*. Nie palę.

Snajper cofnął się, westchnął. Jankowi zrobiło się żal tego ogromnego mężczyzny. Wziął od niego karabin z lornetą, zważył w dłoni i powiedział:

— Dobra sztuka — dotknąwszy palcami kolby znalazł na niej małe nacięcia o ostrych, nie startych jeszcze kantach i spytał: — A to co, te karby?

— Oni — wyjaśnił krótko strzelec i wskazał dłonią w stronę niemieckich okopów.



## ROZDZIAŁ 14. PSI PAZUR

GĄSIENICE WYCISNĘŁY W PIASKU równy, głęboki ślad, obrzeżony dwoma szanćzykami, ponadcinany prostokątami traków jak tor kolejowy. Szarik biegnie tym śladem osłonięty do pół grzbietu. Niesie się równym, wilczym kłusem, niezmordowanym i płynnym, jak poślizg węża.

Głowę ma podniesioną, wzrok skierowany daleko przed siebie.

Węszyć nie trzeba, woń, której szuka, powinna się odnaleźć dopiero tam, gdzie silnie pachnie benzyną, gdzie był czas na wesołe bieganie po trawie. Pies pamięta, że właściciel tego zapachu, głaszcząc go, oddał komuś innemu niemiło dymiący przedmiot. Szarik naturalnie nie zna nazw, nie wie, co to znaczy benzyna i fajka. Jego węch dzieli rzeczy na miłe i niemiłe, obojętne i apetyczne. Zna również kształty, które się z zapachami wiążą. Jest to świat bogaty, różnobarwny, rozmaity, a prócz tego mieszczą się w nim uczucia przyjaźni i wrogości, miłości i nienawiści, uczucia zmęczenia i radosnej sprawności mięśni.

Teraz jest zmęczony, podrażniony i głodny. To, co przeżywał w stalowym pudle wstrząsanym wybuchami, wypełnionym pyłem, dymem i smrodem, było bardzo niemiłe. Skoro jednak Janek był obok, to znaczy, że i on, Szarik, powinien był tam się znajdować. Jest głodny, ale nie myśli o tym. Ma jedno główne pragnienie: spełnić rozkaz czy prośbę swego pana. Dlatego biegnie dnem gąsienicowego śladu, niezmordowanie pokonuje przestrzeń.

Na przedzie błyska, słychać świst, huk wystrzału. Szarik nie boi się. Był jeszcze zupełnie maleńki, gdy przywykł do głosu strzelby. Dźwięk karabinu jest nawet spokojniejszy, mniej ostry. Poza tym pies czuje, że po bokach osłaniają go garby piachu. Gorzej, bo od przodu, ze strony, w którą biegnie, rośnie coraz ostrzejszy zapach obcych ludzi. Zupełnie obcych, innych niż ci, których wielu poznał od czasu swego przybycia do wojska. Pachnie inne sukno, inne jedzenie, inna skóra — wszystko jest obce.

Wilczur zwalnia, coraz płynniej przerzuca ciało z nogi na nogę. Teraz już idzie, a potem coraz mocniej uginając łapy poczyna szorować brzuchem po piachu, pełźnie. Zapach dobywa się z dołu, jakby spod ziemi.

Widać już nasyp, nad którym przesuwiają się wierzchołki ludzkich głów, odzianych w stalowe hełmy.

Szarik znieruchomiał. Czeka cierpliwie długą chwilę, aż znikną głowy, aż oddalą się ludzkie głosy. Wówczas rusza kłusem, wydłuża krok i gwałtownie wyrzucając ciało do przodu, przesadza okop.

W parę sekund potem słyszy okrzyk, metalowy trzask zamka. Tuż obok są pierwsze kępy jałowców. Dopada ich, zmienia kierunek. Goni go huk wystrzału, ostry świst niesie się bokiem koło lewego ucha. Pies sady długimi susami przed siebie, skręca to w lewo, to w prawo, by być bliżej jałowcowych kęp.

Znowu dwa strzały, dwa świsty i cisza. Piasek szeleści pod łapami, pryska na boki, ziemia staje się coraz twardsza, poprzerastana trawą. Już niedaleko do ciemnej, szmerliwej na wietrze ściany lasu. Szarik znowu przechodzi w kłus, wślizguje się pomiędzy krzewy. Liście gładzą mu boki, drobne gałązki czepiają się karku.

Ślad gąsienic jest teraz płytszy i trudno nim biec, bo wciśnięte w ziemię leszczyny i brzoźki podniosły się nieco i sterczą najeżone przeciw kierunkowi biegu. Skręca więc i sunie obok śladu. Przeskakuje jeden lej po pocisku, potem drugi i nagle, niespodzianie tuż pod mordę wpada mu kłębek sierści ostro pachnącej jedzeniem.

Tego za wiele. Sygnał jest tak silny, że Szarik zapomina o swym panu i przyjacielu, o jego prośbie. Jeden skok, chwyt w zęby i krótki trzepot oszalałego ze strachu zajęcia. Spod kłów spływa na jęzor świeża, ciepła krew. Szarik cofa się pod gęsty krzak, przysiada i je łapczywie, chrupiąc kości. Syci głód. W mięśniach, po całym ciele rozpływa się miłe uczucie sytości, niknie podrażnienie, które jeżyło mu sierść, lecz jednocześnie poczyna się niepokoić. Nieruchomieje na chwilę, potem je dalej, dogryzając ostatnie kęsy. Resztki futra przykleiły się do pyska i łechcą go w nozdrza. Wyciera mordę o trawę, pomaga sobie łapami. W tym samym momencie powraca pamięć i wstyd. Miał przecież biec i szukać.

Szarik kładzie uszy po sobie, opuszcza ogon, czuje się bardzo niewyraźnie. Rusza pospiesznie dalej, ale zaraz gwałtownie zwalnia.

Znowu czuje nozdrzami zły zapach człowieka i sukna, obcy, taki sam, jak w skoku przez okop, z którego doń strzelano. Przekrada się więc z cienia w cień, wysuwa mordę spośród liści i patrzy. Obok pogiętego żelastwa

wprasowanego w ziemię, obok skośnie sterczącej w górę armatniej lufy leży na piersiach nieruchomy człowiek i pachnie śmiercią. Skowyt budzi się na dnie gardła, ale natychmiast milknie zdławiony — nikt z jego braci, syberyjskich wilków, nie zdradza się na tropie.

Jak dziwny, nocny ptak, gwizdże i waży się w powietrzu mina. Pies zna ten dźwięk, przypada do ziemi. Wybuch szarpie powietrze, przestraszone echo tłucze się ślepo od pnia do pnia. Daleki, wielki odłamek furkocąc ścina kilka liści i wbija się w ziemię tuż obok psiej łapy. Szarik czuje jego gorąco i nieruchomą wściekłość. Odrzuca go pazurami, a potem wstaje i cofając się zatacza spory łuk przez gęstwę lasu.

Chce wrócić na ślad, ale nęci go wilgoć, trawa mokra i śliska. Po jedzeniu przychodzi pragnienie, więc ostrożnie wyciągając nogi z coraz rzadszego błota znajduje między dwiema kępami skrzypów niewielki skrawek wody. Chłepce ostrożnie z wierzchu, żeby nie zamącić od błotnistego dna. Pochylony, z nosem wśród ziół, gubi wiatr. Sposstrzega cudzą obecność dopiero w ostatniej chwili, gdy słyszy bliski szelest, i kątem oka łowi ruchomy cień. Unosi mordę.

Widzi o parę kroków psa podobnego do siebie. Tamten ma wyższe nogi, jest cięższy, sierść ma krótszą, przyszyżoną i na szyi połyskuje mu nabijana ćwiekami obroża. Skradał się cicho, a teraz widząc, że jest spostrzeżony, znieruchomiał, stoi naprzeciw, tam gdzie kończy się błoto, i szczyrzy zęby.

Szarik nie ma ochoty do walki. Jest ociążały po zającu, napił się wody i czuje, że ma mniejsze szanse. Denerwuje go, że dał się zaskoczyć, wie, że powinien biec dalej, szczyrzy jednak na wszelki wypadek zęby, bo tak się wiedzie między psami, bo powinien pokazać, że też ma kły.

To jednak tylko demonstracja. Na sztywnych nogach poczyną przesuwać się bokiem, co nie wychodzi mu zgrabnie, bo błoto kłaska pod nogami, łapy dają poślizg. W ten sposób nie rejterując obchodzi napotkanego szerokim łukiem. Tamten obraca się w miejscu, odległość jest stale ta sama — dwa susy. Pod koniec manewru, zatoczywszy pełne półkole, Szarik stoi tyłem do kierunku, w którym powinien biec. Ufa już teraz, że tamten nie ruszy z miejsca. Gdyby chciał, powinien był napaść wcześniej. Warknąwszy cicho dla postrachu, wykonuje półobrót, by ruszyć dalej. W tym momencie jednak alzatczyk skacze naprzód, atakuje.

Szarik nie ma już czasu, by zawrócić, przypada więc tylko do ziemi i zęby tamtego tną mu ucho. Ból przenika pod czaszkę, targa całym ciałem, ale teraz ma wroga wprost przed sobą. Duży i silny napastnik szczyrzy kły, wściekle warczy. Sądzi, że oszołomił dostatecznie przeciwnika, więc naciera po raz drugi. Skok jest jednak leniwy, otwarty, bokserzy powiedzieliby — sygnalizowany.

Syn Mury wykonuje zwód ciałem i gdy atakujący przednimi łapami dotyka ziemi, uderza nań błyskawicznie, po wilczemu, całym ciężarem waląc w bok. Zbija alzaczyka z nóg, dopada zębami gardła. Wróg skowyczy wysokim głosem, woła o pomoc. Szarik zaciska zęby, ale przeszkadza mu zgrzytający pod siekaczami metal obroży. Jednocześnie w lesie słyszy głos ludzki, trzask gałęzi i ciężkie kroki biegnącego w ich stronę. Rozwiera gwałtownie szczęki, przechwytuje kłami nad obrożą i zagryza z całej mocy. Znowu czuje smak krwi w pysku. Tamten mięknie, opada w trawę. Szarik nie czeka, aż zeszywnieje, przestanie drgać. Całym wysiłkiem opanowuje instynkt, który każe mu walczyć do końca, gdyż widzi już sylwetkę człowieka gwałtownie nadbiegającego z bronią w ręku.

Dwoma susami dopada lasu, błyskawicznie wślizguje się między krzaki. Czerwone, ogniste pszczoły, przeskakują ponad nim, tną gałązki. Z murawy tryskają grudki ziemi. Pies słyszy huk serii i czuje bolesne ukąszenie na karku. Nie zatrzymuje się jednak, nie pada, lecz biegnie nieustannie, zaszywając się coraz głębiej. Goni go głośny okrzyk, jeszcze jedna seria, lecz błyski pojawiają się parę metrów z boku, są nieszkodliwe.

Kłusuje jak automat. Gdy widzi prześwit między drzewami, nie zwalnia, przyspiesza nawet i w paru susach mija trawiastą przesiekę. Trafia na las rzadszy, wysokopienny, kluczy od kępy do kępy poszycia, dobierając drogę, gdzie ciemniej.

Wreszcie otwiera się przed nim puszczańska łączka wypełniona zapachem benzyny, poznaczona śladami gąsienic i kół samochodowych. Tutaj powinien być ten, którego szuka. Przebiega więc tam i na powrót parokrotnie polanę, ale nie znajduje nikogo. Trafia wreszcie na zarzuconą pod drzewami skrzynkę. Obok skrzynki znajduje w trawie grudkę popiołu. Ten popiół jest częścią szukanego zapachu, ale tylko częścią i to nie najważniejszą.

Szarik przysiada na tylnych łapach, dysząc rozmyśla chwilę, co robić dalej. To nie trwa długo. Obiega dokoła polanę, potem wpada w las, zatacza drugi, nieco szerszy krąg, potem trzeci jeszcze większy...

Uczono go, że tak trzeba robić po zgubieniu śladu, że na którymś z tych kręgów powinien trafić na właściwy trop, odnaleźć zagubioną nić. Poszukiwania trwają długo, ale pies nie ustaje, nie odpoczywa, czyni stale to samo — zatacza krąg za kręgiem.

Wreszcie, za którymś razem, daleko już od polany, słyszy głosy i zwolniwszy nieco, widzi z daleka grupkę żołnierzy, stojących wokół samochodu z wysokim, sterczącym drutem anteny. Oni go nie widzą, zajęci są czym innym. Grzebią pod uniesioną maską silnika.

Jeden z nich mówi:

— Spiesz się. Przed świtem wóz musi być gotów, bo generał nam łby pourywa. A wszystko przez ten zasmarkany odłamek.

Szarik nie rozumie, co mówią ludzie, woli się jednak nie zbliżać. Nie ma wśród nich tego, o kogo mu chodzi, omija ich więc z daleka, zacieśniając nieco krąg, a potem biegnie znowu lasem, przenika gęste zarośla, przecina niewielkie polanki.

Mija sporo czasu, nim zamknie ponownie koło, i znowu widzi tych samych żołnierzy. Teraz jednak okrąża ich z drugiej strony, daleko po prawej, czujnie zerkając, czy go nie widzą.

W pewnym momencie hamuje tak gwałtownie, że przednie łapy jadą ślizgiem po igliwiu. Zdaje mu się, że chwycił jakiś sygnał. Zawraca powoli, starannie wietrzy i nagle dławi budzący się w piersi skowyt zachwytu. Jest! W trawie leżą drobne grudki leśnej ziemi oderwane z butów, trop wyraźny, a pasmo zapachu gładkie i szerokie jak szosa.

Pewny swego rusza ostro. Ślad prowadzi wprost na skraj puszczy. Tu jest widniej, poprzez drzewa prześwituje z góry srebrne światło — wzeszedł księżyc. Trop idzie brzegiem drogi i lasu. Jest zdecydowany, prosty, ale Szarik musi parokrotnie zboczyć między krzaki, ukryć się i przywarować, bo drogą to w jedną, to w drugą stronę maszerują grupki ludzi. Gdy go mijają, powraca, podejmuje ślad i znowu sunie za nim, nie zważając na ból, który drga w rozerwanym uchu i w skórze, przeciętej kulą na karku.

Obok martwej, spalonej ciężarówki, której szkielet sterczy na drodze, w las skręca ścieżka, wyprowadza Szarika między samochody i czołgi, między

żołnierzy śpiących pod drzewami. Zapach prowadzi wprost do niewielkiego wzgóрка, w zboczu którego wyryta jest ziemianka. U jej wejścia stoi wartownik z pistoletem maszynowym. Szarik zatrzymuje się na chwilę za pnem, wietrzy, ale ten żołnierz jest przyjazny, przypomina nieco jego pana. Wilczur wychodzi więc z za drzewa, kroczy przed siebie spokojnie i pojednawczo macha ogonem. Żołnierz jednak nie jest w dobrym humorze. Widząc psa, woła stłumionym głosem:

— Czego ty tu? Poszedł won! — unosi kolbę.

Szarik odskakuje, cicho i bez warknięcia idzie w las, czeka, by tamten stracił go z oczu, a potem zawraca i nisko nad ziemią, szorując brzuchem o trawę, pełźnie ostrożnie od jednej plamy cienia do drugiej, omija miejsca pomalowane księżycem.

Zapach jest coraz mocniejszy, idzie z ciemnego, otwartego okienka, umieszczonego nisko nad ziemią. Można byłoby go dopaść w paru susach, wilczur wie jednak, że z ludźmi uzbrojonymi nie ma żartów. Mimo że skóra drga mu z niecierpliwości, sunie powoli, zamiera nieruchomo na długie chwile.

Wreszcie okienko jest tuż obok. Wsadza w nie mordę i przekonawszy się, że dotarł na miejsce, wpęła powoli do środka, macając łapami ciemność. Nie może znaleźć oparcia, skacze więc, spada na coś, co wali się pod nim. Na prawo i lewo lecą drobne, potrącone przedmioty. Staje wreszcie na ziemi i szarpie zębami za koc, którym przykryty jest człowiek.

— Warta! Co tu się dzieje, u diabła? Światło!

Brzmienie głosu jest twarde i ostre, ale Szarikowi wydaje się melodyjne jak muzyka. Odnajduje dłoń, w której tamten człowiek trzyma pistolet, i radośnie liże ją jęzorem.

Trzaskają drzwi i do wnętrza ziemianki wpada żołnierz, trzymając w ręku zapaloną latarnię.

— Zaraz wygonię drania. On przez okno, obywatelu generale... Pójdiesz ty won!

Dowódca brygady, mrużąc oczy od światła, patrzy na psa i wstrzymuje żołnierza energicznym gestem ręki.

— Stój. Zasłoń okno, zostaw lampę i wyjdź.

Znowu skrzypią drzwi. Generał w koszuli i spodniach siada na pryczy, stawiając boscie nogi na ściągniętym z łóżka kocu. Przygląda się psu nie

rozumiejącymi, szeroko otwartymi oczyma. Jest pewien, że dopiero przed chwilą położył się spać. Z daleka, z głębokiego snu powraca do rzeczywistości.

— Szarik, to ty? Skąd się wzięłeś, piesku? Chodź no tutaj.

Uradowany wilczur staje na tylnych łapach, przednie kładzie mu na kolanach, wyciąga mordę ku górze i jak pijany człowiek pragnie się natychmiast całować.

— Poczekaj, poczekaj, daj spokój... Dostało ci się, widzę.

Generał, trzymając łeb psa w obu rękach, uważnie ogląda ucho, dotyka palcami karku, gdzie obok przeciętej skóry zastygł szeroki skrzep. Wilczur skomli ostrzegawczo, czując ból.

— Cicho, cicho. Zaczekaj.

Dopiero teraz spostrzega szalik Janka na szyi psa, bierze nóż zrzucony ze stołu na podłogę, rozcina krzywy ścieg czarnych nici, rozwija wełnianą tkaninę. Potem chwyta kartkę, spiesząc się naddziera ją nawet przy rozkładaniu, czyta. Po raz drugi przebiega oczyma parę rzędów liter i woła:

— Warta!

Żołnierz natychmiast staje w drzwiach.

— Wypędzić go, obywatelu generale?

— Głupiś. Dyżurnego oficera sztabu do mnie, biegiem.

Fizylier znika, a generał znajduje na półeczce puszkę z konserwami, rozcina ją nożem i całą zawartość wyklada na talerz, stawia przed psem.

— Jedz, Szarik. No jedz, czemu nie chcesz.

Szarik jest zawstydzony. Zdaje mu się, że w tonie człowieka są jakieś nutki gniewu, więc chyba już wszyscy wiedzą o tym zającu, który wszedł w drogę i powstrzymał go na tropie. Głos człowieka łagodnieje:

— Nie chcesz jeść bez Janka? Wierny, dobry pies.

Dyżurny oficer wpada zdyszany i staje jak wryty, gdyż widok jest niecodzienny: dowódca brygady w koszuli i spodniach, ale bosy siedzi na podłodze. Obok niego pies, którego generał obejmuje ramieniem, przytula kosmaty łeb do piersi i mówi:

— Nie wiesz, sam nie wiesz, głupie bydlę, jakiś ty mądry.

— Słucham, obywatelu generale.

— Nie wtrącaj się, to nie do ciebie. A teraz słuchaj: natychmiast zamelduje się do mnie lekarz z opatrunkami, zastępca do spraw technicznych

z pompą paliwową do czołgu T-34. Wyprowadzisz samochód pancerny, dwa lekkie czołgi i dwie drużyny fizylierów. Powtórzcie, poruczniku.

Zdumiony oficer powtórzył rozkaz, który jego zdaniem był najdziwniejszym z rozkazów, wydanych w wojsku, zasalutował i już wychodził, ale generał zawrócił go:

— Poczekajcie. Niech tu przyjdzie jeszcze krawiec z igłą, nićmi i kawałkiem brezentu. To wszystko. Wykonujcie.

Nie wiadomo, co sobie pomyślał oficer sztabu, usłyszawszy ten dodatek, ale rozkazy wykonał sprawnie i po kwadransie wszystko było gotowe.

Wiadomość o tym, że pies Janka Kosa przybiegł do generała, że wzywano lekarza, technika i krawca, obiegła sąsiednie ziemianki i w zmienionej formie dotarła do fizylierów, którzy zebrali się przy czołgach i samochodzie pancernym. Płosząc resztki snu, moczyli dłonie w rosie, przecierali twarze i sprzeczali się między sobą. Jedni twierdzili, że czołg Semena nie znalazł okrążonego batalionu i zawrócił, drudzy powiadali, że wszyscy zginęli, tylko jeden pies został i to bez uszu i ogona, bo mu odłamkami obcięło.

Gdy generał wychodził z ziemianki, prowadząc Szarika na smyczy zaimprovizowanej ze spiętych razem żołnierskich pasów, napotkał grupkę ciekawych. Zobaczywszy dowódcę, przestali szeptać, zamilkli i tylko Lidka, radiotelegrafistka, wystąpiła z szeregu.

— Obywatelu generale...

— Tak.

— Chciałabym się dowiedzieć, co z załogą porucznika Semena.

— Niewiele o niej wiem. Wszystko teraz spoczywa nie w moich rękach, lecz w psich pazurach.

Generał ruszył przed siebie i po chwili w kierunku frontu odjechał niewielki oddział: na przedzie i z tyłu szły niskie T-70, oblepione desantem fizylierów, a między nimi samochód pancerny, w którym siedział dowódca brygady, trzymając na kolanach psa.

Szarik był niezadowolony, wiedział przecież, że powinien pobiec z powrotem do Janka, a tu go nie puszczają. Powarkiwiał, nie dał się głaskać.

— Głupi, głupi mądralo, poczekaj. Bliżej ci przecież będzie.

Oddział zatrzymał się na polanie, fizylierzy weszli tyralierą w las, za nimi dowódca z psom. Dotarli do tego miejsca, które Czereśniak nazywał „ścieżką



*wedle trzech buczków*”. Generał przykleknął w trawie, sprawdził raz jeszcze, czy dobrze i mocno siedzą uszyte z brezentu juki, czy zaszyta w nie pompa nie przeszkodzi Szarikowi w biegu. Potem rozpiął smycz i klepnął psa po zadzie.

— Szukaj, piesku, szukaj Janka.

Szarik i bez tego wiedział, dokąd ma iść. Nie tylko wiedział, ale tęsknił, pragnął się pochwalić przed swym panem, że znalazł człowieka, którego miał znaleźć. Poczując, że jest wolny, wbiegł na przesiekę i wraz ze swym cieniem od księżycowego światła wpadł do lasu.

W ZIEMIANCE SZTABOWEJ DYWIZJI strzelców gwardii panowała cisza. Gruby strop w pięć rzędów sosnowych belek był obsypany ziemią, obłożony darnią i tłumiał dźwięk toczącej się na powierzchni bitwy. W obszernej izbie stały popod ścianami prycze, pośrodku długi stół zasłany mapami. Czerwoną i granatową kredką wrysowane w nią były pozycje. Ostre strzały ataków, kręgi i prostokąty artyleryjskich ogni wyznaczały zamiar dowódcy na nowy dzień bitwy, który miał nadejść za parę godzin. Z południa od trzech czarnych kwadracików oznaczających domy Ewinowa, poprzez podwójną granatową linię niemieckich okopów wiodła na północ kreskowana strzała, znacząca kierunek, w którym winien przebijać się z okrążenia batalion kapitana Baranowa. Po obu stronach tej strzały artylerzyści nakreślili ognie zaporowe, mające osłonić gwardzistów przed uderzeniami ze skrzydeł.

Na mapie stały dwie szklanki z grubego, zielonkawego szkła i opróżniona do połowy butelka. Na talerzach pachniała pocięta w podłużne paski świnina przesmażona z cebulą. Obok w pokrywie menażki leżały kostki ciemnego chleba.

— Może pójdziemy, zobaczymy — powiedział dowódca brygady.

— Lepiej tutaj, towarzyszu generale — odrzekł mu krępy, tęgi oficer w mundurze pułkownika ze znaczkiem gwardii na piersi. — Będą przychodziły meldunki radiowe, telefoniczne. A tam nasi obserwatorzy zrobili wysoko nad ziemią gniazdo takie jak ptasie. Wleźć trudno, a spaść łatwo. Zresztą Niemcy biją szrapnelami i głupio byłoby, żeby nas utłukli jak kaczki. Na diabła taki pogrzeb.

Znowu zapanowała cisza. Może dlatego, że wybuchy pocisków ledwo tu było słyhać, generał pomyślał o chwili chyba już niedalekiej, kiedy skończy

się wojna i ludzie wrócą do swych zwykłych, pokojowych zajęć. Tym z frontu będzie trudniej. Cóż z tego, że chłopak umie strzelać, że trafia trzy dziesiątki pod rząd, że nie lęka się unieść głowy pod ogniem.

Gdy przyjdzie czas na dwumian Newtona, na funkcje kwadratowe, gdy trzeba będzie wkuwać, że pierwiotniaki dzielimy na korzenionóżki, wymocзки i zarodnikowce, będzie mu trudniej niż innym. Ciekawe, czy ludzie zapamiętają jego frontowe czyny? Któż napisze lub opowie o mądrym pomysle strzelca–radiotelegrafisty, o bohaterskim psie, noszącym imię Szarik?

Złapał się na przesądnej myśli, że nie trzeba wybiegać naprzód, nie wolno dzielić skóry na żyjącym niedźwiedziu. Któż wie, czy pies dotrze na miejsce? W tę stronę przekradł się zaraz po zmroku, w ciemnościach. Przyniósł rozerwane ucho i znak po kuli na karku. Nie potrafił opowiedzieć, co mu się zdarzyło. Wracać miał przy świetle księżyca, obciążony... Zresztą nawet jeśli dotrze na miejsce, jeśli mechanik wmontuje pompę i uruchomi czołg, to jeden celny pocisk może go zmienić w pochodnię, a czterech ludzi w popiół. Wróg wie przecież, że się przedarli, będzie czekał w zasadzkach, postawi na ich drodze miny. Czy przebiją się przez podwójny pierścień okrążenia?

Dowódca radzieckiej dywizji nalał do szklanek, trącił szkłem o szkło. Wypili, przekąsili świniną.

— Może pójdziemy, zobaczymy — zaproponował niepewnie pułkownik gwardii. — Zawsze własnymi oczyma lepiej.

— Lepiej — bez zdziwienia, ale z uśmiechem w oczach odpowiedział generał.

Wstali i po stromych schodkach ruszyli w górę wąskim wykopem, dotykając dłońmi belek umacniających ściany. Ze światła wyszli w mrok. Nie było nic widać, póki za zakrętem nie wynurzyli się spod belkowania. Spojrzawszy w górę, dostrzegli na prostokacie nieba jasne gwiazdy. W miarę jak wchodzili po schodach coraz wyżej, przygasały gwiazdy.

Wartownicy u wejścia do ziemianki stanęli na baczność. Trzech fizylierów z bronią gotową do strzału ruszyło za nimi — do frontu było niedaleko, paręset metrów.

Pułkownik prowadził wąziutką ścieżką. Pod butami czuli gładkość ubitej ziemi. Między gęstymi krzakami leszczyny wspięli się na pagórek. Stały tu obok siebie cztery ogromne sosny, na pniu jednej z nich umocowana była

drabinka. Poczuli się wdrapywać powoli coraz wyżej, ostrożnie wymacując stopami szczeble.

Zmęczeni się obaj i z westchnieniem ulgi dotarli na pomost zбитy z grubych belek. Wisiał kilkanaście metrów nad ziemią, od góry i z boków okryty był maskującą siatką, na której zwiadowcy umocowali świeże, pachnące jeszcze żywicą gałęzie. Przy lornetach nożycowych siedziało dwu obserwatorów i lejtenant w okularach, artylerzysta. Zobaczywszy przybyłych, zrobił krok naprzód chcąc meldować, dał ręką znak, by ustąpiono im miejsca przy lornetach.

— Nie trzeba — powiedział pułkownik. — Ciemno jeszcze. I tak najpierw usłyszymy, a potem dopiero będziemy mogli zobaczyć.

Ponad lasem, na tej wysokości od ziemi, szedł od strony Wisły wilgotny i świeży powiew. Zaczynało już nieco szarzeć, a księżyc jeszcze wisiał na zachodniej stronie nieba, więc widać było dość daleko. Parę metrów pod nimi kończyły się wierzchołki niższych drzew, zbite ich korony podobne były do gęsto tkanego dywanu. Wyżej sterczały tylko pojedyncze sosny, zasłaniając tu i ówdzie widok. Na wschodzie prześwitywało miejscami lustro rzeki. Od południa, z dalekich tyłów przeciwnika, błysnęła ciężka bateria i długą chwilę potem dotoczył się grzmot wystrzału. Tuż nad ich głowami zakwilił ptak. Było to tak dziwne i niespodziane, że spojrzeli po sobie, wymienili uśmiechy.

Generał przysiadł na niskim stołeczku, oparł rękę o pień. Pod palcami wyczuł ostry, ząbkowany kęs metalu. Wydłubał go z kory, a potem zważył na dłoni. Z żalem pomyślał: W tym lesie ranne są drzewa. Pomyślał tak o drzewach, a nie o ludziach, zbliżał się bowiem dzień, w którym, wiedział o tym na pewno, podobne odłamki będą ranić żołnierzy, najpierw gdzieś tu niedaleko, a później, w trzy godziny po świcie, on sam rzuci do ataku na Studzianki kompanię czołgów.

Wiedział, że pójda, że napotkają ogień i cofną się. To będzie tylko zwiad, ale o tym czołgiści nie mogą wiedzieć. Muszą uderzyć z wiarą w zwycięstwo, z całą mocą poprowadzić wozy. Inaczej przeciwnik wyczułby, że to tylko rozpoznanie walką, nie zdemaskowałby stanowisk ogniowych. Być może stracą jeden wóz lub dwa, stracą ludzi, kłąć będą: „*Czemu nie całą siłą?*” Na uderzenie całą siłą przyjdzie czas nieco później.

Zwalił się na niego ciężar odpowiedzialności, ludzkiego strachu i odwagi, zmęczenia i bólu. Byli przecież jakby jego własną ręką, którą musi rozgarnąć

popiół, by odnaleźć źródło ognia i ugasić pożar. Poczłł się zmęczoney, starszy ponad wiek. Trzymając ciężki odłamek w ręku wspomniał, że miał ich we własnym cieie czternaście, że lekarze wydłubywali je lancetami, a dwa — które ugrzęzły najgłębiej — pozostawili. Naszpikowany jestem jak to drzewo — uśmiechnął się do siebie.

— Nie słycać, nie widać, a pora by już — przerwał milczenie dowódca radzieckiej dywizji.

— Pora.

Na wschodzie zapalał się czerwony blask, u zenitu niebo pojaśniało i widać teraz było dokładnie Puszcę Kozienicką leżącą w dole pod nimi, ciągnącą się ze wschodu na zachód, powygryzaną od południa jęzorami pól i polan, płytszą i jaśniejszą tam, gdzie rosły młode zagajniki. Na przedzie, gdzie prześwitywało piachem, gdzie tylko kępy pozostały z lasu, tam właśnie był okrążony batalion. I stamtąd szła cisza.

Nasłuchując pierwszych wystrzałów milczeli dalej, ale coraz cięższy był ten brak słów i z nadzieją spojrzeli na artylerzystę w okularach, który nie odrywając oczu od lornety, sięgnął po telefoniczną słuchawkę.

— Słon dwa, przenieść w prawo piętnaście, załadować, zameldować.

Brzmiało to jak poprawka, jak przesunięcie ognia zaporowego jeszcze przed oddaniem pierwszych wystrzałów, więc generał spytał:

— Widzicie ich?

Porucznik nie zdążył odpowiedzieć — w płytkim zagajniku, znacznie bliżej, niż przypuszczali, trysnęła nagle cała garść błysków. Przeszły równo jak po lonicie i tuż potem dobiegł ich równy, ostry trzask, jakby kto garść żwiru cisnął w okno, potem drugi raz, trzeci, czwarty...

Pułkownik chwycił generała za ramię i, nie wiadomo czemu szeptem, powiedział radośnie:

— Salwami biją.

— A czołgu nie słycać.

Artylerzysta podał komendę:

— Pierwsze, ognia!

Nie zobaczyli błysku, tylko z tyłu, spoza nich, przegwizdał wysoko pocisk z haubicy. Płomień wybuchu trysnął w prawo od przedzierającego się batalionu.

— Bateria, po trzy na działo, biegłym... ognia!

Gwizdy poszły stadem, uderzyły w las, wyrosły pionową ścianą kurzu poprzerastanego żyłami czerwieni.

Teraz dopiero generał usłyszał charakterystyczny łoskot czołgowego działa i uśmiechnął się: Szarik doszedł...

Łomotały salwy, w przerwach terkotały karabiny maszynowe, rytmicznie biły siedemdziesiątki szóstki — piechurów i czołgu. Huk i błyski, coraz bardziej blednące w świetle wstającego dnia, sunęły równym, niezmiennym tempem w stronę punktu obserwacyjnego. Zaskoczeni Niemcy strzelali z rzadka, chaotycznie, bali się razić swoich.

Tymczasem batalion zniknął przesłonięty koronami drzew wysokiego lasu, a wkrótce potem strzelanina ucichła i tylko warkot silnika równym dźwiękiem szedł po rosie.

Zza horyzontu pokazał się półkolisty rąbek słońca i jednocześnie na szeroką polanę, którą mieli w dole po lewej, wyszedł klin piechurów. Za nimi wjechał wóz w parę koni zaprzężony, za wozem wtoczył się czołg, holując armatę na stalowej linie, otoczony łańcuszkiem tyraliery. Generał dostrzegł tuż przy pancerzu wysokiego, barczystego żołnierza bez hełmu, ze strzechą jasnych włosów na głowie. Prowadzili się pod rękę z siwym cywilem w porwanej marynarce. Generał poznał Czereśniaka i uderzywszy ręką po kolanie, pokazał go stojącemu obok pułkownikowi gwardii.

Tamci w dole szli jeszcze siłą rozpędu — w szyku, najeżeni bronią, z ustami otwartymi jak do krzyku. W pewnym momencie nagle zmiękli, rozbiegli się, otoczyli czołg. Gdy z włazów wyjrzały ciemne hełmy i kombinezony, rzucili się na czołgistów, wyciągali ich za ramiona, poczęli rzucać do góry. Na stanowisko obserwacyjne dobiegło echo okrzyków.

— Wyszli — powiedział pułkownik. — A byli o włos od śmierci.

— O psi pazur — poprawił generał i dodał: — Na mnie pora, jadę pod Studzianki. Dopilnujcie, pułkowniku, żeby mi chłopców nie uszkodzili i zatrzymajcie ich koło swego sztabu, niech odsapną...

Uścisnęli sobie ręce.

Generał pierwszy wszedł na drabinę, schodził powoli, niespokojnie nasłuchując, jak pod jego ciężarem poskrzypują szczeble. Obrócony tyłem, będąc niżej niż korony drzew, nie mógł już widzieć, jak kapitan Baranow, dopadłszy pierwszego z brzegu Jelenia, objął go za szyję, wycalował w oba policzki i powiedział: *Spasibo, bratcy*, osunął się na ziemię i zasnął.

Generał nie widział gwardzistów, tłoczących się ciasnym kręgiem wokół Szarika, wyciągających ręce, żeby go chociaż dotknąć.

Kiedy zeskoczył z ostatniego szczebla na ziemię, jeden z fizylierów osłony podszedł i zameldował:

— Tu na was czeka jakiś człowiek, obywatelu generale.

— Kto taki? — rozejrzał się wokół.

O parę kroków stał Czereśniak, trzymając w lewej ręce karabin. Prawą dłonią tarł nie goloną, brudną szczękę i w zakłopotaniu mruczał:

— To ja, panie generale, wedle tego kwitu na drzewo.

## ROZDZIAŁ 15. RUDY

RANNY ODYNICZ OPADNIĘTY przez psy walczy, odbiera i sam zadaje ciosy i mimo że spływa krwią, pozostaje groźny do ostatniej chwili. Gdy jednak uda mu się pozbyć prześladowców, zmylić pogoń i wejść w wilgotny gąszcz lasu, opuszcza łeb pod ciężarem bólu i zmęczenia, kładzie się, leczy rany.

Podobnie było z czołgiem porucznika Semena. Wówczas, gdy Szarik dostarczył pompę paliwową i uruchomili silnik, niczego im nie brakowało. Radzi byli, że są zdolni do walki. Dopiero przerwawszy podwójną linię frontu, kiedy znaleźli się u swoich, zobaczyli, jak bardzo ucierpiał wóz od uderzenia ciężkiej miny, od wybuchu wiązki granatów rzuconej pod gąsienicę — trzeba go było poddać gruntownemu remontowi.

Podobnie było z ludźmi. Dopiero po powrocie, wśród swoich spostrzegli, że Jeleń ma na karku fioletowe plamy — widocznie pękło naczynie krwionośne, kiedy całą mocą wpierał się w zaklinowany właz. Semen miał szramę na czole, choć nie pamiętał, w którym momencie i czym został draśnięty. Saakaszwili kulał na prawą nogę rozbitą tuż pod Ewinowem. Janek nie nosił żadnych widocznych śladów, ale również czuł wszystkie mięśnie i kości, przez pierwszy dzień ledwo się trzymał na nogach. Leżeli w trawie obok czołgu razem z Szarikiem, któremu krwawiło ucho i ropiał postrzał na grzbiecie.

— Chciał się z nami zamienić — po raz trzeci Semen wracał do tego samego tematu. — Uważał, że jego własne zadanie jest zbyt łatwe. Tymczasem my żyjemy, a tam cała załoga...

— Widzioleń ogień przez pnie, ale nie myślał, że to oni.

— Łatwe zadanie, trudne zadanie, a śmierć zawsze jedna — filozoficznie zauważył Grigorij. — Nigdy nie wiesz, gdzie spotkasz. Mało-mało i nas by nie było. Niemiec strzelał, swój granatem rzucał, ledwo pies uratował...

Janek milczał. Tym ciężej mu było, że przecież od początku nie żywił sympatii do chorążego Zenka. Kogo bardziej nam żal — tych, których lubimy, czy tych, którym skąpiliśmy uczucia?

Uśmiech opuścił załogę i nie wracał długo.

Zwyciężyła jednak młodość. Po pierwszej nocy, przespanej w stosunkowo spokojnych warunkach, odzyskali siły i wzięli się do roboty, by jak najszybciej doprowadzić wóz do porządku. O siebie mniej dbali i skończyło się na tym, że wkrótce zrzucili bandażę założoną im przez sanitariusza. Jednego tylko Szarika pilnowali wszyscy czterej i pies chodził z dwoma opatrunkami przyklejonymi plastrem do sierści.

Trzeciego dnia rano wszystko było w zasadzie gotowe. Kontrolowali mechanizmy, a Janka, skoro świt, wysłali pod Ostrów, do warsztatów brygady, skąd miał przynieść radiostację, bo stara całkowicie nie nadawała się do użytku. Pies naturalnie pobiegł za swym panem.

Zeszło im tam obu dłużej, niż się Kos spodziewał. Początkowo brak było techników, którzy wyjechali na linię, by remontować uszkodzone i ściągać z pola walki rozbite wozy, potem musiał czekać na lampy, po które posłano na drugi brzeg Wisły. Nie mogąc niczego przyspieszyć powałęsał się trochę w okolicach sztabu, a nawet spytał o Lidkę, ale powiedziano mu, że śpi po całonocnym dyżurze i budzić nie będą.

Nie namawiał zresztą, żeby budzili, bo sam nie bardzo zdawał sobie sprawę, czy tylko chciałby jej powiedzieć o śmierci chorążego Zenka, czy może po prostu zobaczyć, jak wygląda, i dowiedzieć się, co myśli. Pisarze sztabowi zaprosili go razem z Szarikiem do kuchni i poczęstowali obiadem, wypytując, jak to było w zasadzce, jak chodzili z odsieczą do okrążonego batalionu, jak wilczur przeniósł meldunek i wrócił z pompą paliwową.

Słońce prawie stało w zenicie, gdy wreszcie po dokonaniu kilku prób odbioru i nadawania mógł zapakować radiostację do plecaka i ruszyć w powrotną drogę. Grzało mocno od samego rana, ale dopiero teraz, wyszedłszy na pole, poczuł, jaki jest upał. Nad ziemią snuły się zapachy spalenizny, wisiał drobniutki kurz, zdawało się, że powietrze parzy skórę, że przy każdym oddechu rozgrzewa płuca.

Odwinął rękawy kombinezonu ponad łokcie, rozpiął go pod szyją. W rękę niósł mauzer z celownikiem optycznym, który podarował mu na pożegnanie jasnowłosy gwardzista z batalionu kapitana Baranowa.

Koledzy Sybiraka dziwili się: „*Tyle czasu szukałeś, a teraz oddajesz. Tobie potrzebny, a im nie*”. Małomówny żołnierz wygłosił wówczas dłuższe przemówienie: „*Wartość podarunku tym się mierzy, jak cenny jest dla tego,*



*kto daje. Czasem kawałek chleba więcej znaczy niż zegarek od naczelstwa. Nie chcę, żeby Polakom jedynym wspomnieniem po mnie została poharatana gąsienica. Daję to, co mam i co uważam za cenne*". Ceny mauzerowi przydawały karby wyryte na kolbie scyzorykiem. Było ich dziewięć. Znaczyły celne strzały oddane przez Sybiraka w okrażeniu pod Ewinowem.

Janek szedł przez pola niosąc karabin lufą ku dołowi, tak jak myśliwy sztucer. Tuż za nim ziajał i sapał Szarik. Na przedzie słychać było wybuchy pocisków z moździerzy i armat, ale z rzadka i jak gdyby niespiesznie wystrzeliwane. Bitwa straciła na zaciętości: Niemcom już nie stawało siły, by rwać się do przodu, a nasze uderzenia jeszcze tej siły nie nabrały. Po dźwiękach można było sądzić, że to raczej wymiana strzałów, może zwiad, ale w każdym razie nie atak. Kos nawet dziwił się trochę, bo wiedział, że cała brygada została przeprowadzona na zachodni brzeg, że od wczoraj inicjatywa jest w naszych rękach, że bitwa poczęła się toczyć na zachód od wsi Studzianki. Wczoraj chyba była bardziej zawzięta i dopiero dziś, w niedzielę, przycichła.

Spokojnie minął pole, dotarł do lasu. I tu, mimo cienia, nie było nawet odrobinę chłodniej. Ścieżka prowadziła między drzewami, ale samym skrajem boru i poprzez pnie widział po prawej szeroki, otwarty teren, unoszący się lekko ku górze. Rozrzucone nierównomiernie czerniały rozbite i spalone wozy, z dala nie poznasz — nasze czy niemieckie.

W połowie wysokości wzgórza zieleniała kępa drzew wokół komina cegielni. Ten komin od dawna stanowił cel dla artylerzystów, był pokruszony i przebity w paru miejscach, miał utracony wierzchołek, ale mimo to trwał jeszcze. Nieco dalej na horyzoncie rosły wzdłuż drogi topole, ustawione równym dwurzędem, a w lewo, na tle sośniny, białały brzozy. Koło spalonej gajówki, gdzie ziemia poryta okopami, odróżnił ciemny rząd świerków.

Ścieżka, po której szedł, skręcała łukiem równo z cofającą się krawędzią lasu, ale Janek wiedział, że potem wraca znowu na kierunek i nie chcąc nakładać drogi, postanowił przeciąć po prostej pole. Wszystko jedno, tu i tam było jednak gorąco.

Do tej pory nie spotkał nikogo, lecz kiedy wyszedł na otwartą przestrzeń i wędrował miedzą, omijając kępy ostów, usłyszał, jak ktoś w lesie krzyczy wysokim głosem:

— *Mładszyj sierżant!*

Nie zwrócił na to wołanie uwagi i szedł dalej przed siebie, tylko Szarik postawił uszy i skrzył w stronę głosu.

— Janek!

Obrócił głowę i w krzakach po lewej rozpoznał znajomą postać rudej sanitariuszki z kompanii Czernousowa. Wołała coś jeszcze do niego i machała ręką. Ucieszył się, skinął jej głową na znak, że zaraz podejdzie, ale ona nie zrozumiała widać, bo wybiegła i pokazywała coraz gwałtowniej, żeby zawrócił do lasu. Szarik biegł w jej kierunku, sadząc przez zagony i kurząc łapami po wyschniętej ziemi.

Janek przyspieszył kroku. Usłyszał wystrzał karabinowy. Dziewczyna upadła, być może chciała się ukryć. Nie, nie dlatego. Hełm z jej głowy potoczył się w bruzdę, odsłaniając włosy o barwie świeżo wyłuskanego kasztana. Nim jeszcze zrozumiał, co się stało, nogi same poderwały go do biegu. Sadził w jej stronę długimi susami, potknął się o zagon i w tej samej chwili, tuż nad głową, przemknął mu krótki gwizd.

Nie było żartów. Zrozumiał, że to nieprzypadkowy wystrzał, że ma do czynienia z ukrytym w zasadzce strzelcem wyborowym. Zrobiwszy jeszcze dwa susy, upadł w bruzdę, przytulił głowę do ziemi. Serce mu biło po biegu, oddychał ciężko, po czole spływały krople potu. Pragnął natychmiast poderwać się, pobiec tam, gdzie leżała dziewczyna, ale opanował bezsensowny odruch, rozumiejąc, że pomoc jej może tylko żywy, że martwy nie zda się na nic. W otwartym polu kula jest szybsza niż człowiek.

Starając się nie odrywać ciała od ziemi, rozpiął pasy plecaka i zostawiwszy go w bruzdzie podpełznął do miedzy. Tu poczuł się swobodniej. Wąski pasek obrośniętej trawą ziemi rozdzielający pola był podorany głęboko i dobrze osłaniał go od strony przeciwnika. Miedzę pokrywała zmierzwiona czupryna przyschniętej, ale wysokiej trawy, porośnięta kępami ostów. Uniósł lekko głowę i nie dalej niż dziesięć metrów przed sobą zobaczył kamień.

Głaz był duży, pozieleniały od mchu; na odłupanym boku miał czerwonawą barwę granitu. Leżał tu wrośnięty w ziemię od niepamiętnych czasów, w których przyniosły go do Polski skandynawskie lodowce. Janek postanowił uczynić zeń swoją fortecę. Podpełznął do kamienia szybko i bez trudu. Z zalem pomyślał, jak bardzo przydałaby się saperka.

Snajper miał stanowisko gdzieś w prawo od niego i po to, by się w tamtą stronę odwrócić, musiał teraz dłońmi rozgrzebywać ziemię, palcami ryć sobie okop. Żeby to miał Szarikowe pazury. Gdzie on się podział?

Nie było jednak czasu myśleć o psie. Minuty upływały jedna po drugiej, a w odległości niecałych stu metrów leżała w bruzdzie trafiona kulą rudowłosa dziewczyna. Pragnął choć spojrzeć w jej stronę, ale powstrzymał się i przygryzając wargi zwinął ciało w miejscu, zajął stanowisko. Lufę karabinu wsunął powoli między trawę i osty, stopami rozepchnął piach na zagonach i ostrożnie spojrzął pomiędzy źdźbłami przed siebie. Wzgórze było puste, bezludne, nic się na nim nie zmieniło.

Zza pasa, spod kombinezonu wydobyl swój myśliwski nóż o długiej, wąskiej klindze i umieściwszy na nim hełmofon leciutko począł wysuwać go ponad kamień. Unosił powoli, centymetr po centymetrze, by zbyt gwałtownym ruchem nie zdradzić podstępu. Gdy ciemny grzebień hełmu wystawał o dwa centymetry nad szczyt kamienia, tamten wziął się na lep — huknął wystrzał.

Janek poczuł piekący ból w policzku, uderzyły go drobne okruchy granitu. Hauba szarpnięta kulą spadła na ziemię. Wszystko jednak na nic — nie dostrzegł błysku. Słońce stało w zenicie, ale odchylone nieco na południe ślepiło w oczy. Zarysy drzew na skraju lasu były czarne. Wydawało mu się, że huk dobiegł z tej strony, gdzie rósł pierwszy świerk na alei prowadzącej do spalonej gajówki, a obok niego brzoza i dwie sosny. Ustalenie kierunku niewiele pomogło, strzelca nie widział.

Jeszcze raz powtórzył ten sam manewr, jeszcze raz huknął wystrzał, ale kula tym razem nie była skierowana w haubę. Skrzesała iskry z kamienia po tamtej stronie, podniosła z suchego piasku niewielki obłoczek kurzu. Janek osunął głowę pod bruzdę, poczuł, jak wzdłuż karku przebiega strumyk chłodnego potu. Lęk chwycił go za gardło.

Jego przeciwnik był mądrym, doświadczonym snajperem. Zorientowawszy się, że wysunięcie, hauby było podstępem, dał ognia tuż obok kamienia. Gdyby wystrzelił nie po lewej, lecz po prawej stronie głazu...

Kos poczuł niezbitą pewność, że lufa wymierzona jest wprost w jego kryjówkę. Był bezradny. Niewidoczny wróg odkrył go, nie zdradzając swego stanowiska. Chłopak nie wiedział, co ma począć. Mógł czołgać się wzdłuż bruzdy aż do samego lasu. Zajęłoby mu to nie mniej niż kwadrans, a poza tym

chodzi przecież nie o jego własną skórę. Na polu leży Marusia, trafiona w momencie, kiedy chciała go ostrzec.

Nagle z tej strony, z której padały kule, dobiegło dalekie ujadanie. W pierwszej chwili pomyślał, że mu się wydaje, ale pies znowu zaszczekał. Janek przesunął się pół metra w prawo, by nie być tuż obok głazu, i ostrożnie wyjrzał. Słońce, które miał do tej pory przeciw sobie, teraz pomogło. Wyraźnie spostrzegł ciemną sylwetkę Szarika, który ukryty za pniem sosny, obszczekiwał brzozę, z mordą uniesioną ku górze. Piesku! — pomyślał ciepło.

W koronie brzozy coś jakby zamajaczyło, drgnęły gałązki. Janek przylgnął do kolby mauzera, spojrział w celownik. Szkła lornety przybliżyły drzewo, pozwoliły dojrzeć nieregularny obrys człowieka ukrytego wśród liści. Wziął oddech i złowiwszy cel na skrzyżowanie nici spokojnie począł naciskać spust.

Huknął wystrzał. Pies przestał szczekać. Przez chwilę nic się nie działo i Janek już miał zamiar cofnąć głowę, gdy między gałęziami coś błysnęło. Tłukąc o konary opadał karabin, zaczepił się pasem, powisł na niskim sęku. Dopiero wówczas cień zatrzepotał w górze i zwałił się w dół na ziemię.

Nie wolno było tracić ani chwili. Jeśli jest ich tam więcej, to nim się zorientują... Poderwał się, chwycił pas plecaka z radiostacją i w kilkunastu susach był już przy dziewczynie. Wydała mu się mniejsza niż wówczas, kiedy przyniosła termos do zasadzki. Leżała na boku z ramionami wyciągniętymi przed siebie, z głową pochyloną na piersi.

Wziął ją na ręce i dużymi krokami poszedł w stronę lasu. Póki był na polu, zdawało mu się, że czuje na plecach obce oczy, że jakaś lufa mierzy do niego i lada chwila poczuje uderzenie, usłyszy huk wystrzału.

Było jednak cicho. Wszedł między drzewa i skrywszy się w cieniu położył ją na trawie. Dopiero teraz zobaczył, że nad prawym obojczykiem mundur jest mokry i czarny od krwi. Rozciął płótno nożem, rozdarł dobyty z kieszeni opatrunek, zabandażował.

— *Bolno* — szepnęła, otwierając oczy. — To ty, Janek? Dobrze, że cię nie trafił.

— Po coś biegła?

— Wiedziałam, że on strzela. Zabiłby cię. Szkoda takiego *mładszewo sierżanta*. Jak po polsku? Kaprał?... — mówiła krótkimi zdaniem, z trudem łapiąc oddech. — Jak tyś mnie wyniósł?

— Lepiej nie mów. Pewno płuco przestrzelone — położył palec na ustach. — Zaraz poniosę cię dalej, poszukamy punktu opatrunkowego.

W krzakach zaszeleściło, wyskoczył Szarik, trzymając w zębach nieduży skrawek materiału. Przysiadł na tylnych łapach i drapiąc pazurami po cholewie Kosa, podnosił pysk ku górze. Janek wyjął mu z zębów biało-niebieską opaskę, na której gotyckimi literami wydrukowane były słowa: „*Hermann Göring*”.

Marusia, leżąc w trawie, patrzyła na to w milczeniu. Dopiero kiedy chłopak obrócił się w stronę psa, spostrzegła, że ma przewieszony przez plecy snajperski karabin.

— Zdjąłeś go?

Skinął głową.

— We dwóch — ja i Szarik. Żeby pies nie pomógł... Ale ty nie mów, nie mów.

Pochylił się, wziął ją na ręce. Prawą trzymała ostrożnie przy sobie, lewą objęła go za szyję. Poprzez pachnącą smarami tkaninę kombinezonu słyszała, jak bije mu serce.

— Dokąd niesiesz?

— Póki sił starczy, poniosę.

Spomiędzy drzew wyszedł na leśną drogę i przystanął, by chwycić oddech. Miał szczęście, bo od strony frontu usłyszał warkot i zza zakrętu wyskoczył ciężarowy studebacker. Wóz przyhamował ostro tuż obok Janka, cisnął kłęby ciężkiego kurzu. Przez otwarte okno wyglądał Wichura, król kazachstańskich szos.

— Kos, co tu robisz?

— Dziewczyna ranna, snajper postrzelił.

— Dawaj ją do szoferki. Z tamtej strony zachodź.

Wichura otworzył drzwi i Janek wspiąwszy się po stopniu ułożył Marusię na siedzeniu, kładąc jej głowę na kolanach kierowcy.

— Zawieź jak najprędzej do szpitala.

— Wiadomo, zawiozę, ale pod jednym warunkiem. Powiedz ty mi wreszcie, jak było tam w Sielcach, kiedyś wyremontowałeś maszynę.

— Nie wygłupiaj się. Szalik wsadziłem do rury wydechowej.

— A potem?

— Potem pies go wyjął.

— Niech cię diabli, dobry kawał. No to pruję dalej, znowu po pociski lecę.

Dziewczyna przysłuchiwała się rozmowie, prowadzonej w obcym języku i na niezrozumiały dla niej temat. Z podgiętymi nogami leżała na siedzeniu szoferki, uśmiechała się nieśmiało do Kosa.

— Daj mi swą pocztę polową.

Pospiesznie nagryzmolił na kartce i wsunął jej do kieszeni spodni.

— Jedźcie już, trzeba się spieszyć.

— Będę pisać do ciebie. Odpowiesz?

Skinął głową, uścisnął jej lewą rękę i skoczywszy ze stopnia zatrzaskał drzwiczki.

„*Sztuder*” ruszył powoli, delikatnie, omijając wyboje. Patrzył jeszcze chwilę na chmurę kurzu wlokącą się za nim i pomyślał: Trzeba by do Jefima Siemionycza znowu napisać list, już chyba ze dwa miesiące jak wysłałem poprzedni.

Stał na boku drogi i patrząc na ślad ciężarówki cieszył się nie z tego, że wyszedł cało z opresji, lecz z tego, że uratował dziewczynę, która może do niego napisze. Żołnierz frontowy, który nie ma domu i nie otrzymuje listów, jest biedniejszy od innych. W każdym człowieku żyje potrzeba ciepłego słowa, tęsknota za kimś, o kim można byłoby myśleć w trudnych minutach boju. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest zmęczony i przysiadł na ziemi.

By usprawiedliwić przed samym sobą, czemu nie rusza dalej, naciął na kolbie karabinu nowy znak, podobny do poprzednich. Przeliczył je, dotykając każdego palcem. Razem było dziesięć. Poślinił kciuk, wsadził palec do kurzu, a potem zamazał ostatnią szczerbę, żeby nie wyglądała świeżo, żeby się nie chwaliła bardziej od innych.

Szarik leżał obok, ziajał z gorąca i z zainteresowaniem obserwował, co robi jego pan. Ucieszył się bardzo, kiedy Janek odłożył karabin i pochyliwszy się nad nim ucałował kudłatą mordę w oba policzki, jeśli tak można o psie powiedzieć.

Potem zebrali się wreszcie, Janek zarzucił plecak z radiostacją na ramię i szybkim krokiem bez dalszych przygód dotarli do swego czołgu ukrytego w lesie.

— Tylko cię po śmierć wysyłać. Doczekać się nie można — zrzędził Saakaszwili. — U nas już wszystko gra, czołg jak nowy. Montuj szybciej swoją skrzynkę.

Gustlik i Wasyl siedzieli o parę kroków dalej oparci plecami o pień drzewa. Teraz, kiedy pół dnia ich nie widział, Janek spostrzegł, że wszyscy zmienili się i nie są tymi ludźmi, których znał parę dni temu. Nie w tym rzecz, że mieli zaczerwienione oczy od kurzu i blasku, że przychudli nieco. Trudno byłoby mu określić, na czym ta zmiana polega. Może pojawiły się jakieś nowe, drobne, prawie niedostrzegalne, a przecież znaczące zmarszczki. Życie zapisuje na twarzach wszystkie minione wydarzenia. Wojna rzeźbi szczególnie ostrym rylcem. Każdy dzień bitwy liczy się chyba za wiele tygodni czy może miesięcy.

Janek wszedł do wnętrza wozu przez właz mechanika, siadł na swym miejscu i przymocowywał radiostację, a Grześ zaglądał z zewnątrz i pogadywał:

— Wiesz, tu niedaleko od nas strzelał snajper. Fizylierzy nawet poszli w tamtą stronę. Patrzyli, nie mogli wypatrzyć. Dopiero kiedy ktoś mu dał, to widzieli, jak spada z drzewa, niczym zdechła wrona. Żebyś szybciej przyniósł radiostację, to mógłbyś się być wybrać i zrobić użytek z tej fajki, co ci ją Sybirak podarował, a którą targasz bez pożytku tam i z powrotem.

— Z jakiej fajki? — spytał Janek, uśmiechając się do siebie.

Dobrze wiedział, że tak właśnie nazywają żołnierze snajperskie karabiny ze względu na lornetę umieszczoną w miejscu muszki. Bawiło go, że Grześ nic nie wie.

Saakaszwili nie zdążył odpowiedzieć, gdyż obok niego stanął Semen i wtykając do wnętrza czołgu kolbę mauzera zapytał:

— Janek, to ty?

Kos wy dostał z kieszeni biało-niebieską opaskę i podał Wasylowi. Jeleń, który przyszedł z porucznikiem i również zaglądał do środka, gwizdnął na dowód aprobaty.

— Chodź no tu — kiwał ręką Wasyl. — Chodźże, pochyl się — wziął głowę Janka w obie dłonie i ucałował go.

— Żadna sztuka — tłumaczył się chłopak. — Szarik mi go wystawił. Pobiegnął pod drzewo, na którym tamten siedział, i zaszczekał.

— No to podwójny tryumf. A czemuś taki nie w sosie?

— Snajper ranił Marusię. Pamiętajcie, tę sanitariuszkę, co ją nazywali „Ogoniok”. Wichura ją powiózł do szpitala.

— Nale, nie mów — zasmucił się Gustlik. — Ciężko raniona?

— Ciężko.

— Bydzie zdrowo. Przeca powieźli ją zarozki, doktory wyleczą.

Jankowi nagle zakręciły się łzy w oczach, spłynęły po policzkach.

Spostrzegłszy je, wszyscy trzej przyjaciele odeszli, poczęli szukać Szarika, żeby mu wyrazić uznanie. Kos otarł twarz wierzchem dłoni, skończył montowanie radiostacji, nawiązał łączność z brygadą i objaśniwszy, że to tylko sprawdzenie, wyszedł z wozu.

— Gro? — spytał Jeleń.

— Gra. Sami wiecie, że jak człowiek sprawdza, to każda radiostacja w porządku. Nawala dopiero wówczas, kiedy naprawdę zależy na nawiązaniu łączności.

Wasył siedział na skrzydle czołgu z zadartą głową, patrzył przez korony drzew w niebo.

— Zmieni się pogoda? — spytał go Janek.

— Nie, w dalszym ciągu upał. Ale ja nie chmur szukam, tylko myślę o tym, o czym już mówiliśmy: o nazwie.

— Jak nie chcecie, żeby był Gniady, to jo się też na ty wasze Bucefały nie zgadzam — oświadczył Jeleń.

— Słusznie — stwierdził Wasył. — Koni mamy w silniku całą kupę. Poza tym czołg to znacznie więcej niż koń, coś znacznie bliższego. Po prostu, jak człowiek, jak towarzysz... Nazwijmy go „Rudy”.

— A to czemu? — oburzył się Jeleń. — Gniady nie chcecie, a „Rudy” mo być dobrze?

— Ja ci powiem — mrugnął na niego Grześ. — Przyjrzyj się: cały od ognia przyrudział, nabrał kasztanowej barwy. Marusia nie może się nazywać, bo to nie dziewczyna. Przed ogońkom niech nas pancierz strzeże. A „Rudy” — w sam raz.

Gustlik spojrział na Janka i otwartą dłonią uderzył się w czoło.

— Jasne, jo już tero wszystko rozumiem. Jak to dla tej szwarnej dzieuszki, niech bydzie. Zgoda.



## ROZDZIAŁ 16. SZTURM

WIECZOREM PRZYSZEDŁ DO NICH łącznik z kompanii fizylierów i przez zmierzch poprowadził wóz na nowe stanowisko.

Stali teraz w okopie między wysokimi drzewami, ale tuż przed czołgiem zaczynał się niski młodniak gęsto rosnących sosenek, sięgający nie wyżej piersi. W zagajniku mieli swoje stanowiska piechurzy.

Gdy noc zapadła, zrobiło się jeszcze ciszej niż w dzień, rzekłbyś, że bitwa dogasa. Przeczyły temu tylko rakiety oświetlające, wystrzeliwane raz po raz przez Niemców, które zakreśliwszy łuk po ciemnym niebie, opadały na ziemię i tliły jeszcze chwilę na piachu lub w trawie. Jeleń został w wieży, dyżurując przy peryskopach, a reszta załogi przyległa na dnie, na skrzynkach z pociskami. Że twarde drewno uwierało w boki, to głupstwo, umieli tak spać, ale sen nie nadchodził, gdyż wiedzieli dobrze, że jutro nastąpi ostateczne uderzenie na Studzianki.

— Skąd wiadomo, że właśnie jutro? My dowiadujemy się od dowództwa, od sztabu, ale ja pytam, dlaczego dowódca decyduje, że nie dziś, nie pojutrze, ale właśnie jutro.

W czołgu pogaszone były wszystkie światła, nie paliła się nawet maleńka żaróweczka rozjaśniająca celownik i Janek mówił w przestrzeń, nie widząc twarzy przyjaciół leżących tuż obok niego. Chwilę trwała cisza, a potem odezwał się Saakaszwili:

— Ja ci tak wytłumaczę: na przykład ktoś cię napadł, uderzył. Pociemniało ci w oczach, zachwiałeś się na nogach, więc tymczasem parujesz ciosy, odskakujesz, czekasz, aż szum w głowie przejdzie. Potem, jak przyszedłeś do siebie, to chodzisz koło mego, tańczysz, ustawiasz go, czekasz, kiedy zrobi ruch nieostrożny, odsłoni się i wtenczas bijesz. Rozumiesz?

— A skąd wiadomo, że oni jutro zrobią nieostrożny ruch?

Wasył nie brał udziału w rozmowie. W wozie zapanowała cisza, cisza była także obok, za pancerzem. Nawet piechota ukryta w zagajniku nie strzelała.

Minął może kwadrans i Janek słysząc równe oddechy począł drzemać, kiedy gdzieś dalej, po lewej od czołgu, zerwała się nagle gwałtowna

strzelanina z broni ręcznej. Słysząc było erkaemy, pistolety maszynowe, wybuchło kilkanaście granatów i parę razy odezwały się moździerze. Potem jakby jeszcze krzyki, ale niedługo przycichło.

Janek uniósł głowę, orientował się, że tamci dwaj też nie śpią. Gustlik w wieży kręci się niespokojnie na siedzeniu dowódcy, ale Kos nie chciał pierwszy pytać.

— Czołgiści! — niespodzianie blisko, tuż za pancernem odezwał się głos któregoś z fizylierów. — Śpicie?

— Śpiemy — odpowiedział Jeleń uchylając właz. — A bo co?

— Powiadają, że to, co było słysząc, to ruscy kocioł zamknęli. Wyrzucili Niemców po ciemku z tego lasu od południa.

Prócz telefonów i radiostacji istnieje w każdej armii jeszcze jeden sposób rozpowszechniania wiadomości, który jest nie mniej sprawny od fal radiowych. To żołnierski telegraf. Wieści przekazywane są z ust do ust wzdłuż linii frontu, przenoszą się z punktów obserwacyjnych na baterie, razem z gońcami i kierowcami samochodów docierają z frontu na tyły, a z tyłów na front.

Bataliony i pułki, dywizje i korpusy stanowią nie tylko zbiorowisko ludzi, ale żywe organizmy. Gromadzenie sił, obrona, natarcie, to jak gdyby ruchy palców u ręki, o których dzięki nerwom dowiaduje się całe ciało. I teraz, niczym dreszcz po skórze, przeszła po całym froncie wiadomość o odcięciu i okrążeniu pancernego klina dywizji „*Hermann Göring*”.

— Teraz rozumiesz, Janek? — spytał Semen. — Gdybyśmy uderzyli wczoraj czy dziś albo nawet jeszcze przed kilkoma minutami, hitlerowcy mogliby ściągnąć posiłki lub cofnąć się.

— No właśnie, ja mu tłumaczyłem — wtrącił zadowolony Grześ. — Jak w szyszkę uderzysz obuchem topora, to tylko się gałąź zakołysze, krzywdy jej nie zrobisz. Jak chcesz orzech rozbić, musisz go na twardej podkładce ułożyć i teraz, kiedy oni są okrążeni...

Semen wstał, wyгнаł Jelenia z wieży, każąc mu odpoczywać. Janek i Grześ poderwali się, żeby zastąpić dowódcę, ale nie chciał ich słuchać i rozkazał, by spali. Wiedzieli, że jest niezadowolony, jeśli się zbyt długo upierają, że dyskutować z nim można tylko do pewnego momentu, więc znowu ułożyli się na skrzynkach.

Semen uchylił włącz, patrzył w niebo, na którym mimo dymów widać było pomrużujące gwiazdy. By złagodzić ostry ton rozkazu, powiedział szeptem:

— Śpijcie, chłopcy, jutro będzie dobra pogoda.

— CHŁOPCY... CHŁOPCY! — ocknęli się, nie wiedząc, czy spali tylko chwilę, czy może parę godzin.

Na dworze było ciemno, a więc noc jeszcze nie minęła. W otwartym włącz zobaczyli cień Semena.

— Chodźcie tutaj.

Zerwali się, stanęli w wieży obok dowódcy.

— Podjechał samochód i ktoś pyta o czołgistów. Zbudziłem was, bo może generał.

Słyszeli szelest przedzierającego się przez krzaki człowieka i trzask łamanych gałązek.

— Hej, jest tam kto?

— A ty kto?

— Kucharz, nie poznajecie?

— Tędy, bardziej w prawo.

Kapral Łobodzki wspiał się na pancerz i zobaczyli go teraz tuż obok siebie, stojącego przy wieży. Był taki sam jak wówczas, kiedy go poznali: przygarbiony nieco, ze skórą jakby zbyt dużą na jego miarę. Może tylko schudł trochę, a może tak wydawało się nocą.

— A, to wy — czterej pancerni niepokalani i honorowy pies. Idźcie tamtędy, prosto i weźcie sobie z kuchni mięso, kawę i chleb. Kawę możecie nalać do termosu. Ja tu tymczasem odsapnę.

Semen kazał pozostać w czołgu Jeleniowi i wszyscy trzej wzięwszy menażki wychodzili po kolei na pancerz. Janek podsadził Szarika do włącz i wspiał się jako ostatni. Kucharz przytrzymał go za rękę.

— Kos, spotkałem Wichurę z kolumny amunicyjnej. Kazał powiedzieć, jak cię zobaczą, że tę ranną dziewczynę przewiózł na drugi brzeg i oddał jednemu doktorowi wprost do sanitarki.

— Dziękuję, żeś mi powiedział.

— Nie ma za co — wzruszył ramionami Łobodzki.

Kuchnię odnaleźli bez trudu, doprowadził ich nieomylny Szarik. Między drzewami, na wąziutkiej przesiece, stała półciągarówka z przyczepionymi

jeden za drugim dwoma kotłami. Z urwanego kominka sączył się dym. Szofer spał na siedzeniu, z otwartych drzwi kabiny wystawała głowa z przyciętymi krótko włosami. Mimo mroku widać było ciemne piegi rozsypane po całej twarzy. Grześ chciał budzić, ale Semen go wstrzymał.

— Niech śpi.

Napili się do syta gorzkiej, zbożowej kawy, nabrali w dwie menażki gotowanego mięsa, znaleźli pod brezentem chleb. Kiedy wrócili do czołgu, kucharz spał na płycie silnika, mając pod głową zwinięte w wałek legowisko Szarika.

— Podłożyłech mu, żeby se guli nie nabił — wytłumaczył Jeleń. — Tak śpi, że żol budzić. Jeny na początku roz mamy zawołał.

Grześ spryskał mu twarz kawą. Kucharz poderwał się, przetarł oczy i półprzytomny zamamrotał:

— Dniem gotuję, nocą jeżdżę...

Zeskoczył z wozu, zaplątał się w gęstych sosenkach.

— Poczekaj — powiedział Janek. — Idź za psem, on zaprowadzi. Szarik, odprowadź do kuchni.

Zniknęli obaj w ciemności, a po chwili załoga usłyszała warkot zapuszczanego silnika i wilczur wrócił wesóły, niosąc w zębach spory płat surowego mięsa.

Niedaleko już było do świtu, ale jeszcze wspólnymi siłami ułożyli Semen do snu, obiecując zbudzić go, jakby się tylko co zaczynało. Sami ulokowali się we trzech w wieży. Jeleń dojadał resztki mięsa z chlebem, a Janek z Grzesiem pogadywali szeptem. Niebo na wschodzie, widoczne poprzez korony sosen, jaśniało z wolna, potem dołem poczęło różowieć. Zgasły gwiazdy w zenicie, na pancerzu pojawiła się rosa...

Porucznik obrócił się z boku na bok, westchnął, wydawało im się, jakby coś mówił. Janek zlął z siedzenia, zajrzał na dół, usłyszał szept:

— Luba, ja przyjdę... Ja zaraz.

Na dnie czołgu był mrok, ale od uchylonego włazu mechanika szło pasmo światła, szarego światła poranka, w którym twarz Wasyla zdawała się mieć jasnoblękitne cienie. Janek patrzył na niego i dowódca wydał mu się znacznie młodszy niż zwykle. Wargi miał wilgotne, przypuchnięte jak dziewczyna. Kos zdał sobie sprawę, że przecież Semen mógłby być co najwyżej jego starszym bratem. Najstarszy w załodze, to jeszcze nie znaczy dorosły.

— Co tam? — zapytał cicho Grześ.

— Nic, przez sen mówi — odrzekł Janek.

Gdzieś niedaleko przed nimi, zda się tuż obok, huknął wystrzał z czołgowego działa. Grzmot potoczył się, wrócił echem od ściany lasu. Semen otworzył oczy, przebudzony od razu.

— Słyszę, że Niemcy ogłosili rozpoczęcie dnia — usiadł i spojrzał na zegarek. — Za kwadrans musisz Janek być przy radiostacji na nasłuchu, a tymczasem, myślę, że pora na śniadanie. Dajcie tu kawę.

Przegryźli po kromce chleba i podając sobie menażkę z rąk do rąk wysuszyli do dna dwa litry.

— No, to teraz na miejsca.

Wykop, w którym stali, był płytki, nasyp nie przesłaniał wizjerów, ale Grześ i Janek siedzący pół metra nad ziemią widzieli tylko najbliższe sosenki gęstego zagajnika.

Słońce wyszło zza horyzontu i w jego świetle Kos zobaczył w celowniku skrawki siwych nici z zawieszonymi na nich maleńkimi kroplami rosy. Niewielki, zielony pajęczek dreptał po nich pracowicie, łączył i splatał sieć. Obudziwszy się po nocy pracował pilnie, nie wiedząc, że ten stalowy pagórek ruszy z miejsca i musi stratować sosenki, porwać pajęczynę. Kosowi zrobiło się żal. Myślał przez chwilę, czy nie wyjść z wozu i nie przenieść pająka razem z całą gałęzią gdzieś na bok, a potem przyszło mu na myśl, że to nie ma sensu, że oni sami nie znają swego losu, nie wiedzą, czy są niewidoczni.

Być może teraz właśnie, o świcie, zdradził ich odblask słońca na pancerzu i przyczajony o paręset metrów ferdynand naprowadził już lufę na cel. Być może w zamku już zatrzaśnięto pocisk kalibru 88 mm i wystarczy tylko lekkie naciśnięcie spustu...

Nie, to głupie myśli, nic podobnego się nie zdarzy. Tkwią nieruchomi, zamaskowani, słońce mają za plecami. Co innego czołgi, które stoją po tamtej stronie wioski i będą ją atakowały od zachodu. Tamtych może zdradzić zwykle odsłonięcie peryskopu.

W słuchawkach rozległ się wysoki gwizd i tuż potem wyraźnie, zda się tuż obok, usłyszeli głos:

— Grab, Dąb, Buk, Sosna, Jodła, Modrzew... Ja Wisła, ja Wisła, meldujcie, czy mnie słyszycie... Odbiór.

To była Lidka. Mówiła sennie, niespiesznie, głosem dziewczyny rozbudzonej przed chwilą ze snu.

— Wisła, ja Jodła. Słyszę. Odbiór.

— Ja Dąb. Słyszę...

Poszczególne kompanie meldowały jedna po drugiej, z pozoru spokojnie, może tylko nieco szybciej, niż było trzeba. Janek poczekał i zgłosił się jako ostatni:

— Wisła, ja Grab. Słyszę was dobrze. Odbiór.

Nie powiedział Grab jeden, wymienił kryptonim całego plutonu, a jednak byli sami, w pojedynkę. Chorąży Zenek wraz z całą załogą spłonął wówczas, kiedy ścigał na siebie ogień osłaniając ich rajd do okrążonego batalionu. Zginął szybciej, niż zdążył się dogotować rosół z kury schwytanej przez jego mechanika. Trzeci wóz o dzień później dostał w silnik i odciągnięty przez transporter pełnił służbę przy sztabie jako nieruchomy punkt ogniowy.

— Ja Wisła, słyszę was wszystkich. Ciebie, Grab, również.

Nie bardzo zrozumiał, czy te ostatnie słowa ma traktować jako wyróżnienie, czy może kpinę. Wzruszył ramionami niezadowolony, ze trochę go jeszcze obeszło. Pomyślał z radością, jak prosta i naturalna jest jego nowa znajomość. Jeśli cało wyjdę z bitwy, to może za parę dni nadejdzie list ze szpitala. Wtenczas ja do niej napiszę, że nasz czołg nazywa się „*Rudy*”. I napiszę jeszcze, że to od barwy twoich włosów, Marusia...

Poczęła bić artyleria. Wystrzałów nie było słychać, pociski nie przegwizdywały górą, lecz rwały się gdzieś niedaleko na przedzie przed nimi. Widocznie strzelali z tamtej strony, od zachodu. Domyślał się tylko, lecz nie mógł zobaczyć, bo pole widzenia przesłaniały sosenki.

— Dziobią w folwark — wyjaśnił Semen. — Pewnie już niedługo...

Z wieży czołgu, ponad zielonymi czubami drzewek, w odległości nie większej niż sześćset metrów, widać było spory zespół budynków murowanych z kamiennych głazów, o ścianach prawie ślepych, gdzieniegdzie tylko oznaczonych prostokątnymi okienkami. W prześwicie między dwoma budynkami mógł obserwować kawałek dziedzińca; po prawej od zabudowań drogę brukowaną kocimi łbami, a bliżej rzadki sad z jabłonią, pod którymi stało kilka różnobarwnych uli. Wokół obór i stajni kłębiły się w tej chwili wybuchy, wzniecały tumany kurzu, a jeden z nich zdarł maskowanie ze

stojącego przy drodze działa. Wasyl naprowadził w tym kierunku lufę armaty, ale nie strzelał, tylko zapamiętał.

— Szafa nie gra? — spytał Kosa.

— Cisza.

Z daleka, zza folwarku, od tej strony, gdzie za spaloną wsią rozciągał się las, dobiegło dudnienie silników i czołgowe wystrzały. Semen odgadł, że tam musi być dowódca i rozkaz do ataku został wydany bezpośrednio, a nie przez radio. Oni poszli, a my tu czekamy w zasadzce — pomyślał. — Słońce mamy za plecami, od strony Niemców nas nie widać.

Z południa, na małej wysokości, wyskoczył klucz samolotów. Dolatując nad folwark, zmieniły szyk, pełzły jeden za drugim jak nanizane na sznurek i prowadzący nagle załamał tor lotu, znurkował, zrzucił bomby. W momencie, gdy pierwszy wyprowadzał, a drugi ruszał do ataku, od ziemi trysnęły ku górze wysokie kolumny piachu przemieszanego z resztkami nadpalonych belek, z cegłami z rozbitych kominów.

— Co tam się dzieje? — spytał niespokojnie Saakaszwili.

— Sztukasy rąbią w naszych, pierona — zaklął Jeleń. — Jejku kandy, chałupa się ruszo.

— Widzę, pilnuj jej, zapamiętaj, gdzie stanie — odpowiedział Semen.

— Rypniemy do niej?

Wasyl nie odpowiedział. Powolnym, spokojnym ruchem przesunął lufę działa, wziął na celownik pełznący dach. Nietrudno było odgadnąć, co się stało. Jakiś wóz czy działo pancerne zamaskowane w chałupie ruszyło z miejsca i wlokło na sobie dach razem z belkowaniem. Łatwo mógł je zniszczyć, ale wówczas zdradziłby stanowisko.

Samoloty zrzuciły bomby i teraz, rozgniewane jak osy, kłuły las za wsią długimi żądłami serii kaemów i szybkostrzelnych działek. Widać było smugi sięgające ziemi, kłęby kurzu podniesionego wybuchami bomb. rozłazące się w spokojnym powietrzu i dreszcz chodził po skórze na myśl o tym, co działo się tuż przed nimi, w odległości nie większej niż półtora kilometra.

Ze wschodu, ponad zaczajonymi czołgami, przemknęły dwie pary myśliwców. Sztukasy zaniechawszy ataku poczęły wiać w różne strony. Ostatni, który spostrzegł niebezpieczeństwo, nie zdołał umknąć i przebity z góry seriami broni maszynowej zapalił się, zwałił w las.

Myśliwce odeszły w pościgu na zachód, niebo było znowu czyste. Tylko zza folwarcznych budynków huczały czołgowe armaty Niemców i poszczekiwały moździerze. Pociski rwały się za wioską, a tutaj, na skraju lasu i sosnowego zagajnika, w dalszym ciągu było spokojnie.

— Odparli naszych? — spytał Saakaszwili.

— Odparli.

— Czemu my próżnujemy, przecież...

— Niech to cholera — przerwał Gruzin zdenerwowanemu Jankowi.

— Sam pytałeś nocą — zwrócił się Semen do Kosa — skąd wiemy, że przeciwnik robi nieostrożny ruch. Wiemy tylko, że powinien taki ruch zrobić. Czekamy na chwilę, w której się zapomni czy przeliczy.

Na długie minuty zaległa w czołgu cisza. Pod pancierzem robiło się coraz cieplej, a niebo w wizjerach pobladło, zapowiadając upał. Szarik objedzony świeżym mięsem spał spokojnie. Jeleń, który wszystkie wydarzenia zwykł traktować filozoficznie i nie przejmował się niczym zbyt długo, również zadrzemał, kiwnął się, uderzył głową o pancierz i przebudzony ziewnął. Janek wyjął zamek z karabinu maszynowego, obejrzał, zdmuchnął niewidzialny pyłek i zaryglował z powrotem.

W różny sposób znosili ciężar oczekiwania. Gdyby od razu, z samego rana ruszyli do bitwy, nie mieliby czasu myśleć. Teraz, kiedy wiedzieli o nieudanym ataku kompanii stojących po drugiej stronie wsi, wyobraźnia podsuwała im obrazy spalonych wozów, rozszarpanych odłamkami ludzi. W tykaniu czołgowego zegara, w lekkim szeleście wiatru, w przepływających obok minutach rozpuszczony był strach. Grześ sięgnął do gaśnicy i ledwo jej dotknąwszy, cofnął rękę. Zanucił pod nosem piosenkę, urwał po paru tonach. Sprawdził zamek wjazdu przed sobą, pogłaskał pancierz.

— Dobry „Rudy” — szepnął i dodał głośno: — Wasyl, widać co?

— Jak zobaczę, powiem.

Między budynkami folwarku, w równych odstępach czasu, parokrotnie stęknęły moździerze, rozrzuciły wachlarzem miny po lesie. Semen widział, jak obsługa wlecze rurę za sobą, zmieniając stanowisko, i opuszcza w wykop pod akacją. Zapamiętał miejsce, w którym się skryli, sprawdził wzrokiem, czy stoi działo przy drodze i gdzie pod dachem maskuje się niemiecki czołg.

— Nic ważnego, fryce się denerwują i hałasują trochę.



Po raz drugi z zachodu odezwała się radziecka bateria haubic. Wybuchy poczęły tryskać między budynkami, jeden z pocisków rozwalił kamienny narożnik obory. Semen liczył początkowo, a potem przestał, bo włączyły się nowe lufy, ogień zgęstniał, rąbał coraz szybszymi salwami w niemieckie pozycje. Wreszcie artyleria urwała i słychać było warkot silników za wsią, długie serie karabinów maszynowych.

Niemcy widocznie zdecydowali wyjść do przeciwuderzenia, bo nagle, zrzucając maskowanie, ruszyły z miejsca dwa, a potem jeszcze cztery czołgi. Wznosząc tumany kurzu, poszły w stronę skrzyżowania dróg. Semen przygryzł wargi i zdjął dłoń ze spustu. Bardzo go korciło, by posłać za nimi parę pocisków. Wozy zniknęły mu z oczu za budynkami i drzewami, za ścianą pyłu, którą podniosły.

Znowu od południa, tym razem na nieco większej wysokości, szły dwie eskadry samolotów. Wasyl patrzył na nie z uśmiechem i w momencie, kiedy poczęły zmieniać szyk, gotując się do nurkowego ataku, zatarł ręce.

— Janek, chodź tutaj. Szybko.

Kos posłusznie prześliznął się koło podstawy działa i stanął w wieży obok dowódcy.

— Popatrz przez peryskop. Widzisz?

— Samoloty widzę.

— Uważaj, zaraz zaczną bombardować — pospiesznie wyjaśniał Semen. — Nasi zrobili artyleryjskie przygotowanie, ale do ataku nie poszli. Niemcy na wszelki wypadek wezwali samoloty, ale zdenerwowali się, ruszyli z miejsca. To właśnie ten fałszywy ruch, o który pytałeś.

Sztukasy, wypatrzywszy z góry gęste kłęby kurzu wyniesionego przez czołgi, uznały, że to jest właśnie obiekt ataku. Z wyciem rzuciły się w dół, zwalając jedną po drugiej bomby.

— Oni w swoich? — spytał Kos.

— Fest rypią — cieszył się Jeleń po drugiej stronie działa.

Semen szturchnął Janka w plecy.

— Na miejsce. Gustlik, ładuj odłamkowym. Janek, nasłuchuj uważnie, a ty Grześ zapuszczaj silnik i bądź gotów.

Piąty samolot wychodził z nurkowania, szósty szedł ostro do ataku i w tym momencie w słuchawkach odezwała się radiostacja dowodzenia.

— Sosna, Jodła, Modrzew uwaga... Naprzód!

Semen wiedział, że za chwilę i jego czołg zostanie wywołany. Naprowadził armatę na działo przeciwpancerne, stojące przy brukowanej drodze. Widział, jak biegną ku niemu grenadierzy w łaciatych panterkach i zajmują stanowiska.

— Dąb, Buk, Grab, uwaga...

Teraz już nie potrzebował się maskować. Nim padła dalsza komenda, odpalił. Przez rozsiewający się kurz i dym zobaczył obaloną na bok armatę i sterczącą ku górze, urwaną rurę łoża.

Błyskawicznie przeniósł celownik na akację, szukał chwilę mózdzierza, nie dostrzegł go, lecz mimo to wpakował pod drzewo jeden po drugim dwa pociski. Drgnęło mu serce z radości, gdy nagle z ziemi trysnął wysoki gejzer wybuchu.

— Amunicja poszła — szepnął i dodaj głośniejszym głosem: — Przeciwpancernym, ładuj.

— Dąb, Buk, Grab uwaga! — powtórzyła radiostacja dowodzenia i podała komendę: — Naprzód.

— Mechanik, stop — wstrzymał Wasyl Grzesia, który już wysprzęglił i wrzucił bieg.

Semen przeniósł lufę w miejsce, gdzie pozostawił ów ruchomy dach, sekundę go szukał, a potem zobaczył, jak pełźnie z wolna wstecz, starając się zająć pozycję obok folwarcznych zabudowań. Naprowadził lufę w środek słomianej sterty i odpalił. Strzecha drgnęła, obróciła się w miejscu i spod niej, jak ranny zwierz, wymknął się w skrócie potężny ferdynand. Szedł na tylnym biegu wykonując jednocześnie zwrot. Nieopatrznie ustawił się bokiem.

— Podkalibrowym ładuj.

— Gotowe.

Wasyl starannie odłożył poprawkę, ale w tym momencie ferdynand stanął, znieruchomiał na parę sekund. Porucznik skorzystał z okazji, wbił pocisk pod wieżę i nie czekając na rezultat rozkazał:

— Mechanik, naprzód! Gaz.

Zerwali się z miejsca, jak wyścigowe konie, zbyt długo zamknięte w boksie. Skoczyli raczej, niż wyjechali z okopu i poszli na folwark.

— Janek, bij po strzelnicach i oknach.

Kos przylgnął do celownika, chwilę jeszcze widział w nim tylko zielone, połyskliwe migotanie sosnowych igieł, falę drzewek kładących się przed czołgiem. Wreszcie trysnęło światło — wyszli do sadu.

Na krawędzi swego wizjera zobaczył pędzące do przodu, wyrzucające piach spod gąsienic sąsiednie czołgi, ale już przez gałęzie jabłoni, za ulami, mignął mu budynek, wytrzeszczający ciemne okna. W głębi, jak ślepia kotów ukrytych w piwnicy, błysnęły ogniki serii i Janek odpowiedział natychmiast. Krótkimi przyduszeniami spustu gasił te ognie, groźne dla biegnących przy wozach fizyliarów. Zdążył obrobić dwa okna i otwór w murze wybity tuż nad ziemią, lecz już odległość była zbyt mała, skręcili lekko i między dwoma budynkami wypadli na dziedziniec.

Zza węgła wychylił się ku nim grenadier z pancernownicą. Kos ściał go. Tamten upadł półobrotem. Ginąc, nacisnął spust i po wydeptanym klepisku folwarcznego dziedzińca, jak piłka futbolowa, potoczyła się głowica, wybuchła na stercie kamieni.

W tym samym miejscu, gdzie padł grenadier, pojawił się rozpędzony transporter. Kierowca widząc czołg przyhamował, począł skręcać, podczas gdy dwóch spadochroniarzy w pokrytych siatką hełmach tłukło ponad burtą z karabinu maszynowego. Dostrzegł ich Semen i nie mogąc strzelać z odległości dziesięciu metrów, rzucił do mechanika:

— Taranem!

Saakaszwili docisnął gaz, wóz szarpnął naprzód, z trzaskiem uderzył o metal. Odrzucony transporter gubiąc koła wpadł na ścianę, a czołg gwałtownie hamując uniknął w ostatniej chwili zderzenia z murem.

Nagle po lewej i prawej zaroilo się od ludzi. Biegli nasi i radzieccy piechurzy; przyginając kolana strzelali z biodra seriami, ciskali granaty w okna i drzwi budynków, wyprowadzali jeńców. Niewielkie grupki grenadierów, którym udało się odskoczyć, wiały przez polanę, w stronę lasu. Janek wiedział, że wpadną tam w ręce gwardzistów, zamykających pierścień okrażenia. Podniósł lufę swego erkaemu i ponad ich głowami wystukał serię, leciutko naciskając spust.

— Tata–ta–tata, tata–tata–tata, ta–ta–ta...

— Co ty wyrabiasz? — burknął Semen.

— Strzelam swoje nazwisko — odpowiedział z uśmiechem. — Sam jeszcze w Sielcach mówiłeś, że się muszę nauczyć.

Grupka fizylierów szła w stronę ich czołgu, lecz nagle zawrócili i machając nad głową rękami, poczęli uciekać.

— Swoi przecież, czego się boicie? — mruknął Grześ i uchylił właz, aby ich zawołać.

Nim jednak zdążył dobyć głosu, przytrzasnął zamek z powrotem i wrzasnął:

— O rany, niech to cholera weźmie.

— Co takiego?

— Dziobnęła mnie.

— Kula? — zaniepokoił się Wasyl.

— Jaka kula? Pszczoła. Cały pancierz obsiadły.

Dopiero teraz poczuli, że w czołgu pachnie miodem.

Janek patrząc przez celownik, widział, jak na dziedzińcu folwarku nasi i radzieccy żołnierze obejmują się i całują, jak zganiają w jedno miejsce wziętych podczas szturm jeńców, a w inne — znalezione w oborze owce. Ktokolwiek jednak zbliżał się do ich czołgu, z odległości piętnastu metrów zawracał i pospiesznie uciekał.

— Co teraz będzie? — zaniepokoił się Kos. — Siedzimy jak w niewoli. Trzeba chyba jednak spróbować...

— Nie próbuj nawet, bo żywy nie wyjdiesz — wtrącił się Jeleń. — Poczekajcie, jo już zaraz będę gotów.

Narzucił kurtkę mundurową na głowę i wciągnawszy rękawice, pospiesznie otworzył właz, wyskoczył na pancierz. Zatrzasnęli za nim, ale i tak do środka wpadły dwie oszalałe pszczoły, tłukły się po mrocznym wnętrzu, grożąc czołgistom żądłami. Wreszcie uspokoiły się jakoś, przestały brzęczeć i przysiadły w kącie.

Zaciekawiony Janek widział przez wizjer, jak Jeleń, zdobywszy od piechurów łopatę, wygarnął węgle z popieliska zburzonego budynku, podrzucił je w pobliże czołgu od strony wiatru, a potem znosił całymi naręczami zielone gałęzie sosen, ciskał na ogień. Walił coraz gęstszy dym, przenikał do wnętrza wozu.

— Z bitwy wyszliśmy cało, ale ten diabeł nas zadusi — krztusił się Grześ.

Nie widzieli już teraz nic przed sobą poprzez szare kłęby i dopiero po chwili usłyszeli stukanie łopaty w pancierz i głos Gustlika.

— Odymilżech ich, możecie wylizać, nie pogryzą.

Otworzyli czym prędzej włazy. Pierwszy wyskoczył Szarik, a za nim reszta załogi. Teraz dopiero zobaczyli, że cały bok czołgu, cała gąsienica oblepiona jest miodem. Musieli widać, jadąc przez sad, rozdusić ul. Szarik marszcząc nos od dymu przysiadł obok i zlizywał z kół nośnych przemieszaną z kurzem słodką i lepka maź.

— Widzę, Gustlik, że ty jesteś fachowiec. Dobrze byłoby zajrzeć do uli i zrobić większy zapas miodu. Podarujemy dowódcy brygady.

— Dobrze by było — Jeleń podrapał się po głowie — tylko trzeba by jokomsik beczuleczkę wynaleźć niewielką...

Regulujący ruch już wskazywali czołgom nowe stanowiska bojowe, wyprowadzali je poza obręb zabudowań. Widocznie do niemieckiego dowództwa również dotarł meldunek o tym, co się stało, i z południa nadleciał pocisk, uderzył tuż obok ściany budynku. Nie ranił nikogo, przyjęli go raczej z ulgą, z radością, jako zaświadczenie, że zdobyli folwark i wieś Studzianki.



## ROZDZIAŁ 17. KRZYŻE WALECZNYCH

BITWA NIE SKOŃCZYŁA SIĘ zdobyciem Studzianek. W parę godzin potem ruszyli przez las na południe, zajęli stanowiska w szykach gwardii na zewnętrznej linii okrążenia. Pod wieczór odpierali atak piechoty i czołgów. Nocą mieli być zluzowani, ale przeszkodził im w tym przeciwnik i dopiero o dwadzieścia cztery godziny później, nad ranem, wycofano brygadę do tyłu.

Słońce już wyszło zza horyzontu, kiedy mijali pobojuwisko. Na studziankowskich polach, wypukłych jak obrócona ku górze tarcza, stały martwe czołgi o pokrytych sadzą wieżach i lufach schylonych ku ziemi. Stały uszkodzone wozy z zerwanymi i poskręcanyimi gaśnienicami. Patrzyli na nie uważnie: z żalem na własne, z mściwym zadowoleniem na kanciaste kształty średnich czołgów niemieckich, na długolufe pantery, przysadziste i ciężkie tygrysy. Dopiero później przedstawiciele sztabów mieli je policzyć i stwierdzić, że zostawiwszy na polu walki osiemnaście czołgów, Polacy spalili czterdzieści czołgów i dział pancernych wroga.

W sporym lasku pośrodku przyczółka brygada zajęła stanowiska jako odwód 1 armii, której dywizje przekroczyły Wisłę i zajęły obronę na północy, wzdłuż Pilicy.

Pod wieczór tego samego dnia, w którym nastąpiło luzowanie, mimo że znajdowali się w zasięgu ciężkiej artylerii, mimo że w dalszym ciągu samoloty Luftwaffe szły szerokimi falami i po bezchmurnym niebie, czołgiści stanęli na zbiórkę. Słońce już było nisko, skośne promienie z trudem przedzierały się przez korony drzew, a gdzie gęściej rosły sosny, półcień leżał pod pniami. Wzdłuż szeregów, od czoła, szedł generał, a za nim oficer sztabu i żołnierz ze zbitą z dwu desek tacą. Załoga „*Rudego*” stała na lewym skrzydle, na końcu. Im bliżej był generał, tym wyraźniej słyszeli jego głos:

— Za bohaterskie czyny w walce z niemieckim najeźdźcą podporucznik Aleksander Marczuk odznaczony Krzyżem Walecznych... Chorąży Józef Czop odznaczony Krzyżem Walecznych... Kapral Marian Babuła odznaczony Krzyżem Walecznych.

Generał minął kilku żołnierzy i znalazł się tu przed nimi.

— Dowódca czołgu, porucznik Wasyl Semen, odznaczony Krzyżem Walecznych... Działonowy, kapral Gustaw Jeleń; mechanik–kierowca, plutonowy Grigorij Saakaszwili; radiotelegrafista kapral Jan Kos — odznaczeni Krzyżami Walecznych...

Każdy z nich wypowiadał te same słowa: „*Ku chwale Ojczyzny*”, ale każdy po swojemu, rozmaicie. Wasyl spokojnie, Gustlik głośno, Grześ z zapalem, a Janek raczej nieśmiało. Generał brał krzyże z drewnianej tacy, którą za nim niesiono, i szpilką przypinał je do zaoliwionych, brudnych od kurzu kombinezonów nad lewą kieszenią na piersi. Każdemu z nich patrzył w oczy, ścisnął dłoń, a potem obejmując, całował w oba policzki, prostował się i salutował.

Gdy przypiął odznaczenie Jankowi, taca była już pusta, ale generał nie odchodził i stojąc naprzeciw chłopca, marszczył brwi z wyrazem niezadowolenia na twarzy. Potem spojrział w stronę Semenę i spytał:

— Co to za nieporządki? Gdzie reszta załogi?

Semen, nie wierząc własnym uszom, zerknął w prawo. Nikogo nie brakowało.

— Wszyscy, obywatelu generale.

— Widzę tylko czterech pancernych. Gdzie pies?

— Szarik! — zawołał Janek.

Wilczur zostawiony koło czołgu nudził się setnie, nie pojmując, czemu kazano mu tutaj warować i na głos swego pana natychmiast przybiegł.

— Każ mu sięść.

— Do nogi, Szarik. Siad!

:— Kucharz, do mnie — zawołał generał.

Spomiędzy drzew, ubrany w biały fartuch i czapkę, wyszedł nie znany im żołnierz. Kroczył uroczyście, niosąc przed sobą duży fajansowy talerz nadłuczony z boku, na którym piętrzyło się kilka zwojów podsmażanych kiełbas. Generał zabrał mu z rąk półmisek i przykucnąwszy postawił przed psem.

— Inaczej nie potrafimy się odwdzięczyc — powiedział ni to do siebie, ni to do wilczura, a może do załogi.

Potem wstał i zwróciwszy się do Kosa podał mu blaszkę mosiężną, wyciętą z łuski artyleryjskiego pocisku.

— Zawieś na obroży — powiedział.



Janek wziął i przeczytał napis wyryty starannie sporymi drukowanymi literami: „*Szarik, pies brygady pancерnej*”.

— Jeju! — szepnął Jeleń. — Som generał mu dali. A kucharzowi się nie chciało, pomocnika z kiełbasą wysłał.

Mimo że słowa przeznaczone były tylko dla sąsiadów w szeregu, generał usłyszał i spojrzawszy na Jelenia wyjaśnił:

— Kapral Łobodzki nie żyje. Wracał nad ranem, daleki pocisk z ferdynanda rozwalił samochód z kuchniami i śmiertelnie go ranił odłamkiem.

Jeleń opuścił głowę i patrzył w ziemię pod nogami.

Generał pomyślał o tym, że oni jeszcze nie wiedzą i dopiero w miarę jak będą mijały dni, poczną odnajdywać szczyrby w szeregach, zorientują się, iż wielu kolegów nigdy już nie spotkają. Tymczasem tylko on wie, że tych porzrzucanych na polu i w lesie mogił jest przeszło siedemdziesiąt i przybędzie jeszcze spośród przeszło dwustu żołnierzy, których odwieziono do szpitali. Nie tylko żywi dostali pod Studziankami krzyże.

Oficer ze sztabu zrobił krok naprzód i pokazując ręką, powiedział:

— Goście przyjechali.

Padła komenda:

— Baczość, na prawo patrz!

Generałowie ze sztabu armii przyjęli meldunek, a potem wręczyli dowódcy brygady Virtuti Militari.

Dowódca wyszedł na środek polany, odpiął wstążkę od swego munduru. Podniósł Virtuti w rękę. Słońce wiśniowo błysnęło na metalu, obudziło czerń i granat na wstążce. Silnym, donośnym głosem generał zawołał:

— Czołgiści! To nie ja, to wy ten krzyż zdobyliście dla swego dowódcy, dla brygady.

Gdy padła komenda „*Rozejść się*”, żołnierze nie od razu wrócili do czołgów. Wokół nagrodzonych potworzyły się grupki, zewsząd wyciągano ręce, składano gratulacje.

Lidka podeszła także. Była w wyprasowanym, czystym mundurze, miała puszyste, świeżo umyte włosy. Po kolei ścisnęła dłonie załodze, a na końcu Jankowi.

— Nie wiedziałam... Bałam się o ciebie — mówiła. — Wszyscy teraz opowiadają. Trudno nawet uwierzyć, że ty, że twoja załoga...

Słuchał i milcząc patrzył jej prosto w oczy.

— Powiadają, że wieczorem, tutaj na polance, będą nam wyświetlać film. Przyjdź do wozu radiostacji, wybierzemy się razem.

Janek nie wiadomo czemu pomyślał o chorążym Zenku, spojrzął na swoich przyjaciół.

— Chyba, że może razem — powiedział. — Wszyscy razem, z całą załogą.

Urwał nagle. Spozrzegł, że poza kręgiem ludzi, na tym samym miejscu, na którym stali w szeregu, Szarik siedzi nad półmiskiem pełnym smażonych kiełbas, ziewa nerwowo, wciąga powietrze czarnym nosem, a z kącika mordy zwisa mu cieniutka niteczka srebrnej śliny.

— Przepraszam bardzo, bo zapomniałem — usprawiedliwił się przed dziewczyną i podbiegłszy do psa położył mu rękę na łbie. — Szarik, weź to twoje, to twoja nagroda.

Lidka skrzywiła usta, zawróciła na pięcie i odeszła.

Pies jadł spokojnie, z godnością, a Janek siadłszy przy nim na trawie usłyszał, jak Grześ półgłosem powiedział do Jelenia:

— Dobra dziewczyna wierzy *dżigitowi* i wtenczas *dżigit* bohaterskich rzeczy dokonuje. Zła dziewczyna nie wierzy *dżigitowi*. Jeśli on mimo to bohaterskich rzeczy dokona, wszyscy widzą, wszyscy wierzą, a ona mówi: „*Trudno uwierzyć*”?... Sam powiedz, czy to dobra dziewczyna?

— Chce się z jego Krzyżem Walecznych pokazać — odburknął Gustlik.

Kos odwrócił głowę, by nie dać poznać po sobie, że słyszy. Nie miał ochoty pójść z Lidką do tego kina, ale mimo to przykro mu było, że tamci widzą i wiedzą wszystko, że mówią o tym między sobą.

Kiedy wrócili do czołgu, słońce już zaszło, gasły resztki dziennego światła. Grześ wyciągnął skrzynkę z narzędziami, zdjął Szarikowi obrożę i zgrzytając pilnikiem, postukując młotkiem przymocował do niej mosiężną blaszkę z napisem.

Pies, zainteresowany nowym szczegółem swego stroju, obiegał go to z lewej, to z prawej i przeszkadzał, wtykając mordę, usiłując schwycić zębami za ramię. Saakaszwili bronił się przed nim to lewą, to prawą ręką i spokojnie wyjaśniał, o co chodzi:

— Szarik, nie przeszkadzaj, nie bądź głupi. Chcesz wiedzieć, co tu pisze. A czemuś się sam czytać nie nauczył. Tu jest napisane: „*Szarik, pies*

*brygady pancерnej*”. Odczepże się wreszcie!... Medalu ci, bracie, nie dali, medale są dla ludzi..: A ten w sam raz dla ciebie pasuje, z tym nie zginiesz.

Janek przeszedł na drugą stronę wozu i zerknąwszy, czy nikt go nie widzi, zdjął krzyż z kombinezonu, przyłożył go do pancerza wieży, rdzawego od ognia. Cichutko, jakby do siebie, powiedział:

— Tobie, „*Rudy*”, też powinni dać. To ty nas przecież osłoniłeś i wywiozłeś.

Robiło się coraz mroczniej. Zachodnie niebo traciło ostatnie ciepłe blaski, nabierało coraz chłodniejszego, głębszego błękitu. Tylko na północy zachowało wiśniowy, ponury odblask. Semen podszedł do Janka, pokazał mu wzrokiem w tamtym kierunku.

— To od ognia — powiedział. — Miasto płonie, strach patrzeć.



## ROZDZIAŁ 18. MOST

KIEDY ŻNIWIARZE TNAŁAN zboża i w brzęku kos posuwają się naprzód krok za krokiem, ścieląc do stóp słomę i kłosa, podobni są do nacierającego frontu. Kiedy zmęczeni zatrzymują się na chwilę przed nawrotem i łapiąc oddech, ocierają czoło, ostrzą kosy, są również podobni do frontu przed nowym natarciem.

Na początku sierpnia armie radzieckie dotarły do Wisły, przekroczyły ją ostatnim wysiłkiem i wsparte przez polskie dywizje broniły przyczółków, odskoczni do dalszej ofensywy. Wróg wszystko, co miał do dyspozycji — dywizje ściągnięte z Holandii, Belgii i Włoch — rzucił, by te przyczółki odebrać. Nie oddali ich jednak, utrzymali w ciężkim boju.

Za plecami mieli rzeki z wysadzonymi w powietrze mostami, drogi nadgryzione wybuchami bomb, linie kolejowe, na których wielki stalowy pług starannie przełamał podkłady, poskręcał szyny. Trzeba było to wszystko odbudować i naprawić, przerzucić tysiące transportów z armatnimi pociskami, z paliwem dla samochodów, czołgów i samolotów.

W pobliżu, w stolicy Polski, w samym sercu kraju, gorzał pożar powstania, przyciągał ludzkie oczy, serca i myśli. Gdy tylko dojrzała możliwość, gdy front zebrał siły, przygotowano cios. Na 4 korpus pancerny SS, broniący się w widłach Bugu i Narwi, wkopany w ziemię na południe od Pragi, spadło uderzenie.

W szykach 47 armii radzieckiej, atakującej z południa, poszła do natarcia 1 polska dywizja piechoty. Żołnierze jej zdobyli Anin i parli naprzód, mijając podmiejskie domki, sosnowe laski na piachach, szturmując głęboko w ziemię wkopane bunkry. Dotarli pod Grochów i do Utraty. W tych walkach rozbita została 73 niemiecka dywizja i 1131 brygada, daremnie kontratakowała swymi czołgami 19 dywizja pancerna.

Gdy się zarysowało powodzenie natarcia na kierunku Pragi, zapadła decyzja przerzucenia całej polskiej armii. Pewnego wieczoru radzieccy gwardziści poczęli luzować nasze dywizje nad Pilicą i pułki jeden po drugim ruszyły z powrotem na wschodni brzeg Wisły, do szosy, rozpoczynały spieszny marsz na północ. Wśród nich powtórnie, prawie w tym samym

miejscu, w którym ją forsowała na początku sierpnia, przekroczyła Wisłę brygada pancerna.

Przejechali po moście i rozpędzając coraz ostrzej czołgi, skoczyli nocą do Starej Miłosnej. Stamtąd, z piaszczystego pagórka, zobaczyli już niedaleko jężory płomieni na horyzoncie i ciężką chmurę czarnego dymu. Od świtu, nie zamknawszy ani na chwilę oczu, poczęli szykować wozy do boju, jak wówczas pod Studziankami.

„*Rudy*” był rudym już tylko z nazwy. Pancierz jeszcze na przyczółku pokryli świeżą farbą, poprawili sylwetkę orła na wieży. Głupi Szarik rozmazał mu prawe skrzydło, trąciwszy Janka w rękę podczas malowania.

Załoga Wasyla cały dzień krzątała się przy maszynie, sprawdzając kolejno wszystkie mechanizmy, wymieniając nadpęknięte ogniwa w gaśnicach. Dopiero przed wieczorem, znużeni śmiertelnie, przylegli koło wozu, stojącego między drzewami wawerskich lasów.

Semen, wskazując oczyma na zachód, gdzie niebo ponad drzewami było skłębione i brudne od dymu, powiedział:

— To najgroźniejsza z burzowych chmur, jakie widziałem.

Obok siedział Szarik, ponury i niespokojny. Drażnił go widać zapach dymu i miejskiej zgorzeli.

— Weźmiemy Warszawę? — spytał Kos.

— Głupie pytanie — wtrącił się Grześ. — Jak tu przyszliśmy, to wiadomo, że weźmiemy.

Dotychczasowe doświadczenie nauczyło go, że tam, gdzie się pojawiają, do nich należy zwycięstwo. Nie zastanawiał się, że to doświadczenie dotyczy na razie jednego tylko przypadku.

— Nie jestem taki pewny — pokręcił głową Semen. — Żadne z wielkich miast, leżących za rzeką, nie było w tej wojnie brane od czoła. Zawsze je okrążano, z północy albo z południa. Ale jeśli powstańcy utrzymają przyczółek, nie dadzą się odepchnąć od rzeki...

— Przyczółek lebo most żeby utrzymali — zaproponował Jeleń.

— Z mostami sprawa niełatwa — ciągnął Semen. — Pewno podminowane od dawna. Gdyby się jednak udało przerwać czołgami i piechotą, zaskoczyć ich...

— Jak naszego „*Rudego*” poproszą, jak nacisnę gaz, to on przeskoczy — Saakaszwili obejrzał się za siebie, z uśmiechem popatrzył na maszynę.

Chwilę trwała cisza, każdy sam z sobą w myślach rozmawiał.

— Dlaczego niemieckie czołgi mają takie ładne bojowe nazwy — pantery, tygrysy, a nasze nazywają się tylko technicznie i uczenie: T-34, T-70 — spytał Janek.

— Jasna sprawa — rozpędził się Grześ. — Dlatego... — urwał, pomyślał chwilę i powtórzył z bezradną miną: — No właśnie, dlaczego?

Wszyscy obrócili twarze w stronę porucznika, Wasyl popatrzył na nich, roześmiał się.

— Ja też na pewno nie wiem, ale wydaje mi się, że oni lubią wojnę. Hitler chce przybrać nazwą jak kwiatkiem narzędzia śmierci, wychowuje zawodowych żołnierzy.

— A my też nazwaliśmy nasz czołg. To źle czy dobrze? — zmarszczył brwi Kos.

Semen sięgnął ręką w stronę psa, chwilę potargał go w zakłopotaniu za kudły, nim odpowiedział:

— Chyba dobrze. Polubiliśmy nasz wóz, daliśmy mu imię, ale przecież tylko dlatego, że chcemy na nim przynieść ludziom wolność, chcemy jak najszybciej skończyć wojnę. Potem będzie pokój, zgoda między narodami, rozbrojenie... Żaden z nas nie ma zamiaru pozostać w tym rzemiośle. Ja wrócę do swojej meteorologii, Grześ do traktorów, a Gustlik do młota w kuźni, a Janek...

— No właśnie, a ja?

— Ty byłeś, co prawda, myśliwym, zabijałeś tygrysy, teraz też podpalasz tygrysy, ale jesteś, nie gniewaj się, chłopcem. Wrócisz do szkoły.

— Wrócę, ale przedtem muszę ojca odnaleźć.

Znowu przez minutę czy dwie nie zamienili ani słowa, dopóki Grześ nie szturchnął Janka w bok i nie pokazał oczyma:

— Popatrz... — Chyba do ciebie.

Ścieżką między drzewami nadeszła Lidka. Skinęła im głową i przysiadła obok, ogarniając dłońmi spódnice na kolanach.

— Mówią w sztabie, że tam ciężko idzie, o każdy dom się biją.

— Walka w mieście zawsze trudna — odpowiedział Semen.

— Ale nasi już są na Grochowie. Jutro od rana będziecie nacierać razem z piechotą. Uważajcie na siebie, bądźcie ostrożni.

— Naturalnie, będziemy ostrożni — roześmiał się Grześ. — Jedna mama mówiła do pilota: „*Lataj, synku, nisko i bardzo powoli*”.

— Daj spokój, nie śmiej się. Ja wiem, co wy myślicie, ale wy moich myśli nie znacie... Przyszłam do was, bo wiem, gdzie będziecie działać, i chciałam prosić: na Wileńskiej, niedaleko dworca, trzeci od brzegu stoi dom tynkowany na żółto, ja w tym domu przed wojną mieszkałam.

— Momy se podziwać, czy stoi? — spytał Jeleń.

— Zobaczcie. Tam brat mój został, może jeszcze teraz mieszka. Bo my z mamą pojechałyśmy na wschód, a on został.

Mówiła miękko, cicho, inaczej niż zwykle. Jankowi zrobiło się żal. Wydało mu się, że niezbyt uprzejmie przyjęli dziewczynę i wyciągnąwszy rękę, dotknął jej dłoni.

— Zobaczmy, Lidka, i powiemy. Jak dodam przy meldunku „w porządku”, to znaczy, że stoi. Rozumiesz?

— Dobrze, dziękuję — wyjęła spod pachy termos i podała go Wasylowi. — Przyniosłam, bo wiem, jak pod Studziankami męczyło was pragnienie. Może i tu będzie ciężko z wodą, a nam zawsze łatwiej. Radiostacja stoi z tyłu, jest okazja, żeby nabrać z jakiejś studni.

Nawet Wasyla zaskoczył ten prezent i nie od razu się zdobył, by odpowiedzieć: „*Dziękuję*”. Resztę załogi jakby zamurowało. Lidka chwilę jeszcze głaskała leżącego obok Szarika, mruzczała coś do niego, pogadywała, a potem wstała i rzekła na głos:

— Zdaje się, że z waszej załogi to on jeden mnie lubi. Dobrego, chłopcy, do zobaczenia.

Patrzyli w ślad, póki nie minęła zakrętu ścieżki i nie zniknęła między drzewami. Potem Saakaszwili ujął głowę w obie ręce i oświadczył:

— Po gruzińsku czytam, po rosyjsku czytam, po polsku — prawie wszystko czytam. Po oczach dziewczyny nic nie czytam.

— Mówi się „z oczu” — poprawił go Jeleń — ale ja też nic nie mogę pomiarkować. Ona ci mo rada, Janek, czy ni?

— Daj spokój, nie czas na takie gadanie.

— Z akacji by powróżyć: kocha, lubi, szanuje... Ale tu żadnej nie widzę — roześmiał się Semen i nagle oczy mu zbłękitniały, obrócił pojaśniałą twarz do Janka. — Powiadasz, że nie czas teraz? Nieprawda, czas. Czy my wojnę toczyliśmy tylko z nienawiści? Przecież także z miłości. Po to ją toczyliśmy, żeby



chłopcy chodzili z dziewczętami, żeby wplatali im kwiaty we włosy, żeby razem spoglądali w obłoki... No, właśnie, powiedziałem wam przecież, że ze mnie przede wszystkim meteorolog. Ja znowu o chmurach.

Z głębi lasu, gdzie gęsto stały ukryte czołgi, odezwało się urywane buczenie sygnału, nie ustawało, niosło się między drzewami, tłukąc o pnie.

— Do wozu, chłopcy. Pora ruszać.

O ZMIERZCHU PRZEZ LAS, a potem polami, po pustynnych wertepach i między rzędami domków, przeprowadzili ich piechurzy 2 pułku piechoty na przedmieścia Pragi. Stali tam dość długo, a potem nowi przewodnicy powiedli ich nocą przez stromy nasyp kolejowy i w dół na brukowane ulice, między wąwozy wysokich ścian. Gąsienice łoskotały po bruku. Dudnienie silnika tłukło się dziesięciokrotnym echem, swąd i dym przenikał do wnętrza czołgu. Cienie były ostre, czarne, od czoła szedł blask pożaru. Parokrotnie skręciwszy, zgubili kierunek w tym labiryncie, wjechali na podwórze brukowane kocimi łbami. Po lewej i prawej mieli dwupiętrowe oficyny, z przodu zamykał przejazd frontowy budynek. Zatrzymali się naprzeciw bramy wysokiej, półkuliście sklepionej, którą kiedyś na podwórze wjeżdżały stromo ładowane wozy.

Przewodnik, siedzący na pancerzu zeskoczył, poszedł szukać dowódcy i po chwili od strony bramy usłyszeli głos:

— Czołgiści, chodźcie na rozpoznanie.

Jeleń i Szarik zostali w czołgu, a reszta wyszła na podwórze. Pod murem przywitał ich szczupły, wysoki oficer z piechoty i mocno uściskawszy rękę, wprowadził do bramy. Stąpając prawie po omacku, skręcili w prawo do sieni, a potem w lewo, przez wyrwane drzwi weszli do pokoju. Pod butami chrzęściło szkło. Od okna skośnie przeciętego wiszącą na jednym zawiasie ramą dmuchało przeciągiem.

— Ostrożnie — szepnął piechur. — Głowy niżej.

Poprowadził ich do parapetu, na którym leżały worki z piachem, i wskazał Semenowi wąską szczelinę strzelnicy.

— Przypatrzcie się.

Przed nimi był spory placyk, zamknięty z drugiej strony murami domów. Dachy miały spalone, sterczały krokwie i belki, obrysowane wiśniowo na tle rudego nieba.

— Gotowi? — spytał znowu piechur. — Uważajcie teraz. W domu na wprost są strzelnice w piwnicach. Zaraz się postaram, żeby ożyły.

Gwizdnął przeciągle i na ten znak z górnych pięter odezwały się serie, sprowokowały odpowiedź Niemców. Błyski wskazały czołgistom ich przyszłe cele. Kiedy ucichło, piechur przysiadł na podłodze i zaprosił gestem ręki, by usiedli koło niego.

— Chciałbym, żebyście na umówiony znak, kiedy zacznie świtać, obalili bramę i ogniem z działa zniszczyli tamte punkty ogniowe. Wtenczas my ruszymy, a wy za nami.

— Po co obalać? Wystarczy trochę uchylić, żeby lufę wysunąć — powiedział Semen. — Spróbujemy zrobić co do nas należy, a jak będziecie ruszać, to się bramę otworzy do reszty.

— Ostrożni jesteście — uśmiechnął się piechur.

— Jesteśmy ostrożni, ale najważniejsze, że ludzie tu będą dalej mieszkać. Po co im bramę psuć.

— Jak chcecie. Zgoda.

Kiedy wrócili z powrotem na podwórze, przystanęli zdumieni. Cały czołg był oblepiony ludźmi: siedzieli i stali na pancerzu, otaczali wóz dokoła.

— Kto to? — spytał Semen. — Przecież nie wasi żołnierze.

— Skądże — odpowiedział oficer. — Cywile. Rady dać sobie z nimi nie mogę. No, pociście tu wyleźli! — zawołał podnosząc głos. — Prosiłem przecież, żeby w piwnicach.

— Maszynkie zobaczyć, panie poruczniku. Faktycznie niewąska, nie można powiedzieć.

— Uszanowanie, panowie czołgiści. Przepiórkowskiego czasem nie znacie? Bo on z naszej ulicy, taki z krótkim wąsikiem pod Hitlera.

— Takiego z wąsikiem nie znamy — odpowiedział Jeleń, siedzący na wieży czołgu.

— Może zgolił, ale Przepiórkowski się nazywa. Panowie nie słyszeli?

— Niestety nie.

Ludzie otoczyli ich ze wszystkich stron, ktoś podsuwał papierosy, ktoś inny proponował, że gdyby tak było czym zakąsić, to może by się coś do wypicia znalazło.

Janek ośmielony serdeczną atmosferą i ciemnością zapytał:

— A może kto słyszał o poruczniku Stanisławie Kosie?

— Jakoś w ucho nie wpadło. A kto to? Rodak? Z Warszawy?

— Nie, z Gdańska, bił się na Westerplatte.

— Na Westerplatte — powtórzyło naraz kilka osób.

Tęga kobieta westchnęła i zaproponowała schrypniętym nieco głosem:

— Panowie mają chwilkie czasu? Helcia, powiedz panom wierszyk.

Ludzie odsunęli się nieco, utworzyli półkole i na środek wyszła niewielka, może ośmioletnia dziewczynka. W mroku nocy nie widzieli rysów jej twarzy, tylko jasną plamę krótko przyciętych włosów i nie sięgającej kolan, białej sukienki. Helci nie trzeba było dwa razy prosić. Widocznie mówiła wierszyk nie pierwszy raz, bo dygnawszy zgrabnie, zaczęła:

*Kiedy się wypełniły dni  
I przyszło zginąć latem,  
Prosto do nieba czwórkami szli  
Żołnierze z Westerplatte.  
(A lato było piękne tego roku...)  
I tak śpiewali: — ach, to nic,  
Że tak bolały rany,  
Bo jakże słodko teraz iść...*

Gdzieś blisko trysnęła seria karabinu maszynowego, potem druga, huknął ręczny granat. Dziewczynka nie spieszyła się, lecz mówiła dalej:

*...Na te niebiańskie polany,  
(A na ziemi było tego lata  
tyle wrzosu na bukiety)  
W Gdańsku staliśmy tak, jak mur,  
Gwiżdżąc na szwabską armatę...*

— Panie, ona byle rozpylacza się nie boi — wyjaśniła głośnym szeptem mamusia. — Na byle bombę też się nie rozplące.

*...Teraz wznosimy się wśród chmur  
Żołnierze z Westerplatte.  
I ci, co dobry mają wzrok  
I słuch, słyszeli pono,  
Jak dudnił w chmury równy krok  
Morskiego batalionu.*

Janek słuchał, miał łzy pod powiekami. Dalsze słowa mijały go, a w głosie tylko tłukło się to pierwsze, że zginęli wszyscy, że martwi szli czwórkami. Tymczasem dziewczynka dygnęła, dokoła zaklaskano.

Ktoś ująwszy mamę pod rękę chwalił:

— Panina Helcia jak powie, to już powie.

Jeleń podawał z czołgu papierowe zawiniątko, przejął je Saakaszwili i wręczył dziewczynce dzienną porcję cukru dla całej załogi.

— No, dobrze, koniec tego przedstawienia — złościł się oficer z piechoty. — Ludzie, idźcie wy z powrotem do piwnic. Prosiliście, to zostawiłem was tutaj, ale nie przeszkadzajcie.

— No, dobrze, dobrze. Po co ta mowa, już idziemy.

Jeleń przypomniał sobie, o co prosiła Lidka, i zeskoczywszy na bruk, chwycił jeszcze za rękaw jednego z odchodzących.

— Nie wie pan, czy dom stoi na Wileńskiej ulicy, taki na żółto malowany, trzeci zarozki od stacyi.

— Dwa dni temu stał. A bo co?

— Nic, dzieuszka jedna prosiła, żebych się dowiedział.

— Ma może kto klucz od bramy? — dopytywał się Janek na polecenie Wasyla.

— Panie Ziółko, panie Ziółko! — ucieszyli się odchodzący do piwnic cywile. — Wojsko się pyta o klucz od bramy. Dychę pan, jak nic, zarobisz, bo przecie po nocy.

— Spiesz się pan, bo zaraz będzie jasno i z dochodu nici.

Znalazł się pan Ziółko z siwą głową, szczupły, przygarbiony, pospiesznie kroczył przez podwórko.

— Przestańcie się mądrzyć. Swoim po pięciu latach darmo otworzę na całą szerokość.

— Kiedy nam właśnie nie szeroko trzeba.

— Powiedz pan jak, to się zrobi.

Niebo przyblakło. Dołem od dymu i mgiełki było jeszcze mroczno. Kolumnkami przecinały podwórze grupy szturmowe, nikły we wnętrzu domu. Szczupły wyrostek przykleił się do jednej z nich, poprosił:

— Daj pan, panie żołnierzu, to pociągnę te karetkie — wprzągnął się do uchwytu ciężkiego karabinu maszynowego. — Co się pan sam będziesz

męczył, we dwóch zawsze lżej pójdzie. A poza tym tutejszy jestem, Prażanin, ulice pokażę, zabytki objaśnię.

Zniknęli obaj w ciemnej bramie, a po chwili wyszedł stamtąd oficer i skinął na czołgistów:

— Będziemy zaczynać. Jak wjedziecie do bramy, to moi ściągną ogień i wtenczas od razu walcie.

Przytrzasnęli włazy, ruszyli ostrożnie naprzód, wpełzając powoli do ciemnej wnęki. Zgodnie z umową pan Ziółko rozepchnął ciężkie, blaszane wierzeje. Utworzyła się szczelina na szerokość metra.

W tej samej chwili trzasnęły pierwsze serie piechoty, odpowiedziały im niskie, zrywające się tuż nad ziemią błyski karabinów maszynowych z przeciwległego domu. Semen raz po raz trzykrotnie odpalił, trafiając nieomylnie. Blisko zresztą było, nie więcej niż dwieście metrów i zaraz z okien parteru wysypali się nasi. Janek zobaczył w wizjerze tego szczupłego cywila ciągnącego karabin maszynowy, ale zaraz stracił go z oczu, bo z piętra przeciwległego domu znowu Niemcy poczęli strzelać. Odpowiedział im ze swego erkaemu, starannie mierząc, ale nim skończył serię, Wasyl władował w to samo miejsce pocisk, wybijając dziurę w ścianie.

Ruszyli za tyralierą, przecięli placyk, wjechali w ulicę. Orientując się na błyski i wybuchy granatów bili z działa i karabinów maszynowych do okien, do piwnic. Szli samym środkiem jezdni. Grupy szturmowe znikły w bramach, przedzierały się przez podwórza i korytarze, tylko od czasu do czasu, jak szydło idące ściegiem przez gruby koc, wynurzały się na ulicę, by z krzykiem dopaść następnego domu.

Podjechali w ten sposób do zakrętu ulicy i tutaj Kos spostrzegł tego samego cywila przyklejonego do węgła, jak unosząc rękę pokazywał za zakręt muru i dłońmi rysował w powietrzu kształt grzyba.

— Uwaga, za zakrętem bunkier — ostrzegł Janek.

Wysunęli się ostrożnie i rzeczywiście o niespełna sto kroków zobaczyli betonową kopułę przywartą do ziemi. Wasyl oślepił ją odłamkowym granatem, poprawił przeciwpancernym i jeszcze raz odłamkowym. Trysnęły ku górze grudy betonu, błysnęły szyby wylatujące z okien sąsiednich domów.

Janek powiódł za nimi wzrokiem i spostrzegł na trzecim piętrze wysuwającą się lufę erkaemu. Nacisnął ramieniem kolbę diegtiarowa, obrócił go do samego końca uchwytu, ledwo sięgając celu. Zamajaczyła mu sylwetka

człowieka, pociągnął za spust i w chwilę potem broń upadła na bruk, a za nią zwałił się głową na dół strzelec.

Ruszyły grupy szturmowe, czołg poszedł za nimi i dotarł do wjazdu na szeroką, poprzeczną ulicę, środkiem której biegły trawniki i szyny. Z przekrzywionych słupów zwisały poskręcane przewody. Nieco dalej w lewo stało czerwone, podziurawione pudło tramwaju.

Znowu koło czołgu pojawił się znajomy z podwórza i wysunął głowę z bramy, żeby go lepiej widzieli, pokazał na migi, że kiedy będą przecinać ulicę, muszą się pilnować od prawej.

Wasył obrócił lekko wieżę i rozkazał Grzesiowi:

— Ruszaj ostro na tamtą stronę, całym gazem.

Nim tu dotarli, pojaśniało już całkiem i kiedy wyskoczyli na aleję, zobaczyli po prawej oświetlone słońcem, złote kopuły cerkwi. Zza cerkwi błysnął armatni wystrzał, świst rozdarł powietrze, lecz pocisk chybił. Wpadli już w ulicę po drugiej stronie.

— Piechota została — zameldował Jeleń.

— No to co? Cofać? — spytał Saakaszwili.

— Stój, zaczekamy. Uważajcie tylko na bramy i okna.

„Rudy” stał pośrodku ulicy samotny i czujny jak dzikie zwierzę we wrogim, obcym lesie. Obracał wieżę to w lewo, to w prawo, wietrzył lufą ku ciemnym, niebezpiecznym oknom. Na przedzie przed nimi bruk był rozkopany, przegrodzony barykadą z wozów, belek i zwalonych pospiesznie worków z piaskiem. Janek spostrzegł za nimi ruch: biegło dwu w hełmach z pancierzownicami. Znikli za nasypem, ale zasadził się na nich i kiedy zamajaczyli w sąsiedniej szczyrbie, oddał serię. Jednego jakby trafił, ale drugi na pewno dotarł na przeciwległą stronę ulicy i zniknął w bramie. Nietrudno się było domyślić, że przebiegnie podwórzami, lada chwila pojawi się w oknie, gdzieś z boku czołgu i z odległości kilku metrów odda strzał. Piechota, która by mogła ich osłonić, odcięta ogniem została za tamtą szeroką aleją. Kos podjął błyskawiczną decyzję — chodziło przecież o życie całej załogi — otworzył właz desantowy w dole tuż koło swego siedzenia i klepnąwszy psa po karku rozkazał surowo:

— Bierz go, Szarik, bierz!

Wilczur warknął, przez okrągły otwór wyśliznął się na bruk i w sekundę potem wyskoczywszy spomiędzy gąsienic mignął niewyraźnym cieniem na krawędzi wizjera, wpadł w bramę.

— Uwaga, Gustlik — powiedział Kos. — Pilnuj się tego domu z prawej, przyszykuj granat.

Na wypadek ataku z bliska, gdy nieskuteczne są karabiny maszynowe ani działą, gdy wróg może się znaleźć na pancerzu, czołg ma w swej wieży niewielkie, owalne otwory, przesłonięte gruszkami z metalu. Otworzywszy je, można wyrzucić granat na pancerz, zdmuchnąć z niego wybuchem nieproszonych gości.

— Nie bój się nic, dowom pozór.

Janek trwał nieruchomo przy celowniku i zdawało mu się, że minął chyba kwadrans od czasu, kiedy wypuścił psa. Wypatrywał oczy, nie mając jednak nadziei, że cokolwiek zobaczy, bo Niemiec zapewne podkradnie się do czołgu całkiem z boku.

Przecenił przeciwnika. Widocznie tamten bał się podejść zbyt blisko do nieruchomej, lecz groźnej maszyny, bo nagle jego głowa zamajaczyła z prawej, z przodu za kupą gruzu. Głowa zniknęła, za chwilę ukazała się znowu, a obok niej ciężka grusza pocisku osadzonego na wylocie pancernicy.

Kos starał się chwycić cel na muszkę karabinu maszynowego, ale uchwyt nie puszczał, nie mógł go sięgnąć.

— Grześ, obróć w prawo — zawołał wiedząc, że nie zdąży, że jest już za późno, bo tamten tylko naciśnie palcem na spust i odpali.

W wybitym oknie na parterze mignął długi, rozciągnięty w skoku cień i wilczur jednym susem opadł na kark zaczajonego strzelca. Pancernica, wypuszczona z rąk, zsunęła się po gruzie ciężkim łbem ku przodowi, oparła o bruk.

Janek wetknął głowę w otwarty właz i z całej mocy zawołał:

— Do mnie, Szarik!

Odczekał chwilę, krzyknął po raz drugi, trzeci i wreszcie tuż obok jego twarzy wynurzyła się psia mordą, wilczur wśliznął się z powrotem do czołgu.

W tej samej chwili z prawa i z lewa zaterkotały serie nadbiegającej piechoty. Wasyl dał rozkaz:

— Naprzód!

Ruszyli już z miejsca, gdy Janek jeszcze mocował się z włazem, podciągając go i zatraskując zamek. Kiedy znowu przypadł do celownika, zobaczył przed sobą poszczerbione, sterczące ostrymi łukami ku górze, ruiny gotyckiego kościoła. Dymiły jeszcze resztkami żaru. Spoza nich szedł ogień karabinów maszynowych, pohukiwały moździerze, którym odpowiedział Wasyl z czołgowego działa.

Skręcili nieco w prawo, by przesłonić czołg drzewami rosnącymi wzdłuż chodnika, wjechali za występ muru. Ogień Niemców zadławił się, ucichł i chwilę czekali spokojnie na piechotę oczyszczającą sąsiednie domy.

Nagle z góry, wprost nad ich głowami, odezwały się serie karabinów maszynowych i na pancerz jeden po drugim poczęły opadać ręczne granaty, wypełniając hukiem wnętrze czołgu.

— Skąd rzucają, do cholery? — spytał Grześ.

— Z wyrchu — odpowiedział Jeleń.

— Jeszcze trafią na silnik.

— Stuknij w narożnik, ale delikatnie — rozkazał Wasyl, obracając wieżę lufą ku tyłowi.

Saakaszwili cofnął się kilka metrów, ruszył naprzód, wziął rozpęd i tuż przed ścianą wyłączył sprzęgło. Trzydzieści ton stali uderzyło w mur. Z góry posypał się grad cegieł, kurz przesłonił wszystko i tylko w ciemności słychać było warczenie przestraszonego Szarika i narastające wycie silnika — Grigorij, włączywszy z powrotem sprzęgło, dodawał gazu, prac na pierwszym biegu, by wyleźć spod gruzów. Czołg uniósł łeb ku górze, opadł i uwolniony nagle, zjechał znowu na bruk.

— Cała ściana się obaliła — zawiadomił Jeleń, wyglądając do tyłu. — A kaj się nom stracił tyn chłapiec?

Nie było go nigdzie wokół czołgu i nigdy już nie mieli wiedzieć, co się z nim stało, ani jak brzmiało jego nazwisko, jakie nosił imię.

Niespodzianie w słuchawkach usłyszeli wyraźny głos Lidki z radiostacji sztabu brygady.

— Ja Wisła, ja Wisła... Grab jeden, gdzie jesteś? Odbiór.

— Ja Grab jeden. Za nami szeroka aleja, na której w prawo cerkiew. Z lewej pali się kościół — odpowiedział Kos. — Przedwczoraj w porządku. Odbiór.



— Ja Wisła, dziękuję. Jaki kościół? Czy widzisz przed sobą park? Odpowiedz, czy widzisz park? Odbiór.

Podczas tej rozmowy czołg toczył się naprzód za piechotą, grzmiał armatnimi strzałami, przystanawszy na chwilę rozbił betonowy bunkier i jechał dalej po bruku wznoszącym się lekko ku górze.

— Ja Grab jeden, park przede mną, z lewej most... O rany, Wisła! Prawdziwa Wisła pod mostem.

Wyjeżdżali znowu na poprzeczną ulicę i w lewo coraz wyraźniej widać było most na pięciu filarach, zbudowany jak tunel z gęstej kratownicy, na dwu środkowych przęsłach wygięty łukami ku górze.

— Mechanik w lewo — rozkazał Wasyl. — Gaz, więcej gazu.

Janek poczuł nagły chłód ścinający mięśnie twarzy i mrówki na karku.

Oto właśnie ta chwila, o której mówili wczoraj przed wieczorem — przerwali się, są o paręset metrów od mostu. Jeśli zdążą, jeśli zaskoczyli przeciwnika, być może za kilka minut będą po tamtej stronie, w Warszawie.

„Rudy” rozpędzał się coraz ostrzej, przechodząc na wyższe przekładnie gnał z łoskotem po bruku, mijał biegnących piechurów, jak koń czelnego rycerza, spięty ostrogami. Mieli teraz most prosto przed sobą, jak kwadratowy tunel, a na drugim, wysokim brzegu domy z pióropuszcami dymów, z czerwonymi chorągwiami pożarów. Dzielilo ich od wjazdu dwieście, sto pięćdziesiąt, sto metrów...

Pośrodku mostu trysnął szeroki, jaskrawy błysk. Kratownica dźwignęła się niechętnie ku górze, zjeżyła pionowo i dopiero wówczas spadł na nich podmuch eksplozji.

Nim jeszcze huk wybuchającego trotylu zdążył zagłuszyć wszystko, Wasyl krzyknął do mechanika:

— Hamuj!

Jeśli nawet Saakaszwili usłyszał to słowo, nie zdążył wykonać rozkazu.

Czołg stanął w miejscu jak przechodzień, w którego nagle od czoła uderzy podmuch huraganu, a potem mieląc bezsilnymi gaśnicami po kostce, dał się zepchnąć, obrócić i bokiem stanął tuż nad skarpą wysokiego podjazdu.

Z góry waliły się poszarpane, wygięte strzępy stali. Wasyl zdążył jeszcze dostrzec, że z naszej strony rzeki ocalało jedno przęsło, i w tej samej chwili w pancierz uderzył ciężki cios. Błysk wybuchu przeniknął wprost pod czaszkę do mózgu, szarpnęło całym wozem.

Janek zobaczył kątem oka, że Grześ z odrzuconą w tył głową skręca się na siedzeniu. Chciał chwycić drążek sterowy, ale pociemniało mu w oczach, ręka nie usłuchała rozkazu. Czuł jeszcze, że czołg, rzucony ślizgiem po bruku, zachwiał się i zwałił wstecz na dół.

— Grab jeden, ja Wisła — wołał głos Lidki w słuchawkach — Grab, gdzie jesteś? Odpowiedz... Odbiór.

Chciał odpowiedzieć, poruszał ustami nie mogąc wydobyć z gardła żadnego dźwięku. Pod powieki napływały długie smugi o barwie świeżo wyłuskanych kasztanów i włosów Marusi. Chwycił go lęk, że już niczego w życiu nie zobaczy wyraźnie i nie będzie mógł listu przeczytać, który ona na pewno wysłała ze szpitala. Usłyszał jeszcze bolesne skomlenie psa, a potem wszystko wokół zgasło, przestało istnieć, rozplynęło się w ciszy.

Zgasł silnik. Wasyl otarłszy krew z czoła otworzył właz. Zjechali tyłem po skarpie i stali teraz z lufą utkwioną w niebo, osłonięci od wroga nierównością nasypu. Czując ostry, mdlący ból w karku, zawołał:

— Janek! Gustlik!

Odpowiedziała mu cisza.

— Grześ! Chłopcy!

Znowu cisza. Z dna dobywał się swąd płonącej oliwy. Ogarnął go lęk, że lada chwila mogą buchnąć płomienie. Sięgnął ręką do Jelenia, który bezwładnie zwisał na uchwycie zamka. Objął go, zaczął dźwigać z wozu.

Po bruku łomotały kroki nadbiegających piechurów.

## ROZDZIAŁ 19.

### POLOWY SZPITAL I POCZTA POLOWA

PIERWSZY ZACZAŁ DZIAŁAĆ SZARIK.

Kuchcik, który przyniósł mu rankiem kaszę, zostawił nie domknięte drzwi. Pies leżąc na swym posłaniu pochłeptał trochę, ale nie skończył. Tęsknota była silniejsza niż głód.

Wiedział, że przywieziono go tutaj razem z Jankiem Kosem i jego przyjaciółmi, że razem byli w dużej sali pachnącej krwią, gdzie ktoś obcy o delikatnych dłoniach zajął się jego złamaną łapą. Potem ból stał się tak silny, że przesłonił wszystko ciemnością pozbawioną woni i dźwięków. Kiedy znów wróciła mu zdolność spostrzegania i odczuwania zapachów, leżał samotny w tym niedużym pokoiku, do którego przynoszono jedzenie. Nie wiedział, gdzie jest jego pan, i to sprawiało, że jadł bez apetytu, bez radości.

Drzwi zawsze były starannie zamknięte, dopiero dziś została w nich wąska szczelina. Szarik wstał na trzy łapy, ale zawirowało mu wszystko w ślepiach, zachwiał się i upadł. Leżał chwilę na lewym boku, ciężko dysząc. Szybko wznosiła się pierś pokryta nastroszoną, zmierzwioną sierścią, drgała skóra na zapadniętym brzuchu. Przednią prawą łapę miał grubo oblepioną gipsem, łeb przewiązany bandażami.

Nie zrezygnował po pierwszej próbie, lecz wstał ostrożnie i chwilę trwał w bezruchu oparty bokiem o mur. Teraz poszło lepiej; czuł, że kręci mu się w głowie, ale ciemność nie przesłaniała oczu. Wzdłuż ściany pokuśtykał z wolna do drzwi. Nie mógł otworzyć ich łapą ani obandażowaną mordą, więc pchnął bokiem. Usunęły się pod ciężarem, pies znowu upadł, ale teraz droga stała przed nim otworem. Na korytarzu jaskrawo świeciła nie osłonięta kloszem żarówka, drzwi do sal były uchylone, a za nimi spał ciepły półmrok jesiennego poranka.

Szarik podniósł się po raz trzeci i ruszył korytarzem, uparcie węsząc. Zapachy lekarstw tłumili wszelkie inne. Nos nie mówił mu, gdzie ukryto Janka. Postanowił szukać. Przekuśtykał wzdłuż ściany, wśliznął się z korytarza do sali i wędrując pod łózkami obszedł wszystkie kąty.

Na łózkach leżeli ludzie, ale sami obcy. Nie, to nie tutaj. Powlókł się do następnych drzwi. Prowadziły do malutkiego pokoju z kaflowym piecem

ustawionym w rogu, z trzema łózkami pod ścianą i jednym pod oknem. Dopisało mu szczęście. Zaskowytał z radości i liznął zwisającą rękę, która była ręką jego pana. Zaskomlał cichutko po raz drugi, ale odpowiedziała mu cisza. Widocznie Janek śpi. Nie szczekał, by go nie budzić.

Ruch przyspieszył strumień krwi w żyłach, a radość dodała sił. Szarik tą samą drogą wrócił do swej komórki, chwycił zębami za posłanie — sienniczek uszyty z żołnierskiego płaszcza, wypchany słomą. Ciągnął go teraz przez korytarz, przystając co kilka kroków, dysząc ciężko z wysiłku. Dotarł wreszcie do sali, wśliznął się przez drzwi i tak szybko, jak tylko potrafił, skrył się w cieniu pod łóżkiem, słysząc bliskie kroki.

Szarpnął jeszcze parokrotnie siennik, wciągając go do kąta i znowu pociemniało mu w oczach. Upadł na bok, nie widząc nic przed sobą, niezdolny wykonać żadnego ruchu.

Czuł, że ten ktoś, kto za nim wszedł do pokoju, przykucnął. Chciał na niego warknąć, ale poczuł lekkie dotknięcie i w zapachu wyłowił coś znanego. Chciał otworzyć ślepia, udało mu się rozewrzeć jedną powiekę. Zobaczył znajomą dziewczynę, ubraną w biały fartuch, pod którym na prawym ramieniu widać było zgrubienie bandaża.

Usiłował sobie przypomnieć. Zwidywało mu się pole, kasza z mięsem, człowiek, który był wrogiem i siedział na drzewie... Nie potrafił tego wszystkiego połączyć i zrozumieć. Uspokoił się jednak, zamknął ślepia i wypoczywał pod pieśczośliwymi dotknięciami. Wracały mu siły.

Do pokoju znowu ktoś wszedł, odezwał się zdecydowanym, ostrym głosem. Szarik zjeżył sierść, dźwignął łeb i zobaczył wysokiego człowieka w okularach z łysą, połyskującą głową, a za nim jeszcze dwu innych. Dziewczyna, która go gładziła, stanęła na baczność, odpowiadała dźwięcznym, jasnym głosem.

— Dzięki niemu nie tylko ja żyję, ale batalion gwardii kapitana Baranowa ocalał, wyszedł z okrążenia...

— Przestańcie mi głowę zawracać. Tu nie obóz pionierski, nie miejsce na bajki o bohaterskich psach.

Z czwartego łóżka, tego, które stało przy oknie, dźwignął się ranny i usiadł. Lewe ramię miał w gipsie na rusztowaniu, sterczące prostopadle do ciała.

— Towarzyszu profesorze, starszy sierżant gwardii Czernousow melduje, że ona mówi prawdę — zdrową ręką pogładził wąsy i dodał: — Wypiszcie, towarzyszu profesorze, ze szpitala.

— Ten znowu o swoim. Jakże cię wypiszę z tą łapą sterczącą w gipsie. Bzdura — doktor machnął ręką i wrócił do poprzedniego tematu. Warunki i tak są trudne, walczę o życie ludzi, a wy mi chcecie tutaj zrobić cały skład bakterii.

— Ja zdezynfekuję...

— Dość. Psa przenieść z powrotem — pokazał ręką w stronę drzwi i zdziwiony dodał: — A wy co tu robicie?

Na progu w hełmofonach i płaszczach stało dwu czołgistów.

— Nie pora na odwiedziny — rozgniewał się profesor podchodząc bliżej i spostrzegłszy wężyk generalski na naramienniku jednego z nich, dodał: — Nie pora, towarzyszu generale.

— Dla nas tylko taka pora. Wzięliśmy wczoraj Jabłonę, przerwa w boju, więc my od razu, skoro świt. Tu leży trzech moich chłopców z brygady pancerniej. Chciałem się dowiedzieć, kiedy wrócą do szeregu.

— Oszaaleliście wszyscy z tym wracaniem do szeregu! Wasi trzej są ciężko ranni. Zostali połatani, pozszywani, ale jeszcze przecież kontuzja. Najgorzej z tym smykiem. Dzieci posyłacie do boju.

— Dzieci posyłam? Tak, posyłam — generał skinął głową w zadumie. — Może im czegoś trzeba?

Dwu sanitariuszy, wcisnąwszy się przez drzwi, poszło do kąta w stronę psa. Szarik zawarczał głucho i obnażył kły. Tamci przystanęli niezdecydowani.

— Zabierajcie, zabierajcie, przecież powiedziałem.

Drugi z czołgistów postąpił krok naprzód i zwrócił się do komendanta szpitala:

— Towarzyszu profesorze, zostawcie psa na sali. To też żołnierz, członek załogi, mojej załogi.

— Czy to szpital połowy, czy zakład dla umysłowo chorych? Z samego rana idiotyczna bitwa o psa. Już trzeci go broni. Ja widziałem blaszkę. Leczę go równie starannie jak żołnierzy. Łapę ma w gipsie, ale leżeć tutaj, razem z ludźmi, nie będzie.

— Zostawcie psa — powiedział generał.

— Tutaj nie wy, towarzyszu generale, rozkazujecie.

— Ja proszę.

— Brak mi lekarstw, mięsa, cukru. Mam na karku tysiące kłopotów, pracuję do późnej nocy, a wy mi psem zawracacie głowę, czas zabieracie.

— Może by miód się nadał zamiast cukru — spytał Wasyl.

— Mrzonki, bzdury! Skąd miód weźmiecie w tym zniszczonym, wygłodzonym kraju.

— Będzie mięso i miód. Zostawcie psa — poprosił generał.

— Jeśli możecie, pomóżcie, ale warunków mi nie stawiajcie. Przyjedźcie za dwa tygodnie, może już lepiej będą się czuli. Teraz, jak sami widzicie.

Lekarz cofnął się, robiąc miejsce. Generał i Semen weszli za nim w głąb pokoju. Na dworze pojaśniało już nieco. Zobaczyli twarz Saakaszwili szarą, jakby pokrytą popiołem. Janek tak był zabandażowany, że tylko oczy pozostawały nie osłonięte i usta. Gustlik, zdawało się przytomny, patrzył w sufit nie widzącymi oczyma.

Ruda sanitariuszka podeszła bliżej, podała rękę Semenowi.

— Pamiętacie?

— Naturalnie, Ogoniok! Teraz dopiero na was spojrzałem.

— Tak, to ja. Sierżant też tu leży. Spotkaliśmy się znowu wszyscy razem, jak w zasadzce pod Studziankami.

Semen przywitał Czernousowa i wrócił z powrotem do dziewczyny.

— Nasz czołg nazywa się „*Rudy*”. To na waszą cześć.

— Opiekujcie się nimi, jak tylko umiecie najlepiej — poprosił generał.

— Tak, naturalnie, ja przecież... — dziewczyna poczerwieniała, urwała zdanie.

Napotkawszy surowce, zniecierpliwione spojrzenie profesora, czołgiści zasalutowali i wyszli.

Sanitariusze znowu pochylili się nad psem, ale doktor wstrzymał ich ruchem ręki.

— Zostawić. Siennik trzeba obszyć na biało, zdezynfekować sierść. Ty za to odpowiadasz, Marusia.

— Tak jest, ja odpowiadam za psa — zameldowała wesoło.

Wieczorem, dymiąc pogiętą chłodnicą, zajechała na szpitalny dziedziniec ciężarówka. Na jednej burcie miała wymalowany smołą napis po rosyjsku, a na drugiej po polsku. Oba jednakowej treści: „*Jedźcie za zdrowie Szarika*”.

Szpitalny kucharz z pomocą sanitariuszy wyładował z samochodu krowę poszarpaną artyleryjskim pociskiem i dębową beczkę. Klepki pachniały trochę kiszonym ogórkiem, trochę alkoholem, ale w środku był miód zgęstniały od chłodu.

Zawiadomiono o tym profesora, przynosząc mu próbkę na łyżce. Wziął ją nie mówiąc ni słowa, długo trzymał nad piecykiem, by się rozgrzała. W ciepłe od grudki miodu zapachniało lasem i kwiatami Puszczy Kozienickiej. Doktor spróbował, pokręcił głową.

— Doskonały. Skąd oni mają miód, burzuje — mruknął do siebie, a potem począł dyktować siostrze Marusi spis rannych, którym należy to lekarstwo wydawać.

ADRES WYPISANY CHEMICZNYM ołówkiem był w jednym miejscu fioletowy od wilgoci, w drugim rogu zatarty, lecz mimo to bez trudu można odczytać nazwisko: JAN KOS. Numer poczty polowej został przekreślony czerwonym ołówkiem, u dołu ktoś wpisał dużymi literami: „*Przesłać do szpitala*”. Klej na krawędzi puścił, koperta się otwarła i łatwo było wydobyć list ze środka.

*Janek!*

*Kula złamała obojczyk i przebiła szczyt płuca. Doktor powiedział: „Dobrze, że cię szybko przywieźli. Podziękuj szoferowi”.*

*Dziękuję kierowcy, który mnie przewiózł na drugą stronę Wisły i tam oddał wprost do sanitarki, ale największe podziękowanie należy się Tobie. To Ty ocaliłeś moją rudą głowę.*

*Zdrowa już teraz jestem, choć bandaż jeszcze noszę na ramieniu i często w głowie się kręci od słabości. Pomagam tutaj w szpitalu. Tu brak ludzi, a ja przecież zmieniać opatrunki potrafię. Jak nabiorę sił, to wrócę do pułku. Może jeszcze się spotkamy, może wasze czołgi znowu będą wojować razem z naszą piechotą.*

*Chciałabym cię spotkać, podziękować za życie... O tym już pisałam, a teraz trudno mi wyrazić, co czuję, i dlatego bardzo chciałabym Cię spotkać. Ja o tym napiszę nie wprost, tylko tak...*

*Kiedy zaczęła się wojna, byłam akurat po pierwszym roku studiów w akademii medycznej. Bardzo chciałam zostać lekarzem, ale na froncie zrobiło się od razu trudno i ciężko, więc poszłam na ochotnika.*

*Przedtem, zanim zaczęłam studia, mieszkałam na wsi. U nas na wsi, kiedy przyjdą wiosenne wieczory, chłopcy i dziewczęta wychodzą na drogę, śpiewają przy harmonii i tańczą. Jeśli dziewczynie podoba się chłopiec, to w tańcu staje przed nim, przytupuje, zaprasza go. Teraz, podczas wojny, nie wiem, czy tańczą wieczorami w mojej wsi. A w Polsce pewnie w ogóle nie ma takiego zwyczaju.*

*Gdyby nie wojna i gdyby w Polsce był taki zwyczaj, to ja bym chciała tak właśnie przed Tobą zatańczyć. A potem, koło północy, kiedy harmonia gra coraz rzewniej i ciszej, my byśmy poszli w cień sadu, w zapach jaśminowych krzaków. Tam nikt by nas nie widział i gdybyś chciał pocałować nie broniałbym.*

*Przeczytałam teraz ostatnie słowa i przestraszyłam się. W oczy bym tego nie powiedziała, ale list zawsze jest śmielszy, a poza tym nigdy się chyba nie spotkamy.*

*Dobrego, Janek. Niech Cię pancierz i moje myśli od pocisków chronią.*

*Marusia–Ogoniok*

Ten list przyszedł do brygady pancерnej dokładnie w tydzień po zdobyciu Pragi. Poleżał trochę w sztabie, a potem, skierowany na nowy adres, trafił do szpitala i został położony na taborecie przy łóżku Janka Kosa.

Wszyscy trzej byli jeszcze nieprzytomni, a Szarik tylko powąchał kopertę i przestał się nią interesować, bo czytać nie umiał.

List znalazła Marusia i ukradła, jeśli można ukraść rzecz własną. Trzeba byłoby raczej powiedzieć, że zabrała swój dar. Schowała go do kieszeni żołnierskiej bluzy na piersi i postanowiła: Kiedy przyjdzie do zdrowia, to niepostrzeżenie podłożę. Niech przeczyta, niech się dowie.

PO PRZEPROWADZCE NA NOWE miejsce Szarik poczuł chęć do życia, apetyt do jedzenia i szybko nabierał sił. Uważał, że są mu potrzebne, bo musiał przecież pilnować Janka i jego kolegów, przywoływał pomoc skomlać pod drzwiami siostry Marusi, kiedy ranni jęczeli przez sen.

Wilczur się poprawił. Nie przytył, ale zmierzwiona sierść zaczęła się układać, nabrała połysku, a czarny czubek nosa stał się znowu ruchliwy i



wilgotny. Pewnego dnia lekarze zdjęli mu gips i pies ze zdziwieniem oglądał swą łapę, wychudłą, ogoloną i jak gdyby cudzą. Przyzwyczajwszy się kuśtykać na trzech łapach, bał się stąpnąć na czwartą i leżąc na pościeli długo i starannie wylizywał ją jęzorem.

Czuł podczas tego lizania miłe dreszczyki, swędzenie pod skórą, coraz żywiej krążącą krew. Przekonany, że to, co jemu pomaga, powinno pomagać innym, stosował tę samą kurację, liżąc prawą rękę Janka zwisającą bezwładnie z łóżka. Chyba miał rację, bo czasem zdarzało się, że Kos lekko poruszał palcami.

Parę dni po zdjęciu gipsu z Szarikowej łapy, ożywił się Jeleń. Zjadł na obiad dwie porcje i poprosił o trzecią. Odpoczął nieco po trzeciej, westchnął parę razy i za zezwoleniem lekarza dostał czwartą. Wzmocniwszy w ten sposób nadwątlone siły, siadł, posiedział kwadrans, wstał i z twarzą czerwoną od wysiłku ruszył wzdłuż łóżka, a potem dalej. Wsparty o ścianę łomotał po podłodze nogą usztywnioną w metalowych szynach.

Saakaszwili patrzył uważnie, głęboko odetchnął.

— Bra—awo Gustlik — zaczął się. — *Gie—eroj...*

— Dajcie mi pić — szepnął Janek.

Obaj owinięci byli jeszcze w bandażu — Grześ przez pierś, Kos dokoła głowy — i obaj mieli unieruchomione w gipsie ręce. Janek lewą, a Saakaszwili prawą.

— Widzę, że załoga zaczyna wracać do życia — stwierdził sierżant Czernousow i pogładziwszy wąsy, krzyknął najciszej, jak tylko potrafił: — *Urra, towarzyszczi!*

Krzyknął, bo „*urra!*” należy krzyczeć, a cichutko dlatego, by nie ściągnąć do pokoju żadnego z lekarzy czy sanitariuszy. Sierżant bowiem zajmował się czynnością niedozwoloną i surowo tępioną we wszystkich szpitalach — czyszczeniem nielegalnie posiadanej broni.

Tą bronią był pistolet typu mauzer, o długiej lufie, z pojemnym, prostokątnym magazynkiem, z drewnianą kaburą, którą można było przyczepiać do broni jako kolbę. Rzecz była dobra, ciesząca oczy i serce żołnierza, więc sobie tylko wiadomymi sposobami przemycił mauzera przez wszelkie kontrole i kąpiele, chował go w sienniku pod poduszką, co pewien czas dobywał stamtąd, czyścił i przeglądał, bacząc, by nikt przy tej robocie nie zaskoczył.

Czernousow zerknął na drzwi, wyjrzał przez okno i szybko schował pistolet.

— Towarzysze, uwaga! Ktoś do nas przyjechał. Pozwólcie, że wyruszę na zwiad, a potem zamelduję.

Gips już mu dawno zdjęto, ale rękę nosił ostrożnie, poruszał nią nieśmiało. Nogi miał zdrowe, więc dziarsko pomaszerował, kłapiąc po korytarzu szpitalnymi trepami. Wrócił niedługo i ze zdziwieniem oświadczył:

— Podarki na Nowy Rok przywieźli, tylko czemu tak wcześnie?

— Bo to na Wiliję, a kaj som? — pytał Jeleń.

— W świetlicy. Lekarz z nimi rozmawia, dalej nie puszcza. Przyjechali i nasi, i wasi. O waszą załogę jedna dziewczyna tam pyta.

— Jo pójdem. Podtrzymaj mnie tylko trochę pod rękę.

Sierżant pomógł Jeleniowi odziać niebieski szpitalny fartuch i wyruszyli obaj. Szarik miał ochotę pobiec za nimi, ale obejrzał się w stronę Janka i wrócił na swoje miejsce.

Dość długo ich obu nie było.

— Gdzie-e ich diabli ponieśli — pomrukiwał Grześ, nasłuchując gwaru z drugiego końca korytarza, a potem warkotu silnika na dworze.

Tamci wrócili wreszcie, przynosząc trzy kurtki mundurowe.

— Wy-ypisują? — nie zrozumiał Grześ.

— Nale, musieliby cię razem z łóżkiem wypisać — zakpił Jeleń i z roześmianą twarzą pokazywał mundury. — Podziwej się dobrze, tu, na naramienniki.

NARAMIENNIKI BYŁY RZECZYWIŚCIE interesujące. Saakaszwili poznawszy swój mundur zobaczył na nim piękne galony sierżanta, a na dwóch pozostałych potrójne naszywki plutonowych.

— Terozki widzisz? Wszyscy my som szarża. Papiery też dali. Janek, podziwej się, Janek — przysunął kurtki bliżej łóżka Kosa. — A dla ciebie jest jeszcze wełniany szal. Powiada, że sama zrobiła...

Kos obrócił głowę, patrzył uważnie, poruszył wargami. Jeleń nie dosłyszał, pochylił się nad nim.

— List?

— Pisma nie dała.

Uchyliły się drzwi. Weszła Marusia, niosąc szklanę napelnioną do połowy różowym roztworem, z którego sterczały termometry. Odstawiła ją na parapet okna i klasnęła w dłonie.

— Kto wam te mundury przyniósł? Muszę je zaraz zabrać. Jakby profesor takie nieporządki zobaczył, to głowę by mi urwał — wzięła kurtki z rąk Jelenia i wychodząc dodała: — Jak będziecie je chcieli pooglądać, to powiecie i po cichutku przyniosę.

Nie było jej chwilę, ale zaraz usłyszeli szybkie kroki, wbiegła i przysiadła na krawędzi łóżka Kosa.

— Taki dziś dobry dzień: czujesz się lepiej, awans dostałeś, ode mnie też masz prezent, specjalny. Taki jak w Rosji dziewczyny swoim chłopcom dają.

Sięgnęła ręką pod biały fartuch i w tej samej chwili dostrzegła leżący na taborecie szalik z niebieskiej wełny, przewiązany wstążką.

— Ojej, jaki ładny i miękki. Od kogo dostałeś?

— Jego lubią dziewczyny — powiedział Czernousow. — Sam widziałem tę, co ten szalik przyniosła. Ładna panna, ma włosy jak dojrzała pszenica.

Marusia odwróciła się do ściany, odwinęła list z chusteczki. Chciała mu dać i jedno, i drugie, ale teraz zmieniła zamiar — położyła na kocu tylko kwadratowy skrawek haftowanego materiału. Janek patrzył chwilę, a potem niespodzianie dźwięcznym i silnym głosem powiedział:

— Daj, do ręki.

Dźwignął prawe ramię, zwarł palce na płótnie, podniósł je do oczu.

— Niech żyje! — wrzasnął Jeleń. — Już zaraz będzie zdrów. Tobie, Ogoniok, musi za to podziękować.

Marusia poczerwieniała, Gustlik przykuśtykał i objął ją za szyję.

— Pytaj Janka o zezwolenie — bronila się żartem, trzepiąc Jelenia po plecach. — To mój chłopiec. Ja go lecę, karmię.

Poderwała się, przyniosła termometr i zerknawszy na słupek rtęci wsunęła Kosowi pod ramię. Janek powoli, z wysiłkiem, przesunął po kocu ręką, dotknął dłoni Marusi i uścisnął ją delikatnie palcami.

Trudno zdecydować, co pomogło: lekarstwa, ciepły jęzor Szarika czy wzruszenie, jakiego doznał otrzymując w prezencie chusteczkę. Prawdopodobnie działały razem wszystkie trzy czynniki, sprawiając, że

ustąpił bezwład w ramieniu, spowodowany raną, szokiem nerwowym i kontuzją. Nie zapominajmy jednak o znaczeniu uczucia. Człowiek wraca do zdrowia znacznie szybciej, jeśli tego bardzo pragnie.

Zmęczony wysiłkiem Kos zasnął, spał do wieczora i przez całą noc, ale następnego ranka obudził się rześki, wesoły i widząc, jak Czernousow bierze się do czyszczenia mauzera, poprosił głośnym szeptem:

— Pokaż.

Sierżant przyniósł mu pistolet, rozłożony na części, podsunął na obu dłoniach przed oczy.

— Dobrze niesie?

— Dobrze. Lufa jak na pistolet długa i kolbę można założyć — sierżant szybko zmontował mauzera z powrotem, pokazał, jak go łączyć z kaburą.

— Miałem snajperkę — westchnął Janek. Przepadła w czołgu.

Koło Nowego Roku spadły duże śniegi, mróz wpelzał na szyby, znaczył je skomplikowanymi wzorami, ale w pokoju było ciepło. Gustlik poruszał się już sprawnie, bez niczyjej pomocy wędrował po całym szpitalu, zaglądał do kuchni, do magazynów, przynosił pod błękitnym fartuchem to smolne polano, to wiadro sprasowanych brykietów.

Wszyscy teraz wracali szybko do sił, Janek zupełnie sam napisał nawet list do Przymorskiego Kraju, do Jefima Siemionycza. Dostawali wzmocnione porcje, więc korzystając z dobrobytu, poczęli się dzielić jedzeniem z biedniejszymi od siebie. Janek razem z Czernousowem wysypali okruszyny na parapet okna, czym zwabili hałaśliwą chmarę napsuszonych wróbli. Potem zjawily się sikorki, kolorowe jak na obrazku, błękitne i zielone, o jaskrawożółtych brzuskach i długich dziobkach. Nieśmiało jednak były, płochliwe, z rzadka udawało im się coś dziobnąć i to dopiero wówczas, kiedy stado wróbli udawało się na obiad do kuchni.

Janek poradził, żeby w kącie szyby, na ramie okiennej, przykleić im trochę masła albo przybić gwoździem kawałek słoniny. Teraz dopiero sikorki mogły się najeść. Wróble i tutaj usiłowały im przeszkadzać. Trzepocąc skrzydłami zaczepiały pazurki o drewnianą poprzeczkę, wspierały ogony o szybę, ale to jedna, to druga łapa ześlizgiwała im się i z rozpaczliwym ćwierkaniem zjeżdżały na dół. Sikorki natomiast, zgrabnie podparte ogonkiem, dziobały masło.

Janek i Grześ specjalnie prosili Marusię, by im poprawiała poduszki, i leżąc na boku patrzyli całymi godzinami na ptaki.

Po tygodniu może pojawił się nowy gość. Obudziło ich z rana stanowcze, władcze postukiwanie, przypominające serię z automatu. Na szybie siedział dzięcioł z różowawym brzuchem, w wiśniowej zgrabnej czapeczce na łebku. Pewno był stary i nie ogolony, bo tuż przy dziobie sterczały mu w różne strony maluteńkie siwe piórka.

— Wydaje mi się znajomy — powiedział Janek.

— No, jakże, wiadomo — zawołał Jeleń. — Taki obrośnięty jak pon Czereśniak. Ciekawe, czy już chałupę postawił.

— Gdzie-e tam postawił — Grześ machnął w powietrzu zdrową ręką. — Przecież przyczółek tam, gdzie był, i fro-ont stoi, gdzieśmy go zostawili. — Zamyślił się na chwilę i poprosił Jelenia: — Powiedz, Gustlik, do-oktorowi, żeby te łóżka zesunął.

— Prosił żech go, ale się nie chcioł zgodzić.

— Powiedz jeszcze raz.

Z tymi łózkami to była stara historia: Janek miał lewą rękę w gipsie, a Grześ prawą, więc chcieli, żeby ich postawiono obok siebie, bo wtenczas będą działać razem, jak jeden człowiek.

— Będziemy mie-eli dwie ręce, a Sza-arika na wysługi.

Pies nauczył się szpitalnych stosunków: chodził po siostrę, szczekaniem zawiadamiał kuchnię, że proszą o czaj, czyli gorącą herbatę, a nawet parę razy przyniósł w koszyczku chleb, cukier i masło, póki lekarz kategorycznie tego nie zabronił.

Profesor zaglądał do nich codziennie, co pewien czas badał i marszczył brwi, gdy mu zawracali głowę, zawsze zresztą tym samym: Czernousow prosił, by go skierowano na front, a Jeleń w imieniu obu swych kolegów o zesunięciu łóżek. Nic z tego naturalnie nie wychodziło, ale dzisiaj kiedy doktor przyszedł, to nim jeszcze Jeleń zdążył słowo wymówić, rozejrzał się po sali i zdecydował, wydając polecenie sanitariuszom:

— Przysuniecie do siebie te dwa łóżka. Trzecie również bliżej. Tak, żeby można było dwa, a nawet trzy nowe postawić.

Patrzyli na niego zdziwieni, a kiedy lekarz zniknął za drzwiami, sierżant Czernousow oświadczył:

— No, *bratcy*, będziemy się dzisiaj żegnać.

— Nie puszczą cię.

— Zobaczysz.

Wyszedł, nie było go długo, wrócił z roześmianą twarzą, niosąc mundur i płaszcz przewieszony przez lewą rękę, a w prawej buty.

— Wypisali na front? — zdziwili się wszyscy.

— Niby do tyłów. Ale jak ja już trafię do swojej dywizji, to sierżanta Czernousowa nie zostawią do wydawania kaszy. Wiedzą, gdzie się dobrze czuję, gdzie pożytek przynoszę.

— Skąd wiedziałeś, że cię dziś wypiszą?

Nie odpowiedział od razu. Ubierał się starannie, spokojnie, złożył swoje szpitalne rzeczy na łóżku, kawałkiem zielonego sukna przeczyścił ordery, żeby błyszczały, i wyszczotkował wąsy, zerkając na swoje odbicia w gładkim kaflu rozgrzanego pieca. Potem uchylił okno, przyczepił nową porcję masła dla sikorek, zapalił grubego skręta i wypuszczając dym na dwór, tak żeby w pokoju nie było go czuć, powiedział:

— Nauczcie się, chłopaki, że jak w szpitalu robią miejsce, dostawiają nowe łóżka, to znaczy front niedługo ruszy. Wtedy starych zwalniają, żeby móc nowych przyjmować. Przed każdym natarciem szpitale muszą być luźne.

— Jakże, a my tu sami zostaniemy?

— Co sami? Czterech was jest... No, na mnie pora. Z kuchni akurat jadą po prowiant do składów frontowych i ja się z nimi zabiorę. Do tych samych składów nasi muszą przyjeżdżać. Droga niby dalsza, ale szybsza i pewna. Nim trzy dni minie, będę w swojej dywizji.

Szedł teraz od jednego łóżka do drugiego, pochylał się, obejmował, całował łaskocząc puszystymi wąsami i Jankowi zdawało się, że groźny sierżant ma nagle wilgotne oczy. Ale tylko mu się widać zdawało, bo potem gwardzista wyprostował się, stanąwszy pośrodku pokoju, stuknął obcasami i podniósł dłoń do czapki.

— Sierżant gwardii, Czernousow, melduje swoje odejście. Do zobaczenia w Berlinie.

— Napiszecie do nas?

— Napiszę.

Wyszedł.

Jeleń stał przy oknie i patrzył. Dzieciół już przyzwyczajony do ludzi łomotał szybko dziobem, czasem tylko przekrzywiając głowę przyglądał się czarnym paciorkiem oka i jakby nasłuchiwał meldunków Gustlika.

— Idzie przez dwór, ciężarówka już stoi. Wsiadł... Pojechał...

Słyszeli warkot ruszającego samochodu, ale nie mogli go zobaczyć, bo okna były dołem zamarznęte.

W pół godziny później Jeleń kładąc się na łóżku zaklął, bo go coś nagle pod prześcieradłem zaczęło uwierać i wyciągnął stamtąd mauzera w drewnianej kaburze.

— Zapomniał widać.

— Głu-upi, pod twoim prześcieradłem zapomniał? — rozzłościł się Saakaszwili. — Przeczytaj, tam jest kartka.

Na kartce był napis: *podarok otlicznomu strielku*, co znaczy: prezent dla wyborowego strzelca. Nie mieli wątpliwości, komu należy broń oddać, i chociaż Janek jeszcze nie wstawał, ukryli ją właśnie u niego w sienniku — nie za głęboko, tak żeby obracając głowę na poduszce mógł wyczuć, że ma coś schowanego.

Tydzień potem, nad ranem, Szarik zaszczekał niespodzianie, zębami tarł się za brzeg koca. Ocknęli się wszyscy i poczuli, że drży lekko ziemia, że z daleka tuż ponad śniegiem ściele się ku nim niski, potężny grzmot.

W chwilę potem drgnęły i zadzwoniły szyby w oknach.

Mrok za oknami poczynął jaśnieć.

NA KOPERCIE BYŁY CZTERY nazwiska. Cztery albo trzy. Co do trzech w każdym razie sprawa jasna: Saakaszwili, Jeleń, Kos. Nie wiadomo tylko, czy słowo „Szarik” należy traktować jako imię czy też nazwisko. List na pewno jednak skierowany był do wszystkich.

*Drodzy moi!*

*To miejsce, którego razem broniliśmy w sierpniu, było dobrze wybrane. Jeszcze raz przejechaliśmy Wisłą po tym samym moście. Pola i lasy pod śniegiem, trudno rozpoznać, ale serce bilo mi mocniej. Właśnie stamtąd ruszyliśmy na stolicę, a potem dalej i dalej.*

*Brygada brała udział w walkach o duże miasto nad rzeką, ale przeciwnik bronił go tylko ariergardami. Na lotnisku zdobyliśmy trzydzieści samolotów, które nie zdążyły wystartować. Stąd skręciliśmy na zachód, piechota z marszu*

*przerwała umocnienia, a my wsunęliśmy się w szczelinę jak w uchylone drzwi i szybkim, pancernym rajdem zdobyliśmy jeszcze jedno miasto. To były ciężkie walki. Kiedy wrócicie, nie doliczcie się znowu kilku znajomych twarzy.*

*Teraz dokucza nam chłód. „Rudy” grzeje silnikiem, ale i on czasem bywa zmęczony, a na pancerzu ma coraz więcej blizn.*

*Załogę mam dobrą, złożoną z młodych chłopców, którzy ukończyli szkołę pancerną. Ale po cichu, bardzo po cichutku, powiem wam, że czekam chwili, kiedy znowu będziemy razem.*

*Stoimy w obronie jako odwód. Dziś jest święto Armii Czerwonej. Odbywają się spotkania, wydano trochę alkoholu. Moi chłopcy poszli, a ja zostałem w „Rudym” i piszę przy świetle remontowej lampki, na twoim, Janek, siedzeniu, w kąci, bo tu jest najzacieśniej.*

*Miejsce, w którym pancerz został przebity pociskiem, zostało zaspawane z zewnątrz grubą płytą. Brzegi zatopione palnikiem i wygląda to wszystko, jakby rana z grubsza zabliźniona.*

*Chyba i wy już całkiem niedługo wyzdrowiejecie. Odpiszcie szybko, bo i ja jestem ciekaw, i generał często pyta, co z wami się dzieje.*

*Noszę ciepłe rękawice Janka. Dobrze mi służą. Mam zdobyczny wacik, przygotowany na nowe legowisko dla Szarika, gdyż stare się całkiem spaliło. Kończę już, bo palce marzną i sztywnieją. Jutro będzie słonecznie, pogodnie, temperatura około minus 5°C, zachmurzenie wzrastające po południu do 1/4.*

*Ściskam was, chłopcy, serdecznie i drapię Szarika za uchem, na razie tylko w myślach, ale chyba wkrótce już naprawdę.*

*Wasył*

List przyszedł po dziesięciu dniach, na początku marca. Odczytali go na głos rankiem, zaraz po śniadaniu, a potem wrywali sobie z rąk, bo każdy chciał własnymi oczyma jeszcze raz zobaczyć. Szarik sądził, że to zabawa, i stając na tylne łapy, starał się również chwycić papier zębami.

Mieszkali teraz w innym miejscu, w malutkim pokoiku na poddaszu, dokąd przeniesiono ich jeszcze w końcu stycznia, by zrobić miejsce ciężej rannym, przybywającym wprost z frontu. Ledwo się tu mieścili. Łóżko Janka stało koło okna, pod załamany dach, a dwa inne piętrowo jedno nad drugim, z boku. Na górnym ulokował się Jeleń, twierdząc, że tam mu jest wygodniej, a poza tym musi ćwiczyć nogę, żeby odzyskać w niej pełnię władzy.



Ptaki rozpoznały szybko zmianę sytuacji i odwiedzały ich codziennie. Szarik, oparty przednimi łapami o parapet, patrzył na nie ciekawie, płosząc sikory, ale dzięcioł nie dał się nastraszyć i tylko czasem, gdy pies zbyt blisko zbliżał nos do szkła, odganiał wilczura gwałtownym trzepotaniem skrzydeł i groźnie walił dziobem we framugę.

Tego dnia, kiedy przyszedł list, niebo było słoneczne, błękitne, słońce grzało mocno przez szybki. Wiosną trudno siedzieć w domu, więc najpierw Jeleń ruszył do kuchni rąbać drwa w ramach ćwiczeń zdrowotnych, a także po to, by podtrzymać dobre stosunki z kucharzem. Potem Grigorij poszedł do lasu, by w samotności pośpiewać, gdyż twierdził:

— Kie—edy śpiewam, to się nie jąkam.

Jąkał się zresztą coraz rzadziej, tylko w momentach wzruszeń albo gdy chciał coś bardzo szybko powiedzieć.

Przyszła Marusia i jak co dzień masowała lewą rękę Janka od ramienia ku plecom. Skóra na niej była jasna, jaka bywa na dłoniach praczek, przymarszczona lekko. Całe ramię stało się chude, drobne, powoli nabierało sił. Podczas zabiegu on opowiadał jej o swoim domu w Gdańsku, o tym, jak uczył się w szkole, o wojnie we wrześniu i poszukiwaniu ojca. Taka stanęła między nimi umowa, tak było zawsze.

Ogoniok miała dziś wolny dzień, więc po zakończeniu masażu przyniosła Kosowi mundur i wybrali się na spacer razem z Szarikiem. Z gałęzi sosen opadały ciężkie, nabrzmiałe słońcem krople. Snuł się po igłach wilgotny szelest, pachniała ziemia. Trawa była jeszcze zeszłoroczna, ruda, ale jak się pochylić, to pod spodem można było dostrzec nieśmiałe, jasnozielone źdźbła.

Wędrowali w milczeniu krętą ścieżką, omijając tające błoto.

— Gdzie masz szalik? — spytała dziewczyna.

— Zostawiłem, ciepło dzisiaj.

— Powinieneś nosić.

— Nie pasuje do munduru. Nie lubię go zresztą.

Znowu milczeli. Przystanęli dopiero na skraju niewielkiej polanki. Między sosnami leżała spora kałuża wody, przymarszczona pośrodku marcowym wiatrem. Odbijały się w niej korony sosen, a za nimi, głębiej, było błękitne niebo. Kiedy tak patrzeć w wodę to wydaje się, że kałuża jest oknem prowadzącym na tamtą stronę ziemi. Po bokach, w cieniu, szarzały resztki tającego lodu.

— A ją lubisz?

— Kogo?

— Tę, co podarowała.

— Razem jechaliśmy do armii, razem przyszliliśmy do brygady...

Zdawało mi się, że nasza znajomość to coś bardzo ważnego, ale potem wyszło inaczej.

— Jak?

Janek przypomniał sobie, o czym mówili Grześ i Gustlik wówczas, gdy na leśnej polanie z rąk generała otrzymali Krzyże Walecznych, a Lidka przyszła zapraszać go do kina. Po chwili milczenia wyjaśnił Marusi:

— Ja jej nie byłem potrzebny, wołała innych. A potem się okazało, że załoga jest dobra i znaczna, bo z nami jeździł Szarik. Dostaliśmy ordery, wszyscy o tym mówili i jej się zaczęło zdawać, że jestem jej potrzebny...

— Jej się zaczęło zdawać... — przerwała mu Ogoniok i potrząsnąwszy głową, rozsypała włosy o barwie świeżych, dopiero co wyłuskanych kasztanów. — A ty?

— Co ja?

— Czy tobie jest potrzebna, czy ją lubisz?

Janek oparł rękę na chłodnej, wilgotnej korze sosny, nabrał powietrza w płuca.

## ROZDZIAŁ 20. ROZSTAJNE DROGI

BYWA, ŻE PODCZAS JESIENNEGO ciągu kaczka odbije się od stada. Zatrzymają ją jakieś ważne ptasie sprawy, wczesny mróz oblodzi jeziorko między trzcinami albo przeszkodzi złamane skrzydło. Przemarzniętą samotnicę pochwyca ludzie, ogrzeją, wyleczą, ale już zbyt późno na podróż w cieplejsze kraje i sił brak. Tłucze się więc całą zimę po izbie, przywyknie niby, z ręki jada.

Kiedy jednak śnieg odtaje, wyblękitnieje niebo i wiosna przyniesie pierwsze ciepłe wiatry, ptak poczyna być niespokojny. Żał się z nim rozstać, a przecież widać, że trzeba, że nie można inaczej. Są uczucia ważniejsze i silniejsze niż przywiązanie do sytości i ciepłej izby. Gdy z południa nadciąga wysoki klucz, trzeba otworzyć drzwi lub okno. Jeszcze tylko rozbieg, start niski nad ziemią, a potem, gdy narośnie już szybkość, stromy wzlot w górę i jeszcze tylko koło radosne nad gościnnym domem, poświst skrzydeł i malejąca sylwetka o długiej szyi. Ptak wraca do swego żywiołu, do swych towarzyszy.

Brezent samochodu łopotał jak skrzydło, wzdymał się wypełniony wiatrem. W kącie przy szoferce, na zapasowej oponie i paru garściach siana siedział Janek z Marusią, otuleni jedną peleryną; obok nich, przy prawej burcie, Grześ i Gustlik. Szarik wcisnął się między czołgistów, łeb trzymał na kolanach dziewczyny.

Naturalnie nie jechali sami. Całe pudło ciężarówki wypełnione było frontowym bractwem. Dopiero co wsiedli wszyscy na skrzyżowaniu, rozlokowali się i przypatrywali sąsiadom, ale już zostały zawarte pierwsze znajomości, już zaczęli dzielić się machorką, częstować nawzajem papierosami.

— Bierzcie, to *trofejne*, zdobyczne, nazywają się juno — proponował siwy kapitan.

— Po ichniemu juno, a po naszymu — słoma, wybaczcie śmiałe słowo. Może machorki spróbujecie żołnierskiej, krupki.

— Mnie żona samosad przysłała. Mocny, aż w głowie się kręci, a jak pachnie... Bardzo proszę, towarzysze, każdemu dam spróbować.

Ciężarówka zbliżała się do miasta, z tyłu popod łukiem brezentu widzieli pojedyncze domki, potem wjechali na praskie ulice, i rozmowy przycichły. Może dlatego, że prawie wszyscy zadymili papierosami, a może spoglądali na ruiny rozbitych pociskami domów, na których śnieg tajał w słońcu i powietrze leciutko drgało.

— Wtenczas też dymiły, tylko inaczej — powiedział Grześ.

Skręcili w lewo, droga opadała łagodnym zjazdem ku Wiśle. Janek uniósł głowę, patrzył uważnie, i wskazawszy ręką powiedział:

— Słuchajcie, przecież my właśnie gdzieś tu, w tym miejscu... Jeszcze kamienie powyrywane z bruku. Toż to ślad po nas, po „*Rudym*”.

Zastukały dyle na podjeździe; skrzypnęła, poddała się pod ciężarem wozu nawierzchnia pontonowego mostu.

— *Sojuzniki, wy tankisty?*

— Tak, czołgiści.

— Kiedy byliście ranni?

— Jak Pragę braliśmy, we wrześniu — wyjaśnił Saakaszwili.

— Za Pragę dostaliście ordery?

Jeleń i Saakaszwili mieli rozpięte płaszcze, żeby wszyscy mogli widzieć biało-czerwone wstążeczki i Krzyże Walecznych.

— Nie, to wcześniej. Pod Studziankami pomagaliśmy 8 armii gwardii utrzymać przyczółek za Wisłą. A na Pradze byliśmy ranni.

— Solidnie was stuknęli, tyle czasu w szpitalu?

— Niczego sobie, owszem.

— A czwarty jak? Spalany?

— *Ka-akowo czo-orta* — Grześ ze zdenerwowania zaczął się jąkać. — Zdrów i cały, wo-ojuje.

Pięli się teraz pod górę szerokimi skrętami „*ślimaka*” na Karową. Cisza zaległa w aucie. Tu miasto wyglądało inaczej niż na Pradze — jednego całego domu nie było. Jechali wąwozami wypalonych murów, między dziwnymi, poszarpanymi wzgórzami podobnymi do skał wapiennych, w których burze wypłukały prostokątne okna. Przez usypiska biegły kręte, górskie ścieżki, wznoszące się zakosami. Z rzadka tu i ówdzie widać było sylwetkę ludzką, czasem z zabitego deskami okna sterczała rura piecyka, wiatr bawił się niewielką kitką ciemnego dymu.

— *Twirdyj narod* — powiedział siwy kapitan, właściciel papierosów *juno*, ale nikt mu nie odpowiedział.

Minął kwadrans, nim z krętych uliczek dostali się na prostą aleję i zobaczyli po prawej falistą przestrzeń, postrzępioną łatami śniegu, spod którego słońce dobywało piarg cegły zmielonej przez pociski. Zrozumieli, że to jeszcze nie pole, że tu kiedyś również było miasto. Daleko pośród pustkowiec sterczał samotny, zagubiony kościół.

Żołnierz, który częstował machorką, mełł w zębach ciężkie przekleństwo. Znowu była cisza. Jechali dalej, patrząc z uwagą na parę fabrycznych kominów, z których bliższy, wyszczerbiony, dymił. Dopiero wówczas, kiedy wyjechali z miasta i po obu stronach szosy zaczęły się pola, wiatr zmył z ludzi milczenie.

— Jakże to odbudowywać? Widziałem dużo spalonych miast, ale przecież nie takie.

— Może Smoleńsk podobny.

— Może Stalingrad.

— Jak odbudowywać? — wtrącił żołnierz, któremu żona przysłała samosad. — Jeśli razem do roboty stanąć, to ludzie wszystko mogą. Ot, *rebiata* tu jadą, *tankisty*. Ich nieźle poharatało, a przecież załatali, wyleczyli i teraz wracają na front. Pragę wzięli, a Berlin będą brać... Mnie na ten przykład w Łodzi ranili. Kiedyśmy wpadli do miasta, to fryce nic jeszcze nie wiedzieli, sklepy mieli otwarte, oczy na nas wytrzeszczali. Ale jeden z dachu strzelił i trafił.

— Ja zostałem ranny w Katowicach.

— Ja jeszcze dalej, pod Kostrzyniem. Tam 8 armia gwardii przyczółek za Odrą brała.

— Stamtąd do Berlina blisko. Jaki on jest, ten Berlin?

Młody, płowowłosy oficer w okrągłej czapce z błękitną wypustką uśmiechnął się i powiedział:

— Ja wam powiem. Ulice są czarne, tylko na dachach blask, a dokoła kłębki dymu z zenitówek. W dole, gdzie bomba upadnie, to błysk i plama ognia się rozlewa. A resztę sami już z bliska zobaczycie.

— Nie chcę ja go oglądać — zwrócił się Grześ do lotnika. — Zerknąć można, a nawet warto i potem zaraz z powrotem do domu. U nas góry samego

nieba sięgają, czapy białe noszą ze śniegu, a w dolinach ciepło i co rok młode wino.

— *Tankist*, a ty skąd jesteś?

— Ja, skąd je—estem? — spieszył się Grześ, niezdecydowany, czy wybrać wersję prawdziwą, czy oficjalną.

— On je od Sandomierza — wyręczył Jeleń kolegę.

— To pod Sandomierzem góry nieba sięgają i śnieg na szczytach leży?

— Jak się od dołu podziwiać, to tak się zdawo, że bardzo wysoko, a zimą śnieg na nich leży — bohatersko łągał Gustlik.

— Smagły ten wasz kumpel i czarny jak Gruzin.

— Bywają tacy pod Sandomierzem.

Roześmieli się wszyscy wesoło, bowiem wśród ludzi noszących mundury nie tylko od czasów pana Zagłoby, ale znacznie dawniej, ceniona jest umiejętność koloryzowania i składania ciekawych opowieści.

— Pies też spod Sandomierza? — zapytał przymrużając oko właściciel samosadu. — Założyłbym się, że w broni pancerniej walczy.

— Jakbyś wiedział! — ucieszył się Saakaszwili, że teraz na tamtego pułapkę może zastawić. — Czytaj, co tu pisze, o tu, blaszka na obroży.

Szarik widząc, że wszyscy zwracają nań uwagę, wyprostował się godnie i nie ze złości, ale tak, na wszelki wypadek, zaprezentował białe kły.

— Ja będę czytać, a on mi głowę odgryzie. Poza tym nie przy mnie pisane, polskimi literami.

— Mogę wam przetłumaczyć — cieszył się Grześ. — Tu jest napisane: „*Szarik, pies brygady pancerniej*”.

— Ho, ho, to trzeba do niego mówić, towarzyszu szeregowy. Myślałem, że zwykły pies, a okazuje się żołnierz.

— Po—oczekaj — Saakaszwili zająknął się w pośpiechu. — Ja ci będę jego zasługi opowiadał, a ty tylko licz na palcach. Od razu możesz zdjąć buty, bo samych rąk nie starczy.

Wszyscy pasażerowie ciężarówki obrócili się w stronę Grigorija i z zainteresowaniem słuchali, jak Szarik będąc jeszcze zupełnie małym szczeniakiem nie uląkł się tygrysa, o frontowych przygodach i wreszcie nawet o zaduszeniu kury w szpitalu, bo Saakaszwili, jeśli już zaczął mówić, to opowiadał rzetelnie do końca, nie opuszczając niczego, a raczej nawet dodając pewne szczegóły, których ani Kos, ani Jeleń nie mogli sobie przypomnieć.

Dzieje *bronietankowej sobaki*, czyli psa pancernego, jak go zaczęli nazywać, rozweseliły wszystkich i kiedy wreszcie dobiegły końca, ktoś zaczął nucić, a potem razem, zgodnym chórem zaśpiewali modną w owym czasie piosenkę.

*Nie za to miedali dali,  
czto Warszawu my widali  
A za to nas nagradili,  
czto Polszu oswobodili.*

Piosenka była długa, pojawiały się coraz nowe zwrotki, dwukrotnie powtarzano każdy refren i Janek korzystając, że nikt nie zwraca uwagi, szepnął Marusi do ucha:

- Nie zapominaj o mnie.
- Nie zapomnę już nigdy.
- Może gdzieś blisko od siebie będziemy, a jeśli nawet daleko, to i tak się spotkamy zaraz po wojnie.
- Chciałabym bardzo, ale nie wiem, czy tak będzie. Rozstanie pewne, a spotkanie na śniegu tającym pisane.
- Spotkamy się na pewno — szepnął. — Będziemy potem już zawsze razem: ty i ja, Szarik i... może ojciec.

Zwróciła twarz ku niemu. Janek niby poprawiając brezentową pelerynę, którą byli osłonięci, dotknął wargami jej gładkiego policzka, pokrytego leciutkim meszkiem jak śliwa świeżo zerwana z drzewa.

WIELE MOGŁYBY OPOWIEDZIEĆ rozstajne drogi. Czasem spotykają się na nich ludzie, lecz częściej żegnają i potem jedni idą w lewo, drudzy w prawo, nie wiedząc nigdy na pewno, czy kiedykolwiek jeszcze splotą się ich losy, i jak odległe jest następne spotkanie. Nie o kilometry tu chodzi, lecz o czas. Życie mierzy się w miesiącach i latach, w godzinach i dniach, a nie w kilometrach.

Ciężarówka podwiozła ich do Poznania, a potem pieszo poszli za miasto, by czekać u rozstajnych dróg na następną okazję. Był tu punkt kontrolny, na którym sprawdzano dokumenty, ustalano dalszą marszrutę powracających na front żołnierzy. Wiedzieli już, że właśnie tutaj muszą się rozstać. Marusi droga wypadła prosto na zachód, a im w prawo, bardziej ku północy.

Na razie nic jakoś nie jechało i korzystając z ostatnich chwil, Ogoniok nałamała wierzbowych gałązek w przydrożnym rowie. Pokryte były świeżymi koćkami, aksamitnymi w dotknięciu. Rozdarowała chłopcom cały bukiet, pozatykała im witki za pasy.

Saakaszwili, chętny jak zwykle do głośnego wyrażania swych uczuć, zaniósł trochę kociek regulującej ruch dziewczynie i przyklękawszy pośrodku drogi na rozjeżdżonym oponami błocie wyjaśniał jej, że nigdy w życiu nie spotkał kobiety o tak zdumiewającej urodzie.

Jeleń, jeszcze niepewny w stu procentach swojej zrosniętej na nowo nogi, przysiadł na kamieniu i gapił się w pole, na którym wcześniej niż zwykle zakwitła tego roku tarnina. Wokół krzewów wędrowało tam i z powrotem nieduże stadko kosów. Ptaki pogwizdywały cichutko, przefruwały z miejsca na miejsce, szukały pożywienia na odtajałym ze śniegu polu. Odróżniając brązowawe, nieco mniejsze samiczki od czarnych samców, usiłował je liczyć, nie bardzo zresztą wiedząc po co. Ot, może dlatego po prostu, by jakoś przeczekać chwile, które dzieliły ich od pożegnania.

Tak bywa, że ludzie bardzo pragnący być razem poczynają się niecierpliwić na dworcu i pragną, by jak najszybciej odjechał pociąg, o którym wiadomo, że odjechać musi.

Marusia i Janek stali obok. Początkowo próbowali żartować właśnie na temat tych kosów wędrujących po polu i pokrewieństwa, jakie zapewne być musi pomiędzy ich nazwą a jego nazwiskiem. Nie kleiły się jednak te żarty, więc zamilkli i ze smutkiem spoglądali sobie w oczy, to znowu z niecierpliwością na drogę.

Nadjechała wreszcie ciężarówka z długim pudłem pokrytym brezentem, spod którego wystawał srebrny ogon myśliwskiego samolotu. Regulująca zatrzymała ją, rozmawiała chwilę z kierowcą, a potem z lotnikami w skórzanych kurtkach, jadącymi pod brezentem i wreszcie skinęła w stronę Marusi.

Teraz dopiero się okazało, że mają ważne sprawy do załatwienia, że muszą sobie jeszcze parę rzeczy powiedzieć. Ogoniok dała Jankowi stary list, który nosiła w kieszeni na piersi — wszystko, co w nim było, zostało powiedziane, ale chciała, by miał to na piśmie, by mógł przeczytać, kiedy już będą daleko od siebie.



Janek dał jej pierścionek, wypilowany misternie z miedzianego paska, który obciął z artyleryjskiego pocisku. Mówili do siebie jedno przez drugie. Szarik, wietrząc niespokojnie, popiskiwał ze szczerym żalem. Lotnicy tracili cierpliwość.

— Pocałuj ją wreszcie, bo nam pora w drogę.

Janek usłuchał rady, dziewczyna podbiegła do ciężarówki, podchwycona za ręce znalazła się pod brezentem. Wóz ruszył, odjeżdżał nabierając pędu. Patrzyli za nim, widząc początkowo smutny uśmiech Marusi, a potem tylko jej sylwetkę i czerwonawe włosy na tle srebrnego statecznika samolotu.

Gdy ciężarówka zniknęła za zakrętem, Janek poszedł wzdłuż szosy, zatrzymał się koło pozieleniałej pierwszymi listkami wierzby i rozwinął list. Przeczytał go wolno, od początku do końca, a potem cichutko powtórzył sam do siebie:

— Koło północy poszlibyśmy w cień sadu, w zapach jaśminowych krzaków. Tam nikt by nas nie widział...

Stał z twarzą zwróconą pod wiatr, czuł wiosenne powietrze głaszczące mu rozgrzane policzki.



## ROZDZIAŁ 21. POWRÓT

— HEJ, KOS, DOWEJ POZÓR! — krzyknął Gustlik. — Pódź haw, ten się nom przydo.

Do skrzyżowania podjeżdżał ogromny, zdobywczy wóz wlokąc za sobą wagon z okienkami po bokach, z dymiącą wesoło rurą piecyka. Kierowca nie miał ochoty stanąć. Nacisnął parę razy sygnał, zaczął skręcać w lewo, ale dziewczyna regulująca ruch nie ustąpiła. Szofer wychylił się przez okienko i z wysokości swego wygodnego siedzenia oświadczył uroczyście:

— My z wydziału politycznego Frontu.

— My z rozstajnych dróg — odpowiedziała mu żartem. — Dokumenty i trasa podróży.

Jeleń podsunął się bliżej, zaglądając jej przez ramię.

— No jak? — spytał cicho. — Do takiej budy się przeca zmieścimy.

— Ja im nie mogę dodać nikogo — odpowiedziała półgłosem. — Chyba że sami potraficie się dogadać.

Obiegli wóz od tyłu, zastukali do zamkniętych drzwi, ale nikt nie odpowiedział. Forteca była trudna do zdobycia. Można co prawda wleźć na metalowe schodki, ucześcić się jakoś, ale to żadna jazda. We trzech jeszcze by się zabrali, ale co począć z psem?

Szarik uważnie oglądał wóz, pokręcił nosem i coś go bardzo zainteresowało. Przysiadł przed drzwiami na tylnych łapach, zaskomlił i szczeknął. Z wewnątrz odpowiedziało mu również szczekanie. Szarik począł ujadać i pies w wozie awanturował się także coraz bardziej.

Drzwi wreszcie uchylły się lekko i ze zdumieniem dostrzegli w nich szczupłą damę, w srebrnej sukni, ubraną jak na bal. Stali wszyscy trzej z szeroko otwartymi ustami, nie mogąc wymówić ni słowa. Koło nóg damy przecisnął się biały pudel, wystawił ciekawą mordkę i na widok Szarika zaskomlał, zamerdał ogonem, ucieszył się zdecydowanie.

Wilczur zrozumiał to widać jako zaproszenie, bo jednym susem znalazł się w środku wozu. Kobieta odskoczyła na bok i wznosząc ku górze ręce, zawołała;

— Na pomoc! Zabierzcie tego zbója, on moją Kroszkę zagryzie!

Tego czołgistom dwa razy nie trzeba było powtarzać. Zgodnie ruszyli na odsiecz. Grześ podsadził Gustlika, Gustlik podał rękę Grzesiowi. Ciężarówka ruszyła z miejsca, więc Janek podbiegł parę kroków i przy pomocy przyjaciół również wskoczył do środka, podtrzymując drewnianą kaburę mauzera, zwisającą u boku.

Z uratowaniem Kroszki nie było kłopotu, bo Szarik nie miał zamiaru zrobić jej nic złego. Przymknęli za sobą drzwi, żeby nie wpuszczać chłodu do środka, i zasalutowawszy grzecznie damie w srebrnej sukni, siedli skromnie progu.

— Jady my i to nie najgorzej — mruknął półgłosem Jeleń.

— Wysiadajcie — usłyszeli nad głowami potężny bas. — Jak można pchać się siłą do cudzego domu.

Wstali, patrząc z uznaniem na wysokiego mężczyznę atletycznej budowy, ubranego w pasiastą, trykotową koszulkę, pod którą widać było drgające tarcze mięśni.

— Plutonowy Jeleń melduje przybycie trzech polskich czołgistów — Gustlik zasalutował uprzejmie i skłonił głowę.

Grześ, wyrwawszy Jankowi zza pasa parę ostatnich witek z baziami, wręczył je z miłym uśmiechem pani białej pudliczki.

Kobieta się uśmiechnęła (któraż się nie uśmiechnie, otrzymując kwiaty?) i zawołała do swej pupilki:

— Kroszka, jak można? To obcy pies.

Uradowana Kroszka tańczyła wokół Szarika, to na czterech, to na dwóch łapach, ciągnęła go za uszy prosząc do zabawy, a wilczur z bardzo głupią miną wodził za nią pełnymi sympatii ślepiami.

Mężczyzna w trykotowej koszulce marszczył groźnie brwi, chciał jeszcze coś powiedzieć, ale przeszkodziła mu papuga wisząca pod sufitem na blaszanym kole, która zaczęła wrzeszczeć:

— Szturmem, szturmem!

Z głębi wozu, czepiając się różnych przedmiotów, nadbiegła małpka ubrana w czerwony kubrak, skoczyła Jeleniowi na ramię. Nim zdążył usta ze zdumienia otworzyć, zabrała mu czapkę i uciekła.

— Jejku — wystękał Gustlik. — Co za menażeryja, oni tu może słonia–elefanta mają?

— Wysiadacie? — pytał atleta z uporem.

— My byśmy wysiedli, panie dyrektorze — oświadczył Grigorij — ale teraz, bez czapki w żaden sposób nie da rady. Własność, powiedziałbym państwową.

Dama uśmiechnęła się po raz drugi.

— Daj im spokój, Iwan, niech już zostaną.

— Miękkie masz serce, Natasza. Jeśli na każdym skrzyżowaniu będziemy brać nowych pasażerów... — w tonie mężczyzny można było wyczuć, że burczy już tylko dla przyzwoitości. — Dokąd jedziecie?

— Pod Kołobrzeg — odpowiedzieli chórem.

— My też.

— Bardzo przepraszam za ciekawość — nie wytrzymał Saakaszwili — ale jeśli można, to chcielibyśmy wiedzieć...

— Proszę bardzo, to nie tajemnica wojskowa — roześmiał się siłacz. — Po prostu frontowy cyrk. No, ale skoro Natasza pozwala wam jechać, to nie będziemy stać tak pod drzwiami. Prosimy do środka.

Korytarzykiem weszli w głąb wozu do nieco większego pomieszczenia, mającego dwa okienka, po jednym z każdej strony. Dalej w głębi były jeszcze drzwi wiodące za przepierzenie.

— Tu salon, a tam nasze sypialnie. Wszystkie te wspaniałości urządzono nam właśnie w zdobyczym samochodzie.

Z dalszej rozmowy wynikało, że Iwan jest atletą-gimnastykiem oraz zonglerem, a Natasza występuje z tresowanym pudlem, Kroszką, i małpką, która nazywa się Buki. Czołgiści opowiedzieli o sobie, poczęstowano ich gorącą herbatą.

Często tak bywa, że ludzie są sobie niechętni tylko do tej pory, póki jedni są wewnątrz, a drudzy na zewnątrz, póki się nie poznają. Kiedy zamienią kilka słów, nabierają do siebie sympatii, bo w każdym przecież jest coś miłego i ciekawego.

Jeleń stanął zaraz do turnieju i siłowali się z Iwanem na rękę, kto kogo położy. Chociaż bronił się długo, przegrał, ale go Iwan pocieszył, że i tak walczy wspaniale, że gdyby nie szpital, to kto wie?

Okazało się, że Natasza jeszcze przed wojną razem ze swymi zwierzętami występowała w Tbilisi i teraz współzawodniczyła z Grzesiem w opowieściach o pięknie Gruzji, w opisie śnieżnych gór i smaku wspaniałego wina. Saakaszwili zupełnie zapomniał, że jest synem kominiarza spod Sandomierza.

Małpka Buki ubrana w czapkę Jelenia, która co chwila spadała jej z głowy, boczyła się trochę początkowo, jadła gotowane kartofle, nacinając je pazurkami i obierając jak banan, a potem nabrała zaufania do Janka, opowiadała mu coś, siedząc na ramieniu i wreszcie przysnęła, okryta połą jego płaszcza.

Nie ulega jednak wątpliwości, że najserdeczniejsza nić sympatii zawiązała się między Kroszką i Szalikiem, który przestał zwracać uwagę nawet na rozkazy swego pana, wodził zachwyconymi ślepiami za śnieżnobiałą pudliczką i od czasu do czasu głęboko wzdychał.

Ciężarówka gnała po gładkiej szosie, zwalniała na mostkach i w wyludnionych miasteczkach, rozpędzała się na prostych. Za oknami migały coraz to inne drogowskazy i wreszcie Janek wyjrzawszy przeczytał na jednym z nich polski napis: „*Do Wierchowca 5 km*”. Zaraz potem wjechali w las, a że było pod wieczór, we wnętrzu pomroczyło nieco.

Nagle huknęło, jak gdyby tuż obok rozerwał się pocisk. Pochylona przyczepa zjechała na prawą stronę, zgrzytnęły gwałtownie hamulce. Pisnęła wystraszona małpka, zaszczekały oba psy, papuga wrzasnęła:

— Szturmem, szturmem!

Pobiegli do drzwi, wyskoczyli na szosę. Kierowca stał już obok i rozkładając ręce pokazywał na spłaszczoną ciotkę.

— Musiało trafić na duży, ostry odłamek. Rąbnęła od razu.

Wóz stał na boku szosy, tuż przed zakrętem wiodącym pod górkę. Za rowami po obu stronach był ciemniejszy, wieczorny las. Nieco na przedzie, z gaśnienicami okrakiem po obu stronach rowu, czerniał spalony czołg. Podeszli bliżej, oglądali go, Jeleń pokazał czarny cień orła po wypalanej farbie. Z drugiej strony na wieży odczytali cyfrę.

— Nie pamiętacie czyj? — spytał Kos.

Nie pamiętali, Grześ obszedł dokoła i wróciwszy stwierdził:

— Jedno pewne, że to nie „*Rudy*”, bo nasz ma teraz łąkę na czołowym pancerzu. Pamiętacie, co Wasyl pisał?

Zawrócili do przyczepy, gdzie krzątał się kierowca, daremnie przymierzając zbyt krótki lewar.

— Trzeba by płaskich kamieni poszukać, podłożyć. Inaczej go nie dźwignę.

— Spróbujemy? — powiedział Iwan do Jelenia.

— Czymu ni, mogem spróbować.

Gustlik przyniósł płaszcz, założył na ramiona, żeby mniej uwierało, a potem obaj wsunęli się pod bok, zaparli nogami, dźwignęli ku górze.

Teraz już poszło szybko. Janek z Grzesiem podtoczyli zapasowe koło, chwycili je na śruby. Kierowca począł dociągać nakrętki ogromnym kluczem, pomagał mu przy tym Saakaszwili.

Byli prawie gotowi, kiedy Szarik, hasający po skraju lasu razem z Kroszką, przystanął, szczechnął krótko i czujnym wilczym kłusem pobiegł do przodu.

— Co takiego?

— Coś zwęszył — powiedział Janek i szybko ruszył za nim.

Widzieli, jak podszedł do zakrętu, przesadził rów i pod osłoną krzaków spojrział na drugą stronę przez grzbiet pagórka. Potem przysiadł i jedną ręką odpinając kaburę mauzera, drugą machnął w stronę samochodu.

— Macie broń? — spytał Iwan.

— Nie, my wprost ze szpitala.

— U nas się znajdzie.

Natasza szybko wskoczyła do wozu, podała im pepesze i w ślad za mężczyznami, odbezpieczając w biegu pistolet maszynowy, pobiegła w stronę pagórka. Nie miała czasu się przebrać. Spod płaszcza żołnierskiego wystawała dołem srebrna suknia, tamowała jej kroki.

Kiedy dobiegli w to miejsce, gdzie klęczał Janek, zobaczyli na łagodnym przeciwległym zboczach grupkę może piętnastu Niemców, przebiegających z lasu skokami na drugą stronę drogi. Dowodził nimi oficer z erkaemem przewieszonym przez szyję.

— Kto zna niemiecki? — szeptem spytał Iwan.

Jeleń skinął głową i zawołał:

— *Halt! Hände hoch!*

Oficer drgnął, krzyknął coś i z pół obrotu, nie celując, dał długą serię w kierunku głosu.

Janek, osadziwszy mauzer na kaburze jak na kolbie, miał go od dawna na celowniku, więc tylko z wolna nacisnął spust i tamten złamał się w pół, padł na dno rowu, zanurzając głowę pod wodę.

Reszta Niemców zaległa, przywarła do ziemi, ale nie otwierała ognia. Chwilę trwało obustronne milczenie, potem Iwan swoim potężnym basem począł wydawać rozkazy, jakby dowodził kompanią.

— Pierwszy pluton tyralierą w lewo od szosy, trzeci w prawo, podciągnąć karabiny maszynowe.

Z rowu wstał żołnierz z uniesionymi nad głową rękami i wysokim, śmiesznie poważnym głosem krzyknął:

— *Hitler kaputt!*

Natasza uniosła pistolet maszynowy, oddała krótką serię do góry. Jak gdyby na sygnał, z lewa i z prawa poczęli wychodzić na szosę Niemcy, ciskali broń na mokry asfalt, ustawiali się sami w dwuszeregu. Szarik i Kroszka, nurkując między krzakami, obszczekiwały zwlekających.

Zebrało się w ten sposób około dwudziestu jeńców i po paru minutach ruszyła szosą dziwnie sformowana kolumna: przodem szli więźni do niewoli, strzeżeni przez biegnące po bokach psy; za nimi z wolna jechał ogromny samochód, na którego stopniach stali Saakaszwili i Jeleń; Janek zasiadł w szoferce i ręczny karabin maszynowy odebrany zabitemu oficerowi ustawił na masce.

Nie czuli się zbyt wyraźnie, bo przecież w lesie mogli napotkać inne, mniej uległe grupy, ale szczęśliwie wkrótce dotarli do miasteczka i przekazali jeńców komendanturze.

Czekali chwilę na Iwana, który załatwiał formalności i składał w ich imieniu meldunek. Atleta wrócił, przynosząc dwa papierki z pokwitowaniami na przekazanych jeńców. Jeden był przeznaczony dla „*stanu osobowego frontowego cyrku*”, a drugi „*dla polskich czołgistów*”.

— Przyda się, jak wrócicie do swojej brygady. Niech wiedzą, że nie próżnowaliście po drodze.

Było już ciemno, kiedy wjechali na spalone ulice Kołobrzegu. Miasto zdobyto niedawno, w powietrzu stała jeszcze gęsta i przykra woń spalenizny. Na niewielkim placyku pożegnali się serdecznie, wymienili adresy. Kroszka wyła żałościwie z głębi wozu, Szarik szczeakał i trzeba go było mocno trzymać, by się nie wyrwał, kiedy ciężarówka ruszyła w stronę portu.

Jeleń pytał napotkanych żołnierzy, gdzie szukać komendantury. Jeden z nich obiecał zaprowadzić.

— Ciężko tu było?



— Ciężko. Całe dziesięć dni tłukliśmy się o te ulice, o każdy dom prawie, a im okręty z morza pomagały.

— Czołgi też się tu biły?

— A jakże, nawet ciężkie.

— A średnie?

— Trzydziestek czwórek nie było. Nie widziałem.

Dowiedzieli się w komendzie miasta, że żołnierz, który im drogę wskazywał miał rację. Dyżurny oficer obejrzał dokumenty i pokiwał głową.

— Odpocznijcie, chłopcy. Możecie u nas przenocować, bo droga przed wami jeszcze daleka. Brygada pancerna poszła na Gdańsk.

— Na Gdańsk? — wykrzyknął Janek.

— Jasne. Noszą przecież imię Westerplatte i właśnie dlatego.

— To my dziękujemy, będziemy doganiać.

— Jak chcecie, tyle że nie wiem, czy po nocy zdarzy się wam jaki samochód.

Zasalutowali i wszyscy trzej zniknęli za drzwiami. Tam dopiero Gustlik i Grześ chwycili Kosa za rękę.

— Janek, ale ci się spełniło.

— Walmy od razu na szosę, żeby jak najprędzej.

Pobiegli pustymi ulicami, kierując się na wschodnie przedmieście, lecz wkrótce usłyszeli za sobą warkot silnika. Przystanęli pośrodku jezdni, gotowi zatrzymać wóz za wszelką cenę. Nadjeżdżająca ciężarówka nie próbowała ich jednak wyminąć, zwolniła, przygasiła światła. Z radością poznali znajomą przyczepę, zastukali do drzwi.

— Kto tam? — usłyszeli groźny głos Iwana.

— Swoi! — odkrzyknęli.

Uwierzono im od razu, bo Kroszką, wyczuwszy węchem obecność Szarika, zaczęła radośnie ujadać.

— Dokąd?

— Na Gdańsk.

— Właście szybciej, Dobrze się składa, bo i my do Gdańska. Cała armia pancerna w tamtą stronę poszła. Tak nam widać pisane, żeby tę podróż w dużym towarzystwie odbywać.

Dzięki ternu, że prowadzili na zmianę (Grześ zastępował zmęczonego kierowcę), jechali dniem i nocą. Nie szło to szybko, bo im bliżej frontu, tym

częściej na szosie pojawiały się wyrwy od bomb, pocisków i min, częściej spotykali objazdy, musieli wyczekiwać u zatłoczonych mostków. Minąwszy Koszalin i Słupsk posuwali się wolno w kolumnach transportowych, wiozących amunicję, paliwo i żywność.

Przywykli do siebie, wspólnie prowadzili gospodarstwo, wyklócali się w komendanturach o przydział dobrego prowiantu, co przychodziło im tym łatwiej, że czołgiści podkreślali znaczenie sztuki cyrkowej oraz konieczność utrzymania w formie zarówno atlety, jak i zwierzyńca, a Iwan zwierzał się szeptem magazynierom, że wstyd mu dla żołnierzy sojuszniczej polskiej armii byle jaką kaszę gotować. Wiodło się im nie najgorzej, lecz mimo to pancernych złościł każdy dłuższy przystanek. Bardzo pragnęli dotrzeć wreszcie do swoich, a nawet, kryjąc zdenerwowanie jeden przed drugim, martwili się, czy zdążą na czas, czy nie przyjadą po wszystkim. Zadowolony z przedłużającej się podróży był chyba tylko Szarik, który ani na chwilę nie odstępował Kroszki.

Trzeciego dnia rano, licząc od chwili, w której pod Poznaniem zdobyli szturmem miejsce w przyczepie, minęli Lębork. Nisko nad szosą pojawił się focke-wulff, nie strzelał jednak, szedł w lekkich skrętach na pełnych obrotach, a za nim gonił ostronosy jak. Nasłuchiwali chwilę coraz cichszego grania silników, ciężarówka wtoczyła się na górkę i wówczas po raz pierwszy usłyszeli niedaleki pomruk armat.

— Chłopaki, za parę godzin zobaczymy Wasyla — powiedział Janek. — Zdążyliśmy.

— Miałeś pietra, że dla ciebie nie starczy? — roześmiał się Iwan.

— Tak. Ja jestem z Gdańska, tam mieszkałem przed wojną. Ojciec zginął na Westerplatte.

Pierwszy raz powiedział głośno o śmierci ojca. Do tej pory, jakby w wyniku milczącej umowy, ani Grześ, ani Gustlik nie wspominali o tym, czego byli pewni.

Szosa lekko opadała w dół, weszła w las. Wszyscy trzej czołgiści wysunawszy głowy przez okienko patrzyli naprzód, jak gdyby za lada zakrętem mieli zobaczyć Gdańsk.

Minęli schludne, czyste Wejherowo, wyjechali spomiędzy domów i w momencie kiedy z lewej, zza toru kolejowego, podeszła do nich szosa

biegnąca z północy, Janek nagle skoczył od okna i zabębnił po ścianie od strony szoferki. Tłukł pięścią, potem kolbą.

— Ostrożnie, bo ścianę rozwalisz — mruknął Iwan. — Już przecież hamuję.

— Przepraszam, wybaczcie, ale tam stoi „Rudy”.

— Kto?

— Nasz czołg, „Rudy”.

Wszyscy trzej rzucili się do drzwi, skakali ze stopni jeszcze w biegu. Jeleniowi podwinęła się świeżo zrośnięta noga, wywinął kozła, ale zerwał się zaraz i lekko kulejąc biegł za przyjaciółmi.

Na polu, nie więcej niż piętnaście metrów od drogi, stał ich czołg. Trudno orzec, po czym Janek poznał z daleka, ale teraz, kiedy go już dopadli, nie było wątpliwości — zgadzała się cyfra na wieży, rysunek orła z rozmazanym nieco prawym skrzydłem i rysy na stali, które znali równie dobrze jak szramy na własnej skórze. I wreszcie ta gruba, prostokątna łata na czołowym pancerzu, której badawczo dotykali palcami.

Nie wiedzieli, czemu nikogo nie ma w maszynie, choć na pierwszy rzut oka nie wyglądała na uszkodzoną. Grześ dotknął ręką płyty na silniku i powiedział:

— Chłodny, dawno nie pracował.

Rozejrzeli się i dopiero teraz spostrzegli, że na szosie prócz samochodu, którym przyjechali, stoi ciężarówka, a obok niej grupka żołnierzy w zielonych płaszczach i polówkach. Tamci również patrzyli badawczo w ich stronę i wreszcie naprzód wyskoczył mały, krępy Wichura, ten sam, z którym odbywali w Sielcach pierwszą drogę do brygady. „*Król kazachstańskich szos*” osłonił oczy dłonią i wrzasnął z całej mocy:

— O rany, chłopaki, popatrzcie! Toż to Kos, Jeleń i ten ich Gruzin. Cała załoga.

Skokiem przesadził rów, biegł ku nim, a z tyłu reszta żołnierzy. Dopadli ich przy czołgu, na rozmokłej zaoranej ziemi, obejmowali się, klepali po ramionach. Z obu stron padały pytania, na które nikt nie nadążał odpowiadać, okrzyki, których w ogólnym zgiełku nikt nie mógł zrozumieć.

Od cyrkowego wagonu biegły dokazując oba psy, a za nimi szli powoli Iwan i Natasza.

Ucichło wreszcie nieco, Wichura dorwał się do głosu.

— Chłopaki, zostawcie tego grata. Dostaniecie nowy wóz. Przyszły teraz maszyny z działami 85 milimetrów. Kapujecie? Potęga! Wprost z fabryki. Takie czołgi, że buzi dać.

— A nasz „*Rudy*”? Co mu jest? — spytał Saakaszwili.

— Toście nie widzieli? Z tamtej strony, na burcie ma dziurę jak pięść. W silnik dostał, już nie da się naprawić.

— Semen pojechał po nowy silnik? — spytał Janek.

— My tu poczkómy — powiedział Jeleń. — Jak Wasyl przywiezie, to wstawimy i jeszcze pokażemy, co nasz „*Rudy*” je wart.

Wichura zawahał się, przybladł nagle, zesunął z czoła czapkę i powiedział.

— Dajcie spokój. Nas tu właśnie przysłali z wozem, żeby zabrać radio, celowniki, amunicję, narzędzia i w ogóle co się jeszcze da. Generał rozkazał, żeby zostawić.

— Ale... — wtrącił Janek.

Wichura nie dał mu przerwać, mówił szybko dalej.

— Nasi od przedwczoraj już w Gdyni. Jedna kompania fizyliarów z plutonem czołgów poszła do Gdańska. Jeszcze tylko Oksywia Niemcy twardo bronią, ale koniec bliski.

Janka coś zaniepokoiło w tej pospiesznej opowieści, w twarzy Wichury i stojących za nim żołnierzy.

— Wasyl wyjechał po silnik? — spytał po raz drugi.

Zrobiła się cisza. Chwilę nikt nic nic mówił, a potem Wichura gwałtownym ruchem zdjął czapkę, postąpił pół kroku do przodu.

— Myślałem, że wiecie... — zaczął patrząc pod nogi. — Jak podeszliśmy do Wejherowa, to nas spotkali w lasach partyzanci. Mieli takie kartki, a na nich zaznaczone, gdzie u Niemców jakie punkty ogniowe i gdzie miny. Ich dowódca, tych partyzantów, to trafił do generała i potem jechał z naszymi czołgami, drogę pokazywał. Wzięliśmy miasto od razu z dwóch stron, bez żadnych strat. Dopiero jak nasi dojechali tutaj, za domki, to na skrzydle z zasadzki odezwały się działa pancerne.

Przerwał, otwartymi ustami chwycił powietrze. Kos szarpnął go za rękaw.

— Mów dalej.

— No i waszczołg dostał, z silnika poszedł ogień. Porucznik Semen wyskoczył z gaśnicą na pancierz, zbił płomień, ale serią go ścięli. Tam leży — pokazał wzrokiem.

Zobaczyli wzgórek nieduży wśród pola, kupkę kamieni, parę suchych ostów sterczących wysoko. Obok stał słupek brzozowy zakończony gwiazdą, wisiał na nim czołgowy hełmofon. Pod słupkiem, ciemniejsza nieco od bruzd zoranego pola, garbiła się świeża ziemia.

Bez słowa wszyscy trzej ruszyli w tamtym kierunku. Nikt nie szedł za nimi.

— To ich dowódca — wyjaśnił Wichura Iwanowi i Nataszy.

— Jasne — powiedział atleta. — Pożegnajcie chłopaków od nas. Musimy jechać dalej.

Wolnym krokiem poszli do wozu, wspięli się po schodkach i zniknęli w otwartych drzwiach. Wskoczyła za nimi Kroszka, tuż za nią Szarik. Ciężarówka poczęła wolno ruszać. Szarik wyrzwał, szczerknął i zeskoczył na asfalt. Biała Kroszka, przytrzymywana za obrożę, szarpała się w rękę Nataszy, skomlała, usiłując wyskoczyć. Przyczepa sunęła coraz szybciej. Wilczur ruszył za nią, jak gdyby chcąc dogonić, ale zawrócił i nie patrząc w stronę odjeżdżających, ze spuszczoną głową podszedł do swej załogi. Był już nie piąty, lecz czwarty.

Nie rozumiejąc tego, co się stało, liznął rękę swego pana. Janek poruszył palcami, schwycił go za kudły.

— Nie ma Wasyla, Szarik — powiedział.

Stali dalej nieruchomo, patrząc na niewielki nasyp mogiły.

Janek podniósł oczy na niebo.

Było puste, po wiosennemu błękitnie i tylko jeden nieruchomy cumulus stał wprost nad nimi, rozrastał się górą. Śnieżne kłęby u szczytu chmury chłodno połyskiwały w słońcu jak hełm wartownika.



## ROZDZIAŁ 22. NOWY CZWARTY

WSPÓLNYMI SIŁAMI ODKRĘCILI i zdjęli pancerną pokrywę silnika. Wyglądało gorzej, niż się zdawało, kiedy patrzyli na niewielki wlot pocisku. Wewnątrz była kasza: odłamki strzaskanego bloku, pokruszone tłoki, wyszczerbione koła zębate, rozszarpane żyły przewodów.

Wichura jeszcze raz próbował ich namawiać, by dali spokój, opisywał, o ile lepsze są nowe czołgi, ale nie dali się przekonać, nie pozwolili ogołocić „*Rudego*”. Saakaszwili i Jeleń zostali na miejscu, żeby pilnować, a Janek Kos i Szarik ciężarówką, która przyjechała po części, wyruszyli do sztabu.

Szybko przybyli na miejsce, bo dowództwo, czyniąc przygotowania do ataku na Oksywie, przeniosło się z Gdyni do Rumii.

W powietrzu niepodzielnie panowało radzieckie lotnictwo. Z daleka, w stronie morza, widać było szeroki krąg szturmowców, atakujących hitlerowskie umocnienia. Na drodze, patrolowanej przez jaki, ruch był nie maskowany. Traktory wlokły ciężkie działa, buksowały studry wyładowane pociskami. Z wyciem silników tłukli się po błocie łącznicy na motocyklach, telefoniści ciągnęli przewody.

Wichura zwolnił, wyjrzał z kabinki na czarne druty, uczezione resztek słupów i dachów, przyhamował przed niepokazną chałupką, koło której rozwieszane były najgęściej. U drzwi stał wartownik w hełmie, z pepeszą przewieszoną przez piersi. Gdy ciężarówka stanęła, kierowca mrugnął do Kosa i powiedział:

— Jesteśmy na miejscu. Od razu widać, że sztab.

Janek wysiadł, mocno uściśnął mu rękę i podszedł do wartownika.

— Ja do dowódcy brygady.

— Zajęty, musicie zaczekać.

Chłopak był młody, widocznie z nowego uzupełnienia, bo Janek nie przypominał sobie jego twarzy. Gdyby tamten był starym żołnierzem, to nawet zapomniawszy, jak wygląda Kos, poznałby Szarika, który był słynny w całej brygadzie.

Zaraz jednak nawinął się listonosz, podbiegł z wyciągniętymi ramionami i objęli się obaj jak bracia.

— Kopę lat! Ale nic, dobrze wyglądasz. Bo tu już rozmaicie o was mówili. A gdzie Grześ i Gustlik?

Janek odpowiedział, a tamten nagle sobie przypomniał i pogrzebawszy w torbie wyciągnął list.

— Masz, to do ciebie. Parę dni noszę, ale brygada ciągle w bojach, to i wysłać nie było kiedy. A tu się okazuje, że wyszło na dobre, bo inaczej byłby was minął. No to cześć, lecę dalej.

Janek wziął list do ręki, rozpoznał na kopercie znajomy charakter pisma, ale nie doszło do jego świadomości, co to oznacza. Dopiero spojrzawszy na podpis, przymrużył oczy, oparł się o ścianę.

List był pisany przez Wasyla. Jego słowa dotarły do Kosa jak echo w lesie, jak blask daleki z Kosmosu, który gdy gwiazda przestanie istnieć, widoczny będzie na Ziemi jeszcze przez wiele lat.

Światło kwietniowego dnia wydało mu się skąpe i mroczne. Czytał na poszarzałej nagle kartce pospiesznie skreślone słowa:

*Kochani!*

*Idziemy teraz w stronę Twego, Janek, domu. Jeśli tylko możecie, przyjeżdżajcie jak najprędzej. Tak bardzo chcę, by „Rudy” dotarł do morza z naszą załogą właśnie w tym miejscu, od którego się wszystko zaczęło. Jeśli tylko możecie, przyjeżdżajcie jak najszybciej.*

*Czekam, by was uścisnąć i podać komendę: „Naprzód, przeciwpancernym ładuj!” A jeszcze bardziej niecierpliwie czekam chwili, kiedy podam wam komendę: „Z wozu”, wiedząc, że to już ostatni rozkaz podczas wojny.*

*Do szybkiego zobaczenia, ukłony dla Szarika.*

*Wasył*

— Szarik, do ciebie... — zaczął Janek cichym głosem, ale pies go nie słuchał, węszył u drzwi, a potem zaskomlał, szczeknął i począł drapać łapami.

Wartownik patrzył zatroskany, nie wiedząc co robić, bo o psach niczego nie było w regulaminie, lecz drzwi się nagle uchyliły i wyjrzał z nich jeden z oficerów sztabu.

— Co tu się dzieje? Nie przeszkadzać.

Wilczur skorzystał z okazji, prześliznął się koło jego nóg, wpadł do środka i w tej samej chwili z wnętrza odezwał się miękki, soczysty baryton dowódcy brygady.



— Szarik!... Janek, chodźże tutaj.

Kos wszedł do środka, stanął na baczność i stuknąwszy obcasami począł meldować:

— Obywatelu generale, plutonowy Jan Kos...

Nie mógł dokończyć, bo dowódca go objął, ucałował serdecznie w oba policzki.

— Wszyscy przyjechaliście?

— Tylko trzej i pies.

— Wiem — spochmurniał generał i sięgnął po wygasłą fajkę. — Rozumiem. Poczekaj chwilę. To po nim zostało, podzielić wśród załogi — podał Kosowi brezentowy, żołnierski plecak, przewiązany w połowie tasiemką. — Rzeczy porucznika Semena. Zgodnie ze zwyczajem oddaję wam, adresu rodziny nie zostawił.

Na skraj stołu generał wysypał zawartość. Niewiele tego było. Prócz części umundurowania — Order Czerwonej Gwiazdy, Krzyż Walecznych, atlas chmur i nowiutki, błyszczący Virtuti Militari.

— To za szturm i zdobycie Mierosławca — wyjaśnił generał. — Rozkaz przyszedł na dzień przed jego śmiercią i nawet nie zdążyłem wręczyć... *Jeszcze minutku* — ostatnie dwa słowa, wypowiedziane po rosyjsku, zwrócone były do radzieckiego generała, który siedział w kącie izby za stołem i gładząc ręką czarne, wijące się włosy, postukiwał ołówkiem po mapie.

Tamten, patrząc na młodego czołgistę i wilczura, kręcącego się koło nóg dowódcy brygady, skinął głową.

— Przygotowujemy rozkaz na jutro — wyjaśnił Jankowi generał. — Będziemy atakować Oksywie. Niewiele zostało z brygady po ostatnich walkach. Zbierze się batalion czołgów, nie więcej. Dam wam nowy wóz z działem 85 mm.

— Na te nowe brak załóg? — spytał Kos.

— Nie, ale zamienię.

— Obywatelu generale, my byśmy woleli na „*Rudym*”.

— Silnik rozbity, a wóz zdemontowany.

— Nie, nie zdemontowany. Tam siedzą Saakaszwili i Jeleń, pilnują. Może by się udało nowy silnik postawić, bo my musimy na „*Rudym*”.

— Dlaczego?

Chłopiec wyjął list i pokazał palcem. Generał przeczytał na głos:

— „*Tak bardzo chcę, by «Rudy» dotarł do morza z naszą załogą...*”

Chwilę trwało milczenie, a potem dowódca powiedział:

— Nie mam nowego silnika. Można by wyjąć z uszkodzonych wozów, które stoją pod Kackiem, ale błoto straszne, tam nawet ciągnikiem trudno dotrzeć.

— Jeśli wolno, to my pojedziemy.

Generał zmarszczył brwi, zastanawiał się chwilę i skinął głową.

— Dobrze, weź ciągnik z warsztatów. Powiedz, że na mój rozkaz. A radiostacja działa?

— Działa.

— Jak będziecie gotowi, ruszajcie tutaj do Rumii i meldujcie się na fali 74 metry.

Janek zasalutował, zrobił krok ku drzwiom, ale powstrzymał go ostry, przywykły do wydawania rozkazów głos siedzącego pod oknem radzieckiego generała.

— *Tankist, pastojtie.*

Zawrócił, stanął na baczność.

— Nie będziecie jeździć po błocie. Do rana i tak byście nie zdążyli. Ja zrozumiałem, o czym mowa. Chodź tutaj i zrób znak na mapie, gdzie stoi wasz wóz... Tak, rozumiem. A teraz możesz iść i czekaj tam na miejscu.

Kiedy Kos zamknął drzwi, Rosjanin zwrócił się do generała.

— Semen, to ich dowódca, ja zrozumiałem, ale czemu ten czołg nazywa się „*Rudy*”?

— Na cześć pewnej sanitariuszki z 8 armii gwardii, która ma włosy jak ogień i wojowała razem z nami na magnuszewskim przyczółku. Potem dziewczyna była ranna, ten chłopak ją wyniósł spod ognia. Spotkali się w szpitalu. Jak dobrze pójdzie, to mam nadzieję, że na wesele zaproszą.

— Jasne.

Uśmiechnęli się obaj i pochylili nad mapą, by pisać scenariusz dramatu na dzień jutrzejszy — bitwy o Oksywie.

JANEK WRÓCIŁ POD WEJHEROWO, przyczepiwszy się na drugim siodełku u jakiegoś radzieckiego motocyklisty. Szarik biegł za nimi, nadążał, bo specjalnie jechali wolniej.

Saakaszwili i Jeleń nie próżnowali przez ten czas, sprawdzali kolejno mechanizmy, a teraz wzięli się do roboty we trzech i pracowali zawzięcie aż do wczesnego zmierzchu. Sporo było drobiazgów, lekkich uszkodzeń, które musieli usunąć, ale ukończyli wszystko i pozostała tylko sprawa silnika.

Radio okazało się posłuszne nad podziw. Odbierali na nim niemieckie i rosyjskie głosy, a nawet jakąś muzykę odległej radiostacji Brygada milczała, lecz w końcu udało im się chwycić głos oficera z kwatermistrzostwa, który meldował komuś o dostarczeniu na miejsce chleba, boczku i konserw.

Zaczęli żartować na ten temat i nagle poczuli, jak bardzo są głodni. Nie jedli przecież od rana. Zerkali ku szosie, po której raz po raz przejeżdżały ciężarówki, ale żadna nie wyglądała na wiozącą prowiant, nie dawała nadziei na wycyganienie czegoś i pożywienie się u sojuszników.

Zmęczeni przysiedli rzędem na tylnym pancerzu. Za plecami, na wschodzie, pogrzmiewały bezustannie armaty, wyły silniki samolotów.

— Jeju, wszystko na opak — powiedział Jeleń. — Front na wschodzie, a na zachodzie ciche miasteczko.

— A dobrzy ludzie w tym miasteczku pewno teraz kolację gotują — stwierdził smętnie Saakaszwili.

— Trzeba by pójść do Wejherowa — doradził Janek.

— Trzeba by, ale kto ma pójść?

— To może jo — zaproponował Gustlik. — Poczkejcie, tu ktoś wandruje w naszą stronę, to się spytamy.

Brzegiem szosy nadchodził niewysoki człowiek w ciemnym kapeluszu z przymiętym, oklapłym rondem. Pod lewą ręką niósł teczkę, a w prawej gliniany dzban. Chcieli zawołać, ale on sam skręcił, przeskoczył rów, szedł do czołgu po zoranym polu, grzęznąc w błocie. Nie wyjąwszy z ust glinianej fajeczki, uchylił kapelusza.

— Dobry wieczór. Panowie tu, na moim polu...

— Dobry wieczór. Wojna dróg nie wybiera, a my wiele nie zdepczemy.

— A bo ja dbam o ziarno? Wiadomo, że wojna. Co zostanie, to urodzi. Widzę tylko, że panowie cały dzień bez jedzenia pracują, to ja właśnie przyniosłem.

— Niech się pan nie gniewa — przeprosił Kos. — Chcieliśmy właśnie pójść do miasteczka, żeby coś kupić. Czekamy tutaj, bo mają nam silnik przywieźć i tak cały dzień zeszedł. Dlatego jesteśmy trochę nie w humorze.

— Jak się czeka, to się ckną. Za pieniądze nic byście w mieście nie dostali.

Wyjął z teczki lnianą serwetkę haftowaną po brzegach w kolorowe chabry i kąkole, rozłożył na pancerzu, rozstawił gliniane miski z czarną, błyszczącą polewą, nalał z dzbaną grochówki. Obok położył kilka wędzonych flądów, połówkę świeżego chleba.

Podziękowali raz jeszcze i wydzieliliwszy porcję dla Szarika wzięli się do jedzenia. Kaszub stał obok nich, pykał fajką, popatrując w stronę Gdyni. W kącikach uśmiechniętych oczu robiły mu się drobniutkie, wesołe zmarszczki. Milczał długo, a potem powiedział:

— Jak się czeka, to się ckną. Czekaliśmy na was przez pięć i pół roku. Ckniło się bardzo. Dopiero od zimy czterdziestego pierwszego na drugi rok, jak się w naszych okolicach zjawił West, jak nasz kaszubski „Gryf” powstał, to już nie tak. Różne rzeczy zacząć się zaczęły: to żandarm zniknął, to posterunek się spalił, to mostek na szosie czy torach w powietrze wyleciał.

— A jak to było, kiedy nasi przyszli? — spytał Janek z ustami pełnymi ryby i chleba. — Bo my dziś dopiero pierwszy dzień, my ze szpitala.

— Jak było? Ano tak: kobiety chodziły, Niemcy się ich nie czepiali, i widziały, gdzie oni miny kładą, gdzie jaki bunkier budują. West zrobił taki plan, a potem przerysował go przez kalkę. Jak usłyszeliśmy działa od zachodu, to rozesłał nas paru po lesie i powiedział, że kto pierwszy na wojsko trafi, to żeby oddał. Dobrze wyszło. Wasze czołgi raz dwa miasto wzięły i tylko tutaj ten biedak został, co go na górze pochowali. Wiecie może, jak się nazywał?

— Nazywał się Semen, porucznik Wasyl Semen.

— Wasyl Semen — powtórzył Kaszub. — Trzeba zapamiętać. Jak deszcz napis zmyje, to żeby poprawić i dzieciom powiedzieć. A on był z daleka?

— Z Rosji — wyjaśnił Janek i zapytał: — A ten West, o którym mówicie, to Polak? Nazwisko dziwne...

— Polak, w partyzantce tak go nazwali.

— A jak się naprawdę nazywa?

— Tego, panie, nie wiem i pytać nie trzeba, bo jakbym nawet wiedział, to nie powiem. Partyzancka rzecz. Jego sprawa: zechce, to sam powie, a nie

zechce... — lewą ręką gładził łeb Szarika, który od pierwszej chwili obdarzył go zaufaniem.

Dojadali, odrzucając daleko na pole wyssane szkieleciki ryb. Pociemniało już prawie zupełnie i od strony Gdyni ostrzej teraz dobiegały grzmoty, widać było błyski.

Szosa podjechała ciężarówka, a za nią ciągnik czołgowy z dźwigiem. Oba wozy przystanęły. Przez pole, w stronę uszkodzonego czołgu, ruszył mechanik w kombinezonie. Podszedł do nich, ocierając ręce o kłęb paździerzy.

— *Sojuzniki, prywiet. Kak zwat' waszu maszynu?*

— „*Rudy*”.

— To my do was.

Obszedł czołg dokoła, obejrzał przestrzelinę i rozbity silnik, wyciągnął z kieszeni latarkę i dał znak tamtym stojącym na szosie.

— Wszystko będzie dobrze — oświadczył. — Wywalimy stary, damy nowy, gwardyjski silnik. Do rana będziecie gotowi, zdążycie jeszcze powojować.

Ciągnik zjechał przez rów, zataczając półkole podszedł z tyłu do czołgu. Ramię dźwigu sterczało nad nim jak ostry, zagięty pazur.

Kaszub zebrał miski, złożył serwetkę, zapakował to wszystko do teczki i spytał Janka:

— Jutro będziecie się bić?

— Tak.

— Trzech was tylko?

Janek zapomniał o tym. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że brakuje im czwartego członka załogi i mruknął niepewnie:

— To nic, dobierzemy kogoś po drodze.

Pracowali w milczeniu, rozumiejąc się nawzajem z pół słowa. Noc była mroczna, podświetlali sobie ślepych, niewielkimi lampkami, przeciągniętymi na kablach z ciągnika i z czołgu.

Zeszło im dłużej, niż myśleli. Stary silnik usunęli szybko, ale potem trzeba było oczyścić komorę, wybrać z silnikowego przedziału każdy, najdrobniejszy nawet odłamek, wytrzeć do czysta. Z ustawieniem nowego też były kłopoty, ale wreszcie siadł na podstawie. Otworzyli dopływ paliwa i Saakaszwili z biciem serca uruchomił starter. Zawirowało koło zamachowe,

przerzucił je na silnik, a tamten od razu chwycił i zagrał mocnym dźwięcznym głosem. Wyłączyli po ciemku, uścisnęli sobie ręce i sprawnie, szybko postawili płytę pancerną.

Dziura po pocisku została załatana wcześniej.

Mechanicy poczęli się już szykować do odjazdu, zapalili tylko jeszcze po papierosie, kiedy Szarik warknął przyjaźnie i z ciemności wynurzył się znowu ten sam Kaszub.

— Żona podgrzała kawę, upiekła dla was bułeczki.

— E, to wy tutaj macie własne zaopatrzenie — śmiali się Rosjanie. — Widać, że doświadczeni frontowcy, z głodu nie zginiecie.

Bułki i kawa zostały podzielone równo na wszystkich, wliczając naturalnie i psa. Kiedy jedli, Kaszub pociągnął Janka za rękaw.

— Jest was trzech, jednego brak. Przyprowadziłem czwartego.

— Kogo?

Teraz dopiero spostrzegł, że o krok dalej stoi człowiek również w kapeluszu na głowie i w ciemnym, cywilnym ubraniu.

— West — powiedział nieznajomy.

Uścisnął Jankowi rękę i podał jakieś papiery. Kos cofnął się do czołgu, przez właz mechanika wsadził głowę do środka i wzięwszy do ręki remontową lampkę przeczytał: „*Zaświadczenie wydane porucznikowi Westowi, dowódcy partyzanckiego oddziału...*” Dalej była mowa o współdziałaniu z brygadą przy zdobyciu Wejherowa, o czym już wiedział, i u dołu podpis generała.

— Jeszcze to — powiedział West, wsuwając rękę z drugą kartką papieru.

Była to tymczasowa legitymacja Krzyża Walecznych, opatrzona również generalskim podpisem.

Janek zgasił lampkę, oddał dokumenty:

— Chcecie z nami?

— Tak.

— A w czołgu walczyliście?

— Jeszcze nie.

— Erkaem?

— Trochę się na tym znam.

— A na radiostacji?

- Również umiem obsługiwać.
- W takim razie zgoda. Grześ, Gustlik!

Podeszli bliżej i Janek przedstawił:

— Porucznik West, o którym nam opowiadano. Pojedzie z nami jako nowy czwarty.

- Czemu ni — zgodził się Jeleń — pojedziemy.
- *Wsio gotowo* — stwierdzili Rosjanie.

Czołgiści na pożegnanie uścisnęli ręce mechanikom. Ciągnik wyjechał z powrotem na szosę i tam przystanął.

Kos podał komendę:

- Do wozu.

Nie wiadomo kiedy, tak jakoś bez jednego słowa, bez umawiania się, choć Saakaszwili miał wyższy stopień, a Jeleń więcej doświadczenia bojowego, Kos przejął dowództwo. I również bez słowa porucznik West, chociaż był oficerem, zajął miejsce strzelca–radiotelegrafisty.

Zagrał silnik, ruszyli, zrobili skręt w lewo, w prawo, wyszli na szosę i przystanęli, mieląc silnikiem na małych obrotach.

Mechanicy z ciągnika podeszli bliżej, jeden z nich krzyknął:

- Jak nowe serce?
- *Charaszo* — odpowiedział Janek.
- *Szczastliwo wojewat'*.

Pierwsza ruszyła ciężarówka, za nią transporter. Machając rękami, pojechali w stronę Gdyni.

Janek patrzył za nimi, zastanawiał się, czy dostatecznie gorąco podziękowali, bo rzeczywiście przecież „*Rudy*” dostał nowe serce.

Ze swego stanowiska w wieży zeszedł na dół, przykucnął między Grzesiem i Western. Wyrzwał przez otwarty właz.

— Na prawe w rowie rozbity samochód. Błyszczą trójkątna zadra. Spróbujcie kaemu — powiedział.

Z ostatnim słowem rozległa się krótka seria, kule ścięły ostry klin blachy.

- A jak radio?
- Wiem już — odpowiedział West. — Tu przełącznik na telefon wewnętrzny, tu nadawanie i odbiór. Na jakiej fali pracujemy?
- 74 metry.
- Pojedziemy? — spytał Grześ.

Janek zastanawiał się chwilę.

— Wy, West, zostańcie, a my zaraz wrócimy. Pożegnamy, chłopcy, Wasyla.

Wyszli z czołgu, w ciemnościach odnaleźli pagórek, stanęli przed nim we trzech, zdjęli hełmofony. Szarik przysiadł obok.

Janek sięgnął do drewnianej kabury mauzera, ale cofnął dłoń, zrezygnował z pożegnalnej salwy. Wydało mu się, że nie należy budzić tego, który śpi. Poprawił lekko przekrzywioną tabliczkę. Niewiele możemy zrobić dla poległych — tylko pamiętać i żyć tak, jak oni by tego pragnęli.

Janek klepnął Szarika po łbie. Założyli hełmofony, wrócili na szosę, gdzie czekał „*Rudy*” i nowy czwarty, West.



## ROZDZIAŁ 23. BRZEG MORZA

NOC BYŁA TRUDNA, gmatwała plany. Okrążeni na Oksywiu Niemcy walczyli z odwagą rozpaczliwą. Za plecami mieli wysoki, urwisty brzeg i Zatokę Pucką. Jedyłą nadzieję stanowiły dla nich barki desantowe skradające się do brzegu pod osłoną ciemności i luf okrętów wojennych. Przedłużenie oporu choćby o kilka godzin pozwalało się ludziom, że zostaną ewakuowani.

Tuż przed zapadnięciem zmierzchu, wykonawszy silny nalot artyleryjski i moździerzowy, gwałtownym kontratakami odepchnęli czołgi i piechotę brygady zajmujące folwark. Dwie godziny w gęstym mroku nasi przygotowywali się do powtórnego szturmu i uderzywszy razem z radzieckimi ciężkimi czołgami, z artylerią pancerną, zdobyli folwark po raz drugi.

Tkwią tam teraz okopani, ukryci za resztkami ścian, omiatają przedpole seriami karabinów maszynowych. Rankiem mają uderzyć z folwarku i dotrzeć nad brzeg morza. Uderzyć mają rankiem, ale jeszcze trwa noc, niespiesznie idzie w stronę świtu, a generałowi nie podoba się ogień artyleryjski skierowany na folwark. Nie dlatego, by był zbyt silny, ale co pewien czas z nowego miejsca odzywa się lufa innego kalibru, do innej należąca baterii. Generał nasłuchuje ze swego punktu dowodzenia, wie, że przeciwnik wstrzeliwuje się w teren. To zapowiada kontratak, a brygada nie ma już prawie żadnych odwodów.

Ostatni pluton, pluton czołgów dowodzenia, posłał na linię frontu jeszcze na początku nocy, wówczas kiedy ruszali, by po raz wtóry wydrzeć przeciwnikowi folwark. Dowódca pozostał obecnie z dwiema drużynami fizylierów i kompanią enkaemów, najcięższych przeciwlotniczych karabinów maszynowych.

Ludziom nie znającym wojennego rzemiosła wydaje się, że podczas likwidacji okrążonych ugrupowań ogromna przewaga jest po stronie oblegających. To nieprawda. Każda dywizja, którą można było zdjąć z linii frontu, która nie była nieodzownie potrzebna, wycofywała się natychmiast, pospiesznie formowała szyki i odchodziła na zachód, nad Odrę. Naczelne dowództwo gromadziło siły, by wesprzeć decydujące uderzenie na Berlin, od którego dzieliły historię ostatnie już dni. Z tej przyczyny tu pod Oksywiem

trzeba było dokonać maksymalnego wysiłku, by ostatecznie rozbić ugrupowanie okrążonych hitlerowców.

Generał myślał o tym w niewielkim, wkopanym w ziemię i pokrytym belkami bunkrze, spoglądając raz po raz w okulary lornety nożycowej. Widział na razie ciemność, krótkie wytryski dalekich ogni, ale górą, w kręgu szkieł, czerń nocy zmieniła już swą barwę, poczyniała blaknąć i szarzeć. Za kwadrans będzie widno i wtenczas rozstrzygnie się, kto pierwszy zada cios, my czy oni.

Lidka, dyżurna radiotelegrafistka, drzemała ze słuchawkami na uszach. Usta miała uchylone, powieki nie domknięte, jak czujny szarak w bruździe. Trącił ją w ramię. Dziewczyna uniosła głowę i powiedziała:

— Nie śpię.

Generał się uśmiechnął.

— Teraz przez parę minut naprawdę nie śpij. W razie czego, zawołaj. Będę blisko.

Wyszedł z ziemianki do okopu, odnalazł szefa sztabu i rozkazał:

— Zbierz wszystkich: kucharzy, pisarzy. Wszystkich, co do jednego. Nikogo nie zostawiaj na tyłach. Musisz skompletować przynajmniej jeszcze dwie drużyny, prócz fizyliarów. Dowódcami wszystkich czterech drużyn odwodu mianujesz oficerów sztabu. Kompanię przeciwlotniczych kaemów, która nas osłania, przerzucisz na skraj zagajnika po prawej przed nami. Niech zajmą stanowiska do strzelania naziemnego. Jeśli obok folwarku przedrą się Niemcy, muszą ich odrzucić. Połącz mnie z kaemistami bezpośrednią linią telefoniczną.

Wrócił do ziemianki, siadł przy stoliku i gryząc czarny chleb posypany cukrem, zapijał wczorajszą kawą. Sam przecież posłał kucharzy na linię i wiedział, że nie było komu gotować.

Zerknąwszy na zegarek stwierdził, że ma jeszcze dziesięć spokojnych minut. Zrzucił mundur, ogolił się i umył nad wiadrem, każąc Lidce lać wodę na ręce. Potem mocno, do pełna, nabił fajkę tytoniem i zapalił.

Czas wyliczony był dobrze, omylił się zaledwie o kilka minut.

Niemcy zaczęli nieco później. Od strony folwarku dobiegały teraz szybkie, włączające jeden na drugi wybuchy pocisków. Wziął słuchawki radiowe i spytał:

— Modrzew, ja Wisła. Co tam u was za hałasy?

— Ja Modrzew — przyszła natychmiastowa odpowiedź. — Tłuką do nas. Widać już czołgi i ruszającą piechotę.

— Modrzew, zapamiętajcie, nie pozwalam odejść z folwarku.

— Ja Modrzew, zrozumiałem.

Razem ze światłem nadchodzącego dnia rósł łoskot bitwy. Słysząc już było nerwowy terkot karabinów maszynowych, drobniejszy nieco automatów i ostre wystrzały armatnie naszych czołgów.

Generał zesunął dłonią jedną słuchawkę z ucha, by mu nie przeszkadzała łączyć dźwięków bitwy. Nie ruszał się jednak z miejsca, nie podchodził do lornety. Wytrawny muzyk słuchając po raz pierwszy nieznanej uwertury orientuje się jednak, jaka powinna być kolejność jej poszczególnych części, kiedy należy się spodziewać łagodnego adaggio, a kiedy forte. Generał wiedział, że lada chwila powinien przyjść meldunek od Modrzewia.

— Wisła, Wisła, ja Modrzew. Obchodzą mnie z prawego skrzydła. Przenikają na tyły, w kierunku zagajnika i drogi wychodzącej z wąwozu. Siły nieprzyjaciela: pluton czołgów i około kompanii piechoty.

— Jasne — nie używając kryptonimu odpowiedział generał. — Trzymajcie folwark, nie martwcie się.

Powiedział to głosem pewnym i spokojnym. Tamtym powinno się wydać, że ma co najmniej kompanię czołgów w zanadrzu. W rzeczywistości na skraju zagajnika było tylko tych dziewięć przeciwlotniczych kaemów kalibru 12,7 milimetra. Piechotę prawdopodobnie odetną, ale czołgi po nich przejadą, wyjdą na tyły i utkną dopiero gdzieś dalej, na stanowiskach artylerii. Generał podniósł słuchawkę telefonu:

— Co u was?

Dowódca kompanii przeciwlotniczych kaemów zameldował:

— Na stanowiskach, gotowi do walki.

— Otwórzcie ogień albo na mój rozkaz, albo dopiero wówczas, gdy piechota będzie o sto metrów. Wcześniej się nie zdradzajcie.

— Rozkaz.

Podszedł do lornety nożycowej, spojrzął na przedpole. Widocznie skrawek słońca wyrzwał już zza horyzontu, bo kłęby kurzu nad folwarkiem oświetlone były młodymi, różowymi promieniami. Pociski jeszcze tam wybuchały, ale rzadziej. Ogień niemieckiej artylerii wyraźnie osłabł. Gdyby

nie ta grupa na skrzydle, można byłoby pomyśleć o przejściu do ataku. Żeby tak mieć jeszcze ze trzy, chociażby dwa wozy w odwodzie.

Z tyłu, za plecami generała, odezwała się Lidka nienaturalnym, zdumionym głosem:

— Ja Wisła. Powtórzcie, nie rozumiem.

Dowódca odwrócił się, spojrzął na bladą twarz dziewczyny.

— Co takiego?

Wyłączyła mikrofon i z przybladłymi wargami, ze strachem w oczach, powiedziała:

— Obywatelu generale, zameldował się Grab jeden, ale to niemożliwe. Przecież...

Generał pospiesznie nałożył słuchawki i spytał:

— Grab, gdzie jesteś?

— Ja Grab — usłyszał obcy, nie znany mu głos. — Idę piaszczystym wąwozem pod górę.

To nie był Janek Kos. Generałowi błyskawicznie przeszło przez myśl, że widocznie dobrali sobie kogoś czwartego do załogi, ale na wszelki wypadek, żeby się upewnić, spytał jeszcze:

— Kogo masz obok siebie po prawej?

— Ja Grab... — tamten zawahał się, odpowiadając na dziwne pytanie, lecz dodał szybko: — Obok mnie Szarik.

— Podejź do końca wąwozu, ale nie wychodź na górę. Przygotujcie wóz do boju, czekajcie rozkazu.

Wyłączył mikrofon, wezwał szefa sztabu.

— Cały odwód biegiem do wąwozu. Tam czeka nasz czołg.

Nie zdejmując słuchawek, powrócił do lornety, skierował ją w prawo, by widzieć skraj zagajnika z ową zasadzką karabinów maszynowych. Droga prowadząca z wąwozu biegła w poprzek pola, nieco na przedzie. Jeszcze dalej, na wysokości folwarku, były rozrzucone kępy krzaków i właśnie teraz pokazały się wśród nich ruchome zarysy trzech czołgów. Prowadzili ogień na ślepo, ale nie wstrzymywani szli pewnie. Między wozami biegły malutkie sylwetki ludzi. Niemcy groźnie rośli w oczach, ale generał się uśmiechnął. Miał szansę. Co prawda tylko jedną do trzech, ale przeciwnik nie znał jego kart.

— Grab jeden. Ja Wisła. Czy słyszycie?

— Grab jeden, słucham.

— Uwaga, chłopcy — powiedział ciepło, używając zwrotów pasujących raczej do zwykłej rozmowy i nie przewidzianych w regulaminie. — Na rozkaz przesuniecie się parę metrów do przodu, tak by tylko wieża wyszła ponad krawędź wąwozu. Postawcie od razu celownik na dwieście metrów. Zobaczycie przed sobą trzy Wozy, ale one wyjdą bokiem pod waszą lufę. Piechotą kto inny się zajmie. Od tyłu podchodzi do was nasz odwód. Zniszczywszy czołgi, uderzycie razem z fizylierami w prawo, poprzez rzadkie kępy drzew. Jasne?

— Jasne — usłyszał w słuchawkach.

Niemieckie czołgi z piechotą zbliżały się ciągle. Nie mógł już ich pomieścić wszystkich razem w polu widzenia. Skierował wzrok na wóz prawoskrzydłowy, najbardziej wysunięty do przodu. Czekał chwili, kiedy dojdzie do drogi. Czołg zwolnił nieco przed rowem, wjechał weń pochylając się naprzód i zwiększywszy obroty silnika poczynił wypelzać, zadzierając łeb wysoko ku górze. Generał chwycił telefoniczną słuchawkę:

— Kaemy, ognia!

Nim jeszcze tamci zdążyli powtórzyć komendę, rzucił przez radio:

— Grab, wysuń wieżę i rąb, jak potrafisz.

Z ostatnim słowem dobiegło na punkt dowodzenia niskie dudnienie ciężkich serii, wyrzucanych gwałtownie przez dziewięć luf. Po polu szły kręte wstążki kurzu, jak chłaśnięcia biczu. Piechota niemiecka przypadła do ziemi. Czołgi dostrzegły cel, pierwszy przystanął, błysnął ogniem, potem ruszył pod osłoną wystrzałów dwu pozostałych.

Jeśli „Rudy” się spóźni o trzydzieści sekund... — pomyślał generał.

W tej samej chwili, w miejscu gdzie droga wychodziła z wąwozu, tuż ponad ziemią dostrzegł błysk i najbliższy czołg stanął w płomieniach. Teraz dopiero dowódca wypatrzył wieżę — ciemny, obły kształt ledwo uniesiony nad pole. Załoga nie próżnowała. Raz po raz z lufy tryskał ogień i już drugi wóz wysnuł za sobą kitę dymu, zwiększył szybkość, jakby chciał od niej uciec, zwolnił i nagle wszedłszy w zakręt zaczął zataczać koła, dymiąc coraz mocniej. Widocznie silnik pracował, a ranny lub zabity kierowca zwałił się na bok, unieruchomił prawą dźwignię.

Trzeci niemiecki czołg obrócił wieżę, odpowiedział ogniem, lecz nie widząc dokładnie przeciwnika wykonał nagły zwrot i począł się cofać ku swoim. Za nim skokami ruszyli grenadierzy.

— Grab, gdzie nasza piechota?

— Przy mnie.

— Razem naprzód!

Generał widział, jak wieża drgnęła, uniosła się ponad ziemię i wreszcie z wolna wysunął się cały T-34. Meł zawzięcie gaśnienicami piasek, z trudem parł do przodu.

Fizylieryzy minęli go, wypadli na pole i wachlarzem rozwijając tyralierę ruszyli w ślad za grenadierami. Stopniowo, od prawego, milkły przeciwlotnicze kaemy, żeby nie razić swoich.

„Rudy” wygramolił się wreszcie, wyszedł na twarde i przystanąwszy, łupnął trzykrotnie do wiejącego czołgu. Pierwsze dwa pociski zmarnowali w pośpiechu, nie dawszy odpowiedniego wyprzedzenia. Trzeci trafił w gaśnienicę, wyszarpnął prowadzące koło i cisnął je wysoko w górę, razem z kilkoma trakami.

Czołg znieruchomiał. Obrócił wieżę, by się bronić, ale nasi już mieli go na celowniku, skrzęsali jednym pociskiem iskry po pancerzu i wreszcie wrąbali celnie pod samą wieżę. Wóz dźwignął się ku górze i rozszarpany wybuchem amunicji stanął w płomieniach.

Huk eksplozji dobiegł na stanowisko dowodzenia razem z okrzykiem nacierających fizylieryzy. Były to nielinowe drużyny, zebrane z ludzi pracujących zazwyczaj na tyłach, ale teraz, gdy gnali za grenadierami, gdy przeciwnik zaskoczony niespodzianym uderzeniem dał się przestraszyć i począł uciekać, nacierali nie gorzej niż frontowcy.

Tyralierę doganiał już „Rudy” i ponad głowami biegnących siał z karabinu maszynowego. Doszli prawie na wysokość folwarku, poczęli niknąć między kępami drzew, pojawiali się znowu w prześwitach i generał ocenił, że czas.

— Modrzew, wszyscy razem, naprzód!

Chwilę jeszcze dowódca trwał przy lornecie, czekał na chmurę kurzu spod gaśnienic ruszających czołgów, na grzmot silników. Potem, gdy zobaczył ruszające natarcie, wyszedł szybko z ziemianki, skoczył na przedpiersie okopu

i tak, jak ongiś towarzysze pancerni wzywali luzaków okrzykiem: „*podajcie konia*”, zawołał:

— Mój willys! Niech podjeżdża, ale już, gazem.

Nim samochód wygramolił się z okopu, generał zapalił wygasłą fajkę, z uśmiechem patrzył na siwe kłęбки dymu.

„*RUDY*” CZEŚCIA MOCY swych czterystu pięćdziesięciu koni szedł zrównawszy bieg z piechotą. Grześ po zapaleniu trzeciego czołgu pokrzykiwał radośnie i rwał się na pełnych obrotach do przodu, ale Janek rozkazał:

— Wolniej, nie wychodź przed fizylierów.

W tym momencie po raz wtóry się zdziwił, że dowodzi. Z zakłopotaniem pomyślał, że naśladuje głos Semena, jak dziecko, które pod nieobecność rodziców wita gości, powtarzając słowa matki i udając jej ton.

Gdy przed paroma minutami nawiązali łączność z generałem, ucieszył się i ogarnęło go dziwne podniecające napięcie, jak zwykle przed bojem, zmieszane z pewną dozą lęku. Potem, gdy wysunęli się z jaru i tuż przed sobą, znacznie bliżej, niż przypuszczał, zobaczył trzy czołgi znaczone czarnymi krzyżami na pancierzach, zapomniał o strachu. Nie bał się, spokojnie prowadził ogień.

Lęk przyszedł dopiero teraz. Zerknąwszy w peryskopy zobaczył tyralierę biegnącą po polu, poprzez kępy drzew zamajaczyły jakieś spalone wraki, okopy, błyski artyleryjskich luf. Nie miał pojęcia, czy dobrze prowadzi, nie wiedział, co go czeka w przodzie. Nie było czasu ani na zwiad, ani na wyjaśnienie zadania i tylko te krótkie słowa: „*uderzysz razem z nimi*”. Nie może się przecież zatrzymać na pustym polu, lecz nie wie także, dokąd ma iść.

Ogarnął go lęk nie o siebie, nie o załogę nawet, ale o tych wszystkich, którzy szli z nim razem. To był trudny lęk, zdolny zmiażdżyć człowieka. W tej sytuacji już nie machniesz ręką, nie zaryzykujesz, nie powiesz sobie samemu: „*Ech, wszystko jedno. Zobaczymy, co będzie dalej*”. Wówczas właśnie, kiedy ta struna drżąca napinała się w nim coraz groźniej, usłyszał radosny głos Jelenia:

— Pozór! Z lewej nasze wozy. Trzy, pięć, jeszcze jeden wyliza.

Zerknął w peryskop, poczuł nagle ulgę, tak wielką, że zmiękły mu kolana. Wziął się w garść, rozkazał Grzesiowi, by wyrównał w szyku. Szli teraz razem, szerokim frontem, pancerną lawiną. W przodzie ostro błysnęło działo,

ale to już była rzecz zwykła, niestraszna. Sprawnie wziął je na cel, wyczekał chwilę do wyjścia na odcinek równiejszego terenu, rąbnął odłamkowym.

Spojrząwszy znowu w bok, dostrzegł, jak jeden z naszych czołgów zwalnia, zaczyna się palić. Wyłowił przebiegającą grupę z pancernicą, lecz nim zdążył wycelować, sprzątnął ją ten nowy, który był z nimi — West, siedzący na dole czołgu. Ale kosi — pomyślał z uznaniem Janek.

Szli przez teren gęsto zryty bombami i pociskami, coraz więcej mijali żelastwa spalonych czołgów, samochodowych szkieletów, obalonych i pogiętych dział. Sforsowali okop, z którego fizylierzy wyluskiwali jeńców.

Nagle jakoś ucichło przed nimi i horyzont zamiast ukazać swą nową linię począł się szybko zbliżać.

— Mechanik, wolniej. Stop.

Stali na wysokiej skarpie nad samym brzegiem morza. Mieli przed sobą jasnoblękitne wody zatoki, pokryte łuską słonecznego światła, obramowane na krawędzi nieba ciemniejszą linią Helu. Po tym zmarszczonym błękitnie, od brzegu w stronę morza, sunęło kilka barek. W dali Kos dostrzegł ciemniejsze, zniekształcone plamami maskowania pudło wojennego okrętu.

Czołg wypełniony był szmerem silnika, pracującego na wolnych obrotach, ale obok, tuż za pancernem, wyczuwał ciszę. Przemknęło mu przez myśl, że może to już koniec i nagle całym sercem zatęsknił do Marusi. Jakże pragnął, by była tu blisko. Na ziemię sprowadził go błysk nad pokładem okrętu, a potem świst pocisków i ciężkie wybuchy, kładące się na wzgórzu z tyłu, ale nie tak daleko za nimi.

Od nadbudówek na tyłach barek desantowych uniosły się barwnymi łukami kąśliwe serie szybkostrzelnych pelotek, pociski odgryzły krawędź zbocza. Zwały się spory kawał ziemi. Kos poczuł złość, że się zagapił. To nie koniec — przed nimi po wodach zatoki odpływali hitlerowcy, usiłowali jeszcze gryźć. Jeśli pozwoli im umknąć, ci sami staną nad Odrą naprzeciw naszych dywizji.

— Grześ, cofnij trochę. Jeszcze. Teraz stop.

Odjechali tyle od brzegu, by krawędzią zbocza osłonić gaśienice i dół czołgowego pancerna.

— Przeciwpancernym ładuj.

Jeleń zawahał się chwilę, ale już wyrwał pocisk z uchwytu, wsunął do lufy, zatrzasnął zamek.



Kos równym obrotem obu pokręteł przesunął celownik, ułożył go pośrodku sylwetki okrętu tuż ponad pokładem, wcisnął spust. Nie mógł się zorientować, czy trafił, bo jednocześnie dały ognia sąsiednie wozy. Wokół okrętu zaroilo się od wytrysków, na pokładzie skłębił się dym. Niszczyciel dał jeszcze jedną salwę, ruszył z miejsca kładąc za sobą gęsty obłok dymu. Potem wykonał skręt i skrył się za tą zasłoną.

Janek przeniósł lufę na jedną z barek, posłał w nią trzy odłamkowe granaty. Z nadbudówki hałasował nerwowo karabin maszynowy. Płaskie, blaszane pudło pochyliło się na bok, zaczęło tonąć. Ostatnie chwile barki widział już tylko przez mgłę nasuwającego się dymu z postawionej przez niszczyciela zasłony.

Znowu zrobiło się cicho i Kos kazał wyłączyć silnik. Popatrzył na sąsiednie wozy, które stały u brzegu nierówną tyralierą. Nikt nie otwierał włazów, więc i załoga „*Rudego*” pozostawała w czołgu, czekając na rozkaz czy sygnał.

Pierwszy odezwał się West.

— W tym miejscu, dziewiętnastego września trzydziestego dziewiątego roku, hitlerowcy zdławili ostatni punkt oporu na wybrzeżu, oddział czerwonych kosynierów.

— A jo żech myślał, że Westerplatte najdłużej — powiedział Jeleń.

— Nie, Westerplatte broniło się siedem dni.

— Jak wiadomo, jeśli się stamtąd nikt nie uratował? — zaprzeczył Gustlik. — Nom na Pradze nawet taki wierszyk mówili, że „*czwórkami do nieba szli żołnierze z Westerplatte*”.

— Jeśliby liczyć na czwórki — odpowiedział spokojnie West — zabitych zebrałoby się tylko cztery i to niepełne. Na Westerplatte poległo piętnastu ludzi z załogi liczącej stu osiemdziesięciu dwóch żołnierzy.

Janek poczuł niechęć do tego człowieka, który tak spokojnie mówi o bohaterskiej załodze. Tam walczył jego ojciec. Nie odpowiedział jednak nic i postanowił, że porozmawia z nim jeszcze na ten temat.

Nagle obok czołgu wszczął się ruch. Fizylierzy powyłazili z okopów, krzyczeli i wznosząc pepesze do góry pruli długimi seriami w niebo.

Janek uchylił właz i przekrzykując łoskot spytał najbliższego:

— Czemu strzelacie?

— Bo koniec, panie poruczniku — żołnierz wziął go za oficera. — Oksywie zdobyte, Hitler kaputt — roześmiał się i znowu pociągnął za spust.

Rozśmieszył Janka swoją miną i okrzykami, obudził w nim nagłą radość. Kos poczuł się znowu szesnastoletnim chłopcem. Zlazł szybko z wieży i uniósł lufę ku górze, począł przyciskać spust karabinu maszynowego lekkimi, łagodnymi ruchami radiotelegrafisty, pracującego kluczem Morse'a.

— Tta-ta-tata, tata-tata-tata, ta-ta-ta.

Skończywszy tę przerywaną serię, posmutniał nagle — Wasyl już tego nie mógł usłyszeć.

— Z wozu!

— Co to? — spytał West swego sąsiada.

— To strzelanie? — Saakaszwili nie był pewny, o co chodzi. — Zabawa taka. On przecież był radiotelegrafistą, zanim dowódcą czołgu został. Taki ma zwyczaj, strzela swoje nazwisko.

— Jakie nazwisko? — West przytrzymał mechanika za rękaw.

— Alfabetem Morse'a, że niby dwa razem to kreska, a jeden to kropka. On się nazywa Kos, po prostu Kos.

Grześ otworzył właz, światło padło na twarz tamtego i mechanik się przestraszył.

— Mdło wam? Tu macie termos, wypijcie trochę. To się zdarza, kto w czołgu niezwykajny...

Wyskoczył przez otwarty właz na ziemię, a za nim dał susa uradowany Szarik. Saakaszwili zajrzał z powrotem do wnętrza i powiedział:

— Lepiej wyjść ze środka, powietrze wam dobrze zrobi.

West pokręcił głową, nie ruszał się z miejsca. Mechanik zniżając głos powiedział do Janka i Gustlika stojących obok:

— Chłopaki, ten porucznik to chyba chory, czy jak? Siedzi tam i ma łzy na policzkach.

Kos podszedł, żeby zobaczyć, ale nowy czwarty, niezgrabnie, nogami naprzód, wychodził już z czołgu.

Wreszcie stanął na ziemi i Janek po raz pierwszy zobaczył jego twarz przy świetle. Partyzant miał czoło i policzki wysmarowane oliwą, pokryte kurzem, lecz mimo to chłopcu mocniej uderzyło serce, bo wydał mu się do kogoś podobny. Tak jakby słyszał echo, ale nie mógł zrozumieć słów. Spuścił

oczy i zmarszczył brwi, starając się przypomnieć. By pokryć zmieszanie, spytał:

— Pan tu był niedaleko, więc może jacyś ludzie z Gdańska... Chciałbym zapytać, czy pan nie zna porucznika Stanisława Kosa.

Tamten milczał chwilę, po czym szepnął tylko dwa słowa:

— Janek, synku.

Nie objęli się, nie podali rąk. Stali o krok jeden od drugiego, patrzyli sobie w twarz.

Saakaszwili zrozumiał, zdumiał się i powiedział:

— O, cholera jasna!

Jeleń zaczynał pojmować, nachylił się do mechanika, szepnął:

— Ty, posłuchaj, czy to...

Grześ kiwnął głową, pociągnął go za rękaw i odeszli na drugą stronę czołgu.

Ojciec i syn starali się odnaleźć siebie poprzez zapisane na twarzach pięć lat rozłąki. Potem ujęli się za ręce, siedli obaj na czołowym pancerzu czołgu. Janek swą grzebieniastą głowę w hełmofonie oparł o ramię ojca, widział ostry cień lufy leżący na ziemi, wiosenną jasnozieloną trawę. Szarik przysiadł obok, patrzył bacznie na obu, postawiwszy szpiczaste, wystrzępione ucho.

Dalej przed nimi była zatoka, z której wiatr zganiał resztki dymnej zasłony. W prawo rysowały się pokaleczone, najeżone sterczącymi masztami zatopionych statków, baseny gdyńskiego portu. Nie były już martwe. Nad paroma budynkami powiewały biało-czerwone flagi, po wodzie wolniutko przesuwiała się motorówka, wyrzucając w górę pykanie silnika, jak stukot dziecinnej zabawki.

Obok czołgiści i fizylierzy hałasowali dalej, pokrzykiwali, ktoś niedaleko tłumaczył komuś drugiemu:

— Chłopie, to koniec. Ja ci powiadam, że za parę dni i w Berlinie już skończą.

Oni obaj wiedzieli jednak, że koniec wojny to właśnie dopiero początek. Saakaszwili postukiwał w gąsienicę, sprawdzając, czy traki nie popękały. Jeleń krótkim łodem złupywał błoto.

— Musimy mieć dużo czasu — powiedział Janek. — Chcę wiedzieć od początku wszystko, jak było.

— I ty mi opowiesz — powiedział ojciec. — A teraz, obywatelu dowódco, chodźmy, bo załoga do roboty się wzięła i nie wypada, żebyśmy próżnowali.

— Dobra. A jak ci będę opowiadał, to zacznę od tego — Janek z kieszeni munduru wydobyl duże, mechate ucho.

— A to co znowu? Czyje?

— Tygrysie.

Szarik zaszczekał, świadcząc, że to prawda, że cały świat — świat psa Szarika, Janka i wielu innych rzeczy — zaczyna się od ryku tygrysa.

# CZEŚĆ 2



## ROZDZIAŁ 24. ZARECZYNY

OD POŁUDNIA, ZE STRONY lotniska w Pruszczu nadciągnęła dziewiątka szturmowców. Ostatni ledwo wszedł po starcie na swe miejsce w szyku, gdy pierwszy poczynął już kłaść się na skrzydło, by zatoczyć krąg bojowy. Wszystko to działo się trzysta metrów nad trójkątnym placem Targu Drzewnego i ryk silników zwielokrotniony echem, odbity od murów wypełnił szczelnie pokój. West przerwał w pół zdania, bo i tak własnych słów nie słyszał, a generał, na znak, że się nie zgadza, trzepnął dłonią po stole, aż kałamarz podskoczył. Potem obrócił się na krzesło w stronę okna i przez wielką pałacową framugę, pozbawioną nie tylko szyb, lecz i okiennej ramy, patrzył na brunatne, pofałdowane usypisko ceglanego gruzu, z którego, niczym zardzewiałe wraki zatopionych na płyciźnie okrętów, sterczały okopcone pożarem ściany. Ciepły wiatr rozwlekał siwe dymki nad rurami sterczącymi z piwnic, w których mieszkali już ludzie. Na horyzoncie przeświecała słonecznym srebrem Zatoka Gdańska.

Zamaskowany rykiem iliuszynów niepostrzeżenie nadleciał od morza ciężki pocisk, błysnęła eksplozja. Za kanałem Raduni zachwiała się czteropiętrowa ściana, wybrzuszyła, przełamała w pół i runęła w obłoku kurzu.

Zamykający szturmowiec błysnął jasnoblękitnym podbrzuszem, przeczesał niebo grzebieniem rakiet naczepionych pod skrzydłami, z gwizdem dał nura tuż pod same fale, kryjąc się w blasku przed celowniczymi okrętowych pelotek.

— Znowu Kriegsmarine. Chcieliby dranie zniszczyć Gdańsk do reszty — mówił generał podniesionym głosem, choć odległość stłumiła już wybuchy rakiet i szczekanie dział. — Ale szturmowce włączą im „całą wstecz”... — Uśmiechnął się, spojrzął na Westa i znowu spoważniał.

Siedzieli naprzeciw siebie po dwu stronach rzeźbionego, szerniałego ze starości stołu, jak bokserzy w narożnikach ringu.

— Więc nie dacie? Generałowi odmówicie, poruczniku?

— Nie dam.

West obciągnął skórzaną kurtkę, rozluźnił golf na szyi, jakby mu było duszno, i uparcie pokręcił głową. Wyrównał na rękawie biało-czerwoną opaskę, przesunął na pasie ciężki mauzer.

Pchnięte z zewnątrz, otworzyły się wysokie drzwi, trzepnęły klamką o mur. Za nimi dwaj wartownicy ze skrzyżowanymi karabinami zagradzali drogę tłumowi rozgorączkowanych ludzi, który wypełniał salę o stromych gotyckich sklepieniach.

— Stać!... Puszczajcie... Ile mamy czekać?!

Generał obrócił się na krześle i zmarszczywszy brwi patrzył na otwarte usta, rozgorączkowane twarze. Zdawało mu się, że w głębi dostrzegł Marusię. Ogoniok. West wstał, podszedł do drzwi i uniósł rękę.

— Towarzysze! Obywatele!... — Odczekał, póki gwar nie przycichł. — Krzykiem niczego nie zwojujecie. Zaczekajcie...

— Puście! — wrzasnął ktoś z tylnych rzędów.

— Kto nie może czekać?

— Ja! — Przepchnął się do przodu starszy wąsaty mężczyzna z milicyjną opaską, z pepeszą na piersi.

Chwilę mierzyli się wzrokiem.

— Ludzie mrą — dodał i trzepnął po lufie szeroką dłonią o przygiętych sękatych palcach.

— Puście go — ustąpił West.

Tamten dał nura pod bagnetami, a porucznik Kos zamknął drzwi i czekał spoglądając pytająco.

— W lesie pod Jasieniem. Stu dwudziestu ludzi. Różnymi językami gadają. Podczas nalotu z obozu uciekli, skryli się... Konają z głodu.

West, słuchając, pisał jednocześnie w notesie, a teraz przywalił różową pieczęć, wyrwał dwie kartki i podał wąsatemu.

— Na chleb i transport. A to adres, doprowadzisz ich i niech zajmują baraki.

— Tak jest! — Milicjant zsalutował i podtrzymując pepeszę dał nura w uchylone drzwi, pod skrzyżowane niebieskawe bagnety wartowników.

West wrócił na swe miejsce za stołem, przysiadł i chwilę pisał w notesie, a potem podniósł oczy na dowódcę brygady i powiedział:

— Dlatego nie dam ze składów nic, choć zdobyli je żołnierze waszej brygady.



— Odwróciły się role. Teraz cywile dowodzą — mruknął generał ze zrozumieniem, choć jeszcze trochę kpiąco.

— Szliście przecież, żeby wyzwalać, a nie rządzić — spokojnie, lecz ostro, uciął West — Miasto musi żyć.

— Prawda. Ale skąd mam brać chleb dla wojska?

— Dam kwit na mąkę i barkę z holownikiem. Poślecie swoich w górę Wisły. Z tego, co przywiozą, połowa wasza. Zgoda?

— Zgoda.

Znowu się uchyliły drzwi, warta wpuściła oficera radzieckiej marynarki, który zasalutował generałowi i jak ze starym znajomym przywitał się z Western.

— *Zawtra moi tralszczyki idut w morie.*

— Dobra. To ja śladem pošlę kutry, żeby ryby trochę dla miasta...

Odpowiadając, West nie przestawał pisać, a teraz podał papier z pieczęcią dowódcy pancерnej brygady.

— Pamiętajcie: połowa moja.

— A wy, obywatelu burmistrzu, nie zapomnijcie o paru śledziach dla żołnierzy. Inaczej syn wam schudnie...

Uścisknąwszy dłoń Westa generał otworzył drzwi. Wartownicy cofnęli karabiny, a ludzie się rozstąpili, tworząc wąskie przejście. Ruszył nim ostro niby czołg, chmurzył jeszcze brwi, gdy zobaczył po drugiej stronie tłum Marusię opartą o kamienną kolumnę.

— Co tu robisz, rudzielcze?

— Nasza dywizja też w Gdańsku. Was szukam, *towariszcz* generał.

Powoli szli przez ogromną i pustą salę — tłum został pod drzwiami Westa, mijali mniejsze grupki ludzi przy stołach, za którymi rozpoczynały urządowanie nowe władze miejskie.

— Słucham.

— Chciałabym wiedzieć, dokąd dalej pójdziecie?

— Brygada zostanie na Westerplatte. Po ostatnich walkach żołnierzy mało, a wozów jeszcze mniej i to zajeżdżone, pokaleczone. Parę co lepszych czołgów pójdzie na front, na Berlin.

— „Rudy” zostanie?

— Ma nowy silnik, ale załoga niepełna.

— A ojciec Janka?

— Sama widziałaś, że tu bardziej potrzebny. Rządzi.

Ogoniok podniosła oczy, zaczerpnęła powietrza w płuca i zaczęła śmiało:

— W czołgu jednego brak, a ja... — zapomniała dawno obmyślonego słowa, urwała i powtórzyła: — Ja mogłabym...

Generał zdziwił się, potem uśmiechnął.

— A ty mogłabyś strzelać z armaty... — pomógł dopowiedzieć zdanie do końca i cicho dodał: — Zmykaj. Ale to już, i szybko.

Stojąc u poręczy patrzył, jak biegnie w dół po schodach, podobna do spłoszonej wiewiórki.

Niesprawiedliwy jest świat, myślała Ogoniok, idąc ulicą między wypalonymi, cuchnącymi zgorzelą domami. Gdybym była chłopakiem, to generał na pewno nie kazałby mi zmykać. Zostałabym przyjęta do załogi na miejsce strzelca–radiotelegrafisty. Nauczyć się przecież nietrudno i wcale nie trzeba strzelać z armaty, dźwigać ciężkich pocisków, bo to robi Gustlik. Im potrzebna jest właśnie radiotelegrafistka...

Przystanąła, zamyśliła się jeszcze smutniej: przecież Lidka doskonale potrafi posługiwać się radiostacją, na pewno już dawno stanęła do raportu i ona właśnie...

— A właśnie że nie — zawołała Marusia radośnie — bo dziewczyn do czołgów nie biorą!

Rozejrzała się, przestraszona dźwiękiem własnego głosu, ale nikogo w pobliżu nie było, nikt nie słyszał prócz krzaków bzu, które na przekór wojnie wypuściły jasnozielone listki i wyciągały gałęzie przez pordzewiałe pręty ogrodzenia. Powąchała je, pogładziła dłonią i podśpiewując wybiegła ścieżką na garb gruzowiska. Stąd widać już było ustawione równymi rzędami czołgi i koszarowe budynki ocalałe od ognia.

Wartownik ją poznał, uśmiechnął się i podrzucił karabin na prezentuj broń. Ogoniok zasalutowała, robiąc marsową minę w odpowiedzi na te generalskie honory, i spytała wesoło:

— Nie uciekli mi?

— Nie. Wszyscy w domu.

Powędrowała chodnikiem między czołgami a budynkiem, spoglądając w szyby otwartych po wiosennemu okien parteru, zbyt wysoko jednak umieszczonych, by mogła zajrzeć do środka. Przy trzecim stanęła i zaczęła

nadsluchiwać. We wnętrzu gwizdał Gustlik. Poprawiła odświętnie wyprasowany mundur, wygładziła fałdy pod pasem i zawołała ostro:

— *Ekipaż k boju!*

Pierwszy jak błyskawica wyskoczył Szarik z własną obrozą w zębach, a za nim w oknie pojawili się wszyscy trzej czołgiści z hełmofonami w garści.

— Marusia! Ogoniok!

— Mam wolne przedpołudnie...

Nie czekając na koniec zdania, Janek skoczył przez parapet.

— Ja zaraz! — zawołał i dał nura do wnętrza „*Rudego*”.

— Myślałem, że ze mną pójdziesz na spacer — uzalił się Grigorij.

— Albo ze mną — odpowiedział Jeleń.

— Ja z tym, co najszybszy. We trzech w czołgu będziecie?

— Trza nam czwartego... — rozejrzawszy się na boki, czy nikt nie słucha, Gustlik dodał tajemniczo: — Mówili my, co to będzie, Wichura ino on je taki, co kręci — pokazał gestami i przymrużył oko.

— Chyba żebyś ty do nas, Marusia, przystała — podpowiedział Grigorij.

— Ee tam, dziewczynie nie uchodzi... — Zaczerwieniła się i pragnąc zmienić temat zerknęła w stronę „*Rudego*”. — Czego on w czołgu szuka?

— Pewnie czapki. My tam wszystko mamy — zaczął tłumaczyć Gustlik. — Ino śpimy w izbie, ale to pieruńsko głupio.

— Niewygodnie — wtrącił Saakaszwili. — Za miękko. Dopiero jak wyrzuciłem poduszkę, jak podłożyłem kaburę pod głowę...

Janek słuchał tej rozmowy z wnętrza wieży czołgowej i mierzył połówkę przed lusterkiem na zamku działa ustawionym, poprawiał lok swoich lnianych włosów, by jak najbardziej niedbale zwisał nad czołem. Spoważniał, kiedy Jeleń powiedział, że czwartego trzeba, i obrócił się w stronę, gdzie do pancerza przyklejona była fotografia dawnego dowódcy i zawieszona jego dwa krzyże — *Walecznych* i *Virtuti Militari*. Zamyślił się patrząc w twarz nieżyjącego przyjaciela, nią słyszał żartów Grigorija na temat przyjęcia Marusi do załogi.

— Janek! Pójdz ino.

— Idę! — odkrzyknął na wołanie Gustlika.

Wspiął się do włazu, wyskoczył na pancerz, a z pancerza na ziemię. Biorąc Marusię pod rękę, z przepraszającym uśmiechem zasalutował kolegom.

— Nie musisz się spieszyć — rzekł mu Jeleń na pożegnanie i ciężką dłoń położył na ramieniu Gruzina. — Jakby co, to domy se radę we dwóch.

Chwilę jeszcze wyglądali przez okno za odchodzącymi.

— A ja sam — westchnął Grigorij.

— Co się martwisz. Już ino jedna rzeka i koniec wojny. Potem baby będą rządzić i ani się ogłondniesz, jak cię chycą.

Szli obok siebie pustą, pokaleczoną przez pociski ulicą zdobytego Gdańska. Onieśmieleni nie tyle bliskością, co niezwykłą dla żołnierzy ciszą, milczeli. Szarik biegał wokół, przystawał przed nimi, patrzył to na Janka, to na Marusię i zachęcająco szczeakał.

Wilczur, w którego życiu wszystko było wyraźne, a głód i sytość, nienawiść i miłość sąsiadowały ze sobą, dziwił się i nie pojmował ludzkich zawitych spraw. Skąd mógł przypuszczać, że o rzeczach prostych i oczywistych dla każdego, kto tę parę choć raz z daleka zobaczył, najtrudniej mówić właśnie im dwojgu. Najtrudniej, gdyż nie wiedzą, jak w małych paru słowach zmieścić duże uczucie. A nie potrafią przecież mówić długo i ozdobnie — przywykła do zwięzłych komend, do okrzyków, które muszą być szybsze niż kule.

Kwietniowy wiatr, słonawy od zapachu morza, głaskał ich ciepłą dłonią po twarzach, cichutko naszeptywał do uszu. Na skrzyżowaniu Ogoniok zebrała się wreszcie na odwagę, zwolniła kroku, żeby powiedzieć, lecz w ostatniej chwili zmieniła decyzję.

— Chodźmy nad morze — zaproponowała, zdejmując z głowy beret.

— Dobrze, ale przedtem pokażę ci dom.

— *Charaszo*. — Podała mu rękę.

Skręcił w rozbitą bramę, ostrożnie przeprowadził dziewczynę pod nawisem porudziałego żelbetu i dalej wózem między górami gruzu, na podwórze porośnięte przyżółkłą zeszłoroczną trawą. Na grzędzie starego zleżącego usypiska stało drzewko w pierwszej zieleni wiosny i Szarik pobiegł obejrzeć je z bliska.

— Tu mieszkaliśmy we troje. — Janek wskazał puste prostokąty okien na pierwszym piętrze. — Dawno temu, przed wojną.

Marusia zdjęła mu czapkę, pogładziła po włosach, a potem rzekła, kładąc Jankowi ręce na ramionach:

— Znalazłeś ojca. A ja zupełnie sama.

— Nieprawda, Ogoniok. Właśnie tu, blisko mojej mamy, chciałem cię poprosić... Obiecujemy sobie, że razem na zawsze.

— To będzie niełatwe — odpowiedziała cicho.

Trzymała w ręku polówkę i swój granatowy beret z czerwoną gwiazdą, uniosła je, jakby pokazując, że są różne, że do innych należą armii.

— Ale będzie. — Z uporem pokręcił głową, palcami przeczesał włosy.

— Wojna nie skończona. A żołnierski dzień bywa czasem jak rok: smutek i radość, powitanie i rozstanie, życie i...

Położył palec na jej wiśniowych ciepłych wargach, by powstrzymać słowo, którego frontowi żołnierze starają się nie wypowiadać głośno.

O śmierci mówi się — ona. Tak jak za dawnych czasów, kiedy ludzie omijali imiona groźnych bóstw nie chcąc ich drażnić czy przywoływać.

Na ulicy terkotał samochodowy silnik i raz po raz buczał klakson. Ktoś krzychał. Słyszał już od chwili, ale dopiero teraz zrozumiał, że to jego wołają.

— Janek! Plutonowy Kos!

Chwycił czapkę, energicznie wcisnął ją na głowę i wybiegł na ulicę. Za nim Marusia, a na samym końcu wilczur, zaniepokojony tym nagłym pośpiechem.

Przy krawężniku stała jadowniczo zielona ciężarówka, z kabiny wyglądał Wichura.

— Czołem. Cześć, Ogoniok! — wołał wesoło. — Szukam was i szukam. Ostrożnie! Świeżo malowane — ostrzegł podnosząc palec do góry. — Taka farba cholerna, że schnąć nie chce...

— Chciałeś czegoś? — przerwał mu Kos.

— No pewnie. Słuchajcie: płynę barką w górę Wisły po mąkę. Słońce, wiosna i te rzeczy. Skoczmy razem?

— Chciałabym, ale dyżur w szpitalu.

— Ja nie. Dziś uroczysty apel na Długim Targu, jutro wieczorem zabawa.

— Na zabawę wrócimy.

— Nie.

— No to cześć. — Wichura zasalutował i cofając głowę do szoferki, rąbnął ciemieniem w ramę, zmarszczył perkaty nos. — Cześć, Kosy! — zawołał, dodał gazu i ruszył gwałtownym zrywem.

Janek rozchmurzył twarz.

- Może by go do załogi? Warszawiak, bystry chłopak.
- Tak, Janek. Naturalnie, nikogo innego tylko Wichurę.
- Słyszałeś, jak on do nas powiedział? Obiecuj, że zaraz po wojnie.
- Słyszałam. Obiecuję.

Podawała mu rękę, a on mocno chwycił dziewczęce dłonie i nie puszczał, ścisnął jak granat z wyrwaną zawleczką, patrząc na pociemniałe nagle zielone oczy pod czarnymi brwiami, wygiętymi niczym łuk mongolski.

Szarik przysiadł u nogi swego pana, spoglądał ku górze na twarze ich obojga i choć miał wielką ochotę radośnie szczechnąć, nawet nie zaskomlał.

Z daleka, znad Bałtyku, wracały górą szturmowce, mruczały niczym syte, ciężkie trzmielce nad łąką i było bardzo uroczyście, bowiem za sprawą Wichury powiedziana została rzecz najważniejsza i najpiękniejsza z tych, które mogą sobie ludzie powiedzieć.

Na Długi Targ przyszła masa ludzi. Prócz naszych i radzieckich żołnierzy zjawiała się gromada cywilów i tłum sięgał aż po Bramę Zieloną, po most na Motławie. Do nich właśnie przemówił generał, by z niewolników przywleczonych tu siłą przez hitlerowców stali się dziś jeszcze gospodarzami miasta, co ongiś nasze, znowu i na wieki wróciło we władanie Rzeczypospolitej.

Ojciec Janka dziękował żołnierzom radzieckim i polskim pancerniakom za trud i krew, za szturm gwałtowny, dzięki któremu choć część domów i fabryk ocalała, ocaleli skazani na zagładę jeńcy i polska ludność.

Przemawiali obaj z tarasu przed wejściem do Dworu Artusa, wyniesionego o sześć wysokich stopni ku górze. Głośniki powtarzały ich słowa, ale Janek, Grigorij i Gustlik i bez tego widzieliby i słyszeli wszystko, bo „Rudy” stał tuż obok z dumnie uniesioną lufą i cała załoga siedziała na pancerzu, na wieży, a z nimi Marusia i Lidka, sierżant Czernousow, no i naturalnie Szarik.

— Kiejby nas tak piecowym srebrem pomalować, to by był ale pomnik — powiedział Jeleń głośnym szeptem.

Lidka zaczęła chichotać wyobraziwszy sobie posrebrzonego Gustlika, Grigorij jej zawtórował i dostał sójkę w bok od Janka. Nie słyszeli ostatnich słów z mównicy i dopiero *starszyna* ich uspokoił, syknąwszy niczym dalekobieżny parowóz.

Cisza była na całym placu, pojaśniało od uniesionych ku górze twarzy, bo wszyscy patrzyli na podziobaną pociskami wieżę Głównego Ratusza, powyżej zegara, powyżej szerokiej galerii, na tę małą u samego szczytu.

— Jest tam kto? — zagadnął cicho Jeleń.

— Jest. Żołnierz, ale bez czapki — odpowiedział Kos, dłonią osłaniając przed słońcem swoje jastrzębie oczy.

— Rakiety będzie strzeloł abo na trąbce zagro?

— Zamach bierze...

Szerokim łukiem wyleciał w powietrze pakunek wielkości plecaka, rozłożył się, rozwinął i na tle ciemnego muru rozbłysła w słońcu wielometrowa wstęga biało-czerwona, wygięta przez rześki wiatr od morza. Nim ktokolwiek zdążył krzyknąć czy słowo powiedzieć, zagrały trąby, huknęły bębny i blachy trzech naraz orkiestr — polskiej pancерnej brygady i dwu dywizyjnych radzieckich.

Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy...

Spłoszyły się mewy, zakołowały w górze nad domami bez dachów, nad wzniesionymi twarzami ludzi, które jakby poranna rosa zwilżyła.

Pilnej roboty było w Gdańsku niezmierzone mnóstwo. Stanisław Kos chciał zaraz po uroczystości wrócić do burmistrzowania, ale załoga „*Rudego*” wzięła go do niewoli i pociągnęła na Westerplatte. Kazali sobie pokazywać, gdzie stał pancernik „*Schleswig-Holstein*”, gdzie była brama z orłem na owalnej tarczy i napisem „*Wojskowa Składnica Tranzytowa*”, a potem, odgarniając wyrośnięte do piersi łopuchy, oglądali resztki ceglanego muru, pordezwiątałe szyny kolei, ruiny wartowni.

Siedli wreszcie u brzegu na szalupie przewróconej dziurawym dnem do góry, patrzyli, jak wiatr nosi mewy nad Martwą Wisłą, i słuchali wspomnień porucznika.

— Pod koniec sam musiałem stanąć przy kaemie. Dostałem odłamkiem w głowę, ale lekko, tyle że hełm na bandażu trudno było wsadzić. A oni bombardowali, bili z dział... Wobec ciężkiej broni byliśmy bezsilni, a jednak za naszych piętnastu zapłacili trzema setkami zabitych. Trzymaliśmy Westerplatte przez tydzień. Wtenczas, kiedy wojna dopiero arię zaczynała, to było ważne. Było ważne, żeby świat te strzały usłyszał, zbudził się i zrozumiał, że każde nowe ustępstwo tylko rozzuchwala bandytów...

Lidka ściągnęła przyciasny but, grzała bosą stopę na białym piasku. Marusia zerwała źdźbło trawy, gryzła żółtozieloną słodkawą łądygę. Szarik rozparty na płaskim kamieniu leniuchował w południowym słońcu, kłapał zębami, usiłując chwycić muchę.

— Tu był początek — powiedział Gustlik — i tu dla nas fajerant. No nie? Jutro wieczór zabawa. Byda tańcowo! jak zech już dawno nie tańcowo! — Wstał, zaszurał buciorami w tempie oberka.

— Na zabawę pora, a na fajerant wcześniej — odpowiedział West. — Wszędzie gruzy, miny, port zatkany wrakami. Trzeba to wszystko...

— Jasne — przerwał Janek — ale grunt, żeśmy się znaleźli.

— Mój starzyk też już napiso! — Gustlik wyciągnął list z kieszeni i trzepnął po nim dłonią. — Matka ca!o za!oga kaza!a pozdrowić.

— A ca!ej nie ma. — Grigorij złamał i rzucił za siebie patyk, który obracał w palcach. — Nie ma kto nam powiedzieć, jaka jutro pogoda.

Posmutnieli wszyscy. Szarik postawił uszy, warknął ostrzegawczo. Przez wertepy, szeleszcząc suchymi badylami zesz!orocznych chwastów, podchodzi!a do nich szczup!a, niestara jeszcze kobieta w czarnej sukni.

— Przepraszam, syn mi zaginał. Mareczek, sze!cioletni. Mo!e panowie widzieli?

— Nikt tędy przed panią nie przechodził — po chwili milczenia odpowiedzia! Janek.

— Przepraszam, to ja już pójdę. Rok temu zaginał, wyszedł na ulicę, złapali go i nie wróci!l. Mareczek, sze!cioletni — odchodząc zali!a się sobie, nie czekając od nikogo odpowiedzi.

Patrzyli chwilę w ślad za nią.

— Na mnie pora. — Marusia wsta!a. — Przed dy!zurem mundur na stary trzeba zmienić.

— I przed zabawą warto pospać dłużej — doda!a Lidka.

— Nieprędko się jeszcze po tej wojnie wypogodzi — powiedzia! ojciec Janka, kiedy już ruszyli z powrotem.

— Ale Gustlik ma swoj! rację, jak mówi, że fajerant — energicznie wtrąci! Grigorij — bo to już blisko. Sam jestem na świecie jak palec, dziewczyna żadna mnie nie chce, ale też plany układam, jak żyć po wojnie.

Szli na prze!aj ugorem w tę stronę, gdzie u nabrze!a zostawili szalupę po przeprawie przez Mot!awę.



— Najdziesz tako, co cię będzie chciała. — Gustlik objął Gruzina za ramię. — Zawioza cię pod Studzianki, do Czereśniaka i wyswatom.

— Ze wsi nie chcę.

— No to ci domy dziouszkę z Warszawy. Wichura to zrychtuje, powiem mu, jak wróci.

— Gdzie Wichura? — zainteresował się Grigorij.

— Na barce popłynął po mąkę, ale do jutrzejszego wieczora, do zabawy powinien być z powrotem — wyjaśnił Janek.

Wichura nie zdążył wrócić przed wieczorem, ale bal się zaczął równo z zachodem słońca. Nie zabawa, lecz bal prawdziwy. Żołnierski bal w wyzwolonym Gdańsku.

Ogromna sala na parterze starego mieszczańskiego domu ledwie mogła gości pomieścić. Ściany nosiły jeszcze ślady walk — tu nad oknem jęzor sadzy po stłumionym pożarze, tam skośny ścieg serii na murze, nadpęknięty tynk, ale wszystko odchędożone, po żołniersku uprzątnięte, a gdzie nie można, to zasłonięte wojennym plakatem — był tam zielony żołnierz porucznika Włodzimierza Zakrzewskiego, wołający „*Na Berlin*”, śmieszne hitlery Kukryniksów, siwy, bijący w dzwon chłop Mikołaja Żukowa z napisem: „*Bracia Słowianie!*” Gdzie nie starczyło plakatów, naczepili kawałki artyleryjskich sieci maskujących, upięte płaszczy-pałatki ozdobione zielonymi koćkami leszczyny, rozkwitłą białą tarninową gałęzią albo hasłem pospiesznie wypisanym na płótnie: „*Gdańsk polski na wieki!*” „*Wpieryd na Berlin!*”, „*Ruszaj do tańca, jak na Germańca*”, „*Hitler świński cycek, biorą w... fryce*”. W co biorą fryce, nie było widać, bo kapelan brygady kazał zielenią przesłonić.

Prawie na środku balowej sali był otwór na wylot do piwnic, ale nie specjalny, tylko wybity przez pocisk. Osłaniały go saperskie kozły z tabliczkami: „*Uwaga, dziura!*” i po rosyjsku: „*Wnimanje, nie prowalis*”. Od czasu do czasu ukazywała się ponad podłogą głowa żołnierza, który wylaził po drabinie i podawał tańczącym butelki ze zdobyczym piwem.

Grała nie brygadowa orkiestra, bo oni tylko marsze umieli, lecz doraźnie zebrany polsko-radziecki zespół, a w nim takie instrumenty, jakie były pod ręką — harmonia, gitara, trąbka sygnałowa, fortepian z kolumienką z cegieł zamiast nogi i z przestrzelonym wiekiem oraz naturalnie bęben. Nad podwyższeniem orkiestry wylaziły ze ściany resztki półwypukłego

hitlerowskiego orla poobtłukiwanego kolbami — mieli go saperzy złupać, ale nie zdążyli, bo już się zaczął bal. Nie zabawa, lecz bal prawdziwy. Żołnierski bal w wyzwolonym Gdańsku.

— Wszystkie pary tańczą!

Tańczyły polskie i radzieckie tele- i radiofonistki, sanitariuszki w odświętnie odprasowanych mundurach. Czasem zamiast wyczyszczonych na psi połysk butów z cholewami mignęły zdobyczne pantofle, a przy każdym mundurze wabiło oczy coś kobiecego dla ożywienia: broszka, apaszka, chusteczka w ręku, kaczeniec lufo gałązka tarniny we włosach. Było też trochę cywilnych niewiast z ekipy obejmującej miasto, jak i przywiezionych na roboty, kiedy Gdańsk był jeszcze niemiecki — wszystkie miały białoczerwone opaski albo wstążki u klap skrojonych po wojskowemu kostiumów. Wśród żołnierzy szarzało paru cywilnych mężczyzn, ale też z opaskami na rękach, w długich butach i kurtkach wojskowego kroju.

Wszystkie pary tańczyły, a niedaleko orkiestry stał dowódca brygady, spoglądał na nie z uśmiechem. Minał może kwadrans od rozpoczęcia balu, kiedy przecisnął się do niego ojciec Janka ze sporym zawiniątkiem pod pachą.

— Serwus, West. — Generał wyciągnął rękę na powitanie. — Gdzieżeś się podziewał od wczoraj?

— Trałowce otworzyły wyjście z portu, oczyściły skrawek zatoki, więc skrzyknąłem paru znajomych rybaków, uruchomiliśmy kutry i...

— Jest ryba?

— Niedużo, ale jest, obywatelu komendancie miasta.

— Daj spokój z tym komendantem. Jan mi na imię.

— Stanisław.

Obaj jednocześnie pomyśleli, że właściwie to głupio, że do tej pory nie mówili sobie po imieniu, i pocałowali się z dubeltówki. Dostrzegł to Gustlik tańczący z Lidką tango Chryzantemy złociste i zawołał w stronę dziury w podłodze:

— Piwo dla dowódcy, ino gibko.

Chwycił w locie butelki i przekazał je, nie przestając podśpiewywać.

Dowódca i West zaczepili jeden kapsel za drugi, zerwali, trącili się szyjkami butelek i odpili po parę łyków.

— Wczoraj rano posłałem po mąkę. Lada moment barka powinna wrócić i wtenczas uruchomimy piekarnię.

— Jo bych się zdał ciasto gnieść. — Gustlik przerwał śpiewnie i pokazał swoją potężną łapę, a ruszając znowu w taniec dodał ciszej do Lidki: — Ino my tu nie ostaniemy. Generał niech będą komendant, a „*Rudy*” na front.

— Możesz miesić — odkrzyknął dowódca Gustlikowi i powiedział do Westa: — Tyle że ja tu najwyżej jeszcze parę dni i na front, do sztabu armii. Janka by trzeba szybko zdemobilizować, do szkoły posłać — pokazał oczyma chłopca tańczącego z Marusią.

— Tak byłoby najśluszniej, ale...

Chłopak dopiero w tej chwili zobaczył ojca i podbiegli oboje, zadyszani trochę, zarumienieni, z oczyma jarzącymi się wewnętrznym światłem.

— Cześć, tato! — spieszył się, urwał i stanął na baczność. — Obywatelu generale, proszę o zezwolenie zwrócenia się do porucznika Kosa.

— Wojskowa skóra druga natura — roześmiał się dowódca. — Zwolnię cię do cywila, poślę do szkoły i nie będziesz musiał pytać.

— Za co? — posmutniawszy nagle spytał Janek.

— Co, za co?

— Do cywila za co? Przecież myśmy jako załoga stawali do raportu...

— Nowe czołgi z działami osiemdziesiąt pięć poszły do armii, a reszta brygady zostaje tutaj jako garnizon.

— „*Rudy*” ma nowy silnik, obywatelu generale — głos chłopaka zwilgotniał. — Póki wojna nie skończona, nikt nie ma prawa...

— Nie ty mnie będziesz uczył. Póki zabawa nie skończona, rozkazuję tańczyć.

— To ja proszę obywatela generała — dygnęła Marusia odrzucając z ramienia gruby kasztanowy warkocz.

Kosowie z uśmiechem patrzyli, jak nowa para rusza w tany — giętka trzcina i krępy dąb burzom oporny. Żołnierze rozstępowała się, robiąc miejsce dowódcy.

— Spieszyłem, żeby na zabawę zdążyć, bo buty niosę — powiedział ojciec rozwijając zawiniątko.

— Dla mnie? — zdziwił się i ucieszył Janek, widząc giemzowe oficerki z wysokimi do kostki sztywnikami.

— Moje sprzed wojny. Mało noszone.

— Za duże będą.

Bez przekonania zrzucił własny but, zmierzył ojcowski i... ledwo go wciągnął. Zmienił drugi, przytupnął.

— Nie za duże? — uśmiechnął się ojciec.

— W sam raz. Dziękuję, tato.

— Pewno ci trochę nogi urosły.

Janek wysunął się do przodu, żeby go było widać, kiwnął na Gustlika, ale tamten nie spostrzegł, bo się pochylał nad Lidką, szeptał jej coś do ucha.

Dziewczyna skinąwszy głową podeszła do grupki, w której stał radziecki generał, poprosiła go do tańca. Zaklaskali najbliżej stojący, a Janek, jeszcze z uniesionymi rękami, zaczął mówić do ojca, jakby kontynuując prowadzoną w myśli rozmowę:

— Tato, co z tą szkołą, przecież ja chciałbym być razem z tobą, ale póki wojna nie skończona, póki Polska...

— Ja cię zatrzymywać nie będę. Gdybym nawet próbował, to w tym wypadku syn ma prawo nie posłuchać...

Parę sekund patrzyli sobie w oczy. Janek zrobił ruch, jakby chciał chwycić ojca za szyję, ale porucznik wyprostował się i tylko podał synowi rękę. Ścisnęli sobie dłonie — dwaj wojskowi, dwaj dorośli mężczyźni. Może nawet pocałowaliby się, ale West dostrzegł Saakaszwilego.

— Grześ!

— Grigorij siedział pod ścianą, a na sąsiednim krześle równie smutny Szarik. Rad, że ktoś przerwał jego zamyśloną samotność, podszedł szybko.

— Dobrze, że ojciec przyjechał, bo Janek... Ale buty! — uniósł ręce z zachwytem.

— Mam prezent i dla ciebie — przerwał mu porucznik. — Pas oficerski.

Grigorij chwycił oburącz wstęgę brązowej skóry przeszytej złotawą nicią, obejrzał, przycisnął do piersi i naraz zaczął mówić po gruzińsku, po rosyjsku, po polsku:

— *Madłobt, spasibo*, dziękuję! — Zdjął stary, włożył nowy i ściągnął się jak osa. — A to co? — wskazał mosiężne półkoliste uchwyty.

— Do przyczepiania szabli.

— Do szabli — powtórzył w rozmarzeniu Grigorij i dobywszy z nie istniejącej pochwy niewidzialną klingę, zrobił w powietrzu kilka ruchów dłonią, cięć zamasztych, z których ostatnie wypadło tuż przed nosem

Wichury, nadciągającego z dwiema ładnymi, zupełnie identycznymi blondynkami.

— Zgłupiałeś, Gruzin? — spytał szofer i obu pannom począł przedstawiać swoich towarzyszy: — Porucznik West, ojciec Janka... Janek, dowódca czołgu... A ten, co macha ręką, to mechanik Grigorij, czyli Grześ... Koledzy pozwolą, siostry Borowianki, Hanna i Anna.

— Bardzo nam miło panie poznać — uśmiechnął się West i spytał: — Przywieźliście mąkę, Wichura?

— Przywiozłem, panie poruczniku, pełną barkę, ale ledwo zdążyłem.

— Takie same — wyszeptał zdumiony Saakaszwili, chwytając kaprala za rękaw. — Obie piękne i zupełnie takie same...

— Bo bliźniaczki — wyjaśnił niecierpliwie szofer. — Jak są z nami, to już nie są takie same — parsknął śmiechem z własnego dowcipu i wrócił do opowiadania: — Ledwo zdążyłem, panie poruczniku, bo dwu dywersantów wsiadło na pokład i rowery ukradli...

— Gustlik Jeleń — przedstawił się dziewczętom nadchodzący Ślżak i zaraz zmrużył oko do Wichury. — A ty zaś tak nie fanzol. Jacy to tam przeciwrowerowi dywersanci?

— Przebrani byli po cywilnemu. Jeden kapelusz zgubił, jak uciekał.

— Dywersyjny kapelusz? — wypytywał Jeleń. — Takim gadaniem to byś nie oszydził ani mojej ciotki Hermenegildy, co we wszystkie bojki wierzy.

— ...Mina na kursie, ale ja ją odepchnąłem, chwyciłem automat i... — zmarszczywszy perkaty nos, pokazał jak mierzył — trrrach!

— Oj! — przestraszyły się bliźniaczki i zapiszczały cieniutko.

— Proszę wybaczyć, my tu o sprawach wojskowych, a muzyka stygnie. Pani pozwoli, pani Aniu — skłonił się Wichura i nieznacznie trącił Grigorija, żeby też się ruszył.

— Haniu — sprostowała spłoszona.

Saakaszwili przyglądał węża na śniadej, pociemniałej z wrażenia twarzy i pochylił głowę, lecz w tej chwili, gdy już wyciągnął ręce, by przytulić partnerkę, muzyka umilkła.

— Ludzie!

Podium orkiestry posłużyło za trybunę gospodarzowi z Wejherowa, który parę dni temu przyniósł załodze jedzenie do uszkodzonego „*Rudego*”.

Stał chwilę z ręką podniesioną, wyczekał, aż się uciszy, a potem mocnym głosem zaczął mówić:

— Za te czołgi, co na naszych polach poległy, my żołnierzom choć jeden nowy kupimy. Od Gdańska i Gdyni, od Wejherowa, od Kaszubów. Ile kto ma, tyle daje!

Rzucił parę banknotów na wielką tacę, za jego przykładem poszli inni. Jedna z kobiet zdjęła pierścioneł, ktoś położył obrączkę. Szybko rosła sterta złotych, trafiały się i ruble od radzieckich żołnierzy.

— Ja, proszę pani — mówił Gruzin, oczekując tańca. — Ja to takiego mam pecha, pani...

— Aniu — odpowiedziała bliźniaczka.

— Uwaga! — krzyknął ktoś od strony orkiestry. — Biały walc, panie proszą panów.

Wśród nadchodzących od strony sali zrobiło się małe zamieszanie. Gustlik stanął na drodze Marusi, ale odepchnęła go ze śmiechem:

— Z tobą następny — obiecała i poprosiła Westa.

Bliźniaczki szybko zamieniły się Wichurą i Saakaszwilim, z czego można by sądzić, że obaj nie byli im całkiem obojętni. Pary zawirowały po sali.

— Zatańczysz ze mną? — Lidka spytała Janka, trącając go w nos kaczeńcem.

— Naturalnie. Patrz, od ojca dostałem — pochwalił się butami.

— A pamiętasz szal, który ci do szpitala przysłałam? Był na przeprosiny, za te oddane rękawice. — Odchyliła głowę, spod spadającej na czoło puszystej grzywki zalotnie patrzyła mu w oczy. — Wiem, że mnie kochałeś, i rękawice mogły być zaręczynowym pierścieniem. Jeszcze dziś...

— Mogę ci dać te rękawice. Gdzieś chyba jeszcze je mam.

— Zamiast pierścionka? — przytuliła się mocniej.

Chwilę wirowali bez słowa i sala wirowała razem z nimi.

— Nie — powiedział poważnie. — Tak tylko. Nie gniewaj się...

— Ja się nie gniewam. Zrozum: ona zaraz po wojnie wyjedzie i co wtedy?

Nie odpowiedział. Tańczył patrząc ponad głowę Lidki na salę, jakby szukał kogoś i nie mógł znaleźć.

Obaj generałowie przypatrywali się tańczącym.

— *Starikow nie bierut.*

— Taki nasz los — odpowiedział dowódca brygady i dodał: — Pora chyba?

— Pora.

Przesunęli się obaj ku orkiestrze, weszli na podium i nagle jak nożem uciął orkiestra umilkła. Trębacz zagrał sygnał: „*Uwaga! Słuchajcie mego rozkazu*”. Żołnierze i zdziwieni nieco cywile stanęli twarzami w stronę generałów. Jeden tylko Gustlik przemknął szybko do drzwi, wypadł na ulicę.

— Żołnierze — zaczął dowódca — w wyniku współdziałania między naszymi jednostkami, sprawdzonego wielokrotnie na polu boju, postanowiliśmy dziś wydać wspólny rozkaz o międzynarodowym znaczeniu...

Dalszych słów Jeleń nie słyszał, gdyż biegł co tchu do niemieckiego działa, porzuconego w ruinach, ale jeszcze całkiem sprawnego. Załadował przygotowany pocisk i zatrzasnął zamek. Dopiero potem, kiedy odwinął długi sznur spustowy i wrócił pod okno balowej sali, odetchnął z ulgą i otarł pot z czoła; generał nie tylko nie skończył, ale czytał dopiero punkt pierwszy:

— Mianujemy do stopnia sierżanta sanitariuszkę Marusię-Ogoniok i dowódcę czołgu Jana Kosa.

Oboje wymienieni stali tuż obok.

— Jest’!

— Jestem!

Tylko ich dwoje awans zaskoczył, dla innych przyjaciół rzecz była z dawna wiadoma, bo Czernousow zaraz zmienił naramienniki. Marusi na nowe, z szerokim czerwonym paskiem na ciemnej zieleni, a Saakaszwili błyskawicznie przyfastrygował Jankowi srebrny galon i rzymską piątkę.

Generał po krótkiej pauzie na brawa i przyjazne okrzyki czytał dalej:

— Punkt drugi: ogłaszamy zaręczyny obu wymienionych wyżej sierżantów sojusznicznych armii.

— Niech żyją! — krzyknęli Polacy.

— *Uraaaa!* — zawołali przeciągle Rosjanie, Ukraińcy, Białorusini i kto tam jeszcze był.

Wtenczas właśnie stojący pod oknem Gustlik pociągnął za sznur. Błysnęło w gruzach i tak potężnie huknęło, że z brzękiem pękły ostatnie szyby, sypnęło tynkiem ze ścian i odleciała nadtluczona kolbami hitlerowska

wrona nad orkiestrą, odsłaniając stare, cięte w kamieniu krzyże gdańskiego herbu i skrzydło polskiego orła.

Muzykanci, że niejedno na froncie zdarzało się widzieć, ani okiem mrugnęli, ani nie okazali zdziwienia. Załomotał bęben w rytmie na trzy, harmonia i trąbka zaśpiewały przerwanego walca. Znowu zawirowała sala, tyle że inne tańczyły pary.

— Już mnie nie kocha — żaliła się Lidka, kładąc głowę na ramieniu Gruzina. — Jedyna szansa, że jak wojna się skończy, to ona musi wyjechać.

— U mnie jeszcze trudniejsza sytuacja — tłumaczył Saakaszwili — bo ja zaprosiłem Annę, potem one się nami zamieniły, więc ta, z którą tańczyłem, to Hanna. Ale jak ją teraz rozpoznać, żeby powiedzieć, że kocham?

Janek i Marusia nie mówili ni słowa. Zapatrzeni w siebie, zasłuchani w to, co im w sercach grało, tańczyli walca. Reszta świata wirowała wokół nich: mundury i gałęzie splatały się zielonymi pasmami z czerwienią flag, a twarze innych ludzi krążyły jak roześmiane planety. Nie spostrzegli, że w pewnej chwili oficer z paskiem pod brodą podszedł do radzieckiego generała, zameldował się i wręczył kopertę. Nie zobaczyli, że generał przeciął scyzorykiem nici, złamał pieczęcie i spojrzawszy na tekst począł żegnać dowódcę brygady, a potem wyszedł. Nie zauważyli, że po sali z ust do ust przechodzi rozkaz, że radzieccy żołnierze przepraszają dziewczyny, ściskają ręce czołgistom i nikną za drzwiami.

Luźno już było na parkiecie, gdy *starszyna* Czernousow podszedł do zaręczonej pary i uderzył dłonią po ramieniu Janka.

— Odbijany? — spytał wesoło Kos.

— *Niet. Uchodim na Bierlinskoje naprawlenje. Praszczajties.*

Młodzi skamienieli. Najchętniej objęliby się i przytulili, ale już między nimi stanęła wojna, więc tylko cień przemknął po twarzach i zbiały dłonie w krótkim uścisku, przygasły oczy.

— Jan, *ja każdyj dzień...*

— Ogoniok...

W kącie sali, gdzie Hania i Ania dekorowały Grigorija i Gustlika błękitnymi wstążkami, dopadł ich zziajany Wichura i podtykał przed oczy stary przeupocony kapelusz.

— Popatrzcie. Nie chcieliście wierzyć, a ja specjalnie przywiozłem na dowód.



— Bydź cicho — przerwał mu Ślązak. — Ruscy na front idą i Maruśka z nimi.

Patrzył na dziewczynę, póki nie zniknęła w ciemności, a potem dopiero wziął do ręki wojenną zdobycz kaprała, obejrzał dokładnie i stwierdził:

— Kiejby nie tak daleko, to bych powiedział, że Czereśniak blisko.

— Kto?

— Ten chłop, co u nas pod Studziankami prowadził. Miał isto taki cylinder.



## ROZDZIAŁ 25. TOMASZ I KOŃ

PODCZAS SIERPNIOWEJ BITWY wieś czternaście razy przechodziła z rąk do rąk i można byłoby powiedzieć: kamień na kamieniu nie został, gdyby nie to, że ocalały ściany jednej z folwarcznych stodół, z łupanego granitu kładzione. Do stycznia front przechodził tuż obok, żołnierze kopali rowy, budowali ziemianki i bunkry, rozciągając ostatnie cegły z kominów i nadpalone belki.

Kiedy front ruszył i na tydzień przed Gromniczną pierwsi chłopci wrócili zza Wisły do Studzianek, to nawet nie mogli znaleźć miejsca, gdzie wieś wskazać dokładnie, gdzie czyja zagroda, bo drogi po śniegu wydeptane były inne: od armat do dowództwa, z okopów do ziemianek, z punktów obserwacyjnych do stanowisk ogniowych — takie, jak żołnierzom potrzeba. Dopiero kiedy śnieg zeszedł, wyleźli z ziemianek, rozpatrzyli się, co i gdzie było, zaczęli radzić, jak budować.

Radzili jeszcze, kiedy Czereśniakowi samochód wojskowy przywiózł drewno na dom. Dobre drewno — pod dostatkiem belek, żerdzi i desek, a jeszcze do tego dwie siekiery i skrzynkę gwoździ. Jedni powiadali, że to za syna Tomasza, co często do partyzantów biegał, a drudzy, że sam stary pokazał Ruskim, gdzie jeden generał niemieckie mapy i spirytus chował. Czereśniak nic nie mówił, tylko od bladego świtu do ciemnej nocy toporzyska z ręki nie wypuszczał. Syn, pół głowy od starego wyższy, pomagał, a żona dla obu warzyła. W połowie marca tyle już mieli wyrychtowane, że kiedy przyszli saperzy, to w Czereśniakowej izbie chorąży stanął. A na początku kwietnia, tak jakoś po świętym Franciszku, skończyli.

Dzień był ciepły, na wypranym deszczami niebie świeciło słońce, kiedy Tomasz wyniósł na dach wiechę bogato ozdobioną czerwonymi wstążkami i stary, zsunąwszy na tył głowy zmięty przeпоcony kapelusz, przybił ją dwoma gwoździami do krokwi.

Otarł czoło i uśmiechnięty patrzył na wiechę, a potem na syna, który też siedział okrakiem na dachu i usiłował przyglądać palcami rozwichrzoną na wietrze czuprynę. Z góry widać było nie ogrodzone podwórze, skrzynię po wapnie, kozioł do piłowania, porozrzucane wszędzie strużyny, a dalej

przyrdzewiały pług między zeschniętymi ostami. Od pola nadchodził młodziutki saper z karabinem przez plecy, z długim szczupem w rękę.

— Skończone już, panie Czereśniak? — spytał zadzierając głowę.

— Tak jakby — odpowiedział i dał synowi znak, żeby złąził.

Najpierw młody zjechał po słomianym poszyciu na dół, potem stary położył się na brzuchu i wydawszy cienki okrzyk, puścił krokiew. Tomasz podtrzymał go lekko przed lądowaniem.

— Tak jakby — powtórzył Czereśniak, nie patrząc na żołnierza. — Można żyć, za kołnierz nie nakapie. — Chwilę poprawiał zbakierowany kapelusz o barwie podeschniętej naci kartoflanej i spoglądał z dumą na swoje dzieło, potem na pole, na stojący opodal czołgowy wrak. — Ile dzisiaj?

— Cztery. — Odwijając szmatkę chłopak pokazał zapalniki, wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Jeszcze aby do zachodu słońca porobić i wasze pole będzie czyste.

Czereśniak zapukał w okno, które miało tylko jedną szybkę, a resztę kwadratów między szprosami zalepioną papierem i zabita łąciatym brezentem z niemieckiej płachty maskującej.

— Jeść.

Żona uchyliła ramy i podała miskę, dwa glony chleba, dwie łyżki.

— Daj trzecią.

— Swojej nie ma? — burknęła i okno zamknęło się z trzaskiem.

— Masz?

— Co wart byłby żołnierz bez łyżki — odpowiedział saper. — Matka mi dała, jak na wojnę szedłem. — Wyciągnął zza cholewy drewnianą kopystkę, ładnie rzeźbioną, a z kieszeni ósemkę chleba owiniętą w czystą lnianą szmatkę.

Przysiedli na belkach, ustawili miskę na pieńku. Tomasz wyciągnął w jej stronę łyżkę, ale Czereśniak powstrzymał go wzrokiem, przeżegnał się, odczekał, póki młodzi nie pójda za jego przykładem. Potem zaczęli jeść niespiesznie, po chłopsku, uważnie przestrzegając kolejności: Czereśniak, jego syn i saper zaproszony w goście. W ciszy słychać było siorbanie kartoflanki, postukiwanie garnków wewnątrz domu i ucieszone wiosną skowronki.

Miedzą nadszedł młody oficer. Pierwszy zobaczył go saper i zasunawszy łyżkę za cholewę, stanął na baczność. Czereśniakowie obejrzeni się, wstali również.

— Wiecha, panie chorąży — pokazał stary.

— Zobaczyłem z daleka i pośpieszam, żeby na oblewanie zdążyć.

— Bieda u nas. W niedzielę święconej wody przyniosę, pokropię i będzie.

— A ja nie święconej przyniosłem. — Oficer postawił na pieńku butelkę.

Tomasz na znak ojca odniósł miskę i kłusem wrócił z czterema szklankami. Każda była inna w kolorze i w kształcie, jak to musztardówki z różnego czasu bywają, ale chorąży rozlewał równo, znacząc poziom paznokciem na szkle. Tręcili się ze starym. Młodzi próbowali sięgnąć, ale Czereśniak, sam pijąc, powstrzymał ich gestem.

— Obiecałeś dziś pole skończyć — rzekł do sapera. — Wieczorem się napijesz — zapewnił, a potem zawołał: — Matka, a chodźże tutaj!

Podał chorążemu drugą pełną i żonie, która wstydliwie się odwróciwszy nadpiła trochę, skrzywiła usta i resztę zwróciła mężowi.

Saper zasalutował, zabrał szczup i bez słowa odszedł w stronę czołgowego wraka. Oficer uważnie patrzył za nim, częstując tytoniem gospodarza i Tomasza.

Kobieta zabrawszy szklanki wróciła do chaty, a mężczyźni kręcili cygarki. Czereśniak, trącając kawałkiem palnikowej stali o krzemień, skrzesał iskrę na knot oprawiony w karabinową łuskę, dał przypalić chorążemu i sam zakopcił. Gotową już kozią nóżkę w gazecie odebrał synowi, schował za taśmę kapelusza.

Chwilę milczeli przy pierwszych dymach, a potem odezwał się chorąży:

— No jak, panie Czereśniak? Dostał pan ziemię, chałupę pan zbudował, zaczyna się życie.

— Żeby tylko szybko się nie skończyło: nie mam czasu orać, nie ma co siać, a jakby hrabina wróciła, to by nam nie tylko ziemię wyrwała, ale i nogi. — Mrużył oczy do słońca i z zakłopotaniem pocierał ręce o łaty na kolanach.

— Jak ojciec sam jej nie nadstawi, to nie wyrwie.

— Siedź cicho, smarkaczu — trzepnął młodego przez plecy — tu nie partyzantka, żebyś się miał mądrzyć, tu, Tomuś, póki żyję, moja głowa.

— Dziwny z was człowiek, panie Czereśniak: dostaliście dużo, a wciąż wam mało.

— Ziemię, obywatelu chorąży, wszystkim dają, poniektórych strachliwszych to nawet proszą, żeby brali, a na drewno uczciwie zarobiłem. Cały batalion z okrażenia...

— Słyszałem. A kiedy Tomasz do wojska?

— Nie pójdzie. My starzy, on jedyny żywiciel. Orać trzeba.

— Nie wstyd, że dzieciuch na waszym polu miny wyciąga, a wy takiego byka w domu trzymacie? Rozumiem jeszcze, póki budowa... — chorąży urwał, wrzucił ramionami i wstawszy z desek poprawił pas. — Wieczorem wrócę na kwaterę — dodał odchodząc.

Czereśniak popatrzył za nim i też ramionami wrzucił.

— Orać trzeba — mruknął do siebie, a potem zwrócił się do syna: — Chodź, Tomuś, poprobujemy.

Wrak czołgu stał pośrodku nie zaoranego pola. Z daleka podobny był do dziwacznej czarnej skały, a stąd, z bliska, wyglądał mniej groźnie. Zielsko poprzerastało między trakami gąsienic, na rdzawym metalu marszczyły się lusterka wody po niedawnym deszczu. Z jednego na drugie skakała żaba, zielona jak młody liść, i pluskała drobnymi kropelkami na boki.

Ostry szczup, nakłuwający ziemię raz przy razie, trafił na opór. Saper przyklęknął. Rozgarniając trawę wypłoszył spod czołgu głupiego malutkiego zajaczka, który zwiął w głęboką bruzdę przy miedzy. Patrzył chwilę, jak trawy się kołyszają nad szaraczkiem, a potem ostrożnie, powoli zaczął wykręcać zapalnik. Gwint z miejsca ruszył łatwo, ale chłopięcą, prawie dziecinną jeszcze twarz, z perkatym nosem i garścią piegów, pokryły grube krople potu. Kiedy tak klęczał pochylony, widać było, że mundur przyluźny i karabin przyduży.

Rozbroiwszy minę wstał, zdjął polówkę, otarł twarz dobytym z kieszeni czystym ręcznikiem i przemykając oczy wystawił ją na słońce i wiatr. Pod plecami miał chropawy wrak czołgu. Obok, w krzaku kwitnącej tarniny dogadywała się para sikorek i samczyk śpiewał coraz głośniejsze, wraz z wyższymi tonami grały mu w gardle srebrne dzwonki.

Otworzywszy oczy żołnierz obejrzał się na chałupę Czereśniaków. Na świeżo poszytym dachu sterczała wiecha z wiankiem i wstążkami. Westchnął,

zmierzył wzrokiem, ile jeszcze zostało nie sprawdzonego ugoru i jak wysoko słońce, po czym wziął się znowu do pracy.

Pochylony, wpatrzony w ziemię i połyskliwe ostrze swego szczupa, nie dostrzegł, że dowódca plutonu z płaszczem na rękę, z plecakiem zarzuconym na jedno ramię, niesie na swą kwaterę spory odbiornik radiowy. Gdyby widział, pobiegłby pewnie obok czołgowego wraka przez rozminowane pole, żeby pomóc. A tak to chorąży sam taszczył niezgrabne pionowe pudło aż do tego miejsca obok chałupy, z którego spostrzegł trzy płytkie skiby na rżysku. Skąd stary wziął konia? pomyślał ze zdumieniem, bo we wsi nie było ani jednego.

Zza węgła wyszedł nisko pochyłony Tomasz, w chomącie na ukos przez piersi. Szarpnięciami wpierał nogi w ziemię, linkami bez orczyka ciągnął pług, który prowadził ojciec. Obaj zziajani, zmęczeni, niczego nie widzieli dokoła.

— Panie Czereśniak! — zawołał chorąży.

Pług stanął, stary z wolna rozprostował plecy.

— Czego? — spytał zachrypniętym głosem.

— Wieczór.

— Wieczór? No, to koniec. Wyprzęgaj się, Tomuś.

Obaj podeszli do oficera i wówczas błysnęło, usłyszeli wybuch i krótki krzyk. Chmurka szarego kurzu zawisła nad wrakiem czołgu.

— Cholera! — zaklął chorąży.

Rzucił radio i rzeczy na ziemię, pobiegł w tamtą stronę przez ugór.

Po kolacji Czereśniakowa wyszła z chałupy dać jeść prosiakowi, a mężczyźni zostali w izbie. Karbidówka jaskrawym płomieniem rozświetlała mrok. Tomasz reperował postrzelaną harmonię, którą kupił na targu w Kozienicach od rannego krasnoarmiejca. Zaciskając palcami dziury, próbował grać po parę taktów. Stary ośnikiem strugał orczyk.

Chorąży oparł w zamyśleniu głowę na dłoni, a łokcie o stół zбитy z desek. Leżało na nim parę kartofli w łupinie, połówka wojskowego chleba, stała konserwa rozcięta na dwie części. I samotnie na pustym miejscu kołysała się łyżka — rzeźbiona drewniana kopystka młodego sapera.

Reszta wódki drgała na dnie butelki, podzwaniały nie dopite szklanki od szturchnięć struganego na orczyk kołka, a Czereśniak opowiadał niespiesznie, z przerwami.

— ...po walce nie chciałem się nawet upominać, ale generał mnie dogonił i powiada: zasłużyłeś... — spadła gruba strużyna, błysnęło ostrze — ...jak niejeden nie zasłużył, tak ty zasłużyłeś, masz tu kwit na drzewo i bierz. Tak powiedział. I order też miałem dostać, ale oni zaraz dalej poszli, na Warszawę.

Chorąży słuchał i nie słuchał. Sięgnął do saperskiej kopystki, przełożył bliżej siebie, w palcach zaczął obracać.

Przerwał Czereśniak swoją opowieść, potarł nie ogoloną brodę i powiedział:

— Wyżyje przecie.

— Pewno, że wyżyje — odrzekł chorąży — ale bez dłoni nieporęcznie mu będzie. Gorzko matka zapłacze, i to niejeden raz. Młody bardzo...

— Panie! — szeptem zawołał Czereśniak. — Ja nie żałuję: dwóch było, jeden został. Ale siał trzeba. Samą Polską gęby nie nasyci, trzeba orać i siał — uderzył pięścią w stół, spojrzął na syna i krzyknął: — Przestań ty na tej harmonii piskać!

— Kulą przebita. Jak wyreperuję, inaczej zaśpiewa.

— Niech się pan, panie Czereśniak, nie złości. O nic nie proszę, niczego nie żądam — powiedział chorąży, zerknął na zegarek i mruknął: — Choroba! Wiadomości już idą.

Sięgnąwszy za siebie za okienny parapet, włączył radio, podstroił i trafił na ostatnie zdania komunikatu:

*„...u boku wojsk radzieckich w walkach o wyzwolenie Gdyni i Gdańska brała udział 1 brygada pancerna imienia Bohaterów Westerplatte. Na Długim Targu, na wieży zabytkowego ratusza, przy dźwiękach hymnu narodowego zawieszono polską flagę. Gdańsk, miasto ongiś nasze, dziś znowu jest nasze...”*

— Moja brygada! — nie wytrzymał stary.

Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale tylko ręką machnął i zamilkł. Nie słuchał ani radia, ani harmonii, ani żony, która go o coś prosiła, tylko strugał zapamiętałe. Pachnące lasem wióry zwijały się w spirale, padały na podłogę i stamtąd, z cienia, świeciły jak białe kwiaty.

Skończywszy, obejrzał orczyk przy świetle, postawił go w sieni i głosem nie cierpiącym sprzeciwu zarządził:

— Pora spać!



Legł pierwszy, ale inni dawno posnęli, a on jeszcze czekał, aż go sen zmorzy. Zadrzemał, zdawało się na niedługo, ale jak się ocknął, było już dobrze za północ. Nie potrzebował zegarka, żeby wiedzieć, bo księżyc padał przez jedyną szklaną szybkę w oknie, świecił prosto właśnie na twarz. Leżał ze zmarszczonym czołem, z otwartymi oczami, nasłuchując, jak oddycha żona i pochrapuje lekko.

Potem wstał, podciągając gacie zbliżył się cicho do okna, otworzył je i patrzył na pole przecięte wąską krechą świeżo wyoranych bruzd. W wyszlifowanym lustrze pługa połyskiwało światło.

Westchnął głęboko ze trzy razy, cofnął się i stanąwszy nad legowiskiem syna, myślał długo, tak długo, aż z dworu powiało przedrannym chłodem. Wówczas odchylił połę kurtki, którą Tomasz był okryty, żeby zobaczyć jego twarz. Chłopak poruszył się niespokojnie przez sen, odrzucił na bok ciężką rękę, zacisnął i otworzył pięść. Druga dłoń leżała na poduszce. Ojciec zdecydował: krzyżem świętym przeżegnał siebie i syna, a potem go zbudził.

— Wstawaj.

— Czego? Jeszcze nie świt.

— Wstawaj — powtórzył z naciskiem. — Do wojska pójdiesz.

Tomasz siadł, potrząsnął zdziwiony głową.

— Przecież byłem i zwolnili. Powiedziałem, jak ojciec kazał...

— No! — groźnie podniesiona ręka urwała rozmowę.

Ocknęła się matka, przeżegnała szybko, narzuciła spódnicę przez głowę i wstała.

— A ty czego?

— Na drogę co podszykuję.

Hałasując garnkami zaczęła się krzątać po ciemnej kuchni.

Skrzypnęły drzwi, z sąsiedniej izby wyrzwał rozbudzony chorąży.

— Stało się coś?

— A stało — zagderła Czereśniakowa. — Stary oszalał, syna goni.

— Dokąd?

— Do Gdańska, do pancерnej brygady — wyjaśnił Czereśniak.

— Jak tam trafię? — ze złością zamruczał chłopak, wciągając spodnie.

— Razem z Wisłą. Zresztą ja ci, Tomuś, drogę pokażę.

O wschodzie słońca Czereśniakowie byli już parę dobrych kilometrów od domu. W krótkich kapotach, boso, z butami przewieszonymi na

sznurowadłach przez ramię wędrowali szerokim krokiem po przeciwpowodziowym wale wiślanym. Tomasz niósł na plecach nieduży worek z zapasami, stary długą witkę. Nie mówili do siebie, bo i po co? Przeszkód żadnych nie napotykali, aż do tej pory, kiedy zobaczyli pasiasto pomalowany szlaban i wartownika.

Podeszli nie zwalniając kroku i ojciec znurkował pod belką na drugą stronę. Żołnierz zagroził mu drogę osadzonym na karabinie bagnetem.

— *Kuda?*

— *Zdrastwuj, towarzyszu.* — Czereśniak, zrobiwszy jeszcze pół kroku, odsunął jedną ręką ostrze sprzed oczu, ukłonił się kapeluszem i wyjaśnił: — Łaciata nam uciekła, *karowa udrała*. Nie widział? Łaciata, tędy...

— *Karowa uszła.* — Wartownik kiwnął głową. — *Wot tam widno* — pokazał na pasące się w dali bydłatko.

Czereśniak raz jeszcze złożył ukłon, kiwnął na syna i obaj ruszyli kłusem. Oddaliwszy się na bezpieczną odległość, zwolnili jednak, wrócili do rytmicznego, szerokiego kroku ludzi zdążających daleko.

— Przez to twoje żelazo tom się spocił — stwierdził ojciec. — Trza było nie brać.

— W dziupli by zardzewiało. — odrzekł Tomasz i wsunąwszy rękę pod kurtkę poprawił broń na brzuchu. — Może się przydać.

Minęły może trzy, może cztery godziny, gdy nagle stary za drobił niczym do polki. Tomasz zmienił nogę raz i drugi, starał się dostosować, ale na próżno. Ojciec coś sobie widocznie w mózgu obliczał, kalkulował poruszając bezdźwięcznie wargami i zwalniał, to znowu przyspieszał do wtóru myślom.

— Trudno by z tatą w jednym zaprzęgu — mruknął Tomasz.

— W zaprzęgu musi być koń — odpowiedział stary. — Człowiek się nie nada. Wczoraj za całe popołudnie trzy skiby żeśmy wyorali.

Chwilę szli w milczeniu. Czereśniak przyspieszył. Syn sadził za nim coraz większymi krokami i kiedy ojciec nagle przystanął mało brakło, a byłby wpadł na niego. Widząc, że stary nie rusza, chłopak zdjął z pleców worek z zapasami, zaczął sznur rozsypywać.

— Ty czego? Głodnyś? Jeszcze nie pora.

Ruszył przodem, a za nim Tomasz lokujący z powrotem worek na ramionach.

— Oni mają nie tylko czołgi — zaczął opowiadać ojciec, zwalniając. — Samochody mają. I konie też. — Odwrócił głowę.

— Kto?

— W brygadzie, generał.

— Po co im? — spytał Tomasz obojętnie.

— Pewno jakby się motor zepsuł... Albo może produkty do kuchni wożą: kartofle, chleb, kapustę.

— W brzuchu tak pusto, że burczeć zaczyna.

— Kupimy gdzie chleba. Suchary na potem.

Nie było gdzie chleba kupić, ale stary nie dawał stanąć, dreptał wytrwale bez obiadu i zatrzymali się dopiero wtedy, kiedy przed wieczorem dogonili na piaszczystym gościńcu przechyloną na bok ciężarówkę z podziurawionymi tylnymi kołami. Szofer czekał na lepsze czasy, bo lewarek właśnie koledze pożyczył, a tędy nikt nie jechał. Pomogli zładować, dźwignąć i załadować, za co dostali po dwie kromki z konserwą i całą noc jadąc spali na workach z kaszą, a rankiem, znacznie bliżej celu, pożegnali się czule z kierowcą.

Na skromnym ogieńku z suchych szyszek ugotowali jagły podebrane przez ojca z nadprutego worka i poszli dalej.

Wkrótce potem poszcęściło im się miasteczko nad samą Wisłą, a w nim na skraju sklep i wiele drogi nie trzeba było nakładać. Zadrzał dzwonek u wejścia, kiedy drzwi pchnęli, i sklepowy wyszedł z mieszkania, ale półki były prawie puste: czarna pasta do butów, żółte sznurowadła, na kontuarze duży słój z kiszonymi ogórkami.

— Pochwalony. Pan da bochenek — powiedział ojciec, zdejmując kapelusz.

— Nie ma chleba.

Stary sięgnął do słoja, grzebiąc palcami wybrał największy ogórek, odgryzł połowę i resztę oddał synowi. Wytarłszy palce o kapotę dobył woreczek zawieszony na piersi, a z niego zwitek banknotów i jeden położył na kontuarze.

— Chleba.

— Rano był, teraz nie ma. — Sprzedawca klasnął dłonią o blat.

Czereśniak rzucił drugi banknot, odczekał chwilę i przypasował obok trzeci.

Sklepowy patrzył uważnie, przysunął rękę bliżej pieniędzy.

— Może być połówka — skusił się.

— Cały — zażądał Czereśniak kładąc czwarty banknot i wszystkie razem przyklepał dłonią.

Sprzedawca sięgnął pod kontuar, dobył okrągły chleb. Tomasz odebrał od niego bochenek, wsunął do worka, a stary szybko cofnął rękę z pieniędzmi, zostawiając tylko jeden banknot. Sklepikarz ujął długi nóż do chleba, stuknął ostrzem po kontuarze.

— Reszta — zażądał groźnie.

— Tyle się należy. Niech będzie pochwalony.

Stary się uklonił, wsadził kapelusz na głowę. Sklepowy zmierzył młodego oczyma, zrobił krok, by wyjść z za kontuaru, lecz cofnął się po namyśle i machnął ręką, że niech tam. Tomasz pochylił głowę i obaj z ojcem wyszli.

Długo brzęczał dzwonek u wejścia. Sklepowy stał przy szybie i patrzył, w którą stronę tamci odchodzą. Potem splunął na dawno nie zamiataną podłogę, włożył czapkę i przekręciwszy klucz w drzwiach szybkim krokiem ruszył ulicą w stronę miasteczka.

Czereśniakowie podjadłszy chleba z cebulą wędrowali dalej szerokim gościńcem, któremu po lewej las towarzyszył, a z prawej w dole widać było Wisłę. Tomasz zerkał co pewien czas za siebie. Z cienia wierzb wyszli akurat w słońce, kiedy nie hamując kroku pociągnął za rękaw starego, idącego w przdzie.

— Ojciec...

— Czego?

— Trzej na rowerach jadą. Skoczmy między drzewa?

Czereśniak przystanął, popatrzył, zastanowił się chwilę i bez słowa spokojnie ruszył dalej. Tomasz za nim. Rowerzyści byli coraz bliżej, prawie już doganiali, lecz stary jakby ich nie widział. Jeden z tamtych — właściciel sklepu — nieco zwolnił, a dwóch, chudy i gruby, zjechało na lewą stronę drogi. Nacisnęli mocniej pedały, wyprzedzili i zeskoczywszy z siodełek ustawili rowery pod wierzbą.

— Rozepnij kapotę — powiedział ojciec nie odwracając głowy.

O dziesięć metrów z tyłu czaił się sklepowy z ciężką pompką w rękę, a dwaj z przodu zastąpili im drogę. Czekali na rozstawionych, lekko ugiętych nogach i kiedy nasi podeszli bliżej, tamci jak na komendę dobyli noży, z trzaskiem otworzyli sprężynowce.

— Cała forsa albo będziemy pruć — zawiadomił chudy.

— Chyba żebym wypruł pierwszy — odpowiedział Tomasz i rozchyliwszy kurtkę błysnął automatem. — Scyzoryki równiutko na ścieżce i trzy kroki do tyłu... A teraz na pysk i leżeć. Ty też! — zawołał do cofającego się sklepikarza.

Tymczasem ojciec podniósł noże, palcem popróbowował ostrza. Jeden zamknął i schował do kieszeni, a z drugim w garści dokładnie oglądał rowery.

— Ten najgorszy — powiedział z westchnieniem i przeciął sprężynowcem opony na damce sklepowego. — Panie Boże dopomóż — dodał uprzejmie na pożegnanie, kiedy obaj z synem przymierzali się do siodełek.

— Źle wychowane — rzekł Tomasz, bo z trzech leżących ani jeden głowy nie podniósł.

Na rowerze jedzie się znacznie prędzej niż jakby iść piechotą, nawet jeśli droga piaszczysta, a ścieżka wąska i kręta. Niedługo zresztą trakt lekko skręcił, wyprowadził na szosę. Stary poprawił kapelusz, pochylił się nad kierownicą i mocniej nacisnął pedały. Za nim na kółku podciągnął się Tomasz.

Dawali sobie zmiany, jak trzeba prześcigali zaprzęgi konne. Nawet raz z góry udało im się wyprzedzić powolną ciężarówkę. Tak dojechali do tablicy z napisem: GDANSK 172, spod którego, jak się dobrze przyjrzeć, przebijały świeżo zamalowane litery: DANZIG.

Za tablicą była górka, a z niej znowu zobaczyli Wisłę i miasto nad samym brzegiem leżące. Szosa prowadziła nad rzeką, w lewo żadnego skrętu nie było, więc chcąc nie chcąc zjechali między domy.

Cały brzeg był w tym mieście kamienny i ulica brukowana kwadratowymi kostkami. Co parę metrów sterczały żelazne pniaki, a do dwóch grubymi linami przycumowana była barka. Prowadziły na nią kładki — dla wchodzących na pokład i wychodzących. Niewysoki, krępy kapral w za oliwionym na kolanach drelichu kierował załadunkiem worków z mąką. Czereśniakowie przystanęli i słuchali chwilę, jak pokrzykuje groźnie na robotników i pomagających im żołnierzy.

— Potrzyмай, Tomek — rozkazał ojciec złącząc z siodełka i podszedł bliżej. — Panie kapral... — zagadnął, ale tamten nie spoglądał na boki, nie słyszał nawet pewno, że go wołają.

— Panie sierżancie... — zagadnął głośniej Czereśniak, odczekał chwilę i krzyknął: — Panie poruczniku!

— Stopni, obywatelu, nie odróżniacie? — Kapral się odwrócił. — Nie jestem porucznikiem, do cholery.

— Ale pewno pan będzie. Z takim wyglądem.

— Czego chcecie, ojciec?

— Żeby pan zabrał.

— Nie mogę, transport wojskowy.

— Ale nie armaty, tylko mąka.

— To niczego nie dowodzi. A może w mące granaty?

— A może syna wiozę do Gdańska, do wojska?

— Od tego są RKU. — Kapral szmyrgnął perkatym nosem i spode łba popatrzył na rozmówcę.

— Ja do swojej brygady pancerniej.

— Czemu to nasza brygada ma być wasza?

— Bo ja pod Studziankami prowadziłem odsiecz dla batalionu Baranowa na czołgu, co miał napisane 102.

— „Rudy”!

— Nie było rudego. Porucznik, co dowodził, był czarny, ten przy radiu — jasny jak len...

— Ten jasny teraz dowodzi... Szybciej wy z tymi workami! — popędził ładujących i dodał: — Teraz ja w tej załodze będę. Kapral Wichura.

— Czereśniak — stary uniósł kapelusza.

— No, co się ojciec patrzycie? Jak do naszej brygady, to siadać. Gdzie syn?

— Tomek! Pójdź no tu.

— Czekaście. — Kapral zatrzymał nadchodzącego, pomacał mięśnie. — Może by pomógł?

— Można. Pomóż im, Tomuś. — Czereśniak odebrał rowery, zręcznie przeprowadził po kładce i ułożył je na pokładzie obok budki sterowniczej.

Tomasz szerokim krokiem poszedł ku otwartym drzwiom magazynu. Zadali mu worek na plecy, a on wziął jeszcze drugi pod pachę i ruszył po kładce na barcę.

Na tej barce załadowanej workami z mąką, wleczonej przez mały, ale gęsto dymiący i czarny jak smoła holownik, płynęli od wieczora przez całą

noc i jeszcze pół następnego dnia. Płynęliby może do samego Gdańska, gdyby się Tomasz nad miarę nie postarał. A zaczęło się od tego, że żołnierze mieli harmonię, jeden drugiemu do ręki ją wpychał, próbowali grać, ale nikt nie potrafił.

— Dajcie no tu — powiedział Wichura. — Nowych zapytam. Małorolni często potrafią.

Wziął instrument i przewędrował nad burtą ku tyłowi barki, gdzie pod sterówką siedzieli na swych kapotach Czereśniakowie.

— Umiecie grać, ojciec?

— Syn potrafi.

Tomasz wziął harmonię bez słowa, spróbował paru taktów i twarz mu się zmieniła, ciepło ją rozświetliło od wewnątrz. Nabrał tchu w płuca, zrobił oko do kaprała i po zawadiackiej przygrywce zaśpiewał:

*Już kuferek stoi zrychtowany,  
już tam stoi na stole.  
Wynieś mi go moja najmilejsza,  
wynieś mi go na kolej.*

Kaprał uśmiechnął się, oparł o malowaną w łaty sterówkę i zaczął do rytmu postukiwać w blaszany dach.

*Już tam kolej stoi zrychtowana,  
przy kolei wielki plac,  
jak ja będę do wojska odjeżdżał  
będzie za mną wielki płacz.*

Holownik ryknął ostrzegawczo syreną, ale Tomasz nie przerwał grania.

*Będą za mną dziewczyny płakały  
com ja z nimi...*

Od strony holownika załomotała ostra seria karabinu maszynowego, druga i trzecia.

— Co jest? — zawołał Wichura w stronę tych na dziobie, wyciągając z kabury pistolet.

— Mina! Mina na kursie! — odkrzyknęli żołnierze.

Holownik ostro skręcił, powlókł baręk ukośnie w prawo, lecz było już za późno i lewa burta podpływała coraz bliżej do wystającej z wody półkolistej miny.

— Cholerny świat! — zaklął Wichura, chwycił psychowe wiosło i szeroko rozkraczony stanął u burty.

Czereśniak się zegnał i poruszał wargami w modlitwie. Tomasz schował za siebie harmonię, jakby ją własnym ciałem chciał osłonić. Mina była coraz bliżej, grube paluchy zapalników groźnie sterczały na boki. Wichura łagodnie dotknął wiosłem metalowej pokrywy, nacisnął.

— Żeby się tylko nie omskła — szepnął stary.

Kapral, odpychając, zrobił parę kroków wzdłuż burty ku rufie. Potem z ogromnym trudem, jak gdyby nagle stało się znacznie cięższe, wyciągnął wiosło i siadł, bo strach ugiął mu nogi.

— Rany boskie, żeby który z tych paluchów zaczepił...

— Kto inny zaczepi — powiedział wesoło Tomasz.

— Z holownika strzelali, żeby zdetonować, ale trafić niełatwo. Mogą jeszcze na niej dobrzy ludzie zginąć.

Tomasz wstał tak gwałtownie, że jęknęła harmonia. Dobył spod poły kurtki swój automat i zarzuciwszy pas na łokieć, legł przy rufie, gotując się do strzału.

— Czekaj trochę — powiedział Wichura i zawołał do żołnierzy: — Padnij, wszyscy padnij!

Tomasz nie patrząc za siebie złożył się do zapalnika. Lufa chodziła w dół i w górę w rytmie łagodnej fali spod śruby. Spróbował gonić cel, ale nie wyszło. Rozluźnił stwardniałe mięśnie. Wziął w płuca powietrze, wypuścił i wstrzymał dech. Łagodnie coraz dalej ściągnął spust i znów poluzował.

Jeszcze raz wdech i wydech, ściąganie. Muszka od dołu znad fali podeszła do ciemnej kreski zapalnika i równocześnie zagrała seria. Ułamek sekundy czekał, widząc, jak kule krzeszą błyski z korpusu miny i...

Wybuch!

Śłup wody poszedł w górę, potem przetoczył się grzmot, fala podrzuciła baręk. Stara berlinka wiślana jęknęła jak żywa, zatrzeszczała wszystkimi wręgami. Doleciały dalekie bryzgi, padło kilka furkocących odłamków. Echo powtórzyło grzmot i znowu zapadła cisza.



Wichura wstał, kopnął odłamek. Spojrzał na puste miejsce, w którym leżał przed chwilą Tomasz. Zdziwiony obejrzał się i zobaczył, że strzelec siedzi już z powrotem pod sterówką, na kolanach trzyma połyskującą klawiszami harmonię.

— Niechże cię! — podchodząc bliżej powiedział Wichura z podziwem. — W brygadzie chyba tylko Kos, co by ci zrównał.

— Na harmonii?

— Nie. W strzelaniu.

Obaj Czereśniakowie uśmiechali się, a Tomasz, cichutko grając, wyświstywał melodię przez szczerbę między przednimi zębami.

— Zaczekaj! — Wichura energicznie chwycił go za rękę. — Gdzie automat? Skąd masz broń, jak jeszcze w wojsku nie jesteś?

— Nie mam — odpowiedział Tomasz i twarz mu skamieniała.

Długą chwilę mierzyli się oczami. Wreszcie Wichura powoli wstał, z wysiłkiem przywołał uśmiech na twarz.

— Jak nie, to nie. Będzie okazja, poszukamy.

Wsadziwszy rękę do kieszeni odszedł powoli na dziób do swoich żołnierzy. Stamtąd niespokojnie popatrzył w stronę łaciatej sterówki, przygryzł wargę, a potem przykucnął za windą kotwiczną i pokręcił korbką polowego telefonu.

— Holownik? Tu Wichura. Kapral Wichura. Przycumujcie w najbliższym mieście, gdzie garnizon...

Motorzysta aa statku nie pytał nawet dlaczego, lecz tylko potwierdził przyjęcie rozkazu.

Szli może jeszcze pół godziny trzymając się najgłębszego nurtu, a potem w przedzie pojawiło się miasto i nieduża przystań. Holownik dał sygnał syreną, zespół skręcił na płyciznę i barka sunęła teraz blisko, coraz bliżej brzegu. Nad wodą schylały się konary drzew. Obaj Czereśniakowie, obserwujący je uważnie, porozumieli się wzrokiem.

— Harmonii żal, ale trzeba.

— Jak trzeba, to trzeba. Tylko dźwignij mnie, Tomuś, bo nie doskoczę.

Gdy potężny konar przechodził nad pokładem, Tomasz podsadził ojca.

Gałąz strąciła kapelusz. Stary podciągnął się, siadł okrakiem i stęknął z rozpaczą:

— Trzymaj go!

— Trzymam — mruknął syn zawieszony ręką i nogą, dźwigając z pokładu jeden z rowerów.

Żołnierz na dziobie zarepetował karabin i krzyknął:

— O rany, wieją!

Wichura się zerwał, pobiegli razem ku rufie. Pochylony jesion, w koronie którego jak dwa indyki trzepotali zbiegowie i połyskiwały rowerowe szprychy, odpływał coraz dalej. Kaprał wydobył pistolet, ale nie uniósł go nawet i wstrzymał celującego żołnierza.

— Nie trzeba. Ludzi żal, a po drugie — ten młody za dobrze strzela... — Rozejrzał się i położył rękę na opartej o sterówkę kierownicy. — Rower na naszą korzyść. Rower i kapelusz... — Podniósł z pokładu wyburzałe, spłowiałe od słońca i deszczów nakrycie głowy starego. — Biegnij na dziób — rozkazał — i zawiadom holownik, że już nie trzeba. Prujemy prosto na Gdańsk.

Ledwo poszarzało, Czereśniak obudził syna.

— Pospałby ojciec jeszcze trochę.

— W głowę zimno.

— Kapotą przykryć można.

— Posłuchaj, Tomuś.

Młody dźwignął się z jamy wygrzebanej w stogu zeszłorocznego siana. Nie bardzo daleko warknęła seria, potem druga i stęknął granat. Po chwili załomotało podobnie, ale bliżej.

— Później zgjemy — zaproponował stary.

— Później — potwierdził syn.

Ześliznęli się na łąkę, spieszonym krokiem ruszyli przez krzaki, byle dalej od strzałów.

Stopniowo pojaśniało i przycichło. Nad świergotliwym, czystym strumykiem przegryźli po sucharze, zapili wodą i w znacznie lepszych humorach pojechali twardą ścieżką przy polnej drodze. Tomasz pedałowal, trzymając na ramie ojca, który co chwila się poprawiał i przygadywał.

— Trzeba ci było, Tomuś, tę minę rozpukać? Niechby se pływała, myśmy ją minęli. A teraz zamiast siedzieć wygodnie...

— Jak się ojciec nie przestanie kręcić, to będziemy w rowie leżeli.

— Muszę, bo inaczej rura mi zadek w poprzek przefasonuje... — Trafiwszy na wybój Czereśniak urwał, jęknął, a po chwili dodał: — I rower jeden przepadł.

Tomasz wybuchnął gwałtownym śmiechem.

— Czego ryczysz, głupi?

— Bo mi ojciec włosy w sam nos pakują — chichotał dalej i stary zaczął mu cienko wtórować.

Z tym śmiechem zjechali ze sporej górki. Ścieżka skręciła w wesołą, biało-zieloną brzezinę, a tam w poprzek leżał pień. Gwałtownie przyhamowali, zarzuciło, rąbnęli na ziemię. Leżeli jeszcze, kiedy zza drzew wybiegło dwóch Niemców — drobny feldfelbel i wysoki szeregowiec.

— *Halt!* — krzyčili celując z automatów do leżących. — *Kleider weg!*

Czereśniakowie wplątani w rower, rozciągnięci na ziemi, z podniesionymi nad głowy rękami, nie bardzo wiedzieli, co mają najpierw robić.

— Rozpieraj, rozpieraj — tłumaczył podoficer i rozpinając guziki munduru gestami pokazywał, czego chce. — *Aber schnell!* — tupał nogami, oglądając się niespokojnie za siebie.

Czereśniakowie, widząc, że nie ma żartów, wygramolili się spod ramy i kierownicy, wstali z ziemi, zaczęli ściągać kapoty.

— Ani chybi zastrzelą i jeszcze rower zabiorą — mamrotał ojciec.

Tomasz usiłował wyszarpnąć swój automat, lecz zaczepił muszką o podszewkę. Wysoki Niemiec zdążył doskoczyć i wyrwał mu broń.

— *Partisanen, Banditen* — cedził przez zęby i z wolna unosił własny pistolet maszynowy, nie zdejmując palca ze spustu.

Feldwebel wstrzymał go i kładąc dłoń na ustach, rozkazał:

— *Maul halten!*

Po chwili Czereśniakowie zostali już tylko w gaciach. Niemcy gestami kazali im lec na ziemi, a sami rozdziali się błyskawicznie, nie przestając grozić automatami. Przez chwilę tak wyglądało, jakby razem mieli się wybrać do kąpieli, ale fryce zaraz spieszenie chwycili chłopskie ubrania. Myląc rozmiary, wyszarpywali sobie nawzajem portki, koszule, kapoty. Wreszcie odziali się jako tako i zabrawszy rower, ruszyli w tę stronę, z której nasi nadjechali.

— *Maul halten! Ruhe!* — stłumionymi głosami pokrzykiwali jeszcze spomiędzy drzew.

Czereśniakowie chwilę leżeli spokojnie, potem unosząc głowy rozpatrzyli się na boki, a wreszcie Tomasz, wdziawszy niemieckie spodnie i saperki, ostrożnie ruszył ścieżką. Na skraju brzeziniaka ze zdziwieniem zobaczył w trawie wszystkie automaty — swój i oba niemieckie. Chwycił pepeszę, zarepetował, lecz już było za późno: Niemcy dotarli na garb pagórka i właśnie znikali za horyzontem. Zabrał broń i wróciwszy zastał ojca siedzącego na pniu i ubranego już w podoficerski mundur, w pasie, nawet z czapką na głowie.

— Krój dobry — obracając się, demonstrował stary — tylko kolor paskudny i muszę te wrony wyrzucić, bo inaczej daleko nie... — urwał, rzucił nóż, który przygotował do odpruwania i nagle uniósł ręce.

— Co ojciec?

— Ciśnij, Tomuś, te pistolety, ciśnij, powiadam, na ziemię — rozkazał synowi.

Tomasz położył broń na trawie i obejrzawszy się zobaczył cztery lufy i czterech radzieckich żołnierzy, gotowych do strzału. Tamci kpiąco obejrzeli schwytych, jeden podniósł z ziemi kurtkę mundurową i rzucił Tomaszowi.

— Poszli fryce. *Hitler kaputt!*

Nie mówiąc więcej ni słowa, wyprowadzili obu Czereśniaków z brzeziny na polną drogę. Tomasz zezem popatrzył na ojca, czy do *unteroficera* podobny, i aż się przestraszył, bo jakby kto nie wiedział, mógłby uwierzyć. Mimo że niemłody, to na feldfebla z końca wojny był nawet za dobry.

— Trzeba im powiedzieć, że my Polacy — doradził półgłosem.

— Niech ręka boska broni — usłyszał szept w odpowiedzi. — Takich Polaków, co u Niemca służą, to oni na miejscu.

Nie minęło pięć minut, jak doszli do szosy, na której czekał spory oddział jeńców uformowanych czwórkami do marszu. Po dołączeniu naszych jeden z żołnierzy, którzy wzięli Czereśniaków do niewoli, zawołał:

— *Gatowo!*

— *Szagam marsz!* — padła komenda od czoła.

Kolumna ruszyła. Niemiec idący obok w szeregu odwrócił głowę w kierunku starego i cicho spytał:

— *Sind sie jetzt gefangen werden, Herr Unteroffizier?*

— *Paszol ty won* — odpowiedział Czereśniak i pokazał mu język.

Kolumna mijiała drogowskaz z rosyjskim i polskim napisem:

GDĄŃSK 63.

— Już blisko — westchnął stary. — Tylko *ancug* mi się nie podoba — szarpnął i zerwał z piersi nadprutego orła.

Po zaręczynowej zabawie czas począł się bardzo dłużyć załodze Rudego. Generał niby obiecał, że pośle ich do sztabu 1 armii w ślad za czterema wcześniej odesłanymi czołgami, ale bardzo był czymś zajęty ostatnio i nie umieli go przychwycić.

Tymczasem więc, jak to w garnizonie na tyłach, wyznaczono ich do prac w parku maszynowym, to znowu na wartę, a najczęściej, że względu na Szarika, kazano pilnować podczas prac na ulicach miasta wziętych do niewoli Niemców. Nie była to służba ciężka, tyle że mało ciekawa. Siedzieli na gruzach rozwalonego domu i wystawiali twarze do słońca. Gustlik z nudów poświstywał i podśpiewywał. Grigorij marszczył czoło i po raz dziesiąty opowiadał Jankowi:

— Ja poprosiłem Anię, ale że biały walc, one się zamieniły, więc to była Hania. Jak mam poznać...

— Co ci za różnica? Klękaj przed tą, co będzie szła po lewej, po sercowej stronie — doradził Gustlik — bo jak nie poznajesz, to idzie na jedno.

— Jedną kocham, a drugiej nie. Nie wszystko jedno.

— Wstążka ci dała.

— Tobie ta druga też dała. I obie jednakowo niebieskie.

— Naznacz ją czym i przestań wreszcie — rozzłościł się Janek.

— Ty tak do mnie, do przyjaciela? — smutno zdziwił się Gruzin.

— Przepraszam — Kos objął go za ramię — ale już wytrzymać nie mogę, Marusia poszła na front, dziewczyna przecież, a my stare byki przy tej durnej robocie. — Kopnął nogą resztki muru.

Pęknięta cegła poleciała w dół po usypisku. Pracujący przy uprzątnięciu gruzów podnieśli głowy, przystanęli zdziwieni.

Z rozbitej bramy wyszła szczupła kobieta w czarnej sukni, zbliżyła się do jednego z jeńców i zagadnęła, nie poznając, że to Niemiec.

— Przepraszam, syn mi zginął. Mareczek. Może panowie widzieli?

Nie czekając odpowiedzi, odeszła.

— Zur Arbeit, schnell! — krzyknął Janek, kładąc rękę na pistolecie maszynowym i jeńcy wzięli się znowu do łopat.

Ulicą nadchodziła nowa kolumienka Niemców pod strażą radzieckiego żołnierza. Nie spojrzeli na nią nawet, ale kiedy jeńcy mijali chłopców siedzących na gruzach, z szeregu rozległ się okrzyk:

— Panowie!

Gustlik urwał piosenkę, wszyscy wstali i patrzyli zdziwieni.

— Pierona, przeca to Czereśniak! — Pierwszy zorientował się Jeleń i pędem zbiegł w dół, za nim reszta załogi.

— *Pastoj!* — Gruzin zatrzymał oddział.

— Co tam, panie Czereśniak.

— Zmyłkowo. Ratujcie mnie i syna.

— To Polacy — powiedział Janek do wartownika. — *Naszi druzja.*

*Pustitie ich.*

— *Plennyje, nie druzja* — odpowiedział tamten. — *Nielzia.*

— Nie puścisz?

— *Niet* — zaprzeczył ostro wartownik.

— Poczkej. — Gustlik przerwał narastający konflikt. — *Dawaj machniom.* Dwóch dasz i dwóch weźmiesz. Zakuriwaj — poczęstował zdobyczym papierosem.

— *Charoszych dasz?*

— A co myślisz? Lepszych jak te chachary.

Wybrał dwóch największych z „*własnych*” Niemców i kazał im stanąć do szeregu. Ruszyła zatrzymana grupka z surowym wartownikiem, a Czereśniaków Jeleń poprowadził za sobą na murek i pokazał, żeby siedli.

Wyciągnął z kieszeni kawał chleba, rozłamał na pół i wręczył obu wyzwolonym. Chwilę patrzył, jak jedzą łapczywie.

— Terozki nom powiadajcie po kolei, jak było, ino szezzyro prawda.

— Samą prawdę?

— Jak u faroża na spowiedzi.

— Po prawdzie to było tak... — zaczął Czereśniak, przeżuwając ze smakiem kęs czarnego chleba.

Zasłuchali się w Czereśniakowe opowiadanie i nie zauważyli nawet, jak wąskim skrawkiem oczyszczonej już jezdni nadjechała między gruzami ciężarówka z Wichurą za kierownicą. Lidka stała na górze, trzymała się szoferki jedną ręką, a drugą z daleka machała do załogi.

— Nasi w najlepszej komitywie z frycami — zmarszczył się generał siedzący przy kierowcy.

Dopiero kiedy Wichura zatrąbił i samochód stanął, załoga zerwała się z miejsc.

— Baczość! — Janek podszedł, by zameldować, lecz generał wstrzymał go energicznym ruchem ręki.

— Wasz raport został załatwiony pozytywnie. Jutro rano ruszacie na front. „Rudy” i samochód Wichury, a na nim radiostacja sztabowa wraz z obsługą. — Pokazał na Lidkę. — Musicie tylko dobrać sobie czwartego do załogi. Kos będzie dowodził i doprowadzi grupę do sztabu pierwszej armii.

— Huraaa! — krzyknęli zgodnie wszyscy trzej.

— Tylko nie podoba mi się, że już zdążyliście zapomnieć o wojnie. Zeszłej nocy pięciokrotna strzelanina w Gdańsku, dwa napady na podmiejskich szosach, w lasach pełno niedobitków z rozproszonych jednostek Wehrmachtu, w rumach spadochroniarze, a wy sobie ucinacie pogaduszki z Niemcami.

Czołgiści uśmiechnęli się, a stary chłop postąpił krok naprzód!

— Czereśniaka pan nie poznaje, panie generale?

— Rzeczywiście! Słowo daję, a wy czemu w takim stroju?

— Niech będzie pochwalony. — Chłop ścisnął rękę dowódcy. — Przyodziewek nie czyni człowieka. Kapotę się zmieni, ale ja syna właśnie do wojska przyprowadziłem.

— Szmata drogi. Czemu nie na miejscu?

— Żeby w dobre ręce, panie generale. Dwóch miałem. Jednego Niemce zabili i teraz ten ostatni. — Pociągając za rękaw odprowadził dowódcę trochę na bok i coś jeszcze tłumaczył monotonnym ścisłym głosem.

— To ty byś chciał do nas? — spytał Janek.

— Ja nie. Ojciec każą.

Załoga stała naprzeciw Tomasza, przypatrywała mu się badawczo. Tomasz też patrzył na nich.

— Szczerbaty — stwierdził Grigorij.

— Nie — zaprzeczył Janek. — Tylko ma taki specjalny odstęp, żeby lepiej gwizdać.

— Mocny to on chyba nie jest — powiedział Gustlik.

Kpiny rozniewały nowego. Gwałtownym ruchem zdjął niemiecką kurtkę i rzucił na ziemię, ściągnął koszulę, strożąc włosy na głowie, i teraz stał półnagi, napinał mięśnie. Gustlik lekko dotknął jego ramienia.

— Pocisk, udźwignie.

Szarik, który biegał po ruinach za swymi sprawami, wrócił, przywitał się z generałem, podbiegł do załogi, lecz zwęszywszy Tomasza, warknął i nastroszył sierść.

— Pies na niego warczy — oświadczył Saakaszwili.

Tomasz przyklęknął, uśmiechnął się i wyciągnął dłoń. Szarik, uspokojony, zamachał ogonem, otarł się o rękę nowego.

— Może i dobry człowiek — stwierdził Gruzin.

— Co umiesz? — spytał Janek.

— Trochę na harmonii gram, strzelam...

— Strzyłosz nawet? — Gustlik roześmiał się. — A ryksztos masz dobry? Abo lufa w krzokach?

Podszedł do nowego, pomacał mięśnie. Klepnął po piersiach podobnie jak lekarz, ale znacznie mocniej. Tomasz nie zrozumiał żartu i sądząc, że to bójka, zaprawił Ślązaka bykiem. Tamten zatoczył się lekko, podniósł pięść do ciosu.

— Gustlik, zostaw — cicho rozkazał Janek, zerkając w stronę generała.

— Będziecie się bić? — spytał Kosa podchodzący Wichura. — Słusznie. Do załogi wam się nie nada, bo lepiej od ciebie strzela.

— Nie mądrz się — uciał Janek, spoglądając na Tomasza ze złością, ale i z zaciekawieniem.

Opodał stary Czereśniak tłumaczył dowódcy brygady:

— Obcemu bym nie powiedział, ale panu generałowi, jak ojcu. Przez ten czas, co Hitler u nas rządził, to Niemcy zabrali z chałupy kobyłę jabłkowitą, krówkę, trzy świny, dobrą siekierę, szpadle cztery.

— Panie Czereśniak...

— Więc jakby syn znalazł...

— Niechże się pan zastanowi: akurat ma trafić i poznać waszą siekierę albo szpadel w takim dużym kraju, jak Niemcy?

— Siekiera spora i dobrze by było poznać, ale jak nie trafi, a podobną by spotkał...

Generał powstrzymał go gestem i obróciwszy się w stronę załogi, spytał:



— Weźmiecie na czwartego małego Czereśniaka?

— Zaś on nie taki mały... — mruknął Jeleń.

— Wołać go Tomasz — dopowiedział stary.

Janek spojrzał na Gustlika, na Grigorija. Tamci niepewnie wzruszyli ramionami.

— Gra na harmonii — mruknął Gruzin.

— Czego nie umie, to nauczycie. Załoga musi być w komplecie.

— Weźmiemy, panie generale. — Janek westchnął, jakby przekonując sam siebie, i spojrzał zezem na Wichurę.

— Już jo cie, kluku, nauczę — groźnym szeptem obiecał nowemu Gustlik.

— Zgoda, weźmiemy go — powiedział generał do Czereśniaka.

— Albo więc nawet jakby koń nie bardzo do naszego podobny był u pana generała, ale da orki zdatny, to ja bym mógł od razu. Bo po co koń, tam gdzie czołgi?

— Zaczekajcie... Wy, Kos, siadajcie ze swoimi na ciężarówkę, jedźcie do wozu i szykujcie się do drogi. Umundurujcie syna, a my tu z ojcem chwilę jeszcze pogadamy.

— Siadać — rozkazał Janek.

Gustlik i Grigorij wprawnie skoczyli do wozu po kole. Tomasz, przymierzając się ze stopnia szoferki, spostrzegł we wnętrzu instrument.

— Harmonia — wyszczerzył zęby, wyciągnął rękę.

— Nie twoja — wstrzymał go Wichura. — Już raz na niej grałeś i co z tego wyszło? Leż na górę.

— Pomału — poprosił stary.

Podszedł do syna, wspiął się na palce, pocałował go w czoło. Potem medalik na sznurku zawiesił na szyi, przeżegnał krzyżem. Kiedy już skończył ojcowskie obrzędy, chwycił za wystającą kierownicę i ściągnął z ciężarówki rower.

— Panie, co pan? — zaprotestował Wichura.

— Przecież mój — odpowiedział Czereśniak — tam na barce ja go tylko pożyczyłem panu kapralowi. Kapelusz też może się znalazł...

Zatrząskując ze złością drzwiczki, Wichura stuknął się w głowę. Syknąwszy z bólu poszperał w szoferce i ruszając, wyrzucił przez okno bury

kapelusz. Chłop podniósł go z zadowoleniem, trzepnął o kolano, wdział na głowę. Podprowadził rower do generała i znowu coś mu zaczął tłumaczyć.

DNIA NASTĘPNEGO O ŚWICIE Czereśniak razem z koniem był już na punkcie kontrolnym przy wyjeździe z Gdańska. Czerwienił się tu szlaban, żółcił drogowskaz, czerniała drewniana budka dla czekających okazji żołnierzy. Stary chłop lewą ręką trzymał kierownicę roweru, w zębach wodze, a prawą pokazywał dokumenty kontrolującym go oficerom: polskiemu i radzieckiemu.

— W porządku. Droga wolna.

Szybko schował papiery do tej samej torebki, w której trzymał pieniądze, zaciągnął sznurek i wpuścił ją za koszulę. Potem, wyjąwszy lejce z ust, odpowiedział uprzejmie:

— Ostańcie z Bogiem.

Siadł na rower i ruszył szosą, prowadząc na wozach silnego roboczego konia. Pedałował powoli, jedną ręką trzymając odwróconą wysoko kierownicę. Co chwila zerkał przez ramię na nowy nabytek, na łeb ozdobiony białą gwiazdką, kołyszący się tuż za nim. Wąłach parsknął.

— Zdrów, gniady, zdrów — odpowiedział mu serdecznie gospodarz.

## ROZDZIAŁ 26. PUŁAPKA

Na początku kwietnia w ostatnim roku wojny puste były pomorskie drogi i wsie. Osłoniwszy brzeg posterunkami obserwacyjnymi, rzadkimi węzłami oporu i ruchomymi odwodami, wojska poszły na zachód — za Kołobrzeg, pod Szczecin i nad Odrę. Polscy osadnicy Ledwo zaczęli napływać, skupiali się raczej w miastach ze względu na czas niespokojny. A Niemców nie było wcale — jeszcze w lutym i marcu wymiotły ich stąd surowe zarządzenia Reichsführera SS Heinricha Himmlera, grożące śmiercią każdemu, kto ośmieliłby się pozostać na miejscu, a nie odejść wraz z frontem.

Wiatr gwizdał na resztkach szyb wytluczonych pięściami wybuchów, gospodarował w izbach, huśtał się na skrzypiących drzwiach. Bolesnie ryczały porzucone krowy, którym mleko rozpierało wymiona. Zdziczałe kosmate psy z przekrwionymi od głodu ślepiami łączyły się w zbójckie stada i napadały bydło, zagryzając co słabsze albo pokaleczone sztuki.

Na pustawej szosie poniewierały się szmaty, zmięte gąsienicami złotawe łuski wystrzelonych nabojów, blaszane kubki, manierki i menażki. W rowach, obok spalonych ciężarówek i rozprutych pociskami transporterów leżały przewrócone bauerskie wozy bez kół. Ze słupów telegraficznych zwisały przerwane druty. Z ostrym, podobnym do kaemu warkotem przelatywały co pewien czas radzieckie patrole na motocyklach, z przyczep węszyły lufami diegtiarowów.

Przez to dziwaczne pustkowie gnał szosą „*Rudy*”, a za nim jaskrawozielona ciężarówka. Kos poderwał ich nocą, ruszyli o pierwszej szarówce i po trzech godzinach marszu minęli Słupsk. Grigorij rad, że znowu jadą, nie chciał zmiany, więc Janek i Gustlik, wychyleni do pasa, stali w otwartych włazach, gapili się na kraj pagórkowaty, zielony i granatowy od lasów, złożony kaczeńcami na łąkach.

Tomasza krajobraz nie interesował. Stwierdziwszy, że wewnątrz wozu duszno i ciemno, podesłał sobie cywilną kurtkę pod plecy, ułożył się za wieżą na panczerzu i drzemał. Przez sen obciągał świeżo wyfasowany mundur, sprawdzał dotykkiem, czy wszystkie guziki zapięte.

Póki służysz w załodze, to i spać można. Co innego dowódca, który i drogę przepatrywać musi, i czujnie słucha pracy silnika, a jednocześnie myśli nie tylko, co teraz, lecz i co potem. Dowódcy różne takie rzeczy do głowy przychodzą, że i zgadnąć trudno — oto teraz Janek przypomniał sobie pomorskie pochody Krzywoustego. Chciał nawet Jeleniowi powiedzieć, ale odłożył na później, bo kiedy się jest dowódcą, to i milczeć można w sposób bardzo ciekawy.

Sto metrów za czołgiem, żeby spalin nie wachać, jechał Wichura, a w kabinie obok niego niewesoła Lidka, okręcająca na palcu smużkę swoich jasnych włosów.

— Co się trujesz? Albo to mało równych chłopaków na świecie? Choćby i ja! — Usiłował pogłodzić ją po policzku.

Chwyła go za rękę, położyła ją z powrotem na kierownicy. Wichura zmarszczył czoło, ruszył nosem — wymyślał dowcip. Potem łagodnie wyprowadził wóz na lewą stronę szosy i gwałtownie skręcił w prawo.

— Sama na mnie lecis — roześmiał się, usiłując pocałować dziewczynę, którą przytuliła do niego siła odśrodkowa.

— Przestań, głupi.

— Niby dlaczego?

Chwilę jechali spokojnie. Wichura się znowu zasepił, zaczął stukać palcami po kierownicy, układając plan działania, i wreszcie, poszczekując klaksonem, wyprzedził czołg. Ręką wystawioną za okno dał znak, żeby się zatrzymali, i sam stanął na poboczu, koło owalnego granatowego jeziora, otoczonego żółtym wianuszkami kwiatów.

— Zaczekaj — przykazał Lidce wyskakując z kabiny; wlaż na pancerz czołgowy. — Słuchaj no, Kos...

— Jak do dowódcy, głupieloku, godoisz? — Gustlik chwyciwszy za daszek, wciągnął szoferowi na nos wyszmelcowaną smarami polówkę.

— Zostaw, kopalniany niedźwiedziu. Obywatelu sierzancie, ja nie mogę takim tempem. Poniżej czterdziestki silnik się grzeje.

— On z Lidką chce się urwać — podpowiedział Grigorij, który zgasił silnik i wysunął się do pasa z włazu.

Podeszła radiotelegrafistka z bukietem jaskrawych kaczeńców, z dłońmi mokrymi od trawy.

— Mówiliście o mnie?

— Bynajmniej — oświadczył Wichura. — Ja niestety mogę właśnie czołg poprowadzić, ale dwa pojazdy, mające różne szybkości...

— Jak chcesz... — przerwał mu Janek, wyciągnął mapę i przypatrując się uważnie, zdecydował: — Staniemy na nocleg w Schwarzer Forst. Trochę w bok od szosy, żeby było spokojniej, ale znaleźć łatwo: rzeka, linia kolejowa, most, a tu wioska i pałac.

— Głupi by znalazł — zapewnił Wichura i czule zerknąwszy na Lidkę, dodał: — Polecimy przodem...

— Sierżant Saakaszwili — ciągnął Kos — pojedzie na ciężarówce z radiotelegrafistką i szeregowcem Czereśniakiem do osłony.

— *Paniatno?* — spytał Gustlik odrętwiałego z zaskoczenia Wichurę. — Sam żeś chcioł.

— Będiesz, Lidka, nawiązywała z nami łączność co dwie godziny, zawsze kwadrans po nieparzystej.

— Tak jest, obywatelu sierżancie — odpowiedziała salutując.

Janek spojrzał uważnie, czy nie żartuje, ale dziewczyna spokojnie patrzyła mu w oczy. Speszony nieco, rozkazał surowiej niż trzeba:

— Kapral Wichura poprowadzi czołg.

Nim Kos skończył, Grigorij zdążył zajrzeć za wieżę, szarpnięciem za rękaw obudzić Tomasza i chwyciwszy w locie rzucone mu klucze, pobiegł do samochodu. Za nim Lidka i Szarik, ucieszony, że nareszcie może pohasać. Warczał już silnik, kiedy Tomasz wlaźł po kole do pudła, Grigorij dodał gazu i ruszyli.

Wichura wciąż jeszcze otwierał usta, by zaprotestować, ale machnął ręką i wsuwając się przez właz, mruknął do siebie:

— Ja tak chciałem... — miał zamiar pokiwać głową, ale tylko kropnął czaszką o pancerz.

Skrzywiwszy się, pogłaskał włosy na ciemieniu i patrzył, jak prostokątna sylwetka jego pięknego, świeżo malowanego samochodu maleje i wreszcie niknie za zakretem. Westchnął, uruchomił silnik i posłuchawszy gangu ruszył w beznadziejną pogoń.

Jak człowiek nie ma w życiu szczęścia, to już nie ma, pomyślał i zmacał ręką ciepłe jeszcze Szarikowe legowisko. Nie dość, że dziewczynę i samochód, to jeszcze psa zabrał Gruzin przebiegły. A ten nowy to niby z wiochy, niby do trzech nie umie zliczyć, a brzytwę ma za pazuchą...

Wspomniał sobie kapral Wichura jeszcze raz od początku, jak mu stary Czereśniak pochlebił, jak się na barkę z synem wmeldowali, potem uciekli, a rower już w Gdańsku ojciec odebrał. Postanowił, że też będzie chytry, że nic nikomu, tylko sobie, bo jak się o własne sprawy nie zatroszczyć, to kogo to obchodzi. Wojna się skończy za tydzień, czy za miesiąc, dadzą medal, do cywila odprawią i co? Tyle twego, co w plecaku, co własnymi rękami zapracować potrafisz.

Mijały kilometry, układały się w dziesiątki, a on wciąż prowadził czołg z ponurą miną, myślał to o przyszłości, to o niebieskich migdałach, obserwując pustą drogę przez przedni właz. Wyjechali na stromą górkę i nagle silnik zakasłał, przerwał, chwycił i znowu przerwał. Nie pomagało wciskanie gazu i ssanie. Wysprzęglił prawą przekładnię, żeby zejść na pobocze. Gąsienice człapały coraz wolniej, wreszcie zamarły zupełnie.

— Co jest? — spytał Kos.

— Stoimy.

— To widzę, ale dlaczego?

— A czy ja maszynę jak należy przyjmowałem — gderając manipulował jednocześnie przy dźwigniach, naciskał starter. — Ile razy mam z wami jechać, to zawsze diabli nadadzą...

Janek zeskoczył z wieży, podszedł do włazu, pochylił się nad szoferem.

— O czym ty bredzisz?

— Jak to o czym? A w Sielcach pierwsze spotkanie... Nie pamiętasz?

— Pamiętam — roześmiał się dowódca „*Rudego*”. — Ale teraz Szarik pojechał z Grigorijem. Sam musisz sobie dać radę.

Kos i Jeleń przeskoczyli rów, pogwarzyli, potem gonili się dłuższą chwilę między krzakami, by mięśnie rozruszać, a Wichura kładł rękę kolejno na coraz to nowych dźwigniach, dotykał zegarów na desce przyrządowej i myślał, coraz bardziej się pocąc, bo nic nie mógł wymyślić.

— Co innego samochód, a co innego to draństwo — mruknął do siebie, ale usłyszał go Gustlik.

— Ty coś powiedział? Draństwo? O „*Rudym*”? — zapytał włączając na wieżę.

Janek groźnie patrzył przez właz na zgrzanego Wichurę.

— Długo masz zamiar tu stać?

— Nie trzeba mnie było przesadzać, obywatelu dowódco — rozzłościł się, ale zaraz zmiękł i zaproponował: — Może by zajrzeć do silnika?

— Myślisz, że tu maska podniesiesz? — z głębi czołgu, nad ramieniem Wichury, wysunęła się głowa Gustlika. — Coby zajrzeć, trza u nas dźwignąć siedemset kilo...

Janek tymczasem obszedł czołg, postukał w zapasowe zbiorniki, i ucieszył się, gdy jeden i drugi zadudniły głucho. Klasnąwszy dłonią o czoło parsknął śmiechem i wrócił przed wóz.

— Wyłaż — rozkazał Wichurze — ale już.

Gdy Kos siadł w fotelu mechanika, Gustlik po cichu spytał ciekawie:

— Wiesz już?

— Zapasowe puste, trzeba przełączyć na główny — szepnął mu do ucha Janek i ręcznie podpompowawszy paliwo spytał Wichurę: — A co, jak u mnie zaskoczy?

— E tam, cudów nie ma. Raz ci się w Sielcach udało... Wtenczas kiedy chorąży Zenek wojsko werbował. Pamiętasz?

— Pamiętam.

— Niezły był chłop — powiedział Gustlik.

Zobaczył nagle twarz Zenka nad wieżą płonącego czołgu, rękę chwytającą antenę i czarne kłęby sadzy między sosnami studziankowskiego lasu. Poczuł chłód na skroniach, jakby tamten dym przesłonił na chwilę słońce.

— U mnie zaskoczy. O co zakład? — spytał Kos.

— Jak zaskoczy... — Wichura zastanowił się i szybko dopowiedział: — Jak silnik pójdzie, to ja ciebie na barana dookoła czołgu, a jak nie, to ty mnie.

— Dobra.

Przybili dłońmi, Gustlik przeciął. Janek wykonał czarodziejski gest, położył ręce na drążkach. Starter rozpedzał koło zamachowe, potem przerzut, szarpnięcie i cisza. Słyszać tylko szmer wirującego kręgu ze stali.

— Daj szmatkę — poprosił Wichura i wzięwszy gałgan z ręki Kosa, dodał: — Muszę cholewy podczyścić, żeby dowódcy boków nie zabrudzić.

Drugi raz włączył Janek starter, przerzucił... Strzeliło z rury wydechowej. Silnik chwycił, zawarczał, ryknął przegazowany.

— Pilnuj — rozkazał Janek Gustlikowi i wyskoczył na pancierz.

Wichura podrapał się za uchem, zdjął czapkę i podstawił plecy. Co przegrana, to przegrana, więc szofer pogrzebał nogą niczym kopytem i zarżał dziarsko. Kos go dosiadł i pogalopował dookoła czołgu.

— Wio! Hejta! — wołał i machał rękami, lecz zerknąwszy przypadkiem na zegarek, nagle spoważniał.

— Puść, odczep się! — krzyknął do Wichury i zeskoczywszy na ziemię, podszedł do Gustlika. — Ale ze mnie smarkacz!

— To jo wiem — skonstatował Jeleń — ale co jest?

— Minęło wpół do czwartej, a łączność mieliśmy nawiązać kwadrans po nieparzystej. Cholerny świat — zaklął wchodząc na pancierz i machnął ręką w stronę Wichury. — Gaz!

Po pochyłości zjechali w dół, szosa wygięła się w dolinie między wzgórzami. Niespodziewanie za krzaczastym zakrętem spotkali sporą grupę cywilów, mężczyzn i kobiet, ciągnących wózki wyładowane gratami. Na pierwszym powiewała na drążku biało-czerwona flaga.

Gustlik miał wielką chęć zapytać, skąd i dokąd idą, lecz kiedy spojrzał na zachmurzoną twarz Kosa, zbrakło mu odwagi zaproponować, by przystanęli. Pomachał więc tylko, a oni jemu, i długo się oglądał. Potem zerknął na zatroskanego Janka raz i drugi, postanowił pocieszyć przyjaciela.

— Co ci tam. My daleko na tyłach. Tu ani pół Niemca nie najdziesz. Jak przyjademy, to jo bez radia łączność nawiążę. Oni już dojechali. Siedzą tam jak grafy, herbata popijają.

Ruszając z postoju koło otoczonego kaczeńcami jeziora, Saakaszwili nie spuszczał oczu z lusterka, by widzieć minę Wichury, ale czołg szybko zmałał i znikł za zakrętem. Pierwszy kilometr czy dwa kierowca czuł się niepewnie, jak to zwykle bywa, gdy z ciężkiego gąsienicowego pojazdu przesiądzie się człowiek na lżejszy. Nie bardzo nawet słuchał, co mówi Lidka, pochłonięty zmianami biegów i opanowywaniem kierownicy, która, jak dla niego, chodziła stanowczo zbyt lekko.

— ...Jak tylko Gustlik go wrzucił do naszego wagonu — ćwierkała dziewczyna — to spytał, skąd ja jestem, i tak spojrzał, jakby się chciał oświadczyć...

Z przeciwka nadciągała bokiem szosy grupka cywilów. Ciągnęli i pchali wózki ze swym dobytkiem. Idący na przedzie zamachał biało-czerwoną flagą.

— Polacy! — zawołała Lidka.



Grigorij zahamował i spytał przez okienko:

— Dokąd?

— Do domu! — odkrzyknęli. — Z wywózki.

Otoczyli ciężarówkę ciasnym półkręgiem, wyciągali ręce na powitanie, mówili wszyscy naraz, to śmiejąc się, to płacząc. Wynikało z tego, że jak niewolnicy pracowali pod Kołobrzegiem u bauerów i na gorzelni, a kiedy Niemcy poczęli się zbierać do odjazdu, to oni się zmówili i uciekli w las przed oddziałami SS, które rozstrzeliwały każdego, kto chciał zostać.

— Ciszej — rzekł ten, co flagą machał, wysoki, chudy, ze szramą na skos przez policzek, i wyjaśnił: — Doczekaliśmy się, aż front przeskoczył, wychodzimy na szosę i wołamy do żołnierzy: „*Nie strelaj, my Polaki*”, a oni się śmieją i mówią: „*My też Polacy. Ślepiście? Orzełków nie widzicie?*”

Kobiety wyciągnęły radiotelegrafistkę z kabiny, ucałowały, a ona im rozdawała kaczęńce. Szarik stał wsparty przednimi łapami o dach szoferki i baczył pilnie, czy czego złego Lidce nie robią.

— Nie moglibyście nam dać jakiej broni? — pytali mężczyźni Grigorija.

— Nie wolno. Zapisane numery — wyjaśniał. — Po co wam? Tu teraz głębokie tyły, Niemców nie ma...

— Są.

— Cywile co najwyżej.

— Panie sierżancie — poważnie rzekł wysoki ze szramą i ściszył głos: — Myśmy nocą samolot słyszeli, a rankiem taki parasol znaleźli. — Wyciągnął z za pazuchy trójkąt cienkiego białego jedwabiu, wypruty z czaszy spadochronu.

— Na koszule, na bluzki dobre — roześmiał się Gruzin.

— Dobre. Wszystkim rozdałem po równo... Jak broni nie możecie, to może choć naboju do ruskiego automatu?

— Bierz. — Saakaszwili podał przez okno swój zapasowy magazynek do pepeszy.

— Granaty można w podarku — oświadczył stojący w pudle Tomasz i pogrzebawszy w kieszeniach wręczył chudemu cztery obronne efki, zwane z racji jajowatego kształtu cytrynkami.

— Dziękujemy. Z takim podarkiem spokojniej iść. Dobrej drogi! Z Bogiem! Wracajcie szybko.

— Do Berlina i z powrotem! — zawołał Grigorij ruszając.

Chwilę jeszcze widział w lusterku, jak stojąc w poprzek szosy machają rękami. Bielila się i czerwieniła flaga na wózku. Nim stracił ją z oczu, Lidka westchnęła, poprawiła włosy i ciągnęła dalej swoją opowieść:

— Wtedy on dał mi rękawice. — Odgarnęła z czoła nieposłuszny kosmyk i drobną dłoń położyła na ramieniu Grigorija. — Z jenotowego futra, takie jak dla lotników robią. Nie powiedział, że jest zakochany, ale tak patrzył, że ja wiedziałam...

Grigorij słuchał, co pewien czas otwierał usta, żeby choć słowo dorzucić, ale to mu się nie udawało. Prowadził coraz mniej zadowolony z gadatliwej towarzyszki, rozglądał się na boki. Wreszcie gwałtownie zahamował, wyskoczył z kabiny i pobiegł na podleśną łączkę, zdobioną błękitnymi cętkami. Za nim wielkimi susami popędził Szarik i pragnąc się bawić, wszelkimi sposobami przeszkadzał w zbieraniu kwiatów.

Na pudle ciężarówce stanął Tomasz, rozejrzał się, a potem zeskoczył. Podszedł do przyczerniałego od deszczów stogu, wbił weń ręce, wziął ze środka sporą ochapkę siana i zaniósł na samochód.

— Po co tyle? — spytała Lidka.

— Na wieczór. — Roześmiał się, że taka duża, a prostych rzeczy nie rozumie. — Najlepsze spanie to na sianie. Zaraz jeszcze przyniosę.

— Tam radiostacja — Lidka zerknęła na zegarek.

— Wiem, ja delikatnie.

Wrócił Grigorij z bukiecikiem leśnych fiołków i podał dziewczynie, prosząc:

— *Milaja*, jenota nie znalazłem, ale masz kwiatki i pozwól, że ja też coś powiem.

— Dobrze, Grześ — zgodziła się, gdy siadał za kierownicą. — Nie zapalaj, bo warkot przeszkadza. My i tak będziemy kawał czasu przed nimi.

— Ja mam jeszcze większego pecha... — usiłował zacząć Grigorij.

— Zaczekaj, tylko skończę o tym, jak on na mnie patrzył...

Gruzin załamał ręce i ze zrezygnowaną miną oparł się na kierownicy, by wygodniej słuchać. Wiedział o wszystkim, sam umiałby opowiedzieć z pamięci ze szczegółami, jak to do Studzianek Kos wzdychał, a ona na niego parskła niczym grymaśna kocica, a wkrótce potem było odwrotnie. Wiedział, ale słuchał, bo Lidka, jak każdy człowiek, miała prawo o swych troskach opowiedzieć, a poza tym liczył, że i on wreszcie do głosu dojdzie.

Kiedy się zorientował, że przed wieczorem nie ma żadnych szans, ruszył naprzód i coraz bardziej przyspieszał. Byliby rzeczywiście sporo przed czasem na miejscu, gdyby nie to, że tuż prawie przed Schwarzer Forst z hukiem strzeliła dętka na tylnym kole i zanim wyhamował — druga. Zapasowe miał jedno, więc chcesz czy nie chcesz trzeba było robić.

Grigorij ostro wziął się do dzieła i wkrótce już ciężarówka stała na szosie bez tylnych kół. Jedną oś miała podpartą na stercie przydrożnych słupków betonowych, a z drugiej strony — podnośnik. Ponad rowem leżało koło zapasowe, drugie rozmontowane oraz śruby i klucze.

Lidka pomagała, trzymając dętkę. Tomasz podpalił wulkanizującą łątę i zaraz wrócił do harmonii, którą pod nieobecność Wichury ośmielił się wytaszczyć z szoferki.

*Będą za mną dziewczęta płakały*

— podśpiewywał, akompaniując na basach.

— Grigorij! — zawołała nagle dziewczyna.

— Trzymaj!

— Nie mogę. Zapomniałem w tym bałaganie i Janek mi głowę urwie. Jak ja mu się na oczy... — Łzy przerwały potok słów i popłynęły po policzkach.

— Kap na bok, bo zgasisz — rozkazał Grigorij. — Taki pech, jak mój, rzadka rzecz: pół kilometra od celu, a tu dwie gumy naraz. Już kończę i zaraz dojedziemy — ta wieża to nasz pałac.

— Ale minął kwadrans po nieparzystej i ja nie nawiązałam łączności — tłumaczyła Lidka, spoglądając błękitnymi zapłakanymi oczyma w kierunku Schwarzer Forst.

Nad granią lasu rudział szczyt pretensjonalnej, pseudogotyckiej baszty z murowanymi blankami, a niżej wąskie podłużne okienka. Słońce błyszczało w resztkach powybijanych szyb.

— Warto wyleźć na samą górę — powiedział Tomasz do Lidki — Musi stamtąd szmat świata widać. A płakać nie trzeba, sierżant nie ugryzie.

Szarik był widać tego samego zdania, bo podszedł, warknął przyjaźnie i długim jęzorem, podobnym do płatka świeżej szynki, liznął dziewczynę w policzek.

Minęły jeszcze ze dwa kwadransy, nim byli gotowi. Saakaszwili do pudła zgarnął narzędzia i jakieś nadliczbowe śruby, które mu po tym remoncie zostały. Pospiesznie przetarł pakułami dłonie, skoczył za kierownicę.

— W pałacu będziemy się myć. Wstyd byłby, jakby dogonili. Cały czas miałem takiego pietra...

Skręcili z szosy i nie zmniejszając tempa gnali po zeschniętych gliniastych wybojach. Wypadli z lasu wprost na główną ulicę przytrzęsioną pierzem i zwęglonym przez ogień sianem, wlokąc za sobą ogromny tuman popielatego kurzu. Mieszkańcy wioski odeszli stąd w pośpiechu, zostawiwszy uchylone wrota, pootwierane drzwi. Niektóre okna zwisały na pojedynczych zawiasach. Pod kołami przemknęła zdziczała kura.

W przedzie, na lekkim wzniesieniu, zobaczyli ceglany mur, ażurową bramę, a w głębi pałac. Przez warkot silnika słychać było bolesny ryk krowy zapomnianej w oborze, ale Lidka na nic nie zwracała uwagi:

— ...wy byliście w szpitalu, brygada walczyła pod Jabłonką, a ja prosiłam, żeby pozwolono, bo serce się wrywało...

Tomasz zabębnił pięściami po dachu kabinki i przechyliwszy się w lewo, zajrzał do okienka: dziwnie wyglądała jego twarz z brodą sterczącą ku górze.

— Pan sierżant zatrzyma. Tu bydłatko cierpi nie dojrane. Ja zeskoczę, mleko na kolację się przyda.

— Dobra, ale zaraz przychodź. — Grigorij zahamował. — Musimy wszystko przygotować na przywitanie reszty, a czasu ciut–ciut.

Ledwo Tomasz z Szarikiem zeskoczyli na ziemię, Saakaszwili dodał gazu, w obłoku kurzu minął resztę wioski, podjechał do bramy i rąbnął w mą zderzakiem.

— Zatrąb — doradziła Lidka.

— Nikogo tu nie ma — zapewnił, wrzucając ze zgrzytem tylny bieg.

— Czekaj, otworzę.

— Po co? — puszył się przy kierownicy. — Ja ją zaraz po czołgowemu.

Samochód uderzył po raz drugi i wyrwawszy zasuwę wtoczył się na obszerny dziedziniec, poprzerastany trawą między kamieniami bruku.

— Hej, jest tu kto?! — zawołał Grigorij wychodząc z kabiny.

Tak pewny był swego, że cofnął się o krok i rękę na kaburze położył, gdy bez skrzypnięcia rozwarły się główne drzwi pałacu i wyszedł z nich czarny kot, a za nim para Niemców, mężczyzna i kobieta. On w wyszarzałej

marynarce, ona w czarnej sukni. Oboje wysokiego wzrostu, z ponurymi twarzami, ale wystraszeni. Ukłonili się nisko i zapraszali do wnętrza:

— *Bitte, bitte.*

— Chodź, Lidka. Popatrz, nasi w pałacu!

Przez rozchylone odrzwia widać było w głębi salutującego żołnierza w polskim mundurze.

— Cześć. — Grigorij przyłożył dłoń do hełmu wdzianego na bakier. — Zobaczymy, jakie nas tu wygody czekają.

Obciągnął mundur i wstępując na stopnie przyglądał wąsy. W drzwiach puścił przodem Lidkę. Niemka czekała pokornie, póki sierżant nie wejdzie, a nawet cofnęła się pół kroku.

Kot mrużąc żółte ślepia zezował na obcych, parskał i stroszył sierść.

Zeskoczywszy z ciężarówki Tomasz ruszył szerokim krokiem w stronę obory, ale spojrzawszy na psa, zwolnił przed gankiem ceglanego domu i przesuwał automat na piersi, zajrzał do sieni.

— Czekaj jeszcze trochę — mruknął pod adresem ryczącej krowy.

Wszedł głębiej, stanął w drzwiach i patrzył, usiłując się zorientować w bałaganie, jaki zostawili uciekający, a powiększyli żołnierze, którzy tędy przeszli: otwarte szuflady komody i drzwi szafy, jakieś części garderoby rozwleczone po podłodze, rozbity fajansowy wazon. Na ścianie wisiał krzywo portret Hitlera z rozbitym szkłem, widać było ślad serii rąbniętej do obrazu.

Czereśniak obojętnie patrzył na wszystko, lecz zainteresował go ogrodniczy nóż: otworzył sierpowate ostrze, spróbował najpierw palcem, potem na pasemku swoich własnych włosów i stwierdziwszy, że tnie jak brzytwa, schował nóż do kieszeni. Nie było tu nic już ciekawego, więc wzięwszy z kuchni emaliowane wiadro ruszył na skos przez podwórze.

W obórce powitało go błagalne spojrzenie ciemnych ślepi, zasnutych mgłą bólu. Znalazł stołek, przysiadł koło łaciatego brzucha i doił równymi, spokojnymi ruchami. Chrobotął łańcuch, zwierzę oglądało się, pomrukiwało z wdzięcznością. Szarik stał obok, z apetytem oblizywał mordę, a wreszcie pisnął cicho.

— Gdzie miska? — spytał Czereśniak.

Pies wybiegł. W ciszy ciurkały śnieżne strużki mleka do pełnego prawie wiadra. Szarik wrócił niosąc w zębach spory rondel. Tomasz mu nalał do pełna, a potem z uśmiechem patrzył, jak spragniony wilczur chłepce. Krowa

usiłowała jęzorem sięgnąć ręki swego dobroczyńcy, który rzucał jej siano do żłoba.

— Czekaj, przyjdę jeszcze do ciebie, przyjdę — obiecał Tomasz czochrając ją po białym podgardlu, po łbie znaczonego czarnymi łatami, a potem z uwagą dotknął palcami złamanego rogu.

Zabrawszy wiadro gwizdnął na psa i ruszył w stronę pałacu, ale nie szosą, tylko między chałupami, na krótsze. Zadowolony nucił sobie pod nosem marszową piosenkę.

Wyszedł zza węgła i raptem stanął, przytulając plecy do ściany.

Przez otwartą bramę zobaczył, jak dwoje cywilnych Niemców wnosi do szopy Grigorija i Lidkę, którzy mają ręce związane na plecach. Położył dłoń na zamku pistoletu maszynowego, ale spojrzawszy w milczące, ciemne okna pałacu zamarł w bezruchu. Mogło tu być Niemców więcej i mogli mieć broń. Z żalem pomyślał, że oddał cztery dobre granaty, i przypomniał sobie popruty spadochron, mocniej przywarł do muru.

Tymczasem tamtych dwoje wyszło i zaczęli wpychać do wnętrza stojący obok samochód. Z otworu w murze szopy wyskakiwały przestraszone kury, biegły przez dziedziniec, gdacząc z oburzeniem. Po dłuższej chwili Niemcy wyszli. Kobieta ze złym uśmiechem starannie zamknęła wrota na kłódkę. Mężczyzna podszedł do bramy, obejrzał zgięcie od ciosu zderzakiem, przymknął ją z wolna, a potem długą chwilę obserwował pustą wioskę.

Za węglem chałupy, w miejscu, w którym stał Tomasz, zostało tylko wiadro w kałuży mleka. Piły z niej wróble. Podmuchi wiatru osypywał świeże krawędzie śladów na piasku, które zostawił uciekający człowiek. W łopianach pod murem pałacowym przywarował pies. Ale tego wszystkiego nie mógł zobaczyć Niemiec stojący przy bramie, choć patrzył bardzo uważnie.

## ROZDZIAŁ 27. SCHWARZER FORST

Pod szerokimi ciemnozielonymi liśćmi łopianu było duszno. Cuchnęło kurzem i gęsim łajnem. Wieczór niby daleko, ale w półmroku cienko piszczały komary, usiłując w uszach, na nosie i koło ślepi znaleźć kawałek skóry nie bronionej sierścią, którą można by nakłuć w poszukiwaniu krwi. Wilczur długo leżał bez drgnienia powiek, nawet oddychał płytko, by się nie zdradzić. Jeśli nie wiesz, co masz zrobić, zastygnij w bezruchu — mówi stara puszczańska zasada, a Szarik właśnie nie wiedział, co robić.

Doskonale pojmował, że zła przygoda spotkała Lidkę i Grigorija, ale nie mógł zaatakować ich prześladowców, bo mieli broń: szedł od nich silny, wrogi zapach oliwy i prochu. Decyzja należała do nowego, który przed chwilą napił go mlekiem, ale Tomasz zniknął. Można byłoby biec po jego śladach, które zapewne prowadzą do czołgu, ale tymczasem tutaj... Dwie czarne łatki u nasady brwi schodziły się coraz bliżej i pionowa zmarszczka na psim czole spełzała coraz niżej nad wilgotne nozdrza.

Czarny kot wylazł przed bramę pałacu. Przysiadł i grzał się w słońcu. Ostro skręcając głowę i tułów, zaczął lizać swój własny kark. Co jakiś czas popatrywał wokoło i w pewnej chwili jego zmrużone ślepia dostrzegły wśród łopianów wroga. Parsknął, wygiął grzbiet.

Szarik, od dawna sprężony do skoku, obnażył kły, lecz nagle zrezygnował, przypomniał sobie, że ma znacznie ważniejsze sprawy na łbie niż popędzanie kotu kota. Przyplaszczony nad ziemią począł się cofać ze spuszczoną mordą.

Czarny, nieco zdziwiony, ale dumny, z wyprostowanym ku górze, z lekka falującym ogonem, patrzył, jak pies, skoczywszy spod muru w sad przy chałupie, zniknął za węgłem. Po namyśle zrobił nawet parę dumnych kroków do przodu, ale zaraz wrócił, czując, że bliższy kontakt z przeciwnikiem mógłby się skończyć marnie.

Spotkanie z kotem było jak lekkie pchnięcie, które potrąca kamień leżący na stromym zboczu. Kiedy sprężone w oczekiwaniu mięśnie poczęły działać, nie ustawały już w pracy, i Szarik biegł wilczym kłusem z cienia w cień, z ukrycia w ukrycie, sunął poprzez zarośla krzewów, pokrzyw i lebiody wzdłuż

muru pałacowego i ścian zabudowań gospodarczych. Co kilkanaście metrów zwalniał albo nawet przystawał, słuchał i unosząc mordę ku górze chwycił wiatr.

Dotarł w ten sposób do zapuszczonego cienistego parku. Koło wysokiej baszty z murowanymi blankami stracił sporo czasu, obserwując z kępy bzu szeroko otwarte okno, z którego pachniało dymem, smażonym mięsem i wrogami. Cofnąwszy się dalej od murów, przepłynął staw, pokryty materacem zaśniedziałej rzęsy, i skorzystawszy z okazji napił się wody.

Trafił znowu na domy i sady wioski, powtórnie minął bramę z żelaznych prętów, za którą widać było brukowane podwórze, łyse pośrodku i zielone po bokach jak stary wydeptany dywan. Bez sekundy zastanowienia ruszył na drugi krąg, wiedząc, że każde poszukiwanie wymaga cierpliwości, a kiedy się biegnie po raz wtóry tą samą drogą, można napotkać zupełnie nowy ślad.

Szarikowa wytrwałość została nagrodzona — kiedy mijał bielone ślepe ściany obór i stodół, usłyszał nagle bolesny okrzyk. Podkradł się bliżej, uniósł nos i poznał swoich. Przez szparę u spaczonyj framugi okienka snuły się dwa zapachy: mydlanokoloński Lidki i skórzanooliwny Grigorija. Przysiadł na tylnych łapach, sprężył się, chcąc dać susa, lecz szybko ocenił, że nie doskoczył. Gdyby zresztą zdołał zaczepić łapami o parapet, to czym miałyby wyłamać przyrdzewiałą kratę? Nie, tu trzeba było inaczej, trzeba było sposobem, a nie na siłę, jak czasem próbują niedoświadczone szczenięta wilcze czy ludzkie.

Płynąc dusznym powietrzem wśród chmur skłębionych, granatowych i czarnych, Grigorij spostrzegł w pewnej chwili, że poczyna go boleć głowa, i ucieszył się bardzo, zrozumiałwszy natychmiast, że jeszcze nie wszystko stracone, że ma szansę zobaczyć góry porośnięte gęstwiną kolczastych tamaryszków i krzakami ożywczego kizyłu, pola pokryte ciemnozielonymi grzędami herbaty i dwie wielkie czynary, rosnące pośrodku rodzinnej wioski Kwiriketi.

Ostrożnie poruszył palcami rąk i nóg, a potem szyją. Zabolało ostro, ale jednocześnie jakby pojaśniało w myślach. Przypomniał sobie miły chłód pałacowego hallu, salutującego żołnierza w polskim mundurze, który nie przestając się uśmiechać, chwycił nagle Lidkę za ręce i wykręcił do tyłu. Nim Saakaszwili zdążył stanąć w obronie dziewczyny, przestał czuć i widzieć cokolwiek.



Teraz czuje, że ręce ma skrępowane za plecami, a usta wypełnia mu szmata pachnąca starą serwatką — dlatego tak duszno, tak trudno oddychać. Cicho. Tylko jakby słoma czy siano szeleści.

Z wolna począł uchylać powieki. Dokoła był półmrok. Szopa jaka czy co? Światło wpadało szczeliną nad wrotami i przez małe okienko w tylnej ścianie. Na murze wisiała stara uprząż, a po drugiej stronie, w zasieku, nietknięty zapas siana sięgał krokwi. Wozownia chyba...

Siedział w pudle ciężarówce stojącej pośrodku klepiska. Przytroczona do przeciwległej burty patrzyła na niego Lidka z kneblem w ustach. Policzki miała wilgotne od łez. W oczach jej zobaczył radość, że się ocknął, a potem lęk. Patrzyła na coś, czego on nie widział. Niemiec tam stoi czy ki diabeł? Może celuje i lada chwila naciśnie spust? Zataił oddech, żeby go usłyszeć, ale cisza za plecami zdawała się nieruchoma i pusta.

Coś trzeba zrobić, postanowił w sposób mało określony. Ponieważ nic konkretnego nie przychodziło mu do bolącej głowy, zdecydował zobaczyć to, co widzi Lidka. Wykręcił szyję, jak daleko potrafił, ale nie dostrzegł nic ciekawego prócz wideł stojących w kącie. Powtórzył wysiłek drugi raz i trzeci... Podczas jednej z prób zaczepił kneblem o drzazgę na desce samochodowego pudła.

Chwilę myślał, co da mu możliwość mówienia czy krzyku. Wyobraziwszy sobie, że woła Janka na pomoc, rozpoczął świadome próby — wykonał skręt szyi i tułowia, jak tylko można największy, a potem prowadził knebel tuż przy desce, czekając, czy zawadzi.

Dwa razy się nie udało. Swędzące mrowie poczuł w dłoniach mocniej ściśniętych więzami. Kurcz chwycił mięsień na szyi. W skroniach krew łomotała tak głośno, że echo tłuło się po czaszce. Nie byłoby tego, gdyby siedział spokojnie, lecz działanie rozbudziło już wolę i wiedział, że nie przestanie, póki...

Z dużym wysiłkiem, napinając do bólu wszystkie mięśnie, spróbował po raz czwarty czy piąty i wreszcie knebel zahaczył o drzazgę. Zezując nań, Grigorij zaczął cofać głowę. Drzazga zatrzeszczała i wygięła się niebezpiecznie. Jeśli trzaśnie... Na czoło Gruzina wystąpił gruby ziarnisty pot. Krople drgały, spływały wzdłuż uszu na szyję pokrytą sznurami nabrzmiątych żył.

Jeszcze jeden skręt głowy, mocniejsze zaczepienie i powolne cofanie z policzkiem tuż przy desce. Knebel drgnął, wysunął się odrobinę i teraz, równocześnie ciągnąc i pomagając sobie językiem, nareszcie go wypluł.

Z zamkniętymi powiekami siedział chwilę nieruchomo, odpoczywał. Bezdźwięcznie poruszył ustami, oblizał wargi. Sprawdził, czy mocno trzymają rzemienie, którymi związano mu ręce i przytroczono do burty: mocno, nic się nie da zrobić.

Uspokojony tym, że jednak już czegoś dokonał, że w razie czego może zawołać o pomoc, postanowił czekać. Skoro ci Niemcy od razu ich nie zarżnęli, to znaczy, że na coś czekają, a tymczasem „Rudy” nadjedzie. Tomek, choć taki jakby gapiowaty, na pewno uprzedzi Janka. Zerknął na Lidkę i pragnąc ją uspokoić postanowił pogadać o całkiem zwykłych rzeczach.

— Więc, jak usiłowałem ci podczas jazdy powiedzieć, mam pecha, co na dziesięciu starczy. A w miłości całkiem mi się nie wiedzie. Patrzyłem tylko, jak oni, Janek i Marusia, całowali się w szpitalu...

Lidka jęknęła boleśnie przez knebel i pokazała oczyma za jego plecy.

— Nie mogę. Jakbym się skręcił, to nie zobaczę, ale nic się nie bój. Nasi lada chwila nadjadą... Więc na czym to ja stanąłem?... Tam sobie pomyślałem: Niech Marusia dla Janka, ale żeby i ktoś dla mnie. Kiedy Wichura przyprowadził bliźniaczki na bal, poprosiłem Anię, ale to był biały walc...

Lidka z rozpaczą w oczach patrzyła to na Grigorija, to za jego plecy.

— One się zmieniły, więc ta, z którą tańczyłem, w której się zakochałem... *Wejdeda!* — wrzasnął zaskoczony.

Dziewczyna, nie mogąc inaczej przerwać opowiadania, kopnęła go w kostkę.

— Zgłupiałaś? Boli przecież. Jak się gada, czas szybciej zleci... Ta, z którą tańczyłem, w której się zakochałem, ma na imię Hania — opowiadał dalej skrzyżowawszy nogi po turecku, by kostki były poza zasięgiem kopniaków. — Ale jak mam poznać, która Hania, jeśli one obie...

Zrozpaczona Lidka rozgarnęła nogą siano i zabębniła piętą w deski samochodowego pudła.

— ...Są jak dwie krople wody, jak dwie baraszki z jednego stada. Czemu robisz hałas i nie dajesz mówić? — przerwał wreszcie i zwrócił się do niej z

pretensją: — Wiem, że trzeba by naszych uprzedzić, ale skoro mam czas, a nie mogę niczego innego zrobić...

Przerwał i ze zdumieniem patrzył, jak uniosło się klepisko szopy, jak glina pękła i zaczęła się kruszyć. Nie mógł pojąć, co się dzieje, póki w niewielkim otworze nie dostrzegł ciemnego ruchliwego nosa.

— Czekaj, czekaj. Ja zaraz będę mógł... Szarik!

Usłyszawszy swoje imię wilczur wziął się do pracy ze zdwojoną energią, pazurami wyszarpywał kawały gliny, wsadzał łeb, popiskując cofał, podkopywał znowu i wreszcie wśliznął się do wnętrza. Strzepnął piach z futra i skoczył na pudło.

Nie sięgnął, pazury bezsilnie drapnęły o deski. Obiegł samochód — dał susa na maskę, z maski na kabinę i już był w środku. Korzystając, że jego przyjaciele mają związane ręce, serdecznie polizał ozorem ich twarze.

— Przestań — skarcił go Gruzin. — Żeby to tak dziewczyna... Czy ja nie mam największego pecha, jaki tylko można...

Słyszając jęk Lidki urwał. Odchylił się jak najdalej od burty i począł tłumaczyć Szarikowi:

— Gryź, piesku, gryź.

Wilczur, warcząc cicho, obwąchał więzy. Było zbyt ciasno, by wsunąć pysk i przegryźć rzemienie, chwyciwszy je między trzonowe pniaki. Delikatnie, żeby nie skaleczyć Grigorija, zaczął chwytać przednimi zębami. Każde szarpnięcie głęboko wciskało więzy w skórę, ale Saakaszwili, posykując z bólu, w dalszym ciągu myślał o swoim i kręcił głową:

— Jedną kocham, ale jak poznać którą? Co robić a?

Puściły oba bykowce i w tej chwili Grigorij zamilkł. Teraz mógł działać i musiał działać szybko. Rozprostował ramiona, przetaił obolałe kiście i już był jednym skokiem w szoferce. Wróciwszy z obciążkami do przecinania drutu, uwolnił Lidkę z więzów i pomógł wyjąć knebel.

Westchnęła głęboko, pokazała bez słowa przed siebie. Saakaszwili spojrzał ciekawie, co było przyczyną lęku dziewczyny, i zawiódł się: niskie drzwiczki prowadziły z wozowni na zaplecze kurnika; stało tam koryto i pień z wbitym głęboko, przyrdzewiałym tasakiem do ucinania kogucich głów. Nie było czasu, by wypytywać, czego się bała, więc tylko szturchnął ją w ramię dla dodania otuchy.

— Wiejemy.

— Czekaj. — Dziewczyna odgarnęła siano, spojrzała na zegarek radiostacji, który wskazywał osiem po piątej. — Siedem minut do kwadransa po nieparzystej. Zaczekajmy. Powiem im...

— O czym tu gadać? Chodź. Trzeba tamtych drani w pałacu i tego dezertera...

— Grześ, posłuchaj — zaszepiała spiesznie — to nie dezerters i nie chłopci. Ta w czarnej sukni, wiesz, ma pod spodem panterkę. Kiedy cię uderzyła...

— Baba mnie uderzyła?

— Ona. Kiedy upadłeś i krępowali ci ręce, wszedł oficer w mundurze i coś mówił pokazując na nas, a na końcu „*nach Berlin*”.

— Nas chciał do Berlina?... Jak? Chyba żeby na miotle.

— Spadochron leżał w kącie, koło kominka. Trzeba jak najszybciej powiedzieć Jankowi. Za siedem, teraz już za sześć minut...

Sprawy zaczynały wyglądać coraz poważniej i po sekundzie namysłu Grigorij spytał:

— Nie boisz się zostać sama, i to bez broni?

Bezgłośnie otworzyła i zamknęła usta. Postanowiła nie opowiadać, jak spadochroniarka, ogromna baba o sile niedźwiedzia, przyniósłszy związaną bez większego wysiłku do szopy, pociągnęła ją za włosy do kurnika, pokazywała na migi, że głowę, jak kurze, odrąbie. Nie było czasu na tę całą makabryczną historię ani sensu w mówieniu, że się boi, skoro kwadrans po piątej zdecydowała nadać meldunek.

— Zostanę — powiedziała. — Dobrze, że oni nie wypatrzyli radiostacji pod sianem.

Grigorij podał jej młotek, żeby się miała czym bronić, a sam skoczył do psiego podkopu. Przymierzył głowę i barki — za wąsko, nie przejdzie. Chwilę dziobał widłami i rozrywał klepisko, a potem legł na plecy i złożywszy ramiona nad głowę, wparł nogi w deski sąsięka. Mozolnie począł się przeciskać. Każde pięć centymetrów wymagało solidnego wysiłku. Szarik chwilę patrzył zdziwiony, a potem zaczął pomagać, podkopując boki pazurami.

Prowadzenie czołgu niby rzecz nietrudna, tym bardziej dla dobrego samochodowego kierowcy, ale brak wprawy daje o sobie znać nie tylko na polu walki, lecz nawet podczas zwykłego przemarszu. Mniej łagodny łuk na

zakręcie, brak rozpędu przed górką, spóźnione przerzucenie biegu — drobiazgi sumują się i spada przeciętna szybkość. No i na dodatek ta przygoda z bakami. Wszystko razem sprawiło, że „*Rudy*” skręcił z szosy w kierunku Schwarzer Forst później niż przypuszczali.

Na bocznej drodze, wiodącej do wsi i pałacu, omotał ich gęsty kurz. W otwartym włazie mechanika krztusił się Wichura, a nad wieżą Gustlik i Janek osłaniali oczy. Kos zerknął na zegarek, zeszedł do wnętrza czołgu, włączył radiostację. Podstroił ją i złowił między piskami bliski, wyraźny głos:

— „*Rudy*”, ja Lidka. Czy mnie słyszysz?

— Słyszę, jestem blisko.

— Wróg blisko. Stań i czekaj. Do ciebie biegnie *dżigit*.

— Lidka! — zawołał Janek w eter, pragnąc dowiedzieć się więcej, ale zmienił zamiar i przełączywszy na wewnętrzny telefon, począł wydawać komendy: — Mechanik w prawo, jeszcze. Działo odłamkowym ładuj... Mechanik naprzód. W lewo. Stop.

Załoga czołgu posłusznie wykonała manewry. W chmurze białego kurzu wóz stanął przy drodze w szerokiej kępie bzów, dodatkowo opancerzony od czoła kawałkiem rozwalonego muru.

— Co jest? — korzystając z chwili przerwy spytał Gustlik. — Tam kolacja, a tobie się bitwa przyśniła?

— Może... — odpowiedział zaniepokojony Janek i wrócił do radiostacji. — Lidka, ja „*Rudy*”...

Wysunąwszy głowę przez właz Jeleń zobaczył nadbiegających jednocześnie Tomasza i Grigorija z psem. Trącił w ramię Kosa, żeby mu ich pokazać, ale Janek powstrzymał go niecierpliwym gestem.

— „*Rudy*”, bądź ostrożny, w pałacu spadochroniarze! — ostrzegały słuchawki.

Ze szczytu wieży pałacowej w Schwarzer Forst, z wysokości piątego piętra widać doskonale całą okolicę i, co istotne, zarówno most kolejowy przez rzekę, którego strzegą polskie warty, jak i szosę wiodącą ze wschodu na zachód, równoległe do wybrzeża Bałtyku. Obserwator w zielonym drelichu i polówce z orzełkiem oznaczał kreską w odpowiedniej rubryce każdy przejeżdżający pojazd. To on ostrzegł w porę o nadjeżdżającej ciężarówce, a teraz uprzedził o czołgu, który niespodzianie skręcił z szosy. Najprawdopodobniej po kury lub mleko, bo stanął we wsi w chmurze pyłu.

Piętro niżej przy silnej radiostacji dyżurował podoficer w panterce i słyszał teraz, jak w tamtym głośniku woła miękki dziewczęcy głos:

— „*Rudy*”, bądź ostrożny...

— Wer spricht hier in der Nähe? — zaintrygowany obserwator pochylił się nad otworem w podłodze. Kto tu gada tak blisko?

Przy antycznym niskim stoliku czterech spadochroniarzy przerwało na chwilę grę w karty.

— *Ich weiss nicht*. — Radiotelegrafista wzruszył ramionami. — Nie wiem, kto może gadać tak blisko. A co z czołgiem?

Ten z wyższego piętra podszedł z powrotem do okna, z lornetką przy oczach uważnie przepatrzył okolicę.

— Stoi pod jakąś chałupą, ale nie widać. Tak blisko może nadawać tylko on albo nasi jeńcy. Ten szofer i dziewczyna. *O, ich hab' nicht vergessen, sie hatte Nachrichten–Abzeichen auf dem linken Arm*, miała odznakę łączności na lewym ramieniu.

Feldwebel przy radiostacji powziął to samo podejrzenie.

— Jeśli to oni, trzeba natychmiast zlikwidować, sofort liquidieren.

Rzucił słuchawki, zerwał się i chwyciwszy pistolet maszynowy popędził w dół wieży po krętych i stromych schodach. Karciarze patrzyli chwilę, jak mija kolejne piętra, a potem wrócili do gry.

Na parterze, we framudze niewielkiego pseudogotyckiego okienka, ukazującej solidną grubość muru, siedział czarny kot. Gdy podoficer przebiegał tuż obok niego, zjeżył się, obnażył zęby, a potem przez zakurzoną szybkę obserwował, co się dzieje w dużym hallu z podłużnym stołem pośrodku.

Okrzyk podoficera wywołał pochmurną parę Niemców przebranych w cywilne ubrania, którzy, prężąc się po wojskowemu, wysłuchali rozkazu. Feldwebel chciał iść z nimi, ale kobieta wstrzymała go ruchem ręki — we dwoje doskonale dadzą sobie radę — i uderzyła kantem dłoni w drugą dłoń gestem odrąbywania. Podoficer kiwnął głową na znak zgody i ruszył z powrotem w stronę schodów.

Na półpiętrze przystanął, patrzył chwilę, jak w czerwieniejących promieniach zachodzącego słońca tamtych dwoje idzie na ukos przez podwórze.

Wewnątrz wozowni było cicho i prawie ciemno. Tym głośniejszy wydał się zgrzyt klucza, stuk otwieranej kłódki i odrzucanej sztaby.

Lidka zrozumiała, że to Niemcy, poczuła, jak krew uderza jej do głowy, lecz jednocześnie szepnęła sobie w duchu, że Janek na „*Rudym*” jest już o krok i nie pozwoli przecież, żeby...

Przez uchylone wrota wpadło ceglaste światło. Lidka, ukryta za kabiną szoferki, mocniej ścisnęła w dłoni młotek, jedyną broń, jaką zostawił jej Grigorij, i postanowiła, że odsiecz powinna zobaczyć ją w walce. Gdy spostrzegła rękę chwytającą za burtę, bez namysłu rąbnęła w nią z całej siły.

Bolesne wycie tylko o sekundę wyprzedziło jęk przerażenia Lidki, na którą z drugiej strony zwałił się spadochroniarz. Kopała na oślep, gryzła, ale po krótkiej walce w samochodowym pudle rzemiosło i siła wzięły górę nad rozpaczą — przygniótł jej ręce kolanami, siadł na piersi i począł dusić za gardło.

— Warte! Czeka! — krzyknęła Niemka. — Der schöne Kopf gehört mir, ta piękna główka do mnie należy. — Wspierała słowa wyrazistym gestem i odgarnąwszy siano znalazła radiostację. — Hier ist das Funkgerät.

Oboje ściągnęli dziewczynę przez burtę na klepisko. Mężczyzna powtórnie skrępował jej ręce na plecach i koniec sznura oddał swej koleżance.

— Wo ist dein Kamerad? — spytał, nie żywiąc większej nadziei, że się czegoś dowie o sierżancie, który uciekł.

Lidka pokręciła głową i wzruszyła ramionami.

Niemiec zapalił stajenną lampę, przymknął wrota i wyciągnąwszy z kąta widły, raz przy razie począł kłuć siano w sąsiedku.

— *Du weisst nicht...* — wycedziła przez zęby Niemka. — Nie wiesz...

Pociągnęła dziewczynę w stronę niskiego wejścia do kurnika, gdzie stał pień z wbitym tasakiem. Zagdakała kura, ukryta w jakimś zakamarku, zerwała się do lotu wystraszona światłem i ruchem.

W tej chwili z podkopu wyrzała morda Szarika. Pies jednym szarpnięciem przedostał się do wnętrza. Cichy jak cień skoczył na pomoc Lidce, spadł na kark jej prześladowczym.

Niemiec spostrzegłszy, co się dzieje, uniósł widły do ciosu. Grzesiowi, który już do połowy przesunął ciało podkopem, udało się podbić mu nogę. Spadochroniarz, padając, wypuścił widły, zwinął się w miejscu i korzystając z

tego, że Gruzin ma jeszcze stopy uwięzione w otworze, przydusił go do ziemi, dobył zza pasa nóż i uderzył z góry.

Saakaszwili szarpnął się w bok. Rudo połyskujące ostrze o centymetr minęło pierś, wyłupało kawał szarej gliny z klepiska. Grigorij chwycił napastnika za kiść, rozkrzyżował ramiona. Twarze walczących dzieliła odległość dłoni. Ciężko dysząc szczyrzyli zęby, gotowi kasać.

Szarik obalił spadochroniarkę, stanął przednimi łapami na jej piersi, lecz miał do czynienia z doświadczonym przeciwnikiem — kobieta zgarnęła garść piachu, sypnęła nim psu w oczy. Korzystając z chwilowego oślepienia wilczura odepchnęła go, zerwała starą kapotę ze ściany kurnika, zarzuciła mu na łeb i nagłym ruchem wyrwała z pieńka tasak.

Lidka, nie mogąc unieść skrępowanych ramion, chwyciła zębami za rękaw wzniesionej do uderzenia ręki.

Zakotłowało się znowu, lecz już Grigorij wyszarpnął nogi i przez podkop dostał się do wnętrza Janek. Dwuręcznym ciosem w kark ogłuszył Niemca i skoczył na pomoc Lidce. Widząc wiejską kobietę, zlekceważył przeciwnika: chwycił za suknię, materiał pękł w szwach, a cios kolanem zwałił sierżanta z nóg.

Spadochroniarz leżący na ziemi otworzył oczy. Błyskawicznie ocenił sytuację i chwyciwszy widły chciał płaskim pchnięciem przebić Janka. W tym momencie brzęknęła rozbita szyba i z lufy wsuniętej przez zakratowane okienko padł pojedynczy strzał. Niemiec znieruchomiał.

Szarik wyzwolił się spod kapoty i rozgniewany skoczył do walki, zwałił z nóg swą przeciwniczkę, chwycił zębami za kark.

— Puść — przeszkodził psu Janek.

Dobywszy noża rozciął więzy Lidki i tym samym rzemieniem związał ręce Niemki powalonej przez wilczura na ziemię. Głupio mu było, że przez chwilę dał się zaskoczyć, a teraz, że krępuje kobietę.

— Auf! — rozkazał.

Niemka wstała. Kos zdjął z haka stojącą lampę, przyświecił, by lepiej ją widzieć. Na opinającym tors trykocie błysnął spod rozdartej sukni spadochroniarski znak: nurkujący orzeł w laurowym wieńcu.

— Ach so, gnädige Frau. Toś ty taka? — mruknął do siebie.

Długo chwilę wszyscy stali nieruchomo, bez słowa, odpoczywając po walce. Kura z wolna uspokoiła się również, siadła na grzędzie i ucichła.



Słysząc było tylko ciężkie, głębokie oddechy oraz szelest tynku, i chrobot wyłamywanych cegieł nad psim podkopem. Coraz to w otworze pojawiała się szeroka ręka, chwyciła krawędź, mocowała się chwilę, szarpiąc tam i z powrotem, póki wreszcie nie skruszył się kęs muru.

Spadochroniarka wzięta do niewoli spoglądała badawczo, nie rozumiejąc, co się dzieje. Janek, nie zwracając większej uwagi na rozbieraną od zewnątrz ścianę, spytał spokojnie:

— *Wieviel Mann? Aufgabe ihrer Fallschirmtruppe?* Ile ludzi? Zadanie waszej grupy spadochroniarskiej?

Tamta milczała. Kos położył rękę na kaburze i odpiął skórę z zatrzasku.

— *Heil Hitler!* — krzyknęła histerycznie.

Mur trzasnął, zarysował się nad powyrywanymi cegłami i wreszcie pękł. Spory kawał runął na klepisko i w obłokach kurzu, z twarzą umączoną pyłem zaprawy wkroczył do wozowni Gustlik.

— Czego rozrabiasz? — spytał niechętnie Janek.

— Nie rozrabiam, alech nie jest szczur, co bych z nory wylazował — gderał Ślżak i jednocześnie rozdawał automaty Grzesiowi i Kosowi; głośną Lidkę po zwichrzonych włosach.

— Ta jędza chciała mi głowę odrąbać na pniaku. Mało brakowało — poskarżyła się dziewczyna.

— Pierona, to je ale jędza! — zaklął Gustlik. — A terazki gadać nie chce? Dej mi ją ino.

Popluwszy w dłonie chwycił Niemkę za ramię, wepchnął do kurnika i zamknął za sobą drzwi.

— Gustlik! — zawołał Janek.

— Poczekej — usłyszał odpowiedź i tuż potem rozległ się straszny krzyk, wycie śmiertelnie przerażonej kobiety.

— Gustlik! — Kos szarpnął za skobel, ale drzwi nie puściły.

Chwila ciszy i znowu krzyk mrozący krew w żyłach. Janek podniósł automat, żeby rozwalić rdzawy zamek. W tej samej chwili odskoczyła zasuwka.

— Czego? — Jeleń odgarnął podniesioną do uderzenia kolbę. — Z nią, a z tym, co się nie rusza, jest jeszcze sześciu. Spadochroniarski zwiad. Szpiegują, bo jutro w nocy mają tu sciepnąć desant, coby most wysadził, a potem jeszcze pod ziemią bomba szukoł czy coś inszego.

— Trzeba ich zlikwidować — zdecydował Janek.

— Trza — potwierdził Gustlik. — Siedzą we wieży na samej górze.

*Falszirmjegierka* poprowadzi. *Also, marsch!*

Spadochroniarka, cały czas patrząca z przestachem na Jelenia, ruszyła natychmiast po komendzie. Za nią Grigorij.

— Lidka, ty razem z Szarikiem zostaniesz przy samochodzie — rozkazał Janek i biorąc do ręki stajenną lampę, by zgasić światło, półgłosem spytał Gustlika: — Coś ty jej draniu, zrobił?

— Jo? Prawie że nic. — Wyjął z kieszeni nakręcaną zieloną żabkę, którą ongiś wygrał w „*machniom*” od Grigorija, i pokazał na dłoni, jak skacze. — Żaby i myszy, to największa bezkurcyja musi się bać.

Spojrzeli na siebie, zaczęli chichotać i po chwili obaj śmieli się na całego.

— Co jest? — spytał Gruzin.

— Potem ci powiem — odrzekł Janek i jednym dmuchnięciem zgasił światło. — Idziemy.

W ciemności słyhać było jeszcze stłumiony śmiech, szcęk broni, a potem skrzypnięcie otwieranych wrót. W resztkach dziennego światła ruszyły środkiem dziedzińca dwie postacie. Druga para przemknęła bokiem pod mur, gdzie mrok już zgęstniał.

Dwoje weszło przez główne drzwi. Chwilę potem otworzyło się okno na parterze, pogrążone w cieniu. Janek i Gustlik, pomagając sobie wzajemnie, skoczyli do wnętrza. Mrok i cisza pachniały tu chłodnymi po zimie murami, smażonym mięsem i dymem drzewnym.

Niemka poprowadziła ich przez hall pałacowy — wielką salę oświetloną dogasającym na kominku, posiwiałym już żarem ogniska. Załoga szła za nią gęsiego. Zwolnili u wejścia do wieży. Stanęli zaniepokojeni szelestem, ale to tylko w okiennym wykuszu przesunął się cień czarnego kota. Cicho poczęli wchodzić na stopnie. Wyglądało na to, że może uda się tamtych zaskoczyć i wziąć bez strzału, lecz wówczas właśnie spadochroniarka, nie bacząc na lufy za plecami, skoczyła przez poręcz w dół, skryła się pod schody i zawołała na cały głos:

— Achtung! Die Polen sind da!

Gustlik poderwał automat, żeby dać serię, ale go Janek wstrzymał.

— Kryj się!

W górze otwarto drzwi, pionowy słup światła przeciął wnętrze wieży.

— Achtung! Die Polen! — ostrzegła po raz drugi Niemka.

Janek błyskawicznie uniósł pepeszę do ramienia, króciutką serią sięgnął najwyższego piętra. Warknęły trzy wystrzały. Ktoś zachwiał się, runął w dół. Zgasło światło.

— Jeszcze pięciu — powiedział Kos.

Prawie równocześnie zaczęły grać długie serie pistoletów maszynowych i poszła w dół gęsta wiązka smugowych pocisków z erkaemu.

— Granaten! — usłyszeli okrzyk u szczytu wieży.

Strzelanina umilkła jak nożem uciął.

— Odskok — skomenderował Janek.

Cała trójka błyskawicznymi rzutami wycofała się za grubą framugę drzwi, zniknęła w załomach muru. Słyszeli postukiwanie o schody spadających granatów, a potem jeden wybuch, drugi i jeszcze dwa naraz na samym dole, gdzie się skryła spadochroniarka. Wyleciały w powietrze strzępy balustrady, kłęby skruszonego tynku.

Kos zdziwił się, że tamci na górze zapłacili swej koleżance śmiercią za ostrzeżenie. Inne, widać, nieludzkie prawa rządzą w świecie hitlerowskich spadochroniarzy... Z góry trysnęła długa świetlna seria. Odpowiedział na nią krótkim warknięciem automatu. Usłyszał jęk erkaemisty.

— Czterech! — zawołał.

Gustlik i Grigorij jednocześnie dali ognia na błysk widoczny w górze. Z brzękiem poleciał pistolet maszynowy, odbity o schody i spadł im do stóp.

— Trzech... *Trio*ch — prawie jednocześnie stwierdzili obaj strzelcy.

— Wichura i ten nowy do gotowego przyjadą — odpowiedział Janek.

W tej samej chwili czołgowy pocisk rąbnął w górną część wieży. Od wybuchu drgnęły mury, sypnęło rozbitą cegłą i szczątkami jakichś przedmiotów. Długo trwała cisza, nim opadł kurz. Na samej górze poczęły pełzać płomyki.

Nie wytrzymali, żeby nie przygrzać. Koniec roboty — stwierdził Janek. — Leć, Grześ, ściągaj tu „*Rudego*”, ciężarówkę i całą resztę, a my skoczymy gasić, żeby się cała chałupa nie sfajczyła.

Schodami ruszyli w górę. Gdy jeden forsował półpiętro, drugi osłaniał go automatem, potem następowała zmiana. Nie było w tym widocznej potrzeby, ale ponieważ trudno człowieka załatać, lepiej przesadzić w ostrożności niż w brawurze.



## ROZDZIAŁ 28. KWADRANS PO NIEPARZYSTEJ

Przez uchylone odrzwia wiodące do pałacowej sali wstawiła łeb łaciata krowa z ułamanym rogiem. Zdecydowała widać pilnować się Czereśniaka, który ją doił w południe. Nadstawiła ciemne włochate uszy, żeby lepiej słyszeć melodię graną na harmonii, i niespiesznie przeżuając patrzyła wilgotnymi, nieruchomymi, pełnymi światła oczyma w stronę długiego, ciężkiego stołu i resztek żołnierskiej kolacji.

Na stole świeciła duża naftowa lampa. Pośrodku stał półmisek ze stertą ości, obok bieleło wiadro. Grajek przerwał na chwilę, zaczerpnął z niego kubkiem i z uśmiechem podsunął Gustlikowi.

— Szósty — powiedział Ślżak. — Mleka to jo mogę dużo.

Tomasz wrócił do harmonii, rozciągnął czarny miech, zdobiony rombem białych wypustek, i cichutko akompaniując śpiewał swoją piosenkę:

*Już kuferek stoi zrychtowany, już tam stoi na stole...*

— Skąd znosz? — wtrącił Jeleń. — To nie jest z waszych stron. Czereśniak kiwnął głową i dokończył zwrotkę:

*Wynieś mi go, moja najmilejsza, wynieś mi go na kolej.*

Nie przestając ciągnąć melodii na pojedynczej nutce, wyjaśnił:

— Różne znam. My z ojcem folwarczni. Pół Polski zeszliliśmy, nim do Studzianek, do pani Zamoyskiej...

— A taką słyszałeś? — wtrącił się Grigorij i zaśpiewał:

*Kartwelo theli hmals ikar...*

— Jak to jest po polsku? — zainteresował się Gustlik.

— Gruzynie, chwyć za miecz! Stara pieśń rycerska.

— Chyć miecz, ale śpiewać przestań, bo ci to mało dobrze idzie.

Tomasz gładził delikatnie basy, nasłuchiwał soczystych tonów i grał coraz głośniej.

— Chórem trzeba, na głosy — wyjaśniał Saakaszwili.

— No właśnie...

— Panie plutonowy — Czereśniak nachylił się i osłonięty melodią tak,

że inni nie mogli usłyszeć, poprosił: — Jakby pan powiedział to kapral by dał.

— Co?

— Harmonię.

— Czemu mieliby dać?

— Sam przecież nie gra.

— To się nauczy.

Melodia zgasła w pół taktu i usłyszeli głos Janka, który prowadził rozpoczętą wcześniej rozmowę:

— Wszystko dlatego, że podzieliłem siły.

— Łączność miała być, a nie było — wtrącił Wichura, zerkając na Lidkę.

Dziewczyna, sprawdzwszy, czy nikt nie widzi, pokazała mu różowutki język.

— No i nasz koń miał dziś marnego furmana — dodał Gustlik.

— Trzeba było nie przesadzać — odciął się szofer.

Saakaszwili skończył czyścić pas podarowany mu przez ojca Janka, zdjął szpadę znad kominka i rozpoczął pojedynek z niewidzialnym przeciwnikiem. Pod błyskawicznymi cięciami gwizdało zdziwione powietrze, cień ledwie nadążał uskakiwać przed seriami pchnięć.

— Ustań, bo komu oko wykolesz — zaburczał Gustlik.

Grigorij posłusznie schował broń do pochwy, powiesił na miejsce, uśmiechnął się, ziewnął i znudzony gadaniem wyszedł do sąsiedniego pokoju, przyświecając sobie stajenną lampą, którą zabrał z wozowni.

— Ale z drugiej strony — ciągnął Janek — jak utrzymać w kolumnie dwa pojazdy o różnych szybkościach?... Wszystko jedno, jutro już nie podzielę.

— Gorzej by było, jakbyśmy razem wpadli w zasadzkę — stwierdził Wichura i nachmurzywszy czoło, zagadnął ostro Czereśniaka: — A tyś czemu nie stanął od razu w obronie. Pepeszę miałeś...

— Sam byłem — odpowiedział Tomasz. — Pomocy czekałem.

— A czemuś nie pobiegł naprzeciw?

— Patrzyłem ze strychu chałupy, czy naszych nie zabiorą. Żeby wiedzieć, gdzie szukać. — Zakłopotany tym nagłym badaniem przeczesał palcami włosy, poprawił przedziałek.

— Mało brakowało, a byśmy wpadli — kręcił głową nie przekonany szofer.

— Od tego rozpoznanie, żeby nie wpaść — sprzeciwił się Janek. — Powinienem mieć notes i zapisywać różne doświadczenia...

Wszyscy umilkli, jakby zobaczyli cień dawnego dowódcy, jakby usłyszeli jego zwykłe słowa: „*Uwaga, załoga*”.

— On miał wszystko w głowie — powiedział z zadumą Kos.

Usłyszeli nagle szybkie kroki, do tamtych podobne, skrzypnęły drzwi. Niczym na komendę odwrócili głowy. W drzwiach stał Grigorij przytrzymując pod brodą koronkową nocną koszulę.

— Ładnie mi?... — spytał ze śmiechem. — Lidka, to dla ciebie. Szwabska hrabina zostawiła. — Podszedł i rzucił jej na kolana. — A łóżko takie ogromne...

— Jak u was w Gruzji, nie? — mruknął Gustlik.

— Z namiotem, jak u jakiego króla albo reakcyjnego generała — ciągnął Saakaszwili, nie dosłyszawszy słów Jelenia. — Albo jak na kapitalistycznym filmie.

Tomasz, który już od chwili odginał nożem ogrodniczym sztyfty, zdjął wreszcie z okładki swastykę w dębowym wieńcu, cisnął ją w kąt, a teraz podał dowódcy granatowy, ładnie oprawny notes, nadpalony z jednego brzegu.

— W środku dobry. Można pisać.

— Skądżeś wziął? — spytał Janek, zaglądając do środka. — Fajny...

— Z góry. Radiostacja rozbita, spalonego dużo, a to zostało.

— Ojciec kazał ci zbierać, co Niemcy rozkradli, a ty oddajesz — zakpił Wichura.

— Zeszytów u nas nie było — odpowiedział poważnie Tomasz. — Każdemu to się należy, na czym potrafi robić. Na ten przykład, grającemu harmonia.

— Dej mu ten miech — wtrącił Gustlik przesuwając palcami po fioletowych i czerwonych wykładzinach, błyszczących w świetle lampy jak masa perłowa.

— Za co? — Szofer zmarszczył perkaty nos.

— Za nic. Za to, że gro. Po co ci?

— Dobra. Jak kulki zagwiżdżą i zobaczę, że żołnierz, to dam...



Szarik zainteresowany tym, co jego pan ogląda, wspiął się, oparł łapy o stół i powąchawszy notes zawarczał.

— Złym człowiekiem pachnie?

Pies zaszczekał na potwierdzenie, ale Janek go uspokoił:

— Poczekaj, my tu będziemy różne rzeczy zapisywać. Na przykład: Szarik, mądre psisko.

Wilczur machnął lekko ogonem i opuścił wzrok, bo był to pies skromny nad podziw. Może się nawet zarumienił, ale pod sierścią nie było widać.

— Chodź, pokażę — powiedział głośniejszym głosem Grigorij, naszeptujący dziewczynie na ucho, schwycił ją za rękę i poprowadził do sąsiedniego pokoju.

Była to sypialnia dawnych właścicieli pałacu. Na ściennych obrazach fauny goniły nimfę, kawaler odziany w czarny aksamit i białe koronki całował damę dworu, nie zapomniawszy zawiesić kapelusza ze strusimi piórami na rękojeści oprawnej w złoto szpady.

— Popatrz — Grigorij podniósł latarnię do góry, oświetlił ogromne rokokowe łóżko, nad którym jak namiot wezryra zwisała wzorzysta zasłona.

— Ojej! Odwróć się i poczekaj chwilę.

Lidka nigdy jeszcze nie widziała takiego kobiecego bogactwa. Może przed wojną na filmie, ale mało jej w pamięci zostało. Błyskawicznie zdjęła bluzkę mundurową, narzuciła leciutką długą suknię z zaróżowionej ledwo bieli i ściągnęła łososiową aksamitkę, zawiązała kokardę. Szerzej rozsunęła tiulowe rękawki zdumiona wielkością dekoltu. Jak zaczarowana stała przed ogromnym lustrem. Przymierzyła zdobną spinę do włosów, skropiła się perfumami. Pogładziła włosy srebrną szczotką, przypudrowała nos.

— Lidka... — Saakaszwili cicho przypomniał o swoim istnieniu.

Dziewczyna podeszła do Grigorija, przemieniona z żołnierza w kobietę.

Popatrzyła uważnie, jakby go po raz pierwszy spostrzegła, i on też patrzył, jakby jej nigdy przedtem nie widział.

— Mogę ci coś powiedzieć? — spytał wreszcie.

— Słucham — odpowiedziała ciepłym, stęsknionym oświadczyn głosem i siadła na brzegu łóżka, odchylona w tył, oparta na rękach.

Grigorij przygryzł wargi, spuściwszy oczy przywołał z pamięci podwójny portret dziewczęcej twarzy, z których jedna należała do Hani, i rzekł co innego, niż w pierwszej chwili zamierzał.

— Możesz tu spać. Ja się położę u drzwi, nikogo nie wpuszczę — przyklęknął u jej stóp i tłumaczył unosząc twarz.

A sam nie wejdiesz? — zagadnęła z cieniem nadziei.

— Nie. Słowo. Ja przecież mówiłem, że jak był biały walc, pokochałem Hanię, ją tylko jedną, ale jak poznać...

Twarz Lidki zmieniła się, zastygła w złośliwym półuśmiechu.

— Napisz. Listonosz odróżni. Ale potem jednak, żebyś się nie mylił, będzie musiała lewe ucho na zielono pomalować...

Przez uchylone drzwi wpadł czarny kot, za nim Szarik. Buchnął pisk i szczekanie. Poleciały na ziemię drobne przedmioty spod lustra. Zwierzęta w gonitwie przecwalaowały łoże, wypadły z powrotem do sali jadalnej. Kot skoczył w noc przez otwarte okno.

— Szarik, do nogi! — krzyknął Janek, a potem go pogłaskał. — No, cisza, spokój, wypędziłeś złego ducha z pałacu i cisza, dobry pies... To musiał być notes radiotelegrafisty. Tu nawet są jakieś litery, popatrz, Gustlik.

Na kartce czerniały duże znaki pospiesznej notatki: „*Ein V. n. 11*”.

Jeleń przysunął się bliżej, pochylił głowę i przesylabizował:

— *Ajn fau en* jedenaście. Pieron wie, co to je?

— Cisza, piesku — Kos dalej uspokajał Szarika.

— Ale... Kaj tam cisza — rzekł Gustlik. — Słyszycie? Warczy. Nie pies, ino samolot — pokazał w stronę okna. — Spuść no, chłopie *ferdunklung*. Ta roleta spuść! — wytłumaczył nie rozumiejącemu w pierwszej chwili Tomaszowi i wrócił do niemieckiej notatki. — *Ajn fau en...* Pierona! — zawołał i chwycił swój pistolet maszynowy. — *Ein Viertel nach elf*, kwadrans po jedenastej. Mieli my jutro warta przy moście zawiadomić o desancie, a oni dzisiok... Kiero godzina?

— Po jedenastej dwanaście — odpowiedział Janek i zgasiwszy jednym dmuchnięciem lampę, podszedł do okna, odrzucił zasłonę.

Nie tylko usłyszeli, lecz na tle jasnego nieba zobaczyli wyraźnie samoloty transportowe — jeden, drugi, trzeci. Niżej, tuż nad pałacem przegwizdała para myśliwców osłony.

— Sporo — powiedział Kos.

— Janek, tak mi się widzi, że pierwsze, co w tej książce zapiszesz, to coby babom nie wierzyć. Oszwabiła nas *falszirmjegerka*. Powiedziała, co jutro na ten most przylecą.

Z sypialni wyszedł Grigorij ze stajenną lampą, a za nim Lidka.

— Czemu tak cicho? Co tam widzicie?

— Zgaś — rozkazał Janek.

Teraz u okna stali wszyscy sześcioro. Samoloty zredukowały gaz, zwolniły i poczęły wysypywać spadochroniarzy.

— Wichura, zostaniesz tu z Lidką, samochodem i psem.

— Nie zostanę — odpowiedział szofer. — Tam będzie gorąco i każda lufa się przyda. — Chwycił ze stołu kubek, dopijał spiesznie.

— I ja chcę być z wami. Dość tego jeżdżenia osobno. — Dziewczyna potrząsnęła głową.

— Sejm czy co? Przestać gadać! — rozzłościł się Kos. — Dobra. Siadaj Lidka, obok Grzesia do erkaemu — rozkazał. — A wy, Wichura, i Czereśniak jako desant, do wozu!

Skoczyli jeden za drugim przez okno.

— Myśli o mnie — przekładając nogi przez parapet, zdążyła Lidka szepnąć Gruzinowi. — Najpierw chciał zostawić, żeby bezpieczniej, a teraz wziął, żebym była blisko.

— Lidka!

— Biegnę! — odkrzyknęła wesoło.

Silnik już dudnił, gdy dopadła wozu, i załoga była na miejscach. Tysiąckrotny trening jest sojusznikiem żołnierza, a czołgiści wślizgują się do swego wozu jak palce jednej dłoni do wygodnej, starej rękawicy. Kiedy na ciemnym horyzoncie zamigotały pierwsze świetlne serie, „Rudy”, rozwaliwszy do reszty bramę, wyrwał się spomiędzy wiejskich zabudowań i pognął na pełnych obrotach w kierunku rakiet, pokazujących lądowisko desantu.

Na pancerzu, wczepieni w klamry, siedzieli Wichura i Czereśniak. W otwartym włazie stał Janek.

— Z lewej wyrwa... Gaz!

Pędzili dłuższą chwilę gruntowym traktem, potem w przedzie zamajaczyła górka, wyskoczyli na bruk, na stromy podjazd kolejowego wiaduktu. Ostro wzięli zakręt.

— Wolniej... Wolniej... Stop! — krzyknął. — Stój!

Zahamowane gąsienice, krzesząc iskry, sunęły po bruku w stronę urwiska. Przez chwilę trudno było odgadnąć, czy bezwład nie zwali „*Rudego*” w dół, ale traki spotkały metr rozbitej nawierzchni, zaryły się, przyhamowały.

Kapitan Hugo Krummel skakał ze spadochronem w Polsce i w Norwegii, lądował z desantami na Krecie, wśród zielonych pól Holandii i w głębokim, śmiertelnie białym śniegu pod Stalingradem, przywożąc ostatnie instrukcje i feldmarszałkowskie naramienniki dla Paulusa. Skakał w pojedynkę, samotrzeć, jak i wśród tysięcy łaciatych parasoli z jedwabiu. Dzisiejsze zadanie było w pewnym sensie jubileuszowe — otwierało nową, dziewiątą setkę skoków. Niewielu mu dorównywało, bo w tym rodzaju broni ludzie wykruszają się szybciej niż błoto w słońcu z poły żołnierskiego płaszcza, ale miał w grupie stare wygi — choćby feldfebla zwanego Zapałką, którego poznał i właściwie ocenił jeszcze na Krecie.

Nie speszyło go milczenie radiostacji naprowadzającej w Schwarzer Forst. Desant nie orkiestra, żeby wszystko grało. Zawsze coś nawali, może po prostu jakiś głupi kondensator w nadajniku, lecz skoczek powinien umieć ominąć lub sforsować każdą przeszkodę. Grunt, że rozpoznali obiekt i osłona okazała się niezbyt mocna — wszystkiego dwa jednoosobowe posterunki w bunkrach. Odwody Polacy mają daleko i przecież gorzej znają teren, na którym od trzystu już lat panowali Niemcy.

Przycichło monotonne, falujące burczenie silników. Nawigator zapalił ostrzegawcze światło.

Krummel spojrział w dół przez okienko, zobaczył połyskującą wstążkę wody i przez sekundę pomyślał o starszym bracie, dowodzącym na morzu U-bootem. Niedawno obaj jednocześnie odbierali Żelazne Krzyże z Wieńcami Dębowymi i Mieczami. Po wykonaniu tego zadania zdystansuje jednak Zygryda, o czym od dzieciństwa marzył.

Tuż obok transportowca przemknęły w locie nurkowym dwa myśliwce i odpaliły rakiety w stronę bunkrów.

Huknęły otwierane drzwi, zaświstał wiatr i zaraz potem zielono zamigotał sygnał.

— Haus!

Posypali się w dół strzelcy, skoczył Zapałka, a za nim Krummel. Jeszcze z powietrza zorientował się, że bliższy bunkier osłony dostał termitowym

pociskiem, że strzela tylko ten z za rzeki, bijąc na przemian seriami z erkaemu i wołając o pomoc żółtymi gwiazdkami świetlnych rakiet.

Obrócił się na linkach, żeby dokładnie z wiatrem, złączył stopy i miękko przekoziółkował w wilgotnej trawie. Kiedy wstał i odczepił czaszę, spostrzegł, że nie musi wydawać dodatkowych rozkazów — nadbiegał łącznik, dwu rozbijało zasobnik z pancerfaustami, a fizylierzy kłusowali grupkami w stronę mostu.

Ktoś wylądował na samym brzegu rzeki i wskazując kierunek pogubionym w krzakach bliskiego lasu, raz po raz cisnął trzy granaty na kolejowy nasyp.

Kiedy Grigorij wyskoczył z wozu i stanął nad krawędzią wykopu, w stronie niedalekiego już mostu huknęły trzy granaty. Wzmógł się ogień niemieckich automatów i zagłuszył samotnego diegtiarowa.

Janek zeskoczył na ziemię, pobiegł przedczołg. Wiadukt nad torami spłonął, zostały tylko wąskie dźwigary, zawieszony dwa piętra nad ziemią.

— Objeżdżaj dokoła — powiedział Kos do mechanika.

— Nie zdążymy. Strzelają rakietami na pomoc. A fryce wszyscy wylądowali. — Gruzin pokręcił głową, zerkając na odlatujące transportowce, a potem na wąskie dźwigary wiaduktu. — Jakby to wytrzymało...

— Wytrzyma. Tyle że nawierzchnia spalona.

Raz jeszcze spojrzął w dwupiętrową przepaść poprzez ogryzioną przez ogień konstrukcję.

— *Pajechali!*

Tymczasem podeszli już Wichura i Czereśniak.

— Po tych żerdziach? — zdziwił się szofer i szybko zdecydował: — To my dołem, a po drugiej stronie doskoczymy.

Ciągnąc za rękaw Tomasza pobiegł ku skarpie. Po obroszonej trawie zjechali obaj w dół na siedzeniach, przebiegli tory, poczęli się wspinać na drugą ścianę wykopu.

W tym momencieczołg ruszył. Z dołu na tle wygwieżdzonego nieba widzieli, jak ogromny wóz wolno wkracza na dźwigary i sunie, jakby zawieszony na dwu linach. Pod gaśnicami pojękiwała spracowana stal. Wykruszyły się i spadły w dół jakieś resztki przetrwanego ogniem żelastwa. Zaczołgiem spokojnie wędrował Szarik.

— Ale cyrk — szepnął Wichura. — Jeden nie taki ruch i rany gorzkie!

— Harmonia na stole została — przypomniał sobie Tomasz. — Może kto ukraść.

Ani przez chwilę nie wątpił, że czołg przejdzie. Gdyby mu kto próbował przedstawić grozę sytuacji, odpowiedziałby pewno, że skoro furman się nie boi...

Podobnie jak Czereśniak myślała Lidka. Widziała, że Saakaszwili naradzał się z Kosem, ale potem nie wyjrzała nawet, któredy jada, nie czuła lęku, bo przecież strzelano jeszcze nie do nich. „*Rudy*” sunął powoli, spokojnie i ze zdziwieniem spostrzegła, jak na czoło Gruzina występują grube krople potu, a zęby poczynają nerwowo przygryzać górną wargę.

— Boisz się? — szturchnęła go w bok.

Mechanik nie odpowiedział, nie drgnął nawet. Wpatrzony w coraz bliższy przeciwny brzeg, czujnie trzymał dźwignie sterownicze.

— Boisz się! — powtórzyła i podniosła rękę, żeby dać mu mocniejszego kuksańca.

Spadochroniarze zaatakowali most. Dwa erkaemy na zmianę blokowały ogniem strzelnicę. Bunkier łowił krótkie przerwy, odpowiadał zajadle, ale po torach, osłonięta mrokiem, szynami i metalem konstrukcji, pełzła już grupa uderzeniowa z pancerfaustami. Wycelowali i na komendę feldfebla Zapałki dali jednocześnie ognia z trzech rur. Żółte eksplozje zagrzmiały jak jeden wybuch i bunkier umilkł.

Zgasły ogniki wystrzałów, ucichły serie. Teraz już nikt nie przeszkadzał napastnikom. Wzmocniona drużyna przebiegła na drugi brzeg, zajęła stanowiska, by stworzyć osłonę przed ewentualną odsieczą. Tymczasem saperzy jak ciemne pająki snuli się po kratownicach, zakładali ładunki na filarach, łączyli kable, ostrożnie zaciskając spłonki.

Odezwały się żaby, których nie płoszyły metalowe postukiwania. Gefreiter przy erkaemie złowił wzrastający, coraz bliższy warkot, uniósł się i nasłuchiwał. Przeszkadzał mu ostatni pożegnalny nalot pary myśliwców, które z powietrza osłaniały lądowanie. Nim zniknęły nisko nad horyzontem, spostrzegł ciemny kształt sunący za żywopłotem osłaniającym tory od śniegowych zamieci. Rozpoznał T-34 i krzyknął co sił w płucach:

— Achtung, Panzer!

Przypadł do erkaemu, dał serię. Odpowiedział mu zza wieży pistolet maszynowy Wichury i błysk działa. Pocisk rozpruł okop, zgasił maszynkę.

Kos uniósł lufę, by mieć most w celowniku. Posłał serię z karabinu maszynowego, strącił paru saperów do wody.

— Nie śpij, Lidka — poprosił przez wewnętrzny telefon i usłyszawszy długą serię dolnego kaemu, dodał: — Spokojnie celuj, krótko strzelaj.

Spostrzegł drugie gniazdo ogniowe na własnym brzegu i rozbił je dwoma pociskami. Gustlik błyskawicznie ładował po każdym strzale, śliniąc palec odblokowywał bezpiecznik i meldował:

— Gotowe... Całkiem gotowe.

— Naprzód, wjeżdżaj pod bunkier.

Grigorij wprowadził czołg za betonowe ruiny. Niemcy przerwali ogień. Janek uchylwszy włazu ostrożnie rozejrzał się wokół.

— Oni, dranie, już założyli ładunki. Lada chwila podłączą kable.

— Skoczymy na drugi brzeg? — spytał Grigorij.

— Nie. Nocą i bez osłony? Wykończyliby nas bez trudu z pancerfaustów.

Słuchając tej rozmowy Tomasz otworzył usta, jakby chciał coś dopowiedzieć, ale nie zdążył.

— Może pociskami druty poszarpać? — wtrącił Gustlik.

— Spróbujmy — zgodził się Janek — ale mała szansa.

Trzasnął zamykany właz. Wystrzeliło działo. Wichura, ukryty za wieżą wypatrywał celów i od czasu do czasu naciskał spust.

— Szeregowy Czereśniak, jak tam...

Obejrzał się, ale na pancerzu nie było nikogo. Został tylko pistolet maszynowy nowego członka załogi.

Przez uchylony właz Kos strzelił w kierunku drugiego brzegu fosforową raketę. W jej ostrym świetle zobaczyli most i grupkę spadochroniarzy, zmieniających stanowiska między kępami olszyn na tamtej stronie rzeki. Nasz brzeg był bezdrzewny, ale nad samą wodą porośnięty łożami.

W łożach Tomasz ściągnął koszulę, przycisnął ubranie kamieniem. Na piersi obok świętego medalika zawiesił ogrodniczy kozik znaleziony dziś w opuszczonym przez Niemców domu. Nabrał w dłoń wody, łyknął raz i drugi, a potem przeżegnał się, zsunął w nurt i dał nura.

Rzeka nie rozgrzała się jeszcze po zimie, ścisnęła piersi, jak żelazną obręczą, chciała go przestraszyć. Wynurzył głowę daleko od brzegu. Zrobił parę zamachów płynąc na boku i znowu poszedł pod wodę. W samą porę, bo

Niemcy już spostrzegli — równocześnie z ostatnim zagarnięciem ramienia krótka seria rykoszetowała od powierzchni.

Długo nie było widać Tomasza. Może ten strzelec myślał, że celnie trafił, ale ucieszył się za wcześnie. Przy samym brzegu, pod osłoną obmytego przez wodę głazu wynurzyła się głowa. Czereśniak przetarł dłonią oczy i patrzył w górę, na zawieszane na tle nieba pajęczne nici kabla.

W powietrzu nad brzegiem splatały się w jeden sznur, który szedł ku skarpie i ginął w czarnej trawie.

Po brzegu, po jego górnej krawędzi, co pewien czas skakały wybuchy pocisków z „*Rudego*”. Tuż nad kamieniem strzygły niemieckie serie. Tomasz wziął oddech i jeszcze raz dał nura pod prąd.

Z wolna, starając się nie pluskać, wypłynął w cieniu mostu. Wyczekawszy chwilę, żeby sprawdzić, czy go nie widzą, wypełznął na brzeg pod osłonę filaru. Stąd jednak nie mógł sięgnąć do kabla, nie wychodząc w ostro przystrzeliwane pole rażenia. Kozikiem przyciął olszynową gałąź z sękiem. Spróbował przyciągnąć drut, ale kule natychmiast złamały patyk.

Drżąc z chłodu, a może i z nerwowego napięcia, Tomasz z powrotem zawiesił na szyi nóż o zagiętym sierpowato ostrzu. Przeżegnał się raz jeszcze, przysiadł i z podskoku chwycił mostową kratownicę. Podciągnął się i polazł po niej w stronę rzeki, wczepiony rękami i nogami, a potem jednym rzutem skoczył, chwycił kable w powietrzu i poprzez sieć smugowej serii spadł do wody.

„*Rudy*” wystrzelił ponad trzydzieści pocisków, kiedy przybyła odsiecz. Tyraliera piechurów skokami wyszła na brzeg, zapadła w stare okopy.

— Chrzan, chrzan! — wołali w stronę czołgu, żeby uspokoić załogę, że swoi, bo żaden Niemiec takiego słowa nie wymówi.

— Nie chrzańcie, tylko kropcie do fryców! — krzyczał Wichura.

Dwa batalionowe moździerze otworzyły ogień ze stanowisk za kolejowym nasypem, zagdakały erkaemy, warknęły pepesze.

Dowódca piechurów podbiegł do „*Rudego*”. Wichura zastukał w pancerz i Janek uchylił włazu.

— Pójdziecie przez most? — spytał oficer.

— Dobra. Ale za wami.

— Zgoda — chorąży zasalutował i odbiegł w stronę swej tyraliery.



Przygotowując atak, przyspieszyły moździerze, rąbała raz po raz czołgowa armata.

— Naprzód!

Piechota podniosła się, ruszyła z okrzykiem przez most. Za nią po kolejowych podkładach gramolił się „*Rudy*”, nie ustając w prowadzeniu ognia.

Spadochroniarze trzy minuty wcześniej odpełzli z brzegu, cofali się skokami przez siwą od rosy łąkę, zapadali w cień lasu. Kapitan Krummel nakazał odwrót, jak tylko się czołg pokazał, nie przypuszczając ani przez chwilę, że w nocy działa samotny wóz. Miał zresztą zadanie tak jakby wykonane (klucz iskrownika połyskiwał matowo tuż pod ręką) i nie było sensu narażać ludzi, których czekała ważniejsza i trudniejsza robota.

Czemu więc nie wysadzał mostu? Po prostu dlatego, że był oszczędny.

Cały oddział skrył się już w lesie. Obok kapitana zostali łącznicy i dwóch saperów. Krummel czekał, póki nie ruszyła piechota z tamtego brzegu i nie zobaczył czołgu na środku mostu.

— *Jetzt!* — rozkazał.

Saper przekręcił klucz i... wybuch nie nastąpił.

— *Donnerwetter!* — zaklął żołnierz.

Kapitan zacisnął pięści, bez słowa dał znak ręką i wszyscy razem ruszyli biegiem w stronę czarnej niedalekiej ściany drzew.

„*Rudy*” po drugiej stronie rzeki spełznął z nasypu, stanął i otworzył włązy. Podszedł chorąży z piechoty, uścisnął ręce Gustlika i Janka, którzy zeskoczyli z pancerza na ziemię.

— Przegoniliśmy ich. Most cały... A wasi wszyscy cali?

— Wszyscy — odpowiedział Kos.

— Czereśniaka nie ma — sprostował z zakłopotaniem Wichura. — Automat zostawił, a sam jeszcze na tamtym brzegu gdzieś się stracił.

— Diabli nadali. Może zginął?

— Jakby dostał, to by był — filozoficznie stwierdził Gustlik. — Trza go szukać.

— Nie trzeba — odpowiedział Tomasz. — Jestem. — Wyszedł z mroku w czarnym od wody mundurze.

— Coś taki mokry? Czemuś broń rzucił? — surowo pytał Kos.

— Bo ja... — zaczął tłumaczyć, wyjmując zza koszuli zawieszony na sznurku medalik i kozik.

— Modliłeś się, żeby cię kula minęła? — spytał Wichura.

— Chciał się napić po rybie i wpodł do wody — mruknął Gustlik.

Tomasz parę razy otwierał usta, ale ponieważ nie dali mu dojść do słowa, machnął zniecierpliwiony ręką i zamilkł.

Po moście zastukały kopyta, wyciągniętym klusem szedł szwadron kawalerii. Dowódca, w przedwojennej garnizonowej czapce z długim okutym daszkiem, rozglądał się na boki. Spostrzegł czołg, podjechał i osadził gniadego konia.

— Szwadron stój!

Rozpędzony trębacz z pierwszej trójki wysunął się zbyt daleko w przód i dostał batem po cholewie.

— Nazad. Przed gospodarza nie leż.

Pochyliwszy się w siodle, wąsaty jeździec wypatrzył oficera i salutując zameldował:

— Szwadron zwiadu brygady kawalerii jako grupa pościgowa. Melduje wachmistrz Feliks Kalita. Gdzie przeciwnik?

— Oderwał się.

— Ilu ich?

— Pancerni lepiej wiedzą, bo od początku tu byli.

Gniady ogier, parujący lekką mgiełką z rozgrzanej sierści, jakby zrozumiał słowa, przestąpił z nogi na nogę zwracając łeb w stronę czołgu.

— Lądowało przeszło sześćdziesięciu. Trzecią część chyba stracili, nim odskoczyli w las — rzekł Kos.

— Ech, ludzie, czy wy radia nie macie? Żeby ja kwadrans wcześniej wiedział, że tu się coś takiego szykuje...

— Niemcy nam nie meldowali — odgryzł się Wichura.

— Jak do was, kapral, będę miał interes, to kobyłę na rozmowę poślę — pogardliwie cedząc słowa obciął go wachmistrz.

Koń obrócił łeb znaczony białą strzałką i zadzwoniwszy uzdą trącił mordą w kolano. Jeździec dał mu skórkę od chleba, a potem znów się zwrócił do Kosa:

— Czemuście im dali odskoczyć?

— Po nocy w lesie żaden pościg...

— Chyba żeby dobry żołnierz na dobrym koniu — przerwał wachmistrz i zaszalutował. — Czołem, panowie, spróbuję złapać to, co wam uciekło.

Janek, unosząc rękę do hełmofonu wymienił spojrzenie z Gustlikiem, westchnął oblizując spieczone pragnieniem wargi.

— Myślółżeś, że być dowódcą to kluski jeść? — zamruczał Jeleń.

Wachmistrz na swym ogierze przeskoczył rów przy torze i ogarnąwszy żołnierzy spojrzeniem, podał komendę:

— Szwadron za mną, klusem marsz!

Grigorij siedząc koło gąsienicy gryzł trawkę, patrzył na ciemne sylwetki ruszających kawalerzystów.

— Czołg dobra rzecz, ale serce *dżigita* boli — wyznał Lidce wychylonej z przedniego włazu.

Po ostatniej trójce na chwilę usłyszeli żaby, a potem jeszcze jeden spóźniony jeździec zadudnił po moście i pochylony nad grzywą białego konia przeleciał galopem w ślad za szwadronem. Żwir spod kopyt zadzwonił o traki gąsienic.



## ROZDZIAŁ 29. ŚNIADANIE

Cichy i nieruchomy stał pałac Schwarzer Forst w świetle księżyca. Czerniały okopcone blanki na wieży i dziura wybita pociskiem. Połyskiwały różne szybki w witrażowych oknach parteru, a orzeł na pancerzu „*Rudego*” wydawał się nie biały, lecz srebrny. Do bramy wiodły przez podwórze ciemne, wyraźne ślady gąsienic. Było cicho, wiatr nie kołysał nawet trawą na klombach.

Duża, ręcznie kuta klamka na drzwiach głównego wejścia, naciskana od wewnątrz, opadała powoli, a potem gwałtownie odskoczyła — metal strzelił ostro i niespodzianie. Ciemna szczelina rozdzieliła odrzwia jak pęknięcie.

Chwilę nikt nie wychodził. Wreszcie wąska szpara zaczęła się rozszerzać, mignęła kosmata łapa i wilgotny nos, błysnęły ślepia i wyjrzał cały łeb. Szarik obserwował podwórze, słuchał i węszył. Sprawdzał, czy prócz ostro zarysowanej cieniem ciężarówki i poza „*Rudym*” nie ma czegoś nowego i obcego.

Cisza. Nic nie słyhać i nie widać nikogo. Pies, uspokojony, wybiegł na dwór, pokłusował krętym, sobie tylko wiadomym tropem, przystanął na sekundę u węgła wozowni pachnącej sianem i krową, koło krzaka na klombie, lecz dopiero u wrót znalazł to, czego szukał — bramę wygiętą ciosem zderzaka prowadzonej przez Grigorija ciężarówki, wyrwaną z zawiasów przez czołg. Obwąchawszy ją starannie, Szarik zrobił to, co psy zwykły czynić w odpowiednio pachnących miejscach, i zawrócił.

Pobiegł nie wprost do pałacu, lecz pod mur. Znalazł koryto. Zawiódł się — było puste. Wywęszył wilgoć pod łopianami, ale po kałuży zostało tylko wyschnięte, spękane błoto. Pobiegł do studni, wspiał się i zlizął kilka kropel z żeliwnej rury. Skoczył łapami na ozdobnie kutą rękojeść — nie pomogło, nie umiał napompować.

Drzwi pałacowe przymknęły się pod własnym ciężarem, trzeba je było mozolnie otwierać łapą, by wejść w przyjazny mrok dobrze już poznanego wnętrza, w którym po trudach walki z desantem odpoczywała załoga.

Buty stały na bacność w zgodnym szeregu — oficerskie Janka, potężne Gustlika i kaukaskie, przymarszczone na wysokości kostek, Grigorija. Ich

właściciele spali każdy po swojemu, choć na jednym pościu, na sianie okrytym namiotowym brezentem. Janek, zasepiony trudnościami dowodzenia, wydymał suche wargi. Gustlik leżał na wznak z rozrzuconymi szeroko rękami i jakby się trochę uśmiechał w okresach ciszy dzielącej jedno chrapnięcie od drugiego. Grigorij głowę i ramiona miał na pościu, ale spał wyciągnięty wzdłuż ściany, blokując drzwi do sąsiedniego pokoju. Wszyscy trzymali broń przy sobie, dłonie na kolbach lub lufach.

Na parapecie z pistoletem maszynowym na kolanach siedział wartujący Wichura, pogwizdywał z nudów cichutko i palcem w szybę stukał do taktu.

Szarik ostrożnie, z daleka, obwąchał załogę i wsparty łapami o nie ustępującą klamkę usiłował zajrzeć przez dziurkę od klucza do sypialni dawnych właścicieli pałacu. Drapnął łapą, cichutko zaskomlał.

— Paszoł — Saakaszwili w półśnie odgarnął go ręką.

Pies odskoczył, przypadł łbem do przednich łap, oczekiwał z mordą przy ziemi, czy Gruzin się nie ocknie, czy się nie zechce pobawić. Grigorij spał dalej, a wilczur nagle zeszywniał, znieruchomiał — złowił jakiś dziwny blaszany szelest tuż nad parkietem pałacowej sali. Czekał sporą chwilę, póki się dźwięk nie powtórzył. Zrobił dwa płynne, bezszelestne kroki i znowu zastygł z wyprostowanym ogonem, z uniesioną przednią łapą.

Czekał. Usłyszał wyraźniej niż przedtem — może skrzypnięcie, może westchnienie.

Wybiegł z pokoju i ostrożnie, coraz wolniej przenosząc ciężar ciała z łapy na łapę, ze stopnia na stopień, podkraść się do dębowych drzwi piwnicznych, skutych metalowymi ćwiekami. U dołu była szpara. Stamtąd właśnie sączył się cichy, ale wyraźny szelest.

Pies wrócił do pokoju. Spojrzał na Wichurę siedzącego nieruchomo na parapecie okna, ale nie warknął. Zastanawiał się dłuższą chwilę, komu powierzyć swe odkrycie, i wreszcie podszedł do Janka. Delikatnie chwycił zębami za rękę i pociągnął.

Kos otworzył oczy, natychmiast oprzytomniał. Trzymając pistolet w garści spojrzał dokoła, a potem szeptem zapytał:

— Chcesz wyjść?

Wilczur równie cicho warknął i zrobiwszy dwa kroki, obejrzał się, czy Janek idzie za nim. Chłopak przegarnął palcami włosy, wstał i podciągnął

spodnie. Poruszył się Wichura, chciał zejść z okna, ale Kos powstrzymał go gestem.

— Siedź. Ja z psem — powiedział mijając wartownika. — Zaraz wrócę. Boso szedł w stronę drzwi wyjściowych, ale Szarik przegrodził mu drogę. — Co takiego?

Pies uniósł wargę, pokazał kły. Janek spoważniał, dobył pistolet z za pasa i przygotował do zapalenia elektryczną latarkę. Tropem wilczura zszedł parę stopni, stanął przy drzwiach do piwnicy. Chwilę nasłuchiwali obaj. Zaszleściło. Pies spojrzał na swego pana, jakby chciał rzec: „*A nie mówiłem? Coś tu nie jest w porządku...*”

Kos się zawahał — warto by było mieć osłonę, ale jeśli zbudzi Gustlika, a okaże się, że to jakieś głupstwo... Spróbował drzwi — ustąpiły bez szczęku, bez skrzypnięcia. Pchnął je bosą nogą i przywarował do ściany. Drewno stuknęło głucho o mur. Potem cisza i znowu ten sam szelest.

— Bierz — szepnął.

Szarik, który warował po drugiej stronie framugi, skoczył do wnętrza i zniknął w ciemności. Kos nasłuchiwał sekundę, potem rzuciwszy na schody zapaloną latarkę, jednym susem sforsował drzwi i skrył się za stertą piwnicznych rupieci. Sprężony, gotów do strzału, wparł się plecami w ceglana kolumnę. Długą chwilę trwała absolutna cisza, a potem usłyszał chłeptanie i w wąskim promieniu światła, przez który snuły się kłęby srebrnego kurzu, zobaczył psa pijącego z metalowej rynienki.

— Zostaw! — rozkazał i podbiegł bliżej. — Może to jakie draństwo...

Szarik siadł posłusznie, spoglądając na Janka oblizywał mordę jęzorem.

— Draństwo albo i nie — cicho powiedział Kos i rozejrzał się, czy w pobliżu jaki kubek nie stoi.

Murowane fundamenty dźwigały ogromną beczkę — może pięćset-, a może i tysiąclitrową. Na cynowym omszałym kranie grubiała, pęczniała kropla. Ciężar oderwał ją od metalu, trzepnęła ciężko o namoknięty wiecheć słomy, zaszleściła i spłynęła do rynienki, budząc kręgi na powierzchni cieczy.

Kos znalazł wreszcie metalową kwartę, podstawił i począł odkręcać kran.

— Spróbujemy — rzekł do Szarika.

Pies zgodnie kiwnął łbem, a nawet jakby całym ciałem zakołysał — miał jeszcze ochotę pić.

— Ty już, teraz ja — powstrzymał go Janek.

Do kwarty naciurkało trzy czwarte chłodnego przezroczystego płynu. Kos obliział suche wargi, a potem długimi haustami osuszył ją duszkiem do dna.

— Dobrze — stwierdził, raz jeszcze nalał i wypił.

Szarik patrzył z boku, mocował się z coraz bardziej nieposłuszną głową i wreszcie, skoczywszy przednimi łapami na kolana Janka, liznął swego pana po twarzy.

— Co z tobą? — Kos odsunął go ręką, popatrzył uważnie. — Ej, Szarik, tyś się przecież wtrąbił...

Pies siedział z zawstydzoną miną, usiłował podać łapę na przeprosiny, ale nie mógł, bo mu bardzo była potrzebna dla utrzymania równowagi.

— Alkohol paskudna rzecz — tłumaczył Janek. — Zwłaszcza na wojnie, kiedy musisz być trzeźwy... — Czując ciepło rozgrzewające piersi, rozpiął szerzej koszulę pod szyją i powtórzył: — ...być trzeźwy musisz, bo inaczej zamiast jednego wroga dwu zobaczysz — uniósł pistolet, lufą pokazał gąsiorek stojący na półce — i nie będziesz wiedział, do którego strzelać...

Kos urwał, patrzył ze zgrozą, jak mu się gąsior dwoi. Otarł z potu czoło, raz jeszcze spojrzął na półkę, gdzie stała znowu jedna tylko butla w wiklinowej plecionce. Pomyślał chwilę, potem wsunął pistolet za pas i odkręcił kurek. Stare wino spływało wartką strugą, rozlewało się coraz szerzej po piwnicznym klepisku.

Szczeknął zdumiony Szarik.

— Cicho piesku, cii... Tak trzeba. Dowódca ci to mówi. Jakby Jeleń tę beczkę znalazł albo Grześ przewąchał... Prędko byśmy stąd nie wyjechali...

Tłumacząc wilczurowi i podtrzymując go za obrozę, Janek przebrnął do schodów, otarł bosc podeszwy o ceglane stopnie. Wziąwszy latarkę do ręki poświecił raz jeszcze, westchnął i zgasił światło.

Kiedy wchodzili do pokoju, Wichura zagadnął:

— No i jak?

— Normalnie.

— Winem jakby pachnie.

— Chciałbyś — mruknął Janek. — Skąd tu wino? Za kwadrans niech cię Tomasz zmieni.



Leciutko zachwiał się nad posłaniem i oparł o Szarika. Przylegli, spojrzeli na siebie. Kos trzepnął lekko psa po kudłatej, zbójeckiej mordzie i zaraz potem obu sen zmorzył.

Wichura pociągnął nosem, bo wciąż jeszcze zdawało mu się, że czuje zapach wina. Wzruszył ramionami, bo rzeczywiście, skąd by tu miało być wino w miesiąc po przejściu frontu? Posiedział z głową opuszczoną na piersi, z pistoletem maszynowym w poprzek kolan. Posłuchał oddechów śpiących, ziewnął. Z blaszanki po konserwie, przygotowanej na parapecie, napił się wody. Chwilę prostował kości, wyciągał i zginał ręce. Potem otworzył okno, gwałtownym przerzutem zeskoczył na podwórze i zrobił parę przysiadów z wyrzucaniem trzymanego oburącz automatu przed piersi.

Skończywszy gimnastykę poranną, zajrzał przez właz mechanika do wnętrza czołgu, gdzie fosforycznym blaskiem świeciła tarcza zegara — dochodziła godzina trzecia. Wrócił do pałacu normalną drogą, przez drzwi, i szarpnięciem za ramię zbudził Tomasza.

— Twoja kolej.

Czereśniak bez słowa siadł na posłaniu, starannie zawinął onuce, włożył buty. Lekko przytupnął obcasem, żeby lewy włazł do końca, obciągnął cholewy i przypomniał:

— Panie kapral, pan powiedział, że jak pan zobaczy, to harmonii nie będzie mi bronić.

Wichura jakby nie słyszał. Podszedł do okna i zdawał posterunek nowemu wartownikowi, pokazując ręką obiekty.

— Samochód, czołg, ludzie... A jakbyś miał zasnąć, to lepiej, żeby cię ojciec na konia nie mieniał.

— Nie zasnę. Ja bym harmonię...

— Powiedziałem: dam, kiedy zobaczę, żeś żołnierz, a ty zwiąłeś, do wody ze strachu wlałeś.

— Ze strachem wlałem — skinął głową Tomasz — ale rzekę przepłynąłem i te druty elektryczne, co most był podminowany...

— Fiu! — gwizdnął przez zęby kapral. — Dała ci Bozia dobre sny. Małorolnym będziesz takie kawały opowiadał, jak do wsi wrócisz. Nie mnie... Czekał — wstrzymał Czereśniaka, który chciał mu odpowiedzieć.

Obaj nasłuchiwali echa serii, które dobiegło z granicy słyszalności. Jeszcze jeden kłębek strzałów — daleki, ale wyraźny. Nad leśnym

horyzontem błysnęło, nie zgasło. Pod jasną kitą dymu z wolna poczynął się rozjarzać blask.

— Pała, dranie. Wiedzą, że to już do nich nie wróci. — Kapral zrobił półokrągły ruch ręką. — Pewno ci, co nam zwiali... Jakby zaczęli bliżej strzelać, to zbudzisz.

Wichura patrzył jeszcze chwilę na pożar, ziewnął i ruszył w stronę posłania, na którym spała załoga. Drzwi do sypialni korciły go jednak bardzo. Zwolnił, przystanął, spróbował klamki, która nie chciała ustąpić. Pochylił się, by zajrzeć przez dziurkę od klucza, lecz Saakaszwili w półśnie machnął ręką.

— Paszoł won.

Szofer uchylił się, wzruszył ramionami i siadł na wolnym skrawku między Gustlikiem a Gruzinem. Chwilę patrzył, jak Janek błogo się przez sen uśmiecha i gładzi Szarika po łbie. Ściągając buty kapral zamruczał do siebie ze złością i odrobiną smutku:

— Że mnie się, psiakrew, nic nie przyśni ponad żołnierski przydział...

Wpełznął na posłanie, ułożył się na prawym boku, żeby wygodniej.

Wsunąwszy rękę pod głowę, raz jeszcze tęsknie spojrzął na zamknięte drzwi, westchnął i zasnął.

Daleki pożar rósł tymczasem i jego niespokojne światło dopełzło na dłonie siedzącego w oknie, opartego o framugę Czereśniaka. Znał dobrze ten ruchliwy odblask. Czerwony kur omijał co prawda studziankowskie dworaki, póki Tomasz gęsi, a potem i krowy pasał, ale za to we wrześnie, kiedy piętnaście lat skończył, przyszli Niemcy i spalili od razu dużo chałup w najbliższej okolicy.

Próbował nawet liczyć i wyszło mu ponad sto. A liczył, bo chciał wiedzieć, po co, i nie mógł pojąć. Rozumiał, że konie pobrali, że krowy, świny i ziarno — normalnie, jak bandyci grabili, żeby mieć więcej dla siebie. Ale po co chałupy palić?...

Od tej ognistej jesieni już nie było miesiąca bez pożaru. Całe pięć lat Tomaszowego życia płomienie oświetlały po nocach. Potem już wiedział dużo o wojnie, może nawet za dużo, bo jedno mówił pan rządca Weiss na folwarku, drugie leśniczy, obiecujący przyjście Anglików na każdą Wielkanoc i Boże Narodzenie, trzecie ojciec, a jeszcze inne leśni, którym dał broń...

Znowu daleko w lesie padło parę strzałów i chwilę potem przybyło nad drzewami światła, szerzej powisniowiowało dołem i jaśniej zadymiło. Czereśniak

patrzył uważnie i zgadywał, że zajęło się coś nowego — tak jakby z początku stodoła, a teraz dom drewniany i dobrze wysuszony słońcem.

Kapral mówił, że jak sami Niemcy tak palą, to znaczy prawda, że ta ziemia już do nich nie wróci, bo swoje by przecież oszczędzili. Mądrze mówił, a nie rozumie, że druty się same nie rozciąły, tylko trzeba je było zerwać. Nie chce wierzyć, choć przecież swoich bym za nic nie ocygał.

Leśni też z początku nie wierzyli, kiedy im powiedział, że jak chcą, to mogą dostać od niego kupę broni. Śmieli się, jeden zapytał, czy ma karabin maszynowy, a potem jeszcze bardziej się śmieli, kiedy przytwierdził.

Nie, to nie. Minęło parę miesięcy, nim po raz drugi przypomniał, i wtenczas już poszli, żeby sprawdzić, i zabrali cekaem, osiem karabinów, skrzynki z granatami. Zabrali wszystko to, co Tomek po polach i po przesiekach wybierał, schował pod karpowiną, w starą papę dobrze owinąwszy. Dziękowali bardzo, a potem i na akcje coraz częściej brali.

Teraz też tak będzie — nie wierzą, a potem uwierzą, nabiorą zaufania, tak jak Szarik, który leży obok dowódcy, drzemie, a od czasu do czasu mordę lekko unosi, ogonem porusza, żeby wyrazić swą sympatię i gotowość pomocy. Tyle że cierpliwości trzeba, bo pies się szybciej na człowieku pozna niż ludzie.

Tak myślał sobie szeregowiec Tomasz Czereśniak, czuwając nad snem załogi, a za jego prawym ramieniem bladło i niebieściało niebo, małały i gasły gwiazdy. Jaśniało coraz bardziej, a nad dalekim leśnym horyzontem czarniejsza i węższa stawała się kita dymu.

Kogut zapał pobudkę. „*Rudy*” pozieleniał i trawa posiwiiała od rosy, ale wartownik dalej siedział nieruchomo i tylko nieznacznymi ruchami głowy sprawdzał: samochód, czołg, ludzie.

Zza okna dzień przyniósł nowe dźwięki: świergot ptaków, warkot dalekiego samolotu, szelest wiatru. Wszystko to jednak było spokojne, trzecioplanowe w stosunku do ciszy. Nawet tęskny ryk krowy zabrzmiał stłumiony, zdawał się trudny do postrzeżenia, ale Czereśniak zdecydował w tym właśnie momencie, że pora budzić.

Jednym ruchem dłoni starł z twarzy zadumę i smutek. Spojrzał raz jeszcze na dogasający w oddali pożar, na coraz wyższe nad horyzontem słońce, na śpiących. Dopił resztę wody z konserwowej blaszanki i cisnął ją na podłogę. Załaskotały głośno, ale tylko Szarik zwrócił na to uwagę: otworzył jedno oko i zamknął. Reszta spała dalej snem sprawiedliwych. Tomasz zmarszczył brwi, wzruszył ramionami.

— Niech tam — mruknął. — Strudzili się mocno. Popilnuj, Szarik, póki co.

Pies natychmiast usłuchał rozkazu, wypełznął z legowiska i kiedy Tomasz zeskoczył przez okno na podwórze, wilczur zajął jego miejsce. Z

wartowniczego posterunku patrzył w ślad za żołnierzem, który szerokim krokiem szedł przez podwórze.

Czereśniak wyprowadził krowę z wozowni, napoił ją, pompując wodę do koryta. Potem przywiązał jednorogą do ciężarówki, wrzucił do szoferki siano i wziął się do dojenia.

Kiedy mleko z blaszanym dzwiękiem strzyknęło do pustego kubła, Szarik zdecydował, że niebezpieczeństwo wraz z mrokiem minęło i zrezygnował z pełnienia warty w oknie. Wśród naczyń na stole wybrał sobie miskę, trzymając ją w pysku wyszedł przez uchylone drzwi z pałacu.

Załoga spała dalej. Janek zasępiony, Gustlik uśmiechnięty, z rozrzuconymi na bok rękami. Grigorij dalej blokujący wejście do sypialni Lidki. Wichura przez sen poruszał ręką, jakby obracał kierownicę, bosc stopy drgały w rytmie wyciskania sprzęgła i hamulca. Zaburczał klakson, kapral uśmiechnął się, ale nie ocknął i tylko mocniej zachrapał.

— Ej, ty! — zawołał Tomasz i klepnął krowę po zadzie.

Ciepnęła ogonem, wsunęła łeb przez okno do kabiny, w której Czereśniak urządził żłób. Chwilę żuła spokojnie, a potem sięgnęła po nową porcję i nacisnąwszy mordą zatrąbiła powtórnie.

— Nie rusz — powstrzymał Szarika. — Niech se dzwiękuje.

Powędrowali obaj do kurnika, wrócili z przetakiem pełnym jaj. Tomasz zabrał nadojone wiadro i ruszyli do pałacu. Krowa obejrzała się za nimi i przyjaźnie zamyczała, pracowicie żując łaciatym pyskiem.

Niemcy wczoraj nanieśli sporo suchego drewna, żar jeszcze tlił się pod popiołem na kominku i nietrudno go było rozdmuchać. Nim minął kwadrans, ogromna patelnia stała na rozżarzonych polanach, skwierczał tłuszcz, a Tomasz w błyskawicznym tempie bił skorupki o ostrze pruskiej szpady, podtrzymywanej kolanami, i ciskał zawartość do garnka. Raz i drugi rozbite jajo powędrowało na psią miskę, z której posilał się Szarik i trącając łapą przypominał co pewien czas o swojej obecności.

Czereśniak roztrzepał i wylał jajka na tłuszcz, tą samą szpadą przemieszał i stwierdziwszy, że jajecznicza gotowa, postawił patelnię na stole.

— Śniadanie — oświadczył głośno, ale nie uczyniło to wrażenia na śpiących.

— Pobudka, pobudka, wstać, koniom wody dać... — zaśpiewał.

Widząc, że skutek ten sam co poprzednio, wziął z kąta niemiecki granat na drewnianej ręczce, ważył go chwilę w ręku i wyszarpnąwszy zapalnik cisnął szerokim zamachem przez okno. Po trzech sekundach zza ogrodowego muru trysnął w górę kłęb dymu i kurzu, przetoczył się huk wybuchu.

Grigorij, Wichura i Gustlik otworzyli niechętnie oczy, przygarnęli bliżej broń. Rozbudzony Janek siadł na posłaniu i spytał:

— Desant?

— Jajecznicza — odpowiedział Czereśniak.

— Aha! — ziewnął sierżant, starł dłońmi z twarzy resztki snu i podał komendę: — Załoga za mną.

Zerwał się, skoczył przez ławę, dał susa w okno, a za nim Grigorij, Gustlik i na końcu, mniej chętny do gimnastycznych wyczynów, polazł przez parapet Wichura. Tomasz wyjrzał i patrzył chwilę, jak odłożywszy broń i ściągnąwszy koszulę lali sobie wodę na głowy pod pompą, przyskali jeden na drugiego.

— Panienko — delikatnie, zastukał. — Czas wstać, śniadanie gotowe.

Słyszając wołanie, Lidka z nadzieją spojrzała w stronę drzwi, ale klamka nawet nie drgnęła. Bez słowa wróciła do czesania swych puszystych włosów i patrząc w lustro zastanawiała się, czemu Kos nie ją wybrał, lecz Marusię. Czyżby naprawdę wolał rude? I czemu Saakaszwili nie próbował choćby zajrzeć do niej? Gdyby przewrócił stertę gratów, które zgromadziła pod drzwiami, i narobił rumoru, to może by Janek się poczuł zazdrosny. Bywa tak, że człowiek dopiero wówczas dostrzega jabłko najbardziej rumiane, kiedy inny wyciągnie rękę w stronę gałęzi.

Tymczasem w pałacowym hallu, przy stole na dwa tuziny gości i nad patelnią wielkości koła od wozu pochyliły się cztery głowy, czworo rąk rzetelnie pracowało łyżkami. Tylko Czereśniak na piątego siedział nieco z boku i rzadziej sięgał swą kopystką. Zagryzali grubo krajany chlebem, zapijali mlekiem.

— Jak było nocą? — między kęsami spytał Janek.

— Wstawaleś, to wiesz — odpowiedział Wichura. — Cisza. Czereśniak mi nawet sny opowiadał — zakpił i mrugnął porozumiewawczo.

— Co też tu tak pachnie? — pociągnął nosem Gustlik.

— Mnie się też zdawało... — zaczął szofer, ale Kos mu przerwał.

— Jajecznicza — wzruszył ramionami i zagadnął, by zmienić temat: — Ciekawe, czy wachmistrz Kalita spadochroniarzy dognał i wydusił.

— Nie wiadomo. Ale sami mu drogę oświecali. Pożar był i trochę strzałów.

— Jeszcze dymi — pokazał Tomasz. — Potem już nie strzelali.

— Nam też w tę stronę. — Janek kiwnął głową i odkładając łyżkę, dodał: — Zostawcie trochę, żarłoki, dla radiotelegrafistki.

— Nie trzeba, ja dosmażę.

— Lidka, chodźże wreszcie! — zawołał Kos. — Południe blisko.

— Trza było wyznaczyć, kiedy wstać — zamruczał Jeleń zgarniając kopiasto z tego, co miało zostać dla dziewczyny — a nie teraz ludzi poganiać. Nie zjesz, to i robić nie będziesz.

Za drzwiami sypialni coś nagle rymnęło i poleciało z hukiem na podłogę. Grigorij i Wichura zerwali się, podbiegli do drzwi.

— Co tam?

— Nic, już idę — usłyszeli głos Lidki, która umyta, ubrana i uczesana demontowała nocne, daremne fortyfikacje.

Gzyms, którym drzwi były podparte, przewrócił się i narobił hałasu. Byle jeszcze odepchnąć komódkę, fotel i kufer i można będzie otworzyć. Naprzeciw dziewczyny stali Grigorij i Wichura, niepewnie uśmiechali się na powitanie i ze zdziwieniem oglądali odsunięte meble, przewrócony gzyms.

— Ajaj, czemu słowu nie wierzysz? — Gruzin pokręcił głową. — Powiedziałem, śpij spokojnie, będę u drzwi...

— Ona ma rację. Słowo słowem, a jak fotel pod klamkę wsunąć to pewniejsze.

— Myślisz, że moje słowo gorsze niż klamka? — rozgniewał się Saakaszwili, poczerwieniał i już chwycił szofera za mundur pod szyją.

— Spokój. Puść! — rozkazał Janek.

— Dajcie przejść. — Lidka roztrąciła ich i siadła obok Jelenia przy stole, na którym Tomasz stawiał świeżo usmażoną i skwierczącą jeszcze porcję jaj. — Dziękuję — skinęła głową, podnosząc pierwszą łyżkę do ust.

— Pospiesz się — przykazał Janek.

Speszona opuściła rękę.

— Jedz, Lidka, poleku, co byś się nie udławiła. — Gustlik podał jej chleb i głośną po głowie.

Zapadło milczenie. Janek, nadąsany, odwrócił się od Jelenia i zobaczył Gruzina spode łba patrzącego na Wichurę, który szarpnięciem przyciągnął do siebie harmonię, zabierając ją Tomaszowi spod ręki.

— Ja dziś na czołg nie siadam — rzucił szofer w powietrze.

— Ani ja na zakichaną ciężarówkę w połatanych kapciach — parsknął gniewnie Grigorij.

— Każdy na swoje miejsce — zdecydował Kos. — I razem będziemy jechać. Żadnych skoków do przodu ani zostawania w tyle.

— Jasne — stwierdził Gruzin.

Wstał z ławy i zdjawszy ze ściany pochwę, przypiął ją sobie do pasa. Rozejrzał się za szpadą, znalazł koło kominka i oburzony zawołał:

— Kto broń w jajecznicy umazał? *Kakoj czort...*

— Nie margej, Grześ — uspokoił go Gustlik i podstępnie spytał: — Jako żeś ty wczora piosenka śpiewał?

— To nie piosenka, lecz pieśń — poprawił Saakaszwili. — Pieśń idących na śmierć. *Kartwelo theli hmals ikar...*

— A jak po waszemu: puść ten miecz...

Grigorij machnął ręką i odwrócił się plecami.

— Rzuć to, zostaw. Nie będziesz przecież ze szpadą do czołgu siadał — tłumaczył Kos podniesionym, zniecierpliwionym głosem.

Patrzył na swych podwładnych, myśląc, jak niełatwo być dowódcą. Wczoraj rano w najlepszej zgodzie ruszyli z Gdańska i ledwo doba minęła, a już trudno dwóch takich znaleźć, żeby nie warczeli na siebie. Póki żył porucznik... Może lepiej byłoby, gdyby do „*Rudego*” przyszedł ktoś zupełnie obcy, jakiś oficer, którego w podchorążówce nauczyli, co, kiedy i jak trzeba robić.

— Janek, mosz ten notes? — spytał Gustlik.

— Mam — żywo odrzekł sierżant i uśmiechnął się, rad, że nareszcie go ktoś przyjaźnie zagadnął.

— To zapisz, że się dowódca nie kładzie, jak nie powie, kiedy zbudzić.

Sierżant spochmurniał. Chwilę jeszcze siedział za stołem, zerkał na kończącą śniadanie dziewczynę, a potem wcisnął czapkę na głowę, wstał i wyszedł na podwórze, zostawiając otwarte drzwi. Pierwszy za nim ruszył Szarik i Tomasz, po krótkiej pauzie Grigorij, niechętnie odpinający szpadę. Wichura z harmonią pod pachą.



Gustlik, który czekał, aż Lidka wypije mleko z kubka, zakręcił się po izbie, raz i drugi nosem pociągnął, a potem ruszył w stronę piwnicy. Długo tam nie zabawił. Wybiegł przyciskając do piersi omszały, opleciony wikliną gąsiorek, kopnięciem otworzył sobie drzwi na dwór i wołał:

— Chłapcy! Cała beczka wina na nic. Rozlały ancychrysty przegrzeszone po ziemi. Jeny ta jedna sierotka została.

W pałacowej jadalni stały nie sprzątnięte naczynia na stole, resztki wczorajszej kolacji i dzisiejszego śniadania. Z ciemnego zakątka wyszedł czarny kot. Wskoczył na ławę, zaczął wachać patelnię po jajecznicy. Kiedy za oknem warknął zapalony silnik, cofnął wąsatą mordkę, zjeżył się i ze wstrętem parsknął jakieś dziwne kocie przekleństwo pod adresem odjeżdżającego Szarika.



## ROZDZIAŁ 30. ADOLF

Z daleka spostrzegli światło między pniami. Kapitan Krummel posłał patrol na zwiad, a sam z trzema plutonami zbliżał się z wolna i zastanawiał, czemu tamci nie maskują okien. Bo Adolf nie ma już tylu samolotów, by atakować każdy oświetlony dom... odpowiedział sam sobie. W myślach zawsze nazywał wodza po imieniu. Zawsze, to znaczy od tego czasu, gdy Hitler odbudował armię i ojciec Hugona i Zygfryda, sierżant spod Verdun, zawiesił jego portret pośrodku głównej ściany w stołowym pokoju.

Portret wisiał sobie spokojnie, każdemu wolno przecież powiesić w ramach fotografię kanclerza sąsiedniego i zaprzyjaźnionego państwa, póki na rok przed wojną polski listonosz nie powiedział o tym na posterunku w Kórniku i nie przyszedł policjant, żeby zdjąć.

— Dom i ziemia pańska, panie Krummel — mówił do ojca — ale dokoła Polska. Możesz pan sobie Adolfa w szufladzie trzymać.

Bardzo ten posterunkowy o łaskę prosił, kiedy w Poznańskie wkroczyły niemieckie wojska i późniejszy kapitan Krummel kazał mu kopać grób głęboki, żeby i na żonę, i na dwu synów miejsca starczyło. Bez sensu było to proszenie, bo i tak Führer nie przewidywał w Warthegau innego miejsca dla Polaków niż pod ziemią.

Żołnierze wrócili z rozpoznania, zameldowali, że ani psa, ani wartownika, a wewnątrz nie więcej niż pięciu ludzi.

W zasadzie należało zostawić w spokoju leśniczówkę i nie tracąc chwili maszerować w dalszym ciągu według azymutu do obiektu zakodowanego jako Unsichtbarer Tod — Niewidzialna Śmierć, gdzie czekało ich główne zadanie. Mogli ominąć dom bez trudu, nie zwracając niczyjej uwagi, ale kapitan wydał inny rozkaz i spadochroniarze, rozdzieliwszy się na trzy grupy, bezszelestnie wsiąkli w ciemność.

Krummel ze swymi łącznikami i drużyną feldfebla Zapalki czekał popatrując na zegarek. Zdecydował spenetrować leśniczówkę, chcąc rozgrzać swoich podwładnych, przywrócić im wigor po nieudanym ataku na most. Nie lękaj się pościgu nocą i w lesie, tym bardziej że zniszczywszy stawidła zatopili przed godziną długi bagnisty parów za swymi plecami.

Lata całe szkolono go w umiejętnościach dowodzenia, prowadzenia walki i pewien był swego, w dodatku połowę kompanii stanowili starzy wyjadacze, doświadczeni w rzemiośle. Być może w ciągu tych sześciu lat wojny zapomnieli swych cywilnych umiejętności, ale nauczyli się sprawnie zabijać.

— Vorwärts! — rzucił cicho.

Ruszyli naprzód i nie postrzeżeni przez nikogo dotarli pod sam dom, murowany na kamiennym fundamencie, kryty czerwoną dachówką, jakby wilgotną od księżycowego światła. Kapitan stanął pod otwartym oknem i słuchał. Ktoś grał na ustnej harmonijce spokojną, tęskną melodię. Szczęknął nóż o blaszany talerz, a potem niskim głosem spytał niemłody już mężczyzna:

— *Towariszcz, przestań grać i pomyśl, jak po niemiecku pastwisko, trawa?*

— *Na czto tiebie?*

— *Żeby tego starego zapytać.*

— *Wot kartoszka. Jesz. Zaczem trawa?*

— *Potrzebna. Syn na przewiady wysłał.*

— *Syn otcu priказыwajet?*

— *Bo plutonowy.*

— *A ty jewo nie słuszaj. Wojna kończona.*

Po drugiej stronie domu dwukrotnie krzyknęła sowa.

— *Ktoś łązi po lesie, ptaka udaje — powiedział stary. — Lampę by lepiej zgasić...*

Ściemniało w oknie przykręcone światło. Nad parapetem pojawiła się postać kobieca i wówczas ktoś z młodych nie wytrzymał, pociągnął serią po murze.

Huk zastąpił komendę. Grupy szturmowe wdarły się przez drzwi i okna. Chwilę trwała w ciemności kotłowanina i nagle ucichła.

— *Alles in Ordnung, Herr Hauptmann* — zameldował z sieni niewidoczny w ciemności skoczek.

— *Zróbcie trochę światła* — rozkazał Krummel, myśląc o lampie, ale nim zdążył powstrzymać feldfebla Zapałkę, tamten już cisnął granat do stodoły.

Płomień natychmiast chwycił siano i słomę w sąsieku, skoczył na deski. Kapitan zaklął cicho.

— *Keine Flamme mehr, du dummer Brandstifter* — mruknął wchodząc do wnętrza leśniczówki. — Ani płomyka więcej, ty durny podpalaczu.

— Chciałem przyświecić — usprawiedliwił się tamten.

Lampy rzeczywiście nie trzeba było zapalać, blask szedł od okien coraz silniejszy.

— Ogień może ściągnąć nieproszonych gości. Trzeba kończyć.

Ostatnie słowa kapitana zwrócone były częściowo do żołnierzy trzymających na muszce jeńców, a częściowo do nich samych. W izbie oświetlonej ruchomymi jęzorami pożaru, pod ścianą zdobioną jelenimi rogami stało czterech mężczyzn z założonymi na kark rękami; dwóch starszych w polskich drelichach, młody radziecki *starszyna* z prawą ręką w gipsie i na temblaku, a ostatni — nieco na boku — w wysokich sznurowanych butach, jakby się na polowanie wybierał. U jego stóp leżała zabita kobieta.

— Jaka dywizja? — spytał Krummel po polsku, choć z twardym niemieckim akcentem.

— Żadna — odpowiedział wąsaty kapral. — Bydło gonimy od frontu: krowy, konie.

— Gdzie bydło?

— Zostało w tyle. — Wąsacz wzruszył ramionami. — My wyjechali drogę rozpoznawać.

— On wami dowodzi? — Niemiec pokazał na radzieckiego podoficera.

— Nie. My Polacy, a on Ruski. *Sojuznik*. Razem żeśmy wieczerzali.

— Strzelałeś do Niemców?

— Naszliście z zaskoku, nie dało rady.

— A wcześniej?

— Bywało.

— Zginiesz.

— Żołnierska rzecz.

Widząc, że gadający po polsku Niemiec sięga po pistolet do zawieszanej na brzuchu kabury, stary rozplótł ręce niby w przeprasającym geście, chwycił ze stołu nóż i cisnął w spadochroniarza, który go trzyma! na muszce maszynowego pistoletu.

Jęknął trafiony ostrzem. Serie dwóch innych automatów cięły przez piersi wszystkich trzech. Rosjanin zdążył jeszcze dać krok do przodu, chwycił

stołową lampę, ale już nie miał siły rzucić. Upadł, pękło szkło i nafta popłynęła na podłogę ciemnym zaciekiem.

Spadochroniarz ranny nożem siadł na ławie, drugi przyklęknął, rozpruł łaciate spodnie, by opatrzyć rozcięte szeroko biodro.

— *Der polnische Hund beisst*, gryzie ten polski pies — wycedził przez zęby oficer i zwrócił się do cywila: — A ty, Niemiec, i twoja żona Niemka karmiliście to bydło.

— Mieli broń — rzekł ponuro mężczyzna. — Ale nie oni ją zabili, tylko wy.

— Stała przy oknie. Kula ślepa... Gdzieś podział swoją strzelbę. Jako leśniczy musiałeś mieć.

— Wszystko przepadło podczas tej głupiej ewakuacji pod bombami, Herr Offizier... Myśmy ledwo z życiem do domu wrócili. Nie myślałem, że żona od niemieckiej kuli...

— Maul halten, przymknij się — przerwał spokojnie, ale ostro. — Ewakuacyjny rozkaz Reichsführera SS Heinricha Himmlera to prawo. Kto nie uszedł za Odrę, nie jest Niemcem, der ist kein Deutsche.

Podniósł pistolet i patrząc w zrezygnowaną twarz mężczyzny, mierzył uważnie. Po długiej chwili opuścił lufę bez strzału.

— Potem... Jako przewodnik zmażesz część win wobec Rzeszy. Tu niedaleko zaczęto budować w lesie podziemną fabrykę. Trafisz?

Leśniczy kiwnął głową.

— Also, a więc... — oficer dał znak ręką.

Żołnierze wyprowadzili jeńca. Krummel przytrzymał za ramię Zapałkę, któremu wymyślał przed chwilą, i gestem dał przyzwolenie. Tamten wyprężył się zadowolony.

— Zum Befehl, na rozkaz!

Feldwebel, zostawszy sam, wziął kawał zimnego mięsa ze stołu i żując obejrzał trupy, sprawdził, co mają w kieszeniach. Nie znalazł nic ciekawego poza sporym krzyżykiem na szyi wąsatego kaprała. Zerwał, spróbował na ząb, czy złoto, i skrzywiwszy się schował do kieszeni.

Potał o but sztormową zapalną, cisnął ją na podłogę. Rozlana nafta buchnęła gwałtownym płomieniem. Minutę czy dwie patrzył z lubością, jak żółte i czerwone zęby przegryzają deski, jak marszczy się olejna farba na stołowej nodze, jak brązowieje od żaru serweta.

Potem splunął, skoczył przez parapet i odbiegł między drzewa. Na dworze jeszcze była noc. Stał chwilę plecami do ognia, oddychał głęboko z zamkniętymi oczyma, by do ciemności przywyknąć. Nasłuchiwał niepewnych głosów przedwcześnie zbudzonych ptaków, potrzaskiwania objętych płomieniem bierwion i cieszył się. Od czasu gdy Adolf Hitler wydał wojnę zgniłej Europie, a potem — światu, feldfebel wiódł niełatwe, lecz przecież przyjemne życie spadochroniarza i nikt mu zapalek nie bronił.

Płaska siwa chmurka dymu po nocnym pożarze ledwie była widoczna nad lasem, kiedy Kos, zerknąwszy przez ramię na pałac Schwarzer Forst, dał Saakaszwilemu rozkaz wymarszu. Czołg ruszył i tuż za połamaną bramą skręcił w stronę lasu, żeby najkrótszą drogą wrócić na szosę. Wjechali między drzewa na trakt rozjeżdżony i wyboisty. Janek, wychylony z wieży, począł się kłaniać z ponurą miną nawisającym nisko gałęziom i zerknął za siebie, czy samochodu nie widać.

Wichura zamarudził trochę, nim wewnątrz szoferki od siana oczyścił, a potem siadł za kierownicą nie spojrzawszy nawet w stronę Czereśniaka i jego krowy.

— Żeby złób robić we wnętrzu bojowej maszyny... — mruknął do Lidki czekającej już chwilę na siedzeniu obok.

Miał zamiar choć kawałek przejechać z fantazją, ale nie dał rady ze względu na wyboje, na korzenie sterczące co parę metrów. Silnik wył na dużych obrotach, ale dopiero po jakimś czasie dogнали „Rudego”, zbliżyli się na odległość trzydziestu metrów.

Czereśniak przykucnął w pudle, siedział odwrócony twarzą do tyłu. Trzymał w ręku linkę, a na niej łaciatą krowę. Popatrywał czasem z obawą w stronę czołgu, ale stamtąd bydłatka nie mogli chyba zobaczyć. „Rudy” wyjechał na szerszy nieco i równiejszy odcinek drogi.

— Dodaj — powiedział Kos przyciskając lekko laryngofon do gardła.

Grigorij zamruczał pokwitowanie rozkazu, odruchowo kiwnął głową, rozpędził.

W ślad za czołgiem przyspieszył samochód, zmuszając krowę do przejścia w kłus. Czereśniak patrzył na nią z coraz większym niepokojem, wreszcie zabębnił po dachu szoferki.

— Panie kapral! — krzyknął zaglądając przez okienko. — Wolniej.

— Muszę jak czołg. — Wichura wzruszył ramionami.

- Ale krowa.
- Jaka krowa?
- Ta, co mleko na śniadanie. Nie nadaża.

Wichura przez chwilę nie mógł pojąć, o co chodzi. Wreszcie spostrzegł linkę w ręku Tomasza, wychylił się z kabiny i zobaczył jednorogi łeb kłusującego za ciężarówką bydłęcia. Mało go kolka nie chwyciła ze śmiechu. Raz po raz zaczął trąbić, pomachał ręką i zwolnił.

Z czołgu dostrzegli jego znaki, przystanęli. Wichura podjechał bliżej i wyskoczywszy z kabiny wyгнаł krowę kuksańcami z za ciężarówki, żeby Kos mógł ją zobaczyć w całej krasie. Rycząc bez przerwy ze śmiechu, podbiegł do „*Rudego*” i wołał, przekrzykując gang motoru:

- Melduję, żeby wolniej, bo łaciatej trzeci bieg nie wskakuje.

Uśmiechnął się Gustlik z wieży, uśmiechnęła się Lidka siedząca w otwartych drzwiach ciężarówki.

- Nawet nie widziałam, kiedy przywiązał!

Niepewnie uśmiechnął się Tomasz, który zeskoczył z zielonego pudła, podszedł do krowy i uspokajająco drapał ją w podgardle. Szarik wylazł z czołgu, szcęknął bez złości i wesoło zaczął myszkować wśród drzew.

Tylko Kosowi nie było do śmiechu. Wylazł z wieży, siadł na pancerzu i krótką chwilę jakby się wahał, nim zeskoczył na ziemię. Ruszył w stronę Tomasza. Szedł wolno, coraz wolniej, by mieć czas na zebranie myśli, na przygotowanie pierwszego słowa. Podobnie kroczą bokserzy rozpoczynający trudną rundę.

Stanął przed Czereśniakiem. W milczeniu zmierzili się oczami. Pod spojrzeniem dowódcy Tomasz stracił resztkę pewności, próbował się raz jeszcze uśmiechnąć, ale tylko wyszczerzył zęby.

- Wleciesz ją za samochodem?

— Wlokę.

— Dlaczego?

— Ojciec mu przykazał, żeby odbierał, co Niemcy nakradli — odpowiedział złośliwie Wichura.

— Myślisz na niej wojować?

— Nie.

— Mleko to je dobra rzecz — stwierdził Gustlik, pragnący żartem rozładować napięcie. — Ino siodło by się zdało.



- Przestańcie. Przestańcie dogadywać, do jasnej...
- Dobra, Janek, nie będziemy — uspokoił go Jeleń.
- Odwiąż — rozkazał Kos.
- Nie przywiązana, ja za powrózek trzymam.
- Rzuć. Zostaw.
- W lesie? Wilcy zeżrą.
- Prędeż jaki oddział na gulasz przerobi — mruknął Wichura do Lidki.
- Tu mogą być wilki? — spytała dziewczyna.

Uważnie spojrzała między drzewa. Górą świeciły w słońcu miedziane pnie sosen. Dołem, w cieniu, buszował Szarik, tropiąc leśne zapachy, dzwoniły zakochane samczyki sikorek, a w skośnych kolumnach blasku wirowały setki owadziego drobiazgu.

- To czemu ją ze wsi wywlokłeś? — rozłościł się Kos.
- Bo tam ludzi nie ma, a nie można, żeby nie dojona — tłumaczył rzeczowo Tomasz. — Mleko spływa do cycków, rozpiera...
- Kiego licha tyś do wojska poszedł!
- Ojciec kazał. — Wzruszył ramionami.
- Diabli mi ciebie nadali. Albo zostawimy to bydlę, albo...
- Na mięso je przerobić i po krzyku — doradził Wichura wymownym gestem unosząc automat.

Pies sunący tropem przyhamował nagle, szczeknął ostro, by zwrócić na siebie uwagę. Warcząc głucho stał jak wryty na sztywnych nogach z poziomo wyprostowanym ogonem — wystawiał jakieś grubsze zwierzę ukryte w gęstym krzu olchowym.

Na dźwięk ostrzegawczego szczeknięcia Janek odwrócił się i wypatrywał, przesłaniając dłonią oczy od słońca.

- Pytałaś, czy tu są wilki... — rzekł Wichura do Lidki, a potem do Kosa: — Pociągnę serią przez liście i utłukę albo wypłoszę.
- Czekaj. — Janek gestem nakazał szoferowi, by pochylił ku ziemi lufę pistoletu maszynowego uniesionego do strzału.

W krzaku poruszyło się coś sporego. Wichura zrobił krok w tę stronę. Spojrzał, czy Lidka patrzy, i pragnąc popisać się strzałem wolno podciągał kolbę bliżej barku. Szarik szczeknął krótko, podskoczył naprzód i spłoszył wytropione stworzenie, które wybiegło z krzaka między jałowce.

Wichura podrzucił automat.

Janek cały czas patrzył z dłonią u czoła, a teraz błyskawicznie skoczył ku szoferowi i w momencie gdy tamten naciskał spust, podbił mu lufę do góry. Seria poszła w korony drzew, ścięła garść liści, sypnęła drobnymi gałązkami.

Szarik rzucił się za uciekającym, paroma susami bez trudu wyprzedził, zabiegł drogę i warcząc, wyszczerzył zęby.

— Stój, Szarik, stój! — rozkazał Janek ruszając w jego kierunku.

Przerzuciwszy broń na plecy biegł z wyciągniętymi rękami i wołał:

— Nie bój się, mały!

Drobny, najwyżej siedmioletni chłopak bał się: dyszał ciężko, a po brudnej twarzy ściekał mu pot przemieszany ze łzami. Bał się psa, którego miał za plecami, i człowieka nadbiegającego od strony czołgu. Zerknął w bok, rzucił się do ucieczki, ale stamtąd zabiegł mu drogę ten sam, który do niego strzelał, który i teraz trzymał w ręku pistolet maszynowy.

— Hej, chłopak! — wołał Wichura. — Czego wiejesz?

— Nic ci nie zrobimy — uspokajał Janek. — Pomóż — zwrócił się do Gustlika nadbiegającego wielkimi krokami.

Dziecko zawróciło raz jeszcze i pragnąc umknąć z matni pobiegło w stronę Jelenia. Ślżak, pozornie niezgrabny, wyciągnął błyskawicznie rękę i złapał małego za ramię. Chłopak skręcił się w miejscu niczym łasica, przytrzymał za kombinezon i ugryzł w palec. Gustlik wyszarpnął dłoń, chwycił lewą ręką za ubranie i podniósł malca w górę, jak suka szczenię za fałdę na karku.

— Gryziesz? A cozech ci złego zrobił? — przygadał bez złości.

Niosąc zbiega w stronę czołgu wysysał ranę, spluwał i pokazywał chłopakowi podciekający krwią ślad. Tamten szczerzył zęby, wierzgał, usiłował raz jeszcze chwycić rękę Gustlika i ugryźć lub uderzyć.

Jeleń podszedł do samochodu, siadł na stopniu szoferki i postawiwszy chłopaka na ziemi, wziął go między kolana, ujął w przegubie obie jego ręce.

— Piegowate to jak jajo indycze i złe jak szczur — stwierdził Wichura i zaraz dodał: — Wśród Niemców dobrego nie zaznał, dlatego dziki.

Wszyscy nadbiegli i otoczyli dziecko ciasnym półkręgiem.

— Miał pięć albo i cztery lata, kiedy został wywieziony — obliczyła Lidka oparta o błotnik. — Zgubił się chyba od matki.

— Albo ją dranie zamordowali — stwierdził Janek. — Głodny, trzeba by nakarmić.

— Mleczka mu nadoję — ucieszył się Tomasz. — Dobrze, że jest łaciata, bo jakby nie było...

— I chleba ukraj. — Gustlik kiwnął głową, podnosząc skaleczoną rękę.

Chłopak myślał widać, że będą go bić, bo miał rozpacz w oczach szklistych od łez i twarz bez kropli krwi. Nawet piegi na nosie mu zbladły. Zdesperowany starał się napluć na Jelenia, ale przycichł, gdy wielka łapa spoczęła na jego głowie, zaczęła gładzić po włosach.

— Mógł mieć i sześć. Pamiętacie tę kobietę z Gdańska? — przypomniał Kos i nagle zagadnął: — Mareczek... Na imię masz Marek?

Chłopak nie reagował na głos, ale pod dotknięciami Gustlikowej ręki zaczynał się uspokajać. Jeszcze niezupełnie ufał, ale już twarz mu tajała w ciepłe pieśczoły.

— Idzie kominiarz po kominie... — pokazywał Grześ zaplatając palce.

— Po drabinie — poprawił Jeleń.

— Po drabinie, fiku miku już w kominie — Saakaszwili obrócił dłonie i rzeczywiście ze środka wystawał prawy kciuk, chwiał się komicznie.

Mały parsknął krótkim śmiechem, ale zaraz spoważniał, popatrzył nieufnie po obcych twarzach i buchnął nagle dziecięcym, niepowstrzymanym płaczem.

— Hu, hu — zabuczał Jeleń i sięgnąwszy do kieszeni podał Grzesiowi zabawkę, którą Gruzin dostał w gwiazdkowej paczce, kiedy jeszcze leżeli w szpitalu pod Warszawą, a potem przegrał w „*machniom*”.

Saakaszwili odwrócił się, nakręcił kluczykiem i przyklęknąwszy ustawił na własnym kolanie mechaniczną skaczącą żabkę. Puścił ją, osłonił dłońmi, złapał i znowu puścił.

Chłopak jeszcze pochlipywał, jeszcze płakał, ale już mu poróżowiały policzki, ściemniały piegi i szczerze zaczynał się śmiać. Gustlik rozwarł kolana, puścił go. Dziecko zrobiło pół kroku przed siebie, zaklaskało i wyciągnęło ręce.

— Gib mir! Oh, gib mir diesen Frosch.

Po tych słowach roześmiane wokół twarze zastygły. Zabawka spadła z kolan Grigorija w trawę i leżąc do góry brzuchem coraz wolniej wierzgała łapami.

Wrócił Tomasz z grubą kromką chleba w jednej i menażką pełną mleka w drugiej ręce. Stał zdziwiony bezruchem i nagłą ciszą. Jedynie chłopak nie

wyczuł jeszcze zmiany sytuacji. Z resztkami śmiechu na buzi patrzył na Czereśniaka, przełykał ślinę, oczy mu wyłaziły do jadała i wreszcie nieśmiało poprosił:

- Milch. Brot.
- Szkop? — spytał Tomasz.
- Szwabski syn — wycedził przez zęby Wichura.

Znowu milczeli długą chwilę. Każdy niewątpliwie myślał o czym innym, a jednocześnie wszyscy o tym samym — o chlebie i mleku. Grigorij pospiesznie, niezręcznie schował zabawkę do kieszeni. Wreszcie Janek głęboko westchnąwszy, wyrzucił z siebie jedno słowo:

— Dziecko.

— Dziecko — powtórzyła Lidka z ulgą, lecz jednocześnie jakby z niedowierzaniem, z cieniem pytania w głosie.

Kos wziął z rąk Czereśniaka chleb i podał chłopcu. Tomasz postawił menażkę na Gustlikowym kolanie:

— Przytrzymajcie mu, panie plutonowy, bo Niemiec to z pełnego rozpluska.

— Jak się mówi, żeby pił? — spytała Lidka.

— Trinke — wyjaśnił Gustlik.

— Trinke — powtórzyła dziewczyna i niezgrabnie składając słowa spytała: — Wie ist dein Name?

Chłopakowi śmiały się oczy, zajadał, popijał i szybko przełknąwszy odpowiedział grzecznie:

— Adolf.

— Tfu, cholera — zaklął Wichura. — Piękne imię. Ty, mały, a to umiesz: *hajhitla!*

Chciał unieść dłoń w hitlerowskim pozdrowieniu, ale Janek chwycił go za rękę i przytrzymał.

— Przymknij się, dobrze?

Tymczasem mały, dalej uśmiechnięty, nie przestając żuć chleba, uniósł rękę ku górze w odpowiedzi na pozdrowienie. Ten mały gest jednak nie był groźny, lecz śmieszył jak ruch małpki robiącej przed lustrem minę szakala.

Janek parsknął śmiechem i rozłożył ręce.

— Radźcie, załoga, bo ja już nie wiem, co robić. Najpierw Czereśniak i krowa, a teraz znowu ten chłopak. Mamy rozkaz jutro wieczorem zameldować się w sztabie armii, szmat drogi przed nami. Co robić?

— W lesie ich nie ostawisz — stwierdził Gustlik.

— Samochodem do Gdańska i żeby wóz zaraz wrócił — poradził Grigorij.

— Krowę mam wozic? Może lepiej od razu do Czereśniakowej obory w Studziankach? — rozzłościł się Wichura. — A tego gówniarza do tatusia w Berlinie?

— Nie, naturalnie nie do Gdańska — głośno rozmyślał Kos — ale musimy kogoś znaleźć, żeby oddać. I potem już całym gazem.

Powiedzieć łatwo, że trzeba kogoś znaleźć, ale w kwietniu 1945 roku trudno było o wieś zaludnioną na koszalińskiej ziemi. Słońce dosięgało południa, a oni jeszcze się wlekli, nie mogąc wypatrzeć nikogo. Powoli człapały gąsienice, powoli sunął „Rudy” drogą między ciemnymi, nie obsianymi polami. Na wieży obok Gustlika i Janka siedział znaleziony chłopak, dojadł kolejną pajdę chleba z mąki przez Wichurę do Gdańska przywiezionej.

Usłyszeli warkot nadlatującego samolotu i zaraz potem niski świst powietrza dartego skrzydłami. Szybki cień przemknął po pancерzu, a ostronosa, błękitnobrzucha sylwetka myśliwca po niebie. Na pierwszy dźwięk dziecko wypuściło chleb, zakryło twarz dłońmi i skuliło się, piszcząc jak szczenię, któremu przydepnięto łapę.

— Nie bój się — uspokajał Gustlik chwytając za pasek, żeby nie spadł. — Nasz.

— Dlatego on się boi, że nasz — odpowiedział Janek.

Za czołgiem telepał z boku na bok samochód, a w jego pudle Czereśniak trzymający na lince krowę. Zamykając kolumnę biegł za łaciatą Szarik, raz po raz zeskakiwał z drogi, by pomyszkować w wysokim zielsku na miedzach.

Na kwadrans zanurzyli się w rzadkiej, ale pozieleniałej już brzezynie. Pnie migały gęsto jak pobielony parkan. Potem droga wyszła znowu na pola, łagodnymi skrętami wspinała się na górkę porośniętą krzakami tarniny i paroma dużymi drzewami. Szarik pierwszy pokłusował na szczyt i obejrzał się. Żeby choć trochę było szybciej, Czereśniak zlął z wozu i na przelaj gonił swoją łaciatą, poganiał zieloną witką.

Po drodze pełzły samochód i czołg. Na wieży chłopak, przytrzymywany przez Gustlika za pasek od spodni, majtał beztrosko nogami.

— Nie byłoby szybciej po szosie? — zastanawiał się Jeleń.

— Na bocznych drogach nie taki wstyd — odpowiedział Kos. — Tu gdzieś pewno na ludzi trafimy. Niemożliwe, żeby wszystkich wygnali.

Zza pagórka wyłoniła się potężna obła kopuła betonowa, przyrzucona maskującą drucianą siecią z plastikowymi, łaciatymi liśćmi. Widać było na niej owalny obrys zatrzaśniętego wjazdu, płytką ospę wybrzuszeń w miejscach, gdzie uderzały pociski i okopcone draśnięcia termitowych rakiet.

— Ale bunkier ogromny — pokazał Gustlik. — To my są na Pomorskim Wale?

— Dalej. To nie bardzo do bunkra podobne — kręcił głową Janek.

Ze szczytu pagórka, na który już wjechała ciężarówka, usłyszeli głośne wołanie. Szofer gwałtownie machał rękami.

— Zatrzymaj obok Wichury — rzekł Kos do mechanika.

— Dobra — potwierdził Saakaszwili. — Przydałby się postój, żeby list do Hani napisać.

— Do Ani — podpowiedział mu fałszywie Gustlik.

— Anię to ja prosiłem, ale one zamieniły tancerzy...

Czołg wspiał się jeszcze kilkanaście metrów i teraz dostrzegli w dole spory folwark. W prawo od zabudowań, na łące nad krętą rzeczką pasło się stado bydła liczące paręset głów, a na dziedzińcu jacyś ludzie poili konie, kręcili się koło wozów z brezentowymi budami.

— Koniec męki — szofer przekrzykiwał silnik czołgu. — Co niepotrzebne, można zostawić — policzył na palcach do trzech, pokazując nie tylko na małego Adolfa i jednorogą krowę, lecz także w stronę Tomasza.

Kos podniósł lornetkę do oczu. Rozpoznał polskich żołnierzy z karabinami przewieszonymi przez plecy, z batami w rękach. Starsi byli, przeważnie wąsaci, pewnie z jakiegoś kwatremistrzostwa. Przy korycie pod studnią kobiety w cywilnych, roboczych ubraniach pomagały przy pojeniu koni. Jakiś zupełnie młody chłopak prowadził za uzdę czarnego osiodłanego wierzchowca.

Jeden z tamtych żołnierzy zauważył samochód i czołg, podbiegł do plutonowego, może dowódcy, i pokazał. Kos patrzył z uśmiechem, jak tamten wyjmując z futerału lornetkę i też unosi do oczu.

## ROZDZIAŁ 31. SZARŻA

— Polacy — uspokoił żołnierza plutonowy, opuszczając lornetkę. — Ku nam jadą — dodał. — Może co będą wiedzieć.

Ruszył w stronę otwartej na oścież bramy.

— Zróbcie miejsce pod drzewami dla czołgu! — zawołał w stronę furmanów.

— Szybko ruszymy? — zagadnęła go ostrzyżona krótko kobieta, z obozowym numerem wytatuowanym na przedramieniu.

— Za pół godziny. Dłużej nie można czekać. Rozewrzyjcie wrota, to samochód stanie pod dachem.

Więźniarka wyjęła zatyczkę ze skobla, otworzyła wierzeje prowadzące do boksów omurowanych po obu stronach czerwonymi cegłami.

— Ja pojedę przodem — poprosił chłopiec trzymający za uzdę osiodłanego konia.

— Ty, Franek, masz być blisko mnie, żebym cię zawsze widział.

Nadjeżdżającym kierowcom czołgu i samochodu plutonowy machnięciem ręki wskazał miejsce postoju, przepuścił oba wozy przez bramę, salutując Kosowi. Ze zdziwieniem popatrzył na Tomasza, który stał na baczność obok krowy trzymanej na postronku.

— A ty kto?

— Szeregowiec Tomasz Czereśniak. Ze Studzianek, z kozienickiej puszczy.

— A myśmy z ojcem znad Promnika — uradował się niespodzianie podoficer. — Wiesz gdzie?

— Jakże? Za Wisłą. — Tomasz się rozpromienił.

— Przed Wisłą — poprawił tamten. — Na mięso prowadzicie?

— Z waszej strony jak liczyć to przed, a z naszej za Wisłą. Nie na mięso, mleczna.

— Mogę wymienić, bo my gnamy na hodowlę aż pod Warszawę.

— Ja bym lepiej tak zostawił, bez wymiany. I może by, panie plutonowy, tę krowę ojcu...

— We wsi został?

— Za stary na wojnę.

— Można by popędzić... — zgodził się podoficer i opierając plecy o ceglany słup przy bramie, spytał: — A jakby dwie? Po wszystkim jedną bym odebrał, bo my obaj z ojcem w służbie, a na gospodarce nikogo.

— Można. Chociaż ze sianem trudno.

— I z sianem trudno, i droga trudna.

— Można dwie u nas zostawić. Moją łatwo poznać — wskazał Tomasz na ułamany róg. — Dobrze się doi, ale za naszym automobilem nie nadaża. — Pokazał na ciężarówkę stojącą już pod dachem.

Podczas gdy dwaj sąsiedzi znad Wisły ugwarzali przy bramie, Wichura podszedł do czołgu i stanąwszy przed załogą otworzył zaciśniętą pięść.

— Na klepisku, kapujecie?! — pokazał na otwartej dłoni spore serce z bursztynu.

— Ojej, jakie ładne — zachwyciła się Lidka.

— Kapujecie? A po obu stronach świeży mur.

— Wichura... — chciał przerwać mu Janek, biorąc bursztyn z ręki.

— Jak te ćwoki z wozami się zmyją, trzeba rozwalić łomem...

— Podaruj — poprosiła Lidka dowódcę.

Kos machinalnie dał jej serduszko i jednocześnie zmarszczył brwi.

— Kapral Wichura. Nie ważcie się ruszać ani jednej cegły — przykazał. — Jasne? Tu ludzie przyjdą na gospodarkę, a wy im chcecie budynki rozbijać...

Szofer milczał nadąsany, a kiedy Janek ruszył w stronę bramy, pokręcił głową na znak, że jest innego zdania.

— Sierżant Kos — przedstawił się dowódca czołgu, podchodząc do dowódcy taboru. — Myśmy tu u was chcieli zostawić krowę i dziecko.

— O krowie to mi szeregowiec mówił. Można do stada.

Czereśniak, nie czekając dalszych wyjaśnień, pognał łaciatą w stronę łąki, machając brzożową witką.

— A dziecko jakie? Z wywózki? — zainteresował się piechur.

— Nie. Tutejsze. W ewakuacji bomba mu rodziców zabiła.

— Jakie tutejsze? Niemiec?

Janek, nie chcąc powtarzać niedobrego słowa, w milczeniu kiwnął głową.



— Nic z tego nie będzie. Nie mogę, obywatelu sierżancie. — Plutonowy stanowczo pokręcił głową. — Jadą z nami obozowe kobiety, jedzie chłopak, co na własne oczy widział, jak Niemcy jego ojca i matkę w ciężkiej męce...

— Ale trzeba przecież dziecko odesłać na tyły, do sierocińca czy gdzie...

— Jakbym nawet pod wartą dowiózł, to i w sierocińcu nie przeżyje.

— Wojna się kończy.

— Kończy się, kończy i skończyć nie może. Wysłałem wczoraj kaprała i szeregowca na rozpoznanie, żeby wiedzieć, gdzie pastwiska i gnać którądy. Do teraz nie wrócili. Nie spotkaliście?

— Wypili pewnie i śpią.

Twarz plutonowego zmieniła się gwałtownie. Zacisnął pięści, jakby chciał uderzyć, ale się opanował.

— Nie wypili. Obu znam dobrze, a ten kaprał to mój ojciec. Nocą nie słyszeliście strzałów?

— Słyszeliśmy — uśmiechnął się Janek. — Nawet z bliska...

O nocnym pożarze nie pamiętał, ale miał zamiar opowiedzieć o walce koło mostu. Ledwie zaczął, przerwała mu seria zza rzeczki. Garść kul prześwistała nad folwarkiem i dziedzińcem, z trzaskiem rozbiła parę dachówek na oborze.

— Co za dureń... — zaczął gniewnie plutonowy.

Myślał, że może ktoś ze swoich wypalił, ale z tamtego wysokiego brzegu zaterkotało naraz kilka pistoletów maszynowych. Stęknął moździerz, mina przeniosła i wybuchła na drodze. Razem z Kosem skoczyli kłusem przez podwórze pod osłonę budynków, w stronę czołgu. Przy wozie skupiła się reszta załogi, zaskoczona niespodzianym napadem. Grigorij pomagał małemu Frankowi utrzymać czarnego ogiera, który się krzyków furmanów przestraszył.

— Spokój! Zajeżdżać za oborę — rozkazał podoficer woźnicom. — Z karabinami do mnie.

Ostrzeliwanie trwało. Kule szły niżej, wzbijały węże kurzu na dziedzińcu. Jakiś żołnierz, pełznąc, wyciągał z pola ostrzału ranną kobietę. Upadł zabity koń. Sprzężony z nim drugi wyłamał dyszel, przewrócił wóz, szarpał się zaplątany w uprząży. Wybuchy min sunęły w stronę łąki.

— Wybija, psiakrew, stado.

Grigorij zabrał chłopakowi pastuszy bat na krótkim trzonku, błagalnie spojrzął na Kosa.

— Odgonię — uderzył się w piersi. — *Komandir*, ja!

— Dobra — zgodził się Kos. — Wichura i Gustlik, do wozu!

— I ja — poprosiła Lidka.

— Dobra.

— Za mną! — krzyknął plutonowy na swoje wojsko, wąsatych i nie pierwszej młodości piechurów, których paru nadbiegło z karabinami. — Tyraliera w prawo — rozkazał i począł ich rozwijać wzdłuż podmurówki folwarcznego ogrodzenia.

Równocześnie z trzaskiem zamykanych pancernych włazów, z warknięciem silnika, Grigorij skoczył na siodło i z miejsca ruszył w cwał. Zapytany, kiedy ostatni raz dosiadał wierzchowca, nie umiałby zapewne odpowiedzieć, lecz wystarczyło dotknięcie ciepłej końskiej sierści, by trening dzieciennych lat podpowiedział mięśniom, co mają czynić. Nabrał powietrza w płuca i świsnął dziko z radości. Szarik uznał ten gwizd za komendę, pognał w ślad za ogierem.

Gruzin, przygięty nad grzywą, wypadł przez bramę na drogę, z drogi na łąkę, po której bezradnie kręciło się ostrzeliwane stado. Pohukując zagonił najbliższe krowy i pałac raz po raz z bata, zmusił je do galopu. Szarik popędzał opieszale sztuki, naszczekując i chwytając zębami za nogi.

Z melioracyjnego rowu, w którym się ukrył po pierwszych strzałach, wybiegł Tomasz, chwycił za grzywę pasącego się konia. Swym zdobyczym ogrodniczym kozikiem rozciął pęta i dosiadłszy na oklep wierzchowca, skoczył na pomoc Gruzinowi z drugiego skrzydła.

Dwie moździerzowe miny przyfrunęły z chichotem, na ułamek sekundy zatrzymały się u szczytu swego lotu i niczym atakujące jastrzębie runęły w dół, w sam środek stada. Wybuchy cisnęły na boki ogniem i darnią, odłamki wypruły z krowich brzuchów ryk przerażenia i bólu. Łaciatym wieńcem padło kilka sztuk — czarno-białe plamy na młodej żółtawej zieleni.

Grigorij widział to kątem oka, nie przestając ani na chwilę siec batem po zadach, po karkach, po pękatych bokach. Walił jak oszalały, pragnął zmusić bydlę do szaleństwa, gdyż ratunek był tylko w zwariowanym galopie. Nieznany kaemista dostrzegł go, wyrębał długą serię, która przegwizdała tuż nad jeźdźcem przyklepionym do końskiego karku. Zaraz weźmie poprawkę,

obniży punkt celowania, pomyślał. Skoki ogiera odmierzały sekundy lęku, oczekiwania na kule, a równocześnie z każdym traskiem biczyska, z każdą pręgą na sierści stado, początkowo rozwichrzone i bezładne, zwierąło się w ruchu, galopując doliną wzdłuż rzeki nabierało tempa. Zadarte ogony chwiały się w chmurze pyłu podniesionej racicami.

— Hu, hu! — pokrzykiwał Tomasz wywijając w powietrzu pętami.

Od strony folwarku trzaskały coraz gęściej karabiny i moździerze, przeniosły ogień na budynki, by zmusić do milczenia piechurów, przydusić ich do ziemi. Saakaszwili z nadzieją pomyślał, że jak tylko zagrzmi działo „*Rudego*”, to i kaemista o nim zapomni.

Czołg milczał. Przyszła seria prowadzona od czoła. Zobaczył ją przed sobą, spiął konia i jak czarny pocisk przeskoczyli obaj nad kulami rwącymi kępki murawy i czarną torfiastą ziemię. Żałośnie zaryczała jałówka, zwała się na łeb przez przednie nogi, daremnie usiłowała dźwignąć tułów.

Szarika obsypała darń, zaskomlał i niżej wyciągnął się w skoku, lecz kule go widać ominęły, gdyż jeszcze przyspieszył, dał nura między krowy cwałujące na złamanie karku. Teraz już można ich było nie poganiać.

Rzeczka skręciła. Wysoki krzaczasty brzeg osłonił bydło od kul. Z prawej zbliżał się las. Grigorij i Tomasz w galopie wyprzedzili stado. Jadąc na czele, ledwie widoczni w kłębach kurzu, poczęli hamować bieg okrzykami, strzelaniem z bata.

Nie zauważyli nawet, że spomiędzy drzew wyjechało ostrym klusem trzech jeźdźców — jeden w przedzie, a dwu po bokach, cofniętych lekko do tyłu.

— Stać! — zawołał pierwszy. — Kto wy?

Szarik warknął i widząc zbrojnych schował się, głębiej między krowy.

Czereśniak i Saakaszwili speszyli się nieco, widząc dwa gotowe do strzału automaty, skierowane w ich stronę, ale po sekundzie poznali, z kim mają do czynienia.

— Pan wachmistrz — ucieszył się Tomasz.

— Wachmistrz Feliks Kalita — dodał Grigorij.

— Skąd wiesz? — kawalerzysta podjechał bliżej.

— Poznałem. — Zeszłej nocy koło mostu...

— Wy z tego czołgu? Co tam za strzelanina?

— Napadli na folwark, gdzie były pastuchy od tego stada.

— W biały dzień. Czego szukają? — zastanowił się. — Rozpoznać jar i wyjście na tyły przeciwnika — rozkazał dwom towarzyszącym mu ułanom, a tamci natychmiast kropnęli się galopem na drugi brzeg rzeczki.

— O naszym czołgu na pewno nie wiedzą. Nasz dowódca jeszcze nie strzelał — wyjaśnił Grigorij.

— Dobra. Tym razem ucapimy ich za kark. — Stanąwszy w strzemionach odwrócił się w stronę lasu. — Szwadron...

— Ja z wami — zaproponował Grigorij.

— Dobra — odpowiedział wachmistrz i podnosząc głos skończył komendę: — ...za mną!

Poruszyły się krzewy na skraju lasu, przepuściły jeźdźców. W kłusie szyk sformowawszy ruszył ku rzece.

Woda była płytka, ledwie sięgnęła koniom po brzuchy. Pierwszy w jasnych bryzgach przepawił się wachmistrz, tuż za nim Saakaszwili. Zachęciwszy swego ogiera trzonkiem bata, wysunął się naprzód, lecz zaraz został skarcony, trzepnięty pejczem po cholewie buta.

— Nazad. Przed gospodarza nie leż.

Czereśniak nie słyszał tych słów. Został przy krowach. Patrzył, jak przed kawalerzystami zaczerniał stromy jar, przecięty zwierzęcą ścieżką pnącą się w górę. Szwadron wjechał między drzewa, utonął w gęstym poszyciu i po chwili znikł z oczu.

Przez łąkę w pełnym pędzie gnał spóźniony Szarik, szybko przepłynął na drugi brzeg. Parę sekund później i on zniknął w cieniu jaru. Tomasz odwrócił się i podjechał do jednorogiej, która leżała na boku powalona odłamkiem miny. Porykiwała z bólu, błagalnie patrzyła na człowieka, który był dla niej dobry. Zeskoczył i ciężko westchnąwszy, pomógł zwierzęciu serią z pepeszy.

Folwarczny dziedziniec znieruchomiał pod ogniem broni maszynowej. Zaprzęgi i kobiety stłoczyły się w martwych polach za budynkami. Spod murku paru żołnierzy kwatermistrzostwa zawzięcie strzelało z karabinów. Plutonowy przepelznął szczerbą ogrodzenia, wybiegł za mur stodoły, gdzie w sadzie, osłonięty po wieżę krzakami porzeczek i malin, stał milczący „Rudy”.

— *Tankisty*, wygarnijcie choć parę razy, bo sił braknie.

Kos, lekko wychylony z wieży, obrócił zaciętą, poważną twarz i przecząco pokręcił głową.

— Rządziej strzelajcie — poradził.

- Jak Niemcy ruszą do ataku, to nie ręczę za moich dziadków.
- Mniej ognia.
- Rozkaz — plutonowy odbiegł ku swoim.
- Odłamkowym? — spytał Gustlik.
- Można.
- Przygrzejemy?
- Nie chcę straszyć, tylko niszczyć. Niech ruszą.

Obie głowy znikły w wieży. Od strony folwarku zrzędy karabinowe strzały. Wzmógł się jeszcze ogień niemiecki i nagle buchnął groźny, zbliżony do jodłowania okrzyk spadochroniarzy idących do ataku.

Dopiero teraz Kos zatrzasnął właz. Czołg tratując grządki przepelznął parę metrów ku przodowi, wychylił się spod niskich gałęzi papierówki, nabrzmiewających lepkiemi pączkami. Przez peryskop widać było łąciatą tyralierę wyprostowanych, strzelających z biodra spadochroniarzy. Jeszcze sekunda — dwie coraz groźniejszego milczenia i nagle „*Rudy*” na maksymalnej szybkości ładowania począł walić z działa i pruć ze sprzężonego z lufą kaemu. Z lekkim opóźnieniem zagrał dolny diegtiarow.

Już pierwszy granat był dobry — krzak wybuchu przesłonił paru atakujących na lewym skrzydle. Następne pociski, przesuwane lekkim ruchem poziomego pokręta coraz bardziej w prawo, szarpały tyralierę na części. Erkaemy gęstymi seriami wcisnęły żywych w bruzdy, zmusiły do przytulenia hełmów do szczeciny zeszlórocznego rżyska.

Chwilę jeszcze dowódcy drużyn usiłowali przekrzyczeć działą, poderwać tyralierę do biegu. Gdyby im się udało, mieli jeszcze szansę, gdyż do pokonania zostało niewiele ponad sto metrów, ale zwyciężył strach przed śmiercią. Pierwszy poderwał się ranny i z krzykiem począł uciekać ku zakrzaczonej skarpie, za nim pobiegła reszta.

Tych kilkanaście sekund ucieczki po otwartym polu kosztowało ich bardzo drogo. — Kos lekkimi ruchami pokręteł przesuwając lufę, chwycił coraz to nową sylwetkę na ostrze celownika i króciutką serią, trzema, czterema pociskami powstrzymywał ją w biegu.

Wichura, obserwujący walkę przez swój peryskop, rozpiął laryngofon, by go dowódca nie słyszał i pochylił się w stronę Lidki.

- Fajna jesteś, bojowa. Ale serduszko oddaj.

Dziewczyna przerwała na chwilę strzelanie z erkaemu. Bolało ją ramię obtłuczone odrzutami, prochowy dym wypełniający wnętrze czołgu drapał w gardle.

— Kosowi to powiedz — rzuciła schrypniętym głosem.

Kapral roześmiał się nieszczerze, wrócił na swoje miejsce, dodał gazu i ruszył.

— Stój — powstrzymała go komenda Kosa. — Dokąd?

— Przecież zwieją.

— Przeprawa nie rozpoznana. Bez osłony w krzaki nie pojedę. Ani ugrzęznąć, ani stracić wozu nie mam zamiaru — odpowiedział Janek, spoglądając na przyklejoną do pancerza fotografię i przymocowane obok dwa krzyże: *Virtuti* i *Walecznych*.

Naprowadził działo na skarpę, nad którą pojawiły się sylwetki uciekających spadochroniarzy. Nacisnął spust. Zagrzmiał wystrzał i odrzut wyrzucił złotą dymiącą łuskę na stertę wcześniej odpalonych, które brzęczały pod nogami.

Ten ostatni wybuch powalił dwu spadochroniarzy na końcu wycofującej się, przerażonej kompanii.

— *Schneller!* — pokrzykiwał Krummei. — *Zum Wald!* — pokazał odległy o dwieście metrów skraj lasu.

Dłuższą chwilę maszerowali poza zasięgiem ognia. Wyrównywali oddech i krok. Kapitan wiedział, że wystarczy pięć minut spokoju, wystarczy, żeby się zanurzyli w cienisty szum drzew i jego ludzie odzyskają zwartość bojową. By ten moment przyspieszyć, rzekł do najbliższych idących tonem rzeczowym, a nawet trochę niedbałym:

— *Wir werden hier in der Nacht zurück — kommen unsere Aufgabe zu verrichten, wrócimy tu nocą, by wykonać nasze zadanie.*

Spadochroniarze bez komendy sformowali sprawnie trzy równoległe kolumnienki. Szli wciąż jeszcze spiesznie, przygięci zmęczeniem i ciężarem ekwipunku, ale już gotowi wykonywać rozkazy. Tyle że wyczerpani biegiem dyszeli ciężko, nie prowadzili jeszcze ani nasłuchu, ani rzetelnej obserwacji. Gdy z gęstej, skołtunionej kępy drzew na prawo od trasy marszu wybiegł rozwinięty do szarży szwadron, minęły dwie lub trzy sekundy, nim usłyszeli go i dostrzegli.

— Kavallerie rechts! — wrzasnął idący obok kapitana Zapałka i gwałtownie skręcając tułów posłał serię z biodra.

— Huraaa! — w odpowiedzi na kule wrzasnęli ułani.

Trębacz galopujący obok Kality podniósł do ust sygnałówkę, cisnął w powietrze tyralierę czystych metalicznych dźwięków, popędzających konie i ludzi.

Jeden z ułanów, trafiony w piersi garścią kul, prostował się z wolna w siodle. Walczył jeszcze ze śmiercią, lecz pęd odchyłał go ku tyłowi. Grigorij pomknął na pomoc, lecz ledwie zdążył przechwycić wypadającą z ręki szablę. Przerzucił bat do lewej, broń w prawą i tuż za innymi wpadł na swym czarnym ogierze między piechotę.

— Wasza! — krzyczał po gruzińsku.

Wachmistrz koniem roztrącił grupkę spadochroniarzy, zgasił dwu szybkimi ciosami. Trzeci wziął go na cel z paru kroków, lecz Saakaszwili sięgnął końcem szabli, nim tamten zdążył nacisnąć spust.

Obalony impetem feldfebel Zapałka dźwignął się z ziemi. Chwyciwszy z tyłu za siodło Grzegorza, wziął zamach, by uderzyć nożem. Pod brzuchem konia, jak strzała z łuku, przemknął w skoku Szarik, rozciął kłami przegub uzbrojonej ręki, podwójnym ciosem przednich łap powalił spadochroniarza na ziemię.

W tym jednym zwarcu, szybkim jak błysk szabli, starcie zostało rozstrzygnięte, a desantowa kompania kapitana Krummla, wystrzępiona u mostu i pod folwarkiem, teraz przestała istnieć.

Jeszcze rozbiegło się parę koni, odcinając drogę do lasu tym, którzy usiłowali ratować się ucieczką. Parę sekund jeszcze tu i ówdzie powarkowały serie, tętniły konie, zawieszając kopyta w powietrzu. Słysząc było okrzyki i jęki, widać twarze wykrzywione strachem i zaciętością. Ktoś spadł z siodła i pieszo walczył wręcz, tnąc szablą przez kolbę automatu. Huknął jeszcze pojedynczy wystrzał i to był już koniec szarży.

Kręcąc się po polu, ułani zganiali w jedno miejsce jeńców — ośmiu wszystkiego wraz z ubranym po cywilnemu przewodnikiem. Jeden ze spadochroniarzy, płytko cięty przez policzek, przyklęknął, drugi ścierał mu krew z twarzy i opatrywał ranę. Za nimi kucnął kapitan Krummel. Korzystając z osłony wydobył ze swej torby mapę i szkic, wpakował je w bruzdę pod nawisłą skibę, a wstawszy przydeptał butem.

— Marsz! — rozkazał Niemcom ułan i lufą pistoletu maszynowego pokazał kierunek.

Do Grigorija podjechał wachmistrz, wręczył mu pochwę szabli zabitego ułana.

— Na czołgu jeździsz jako kto? — spytał surowo i czekając odpowiedzi, nagradzał gniadego kostką cukru.

— Mechanik — odpowiedział z uśmiechem Saakaszwili, przypinając rapcie do pasa.

— Szkoda — mruknął Kalita.

W tym jednym słowie było wszystko: uznanie, szczery żal i błysk nie wręczonego orderu.



## ROZDZIAŁ 32. SIEW

Po wystrzeleniu odłamkowego granatu w krawędź skarpy Kos patrzył chwilę, jak opadają strzępy darni i kamienie wyrzucone eksplozją ku górze, jak rozwiewa się kurz, a potem kazał otworzyć włazy. Przybiegł plutonowy, wskoczył na pancerz, szczerzył białe zęby na usmarowanej pyłem twarzy i pokrzykiwał, mimo że motor milczał:

— Ale dostali w kuper i nawet reszty nie dali.

— Nikogo z naszych nie zaczepiło?

— Jednego na śmierć. — Spochmurniał nagle. — Zaraz na początku.

Kto mógł się spodziewać, że taka banda chodzi po tyłach...

— Spadochroniarze. Nocą ich zrzucili.

— Zaraz czujki wystawię.

— Nie zawadzi, ale oni przed mrokiem nie wrócą.

Plutonowy rozejrzał się i nagle zaniepokoił.

— A tam kogo znowu niesie?...

Na drugim brzegu pojawili się kawalerzyści i hamując konie poczęli zjeżdżać po stromiznie ku rzece.

— To będzie pewno ten, co my go nocą już raz spotkali — stwierdził Gustlik. — Kuchmistrz Kobita...

— Dałby ci wachmistrz Kalita do wiwatu, żeby usłyszał. — Kos pokiwał głową i dodał nie bez kpiny: — Znowu się ułan spóźnił.

Kiedy tak ugwarzali, żołnierze bez rozkazu wzięli się do robienia pobitewnych porządków na folwarcznym dziedzińcu — opatrywano rannych, zbierano rozrzucony sprzęt, szykowano wozy do drogi, podprowadzając do dyszli wyprężnięte na czas bitwy konie. Od strony rżyska wracali dwaj piechurzy przygięci pod ciężarem zdobyczej broni. Każdy dźwigał po parę pistoletów maszynowych, parciate torby z zapasowymi magazynkami i pęczki granatów. Niższy, jak psa na smyczy, włókł za sobą ręczny karabin maszynowy.

— U Niemca mieliby co palić — powiedział Wichura, który wylazł z czołgu i stał koło wieży, obejmując ramieniem ciepłą jeszcze lufę.

— Kto? — zainteresował się plutonowy.

— Wasi. Ci, co to żelastwo taszczą. Tak na oko będzie tego na sto papierosów.

— Nie boli cię głowa? — zagadnął Gustlik.

— Nie. Bo co?

— Bo głupoty gadosz. Kto prochu nie zwyczajny, to zapach mu w głowie maćci.

— Co maćci? Tobie maćci! — rozzłościł się kapral i z kieszeni na piersiach wydobył sporą poźółkłą kartkę. — Czytać umiesz?

Kos i Jeleń, i plutonowy od taborów pochylił się nad ulotką zatytułowaną Beutewaffen, co znaczy: „*broń zdobyczna*”, i skierowaną przez hitlerowskie dowództwo do swych własnych żołnierzy. Wynikało z niej, że każdy, kto zda karabin czy pistolet maszynowy, dostanie pięć papierosów, za erkaem — dziesięć, za ciężki moździerz — dwadzieścia i dalej był cennik coraz cięższego sprzętu, nie omijający wyrzutni raketowej zwanej popularnie katuszą (sto papierosów) oraz dział pancernych i czołgów.

— *Te Te–vierunddreissig* — przeczytał na głos Gustlik — *vierzig Flaschen Spirituosen...* Ty byś chcioł, ancychryście przegrzeszony, czołg za czterdzieści butelek wódki przehandlować? — spytał i nie czekając na odpowiedź zamachnął się szeroko.

Kapral ledwo zdążył dać nura na drugą stronę działa, osłonił głowę ramieniem.

— Zostaw — powstrzymał Kos Jelenia i surowo spytał Wichurę: — Gdzieś to znalazł?

— W szopie, gdzie wóz stawiałem.

— Wyrzuc.

— Dlaczego? Mnie się taki porządek podoba. Czego żołnierz ma darmo nosić?

— To ty, głupieloku, nie widzisz, że oni taki Ordnung robią terazki, kiedy nie to, że zdobyczną, ale swoją broń w krzoki ciepią i ledwo że portki w garści trzymią? — wtrącił Jeleń.

— No dobrze, wyrzucę, nie musisz mnie uświadamiać. — Machnął ręką i przedarł kartkę na pół.

— Tak najlepiej — roześmiał się plutonowy. — Papier marny, nawet dla palenia niegodny... No, pora — zeskoczył na ziemię i odszedł w stronę swego taboru.

— Jak oni odjadą — rzekł cicho Wichura — trzeba zajrzeć, co za tą świeżą cegłą. Powiadam wam, łomem tylko rozwalić...

Gustlik sięgnął swą długą ręką, zdjął mu hełmofon z głowy i wskazał w kąt podwórza. Między murem a wozownią na świeżo usypanej mogiłce dwu piechurów stawało krzyż zbity ze sztachet.

— Jedziemy na miejsce — rozkazał Kos.

Wichura wzruszył ramionami i nie dodając ani słowa osunął się do włazu. Czołg ruszył ze stanowiska bojowego pod papierówką, tyłem popętnął w cień pod mur stodoły.

Kiedy zgasił silnik i nad majdanem ucichło warczenie, Czereśniak wjechał na oklep.

— Ile? — spytał go plutonowy.

— Siedemnaście padło, mojej nie licząc — smutno odpowiedział Tomasz, zeskakując na ziemię ze spoconego wałacha. — A i odłamkami pokaleczonych sporo.

— Nie martw się. Wszystko jedno odprowadzę. Nie gorszą niż tamta.

Tomasz na szeroko rozstawionych nogach stał obok konia, opierał się ramieniem o szyję zwierzęcia i gmerając paluchami w grzywie, mówił z wściekłością i łzami w głosie:

— Rozumiem, że do ludzi jakiś żal mają, ale czym bydłęta zawiniły? Z mózdzierzy do krów biją...

— Co odbierzemy, to oni dranie wszystko by niszczyli, żeby mogli.

Zastukały kopyta na brukowanej ulicy. Ku folwarcznemu obejściu kłusował zakurzony zwycięski szwadron. Prowadził go Kalita, a tuż za nim jechał Saakaszwili z szablą u boku. Pierwszy podkręcał, a drugi dumnie przyglądał węża. Obaj jednocześnie zeskoczyli z koni, a wachmistrz przywitał się z nadchodzącym Kosem i dowódcą taboru.

— Drugi raz w tym samym dniu — rzekł Janek, ściskając wyciągniętą dłoń. — Żeby trochę wcześniej...

— Co w nocy, co w dzień — przerwał mu kawalerzysta. — Wyrąbaliśmy tych, co spod waszej lufy uciekli. Niewielu zostało — pokazał na ośmiu jeńców, których ułani wwodzili akurat na dziedziniec.

Szarik, który pomagał ich konwojować, podbiegł do Janka, zaskomlał i ucichł pod dotknięciem dłoni.

Wszyscy trzej dowódcy ruszyli naprzeciw spadochroniarzy. Za nimi Tomasz, Wichura z Lidką, a na końcu Grigorij obok Jelenia mruczącego niechętnie:

— Co żeś se blacha do boku przywiesił. Zdejm to.

Niemcy stali ponuro, lecz hardo i w zwartym dwuszeregu. Na prawym skrzydle oficer, obok niego leśniczy, z tyłu za leśniczym feldfebel o gębie poznaczonej silnymi cętkami prochu. Długą chwilę trwało milczenie, stawało się coraz cięższe, coraz bardziej zawzięte. Narastająca latami wrogość, krew i krzywda dzieliły tych ludzi o skamieniałych twarzach, stojących naprzeciw siebie. Strach i zmęczenie najbardziej zniekształciły twarz leśniczego. Gniew najłatwiej poznać było po Tomaszu, który dyszał ciężko, zaciskał i otwierał pięści w powolnym rytmie.

— Nocą poświecili pożarem, pokazali drogę — wyjaśnił Kalita. — I potem już my świeżym tropem... Ciekawe, czego tu szukali, że w biały dzień do ataku poszli?

Janek zdjął mapnik, przewieszony przez ramię oficera, zajrzał do środka i oddał pustawą torbę wachmistrzowi.

— Zdażył wyrzucić mapę albo zniszczył — rzekł Kos, a potem zwrócił się po niemiecku w stronę dwuszeregu jeńców: — Was suchten ihr hier? — pytał spokojnie, lecz twardo.

Nie odpowiadali. Nie drgnęli nawet, jakby nie po niemiecku pytano, czego tu szukali. Janek czekał długą chwilę patrząc kolejno po twarzach i nagle wskazał na leśnika.

— Du.

Tamten drgnął, przybladł i zaskoczony począł wolno mówić:

— Unter der Erde ist hier...

Jękąwszy głucho, załamał się nagle w krzyżu i coraz szybciej uginając kolana padł na twarz. W plecach pod siódmym żebrem tkwił wbity po czarną rękojeść spadochroniarski nóż. Zielony mundur ciemniał szybko od krwi. Kos dobył pistoletu i trzymając resztę na muszce przysiadł, obrócił leśnika na bok.

— Nie żyje. Ten cętkowany pchnął go w serce — rzekł patrząc na sprężonego, pochylonego nieco feldfebla, który czekał na wystrzał z pistoletu.

— Wstyd mi robicie — zwrócił się wachmistrz do swoich. — Oszukać was można jak dzieci. Ano, jeszcze raz zrewidować i wszystko, do ostatniego okrucucha...

Spadochroniarze bez komendy unieśli do góry ręce, a dwu ułanów skoczyło patroszyć kieszenie. Zawartość ciskali na płaszcz–namiot rozpostarty przed jeńcami na ziemi.

Wśród scyzoryków, szmat, opatrunków, papierosów i zapalek błysnęło złoto. Plutonowy pochylił się, podniósł krzyżyk i ze znieruchomiałą twarzą pokazał innym:

— Na szyi ojciec nosił.

— Nie zdążyliśmy — wyjaśnił wachmistrz. — Dopalała się jego leśniczówka — wskazał na zabitego. — Przyszliśmy może pół godziny za późno...

Tomasz stojący cały czas bez słowa, bez ruchu poza kurczowym zaciskaniem i rozginaniem pięści, stęknął głucho, jakby się w nim coś oberwało, i nagle ruszył na spadochroniarzy. Zamachowymi ciosami obu rąk zwałił na ziemię feldfebla i kapitana, nim się zdążyli osłonić, a potem, krocząc niczym niedźwiedź, rozciągał na ziemi jednego po drugim.

— Co robisz? — zawołał Grigorij.

— Szeregowy Czereśniak! — krzyknął Janek.

Gustlik postąpił naprzód, chwycił za ramię.

— Stój!

Tamten niczym obłąkany wyszarpnął mu się, rąbnawszy pięścią w szczękę powalił jeszcze jednego.

— Pierona — zaklął Gustlik i zaskoczywszy Czereśniakowi drogę władował mu cios w żołądek. — Nie wolno — przykazał, trzymając go za ramiona, żeby nie upadł po przerywającym oddech uderzeniu.

— Nowy żołnierz — wyjaśniającym tonem rzekł Kos. — Ledwo czwarty dzień w załodze.

— Nowy, ale szczery — odpowiedział wachmistrz. — Ja bym go posadził za karę, o chlebie i wodzie pottrzymał, a potem do awansu przedstawił. Nie szkodzi, że on ich trochę tego... Wieczorem w sztabie armii będą rozmowniejsi.

— Dziś wieczór?

— To blisko. — Dowódca szwadronu kiwnął głową, patrząc nie bez satysfakcji, jak z wolna dźwigają się z ziemi pobici spadochroniarze i jak feldfebel rozmazuje krew z nosa po zbójckiej gębie.

— Nam w tę samą stronę. Może by razem. Weźmiemy ich na ciężarówkę.

— Zgoda. Tylko konie napoić i można ruszać.

Wachmistrz odszedł do studni, a Kos stanął obok plutonowego, który do tej pory nie spuszczał wzroku z ojcowego krzyżyka trzymanego w dłoni.

— Jedziemy.

— Jedźcie — odpowiedział piechur, jakby teraz dopiero ocknął się ze snu, i podał rękę Jankowi.

— Weźmiecie tego dzieciaka?

— A gdzie on? Franek! — zawołał. — Mówiłem, że nie mogę...

Spod brezentu jednego z wozów wychyliła się jasna głowa chłopaka.

— Jestem.

— Gdzie ten mały Niemiec?

— Tutaj — odpowiedział Franek. — Będzie miał obok mnie posłanie i przy koniach pomoże.

— No, dobra — plutonowy uśmiechnął się lekko przez swój smutek. — Może i prawda, że jajo od kury mądrzejsze. Niech tam.

Przez chwilę wyglądało, że obejmą się z Kosem i uściskają, ale zbyt byli młodzi, by się uczuć nie wstydzic, więc tylko zasalutowali i ruszyli każdy w swoją stronę.

— Szykować się do marszu! — wołał plutonowy.

Koło czołgu, na deskach złożonych pod ścianą stodoły garbił się Czereśniak z głową spuszczoną ku ziemi i trzymał jeszcze ręce na brzuchu. Grigorij oparty o pancerz czołgowy, Gustlik stojący koło wieży i Lidka, która siedziała w otwartych drzwiach samochodowej kabinki, wszyscy słuchali Wichury. Szofer grzebał w silniku a jednocześnie opowiadał:

— ...Ale tego wszystkiego mało. Wyobraźcie sobie, że w nocy zmienia mnie na warcie i zaczyna opowiadać głodne kawałki o tym, jak koło Schwarzer Forst to on rzekę przepłynął i przeciął kabel i dzięki temu fryce nie mogli wysadzić podminowanego mostu. Powiedziałem, żeby swojej babci, kiedy do wsi wróci...

— Przestań, Wichura, głędzić, nie pora. Jak tylko ułani konie napoją, ruszamy razem z nimi.

— Krowę oddaliśmy, za końmi będziemy jechać... Ja bym sprawdził, co za ścianą w tej stodole, i dogonił.

— Poczekajcie — przerwał Gustlik i zeszedłszy z czołgu stanął przed Czereśniakiem. — Czym żeś ten kabel ciął?

Nie wstając Tomasz bez słowa sięgnął do kieszeni i podał na dłoni ogrodniczy kozik. Niechący wywlókł koniec kabla. Jeleń pochylił się, wyciągnął spory kłębek.

— Wodoszczelny — rzekł obojętnie. — Na co ci to?

— Bo ja wiem. — Wzruszył ramionami. — Drut zawsze się przyda.

Jeleń otworzył nóż, przeciągnął palcem po ostrzu, wymacując dwie drobne szczyrby. Podał Kosowi.

— Prawda.

Wichura i Grigorij, wspinając się na palce, zaglądali przez ramię, gdy Janek uważnie oglądał kabel.

— Szeregowy Czereśniak — wezwał go cicho, a kiedy tamten wstał, sierżant wyciągnął rękę. — Dziękuję.

— Toś ty taki? — Grigorij chwycił Tomasza za ramiona, zajrzał mu w twarz.

— Zdejmij szablę, głupio wyglądasz — zwrócił mu uwagę Kos.

— Zaraz zdejmę.

W tym czasie Wichura poszedł do samochodu i wrócił dźwigając w obu rękach harmonię.

— Bierz. Twoja.

Czereśniak miał wielką ochotę dąsać się dłużej, lecz mimo bólu w dołku już nie potrafił.

— Grywać wam będę — obiecał w stronę czołgu.

— Dej ręka na zgoda. Tym winem z pałacu przepijemy.

Wyciągnięta dłoń Gustlika zawisła w powietrzu.

— Nie, panie plutonowy. — Tomasz pokręcił głową. — Mnie jeńców bić nie było wolno, ale i takiego prawa nie ma, żeby żołnierza...

— Patrzcie — zawołała Lidka, wskazując na folwarczny dziedziniec.

Od paru chwil przez bramę wyjeżdżał tabor. Obok plutonowy, dowódca kwatremistrzowskiego oddziału, salutował z konia i machał ręką ku naszym.

Pod brezentem ostatniego wozu ze zwieszonymi na zewnątrz nogami siedzieli obaj chłopcy — Franek i niemiecki znajda, coś sobie próbowali tłumaczyć. Grigorij, podtrzymując szablę, pobiegł kłusem za nimi.

— Zapomnij — powiedział Gustlik do Tomasza.

— Nie zapomnę — odpowiedział zawzięcie Czereśniak i nawet głowy nie odwrócił.

Przez otwarte wrota patrzył na stado ruszające w drogę, na wozy toczące się za nim i coraz bardziej przesłaniam kurzem.

— Żabę im dałem na drogę, nakręcaną — wyjaśnił zadyszany Grigorij wróciwszy do swoich.

— I szablę trza było — mruknął Jeleń. — Oko tym można wydźgać.

Dzień był miękki jak kocia łapa — słońce świeciło nie za gorąco, wiatr wiał nie za mocno, cicho pachniała zieleń. Żołnierze rozłożyli się ponad rowem, ledwo paru pogadywało, a reszta udawała, że drzemie, nasłuchując pogwizdywania ptaków w zagajniku sosnowym.

Czekali tu na podwiezienie, na „*poputną maszynę*”, jak mawiają Rosjanie, żeby się dostać do swoich pułków. Każdy dawno już wyszukał na drogowskazie tabliczkę z nazwiskiem swego dowódcy, dawno już pyzata „*regulirowszczyca*” obiecała, że jak tylko będzie okazja... Większość wojsk już ruszyła w stronę Odry i tutaj, na południe od Kołobrzegu, ruch był niewielki. Z niechęcią patrzyli na rozbabraną ciężarówkę, przy której kręcił się szofer z rękawami po łokcie utyłanymi w smarze. Nie wyglądało na to, żeby miał szybko skończyć, ni na to, żeby kto nadjechał.

Ocknęli się wszyscy i unieśli głowy, gdy z za zakrętu biegnącej przez las szosy dobiegł niski warkot silnika, klekotanie gąsienic i stukot kopyt.

— Ki diabeł? — spytał młody żołnierz z ręką na temblaku.

— Jakby czołg na owsiany napęd — zązartował tęgi sierżant i osłonił ucho dłonią, by lepiej słyszeć.

Zakręt wciąż jeszcze nie pozwalał widzieć, kto nadciąga, kiedy usłyszeli ostre, wesołe tony harmonii na zawadiacką nutę i przyśpiew trochę ułański, trochę kozacki, pamiętający może Księstwo Warszawskie, ale już do innych siodeł przytroczony, w nowych przygodach bywały:

*Od Rosyi jadę, szabelką toczę, szabelką toczę,  
Wynieś mi chusteczkę, moja najmilejsza, o to cię proszę.*

Zainteresowali się na rozstajnych drogach, powstawali, żeby zobaczyć, kto z taką piosenką jedzie.



Pokazał się pojedynczy wąsaty kawalerzysta, pewno dowódca, a za nim ułani. W pierwszej trójce jechał harmonista w zsuniętym na tył głowy pancerniackim hełmofonie, mając po bokach najcieńsze w szwadronie gardła.

*Ty pewnie ruską pannę miłujesz, pannę miłujesz,  
A teraz ode mnie i to podaremnie daru potrzebujesz.*

Za końmi dostrzegli obrys czołgu i pojęli, skąd głuchy warkot, skąd na głowie harmonisty trójgrzebieniaste nakrycie.

*Nie było tam czasu panien miłować, panien miłować,  
Z rana do wieczora, z wieczora do rana mus maszerować.*

Żółtą chorągiewką zamachała ułanom dziewczyna z rozstajnych dróg, ktoś zaklaskał do taktu, a szwadron przeciągał z muzyką, ze śpiewem. Za nim toczył się czołg, dalej ciężarówka z jeńcami i jeszcze na końcu kłusowała zamykająca trójka z gotowymi do strzału pistoletami maszynowymi, której trudno było za słowami piosenki nadażyć, więc przygwizdywali zbójcecko, dzieląc zwrotkę od zwrotki.

*Oj, chcesz wiedzieć, moja miła, jakim obiad miał, jakim obiad miał?  
Z konia pieczywo, pod siodłem pieczone, samem sobie grzał.  
Oj, chcesz wiedzieć, miła, jakim spanie miał, jakim spanie miał?  
Liście dębowe słane, słane pod głowę, co noc sobiem brał.*

Skrzyżowanie zostało w tyle, czoło kolumny wjechało na górkę. Harmonia dziarsko wywodziła przyśpiew międzyzwrotkowy, ale wachmistrz stanął w strzemionach, obrócił się za siebie.

— Szwadron... — urwała się muzyka i śpiew — ...stój!

Zatrzymał się równocześnie czołg. Kalita podjechał bliżej.

— Odpocznijmy parę minut. Do sztabu nie więcej jak godzina jazdy, a tutaj już nasze pułki kwaterują — zatoczył ręką półkrąg, pokazując pasy na polach, ściemniałe pod pługami, i grupki pracujących żołnierzy.

— Kto orze? — spytał Kos.

— My — odpowiedział wachmistrz. — Nasza brygada.

— Lada dzień dalej pojedziemy.

— A my nie sobie przecież. Tym orzemy, co przyjdą, żeby tu żyć.

Gustlik bez słowa zlazł z pancerza, przeskoczył rów i kroczył prosto w stronę najbliższego zaoranego pola, gdzie przy pierwszej skibie stała taborowa podwoda, a na niej w dwurzędzie worki. W ślad za Ślązakiem, przebiegając co trochę, pospieszył Czereśniak z harmonią przy piersi. Prawie równocześnie wyszli obaj do pola.

— Cześć — zasalutował Jeleń.

— Czołem, panie plutonowy — odpowiedzieli dwaj żołnierze furmaniący wozem.

— Ziarno? — dotknął worka i przechylając go ku sobie, rozwiązał.

— Ziarno.

— Na siew?

Gustlik, a za nim Tomasz, który na wóz odłożył instrument, zanurzyli dłonie po łokcie.

— Siewne.

— Dacie mi też trocha?

— Można.

Pomagali sobie wzajemnie przewiązać płachty przez lewe ramię. Ułani skoczyli żyto nasypywać.

Ze zmienionymi twarzami stanęli obaj u początku pachnącego świeżością zaoranego pasma. Tomasz przyklęknął. Gustlik nabrał garść, rozsypał półkolem na ziemię przez słoneczny blask i ruszył naprzód: lewa — rozrzut, lewa — rozrzut.

Trzy kroki w tyle, trzy z boku zaczął Tomasz. Obaj w tym samym rytmie siali zboże. Nie dla siebie. Dla tych, co tu mieli przyjść, żeby żyć.

## ROZDZIAŁ 33. SPOTKANIA

W drugiej połowie marca, już po zdobyciu Kołobrzegu, który padł osiemnastego, w tym czasie, gdy brygada pancerna, wspierając radzieckich piechurów, toczyła jeszcze ciężkie walki o Gdynię i Gdańsk, 1 armia Wojska Polskiego otrzymała rozkaz przejścia do obrony i szeroki szmat brzegu pod opiekę, sięgający od Zalewu Szczecińskiego i Dziwnej po otwarty Bałtyk z ujściami Regi i Parsęty i jeszcze dalej na wschód.

Nad Dziwną kompanie trwały w okopach, nieustannie wybuchały artyleryjskie sprzeczki koło Wolina czy Kamienia Pomorskiego, ale u morza było spokojniej. Na wydmach, porośniętych błękitną trawą o źdźbłach ostrych jak brzytwy, powstał łańcuch ufortyfikowanych gniazd oporu i punktów obserwacyjnych. Na ich zapleczu czuwały ruchome odwody, gotowe wkroczyć do akcji w razie próby desantu, ale większość wojska odpoczywała parę dni, po raz pierwszy od dwunastego stycznia, od rozpoczęcia zimowej ofensywy.

Masę roboty miały dywizje i pułki z tym odpoczynkiem. Trzeba było nie tylko wymyć, wyczyścić, odkarmić oraz wyremontować, kogo się dało i co się dało, ale przyjąć uzupełnienie do szeregów, przeszkolić je i dopasować do kompanii, żeby nowi żołnierze jak najmniej się różnili od starych, żeby całość bardziej przypominała zrośnięte ramię niż wylatane portki. Dowódcy starali się trzymać w garści pułki i bataliony, a służbę opędzić drobnymi pododdziałami.

Nic też dziwnego, że kiedy załoga sierżanta Kosa zameldowała swoje przybycie, to zaraz ją skierowano nad Bałtyk — razem ze szwadronem wachmistrza Kality i przydzielonym działaniem z lekkiej baterii mieli stać się ogniwem owego łańcucha przeciwdesantowej obrony, leżącego tuż u brzegu, na wydmach porośniętych suchymi trawami, przez które wiatr przesypuje drobiny kwarcu.

Przyjęli ten rozkaz jak na starych żołnierzy przystało, to znaczy z uśmiechem, choć tak naprawdę woleliby przydział do większej pancernej całości i miejsce postoju bliższe berlińskiego kierunku. Tylko Lidka naprawdę była rada.

— Żebyście mi znaleźli jakiś kostium, to mogłabym sobie ładnie dekolt opalić, akurat na ten bal, który będzie po zakończeniu wojny w Berlinie.

Kostium im się pod rękę nie napatoczył, ale i czasu wolnego było niewiele. Okopali się jak należy, stale jednak jakieś nowe zajęcia wyskakiwały jak fryc z krzaków. Rzadko potrafiła Lidka wyprosić u Kosa zwolnienie i pobiec z kimś na plażę, tak jak dziś z Grigorijem.

Po wilgotnym, ubitym falami piasku dobrze się wędrowało wzdłuż brzegu. Byli oboje bez czapek i wiatr rozwiewał im włosy. Gdyby nie pogięta armata stercząca wśród lejów i ogromny ciężarowy samochód, którego maska i szoferka wynurzały się z wody u brzegu, można by przypuścić, że wojny nie było. Szeroki horyzont rysował się łagodnym, czystym półkręgiem, bez jednego dymu. Mewy na nieruchomych skrzydłach przepływały nad głowami, pokrzykiwały zaczepnie.

— Mam. Mam i nie oddam nikomu — podśpiewywała dziewczyna, zaciskając pięść. — Darowane—zakochane.

— Ten, od kogo wyproszone, weźmie sobie inną żonę — roześmiał się Saakaszwili z własnego dowcipu.

— Wierszami mówisz — zdziwiła się Lidka i dodała ze złością: — Ale wrednie. Takiego poetę to... — trzepnęła go po ramieniu, szturchnęła kuksańcem w bok.

Odskoczył roześmiany, a ona, otworzywszy pięść, przyglądała się leżącemu na dłoni sercu z bursztynu.

— Żebym miała wstążkę — przymierzyła i trzymając palcami pokazała drugą ręką, jaki byłby naszyjnik.

— Czarna dobra? — spytał Gruzin.

— A masz?

— Poczekaj. — Zrzuciwszy z ramion skórzaną kurtkę i rozpostarłszy ją na piasku, zaprosił: — Siadaj i czekaj.

Wrócił parę kroków do miejsca, gdzie fale strzępiły zatopioną ciężarówkę. Po czarnych wyszczerbionych słupach falochronu przebiegł tuż nad wodą, zmierzył odległość wzrokiem, przysiadł i skoczył na wilgotną maskę. Nie patrzył na dziewczynę, ale chcąc jej zaimponować, dał raz jeszcze wielkiego susa na drugą stronę pogiętej szoferki.

W pudle, które, skośnie nachylone, tworzyło trójkątny port, pływała niebieska marynarska czapka. Fale wpadając do środka kołysały nią,

podrzucały i pochyłonemu Gruzinowi wcale niełatwo było ją złowić. Raz i drugi przeszła tuż obok palców, póki wreszcie dała się chwycić za czarną wstążkę, przyszytą z tyłu do otoka.

Z powrotem droga była trudniejsza: z ciężarówki na pieńki nie skoczysz. Saakaszwili wziął rozpęd na masce, dał susa i ochlapawszy się setnie, wybiegł na brzeg.

— Masz — wręczył oderwaną jednym szarpnięciem wstążkę.

Ruszyli oboje ku wydmom. Lidka przewlekła taśmę przez uszko bursztynowego serca i przymierzała.

— Aleś wymyślił — kręciła głową z podziwem.

Grześ pogładził wąsy, dotknął ramienia dziewczyny i przystanąwszy, zaczął mówić po gruzińsku. Słuchała słów całkowicie różnych od wszelkich języków, z którymi los ją zetknął, zupełnie niezrozumiałych, i ze zdziwieniem spostrzegła, że to słuchanie sprawia jej przyjemność. Dźwięki chropawe jak granitowa ściana skalna, ostre jak krzyk orła, mieniące się samogłoskami jak potok drobinami słońca tworzyły spokojną, szlachetną melodię.

— Wiersze? — spytała, kiedy umilkł.

Bez słowa skinął głową.

— Twoje?

— Nie — roześmiał się wesoło. — Sześćset lat temu napisał jeden Gruzin, Szota Rustaweli.

— O czym było to, co mówiłeś?

— Ty pochwaliłaś za wstążkę, a ja odpowiedziałem, że jesteś dla mnie jak słońce i daję słowo, iż spełnię każdą twoją prośbę, nie bacząc na niebezpieczeństwo... — tłumaczył, coraz mocniej marszcząc brwi, aż wreszcie garść piasku chwycił i cisnął pod nogi. — Nie umiem tyle po polsku, żeby ładnie powiedzieć.

— Ładnie powiedziałeś — rzekła cicho Lidka.

— Nie ja. Tak do królowny Tinatiny powiedział Awtandił.

— Kto?

— Awtandił, taki dawny pancerny.

— Szkoda — szepnęła dziewczyna jeszcze ciszej.

Nie wypuszczając z dłoni bursztynowego serduszka poczęła się wspinać ścieżką wśród wydm. Za nią szedł Saakaszwili tak zamyślony, że chyba tego ostatniego słowa nie słyszał.

Na szczycie pagórka, w zamaskowanym siatką okopie dla dział, przystosowanym do obrony okrężnej, stała długolufa armata 76 mm i ułan na warcie. Żołnierz popatrywał na morze, unosząc co pewien czas lornetę do oczu.

— Znaleźliście co na brzegu? — zaczepił czołgistę.

— Skarb — odpowiedziała Lidka machając czarną wstążką.

— Hitlera nie widać? — zagadnął mechanik niezadowolony, że mu myśli pytaniami płoszą.

— Same ryby i jedną syrenę — odciął się kanonier.

— Trzymaj ze mną, Berlin zobaczysz — obiecał Gruzin zajęty odczepianiem bączka i odkręcaniem gapy ze swastyką.

— Janek zły, że nie nad Odrę kazali nam jechać — przypomniała Lidka i skrzywiła się, widząc, co Saakaszwili robi z czapką. — Po co ci to?

— Blaszkki niepotrzebne — Grigorij cisnął je na ziemię — a reszta może się przydać. Choćby i buty wyczyścić. — Wyjął niebieskie sukno, wsadził je do kieszeni kurtki.

Minęli okop dział i teraz otworzył się szeroki nadmorski krajobraz: do horyzontu sięgały pola poznaczone ciemnymi płatami świeżej ziemi, a na nich zieleniały ruchome figurki pracujących przy orce ułanów. Okolica była pofalowana, zdobiona bliżej kępami drzew, a czernią lasu na horyzoncie, wysadzana małymi, srebrnymi w słońcu jeziorkami.

— Będą tu na letniaki przyjeżdżać — powiedziała Lidka. — Nie tylko powietrze zdrowe, ale jak ładnie.

Bliżej nad szosą czerwieniło się spore gospodarskie obejście złożone z paru budynków, otoczone poszczerbionym pociskami murem. Zagroda wraz z działem na wydmie stanowiły węzeł oporu: wybili w ścianach strzelnice, postawili zasieki w przerwie między domem a oborą, wyryli okopy i rowy łączące.

Po podwórku kręcili się ułani. Dwu przy studni poilo konie. Trzeci w korycie prał onuce, a czystą już koszulę powiesił na zamachowym kole sieczkarni. Koło bramy prowadzącej na szosę stał „Rudy” i dwie głowy wyglądały przez włazy wieży.

— O rany, dyżur! — zawołała Lidka zerknąwszy na zegarek i pobiegła do budynku, ponad dachem którego sterczała na drągu radiowa antena.

Grigorij podchodząc do czołgu usłyszał, jak Jeleń Czereśniaka uczy:

— Ręką to kluski do gęby, a pocisk w lufę ramieniem, z półobrotu — pokazywał mu gestem.

— Ręką też wystarczy... — upierał się Tomasz.

— Co za głupielok! — westchnął Gustlik, zwracając się do Grzegorza, a potem z naciskiem zaczął tłumaczyć: — Toż ci godom, kluku zatracony, jak mo być: w czołgu sto pocisków i sto razy trza załadować. Dlatego ze siłą, całym ramieniem, coby się ręka nie zmęczyła. Jakbyś się ino raz spóźnił, to nie ty jeden, a wszyscy pójdziemy do Piotra świętego na krupniok.

Grigorij popatrzył jeszcze na dwa samochody z wojskiem, które przejechały szosą, i postanowił przysiąc na stercie desek leżących wzdłuż ogrodzenia, gdzie w słońcu wygrzewał się Szarik.

— No, co stary... — wyciągnął rękę, by, pogłodzić psa, ale ten niespodzianie wyszczerzył zęby i warknął groźnie. — Zgłupiałeś?

— Co godosz? — spytał Gustlik.

— Ja nie do ciebie... Szarik zgłupiał.

Saakaszwili przesiadł się na prawo od psa i wilczur obrócił mordę w drugą stronę, zaskomlał przyjaźnie, podpełznął i podstawił głowę do głaskania.

— Do działa — rozkazał Gustlik.

Obaj zniknęli w wieży i tylko przez otwarte włazy dobiegały głosy i szcęk metalu.

— Odłamkowym ładuj!

— Gotowe.

— Rozładuj... Przeciwpancernym ładuj!

Saakaszwili przymknął oczy i słuchając komend grzał się w słońcu, wypoczywał. Miał chyba prawo, skoro po długim marszu od Gdańska prawie pod Szczecinem przejrzał starannie cały wóz i zrobił wszystko, co trzeba było zrobić. Może jeszcze tylko te traki... Trzeba byłoby znaleźć w okolicy rozbity T-34 o nowych, mało zużytych gąsienicach, zdjąć parę ogniwi, przywieźć i wymienić... Właśnie, trzeba przywieźć, więc dopiero kiedy Wichura wróci.

Szosą nadjeżdżała ciężarówka i jak na złość stanęła przed bramą, terkocąc silnikiem. Wichura, na pewno Wichura, myślał Grigorij i nie otwierał oczu, żeby go jak najpóźniej zobaczyć, a tymczasem z samochodu wysiadł wysoki mężczyzna w kurtce z biało-czerwoną opaską na rękawie, w butach z

cholewami, i podszedłszy do bramy czytał napisy wypalone na deskach: „*Gospodarstwo Kality*”, „*Gospodarstwo Kosa*”.

— Do kogo, obywatelu? — spytał wartownik.

— Do syna.

W tym momencie Grzegorz rozpoznał Westa po głosie, zerwał się na równe nogi i tryumfalnie krzyknął podnosząc ręce do góry:

— Wasza! Wasza!

Skoczyli na spotkanie wraz z Szarikiem, tuż za nimi Gustlik i nieco w tyle Tomasz. Ledwo zdążyli porucznika, przywitać, gdy zaalarmowany krzykiem wybiegł z budynku Janek, rzucił się ojcu na szyję.

— Na długo przyjechałeś?

— Podwiozłem grupę operacyjną, żeby zaraz, jak Szczecin będzie wolny...

— To znaczy, zostajesz z nami — ucieszył się Janek.

— Kwadrans tylko, bo muszę wracać do Gdańska. A potem przyjadę znowu...

Ojciec z synem ruszyli w stronę domu, a reszta załogi została. Gustlik przytrzymał Gruzina za rękę, żeby nie szedł za nimi. Tylko Szarik, któremu najtrudniej było ukryć swe uczucia, w podskokach pobiegł śladem Kosów.

Przez uchylone okno wyjrzała Lidka w słuchawkach radiowych na uszach. — Dzień dobry! — ucieszyła się, wyciągając rękę.

Janek za plecami ojca pokazał gestem, żeby schowała bursztynowe serce, które na czarnej wstążce zwisało jej na szyi.

— Ojej! — dziewczyna zmarszczyła brwi i wsunęła wisiołek za dekolt.

— Mundur nie kiecka, a żołnierz nie choinka — mruknął do niej półgłosem. — Nie było jakiego rozkazu?

— Nie, tylko Niemcy gdzieś blisko nawołują: „*Komm Hermenegilde*”.

— Zanotuj — rozkazał Janek i uchyliwszy drzwi zaprosił ojca do domu.

Z boku, zza stajennych wrót obserwował tę scenę Feliks Kalita. Teraz ruszył na swych pałakowatych nogach w stronę wartownika, który spostrzegłszy dowódcę szwadronu, wyciągnął się na baczność z miną muchy schwytej w pajęczynę.

— Na posterunku stoisz, synku?

— Tak jest, obywatelu wachmistrzu?



— Bez zezwolenia dowódcy warty obcych wpuszczasz? — pytał łagodnie, słodko i nagle, spłaszczony na twarzy, przeszedł od razu w krzyk: — Ułan! Takim wartownikom gromnicę do ręki, a nie karabin! Piszcie do mamy, żeby się za was modliła, bo flaki wypruję i na motek z drutu kolczastego będę nawijać...

Janek zatrzasnął okno, żeby nie słuchać krzyku wachmistrza. Teraz tylko widać było, jak założywszy ręce na plecy, huśtając się z pięt na czubki palców, podoficer czyta lekcję swemu żołnierzowi.

— Dobry chłop, ale inaczej nie potrafi — zaczął tłumaczyć ojcu. — Byliśmy razem z tym szwadronem w ogniu, a teraz sterczymy jako węzeł oporu w przeciwdesantowej obronie wybrzeża. Ułani, nasz czołg i polówka z działonem. Ale tu cisza. Czasem, jak dym na horyzoncie, to nasze samoloty okręt przepędzą i znowu cisza. Nudno.

— A samo to, że stoicie nad morzem, mało interesujące? — uśmiechnął się ojciec. — Przed wojną ledwo dziobem był nasz orzeł zaczepiony o Bałtyk, Prusy jak obroża na gardle, a teraz... Na pełny rozmach skrzydeł...

— Co w Gdańsku?

— Miasto żyje. Ruszyły warsztaty, do portu przysły okręty z Kronsztadu. Trałowce oczyszczają farwater na Hel. Ścigacze tropią niemieckie U-booty, których sporo na Bałtyku, a zwłaszcza w waszym rejonie, między Bornholmem a Kołobrzegiem...

— Marusia nie pisała?

— Nie...

Zapadło krótkie milczenie. Zorientowawszy się, że widocznie Janek też nie dostał listu, ojciec wziął do ręki leżącą na stole książkę i spytał, by zmienić temat rozmowy.

— Czytasz?

— Wkuwam. Regulamin walki, bo dowodzę, i służby wewnętrznej, żeby wachmistrza nie złościć. Kiedy wrócisz?

— Za tydzień. Front lada dzień ruszy i wtedy my za radzieckimi wojskami od razu do Szczecina.

— Nas nie zastaniesz. Saperzy nad Odrą od dawna, reszta armii też na południe ruszyła i tylko parę takich fortec jak nasza zostało na piasku — machnął zniechęcony ręką. — Zapomnieli w sztabie o „*Rudym*”.

Ojciec zerknął na zegarek i otworzył ramiona, bo czas było w drogę. Objęli się mocno. Chwilę trwali nieruchomo, a potem energicznie ruszyli do drzwi, wyszli na dwór.

Pod samymi drzwiami czekał Gruzin z listem w ręku, a za nim Tomasz z plecakiem, z którego sterczał drewniany trzonek.

— Ja bym prosił — zaczął tłumaczyć Grigorij — żeby Hani, co z siostrą była na zabawie, do rąk własnych. Poczta marnie chodzi.

— A tam w środku też po gruzińsku? — spytał West zerknąwszy na egzotyczne litery adresu.

— *Wejdeda!* — Saakaszwili trzepnął się dłonią, biorąc z powrotem złożony w trójkąt papier.

— Następnym razem wezmę.

Czereśniak, który podczas tej rozmowy wydobył z plecaka niewielką, ale bardzo zgrabną siekierkę, chcąc ją posłać w kierunku Studzianek, spieszył się, schował z powrotem i odszedł pod ścianę.

Wachmistrz skończył już przemówienie do wartownika, ale stał w bramie, bo coś go zainteresowało na szosie. Wyglądał, osłaniając oczy daszkiem zsuniętym na czoło.

— Obywatelu poruczniku — zwrócił się Janek do ojca — pozwólcie przedstawić sobie dowódcę rozpoznawczego szwadronu.

— Wachmistrz Kalita. — Kawalerzysta wyprężył się, zasalutował i wskazał ręką ku zachodowi. — Z oflagu wracają. Pięć i pół roku, jak poszli do niewoli...

Urwał, w napięciu przypatrywał się paroosobowej grupce w płaszczach przedwojennego kroju. Część oficerów miała już pasy, ale narzucone na ramiona płaszcze i rozpięte kołnierze mundurów wskazywały, że to nie wojsko. Szli nie w nogę, dwu prowadziło rowery obwieszone bagażem, niektórzy nieśli w rękach walizki i zawiniątka. Prowadzili między sobą ciche rozmowy.

Kiedy zrównali się z bramą, nasi zasalutowali, a wartownik, spojrzawszy pytająco na wachmistrza, sprezentował broń. Tamci wyprostowali się nieco, odpowiadając na honory wojskowe, i nagle stała się dziwna rzecz: Kalita, groźny służbista, zrobił krok naprzód, oderwał palce od daszka i zupełnie cywilnym gestem wyciągnął przed siebie ręce.

— Panie rotmistrzu! — zawołał.

Idący na przedzie, lekko utykający kapitan o czarnej, przetykanej siwizną czuprynie, który niósł w ręku garnizonową czapkę z amarantowym otokiem, przystanął. Z wyrazem zakłopotania patrzył na bramę, na prezentującego broń wartownika i na dryblasa z szablą w czarnej pochwie u boku, wyciągającego doń ręce. Przystanąła reszta oficerów. Szpakowaty, nie rozumiejąc w dalszym ciągu, o co chodzi, włożył czapkę, zasalutował.

— Wracamy do domu... — zaczął, czując, że coś powinien odpowiedzieć, urwał i dopiero teraz rozpoznawszy, kto przed nim stoi, rzekł cicho: — Kalita... Wachmistrz Kalita!

Uścisnęli się. Rotmistrz mocno przygarnął do piersi swego podoficera, a potem odstąpił o krok i spytał półgłosem:

— Co wy robicie w tym wojsku?

— Szwadronem dowodzę. Kończę, cośmy razem z panem rotmistrzem zaczęli pierwszego września pod Mokrą. Początek był dobry, tylko nam potem nie wyszło. A teraz nic, tylko bijemy. Nim wiśnie zakwitną, konie w Szprewie będziemy poić.

— A ja nad Wisłę chciałbym jak najprędzej.

West pożegnał czołgistów i idąc w kierunku swej ciężarówki zwrócił się do wyzwolonych z oflagu:

— Komu po drodze, proszę siadać. Wieczorem będziemy w Gdańsku.

Ucieszeni oficerowie ładowali się sprawnie przez burtę, pomagali jeden drugiemu, windowali tobołki i rowery.

— Panie rotmistrzu — po chwili namysłu zaproponował Kalita — niech pan zostanie.

— Oszaleliście? Gdybym nawet chciał, to kto zezwoli?

— Wszystko według regulaminu. Zameldujemy dowódcy brygady. Już w Jastrowiu tak było, że przedwojenni oficerowie szli z oflagu wprost do armii...

— Nie, to bez sensu — przerwał mu rotmistrz i utykając ruszył w stronę ciężarówki.

Od podwórza przybiegł gniady wierzchowiec Kality, trącił go w ramię łbem i ruchliwymi ciemnymi wargami chwycił cukier z dłoni.

— Znajdzie się koń i szabla, a do Berlina blisko! — zawołał dowódca szwadronu.

Rotmistrz obejrzał się w chwili, gdy już rękami miał chwycić za burtę. Znieruchomiał na sekundę. Jego dłonie nie spotkały się z dłońmi tych, którzy chcieli mu pomóc we wsiadaniu.

- Dajcie rzeczy.
- Zostajesz? Oszalałeś!
- Powiedzcie żonie, że ja trochę później.

Powoli, na pierwszym biegu ciężarówka ciasno wykręcała na szosie. Jeden z oficerów podał rotmistrzowi niedużą walizkę i machnął mu ręką. Inni salutowali.

W miarę jak samochód jechał coraz szybciej, mały w ich oczach postacie żołnierzy przy bramie. Mała samotny człowiek w rogatej garnizonowej czapce z amarantowym ułańskim otokiem i narzuconym na ramiona wojskowym płaszczu — oficer, który postanowił trochę później wrócić nad Wisłę.

Generał jechał otwartym willysem, czapkę trzymał na kolanach. Pęd powietrza wdzierał się wirami za szybę, gmerał w kędzierzawej czuprynie.

Przed nim było słońce, a z tyłu zielonkawy prostokąt radiostacji i giętki maszt. W lusterku spostrzegł doganiający szybko gazik — wóz drgał na pokaleczonej nawierzchni szosy i obraz był niewyraźny. Ciężarówka zatrąbiła ostro, wyprzedziła na dużej szybkości.

- Takie pudła cię biorą?
- On szybko jedzie, a ja dojadę dalej — filozoficznie stwierdził sierżant za kierownicą, starszy już i poważny człowiek.
- Przyciśnij. Zdaje mi się, że znajomy.

Kierowca wiedział, dokąd jedzie, i naturalnie rozpoznał od razu najzwyklejszą wśród zielonych ciężarówek króla kazachstańskich szos, więc uśmiechnął się i nieznacznie przyspieszył. Wichurze wypadało przyjechać wcześniej i załogę uprzedzić, że generał blisko. Niech się chłopaki przygotują. Jak niespodzianie, to czasem na coś takiego naskoczysz, że sam potem żałujesz, myślał szofer willysa.

Z przeciwnej strony, zza pagórka, nad którym wisiało słońce, wyskoczyła ciężarówka. Generał zerknął na nią, przyjrzał się uważniej.

- Wolniej — wstrzymał kierowcę i rozpoznawszy wychylonego przez okno Westa, zawołał: — Stój!

Zapisały hamulce. Obaj wyskoczyli, pobiegli sobie naprzeciw i mocno uścisnęli dłonie.

— W sztabie Frontu mówili mi, żeś przyjechał.

— Pytałem o 1 armię, chciałem cię zobaczyć.

Ciężarówka i łazik zjechały razem pod osłonę drzew. Rosła tu na skrzyżowaniu kępa dębów zazielenionych jeszcze nieśmiało, ale tak starych i rozłożystych, że doskonale mogły zamaskować nawet i dziesięć maszyn. Niemieckie samoloty od kilku dni nie latały w tych stronach, ale zostało stare przyzwyczajenie.

West i generał przeskoczyli rów, weszli leśną drogą między drzewa, by spokojnie zamienić parę zdań.

— Przypadek, że jeszcze jestem. Nasi już dochodzą nad Odrę, naprzeciwko Berlina. Byłeś u Janka?

— Byłem. Czemu oni tu siedzą?

— Przekazaliśmy pas obrony radzieckim jednostkom, ale zostało parę naszych węzłów oporu, ponieważ...

Kierowca Westa otworzył maskę, przegazowywał silnik i warkot zagłuszył ostatnie słowa. Zresztą i odległość była spora. Minęły trzy lub cztery minuty, nim obaj rozmawiający zawrócili w stronę szosy. Generał kończył właśnie swe wyjaśnienie:

— ...A ja, jako dowódca pułapki. Uda się czy nie, to jednak jutro o zmierzchu ruszymy i jednym skokiem powinniśmy dogonić piechurów. Półtorej setki kilometrów.

— Za dwie godziny dojedziecie — śmiał się Kos — jeśli będziecie gnać jak Wichura... Plutonowy Wichura. Na tej ciężarówce, co was przegoniła.

— Wiem. — Generał kiwnął głową. — Robił, co mógł, by swoich na czas uprzedzić, że naczalstwo nadciąga. Cześć!

— Do widzenia.

Pożegnali się i rozeszli do wozów. Kiedy łazik ruszył, West wyciągnął rękę i pokazał uniesiony kciuk, na szczęście. Chwilę patrzył za generałem.

— Przedwojenny generał? — spytał jeden z oficerów, którzy się załadowali kolo „*Gospodarstwa Kosa*”.

— Nie — odpowiedział wsiadając do ciężarówki. — Wojenny.

Kiedy wozy się rozjechały, chwilę na rozstaju trwała cisza, potem na dębach zaczęły poświsztywać ptaki i dzieciół załomotał w pień, strącając

zeszłoroczne, zmarszczone mrozem liście. Z kwitnących olszynowych zarośli wyrzała sarna, popatrzyła na boki i spokojnie szczypnęła pozieleniałą już młodą trawę. Uniosła głowę, nadstawiła mechatę ucho. Wyłowiła dochodzący z głębi lasu turkot. W paru susach przeskoczyła szosę, zniknęła po drugiej stronie.

Kołysząc się na wybojach, podskakując na sterczących z ziemi korzeniach, nadjechał leśną drogą zis z radziecką piechotą, skręcił w prawo na wschód i stanął. Z pudła lekko jak sarna zeskoczyła Marusia–Ogoniok i stanęła na baczność przed wychylonym z szoferki Czernousowem.

— *Razreszitie ot dalitsia soglasno propusku* — zameldowała z dłonią u beretu.

— Tutaj... — starszyna pokazał palcem na ziemię.

— Jutro rano, szósta zero — podpowiedziała dziewczyna.

— *Kak sztyk.*

— *Tak toczno, towariszcz starszyna.* — Marusia z radości leciutko wspięła się na palce.

— Podwiózłbym cię i sam z kumplami pogadał, ale służba nie družba.

— Ucałuję i w waszym imieniu.

— A już najbardziej dowódcę. — Czernousow roześmiał się i nastroszywszy wąsy wydał groźnym głosem komendę: — *Kruu–gom! Szagom marsz!*

Marusia zrobiła w tył zwrot, przybiła pierwsze trzy kroki, a potem pomachawszy ręką żołnierzom na odjeżdżającym zisie, ruszyła boki szosy.

Dobrze jest, mając mniej niż dwadzieścia lat, iść ze słońcem na twarzy w ciepły wiosenny dzień na spotkanie miłego chłopca. Wesoło tańczy po trawie długi cień. Usta same układają się do uśmiechu, do pocałunku.

Gwizdały ptaki, więc i Ogoniok zaczęła poświstywać prościutką marszową melodię, a słowa podłożyły się same. Śpiewała o załodze, w której służy zgrabny mechanik, silny i dobry ładowniczy oraz mądry pies, ale najmilszy jest dowódca; śpiewała o czołgu, który ma potężny silnik, twardy pancerz, donośne działo, ale... najmilszego na świecie dowódcę.

Szkoda, że nikt tej piosenki nie zapisał.

## ROZDZIAŁ 34. HERMENEGILDA Z WODY

Zasiedli przy stole poważnie, jakby w sztabie dywizji, a generał nawet położył na środku swoją mapę. Grigorij trącił w bok Gustlika i pokazał mu oczyma, że nie tylko na lądzie, ale i pośród niebieskości morza są różne znaki taktyczne. Ponieważ Kalita już przy bramie zdążył zameldować o gotowości szwadronu do wymarszu, więc teraz tylko wąs stroszył i postukiwał nogą o podłogę, od czego leciutko dzwoniła ostroga.

— Referujcie, Kos — powiedział generał.

Nie kazał meldować, tylko jak szefa sztabu poprosił: „*referujcie*”. Janek zerknął, czy usłyszała Lidka, siedząca nieco z boku przy swojej radiostacji, i odpowiedział odrobinę głośniejszym głosem, niż było trzeba.

— W wozie i na ciężarówce półtorej jednostki ognia. Zbiorniki pełne i beczka ropy w zapasie. Możemy ruszać choćby zaraz i bez tankowania osiągnąć...

— Zaczekaj — generał przerwał mu niechętnym gestem. — Już powiedziałem, kiedy ruszymy. Teraz chcę wiedzieć, czy nie zauważyliście czegoś, co mogłoby wskazać, gdzie hitlerowcy mają zamiar przeprowadzić akcję? Czy podczas ostatniej nocy na waszym odcinku niczego nie dostrzeżliście od strony morza?

Chwilę trwało milczenie, tylko dzwoniła ostroga, a z głośnika włączonej radiostacji leciutko popiskiwały sygnały Morse’a.

— Sprawdzalem czaty. Noc nie ciemna i widać byłoby, jakby kto płynął po wodzie — rzekł dowódca szwadronu.

A jeśli pod wodą? — niespodzianie spytał generał. — Kto na ten temat?

Szarik, wędrujący z wolna wokół stołu, podszedł akurat do Grigorija, warknął i zaszczekał.

— Ciszej. Nie ciebie pytają — skarcił go Gruzin.

Pies przemknął mu pod ręką, wyciągnął jakąś szmatę z kieszeni kurtki i przytrzymując łapą, począł szarpać zębami. Warczał przy tym z taką złością, jakby dopadł wroga.

— Każ mu leżeć — zwrócił się generał do Janka.

Kos przysiadł obok psa.

— Daj. No mówię ci, daj — rozprostował niebieskie sukno, obejrzał i położył na stole. — Okazuje się, że Szarik warczy na temat.

Generał wziął czapkę, przyglądał się złoconemu napisowi „*Kriegsmarine*”, a potem podniósł pytający wzrok na Saakaszwilego.

— W południe znalazłem. Na naszym odcinku, ale to przecież jeszcze z marcowego odwrotu.

— Nie z marcowego — wtrącił Janek. — Pies świeży zapach czuje.

Lidka sprawdziła dyskretnie, czy haftki pod szyją dobrze zapięte, podciągnęła kołnierzyk w górę, a potem dopiero zameldowała:

— Wołali dziś przez radio: „*Hermenegilde, komm*”. Może to jakiś okręt?

Generał się uśmiechnął, w zakłopotaniu postukiwał kostkami palców po stole.

— A więc jednak był tu ktoś nie zauważony.

Kalita i Kos wstali jednocześnie.

— Obywatelu generale — zaczął Janek — naturalnie jestem winien, choć to co najwyżej pojedynczy zwiadowca. Ale jeśli będzie desant, to nie przejdzie: nasz czołg, siedemdziesiątkaszóstka, erkaemy ułanów...

— Jeśli Niemcy wysadzą desant, to puście ich w głąb, bo inaczej nie dowiemy się nigdy, czego szukają. A dopiero potem trzeba nie wypuścić. — Generał zrobił pauzę, wstał i wsuwając swoje papiery do mapnika, spytał: — Macie jeszcze coś do mnie?

— Meldowałem względem mego wrześniowego dowódcy — przypomniał wachmistrz.

— Proście.

Kalita otworzył drzwi do drugiego pokoju i wpuścił rotmistrza, który w milczeniu stanął na baczność przed generałem. Chwilę mierzyli się wzrokiem — choć obaj polscy żołnierze, byli przecież jednak z różnych armii. Generał wyciągnął rękę.

— Prosimy na razie w goście, nie do akcji. Sądzę, że za dwa, trzy dni potrafię w sztabie armii uzyskać przydział dla pana.

— Dziękuję.

Cały czas obok stał Jeleń wyczekując sposobnej chwili i teraz udało mu się zastąpić drogę odchodzącemu.



— Oni dziś, panie generale — zapewnił, robiąc dłonią ruch podobny do płynącej ryby.

— Niemcy? Skąd wiesz?

— Bo zech taka ciotka miał. Dzisiok po północy będzie trzynasty. To jest świętej Hermenegildy.

Naftowa lampa, ustawiona na drewnianej skrzynce z amunicją, oświetlała radiostację i twarz Lidki, podtrzymującej lewą ręką słuchawkę przy uchu. Obok z łokciami na stole, z głową opartą na dłoniach siedział rotmistrz.

— Na pułk brakło — powiedział cicho, patrząc na nadajnik.

— Słucham?

— Ja do siebie. Pani wybaczy.

Dziewczyna uśmiechnęła się przyjaźnie.

— Przepraszam — powtórzył oficer i pragnąc podtrzymać niezręcznie zaczęta rozmowę, spytał: — Czy pani dawno zna generała?

— Strasznie dawno. Półtora roku. Był dowódcą naszej brygady pancерnej.

— Ma rosyjski order.

— Radziecki. Za bitwę pod Kurskiem. Jeszcze z Armii Czerwonej — wyjaśniła Lidka, nie zdając sobie sprawy z sensu pytania.

Energicznie szarpnięte, otworzyły się drzwi. Płomień w lampie zachybotał, przygasł i rozjarzył się znowu.

— Z generałem.

Zdjął polówkę, otrzepał ją z kurzu o kolano i rzucił na ławę. Kawaleryjski karabinek oparł o stół.

— Ta-ti-ti, ti-ta-ti — wywoływała Lidka łańcuszkiem okrągłych i podłużnych dźwięków, nasłuchiwała sekundę i szczęknawszy kontaktem, podała mikrofon Kalicie.

— „Baca”, ja „Ryży Koń”. Wszystko gotowe na powitanie ciotki. Odbiór.

— Zrozumiałem. Odbiór — usłyszeli z głośnika zniekształcony głos generała.

Wachmistrz oddał mikrofon. Z ławy pod ścianą podniósł wiadro z wodą i trzymając je oburącz, pił długo.

Oficer wziął karabinek do ręki, wyjął łódkę, sprawdził, czy nie ma naboju w lufie, i spuściwszy iglicę, poruszył zamkiem.

— Klekoce — powiedział do Kality.

— Mosin, dziewięćdziesiąt jeden trzydzieści — wyjaśnił tamten, nie chwyciwszy, o co chodzi.

— Radomski mauzer nie klekotał.

— Ale ten się piachu nie boi. Sypnę choć garść, potrząsnę i będę strzelał — Kalita pokazywał gestami.

Rotmistrz wstał z ławy, ujął swego dawnego podwładnego za łokieć i powiódł w stronę otwartego, lecz zawieszzonego kotarą okna. Wprowadził go na drugą stronę zaciemniającego koca i przysiadając na parapecie, spytał:

— Różne rzeczy mówili w oflagu i potem też słyszałem od ludzi... Powiedzcie mi, Kalita, czy prawda, że w Polsce po miastach rosyjskie komendy wojskowe...

— Póki front, muszą być.

— Że w lasach partyzanci.

— Panie rotmistrzu — serdeczny i życzliwy do tej pory ułan wyprostował się i głos mu stwardniał — partyzanci to byli w lasach, póki Niemcy naród gnębili...

Wartownik u bramy, który cały czas chodził tam i z powrotem, przystanął nagle, podrzucił karabin na „gotuj broń” i krzyknął:

— Stój! Kto idzie?

— Swój — odpowiedział dziewczęcy głos od strony szosy. — Sierżanta Kosa *choczu widiet*!

— O rany, Marusia!

Lidka trzasnąwszy drzwiami wyskoczyła z domu, podbiegła do wartownika.

— Puść, puść ją, kochany. To przecież Ogoniok!

Nim chłopak zdążył odpowiedzieć, obie dziewczyny już się ucałowały na powitanie i szły w kierunku domu.

— Kiedy ja ich regulaminu nauczę? — mruknął Kalita do rotmistrza i zawołał: — Hej, przy bramie! Na posterunku stoisz, synku?

— Tak jest, obywatelu wachmistrzu.

— Bez zezwolenia dowódcy obcych wpuszczasz? Ułan, napiszcie do mamy, cholerny świat, żeby się za was modliła, bo ja was...

— Panie wachmistrzu, panie wachmistrzu! — przymilnie wołała Lidka, postukując go w ramię przez zasłonę, a kiedy kawalerzysta wyszedł spod

zaciemnienia, przedstawiła go koleżance: Dowódca szwadronu ułanów... Narzeczona sierżanta Kosa.

Kalita, podtrzymując lewą ręką szablę, trzasnął obcasami i ostrogami zadzwonił.

— Miło poznać.

— *U mienia do utra propusk.* Chciałabym Janka zobaczyć.

— Jak zejdzie z linii czat — odpowiedział surowo wachmistrz. — A tymczasem proszę tu czekać, nigdzie się nie oddalać.

Wcisnął czapkę, wziął oparty o stół karabinek i wyszedł. Przed drzwiami stał chwilę, czekając, żeby oczy do mroku przywykły. Nie patrząc otworzył zamek i wcisnął łódkę naboju do magazynka. Do dziś był prawie pewien, że w tym nowo narodzonym Wojsku Polskim on właśnie, wachmistrz Kalita, reprezentuje nie tylko przedwojenny fason i karność, ale i poglądy starej kadry. Tych parę słów, które przed chwilą z rotmistrzem zamienił, dowiodło, że dla tamtych przestał być całkiem swój, bo skoro rotmistrz, własny, Kality, rotmistrz, takie pytania stawia...

Postanowił domyśleć to za dnia, kiedy będzie jasno, a tymczasem ruszył w stronę morza. W wąskim rowie łączącym szablę zawadzała, czepiała o boki wykopu gacone wikliną. Zza zakrętu wartownik wystawił lufę automatu i szybko cofnął poznawszy idącego.

W przykrytym siecią okopie armatnim było trochę luźniej, a obok działonowego nawet tyle miejsca, żeby wygodnie przysiąść na skrzynkach.

— Przed kwadransem błysnęło na samym horyzoncie i to wszystko — zameldował młody kapral. — Na urodzaj błysnęło.

Kalita podniósł słuchawkę polowego aparatu, zrobił pół obrotu korbką i spytał:

— Co u was?

— Blice idom, panie wachmistrzu — odpowiedział Gustlik, siedzący wśród gałęzi niskiej, ale rozłożystej sosny, pogiętej nadmorskimi wiatrami. — Koń się wom grzmotu nie boi?

Jeleń chwilę czekał na odpowiedź, dmuchnął w mikrofon i zawiesił słuchawkę na sęczku.

— Zły.

— To czemu konia się czepiasz? — mruknął Janek rozparty obok w rozwidleniu konarów.

— Jo też za godzina będę zły na tej gałęzi. Ogromnie ciśnie.

— Z większej wysokości dalej widać. — Kos podniósł lornetkę, przepatrzył horyzont. — Tyle że naturalnie nikt tej nocy nie przyplynie.

— Przyjdą — zapewnił Gustlik. — Trzynastego Hermenegildy. Zawsze? na początku był tłusty, dobrze podsmażony krupniok...

— Krupnik — poprawił Janek, nie odejmując szkieł od oczu — Taki jak ten, co to cię pod Studziankami w zupę postrzelili.

— Nie. — Jeleń zamachał rękami i mało nie spadł z drzewa. — Krupniok to jest tako kiszka czarną kaszą napchana, a do tej kaszy... — urwał i dodał ściszym głosem: — Krucyfiks, już się warzy.

— Gdzie?

— Schow ta lupa i patrz blisko.

Nie dalej niż półtora kabla od brzegu powstał pienisty krąg na wodzie: łamała się fala jakby o kamień podwodny, ale wyżej sterczał maszt, a od niego srebrzyły się skośne dwa druty. Wszystko to z wolna unosiło się w górę. Obaj tak byli zaskoczeni, że przez chwilę patrzyli bez ruchu.

— Zobaczą nas.

— I zdejmą jak gruszki. Spadomy?

— Skacz — zdecydował Janek i sam przewinąwszy się pod konarem zsunął błyskawicznie po pniu.

Tuż obok klapnął Gustlik i legł płasko na ziemi. Patrzyli na coraz bardziej wynurzający się okręt. Piana tańczyła wokół działa na przednim pokładzie, słyszeli jej niespokojny szelest poprzez szum morza.

— A telefon ostał, ptaszki pogadają — stwierdził Jeleń.

— Cholerny świat — zmartwił się Janek.

Dobycy z mapnika blok meldunkowy skreślił po ciemku parę słów, a potem gwizdnął cicho.

Spod pagórka odległego o dwa metry od sosny wyłonił się łeb ze sterczącymi uszami i wilczur szybko wpełznął między leżących.

— Do wachmistrza! — rozkazał Kos.

Szarik patrzył w morze, obserwował zdumiony, jak z włazu wychodzą na pokład ludzie, rzucają pontony na wodę. Warczał cicho i szczyrzył zęby.

— No już — Janek klepnął psa lekko po karku.

Wilczur odpełznął trochę do tyłu, dał nura za wydnię i ruszył galopem po piachu. Na ścieżce, którą w południe wracali z brzegu Grigorij i Lidka,

zatrzymał się na sekundę. Zobaczył, że pontony spuszczone z pokładu okrętu przebyły już połowę odległości do brzegu, i pobiegł dalej.

Trasa nie była łatwa: łapy grzęzły w piasku, musiał omijać zasieki z drutu kolczastego, przeskakiwać leje lub zsuwać się na ich dno. Nim jednak minęła minuta, wpadł do artyleryjskiego okopu, przeszukał go błyskawicznie, zajrzał nawet do amunicyjnych schronów i rowem łączącym ruszył dalej, wybiegł na podwórze.

W stajni stało parę koni przy żłobach, podzwaniały łańcuchami, przeżuwały sieczkę. Dyżurny ułan przyjaźnie zawołał, ale wachmistrza nie było. Może w takim razie w domu? Drzwi zamknięte, więc skok na klamkę i do środka. Teraz łapami na ławę i najpierw służbowe szcęknięcie do wachmistrza, a dopiero potem, gdy tamten wyjął spod obroży kartkę z meldunkiem, można się serdecznie przywitać z Marusią, pocałować jej ręce przywracające zdrowie.

— Szarik, kochany, ja też się cieszę. Gdzie zostawiłeś Janka? Idzie tutaj?

— Kto inny idzie — odpowiedział Kalita i przykręciwszy knot, zgasił dmuchnięciem lampę. — Teraz bez rozkazu ani słowa, ani ognia.

Lidka nie tracąc czasu stuknęła kluczem, wywołując generała.

— „*Baca*”! „*Baca*”, tu „*Ryży Koń*”. Przekazuję mikrofon.

— Hermenegilda wychodzi z wody — zameldował wachmistrz.

Od podwodnego okrętu odbiły ostatnie gumowe pontony.

Marynarze jeszcze wspinali się z pokładu na kiosk, a długi wrzecionowaty kadłub już począł się zanurzać, cieniał, stopniowo nikał pod falami. Ostatni z załogi, do pasa zanurzony we wnętrzu, luzując zatrask włazu, spoglądał w stronę plaży. Z tej odległości grupy desantowe, wysadzone wcześniej, musiały być dla niego prawie niedostrzegalne.

Ze szczytu wydmy, spod sosny o koronie rozgiętej na boki morskimi wiatrami, także zacierały się kształty wśród fal i tylko szarym pasmem kipiała woda pod wiosłami ostatnich lądujących. Bliżej jednak, na cielistym tle brzegu wszystko odcinało się dokładnie.

Po plaży, w odległości wyciągniętych ramion jeden od drugiego, pełzli saperzy, wysuwali przed siebie okrągłe pierścienie poszukiwaczy min, przekłuwali piach stalowymi drutami.

Kiedy wymacali ścieżkę prowadzącą między wydmy, zatrzymali się.

Jeden przyklęknął i dał znak ręką, że droga wolna. Zerwała się trójka szperaczy, wyszła na czoło.

Chwilę trwała cisza, w której słychać było tylko fale i miarowy szelest — to u samego brzegu marynarze przysypywali piaskiem ponton przewrócony do góry dnem. Już go prawie nie widać, stał się płaską górką na plaży.

Od strony wydm dwa razy krótko błysnęły latarki. Nieruchomi do tej pory wtopieni w piasek żołnierze desantu podnieśli się i łańcuszkiem, jeden za drugim ruszyli w głąb łądu.

Z odległości paru metrów, widziani oczyma leżących na ziemi, zdawali się wszyscy ogromnego wzrostu. Byli w łąciatych maskujących kombinezonach, a spod siatek na hełmach sterczały nadmorskie trawy. Nieśli gotowe do strzału automaty i erkaemy. U boku wisały noże, za pasy mieli zatknięte granaty. Stąpali ostrożnie, wilczym chodem zwiadowców, nie w nogę, a jednak w wyraźnym rozkołysanym rytmie.

Tylko jedna grupa — dziewięciu ludzi — wyróżniała się od innych krokiem równiejszym, mniej ostrożnym. I ubrani byli inaczej — w czarne spodnie i kurtki, w czołgowe ochronne hełmy. Za nimi jeszcze tylko ubezpieczenie tyłowe i cisza.

O dwa metry od wypełnionego mrokiem śladu, który został po Niemcach, uniosła się krawędź brezentowego płaszcza–namiotu i ponad okopem zjawily się dwie głowy.

— Myślał żech już, że mi kiery na ucho nadepnie — uzalił się Gustlik i dodał wesoło: — Na „*Rudego*” żadnej loftki nie mają, sam śrut.

— Ale po co oni ze sobą czołgistów prowadzą? — dziwił się Janek.

Wyskoczyli z okopu i szybkimi ruchami odpięli z kołków zbocze pobliskiego pagórka, a dokładniej — krawędź płachty maskującej czołg. Gustlik wspiął się na gąsienicę, przerzucił brezent za wieżę, zesunął płachtę z obróconego do tyłu działa. Janek podważył nożem uchylony przedni właz, dźwignął go palcami i wsadził głowę do środka.

We wnętrzu pod zamkiem armaty siedzieli na skrzynkach z pociskami Grigorij, Tomasz i Wichura. W świetle malutkiej żaróweczki, używanej do podświetlania celownika, dwaj rznąli w sześćdziesiąt sześć, a Czereśniak kibicował. Nie spostrzegli nawet, że ktoś zagląda. Kos zerwał z głowy hełmofon, trzepnął nim między grających. Odskoczyli jak od granatu.

— No czego? — skrzywił się Wichura, macając guza na czaszce, którego nabił sobie o pancerz. — Nie możesz powiedzieć, żeby kończyć?

— Miałeś zostać z Lidką przy radiostacji.

— Nie czas na ksiuty. Pojadę z wami.

Saakaszwili jak wąż prześliznął się na swoje miejsce i spytał, kładąc ręce na drążku:

— Ruszamy?

— Czekaj. Są jeszcze za blisko.

Wachmistrz Kalita oglądał ten sam desant z góry, z perspektywy siodła.

Niemcy przebrnąwszy nadmorskie wydmy wyszli na pole. Nie zmienili szyku, tyle że łańcuszek popękał na kolumnienki drużyn. Jeden z nich, oficer zapewne, obok którego szedł żołnierz z radiostacją na plecach i dwu łączników, dał znak ręką. Drużyny przyspieszyły kroku, stopniowo nikły za niewielkim pagórkiem.

Wówczas spoza stogu wypadli dwaj kawaleryjscy szperacze, pokłusowali za desantem.

Kalita czekał jeszcze chwilę za wysoką, rozkwitłą już grzędą tarnin, potem ruszył konia, a za nim wyjechał trębacz, prowadzący na podwójnej lince wilczura. Złożywszy ręce przy ustach Kalita krzyknął trzykrotnie jak puchacz. Szwadron wysypał się z ukrycia na pole, rozciągnął półksiężycem i ruszył śladem szperaczy. Gdy dojeżdżali do szosy, wachmistrz dał znak ręką, a trębacz pochylił się w siodle.

— Pora — powiedział i wypuściwszy z dłoni jeden koniec linki, wyciągnął ją z obroży.

Szarikowi dwa razy nie trzeba było powtarzać — zawrócił i pocwałował do swoich. Trawy zmoczyły mu sierść, przyjemnie chłodziły boki. Prawy bark drapnął kolcem zaczajony w mroku krzak tarniny i zaraz potem mignęły pnie nadmorskich sosen. Równocześnie z szelestem piasku pod łapami usłyszał niski pomruk „*Rudego*” pracującego na wolnych obrotach.

Jednym susem wpadł w otwarty właz mechanika i czołg natychmiast ruszył, rozpędzał się, wyrzucając coraz wyższe fontanny piachu.



## ROZDZIAŁ 35. POD ZIEMIĄ

Kiedy wachmistrz powiedział do Marusi „*kto inny idzie*” i zameldował generałowi o wychodzącej z wody Hermenegildzie, Lidka miała zamiar prosić, żeby przysłał kogoś do obrony, sam żeby daleko nie odchodził, albo choć Szarika zostawił. Ale Kalita szybko wysliznął się za drzwi, pies za nim i tyle ich obu widziała. Jeszcze z podwórza dobiegło stłumione zawołanie, lekki skrzyp siodła i stukot kopyt, a potem zapanowała cisza.

Właśnie ta długa cisza była najgorsza. W mroku czas mijał powoli, a nawet „*Bacy*” nie mogła wywołać — po meldunku o lądowaniu radiostacja miała czterdzieści minut milczeć jak pień.

— Żeby tamtych nie spłoszyć — po ciemku wyjaśniła szeptem Marusi i opowiedziała, jakie dostali zadanie. — Mamy ich wpuścić, wybadać, po co przyszli, i dopiero potem wziąć do niewoli.

Obie przyklęły na podłodze u otwartego okna z pistoletami maszynowymi gotowymi do strzału. Nie rozmawiały, żeby lepiej słyszeć, co się dzieje na dworze, ale miały w uszach tylko własne oddechy i szybkie łomotanie serc. Potem niedaleko i bardzo głośno ryknął silnik.

— „*Rudy*”! — zawołała Ogoniok.

Czołg chwilę pracował w miejscu, ale zaraz potem ruszył, mrucał coraz dalej i ciszej, aż wreszcie utonął w nocy, choć przecież rosa niesie głosy daleko.

— Zostałyśmy same — stwierdziła radiotelegrafistka.

— Niezupełnie. — Marusia obejrzała się na rotmistrza, który cały czas stał nieruchomo w głębi ciemnego pokoju.

— Jakby desant wrócił, trojga też będzie mało.

— „*Rudy*” i ułani nie puszcza.

— Żeby nie moja katarynka, można by przejść do artylerzystów. Zawsze byłoby weselej. — Lidka rozpięła kołnierz pod szyją. — Parna ta noc.

— Grzmiało... Ojej, jakie ładne! — sanitariuszka zobaczyła bursztynowe serce na czarnej wstążce.

— Najpierw obiecywał być ze mną Wichura... — Lidka szła jeszcze tropem swych myśli. — Jak tak, to ślepiami przewraca, a teraz na czołgu pojechał.

— On ci podarował?

— Nie — zaprzeczyła spostrzegłszy, że może choć trochę odpłacić za sercowe porażki, i dodała szybko. — Kto inny.

— Grześ?... Gustlik?...

— Nie zgadłaś...

Na linii horyzontu strzeliła w górę czerwona rakietka, za nią wyskoczyły dwie bliższe. Świetlny rumieniec wolno spływał po twarzach obu dziewczyn.

— Jak do piątej nie wrócą, to się minimy — powiedziała smutno Marusia. — A może im tam sanitariuszka potrzebna?

— Wachmistrz kazał nigdzie nie wychodzić — wtrącił milczący dotąd oficer.

Dziewczyny obejrzały się w głąb izby, gdzie stał w narzuconym na ramiona płaszczu. Poruszał białymi dłońmi, zacierał ręce, jakby mu było zimno, a może w ten sposób chciał opanować drzenie palców.

Ogoniok zdecydowała, że trzeba tego człowieka czymś zająć, choćby o coś zapytać, żeby przestał myśleć o tym, o czym myślał. Wiedziała, co znaczą takie niespokojne dłonie. Podobnie jak on zachowywali się najodważniejsi żołnierze, gdy po ranieniu zabierano im broń i zostawali z pustymi rękami wobec niebezpieczeństwa.

Upowiedziała ją Lidka, która stwierdziwszy, że fryce są już gdzieś daleko i nasi przydepnęli im pięty, czego dowodem rakiety, zaprosiła oficera do stołu i poczęła wypytywać o rozmaite rzeczy, które były dawniej. Odpowiadał chętnie, pełnymi zdaniem, językiem eleganckim, lecz jakby odrobinę przykurzonym przez te pięć lat niewoli.

— A bale? Ile urządzano bali co roku?

— Bywało naturalnie rozmaicie, ale nie mniej niż kilkanaście. Trzy jednak wśród nich były najważniejsze, największe i najbardziej dystyngowane — sylwestrowy, maskarada i na pułkowe święto — mówił rotmistrz siedząc na ławie, i temat mu się rozwijał gładko, a Lidka wciąż zagadywała o nowe szczegóły.

Z bardzo daleka dobiegło niewyraźne echo ciężkiego wybuchu. Marusia, oparta o framugę otwartego okna, drgnęła, lecz zasłuchana nie rzekła ni słowa.

— Suknie do ziemi i naszyjniki — wtrąciła zapatrzona w opowiadającego Lidka, dotykając palcami swego bursztynowego serduszka. — Czy szabla w tańcu nie przeszkadza?

— Broń, proszę pani, należy pozostawić w domu, tak jak kobiety przed wyruszeniem na wojnę.

— To znaczy nas pan nie uważa za kobiety? — ruszyła do ataku zalotna radiotelegrafistka.

— Wojna jest brudna, krwawa. Pociski armat czołgowych, tratujące ludzi gąsienice... — Ręce oficera, leżące spokojnie na stole, znowu poczęły drgać, lecz spostrzegł to i ukrył je przed wzrokiem dziewcząt. — Kobiety powinny zachować nie okaleczone serca i czyste spojrzenia na powitanie wracających pod dach...

— To może dawniej. A teraz nie ma dachów. Spalone — przerwała mu Marusia i usłyszawszy drugi, wyraźniejszy huk eksplozji, dodała: — Może pan ma rację i gdzieś powinny być takie kobiety, ale Lidka czy ja... Czemu ja z „*Rudym*” nie pojechałam?...

Kos i wachmistrz jeszcze za dnia ustalili system najprostszej sygnalizacji, kreśląc na mapie cztery prawdopodobne trasy desantu w głąb lądu i dając trzem nazwę. Ostatnia, ich własna droga nad morze, pozostała bezimienna. Ponieważ Szarik przyniósł pod obrozą czystą kartkę, Saakaszwili prowadził czołg w stronę folwarku i bitewnego pola swej kawaleryjskiej szarży. Jechał ostro, gdyż była umowa, że nim się zbliżą do przeciwnika, napotkają patrol ułanów.

Spory odcinek szli szosą z szybkością powyżej czterdziestu na godzinę. Kawał drogi przeskoczyli raz dwa i widać już było na tle nieba potężne konary dębowej kępy u rozstaju, kiedy podejrzanie zadzwoniła prawa gąsienica i ledwo mechanik zdążył wyhamować — pękła.

Kos nawet nie podał komendy, bo po co, skoro i tak wszystko wiadomo. W milczeniu wzięli się do roboty. Oszczędzanie słów w podobnych sytuacjach było tradycją załogi jeszcze ze studziankowskich czasów. Praca szła sprawnie, tyle że nowy trak, zakładany na miejsce rozdartego, też był nie pierwszej młodości. Wbili jeden sworzeń, kiedy w lesie załomotały gwałtownie kopyta, spomiędzy drzew wypadł trębacz i dwu ułanów. Zobaczywszy czołg, ostro ściągnęli wodze.

— Pan wachmistrz pytają, czemu nie jadą? — zawołał zdyszany sygnalista.

— Motor nowy, łapcie stare. — Grigorij rozłożył ręce. — Podkuć musimy konia.

— A co Niemcy? — spytał Janek.

— Jedni gospodarzą w tym folwarku, cośmy się spotkali, a inni weszli w krzaki na górze i jakby się w ziemię zapadli.

— W ziemię? Krety czy co? — zakpił Wichura.

— Ten bunkier na samym czubku, pamiętosz? — podpowiedział Jeleń.

— Leśniczy, którego zadźgali, mówił, że tam jest coś pod ziemią... — przypomniał sobie Kos.

— Pan wachmistrz pytają... — powtórzył trębacz.

— Czekaj, sam mu powiem — przerwał dowódca „*Rudego*” i zdecydował: — Karciarze zostają i kończą robotę. Jakby szkopy wracały, to blokujcie ogniem szosę — rozkazał. — A plutonowy Jeleń i szeregowiec Czereśniak zabiorą się ze mną na koniach.

Trębacz zrozumiał, wyjął nogę z lewego strzemienia i podjechał bliżej. Janek chwycił za łąk siodła wskoczył za plecy sygnalisty. Za jego przykładem poszli Tomasz i Gustlik. Szarik przyglądał się z zainteresowaniem tej nagłej odmianie środka lokomocji, warknął nawet niechętnie, że mu nie przydzielono wierzchowca, ale ruszył kłusem za końmi.

Patrząc za odjeżdżającymi Wichura zadeklamował:

— Zostać samemu na szosie i w nocy, to lubię, rzekłem, to lubię.

— Wiersze?

— A coś myślał. Mówiła mi Lidka, żeś ją po gruzińsku rymami czarował. Ja też potrafię.

— Jak potrafisz, to dźwigaj, wyrównać trzeba. — Grigorij pokazał, jak ma chwycić za sworzeń wetknięty w trak zerwanej gąsienicy. — Nasze szczęście, że ci z desantu nie mają z czego w czołg przygrzać.

— Chyba żeby granatem cisnęli.

— Nie podejdą. Stąd ostrzał dobry.

Podwójny ciężar zmęczył konie, coraz częściej przechodziły w stępa i nim przybyli na miejsce, wiatr zegnał chmury z księżyca, pojaśniało. Tak było, jak przewidywał Gustlik — na wzgórzu, z którego parę dni temu zobaczyli tabor w folwarku i stado krów, czekał Kalita, a parę metrów dalej

szarzała obła kopuła, przyrzucona maskującą siecią drucianą z plastikowymi, łaciatymi liśćmi. Na betonie czernił się owalny obrys zatrzaśniętego wjazdu, a obok płytkie draśnięcia pozostawione przez rykoszetujące armatnie pociski.

Wachmistrz pokrótce opisał sytuację i zakończył ponuro:

— Bez saperów nie da rady. Albo wołać pomocy, albo czekać, póki Niemcy wracając nie wylizają.

— A jeśli jest drugie wyjście? — spytał Kos. — Gdzieś na przykład w rejonie folwarku, który obsadzili?

— Folwark też blokujemy: dwunastu ułanów i trzy erkaemy.

— Czekajcie, niech popatrzę.

Kryjąc się między krzakami, Janek zeszedł po zboczku pagórka ku folwarkowi. W wąskim jarze stał luzak trzymając za uzdy cztery konie. W prawo od niego było zamaskowane stanowisko erkaemu i trzech ułanów w płytkim, świeżo wrytym okopie. O dwieście metrów dalej księżyc oświetlał puste podwórze folwarku. Dochodziło stamtąd rytmiczne kucie, jakby kto łomem ścianę kruszył.

Z drzwi obory, nie zdając sobie sprawy, że ktoś go śledzi, wyszedł Niemiec i ruszył w stronę studni. Erkaemista długo prowadził go na końcu lufy, a wreszcie mruknął tak głośno, że Kos usłyszał:

— Zdjąłbym.

— Wachmistrz łeb by ci urwał — odpowiedział mu amunicyjny. — Czekać trzeba.

— Co oni tak stukają?

— Idź, zobacz.

— Sam idź, jakeś mądry.

— Mnie nie ciekawi.

Janek wiele by dał, żeby wiedzieć, czemu Niemcy stukają, czego szukają w folwarku i pod ziemią. Nie tylko dlatego, że generał nakazał rozpoznanie zamiaru przeciwnika, ale i po to, by móc odgadnąć, co wróg dalej uczyni. Nie rozumiejąc sytuacji można takie głupstwo palnąć...

Rozzłościła go głupawa odpowiedź amunicyjnego z obsługi erkaemu. Niewiele można zwojować z takim żołnierzem, którego „nie ciekawi”. Kiedy wrócił, powiedział do Kality ostrzej niż powinien:

— Trzeba było nie pozwolić im wleźć pod ziemię, albo posiać za nimi kogo...

— Tego nie znajdzie w żadnym regulaminie, żeby kawaleria miała prowadzić pościg pod ziemią. I niby jak, skoro włącz się nie otwiera?

— Sprawdzimy jeszcze. A wy tylko potem dokładnie o wszystkim generałowi zameldujcie.

— Jasne. Także o uszkodzeniu czołgu. Koń nie stanie na środku drogi bez dania racji.

— Idziemy — rzucił Kos do Jelenia i Czereśniaka.

Nie wiedząc jeszcze, co robić, odprowadził ich za drzewa i wszyscy czterej razem z Szarikiem przylegli o parę metrów od zatrzaśniętego wjazdu do bunkra. Tomasz, jedyny, który się wybrał z plecakiem, ściął kozikiem brzozową gałązkę, przysposabiał ją sobie pod naramiennik jako maskowanie.

— Jak zaraz nie wyleżą, to zasnę — szeroko ziewając szepnął Jeleń. — Dołbyś mi ten majdan pod głowa — pociągnął plecak ku sobie.

— Twardy. — Czereśniak uśmiechnął się.

Trotyl! Trotyl trzeba zawsze ze sobą nosić, postanawiał w duchu Kos, choćby parę kostek. Jedna za drugą przemykały mu myśli przez głowę, ale żaden projekt otwarcia bunkra nie był realny.

Nikt z ludzi nie mógł tego zauważyć, ale Szarik poczuł, że jego pan się martwi. Trącił go nosem w rękę, a potem drapnął łapą po cholewie buta i pokazał w stronę tego, co wydawało mu się kamieniem, a teraz zaczynało być trochę podobne do łysego jeża.

— Patrzcie — szepnął Janek.

W betonowej szczelinie, dwa metry powyżej wjazdu, błysnęło odbite światło księżyca i z wolna zaczął sunąć ku górze cienki, sprężysty pręt.

— Urwać im to w pierony? — spytał Gustlik.

— Spłoszyliby się. — Kos pokręcił głową. — Trzeba sposobem. Jak mu zepsują odbiór, to może wylezie, a wy...

— Jasne — stwierdził Jeleń i pociągnął Tomasza za rękaw. — Chodź, synku, temu to będziesz mógł przymazać — pokazał zaciśniętą pięść — i nie patrzeć jako gula wyskoczy.

Gdy ostrożnie podeszli i zaczaili się tuż obok wjazdu, Czereśniak jeszcze spytał szeptem, żeby się upewnić:

— Ile chcąc?

Ślżak potwierdził skinieniem głowy i położył palec na ustach.

Janek wspiął się na beton, przysiadł obok anteny i ostrożnie wdział na nią lufę automatu. Uniósł trochę i znowu opuścił. Szarik leżał obok trzymając mordę na wyciągniętych łapach i wodził wzrokiem za lufą. Tak bardzo dziwiła go ta operacja, że aż zapiszczał cichutko.

— Fale radiowe nie przenikają metalowego ekranu — równie cicho wyjaśnił mu Kos. — Na wszystkim chcesz się znać?

Oberleutnant zur See Zygfyrd Krummel nie lubił Bałtyku. Dobrze czuł się na szerokich wodach Oceanu Atlantyckiego, nawet na Morzu Północnym, a znacznie gorzej „*w tym płytkim talerzu z kluskami*”, jak mawiał czasem. Jeśli w rozmowie brali udział sami przyjaciele, dodawał jeszcze:

— Za gęsto w powietrzu. Stale mam uczucie, że coś mi na łeb spadnie.

Rzadko jednak na wojnie można wybierać dania à la carte i od jesieni czterdziestego czwartego okręt podwodny dowodzony przez Krummla pływał po Bałtyku. Wywijając się coraz bezczelniejszym ścigaczom, kryjąc się przed iluszynami, osłaniał linie komunikacyjne prowadzące do okrążonych w Łotwie dywizji. Potem były dywizje okrążone w Prusach Wschodnich, jeszcze później garnizon broniący zaciekle Kołobrzegu przed Polakami i wreszcie to morsko-łądowe zadanie.

Powiedziano mu w bazie, że chodzi o niezwykle cenny surowiec związany z produkcją Wunderwaffe, cudownej broni, która nie tylko uratuje Wielką Rzeszę i Adolfa Hitlera od klęski, ale zmusi jego wrogów do kapitulacji. Wierzył, a przynajmniej bardzo chciał wierzyć, że broń taka może być i zostanie skonstruowana, nim jeszcze będzie za późno, ale mimo to zostałby naturalnie na pokładzie swego U-boota, gdyby nie brat.

Grupa spadochronowa pod dowództwem Hugo Krummla nie wykonała zadania, została rozbita, ale ostatni meldunek radiowy, jaki udało się jej nadać, pochodził z rejonu folwarku. Tu więc gdzieś w pobliżu musieli się ukryć ci, którzy ocaleli. Nigdy tak nie bywa, by oddział wybito do nogi lub cały wzięto do niewoli. Zawsze ktoś gdzieś się przyczai, może właśnie w podziemiach, gdzie leży serce *Wunderwaffe*...

Krummel siedział w głębokim cieniu pod folwarczną stodołą. Patrzył, jak jeden z jego marynarzy opuścił wiadro do studni i spokojnie windował je kołowrotem. Akcja jak dotąd rozwijała się bez przeszkód — aż za dobrze, pomyślał zabobonnie, stuknął na wszelki wypadek w nie malowaną deskę — i

ludzie nabrali pewności siebie. Nie tacy straszni czerwoni, jak ich malują. Nie tacy czujni, skoro do tej pory desant działa nie spostrzeżony.

Ten z wiadrem wrócił, wszedł w uchylone wrota i zawołał:

— Wasser, meine Herren, frisches Wasser.

Przez spory otwór wykuty w ścianie wylazł jeden z czołgistów, przyklęknął i zaczął spieszenie chleptać.

— Was ist mit Panzerwagen, co z czołgami, Kamerad? — spytał marynarz.

— *In Ordnung*, w porządku — odparł zagadnięty ocierając twarz rękawem kombinezonu. — Można będzie ruszać.

Za ścianą postukiwały narzędzia o metal. Raz i drugi przez wyłom w ceglany murze błysnęło ruchome światło.

Krummel wstał, wszedł do środka. Pancerniak stanął na baczność i zameldował:

— *Ich bin bereit*, jestem gotów, Herr Oberleutnant.

Zygfyrd skinął mu głową i odwracając się do siedzącego w kącie radiofonisty, zapytał:

— *Was gibt's unter der Erde?*

— *Kein Signal*, nie mam żadnego sygnału, Herr Oberleutnant. Er muss die Antenne herausrücken — pokazał gestem i przez uchylone wrota wyjrzał w stronę wzgórza, na którym stał bunkier, jak gdyby mógł z tej odległości zobaczyć, czy tamten radiowiec zdążył już wysunąć na zewnątrz antenę.

Betonowa kopuła metrowej grubości kryła pod sobą nie artyleryjskie kazamaty, lecz urządzenia wentylacyjne nie uruchomionej podziemnej fabryki. Budowę przerwano w ostatniej fazie montażu, dosłownie na dzień przed wkroczeniem Polaków. Od tamtej pory, od połowy marca, rozmieszczone w regularnych odstępach na stropie nieprzerwanie świeciły żarówki, zasilane przez potężne zespoły akumulatorów. Spirala gołych, okratowanych lamp wydobywała z mroku szerokie schody z betonu, wiodące w dół.

W niewielkiej niszy, w miejscu przygotowanym zawczasu dla zmontowania fabrycznej radiostacji, krępy żołnierz w panterce manipulował przy swym nadajniku, nie mogąc pojąć, czemu bliskie, wyraźne sygnały z zewnątrz cichną nagle i milkną, a potem wracają, by za chwilę przygasnąć.

— *Zum tausend Teufel* — zaklął pod nosem i ruszył ku wyjściu.



Obok zamkniętego na trzy spusty włazu stał wartownik z pistoletem maszynowym na piersi.

— Ich muss heraus, muszę wyjść — wyjaśnił radiotelegrafista — i zrobić porządek z anteną, meine Antenne in Ordnung bringen.

Pilnujący wejścia doskonale pamiętał zakaz dowódcy grupy, lecz widział przecież, jak tamten się męczy, i postanowił dopomóc w nawiązaniu łączności. Obaj wzięli się zgodnie do odkręcania grubych metalowych łap włazu, odsunęli kolejno wszystkie trzy. Gdy radiotelegrafista chwycił ostatnią zasuwę, wartownik wstrzymał go i na wszelki wypadek zgasił najbliższe światło. Sicher ist sicher, ostrożność nie zawadzi.

Dopiero teraz, w półmroku lekko rozświetlonym blaskiem idącym z głębi, przesunęli stalowy skobel i poczęli wypychać na zewnątrz owalny żelbetowy właz. Prawie na całej długości stożkowata bryła jechała z lekkim szumem po stalowych prowadnicach, w ostatniej fazie trafiła na zawias, stęknęła i obróciła się, ukazując gałęzie drzew na tle nocnego nieba.

Wartownik patrzył za radiotelegrafistą zgrabnie wybiegającym na zewnątrz i z odległości dwu metrów, widział, jak spadł cios i powalił tamtego na ziemię. Nie mogąc pomóc napadniętemu ani z powrotem zatrzaskać włazu, cofnął się do wnętrza i przycisnął za węglem, tuż obok otworu, gotowy do strzału lub ciosu szerokim marynarskim nożem, który dobył zza pasa.

Tuż za plecami miał osłonięty szybką przycisk i napis na ścianie „Alarm”. Zerknął nań szybko, a potem zamarł w bezruchu, wpatrzony w owalną plamę księżycowego światła, leżącą tuż u czubków butów. Ktokolwiek zechce się tu dostać, zostanie wyprzedzony przez cień.

Z zewnątrz dobiegały niewyraźne szmery i głosy. Wartownik wiedział, że tamtych musi być paru. Pomyślał, czy nie lepiej od razu uruchomić sygnalizację alarmową, ale wyobraziwszy sobie *Oberleutnanta zur See*, Zygfyda Krummla, pytającego z pistoletem w ręku, czemu złamał rozkaz, zmienił zamiar. Uratować go mogło tylko zamknięcie włazu. Kiedy pierwszy spróbuje wejść, będzie szansa. Byle tylko od razu pójść za ciosem i nie dać się innym opamiętać.

Tymczasem kilka metrów w bok od wejścia, którego strzegli Gustlik z automatem i Tomasz z karabinem, odbyła się błyskawiczna narada.

— Za mocno stuknięty, nic nie powie — stwierdził Kalita, obejrzawszy z bliska radiotelegrafistę.

— We trzech skoczmy na zwiad. Więcej nie trzeba — zaproponował Janek. — Po ciemku i w tłoku łatwo swoich postrzelić. Sami mówiliście, że to nie dla ułanów robota.

— Ale nie pchajcie się do starcia — ostrzegł wachmistrz. — Generał mówił, żeby byle nie dać im uciec z tym, po co przyszli.

— Dobra — zgodził się Kos i ruszył biegiem w stronę otwartego wjazdu, jakby chciał dać nurka z rozpędu.

Zaczajony niemiecki wartownik, słysząc na zewnątrz bliski szelest, cofnął rękę z nożem i gdy tylko cień przesłonił plamę świetlną, wyprowadził z półobrotu pchnięcie. Ostrze przeznaczone dla człowieka przeszło o centymetry nad łbem Szarika.

Pies wpadł do środka i odbiwszy się łapami od ściany błyskawicznie zaatakował. Walka trwała dwie lub trzy sekundy w półmroku, nim wbiegł do wnętrza Janek i zapalił latarkę.

Nóż leżał już na betonie, wilczur szczyrzył zęby tuż u gardła powalonego, lecz cofnął się na komendę.

— Puść!

Wartownik skorzystał z okazji, sięgnął lewą ręką za siebie i rozduświwszy szybkę, nacisnął guzik alarmu. W chwili gdy Gustlik wskakiwał do środka, rozległ się ostry, przerywany terkot dzwonek.

Czereśniak jeszcze tkwił we władze — przeszkadzał mu plecak, z którym nie chciał się rozstać ani na chwilę.

Jeniec uznał, że jest osaczony przez śmierć, i nie bacząc na skierowaną nań lufę, wyrwał zawleczkę zatkniętego za pas granatu. Gustlik spadł na niego jak tygrys, trzepnął na odlew kolbą i wyszarpnąwszy granat cisnął nim we wjazd.

— Pozór!

Po sekundzie ciszy wybuch trysnął za ścianą bunkra. Gwałtowny blask oświetlił czołgistów przytulonych do ziemi. Garść odłamków prześwistała nad głowami, uderzyła w ścianę i poszarpała splot elektrycznych przewodów.

Po blasku ciemno w oczach. Cisza — umilkły dzwonki. Wzrok z wolna oswajał się z mrokiem i poczynali dostrzegać najpierw własne dłonie i broń, potem ściany, a na końcu dopiero to, że z dołu sączy się dalekie światło.

— Ostrych kameradów na ten desant wzięli — głośno szepnął Gustlik, odsuwając na bok ciało wartownika i gmerając paluchem przy uchu. — Dzwoni jeszcze, czy nie?

— Zerwane — wskazał Janek na czarne kable i szybkimi ruchami obmacał Szarika. — Cały jesteś, piesku?

Ostrożnie, z automatami w pogotowiu, ruszyli w głąb, klejąc się do nisz w ścianach, wciskając w załomy. Cisza.

— Ale szpetno fabryka budowali — mruknął Gustlik, zagładając na betonowe schody wiodące w dół, skąd szło światło.

Kos podszedł bliżej, żeby spojrzeć. Tomasz, chcąc mu zrobić miejsce, cofnął się, oparł o metalową rurę wentylatora, a ta niespodzianie runęła w dół pionowej sztolni. Chłopak stracił równowagę, rozcapierzonymi palcami bezradnie przejechał po betonowej ścianie.

Jeleń doskoczył z boku, chwycił go za plecak, przytrzymał. Obaj patrzyli za spadającą rurą, która błysnęła w świetle i zniknęła w czerni. Długą chwilę jeszcze słyhać było ciszę, póki z dna nie zadudnił rumor, powtórzony wielokrotnie echem.

— Dobrze, że było za co chycić...

— Takiej studni nie widziałem — przyznał Tomasz.

— Kiej bych cię nie przytrzymał, to byś se obejrzoł — odpowiedział cicho Gustlik. — A teraz nom, synku, pukiel osłaniaj. Tyś jest nasza ariergarda.

— Co?

— Tylko straż. Kto od tyłu, to go strasz.

Nabrawszy w płuca powietrza, jak przed skokiem do zimnej wody, Jeleń zbiegł po schodach pół piętra, przyklęknął z bronią gotową do strzału i dał znak głową. Ruszył Janek, minął ubezpieczającego paroma susami i wtulił się w ścianę piętro niżej. Tomasz gotował się, żeby wyjść na czoło, ale Gustlik nie czekał — zmieniając Janka wysunął się znowu przed niego.

Tomasz i Szarik, oszołomiony nieco wybuchem i zmęczony walką ledwie mogli nadążyć za tamtymi. Jak trzeba się stale oglądać na schodach, czy kogo nie ma za plecami, to i spaść nietrudno, więc ostrożność ich wstrzymywała. Zeszli tak na dół może siedem, a może dziesięć pięter.

Jeszcze dwa skoki i Janek dopadł oświetlonego szerokiego podestu, rozdzielonego grubymi filarami. Ręką dał znak Gustlikowi, żeby zaczekał, a

sam ostrożnie prowadził rozpoznanie. Wypatrzył, że dalej w głąb wiodła już tylko mroczna pionowa sztolnia i dziwne skośne otwory w betonie, jakby przygotowane na rury.

Za kolumnami majaczył uchylony właz żelbetowy, identyczny jak ten na górze, oznaczony dużym rysunkiem trupiej czaszki. Jeden gest i Jeleń przypadł tuż obok, a nieco w tyle Tomasz wysuwał zza kolumny lufę karabinu, wystawiał głowę Szarik.

Każdy najłżejszy krok powodował tutaj cień echa, każdemu nieostrożnemu stuknięciu kolbą odpowiadał wielokrotny hałas. Kos spróbował włazu — rozwarł się lekko. Za nim w półmroku zobaczyli nieruchomą niekształtną postać połyskującą okularami.

Gustlik podrzucił automat, lecz natychmiast go cofnął — był to tylko impregnowany kombinezon z maską, zawieszony na haku.

Janek klapnięciem w kolano przywołał Szarika i pociągając powietrze nosem, kazał mu węszyć. Pies sprawdził zapachy i nie zdradzając niepokoju, spojrzął na swego pana.

Uspokojony Gustlik dał nura we właz, za nim Janek. Byli teraz w komorze wielkości średniego pokoju, między dwiema bardzo grubymi ścianami z betonu. Wisiały tu żółte i zielone kombinezony, maski, gumowe buty i brezentowe płachty oznaczone dwoma białymi, współśrodkowymi kręgami, które łączyły trzy grube promienie. Liczne haki na drągach pod niskim sufitem nadawały pomieszczeniu podobieństwo do rozbieralni.

Dalej prowadził prostokątny otwór, który można było zamykać dwiema parami pancernych płyt, umieszczonymi we wgłębieniach na szynach i rolkach. Na wewnętrznej płycie bieleł olejny rysunek: kościotrup z kosą na ramieniu i napis dużymi literami: „*Achtung! Dieser Tod ist unsichtbar*”.

Tomasz, który dopiero teraz dołączył, przeżegnał się i skłonił Gustlikowi do ucha:

— Kościół?

— Nie.

— A co napisane?

— Że cię kostucha skosi, zanim ją ujrzysz.

Czereśniak z niedowierzaniem patrzył na Ślązaka, niepewny, czy to nie żart.

Kos prześliznął się za pancerne zasłony i rozejrzał dokoła. W półokrągło sklepionej, dość wysokiej hali biegła pod stropem szyna, zwisał z niej ruchomy dźwig — wózek z zaczepem i łańcuchy na wielokrażkach z dużym hakiem. W podłodze czerniały okrągłe otwory, obok nich grube metalowe pokrywy z uchwytyami.

— Tu mieli coś ukryte — szepnął Janek.

— Złoto?

— Nie wiem. Coś ciężkiego.

Gustlik spróbował podnieść jedną z pokryw, ale nie dźwignął nawet na centymetr.

— Pieroński dekiel. Jak ołowiany.

— Wszystko puste — zaglądał Kos, idąc ostrożnie w głąb.

Szarik bez rozkazu wybiegł do przodu, dognał swego pana i przegrodził mu drogę. Zachowanie psa zbudziło uśpioną na chwilę czujność Janka. Bardzo ostrożnie zajrzał w odchodzący na bok korytarz — stały w nim niskie transportowe wózki. W głębi, w ciemnym przejściu, ktoś się poruszył i nagle warknęła seria z kaemu, rwąc ciszę na strzępy oszalałym echem.

Kos natychmiast odpowiedział zza węgła. Przeskoczył pod osłonę filaru przy drugiej ścianie, dał jeszcze raz ognia, ale z tamtej strony przestali strzelać. Usłyszał tylko głośny śmiech i zobaczył, jak pancerna płyta sunie z boku, przesłania wyjście.

— Tamtędy nom uciekną, a my tu sami... — powiedział Gustlik, który obok zajął stanowisko i w głosie jego zabrzmiał jakby ton skrywanego lęku.

Zgasło światło. Mrok był absolutny, bez cienia szarości, aż kosmaty od czerni. Ledwo Jarek zdążył zapalić latarkę przywieszoną na piersi, gdy w ścianach korytarza błysnęły detonowane ładunki trotylu. Przecięte białą błyskawicą, pękły, załamały się betonowe wiązania, runęły w dół.

— W nogi! — krzyknął Jeleń.

Rzucili się do ucieczki przeskakując otwarte zasobniki. Pies ich wyprzedził. Byli w dwu trzecich sklepionej hali, gdy jeszcze raz błysnął płomień i powietrze zgęstniało od huku. Podmuch rzucił nimi o ziemię. Pękł i zawalił się sufity a potem zgasł cały świat.

Długo trwała ciemność. Kos leżał, jak mu się zdawało, na wznak. Nasłuchiwał szelestu gruzu i czekał nadejścia strasznego, ostatniego w życiu bólu. Ból zjawił się nieśmiały, łatwy do opanowania. Był płaskim uciskiem na

piersi, na ramieniu. Spróbował ruszyć palcami i to się udało, więc obróciwszy samą dłoń dotknął latarki zawieszanej u pasa, przesunął guziczek. Przez gęsty kurz mdło zaświeciła żaróweczka. Blask przygasł jakby na chwilę, a potem stał się ostrzejszy. Janek tuż obok zobaczył wykrzywioną, obróconą brodą do góry twarz Gustlika z okopconymi brwiami.

- Żyjesz? — westchnął.
- Aha. — Jeleń zamrugął powiekami.
- To czego masz zamknięte oczy?
- Bo ślepi. Obróć ta lampa.
- Nie mogę. Ramię przygniotło.

Gustlik powoli wysunął dłoń spod grubej żelbetowej belki. Pokrwawionymi palcami odwrócił światło latarki i uważnie się rozejrzył.

Leżeli obaj głowami do siebie pod rumowiskiem wysadzonego sklepienia. Nie zostali zdruzgotani tylko dlatego, że padające dźwigary szczyły się postrzępionym zbrojeniem i wsparły, tworząc trójkątną pustą przestrzeń, nie wyższą niż wilcza nora.

- Ci nos zrobili. Jak się to żelazo dognie, fajerant. Zadusi.
- A jak wytrzyma?
- To pożyjemy, dokąd powietrza starczy.

Leżeli chwilę cicho, spoglądając na siebie. Pot wystąpił obu na twarze, poczynął ściekać na brwi. Gustlik, który mógł jedną ręką poruszać, stał Kosowi krople z czoła.

- Janek, ty wiesz... — było w tym geście i słowach wszystko, co niesie frontowa przyjaźń.
- Wiem...

Zapadła cisza. Z siwego betonu mżyło drobnym pyłem, który wciskał się w nozdrza, drapał w gardle, uwierał pod powiekami. Nie mówili, żeby oszczędzać powietrza.

Coraz bardziej ciemniało światło latarki. Kos pomyślał, że trzeba by zgasić, żeby zaoszczędzić baterii. Dla kogo i na kiedy zaoszczędzić? Niech świeci. A poza tym zdawało mu się, że po ciemku szybciej ich zgniecie, a może i powietrza ubędzie...

Trwali obok siebie nie wiedząc, ile minut czy godzin przepływa tam wysoko nad nimi, gdzie trwa noc pachnąca trawami i rosą, gdzie każdy może czerpać pełnymi haustami z ogromnego oceanu powietrza.

Nie ocierali już potu, nie domykali płytko dyszących ust.

Jeleń otworzył oczy, półprzymkniętymi spojrzął na druha i znowu zamknął powieki. W ciszy falował tylko szmer oddechów. Z daleka, jakby przez watę, dobiegło szczekanie psa. Spojrzeli na siebie.

— Szarik? — zdziwił się Janek. — A przedtem jakby Marusia wołała...

— Zdało ci się — odpowiedział bez przekonania Gustlik.

Ze zgrozą spostrzegł, że jeden ze szcepionych dźwigarów drgnął i pręty zbrojeniowe przeginać się poczęły. Zamknął oczy. Otworzył. Między wspartymi o siebie blokami powstała szczelina na dwa palce i rosła powoli, lecz stale. Jęknął zluzowany stalowy pręt.

— Co to? — Kos wy dostał uwięzioną za plecami rękę, obrócił głowę, żeby zobaczyć.

Drgnęły złomy betonu nad nimi, sypnęły się drobne odłamki. Zakurzyło mocniej i w wąskim prześwicie błysnęły dwie pary oczu — Tomasza i Szarika.

— Jezus Maryja, myślałem, że już was skosiła — jęknął z ulgą Czereśniak.

— Tamta na drzwiach? — spytał Gustlik, a potem parokrotnie głęboko westchnąwszy, dodał: — Za słaba, ino palce przytłukła.

— Pies pokazał. Zaraz jeszcze trochę podciągnę.

Świecąc przez szparę latarką, patrzyli, jak Tomasz energicznie wybiera łańcuch na wielokrążku, a hak dźwiga belkę ku górze. Szarik, skomląc, drapał pazurami po rumowisku. Gustlik przekręcił się, odepchnął spory głaz nawisający nad szczeliną i mruknął do Janka:

— Pożyjemy jeszcze mało wiele...





## ROZDZIAŁ 36. SZARPANA WOJNA

Kiedy z „*gospodarstwa*” Kosa i Kality nadszedł pierwszy radiowy meldunek o wychodzącej z wody Hermenegildzie, generał chciał wezwać na pomoc batalion alarmowy radzieckiej piechoty morskiej. Nim jednak uzyskał telefoniczne połączenie, dostał dodatkową wiadomość o znikomej liczebności desantu. Zmienił więc zamiar i tylko uprzedził sąsiednie placówki o możliwości ataku od strony lądu.

Nie miał prawa angażować odwodu, skoro sił własnych powinno starczyć, jeśli nawet nie na rozbicie i wzięcie resztek do niewoli, to na pewno na powstrzymanie. Nie uda im się odpłynąć z tajemnicą. Był prawie pewien, że chodzi o porzucone w ucieczce dokumenty. Im bliżej końca wojny, tym staranniej hitlerowcy zacierali ślady, palili lub wywozili archiwa bliżej zachodniego frontu, a tu na Pomorzu, dowodził przecie sam Himmler i mógł coś ciekawego zgubić. Albo może jaki generał czy dostojnik, który nie zdążył uciec i desant ma go uratować z opresji?

Następna informacja radiowa od wachmistrza zdawała się potwierdzać przypuszczenia — na folwarku ktoś mógł się ukrywać, udając chłopca czy fornala, a w betonowym schronie mogły być skrzynie z dokumentami albo może jakieś plany czy drogocenne przedmioty...

Gnając krętymi leśnymi drogami przybył na miejsce w kwadrans po dwu podziemnych wybuchach. W zaroślach koło uchylonego wjazdu wysłuchał zwięzłej relacji Kality. Nie przerywał mu, ale niecierpliwił się, spoglądając co chwila na zegarek.

- Trzeba posłać patrol, mogą być ranni...
- Wyszli — powiedział wachmistrz.
- Gdzie?
- Nie nasi, Niemcy. Dołem wyszli.

Pokazał grupę docierającą już do folwarku — trzech nisko pochylonych żołnierzy ciągnęło za linki, a sześciu pchało fabryczny wózek transportowy. Ładunek głęboko wciskał opony w murawę. Dookoła w odległości kilku metrów szła osłona — jeszcze czterech z automatami w garści.

- Każę dać ognia, to rzucą — zaproponował wachmistrz.

— Odszkodzą do folwarku. Po co ich mamy z murów wykurzać? Sami niedługo wyjdą na otwarte pole... Poślijcie patrol pod ziemię.

Nim Kalita zdążył na ułanów zawołać, wyskoczył z wjazdu Szarik, za nim wyszedł Gustlik, Janek z prawą ręką zatknietą za pazuchę i ostatni Tomasz.

— Mocno? — spytał generał Kosa.

— Trochę. Jak ruszam, boli.

— Co w dole?

— Metrowe mury z betonu, za nimi schowki z przykrywkami, ale już puste. Czekali na nas, zerwali trotylem stropy i wyszli innym wyjściem.

— Wiem. Co więcej? — Generał zmarszczył brwi.

— Był napis, że śmierć niewidzialna — dodał Gustlik. — Przykrywki pierońsko ciężkie, jakby z ołowiu.

— A znaki? Szczególnych jakichś znaków nie pamiętacie? — pytał dowódca, coraz bardziej zdenerwowany.

— Były na brezentach. Takie jakby koła — przypomniał sobie Janek.

— Takie — pokazał Tomasz, występując do przodu i wyciągając z plecaka zwiniętą płachtę.

Szarik wyszczerzył zęby i potraktowawszy brezent jako niebezpiecznego przeciwnika, zaatakował bez ostrzegawczego warknięcia, wściekle szarpnąwszy rozpruł narożnik.

— Co on? — uzalił się Czereśniak.

— Puść! Spokój! — rozkazał Kos.

— Weszli do tego budynku, co reszta — zameldował Kalita, cały czas obserwujący folwark.

— Cholera! — zaklął generał, lecz zaraz opanował się i przemówił niespodzianie uroczyście: — Słuchajcie! Zadanie jest znacznie ważniejsze, niż mogłem przypuszczać. Ten ładunek to materiał do produkcji bomb tysiąc razy silniejszych niż wypełnione trotylem.

— Tysiąc razy? Znaczy, że taki granat jak ten... — Gustlik z niedowierzaniem ważył w ręku obronną „efkę”.

— Jak salwa brygady ciężkiej artylerii — dopowiedział spieszenie generał. — Zatrzymacie ich tutaj, a ja natychmiast ściągnę posiłki. Wywołuj sztab Frontu! — zawołał w stronę swego radiotelegrafisty na łąziku.

Na folwarku ryknęły naraz dwa albo trzy ciężkie silniki.

— Co to za wozy? — spytał generał.

— Nie wiem — odrzekł Kos i poczuł, jak krew uderza do skroni, jak lodowacieją końce palców — tam żadnych przedtem nie było.

Ściany obory sypnęły białym kurzem, wybrzuszyły się, pękły i runęły. Dach osiadł na krokwiach. Wszyscy umilkli, obrócili się i patrzyli zdumieni.

— Diabli nadali! — zaklął z goryczą Kalita, wskazując w dół. — Nie zatrzymamy.

Spod słomianego pokrycia wypełzały czołgi. Chwilę lazły niezgrabnie przez gruz, przewalając się z gąsienicy na gąsienicę, brały na pancerz desant. Potem warknęły ostrzej, jakby dopiero teraz zbudzone, i nabierając pędu wyszły na drogę. Węszyły długimi lufami kierunek i jak trzy okręty w szyku torowym poczęły sunąć w stronę morza.

— Pantery zachowali — szepnął Gustlik. — Mioł nosa sakramencki Wichura, coby się za mur podziwać...

W dole zbocza odważnie zastukał ułański erkaem, przegonił piechotę desantu na prawe burty. Czołowy wóz pospiesznie obrócił wieżę, wypuł pocisk w kierunku błysku. Zawyło rozdarte powietrze, kilkadziesiąt metrów niżej na zboczu eksplodował ciężki granat, sypnęło piachem. Padli na ziemię z głowami w trawie, czekali, aż przefurkocą odłamki.

— Kalita — rozkazał generał — odskok na leśną drogę. W polu niczego nie zwojujecie, a tam ostrzelać z zasadzek, obrzucić granatami. Cenna każda sekunda opóźnienia.

— Tak jest.

— A wy — zwrócił się do czołgistów — ze mną.

Pobiegli w stronę ukrytego łązika, ruszyli skacząc po wybojach, by co prędzej skryć się za garbem pagórka przed lufami panter, które polami szły na przełaj w szyku kątem wstecz. Równo dudniąc silnikami niosły desant piechoty i ten cholerny supertrotyl, czy jak go zwać, o którym mówił generał.

Przez warkot przebił się rześki, czysty dźwięk kawaleryjskiej trąbki. Na ten sygnał z jaru, z zagajników, spod jaśniejącego na polu stogu jak spłoszone kuropatwy poderwali się jeźdźcy, galopowali pochyleni nad końskimi karkami.

Z pancerzy czołgów poszło na boki parę serii z pistoletów maszynowych, ale niemieckie załogi nie raczyły psuć armatnich pocisków na wycofującego się przeciwnika.

Coraz cichszy i dalszy był sygnał trąbki, zgasł, kiedy Tomasz skończył zwijać zabrany z podziemi brezent. Po samochodzie nie było ani śladu, ale rozejrzawszy się wokoło, zobaczył ułana od erkaemu, wskakującego na gniadego wałacha.

— Nie zostawisz.

— Siadaj — zgodził się tamten, wyrzucając lewą nogę ze strzemienia.

Z miejsca ruszyli w skok. Koń pragnąc dognać oddział galopował po samym garbie, po cięciwie łuku. Czołgi podeszły z prawej na jakieś trzysta metrów, forsowały rów przy trakcie. Kiedy wpełzły na krzaczaste zbocze, błysnęły drobnymi ognikami wystrzałów. Utłuką konia, pomyślał Tomasz, ale rozchybotane pancerze ocaliły gniadego i ich obu — serie poszły górą.

Zamigotały po bokach białe pnie brzoź, zgęstniały, i prawie równocześnie z resztą szwadronu wpadli na leśną drogę. Z głuchym tętentem, w smudze ostrego zapachu przepoconej sierści, ściśnięty wysokimi ścianami pni niczym górską rzeką wezbrana deszczem, galopował szwadron. Patrzącemu z boku mogłoby się zdawać, że uciekają, że nic ich nie może powstrzymać, lecz jednak na okrzyk wachmistrza i machnięcie szablą ostatnich paru jeźdźców ściągnęło wodze. Zostawszy w tyle zeskoczyli na ziemię. Dwu biegiem odprowadziło konie w głąb lasu, reszta zniknęła w cieniach za drzewami.

Ledwo oddalił się łoskot kopyt, usłyszeli nadjeżdżające czołgi i zaraz potem zobaczyli je z bliska. Spoza pni cisnęli granaty i otworzyli ogień.

Czołg odpowiedział serią z kaemu, toczył się jeszcze naprzód, ale po pierwszych wybuchach stanął, cofnął się i wtenczas drugi dwukrotnie rąbnął z działa przed siebie.

Nim opadła ziemia wyrwana w górę trotylem, pierwszy dodał gazu, rozpędzał się, omiatając drogę seriami. Pantery nabrały tempa, lecz teraz jechały ostrożniej i na wszelki wypadek co pewien czas szyły smugowymi seriami na boki przez las.

Kiedy wachmistrz podawał komendę i wskazał szablą, kto ma zostać w zasadzce, erkaemista wiozący Tomasza też ściągnął cugle. Czereśniak zaklął w duchu i rąbnął gniadego piętami w boki. Wałach targany sprzecznymi bodźcami skoczył do przodu, paręset metrów gnał na końcu szwadronu. Ciężko mu było wytrzymać tempo pod podwójnym ciężarem, potknął się nagle uderzywszy kopytem w korzenie i Tomasz, nim zdążył pojąć, co się dzieje, leżał wśród paproci.

Sprawdziwszy, że ręce i nogi ma całe, rad, że w locie nie zaczepił o żaden pień, zerwał się i pobiegł między sosny, żeby zejść czołgom z drogi. Po kilku krokach przystanął jednak i zawrócił. Przypomniało mu się, jak generał mówił, że cenna każda sekunda czołgowej zwłoki.

Oparł karabin o dębowy pień, obok położył plecak i rozpiąwszy mundur pod szyją wziął się do pracy. Kiedy pierwsze smugowe pociski rudymi kreskami przeszły mu nad głową, był już przy trzeciej sośnie i pilnie rąbał swą zdobyczną siekierką. Raz poziomo, raz ukośnie z góry i przy następnym uderzeniu odskakiwał kęs drewna.

Warkot rósł, dotaczał się już całkiem blisko. Tomasz zerknął na dwa wcześniej podcięte drzewa, wyjrzał na drogę.

Zdecydowany, że pora, splunął w garść, stanął w szerokim rozkroku i począł rąbać z całej siły. Teraz wystarczyło już tylko cztery, pięć solidnych uderzeń, by pień stęknął głucho, drgnął przestraszony śmiercią i począł pochylać się, nabierać rozpędu. Zakreśliwszy szeroki łuk koroną po niebie, sosna padała z hukiem podobnym do pęknięcia granatu.

Kropili Niemcy coraz gęstszymi seriami, kule rwały darń, zawadziły nawet o plecak, ale Tomasza już tu nie było. Zostały tylko jego rzeczy i siekierka starannie wbita w biały, wilgotny od soków pień.

Przed zawałem z sosen musiały się czołgi zatrzymać. Desant zeskokzył, poszedł ku przodowi i na boki, by ubezpieczyć forsowanie.

Rozpędziła się pierwsza pantera, rąbnęła w pień, usiłując go złamać lub zepchnąć. Odgięła się sośnina jak łuk, ale nie puściła. Musieli ją zaczepić linami i odholować na bok, potem tak samo drugą i trzecią. Ryczały wozy wśród odłamanych konarów, pełzły między nimi na zredukowanym biegu, przedzierały się na drugą stronę zawału.

Dwa pierwsze, bucząc sygnałami, zwoływały już desant, a trzeci się jeszcze nie wygramolił. Piechurzy biegli, wskakiwali, klękali za wieżami. Dwu spóźnionych doganiało ostatni wóz. Chwycili wysoki, podcięty dołem tył pancierza, usiłując się wspiąć na górę.

Spomiędzy suchych zeszłorocznych liści rozłożystego dębu padły dwa pojedyncze strzały. Dwa nieruchome pagórki zostały na drodze, przekreślonej głębokimi śladami gąsienic.

Po pniu zlązł Tomasz, starannie ułożył siekierkę w plecaku i zarzuciwszy swój ładunek na ramiona ruszył skrajem, w cieniu lasu, równoległe do czołgowych śladów.

Łazik rozkraczył się pośrodku leśnej drogi. Błyskawicznie wstawili podnośnik, dźwignęli metalowe pudło. Gustlik zdjął i lokował z tyłu nawalone koło. Kierowca wrzucił na śruby nowe, dociągał kluczem nakrętkę, a Janek z boku osadzał palcami następną. Pracowali w ciszy — tylko oddechy, czasem szcęk metalu.

Generał ze słuchawką przy uchu kończył radiową rozmowę:

— „Łastoczka”, charaszo poniali. Koordynaty tri dwa — czetyri nol, odin wosiem — dwa odni. Cel raketami pokażem.

— Gotowe — zameldował kierowca równocześnie z ostatnim obrotem klucza.

Wskoczyli do wozu, ruszyli po wybojach. Z tyłu za nimi kotłowało się od dłuższego czasu, a teraz pocisk armatni przegwizdał górą i eksplodował w przedzie na ścianie lasu.

— Dobrze ułani opóźniają — pochwalił generał, obracając się do czołgistów na tylnym siedzeniu. — Ja teraz w bok, a wasz „Rudy” niedaleko. Choć jednego rozgryźcie.

— Tak jest.

Zeskoczyli w biegu. Łazik skręcił między drzewa, a oni szybkim krokiem ruszyli w stronę szosy, poprzedzani przez Szarika, który wziął na siebie rolę czołowego ubezpieczenia.

— Źle bić od przodka — rzucił Gustlik.

— W gąsienicę, byle zatrzymać.

Warkot niemieckich czołgów szybko narastał.

— Bliżej trzeba podpuszczać.

— Z daleka i tak nie zdążymy. — Kos się obejrzał. — Biegiem.

Kłusowali chwilę w milczeniu. Szosa prześwitywała między pniakami coraz bliżej, ale i Niemcy byli niedaleko. W szarówce przedświt wybiegli spomiędzy drzew i rozejrzeli się zawiedzeni — na starym miejscu nie było „Rudego”.

— Kaj oni są?

Pierwszy wypatrzył czy raczej wywęszył Szarik i mordą pokazał kierunek.

— Jest — dostrzegł Janek. — Naprawili i wjechali na górkę, żeby większy ostrzał.

Rzucili się biegiem w tamtym kierunku, ale już po chwili zrozumieli, że nie zdążą.

— Przepuszczą, zaspane pierony. Nie rozpoznają od razu, że to pantery... — sapał Gustlik.

— Stój. Ja ich obudzę — rzucił Janek i przeskoczywszy za ziemny przepust przyległ w rowie, zmierzył z automatu.

— Hałasują, ale nie widać nikogo — stwierdził Grigorij, wyglądając z wieży i opuściwszy się z powrotem do wnętrza przebił czerwioną damę leżącą na zamku działa.

— As nie zwierzę, wszystko bierze.

Niczym echo kłapięcia karty nierównym gradem zadzwoniły kule na pancerzu.

— Niemcy? — Wichura zgasił lampkę i podniósł rękę, by zgarnąć talię.

— Tuk, tuk, tuk — dziobnęły w stal trzy dalsze pociski.

— Przecież nie Francuzi — odburknął Saakaszwili. — Wóz do boju!

Zatrzasnął wąż, przypadł do celownika i zobaczył, że z rowu przy szosie idzie długa seria w las, skąd oczekiwali przeciwnika. Zrozumiał, że ktoś mu podpowiada, wskazuje cel.

— Odłamkowym... Nie, czekaj! Przeciwpancernym ładuj — dostrzegł cienie czołgów i bardziej odgadł, niż zobaczył, że to niemieckie.

Janek i Gustlik patrzyli na nie z przydrożnego rowu, wciskając twarze w trawę, bo fizylierzy na oślep ostrzeliwali szosę i serie niosły się nisko nad asfaltem. Pierwszy wóz wyszedł z lasu, zadzierając nos wraz z lufą na podjeździe, człapnął gąsienicami o szosę.

— Już! — nie wytrzymał Kos. — Rany gorzkie, już!

W tej chwili błysnęła armata „Rudego”, czerwona smuga dosięgła, boku pantery, zerwała fartuch i tuż przed kołem napędowym rozszarpała traki.

— Dobry. Poprawiaj! — krzyczał Kos, jakby go mogli usłyszeć.

Drugi pocisk uderzył prawie w to samo miejsce, ale już wyjechały następne czołgi, obróciły wieże i wychylone zza ostatnich drzew prawie jednocześnie dały ognia.

Trafiona pantera dymiała gęsto i nagle zaświeciła płomieniem. Korzystając z tego, tamte raz jeszcze dały salwę, posiały seriami i ruszyły na szosę pod osłoną dymu.

— Wal, Grześ, na co czekasz? — w głosie Kosa brzmiała szczerza rozpacz.

„Rudy” milczał. Niemcy zniknęli za dymem, więc nasi poderwali się obaj do biegu.

— Niżej głowa — przyginał Gustlik Janka.

Świstały jeszcze kule posyłane za siebie przed fizylierów desantu, lecz już coraz rzadsze.

Dobiegli. Kos zabębnił kolbą po czołowym pancerzu. Odskoczył włącz mechanika. Zobaczył pod nim twarz Saakaszwilego umazaną krwią na rozciętym policzku.

— Miejsce! — krzyknął wciskając się do środka. — Odwaga się wam zacięła?

Do wnętrza wskoczył Szarik, zawadził o coś łapą. Janek, chcąc usunąć przeszkodę, napotkał szablę Gruzina.

— Zabawki wozisz, a więcej niż dwa razy wystrzelić nie potrafisz!

— Nie krzycz, dowódco. Trafili nas i nawet ty nie wystrzelisz.

Kos błyskawicznie wśliznął się do wieży — lufa była cofnięta, zamek prawie dotykał pancerza. Sekundę trwało wahanie i rozpacz. Wyglądało, że się sierżant rozplacze, ale dawno minęły czasy Studzianek — teraz nie mógł, był dowódcą.

— Podłączyć hełmofony — rozkazał. — Kaemy przecież grają. — Dotknął spustu, wystrzeliwując dwa pociski. — Siadaj, Wichura, na przedni.

Dopiawszy laryngofon pod szyją, przełączył wewnętrzny telefon i dał rozkaz.

— Silnik w ruch, naprzód.

„Rudy” nabierał szybkości. Z zamkniętymi włączami przemknął obok płonącej pantery, wyskoczył przez rów na szosę, wspiął się na pagórek.

— Przyciśnij, Grześ — powiedział miękko Kos, spoglądając na fotografię dawnego dowódcy, na jego Krzyż Walecznych i Virtuti przymocowane na ścianie wieży. — Żeby zdążyć, żeby choć uprzedzić...



Noc przynosi lęk przed nieznanym, które może dopełznąć w mroku, a dzień zwraca odwagę. Przedmioty stają się widoczne, znajome i przyjazne, nabierają barw.

Gdy poszarzało, Marusia i Lidka przestały się bać napadu. Ogoniok myślała tylko, czy „Rudy” zdąży na czas, żeby mogła się z Jankiem zobaczyć. Na ławie, przed domem oświetlonym błękitem jaśniejącego nieba, przysiadły obie i objęte za ramiona, śpiewały na dwa głosy piosenkę radiotelegrafistki.

*To ja, to ja, to ja.  
Wołam ciebie, miły, ja „Łąka”.  
Świeżą trawą pachnący świat,  
Nad nią obłok i lot skowronka.  
Trawa drży w cichym śnie,  
Czekam, przyjdź, przytul mnie...*

— Ciii — przerwała Ogoniok i poczęła nasłuchiwać.

Z daleka niósł się łomot kopyt galopującego po szosie konia.

— Skończyli akcję. — Lidka klasnęła w ręce. — Zaraz i „Rudy” tu będzie.

— To dobrze, bo już niewiele czasu mi zostało.

Tętent narastał szybko. Ledwo zobaczyły jeźdźca, a już wpadł we wrota, zdarł konia uzdą, zeskoczył z siodła i krzyknął rzucając wartownikowi wodze:

— Właż w okop!

Pobiegł na skos przez podwórko, zniknął w rowie łączącym wiodącym do stanowiska artylerzystów.

— Działo do boju! — usłyszeli jego wołanie przerywane ciężkim oddechem.

— Czekaj, pójdę do nadajnika — zaniepokoiła się Lidka. — Nie może być przecież...

Marusia została sama, chwilę nuciła cichutko:

*To ja, to ja, to ja,  
Czekam ciebie, miły, ja „Brzoza”.  
Moje listki potargał wiatr,  
Za białymi plecami pożar.  
Poprzez noce i dni...*

Urwała, bo od szosy począł się toczyć kłęb charakterystycznych dźwięków — warkotu, podzwania gąsienic, tyle że inny niż być powinien. Drgnęła, może od porannego chłodu, i zrobiwszy krok w stronę otwartego okna, uprzedziła:

— Lidka, niemiecki czołg jedzie.

W stronie, skąd szły dźwięki, wystrzeliła rakietka i szybko zbladła na pojaśniałym już niebie. Zawarczały serie diegtiarowa, odpowiedział im powolniejszy, drewniany stukot paru niemieckich emge. W oknie stanęła blada radiotelegrafistka.

— Mamy zejść do piwnicy.

Ogoniok bez słowa skoczyła do wnętrza przez parapet. Obie dźwignęły drewnianą pokrywę, pod którą stromo schody wiodły w dół.

— Pan też. — Lidka skinęła na rotmistrza, a gdy zacierając ręce nie ruszał się z miejsca, dodała: — Szybciej, generał kazał.

Przepuściła go przodem i zeszła ostatnia, zatraskując pokrywę. Wszyscy troje skupili się u wąskiego okienka bez szyby, opatrzonego z zewnątrz workami z piaskiem niczym strzelnica.

Chwilę trwała obok nich nieruchoma i chłodna cisza piwniczna, a na zewnątrz ryk coraz bliższych czołgów. Nagle dwie pantery pokazały się w wąskim prostokącie.

— Niemożliwe, żeby niemieckie — szepnęła Lidka. — Trzeba dać znać, bo rozjadą.

— Ani się waż! — Marusia przytrzymała ją za ramię. — Na wojnie wszystko możliwe.

Czołgi nie dojeżdżając do zabudowań skręciły w stronę morza' W chwili gdy bliższy wykonał ćwierć obrotu, ostro szczęknęła polówka ze swego okopu i poczęła bić raz po raz w dwusekundowych odstępach.

Odpowiedziały jej obie pantery, ale wybuchy były złe na kierunku — jeden rozwalił narożnik stajni, drugi eksplodował na podwórzu przed domem. Z powały sypnęło gliną, przez strzelnicę wmiotło strumień piachu i drobnych kamieni. Dziewczyny przysiadły zakrywając twarze, chwilę czekały, czy strop się nie zwali.

Rotmistrz stał cały czas, tylko w bok się cofnął, a kiedy dym opadł, wyrzwał znowu i patrzył na ewakuację unieruchomionego wozu. Piechota

wlokła po piasku zasobnik. Drugi czołg, ostrzeliwując z kaemów zabudowania, raz jeszcze rąbnął odłamkowym ku bramie.

— *Hej-ja auf! Hej-ja auf!* — Niemcy dźwignęli zasobnik na pancierz za wieżą.

Dziewczęta stanęły znowu obok oficera.

— Nie wiedzą o nas — zamruczała niewyraźnie Lidka, przygryzając zębami kostkę wskazującego palca.

Pantera wolno zaczęła odjeżdżać, zapadła się między wydmy.

— Pójdę — odezwał się milczący dotąd rotmistrz.

— Dokąd?

Oficer, nie odpowiadając, otworzył właz piwnicy. Dziewczęta wymieniwszy spojrzenia poszły za nim. Przez pokój, przez uchylone drzwi na podwórze, a potem wszyscy troje zeskoczyli do rowu łączącego.

Fizyliery osłaniający odwrót desantu rozsiewali kule z pistoletów maszynowych na wszystkie strony. Przypadkowa seria prześwistała nad nasypem. Utykający rotmistrz przyspieszył kroku, zaczął nawet biec tak szybko, jak to możliwe w wąskim rowie. Trudno było za nim nadążyć.

— Oszalał? — spytała Lidka.

— Nie — odrzekła Marusia.

Przystanęły obie u wejścia do artyleryjskiego okopu, w którym leżeli nieruchomi, rozrzućeni wybuchem kanonierzy. Oficer dopadł nasypu, zobaczył na falach barkę transportową, dalej cienie dwu okrętów osłony, a bliżej — zmierzającą ku brzegowi motorówkę. Pantera ostrożnie zsuwała się z piaszczystego zbocza, wolno męła gąsienicami.

Obejrzawszy się spostrzegł ze zdumieniem, że dziewczyny nie tylko przybiegły za nim, ale pracując łomikiem otworzyły już dwie skrzynki z pociskami.

— Potraficie? — spytał. — Trzeba odkręcić kapturek zapalnika...

— Zwyczajna rzecz — powiedziała Lidka.

— Wsio normalno — zapewniła Marusia.

— No to... — rotmistrz przypadł do celownika, powiódł lufą w lewo i w dół, a potem odwróciwszy głowę podał komendę: — Panie będą uprzejme załadować.

Lidka wepchnęła pocisk, Marusia zatrzasnęła zamek i odskoczywszy na bok napięła sznur.

— Gotowe.

— Proszę ognia — rzekł rotmistrz.

— Żyją artylerzyści, kropnęli! — radośnie wykrzyknął Janek, widząc przez celownik, jak pocisk rykoszetuje od wieży pantery. — Jeszcze raz!

Poderwała się niemiecka tyraliera, ubezpieczająca wycofywanie desantu, ruszyła do ataku na armatni okop.

— Zamiataj, Wichura — rozkazał Kos i dwa kaemy flankującymi seriami powstrzymały nacierających.

Od strony szosy, terkocząc pepeszami, biegli spieszeni kawalerzyści. Z daleka można było poznać wysokiego Kalitę.

— Huraaa! Bij, zabij!

Cofnęli się Niemcy, stoczyli w dół na plażę. Wytlukliby ich ułani, lecz z morza zerwał się huragan ognia. W kierunku „*Rudego*” biły szybkostrzelne działka małych kalibrów, parę armat kładło granaty na grzędzie wydmi.

Niskim grzmotem odezwała się pantera, trysnęła ziemia na przedpolu artyleryjskiego okopu. Kos zląkł się, że tym razem z działonem koniec, lecz raz jeszcze uderzyła stamtąd siedemdziesiątkaszóstka i zapaliła silnik ostatniego niemieckiego czołgu.

Od plaży odbiła załadowana zasobnikami motorówka. Cztery pontony były już daleko od brzegu. Na „*Rudym*” skupił się teraz cały ogień, coraz bliżej poczęły padać granaty, coraz częściej dzwonił pancierz pod uderzeniami.

— Wstecz! — rozkazał Kos i z rozpaczą dodał: — Ech, żebym miał z czego strzelać.

Za grzbietem pagórka zrobiło się zaciszniej, smugi pocisków szły górą. Ktoś zastukał w pancierz.

— Otworzyć.

— Generał — odgadł Kos.

Wyszarpnąwszy wtyczkę wewnętrznego telefonu otworzył właz, zeskoczył z pancierza na ziemię. Było już zupełnie jasno.

— Trzeci wóz zapalili kanonierzy polówki — meldował dowódca. — Ale przedtem jeszcze zdążyli Niemcy wszystko załadować, odpływa motorówka.

— Pójdziemy zobaczyć.

— Gęsto biją z okrętów.

— Dużo ich?

— Trzy.

— Dobrze, doskonale — pogadywał wesoło generał.

— Tędy — nawinął się Kalita i wyprowadził obu do rowu. — Zwiali nam — mówił z żalem, wskazując na morze.

Bliski pocisk obrzucił ich piachem.

— Niezupełnie — generał spojrział na zegarek, spokojnie zapalił fajkę i dobył zza pasa raketnicę. — Macie własne? — pokazał ją Kosowi i Kalicie. — No to nabijajcie.

Nisko, prawie po ziemi, nadciągnął od strony lądu głuchy pomruk. Wszyscy na komendę generała wystrzelili rakiety ku okrętom. Z gwizdem przeskoczył nad nimi pierwszy samolot i rzucił flarę. W parosekundowych odstępach wyszły nad morze powyżej stożka światła cztery klucze szturmowców. W płaskim locie zwały bomby i zatoczywszy krąg w powietrzu poczęły nurkować, szyc raketami.

— Janek! Panie wachmistrzu! — wołała Lidka z rozpaczą w głosie.

Obejrzeli się na nią — była bez czapki, ciemna od kurzu, w rozdartym na ramieniu mundurze.

— Co z tobą?

— Rotmistrz ranny.

— Gdzie? — spytał dowódca szwadronu.

— Przy armacie.

— Za mną — rozkazał Kalita dwu najbliższym ułanom i pobiegł przodem.

— Co on tam robił? — spytał generał idąc w tym samym kierunku.

— Kanonierzy wyginęli i myśmy strzelali — tłumaczyła dziewczyna.

— We dwoje?

— Nie, jeszcze z Marusią.

— Jest tu? — zawołał Kos.

— Była pięć minut temu.

Gdy weszli do okopu, Kalita klęczał przy prowizorycznych noszach z brezentu, na których ułani ułożyli rannego.

— Zostawiła kartkę czy list?

— Nie było kiedy, bo oni już dziś jadą nad Odrę. Ale mówiła...

— Obywatelu generale, trzeba by zaraz do szpitala — zameldował wachmistrz.

— Niech niosą do mego wozu — rozkazał dowódca i ruszając za noszami, rzekł w stronę Kosa: — Wieczorem bądźcie gotowi do drogi. Działo naprawimy nad Odrą.

— Żebym go nie namawiał — narzekał Kalita — żebym szablą i koniem nie kusił...

— Czapka — pokazał Kos rogatywkę, którą tamten trzymał w ręku. — Będzie szukał.

— Nie. Dał, żeby do Berlina zanieść. Ale kawalerii na ulice nie puszczą, prędzej wy w czołgu dowieziecie...

Kos ostrożnie wziął w obie ręce starą garnizonówkę z amarantowym otokiem.

Nad morzem bielił się dym przetykany płomieniem, pokreślony karbowanymi smugami rakiet. Płonął jeden z okrętów. Tonęła barka. Na wyszczerbionych palach falochronu morze kołysało niebieski rozdarty ponton, z którego uchodziło powietrze. Dopalała się pantera na plaży, coraz niżej opuszczając długolufą armatę.

## ROZDZIAŁ 37. PODWÓJNA WPADKA

Taternik, biegacz czy pływak wiedzą, że ostatnie metry przed szczytem, przed metą, przed brzegiem są najtrudniejsze. Podobnie było na wojnie. Wiosną 1945 roku armiom walczącym z faszystami nie brakło wprawdzie broni, lecz nie dostawało ludzi. Do berlińskiej operacji szykowano się jak do walki w ostatniej rundzie — gromadząc wszystkie siły.

Na początku kwietnia, nad Nysą i nad Odrą, jak zaciśnięte do ciosu pięści, przyległy na stanowiskach wyjściowych dwa zgrupowania uderzeniowe: dziewięć armii radzieckich i dwie armie polskie. Na 250 kilometrach frontu czaiło się w okopach 41 600 dział i moździerzy, 6 300 czołgów i dział pancernych, a na lotniskach 8 400 samolotów. To dużo, bardzo dużo. Przeciwnik jednak był jeszcze silny, zawzięty, mocno ufortyfikowany i każda lufa, każda para łące, każdy żołnierz mogący wziąć udział w bitwie był cenny nie na wagę złota, lecz krwi.

Było więc nad Odrą miejsce dla szwadronu wachmistrza Kality i dla załogi „*Rudego*”, potrzebni tam byli bardzo pilnie, lecz dzień musieli czołgiści jeszcze przeczekać na brzegu morza, gdyż wszelki ruch ku Odrze mógł się odbywać tylko pod osłoną mroku.

Kos zapędził Wichurę i Saakaszwilego do piwnicy, kazał im spać. Niechętnie usłuchali rozkazu — szofer narzekał, że smród spalonych panter zasnąć nie daje, a Grzegorz nic nie mówił, tylko wstawał co godzina, podchodził do wąskiego okienka i patrzył na „*Rudego*”.

Czołg stał nie dalej niż dwadzieścia metrów, w świetle dnia ostro rysowały się draśnięcia odłamków i kul na farbie oraz głębsze, podobne szramom na skórze starego odyńca, ślady pocisków. Wszystkie razem wzięte nie warte byłyby jednak ani kwadransa snu, gdyby nie działo. Zerwana z oporopowrotnika, skaleczona u wylotu lufa wyglądała jak kikut, czyniła z „*Rudego*” kalekę.

— *Wejdeda...* — szeptał Grigorij i kołysał głową na boki.

Cofając się na swe legowisko ocierał rękawem mokre policzki: lewy energicznie, a ostrożnie prawy, na którym łyzy rozmywały zasychającą krew.

Kolo południa zmęczenie przemogło jednak żal, zasnął głęboko, spał spokojnie i zbudził się; dopiero wtedy, gdy ciężka ręka Gustlika targnęła go za ramię.

— Wieczera za dnia, bo nam na Berlin pora — powiedział Jeleń i widząc, że mechanik bez słowa rusza, dodał: — Zawinął żech, po co ma wiedzieć ten, komu nie trza...

Z wieżą omotaną brezentem „*Rudy*” stał się podobny do pacjenta dentysty, ale Grigorij się ucieszył.

— Jakby kto pytał, można powiedzieć: nowa broń i dlatego zamaskowana...

Zjedli, zebrali graty i gdy tylko zaczęło zmierzchać, ruszyli na południe. Pierwszy Wichura z Lidką w szoferce, za nim czołg. Saakaszwili cisnął gaz do deski, Kos go nie wstrzymywał i nawet parę razy udało się Gruzinowi zabuczyć na ciężarówkę, że niby czemu tak wolno. Wcześniej niż ktokolwiek inny, kto tego wieczora w drogę ruszał, dopadli szos rokadowych, równoległe do Odry wiodących. Widać, kto miał na Berlin uderzać, to już wcześniej na pozycjach wyjściowych stanął, bo było pustawo i mogli gnać co mocy w silnikach, ledwie że na skrętach hamując nieco.

Przed północą błysnęła po prawej szeroka płaszczyzna wodna.

— Jest to już Odra? — spytał Gustlik.

— Nie. Jezioro Miedwie — odpowiedział Janek, z mapą w ręku nieustannie drogi pilnujący.

Przed świtem na rozstajach spotkali dwu łączników. Z polecenia generała jeden siadł na ciężarówkę i poprowadził ją z radiostacją do sztabu armii, a drugi powiódł czołg ku rzece. Za widną, ale jeszcze pod osłoną mgły, wskazał im okop głęboki z nasypami wyłożonymi darniną.

— Ten jest wasz. Urządzajcie się, a ja po technika biegnę.

Był zbrojmistrz widać niedaleko, bo przyszedł, nim kwadrans minął. Musiał mu chyba generał zawczasu powiedzieć, o co chodzi, bo o nic nie pytając, ledwie ręce krótko uściskawszy, wlaźł zaraz do wieży, ostukał działo jak dzięcioł i wziął się do roboty.

Jaśniało coraz bardziej, mgła szła ku górze i wkrótce widać już było gęste czuby sosen nadodrzańskiego lasu. Nim przegryźli po kromce chleba grubo posmarowanej konserwą, która zastąpiła śniadanie, to w przedzie, za pojedynczymi pniami i gęstwą rosnących na rzecznej skarpie zarośli,



rozblękitniało pogodne niebo, zdobione niewielkimi cumulusami. Wystarczyło zrobić kilka kroków, rozsunać gałęzie przekwitającej już leszczyny i olszy, odgarnąć bogate w koćki wierzbowe witki, by w dole zobaczyć rzekę.

Kos, siedząc na tylnym pancerzu, widział jednak tylko niebo, po którym co chwila po krzywiznach niewidzialnych łuków prześlizgiwały się patrolujące pary naszych myśliwców. Czasem jazgotały z dołu szybkostrzelne flakvierlingi — poczwornie sprzężone działka kalibru 20 mm. Czasem z jednej czy z drugiej strony frontu warknął karabin maszynowy, stęknął moździerz, ale to wszystko nie mąciło frontowego spokoju — ciszy przed wielką burzą.

Obok Kosa, na brezencie wyszabrowanym przez Czereśniaka w podziemnej fabryce, siedział Szarik, leżało parę części rozebranego działa i klucze. Co chwila z włazu wysuwała się ciemna od smaru, goła po ramię ręka i słychać było głos Saakaszwilego:

— Podkładka... druga śruba... puszka z minią, z tym czerwonym... nakrętka z koronką... płaski dwadzieścia jeden... osiemnastka nakładana...

Pies usiłował przeszkadzać, przytrzymując przedmioty łapą, ale Janek zabierał mu, przecierał metal, posłusznie podawał, mrużąc pod nosem piosenkę:

*Nie było tam czasu panien miłować, panien miłować,  
Z rana do wieczora, z rana do wieczora mus maszerować...*

Tomasz o parę kroków dalej siedział między drzewami, zwilżał oliwą i glansował armatnie pociski. Usłyszawszy melodię, zawtórował pogwizdując, zerknął tęsknie na harmonię opartą o niedaleki pień, ale nie odważył się przerwać pracy. Mijały godziny, Gustlik z menażkami w ręku, z termosem na plecach ruszył szukać kuchni i obiadu, a przy czołgu bez zmian padały komendy mechanika i z wolna rosła sterta oczyszczonych granatów.

Skurczyły się cienie sosen, zapachniało nagrzaną żywicą, kiedy wreszcie z wieży wynurzył się roześmiany Grigorij i pomagając wyjść zbrojmistrzowi, zawołał:

— Kończyli.

— Można strzelać? — ucieszył się Kos.

— Oporopowrotnik w porządku — odpowiedział starszy, krótko przystrzyżony mężczyzna o szerokiej twarzy i spokojnych ruchach fabrycznego majstra. — Ale jest jeszcze jeden kłopot... — poszedł na przód wozu, zdjął kaptur i pokazał na wylot lufy. — Wyraźne wgłębienie, trzeba uciąć.

— Co uciąć?

— Lufę.

— Jak to?

— Po prostu upiłować, trochę krótsza będzie — wyjaśnił zeskakując z pancerza na przedpiersie okopu.

Grigorij na amunicyjnych skrzynkach ustawił metalową rynienkę z naftą do mycia rąk, a obok wiadro z wodą, mydło i ręcznik.

— Obywatelu chorąży, to pogorszy celność, zmniejszy zdolność przebijania i w ogóle tak nie można — zaprotestował Janek.

— Można. Pod Studziankami na czołgu chorążego Gruszki było tak samo — mówił technik myjąc ręce i lekko uśmiechnięty patrzył na dowódcę wozu.

Szarik szczechnął z radości, że nudna robota skończona, i pobiegł w las. Kos zawrócił na pięcie, wspiął się i zajrzał do wieży: po drugiej stronie świeżo wyremontowanej armaty, w lewo od celownika, wisiały na pancerzu krzyże i fotografia, z której patrzył pierwszy dowódca wozu. Podczas remontu osiadła na niej malutka, mieniąca się tęczowo kropelka oliwy. Sierżant delikatnie zebrał ją palcem. Obok czołgu wesoło naszczekiwał Szarik.

— Niczego, durny, nie rozumiesz — mruknął Kos, ale okazało się zaraz, że nie miał racji, bo wilczur zabierał głos nie w sprawie armaty, lecz meldował o powrocie Jelenia, o bliskim posiłku.

— Załoga do... obiadu! — wołał Gustlik tuż za pancerzem.

Kos obrócił głowę i patrzył, jak tamten, odstawiwszy w trawę dwie menażki pełne gotowanej wołowiny, odłożywszy plecak z chlebem i konserwą, począł wybijać na blaszanym termosie głośny werbel.

— Janek, dej ta celta na podściółka.

Kos odłożył parę kluczy na metal, strząsnął brezent ozdobiony na środku wyraźnym białym znakiem, ostrzegającym przed radioaktywnością, i rozłożył go w cieniu sosen. Tomasz ustawił menażki, krajał grube pajdy chleba i układał na czystym lnianym ręczniku, pełniącym obowiązki półmiska. Pies

przyległ nieco dalej pod drzewem, przypatrywał się udając, że nie jest głodny: niech najpierw zje załoga, a potem to, co zostanie...

— Ale gęsto w tym lesie! — Jeleń pochylił się w stronę Janka, nie przestając odkręcać zacisków na pokrywie termosu. — Więcej luf jak pni. Jakbyś chciol w krzaki, nie dosz rady: pod każdym jak nie czółg, to armata, jak nie moździerz, to sztab. Mówili przy kuchni, co armia nie będzie się wodą przeprawiać, ino że nas Ruscy przez przyjaźń po moście na swój przyczółek wpuszczą i bez moczenia nogi...

Chcąc pokazać, jakim hakiem zaprawimy przeciwnika, atakując z tego sąsiedniego przyczółka, rąbnął w termos, mało nie wylał zawartości.

— Uważaj — mruknął Kos.

— Ze skrzydła na fryca! — dmuchnął na stłuczone kostki palców i dodał ze złością: — Przytargoł zech obiad, o strategicznych planach ci rozprawiom, a ty jak kołek.

— Nie do radości.

— Głowa ci mają urwać?

— „*Rudemu*” lufę będzie ciąć — pokazał wzrokiem na zbliżającego się z Grigorijem chorążego.

— Lufa? Naszo lufa? — przepytywał Gustlik ze zgrozą i oburzeniem. — Ja tego chachara... — zacisnął pięść.

— Ani się waż! — Kos położył mu dłoń na ramieniu.

Musi to być? — spytał Jeleń i zaraz sam dodał: — Doczkej ino. Spróbujemy po dobremu. Momy przeca ta sierotka we wiklinie.

Tymczasem technik stanął obok brezentu, uśmiechnął się i spytał:

— Poczęstujecie?

— A coście myśleli, panie chorąży? — Jeleń przyskoczył, sadowił go na honorowym miejscu, nalewał w menażkę zupy. — Grochówka na szpeku, pachnąco a gęsto, jak ino przed natarciem. Tomek, dej no chleba.

— Ciepły jeszcze — podziękował zbrojmistrz.

Chciał podnieść łyżkę do ust, ale Gustlik przytrzymał go za rękę.

— Chwileczka. Mechanik, kaj szkło? — i widząc zdumione spojrzenie oficera, dodał: — *Ein Moment*, jak rzekła wróżka Hitlerowi, kiej ją pytoł, czy długo pożyje.

Pobiegł do czołgu, dał nura pod pancierz, wrócił z omszałym gąsiorkiem, zabranym z piwnicy pałacu w Schwarzer Forst, i napełnił dwie szklanki przyniesione przez Saakaszwilego.

— Wam na tamtym brzegu dom wypić — odpowiedział na pytające spojrzenia kolegów. — Towarzyszu chorąży, cobyście nam zdrowi byli, tak jak „Rudy”.

— Zdrowie — chorąży popatrzył pod światło na szkło, ze smakiem wypił wino i rzekł z uznaniem: — Starsze niż cała wasza załoga.

— Pewno byście... — zaczął Gustlik, ocierając dłonią usta — pewno byście nie chcieli, żeby wam kto co obcinoł? — chytrze dodał zaglądając tamtemu w oczy.

Technik nie odpowiedział. Pałaszował w milczeniu grochówkę i zagryzał chlebem, wytrzymując ciężar badawczych spojrzeń całej załogi. Prócz zwykłych odgłosów frontu, bardziej nerwowych przed starciem niż zwykle, słychać było teraz gęste postukiwanie siekier — saperzy szykowali środki przepawcze.

Janek gwizdnął. Szarik poszedł do czołgu, wrócił z miską i dostał swoją porcję.

Ciężki pocisk zaświstał ostro, wybuchnął w lesie o kilkadziesiąt metrów głębiej. Odchylili się ku pniom, Tomasz wsunął harmonię pod sosnę. Spory odłamek, osłabiony paroma rykoszetami, spadł na środek brezentu, rozerwał płótno. Czereśniak szybko go chwycił, ale jeszcze prędeziej puścił i kłął dmuchając na poparzone palce.

— Diabelstwo!... Celta na nic, będzie ciekła.

— Saperów jak dzięciołów — rzekł technik, nakładając sobie mięsa i kaszy. — Lada dzień przeprawa.

— Obywatelu chorąży — Janek wrócił do sprawy, o której ani przez chwilę nie przestawał myśleć. — My na „Rudym” od samego początku. Nie rzuciliśmy go, choć pułkownik chciał dać nowy, z działem osiemdziesiąt pięć.

— Silnik wymieniony — wtrącił Grigorij.

— Każda zadra na panczerzu to jakby kto mnie samego skaleczył — dodał Jeleń.

Zbrojmistrz odsunął menażkę i wyciągnął rękę do najbliższego siedzącego.

— Automat!

Wziął podany mu przez Gustlika pistolet maszynowy, wetknął do lufy odłamek kości i oddał broń, mówiąc:

— Strzelaj.

— Przeca rozerwie — oburzył się Jeleń, wyrzucił kość i dobywszy z kieszeni chustkę, począł starannie czyścić wylot broni.

— A tego, że wam armatę rozerwie, nie chcecie skapować?... Wiem, co was boli, bo od szczeniaka w fabryce robię. Kiedy zaczynałem, musiałem skrzynkę podstawić, żeby do tokarki sięgnąć. Jeśli maszynę lubić, jeśli koło niej chodzić i nie dać krzywdy zrobić, to ona odpłaci. Ale z waszym „Rudym” inaczej niż piłką nie da rady. Ani czasu, ani części. Za parę dni na przyczółku dostaniecie nową, całą lufę...

Zza drzew wybiegł zziajany Wichura w czapce zsuniętej na tył głowy, w rozpiętym pod szyją mundurze.

— O rany, chłopaki! — wołał z daleka. — Nie dają tu do was żandarmy podjechać, musiałem grata zostawić o pół kilometra. Serwus! Dobrze się składa, że wy przy obiedzie, to i ja coś zatankuję — stwierdził widząc rozstawione menażki i termos.

Dopiero teraz spostrzegł oficera.

— Przepraszam, obywatelu chorąży, nie zauważyłem. Kapral Wichura prosi o zezwolenie...

— Siadajcie — przerwał mu technik i gestem wskazał miejsce.

— Masz — Jeleń podsunął szoferowi menażkę. — Z dna samo gęste — wetknął łyżkę, żeby pokazać, jak stoi.

Wichura wcinał w milczeniu, popatrywał na boki.

— No to do roboty — rzekł zbrojmistrz do Grigorija.

Obaj wstali, poszli do czołgu. Chorąży skręcił cygarę, zapalił i wzięwszy piłkę do metalu przymierzał się do lufy.

— Co on? — spytał Wichura. — Ocipiał?

— Zarobiliście od pantery i trzeba ciąć — ze złością mruknął Janek.

Pechowa akcja. — Wichura kiwnął głową, pakując do ust kęs wołowiny. — Trzyateo.

— Z pełną gębą nie godej — pouczył Jeleń.

— Trzynastego, powiadam, dzień pechowy...

— Przeca żeśmy nie dali szwabom uciec.

Od strony czołgu rozległ się rytmiczny, przykry dźwięk piłowanego metalu. Wszyscy drgnęli, ale nikt nie spojrział w tamtą stronę.

— Mało brakowało. Rotmistrz ranny, „*Rudy*” uszkodzony i z Marusią ześ się nie spotkał...

— Bzdura — wtrącił Kos. — Przesady.

— Chłopaki — Wichura przyciszył głos — słyszałem, jak generał w sztabie rozmawiał: będziecie się przeprawiali z pierwszą dywizją.

— Po moście? — spytał Janek.

— Nie, na promie. Przed dywizyjnymi działami szturmowymi. Ja was proszę, nie rwijcie za bardzo do przodu...

— A ja ci radzę, z okopu nie wyjeżdżaj — złośliwie przyciął Janek coraz bardziej zdenerwowany nieustannym zgrzytem stali. — Po coś w ogóle tu przylazł?

— Nie krzycz na mnie, bo się będę jąkał — odciął Wichura. — Wpadłem powiedzieć, że wiem, gdzie Ogoniok, i mogę podrzucić, ale jak się ciskasz... — przyklęknął, zaczynając wstawać.

— Czekaj — poprosił Kos i zwrócił się do Jelenia: — W zasadzie nie wolno od maszyny, ale Marusia była nad morzem, czekała...

— Zdązysz za godzina tam a nazad? — spytał Gustlik szofera.

— Półtorej.

— Ryzyk fizyk. Jedź, *komandir*, a my tu za ciebie...

Kos skoczył na równe nogi, pociągnął Wichurę w las. W pościg za nimi rzucił się Szarik.

— Musi Janek dzioucha zobaczyć — rzekł Jeleń do Czereśniaka. — Bobby my na czołgu pół lufy mieli, a w dowódcy pół serca.

— Panie plutonowy... — zagadnął Tomasz.

— Co zaś?

— Chorąży mówił, że za rzeką da nam nową lufę.

— Mówił.

— Skąd weźmie?

— Z rozbitego czołgu.

— A jak nasz rozbiją?

— To z naszego innym się nie zdo, bo przycięta.

Jeleń ze złością pokręcił głową, zasłonił dłońmi uszy, by nie słuchać ostrego zgrzytu metalu i głupich pytań. Wiadomo — w każdy czołg może

trafić pocisk, każdy wóz może stanąć w ogniu, ale o tym nie trzeba gadać. Mimo gorąca wbił na głowę hełmofon, naciągnął pasek pod brodą. Odgradzony od świata dźwięków, legł pod sosną i opuścił powieki.

Słońce przesiane między igłami grzało policzki, kwietniowy wiatr głąskał je zupełnie tak samo jak dawno, dawno temu na leśnych łąkach beskidzkich. Zateśknił Gustlik do domu, którego już cztery lata nie widział.

Choć z listów wiedział, że żyją ojciec i matka, zateśknił tak mocno, aż poczuł ból w gardle jakby od rany.

Ból trwał długo, ale wreszcie ustąpił i wówczas przyszła myśl, że może wszystko, co było, to tylko sen. Ostrożnie uchylił powieki, żeby sprawdzić. Spostrzegł poprzez rzęsy, jak chorąży ociera pot z czoła i przekazuje piłkę Gruzinowi. Gruzin wziął ją niechętnie i począł kołysać się nad lufą „*Rudego*”.

Jeleń zacisnął oczy, schował się znowu w prześwietlony słońcem półmrok. Lepiej, coby mi palce ucięli, jak „*Rudemu*” armata. Dyc tak nie będzie mogła strzylać... Tak pomyślał i z wielkiego zmartwienia zasnął.

— Panie plutonowy, majster już się zbierają! — wołał Tomasz odchylając nausznic hełmofonu.

— Dowódca nie wrócił? — Gustlik poderwał się i siadł pod sosną.

— Nie.

— Trza sprawdzić, coby na mnie nie było — mrużąc pod nosem polazł na czołg, dał nura do środka i po minucie wynurzył się znowu. — Chwilka poczekejcie, panie chorąży! — zawołał do zbrojmistrza, który ściągnął już kombinezon i dopinał guziki munduru. — Jeden moment, jak rzekła wróżka. My se po cichutku ino roz–dwa strzelimy, nikt nie będzie wiedział i zarozki z powrotem na miejsce.

— Mogą za to uszu natrzeć. Nieplanowany ogień.

— Ale waszo robota sprawdzimy, panie majster. Tomek, wiążuj do woza. Jedymy — rzucił twardo do wychylonego przez przedni właz Gruzina.

Wszyscy trzej znikli pod pancierzem i zatrzasnęli za sobą włazy. „*Rudy*” z przykróconym działem cofnął się, wypełznął z okopu i skręciwszy, by go wyminąć, poczłapał naprzód. Rozepchnął krzaczaste zarośla, wysunął czoło nad obryw wysokiego brzegu.

Zbrojmistrza dopinając pasa, obserwował czołg z boku. Zdążył skręcić w gazecie cygarke z machorki i zakurzyć, nim huknął pierwszy, długo mierzony wystrzał.

Jeleń po odpaleniu patrzył pilnie w celownik, czy granat padnie blisko samotnego i bezlistnego drzewa na wale przeciwpowodziowym, do którego mierzył.

— Nie jest źle — mruknął, gdy ciemny krzak wybuchu wyrósł tuż obok pnia.

Załadował, lekko poprawił lufę na kierunku i rąbnął po raz drugi, a potem jeszcze trzeci i czwarty.

— Ucięto, ale zawzięto — pochwalił lufę do rymu.

Wiatr zwiewał resztki dymu po ostatnim wybuchu, gdy nagle strzępiasty błysk rozszarpał wał, wyrzucił ku górze drzewo.

— Ale tompło! — zdziwił się Gustlik jak myśliwy, który do zajęcia strzelał a dzika trafił. — Co za pierońsko bezkurcyja — zaklął i rozkazał: — Grzesio, odbijomy do dom. Gaz!

Czołg ostro cofnął się. Nim zdążył zjechać do okopu, z zachodniego brzegu Odry dobiegł szeroki, falujący huk wielokrotnej eksplozji. Podmuchał targnął gałązkami na drzewach.

Wszyscy trzej czym prędzej wyskoczyli z wozu, speszeni tym, co zaszło. Słabnące echo wybuchu toczyło się jeszcze w powietrzu.

— Jak lufa? — spytał chorąży.

— Mało wiała, a by było dobrze. — Gustlik kiwnął głową. — Rozrzut trochę większy, ale jeszcze w kupie.

— Tyle że po cichu to się wam nie bardzo udało — zbrojmistrz kolejno ścisnął ręce załogi.

— A potem nom dacie nowa? — upewnił się Jeleń.

— Na drugim brzegu. Obiecałem przecież. Cześć.

Ledwo technik zniknął między drzewami, jak do czołgu podbiegł łącznik z piechoty.

— Obywatelu sierżancie — zameldował się do Grigorija. — Dowódca kompanii pyta, kto strzelał.

— Strzelał? Kto? — Saakaszwili zrobił bardzo zdziwioną minę. — Różni strzelali, jak to na froncie.

Żołnierz chwilę stał zdumiony, spoglądał po twarzach czołgistów i zorientowawszy się wreszcie, że niczego więcej nie usłyszy, zsalutował, zrobił w tył zwrot i pobiegł z powrotem.



— Co zaś tak ślipicie? Skocz, Grześ, zobacz, czy jeszcze dymi, a ty bierz harmonia i graj.

Nie zdążył jeszcze wrócić Saakaszwili, a Czereśniak ledwo pierwsze akordy przerzucił, jak energicznym krokiem podszedł do Gustlika pyzaty sierżant.

— Czołem, *tankisty*.

— Cześć.

— Sierżant Konstanty Szawełło. Przez dwa el — przedstawił się wyciągając rękę.

— Plutonowy Jeleń. Przez jedno el.

— Jedno el? Ech i figlarz... Dowódca batalionu pytają, czy wy strzelali.

— Nie.

Sierżant podniósł brwi i odszedł parę kroków. Z okopowego nasypu bez trudu wspiał się na czołg i powąchał armatę.

— Znaczy lufa sama ze siebie prochem śmierdzi? — spytał zeskakując z powrotem na ziemię.

— Parfiumem mo pachnieć? — warknął Gustlik.

— Nu i figlarze wy wszyscy *tankisty* — roześmiał się pyzaty odchodząc. — Tak i zamelduję: nie strzelali, a z lufy prochem, jak w sobotę piwem od posterunkowego...

— Dymi i błyska — zameldował Grześ, odczekawszy, aż tamten odejdzie. — Musiało przypadkiem w amunicję.

— Sto pieronów, same przypadki. Zostaliście w czołgu z Wichurą i zaraz lufa żeście wstawili pod pocisk, a terazki...

— Co teraz? Trzeba było w inne miejsce celować.

— Nie godej głupot. Nic zech nie celował. Kiejbyś kapka inaczej stanął...

— Załoga wozu do mnie — rozkazał porucznik, którego przyprowadził sierżant Szawełło, wachający przed chwilą działo.

— Nie strzelali, figlarze, a z lufy prochem jedzie.

Czołgiści ustawili się przed oficerem w postawie zasadniczej, westchnęła cicho harmonia pod pachą u Tomasza. Porucznik przesunął mapnik, otworzył i wyjął notes.

— Skład załogi czołgu 102 — mówił i pisał jednocześnie. — Dowódca?

— Sierżant Jan Kos — odpowiedział Gustlik.

- Mechanik?
- Sierżant Grigorij Saakaszwili.
- Przez dwa a. Jasne... Kaemista?
- Szeregowiec Tomasz Czereśniak.
- Ładowniczy?
- Plutonowy Gustaw Jeleń.
- To kto wy ostatecznie jesteście — oficer lekko zmarszczył brwi.
- Przeca mówię: Jeleń. Dowódca na chwila musiał odejść, coby...

Porucznika już nie interesowało, po co musiał odejść dowódca, zaszalutował i zniknął między drzewami.

— Wróci zaraz albo i nie — mruknął Gustlik. — Miało go nie być półtorej godziny, a już dwie przeszły.

Półtorej godziny to tylko dziewięćdziesiąt minut i Kos o tym pamiętał. Droga trwała trzydzieści osiem, na powrót z rezerwą przeznaczył sobie czterdzieści, czyli spotkanie mogło trwać tylko dwanaście. Przedtem tak nigdy nie liczył. Zdarzyło się nawet, jeszcze podczas ćwiczeń, że „Rudy” z racji spóźnienia swego radzika nie wykonał zadania, ale to było dawno, nim trafili na front. I nim został dowódcą.

Teraz stał naprzeciw Marusi, w pół drogi między ciężarówką Wichury a ziemianką, u wejścia do której powiewała niewielka chorągiew ze znakiem Czerwonego Krzyża. Trzymał dziewczynę za ręce i oboje milczeli, skrępowani spojrzeniami obcych ludzi i brakiem czasu.

— Wachmistrz nie powiedział mi, że jesteś. Przybiegłbym z tej zasadzki.

- Trudno nam się spotykać.
- Nie masz o to żalu?
- Nie.
- A o co? Widzę przecież.
- Bursztynowe serduszko dałeś innej w prezencie.
- Wichura znalazł, ja zabrałem, ona prosiła... — zaczął tłumaczyć Kos.
- Każdemu ustępujesz, kto prosi?
- Tylko bursztynowe.
- Marusia! — wołał ktoś z ziemianki.

Siedzący opodal Szarik podbiegł w tamtą stronę i szczechnął oburzony, że ktoś śmie przeszkadzać.

— *Siejczas* — odkrzyknęła dziewczyna i podpowiedziała Jankowi: — A żywe...

— Wiesz przecież.

— Wiem, ale chcę jeszcze raz usłyszeć.

Wichura dał dwa krótkie sygnały na znak, że pora, i machnął ręką.

— Twoje. Wszystko twoje. A jakby co, weź Szarika — głośnął po łbie wilczura.

— Już niedaleko końca wojny.

— Blisko. Jak wojna się skończy...

— *Nie zagadywaj, miłyj, bojus*'.

— *Siestra!* — z ziemianki wyrzwał żołnierz z obandażowaną głową.

— *Idu!* — dziewczyna machnęła ręką i szybko wyjaśniła: — *Utrom za Odier chodili na rozwiedku bojem. Konfietki trofiejnyje priniesli. Bieri, eto tiebie. Poka, Jan.*

— Cześć, Ogoniok.

Mówiąc te ostatnie dwa słowa, zdecydował, że jeśli obcy patrzą, to niech tam, objął Marusię, pocałował krótko i mocno.

— *Za Odierom wstretimsia!* — wołała biegnąc już do swoich rannych.

— Za Odrą — powtórzył.

Przez otwarte okno ciężarówki patrzył za siebie, póki biała flaga nie zniknęła za ścianą pni, a potem długą chwilę oglądał niewielkie blaszane pudełko, w którym grzechotały cukierki.

— Do ssania takie, co? — przy mówił się Wichura.

Kos nie odpowiedział, a może nawet nie słyszał. Z uwagą patrzył w las obok drogi, gdzie bystrym okiem można było wypatrzeć skoncentrowane do natarcia siły: na stanowiskach dział spod łaciatych siatek sterczały, obok dywizyjnych armat 76 mm i haubic 122 mm, ciężkie armaty–haubice i dalekonośne działa o smukłych lufach; w zagłębieniach terenu przykucnęły krępe moździerze dużych kalibrów; w cieniu sosen zieleniały stada czołgów. Zwisające z gałęzi sznury telefonicznych kabli łączyły się w grube splety nad ziemiankami sztabu.

Droga była luźna. Ledwo czasem zakurzyła na spotkanie króciutka kolumna amunicyjna albo saperska ciężarówka z płaskodennym pontonem. Nawet na skrzyżowaniu dróg nikogo.

— Stąd już na piechotę musisz — rzekł szofer hamując.

Szarik, zajęty własnymi sprawami, wyskoczył pierwszy i pobiegł w las.

— Cześć, Wichura. Dziękuję. — Kos ścisnął umorusaną rękę.

— Ja bym został z wami, ale pod pancierzem duszno i dla piątego brak miejsca.

— Jasne.

— Przed czasem będziesz.

— Cześć! Dobrego.

Ciężarówka ruszyła w dalszą drogę, Kos wszedł między krzaki i niespodzianie poczuł, że ktoś mu kładzie rękę na ramieniu. Odwrócił się zaskoczony i zobaczył przed sobą sierżanta w hełmie podpiętym pod brodą, z opaską na ramieniu.

— Patrol armijnej żandarmerii. Przepustkę proszę.

Janek zerknął za ramię, jakby szukając, którędy bryknąć, ale tam już stali dwaj z pistoletami maszynowymi. Szarik zawrócił i wyglądał z krzaków, czekając rozkazu.

— Nie mam.

— Zdejmijcie pas — rozkazał dowódca patrolu.

— Mój czołg jest stąd o paręset metrów. Ja tylko...

— Zdejmijcie pas — powtórzył żandarm. — Wasz pies?

— Nie — odrzekł Kos. — Pójdiesz ty stąd! — odgonił wilczura. — Pozwólcie sobie wytłumaczyć...

Tamten nie chciał, by mu cokolwiek tłumaczono. Uznał, że skoro ma prawo zatrzymywać żołnierzy, to tym lepiej wypełni zadanie, im więcej posadzi — częsty to dosyć błąd wśród początkujących, zbyt gorliwych lub tępych stróżów porządku. A może po prostu chciał pokazać, że lepiej niż inni pełnić służbę potrafi...

Jak było, tak było, ale w mrocznej ziemiance u rozstajnych dróg Janek zastał towarzystwo liczne i rozmaite. Siedzieli zatrzymani przez patrole żandarmerii kombinatorzy i łaziki, ale nie brak było schwytanych w krzakach, którzy niebacznie odeszli sto metrów od swych okopów, lub nawet takich jak ten koło Kosa, który z zapalem tłumaczył:

— Cóż z tego, że wskazujący sztywny, jeśli środkowy się przygina — pokazał dłoń i ruszał palcami — ale doktor się uparł i musowo było wiać bez dokumentu. Stryj by skórę zerznął, jakby się dowiedział, że Odrę w szpitalu przeleżałem.

Kos spojrział na zegarek, wstał z nary i zaczął walić pięścią w drzwi.

— Czego? — spytał wartownik.

— Do dowódcy. Natychmiast zameldujcie.

— Zaraz — usłyszał leniwy głos za drzwiami.

— Ja z wami — wstał żołnierz, który uciekł ze szpitala. — Obywatel sierżant poświadczy...

— Kto do dowódcy? — w uchylonych drzwiach zobaczyli głowę sierżanta żandarmerii. — Nie kupą. Jeden tylko.

Poprowadził Kosa między drzewa, gdzie za rozkładanym stolikiem siedział młodziutki przystojny chorąży w czystym mundurze i w pasie pachnącym jeszcze garbarnią.

— No, co takiego? — spytał udając dobroduszość i odłożył na bok ręcznie malowaną ulotkę, którą na froncie nazywano „*błyskawicą*”.

— Obywatelu chorąży, pięćset metrów stąd stoi mój czołg na stanowisku. Mogę zostać ukarany, ale nie w ten sposób, żeby załoga została bez dowódcy. Podczas przeprawy każda lufa się liczy.

— Skąd wiecie, że będzie przeprawa?

Z krzaków wyjrzała wilcza morda. Kos spojrział w tamtą stronę i nie dosłyszał pytania.

— Słucham?

— Skąd wiecie o przeprawie?

— Wszyscy wiedzą — wzruszył ramionami, usiłując gestem odegnąć psa.

— Nie potraficie utrzymać postawy zasadniczej?

— Pójdiesz ty do domu!... Potrafię, obywatelu chorąży.

Oficer obejrzał się, dostrzegł Szarika niknącego w lesie i napuszył się jeszcze bardziej, gdyż aresztowany osobnik, mimo pozorów zdyscyplinowania, zdawał się z niego kpić.

— Wasze nazwisko?

— Sierżant Jan Kos.

Twarz chorążego zmieniła się w jednej chwili.

— Kłamie, bezczelnie kłamie — rzekł do stojącego obok sierżanta. — Przed chwilą właśnie otrzymałem „*błyskawicę*”. — Wziął ulotkę do ręki i czytał tekst umieszczony obok zionącej ogniem podobizny czołgu: — „*Załoga czołgu 102 pod dowództwem sierżanta Jana Kosa celną serią pocisków zniszczyła hitlerowski skład amunicji na pierwszej linii frontu...*” i tak dalej. A skąd wy właściwie macie dokumenty na nazwisko Jana Kosa?

Chorąży wstał i rozkazał sierżantowi żandarmerii:

— Weźmiecie jeszcze dwóch ludzi, samochód i dostarczycie go natychmiast do sztabu armii, do dowództwa naszego batalionu. Zameldujecie: szpiegował razem z psem. Wiecie, co robić w razie próby ucieczki?

Zarzut był tak bezpodstawny i brutalny, że Kos poczuł się jak trafiony w szczękę bokserką rękawicą. Nie zwracał uwagi na skierowane w pierś i plecy lufy automatów, nie obeszły go kpiny sierżanta. Całą drogę zastanawiał się, czemu chorąży, chłopak o rok czy dwa ledwo starszy, który przed paru tygodniami skończył szkołę oficerską, nie chciał sprawdzić jego słów. Czemu wołał oskarżać niż zaufać na tyle tylko przecież, by od bliskiego czołgu kogokolwiek dla rozpoznania sprowadzić? Pał diabli krzywdę niezasłużoną, ale podczas przeprawy każdy czołg...

Łazik, obudowany pudłem z listew i dykty, godzinę kluczył bocznymi drogami, bił budą o niskie gałęzie i wreszcie stanął przed murowanym budynkiem, zapewne pałacykiem myśliwskim.

Kosa wprowadzono do wewnątrz. Długo stał na różnych korytarzach bez jednej myśli w głowie i tylko oddech krótki, łapczywy zdradzał, jak bardzo jest poruszony. Niewiele nawet słyszał z tego, co wokół mówiono. Z dziwnego otępienia zbudziła go dopiero komenda ostra jak pchnięcie bagnetem.

— Wejdźcie.

Wysoki porucznik otworzył drzwi i wpuścił go przed sobą do dużego, jasnego pokoju, w którym za ciężkim stołem siedział siwiejący major. Wprowadzający stanął na baczność i zameldował;

— Patrol żandarmerii schwytał w pobliżu pierwszej linii kogoś, kto ma dokumenty na nazwisko... — zajrzał do trzymanej w ręku książeczki wojskowej — ...sierżanta Kosa.

Ściany poznaczone były jasnymi prostokątami po wywiezionych obrazach, nosiły ślady kuł. Usłyszawszy swe nazwisko, Janek przestał się rozglądać i skoncentrował uwagę, rozumiejąc, że tu się wszystko rozstrzygnie.

Major wziął książeczkę, długo oglądał fotografię, marszczył brwi, jak gdyby coś sobie przypominał, a potem niespodziewanie zaproponował:

— Siadajcie.

Porucznik podsunął krzesło.

— Nie usiądę, obywatelu majorze. Muszę natychmiast wracać do czołgu. Już wieczór, a przecież rano...

— Co rano?

— Wszyscy wiedzą, kto ma oczy i uszy.

— A wy umiecie patrzeć. Dobra. A więc jesteście sierżantem Kosem.

— Obywatel major ma moją książeczkę żołnierską.

— Dokumenty nie zawsze mówią prawdę. Pamiętacie może, w jakiej akcji ostatnio brał udział wasz pluton?

— Nie pluton. Czołg. Zwalczanie desantu z morza.

— Znaczy o tym wiecie. A kto mógłby potwierdzić, że wy to właśnie wy, a nie kto inny.

— Załoga. Plutonowy Jeleń, sierżant Saakaszwili.

— A w sztabie armii?

— Naturalnie, obywatelu majorze, że też ja od razu... Generał, nasz dawny dowódca brygady, wystarczy zadzwonić.

— Wyjdźcie i zaczekajcie na korytarzu — rozkazał oficer wywiadu, a kiedy drzwi się zamknęły za Jankiem, wstrzymał gestem porucznika sięgającego po słuchawkę. — Nie trzeba. To jest ten chłopak z akcji Hermenegilda, na którego pisaliśmy wniosek odznaczeniowy. Po prostu odeślemy go generałowi i niech z nim robi, co chce... Nie macie czegoś bardziej ciekawego niż sierżant bez przepustki?

— Radiogram z tamtej strony frontu — porucznik podał kartkę papieru z rozszyfrowanym tekstem.

— No to czego zwlekacie? — mruknął major z niezadowoleniem, potem czytał chwilę po cichu i spytał: — Daleko te Kandlitz za Odrą?

— Czterdzieści kilometrów. Niewielki naukowy poligon wśród lasów na północo-wschód od Berlina.

— Jot-23 ma rację. Sprawa tych przeciwpancernych pocisków piekielnie ważna, ale niech będzie podwójnie ostrożny. Teraz właśnie, kiedy dni dzielą nas od końca wojny...



## ROZDZIAŁ 38. PRZEPRAWA

Czekanie w niepewności to rzecz najgłupsza pod słońcem. W trudnej sytuacji, jeśli rozumiesz, o co chodzi, i wiesz, gdzie wróg, a gdzie przyjaciel — możesz działać, walczyć... Ale jeśli nie wiesz, nie pojmujesz, co się stało?

— Przyłgnał Janek do dziouchy i się oderwać nie umie — pomrukiwał Jeleń, ale nikt z załogi w to nie wierzył, a i on sam także.

Żeby szybciej mijały minuty, pracowali przy „*Rudym*” dokładniej, niż gdyby dowódca pilnował. Czereśniak pod kierunkiem Jelenia czyścił armatnią lufę. Saakaszwili układał starannie klucze w metalowej skrzynce narzędziowej, umocowanej na błotniku wozu. Cały czas jednak myśleli o czymś innym i wreszcie Gruzin zagadnął:

- Gustlik...
- Coś chcioł?
- Trzeba było powiedzieć temu porucznikowi, że Kos nie strzelał.
- Adyc, pierona, jo zech mówił, co nikt nie strzyłoł.
- Co mogą zrobić?
- Psińco. Głowy nie urwą.
- Głupio... — wtrącił Tomasz nie ustając w pracy z wyciorem.
- Co głupio? — nasrożył się Jeleń. — Dość będzie rajbować.

Oparty na wyciorze, ciężko dyszący Czereśniak powtórzył:

- Głupio by było stracić życie pod koniec wojny.
- A na początku mądrzej? — zakpił Gustlik.
- Też nie...

Chwilę trwała cisza. Każdy był zajęty swoimi myślami, ale Czereśniak znowu spytał:

- Po co za rzekę iść? Nasze dotąd.
- Chciałbyś, żeby inni za ciebie faszystowskiego gada dobijali? — rozgniewał się Gruzin.
- Jak dziko Świnia wlezie w szkodę, to ino do miedzy odganiosz? — przygadał Gustlik.

— Przed wojną brzękadłami straszili — ożywił się Tomasz wspomniawszy Studzianki. — Teraz każdy prawie karabinowy obrzynek ma, strzela z zasiadki i podwójna korzyść, bo i kartofle całe, i mięso na kiełbasy.

— Mogło im koło nawalić — przerwał Saakaszwili.

— Na nogach dwa razy by przyszoł. Już się mo na wieczór.

— No to co, u czorta?

Spomiędzy drzew wyskoczył Szarik, podbiegł do czołgistów, zaskomlał.

— Pierona — zasępił się Gustlik.

Przyklęknął, zajrzał pod obrozę i nie znalazłszy niczego gładził po łbie wilczura skomlącego bez przerwy.

— Że też my jego mówić nie nauczyli... Coś marnie chłopcy z naszym *komandirem*.

— A może mu właśnie wesoło i dlatego psa odesłał — zaprzeczył Grigorij. — W niebezpieczeństwie Szarik by go nie opuścił.

Nikt nie zaprzeczył, więc Gruzin powiódł tryumfującym wzrokiem dokoła, ale szybko posmutniał, bo sam przecież wiedział, że bywają niebezpieczeństwa, których pies nie jest w stanie zrozumieć, a więc i pomoc nie potrafi.

Po tej rozmowie milczeli długo, a kiedy zachodziło słońce, zjedli bez słowa kolację i potem Jeleń kazał wypoczywać. Zapadła noc, między drzewami zrobiło się mroczno. Tylko na leśną łysinkę koło czołgu kładło się światło gwiazd. Wszyscy trzej siedzieli za wieżą na pancerzu, zbili się razem jak pisklęta w gnieździe. Posmutniały pies leżał u nóg i grzał im stopy.

— *Tankisty!* — usłyszeli ciche nawoływanie Szawelły.

— Czego? — nieuprzejmie spytał Gustlik, a Szarik groźnie warknął.

— W goście prosim, żeby się znakomic. Jutro nam razem wojować przyjdzie.

Sierżant wynurzył się z mroku. Jak księżyc w pełni bieleła poczciwa okrągła twarz. Za nim majaczył jeszcze jeden milczący cień.

— Zapoznamy się, jak dowódca wróci.

— Co wy tak, niczym sowy? Wam się cieszyć, że w municję popali.

— Dziouchów mało, coby tańcować.

— Ale harmoszkę macie, *tankisty*. Raz wszyscy nie chcecie, to choć tego, kto grać potrafi, w gości prosim.

— Chcesz iść, to idź — mruknął Gustlik.

Tomasz bez słowa wstał.

— Żołnierz instrument poniesie — rzekł Szawełło i zwrócił się do stojącego za nim młodego piechura: — Weź harmoszkę.

— Nie trzeba. Ja sam — sprzeciwił się Czereśniak.

— Nie trzeba, to i nie trzeba — zgodnie powstrzymał sierżant swego milczącego pomocnika. — Żołnierzowi przed bitwą pośpiewać korzystnie, noc mniej się dłuży — niespiesznie pogadywał, odchodząc z Czereśniakiem między drzewa. — A i w bitwie pieśń dobra pomaga...

— Gustlik — odezwał się cicho Grigorij — a jakby nie wrócił do rana?

— Dadzą nam kaemistę z piechoty.

Z lasu dobiegło parę drobnych akordów, a potem przygrywka. Niski męski głos, po którym bez trudu poznali Konstantego Szawełłę, zaczął piosenkę.

*Siódma kompania bój zawzięty toczy  
i krew serdeczną wciąż wylewa z żył.*

Teraz dołączyło jeszcze kilkunastu śpiewaków i niegłośny chór ciągnął dalej:

*Ranny porucznik w słup postawił oczy,  
sanitariusze pracują co sił.*

— Wróci, na pewno wróci — przekonywał sam siebie Saakaszwili.

— No przeca — kiwnął głową Gustlik, ale z powątpiewaniem.

Skończyła się przygrywka między zwrotkami i piechota razem podchwyciła:

*A trzeci baon bagnety nasadza,  
po pięć granatów przywiesza na pas.  
Każdy ma pietra, ale się nie zdradza.  
Ranny porucznik się patrzy na nas.*

— Czołg nie dość, że pokaleczony, to jeszcze bez dowódcy — rzekł smutno Gustlik.

— U nas w Gruzji mówią: palec skaleczysz, cała ręka boli.

Chór przycichł, nucił tylko melodię, a sierżant Konstanty Szawełło idąc wtóru Czereśniakowej harmonii śpiewał słowa, których być może jeszcze dziś rano nie było.

*Przed nami Odra szarą wodą płynie,  
stoi na brzegu pograniczny słup.  
Pomyśl o Polsce, pomyśl o dziewczynie  
i z paru szkopów nieboszczyków zrób.  
Towarzystwo salwą znak z katuszy daje,  
a czołg jak buhaj ryczy pośród min,  
siódma kompania z okopów powstaje  
i z głośnym krzykiem rusza na Berlin.*

Zasłuchali się obaj czołgiści. Jeleń nawet trochę nucił, póki ten Berlin z akcentem na ostatniej sylabie nie wyrwał go z zadumy.

— To Wichura cało ostuda narobił...

— Wszystko przez dziewczynę — zrzędził Grigorij. — Najlepszy żołnierz samotny, jak my.

— A twoja Ania?

— Hania. Nic z tego nie będzie.

— Chcesz, Grześ, wina?

— Nie.

— Czemu? Gruzini lubią...

— Nieprawda. Gruzini sam nigdy nie pije. Tylko w kompanii, z przyjaciółmi, z uśmiechem...

Szarik szarpnął się, zaskomlał, ale go Jeleń przytrzymał.

— Cicho, piesku.

Niedaleko umilkł warkot samochodu, zamajaczyła tęga sylwetka człowieka zbliżającego się do czołgu, którą natychmiast po ruchach rozpoznał.

— Obywatelu generale — zeskoczył na nasyp i wyprężył się na baczność. — Melduję, załoga czołgu w składzie dwu ludzi. Trzeci piechocie przygrywo, a sierżant Kos...

— Czekał, nie chciałbym, żebyś skłamał, więc lepiej w tym miejscu przerwać. Zgoda?

Przytrzymywany za obrożę wilczur wyrwał się, popędził w las.

- Tak jest.
- Wołaj trzeciego.
- Szeregowy Czereśniak, do mnie!

Harmonia w pół taktu urwała melodię.

- Teraz mówcie, jak było ze strzelaniem, ale tylko prawdę:
- Prawda to taka, że trza było spróbować armaty...

Przybiegł Tomasz i zobaczywszy generała stanął na baczność obok Grigorija.

- Grigorij podjechał, jo zech wystrzelił i gotowe.
- Raz wystrzeliłeś?
- Cztery razy. Coby rozrzut zobaczyć i...
- Co i?

— I nikt by nie zmiarkował, kiejby nie było *volltreffera* w szwabskie granaty.

- To znaczy prawda, że wasze pociski trafiły?
- Jeden ino, ten czwarty, obywatelu generale. Co prawda, to prawda.
- Dowódca wozu! — zawołał generał.

Zza niedalekiej sosny wybiegł Kos, stanął na prawym skrzydle swojej załogi. Szarik pędził za nim, podskakiwał z radości, ale widząc, że wszyscy stoją na baczność i on usiadł na tylnych łapach, jak na zdyscyplinowanego psa przystało.

— Rozkazem dowódcy armii — mówił uroczyście generał — załoga czołgu 102 za zniszczenie składu amunicji nieprzyjaciela na pierwszej linii frontu zostaje odznaczona medalami „*Zasłużonym na polu chwały*”. Dowódca srebrny, reszta brązowe. Odznaczenia zostaną wręczone w najbliższych dniach — na chwilę przerwał i zwykłym już, codziennym głosem dodał: — Nie spodziewaliście się?

— Prędzej śniegu na głowa — szczerze przyznał Gustlik. — Janek zaś ale...

— Wiem. On nie strzelał. Ale nie każecie mi przecież meldować dowódcy armii, że sierżant Kos urwał się bez przepustki do panny i trzeba by go właściwie ukarać.

— No nie — przyznał Gustlik.

— U nas w Gruzji... — zaczął Saakaszwili, lecz urwał, słuchając dalszych wyjaśnień generała.

— Tak bywa: dokonasz czasem bohaterskiego czynu, ale nikt nie zobaczy i nie nagrodzi. A innym razem zdarzy się jak u Janka. W sumie na jedno wyjdzie.

— Obywatelu generale, ja podczas forsowania... — zapewnia Kos.

— Nie prorokuj. Wszyscyście zarobili na medale jeszcze za Hermenegildę. Teraz jeden na warcie, trzech śpi. Złapcie choć parę godzin snu przed ranem.

Po odjeździe generała nie od razu przylegli. Trzeba było przecież opowiedzieć sobie o przygodach minionego dnia, a o niektórych zdarzeniach to i po dwa, trzy razy. Godzina im zeszła na „znajomieniu się” z sierżantem Szawellą i jego piechurami.

Dopiero przed samą północą wysuszyli do dna gąsiorek wina, Janek opowiedział, jak otworzył kurek od beczki w piwnicy pałacu Schwarzer Forst, uśmieli się wszyscy do łez, a potem, ukołysani stukaniem kaemów zza Odry i puszczkowym pohukiwaniem moździerzy, zasnęli mocno i głęboko, jak tylko żołnierz potrafi.

Na warcie stał początkowo Jeleń, potem Czereśniak, który nie chcąc już budzić nikogo, doczekał przedświt.

Mgła od rzeki, jak kipiące powoli mleko, wspinała się po stromym zboczu brzegu, świeże podmuchy rozwłóczyły pasma między pniami drzemiącego lasu, okręcały je wokół armatnich tarcz, wplątywały w sieci maskujące, zalewały piaszczyste okopy falującą białością.

Na tylnym pancerzu, na siatce silnika spali snem sprawiedliwych trzech czołgiści okryci brezentowymi płaszcz–namiotami; za poduszki służyły im hełmofony. Nie drgnęli nawet, gdy zagrzmiała jakaś ciężka bateria nad Alte Oder i posłała garść pocisków na polski brzeg.

Kiedy echo wybuchów utonęło we mgle, tuż obok, po drugiej stronie wozu, pracowicie zastukała siekiera. Lekki dźwięk zaniepokoił śpiącego z brzegu Grigorija, zbudził go wreszcie, zmusił do otwarcia oczu. Mechanik dłonią roztarł rosę po twarzy, by oprzytomnieć. Zgrabnie ześliznął się z pancerza i wyjrzawszy zza wieży zobaczył Czereśniaka, który kończył już obciosywać dość gruby pniaczek, dwumetrowej przeszło długości, formując zeń czworokątną, gładko zestruganą belkę.

— Na co ci to? — spytał po cichu Saakaszwili. — Czegoś mnie w porę nie zbudził?

Nie czekając odpowiedzi zrobił parę wyrzutów ramion, parę podskoków i przysiadów. Pragnąc się rozgrzać, rozruszać po śnie, zatańczył dookoła zdziwionego Tomasza, który uchylając usta obracał głowę i wyczekiwał okazji, by dać odpowiedź.

— Wszyscy stawiają. I z lewa, i z prawa...

— Co stawiają?

— Słupy. Z orłami. Że tu granica.

— Chcesz mieć własny?

— Nie. Ale rękom nudno na warcie i jakby sierżant Kos kazał...

Szarik też się obudził, szmyrgnął pędem w las, wyskoczył z powrotem, pognął dużym kręgiem wokół czołgu.

— A na czym orła namalujesz?

— Na desce — rzekł Czereśniak i przykucnąwszy sięgnął do swego wypchanego różnościami plecaka, wyciągnął spory kawałek gładkiej szerokiej półcalówki.

Grigorij dobył z kieszeni kawałek chemicznego ołówka, którym pisywał listy do Hani, i szybko naszkicował kontur orła.

— To tak na posterunku stoicie, synkowie? — odezwał się Kos tuż za ich plecami. — Ech, powiedziałby wam wachmistrz Kalita parę słów prawdy.

— Janek, patrz — przerwał mu Gruzin, pokazując ręką na słup i deskę. — Stawiamy?

— Trzeba by białej i czerwonej farby.

— Wystarczy czerwona. Została minia po remoncie.

Tymczasem Tomasz wystrugał swoim ogrodowym kozikiem dwa kołki, nawiercił kolcem otwory w desce i słupie. Przymocował jedno do drugiego bez użycia gwoźdźcia, podczas gdy mechanik wyciągał z czołgu puszkę z minią.

— Kładź tutaj. — Saakaszwili pokazał, jak słup oprzeć o pancierz czołowy, i okraczywszy go rozcierał palcem farbę po desce, zamalowywał tło.

— Gustlik! — Janek trącił Ślązaka w ramię. — Wstawaj..

— Och — ziewnął Jeleń otwierając szeroko usta. — Szkoda, że ofensywa mamy — przeciągnął się słodko. — Śniła mi się tako szwarno dziuszka i powiada: „*Kocham tylko ciebie, Gustliczku. Ślub będzie...*”

Zbudziliście mnie i nie wiem kiedy — narzekał wstając i umoczywszy ręce w rosie przetarł twarz i szyję.

— W pierwszą niedzielę po wojnie — zapewnił Kos. — Chodź tu i popatrz — ciągnąc za rękaw podprowadził go do Grigorija, który skończył dzieło.

— Nie jest źle — pochwalił Jeleń — ale kiejbyście mnie wcześniej obudzili, tobych jeszcze lepszy malunek zrobił. A to co ma być? — pokazał palcem na białe linie biegnące od szponów skośnie w dół na dwie strony.

— Orzeł polski. A to gruzińska góra na znak, że Saakaszwili malował.

— Niechaj to tak — zgodził się Gustlik, biorąc słup na ramię. — Kaj go postawimy?

— Chodźcie. — Janek ruszył przodem z saperką w ręku i zatrzymał się nad skarżą. — Tutaj.

Szybkimi ruchami łopaty pogłębił niewielki lej po granacie. Szarik naturalnie pomagał, rozgrzebywał łapami ziemię. Gustlik osadził słup. Grigorij i Tomasz rzucili po parę kamieni, żeby mocniej trzymało. Kos podsypywał ziemię, a tamci przydeptywali i wreszcie położyli na wierzch duże kawały murawy z przedpiersia czołgowego okopu. Kiedy już wszystko było gotowe, cofnęli się parę kroków, żeby popatrzeć.

— Załoga!

Kos podał komendę spokojnie, nie podnosząc głosu, i sam stanąwszy na bacność, zaszutował. Za jego przykładem salutowali Tomasz i Grześ. Gustlik stał z odkrytą głową, Szarik przysiadł na bacność.

W tej właśnie chwili od strony kostrzyńskiego przyczółka nadciągnął grzmot artyleryjskiego przygotowania, które runęło na pozycje niemieckie o dziesięć kilometrów dalej na południe.

— Zaczęli — powiedział Kos. — Którego to dziś?

— Hermenegildy było w piątek, dziś poniedziałek. Znaczą szesnasty — obliczył Jeleń, popluł i zatarł ręce.

Tomasz patrzył chwilę na rozogniony horyzont, na niebo przekreślone płomienistymi krechami i zęgnął się ukradkiem.

— Wielu naszych nie dożyje — powiedział do mechanika tak cicho, żeby inni nie słyszeli.



Saakaszwili lekko skinął głową i dalej przyglądał się gałązkom drzew ledwo obsypanych młodziutkimi liśćmi, które poczęły drzeć od wstrząsów dalekich eksplozji.

Nadbiegł łącznik z piechoty, zameldował dowódcy czołgu:

— Obywatelu sierżancie, u nas zaczną za kwadrans, a pięć minut później schodzimy razem do przeprawy.

— Dobra — odpowiedział Kos, stał jeszcze chwilę ze zmarszczonym czołem, licząc w pamięci, a potem rzekł: — Dwa tysiące pięćdziesiąt pięć.

— Czego dwa tysiące? — spytał Saakaszwili.

— Dwa tysiące pięćdziesiąt pięć dni od napaści na Westerplatte.

W oddali coraz mocniej dudniło przygotowanie artyleryjskie. Na odcinku 47 radzieckiej i 1 polskiej armii jeszcze panowała cisza, ale już rozsuwały się sieci nad otwartymi gardłami moździerzy, z poziomego spoczynku wstawały lufy najrozmaitszych kalibrów, spoglądały ciemnymi ślepiami wylotów na drugi brzeg. Piechurzy zaciągali pasy, osadzali bagnety, wyprowadzali naboje do luf.

Raz jeszcze zziajany łącznik podbiegł do „*Rudego*”, podał ulotkę bez słowa i ruszył dalej.

Załoga skupiła się obok Janka. Szarik wskoczył na pancierz, wetknął swoją ciekawą mordę między głowy czołgistów, zaglądał dowódcy przez ramię.

— Do generałów, oficerów, podoficerów i kołnierzy Wojska Polskiego — czytał Kos w świetle witającego dnia. — Towarzysze broni! Chwałą odniesionych zwycięstw, swoim potem i krwią zdobyliście prawo gromienia berlińskiego ugrupowania nieprzyjaciela i uczestniczenia w szturmie Berlina...

Przerwał na chwilę, czując, jak skurecz wzruszenia podchodzi mu do gardła. Od niedalekich okopów' piechoty usłyszeli donośny głos Konstantego Szawełły, czytającego tę samą ulotkę.

— Dzielni żołnierze! — zaciągał śpiewanie. — Wzywam was do wykonania zadania bojowego, do rozgromienia berlińskiego ugrupowania nieprzyjaciela z właściwą wam dzielnością i umiejętnością, z honorem i chwałą. Z honorem i chwałą — powtórzył Szawełło i dodał od siebie: — Oto jak do nas, obywatele Polacy, ruski marszałek pisze: Od was zależy, aby gwałtownym uderzeniem pokonać ostatnie linie obronne i zmiażdżyć wroga...

Kos zerknął na zegarek — dochodziła godzina trzecia minut dwadzieścia — a potem chwilę patrzył na twarze swej załogi nie słysząc słów Szawełły. Słyszał w sobie upływające sekundy, a potem już tylko ciszę.

W oddali dudniło tamto, zaczęte wcześniej, przygotowanie artyleryjskie. Chłód coraz silniej kładł się na skronie. Bliska cisza poczynała niecierpliwic i drażnić. Pierwszy krzyk: „*Ognia!*”, błysk i łoskot salwy przyszedł jak wyzwolenie. Gwałtownie narósł huragan wystrzałów, krzyku, wybuchów. Ręką podał swoim komendę: „*do wozu!*”

Czołg z cyfrą 102 na wieży przez gęsty huk i świst wyjechał na skarpe, stanął przy słupie granicznym z białym orłem na krwistopomarańczowym tle, który zrywał się do lotu ze szczytu gruzińskiej góry. Otworzył ogień na drugi brzeg Odry, gdzie niskie zryte okopami pola i nieregularną kratownicę nasypów pokrywały gęste wybuchy. Przycięta lufa zmieniła sylwetkę wozu i ktoś mógłby sądzić, że to nowy typ działa.

Z okopów, z lasu obok czołgu zaczęli wychodzić żołnierze. Sierżant Szawełło zastukał kolbą po pancerzu i krzyknął w stronę uchylonego górnego wjazdu:

— *Tankisty*, dawajcie z nami.

Stromym jarem spłynęła w dół piechota, a za nią czołg zanurzony w piachu niczym okręt. Na dole chemicy zadymiali rzekę i w jasnym już świetle dnia widać było ludzi brodzących po pas, po piersi w warkoczach gęstniejącego wciąż dymu. Brodził w nim także „*Rudy*”. Janek wychylony z wieży kierował mechanikiem, który prawie niczego nie widział.

— W lewo. Ciut jeszcze... Dobrze. Wolniej... Stop.

— Gotowe. Mała naprzód! — krzyczał saper od promowego przyczółka.

— Naprzód — powtórzył Kos.

Oficer kierujący przeprawą cofał się z podniesionymi ku górze rękami, pokazywał, którą gąsienicą podciągnąć, którą przyhamować. Widzieli go tylko od pasa w maskującym dymie. Skrzyp belek im podpowiedział, że to już pomost, a miękkie ugięcie — że prom. Kiedy Saakaszwili zgasił silnik, usłyszeli plusk wody.

— Dawaj, dawaj! — krzyczał saper.

Ostry terkot motorówek przedarł się przez rzedniejący już nieco grzmot artyleryjskiego przygotowania. Prom drgnął i od pomostu poczęła odpływać wieża, otoczona popiersiami saperów i piechurów.

Z tamtego brzegu nadleciały pierwsze pociski nie zdławionej niemieckiej baterii, rozerwały się na brzegu. Jeden wpadł do wody, wzburzył dym i zakolysał promem.

— Jeszcze biją — rzekł Gustlik wyglądający przez peryskop.

— Na oślep — odpowiedział Kos.

— Oczy bolą od dymu i w gardle drapie — żalił się Grzegorz. — Wam w górze lepiej.

— To chodź tutaj. Póki płyniemy, nie masz co robić przy drążkach. I Tomka zabierz.

— Ja zostanę — oświadczył Czereśniak. — Dym jak dym.

Stali we trzech przy peryskopach, patrząc na żółtawe kłęby, falujące z wolna nad rzeką. Na przeciwległym brzegu z rzadka już tylko grzmiały wybuchy. Nagle wypłynęli z gęstej zasłony na czysty nurt i motorówki ciągnące prom zaterkotały seriami z erkaemów, poczęły omiatać niemieckie okopy.

Okopy milczały, ale z bunkra wbudowanego w wał przeciwpowodziowy błysnął ogień działa strzelającego na wprost. Nie usłyszeli nawet świstu wystrzelonego pocisku, trysnął pierwszy wybuch i wywrócił jedną z holujących łodzi.

W sekundę później „*Rudy*” dał ognia. Pocisk był dobry na kierunku, ale krótki — cisnął w górę fontannę przybrzeżnego błota i piachu.

Drugi granat z bunkra padł obok promu, odłamki poszarpały lewą burtę motorówki, zwiotczała nagle holująca lina, łódź zaczęła brać wodę.

Kos następne dwa pociski wpakował prosto w bunkier, skoczyły ku górze zdruzgotane belki.

Prom pozbawiony napędu począł się z wolna okręcać, armatnie odrzuty wcisnęły go z powrotem w dym. Usłyszeli za pancierzem okrzyki sierżanta Szawelły i zobaczyli, że piechota zrzuca na wodę gumowe pontony i prowizoryczne tratwy, pod przykryciem czołgowego ognia wiosłuje co sił ku zachodniemu brzegowi.

Zostawszy sami, dali jeszcze kilka serii z kaemu, położyli na brzeg sześć czy siedem odłamkowych. Widać było, jak piechurzy na swych okrętach osiadają na płyciźnie, jak biegną po kolana w wodzie, prowadząc ogień z automatów, a potem znowu wszystko zasnuł dym.

W gęstej chmurze prąd Odry unosił prom z czołgiem, obracając go z wolna. Trzask serii walczącego desantu stopniowo cichnął.

— Do Gdańska dowiezie — powiedział niespodziewanie Tomasz i roześmiał się z własnego dowcipu.

— Raczej do Szczecina — mruknął Kos i rozkazał: — Sprawdź Gustlik, co na promie.

Jeleń otworzył właz, ześliznął się po pancerzu i obiegł wóz dokoła, zaglądając w pontony.

— Nikogo — zameldował wychylonemu z wieży Kosowi. — Są dwa okute żelazem drągi — pokazał trzymane w ręku bosaki.

Zeskoczył Janek i Grigorij. Wyleźli przednim włazem Tomasz i Szarik.

— Wyniesie nas z dymu pod same lufy. Będą mieli jak skwarę w zupie — stwierdził Saakaszwili.

— Rzeka skręca, prąd może rzucić pod brzeg — głośno rozważył Kos.

— Pod szwabski — wtrącił Gustlik.

— Byle dobić. Albo uda nam się zamaskować, albo... Darmo nas nie będą mieli. Szukajcie dna.

Tomasz i Gustlik z bosakami stanęli na pontonach, raz i drugi zanurzyli drągi w wodę.

— Jest — zawołał cicho Czereśniak, usiłując hamować bieg.

— Trzymam — odpowiedział mu Gustlik. — Grunt...

Na przemian wymacywali dno i zapierając się stopami w burty, kierowali prom na płyciznę.

— Brzeg z lewej podchodzi — szepnął Jeleń. — To nie nasz.

— Będzie nasz — rzekł Janek. — Nie mamy zresztą wyboru. Podciągniemy — zwrócił się do Grigorija.

Położyli koło gąsienicy pistolety maszynowe, zrzucili buty i kurtki. Jeden po drugim, tuż u burty, zsunęli się do wody. Brodząc po piersi chwycili za przerwane linki holownicze. Szarik chwilę kręcił się po promie, potem skoczył do wody i popłynął w ślad za swym panem.

Nim minęła minuta, dowódca i mechanik wyszli na płyciznę i ciągnąc prom jak burlacy zbliżali się krok za krokiem ku majaczącym przez dym zaroślom.

— Wiklina jak las. — Janek ciężko dyszał. — Może przykryje.

Obejrzał się w stronę promu i zrozumiał, że jego nadzieje były daremne — z krzaczastego brzegu zatoczki, niewidzialni dla pochyłonych nad bosakami Tomasza i Gustlika, skakali na pokład piechurzy w panterkach.

— Niemcy! — krzyknął ostrzegawczo.

Wraz z Grigorijem ruszyli przez wodę z powrotem do promu, na którym zostawili broń. Obok płynął Szarik. Na ich oczach rozgrywała się walka.

Słyszając krzyk Kosa, Gustlik odwrócił się i mocnym uderzeniem drąga podciął nogi dwóm pierwszym. Tomasz zepchnął trzeciego do wody. Jeleń sięgnął po automat przewieszony przez plecy, Czereśniak po karabin oparty o przedni pancerz, ale tuż obok mieli atakujących Niemców. Jeszcze pchnięcie, cios kolbą i padli zwaleni z nóg na pomost.

W stronę zanurzonych po piersi Kosa i Saakaszwilego zwróciły się lufy automatów.

— *Komm, komm her!* — wołał na nich Unterfeldwebel.

— *Och, wie gross sind die polnische Fische* — śmiał się inny z mokrych i bezbronných.

Podczas gdy Niemcy pokrzykiwali, Janek mówił cicho do płynącego obok psa:

— Do domu, Szarik, Marusi szukaj... Paszoł..

Wehrmachtowcy podnieśli z pomostu Jelenia i Czereśniaka ze związanymi na plecach rękami. Wyciągnęli z wody Kosa i Saakaszwilego, skrepowali ich również.

Tymczasem Szarik dał nura między pontony pod promem, przepłynął na drugą stronę i równo pracując łapami sunął przez rzekę zasnutą dymem. Uszy położył po sobie, pysk niósł tuż nad drobnymi falami.

Minęła spora chwila, nim Niemcy zorientowali się, że psa nie ma.

— *Wo ist der Hund, du Wasserheld, wo ist dein...*

Trzasnął odciągany zamek pistoletu maszynowego, seria prysnęła po wodzie niedaleko Szarikowego łba.

— *Warte mal* — Unterfeldwebel powstrzymał gestem niefortunnego strzelca i podrzuciwszy do oka karabin Tomasza, począł uważnie mierzyć.

— Z mojego? — mruknął oburzony Czereśniak.

Szarpnął się do przodu, kopnął celującego pod kolano. Huknął wystrzał, kula poszła wysoko w niebo. Podoficer wstał i pokazując nikiący we mgle łeb psi, rozkazał swoim:

— *Feuer.*

Trzasnęły gęste salwy, a Unterfeldwebel, zbliżywszy się do trzymanego za ramiona Tomasza, z rozmachem uderzył go pięścią w twarz.

## ROZDZIAŁ 39. ATAK NA ŚMIERĆ

Na południe od Kostrzyna Odra staje się podobna Wiśle pod Grudziądem. Płyną w niej nie tylko obie Nysy, Bystrzyca i Bóbr, chłodne od topniejących w Sudetach śniegów, nie tylko Mała Panew, biorąca początek na południe od Częstochowy, i Barycz ze Wzgórz Trzebnickich wypływająca, lecz Warta z Notecią, które zbierają wody z południowej części Pojezierza Pomorskiego, z Kujaw, z Ziemi Lubuskiej i szerokiej Niziny Wielkopolskiej, sięgają źródłami aż na Wyżynę Krakowsko–Częstochowską. Niechętna dopływom z zachodu, niesie Odra w stronę morza wody z połowy Polski zebrane, toczy je falą spokojną, lecz mocną zdolną ciężkie statki unosić. Jaskółki nie od razu puszczają swe młode do lotu na drugi brzeg.

Kiedy Szarik dostał od Janka rozkaz powrotu, nie zdawał sobie sprawy, jak daleka droga go czeka — przeciwległy brzeg zasłonięty był dymem. Rozumiał tylko, że stało się nieszczęście i łeb trzeba trzymać nisko nad wodą, a uszy po sobie położyć. Usłyszawszy świst i trzepot kul pierwszej serii, przyspieszył i począł zmieniać co chwila kierunek, by utrudnić celowanie. W wodzie nie można było tak ostro kluczyć, jak uczył go Kos na łąkach i w lesie, ale system był dobry — po pojedynczym wystrzale, który prześwistał wysoko górą, przyszły dwie gęste salwy i jedna legła w prawo, a druga — w lewo od głowy. Zaraz potem dal nura w gęstą smugę żółtawego dymu, który go przed strzelcami osłonił.

Szarik poczuł, że jest zmęczony, zwolnił i nabrał głęboko powietrza w płuca. Zakrztusił się, zapiekło w gardle. Wyskoczył ponad falę i wtenczas nadleciała garść kul wystrzelonych na ślepo, jedna ukąsiła go w łapę. Ugryzła tak mocno, że poczuł drętwienie mięśnia i ból sięgał barku. Stracił rytm, opadł, napił się wody i po raz pierwszy pomyślał ze smutkiem, że jeśli brzeg jeszcze daleko, to on, Szarik, nie dopłynie i sprawi przykrość Jankowi, Marusi, załodze...

Brzeg był daleko, lecz wilczur o tym nie wiedział, bo ponad wodą, Ignąc do fali, snuły się wciąż strzępy zasłony z przeprowowego odcinka. Być może lepiej, że nie wiedział. Łudząc się, że już za najbliższym pasmem dymu zobaczy piasek plaży i wkrótce potem zaczepi pazurami o dno, łatwiej

opanowywał skurcze w mięśniach, ból w piersi i krtani, pokonywał strach, który chciał skomleć i wyć z rozpaczy.

Przyszła jednak chwila, w której mięśnie odmówiły posłuszeństwa i pękła napięta nić woli. Przymknął ślepią, wyprostował łapy i poszedł pod wodę. Objął go chłód i ciemność. Trącił nosem o coś miękkiego, obrzydliwego, n ranną łapą zaczepił o drut kolczasty wleczony przez belkę wyrwaną z zasieku.

Oprzytomniał z bólu, odbił się i wypłynął na powierzchnię. Chwilę bezmyślnie trzepał łapami, obracany wkoło przez łagodny wir, a potem zrozumiał, że skoro się odbił od dna, to choć brzegu nie widać, musi tu hyc mielizna.

Rozejrzał się i o parę metrów pod prąd zobaczył niską, malutką wysepkę. Zawrócił ku niej, płynąc z wysoko uniesioną głową, jakby był znowu w pełni sił. Kiedy jednak zgruntował i szedł, coraz bardziej wynurzając się z Odry, czuł, jak z każdym krokiem ciało jego wypełnia ciężar ołowiu. Odruchowo spróbował strząsnąć wodę z sierści, upadł i stracił przytomność.

Na wysepce ledwo mieściły się dwa wierzbowe krzaki i poczerńiałe od wilgoci drewno, przyniesione wiosenną powodzią. Nawet ptaki nie uwiły gniazd. Obok prąd niósł powoli strzępy bitwy toczonej w górze rzeki: żołnierską polówkę, złamane wiosło, drewnianą łódź, pogruchotaną pociskami i wywróconą do góry stępką.

Minęło chyba pół godziny, nim zza drewna dźwignął się psi łeb i opadł. Szarik leżał na boku w powoli schnącej kałuży, dyszał ciężko. Podciągnął skaleczoną łapę i popiskując począł zlizywać krew językiem. Był śmiertelnie zmęczony przeprawą, powieki opadły mu na oczy. Łeb ciężko wgniatał się w piasek.

Cały czas niedaleko dudniła i grzmiała bitwa, lecz teraz powiew wiatru przyniósł dźwięk bliżej i pies usłyszał wyraźnie huraaa! atakującej piechoty. Uniósł głowę, zobaczył brzegi — daleko wrogi i blisko własny.

Wilczur zebrał wszystkie siły, obrócił się i wpełznął do wody. Stał chwilę na dnie zanurzony po barki, a potem odbił się, ruszył przed siebie i płynął coraz dalej od wyspy. Głowa jego nikięła za falami, wynurzała się i znowu zapadała w wodną dolinkę. Pomagał mu prąd, niósł w stronę polskiego brzegu, pomogła pod koniec szeroka piaszczysta płycizna.

Wydostawszy się na brzeg nawet nie próbował otrząsnąć futra z wody. Bał się, że straci czas jak na wyspie, a przecież Marusię trzeba odnaleźć



możliwie najszybciej. Zostawiając za sobą mokry ślad, utykając na przednią łapę, powędrował od rzeki stromym jarem w stronę urwiska i lasu.

Wolno przekradał się krzakami, przypadał do ziemi, gdy obok szli ludzie obcy, ale dziś nikt nie zwracał na niego uwagi — wszyscy zajęci byli rozpoczętą przeprawą i walką toczoną na tamtym brzegu. Tyle że za każdym razem trudniej mu było wstać, mięśniami wstrząsały dreszcze, piekła rana, a głowa stawała się coraz cięższa.

Nie dostrzeżony dotarł do drogi, którą zaledwie wczoraj jechał ze swym panem do Marusi. Spojrzał w jedną, drugą stronę i wybrał właściwy kierunek, ruszył dalej. Potknął się o korzeń, ciężar łba zarzucił nim raz i drugi. Upadł, chciał wpełznąć między krzaki, ale świat w oczach zmętniał mu i zgasł.

...Kiedy odzyskał przytomność i obrazy wróciły pod uniesioną powiekę, zobaczył nad sobą niewyraźne sylwetki dwóch ludzi. Mówili coś do siebie, jeden lekceważąco machnął ręką, a drugi podniósł automat do strzału.

Na widok lufy Szarik szarpnął łeb i warknął. Poznawszy sierżanta z żandarmerii, usiłował machnąć ogonem, ale mu się to tylko częściowo udało.

— Pilnuj, nie daj uciec — rozkazał sierżant żołnierzowi i odszedł szybkim krokiem.

Szarik pomyślał, że pewno po wodę poszedł i da mu pić.

Za chwilę podoficer wrócił z młodziutkim chorążym.

— Ten sam. Poznał nawet i chciał zamerdać.

— Miałem nosa, że tamten młody to szpieg — zdecydował chorąży. — Psa z meldunkiem posłał za rzekę. Dlatego taki zmachany i mokry. Weźcie go i przy wiążcie dobrze, a ja dzwonię do sztabu.

Oficer odszedł, a wilczur, pozwoliwszy zawiązać sobie rzemień na szyi, leżał na ścieżce, wypoczywał, czekając ufnie pomocy, i spoglądał na maszerującą drogą radziecką piechotę. Żołnierze szli rozmaicie odziani, jak to na froncie, kryli i równali nie tak jak na defiladzie, ale krok równo unosił falę hełmów kołysaną śpiewem.

*My wintowku boje wuju*

*niezabudiem nikogda*

— wyciągał zapiewajło.

Szeregi czekały, aż przygaśnie ostatnia nuta, i chór podchwytywał:

*Rozwiwajsia w rozsypnuju  
Łutsze budiet bit' wraga.*

Za ostatnim szeregiem była przerwa, z dala nadciągał następny oddział i Szarik nagle stanął na nogi, szarpnął się, zaciskając na szyi rzemień, gdyż zobaczył na czele Czernousowa, a w pierwszej czwórce na prawym skrzydle, obok największych dryblasów, drobniutką sanitariuszkę Marusię–Ogoniok.

*Ech jediet kozak, letit samolot  
Krasnaja piechota...*

— *Odstaw!* — niespodzianie rozkazał starszyna.

Maszerując nasłuchiwał uważnie, bo mu się zdawało, że szczekanie usłyszał. Ależ tak, gdzieś blisko zaszczekał i teraz skomli żałośnie pies.

— *Kak dumajesz?* — spytał, odwracając się w stronę Marusi.

— *Na Szarika pochoże, towariszcz starszyna.*

— *Razwiedczyki... stoj! Wolno.*

Zatrzymali się zwiadowcy, a Czernousow, gdy tylko zszedł z drogi, zobaczył leżącego pod sosną wilczura z linką na szyi, ze związanymi przednimi i tylnymi łapami.

— *Kakowo czorta* — zaklął starszyna.

Nie zwracając uwagi na wartownika przyklęknął i dobywszy noża rozciął rzemień.

— *Starszyna!* — okrzykiem starał się go powstrzymać nadbiegający chorąży. — Zostawcie. To niemiecki wilczur.

— Alzacki, nie niemiecki.

— W niemieckiej służbie.

— *Oszejnik widieli?* — Czernousow wskazał obrożę.

— Każdy może zrobić. Nie wasza rzecz, zostawcie.

Czernousow schował do pochwy nóż. Wstał i uważnie patrzył na młodego oficera.

— *Sobaka nie niemiecka, nasza. Wot widitie...*

Szarik dźwignął się, stanął chwiejnie na zdrętwiałych nogach i unosząc mordę, polizał zwiadowcę w rękę.

— Zostawcie, powiedziałem. Patrol!

Sierżant i szeregowiec stanęli u jego boku z rękami na pistoletach maszynowych.

— *Da szto wy? Pugat' zadumali?*

Czernousow uśmiechnął się i włożywszy do ust dwa palce gwizdnął po zbójceku. Na ten znak zwiadowcy otoczyli swego dowódcę półkrygiem groźnych twarzy.

— No, jak? Jeszcze macie zamiar straszyć? — spytał chorążego, a potem zwrócił się do swoich: — *Uznajotie sobaku?*

— *Kakże niet? Szarik! Nasz Szarik.*

— *Bieritje jewo na płaszcz-pałatku. Ustał i ranienyj.*

Ogoniok opatrzyła już łapę rozciętą kulą i ułożyła psa w brezentowej kołysce, zawieszanej na dwu karabinach, a Czernousow, zasalutowawszy regulaminowo chorążemu, wrócił na drogę, mówiąc półgłosem do sanitariuszki:

— *Widiela, kakoj naczalnik? Mołodoj, a dusza żandarmskaja.*

— *No poczemu sobaka zdies'?* Czto s Jankom, s rebiatami? — niepokoiła się Marusia.

— *Pożywiom, uwidim* — odpowiedział zatroskany Czernousow i żeby ją pocieszyć dodał: — *Może już pod Berlin dojechali?*

Zwiadowcy bez komendy stanęli w szyku.

— *Szagom... marsz.*

Ruszyli, przybili trzy kroki i zaraz w pierwszej czwórce ktoś świsnął, podjął przerwany refren:

*Ech jediet kozak, letit samolot*

*Krasnaja piechota do Bierlina dojdioł.*

Do Berlina nie było daleko: od granicznego słupa, który na brzegu Odry ustawiła załoga „*Rudego*”, w linii prostej do samej Bramy Brandenburskiej wszystkiego sześćdziesiąt siedem kilometrów, a spod Cedyni to nawet mniej niż sześćdziesiąt. Szosą od Kostrzyna — dziewięćdziesiąt jeden. Tyle że wszystkie drogi i ścieżki zostały przegrodzone rowami przeciwczołgowymi, zaporami z betonowych i metalowych jeży, polami minowymi i okopami, a gdzie niżej — zatopione wodami rzeki.

Przylegające do Odry tereny ufortyfikowali hitlerowcy na głębokości czterdziestu kilometrów trzema pasami umocnień, składającymi się z

dziesiątek pozycji, setek rejonów przeciwpancernych i tysięcy zamaskowanych działobitni oraz stanowisk dla niszczycieli czołgów. Przekształcone w twierdzę centrum Berlina otoczyli trzema obwodami obrony, każdy z paru linii okopów, każdy setkami barykad przegradzający ulice.

Hitlerowskie dowództwo rozformowało wszystkie zapasowe jednostki, szkoły i akademie wojskowe, wszystkich wysłało do Berlina i nad Odrę, mało dbając o zbliżających się z zachodu Amerykanów i Anglików.

*„Wojna rozstrzygnie się nie na zachodzie, lecz na wschodzie, przede wszystkim w pasie naszej 9 armii — pisali 3 kwietnia kierownicy hitlerowskiej partii do dowódców pułków i dywizji. — Oczekiwane natarcie bolszewików musi być odparte bez względu na okoliczności. Warunki po temu istnieją — posiadamy niezbędną ilość ludzi i uzbrojenia. Nasz wzrok winien być skierowany tylko na wschód, bez względu na to, co się będzie działo na zachodzie. Utrzymanie wschodniego frontu stanowi nieodzowny warunek przełomu w wojnie na naszą korzyść...”*

*„Walczcie o każdą ulicę, dom i ruinę, o każdą piędź ziemi.”* — żądał rozkaz niemieckiego naczelnego dowództwa skierowany do miliona żołnierzy, którzy bronić mieli berlińskiego kierunku, wsparci przez 3300 samolotów, 1200 czołgów i 8000 artyleryjskich luf.

Kiedy rankiem 16 kwietnia ruszyły do natarcia dwa radzieckie Fronty, a w ich składzie dwie polskie armie liczące 186 000 żołnierzy, 320 samolotów, 500 czołgów i 3100 dział, nikt jeszcze nie wiedział, jak szybko zostaną przełamane linie obronne hitlerowców i za ile dni skończy się wojna.

Kiedy rankiem prom z czołgiem 102 na pokładzie, okruch w skalnej lawinie ofensywy, przybił do zachodniego brzegu Odry, byli jeszcze tacy Niemcy faszyści, którzy wierzyli w przełom wojny, w genialne posunięcie polityczne *führera*, skłócające aliantów, lub też w Wunderwaffe, broń cudowną, spalającą jednym wybuchem całe dywizje piechurów wroga lub też druzgocącą jego czołgi. Byli tacy, którzy wierzyli i starali się wszystko rzucić na szalę ostatniej wielkiej bitwy.

Na niewielkim poligonie Kandlitz, ukrytym wśród lasów na północny wschód od Berlina, przeciwpancerna półbateria prowadziła ogień do czołgu T-34. Raz po raz pociski biły w wieżę tak już pokaleczoną, że trudno było

odczytać nie tylko numer taktyczny, lecz nawet rozpoznać, jaki nosiła znak: orła czy gwiazdy.

Chwila ciszy i znowu huk wystrzału, jęk stali rozszarpywanej pociskiem, przepalanej na wylot płomieniem eksplozji.

Na maszt sygnalizacyjnej wieży poczęła wspinać się flaga nakazująca przerwanie ognia, lecz raz jeszcze szczęknęło działo. Granat trafił niżej, zerwał blachy z błotnika, odsłonił resztki gąsienic na zardzewiałych kołach nośnych wraku, który stał wśród wysokich suchych badyli zeszłorocznego ostu.

Od wygodnej morskiej lornety, umieszczonej na statywie w obserwacyjnym bunkrze, podniósł uśmiechniętą, szczęśliwą twarz siwiejący już człowiek.

— Schauen Sie, bitte, meine Herren, patrzcie, proszę, panowie — rzekł z dumą. — Z tuzina dziesięć na wylot.

— Nieźle. Gratuluję wynalazku. — Tęgi brigadeführer SS wyciągnął rękę. — Ile pocisków może dać pańska fabryka?

— Miesięcznie możemy wyprodukować...

— Pytam pana, inżynierze, o produkcję dzienną. Pięćset czy tysiąc?

— Około trzystu.

— A jeżeli oddam wam do dyspozycji amunicyjny dział Konzentrationslager Kreuzburg? Pan zdaje się zapominać, że dziś o świcie na południowym i centralnym odcinku berlińskiego frontu bolszewicy rozpoczęli ofensywę.

Trzeci obserwator, smukły kapitan o blond włosach, dopiero teraz oderwał oczy od obiektywu swej lornety i zwrócił w stronę rozmawiających pogodną miłą twarz.

— Armie niemieckie nie cofną się znad brzegów rzek. Führer — wyprostował się, lekko stuknął obcasami wymawiając te słowa — wydał rozkaz: „*Um jeden Preis an der Oder halten!*”

— Przyzna pan, kapitanie, że nawet kilkaset pocisków nowego typu ułatwiłoby naszym wojskom wykonanie rozkazu wodza — wtrącił konstruktor.

— „*Zeit verlieren, heisst alles verlieren!*” — brzmi zdanie z tego samego rozkazu. „*Stracić czas, to znaczy stracić wszystko*” — rzekł oficer. — Przystawienie fabryki zahamuje produkcję, a przecież żadnemu z nas trzech

nie wolno o tym zdecydować lekkomyślnie... Pragnąłbym, Herr Brigadeführer, zobaczyć, jak pociski działają na cele ruchome. Podkalibrowe rykoszetują łatwiej niż zwykle. A jak zachowują się kumulacyjne? Nie wiem, czy ów przepalający pancierz płomień...

— Rozumiem — uciał esesman — lecz przesadna ostrożność pogrzebała już sporo akcji Abwehry.

— Podobnie jak niecierpliwość, która dość często uniemożliwiała innej organizacji...

— Skończmy na tym — stanowczo rzekł brigadeführer i zawołał: — Scharführer Wert! Ściągnijcie tu sprawny *Te–vierunddreissig* z jakiejś dywizji. Z wszystkimi bebechami, niech nie okradają przed oddaniem — tłumaczył adiutantowi, który pojawił się jak spod ziemi, a wysłuchawszy rozkazu stuknął obcasami i bez słowa ruszył do wyjścia.

— Panów tymczasem proszę na obiad.

— Z przyjemnością — ucieszył się konstruktor i zachęcony gestem wszedł pierwszy w wąską szczelinę wyprowadzającą z bunkra.

Kapitan lekko dotknął ramienia esesmana, wstrzymał go i cicho zagadnął:

— Jakie ostatnie meldunki o sytuacji nad Odrą?

— Nie jest źle, Braun — odrzekł zagadnięty. — Walki na pierwszej i drugiej pozycji. Nie przełamią trzeciej bez wprowadzenia jednostek pancernych.

— Na wprost Berlina...

— Utkną na Wzgórzach Seelowskich i nad Alte Oder — zapewnił brigadeführer, lekko popychając kapitana w stronę wyjścia. — Rosjanie czy Polacy potrafią bronić swego domu z zaciętością psa podwórzowego, ale nie mają w piersi rycerskich serc, które prowadziły daleko na wschód drużyny Wichmana, Albrechta Niedźwiedzia czy Henryka Lwa...

Obiad był prosty. W pustawej sali tuż obok działobitni jedli smażone mięso na blaszanych talerzach, siedząc przy stole obitym ceratą, ale trunków nie brakło — przywieźli je z sobą. Konstruktor wypił być może o kieliszek za dużo i głośniejszy, niż tego wymagało niewielkie towarzystwo, tłumaczył zalety swych pocisków.

— Ruch wirowy spowodowany gwintem przewodu lufy poważnie osłabiał zdolność przebijania pocisku kumulacyjnego, zmniejszając szybkość snopa gazów z dziesięciu kilometrów na sekundę do wartości... Granat

bezwirowy jest stabilizowany pierścieniem wirującym na łożyskach wokół nie obracającego się korpusu...

— Szczegóły konstrukcyjne stanowią tajemnicę państwową — chłodno zauważył Braun.

— Masz rację, Hans — stwierdził inżynier.

Wychylił do dna swój kieliszek, nalał następny. Poblady zarówno z przejęcia, jak i z przyczyny nadużycia alkoholu, wstał.

— *Wissen Sie, wie unsere stärkste Wunderwaffe heisst? Unser Wunderführer* — trącił o szkło siedzącego naprzeciw esesmana. — *Prosit.*

Obaj wojskowi ledwo umoczyli usta. Czas był nie najwłaściwszy do wygłaszania przesadnych pochwał. Nazywanie wodza genialnym inaczej brzmiało ongiś w Warszawie, Paryżu czy pod Moskwą, a inaczej w Kandlitz, prawie na przedmieściach Berlina.

Scharführer Wert wszedł cicho, pochylił się nad swoim zwierzchnikiem i złożył mu półgłosem meldunek.

— *Sind alle hier?* — dopytywał się tamten. — Wszyscy są tutaj?

— *Jawohl, Herr Brigadeführer.*

— *Meine Herren* — z uśmiechem rozpoczął esesman — mam dla was prawdziwą niespodziankę: koło naszych armat stoi nie tylko sprawny *Te- vierunddressig* z nietypowym podobno działem, zdobyty dziś rano nad Odrą, ale jego cała załoga.

— Załoga? — zdziwił się konstruktor.

— Tak. Powiedziałem, żeby z bebeciami, żeby niczego nie demontowali, a oni przysłali z całą załogą — śmiał się wstając zza stołu. — Do pracy, an die Arbeit, meine Herren.

Narzuciwszy płaszcz na ramiona wyszli przed barak. W wiosennym słońcu białał po lewej bunkier obserwacyjny z wąskimi ciemnymi szczelinami. W prawo od niego, w płytkich okopach, zieleńiały na pozycjach dwa działa przeciwpancerne. Przy nich prężyli się na baczność kanonierzy obsługi i wysłużony, z protezą zamiast nogi, oficer kierujący doświadczalnym strzelaniem.

Tuż obok stał przykurzony czołg z napisem RUDY na burcie i jego załoga bez pasów i czapek, w mundurach noszących ślady niedawnej walki. Szeregowiec miał ciemny krąg wokół podbitego oka, a na policzku bruneta,

którego skórzana zatłuszczona kurtka zdradzała mechanika, krwawiła rozcięta skuła.

— *Och, das sind doch Polen* — wykrzyknął brigadeführer.

Cień przemknął po twarzy kapitana, leciutko drgnęły mięśnie szczęk. Prześliznął się wzrokiem po twarzach żołnierzy i rzekł spokojnym, obojętnym tonem:

— *Kein Unterschied, das ist derselbe Panzerwagen*. Cóż za różnica, taki sam czołg.

— *Die tapferen Polen vor Berlin* — mówił do siebie esesman, krocząc z wolna i przypatrując się jeńcom. — *Dzielni Polacy pod Berlinem. To bzdura, das ist doch Unsinn...*

Zamilkł, przeszedł się jeszcze dwa razy tam i z powrotem wzdłuż krótkiego szeregu, ważąc decyzję, i począł wydawać rozkazy:

— Amunicję wyrzucić z czołgu, co do jednego pocisku i naboju. Gdzie są pasy i czapki? Dajcie tu. Chcę z nimi porozmawiać jak z żołnierzami...

Kanonierzy rzucili się spieszenie do wyładunku, jeden z nich przyniósł brakujące części umundurowania. Esesman wziął garnizonową rogatywkę rotmistrza i trzymając ją w wyciągniętej ręce podawał czołgistom.

Stali nieruchomo, patrzyli spode łba.

— *Wer spricht deutsch?*

— *Ich* — odpowiedział Kos.

— *Jeder Feind, der die deutsche Grenze Übertritt, wird den sicheren Tod finden*, każdy wróg, który przekroczył niemiecką granicę, znajdzie śmierć, ale chcę wam dać szansę. Jeśli jesteście mężczyznami...

Tomasz zachwiał się, oparł o ramię Saakaszwilego. Wdział czapkę i dopinając pas patrzył z nienawiścią na czarno odzianego esesmana. Nic nie rozumiał z coraz ostrzejszego, narastającego bulgotania. Mrugał opuchniętym, podbitym okiem, by widzieć lepiej, i starał się oddychać głęboko, żeby powstrzymać narastające w żołądku mdłości.

— *Übersetze* — zakończył brigadeführer.

Odstąpiwszy dwa kroki, popatrzył tryumfalnie na konstruktora i Brauna, a potem dorzucił cicho:

— *Das ist ein guter Witz, to dobry kawał.*



— Jawohl, aber ich meine, es wäre besser... Tak, ale sądzę, że byłoby lepiej... — zaczął kapitan i pochyliwszy się do ucha tamtego kończył swoją propozycję zupełnym szeptem.

— On obiecuje... — zaczął Janek zwracając się do załogi.

— Nie wierzę pieronowi ani pół słowa — mruknął Gustlik.

— Czekaj, muszę im wytłumaczyć — ciągnął Kos. — Obiecuje, że jeśli jeden z nas doprowadzi czołg z odległości kilometra na sto metrów do tych dział, będziemy wolni.

— Jak to? — zdziwił się Tomasz.

— Twierdzi, że przerzucą nas za linię frontu.

— Cztery minuty jazdy: Zdążą osiemdziesiąt pocisków wystrzelić — kalkulował półgłosem Saakaszwili. — Ale kaliber nieduży.

— Pociski specjalne. Tam stoi wrak podziurawiony jak durszlak.

— Powiadom wam, że ta esesmańska świnka cygani i jeszcze chce nas za błazna zrobić.

Od strony Berlina przytoczył się głuchy daleki grzmot, ale to nie było echo bombardowania, lecz zapowiedź burzy. Piętrzył się ogromny cumulus, pociemniały dołem, a górą formujący siwe kowadło. Niespokojny podmuch zaszeleścił w piasku pod nogami.

— Pojadę. Powiedz mu, że pojadę — rzekł Gruzin zaciskając szczęki.

— Grześ... — zaczął Kos, ale urwał, napotkawszy gniewne spojrzenie Saakaszwilego.

— *Wer ist der tapferste?* — spytał brigadeführer, podchodząc bliżej ze swymi towarzyszami. — Kto najdzielniejszy?

— Pojadę — wystąpił do przodu mechanik.

— Du bist ein Pole? — zdziwił się esesman.

— Dla ciebie Polak, cholera by cię wzięła — zaklął Gruzin.

Esesman uśmiechnął się, wskazał na kapitana i unosząc brwi, oświadczył:

— Mein Kollege schlägt vor... Übersetze, bitte.

— Jego kolega proponuje... — tłumaczył Kos.

— Die ganze Mannschaft soll hereingehen.

— Żeby cała załoga była w czołgu podczas jazdy.

— Cobyś zgnił, mamlasie — mruknął wściekle Gustlik.

Szansa była jedna na sto, że zdążą pokonać dziewięćset metrów, nim czołg stanie w płomieniach, nim zginą rażeni odpryskami rozszarpywanej stali

pancerza. Potem zaś, gdyby los się uśmiechnął, jedna na tysiąc, że ów wysokiej rangi esesman z dwoma dębowymi liśćmi i srebrnym kwadratem na kołnierzu czarnego munduru, z trupa czaszką na czapce dotrzyma słowa. Mieli więc po prostu zostać rozstrzelani w oryginalny sposób, wziąć udział w okrutnej zabawie — w ataku na śmierć.

Pierwszy ruszył łaciaty łazik z oficerami i konstruktorem. Za nim „*Rudy*” prowadzony przez tego samego Niemca, który transportował wóz z frontu na poligon. Załoga stała na panczerzu, trzymając się za uchwyty wieży.

— Chłopcy, odbijemy? — zaproponował Gustlik.

— Daleko nie odbiegiesz. — Kos spojrzął na półciązarówkę z uzbrojonymi żołnierzami, która zamykała kolumnę. — Pomyślałby drań, żeśmy się przestraszyli czołgowej śmierci.

— Źle mi się ta dziuszka wyśniła. Ślubu nie będzie.

Chwilę jechali w milczeniu, ciasno spleceni ramionami. Każdy myślał jednak o swoim losie.

— Medal to ojcu wyślą? — spytał Tomasz.

— Razem zawsze weselej, co, Grześ? — rzucił Kos.

Gruzin odwrócił głowę, w oczach miał łzy.

Z pierwszego samochodu zaczęli coś krzyczeć.

Kapitan stanął na siedzeniu i pokazywał ręką wrak. Wieża podziurawiona na rzeszoto wyglądała z bliska jak czaszka rozstrzelanego.

— Żeby ci ręka uschła, w imię Ojca i Syna — zamruczał Tomasz.

— Dużo masz ropy? — spytał Jeleń.

Saakaszwili skinął głową i lekko się uśmiechnął. Pomyślał, że to niewielka przecież różnica, czy „*Rudy*” gorzeć będzie godzinę, czy spłonie w parę minut. Kiedy występował o krok przed szereg i hardo odpowiadał czarnemu hitlerowcowi, zużył widać wszystkie siły i resztę odwagi. Czuł teraz, że mięśnie ma jak z waty, że serce łomocze, chcąc uciec z piersi, a chropawy orzech tkwi w przełyku nie pozwalając słowem przemówić.

Niemiecki mechanik przyhamował i starannie ustawił czołg na stanowisku wyjściowym. Od półbaterii zasłaniał go niewysoki dwumetrowy mur z betonu, poszczerbiony pociskami.

Janek musiał lekko trącić Grigorija i pokazać, że czas zejść z panczerza i stanąć przy gąsienicy, a potem patrzył na konstruktora, który siedząc na tylnej ławie łazika uśmiechał się głupio i ocierał pot z czoła. Przyglądał się także,

jak brigadeführer gestami pokazuje Saakaszwilemu, że po sygnale ma wyjechać, skręcić i gnać wprost na działa.

Wszystko to obserwował obojętnie, jak wydarzenia, które go nie dotyczą osobiście, póki nie przypomniał sobie, że jest przecież dowódcą. Mechanik i Tomasz stoją obok niego, a Gustlik... Gdzie Gustlik?

Zza czołgu wytoczył się Jeleń osłaniający twarz dłońmi. Za nim wypadł niemiecki kapitan, ten sam, który zaproponował, by cała załoga była w wozie podczas jazdy, władował mu z doskoku drugi sierpowy i poprawił w żołądek. Ślżzak zgiał się, klęknął, z trudem wstał.

— Was ist los? — krzyknął esesman wstając z siedzenia łazika.

— Der Hund hat Patronen in der Tasche, ten pies miał naboje w kieszeni.

Kapitan poprawił mundur, strzepnął z kołnierza ślady kurzu i sięgnąwszy do kieszeni pokazał na otwartej dłoni sześć karabinowych naboii.

— Ach so — zdziwił się esesman. — Jedes Spiel hat seine Regel, każda gra ma swoje zasady, których nie wolno łamać — kpiąco tłumaczył zwracając się do wykrzywionego, ciężko dyszącego Jelenia.

Warknął silnik i sztabowy łazik odjechał w stronę działobitni. Załoga, teraz już w komplecie, stała obok czołgu. Pilnowali jej żołnierze z automatami w rękach.

Czereśniak przyłożył dłoń do spuchniętego oka i bezgłośnie poruszał wargami. Saakaszwili otarł wilgotne czoło. Kosowi drgnęły ramiona od wewnętrznego dreszczu.

— Mocno cię sukinsyn zaprawił? — spytał szeptem Gustlika.

— Mo ręka — chwytając oddech odpowiedział Jeleń.

— Miałeś w kieszeni naboje?

— Nie. On mi wsunął.

— Drań.

— Nie bardzo.

— Bo co?

Od strony dział strzeliła w górę rakietka.

— Rein — rozkazał załodze niemiecki wartownik.

Sekundę stali jak sparaliżowani, a potem Kos napiętym, wyższym niż zwykle głosem podał komendę:

— Do wozu.

Wytrenowanymi ruchami wspięli się na pancierz, wśliznęli do wnętrza, które długo było im domem, a dziś miało się stać wspólną trumną. Kos odkleił fotografię pierwszego dowódcy, zdjął jego oba krzyże i schował do kieszeni na piersiach.

Saakaszwili puścił przodem Tomasza, potem siadł na swym miejscu, lecz nie dotykał drążków, nie stawiał nóg na pedałach. Splótł palce, by opanować drżenie rąk. Przed otwartym włazem stał wartownik z wymierzonym w jego twarz automatem.

Grigorij pomyślał, że prościej byłoby zerwać się, skoczyć, zmusić tamtego do strzału, przeżyć jak najszybciej ów ból, który go dzielił od ciemnej i wiecznej ciszy. Przymknął oczy, by nie widzieć czarnego otworu lufy, i zaciągnął się mocno powietrzem, przez które szły pierwsze niespokojne poddmuchy nadciągającej burzy.

Po zatrzaśnięciu górnych włazów w czołgu zrobiło się mroczno, oczy mieli jeszcze nawykłe do słońca.

— Chłopaki! — zawołał Gustlik przysiadając za plecami Grigorija. — Zanim zech od tego kapitana w pysk dostał, to on mi powiedział, coby nie skręcać pod lufy, ino naprzód do tarnin, a tam droga w wykopie pod las wyprowadzi...

— Jak ci powiedział? — spytał pospiesznie Kos.

— Po polsku.

— Wszystko jedno, dogonią — wtrącił Tomasz.

— Ale jest szansa, Grigorij, słyszysz?

Po twarzy mechanika wpatzonego w lufę pistoletu maszynowego spływały grube krople potu. Drgnęły mięśnie zaciśniętych szczęk. Cichutko podzwaniały zęby.

— Grześ, słyszysz? — po raz drugi powtórzył Kos za jego plecami i rozkazał: — Kładziemy się płasko na dnie, jest szansa...

Saakaszwili leciutko skinął głową na znak, że słyszał. Westchnął, oblizał wyschnięte wargi. Położył dłonie na drążkach, stopy na pedałach. Sięgnął w lewo do kontaktu i przypadkiem dotknął jelca szabli. Usłyszał cichy przyśpiew.

Cofnął rękę. Melodia zgasła.

Wyciągnął ramię z powrotem, zacisnął palce na rękojeści. Z oddali nadbiegły znajome tony pieśni, osłabły, wróciły mocniej. Przymknąwszy oczy, by światło sączyło się tęczowym łukiem pod powieki, nasłuchiwał.

Słów jeszcze nie pojmował. To mógł być zarówno Amiran Daresdżanidze skrzykujący pancerną drużynę, jak Grigorij Saakadze zwołujący powstańców przeciw safawidzkim najeźdźcom, wiedział jednak, że i jego wołają. Głosy odbite od gór niosły się nad zaroślami cierpkiego *kizylu*, nad fioletowymi łąkami pachnącej trawy *rehandi*, przebiegały winnice. Coraz mocniej towarzyszył pieśni rytm, coraz bujniej i groźniej unosił ją ku górze i nagle Saakaszwili zrozumiał, że to *dedamitca* — matka ziemia powtarza kroki idących do boju Gruzinów. Zrozumiał, wziął powietrze głęboko w piersi i niespodzianie dla siebie, dla załogi, dla strzegącego Niemca zaśpiewał pełnym czystym głosem:

— *Kartwelo theli hmals ikar...*

Wartownik, nie bardzo wiedząc, co ma robić, uniósł trochę wyżej automat, ale od strony dział akurat strzeliły w górę dwie rakiety, błysnęły na pociemniałym niebie. Zrezygnował z krzyku i zarzuciwszy pistolet maszynowy na plecy, mruknął:

— *Na, vorwärts, du Todsinger...*

Ustąpiwszy czołgowi z drogi, podszedł spokojnie w kierunku stojącej w wykopie ciężarówki, do reszty swoich kolegów.

Świsnęło sprężone powietrze, ruszyło koło zamachowe, nabierając pędu, i równocześnie donośniej zabrzmiały w uszach Gruzina głosy splatające się w jego pieśń. Zapalony silnik głębokim basem wzmocnił melodię, przeskoczył na wyższe obroty i dźwignął czołg z miejsca.

— Widzisz te krzaki? — pokazał Kos mechanikowi.

Sierżant Grigorij Saakaszwili skinął głową, nie przestając śpiewać. Ściągnąwszy lekko prawy dźwizek, coraz mocniej wciskał gaz.

Błysnęły dwa pierwsze strzały — jeden pocisk wyszczerbił betonową osłonę, drugi musnął wieżę i zachichotał wysokim rykoszetem.

Czołg, zataczając łagodny łuk, nabierał pędu. Piechurzy na ciężarówce pokrzykiwali, ale szofer nie odważył się wyjechać zza zasłony na ostrzeliwane pole. Jeszcze sekunda i „*Rudy*”, wykonawszy półkrąg, gnał pełnym gazem na samochód.

Paru podrzuciło pistolety maszynowe do strzału, lecz nim dali pierwsze serie, włącz mechanika opadł niczym przyłbica. Niemcy skoczyli na boki. Nie wszystkim udało się umknąć, bo czołg uderzył jak taranem, zdruzgotał silnik, zmiął blaszaną kabinę jak starą gazetę i rozbił w drzazgi drewniane pudło.

W obiektywach lornet stojących w bunkrze obserwacyjnym wszystko to widać było jak na dłoni. Kłęb jasnego kurzu wzbili się nad wrakiem samochodu, rozmazywał brodzącą w wysokich trawach sylwetkę czołgu. Obok we wszystkie strony biegały malutkie figurki piechurów.

— *Verdammt noch mal!* — zaklął brigadeführer i wybiegł z bunkra.

Słychać było, jak krzyczy na artylerzystów i beszta ich ostatnimi słowami, że nie prowadzą ognia.

— *Unsere Leute...* — usiłował tłumaczyć kulawy oficer ogniowy, wskazując na piechurów.

— *Feuer!* — rozkazał esesman.

Kapitan z Abwehry przez cały czas nie odrywał oczu od lornetki. Widział, jak czołg, korzystając z zamieszania, skończył zataczać krąg, rozpędził się do najwyższego biegu i już dopadał grzędy kwitnących tarnin, które zarastały pobocze drogi wiodącej wykopem pod las.

Wieża ukazywała się teraz i nikła w nierównym rytmie. Raz po raz były działa. Kanonierzy chwycili rytm, celowniczości wprowadzili poprawki. Na pancerzu zapłonęły pierwsze błyski trafień.

Esesman wrócił zdyszany, pochylił się nad lornetą.

— *Mają ich* — rzekł do niego kapitan, uśmiechnął się lekko, a potem uniósł ku górze kciuk.

Nikt z załogi nie widział owego kciuka uniesionego na szczęście. Tomasz i Gustlik przywarowali na dnie czołgu jęczącego pod ciosami pocisków. Kos podpełznął do swego starego miejsca i zerknął przez celownik wymontowanego kaemu. Szeroka gruntowa droga poligonu wznosiła się na szczyt łagodnego pagórka.

— *Blisko!* — krzyknął Janek zobaczywszy na wprost drzewa.

Mechanik z dłońmi zaciśniętymi na drążkach, z czołem przywartym do osłony peryskopu, już nie śpiewał. Na słowa Kosa odpowiedział przeczącym ruchem głowy i rzucił przez zaciśnięte zęby:

— *Nie. Teraz oni zatańczą.*

Dwa pociski gwizdnęły wysoko górą i ogień nagle ustał. Janek skoczył do wieży, dopadł peryskopu i natychmiast zrozumiał.

Niemieccy kanonierzy przy działach musieli skręcać lufy coraz bardziej w lewo, by ścigać pociskami pędzący czołg. Wreszcie prawa armata nie mogła już prowadzić ognia i oficer wydał komendę zmiany kierunku.

Amunicyjni sprawnie wyszarpnęli lemieszce, poczęli narzucać ogony łoża. Drugi działon przetaczał armatę na nową pozycję.

W tym samym czasie zwolnił, zakołysał się, na chwilę stanął dęba wyłaząc z wykopu. Głuchym echem jęknął, opadając, i ruszył na wroga.

Kanonierzy jeszcze wbijali lemieszce, kulawy wydawał rozkazy, wręczyciele dobywali pociski ze skrzynek, ale nie dane im było wystrzelić.

W ryku gnających cwałem czterystu pięćdziesięciu koni, w chrzęście pokaleczonego pancerza Saakaszwili na „*Rudym*” zwałił się na półbaterię, stratował oba działa. Tych, którzy nie zdążyli odskoczyć, wprasował w ziemię gąsienicami. Nie zatrzymując się ani na sekundę pognał dalej.

Ze schronu wyszedł kapitan Braun z pistoletem w garści, z uśmiechem patrzył na malejącą, przesłanianą już drzewami sylwetkę czołgu. Pod ścianą bunkra siedział oficer ogniowy, odpinał pękniętą protezę i mruczał pod nosem starą frontową piosenkę o poległym koledze, który był lepszy od innych.

*Ich hat' einen Kamaraden  
einen besser finds du nicht...*

— *Wert!* — wołał brigadeführer do swego niezawodnego adiutanta. — Zawiadomcie sąsiednie jednostki i stanowiska dział przeciwlotniczych o tym wściekłym pudle. Niech mierzą spokojnie. Nie ma w nim ani jednego pocisku.

Podczas gdy dzwoniły telefony i radiostacje przekazywały alarmujący meldunek, w środek pełną przez las kolumny amunicyjnych ciężarówek wjechał z bocznej drogi czołg podobny do widma — na wieży miał zadry i dziury, poszarpane błotniki sterczały na boki, na przednim pancerzu chwiało się jakieś pogieęte żelastwo.

Nim kierowcy zdążyli rozpoznać orła na pancerzu, stracił jedną z ciężarówek do rowu, wziął rozpęd i uderzywszy w tył następnej, zwałił ją z nasypu. Benzyna z rozbitego gaźnika spłynęła na kolektor, buchnęły płomienie, zaczęły eksplodować pociski.

Ciężarówki na przedzie dodały gazu, u wjazdu na most rozjechały posterunek służby ruchu. Żandarm strzelił na postrach, lecz szoferzy już pakowali samochody na przęsła i utknęli, napotkawszy jadące z przeciwnej strony działa.

W gęstniejący korek uderzył oszalały, rozpędzony „*Rudy*”. Trzasnęły bariery, runęły w wodę miażdżone wozy.

Dostrzeżono czołg i ze stanowisk przeciwlotniczych, na niedalekim wzgórzu błysnął wystrzał, na moście rozerwał się pierwszy pocisk. Dowódca baterii spokojnie obserwował przez lornetkę zator, widział ciemny kształt wypełzający spośród wraków. Sześć potężnych luf kalibru 88 mm sunęło z wolna, trzymając go na muszce. Droga za mostem wchodziła w wykop, nasypy osłoniły już boki T-34, a więc oficer, nie czekając dłużej podał komendę:

— *Feuer!*

Granaty trafiły w cel. Ich potężny cios zerwał wieżę, wyrzucił ją na nasyp do góry dnem. Podobna do pustej skorupy orzecha dymiła lekko. Oficer uśmiechnął się i schował lornetkę do futerału.

Podwozie „*Rudego*” przebierając z wolna gąsienicami, ześliznęło się z szosy po stromym zboczu nasypu. Przelazło płytki strumyk w dolinie, wspięło się na krzaczaste, łagodne przeciwzbocze. Był w tym ruchu bezwład przeciętej na pół dżdżownicy.

Metalowe prostokątne pudło z czarnym kręgiem po zerwanej wieży wypełzło na zorane pole, zaczepiło o zeszłoroczną stertę i zważyło ją na siebie. Stal ugrzęzła w nawilgłej glebie, wrak osiadł na brzuchu, a gąsienice bezmyślnie mieszały błoto. Silnik zakrztusił się, chwycił, znowu się zadławił i wreszcie zgasł.

Zapadła ciężka cisza, jaka zwykle poprzedza burzę. Spod bezkształtnej kopy nadgniłej słomy wystawał tylko fragment gąsienicy i narożnik czołowego pancerza.

Powoli dźwignęła się jedna z osłon peryskopu mechanika i opadła jak powieka śmiertelnie ранego człowieka.



## ROZDZIAŁ 40. SPRENGKOMINANDO

Wiatr południowo–zachodni rozwlekał dymy nad bombardowanym Berlinem, a górą coraz bardziej przeginał chmurę burzową, we wnętrzu której raz po raz zapalały się błyskawice. Kiedy w sieci radiowej, łączącej baterie obrony przeciwlotniczej, podawano niepokojącą wiadomość o rozbiciu czołgu na zachód od Ritzen, w słuchawkach potrzaskiwało już tęgo.

— Przerwali obronę na Starej Odrze? — pytali radiofoniści, osłaniając dłońmi mikrofony.

— Nie. Pojedynczy. Tak dostał pierwszą salwą, że mu kapelusz spadł — chwaliła się ciężka bateria kalibru 88 milimetrów. — Od nas widać.

— Co widać?

— Der Panzerturm, więcej tego czołgu...

Nikomu nie wpadło do głowy, by pójść śladami gąsienic i odszukać pudło podwozia, które jak oślepiony, śmiertelnie ranny zwierz przepęzło za pagórek i przywalone stogiem nadgniłej zeszłorocznej słomy ugrzęzło w zorany polu.

Gwałtowne szkwały poczęły szarpać za sterzące na boki wiechcie, rwały je i rzucały w pole. Szły podmuchy coraz silniejsze, zdawać się mogło, że zdolne są dać sobie radę ze stałą, bo dźwignęła się osłona peryskopu mechanika i pozostała lekko uniesiona, jak powieka nad nie domkniętym okiem trupa.

Nadbiegł ostry, nierówny Wichur poprzedzający burzę, przyniósł ze sobą pierwsze grube krople, rozpryskał je o skiby, zgubił w słomie. Te, które znacząc ciemne plamy padły na metal, parowały szybko z rozgrzanego jeszcze pancerza.

Zeskoczyła w dół błyskawica, zagrzmiało i lunęło.

Potoki wody natychmiast wypełniły bruzdy, pracowicie poczęły zmywać ślady gąsienic. Błyskało i grzmiało coraz ostrzej i częściej, jakby przyroda pragnęła pokazać, że potrafi dorównać potędze artyleryjskiego przygotowania.

Światło błyskawic, przenikając do wnętrza czołgowego podwozia, wyrzywało z mroku nieruchome postacie załogi. Grigorij nie przyszedł jeszcze do siebie po szarży — leżał na wznak rozrzucony ramiona na boki, chwycił

powietrze krótkimi gwałtownymi łykami, jakby z trudem odgryzał kęs po kęsie. Tomasz, wtulony w załom pancerza, lewą ręką przytrzymał plecak, a w prawej, nie pamiętając nawet o tym, ścisnął siekierkę. Gustlik kucnął tuż za plecami Janka, który siedział w fotelu mechanika i prowadził obserwację przedpola.

— Daleko do tego domu? — cicho spytał Jeleń.

— Blisko.

— A do lasu wlewa?

— Dwieście metrów, po odkrytym.

— W deszcz może by przeskoczył.

— Z wieżyczki zobaczą.

— A jak żeśmy jechali, nie widzieli?

Czereśniak nasłuchiwał w milczeniu, lecz nie potrafił zapanować nad sobą i wtrącił nagle gwałtownym, nerwowym szeptem:

— Widzieli i przyjdą. Przyjdą i nas zapalą. Ja w tej trumnie nie zostanę.

— Siedź, co się boisz? — Gustlik położył mu ciężką dłoń na kolano. — Słoma po deszczu mokro...

— Czekajcie, cisza — przerwał im Kos, nasłuchiwał chwilę stłumionego warkotu, który się z trudem przebijał przez szelest i świst wiatru, a potem mocniej wtulił czoło w osłonę peryskopu.

Za rzadziejącymi już skośnymi smugami deszczu zobaczył kuchnię polową, ciągniętą przez nieduży stary traktor, wyjeżdżającą z lasu po prawej. Na siodełku pod brezentową budką siedział żołnierz odziany w gumowy płaszcz z kapturem. Jechał w kierunku piętrowego budynku, jak baszta wmurowanego w wysoki mur, pozbawionego na parterze okien. Tylko pod samym dachem szklify się mokro lufciki i sterczała wieżyczka koło komina.

Traktor przystanął u bramy, która jednak pozostała zamknięta. Dopiero kiedy żołnierz uderzył kołatką — raz, przerwa, i trzy szybkie — ktoś od wewnątrz uchylił niewielką okiennicę w ogrodzeniu, odsłaniając ciemny prostokąt. Ten, który przyjechał, z kuchnią, podał termos, odebrał pusty i po jednym wsunął trzy bochenki. Potem siadł na swoje miejsce pod brezentowym daszkiem i odjechał, trzęsąc się na wybojach gruntowej drogi.

— Przywieźli obiad do tamtego budynku — wyjaśnił Kos.

— Dużo? — spytał Gustlik, który ocalawszy od śmierci nie miałby nic przeciw temu, żeby coś przegryźć.

— Termos i trzy chleby.

— Sześć chłopów. Co tam może być?

— Nie wiem. Nawet kucharzowi nie otworzyli, tylko zapukał i podał przez okienko w murze.

— Jak to zaś jakiś *Erfindungsplatz*... Coby my się zaś znowu nie ostali za tych głupich od próbowanie.

— Masz rację. Trzeba pryskać — obrócił się i z troską patrzył na mechanika. — Grigorij... Grześ, dasz radę?

Gruzin w milczeniu skinął głową.

— Jo zrobię dziura — ofiarował się Jeleń. — Póki deszcz padze...

W ciasnocie obrócił z wolna swoje potężne ciało i począł ostrożnie rozsuwać słomę nad tylnym pancierzem czołgu, formować wąski tunel. Z początku szło opornie, potem trafił na luźniejsze warstwy i wreszcie poczuł deszcz na dłoniach, chłód wiatru na twarzy. Ramieniem zsunął hełmofon z czoła, przez słomianą pajęczynę patrzył uważnie na zalane wodą pole. Puste było, więc niczym borsuk z nory wypełznął na zewnątrz i obróciwszy głowę, cicho zawołał:

— Wylazujcie.

Pierwszy zręcznie jak wąż wypełznął Janek i obaj pomogli wyjść Saakaszwilemu, ciągnąc go za lewą rękę. Gruzin w prawej kurczowo ścisnął szablę.

— Jedyne broń — szeptał usprawiedliwiająco.

Dłużyła się chwila przerwy.

— Warciej, pieronie.

Zamiast głowy Czereśniaka zobaczyli w słomianym tunelu jego wypchany plecak.

— Tfu! — Jeleń machnął ręką. — Śmierci się boi, a jeszcze bardziej, coby tego wora gdzie nie ostawił... Chłopa puklatego prędzej kula trafi.

— Nie — zapewnił Tomasz wyczesując palcami źdźbła z włosów. — Ja nie na plecach.

Przekradli się wszyscy czterej na drugą stronę stogu. Dalej było równe pole, na które z lewa patrzyły wąskie jak strzelnice okienka spod dachu białego domu, a z wieżyczki wartownik przy karabinie maszynowym.

— Był tam? — spytał Gustlik.

— Nie. Teraz wylazł.

— Żeby mu śpik wyskoczył!

Dreszcze potrzęsały Jeleniem, może ze zdenerwowania, a może z chłodu, bo ciągle jeszcze padało gęsto i drelichowy mundur poczynał ciemnieć od wilgoci. Gruzin drżał z zimna i niecierpliwie poganiał:

— Ruszajmy. Ja mogę pierwszy...

Kos uważnie przepatrywał pole — jedyną szansę dawała głęboka bruzda biegnąca lekkim łukiem w stronę lasu. Trzeba było pod przykryciem stogu odskoczyć dwa metry w bok, zapaść w nią i w deszczowej wodzie, w rzadkim błocku pełznąć nie unosząc głowy.

— Zaciągnijcie, chłopaki, hełmofony, żeby wody do uszu nie nalać — mruknął przyginając się, by dać susa.

Za Kosem z największym wysiłkiem ruszył Grigorij, któremu dodatkowo przeszkadzała szabla.

— Dej ten scyzoryk — przytrzymał go Gustlik, odczekał i niczym szarak zapadł w bruzdę.

Ulewa natychmiast zachlapała błotem twarze i grzebieniaste hełmy, upodobniła głowy do brył gliny, które nie wiedzieć czemu toczą się z wolna po polu.

Ostatni pełznął Tomasz, co trzy, cztery metry przylegał na chwilę i wybierając linkę, holował przez błoto swój plecak.

Nie zauważeni przez nikogo wczołgali się między pierwsze drzewa, potem kluczyli wśród pni, wypatrując, gdzie obfitsze poszycie. Wreszcie Janek odkrył leśną kotlinkę porośniętą leszczyną i olszą, których krzaki zdążyły się okryć sporymi już liśćmi. Zasiedli w największej gęstwie, okryci brezentem wyszabrowanym z podziemnej fabryki. Utyłłani po oczy w błocie, przytulili się do siebie jak wilczki w legowisku.

— Dobrze, żeś tego wora nie ciepnął — dzwoniąc zębami pochwalił Gustlik. — Pod celtą na głowa nie kapie.

— Ale dziurawa, i tak na nic — odrzekł Tomasz.

W chwilę później myślał, że dziurawa czy cała na jedno wychodzi, bo i tak do domu jej nie doniesie. Konia ojciec dostał od generała zaraz w Gdańsku, krowę ten plutonowy przygoni, co po drugiej stronie Wisły mieszka, ale czy syna doczeka, to nie takie pewne.

Milczeli długo. Bali się ruszyć drętwiejącymi nogami, by nie spłoszyć maleńkiego ciepłka, które się zagnieździło pod brezentem. Dopiero gdy górą

w basowym poszumie przeszedł ciężki pocisk, drgnęli wszyscy, spojrzeli po sobie. Kos rzucił jedno tylko słowo, takim tonem, jak gdyby wymawiał imię kochanej dziewczyny:

— Dalekonośna.

— Będziesz żywy, Tomek, to ci cało celta znajdę. Nasi za jakie dwa dni mogą tu być.

Czereśniak nie odpowiedział. Nasłuchiwali ciszy, podkreślanej bębniącymi po brezencie kroplami coraz rzadszego deszczu.

— Żeby choć trochę słonka — westchnął Grigorij. — U nas w Gruzji zima cieplejsza. Wszystko przemokło...

Janek dotknął munduru na piersiach, dobył z kieszeni fotografię dowódcy i jego krzyże, stare zdjęcie ojca, przewinął jeszcze raz starannie i schował razem z tygrysim uchem.

— Przyjdą po śladach i spalą czołg do reszty — ni stąd, ni zowąd zmartwił się Tomasz.

Podwiało dołem, bo Jeleń wzruszył ramionami.

— I tak go już nie złożymy do kupy.

— Ale harmonia została.

— Zostaliśmy bez pancerza nad głową — jęknął Gruzin.

— I z pustym brzuchem — dodał Gustlik.

— Myślisz, że na pewno sześciu? — trącił go w ramię Janek;

— Co sześciu? — nie zrozumiał.

— Za tym murem.

— Jak trzy chleby, to sześciu.

— A nas czterech.

— Ino z szablą i toporkiem — dopowiedział nieufnie Jeleń. — Żeby jeszcze karabin... Nie będziemy przecież siedzieć jak zmokłe kury — ożywił się — Za murem byłoby sucho i bezpieczniej.

— Tu trzeba cicho... — wtrącił Tomasz.

— Nie pytam o radę — uciął Kos. — Uwaga, załoga — obrócił się, przyklęknął, a oni jak obudzeni ze snu utkwili spojrzenie w twarzy dowódcy. — Kiedy będą wieźli kolację... — tak bardzo ściszył głos, że musieli głowy pochylić, by lepiej słyszeć.

Deszcz wkrótce ustał i skończyło się wylegiwanie pod brezentem. Janek zarządził gimnastykę, a potem rozpoznanie terenu w promieniu pół kilometra,

połączone z poszukiwaniem broni, które jednak nie przyniosło rezultatów; wykryli jedynie leśny zawał i pole minowe na przesiece.

Błoto na mundurach zaczynało już tu i ówdzie podsychać, wykruszać się, kiedy dał rozkaz marszu na pozycję wyczekiwania. Od tej chwili obowiązywało całkowite milczenie. Na zmianę po dwu nasłuchiwali — szeroki grzmot dudnił nieustannie od wschodu, ale w lesie było zupełnie cicho.

Grigorij pierwszy wyłowił daleki pomruk silnika i podniósł rękę. W milczeniu zajęli od dawna upatrzone stanowiska w zasadzce.

Warkot był coraz bliższy. Środkiem traktu przemknął spłoszony zając i Janek pomyślał, że to dobry znak, ponieważ zwierzak niczego nie spostrzegł.

Leśną drogą nadjeżdżał stary traktor, ciągnąc połowę kuchnię. Na nim pod brezentowym daszkiem siedział ten sam wysoki barczysty żołnierz, a na podpórce sechł przeciwdeszczowy płaszcz z kapturem. Droga wiodła szeroką przecinką, las był przejrzysty, a i pnie dość daleko. Lśniły kałuże, błyszczała mokra trawa.

Tam gdzie większe wyboje, ciągnik zwalniał, terkotał na pierwszym biegu, gramolił się ostrożnie, żeby nie rozbełtać wieczornego posiłku. Metalowe obręcze szły wytłoczonymi koleinami, okrakiem nad grzbietem drogi, z którego sterczały korzenie, wiechcie trawy, a gdzieś tam brunatniał omszały kamień.

W pewnej chwili, gdy tylne wysokie koła przechodziły nad większym niż inne garbem, spomiędzy rozwichrzonych traw, spod wymazanego błotem brezentu, wypelzły ręce, chwyciły traktorowy zaczep. Kos dźwignął się z ziemi, ze zręcznością żbika wskoczył na ciągnik, stanął za Niemcem i gwizdnął.

Zdumiony żołnierz zerwał się z siodełka, wyszarpnął płaski bagnet z pochwy w pasie, lecz podbródkowy cios zwałił go przez błotnik na ziemię. Niczym dobry bokser natychmiast stanął na nogi, nie wypuszczając z garści broni. Chciał rzucić się na Janka, lecz w tej samej chwili dopadli go Gustlik i Tomasz. Jeleń ledwo uskoczył przed ostrzem, Czereśniak rąbnął z góry. Chwycili kucharza pod pachy i pociągnęli w las.

Janek zatrzymał ciągnik, wyregulował małe obroty i dobywszy z uchwytu, sprawdził zdobyczny mauzer. Nie wypuszczając karabinu z ręki,

zeskoczył na ziemię, zajął do bocznych zasobników, czyby czego nie było dla wzmocnienia sił nadwątlonych. Dobył bochenek chleba, pęto kiełbasy.

— Grześ! — zawołał, a gdy Gruzin nadbiegł, pokazał mu zdobyte produkty. — Na cztery części.

Saakaszwili ciął szablą i natychmiast wziął się do jedzenia. Kos chwycił drugą porcję, ale ledwie zdążył odgryźć kęs, gdy z lasu wrócił Czereśniak ze swym plecakiem i siekierą w garści. Za nim szedł Gustlik przebrany w niemiecki mundur, dopinający pas z ładownicami.

— Nie poznać? — spytał Kos.

— Owinięty, trawą założony — odrzekł Gustlik.

— Ale celta całkiem przepadła — narzekał Tomasz.

— Przeca żech ci lepszą obiecał.

Janek rozdał chleb i kiełbasę, a potem razem z Grigorijem i Tomaszem ułożyli się ciasno na metalowej podłodze ciągnika. Gustlik patrzył z boku, czy pod osłoną błotników są niewidoczni, szturchnął czyjąś wystającą nogę, a potem siadł za kierownicą, dodał gazu i ostro ruszył.

— Nie szarp — pouczył go spod siedzenia Grześ. — Spokojniej sprzęgło.

Mając usta wypchane jedzeniem Jeleń nie mógł odpowiedzieć, więc tylko sięgnął ręką i uspokajająco poklepał mechanika.

Dalej wydarzenia potoczyły się szybko — żuli jeszcze ostatnie kęsy, gdy traktor dowiózł ich pod bramę w wysokim murze. Gustlik zahamował i nie gasząc motoru zszedł z ciągnika. Zerknął ku górze, sprawdzając raz jeszcze, czy wieżyczka pusta. Wziął termos i oparł go brzegiem na wąskiej półce. Ostro, zdecydowanie stuknął kołatką raz, przerwał, a potem jeszcze trzy razy. Czekał chwilę, miał ochotę powtórnie zastukać, ale opuścił rękę, bo właśnie zgrzytnęła zasuwka i otworzyła się od wewnątrz okiennica. Zamajaczył za nią jakiś mężczyzna w mundurze, wyciągnął ręce.

— *Na, gib mir endlich* — mruknął niechętnie.

Gustlik cofnął trochę termos, żeby trudniej było sięgnąć. Żołnierz, chcąc odebrać kolację, pochylił się, wsunął głowę w otwór. Jeleń lewą ręką przyciągnął go do siebie za ramię, a prawą zdzielił pięścią w kark, że tylko gruchnęło.

— *Fertig* — rzekł, usiłując wyciągnąć przez otwór nieprzytomnego.

Kos podskoczył z boku, żeby dopomóc.

— Nie przejdzie, pieron. Za gruby — szepnął Gustlik.

— To puść go — rozkazał Janek, opierając karabin o mur. — Ja spróbuję.

Pchnięty Niemiec wpadł do wewnątrz, a Kos złożony ręce nad głową wsunął się w otwór. Jeleń go chwycił za biodra, dźwignął i wpakował jak bochen do pieca.

Kos spadł na ręce, wywinął kozła i obrzuciwszy błyskawicznym spojrzeniem podwórze — zielony klomb z kwitnącymi różnobarwnie bratkami, dalej płaski bunkier, śluza, znowu mur — odebrał ogłuszonemu Niemcowi pistolet maszynowy. Skoczył do bramy, bezsilnie szarpnął ogromną kłódkę na grubych skoblach.

Szczęściem furtka obok była zamknięta tylko na zasuwę. Wystarczyło je odciągnąć, by uchylła się cicho na dobrze wysmarowanych zawiasach. Do środka wpadli jeden za drugim: Gustlik w niemieckim mundurze, Saakaszwili z szablą w ręku i Tomasz ze swą siekierą.

— Zostań tu — rozkazał Czereśniakowi Kos — i twoja głowa, żeby nie uciekł — pokazał ogłuszonego.

Wszystko to stało się tuż przy bramie, koło budki wartowniczej, w głębokim cieniu i przy akompaniamencie terkocącego na małych obrotach silnika. Mimo to usłyszeli skrzypnięcie w górze — na wieżyczkę do karabinu maszynowego ktoś wszedł. Żeby zobaczyć, co się dzieje prawie dosłownie pod jego stopami, wychylił się przez balustradę. Osłaniając oczy od blasku zachodzącego słońca, pytał z góry:

— *Willi, warum hast du die Pforte aufgemacht?*

Kos błyskawicznie podrzucił automat do ramienia i odchylony do tyłu oddał jeden, jedyny, pionowy prawie strzał. Niemiec dźwignął się, lecz ciężar ramion i głowy przeważył, pochylił go z powrotem i ściągnął w dół.

Zsuwał się coraz szybciej po stromiźnie, strącając dachówki, ale nim dosięgnął ziemi, czołgiści odskoczyli i Kos skomenderował:

— Naprzód. Jeszcze czterech.

Wybiegli za róg domu, przemknęli przytuleni do muru. Saakaszwili zaczął się pod oknem. Janek skoczył w otwarte drzwi, za nim Gustlik.

W dużej wysokiej sieni stały pod ścianami drewniane skrzynie, na grubych hakach leżały wiosła, w kącie koło ratunkowe, zwoje lin, dwie pary



gumowych butów rybackich ponad kolana. W głębi kręcone schody wiodły na piętro.

Kos pchnął drzwi na prawo, wbiegł do pustego pokoju, w którym był tylko taboret i telefon na niedużym stoliku.

Tymczasem z lewej wszedł do sieni starszy już Oberleutnant, obwieszony maską, torbą polową i lornetką na piersi. Ze zdziwieniem spojrzął na Jelenia i spytał oburzony wystrzałem:

— Hast du geschossen?

Za jego plecami w otwartych drzwiach pojawiły się dwie głowy w hełmach. Chwilę wszyscy milczeli, przyglądając się dziwnemu żołnierzowi w niemieckim mundurze, o twarzy wysmarowanej błotem, a potem Oberleutnant przyjął postawę zasadniczą. Gustlik również stanął na bacność i pokornie słuchał wyjaśnień sapersa.

— Hier ist Sonder-Sprengkommando. Kein Mensch...

Za plecami Niemców pojawił się Grigorij ze swą szablą uniesioną w dłoni:

— Prawego — przykazał mu Gustlik.

— Was?

— Kapusta i kwas — mruknął Jeleń częstując oficera kolbą:

— Wasza! — ryknął Gruzin waląc rękojeścią w osłonięty hełmem łeb.

Trzeci się wywinął, skoczył w bok i umknął z sieni na prawo. Gustlik ruszył za nim, ale nie zdążył i wyrznął całą mocą w zatrzaśnięte drzwi.

Niemiec dopadł telefonu, podniósł słuchawkę:

— Halo, hier Sprengkommando... „Hochwasser” Sprengkommando...

Janek zawrócił z dalszego pokoju, przyskoczył i wparł mu lufę pistoletu maszynowego pod żebra.

— Alles in Ordnung bei uns — odpowiedział szeptem.

— Bei uns alles in Ordnung, u nas wszystko w porządku — powtórzył tamten posłusznie, odłożył słuchawkę i unióśł ręce do góry.

Wszystkich trzech wziętych do niewoli skrupowali linkami, których nie brakło w sieni, i usadzili przy ścianie pod wiosłami. Oberleutnant powoli odzyskiwał przytomność, a ten, którego Saakaszwili uderzył rękojeścią szabli, przykładając skrupowane dłonie do czoła, na którym rósł potężny guz o barwie dojrzałej śliwy.

Jeleń i Saakaszwili przysiedli na skrzyniach, Kos stanął za framugą uchylonych drzwi, kołysał na rzemyku lornetkę oberleutnanta i co pewien czas zerkał na dwór. Trwała błyskawiczna narada.

— Bunkier pusty?

— Sprawdziłem — kiwnął głową Gustlik.

— Jednego brak. Może pięciu było.

— Roz, dwa, trzy — policzył najpierw pistolety, które trzymali w garści, a potem wskazał broń leżącą obok na podłodze — i te trzy, i karabin. Dwóch nieboszczyków, trzech na powrozie, jednego Czereśniak pilnuje, to jeden jeszcze kajsi musi być.

— Grześ — rozkazał Janek. — Szukaj tego ostatniego. Jest bez broni i łatwo nie pryśnie, bo dookoła mur. A my zrobimy porządek z traktorem, nim zaczną kucharza szukać.

Saakaszwili skinął głową i z automatem gotowym do strzału, z szablą u pasa ruszył na poszukiwanie.

Kos podważył bagnetem wieko jednej skrzyni, Jeleń — drugiej.

— Wo sind die Zünder? — spytał wziętych do niewoli.

— Nie trzeba — Kos machnął ręką i pokazał na wnętrze skrzynki, w której leżały móździerzowe miny różnych kalibrów. — Obejdzie się bez zapalników. Brak im materiału wybuchowego, biorą, co pod ręką.

— Ten lepszy wypotrzebowali w Warszawie. Jo by ich spytał, co tu chcieli wysadzić. — Gustlik splunął w garść.

— Potem. Najpierw kuchnia — uciął Kos i ostrożnie wziął pod lotki dwa pociski. — Najgorsze draństwo niewypał.

Gustlik zerknął jeszcze, czy dobrze związani są jeńcy, okręcił koniec linki na haku wbitym w ścianę jako podpórka na wiosła. Spory kłęb cienkiego sznura wsunął do kieszeni. Ostrożnie, ale bez większego wysiłku, zadał sobie na plecy skrzynkę z minami i wyszedł za Jankiem.

Tymczasem Tomasz przy bramie pracował, żeby się nie nudzić beczynnym oczekiwaniem. Zastrzelonego odciągnął pod mur i ulokował w drewnianym schowku, gdzie stały łopaty, widły, stare donice i inny sprzęt ogrodniczy. Znalazł na półce spore pudełko z namalowanym na blasze szczepem i niemieckimi napisami. Otworzył, powąchał i schował do kieszeni, bo jakby dziczki szczepić na drzewa owocowe, to dobra maść jak skarb.

Wyszedł na dwór i trąciwszy nogą ogłuszonego przez Gustlika, stwierdził, że nieprędko się ocknie.

Wyjrzał przez furtkę, czy kto nie idzie, lecz pole ze zwalonym stogiem, pod którym po deszczu nie widać już było podwozia czołgowego, leżało ciche, pociemniałe i puste, tylko obok dygotał niecierpliwie traktor.

Westchnąwszy, wziął się do opróżniania zasobników kuchennych. Ułożył na lewej ręce jeden po drugim trzy bochenki, przycisnął brodą.

— Aleś nabroł — niespodzianie tuż za plecami usłyszał głos Gustlika.

— Sam czarny, białego ani śladu — odburknął, udając obojętność.

— Nieś do chałupy, a my tu sami — rozkazał Kos.

— Ciąg, ciąg — pogonił go Gustlik, widząc, że Tomasz otwiera usta. —

Potem powiesz.

Zostawszy sami uwijali się szybko i bez słowa. Najpierw usadzili i przywiązali do kierownicy zestrzelonego z dachu, a potem wzięli się do moździerzowych granatów. Robota była niebezpieczna, wymagająca spokoju, ciszy i umiejętności, bo rzeczywiście nie ma na świecie większego draństwa niż niewypał i czasem ledwo dotkniesz — można życie stracić. A tu traktor nie dość, że pyrkotał, to co czas pewien dostawał drgawek, szarpał zaczepem i dymiącą lekko kuchnią.

— Gotowe?

— W porządku.

— Idź za mur.

— Jo...

— Ty.

— Tyś jest dowódca.

— Właśnie. Zjeżdżaj.

Niezadowolony, że mu się dostało, niczym przed chwilą Czereśniakowi, cofnął się Jeleń i patrzył, jak stojąc na traktorze Janek mocno wysprzęgła, włącza bieg i bardzo ostrożnie rusza, powolutku dodaje gazu ręczną manetką. Kiedy ciągnik już jechał, Kos zszedł na zaczep, zeskoczył i dwoma ogromnymi susami dopadł rowu przy drodze, wtulił twarz w trawę.

Traktor oddalał się powoli na drugim biegu. Odczekawszy jeszcze trochę, Kos zawrócił w rowie, popełznął z powrotem w kierunku bramy i jakby pod silnym ostrzałem, rzucił się w furtkę prosto w ramiona zaczajonego tam Gustlika.

— Aż zech się zgrzoł, pókiś nie wrócił.

— Zmykaj.

— Roz jeszcze spoglądnę, jak nieboszczyk prowadzi. — Jeleń wychylił ostrożnie głowę, podniósł do oczu zdobyczną lornetkę.

Szkła przybliżyły traktor wspinający się wolno na górkę. Pod kuchnią i z tyłu na zaczepie dyndały moździerzowe granaty, zapalniki sunęły parę centymetrów nad ziemią. Jedna z nich trąciła o kamień, otarła się i ześliznęła.

Jeleń cofnął głowę, otarł pot z czoła.

— A jak nie zawadzi?

— Niewypał byle trącił.

Wybuch przerwał Kosowi. Ponad murem zobaczyli dym czarny, w którym koziółkowały poszarpane kęsy metalu. Czołgiści z ulgą spojrzeli po sobie.

— To by było to... rzekł Gustlik i zaczął udawać, że składa meldunek:

— Herr Oberst, unser brave kuchorz wylecioł na minie.

Kos starannie zamknął furtkę.

— Teraz tylko szóstego znaleźć i cicho siedzieć w tym Sprengkommando, póki nasi nie przyjdą.

— I trocha zjeść by warto, nie?

## ROZDZIAŁ 41. OBERGEFREITER KUGEL

Otrzymałszy rozkaz poszukiwania brakującego Niemca ze Sprengkommando, czyli oddziału burzącego, Saakaszwili krok za krokiem skontrolował cały teren śluzy. Niewiele tego było — wysoki mur ceglany otaczał rdzawą ścianą prostokątne podwórze z okrągłym klombem pośrodku, na którym kwitły bratki żółte, błękitne i fioletowe. Pod murem biegł nagi jeszcze, przejrzysty żywopłot i kwitło parę młodych topoli.

Ładnie tu mogło być dawniej, lecz teraz tuż za klombem, przyparty do kamiennej krawędzi śluzy, rozsiadł się betonowy bunkier — płaski jak przydepnięty grzyb, wysmarowany w brudnozielone i brązowe łaty maskujące, patrzył spode łba na trzy strony świata ciemnymi szparami strzelnic.

Splątane, przyrdzewiałe spirale drutu kolczastego broniły doń przystępu. Trzeba było obejść od tyłu, żeby po stromych schodkach dostać się do stalowych drzwi, na których ktoś czarną farbą nagryzmolił krzywe litery.

Drzwi były uchylone. Saakaszwili wszedł do środka, odruchowo wymacał kontakt i niespodzianie dla samego siebie zapalił światło, nagą żarówkę w okrytym siatką zagłębieniu pod sufitem. Bunkier miał dwa boczne niewielkie schrony — jakby amunicyjne, lecz puste, i parę zamkniętych metalowymi płytami skrytek, nie tak dużych jednak, żeby tam mógł być człowiek. Może akumulatory do tego światła?

Wychodząc przyjrzał się napisowi na drzwiach. Litery były naturalnie niegruzińskie i nierosyjskie, więc odczytawszy z pewnym trudem „*KUGEL*” i „*PUDEL*” dał spokój.

Śluza była głęboka. Pociemniałe od wilgoci, zbrunatniałe od mchów kamienne płyty schodziły pionowo w dół parę pięter. Na samym dole stała pusta barka. Grigorijowi zawirowało w głowie, kiedy na nią patrzył, musiał się cofnąć i przytrzymać za żeliwny pacholek wypolerowany cumami. Przysiadł na nim, żeby odpocząć.

Zamknięte wrota śluzy odgradzały ją od sporego jeziora. Wąski, lecz opatrzony balustradą pomost drewniany wiódł na drugą stronę, ale tam nie było po co schodzić — płaski ugór rozryty rowami i okopami przechodził

dalej w mokradła pożółkłe od kaczeńców, a tabliczka: „*Achtung! Minen*”, nie zachęcała do spacerów.

Z tamtej strony nikt nie przyjdzie, możemy być spokojni, pomyślał Saakaszwili i postanowił zameldować o tym Jankowi. Popatrzył jeszcze na północ, gdzie płaskie, bronione nasypami pola dzielił kanał, i zawrócił w stronę domu.

Nogi miał miękkie w kolanach, czuł słabość we wszystkich mięśniach i pustkę w głowie. Póki szukał szóstego, póki skoncentrowany był na wykonaniu rozkazu, starał się o tym nie myśleć, lecz teraz znowu poczuł ból, jakby mu kto ścisnął czaszkę w skroniach — nie ma „*Rudego*”. Czołg, ranny nad Bałtykiem, został dziś rozbrojony, a potem zamordowany, zamordowany, zamordowany...

Mózg zaciął się na tej jednej myśli jak uszkodzona płyta. Grigorij obszedł zasieki koło bunkra, odruchowo ominął klomb i rabatki. Wiedziony żołnierskim nawykiem zamiast wejść od razu do sieni zajrzał do niej przez małe okienko w murze, w którym ktoś dawno wytlukł szybkę, a pajak rozwiesił starą przykurzoną sieć.

Ze zdumieniem zobaczył, że jeńcy, zamiast siedzieć pod ścianą, leżą na podłodze jakby rozrzućeni wybuchem. Po sekundzie dostrzegł jednak, że nieruchomy jest tylko oficer znokautowany kolbą przez Jelenia. Ten z guzem, skulony na boku, starał się napiąć linę, której koniec był zarzucony na hak. Trzeci, który przedtem siedział z brzegu, wyciągnął się na całą długość, wznosił ręce nad głowę i palcami gmerał tuż obok porzuconych na podłodze pistoletów maszynowych.

Mruknął coś do swego kumpla, tamten raz jeszcze odciągnął związane stopy tak daleko, jak tylko mógł. Sięgający po broń szarpnął się, wyprostował i chwycił za ramię, pociągnął ku sobie.

Teraz poszło mu szybciej: siadł z powrotem, podciągnął nogi i ulokowawszy między kolanami kolbę, odciągnął zamek — mógł strzelać mimo Związanych rąk.

Nim podniósł oczy, nim skierował lufę ku drzwiom, Saakaszwili przyskoczył i kopnięciem wytrącił mu broń. Stał nad Niemcem dysząc ciężko.

Pod czaszką wirowała ta sama uszkodzona płyta powtarzająca jedno słowo. Nie zdawał sobie sprawy, że drga mu górna warga i obnażając zęby

nadaje twarzy dziki wyraz. Siedzący z brzegu jeniec stawał się coraz bardziej podobny do brigadeführera SS, wystarczyłoby zamienić znaki na kołnierzu...

Wysunąwszy trzecią część szabli z pochwy, Saakaszwili cofnął się o krok, otworzył usta. Po chwili, nie spuszcżając jeńców z oczu, znowu postąpił pół kroku do przodu, jakby szukał najwłaściwszego dystansu do ciosu.

Niemiec podniósł skrępowane ręce, żeby osłonić głowę. Na widok więźów Grigorij oprzytomniał. Wsparł się o futrynę i przetarł dłonią czoło.

W drzwiach wejściowych stanął Tomasz. Rozejrzał się, potem równo ułożył chleb na parapecie, za kołnierz wciągnął nieprzytomnego wciąż jeszcze Niemca, którego Jeleń ogłuszył przy furtce, i nie powiedziawszy ni słowa patrzył to na Gruzina, to na jeńców, czekając, co będzie dalej.

Grigorij uniósł głowę i zaczął mówić jak w transie:

— Oni mogą nas posyłać na śmierć, mordować i rozstrzeliwać bezbronnych, a ich nie wolno. Rozumiesz? Nie wolno. Oni mogą...

— Rozumiem — kiwnął głową Czereśniak. — Plutonowy Jeleń tłumaczył. Ale zamknąć wolno.

— Racja — oprzytomniał mechanik. — Tu są niezłe piwnice.

Zaczął odwiązywać linkę z haka, gdy drgnął dom i nad śluzą przetoczył się grom wielokrotnej eksplozji, zatrzaskując gwałtownie drzwi.

— Już minami sięgają — ucieszył się Saakaszwili.

Gładkolufowa broń nie ma wielkiego zasięgu i salwa z pułkowych moździerzysk wskazywałaby, że front jest nie dalej niż pięć kilometrów.

— To obywatel dowódca i obywatel plutonowy kuchnię wysadzili — wyprowadził go z błędu Czereśniak. — Niby że artyleria trafiła, tak jak było umówione od początku...

Czerpał kubkiem z wiadra i na przemian polewał wodą to jednego, to drugiego ze znokautowanych jeńców. Zaczynali właśnie odzyskiwać przytomność, gdy wrócili Jeleń i Kos.

— No to my som razem, na głowa nie kapie, gulasz w termosie...

— Czekaj — przerwał Janek. — Najpierw wartość trzeba wystawić.

— Ja pójdę — zgłosił się Tomasz na ochotnika.

— Dobra... — dowódca kiwnął głową i zwrócił się do mechanika. —

Czego ty ich na sznurku trzymasz?

Saakaszwili obejrzał linkę, zdziwił się i nie odpowiedział.

— Żeby do piwnicy zaprowadzić — wyręczył go Czereśniak, zatrzymując się na schodach. — Tam ściany grube, zamki mocne...

— Tak właśnie — przyświadczył Grigorij i wskazał: — Ten po broń sięgał...

Zapomniawszy, że miał ich pod klucz posadzić, odszedł w kąt i przyległ na zwojach lin, ujął głowę w dłonie.

Reszta załogi porozumiała się wzrokiem. Tomasz westchnął i poszedł na posterunek. Janek z jeńcami ruszył do piwnic, Jeleń krajał chleb, popłukiwał miski, przygotowując posiłek.

— Grześ, weź ta szabla i pomóż — poprosił trzymając spore pudło konserw w wyciągniętej ręce.

— Nie — odpowiedział bez uśmiechu Saakaszwili.

— A szóstego żeś nie znalazł?

— Nie.

— Pytałem jeńców — wtrącił Kos wieszając klucz na haku przy drzwiach. — Twierdzą, że nikogo tu więcej nie ma, że pięciu ich było.

— Chleb brali dla szczęścia — upierał się Jeleń, tnąc blachę bagnetem.

— Może psa mieli — powiedział Janek i cień na chwilę przysłonił mu twarz.

Pudła — rzekł niespodzianie Saakaszwili.

— Dlaczego pudła? — zdziwił się Kos.

— A królików żeś gdzie nie widział? — zagadnął z troską Gustlik.

— Na włączce do bunkra napisane „*pudel*”.

Janek wybiegł z sieni, ale wkrótce wrócił.

— Kaj pies?

— Bzdura. Ktoś namazał: „*Dummer Kugel schiest einen Pudel*”.

— Co to znaczy? — zainteresował się Gruzin.

— Taki dowcip, że niby głupia kula strzeliła do pudła. Bez sensu i z błędem, bo jeśli już to Kugel jest żeńskiego rodzaju i powinno być dumme...

— Żeby być, trzeba żyć — oświadczył uroczyście Jeleń, ustawiając miski z gulaszem i rozkładając chleb smarowany konserwą na stole przyniesionym z pokoju. — Żeby żyć, trza jeść.

— Mięso z mięsem — skrzywił się Janek.

— Lepiej jak kartofel z kartoflem — odrzekł Gustlik i zawołał: — Tomek. Zejdź w dół na pół drogi, to jeść dostaniesz.



Pierwsze kęsy rozbudziły głód. Minęło przeszło czternaście godzin od śniadania na prawym brzegu Odry, a pospieszna przekąska w lesie, jak twierdził Jeleń, tylko zdenerwowała mu żołądek. Jedli więc choć niespiesznie, ale starannie, w milczeniu, i brali dokładki.

Przez otwarte drzwi nasłuchiwali dudnienia niedalekiego frontu, popatrywali w stronę śluzy i na łaciaty bunkier, tonący w coraz głębszym cieniu, bo do zachodu nie zostało więcej niż pół godziny. Gustlik przeciągnął się, odłożył łyżkę i podszedł do krętych schodów wiodących na wieżę obserwacyjną.

— Tomek, chciołbyś jeszcze? — spytał zadzierając głowę do góry.

— Nie.

— Co widzisz?

— Nic.

Jeleń wrócił do stołu, przysiadł i z zadowoleniem stuknął kułakiem.

— Byle dalej nic nie widzioł, to i dobrze. Szwabom do piwnicy co zanieść?

— Do rana mogą popościć — zdecydował Kos.

— Prowda. A terozki mamy czas — rozstawił palce lewej ręki i zaczął wyliczać: — Obiad był...

— Kolacja... — poprawił Kos.

— Kolacja to jo jeszcze zjem, jak odpocznę. Znaczy obiad był, na głowa nie kapie, nasi coraz bliżej.

Gdy przycichał powiew wiatru wiejącego od Berlina, było wyraźnie słychać nie tylko działa znad Odry, ale i broń maszynową — jakby kto pestki słonecznikowe na gorącej patelni przegarniał.

— Żeby nie przyszli — rzekł Kos.

— Nie przyjdą. U nich Sonder-Sprengkommando święta rzecz.

— Nawet jakby skapowali coś, to można się bronić, póki artyleria albo czołgi muru nie rozwalą.

— Nie ma „Rudego” — odezwał się milczący dotąd Saakaszwili.

Na chwilę zapadło milczenie. Janek położył mechanikowi rękę na ramieniu, potrząsnął nim lekko.

— Grześ, nie trzeba. Przeżyjemy, to będzie nowy.

Gustlik wstał, wyrzucił ramiona w górę i w bok, rozprostował kości.

— Idę się wykapać. — Wziął z okna spory kawał brunatnego mydła i wsadził do kieszeni. — Jak my się czołgali przez pole, to wam nawet nie powiem, kaj mi błoto wlało.

— Do wody zaraz po obiedzie?

— Jużech ci mówił: nie po obiedzie, ino przed kolacją. Zdejmijcie wszystko, co brudne, to wam przepiorę.

Na dnie śluzy panował już półmrok. Tym jaśniejsza wydawała się piana fali budzonej przez płynącego. Plusk wody odbity od ścian powtarzały wilgotne echa.

Przeciąwszy zbiornik po przekątnej, Jeleń chwycił za pręt stalowego ściągacza i zanurzony po szyję odpoczywał. Stąd z powierzchni wody był jakiś przeciek i cienki sprężysty strumień przekreślał pełznącą po niebie chmurę, spadał stromym łukiem, dając pojęcie, jak wielka ściana wody prze na stalową bramę śluzy.

Gustlik wyobraził to sobie i na sekundę zrobiło mu się nieswojo. Dał nurka, wywinął kozła w wodzie. Gdy wyprostował ciało do wypłynięcia, zobaczył niespodzianie, że niegłęboko pod powierzchnią, koło potężnego zawiasu, na którym osadzone były wrota, zamocowano kilkanaście ciężkich pocisków, połączonych grubym drutem. Odpłynął w bok, wynurzył się i zadzierając głowę, dostrzegł porcję trotylowych kostek, przykrępowaną do stalowych rozperek wierzei.

Zmierzył oczyma odległość od barki stojącej w przeciwnym kącie i lekko, jak gdyby bojąc się uszkodzić wiązanie, odepchnął wrota stopami, popłynął na plecach wyrzucając miarowo ręce nad głowę.

Z burty zwisała sznurowa drabinka, Jeleń wylazł po niej z wody i klaszcząc po pokładzie bosymi stopami sprawdzał, czy trochę już podeschły przeprane drelichy, które porozwieszał na cumach. Przykro zazgrzytał stalowy hak na pływaku, wciśnięty między duże szyny na kamiennej ścianie.

— Ale oszkliwie piszczy — mruknął do siebie.

Poświstując, zaczął się starannie mydlić i pomyślał, że jak już wróci do swoich starzyków, jak będzie im wieczorami swoje wojenne przygody opowiadał, to musi chyba nie o wszystkim mówić, jak było, bo nie uwierzą. Jedno, że nie uwierzą, a drugie, że nie zawsze to, co bywa w życiu, w opowiadaniu ładnie wypada. Choćby jak dziś: byli o włos od śmierci, potem

zdobyli ważny obiekt na tyłach wroga, ale zamiast siedzieć z bronią gotową do strzału, śpiewając z cicha hymn narodowy i flagą biało–czerwoną powiewając, to on się mydli i byle co naświstuje. Postanowił całe to pranie i kąpiel opuścić w swych przyszłych wspomnieniach.

Zaczerpnął wody wiadrem na lince, począł chlustać sobie na głowę jeden kubek po drugim, żeby spłukać. Mydliny ściekały na deski, nikły w szparach. Słysząc było, jak ciurkają, wpływając w zeny. Każde parsknięcie odzywało się echem i tym ostrzej zabrzmiał zrozpaczony okrzyk spod pokładu:

— Hast du keinen anderen Platz mehr auf der ganzen Welt, du Dummkopf?

Gustlik ze zdumienia wypuścił wiadro i odskoczył za budkę sterową. A cóż to za Niemiec, co go durniem obzywa i ma pretensje, że tu, a nie gdzie indziej Jeleń mydło spłukuje? Po sekundzie się opamiętał: owinąwszy ręcznik wokół bioder, chwycił w garść krótki bosak i zeskoczył pod pokład.

Leżały tu otwarte i pozamykane paki z amunicją, z pancernaustami, ale nie było nikogo. Dostrzegł na rufie drzwi do achterpiku, zamknięte na zasuwę. Szarpnął je i skomenderował:

— Raus!

Z wnętrza wysunął się Niemiec w mundurze, lecz bez pasa, dość solidnie polany mydlinami. Z wyrazem najwyższego zdumienia na twarzy podniósł ręce, przerażony wycelowanym w piersi ostrzem bosaka.

— Obergefreiter Kugel, „Hochwasser”. Sprengkommando — przedstawił się nie proszony, krzywiąc twarz i opuszczając powieki.

— Du bist gefangengenommen, jesteś wzięty do niewoli — zawiadomił go Jeleń. — Nie trza było z dołu podglądać, to by ci mydła w ślepia nie naciekło.

Jawohl, Herr... Ich kenne diese Uniform nicht...

— Marsz — wygnał go Jeleń na pokład. — Już ja cię nauczę, co to za uniform... Kehrt euch! Stillgestanden!

Niemiec posłusznie wykonał w tył zwrot i stanął na baczność, a Gustlik za jego plecami pospiesznie wkładał koszulę i wciągał spodnie, mierząc wzrokiem metalowe stopnie w ścianie śluzy i kombinując, jak zorganizować wspinaczkę, żeby mu jeniec na łeb nie skoczył. Martwił się też równocześnie, co z tym opowiadaniem zrobić, bo jak mydlenie i płukanie opuścić, to

dlaczego by ten Kugel miał pod pokładem nie wytrzymać i zdradzić się okrzykiem.

U wejścia do sieni, gdzie więcej światła, przy tym samym stole, przy którym jedli obiad, siedzieli rozdzielni do bielizny i dość porządnie umyć Janek z Grigorijem. Czyścili i sprawdzali broń, uzupełniali magazynki pistoletów maszynowych.

— Trudna melodia. Zanuć jeszcze raz — poprosił Kos.

Saakaszwili odrzucił głowę i zaczął cicho:

— Kartwelo theli hmals ikar...

Janek podśpiewywał za nim, starał się prawidłowo wymawiać.

— Słowa trudne.

— Ty myślisz, że dla mnie polskie łatwe? Przepraszam, poproszę, przynoszę... Trudne, ale piękne — twoje są jak świst szabli rozcinającej powietrze, moje — jak krzyk orła w górach.

— No, nareszcie! — Janek ze śmiechem chwycił go za ramiona. — Z powrotem jesteś Saakaszwili, a nie wyciśnięta cytryna.

— Popatrz — rzekł Grigorij wskazując na dwór.

Ścieżką dookoła klombu nadchodził Niemiec w mundurze, bez pasa, a w uniesionych nad głową rękach trzymał mokre drelichowe spodnie i kurtki. Za nim kroczył Gustlik z bosakiem w prawym, z dwoma pancerfaustami w lewym ręku i zaganiał fryca, żeby po bratkach nie deptał.

— Nie było szóstego, ale jest — oświadczył tryumfalnie. — Jak nie szukać, to sam się znajdzie.

— Gdzie był?

— Zamknięty w komórce na barce. Tam kupa amunicji i tego dobra — położył na stole pancerne pięści.

— No to i czołg nam nie straszny — ucieszył się Janek.

— Widać przeszkrobał i Oberleutnant go do aresztu posadził — ciągnął Jeleń.

— Czemu nie do piwnicy?

— Tego nie wiem — wzruszył ramionami, kończąc rozwieszać na wiosłach wyprane mundury, które podawał mu jeniec — ale jak go spytasz, pewnie powie. Opuść, pieronie, ręce — pokazał mu gestem i zaczął przedstawiać Kosowi: — Obergefreiter...

— Obergefreiter Kugel, „Hochwasser” Sprengkommando — spiesznie dopowiedział tamten.

Kos wstał i nie wypuszczając z ręki pistoletu maszynowego, do którego zakładał magazynek, podszedł do jeńca, przypatrywał się jego obrzękłej twarzy i wyblakłym oczom za okularami w drucianej oprawie. W spojrzeniu sierżanta było tyle pogardy, że obergefreiter cofnął się o krok, uderzył głową o rękojęść wiosła.

— Janek... — Gustlik lekko trącił dowódcę. — Ty go znasz?

— Nie.

— To co mu się tak przyglądasz?

— Dummer Kugel schießt einen Pudel... Rozumiesz. To jest Kugel męskiego rodzaju. Ten skórkojad, który psa zastrzelił.

— Nie zastrzelił — odpowiedział po polsku jeńiec. — Nie zastrzelił, omyłka — powtórzył twardym akcentem, ale zupełnie poprawnie. — Einen Pudel schießen znaczy zrobić omyłka.

— Po polsku gada? — mruknął Jeień.

— Po polsku też byka strzelić, to niepotrzebny był, niepotrzebny karabin — tłumaczył obergefreiter, poprawiając okulary zsuwające się ze spoconego nosa. — Fszystko powiem...

— Polak? — nie rozchmurzając brwi spytał Kos.

— Niemiec — zaprzeczył tamten.

— Skąd znasz język?

— Schneidemühl, po polsku Piła, polski Singverein.

— Chór — powiedział Gustlik.

— Ja, chór. A w nim dziewczyna. Chciałem, żeby była żona, a ona nie chce mówić po niemiecku.

— Co znaczy ten napis? Co za omyłka? Dlaczegoś się schował na barce?

— Nie schował.

— Zamknięty był — przypomniał Jeleń.

— Oni mnie w areszt, bo ja mówię, żeby nie wysadzać śluzy, nie niszczyć miasta.

— Kto miał wysadzić śluzę?

— Nasze Sprengkommando.

— Po co?

— Tu jezioro — pokazał ręką, że wysoko, a potem opuścił ją w dół. —

Śluz trzyma woda, a w dole nad kanałem Ritzen. Kiedy wróg wejdzie do miasta, to Sprengkommando zatopić, nie puszczać dalej. Hitler każe: „*Um jeden Preis an der Oder halten!*”

— A ty żeś chcioł puszczać? — spytał Jeleń.

— Nein — odrzekł jeniec po chwili namysłu. — Hitler kaputt, aber Deutschland, die Leute nicht kaputt. Niemcy, ludzie nicht kaputt. W Ritzen mój dom i róże, czterysta róże. „*Hochwasser*” zniszczy róże, wszystko zniszczy, nic nie zmieni — der Krieg ist verloren, wojna przegrana...

Niemiec mówił to ze szczerym bólem w głosie. Potem umilkł na długą chwilę, stał z opuszczoną głową. Jak zwykle w chwilach ciszy wydało się, że głośniej grzmi artyleria na horyzoncie.

— Ja mówię: Herr Oberleutnant, my Sprengkommando, nikt tu nie przyjdzie. Wystarczy przeciąć druty i miasto ocaleje. Teraz kiedy nie ma Nazi, śluz ocaleje, róże ocaleją...

Niemiec stał w sieni twarzą ku drzwiom. Blask zachodu migotał w szklach, oświecał jego nieforemną, ale poczciwą twarz. Czołgiści stali przed nim nieruchomo, słuchali z uwagą. W tym, co mówił Kugel, tkwiła jakaś prawda, która kazała im zapomnieć o wojnie i zapragnąć, żeby ocalało miasto i róże...

Słowa jeńca przerwał metaliczny, ostry łoskot kołatki u bramy: jedno uderzenie, przerwa i trzy szybko następujące po sobie.

Sytuacja zmieniła się w jednej chwili. Janek i Saakaszwili błyskawicznie zakneblowali i związali obergefreitera. Gustlik wdział niemiecką kurtkę, pas i hełm.

— Pilnuj go — rozkazał Kos Gruzinowi, a obaj z Jeleniem, chwyciwszy broń, pobiegli do bramy.

Stuk rozległ się po raz wtóry.

— Warte — zaburczał Jeleń i nasunąwszy hełm na oczy uchylił nieco okienka w murze.

Po tamtej stronie stał żołnierz z torbą na piersiach. Lufa karabinu sterczała mu spokojnie nad ramieniem.

— Pakiet — podał kopertę i zeszyt pokwitowań.

Gustlik bez słowa zaczął podpisywać.

— Der Koch ist in den Himmel geflogen — Kucharz do nieba poleciał — zażartował łącznik.

— Ja, wir haben gesehen — mruknął Gustlik.

Tamten siadł na rower i odjechał, a Jeleń domknął okiennicę, wepchnął zasuwę.

— Tomasz, pieron, ma oczy z guzików, niczego nie widzi — gderał oddając kopertę Kosowi. — Wejrzyj ino, co tam Hitler pisze.

— Trzeba będzie lampę zapalić.

Wróciwszy do sieni zamknęli drzwi, opuścili na oknie zasłony. Saakaszwili zapalił karbidówkę, bo elektryczność miał tylko bunkier. Tymczasem Jeleń wszedł kilka schodów i pytał podnosząc głowę:

— Ślepyś, Tomek?

— Widziałem, ale myślałem, że przejedzie obok.

— Nie myśl za dużo, bo się spocisz. Melduj...

— Nie jest źle, chłopaki — ożywił się Kos. — Sztab naszego samodzielnego Pionierbataillon zur besonderen Verwendung, czyli batalionu saperów do zadań specjalnych, zawiadamia, żebyśmy byli gotowi, bo jutro na przedpolach Ritzen można się spodziewać polnische bolschevistische Truppen, czyli naszej armii... Wyjmij mu knebel i rozwiąż ręce.

Saakaszwili wykonał rozkaz i z własnej inicjatywy podsunął Niemcowi taboret.

— Siadaj.

— Możemy wrócić do przerwanej rozmowy — uśmiechnął się Kos. — Znaczy zaproponowaliście oberleutnantowi, żeby nie wykonywać rozkazu, a on was posadził do aresztu na barkę stojącą w podminowanej śluzie.

Długą chwilę trwała cisza. Ciężka artyleria położyła jedną po drugiej salwy gdzieś w pobliżu. Zachybotął płomień. Spłoszył się Niemiec.

— To nasze — uspokoił go Gustlik i dodał: — Możesz mi, kluku, podziękować, że cię twoi do luftu nie wysłali.

Znowu cisza. Jeniec siedział z opuszczoną głową.

— Gdzie są ładunki i skąd miały być detonowane? — spytał Kos.

Niemiec podniósł głowę i obrzuciwszy czołgistów niechętnym spojrzeniem, rzekł:

— Kein Wort mehr.

— Ani słowa? A to dlaczego?

— Die Front ist noch nicht durchgebrochen, front nie jest przełamany. Ja chcę, żeby nie zatopić. Ani Oberleutnant, ani wy.

Kos wstał gwałtownie, zrobił krok naprzód, ale opanował się i rzekł cicho:

— Myślałeś, że front przeskoczył. Ludzi ci nie żal, tylko róż. Zamknij go, Grześ, w piwnicy, ale oddzielnej.

Saakaszwili skinął głową na okularnika i pierwszy ruszył po schodach. Jeleń stał zadumany, Kos chodził tam i z powrotem.

— Siedzi — oświadczył Grigorij wróciwszy i rzucił klucz na stół, gdzie leżała broń.

— Mięknie — dodał Gustlik.

— A myśmy już byli gotowi do kompanii zapraszać... Obergefreiter Kugel, zbawca róż i miasteczek — mówił Kos dalej, chodząc po sieni z pochmurną, zamyśloną twarzą: — Niewiele brakowało, a strzelilibyśmy takiego cholernego byka...

— Albo pudła — uzupełnił Jeleń.



## ROZDZIAŁ 42. CZARNY LOS

Kos szybkim krokiem chodził tam i z powrotem po sieni. Jeleń co chwila osłaniał dłonią płomień karbidówki, żeby od powiewu nie zgasła, popatrywał na dowódcę załogi i wreszcie nie wytrzymał:

- Daleko mosh jeszcze?
- Dokąd?
- Tego nie wiem, ale kajsi idziesz.
- Odczep się — mruknął Janek. — Chodzę, bo o czymś takim myślę...
- Nam nie powiesz?
- Powiem.

Przysiadł na taborecie między Jeleniem i Saakaszwilim, popatrzył im uważnie w oczy.

— Chłopaki... — spiesznie opróżniał kieszenie munduru na piersiach, wyłożył szmaciane zawiniątko, znalazł gruby ciesielski ołówek i odgarnąwszy broń zaczął kreślić na blacie. — Tu my, tu jezioro i śluza... Dalej kanał, a w dole Ritzen. Miasto naturalnie umocnione, strzelnice w murach, gniazda kaemów w piwnicach. Możemy to wszystko zalać.

Wszyscy trzej coraz niżej pochylali się nad stołem.

— Pod zawiasami jest trotyl, druty idą do bunkra — podpowiedział Gustlik. — Ino sprawdzić, czy szpreng-maszynka w porządku, i wywalomy.

— Tak zaraz?

— A na co czekać?

— Na naszych. Woda powinna zalać miasto, kiedy piechota ruszy do ataku. Nie później i nie wcześniej. Wtenczas pęknie obrona, dywizje wyjdą na płaskowzgórze seelowskie i... na Berlin.

— A jak wiedzieć kiedy? — spytał Saakaszwili i potrąciwszy niechęć zawiniątko odsłonił krzyże, tygrysie ucho i obie fotografie.

Janek przysunął do siebie zdjęcie, obejrzał tak uważnie, jakby pierwszy raz widział, a potem się uśmiechnął.

— Trzeba zawiadomić naszych, jak jest, i wysadzimy na sygnał. Niech dadzą na przykład trzy równe czerwone serie z enkaemu w kierunku śluzy.

Zaskwierczał płomień karbidówki, przygaśł i podskoczył znowu. Zakołysały się wielkie cienie na ścianach.

— Trzeba przejść linię frontu.

— Ja. — Grigorij uniósł rękę.

— Zaś ale — mruknął Gustlik. — Coby się przekraść, trza mieć siły.

— Kto pierwszy, ten lepszy — sprzeciwił się Gruzin.

— Sam pójdę — zdecydował Kos dotykając kudłatego tygrysięgo ucha.

— Mam szkołę tajgi. Umiem poruszać się prawie tak cicho jak Szarik.

— Nie, nie pójdziesz, komandir. Dowodzić musisz — tłumaczył Grigorij.

— Prowda. Musisz tu dowodzić — przytaknął Jeleń. — Jakby Niemcy co przewąchali, trzeba śluzy bronić, a wtedy albo tak, albo inaczej rozkazywać.

— To nie czołg.

— Nie czołg, „*Rudego*” nie ma — zasmucił się Saakaszwili.

— Wszystko jedno: dowodzisz i nie pójdziesz.

— Niech los rozstrzygnie — Janek wziął ze stołu pudełko, wyjął trzy zapalki.

— Czekaj. Szkoda łamać — wstrzymał go Jeleń, sięgnął do ładownicy, wyłuskał z łódki trzy naboje i ustawił szeregiem na stole. — Zapalający idzie — wskazał pocisk pomalowany na czubku czarną farbą.

Kos spojrzał na nie i nic nie powiedział. Co innego ciągnąć zapalki, bo to jakby żart, jakby zabawa. A co innego smukłe naboje, złotawo połyskujące mosiężnymi łuskami, zaostrome groty śmierci. Poczul chłód w piersi, ale to była tylko chwila, podmuch marszczący głęboką wodę.

— Zgoda — przytaknął Grigorij, podsuwając na dłoni otwarty ku górze hełmofon. — Czarny los.

— Zgoda — potwierdził Janek.

— Nie — usłyszeli nagle stanowczy głos od strony schodów.

Czereśniak podszedł do stołu, położył jeszcze jeden nabój obok tamtych.

— Chcesz iść przez front? — spytał Gustlik.

— Może nie na mnie padnie — odpowiedział szczerze Tomasz — ale nie ten czas, żeby jak chłop, to zaraz gorszy.

Kos wyciągnął rękę, wziął dołożony przez Tomasza nabój i chwilę obracał go w palcach.

— Zszedłeś z warty.

— Mało co widać z góry.

— Wiesz, o co chodzi.

— Pewno, że wiem. Uszy mam myte — uśmiechnął się, bo on jeden nie zdążył się wykapać po pełzaniu w błocie.

Janek cały czas patrzył uważnie w oczy żołnierza i teraz bez słowa postawił czwarty nabój obok trzech poprzednich. Na ścianie znieruchomiały powiększone cienie załogi i wydłużone, zogromniałe przez bliskość płomienia cztery ostre losy.

Grigorij odetchnął głęboko i jednym ruchem zgarnawszy wszystkie naboje, wrzucił je do hełmofonu, potrząsnął, aż zadźwięczały cicho.

— Komu? — spytał.

— Sam bierz — rozkazał Kos i prawie równocześnie sięgnął do wnętrza.

Saakaszwili szybkim ruchem wydobył nabój, podsunął do światła i odstawił — nie barwiony.

Kos z uśmiechem na wargach powolutku otwierał dłoń. Filował, jak mówią karciarze. Dojrzawszy czubek pocisku, pomroczniał, rzucił go niedbale na stół. Obaj z Gruzinem spojrzeli uważnie na dwu pozostałych.

Gustlik jakby trochę zwlekał, ale gdy Tomasz przeżegnał się nieznacznym ruchem dłoni i wyciągnął rękę, Ślżak go wstrzymał.

— Zapomniałeś, co mówił wachmistrz Kalita? Przed starszego nie leż. Ja zaraz tego z czarnym szpicem...

Wydobył nabój i postawiwszy go na stół urwał w pół zdania.

Trzy pary oczu spoczęły na twarzy Tomasza. Podniósł rękę, ale zaraz cofnął, bo i tak wiadomo — w hełmofonie został ten czarno pomalowany, zapalający.

— Pan plutonowy mi tu plecaka przypilnuje... — rzekł z westchnieniem.

— Przestań z tym plutonowym. Nie wiesz, jak mam na imię?

— Gustlik.

— No — klepnął go po ramieniu i jakby na sekundę przyciągnął do siebie.

— W niemieckim pójdiesz? — spytał Kos.

— Nie, w swoim.

— Prawie wysechł — Janek pomacał wiszący na wiosłach drelich. — A onuce mokre. Weź moje.

— Sadzy naskrobię — rzekł Grigorij. — Trzeba ją z masłem rozetrzeć, wysmarować twarz i ręce, żeby nie białały.

Janek wziął ze stołu fotografię pierwszego dowódcy czołgu.

— Chmur nie ma. Polarną będziesz miał po lewej ręce — powiedział patrząc na zdjęcie.

— Chodziłem na gwiazdy, jak trzeba było do lasu co zanieść — odrzekł Tomasz.

Zrzuciwszy niemieckie spodnie zdążył już swoje wyprane włożyć, a teraz starannie owijał onuce, wyrównywał, wdziewał zabłocone buty.

— Księżyc ledwo po nowiu i niedługo zajdzie. Wtenczas ruszysz — zdecydował dowódca załogi.

Tomasz przymknął powieki, jakby go światło raziło.

— Do ciemnego pójdę, żeby oczy przywykły.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł do sąsiedniego pokoju. Siadł na krześle, tyłem do okna, zsunął czapkę na oczy i zaczął głęboko oddychać.

Po chwili skrzypnęły drzwi, wszedł Kos.

— Nie chciej mówić niżej niż z dowódcą pułku. Wytłumacz wszystko, tak jak słyszałeś. Mogą to miasto wziąć bez strat. Z pozycji wyjściowych niech dadzą trzy długie czerwone serie nad służę. Jak woda pójdzie, będą mieli kwadrans bez ognia na wdarcie się do Ritzen.

— Trzy długie czerwone, kwadrans bez ognia — powtórzył Tomasz. — Nie zapomnę. A lepiej zawsze nic nie pisać, żadnej kartki nie dawać.

— Nawet nie myślałem o kartce. Masz tu kwaśne cukierki — rzekł Janek i wyszedł.

Czereśniak po omacku otworzył blaszane pudełko, wziął landrynkę do ust.

Przez otwarte okno zajrzał nad parapetem Gustlik.

— Tomek.

— No?

— Zamień się.

— Panie plutonowy... Gustlik... W czołgu harmonia została.

— Będziesz miał jeszcze niejedną do wyboru. Zamień się.

— Nie mogę. Cukierki ssam.

— Jakie cukierki? Na mózg ci padło?

— Nie. Kwaśne, żeby szybciej oczy do ciemności przywykły.

Został sam. Siedział na krześle z lekko przekrzywioną głową, jak czynią ludzie, którzy pragną lepiej słyszeć. Z daleka, z falą nocnego wiatru przyplłynęło echo serii z karabinu maszynowego i salwy pękających min.

Ledwo wąziutki księżyc utonął w ciemnych chmurach na horyzoncie, uformowanych przez dymy pogorzeliisk, pod murem śluzy zamajaczyły cztery postacie.

— Gotów? — cicho spytał Kos.

— Gotów — odpowiedział jak echo Czereśniak.

Stuknęły zasuwu u furtki. Saakaszwili objął Tomasza i szepnął:

— Ona dodaje odwagi.

Odnalazł w mroku jego dłoń i położył na rękojeści swojej szabli.

— Będiesz wracał, piwa przywieź — zamruczał Gustlik.

Uchyliła się furтка i na tle jaśniejszej szczeliny widzieli przez chwilę profil Czereśniaka w połówce na głowie, z pistoletem maszynowym na piersi. Na usmarowanej sadzą twarzy połyskiwały tylko białka.

Cień przesłonił wyjście i znikł.

— W dobry czas — szepnął Kos zamykając furtkę.

Wrócili wszyscy trzej do sikni. Saakaszwili powtórnie zapalił karbidówkę.

— Skończymy z bronią i spać.

— Ja pierwszy na warcie — zgłosił się Grigorij.

Janek kiwnął potakująco głową. Milczeli. Długą chwilę słyhać było tylko poszczekiwanie stali. Gustlik, który wsuwał naboje do taśmy niemieckiego erkaemu, pierwszy przerwał ciszę.

— Nie najgorszy nam się trafił chłopiec. Ludzie z niego będą.

— Będą, jeśli przejdzie. — rzekł z powątpiewaniem Grigorij.

— Droga trudna — przytwierdził Kos.

— Skrzeczycie jak sroki na deszcz... Pierona, byłbych przez to wszystko zapomniał, że wieczera mom pojeść.

Ukrajął sobie dwie grube pajdy, bagnetem rozciął puszkę konserw na dwoje. Posmarował grubo, odgryzł wielki kęs.

— Wam też narychtować? — spytał postukując w blachę.

— Narychtuj — zgodził się Grześ. — Tylko cienie, żebym nie musiał szcęk w zawiasach nadrywać.

W tej samej chwili niczym echo rozległ się głośny, umowny stuk do bramy.

Spojrzeli niespokojnie po sobie, chwycili za broń. Gustlik ruszył pierwszy do sąsiedniego pokoju, skoczył przez parapet, żeby bliżej, i podbiegi do muru.

— Wer da? — spytał groźnym głosem.

Cisza. Tylko grzmotami pobrzmiwał daleki front.

— Wer da, zum tausend Teufel!

Wszyscy trzej czaili się u bramy z bronią gotową do strzału.

Znowu cisza. Jeleń ostrożnie uchylił okiennicę i wyjrzał. Potem ją zamknął, otworzył furtkę i rozejrzawszy się raz jeszcze, wciągnął spory przedmiot do środka.

— Co takiego? — wyszeptał Kos.

— Zobaczysz — odrzekł półgłosem.

Saakaszwili i Kos pierwsi weszli do sieni. Gustlik wkroczył za nimi, położył na stole harmonię, a na harmonii pochłapaną błotem, mokrą jeszcze od deszczu ułańską czapkę rotmistrza z amarantowym, pociemniałym od wilgoci otokiem. Kos nie bardzo wiedział — śmiać się czy złościć. Gruzini parsknęli, osłaniając dłońmi usta.

— To jest ale beskurcyja! — zaklął Gustlik. — Jak na drodze podkowy najdzie, to nie dojdzie, bo zacznie zbierać.

Grigorij pierwszy objął wartę. Zrezygnował ze stania na wieżyczce, gdyż tak jak mówił Czereśniak, z góry mało co było widać poza linią frontu na wschodzie, po której wciąż pełzały niespokojne błyski, i rudą poświatą na zachodzie, w stronie Berlina. Lepiej było nasłuchiwać siedząc przed wejściem do sieni. Tyle że w pobliżu żadnych dźwięków poza wilgotnym pluskiem od strony śluzy. Czasem jeszcze zachrobotali jeńcy w piwnicy lub westchnął któryś z przyjaciół.

Siedział więc, nasłuchiwał i kombinował, jak namówić resztę załogi, żeby mimo wszystko nie porzucać „*Rudego*”. Parę wozów w brygadzie po zerwaniu lub uszkodzeniu wież pracowało w charakterze ciągników, wyholowywało uszkodzone czołgi spod ognia. Pancerny ciągnik wielki przynosi pożytek, ale gdyby załoga nie chciała przejść do służby technicznej,

to można by również postawić nową wieżę. Skoro i tak mieli działa wymieniać...

Bezszelstnie podszedł z tyłu Janek Kos i przysiadł obok.

— Jeszcze na zmianę nie pora — zaprotestował Saakaszwili.

— Wiem, ale się nie śpi — odszepnął. — Tak myślę, czy dobrze, że Tomek poszedł. Najmłodszy z nas, najkrócej na froncie.

— Czarny wyciągnął.

— Nie o wszystkim można decydować losowaniem.

— Co do „*Rudego*”, Janek, trzeba dobrze pomyśleć...

— Nie martw się „*Rudym*”. Kto wie, co nam jutro przyniesie, a i do rana jeszcze daleko.

Zaszeleściły zwoje lin, na których Jeleń wymościł sobie legowisko, i po chwili przysiadł obok nich na trzeciego.

— U szwabów Sprengkommando święta rzecz, a jak sonder, czyli specjalne kommando, to dopiero ważne — tłumaczył swoim ciepłym niskim głosem. — Do rana nikt na pewno, dopiero jak ze śniadaniem...

— Czego nie śpisz? — burknął Janek.

— Tego co i ty, muchy gryzą... Dojdzie ten Tomek przez front?

Nikt mu nie odpowiedział, bo od strony Odry wyrósł pomruk, szybko przerodził się w groźny ryk silników. Prawie jednocześnie rozbłysła bomba oświetleniowa i zajazgotały działa przeciwlotnicze, tuż potem jęknęła ziemia pod ciężarem wybuchów i coraz szerzej rozlewać się począł rdzawy blask pożaru.

Wszyscy trzej wstali i unosząc głowy do góry usiłowali dojrzeć odlatujące samoloty na brudnym od dymów niebie.

— Z gwiazdami czy szachownicą? — zastanawiał się Gustlik.

— Wszystko jedno. Ze sześć było — rzekł Grigorij.

— Zrzucili na Ritzen — stwierdził Kos. — Z tego chyba wynika, że nasi rankiem zaatakują miasto.

— Bombardowanie mogło mu pomóc.

— Albo przeszkodzić.

— Dobry żołnierz wszystko na swoją korzyść obróci — oświadczył Saakaszwili. — Dawno temu Persowie oblegali gruziński zamek Ksani. Załoga broniła się mężnie, ale głodowała i co gorsza, nie miała już wody. Wtedy jeden z łuczników strzelił do orła przelatującego nad murami. Martwy

ptak upadł na dziedziniec, w szponach miał rybę. Dowódca zamku Ksani nie pozwolił zjeść, lecz wyrzucił przez strzelnicę wieży. Rybę znaleźli Persowie i zrezygnowali z oblężenia, pewni, że załoga ma pod dostatkiem jedzenia i wody.

— No właśnie — przytwierdził Gustlik. — Wszystko będzie dobrze — uspokajał przyjaciół. — On nie taki głupi, jak wygląda.

— Pamiętajcie, jak Skrzetuski wymknął się ze Zbaraża? — rzekł Janek, pomyślał chwilę i spytał: — Może trzeba było, żeby dwaj jednocześnie? Jakby jeden nie przeszedł albo drogę zmylił...

— Jeszcze bych zdążył — ożywił się Gustlik. — W szwabskim mundurze to nawet jak kto spyta...

Załomotał umowny sygnał, ale cichy i jakby delikatny.

— Zawrócił... — szepnął Kos, sięgając jednak odruchowo po pistolet maszynowy.

Spokojnie podeszli wszyscy trzej do bramy, rozstawili się w pogotowiu przy murze, raczej jednak nie wierząc, że coś mogłoby im grozić.

— Wer da? — spytał leniwie Gustlik.

— Aufmachen — odpowiedział spokojny głos.

— Nicht so schnell. Hier ist „Hochwasser” Sonder-Sprengkommando — mówił, a jednocześnie powoli uchylał okiennicę, żeby zerknąć na zewnątrz.

— Hier die SS — zabrzmiała ostra odpowiedź. — Aufmachen.

— Czterech — szepnął Jeleń w kierunku Kosa.

— Wpuszczaj i bez strzału — rozkazał Janek ledwo poruszając ustami.

— Ein Moment — głośno odpowiedział Gustlik, odciągając zasuwę i otwierając furtkę szeroko.

Na teren służy wkroczył oficer w czarnym jak noc mundurze, za nim trzech potężnych drabów z pistoletami maszynowymi.

— Wo ist Oberleutnant?

— Moment — powtórzył Gustlik.

Chciał zamknąć furtkę, ale ostatni esesman wstawił but między drzwi, spode łba przyglądał się Ślązakowi. Schylony Jeleń podniósł oczy i nagle, rozginając się jak sprężyna, uderzył od spodu trzymanym oburącz automatem.

Kos zaatakował pierwszego z prawej. Zderzył się, podcinając nogi zwałił go na ziemię, a usiłującego wstać rozpląszczył ciosem w kark.



Grigorij był najdalej. Nim dopadł swego, esesman podniósł pistolet maszynowy do strzału. Zaskoczył go błysk klingi, więc cofnął się, zasłonił przed ciosem i pchnięty w pierś padł na trawę.

Oficer zmierzył do Saakaszwilego z pistoletu, ale cięty w nadgarstek końcem główki, wypuścił broń, rzucił się do ucieczki. Grigorij skoczył za nim, zawadził stopą o trupa i upadł. Esesman przebiegł trawnik i rabaty z bratkami. Skoczył przez barierę, dudniąc butami biegł po mostku służy na drugą stronę.

Widać go było wyraźnie na tle nieba i Kos pewnie sięgnął serią. Uciekający wyskoczył z rozpędu w górę i zwałił się w paropiętrową studnię służy.

Zdyszani i rozpaleni walką wszyscy trzej czekali długą chwilę na ostre klaśnięcie o wodę. Dopiero potem odetchnęli.

— Musiałem — tłumaczył się Kos. — Inaczej zwałby i zaraz sprowadził swoich kamratów na kark. Albo wyleciałby z hukiem na minie po tamtej stronie służy.

— Może im się to nie zda ważne — pocieszył Jeleń. — Mało to strzela?

— Ale esesmani skapują, że czterech poszło i nie wraca. Nie doczekamy spokojnie ranka.

— Taki sam, jak miałeś — rzekł Grigorij podając Jankowi podniesiony z trawy długolufy pistolet esesmana. — Bierz i przestań się boczyć na moją szablę.

Kos zważył broń w ręku.

— Ja bym ci, Grześ, i konia dał za tamto na poligonie...

— Każdy by zrobił to samo — przerwał mu Saakaszwili. — O „*Rudym*” trzeba pomyśleć, bo silnik dobry, kadłub cały, tylko żeby nowa wieża...

— Nie pora jeszcze — rzekł poważnie Janek. — Na razie jesteśmy jak tygrys w potrzasku: mamy pazury i zęby, ale póki nas nie wyzwolą, nie możemy z miejsca ruszyć. Za godzinę czy dwie, jak skapują, że patrol nie wraca...

— To wywalimy ta służa i do lasu.

— Nie czekając na czerwone serie?

— Prowda. Musimy czekać.

— Żeby się nie nudziło, podszykujemy to i owo.

Nie zwlekając wzięli się do roboty. Przede wszystkim z barki stojącej w służbie wytaszczyli na wierzch co się dało z amunicji i kilka pięści pancernych. Potem Saakaszwili i Kos łomami skruszyli mur w narożniku na piętrze, wybili poziomą szczelinę, przez którą można było ostrzeliwać całe przedpole łącznie z rozwaloną stertą słomy, kryjącą kadłub „*Rudego*”, i krawędzią lasu.

Gustlik co parę minut wspinał się po schodach.

— Pozór! — pokrzykiwał i zwałął nowy wór z piaskiem obok sterty innych, fortyfikujących stanowisko ogniowe.

Kos podciągnął materac, przyklęknął na nim i przymierzając się do kolby niemieckiego MG, stwierdził:

— Póki piechotą będą nas brali, nie podejda. Tylko odsłoń, Grześ, niebo nad nami, bo nie lubię jak mi się dachówki za kołnierz sypią.

— Dobra.

Saakaszwili wlażł na worki i lekkimi uderzeniami łomu począł strącać po kilka karpiówek naraz, obnażając szerniałe drewno krokwi.

— A jak dom rozwałą — zastanawiał się Kos — to jeszcze z pół godziny zejdzie, nim mur sforsują, a potem drugie pół, nim nas wyduszą w bunkrze nad służą. Chyba żeby czołgami.

Z dołu rozległ się ostry dźwięk telefonu. Nie milkł, był coraz natarczywszy.

— Oszwabić szwabów? — zaproponował Gustlik.

— Spróbuj — zgodził się Kos.

Grigorij został przy kaemie, a oni obaj pobiegli na dół. Janek korzystając z okazji przejechał się po poręczy krętych schodów, a Jeleń zadudnił po schodach.

— Hier „*Hochwasser*” Sprengkommando — zameldował.

Chwilę słuchał, a potem, bez większego zresztą przekonania, że mu uwierzą, odpowiedział, że esesmani odeszli.

— Unterscharführer mit seinen Leuten ist schon weg.

Słuchał dłuższą chwilę, zmarszczył nos i odłożył słuchawkę, w której pienił się i bulgotał czyjś krzyk.

— Trupiarze przyszli po tego Kugla, co był zamknięty na barce. Nie myślołech, że przez pierońskiego obergefretira będzie tako ostuda. Niechby go wzięli.

Krzyk w słuchawce ucichł i właśnie teraz ten milczący kawałek ebonitu wydał się Kosowi groźny. Zebrał w garść druty podłączone do aparatu, wyrwał je jednym szarpnięciem.

— Kości zostały rzucone.

— Gdzie? — zdziwił się Gustlik.

— Juliusz Cezar tak powiedział forsując rzekę Rubikon i zaczynając wojnę.

— Skąd wiesz?

— Ze szkoły z lekcji historii.

— Jo zech nie miał kiedy studiować, ale jak się wojna skończy, to każdy tydzień jedna książka będę czytał.

— Jak się wojna skończy... — zaczął mówić Janek, lecz zmienił zamiar, urwał w pół zdania i spytał: — No stary, co będziemy robić w ostatniej chwili przed bitwą?

Gustlik stał z opuszczoną głową, zajęty innymi myślami, dopiero po chwili odrzekł:

— Nie wiem, jak ty, a jo schowom harmonia w bunkrze, coby się nam nie straciła. Tomek by okropnie lamentował.

Dobrotliwie gderając zarzucił sobie plecak na ramię, wziął instrument pod pachę i wyszedł na dwór. Za nim Kos z garnizonową czapką rotmistrza w ręku. Przeszli obaj środkiem klombu, nie omijając już rabatek świeżo rozkwitłych bratków.

Betonowy grzyb bunkra szarzał w ciemności, przed nim połyskiwały zasieki, rozciągnięte nisko nad ziemią. Gustlik zeszedł do wnętrza. Kos tylko zajrzał, podając mu czapkę.

— Połóż na harmonii.

Czekał chwilę, spoglądając na wrota śluzy, na jej betonowe ściany i barcę przycumowaną w dole.

Stąd już nie ma dokąd się cofać.

— Chyba że jak kominiorz. — Gustlik pokazał metalową drabinę prowadzącą do wody. — Zlazłbyś se po niej, siadł na ten okręt i popłynął.

Roześmieli się obaj, jak z dobrego kawału.

— Wiesz co, Janek — Jeleń spowaźniał — Tomek pewno już u naszych, a jak nie, to tak się schował, że go do końca wojny sam pieron nie znajdzie. A tu gorąco się robi jak przy piecu.

— Trzeba będzie się spocić...

— Jo ci powiem: nie on, ino my czarny los wyciągnęli.

Kos nie odpowiedział. Nasłuchiwał ciurkania strumyka tryskającego przez wrota śluzy.

— Warto jeszcze parę tych faustów wyciągnąć? — spytał Jeleń.

— Nie zawadzi.

Janek jak kot zbiegł po szczeblach. Gustlik rzucił mu linę i holował zaczepione drewniane pudło.

— Załoga! — krzyknął Saakaszwili z okienka wychodzącego w stronę śluzy.

— Wracaj — zawołał Jeleń w dół i przyspieszył wybieranie liny.

Prawie równocześnie nad krawędzią betonu ukazała się kanciasta paka i głowa Kosa. Chwycili za automaty i pobiegli z powrotem.

Zza muru dobiegał warkot samochodowego silnika i jakieś głosy. Janek skoczył pierwszy na schody. Gustlik zatrzymał się sekundę, żeby karbidówkę zdmuchnąć.

Ktoś ciężko uderzył w metalowe płyty bramy raz i drugi. Trzasnęła pojedyncza seria na zewnątrz. W odpowiedzi równym ściegiem zaterkotał MG ulokowany przy strzelnicy na piętrze.

Jeleń westchnął, wybrał jedną ze skrzynek z moździerzowymi minami, zarzucił sobie na plecy i ruszył w górę po schodach.

— Chłopaki! — krzyknął przez łoskot wystrzałów — jo tu fajne handgranaty przyniósł.

Postawił skrzynkę na ziemi, odkręcił kapturek zapalnika i przez dziurę w dachu rzucił pocisk ku górze. Mina wyskoczyła jak z lufy ponad krokwie, obróciła się w locie łbem na dół. Sekunda jeszcze i z dołu trysnął oślepiający błysk, gwałtowna eksplozja zagłuszyła wszystkie dźwięki.

## ROZDZIAŁ 43. SWÓJ

Czereśniak pamiętał okolicę. Kiedy wartował, przepatrzył ją sobie dokładnie z tej wieżyczki nad budynkiem śluzy. Zmarudził trochę na początku, ale odłożywszy pod furtką harmonię i rotmistrzową czapkę, ruszył już ostro i bez namysłu przydrożnym rowem na pagórek, a potem przez pole, skośnie do bruzd.

Z przydymionego nieba mdło przeświecały gwiazdy, ale przecież nie inne, tylko takie same jak nad Studziankami — tylne koła Wielkiego Wozu wskazywały na Gwiazdę Polarną, a wedle niej to już każdy kierunek odnaleźć nietrudno: wschód po tej ręce, co się trzyma łyżkę czy karabin, zachód od strony serca bijącego, a południe za plecami.

Nie trwało długo, jak nie spotkawszy nikogo dotarł do lasu. Rzadki był niemiecki las, nie to, co Puszcza Kozienicka, choć przecież podszyty krzakami, podcieniony. Szybko, lecz ostrożnie, szedł omijając jaśniejsze łąsiny, trzymał się mroku. Z rzadka przystawał na chwilę, odszukiwał zaplątaną w gałęzie Gwiazdę i znowu ruszał charakterystycznym, wilczym krokiem.

Pomyślał już, że bez pełzania dotrze do samego kanału, kiedy między drzewami poczęły się niebieszczyć coraz jaśniejsze prześwity. Zwolnił. Przegrodziła mu drogę szeroka, pachnąca żywicą poręba. W lewo na jej skraju zobaczył cień ciężkiego działa w okopie, a na przedpiersiu sylwetkę wartownika. Ostrożnie przesunął się parę kroków w prawo, ale zaraz spostrzegł drugie działo i usłyszał nawet niewyraźny gwar głosów, melodię graną na organkach.

Cofnął się i położył i od miejsca, w którym jakby nieco wyżej wyrosła grzęda chwastów, zaczął pełznąć. Kiedy wartownik odwracał teraz twarz w jego stronę, zamierał bez ruchu, a nawet opuszczał powieki, żeby przysłonić białka.

Coraz bliższa była przeciwległa krawędź lasu, między pniakami wyszły mu na spotkanie młode brzoźki. Wkrótce mógł się unieść, a potem nawet wstać i przemykać pod osłoną wiosennych liści na cierpko pachnących gałązkach.

Dotarłszy do lasu, zaczął biec niespiesznym wytrwałym kłusem, żeby nadrobić stracony czas. Rozgrzał się, nabrał znowu śmiałości. Nie zmniejszając tempa przeciął wąską wilgotną łączkę i na jej drugim brzegu, dwa kroki od pierwszych drzew, zaczepił nogą o drut rozciągnięty nisko nad ziemią.

Padając usłyszał z lewej i prawej zwariowane dzwonienie pustych blaszanek. Jednym skrzętem ciała wcisnął się pod krzak jałowca i zamarł w bezruchu. Tyle razy sam rozciągał druty, przywieszał konserwowe puszki, śmiał się, jak niemieckie patrole dzwonią po nocy, a teraz sam wpadł w zastawione sidła.

Na stojącym opodal czołgu, którego przedtem nie dostrzegł, odchyliła się naszyta łątami sieć maskująca. Z wnętrza wylazł żołnierz, rozglądał się dokoła, nasłuchiwał resztek niespokojnego dyndania, wodząc to w lewo, to w prawo lufą pistoletu maszynowego.

Blaszany łoskot spłoszył widać śpiącego zająca, który najpierw zamarł ze strachu, a teraz zerwał się, uciekając wpadł prawie na leżącego Tomasza i powtórnie przestraszony odskoczył w bok, popędził wielkimi susami.

— Der dumme Hase tanzt im Wald, głupi zając tańczy w lesie — zamruczał Niemiec w stronę swych kumpli pod pancierzem i zniknął z powrotem w wieży.

Tomasz otarł z potu twarz i szyję. Począł pełznąć, ostrożnie wypatrując, czy nie trafi znowu na drut. Zamarł na chwilę i wtulił twarz w trawę, bo coś zatrzepotało tuż obok. Przerażony podniósł z wolna oczy i zobaczył, że drugi szarak, być może para od tamtego, zaplątał skoki w maskującą siatkę, celowo rozpiętą klinem między krzakami.

Czereśniak namyślał się chwilę, rozejrzał się i dobywszy swego ogrodniczego noża, chwycił zająca za uszy, by się nie szarpał, a potem przeciął sieć i puścił schwytanego na wolność. Miał uczucie, że spłacił dług wobec tego pierwszego, który wziął na siebie winę za dzwoniące blaszanki.

Czołgał się jeszcze dobre sto metrów, póki nie odważył się wstać i skradać między pniami. Tym razem nie uszedł daleko, bo druty znowu przegrodziły drogę. Kilkoma spiralami pełzły po ziemi w lewo i w prawo. Mało szans, że dadzą się obejść, a wiele, że w luce będzie stała warta.

Tomasz wypatrzył stary dąb, którego konary bieły prawie poziomo nad ziemią. Wlazł na drzewo, a potem w zwisie na rękach przesunął się nad splątana kolczasta gęstwą, zeskoczył na ziemię po drugiej stronie.

Parę minut wędrował spokojnie, póki warkot samochodów nie ostrzegł go, że niedaleko do drogi. Skręcił w prawo i trafił wkrótce na głębokie okopy, szczęściem jeszcze puste, ciągnące się wzdłuż niewysokiej skarpy i brzegu lasu. Dalej łagodnie opadała łąka pokryta plataniną drutów, za którymi błyszczała woda kanału. Napis „*Minen*” i wymowny znak trupiej czaszki zniechęcały do prób forsowania przeszkody na wprost.

Kilkadziesiąt kroków w lewo las też się kończył. Czereśniak ukryty w krzakach widział przed sobą asfaltową szosę na niewysokim nasypie, tu i ówdzie porośniętym krzaczkami. Nieco dalej w prawo czerniała kratownica mostu nad kanałem. U wjazdu kręciło się paru wartowników. Zatrzymywali każdy pojazd, przyświecając latarkami, sprawdzali ładunek i dokumenty. Żadnych szans, żeby się tamtędy niepostrzeżenie prześliznąć.

Namacał w kieszeni karabinowy nabój z czarnym czubem pocisku.

Pomyślał, że chłopu to zawsze wiatr w oczy i zamiast siedzieć przy służbie, wykonywać rozkazy, to musi się głowić, co począć. Podobnie jak w lesie, kiedy słuchał rozdzwonionych puszek, czuł chłód potu na karku.

Kontrola opóźniała przejazd i koło mostu utworzył się niewielki zator. Na końcu stanął łązik, a za nim jedna po drugiej zahamowały cztery półciężarówki, ciągnące szybkostrzelne działka przeciwlotnicze. Oficer, zapewne dowódca baterii, wysiadł z samochodu, podszedł do wartowników i głośno, energicznie z nimi rozmawiał.

Do uszu dolatywały pojedyncze słowa poprzez warkot silników, wśród których powtarzała się znajoma nazwa miasta:

— ...nach Ritzen... Panzerabwehrposition Ritzen... der Feind greift in Richtung Ritzen an...

Tomasz niewiele był w szkołach uczony, a już języków zagranicznych to wcale, ale przez pięć lat okupacji nasłuchał się sporo, zwłaszcza pokrzykiwania i terminów wojskowych, więc pojął, że ma być w mieście pozycja przeciwpancerna i że nasi to Ritzen mają atakować.

Słuchając pilnie obserwował półciężarówki, na których pod gołymi pałakami siedzieli przygarbieni drzemiący artylerzyści. Jeden z nich zeskoczył

i jako wartownik łąził tam i z powrotem, nie odchodząc jednak zbyt daleko od swego samochodu.

Armaty opatulone w brezenty także wydawały się senne, podobne do cienkoszyich garbatych wielbłądów, jakie raz widział na jarmarku już w czasie wojny. Tomasz uważnie przyglądał się działom, przenosił wzrok z jednego na drugie. Dostrzegł, że na ostatnim pękła przetarta linka i niedbale zasznutowany brezent rozchylił się trójkątną ciemną szczeliną.

W powietrzu zabulgotał ciężki pocisk, przeniósł nad mostem i zagrzmiął w polu po przeciwnej stronie drogi. Spłoszyli się kanonierzy, zeskoczyli z wozów, pobiegli w stronę lasu i przypadli do ziemi. Dwu legło o parę kroków od Czereśniaka.

— Zurück! — oficer biegnąc od mostu krzyczał, żeby wracali.

Żołnierze wracali słysząc komendę, ale gwizd drugiego pocisku znowu ich rzucił o ziemię. Granat był krótki, wybuchnął po tamtej stronie mostu.

— Auf! Auf! Abfahrt!

Poderwali się, stłoczyli przy samochodach, podsadzali jeden drugiego, byle prędzej. Nikt nie widział, że jeden z tych, którzy biegli, zniknął za ostatnim działem.

Ostrzeliwujący most artylerzyści podzielili widły i trzeci pocisk wybuchnął już całkiem blisko, wyrzucił grudy ziemi na szosę.

Wyły silniki, trzecia armata usiłowała wyjechać przed stojącą zbyt długo drugą, sypały się przekleństwa. Kanonierzy wyglądali ze swych miejsc do przodu w stronę frontu, nasłuchiwali, czy nie nadlatują nowe pociski. Nikt nie dostrzegł, że pod rozsznutowany brezent ostatniego działa ktoś się wśliznął, że czyjeś ręce zaciągnęły linkę od wewnątrz, żeby zmniejszyć prześwit.

Kolumna ruszyła przez most, przynaglana do pośpiechu okrzykami wartowników i służby ruchu.

Zaświstało w powietrzu. Prawie jednocześnie nadleciały cztery granaty bateryjnej salwy, rąbnęły w kanał, poszarpały zasieki na brzegu, zdmuchnęły budkę wartownika. Odłamki, rykoszetując od kratownicy mostu, wyły w powietrzu.

Jeden z nich rozciął brezent na zamykającym kolumnę dziale, wpadł do wewnątrz, zadzwonił o metalową podstawę. Czereśniak cofnął nieco głowę, a potem schylił się niżej, podmuchał na gorący metal i podciągnąwszy rękaw zgarnął odłamek na zewnątrz. Potem palcami zmacał rozerwany brezent,



sprawdził, czy strzęp pasuje, czy dałby się z powrotem przyszyć. Pomyślał sobie, że teraz to już na nic, że będzie ciekło i wzruszył ramionami, bo ostatecznie nie jego interes.

Najważniejsze było, czy bateria przystanie niedaleko za mostem i czy w takim miejscu, żeby można było niepostrzeżenie spełznąć z podstawy i skoczyć w krzaki albo przynajmniej zostać na asfalcie, kiedy ruszą. Na razie jednak nic nie zapowiadało postoju — wozy gnały coraz szybciej, zjeżdżały w dół, a potem skręciły raz jeszcze na ulicę między przedmiejskimi domami. Budynki wyrastały coraz wyższe, zadudnił pod kołami zwodzony most nad kanałem i samochody stanęły na sporym placu.

Po lewej ruzniał dom z gołych poczerniałych cegieł, którego mur schodził pionowo w wodę, a w niskim oknie, za workami z piaskiem sterczała lufa karabinu maszynowego. Z prawej, za rzędem drzew pobłyskiwał również kanał, a w głębi drzemały schodzące nad wodę domy.

Oficer stał na trawniku wśród resztek połamanych kwiatów, pokazywał gestami miejsca nadjeżdżającym szoferom i krzyczał:

— Erste und zweite Kanone... Die Polen werden von dieser Richtung angreifen. Dritte und vierte Kanone...

Żołnierze chwyтали łopaty, energicznie poczynali rozkopywać trawnik, przygotowując stanowiska ogniowe dla dział.

— Hast du Hunger? Głodny jesteś? — spytał jeden z kanonierów drugiego.

— Wie ein Wolf, jak wilk.

— Warte mal, ich bringe gleich etwas — uspokoił kamrata ten pierwszy, żeby zaczekał, to on coś zaraz przyniesie...

Wbił łopatę w ziemię, podszedł do ostatniego działa i starannie od dołu do góry począł rozsznurowywać brezent;

— Was machst du hier? — spytał go wartownik. — Co tu robisz?

— Psst — głodny podał paczkę junco, żeby się tamten nie czepiał.

Piechur wziął papierosa, założył za ucho na później i cofnął się o parę krcków. Stojąc pod murem koło wyrwanego z futrynami okna, patrzył, jak kanonier wsadza głowę do środka i włazi do pasa pod brezent.

Wartownik wzruszył ramionami, odwrócił się i odszedł ku innym działom. Z tej przyczyny nie widział, jak tamten nagle szarpnął się do tyłu, ale natychmiast zmiękł i wpęłznął czy też raczej został wciągnięty do środka.

Chwilę jeszcze wystawała nieruchoma, dziwnie skrzycona noga, ale i ta zniknęła.

W górze zaczął narastać pomruk motorów.

— Batterie, achtung! — rozkazał oficer. — Sei schussbereit!

Na ten okrzyk żołnierze rzucili łopaty, pobiegli do dział, żeby zrzucić brezenty, gotować je do boju. Wartownik obejrzał się i z daleka zobaczył, że nim dobiegli, od ostatniego oderwała się czarna sylwetka i zniknęła w oknie parteru. Chwilę się zastanawiał, który to taki dekownik, lecz potem wzruszył ramionami i tylko sprawdził, czy mu nie wypadł papieros ulokowany za uchem.

Skoczywszy przez parapet do wnętrza domu, Czereśniak natychmiast prześliznął się pod ścianami na klatkę schodową i wbiegł na pierwsze piętro — pamiętał, jak mu Gustlik klarował podczas nauki czołgowego strzelania, że przeciwnik lubi siedzieć albo w piwnicach, albo na strychu. Piętro rzeczywiście zdawało się być puste, lecz Tomasz wparł plecy w mroczny kąt za kafłowym piecem i nasłuchiwał, a jednocześnie spoglądał w dół na trójkątny plac poryty nie wykończonymi okopami, na samochody zjeżdżające pod ścianę domu, na działa, z których kanonierzy pospiesznie zrywali pokrowce. Armaty sprawnie uniosły lufy ku górze, amunicyjni ładowali pociski w sterczące łódki magazynów.

Przy czwartym dziale znaleziono trupa, ściągnięto go na trawę. Ktoś podbiegł do oficera i zameldował, ale tamten machnął ręką, zajęty wyłącznie samolotami — przelecą czy będą atakować?

W górze błysnął ogień, zamigotał i rozplómił się jaskrawo. Bomba magnezowa zalała plac i armaty oślepiającym białym światłem. Dudnienie silników zagłuszało komendy oficera, ale widać było jego gesty — gwałtownie opuścił rękę i równocześnie wszystkie cztery lufy zadygotały w odrzutach, posłały w kierunku flary smugowe sztychy serii.

Schronienie za piecem dawało poczucie bezpieczeństwa, lecz Tomasz zdawał sobie sprawę, że jeśli nie skorzysta z nalotu, to nigdy nie wypłucze się z tego miasta, do którego niespodzianie zajechał. Oderwał plecy od ściany i skradając się na palcach ruszył w stronę okna wychodzącego na kanał, osłoniętego narożnikiem od strony dział. Spojrzał w dół i cofnął się za framugę.

Chwilę ważył w sobie decyzję. Potem na linie, która sznurowała działowy brezent, zaciągnął kluczkę, umocował pętlę do zawiasu wyrwanego okna. Zdjął buty i odstawił pod ścianę. Rozejrzawszy się po zdemolowanym pokoju, wybrał szerokie staromodne krzesło i cisnął je do kanału. Plusk wody nie zwrócił niczyjej uwagi.

Przeżegnawszy się spieszenie, Tomasz przelazł za parapet i począł po linie złaźić w dół z drugiego piętra. Bosymi stopami wyszukiwał chropowatości na murze, żeby się choć trochę podpierać. Był coraz bliżej wody kanału, lecz na poziomie skweru zobaczył pod stopami okno piwniczne, z którego sterczał karabin maszynowy. Spróbował przesunąć się w bok, ale ciężar ciała ściągał go wprost nad lufę. Znieruchomiał, nie wiedząc, co począć, i wisiał niczym wielka dojrzała gruszka.

W górze ryczały samoloty, tuż obok jazgotały działka. Nagle zagwizdała w powietrzu seria bomb i równocześnie zgasła zestrzelona flara. W mroku narastał gwałtowny świst. Skoczyć czy nie skoczyć, ważył w sobie decyzję Tomasz.

Płomienie poszarpały noc. Jedna z bomb wybuchła na placu. Podmuch zerwał Czereśniaka ze sznura i cisnął nim w wodę.

Działa poczęły się krztusić, paru kanonierów usiłowało gasić płonący samochód. Milkły stopniowo wystrzały, przycichał warkot samolotów.

Dowódca baterii rozkazał przenieść zabitego kanoniera do sieni ceglanego domu. Odszedł na bok, zdjął hełm i ocierając spocone czoło szeptał cicho sam do siebie:

— Wer konnte das getan haben? Partisanen in Deutschland?

Nie mógł pojąć, kto zabił żołnierza, a myśl o bolszewickich partyzantach, działających w samym sercu Niemiec, wydała mu się absurdalna. Długą chwilę patrzył bezmyślnie w wodę kanału oświetloną czerwonym blaskiem pożaru, zagraconą połamanymi meblami, blaszankami i butelkami. Pod mostem w tęczowej aureoli kołysała się beczka po benzynie. Szczęk przeładowywanych łódek nabojoych przywrócił mu poczucie rzeczywistości. Oficer wyprostował się i poszedł w stronę dział.

Dopiero teraz drgnęła podwójna linka zwisająca z drugiego piętra wzdłuż ceglanej ściany aż do powierzchni kanału. Luźny jej koniec napiął się, drugi szybko poszedł w górę, a potem spadł, trzepnął o wodę i zanurzył się szybko, nie zostawiając śladu na powierzchni prócz lekkiego wiru.

Wir chwilę obracał zrzuconym do wody krzesłem, a potem sterczące w górę nogi z wolna poczęły spływać z prądem. W ich cieniu wynurzyły się okrągłe jak u ryby usta, wzięły oddech i zniknęły z powrotem pod wodą.

Czereśniak równie cierpliwie płynął nurkiem pod osłoną krzesła, jak przedtem czekał sposobnej chwili, by ściągnąć linkę. Miał nadzieję, że jeśli nie zostawi śladu, jeśli nie spostrzeżony wyrwie się za miasto, to dalej już będzie dobrze. Mijały długie minuty i coraz bardziej przygasał blask na brzegach kanału, coraz ciszej robiło się dokoła.

Zostawiwszy za plecami pożary, Czereśniak wymacał twardy grunt pod stopami. Iść było lżej niż płynąć, choć przyspieszyć nie mógł ani trochę — maskujące go krzesło nie mogło spływać szybciej niż prąd, a skąd mógł wiedzieć, czy z brzegu nie obserwują go bystre oczy doświadczonego zwiadowcy.

Kanał prowadził między dwoma nasypami. Przy brzegach lekko zarośniętych sitowiem i trzcina, środkiem płynął leniwie. Gdzieś niedaleko toczyła się walka — co chwila warczały stłumione, ale gwałtowne serie, cichły i znowu zaczynały trzeszczeć dalej lub bliżej. Pohukiwały moździerze, syczały białe rakiety oświetleniowe i barwne — sygnalizacyjne.

W tym świetle pełzających po niebie niespokojnych błysków widać było niesione przez prąd przedmioty: manierkę z duralu, niemiecką Feldmütze, czyli podobną do narciarki czapkę polową, jakiś kształt niewyraźny, który mógł być trupem psa lub człowieka.

Wszystko to towarzyszyło Czereśniakowi długie minuty, kwadransy, może nawet godziny. Stracił rachubę czasu. Chłodne dreszcze szarpały mięśniami, w głowie szumiało od wysiłku. Wiedział jedno — kanał prowadzi na północny wschód, a więc z każdym metrem bliżej do naszych.

W pewnej chwili jednak zaczął wątpić, czy dojdzie na czas. Mogli się nasi cofnąć o kilometr lub dwa na tym odcinku, bo na wojnie różnie przecież bywa. Jeśli tak się stało, to wszystko na nic, na dodatek buty przepadną, zostawione w tym ceglany domu przy placu, gdzie armaty.

Człapał zrezygnowany, póki nie wypatrzył, że brzegi zmieniają kierunek, i nie pomyślał, że stąd już chyba niedaleko. Przyspieszył nieco. Może trochę nawet o ostrożności zapomniał, byle szybciej zobaczyć, co za zakrętem.

Za zakrętem woda rozlewała się szerzej, lecz tu właśnie, na końcu węższego gardła, manierka i czapka ugrzęzły w gęstych spiralach kolczastego

drutu, które przegradzały kanał w poprzek. Na zasiekach osiadły strzepy szmat, gałęzie, trzciny, jakieś inne przedmioty tak pokaleczone przez wojnę, że trudne do rozpoznania. Woda przeciskała się z trudem, bulgotała, bielila pianą.

Powstrzymał swoje krzesło z nogami sterczącymi ku górze jak maszty odartej z żagli fregaty. Bał się zaplątać w druty. Czekał, nie wiedząc, co dalej robić. Czekał, czując, że mięśnie drętwieją od chłodu. Powieki stawały się coraz cięższe, światła przed oczyma jakby ubywało. Może nawet na sekundę lub parę sekund zadrzemał.

Nagle automaty zagrały ze zdwojoną siłą. Moździerzowy granat trzepnął w wodę, wyrwał ku górze kolczastą spiralę. Parę ręcznych wybuchło na nasypie.

— Links, links... Warte... Schnell zum Teufel!... Hilfe... Feuer! — splątały się strzepy niemieckich okrzyków.

Tuż za wałem jazgotał karabin maszynowy, szarpnęły się błyski na wylocie lufy. Błysnęły mu w odpowiedzi inne, gęsto zagwizdały kule i nagle zerwał się okrzyk najpiękniejszy ze wszystkich, jakie Tomasz spodziewał się usłyszeć.

— Huraaa! huraaa!

Ochryple wściekłe głosy były coraz bliżej. Wskoczyli Niemcy na nasyp, za nimi nasi piechurzy. Starli się w błyskawicznym zwarciu, paru padło, a żywi pobiegli dalej.

Jeden z leżących Niemców, który przed chwilą pchnął bagnetem, a potem upadł, teraz się zerwał. Skoczył w wodę, brnął coraz głębiej i wreszcie zaczął płynąć na przeciwległy brzeg. Kiedy mijał zatopione, oparte o druty krzesło, poszedł nagle pod wodę, jakby szarpnięty wirem. Chwilę jeszcze trzepał rękami, bulgotał i ucichł.

Dźwięki natarcia odsunęły się dalej, a zza nasypu dobiegły nowe głosy:

— Jest okop. Tylko pogłębić.

— Stawiaj rurę.

Czereśniak uniósł głowę, nasłuchiwał.

— Amunicyjny, dawaj miny.

— Przeciem nie koń.

Teraz już był pewien, że swoi. Nabrał powietrza w płuca i krzyknął:

— Hej, rodacy!

— Wołał kto? — Pokazały się głowy i lufy karabinów.

— Ja.

— Co za ja? — groźnym basem spytał jeden z moździerzystów. —  
Gdzie jesteś?

— We wodzie.

— To wylaż.

Czereśniak odbił się od krzesła, paroma rzutami ramion przepłynął kanał, lecz zaraz moc go opuściła i z trudem wylaż na brzeg.

— Z naszej piechoty w tyle zostawszy? — nieufnie spytał go żołnierz.

— Nie.

Tomasz usiłował wstać, dźwignął się, lecz opadł na kolana, bo nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

— Z tamtej strony frontu — powiedział cicho. — Prowadźcie do dowódcy pułku.

Nie pamiętał, jak i którzy go prowadzili do tej piwnicy pokaleczonego pociskami domu, gdzie było tymczasowe stanowisko dowodzenia — telefony, radiostacje, a w głębi oparte na beczkach i udające stół drzwi, nad którymi pochylali się oficerowie i rysowali kolorowo na mapach.

Powiedział wszystko dowódcy pułku, który siedział pod ścianą na ławie i uważnie słuchał. Mówił stojąc przed nim o dwa kroki w swym utyłanym, podartym i mokrym drelichu. Woda kapiała jeszcze, rozpląwała się w ciemną, coraz większą kałużę wokół bosych stóp.

Pułkownik pomilczał i zwrócił się do jednego ze sztabowych pisarzy, większego niż inni wzrostem:

— Dajcie mu suchy drelich i ręcznik. Zębami zaczyna dzwonić.

Telefonista podał słuchawkę.

— Jest czternasty z Rosomaka — zameldował.

— Dalekoś doszedł?... No pytam, czy Berlin widzisz?... Naciśnij. Co przed świtem, to twoje... Nie ma takiej płaskiej łąki, żeby się piechur nie schował. Obłóż ogniem z moździerzy... Melduj za godzinę.

Pułkownik oddał słuchawkę i dalej patrzył na Czereśniaka, który zdążył włożyć czystą koszulę i dopinał przyciasne spodnie.

— Pij... — nalał z manierki do kubka, podał i odczekawszy, aż żołnierz wypije, spytał: — Ciepłej teraz?

— Ciepłej. — Tomasz uśmiechnął się, strząsając ostatnią kroplę wódki na ziemię.

— Więc powiadasz, że jak dam ognia z enkaemu nad tą służą, to kompanie mogą iść do ataku przez groblę, bo twoi zaleją miasto, uniemożliwią przeciwnikowi ogień...

Do piwnicy wbiegł zdyszany chorąży żandarmerii. Wojna go nieco przymięła, ale w porównaniu z innymi oficerami bardzo był jeszcze odprasowany i pas miał jasny, nie obtarty. Łatwo poznać, że wprost ze szkoły.

— Obywatelu... — zaczął meldować.

— Czekaście — wstrzymał go dowódca i znów zwrócił się do Czereśniaka: — Jeden dobrze przy strzelany kaem może na grobli wystrzelać dziesiątki ludzi.

— Trzy długie czerwone, kwadrans bez ognia — powtórzył Tomasz, któremu ze zmęczenia opadały powieki i lekko poczynąło drgać ramię.

— Przedostał się przez linię frontu — wyjaśnił dowódca chorążemu, który stał wyprężony na baczność. — Wczoraj rano załogę jego czołgu Niemcy wzięli do niewoli, a oni nie tylko zwiali, ale opanowali służę powyżej Ritzen... Przestańcie się prężyć, zaczynajcie myśleć — dodał niechętnie.

— Załoga czołgu? — zdziwił się chorąży.

— Czołgu — potwierdził pułkownik. — Jak go zwać?

— „*Rudy*” — wyjaśnił Tomasz.

— A dowódcą jest sierżant Kos — uzupełnił żandarm.

— Skąd wiecie?

— Przedwczoraj w południe aresztowałem szpiega, który miał dokumenty na nazwisko Jana Kosa. Odesłałem go do sztabu armii.

— Co ty na to?

Czereśniak tylko wzruszył ramionami.

— Com miał powiedzieć, powiedziałem. A teraz to bym pospał.

— Wyprowadźcie go i zczekajcie obok — rozkazał pułkownik żandarmowi.

— Takich jak ty trzeba usypiać dziewięcioma gramami ołowiu — rzucił półgłosem chorąży przystępując do Czereśniaka i popychając go w stronę wyjścia.

Za drzwiami piwnicy od chwili już słyhać było niewyraźne podniecone głosy, a teraz, mijając się w drzwiach z wychodzącymi, wkroczył porucznik w hełmie, z paskiem pod brodą.

— Radzieccy zwiadowcy przeszli na naszym odcinku, mają oficera — złożył meldunek dowódca ochrony sztabu:

— Dawaj ich tu.

Do piwnicy wszedł poturbowany, zabłocony i mokry leutnant, a za nim w niewiele lepszym stanie jego konwojent.

— Towaryszcz pałkownik, plennyj wziat w Ritzen. Dokładywajet starszyna Czernousow.

— Przesłuchajcie — rozkazał dowódca pułku swemu szefowi sztabu i wyciągnął rękę do zwiadowcy. — Spasibo. Wyszli nie do swoich...

— Kakaja raznica. Nie ma żadnej.

— Mówicie po polsku?

— Troszku. Pod Studziankami wmiestie z pierwoj polskoj bronietankowoj brigadoj wojewali, da patom nieraz prichadiłos'. Osobiennie z komandoj tanka Ryżyj, po waszemu „Rudy”.

— Niemożliwe? — zdziwił się szczerze dowódca.

— Toczno, towaryszcz pałkownik — zapewnił Czernousow.

— Całą załogę znacie?

— Kakże by niet...

— Chorąży! — zawołał. — Dajcie no tego specjalistę od powodzi.

Oficer wprowadził Czereśniaka, który z trudem otwierał oczy i ziewał.

— Poznajecie? — spytał pułkownik Rosjanina.

— Niet — pokręcił głową Czernousow. — Nikogda nie widał.

W piwnicy zapadło milczenie. Przerwano nawet badanie niemieckiego oficera. Przez otwarte drzwi dobiegało echo niedalekiej strzelaniny, gdzieś obok czekały moździerze.

— A mnie się zdawało, że dobrze ci z oczu patrzy — odezwał się pułkownik zmęczonym głosem. — Mało brakowało, a byłbym uwierzył i ludzi wytracił. Za co żeś się sprzedał faszystom?

— Prawdę mówię — odrzekł Tomasz. — Trzy czerwone serie.

— Milcz! — krzyknął ze złością dowódca i zwrócił się do żandarma: — Za pół godziny sąd połowy, wyrok wykonacie przed świtem.



— Tak jest — wyprężył się chorąży i zameldował: — Podczas rewizji szpiega, obywatelu pułkownika, znaleziono w kieszeni nóż ze śladami krwi i podejrzane pudełko ze środkiem chemicznym. Zapewne trucizna, przy pomocy której...

— Maść do szczepienia drzewek — leniwie wtrącił Czereśniak. — Wczoraj znalazłem.

— Sam ją zeżresz.

Oficer szarpnął Tomasza za ramię, chcąc go wyprowadzić, ale w tej samej chwili z korytarza wskoczył do piwnicy wilczur, warknął na żandarma i wyszczerzył zęby. Kiedy oficer cofnął się o krok, pies skoczył Czereśniakowi na pierś i zaczął go lizać po twarzy.

— Nie udierzała — tłumaczyła Marusia wsuwając głowę przez uchylone drzwi. {

Po sekundzie ciszy wszyscy naraz ruszyli z miejsc i wyciągając ręce wołali jeden przez drugiego:

— Paszoł... Puść... Nie trogaj.

— Spokój, cholerny świat! — krzyknął pułkownik. — Wasz pies? — zwrócił się do Czereśniaka.

— Załogi, to i mój. — Tomasz skinął głową. — Szarik go wołamy.

— Sobaka pierwszej polskiej bronietankowej brigady — zameldował starszyzna Czernousow z ręką u krawędzi hełmu i groźnie ruszył puszystymi jasnymi wąsami. — Raz on uznał, wsio. Znaczy eto nasz pareń. Po polski nada skazat' — swój.



## ROZDZIAŁ 44. ROZKAZY I LUDZIE

Podczas gdy w piwnicy na wschód od Ritzen ważyły się losy Czereśniaka, a więc i całego planu zdobycia miasta przy pomocy wysokiej wody, trzech czołgiści z załogi „*Rudego*” musieli toczyć bój w obronie śluzy. Kto wie, czy nie miał racji Jeleń twierdząc, że nie Tomasz, lecz właśnie oni czarny los wyciągnęli.

Jazgotały ostro karabiny maszynowe, płonęły w powietrzu oświetlające rakiety. Przez zorane pole szła do ataku niemiecka tyraliera.

Na piętrze domu, który przed wieczorem zajmowało jeszcze „*Hochwasser*” Sprengkommando, precyzyjnie była podzielona robota przy strzelnicach: Grigorij, wtulony w kolbę emge, pruł krótkimi spokojnymi seriami, a Gustlik podawał mu taśmę i co pewien czas sięgał po raketnicę, żeby nad polem przyświecić.

Janek mierzył długo, strzelał z karabinu nieczęsto, lecz każda kula trafiała w cel — to zatrzymywała i waliła biegnącego, to leżącego podrywała, by w ułamku sekundy rozplaszczyc go nieruchomo w poprzek skib.

Mimo to jednak przeciwnik był coraz bliżej, coraz celniej trzepały jego serie o mur, kruszyły cegły, kurzyły piachem z rozprutych worków.

— Achtung! — usłyszeli głos niemieckiego oficera. — Kompanie an Sturm...

— Pora do oberka! — zawołał Kos i odstawiwszy karabin wziął do ręki pistolet maszynowy.

— Do trojaka — poprawił Gustlik. — Przeca my są trzy...

Reszta słów zginęła w huk. Saakaszwili i Kos bili długimi seriami, a Jeleń, zawiesiwszy w powietrzu dwie rakiety, cofnął się o parę kroków od muru i ciskał granaty. Brał je z otwartej skrzynki, wyszarpywał zapalniki i szerokimi zamachami niczym machina oblężnicza miotał między krokwie ogołoczonego dachu w tempie cztery na dziesięć sekund.

Tyraliera nie wytrzymała ogniowego szkwału i grenadierskiego bombardowania, przycichła i poczęła odchodzić. Chwilę jeszcze nasi ścigali ją krótkimi seriami i trzaskiem pojedynczych karabinowych wystrzałów.

— Drugi odparty — powiedział Kos.

Odstawił broń i odruchowo wziął się natychmiast do ładowania opróżnionych magazynków pistoletów maszynowych.

— Trzeci — stwierdził Gustlik, równie automatycznie wtykający naboje w metalową taśmę emge.

— Tych, co samochodem podjechali, nie liczę. Niewiele zdążyli wystrzelić.

— Bo jo żech ich minami położył.

Grigorij, który miał lewy policzek pokryty zaschniętym mydłem, ustawił sobie tymczasem kawałek rozbitego lusterka na worku, oparł o mur i mocząc pędzel w leżącym na podłodze niemieckim hełmie, wrócił do golenia.

— Czwartý — poprawił przyjaciół. — Bo pierwszy raz, to jak ci czterej z SS przyjechali i trzeba ich było załatwić.

Kos podniósł się, popatrywał przez strzelnicę na pole.

Siedź, komandir, ja jednym okiem, ale wszystko widzę. Muszę skończyć golenie, bo woda stygnie — wykrzywiając twarz zaczął drapać brzytwą po policzku.

Sierżant nie usiadł. Wziął manierkę i odchylając głowę pił długo. Potem otarł usta dłonią i zerknął na zegarek.

— Godzina do wschodu. Póki działa jakiego nie podciągną, to nas stąd nie przegonią.

— Podciągną — stwierdził Gustlik.

— Skąd wiesz? — Grigorij przerwał golenie i stał z brzytwą uniesioną ku górze.

— Oni też nie są głupcy — stwierdził spokojnie Jeleń i dodał: — Momy czas, to możemy trocha podjeść.

— I z jeńcami trzeba coś zrobić. Siedzą w piwnicy od wieczora, niepewni swego losu. Słyszą strzały i nie wiedzą, kto i do kogo... — zastanawiał się Kos spoglądając pytającym wyrokiem na przyjaciół.

— Niech siedzą — wzruszył ramionami Gustlik. — Jak mi kamraty chałupa zwałą na łeb albo granat przez okno wciepną, nie nasza będzie wina.

— Oni by się nie zastanawiali — powiedział Grigorij. — Oni by nas po prostu... — przeciągnął brzytwą w pobliżu gardła.

Kos słuchał marszcząc brwi i zły był w głębi duszy, że jego przyjaciele, zamiast poważnie pomyśleć i doradzić, znowu wykręcają się sianem. Twarz mu stwardniała, drgnęły mięśnie na szczękach.

— Kapujcie na pole. Ja z nimi załatwię — rzekł wstając.

Dobył z kabury długolufy mauzer, zarepetował i ruszył schodami w dół.

Saakaszwili zrobił krok, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Raz jeszcze przejechał brzytwą po gładko wygolonym policzku, wytarł ją starannie, schował w futerał i do kieszeni.

— Chodź, to poleję — ofiarował się Gustlik unosząc kanister z wodą. — Przez ten czas dam pozór na pole za ciebie.

Gruzin starannie splukiwał twarz, prychnął, a potem, nie ocierając oczu, spytał ze zmarszczonymi brwiami:

— Rąbnie ich?

— Bo co?

— Nic. Oni by nas bez namysłu. Ale przecież...

— Trzeba było zostawić w piwnicy. Ten Kugel...

— Kto?

— Obergefreiter, co żech go z barki przywiódł...

Przerwał usłyszawszy pod murem kroki i trzask zrzucanych dachówek, pękających pod butami.

— Chłopaki! Nikogo blisko nie ma? — usłyszeli wołanie Janka od strony bramy.

— Pusto — odpowiedział Gustlik usiłując wsunąć głowę w strzelnicę, żeby zobaczyć, co się dzieje na dole.

Stuknęły zasuwki, szczęknęła furtka, wyszło z niej czterech jeńców z uniesionymi w górę rękami. Ustawili się w szeregu jeden obok drugiego, tyłem do bramy.

— Marsz — skomenderował Janek.

Tamci ruszyli równym krokiem, zeszli z drogi na pole. Ciężko im było iść w nogę i równać po zorany, ale dokładali starań.

Saakaszwili poprawił szablę zatkniętą między worki, przyklęknął koło karabinu maszynowego, poruszył lekko lufą i prowadził sylwetki na celowniku.

— Daleko puszcza — rzekł niechętnie Gustlik — a potem mu się który straci.

Nie zauważył, że Kos już wrócił na piętro i dopiero kiedy skrzypnęły obluźowane deski, drgnął i obejrzał się.

— Skąd ich będziesz?... — zaczął pragnąc zagadać zdziwienie i niepokój.

Janek wzruszył ramionami i nie czekając na koniec pytania zwrócił się ostro, z wyrzutem, do mechanika celującego z erkaemu:

— Grigorij!

— Czego chcesz? — spieszył się Gruzin i dopiero teraz zrozumiał sytuację, dodał: — Nie strzelam.

— W kogo się bawisz?

— Ach, puściłeś ich... Myślisz, że Hitler ma ludzi za mało, i czterech mu dodajesz — mówił Gustlik niby to kpiąco, ale w głosie jego nie było pretensji, tylko jakby ulga.

Z daleka od pola usłyszeli, jak jeńcy, podchodząc bliżej do swoich, zaczęli krzyczeć:

— Kameraden! Nicht schiessen!...

Kos w lornetce widział ich ciemne sylwetki na tle jaśniejącego nieco nieba.

— Dali słowo, że do końca wojny nie wezmą broni do ręki — rzekł cicho, nie odrywając szkieł od oczu.

Po długiej chwili, opuściwszy lornetkę na rzemieniu, stanął tuż obok Jelenia i spytał zmęczonym głosem:

— Źle zrobiłem? Przecież zostawić ich w piwnicy to prawie na pewno skazać na spalenie żywcem. Sam mówiłeś, że lada chwila działa podciągną.

Był tak speszony i zatroskany, że Gustlik postanowił go pocieszyć. Tylko co tu rzec w takiej sytuacji? Znał zbyt dobrze żołnierzy hitlerowskiego Wehrmachtu, żeby nie wiedzieć, że wystarczy rozkaz, a złamią słowo i znowu będą strzelać.

Z daleka załomotała długa seria. Janek, podrzuciwszy lornetkę do oczu, zobaczył, jak dwu jeńców pada. Dwu innych rzuciło się do ucieczki, ale nie odbiegli daleko — dogoniły ich kule.

— Psiakrew... — zaklął cicho.

— Wszystkich? — spytał Jeleń.

Kos skinął głową.

— Tak ich esesmany uczą: gefangene, czyli jeńiec, to tchórz, a tchórz nikomu niepotrzebny: erschossen, rozstrzelać — stwierdził Gustlik i zmarszczywszy brwi policzył na palcach: — Czterech ich było...

- Kugel nie chciał iść.
- Miał recht. Co z nim zrobisz?
- W bunkrze jest taki mały schronik na amunicję. My ocalejemy, to i on będzie żył.
- No, to jest dobre.
- Zaprowadź go — rzekł Kos podając klucz.
- I konserwa podgrzeję, bo z pustym brzuchem żadna wojna.

Zarzuciwszy automat na plecy Gustlik zeszedł na parter. Wziął się do wybierania konserw z niemieckich zapasów saperskich. Dwu na górze i on sam, to znaczy trzy puszki — policzył na palcach lewej ręki. Przypomniał sobie jeńca i dodał czwartą. Rozejrzawszy się wokół, spostrzegł w szybie odbicie swojej twarzy, skinął mu uprzejmie głową i piąta puszka powędrowała do wiadra.

Potem wyszukał największą patelnię. Przygotował dwa bochenki chleba, odkrajał sporą pajdę i schował do kieszeni. Wreszcie, wzięwszy do ręki niemiecki bagnet, ten sam, którego już raz używał do krajania puszek, zeszedł do piwnicy i otworzył kłódkę.

- Morgen, Kugel.
- Guten Morgen, Herr Unteroffizier.
- Auf.
- Nein.
- Wylazuj.
- Ja mówiłem: nie.
- A ja ci każę. Raus!

Groźny głos pomógł natychmiast, a goły bagnet w dłoni Jelenia speszył obergefrajtra do reszty. Idąc po schodach z podniesionymi rękami usiłował zerkać do tyłu, żeby zobaczyć, jak blisko jest ostrze od jego pleców, ale nie mógł dostrzec, bo Gustlik wsadził już bagnet za pas na brzuchu.

- Bier to — wskazał wiadro z konserwami i patelnię.

W szarzącym cieniu nocy i błękitnawym świetle dnia przecięli podwórze, wyminęli druty i krętym złazem w okopie zeszli do bunkra.

Jeleń się potknął w ciemności, burknął pod nosem przekleństwo. Kugel zakrzętnął się, przesłonił wszystkie trzy strzelnice i zapalił elektryczne światło — gołą żarówkę ukrytą pod siatką we wklęśnięciu betonowego sufitu.

Podczas gdy Jeleń rozcinał bagnetem puszkę, obergefrajter wydobył z szafki cegiełki drzewnego spirytusu, zapalił, rozgrzał patelnię nad płomieniem. Różowe błyski pełzały po szybkach okularów.

Gustlik popatrywał z boku na spokojną, odrobinę pociemniałą i zmizerowaną od wczoraj twarz hodowcy róż. Potem bez słowa odsunął go ręką, wyrzucił z puszek gęsty gulasz, który począł skwierczeć na rozgrzanym metalu.

— Salz und Pfeffer — podał mu Kugel dwa pudełka, które zdjął z półki.

Jeleń patrzył ciężko i nieufnie. Tamten, zrozumiawszy, nasypał dwie szczypty na wierzch zgiętej lekko pięści, zlizął językiem. Gustlik zrobił to samo, żeby raz jeszcze sprawdzić, i dopiero potem posolił, posypał pieprzem wołowinę.

— Starasz się — mruknął do Kugla.

— Od was dlatego wiele zależy. Nie trzeba topić Ritzen. Hitler kaputt, aber Deutschland...

— Nie godoj tela. Wczoraj żeś nas uczył.

— Wo sind meine Kameraden?

Twoje kamraty? My ich puścili wolno, alt wasi sami... — drgającą ręką pokazał, jak poszły serie.

Tego się Niemiec nie spodziewał. Jak uderzony zrobił dwa kroki wstecz, oparł plecy o ścianę i uderzył głową w beton.

Gustlik spokojnie dzielił gulasz na cztery menażki, nie tracąc naturalnie okazji, by parokrotnie spróbować, jak smakuje.

Obergefrajter patrzył, skoczyła mu w górę i w dół wystająca grdyka przy przełykaniu śliny. Z ilości naczyń wywnioskował, że śniadanie tylko dla Polaków, odwracał w bok oczy.

Trzymaj, ty giździe — podając Niemcowi menażkę, warknął Gustlik, bo rozgrzany drut parzył mu dłoń.

Kiedy tamten, zaskoczony, wziął naczynie, Ślżak przyłożył na wierzch dobytą z kieszeni pajdę chleba.

Danke, Herr Unteroffizier — ucieszył się Kugel i jednocześnie zdziwił. — Aber wo ist der vierte Kamerad? Wo ist Herr Tomasz?

Za dużo chcesz wiedzieć. Wiążuj do paki — pokazał mu gestem otwartą betonową komórkę.



Niemiec posłusznie wszedł, ale postawiwszy menażkę na podłodze obrócił się szybko i przytrzymał drzwi kolanem.

— Noch nicht, Herr Unteroffizier — poprosił spiesznie i prawie gorączkowo dodał: — Es sind keine Deutsche, keine Polen, zaden Niemiec, zaden Polak, es sind einfach Menschen, czlowieki... Jeden daje kula, drugi — chleb. Warte... ich sage alles, ja wszystko mówię...

Gustlik po wczorajszym już mu nie dowierzał, ale z ciekawości wypuścił Niemca i patrzył, co będzie robił. Kugel, jeszcze mówiąc, podszedł do ściany. Pod naciśnięciem jego palców otwarła się metalowa skrzynka w betonie, w której na haczykach z numerkami wisiały klucze. Obergefrajter przekręcił jeden z nich w zamku ściennej szafy, a wewnątrz była broń — dwa emge, snajperski karabin z lunetą, skrzynki z taśmami do kaemów i trzy minerskie uchwyty.

Jeleń bez słowa wziął snajperkę, przewiesił sobie przez plecy. Kugel zebrał wszystkie uchwyty. W drugiej ścianie tuż obok strzelnicy pokazał zamaskowaną wnękę, a w niej iskrowniki. Założył uchwyty do maszynek i wydobywszy tekturową tablicę z planem, pokazał Jeleniowi.

— Minen, Minen, Minen... — stukał palcem w różne miejsca. — Dobra obrona, póki inny Polak nie przyjdzie. Ale ten nie! — pokazał na oddzielnie stojący detonator, do którego podłączono wiązkę wodoszczelnych kabli. — Nie ruszać. Woda zniszczy mój dom, inny dom, całe miasto. Po co? Wasza wiktoria i Hitler kaputt bez tego, żeby niszczyć...

Gustlik słuchając coraz szybszego potoku słów marszczył brwi, prostował się i nagle, tak jak nauczył się w wehrmachtowskich koszarach, kiedy go siłą do niemieckiego wojska wzięli, wrzasnął, przerywając w pół słowa:

— Obergefreiter Kugel!

Niemiec zamarł, wyprężony na baczność.

— Nieder!

Nie zawahawszy się ani ćwierci sekundy saper runął w przód na prostych nogach, przyhamował upadek rękami.

— Auf!

Zerwał się jak sprężyna wyćwiczonym podczas musztry ruchem i bez jednej myśli na twarzy czekał rozkazu.

— Nieder!... Auf!... Nieder!... Auf!...

W rytmie gestów i szcęknięć Jelenia jeniec padał na beton, zrywał się, znowu padał. Trwało to minutę, może półtorej. Wreszcie kiedy oddech sapera stał się gwałtowny i świszczący, Gustlik pochylił się nad leżącym, normalnym już głosem spytał:

— No i co leżysz jak glizda na mrozie?

— Ihr Befehl, rozkaz...

— Befehl, Befehl... Widzisz, Kugel, jakiś głupielok. Na befehl to pół Polski spalisz i się nie spytasz po co? Musiał zech ja tu przyjść pod Berlin, choć mi nie po drodze, co byś se o ludziach spomniął.

— Herr Unteroffizier...

— Maul halten, stul pysk... I nie ucz innych ręce myć, jak ci z dreku ledwo uszy widać. Wiążuj do paki, bo ci frysztuk wystygnie — zachęcił go gestem ręki.

— Darf ich hier rein? — spytał Kugel pokazując w przeciwną stronę, na inne pomieszczenie bunkra.

Gustlik chytrze, nieufnie zmrużył oczy i wszedł do środka — niczego tam nie było poza pustą drewnianą skrzynką. Ściany gładkie, pod sufitem z jednej strony kable, z drugiej — okienko wąziutkie jak strzelnica, wychodzące w stronę śluzy. Jeleń otworzył je i wyjrzał.

— Frische Luft — odpowiedział Niemiec.

— Zasłużyłżeś — stwierdził po namyśle Ślżak, poprawiając snajperkę na plecach. — Nieś se tu jadło.

Kugel błyskawicznie się uwinął, sam pomógł drzwi zamykać i słuchał szcęku klucza przekręcanego w zamku.

Siadł potem na skrzynce, postawił menażkę na kolanach i zaczął jeść gulasz, zagryzając chlebem. Co parę kęsów spoglądał na kable pod niskim sufitem i na otwarte okno, przez które mżyła jasność przedświt, i uśmiechał się smutnie.

Półtora kilometra na wschód od Ritzen, w załomie grubego, poszczerbionego pociskami muru, który osłaniał od strony frontu, na równo rozesłanej słomie rozłożyli się radzieccy zwiadowcy. Obok leżała na boku armata, krępa stopiątka, powalona granatem.

Robiło się już widno, lada moment miało wzejść słońce, więc jedni czyścili broń, inni buty na nowo wzuwali albo guzik oberwany mocowali do munduru. Byli i tacy, którzy po prostu odpoczywali z rękami pod głową, z

nogami uniesionymi lekko w górę, obcasami wsparci o lawetę, żeby ze stóp utrudzonych krew odpłynęła. Wszyscy jednak uważnie, choć z uśmiechem, słuchali Tomasza, który siedząc wygodnie między starszyną a sanitariuszką opowiadał o swoich przygodach:

— ...Kiedy tylko sierżant Kos powiedział, że jednemu trzeba przez fronty iść i zawiadomić, to wiedziałem od razu, że nie na kogo, tylko na mnie padnie. Sam sierżant musiał zostać, żeby dowodzić, a jak ze trzech wybierać...

To już tylko ciebie — tym samym tonem podjął opowiadanie Czernousow, który jednocześnie kręcił papierosa, biorąc szczyptami machorkę z płaskiego, zakręcanego na gwint pudełka z pomarańczowej masy — bo i Jeleń, i Saakaszwili, nie to, żeby marni żołnierze, ale od szeregowca Czereśniaka słabsi...

Tomasz patrzył uważnie na starszynę, zastanawiał się, czy wążacz poważnie mówi, czy na kpiny. Górą przeniosła mina z mózdzierza, trzepnęła gdzieś dalej. Parsknęło śmiechem paru zwiadowców.

— Służysz krótko, ale opowiadasz jak stary — dodał Czernousow.

Teraz dopiero Czereśniak się połapał i pospiesznie, smutno, wyjaśnił:

— Nie. Ale jak co ciężkiego do roboty, to zawsze na mnie padnie. Tak w domu było, tak i we wojsku.

— Order ci dadzą.

— Medal to już mam obiecany.

— Za co?

— Bośmy przez pomyłkę w amunicję trafili...

Coraz weselej i głośniej chichotali zwiadowcy. Szarikowi się to nie podobało, więc podniósł mordę z kolan Marusi i zaszczeakał.

Obiecany, ale nie dany. Do tej pory to tylko cukierki od sierżanta Kosa dostałem. — Tomasz wydobył pudełeczko z kieszeni. — Przemokły całkiem.

— Ode mnie je miał — uśmiechnęła się Marusia.

— Dadzą się zjeść — rzekł Czernousow.

Wziąwszy blaszankę do ręki wydłubywał nożem skawaloną masę, łamał ją na kawałki, częstował najbliższej siedzących.

— Jakbym miał takie pomarańczowa pudełko, takie zakręcane jak to, co towarzysz starszyna machorkę trzyma, to by się nie zlepily.

— Takie? — spytał z uśmiechem Czernousow i przesypano machorkę do skórzanego woreczka, podał mu. — Bierz. Widzę, że na dobrego żołnierza wyrośniesz.

Podeszło dwu piechurów, z których jeden niósł termos, a drugi w plecaku chleb i puszkę z cukrem. Przyprowadził ich pyzaty szef kompanii.

— Zdorowo, sojuzniki — powitał zwiadowców i zsalutowawszy, przedstawił się: — Sierżant Konstanty Szawełło. Przez dwa eł.

— Starszyna Czernousow, miłosti prosim — powitał go Rosjanin.

— Raz wy do naszego pułku trafili, nam przyprowadzili jeńca — oświadczył Szawełło — być nie może, żeby odeszli nie jadłszy.

Gwar się zrobił, wszyscy ruszyli z miejsc, zadzwoniły menażki. Pierwsza porcja, wędrując z rąk do rąk, trafiła do Czernousowa, a następne do Marusi i Tomasza. Sierżant uściskał dłoń starszynie, ze staromodną galanterią cmoknął w rękę wzbraniającą się sanitariuszkę i poznawszy Czereśniaka otworzył ramiona.

— Matko Boska Ostrobramska! A cóż ty tu, harmonista, robisz? Taż my dumali, że wy do Szczecina, do morza czołgiem dopłyniecie. Gdzież przyjaciele?

— Za frontem.

— A instrument?

— Też został.

— Czekaj, czekaj... Józku! — zawołał na jednego z żołnierzy. — Skocz do naszych na jednej nodze, harmoszkę przynieś. Otóż i spotkanie...

Zza muru wyszedł chorąży żandarmerii i zawołał:

— Szeregowiec Czereśniak!

— Tutaj — odezwał się Tomasz.

Tamten podszedł, stanął i czekał, póki się żołnierz nie podniesie.

— Należy odpowiadać: jestem. Przyszedłem wam powiedzieć, że sprawa częściowo została wyjaśniona. Połączyłem się ze sztabem armii i ustaliłem, że podejrzany, którego aresztowano wczoraj, okazał się rzeczywiście sierżantem Kosem i wy również figurujecie w składzie załogi czołgu o numerze taktycznym sto dwa.

— Dla mnie nie nowość — kiwnął głową Tomasz. — Tylko obywatel chorąży co nie wiedział.

— Nie starajcie się być dowcipny. Do końca działań pod Ritzen polecono mi sprawować nad wami nadzór.

— Sadies, towarzyszc lejtienant — zaprosił Czernousow, robiąc honorowe miejsce obok siebie na brezentowej piaszcz-pałatce. — Sadies, pozawtrakajem.

— Dziękuję — niechętnie odrzekł oficer.

— Pożałsta — zaprosiła Marusia i dłonią przytrzymała za mordę Szarika, który miał ochotę warknąć. — Nam miło budiet.

Uśmiech dziewczyny zdecydował. Chorąży siadł, przyjął menażkę i zaczął jeść. Popatrywał na otaczające go uśmiechnięte twarze. Tylko Szarik z boku warknął jednak, wyszczerzył zęby. Mając poczucie spełnionego obowiązku, umilkł na znak Ogoniok i podstawił jej łeb do głaskania.

Słychać było gruchotanie erkaemów od strony frontu i pracowite skrobanie łyżek, jak to zwykle przy posiłku. Milczenie jednak ciążyło chorążemu, brał je do siebie, i parę razy przełknąwszy postanowił przypomnieć:

— Myśmy się wcześniej już raz spotkali. Pies poznał, a wy nie.

— Oszybajeties, towarzyszc lejtienant. My też poznaliśmy — sprostował Czernousow.

— I zaprosiliście?

— Pies, żeby najmądrzejszy, to przecież od człowieka głupszy. Kto mu krzywdę zrobi, na tego i warczy. A my wiemy, że wy nie ze złej woli. Prosto: po młodosti let.

— Służba taka.

— Nie służba... U was drugoje: nieprawilnyj podchod k czeławieku, jeśli pozwolite staromu żołdatu skazat'.

Wy naturalnie wiecie, jak należy podchodzić do człowieka — kpiąco się odciął oficer. — Może nauczycie?

— Pożywiosz, sam uwidzisz — uśmiechnął się Czernousow kręcąc głową. — Ilu może być szpiegów? Jeden na dziesięć tysięcy przyzwoitych ludzi, a może i na sto tysięcy. Dlatego każdego spotkanego człowieka chwycić nie warto. Spocisz się bardzo, zanim tego, co trzeba, złapiesz.

— Dziękuję za gościnę i za naukę. — Chorąży ze złością odstawił menażkę i podniósł się. — Ja swoje wiem.

— Ot i harmonię przynieśli — wtrącił sierżant Szawełło, któremu bardzo się nie podobało narastanie międzynarodowego konfliktu. — Obywatel chorąży pozwoli, pani pozwoli, towarzyszc starszyna pozwoli — zwracał się, kolejność wedle rangi i poważania dla płci pięknej miarkując, a ręką prawą na szeregowca wskazywał. — Syn brata, któren z rąk faszystów śmierć męczeńską poniósł.

— Szeregowiec Józef Szawełło — wyprężył się miody, zdążywszy harmonię oddać Czereśniakowi.

— Przy muzyce z pożytkiem większym konsumpcja zachodzi i człowiek człowieka serdeczniejszym okiem widzi...

— Proszę usiąść i razem z nami ' posłuchać — Marusia wstrzymała żandarma.

Tomasz spróbował instrumentu, spojrział pytająco na chorążego i starszynę. Oficer nie patrzył w jego stronę, ale Czernousow skinął głową.

— Może to, co przed Odrą o siódmej kompanii — odpowiedział sierżant Szawełło.

Nie wiadomo, w jakim celu włożył okulary w drucianej oprawie i widząc, że Tomasz kręci głową, zgodził się szybko:

— Może co innego, ale żeby ładne.

Czereśniak przemaszerował palcami po basach i akurat wtedy na okuciach błysnęło wschodzące słońce. Grajek wziął oddech, zaczął śpiewać niegłośno i smutno:

*Oj nie płaczcie, siostry, brata,  
Hej, wróci wam się za trzy lata.  
Oj nie płacz, dziewczyno, chłopca,  
Hej, zanim przemoc zginie obca.  
Minął roczek i półtora,  
Hej, pancerniacy jadą z pola.  
Maryś pyta niespokojnie:  
Hej, czy daleko Jaś na wojnie?*

Między zwrotki, jak werbel, weszła seria z karabinu maszynowego. Tomasz dorzucił akord, by ją przeczekać, i dalej opowiadał:

*My z wojenki już jedziemy,  
Hej, twego Janka nie wieziemy.*

*Pod Berlinem przy strumieniu*

*Hej, złożył głowę na kamieniu.*

Zwiadowcy zasłuchali się w piosenkę, której treść łatwo przecież było pojąć. Paru nuciło do wtóru harmonii. Józef Szawello jak w święty obrazek patrzył na Marusię, która opuściła twarz i ocierała chusteczką oczy podejrzanie wilgotne.

Bitwa o służę rozpalala się jak mokry konar świerkowy — po czterech coraz gwałtowniejszych starciach nastala pauza i tylko pod lasem, niczym sęk na schnącej gałęzi, dymily resztki samochodu, który fosforowym pociskiem z karabinu dostał w bak benzynowy.

Kos leżał na wznak oparty o worki z piaskiem, patrzył przez gołe krokwie w niebo, a końcami palców prawej ręki, jak niewidomy, odczytywał wszystkie zgrubienia i wklęśnięcia na zamku przyniesionej przez Gustlika snajperki. Było w tych ruchach sprawdzanie żołnierskiej pamięci, lecz również pieszczota chłopaka, którego wojna zmusiła do pokochania broni.

W powietrzu stała cisza, tylko od strony frontu z rzadka postukiwał samotny erkaem. Janek odetchnął głębiej, poprawił sobie cegłę wsuniętą pod głowę zamiast poduszki i obejrzał się na Gustlika, który kończył śniadanie, wycierając kawałkami chleba resztki tłuszczu z menażki.

— Taki sam jak od Sybiraka pod Studziankami.

— Lepszy, bo nowy — z dumą rzekł Jeleń, klepiąc snajperkę po kolbie, a potem wygładził mundur na brzuchu i oświadczył: — Nie lubię bić się, dokąd nie pojem. Teraz mogą zaczynać.

— Mogą. Nawet czołgi potrafimy zatrzymać na polach minowych. Ale najlepiej, żeby zamarudzili, póki nasi sygnału nie dadzą.

— Myślisz, że doszedł? — spytał Saakaszwili, który z lornetką siedział przy strzelnicy i obserwował pole.

— Miał szansę. Niewielką, ale miał.

— Uwierzą mu?

— To na pewno. — Gustlik machnął ręką. — Tylko wejrzą i będą wiedzieć, że sam ze siebie nie wymyślił.

— Uwierzą — potwierdził Kos i przysiadając spojrział w niebo. — Wschodzi słońce. Albo nasi, albo Niemcy powinni zaczynać...

Jakby w odpowiedzi czknęły moździerzowe ukryte za pierwszą linią horyzontu, zaświstały w powietrzu powolne granaty i przeniósłszy nad budynkiem, pękały na podwórzu.

— Tymi garncami murów nie rozbiją — mruknął Gustlik, pochylony obok Janka nad podłogą. — Chyba żeby nas chcieli omamić...

Znowu trzepnęły dwa moździerzowe granaty, tym razem krótkie, i odłamki zadzwoniły po dachu.

Grigorij skulony pod murem wyjrzał przez strzelnicę i zameldował:

— Za „*Rudym*” działa odprzodkowują.

Dał krótką serię i odskoczył, przygięty świstem nadlatujących min.

Janek wziął od niego lornetkę i w nowej pauzie między wybuchami sprawdził meldunek.

— Zapalaj.

— Co? — zdumiał się Gruzin.

— Osłonę. Słoma wyschła.

— „*Rudego*”?

— Zapalające w taśmę — rozkazał wyrwawszy tuż koło zamka kilka zwykłych nabozi z metalowych uchwyty. — Gdzie są? — daremnie szukał po skrzynkach.

Korzystając z pauzy w ostrzeliwaniu, Jeleń wydobył z kieszeni garść czarnoznaczonych na ostrzu nabozi i bez słowa zaczął ładować.

— Szybciej, cholera — klął Kos. — Czego po kieszeniach nosisz?

Znowu zagwizdały miny, przylegli, odczekali wybuch. Ledwo przy akompaniamencie poświstywania i chichotu odłamków unieśli głowy. Gustlik, szczerząc zęby, odpowiedział dowódcy:

— Coby losowania nie przegrać, jakby było.

Janek dopadł erkaemu, przycisnął kolbę, ale przeszkodził mu Grigorij.

— Nie! — szarpnął i obaj stoczyli się między worki. — Przecież to „*Rudy*”!

Najpierw oślepił ich błysk, potem ogłuszyła eksplozja i posypała gradem ceglanych odłamków. Dopiero teraz dobiegł huk działa. Kos pociągnął za worek, zwałił go na Grigorija i skoczywszy do erkaemu wypruł długą serię.

Zadymiała słoma osłaniająca podwozie „*Rudego*”, wypełzły na nią płomyki, zamigotały coraz szerszym kręgiem jak kwiat słonecznika. Nim



kanonierzy zdążyli po raz drugi odpalić, eksplodował zbiornik i wybuch podrzucił w górę kłęb ciemnowiśniowego dymu.

Na chwilę zapanowała cisza. Potem pocisk, wprowadzony do zamka armaty, podrzucił ją i rozerwał lufę. Zaczęły wybuchać zapalone skrzynki z amunicją. Ucichły moździerze. Grigorij patrzył nieruchomo w ogień pożerający podwozie ukochanego czołgu, twarz miał kamienną, lecz po policzkach dwoma krętymi strumykami płynęły łzy.

— No, czego? — Kos wy dobył spomiędzy worków szablę i podał Gruzinowi takim gestem, jak dziecku, żeby przestało płakać, daje się ulubionego misia. — Nie można było inaczej...

Z lasu na pełnym gazie wyskoczył niski opancerzony ciągnik na gąsienicach. Wlókł za sobą polowe działo, zawinął łukiem po polu i przystanął między drzewami, znacznie jednak dalej niż płonący stóg. Kos zrozumiał, że przyszła chwila, której się obawiali, i rozkazał Jeleniowi:

— Bierz erkaem i razem z nim — pokazał głową na Grigorija — obsadźcie bunkier.

— Jo bych wolał...

— Rwij pole minowe jak najpóźniej. Dopiero kiedy czołgi wjadą za mur.

— Janek, przeca...

— Wykonuj — przerwał mu Kos lodowatym tonem.

Jeleń mimo woli uniósł rękę jak do salutowania i zrobił ruch podobny do stawania na baczość. Nie mówiąc już ani słowa, wziął erkaem w lewą, a prawą objął Saakaszwilego. Z pierwszego stopnia schodów obejrzał się jeszcze raz na Kosa znieruchomiałego koło strzelnicy, z kolbą snajperki przy policzku.

Dotknięcie gładkiego drewna i chłód metalu podniecają młokosa, lecz uspokajają prawdziwego snajpera. Janek nie czuł teraz żadnego zdenerwowania. Nawet bliski wybuch nie był w stanie oderwać go od lornety celownika. Ośmiokrotnie bliżej niż w rzeczywistości widział niską sylwetkę polowego działa, które czarnym ślepiem lufy patrzyło mu w twarz.

Kanonierzy podbiegli z głębi lasu, błyskawicznie odprzodkowali armatę. Ciągnik odjechał między pnie, a oni kryli się starannie za tarczą osłony. Nie widać ani jednego, ale oto zza pnia wychodzi schylony amunicyjny z pociskiem w ręku. Na ułamek sekundy jego ramię znalazło się

na skrzyżowaniu nici celownika i palec łagodnie ściągnął spust. Huknął wystrzał, żołnierz wypuścił pocisk i szczupakiem rzucił się w trawę.

Kos, widząc, że teraz nie ma chwili do stracenia, przebiegł w drugi koniec strychu, skrył się za grubym kominem. Z bijącym sercem czekał wystrzału polówki.

Od ciosu zadygotał dom. Pocisk odtrącił narożnik ze strzelnicą. Janek skoczył do przodu, przypadł na rumowisku cegieł prószących jeszcze pomarańczowym miałem, cuchnących trotylem. Złowił cel w krąg lornety.

Dowódca działa wychylił się, patrzył na dymiący budynek, uniósł rękę, by podać nową komendę, lecz nie zdążył — trafiony w głowę upadł na wznak.

Celowniczy zauważył jednak błysk na dachu przy kominie, przesunął lekko lufę i przejmując dowodzenie rozkazał:

— Feuer!

Zamkowy odpalił, obsługa pospiesznie załadowała po raz trzeci.

Celowniczy przesunął stalową tarczkę w pancerzu, odsłonił wizjer i z okiem przy okularze patrzył, jak rozpełza się dym, rzednie kurz nad rozbitym kominem, a wyrzucony ku górze kawał krokwi, spadając, strąca kilka rzędów dachówek.

Janek natychmiast po strzale do działonowego rzucił się w stronę schodów, już z dołu usłyszał drugi wybuch granatu, trzaśnięcie belki o dach i brzęk tłuczonej karpiówki. Biegając wzdłuż muru, dopadł okiennicy przy furtce i uchyliwszy ją podrzucił mauzer do ramienia po raz trzeci.

Stąd gorzej było widać armatę niż z góry — nad zaorane pole wystawał ledwo koniec lufy i górna część pancernejszy tarczy z prostokątnym okienkiem otwartego wizjera. Ten czarny prostokąt wziął na cel i zastygł nieruchomo, czekał.

Z góry wciąż jeszcze spadały odłamki dachówek, sypał się rozkruszony granatami ceglany miał, ale Kos stał jak wyciosany z kamienia. Tylko palec na spuście zaginał się łagodnie, powoli, by niepostrzeżenie przekroczyć granicę strzału.

Karabinowy pocisk rozbił celownik, skaleczył działonowego, który chwyciwszy rękami głowę, potknął się o ogon łoża, padł w trawę. Zamkowy

chciał mu pomóc, skradał się, ale gdy tylko wysunął rękę za tarczę, dostał kulę w łokieć.

Reszta obsługi straciła głowę: pełzając usiłowali się skryć od kul. Milczała armata. Jeszcze jeden pocisk trafił w resztki celownika, rozkruszył szkło, ciskając nim o metal.

W tę podzwaniającą ciszę wpłynął szybki i gniewny warkot. Spomiędzy drzew wyszły trzy niemieckie czołgi z desantem starannie ukrytym za wieżami, przystanęły na skraju lasu.

Jeszcze chwila i podjechały do nich dwa działa pancerne. Zahamowały. Kanciaste stwory ze stali patrzyły spode łba ślepiami grubych luf. Groźne były nawet w tej pozornej niemrawości i bezruchu — tylko silniki pomrukiwały i wstrząsały nerwowo antenami.

Niemiecki dowódca oglądał przez peryskop przedpole — zaorany, lekko opadający stok, a na nim wraki samochodu i spalonego podwozia czołgu, działo bez obsługi, kilkanaście ciemnozielonych trupów. W głębi był obiekt ataku — podziurawiony pociskami dom z narożnikiem, utraconym na wysokości pierwszego piętra, i mur otaczający śluzę. Zwrot peryskopu w prawo pokazał dwa czołgi, w lewo — dwa działa.

— Sturmpanzer? — rzucił Niemiec jedno tylko słowo.

— Feuerbereit — odpowiedział mu w słuchawkach głos artylerzysty i jednocześnie ponad krawędź pancerza uniosła się dłoń w grubej skórzanej rękawicy, potwierdzając gotowość do otwarcia ognia.

W czołgu nie słyhać było ani wystrzału, ani świstu kuli, lecz karabinowy pocisk skrzesał iskrę o stal, rykoszetem trafił w podniesioną dłoń. W słuchawkach zabrzmiał okrzyk gniewu i bólu.

— Achtung! Uwaga! — wydał komendę dowódca. — Alle Panzerwagen und Sturmgeschütze... Wszystkie czołgi i działa pancerne...

Obniżyły się lufy armat, spojrzały na cel i jednocześnie wyrzuciły pięć płomieni.

Pięć granatów rozszarpało węgiel budynku, zwaliło mur, cisnęło w górę strome fontanny wybuchów.

Przez strzelnicę bunkra Gustlik zobaczył tę salwę z przeciwnej strony muru i po raz drugi pomyślał, że w noc przed forsowaniem Odry daremnie mu się ślub wyśnił. Chwycił menażkę z wodą, zdmuchnął z powierzchni kożuszek

wapiennego kurzu, wypił parę łyków, a resztę chlusnął na głowę siedzącemu pod ścianą Grigorijowi, załamanemu po spaleniu podwozia „*Rudego*”.

— Zglupiałeś? — Gruzin zerwał się z miejsca.

Jeleń, nie odpowiadając, rąbnął go w piersi płaską dłonią, aż zadudniło.

— Jak cię palnę — Grigorij wziął rozmach.

— Potem — wstrzymał go Ślżak. — Chciołech, cobyś ustał być markotny, a się zeźlił. Terozki bierz erkaem.

Opadł dym i kurz. Przez trójkątną lukę w zerwanej z zawiasu bramie Jeleń zobaczył w oddali gnający czołg, a bliżej, zupełnie blisko, pod zwaloną z dachu belką — rękę przyprószoną grudami ziemi i jasnowłosą głowę.

— Grześ! — krzyknął ochryplym, nie swoim głosem i wskazał mu klucze detonatorów. — Mur po lewej, brama, a ten — chałupa. Jak dojadą — wysadzaj.

Ostatnie słowa dopowiadał już od drzwi. Wybiegł do krętego rowu, trzasnął włazem. Zatrzymał go ostry świst nadlatujących granatów. Zadudniły bliskie eksplozje, sypnęły kęsami rozszarpanej murawy.

Jeszcze gwizdały i furkotały w powietrzu odłamki, gdy Gustlik oderwał się od ściany okopu, wyskoczył i pobiegł ku bramie, raczej w tę stronę, gdzie była brama, a teraz na zmiętych arkuszach blachy płonęła olejna farba. Za rozwalonym murem galopowały trzy czołgi w szyku klina w przód, a w tyle, w lukach między nimi, pełzły działa pancerne.

Gustlik dopadł miejsca, w którym leżał Janek, odrzucił kawał muru, odwalił belkę, dźwignął z ziemi nieprzytomnego, który jednak nie wypuścił snajperskiego karabinu z kurczowo zaciśniętej dłoni. Zerknąwszy na czołgi, spostrzegł, że zaczynają zwalniać, że chcą przystanąć dla oddania celnego strzału.

— Dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa — biegnąc z kontuzjowanym na rękach mamrotał rytmicznie pod nosem — dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery...

Wiedział, że te cztery sekundy starczyły tamtym, by wycelować po zahamowaniu, więc nie czekając padł na ścieżkę, odrobinę osłoniętą przez wypukły klomb, rozpląszczył się obok Kosa. W tej samej chwili runął na niego błysk, gwizd, huk wybuchów. Pociski waliły w ściany domu i kruszyły mur rozszerzając wyłom.

Ciężkie odłamki rozdrapywały pazurami trawę. Gustlik położył szeroką dłoń na głowie przyjaciela — nie hełm, ale choć trochę osłoni. Poczł ostre szarpnięcie za nogę. Poruszył ostrożnie stopę, zgiął w kolanie, żeby sprawdzić, czy mięśnie i kości całe. W porządku, widocznie ledwo podeszwę zaczepiło. Nie czekając dłużej zerwał się, zarzucił Kosa na ramię i dopadł włazu do bunkra.

Saakaszwili przy erkaemie widział przez strzelnicę tylko czołgi — rosnące, nadjeżdżające czołgi. Czekał, kiedy znajdą się tak blisko, by można je było oślepić serią po wizjerach u wjazdu na pole minowe.

Gdy Jeleń otworzył właz, przeciąg zmiotł pył z betonu. Grigorij osłonił oczy dłonią, odwrócił się i dopiero wówczas dostrzegł, że Gustlik z twarzą zmienioną nie do poznania układa na podłodze nieprzytomnego Kosa.

— Janku, Janiczku... — w głosie Ślązaka brzmiała rozpacz i strach.

Szarpnął mundur na piersi leżącego. Guziki prysnęły na boki, a Gustlik ostrożnie przyłożył ucho, by sprawdzić, czy serce bije. Biło, ale nierówno i jakby zbyt cicho. Pospiesznie dotykał rąk i nóg, odgarnął włosy z czoła w poszukiwaniu rany. Delikatnie starł krew na skaleczonym policzku.

— Tanki! — krzyknął ochryple Gruzin.

Nieprzyjacielskie wozy podjechały tak blisko, że skryły się za resztki muru. Widać było tylko ten, który na wprost bramy, a w głębi za nim działał pancerne. Wóz zrobił krótki przystanek, błysnął ogniem. Równocześnie zagrzmiały wybuchy paru pocisków. Jeden granat trafił w szczyt kopuły bunkra i we wnętrzu sypnęło bielidłem z sufitu.

— Gustlik!

Ślázak nie zwracał uwagi na wołanie. Cienkim strumieniem lał wodę z menażki na głowę i pierś Kosa, na twarzy miał wyraz krańcowego napięcia, rozpacz i nadziei.

Saakaszwili zrozumiał, że w tej chwili zdany jest tylko na siebie. Wtulił się w beton na samym skraju strzelnicy, by mur go lepiej osłonił, rozchylił lekko usta. Górna warga obnażyła zęby.

Czołg rósł, wycie silnika stawało się nieznośne, stalowy łoskot gąsienic ranił uszy. Pokraczny grzyb przeciwostrzutowego hamulca na końcu lufy mijał już rozwalony narożnik budynku i nadkruszony słup betonowy, który ocalał z bramy. Desant zza wieży zaczął się sypać na ziemię, jazgocząc seriami pistoletów maszynowych.

Grigorij długich parę sekund ścisnął klucz minerski w dłoni i teraz właśnie przekręcił kontakt.

Drgnął beton pod nogami. Na parę sekund wszystko przesłonił blask i chmura kurzu, z której strzelały na boki płomienie. Potem w górę trysnęła biała kita dymu i przyjaśniało nieco. Pantera płonęła i eksplodowała nie dalej niż pół setki metrów od bunkra.

Janek otworzył oczy i słabym głosem spytał:

— Strzelają?

— Żyje! — wrzasnął Gustlik jak opętany. — Sto pieronów klętych, żyje!

Chlusnął z rozmachu resztą wody na twarz, posadził Kosa pod ścianą, omotał mu głowę mokrym ręcznikiem i dopiero teraz skoczył na pomoc Gruzinowi.

— Wleźli?

— Jeden.

Jeleń patrzył, jak pod ciosami pocisków rozpada się mur ogrodzenia. Czołgi nauczone doświadczeniem pantery nie kwapiły się wejść na pole minowe. Rozsypały piechotę desantu, która postrzeliwała z rzadka.

— Jakoś zdrada szykują...

Janek dźwignął się, z wysiłkiem rozprostowywał kolana, szedł dłońmi w górę po chropawym betonie. Zakołysał głową. Poprawił mokry kompres podobny do hinduskiego turbanu. Wolno ruszył szorując ramieniem po murze, ale ze snajperką w ręku, i stanął przy trzeciej strzelnicy.

W tej chwili z okna na parterze budynku z sykiem i świstem strzelił w ich stronę strumień płynnego ognia. Odskoczyli, dym sięgnął wnętrza.

Gustlik z klęczek rzucił się w stronę kontaktów, przekręcił klucz prawej grupy min.

Rozpadły się ściany domu grzebiąc strzelca z miotaczem ognia i innych piechurów, którzy tam przeniknęli, ale jednocześnie bunkier odsłonił się przed działem pancernym przyczajonym na połu za drogą. Działo natychmiast otworzyło ogień.

— Rozłupie! — po pierwszym uderzeniu pocisku krzyknął Grigorij, który seriami z emge omiatał przedpole, żeby przycisnąć piechotę do ziemi.

— Albo i nie — odpowiedział Gustlik i chwyciwszy dwa pancerfausty wybiegł z bunkra.

Saakaszwili i Kos usłyszeli jeszcze jeden wystrzał armatni, a potem ciężką eksplozję obok działa, która zmusiła je do ruszenia się z miejsca. Ledwo drgnęły traki, nadleciała druga głowica, podobna do ciśniętej z rozmachem futbolowej piłki, trafiła w boczny pancerz i Sturmgeschütz stanęło w płomieniach.

— Nie rozłupie! — wołał tryumfalnie Gustlik, wpadając z powrotem do bunkra, i jeszcze bardziej się ucieszył, widząc, że Kos z kolbą u policzka posyła kulę ze snajperki. — Strzelasz, Janiczku? Myślołech już... Tfu, nawet nie powiem, com myśloł.

Kos z lekkim uśmiechem i jednocześnie ze skrzywieniem ust, bo głowa bolała potężnie, ścisnął go za ramię.

— Cegłą w łeb dostałem?

— Belką — wyjaśnił Jeleń. — Alech podgrzał ta brytfanna, co?

— Nie jest dobrze — rzekł Janek.

— Nie mogło być gorzej — podkpiwał Gustlik.

— Cofają się — dodał Saakaszwili, obserwujący przez strzelnicę, jak odskakują piechurzy i odchodzą trzy wozy na tylnym biegu.

— Ano właśnie — zmartwił się Kos. — Staną poza zasięgiem pancerfaustów i będą walić granatami w naszą skorupę aż do skutku.

Na chwilę w bunkrze zaległo milczenie. Jeszcze jeden wystrzał z karabinu, jeszcze dwie serie z emge i potwierdzając słowa Janka rozerwał się tuż obok armatni granat, cisnął piachem i odłamkami w strzelnicę, odkruszył od pułapu garść kamyków słabiej wrośniętych w betonową masę.

kawał rozszarpanej skorupy pocisku wyrznął w leżącą w kącie Tomaszową harmonię, rozsypał po betonie kawałki klawiszów i metalowe przyciski. Jeleń rzucił się do niej, ale rozbity instrument tylko westchnął bezsilnie.

— Pierony by ich spaliły — cisnął Gustlik przekleństwo i zagadnął: — A co my?

— Sam wiesz: tylko czekać.

Jeleń ustawił w kącie Grzesiową szablę i plecak Czereśniaka, położył na wierzchu czapkę rotmistrza, poprawił ją, żeby była prosto, i coś w sobie ważył.

— Uszy mi spuchną, jak o tej harmonii się dowie — mruknął pod nosem, a potem, przykucnąwszy obok Kosa, poradził: — Janek, a jakby tak

po cichusku do śluzy, na barkę i z prądem... Bo tego znaku, co ma być, to nie będzie.

Dwa pociski jeden za drugim uderzyły w kopułę i na lewej ścianie zarysowało się niewielkie, ale wyraźne pęknięcie.

Janek wiedział, że to oznacza szybką śmierć, lecz na propozycję Gustlika odpowiedział przeczącym poruszeniem głowy. Podszedł do strzelnicy i patrzył w pole. Na pierwszym planie miedzianym blaskiem płonęła pantera i działo pancerne, dwie kity jasnego dymu podpierały pogodne niebo.

W przeciwpowodziowym nasypie, jednym z tych, które gęstą pogiętą kratownicą leżą na niskich polach między Odrą a wąską odnogą, płynącą dnem starego koryta i zwaną Alte Oder, wyryli piechurzy w ciągu nocy stanowisko dowodzenia pułku, pospiesznie zamaskowali garściami trzciny i przywiedłymi gałęzmi.

W niewielkim schronie, zaopatrzonym od zachodu w podłużną szczelinę obserwacyjną, stało paru oficerów sztabowych, radiowcy, telefonista i dowódca pułku, który schrypniętym głosem krzychał do słuchawki:

— Mówiłem, że co przed świtem — twoje. Leż teraz po gołej ziemi, czołgaj się, a do nasypu musisz dojść... Co będzie dalej, moja w tym głowa. Naprzód, do ciężkiej cholery! „*Borsuk*” i „*Kuna*” na pozycjach wyjściowych, na ciebie czekamy.

Telefonista w locie złapał ciśniętą słuchawkę.

— Dać tu radzieckiego zwiadowcę i tego bosego czołgistę.

— Tak jest — zaszalutował do hełmu dowódca ochrony sztabu i wyszedł odchylając brezent.

Pułkownik z lornetką przy oczach patrzył na płaskie łąki przedpola, na domy miasta oprawione w zieleń i biel zaczynających kwitnąć sadów, zgromadzone pod lesistym stokiem Wzgórz Seelowskich. Nieco dalej w lewo sterczały nad horyzontem dwie jasne kity dymu i słyhać było stamtąd ostry huk systematycznie strzelających armat. Natomiast bliższe odgłosy frontu były stosunkowo spokojne — terkotały kaemy, prowadziły ogień dwie czy trzy baterie batalionowych moździerzy.

— Cwani — zaburczał pułkownik zwracając się do szefa sztabu. — Mają nas pod nosem, ale większość luf milczy.



— Czekają. — Major kiwał głową i dodał: — Groble jak pułapka. Jeśli nawet pancerniak samą prawdę mówi, to przez noc mogli jego kumpli wyprzeć ze służby.

— W nocy nie wyparli — uśmiechnął się pułkownik i pokazał ręką na wąskie słupy dymu na horyzoncie — ale nie wiem, czy teraz...

— „*Borsuk*” — rzekł telefonista podając słuchawkę.

— Słucham... Jasne... Czekać, tylko czekać, póki nie dam rozkazu.

Uniosła się brezentowa zasłona, weszli Czernousow z Czereśniakiem, a za nimi wśliznął się chorąży z żandarmerii i został u drzwi.

Pułkownik nikomu nie dał meldować. Wziął Tomasza za rękę i podprowadził do szczeliny obserwacyjnej.

— Gdzie wasza służa?

— Nie widać.

— Tam? — spytał ze złością pułkownik i pokazał ręką na prawo.

— Nie. Będzie jak te dwa dymy. Pora by, obywatelu pułkowniku...

— Nie mądrz się. — Dowódca kiwnął głową i odepchnąwszy go lekko, spytał Czernousowa: — Dużo zasieków na groblach?

— Nie.

— Pod domami?

— Mało. Ale nad samą ziemią powybijali w murach strzelnice. Są dla kaemów, ale są i większe, znaczy armaty do ognia na wprost...

Koło mostku na placu stoi bateria przeciwlotnicza — wtrącił Czereśniak i na pytające spojrzenie pułkownika, dopowiedział: — Widziałem.

— Z daleka?

— Całkiem z bliska — stwierdził poważnie i dodał: — Była umowa, żeby o świcie czerwone serie...

— Starszyna — zwrócił się pułkownik nie słuchając — zostaniecie przy naszym sztabie do wzięcia Ritzen, a tam swoich spotkacie. Tak się dogadałem przez telefon. Miasto jak brama w murze. Kiedy ją wysadzimy z zawiasów, dwie armie tamtędy ruszą.

— Jest prośba, towarzyszc komanair polka...

— Czternasty z „*Rosomaka*” — zameldował telefonista.

— No i jak? — rzucił pułkownik w mikrofon i słuchał chwilę. — Dobra. Reszta mnie tyle obchodzi co nieboszczyka wesele. Na grobli jesteś? Czy na

grobli?... Dobra. Siedź... Co z tego, że piekło. Krok do tyłu zrobisz, pod sąd oddam, a kto pierwszy do miasta wpadnie, odznaczenia nie pożałuję.

Skończywszy rozmowę rzucił swoim zwyczajem słuchawkę i rozkazał dowódcy ochrony sztabu:

— Skocz na stanowisko kompanii deszeka i niech kropną trzy długie serie samymi smugowymi na te dwa dymy. Czerwonymi i nisko nad ziemią...

— Czekają tylko — rzekł oficer salutując i wyszedł.

— Prośba jest, towarzyszc komandir połka — powtórzył Czernousow.

— Jaka?

— Czekać przy sztabie dla nieprzywykłego — nudno. Proszę o zezwolenie dołączyć do batalionu „*Rosomak*”. Sierżant znajomy tam jest i towarzyszc pałkownik mówił...

— Co mówiłem?

— Na szcnot medali. Polskowo poka niet — pokazał na gimnastiorkę, odchylając brezent zarzucony na ramię.

Pułkownik popatrzył mu w oczy, mocno ścisnął dłoń i potem dopiero rzekł:

— Zgoda.

Czernousow, salutując, zrobił w tył zwrot. Za nim wyszedł Czereśniak, za Czereśniakiem jak cień chorąży z żandarmerii. Bez słowa ruszyli w stronę frontu, przebiegli kłusem, schylając się na odkrytym. Dopiero w rowie łączącym oficer przytrzymał Tomasza za ramię.

— Szeregowiec, wy dokąd?

— Za starszyną.

— Po jakiego czarta?

— Żeby bliżej. Koledzy tam zostali — pokazał ręką w stronę śluzy. Kilkadziesiąt metrów w bok, z sąsiedniego kretowiska wrytego w wale, zagdakał basem deszeka — karabin maszynowy kalibru 12,7 mm. Płaskim łukiem, niczym pręt żelazny rozżarzony w ogniu, przekreśliła niebo długa smugowa seria.

## ROZDZIAŁ 45. WYSOKA WODA

Armatnie granaty nadkruszyły betonową czaszkę bunkra. Pęknięcie na lewej ścianie grubiało z każdym uderzeniem i rozwarło się wreszcie, tworząc długą szczelinę o poszarpanych brzegach, przez którą wpływał do wnętrza świt. Brudny wojenny świt, padający z zadymionego nieba jak jesienna mżawka.

Gustlik popatrzył w górę czerwonymi od kurzu oczyma, westchnął i szepnął:

— Tego znaku to my nie doczekamy...

Dał ognia z pistoletu maszynowego do piechura, który się dźwignął, żeby rzucić granat. Było tych grenadierów kilkunastu, ukrytych za resztkami muru i w ruinach domu, czatujących na dwie sekundy nieuwagi obrońców. Prędzej czy później trafi który w strzelnicę i koniec, myślał Jeleń, chyba że wcześniej skorupa nam się na głowy zwali.

Dwa czołgi i działko pancerne, stojąc w bezpiecznej odległości, były armatnimi granatami. Szczęściem rumowisko osłaniało strzelnicę od przodu, pociski trafiały w płaski czerep pod ostrym kątem, rykoszetowały i oszalałe z wściekłości, wyjące i bulgocące padały na pole minowe za śluzą, detonowały razem z wetkniętym w ziemię trotylem.

Gustlik znowu zerknął w szczelinę i w pierwszej chwili nie uwierzył, przetarł wierzchem dłoni czoło i oczy — po burym błękanie przeszły rude kędzierzawe warkocze smugowej serii.

— Czerwona! — wrzasnął, przekrzykując jazgot emge i wybuchy czołgowych pocisków.

Nie odpowiedział mu ani strzelający z kaemu Grigorij, ani Janek przyczajony ze swą snajperką.

W ciągu tych kilkunastu minut, które upłynęły od rozbicia Czereśniakowej harmonii, walka odmieniła ich nie do poznania — Saakaszwili rozkrwawił ranny policzek o beton, Jankowi sfiolutowiała skroń pod turbanem z mokrego ręcznika. Obaj pociemnieli od dymu, patrzyli głęboko wpadniętymi oczami, łapczywie łykali powietrze. Cofając się i znów

przyskakując do strzelnic, zataczali się ogłuszeni nieustającym hukiem i pijani prochowym smrodem.

Wystrzelone łuski zalegały podłogę, dźwięczały przy każdym poruszeniu nogi.

Kos podrzucił broń, zmierzył i trafił. Grenadier wypuścił z ręki odbezpieczony granat, żeliwne jajo wtoczyło się między cegły, z suchym hukiem rozrzuciło je na boki.

Jeden z czołgów ruszył z miejsca, podpełznął bliżej, usiłując znaleźć stanowisko, z którego mógłby wsadzić pocisk w strzelnicę.

— Druga! — krzyknął Gustlik, pokazał na niską wiśniową smugę i wyciągnął rękę w stronę przełącznika.

— Czekaj — wstrzymał go Kos.

— Coby zdążyć. Germany czują, że nadkruszyli ta buda. Leżą jak psy do wursztu.

— A jeśli to jeszcze nie znak?

Wrzeszczeli do siebie nie odchodząc ani na chwilę od strzelnic. Zagrzechotała seria z Jeleniowego automatu, druga z emge Grigorija, trzasnął pojedynczy wystrzał. Czekali przygryzając wargi, mierząc niecierpliwy czas pulsowaniem krwi w skroniach.

Janek położył rękę na przełączniku. Gdyby nawet w tej chwili zwałił się strop lub ręczny granat wpadł do wnętrza, to przecież zdążyłby jeszcze choćby ostatnim skurczem mięśni przekręcić metalową dźwignię. I jeśli to rzeczywiście sygnał, jeśli wysoka woda sięgnie Ritzen, gdy wojska ruszą... Nikt wówczas nie mógłby powiedzieć, że zbyt wcześnie Kosowi powierzono dowództwo.

— Trzecia — szepnął cicho, widząc, jak wzdłuż chropawej krawędzi rozłupanego betonu mkną jedna za drugą czerwone jaskółki, ciągną przybrudzoną dymem krasną wstążkę.

— Trzecia! — krzyknął ochrypłym głosem.

Rozpromienili się w szerokich uśmiechach i Kos z westchnieniem ulgi przekręcił klucz detonatora. Ten ułamek sekundy nadał sens całej ich walce. Wciągnęli głębiej hełmofony. Janek przycisnął dłońmi do uszu mokre szmaty swego opatrunku.

Jeszcze chwilę oczekiwali eksplozji z uśmiechami na twarzach. Potem został tylko skurcz mięśni, które trudno rozluźnić.

Kos powtórzył ruch kluczem i znowu sekundę czekał daremnie. Rozbił kolbą bakelitowe pudełko, wyrwał kable i przycisnął je palcami do kontaktów akumulatora. Stojąc bez ruchu czekali jeszcze, choć już wiedzieli, że wybuch nie nastąpi.

Janek zerwał ręcznik z obolałej głowy, cisnął w kąt. Czuł, jak wilgotnieją mu dłonie, a między łopatkami, środkiem pleców, zaczyna ściekać strużka zimnego potu. Na darmo, wszystko na darmo...

Zbudził ich z beczynności bliski granat. Machinalnie obsypali kulami przedpole, zaczęli się znowu z bronią przy strzelnicach, rozumiejąc, że stawka gwałtownie spadła.

Nagle Gustlik zawył jak ranny wilk. Długi nieartykułowany dźwięk dobył się z samego dna jego piersi. Skoczył, szarpnął za drzwi prowadzące do schronu, przekręcił klucz raz i szarpnął wyrywając prawie zamek.

— Zadżgom ta Świnia!

— Stój! — Kos przypadł do niego, chwycił za ramię.

— Patrz. — Gustlik wyszarpnął mu rękę.

Pokazał rozerwaną, sterczącą na boki wiązkę kabli pod sufitem i siedzącego w kącie obergefrajtra z pokrwawionymi wargami, który zasłaniając głowę ramieniem oczekiwał ciosu.

— Nóż miał?

— Zębami, pieroński, podciep. Zasługiwał się, coby go tu posadzić, frische Luft prosił... — łzy wściekłości spływały po twarzy Jelenia.

Przerzucił do prawej pistolet maszynowy, odciągnął zamek i podniósł lufę do strzału.

— Co ci z tego? — wstrzymał go Kos. — Śluzę i tak nie wyrwiesz z zawiasów.

Jeleń opuścił pistolet. Stał chwilę jak ogłuszony, a potem podniósł głowę, spojrzał Jankowi w oczy.

— Mówisz, że nie wyrwę?

Zastanawiał się jeszcze sekundę i zatrzasnąwszy z powrotem drzwi do celi jeńca, powiedział głośnym szeptem:

— Z zawiasów? Jeszcze tylko dwie minuty strzymajcie...

Rzucił automat na ziemię, zwinął się w miejscu, trzasnął włazem.

Saakaszwili skończył taśmę, sięgnął po nową i zarepetował emge.

— Oszalał? — spytał Kosa, wskazując ruchem głowy w stronę wjazdu, przez który wybiegł Gustlik.

Kos dał ognia raz i drugi. Odskoczył od strzelnicy, przez którą bliski wybuch sygnął piachem, i dopiero wtenczas odpowiedział:

— Tylko cud może uratować naszą piechotę pod Ritzen.

— A nas? — rzucił pytanie Gruzin.

Wystrzelał długą serię, czekał chwilę, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Trzasnąwszy włazem, Jeleń przypadł u końca okopu chroniącego zejście do bunkra. Przed sobą miał parę metrów płaskich jak powierzchnia stołu — kudłaty trawnik, potem betonowe obramowanie śluzy z grubym pachółkiem do cumowania. Tuż nad ziemią pogwizdywały serie z czołgowych kaemów, kule strzygły murawę, rykoszetowały od stalowego słupka, drapały beton, jakby z kamienia chciały krew wykrzesać.

Gustlik wyczekał na kolejny granat armatni i w tym momencie, gdy na sekundę zgasły serie, a kurz i dym przesłoniły widok, rzucił ciało do przodu, zsunął się przez krawędź.

Stopa o centymetry minęła klamrę drabiny, siła bezwładności szarpnęła go w dół, ale w ostatniej chwili zdążył chwycić linkę, z pomocą której przedtem wyciągali z Kosem skrzynki amunicji. Rozkołysał się na niej, zaczepił nogą o klamrę, podciągnął i przeszedł na drabinę.

W najwyższym pośpiechu zbiegł w dół na pokład barki. Zwijając się jak w ukropie, zamocował jeszcze dwie cumy do ruchomego haka w ścianie, osadzonego na pływaku. Potem chwycił pięść pancerną, przyległ za burtą i począł uważnie mierzyć w środkowy zawias stalowych wrót śluzy.

Nacisnął spust. Błysnęło. Płomienny jęzor wyleciał z rury, ciężka głowica uderzyła w metalowe sztaby, szarpnęła je i wygięła.

Nie o to jednak Gustlikowi chodziło. Ułożywszy sobie na ramieniu rurę następnego pancerfausty, wymierzył w to miejsce, wypatrzone podczas kąpieli, do którego saperzy podwiązali drutami ładunek wybuchowy.

U nasady grobli prowadzących przez podmokłe, niskie łąki do Ritzen, w płytkich okopach, za szańcykami ledwie osłaniającymi głowy, leżeli pod ogniem karabinów maszynowych i moździerzy skoncentrowani do natarcia

piechurzy. Bezczynność rozwlekała minuty, a strach jak wilgoć wpełzał pod mundury, przenikał mięśnie aż do kości.

Kogoś trafił odłamek. Ranny jęknął, dźwignął się i zaraz dostał kulę. Podpełzła do niego Marusia. Prawie nie unosząc rąk od ziemi starała się rozciąć nożem rękaw. Za nią Szarik taszczył w zębach torbę z opatrunkami, sunął z łbem przy ziemi położywszy uszy po sobie.

Czernousow obejrzał się na dziewczynę, niespokojnie poruszył wąsami.

Nieco dalej, obok bosego Czereśniaka leżał chorąży żandarmerii. Usiłował zetrzeć rękawiczką odpryski błota z koalicyjki i pogadywał ze złością:

— Oczu nie mają... Serii nie dostrzegli... Niewielu zostanie, nim twoi służę wysadzą.

Gruchnęła salwa z moździerzy i kilka metrów w przodzie, kryty w leju po pocisku, zamilkł erkaemista. Chorąży nasłuchiwał, czy się nie odezwie. Zrozumiawszy, że żołnierz poległ albo ciężko ranny, postanowił pokazać, kto tu odważny, zerwał się i pobiegł.

Tomasz wyskoczył za nim, dognał w trzecim skoku, podciął mu nogi. Upadli obaj i dzięki temu gęsta seria karabinu maszynowego przeszła tuż nad głowami leżących. Jeszcze skok i stoczyli się do leja.

— Chybili — z lekkim uśmiechem powiedział oficer, chwytając oddech. — Uważajcie na drugi raz, żeby mi się pod nogami nie pętać — gderał dobrodusznie, a jednocześnie wyjmował diegtiarowa z zaciśniętych palców nieżyjącego.

— Nie bądź głupi, nie daj się zabić.

— Szeregowiec, wy do mnie?

— Nie. W partyzantce mówili. Przysłowie takie.

Zerwała się szybka nawałnica ogniowa z naszej strony, strzelały działa i moździerze. Zwęszywszy, że to już przygotowanie do szturm, obrońcy Ritzen odpowiedzieli mocno — równym ścięciem biły karabiny maszynowe, ogniem na wprost strzelały polowe działa. Bliski wybuch granatu posypał piachem leżących w leju.

— Cholera by ich nagła wzięła! — zaklął chorąży spluwając ślinę ciemną od piachu.

Tomasz nie zrozumiał, czy żandarm tak na szkopów sobaczy, czy ma pretensję, że sierżant Kos śluzę jeszcze nie wysadził. Żeby nie pozostawiać oficera bez odpowiedzi, filozoficznie zauważył:

— Trza się otrząsać, bo za żywa pogrzebie.

Trwała wymiana ognia, ważyła się, nie dając żadnej ze stron przewagi. Błysnęło na porośniętych lasem wzgórzach za miasteczkiem, zaszumiały górą pociski i ciężka salwa bateryjna szarpnęła ziemią, wyrwała ku górze sześć słupów błota ze dwieście metrów za plecami piechurów.

— Cholera! — mruknął niespokojnie żandarm.

Zdawało się przez chwilę, że nasza artyleria jakby straciła tempo, że wróg bierze górę, lecz nagle po tamtej stronie poczęły gasnąć błyski, gęsty dywan huk wystrzelił się i rozpruł.

Chorąży otrzepał mundur, wypluł raz jeszcze piasek i ustawivszy erkaem na krawędzi leja zaczął strzelać. Po dwu seriach przerwał, wychylił się, by lepiej widzieć, i krzyknął wyciągając rękę do ‘ Tomasza:

— Woda!

— Mówilem przecież — mruknął spokojnie Czereśniak.

— Woda! Za taką rzecz order powinni...

— Noża obywatel chorąży nie oddał i maści.

— Naprzód! — usłyszeli głos śpiewny, lecz przecież mocniejszy od huk strzelaniny.

Zobaczyli tęgą postać sierżanta Szawełły wstającą z ziemi. Tuż obok wyskoczył z leja szczupły Józek, wybiegł do przodu, żeby osłonić stryja.

— Rebiata! Dajosz Bierlin! — krzyczał Czernousow do swoich i ruszył naprzód z rozwianą u ramion peleryną, jak żuraw startujący do lotu na czele klucza.

Chorąży zerwał się, pośliznął w nawilgłym piachu, lecz machnąwszy w powietrzu, diegtiarowem utrzymał równowagę i pobiegł tuż za pierwszymi.

Z traw przyżółconych kaczeńcami, z bruzd podmokłych, z płytkich okopów wstali piechurzy, wdzierali się na groble i rozgrzewając mięśnie w biegu, przyspieszali tempo. Lęk przed nieznanym, który ich męczył, gdy pod ogniem czekali rozkazu, zostawał coraz dalej za plecami. Wściekłość, poprzedzająca starcie wręcz, rosła im w piersiach i nagle od czoła potoczyło się ochryple i groźne:

— Huraaa! huraaa!



Dowódca patrzył z boku przez lornetkę. Widział, jak się przelewa i wypływa na łąki woda z kanałów, widział bure strzępy piany kipiące między domami Ritzen, lecz mimo to twarz miał chmurną, napiętą.

— Podciągnijcie enkaemy i niech natychmiast otworzą ogień ponad głowami kompanii strzeleckich. Jeśli Niemcy mają na tych strychach choć parę gniazd karabinów maszynowych... — urwał i skinął ręką na swój sztab. — Idziemy.

Kiedy podeszli do grobli, zobaczyli sto metrów przed sobą dziewczynę w hełmie, która, klęcząc, zakładała jakiemuś piechurowi opatrunek. Potem zerwała się, pobiegła naprzód, a za nią wilczur dźwigający w zębach sanitarną torbę.

Od strony Ritzen niczym oszalałe kury zagdakały nagle szybkostrzelne działa. Światłne pociski błysnęły nad tyralierą na tle czarnych wzgórz i granatowego nieba. Garść przeniosła, podziobała groblę parę metrów przed dziewczyną i psem.

— Wywołuj pułkowe moździerze — rozkazał pułkownik radiotelegrafiście towarzyszącemu mu z zielonym pudłem na plecach. — Szybciej, synu, szybciej!

Uderzenia dwu głowic pancerfaustów i wybuch części saperskiego ładunku wyszarpnęły zawias, zdarły parę blach z wrót śluzy. Woda rwała tymi wyłomami, spływała wodospadem potężniejącym z sekundy na sekundę.

— Załoga do mnie! — wrzeszczał Gustlik z pokładu barki, usiłując przekrzyczeć szum. — Załoga!

Potęga bijącego z wysokości potoku poczęła ze zgrzytem przeginać wrota.

— Załoga!

W bunkrze słyszeli nie krzyk, lecz wybuch. Kos zrozumiał, co się stało, dał rozkaz do ucieczki, popchnął ociągającego się Gruzina w stronę wjazdu.

I oto na betonowej krawędzi, na tle jasnego już nieba ukazał się Saakaszwili z karabinem maszynowym przewieszonym przez plecy, z szablą u boku. Zgrabnie wszedł na drabinkę, pospiesznie zląził w dół.

W chwili gdy skoczył na pokład, woda wyrwała wrota z drugiego zawiasu, uderzyła w rufę barki. Najmocniej napięta cuma pękła z jękiem.

— Janek! Janek!

Gustlik i Saakaszwili krzyczeli zgodnym chórem. Zalewani bijącą wysoko falą, podtrzymywali bosakami barkę u metalowego haka.

Na tle nieba zaczerniała garbata sylwetka Kugła z plecakiem Czereśniaka na karku, z czapką rotmistrza, którą przekładał z ręki do ręki, marudząc z wejściem na skoble.

— Schneller! — wrzasnął Jeleń. — Zginiemy przez tego gizona. Janek!

Dobiegły ich gęste serie osłaniającego odwrót i dopiero w chwilę później pojawił się Kos, przerzucił ciało przez krawędź. Stojąc na skoblach drabiny, dał jeszcze ostatnich kilka strzałów z automatu.

Granat rzucony przez niemieckiego piechura zatoczył łuk po niebie, spadł we wrzącą wirami wodę śluzy, rozerwał się z hukiem.

— Trzymaj! — krzyknął Kos rzucając pistolet maszynowy, a potem snajperkę, by mieć wolne ręce.

Gustlik chwycił broń w locie, ale gdy tylko puścił bosak, pękły napięte liny. Drzewce wysliznęło się z rąk Grigorija. Barka uwolniona z więzów zerwała bez trudu dziobową cumę. Woda, która wyszarpnęła do reszty połowę wrót, poczęła teraz rozwierać drugą.

Widząc barkę unoszoną prądem Janek odbił się od betonowej ściany i skoczył. Przekoziołkował w powietrzu, w dziwnym półobrocie uderzył plecami w wodę. Zmierzwiony nurt porwał go, jak powódź porywa kota, obrócił parokrotnie w różne strony i wypluł na powierzchnię.

Chwycił oddech, począł płynąć. Piana oslepiła, biła po twarzy, wypełniała uszy głusząc wszystkie dźwięki. Fale usiłowały obrócić go, wziąć pod siebie. Byle tylko ze śluzy się wyrwać, byle wyniosło pod brzeg, przemknęło mu przez myśl. Pożałował, że butów nie zdążył zrzucić, ściągały go coraz silniej w dół.

Nagle dostał po głowie. Zapieкло jak od bata, otarło boleśnie szyję. Zanim jeszcze pojał, że to lina, ręce zacisnęły się odruchowo na mokrych chropawych konopiach. Poczul szarpnięcie i jakaś siła powlokła go ostro do przodu. Prześcigając prąd wyskoczył ramionami ponad fale i parę metrów przed sobą zobaczył wysmołowaną burtę, a nad nią Jelenia zapartego nogą o reling, szerokimi łapami wybierającego rzutkę niczym winda kotwiczna.

Jankowi nagle pociemniało w oczach. Ustąpił ból w ramionach i dłoniach, ucichło łomotanie w głowie, oczy wypełnił mokry chłód i ogromna kosmata cisza.

Potem ból i hałas bitwy wróciły z oddali. Uchyliwszy oczy zobaczył nad sobą wąsy Grigorija i zasepiony nos Gustlika. Pojął, że jeszcze nie pora na odpoczynek.

— Długo? — zapytał.

— Może minutę — odrzekł Saakaszwili.

— Niesie jak zerwana koliba na pochylni, a jeszcze śluza widać — dodał Jeleń wsparty na długim rudlu. — Na lewy czy na prawy brzeg sterować? — pytał, przywykły już, że rozkaz do Kosa należy.

Janek siadł i chwilę patrzył na gładkie nasypy, między którymi z szybkością galopującego konia niosła ich wysoka woda. Z pomocą Grigorija dźwignął się na nogi. Po obu stronach były łąki ciemnozielone, znaczone jaskrawymi, żółtymi łatami.

— W kaczeńcach się nie schowamy. Steruj prosto. W Ritzen największa szansa do swoich trafić.

Pod sterówką na mokrym pokładzie leżał Kugel. Usłyszawszy nazwę miasta obergefrajter zwrócił w stronę sierżanta smutną twarz i powiedział:

— Niks Ritzen. Ritzen kaputt...

Obramowany kanałami plac w centrum Ritzen pokryła żółta spieniona woda. Fale wylewały się przez nabrzeże, wtargnęły do piwnic i na partery domów. Stłumiły grzechot, zgasiły ogień. Ostatni umilkł karabin maszynowy, obok którego nocą schodził po linie Czereśniak, strzelający od świtu serią za serią.

Z szumem i pluskiem mieszały się przekleństwa i komendy. Woda wyłamywała drzwi, spychała worki, waliła oknami na zewnątrz porywając sprzęty i broń, obalając ludzi.

Na stanowiskach niemieckich dział szybkostrzelnych wybuchła panika, ale dowódca baterii szybko ją opanował. Kanonierzy wypchnęli armaty z okopów na trawnik, żeby wyżej, zajęli stanowiska. Woda sięgała po osie, część pocisków zamokła, ale mieli zapas na samochodach. Zanurzeni po kolana przierzucali je górą na rękach.

Coraz bliższe było „huraa” i ostrzejszy jazgot automatów. Obserwator ulokowany na piętrze przebiegł do okna od strony placu i zawołał:

— Die Polen!

— Achtung! — Oficer stojący na siedzeniu łazika podniósł rękę ku górze wyczekał, póki tyraliera nie wybiegła z ulic na skraj placu, i podał komendę: — Feuer frei!

Sztyleciki ognia trysnęły z pochylonych poziomo luf. Działa, jak psy na łańcuchach, poczęły się szarpać w gwałtownych odrzutach i ta niespodziana ulewa pocisków stłumiła krzyk piechoty. Trzasnęły serie z pistoletów maszynowych, ale ledwie je słyszeć było przez zwycięski łomot pelotek.

Z prawej, za linią rosnących na placu drzew i za kanałem zjawili się na piętrach niemieccy piechurzy, z okien zaczęła bić broń maszynowa.

W tej właśnie chwili, gdy zdawać się mogło, że natarcie utknęło, że rozpadnie się na mozolne walki grup szturmowych o pojedyncze budynki, po przeciwległej stronie trójkątnego placu wysunął się z za domów dziób barki rzecznej niesionej prądem. Nikt na nią w pierwszej chwili nie wrócił uwagi, lecz oto nagle stare drewniane pudło zagrzmiało jak krążownik. Zza burty pruły dwa opętane karabiny maszynowe. Na dziobie błyskało raz po raz i ciężkie głowice poczęły wybuchać między stanowiskami dział.

Piechurzy zaczajeni w domach, ukryci za murami, mogli załogę barki wystrzelać w ciągu minuty — deski nie broniły jej od kul — lecz nie wytrzymali drugiego zaskoczenia. Przed chwilą musieli opuścić starannie przygotowane fortyfikacje w piwnicach i ledwie w mokrych mundurach zajęli nowe stanowiska, ledwie oddali pierwsze strzały, zaatakowano ich niespodziewanej strony. Ktoś wrzasnął o okrążeniu, ktoś, cisnąwszy roń, zadudnił buciorami po schodach i za nim ruszyli inni.

Działon jednej z pelotek obrócił lufę w stronę nowego celu, lecz nim zdążył dać ognia, zapłonął tuż obok stojący samochód.

Przygłuszone na chwilę, zerwało się znowu „*huraaa!*” nacierających piechurów.

Barka, grzmiąc wystrzałami coraz bliżej, spływała z prądem, lecz nagle z okna za kanałem ktoś cisnął granat. Huknął wybuch, na rufie zapalił się pokład i dym powalił gęstymi kłębam.

— Nie ugasi! — krzyknął Gustlik odpalający kolejny pocisk.

— Skaczemy — rozkazał Kos.

Nie bardzo wiedząc, gdzie jeszcze kanał, a gdzie już płycizna, skakali burty, celując, żeby bliżej drzew.

— W zadek piecze, w butach mokro, to jest ale uciecha — kłął Jeleń odpalając ostatnią głowicę.

— Za mną!

Wydawszy rozkaz Janek pobiegł pierwszy, skoczył przez okno do celnego domu. Za nim Grigorij, potem Kugel z plecakiem i na końcu Gustlik, który go pilnował. Zniknęli w samą porę, bo garście kul tyraliery szły coraz gęściej, tłukły o stalowe osłony i lufy niktających kolejno dział.

Płonąca barka spłynęła poza domy. Przez chwilę wśród opuszczonych dział i samochodów tylko woda pluskała. Potem, terkocząc z automatów do okien, wpadli nasi piechurzy, a na ich czele chorąży żandarmerii diegtiarowem w garści i Tomasz.

Z wnętrza domu, brodząc po kolana w wodzie, wychodzili artylerzyści z uniesionymi nad głową rękami.

— Znajomi. To ci, co mnie nocą podwieźli — wyjaśniał Czereśniak i głośno liczył: — Osiem... dwanaście... piętnaście... dziewiętnaście...

— Jaki też kluk zatracony nom tych jeńców rachuje? — zagrzmiął z głębi sieni groźny bas.

Za ostatnim Niemcem pojawiła się lufa emge, niesionego jak karabin w jednym ręku, i brudna, zmęczona twarz Ślązaka.

— Tomek! — Jeleń otworzył szeroko ramiona, ale zawahał się i zamiast chwycić go w objęcia zaczął wyjaśniać: — Twój worek na obergefrajtrze Kuglu przyjechał, ale harmonię potrzaskało, choć w bunkrze była. Nie frasuj się, cała barka zapalili, wszystko nam przepadło...

— Eee, nic to — powiedział Tomasz i choć żał mu było, postąpił pół kroku naprzód.

Jednocześnie chwycili się obaj za bary, jakby mieli zamiar powalić się na ziemię albo zadusić jeden drugiego.

Grigorij z twarzą wysmarowaną błotem i krwią zsunął hełmofon z czoła. Janek z oczyma szeroko podmalowanymi śliwkowym fioletem oparł się o framugę. Patrzyli z uśmiechem na to powitanie, ale zaraz nadbiegli Szawelłowie, młody i stary, a z nimi zadyszany Czernousow, zaczęło się obejmowanie, potrącanie, i okrzyki, z których nie sposób było czegokolwiek zrozumieć.

Obok przebiegały kolumnienki piechurów rozwijających natarcie dalej, za miasto. Taplała się przez wodę kompania moździerzy, niosąc w jukach rury i podstawy swoich osiemdziesiątekdwójek.

Woda już poczyniała spływać, opadała, sięgała ledwie do pół łydki. Nadszedł dowódca pułku z paroma oficerami sztabu, z łącznikami i radzikiem dźwigającymi radiostacje na plecach. Przystanął obok naszych i nim zdążyli zameldować, spytał:

— Kto pierwszy był w mieście?

Czernousow i Tomasz spojrzeli po sobie i prawie równocześnie wskazali na stojącego opodal chorążego żandarmerii, który ochlapany błotem, z brunatną plamą smaru na rękawie, z rozerwaną o druty cholewą buta nie bardzo był podobny do siebie.

— Mładszy lejtenant pierwszy — rzekł starszyna. — Chciałem ja polski medal dostać, ale on nogi ma zdrowsze.

— Chorąży dwa razy piechotę podrywał — dodał Czereśniak.

Pułkownik bez słowa wyjął z kieszeni medal „*Zasłużonym na Polu Chwały*”, przypiął wyprężonemu oficerowi do piersi.

— Ku chwale ojczyzny.

— Po papier zgłosisz się jutro do szefa sztabu... A wy kto? — zwrócił się do czołgistów.

Kos wystąpił pół kroku i zameldował:

— Obywatelu pułkowniku, załoga czołgu, „*Rudy*”.

— Hydraulicy?

— Nie rozumiem.

— Wy odkręcaliście kurek. Dziękuję i zapamiętam — kolejno począł ścisnąć dłonie wszystkim trzem.

Trzymał jeszcze w swym ręku Gustlikową łapę, gdy z tyłu do Janka podkraśla się Marusia i dłońmi zasłoniła mu oczy.

— To ty! — zgadł chłopak i z tonu było wiadomo, o kim myśli.

— Ja — popiskując z uciechy rzuciła mu się na szyję.

Pułkownik, słysząc dźwięk żołnierzowi nieprzystojny, obrócił zagniewaną twarz, ale zamiast przygany rzekł tylko:

— Załoga!

Stanęli wszyscy na baczość. Ogoniok z ręką na szyi Kosa. Niecierpliwie warczał Szarik, który nie wiedział, czy ma prawo już rzucić torbę sanitarną i witać, czy powinien siedzieć na baczość, i to z ogonem w chłodnej wodzie.

— Zostańcie w tym domu, wymyjcie się i wysuszcie. Tu was znajdzie armijny gospodarz pancernych. Z rubieży Ritzen będzie wprowadzał do walki szybką grupę.

— Nasz generał? — spytał Gustlik.

— Wasz. A jeńców moi piechurzy zabiorą.

— Bez tego jednego. — Kos wskazał na Kugła.

— Czemu to? — Dowódca pułku zmarszczył brwi.

— Wiemy już, kto taki. Komendantowi miasta się przyda, żeby tu porządek robić.

— Dobra — kiwnął głową piechur, zasalutował i odszedł w ślad za swym pułkiem.

Dopiero teraz Marusia, przytulona do Kosa, zabrała psu torbę i wilczur począł szaleć w powitalnym tańcu, ochlapując wszystkich błotem i wodą.

— Nie ciesz się, Szarik — powiedział smutno Saakaszwili, przytrzymując kudłate łapy na swej piersi. — „Rudy” spalony. Zostaliśmy bez pancerza nad głową.

— Pozdrawlaju — zwrócił się Czernousow do chorążego.

— Ja też, choć przedwczoraj nie życzyłem wam dobrze — ścisnął mu rękę Kos i dodał: — Rzeczywiście, chodźmy się suszyć.

Ruszyli do sieni, przepychając się w drzwiach.

— Z wami lepiej zgubić niż z innymi znaleźć — rzekł żandarm.

— Cóż my? — odpowiedział Czernousow. — Ludzie jak ludzie.

— Panie chorąży — idący na końcu Czereśniak przytrzymał oficera za rękę — ja bym nóż i maść prosił, bo to się potem zapomni.





# CZEŚĆ TRZECIA



## ROZDZIAŁ 46. BICIE ZEGARÓW

Czas bywa często cenniejszy od chleba i od naboju. Tylko nowicjusz w żołnierskim rzemiośle namyśla się, zwleka i marnotrawi minuty w oczekiwaniu na godzinę odpoczynku. Frontowy wyga potrafi na komendę zasnąć, jak i ruszyć do walki w kilka sekund po obudzeniu. Podczas przerwy w marszu broń nie zwlekając oczyści, guzik przyszyje, pożywi się sucharem z konserwą, wiedząc, że przed nim los niewiadomy, że za chwilę może paść nowy rozkaz. Umiejętność oszczędzania chwil, bardzo przydatna każdemu, kto nie ma ochoty marnować dni swego życia, jest żołnierzowi równie potrzebna jak dobre strzelanie.

Kiedy po zdobyciu Ritzen dowódca pułku kazał załodze „*Rudego*” czekać na armijnego szefa pancernych, czołgiści razem ze zwiadowcami Czernousowa natychmiast zagospodarowali ceglany dom przy głównym placu. Na parterze urządzili łaźnię i pralnię, na piętrze kwaterę główną w ogromnym, prawie pustym pokoju.

Oknami, dawno już pozbawionymi szyb, a nawet częściowo ram wyrwanych podmuchem bomb lotniczych, wpływało do wnętrza słoneczne ciepło i pośpieszny, falujący gwar dofrontowej arterii. W stronę wylomu w obronie niemieckiej szły przez miasto bataliony piechoty, jechały dywizjony artylerii, sunęły ciężkie kolumny saperskie i transporty amunicji. Po bezchmurnym niebie, jak na ogromnej błękitnawej tafli holendrowała szerokimi łukami dyżurna para myśliwskich samolotów, połyskująca w słońcu.

Mieszał się zapach kwietniowej zieleni z ostrą wonią benzyny i smarów, a warkot samochodowych silników z chrzęstem kroków i szczękaniem broni. Słysząc było pokrzykiwania i rozmowy, a czasem jak podmuchy wiatru dobiegały, wyrastały i cichły piosenki opowiadające o Kasi, która wyganiała wołki, o rosyjskiej rzece, szerokiej i głębokiej jak Wisła, o Wiśle podobnej do Wołgi i o machorkowym skręcie do podziału na dwóch. Splatały się słowa rosyjskie i polskie tak ściśle, że czasem i odróżnić trudno, kto maszeruje, kto śpiewa. Pożyczali sobie frontowi żołnierze nie tylko machorki i naboju, nie tylko sucharów i granatów, lecz także słów. Nikogo nie dziwiło, jeśli Rosjanin

pytał: „*która godzina*”, czy wolał „*napszud do diabła!*”, czy też kiedy Polak mówił „*bombiożka*” lub „*kartoszka*”. Nikt temu się nie dziwił, bowiem wspólna robota i wspólna walka wspólnego wymaga języka.

*Rozcwietali jabłoni i gruszy,  
a ja spodni uprasować muszę*

— wyśpiewywał Saakaszwili nie po gruzińsku, nie po rosyjsku i nie po polsku, lecz w języku całkowicie dla wszystkich zrozumiałym.

Stał przy desce okrytej kocem, opartej jednym końcem o parapet, a drugim o przewróconą na bok szafę i owinięty w pasie kraciastą chustką, podobny w tym stroju do Szkota, rzeczywiście prasował spodnie wielkim krawieckim żelazkiem na węgle. Co chwila przerywał, machał nim w powietrzu, żeby rozplomienić żar, a kiedy wracał do roboty, mocniej buchała siwa para z mokrego drelichu.

Z kłębow pary, tak jak z wody albo ognia, można wróżyć, można w nich przyszłość zobaczyć i czasem tak się wyraźnie ułożą, że widzisz albo czołg, który przyjaźń oznacza, albo las zapowiadający podróż, albo wstążkę z dziewczęcych włosów. Tyle że choć wody przy skrapianiu nie żałował, to dziś nic się pokazać nie chciało. Przeciąg od okna zwiewał parę niszcząc wszelkie szanse na wróżbę. Żeby choć Lidka była, można by o sercowych sprawach pogadać. Głodny głodnego zrozumie. Ale ona gdzieś przy sztabie, na radiostacji generalskiej pracuje. A tam oficerów jak naboi w magazynku pepeszy i co jeden to gładszy, jaśniej od innego świecący...

Prysnął wodą, przypiekł żelazkiem i ostro przejechał po portkach nie bardzo mogąc zrozumieć, co go znowu tak nagle zdenerwowało. Może Czernousow stukający bez przerwy młotkiem, a może Tomasz poświstujący stale tę samą melodię.

Bosonogi szeregowiec Czereśniak przykucnął na podłodze w kącie, obok powieszanej na gwoździu rogatywki rotmistrza i odzyskanego plecaka. Z ponurą miną przytwierdzał guzik igłą podobną do szydła i grubą, podwójnie złożoną nicią długości trzech łokci — każdy ścieg musiał dociągać rozkrzyżowując ramiona, ale za to był pewien, że drugi raz mu nie wypadnie nawlekać.

Szył i jednocześnie rozmyślał, jak to się człowiekowi nie wiedzie. Oto na przykład dobra harmonia przepadła, a marne buty, które w nocy zostawił pod

ścianą na tyłach wroga, nie przepadły. Stały sobie w tym samym miejscu przez cały ten czas, co on się przez front przekradał, i nawet kiedy piechota szturmowała, nikt ich nie trącił, nie mówiąc już, żeby granat na kawałki rozerwał. Jakby przepadły, trudno, strata bojowa, i musieliby nowe dać, bo żołnierzowi na bosaka nie przystoi. A jakby nie dali, to on sam u byle jakiego cywila miałby prawo zabrać, wojenne prawo, bo kiedy bitwa, to tak być nie może, żeby cywil, i to w dodatku nieprzyjacielski, tupał całymi podeszwami, a żołnierz gołą piętą błyskał.

Na taborecie, obok, w koszuli z zawiniętymi rękawami siedział Czernousow. Między kolanami trzymał postawione na oparciu krzesło i wdziawszy but na drewnianą nogę niczym na kopyto, przybijał zerwany obcas, rytmicznie waląc młotkiem. Zdjął go wreszcie, obejrzał i wzdychając z ulgą, podał Tomaszowi.

— Pobieda niedaleko, powiniem wytrzymać.

Miał nadzieję, że to koniec szewskich reperacji, ale z drugiej strony jego własny zwiadowca', szczupły i drobny chłopak, wysuwał do przodu bosą stopę i już mu podawał następny — zgrabny, z malutkiej nogi bucik z miękką cholewką.

Wot czort! — starszyna wykrzywił twarz, by nie połknąć gwoździ trzymany w kącie warg. — Skolko u was nog?

Zwiadowca po cichu zliczył, dotykając palcem.

— Dwie — upewniwszy się odrzekł spokojnie i dodał, wskazując bucik: — Eto Marusi. Ja jej swój pożyczylem, żeby mogła iść z Jankiem na progulku.

Starszyna uśmiechnął się, a potem groźnie nastroszył wąsy i trącił trzymany przez żołnierza pęczek zreperowanych wcześniej buciorów.

— A eto! Rozmnożyłis kak tarakany...

— Co znaczy? — spytał Czereśniak podciągając krótkie cholewy.

— Tarakan? — zdziwił się Saakaszwili i wzruszył ramionami. — Jak to będzie po polsku... Czarny, sześć nóg, szybko biega i bardzo wredny.

— Ja wiem — rozpromienił się Tomasz, gdyż to mu przypomniało partyzancką przeszłość. — W lesie taką zagadkę opowiadali: esesman na koniu.

— Nie, skądże! — oburzył się Grigorij. — Czego stworzenie brzydkim słowem obrażać? Ja zaraz sobie przypomnę, bo to po polsku tak jakoś jak pustynia... Kizył–kum, Kara–kum... Kara–much?

— Luch — sprostował Czereśniak. — Nie much, tylko luch.

Na ścianie za jego plecami niskim głosem odezwał się zegar i Tomasz natychmiast spochmurniał, westchnął, ze złością wrócił do przyszywania guzika. Saakaszwili i Czernousow wymienili porozumiewawcze spojrzenia, zerknęli na ładowniczego i wzięli się z powrotem do roboty.

Zegar bił dalej spokojnie i dostojnie, z dużymi pauzami, w których wygasał metaliczny dźwięk gongu. Cichło właśnie dziewiąte uderzenie, kiedy za nie domkniętymi drzwiami usłyszeli wołanie Jelenia:

— Daroga, sojuszniki!

Wszyscy z zainteresowaniem spojrzeli w tę stronę. Chwilę nikt nie wchodził, potem szczęknęła klamka i u futryny pojawiła się noga. Gustlik miał widać obie ręce zajęte, bo końcem buta zaczął i odciągał drzwi. Stał w nich wreszcie rozpromieniony, z włosami rozwianymi przez wiatr, czołem lśniącym od potu i czekał oparty o framugę, pragnąc dać wszystkim okazję do podziwiania przytасzczonego łupu.

Brązowe liście winnej łoży większe od męskiej dłoni i pracowicie w drewnie wycięte wiły mu się pod brodą, sterczały na boki koło pasa. Wśród gałęzi i wspomnianych wyżej liści lśniły mosiężne cyfry rzymskie i wskazówki, a nieco wyżej duże klapki osłaniały dziuplę, z której lada moment mogły wyskoczyć wesolutkie kukułki i zawiadomić, która godzina. Wieńczyła to wszystko ozdobna deska, będąca skrzyżowaniem stolnicy z tarczą, na której brakowało tylko herbu przyszłego właściciela.

Nikt nie rzekł ani słowa, więc Jeleń przekonany, że tamtych zamurowało z zachwytem, sam postanowił złożyć konieczne wyjaśnienia.

— Muzykantów w tym Ritzen nie było. Przejrzolech, Tomiczku, pięćdziesiąt domów albo więcej, byłem w dziesięciu sklepach i nikaj nic. Ale miał żech dobra idea: podziwejcie się, chłopcy, na ten zegar... Z muzyką jest! Z kukaniem i z muzyką...

Czereśniak wstał, rzucił na plecak mundur i szydło, nie dbając, że się nici poplączą, lecz zamiast ruszyć z wyciągniętymi rękami po dar, pokręcił tylko głową i wsparłszy łokcie o parapet, zaczął wyglądać przez okno.

Jeleń postąpił naprzód. Trzasnęły drzwi za jego plecami.

— Co ślipsisz jak na trumna? — warknął w stronę Saakaszwilego. — Zegara żeś nie widzioł?

— Pomysł, Gustliczku, dobry — odpowiedział Grześ i postawiwszy żelazko na kocu, podszedł do przyjaciela. — Tyle że mało oryginalny.

— Jaki?

Nim Gruzin zdążył odpowiedzieć, rozległo się głębokie, potrójne uderzenie i popłynęła kurantowa melodia straussowskiego walca. Trzymając jeszcze w obu rękach przyniesiony czasomierz, Gustlik podniósł oczy i zobaczył rozwieszane na hakach i gwoździach zegary: z wahadłami, z gongami, z prętami, z dzwoneczkami i kurantami; owalne i okrągłe, z rzymskimi i arabskimi cyframi. Wszystkie tykały, cykały, wachlowały się wahadłami, a każdy wskazywał inny czas.

— Ten przyniósł starszyna gwardii Czernousow. — Grigorij pokazywał i objaśniał tonem przewodnika po muzeum. — Te sześć jego zwiadowcy, a tamten u góry — ja. Nikt harmonii nie znalazł i dlatego wszyscy...

Jeszcze nie skończył się walc, gdy spod brody Gustlika, zgrzytając skrzydłami, wyskoczył drewniany ptak i krzyknął na cały głos:

— Kuku!

— Weź. Bier to, bo ciepnę! — rozzłościł się Jeleń.

— Kuku — wrzasnął przeraźliwie drugi.

Saakaszwili chwycił dzikie kukułki, powiesił na gwoździu i chciał zatrzymać, ale tylko podciągnął wysoko tarczę na wahadle, w związku z czym machina wyrwała mu się z rąk i w sprinterskim tempie pogalopowała przed siebie, cykając i kukając jak oszalała.

W tej właśnie, może nie najlepiej dobranej chwili pojawił się w drzwiach cywil z czerwoną opaską na rękę, zastukał we framugę.

— Obergefreiter Kugel — zameldował, przykładając dłoń do filcowego kapelusza — zastępca komendant goroda do ludności cywilnej.

Trzepnąwszy otwartą dłonią po drewnianym cyferblacie, Jeleń przepłoszył kukułki i wobec Niemca przybrał minę spokojną, godną żołnierza armii zwyciężającej w wojnie.

— Wiążuj — zezwolił przybyłemu. — Co z różami?

— Róże? — Niemiec zrobił smutny gest, a potem odrobinę się uśmiechnął. — Bez kwitnie obok cegielnia, bo tam góra i woda nie doszła. Ale trochę ludzi jest. Starzec, dziecko, kobieta.

— Staraj się o nich — powtórnie przyzwolił Ślżak. — Ino kabli nie gryź, bo drugi raz ci to nie przejdzie — podsunął mu pięść pod nos.

— Dobrze — wyraził zgodę Kugel. — Teraz tylko trzeba łączyć kabel, naprawiać, reperować. Ratusz już się sprząta, zaraz zegar na wieży zacznie chodzić...

— Z tym możesz się nie spieszyć — mruknął Jeleń.

— Ja mam wdzięczność — rzekł Niemiec. — Kazałem przynieść pamiątka, a potem coś powiem.

Odsunął się na bok, dał znak swoim pomocnikom, którzy na pasach przerzuconych przez szyję, jak przystało fachowym tragarzom, wnieśli duży podłużny przedmiot, owinięty w prześcieradło.

— Trumna czy szafa? — spytał Jeleń.

— Szafa — radośnie uśmiechnął się były obergefrajter, pomagając ustawić pionowo mebel w kącie pokoju. — A w środku...

— Schnaps — podpowiedział Gustlik.

— Kein Schnaps. — Kugel uchylił prześcieradła i skrycie majstrował pod nim chwilę. — Żeby czas dobrze mijał — dodał zagadkowo.

Potem jednym ruchem, niczym podczas odsłonięcia pomnika, zsunął materiał z mahoniowego meblowego zegara, który zgrzytnąwszy wesoło zaczął cykać tak głośno, jakby artylerzystę chciał ze snu obudzić.

Tego już było za wiele nawet dla spokojnego Jelenia. Nie mogąc się opanować przesunął pistolet maszynowy z pleców na piersi, podszedł blisko do gościa i szepnął z wściekłością:

— Spieprzaj.

— Ich verstehe nicht — zmarszczył brwi Kugel, a potem spytał pocierając o siebie poduszczkami palców. — Do zupa? Soli też?

— Ciąg, a gibko! — wrzasnął na cały głos Gustlik podnosząc rękę, ale urwał w pół gestu i zastygł w postawie na baczność.

Do pokoju wszedł generał w ciemnym czołgowym kombinezonie, zmęczonym ruchem zsunął helmfon z głowy, odsłaniając czoło prawie białe w porównaniu z zakurzoną i opaloną twarzą.

Między oficerami sztabu i fizylierami osłony wysliznął się z izby Kugel i jego dwaj tragarze, czując, że nic tu po nich.

Dwie czy trzy sekundy trwało niezręczne milczenie, gdyż Czernousow czekał, że Polacy sami złożą raport swemu dowódcy, a potem, kiedy



poważnie i spokojnie zaczął bić szafkowy zegar, prezent obergefrajtra, obaj jednocześnie z Jeleniem zdecydowali się meldować:

— Towariszcz generał...

— Obywatelu generale — nałożyły się na siebie głosy, ale zwyciężył potężny bas Ślązaka — melduję radziecką grupę zwiadowczą i załogę czołgu „Rudy” podczas...

Gustlik urwał, szukając odpowiedniego sformułowania. Korzystając z tej pauzy odezwał się niespodzianie Saakaszwili i smutnym, cichym głosem powiedział, wszelkim regulaminom na przekór:

— „Rudego” nie ma... Zostaliśmy bez pancerza nad głową.

— Wiem — odrzekł spokojnie generał i wskazując na dym, który walił z koca pod rozpalonym żelazkiem, dodał: — Za chwilę zostaniesz również bez spodni pod siedzeniem.

Gruzin chwycił żelazko, plusnął wodą z menażki na tłący się koc.

— Stracili my wóz. To było tak... — Zaczął opowiadać Gustlik, lecz usłyszawszy za sobą cienkie, srebrne dźwięki pozytywki, wygrywającej menueta, stracił wątek.

— Wiem — wyręczył go generał. — W najtrudniejszej sytuacji spotkaliście kapitana Abwehry, który wskazał, którądy trzeba jechać, żeby ominąć śmierć. Ten sam kapitan w dwie godziny później zameldował nam o wszystkim przez radio.

Pierona... — mruknął Jeleń i opanowawszy zdziwienie, dodał:

— Tak jest, obywatelu generale.

— Gdzie dowódca czołgu?

Czernousow zrobił pół kroku przed siebie i zameldował:

— Z Marusią. Oni na miasto poszli szukać harmonii.

— Harmonią między nimi od dawna...

— Oni dla szeregowca Czereśniaka — wyjaśnił Gustlik — bo ta stara, co od Wichury była, to już jej nie ma.

— Przypomnijcie sierżantowi Kosowi, że dotąd raportu nie złożył.

— Jakiego zaś?

— Na piśmie. Będzie wiedział. Mówiliśmy na ten temat jeszcze przed Odrą, kiedy go do mnie kontrwywiad odesłał...

Umilkł na moment i teraz znacznie wyraźniej słychać było głośnie cykanie prezentu od obergefrajtra Kugla oraz, co gorsza, zwariowany galop

Gustlikowego czasomierza, wystrzeliwującego sekundy w tempie karabinu maszynowego. Generał jednak jakby nie usłyszał, czy raczej nie zauważył, zajęty swymi myślami.

Mechanik — zwrócił się do najstarszego stopniem z czołgistów, a Saakaszwili, odstawiwszy powtórnie żelazko, wyprężył się na baczność — o godzinie czternastej wprowadzam pancerną grupę szybką z rubieży pięć kilometrów na zachód od Ritzen. O jedenastej piętnaście chcę zastać załogę w komplecie.

Zegar z wahadłem, skróconym niechcący przez Grzesia, dopędził właśnie jedenastą i tuż nad głową dowódcy, spomiędzy rzeźbionych liści winorośli, kukułki poczęły wyskakiwać na przemian i wrzeszczały ochryple. Generał zdumiony spojrzął na zegarek.

— Bzdura. Będziecie musieli podregulować... — urwał, gdyż obróciwszy głowę zobaczył ścianę zawieszoną zegarami. — Cóż to ma znaczyć? Szaber?

Po raz ostatni krzyknął drewniany ptak, schował się i cisza zaległa w pokoju. Przerwał ją Tomasz swoim silnym, spokojnym głosem:

Przecież nie złote i takie duże, że zabrać nie da rady. Do niewoli wzięte, obywatelu generale.

— Do niewoli, powiadasz? — zamyślił się dowódca. — Czas ukradziony przez wojnę oddają... No dobra — machnął ręką. — Będę tu kwadrans po jedenastej — przypomniał wychodząc.

Czołgiści jeszcze stali na baczność, żegnając oficerów sztabu wojsk pancernych armii, kiedy spoza framugi wyjrzał ostrożnie Kugel.

— Herr Unteroffizier — nieśmiało zwrócił się do Jlenia.

— Podśłuchujesz?

— Nie.

— Co chcesz?

— Coś powiem.

— O zegarze?

— Nie. W cegielni schowany jeden Niemiec. On uciekł z Munitionsfabrik Konzentrationslager in Kreuzburg...

— Słuchajcie! — zawołał Saakaszwili, który do tej chwili w zadumie marszczył brwi. — Coś wam powiem...

— Dobra — przerwał mu Jeleń i zwrócił się do obergefrajtra: — Niech się nie boi. Daj mu jeść i jakieś odzienie — klepiąc Kugla po ramieniu, wypychał go lekko, gdyż ciekaw był, co Grześ ma do powiedzenia, a jednocześnie widział początki pożaru:

— Słuchajcie! Pułkownik powiedział: pancerna grupa szybka. To znaczy, że czołg dadzą...

— Pali się — pokazał Gustlik na żelazko, spod którego dymiło już potężnie.

— Niech tam, deska gruba — machnął ręką Gruzin.

Chwyciwszy w prawą rękę szablę, a w lewą swe nie doprasowane spodnie, zaczął powiewać nimi jak sztandarem i podśpiewując sunął w tanecznych ruchach przez pokój.

— Gamardźwieba! Pobieda! Zwycięstwo! — wykrzykiwał we wszystkich znanych sobie językach.

— Pojedziemy na pancerzu jako desant — pokręcił głową Tomasz.

Słowa Czereśniaka zasmuciły Grigorija. Przerwał taniec, przestał wznosić okrzyki. Zgasił wodą pożar deski do prasowania. Na mokrym drewnie postawił żelazko i skacząc na jednej nodze zaczął wdziawać spodnie.

Gustlik też jakby spochmurniał, namyślał się, ale przyrodzony optymizm szybko wziął górę.

— Jak nam każą, tak będzie — machnął ręką. — Tyle że koniec wojny bliski, ludzi mniej, a czołgów coraz więcej. Mogą dać.

— Trzeba Janka co prędzej odszukać — doradził Saakaszwili.

— I Marusię — wtrącił Czernousow.

— Bo jak złączą uradzać, jak robić, coby po wojnie ludzi było więcej, to prędko nie wrócą — roześmiał się Gustlik. — Ino gdzie szukać?

— Jak to gdzie? — rzekł poważnie starszyna. — Za gorodom, gdzie zieleni mnogo. Niemiec mówił, że obok cegielni sireń cwietiot.

— Prawda. Mówił, że bez kwitnie.

Od ranka, od czasu „*wysokiej wody*” i zdobycia Ritzen nie tracili czasu, więc nie zaskoczyła ich perspektywa powrotu na pierwszą linię frontu. Wszyscy zdążyli już nawet zdrzemnąć się trochę po trudach nieprzespanej nocy. Żaden teraz nie chciał zostać i czekać, więc wszyscy trzej ruszyli na poszukiwanie Janka.

W centrum miasteczka dygocący traktor wywlekał rozbite działa z ulicy na podwórza, a liczne zorganizowane przez Kugla Sauberkommando zmiatały rozbite szkło i grudy tynku z chodników, rozkopywały górę gruzu obok rozwalonego bombą domu. Wojska wciąż jeszcze waliły wezbrany potokiem na zachód, w stronę wzgórz porośniętych ciemnym lasem.

Boczne uliczki były jednak puste i nie nosiły śladów wojny. Kroki czołgistów odbijały się cichym echem. W metalowych uchwytych nad bramami w oknach i nad kominami sterczały drągi, kije i pręty, a na nich chwiały się ręczniki, poszewki i prześcieradła, przypominając szelestem białego płótna, że zdobyte miasto nie zamierza stawiać oporu. W niektórych oknach majaczyły ukradkiem białe twarze i, dostrzeżone, cofały się natychmiast w półmrok wnętrza.

Skręcili w bok, by utrzymać kierunek na cegielniany komin, i niespodzianie napotkali młodego jeszcze mężczyznę, który pchał wózek dziecinny wyładowany wekami, tłustymi zawiniątkami i sporym workiem fasoli. Niemiec zrobił ruch, jakby chciał wszystko rzucić i uciekać, lecz rozumiejąc, że nie ma szans, opanował mięśnie i zbliżał się opuściwszy nisko głowę.

Czołgiści z zainteresowaniem patrzyli na jego zielonkawy sweter i szare cywilne spodnie wpuszczone w nowiuteńkie saperki. Sweter i buty musiały być świeżo wyfasowane albo po prostu wzięte z wojskowego magazynu.

— Mój numer — stwierdził Czereśniak, kiedy tamten ich mijał.

Mężczyzna puścił pałąk i wózek z rozpędu potoczył się jeszcze parę metrów. Stanąwszy na baczność, powoli unosił ramiona ku górze. Teraz dopiero spostrzegli, że zamiast prawej ręki ma od łokcia protezę skórzaną na metalowych szynach.

— Masz brać, to bierz — rzekł Jeleń.

— Nie — postanowił Czereśniak. — W starych dochodzę.

Nie oglądając się na kalekę, poszli dalej.

— Ciekawe, ilu rozstrzelał, nim rękę stracił — powiedział Saakaszwili i zaraz sam dodał: — A może i nie...

Skończył się bruk i ponad rowem, wzdłuż dużego sadu wyszli na skraj miasta. Dalej było pustkowie pokryte kępami rzadkich krzaków i unoszące się lekko, a potem coraz ostrzej ku górze. W połowie zbocza rudziały porośnięte chwastami piece, szarzały dachy suszarni i sterczał komin nadgryziony

pociskiem. Stanęli wśród jabłoni, które miały rozkwitnąć za parę dni, lecz już teraz były okryte bladoróżowymi, stulonymi pąkami. Gustlik, wysunięty o krok do przodu, zaczął przez lornetkę przepatrywać okolicę i zaraz na tle żółtawej łąki spostrzegł wilczura.

— Starszyna mówił prawdę — rzekł zwracając się do kolegów. — Jest Szarik, to i oni blisko.

Położywszy dłonie na lufie i kolbie automatu, ruszył szerokimi krokami na zbocze. Za nim Grigorij i Tomasz, którzy odruchowo rozsunęli się kilka kroków na boki. Jeden przepatrywał teren na prawo, drugi na lewo, ubezpieczając wiodącego — to przyzwyczajenie pozostanie długo jeszcze po wojnie. Kiedyś w przyszłości syn lub córka zwrócą im na to uwagę, a oni uśmiechną się zmieszani, obróćą wszystko w żart, bo frontowy nawyk staje się śmieszny w czas pokoju.

W kwietniu 1945 roku trwała jeszcze wojna, lecz tu, na skraju Ritzen było cicho i spokojnie. Dźwięki frontu dobiegały stłumione odległością, a ruch na szosie słychać stąd było jak szum znajomej rzeki.

— Panie plutonowy... — zagadnął Czereśniak po namyśle.

— Pozwolił zech po imieniu.

— Ale ja w takiej sprawie, że lepiej według szarzy.

— Coś chciał?

— Jakby się nie spieszyć do przodu, to mniej by ludzi zginęło. No nie?

— Nieprawda — gorąco zaprzeczył Saakaszwili. — Jak fryca nie pogonisz, to on kilometr dalej w okop wlezie, miny położy i znowu go wykurzaj... Gnać trzeba, zanim się opamięta.

— To jedna prawda — przytwierdził Jeleń. — Druga, że w lagrach, w więzieniach ludzie czekają. Co zegar godzinę wybije, to śmierć znowu tysiąc wykosi — zastanowił się chwilę i wspomniął: — Kugel mówił, że w tej cegielni jakiś niewolnik, co uciekł z fabryki...

Podeszli do Szarika, który od dłuższej chwili spoglądał w ich stronę, machał ogonem, ale nie ruszał się z miejsca.

— Gdzie Janek? Gdzie Marusia? — spytał Grigorij.

Pies zaskomlał, pokazał nosem na patyk, że mu pilnować kazali, więc z miejsca ruszyć nie może.

— No, ja to wezmę — Gustlik podniósł drewienko. — Kaj poszli?

Z nosem przy ziemi, węsząc wyraźny zapach na śladach, pies ruszył w stronę komina i pieców przysłoniętych garbem terenu.

— Zawołać można — rzekł Tomasz nabierając tchu w płuca.

— Bydź cichoj — wstrzymał go Gustlik i dodał z szelmowską miną: — Zajdymy niespodzianie.

Roześmieli się wszyscy trzej i pochylili, żeby ich Janek zbyt wcześnie nie spostrzegł. Idący w przedzie Szarik stanął nagle bez ruchu z uniesioną przednią łapą, jakby wystawiał zwierzynę. Nie wydał żadnego dźwięku, tylko zjeżyła mu się sierść na karku i zęby z wściekłości obnażył.

W jednej chwili spoważniały łobuzerskie roześmiane twarze czołgistów. Przygięli się jeszcze mocniej do ziemi, odciągnęli zamki pistoletów maszynowych. Stąpali powoli pod osłoną krzaków, póki z krawędzi wykopu nie otworzył się widok na podstawę komina, na piec do wypalania cegieł.

Stał tam wysoki mężczyzna w butach z cholewami, w czarnych spodniach galife. Trzymając szmajser w ręku, wyglądał z poszczerbionego otworu w ścianie pieca, zerkając niecierpliwie na zegarek.

Grigorij i Tomasz spojrzeli pytająco na Gustlika. Jeleń położył najpierw palec na ustach, a potem szerokim ruchem ręki pokazał, że najlepiej będzie obejść od tyłu. Serce mu się ścisnęło w przeczuciu nieszczęścia. Diabli wiedzą, ilu takich ze szmajserami siedzi w cegielni?...

Razem z Szarikiem cofnęli się nieco i pełzli przez zarośla kwitnącego bzu. Od strony miasta dobiegło matowe głębokie uderzenie ratuszowego zegara, który bił wpół do jedenastej i zawiadamiał ocalałych mieszkańców, że zaczyna odmierzać nowy czas.

## ROZDZIAŁ 47. ROZSTANIE

Już wówczas, godzinę po świcie, kiedy zasłoniła mu oczy szczupłymi dłońmi, które tak miło pachniały jodyną i wodą utlenioną, równocześnie z radością ze spotkania poczuł gdzieś w głębi piersi cień smutku. Zdławił to uczucie, zapomniał o nim przytulając do siebie dziewczynę smukłą i zgrabną jak leśna kuna. Nie pamiętał o smutku, kąpiąc się, czyszcząc broń i mundur, ale teraz ta grudka lodu uwierała go znowu, nie chciała roztajać.

Objęci wpół szli z boczem wzgórza wśród kęp krzaczastych, pokrytych jasną wiosenną zielenią. Miasto cofało się coraz niżej, piękniało z odległości, kryjąc szare ściany w bladoróżowych gałęziach sadów, rozpościerając coraz szerzej czerwone kapelusze dachów. Janek pomyślał, że gdzieś między tymi domami rosną róże obergefrajtra Kugla, i ucieszył się, że nie zostały zniszczone — stopniowe wyłamywanie wrót śluzy spłaszczyło falę, ochroniło przed zalaniem dalsze od kanału ulice.

Marusia jakby poczuła, że myśli nie o niej, spojrzała mu w oczy i przystanęła. Przytulił ją mocniej, pocałował. Wargi miała jak deszcz wiosenny — pachnące i chłodne.

Szarik, buszujący wśród krzaków, zawrócił natychmiast, szczechnął i skoczył im łapami na piersi. Wysunąwszy koniec jęzora, różowiotkiego niczym płat świeżej szynki, wyciągał mordę to do swego pana, to do pani — też chciał się koniecznie pocałować.

— Nie mieszaj, pios — poprosiła Marusia.

Janek podniósł z ziemi kawałek patyka, udał, że na niego popluwa, i rzucił, jak tylko mógł daleko. Wilczur pobiegł, chwycił i chciał przynieść z powrotem, ale go zatrzymała surowa komenda:

— Zostań.

Przysiadł nad patykiem, zaskomlał z niezadowoleniem, ale położył uszy po sobie — rozkaz to rozkaz.

Ogoniok roześmiała się z psiego losu.

— Wot kak prikaz wypołniajet.

— Tak jak i my — odpowiedział Kos. — Naprzód, w lewo, w prawo, idź, zostań... — komenderował niewesoło.

Spotykali się często, gdyż armia, do której należeli zwiadowcy Czernousowa, często działała po sąsiedzku, stykała się skrzydłem z armią polską. Żadne regulaminy nie piszą o istnieniu jednostek szczególnie zaprzyjaźnionych, lecz w praktyce dowódcy frontów chętnie wyznaczają sąsiednie pasy działania wojskom, które już nieraz ramię przy ramieniu walczyły, a dowódcy armii posyłają na styk doświadczone we współdziałaniu dywizje. Znają się ich sztaby, znają dowódcy pułków, a tam, gdzie znajomość i przyjaźń osobista, o zwycięstwo łatwiej, trudniej o klęskę.

Oto cała tajemnica spotkań pod Warszawą, pod Gdynią i w Gdańsku, na wschodnim i zachodnim brzegu Odry. Gdy po sąsiedzku walczą ich armie, spotykają się sierżanci Kos i Ogoniok, ale przecież tylko na dzień, na godzinę, na kilkanaście minut. Stąd ten chłód smutku przy każdym spotkaniu. Wystarczy, by ktoś z przełożonych rozkazał jednemu z nich — idź, a drugiemu — zostań...

— Jeszcze dziś napiszemy oboje — rzekł poważnie. — Jak tylko wrócimy. Ja do naszego dowódcy armii, a ty do swego.

U ciebie sprawa prosta: o zezwolenie na ślub — odpowiedziała smutno. — A ja mam pisać raport nie tylko o zmianę przydziału i munduru, lecz o zmianę ojczyzny.

— Nie, to nieprawda — zaprotestował. — Teraz będzie inaczej niż przed wojną. Granica nie jak mur, lecz jak most. Przecież i ja nigdy nie zapomnę tamtych lat, ani Jefima Siemionowicza, ani cedrowej chaty w Kraju Nadmorskim. Dwojga nas na obie ojczyzny starczy...

— Mam prosić o rozstanie ze starszyną Czernousowem, który jest dla mnie tak jakby ojciec — mówiła nie zwracając uwagi na słowa, Janka. — Nad Wołgą zostały na spalonej ziemi kobiety i tysiące pokaleczonych kulami i odłamkami. Jakichkolwiek słów użyję w raporcie, będą znaczyły, że nie chcę do nich wrócić.

— Nigdzie po tej wojnie, a zwłaszcza w Polsce, nie zbraknie ludzi, którym potrzebne będą twoje dobre ręce, twoja pomoc — odpowiedział cicho, a potem dodał zniżając głos jeszcze bardziej: — Jest dużo prawdy i słuszności w tym, co mówisz, ale ja już nie umiem sobie wyobrazić świata bez ciebie.

— Ja tożę — odszepnęła.

— A więc musimy napisać. Jeszcze dziś.



Chwilę stali bez słowa. Wojna przyzwyczała ich do spraw rozstrzyganych za cenę życia lub śmierci, lecz przecież jednoznacznych: tam wróg, tu przyjaciel; tam hańba, tu sława; tam faszyzm, tu wolność. Prawa walki nie zostawiały miejsca na wątpliwości, a o szczegółach rozstrzygał rozkaz.

To, o czym mieli decydować oboje, dotyczyło nie tyle ostatnich dni wojny, co lat pokoju. Rozkaz trzeba było dać własnemu sercu.

— Ułymbnis', uśmiechnij się — poprosiła dziewczyna.

Słowa i spojrzenie, które im towarzyszyło, były jak wiatr, starły chmurę z jego czoła. Skinął głową i chwyciwszy Marusię za rękę, pociągnął ją po trawiastym zboczu w stronę cegielni. Biegli wesoło, ze śmiechem. Ogoniok kuśtykała odrobinę, bo ten pożyczony but był jednak przyłuźny.

Gdy stanęli kolo grubego poszczerbionego pociskami komina, koło długiego, obrośniętego chwastami pieca z ogromną dziurą w ścianie, między porzuconymi taczkami i zardzewiałą formiarką, przycichli znowu oboje. Janek długo całował czoło, policzki i wargi delikatnie i czule, a potem ona, wskazując palcem to na siebie, to na niego, podobnie jak czynią dzieci rozpoczynając zabawę, wyrecytowała dzieląc sylaby:

— Ja tie–bia lu–blu. A ty?

— Pan Twar–dow–ski na ko–gu–cie — odliczał sierżant, naśladując dziewczynę, i szybko dokończył: — w jednym kapciu, w drugim bucie.

Śmiał się pokazując jej nogi.

W starym piecu coś stuknęło. Janek błyskawicznie odwrócił głowę i położył dłoń na kolbie mauzera. Po sypkim jak popiół piasku toczyły się drobne okruchy wypalanej gliny. Wzruszył ramionami, zrobił krok naprzód i przez wybity w ścianie otwór zdjął jedną z szarych cegieł.

— Niewypalone — wyjaśnił Marusi. — Schną i pękają.

— Poszli abratno. Skoro dziś jeszcze mamy napisać...

— Zdażymy. Poczekaj tu chwilę — poprosił, gdyż za piecem na urwisku dostrzegł świeżo rozkwitłe krzaki bzu.

— Chwileczku poczekam — zgodziła się Marusia.

Siadła na przewróconych taczkach, zdjęła pożyczony but i starannie wytrząsnąwszy z niego kamyki zaczęła przewijać onucę.

Znowu stuknęło coś w stronie pieca. Drgnęła, lecz nie spojrzała nawet za siebie, wiedząc, że to pękają wysychające cegły.

W sekundę później usłyszała szelest tuż obok, chciała się odwrócić, ale już było za późno. Ktoś wysoki i silny jedną ręką chwycił ją za gardło, drugą wprawnym ruchem wepchnął szmatę w otwarte do krzyku usta i wykręciwszy do tyłu ramiona, pociągnął za sobą. Chwilę jeszcze widziała zdjęty z nogi but, który został obok taczki, na udeptanej glinie pokrytej kępami świeżej trawy, a potem napastnik zarzucił jej na głowę przepoconą bluzę z szorstkiego wojskowego sukna.

WSPINAJĄC SIĘ PO STROMYM zboczu nad cegielnią, Janek wyszukiwał w kępach liliowe i białe, co bardziej rozkwitłe kiście bzu i układał je w bukiet. Pogwizdywał piosenkę radiotelegrafistki. Kiedy spojrzawszy w dół nie zobaczył na przewróconych taczkach Marusi, uśmiechnął się tylko, przekonany, że to zabawa w chowanego.

Podskakując i naginając wysokie krzaki zerwał jeszcze kilka gałązek, obwiązał je dobytym z kieszeni kawałkiem kabla, a potem zbiegł w dół, wielkimi susami skacząc przez przeszkody. Wesolo nawoływał pod melodię piosenki:

*To ja, to ja, to ja, wołam ciebie, miła, ja...*

Staął koło tacek i urwał zobaczywszy but. Przerzucił kwiaty do lewej, chciał rozpiąć kaburę, ale w tej samej chwili ktoś przyłożył mu lufę do pleców i wyrwał pistolet z futerału.

— Maul halten. Kehrt euch — rzekł cicho napastnik i mocno chwyciwszy go za ramię dopomógł w wykonaniu rozkazu.

Odwróciwszy się Kos zdrętwiał: w otworze prowadzącym do pieca stała Marusia z zakneblowanymi ustami i skrupowanymi z tyłu rękami, a rosły oficer SS bagnetem dotykał jej szyi — skóra ugięła się lekko pod naciskiem ostrza.

— Ihr Mädchen... Tod oder Leben. — Ten, który z odległości dwu kroków celował doń z pistoletu, starał się wyszukiwać najprostsze słowa: — Trup oder żywy — usiłował tłumaczyć na polski. — Wir brauchen andere Kleider — pokazywał gestami, że chce się przebrać. — Verstanden?

Janek kiwnął głową, że zrozumiał, a tamten, rozcapierzając palce u ręki, tłumaczył dalej:

— Fünf Kleider... Zivilanzüge, nicht Uniformen. Du hast zehn Minuten Zeit — znowu pokazał, że chodzi o pięć cywilnych ubrań i dziesięć minut. — Oder...

Esesman obok Marusi cofnął bagnet i Zamarkował pchnięcie.

— Verstanden?

Kos powtórnie kiwnął głową i na przyzwalający gest Niemca rzucił się za siebie w tę stronę, z której najbliżej podchodziły do zbocza domy miasteczka.

Biegł bez jednej myśli pod czaszką. Głowę, nogi i ręce, całe ciało miał wypełnione lękiem. Krzaki, trawę i coraz bliższe domy widział przez mgłę lepka, szarą i oświetloną błyskiem tamtego bagnetu, przyłożonego do Marusinej szyi.

Nie wiedział i nawet znacznie później nie mógł sobie przypomnieć, do którego wpadł domu, z jakiej szafy czy może skrzyni wygrzebał pięć męskich ubrań. Oprzytomniał dopiero w czasie powrotu, kiedy potknął się o trupa piechura, którego na skraju miasta dognała jakaś daleka seria. Leżał na wznak, z rozrzuconymi rękami, a z torby wytoczyły się w trawę ciężkie jajowate granaty obronne w krokodylowych skorupach. Kos machinalnie stwierdził, że są uzbrojone zapalnikami, i przypomniał sobie, że każdy z nich daje ponad sto odłamków rażących śmiertelnie w promieniu pięćdziesięciu metrów.

Wyprostowawszy plecy biegł coraz dalej. Stromiejące zbocze skracało jego kroki. Na twarzy czuł coraz grubsze krople potu, które ściekały do oczu, piekły i mąciły wzrok. Sterta cywilnych ubrań, przewieszona przez lewą rękę, stawała się coraz cięższa. Garb przesłaniał jeszcze fundament komina i przewrócone taczki, kiedy lękając się spóźnienia zaczął krzyżeć:

— *Halo! Halo!* — chwycił łapczywie oddech i kiedy był już blisko, zawołał: — *Wem soll ich den Anzug abgeben?*

— *Mir* — odpowiedział esesman w koszuli i czarnych spodniach galife, wychodząc mu ze szmajserem w garści na spotkanie. — *Du sprichst deutsch* — stwierdził z zadowoleniem i wyciągnął rękę, by wziąć ubranie.

Kos cofnął się o krok.

— *Wo ist das Mädel?*

Od strony miasta soczystym pojedynczym dźwiękiem odezwał się zegar, wybijając pół którejś godziny. Niemiec nasłuchiwał sekundę, czy nie uderzy po raz wtóry, a potem uniósł lufę pistoletu maszynowego i zmienił ton:

— *Dein Mädel, du dummer Kerl...* — mówił, chwytając lewą ręką za marynarki i spodnie, a wyraz jego twarzy nie zapowiadał niczego dobrego.

Janek zorientowawszy się, że nie ma co liczyć na esesmańskie słowo, jednym ruchem przerzucił ubrania na lufę szmajsera. Stłumiona seria rozpruła

powietrze. Kos wyrwał zapalnik z trzymanego w garści granatu, chwycił tamtego za szyję i podsunął pod same oczy karbowany pancierz.

— *Mein Mädél oder...*

Niemiec wyplątał już pistolet z ciuchów, ale na widok granatu opuścił broń — wystrzał oznaczał samobójstwo.

W tej samej chwili we wnętrzu pieca zawałowała się sterta cegieł. Przez dziurę w murze buchnął kłęb kurzu i rudego pyłu przemieszany z wrzaskiem. Jak z katapulty wypadło stamtąd dwu esesmanów, przekoziółkował w powietrzu trzeci, na karku czwartego wyjechał warczący Szarik i powalił go na ziemię.

Wszystko to trwało nie dłużej jak dwie sekundy. Potem nastąpiła króciutka pauza, nim z ciemnego wnętrza wyszli Gustlik i Tomasz podciągający rękawy i oglądający pięści.

— Czterech było w środku, a ten piąty — policzył Jeleń. — Czemu żeś im odzienie nosił?

— Grozili, że zabiją Marusię. — Kos wskazał wzrokiem na Grigorija, który pod ramię wyprowadzał dziewczynę z wnętrza cegielnianego pieca, i uśmiechnąwszy się przeprasząco, dodał: — Czekajcie, bo ściskam w garści odbezpieczony granat i już mi palce sztywnieją.

Podbiegł do komina, przez otwór na metr powyżej ziemi wybity pociskiem rzucił stalowe jajo do środka i odskoczył w bok.

Usłyszeli stłumiony wybuch, zagwizdały w powietrzu pojedyncze odłamki, wywalił się kłęb sadzy i nagle gdzieś z dołu dobiegł jęk, a potem słabe wołanie:

— Leute! Hilfe!

— Pierona! — zaklął niespokojnie Gustlik i pierwszy wbiegł do kanału wiodącego pod komin.

— Pilnuj, Tomasz, trupiarzy — rozkazał Janek.

Chwyciwszy pistolet w garść ruszył za Jeleniem.

— Ogoniok, co z tobą? — spytał Grigorij, patrząc na pobladłą twarz dziewczyny.

— Panienko... — przeraził się Tomasz.

— Ranili. W ostatniej chwili pchnął bagnetem. — Marusia końcami palców dotknęła lepkiej plamy zwilżającej mundur na lewym przedramieniu. — No, niczewo, lekko, do swad'by zażywiot.

Z podziemi komina Gustlik wyniósł na rękach chudego bardzo człowieka z ogoloną głową. Nietrudno było odgadnąć, że to ten jeniec, o którym wspomniał Kugel. W zakrwawionej na piersiach koszuli, w drelichowych spodniach odsłaniających patykowate łydki, w drewnianych sabotach, które ledwie się trzymały na stopach, uciekinier wyglądał niesamowicie. Jedyne ciemne zmrużone od światła oczy na trupio bladej twarzy zdradzały, że żyje.

— Ogoniok, bandaże! — wołał Janek, nie wiedząc jeszcze, że dziewczyna jest też ranna. — Psiakrew, odłamek mojego granatu...

Szarik szedł obok. Niemiec z przerażeniem śledził każdy ruch psa i obronnym gestem usiłował dźwignąć rękę bezwładnie opadającą ku ziemi.

WNĘTRZE SANITARKI, SUNĄCEJ wolno pod górę i pod prąd głównej ulicy Ritzen, wypełnione było do ostatniego miejsca: ranni leżeli na noszach ustawionych jedno nad drugimi, po trzy z każdego boku. W tylnych drzwiach, których jedną połowę urwał pocisk, siedział ze spuszczonej nogami młody Szawełło i sprzeczał się z Konstantym, wyciągniętym na najniższych narach i ćmiącym machorkę w potężnej koziej nóżce.

— Stryjec widzieli przecież w ataku. Cóż z tego, że wskazujący sztywny, jeśli środkowy się przygina.

— Józku, nie marudź. My do szpitala na trochę; opatrzą, a potem zobaczymy, coż nam czynić przystoi.

— Zeskoczywszy, do pułku powrócę.

— Nie skacz, Józku. Wypada nawet stryja odprowadzić, silnym ramieniem podeprzeć. Czekać no, czekać...

W bocznej ulicy Konstancy dostrzegł grupę czołgistów; rozegnał ręką gęsty obłok machorkowego dymu, poznał Tomasza i Marusię, a za nimi jeńców, którzy kogoś jeszcze na płaszczu nieśli.

— Stać, panie chorąży, stać! — zawołał i chwyciwszy z podłogi kij, który mu służył za laskę, załomotał o ścianę szoferki.

W prostokątnym okienku dawno już pozbawionym szyby pojawiła się wystraszona twarz niemłodego felczera.

— Nalot? — zapytał z pionową zmarszczką między brwiami.

— Nie. Rannego jeszcze weźmiemy — wyjaśnił sierżant i dodał, zwracając się do bratanka: — Przesunąwszy się, miejsce zrobisz.

Widząc, że sanitarka hamuje, czołgiści przyspieszyli kroku. Kos podbiegł do wozu i machnąwszy ręką Szawełłom na powitanie, zajrzał do szoferki.

— Obywatelu chorąży, sierżant Jan Kos melduje się z prośbą.

— Stanisław Zubryk — wyciągając dłoń przez otwarte okno przedstawił się tamten zupełnie po cywilnemu — z Mińska Mazowieckiego.

— Weźcie dwoje rannych.

— A czy tak wolno? Trzy tygodnie, panie, jak mnie wzięli, ponieważ jestem felczer, i sam nie wiem, co wolno, co nie. A tu jeszcze ciągle strzelają...

— Położymy ich chyba na sufit — warknął szofer.

— Ależ co wy! — oburzył się sierżant Szawełło. — My się zaraz postronimy i miejsce będzie. — Spełznął na podłogę i syknął z bólu. — Kula—dura nogę zaczepiła.

Gustlik i Tomasz ostrożnie zdjęli rannego z płaszcza i, obserwowani przez ponurych esesmanów, układali go na opróżnionych noszach.

— Ależ chudziutki — zdziwił się Szawełło. — Kompanijny kucharz u was ani chybi swołocz — zagał rozmowę z nowym.

— Nie rozumie — wyjaśnił Kos. — Niemiec.

— Zjeżdżajcie z nim. Cholera! Miejsca brak dla naszych... — rozzłościł się kierowca i wyskoczywszy z szoferki podbiegł z karabinem w garści.

— Spokojnie. — Kos położył rękę na kaburze. — Chorąży zezwolił.

— Naturalnie, skoro się zmieszczą. — Felczer zaglądał do wnętrza przez okienko.

— Jakżeż tak, żeby ja Niemcu miejsce dawał? — zdziwił się raczej sierżant niż rozgniewał.

— Panie Szawełło — wtrącił Tomasz. — Tego Niemca gestapo do lagru wsadziło. Porządny człowiek.

— Rebiata, ja nie pojedę, z wami zostanę — prosiła Marusia cichym głosem. — Zaczem w hospital?

— Czort wie, jaki ten bagnet — tłumaczył Janek. — Zastrzyk dadzą, zdezynfekują... I dopilnuj, żeby jego opatrzyli, jak należy.

Sama pojmowała, że Kos ma rację, więc kiwnęła głową na znak, że dopilnuje, ale przekornie dodała:

— Zabieraj pierścionek, jakżeś taki.

— Zabiorę — uśmiechnął się Kos, pomagając jej wejść do samochodu. — Przyjedź tylko szybko po niego.

Szarik, przeczuwając rozstanie, zaskomlał głośno i oparty o sanitarkę usiłował liznąć głaszczącą go po łbie dziewczynę.

— Razem niczego się nie boję, a sama...

— No widzisz — Janek pogłaskał ją po twarzy. — Ze szpitala napisz raport i wyślij.

— Gdzież ty sama, gołąbko? Z nami przecież — uspokoił ją basem Konstanty.

Tomasz ze swych przepastnych kieszeni wydobywał jakieś konserwy i wpychał je w ręce staremu.

— Pan dopilnuje, panie Szawełło. Pan jej nigdzie samej nie puszcza.

Warknął mocniej silnik, kierowca ze zgrzytem wrzucił bieg.

— Gdzie was szukać? — zawołała Marusia.

— W Berlinie — odkrzyknął Kos, wsuwając pierścionek na mały palec.

Wesoło machali rękami w stronę odjeżdżającego samochodu aż do chwili, kiedy zniknął w perspektywie ulicy zatłoczonej wojskami, ale potem wszystkie twarze spoważniały.

— Jak pod Studziankami — rzekł Janek.

— No to co? — usiłował pocieszyć go Grigorij. — Wtenczas nie minął miesiąc, jakżeście się spotkali.

— W szpitalu...

— Tfu, coby ci język zarościł... — rozzłościł się Gustlik. — Ale że z babami zawsze kłopot, to prawda. Jo mam czas. Będę się żenił, jak posiwieję...

— Tawariszcz. — Saakaszwili zatrzymał krasnoarmiejca, prowadzącego grupę jeńców. — Bieri naszych.

— Swoich chwatit — pokręcił głową tamten.

— Twoi marnota, chudziny poprzebierane, folksszturm wystraszony — wybrzydzał Jeleń. — A nasi, sam się podziwej, każdy jeden od Hitlera dwa razy większy. Za takich medal możesz dostać.

— Dasz zakurit', waźmu — zgodził się wartownik.

Tomasz wgonił jeńców wziętych w cegielni w kolumnę, maszerującą z wolna w stronę Odry, szedł chwilę obok nich i stwierdziwszy, że nikt nie widzi, rąbnął obcasem po nagniotkach esesmana, który groził nożem Marusi.

— Żebyś z dziewczynami nie wojował — przykazał kulejącemu na pożegnanie.

Zeszła mu na to dłuższa chwila, więc potem musiał gonić resztę załogi, przeciskać się między jadącymi nieprzerwaną kolumną. Dopadł ich tuż u wejścia do ceglanego budynku przy placu trójkątnym w centrum Ritzen. Obok czekał Czernousow ze swymi zwiadowcami.

— Gdzie Ogoniok? — pytał niespokojnie.

— Ranna w rękę — odpowiedział Kos.

— Nie ubieregli znaczit — rzekł starszyna z wyrzutem. — A Gna u nas jak córka dla oddziału.

W zasadzkę wpadliśmy... — usiłował tłumaczyć Janek, ale widząc, że i tak w pośpiechu i na ulicy nie przekona, dodał: — Za pół godziny będzie w szpitalu, za parę dni wróci.

— Z naszej armii czasti idut. Pora praszczatsa.

Czernousow otworzył ramiona na pożegnanie, ale przeszkodził mu Tomasz.

— Tam na górze nikogo?

— Wszyscy tutaj.

— A rzeczy?

— Myślisz, że ci kto te zegary zabierze? — wtrącił Gustlik.

— Nie, ale plecak został. — Zaniepokojony Czereśniak ścisnął pospiesznie dłoń Czernousowa i biegiem ruszył do budynku.

— Gdzie tiepier wstretimsa? — spytał starszyna.

— Dawaj w Berlinie — zaproponował Janek. — Z Marusią też tak żeśmy się umówili.

— Dawaj. W samym centrie, odkuda Hitler komandujet.

— Rozwiedczyki smirno! Stanowis!

Bez pośpiechu, lecz przecież błyskawicznie sformowali czwórkową kolumnę. Nie znalazłbyś w niej dwu mundurów tej samej barwy, jednako wypłowiałych na deszczu i w słońcu, ani dwu furażerek wdzianych tak samo, ani dwu twarzy podobnych, a jednak na pierwszy rzut oka widać było, że stanowią oddział mocniej spojony niewidzialnymi więzami niż niejedna rodzina.

— Szagom... marsz! — skomenderował starszyna Czernousow.

Czołgiści patrzyli jeszcze chwilę, jak tamci przybiwszy trzy kroki zakołysali się w marszu i włączyli w ludzką rzekę płynącą jezdnią, a potem



ruszyli po schodach na piętro. Saakaszwili zoczywszy, że Kos ma smutną minę, wziął go pod ramię.

— Z granatem przecież niechący. A Marusia lepiej, że w szpitalu. Wróci na front, a frontu nie ma.

— Jak to nie ma? — zdziwił się Gustlik.

— Po prostu. Siedzą za stołem wszyscy sojusznicy razem: hał du ju du, bon żur, sie masz, zdrastwuj, a Niemiec chodzi i piwo podaje. Nie ma frontu, nikt nikogo nie bije.

Od ulicy dobiegł niski warkot dieslowskiego silnika i charakterystyczne podzwanianie gąsienic. Saakaszwili obejrzał się, chciał zawrócić i wyjrzeć, lecz w tej właśnie chwili Szarik nagle warknął i skoczył do przodu, pchnął drzwi łapami. Zaciekawiony Kos przeskoczył dwa ostatnie stopnie, wszedł za nim i stanął we framudze jak wryty. Grigorij i Gustlik wpadli na niego, znieruchomieli, i przez sekundę patrzyli zaskoczeni, jak po podłodze przetacza się splątany kłębek rąk i nóg. Pies sprężył mięśnie do skoku.

— Nie rusz — rozkazał Janek, a jednocześnie podał komendę: — Łapiemy obu.

Skoczyli do przodu, rozerwali walczących. Gustlik chwycił Tomasza i trzymał go w podwójnym nelsonie, a Kos i Saakaszwili obezwładnili nieznanego żołnierza. Zgrabny, w dopasowanym przez krawca drelichu, miał zatknięte za pas skórzane rękawice o szerokich mankietach. Nie wyrywał się, tylko dyszał ciężko i oblizywał językiem kroplę krwi z rozciętej wargi.

— O co poszło? — spytał Janek Tomasza.

— Konserwy chciał kraść.

Nieznajomy wzruszył ramionami.

— Mogę wam swoich dodać, jak jesteście głodni — powiedział wysokim, dźwięcznym głosem. — Puście, przecież nie ucieknę. — Zwrócił się do Kosa: — I psa weźcie, bo mnie zeżre. Chciałem nastawić, bo spieszy się o sześć godzin. — Wskazał na wiszący pośrodku zegar z kukułkami, wciąż jeszcze cykający w ekspresowym tempie.

Gustlik puścił Czereśniaka, a ten, utykając, podszedł do ściany, otworzył szafkę i z rezonującego pudła wyciągnął ukrytą tam metalową puszkę.

— Akurat ten chciał regulować. Mało tu innych? — pogadywał rozcierając ramię.

Saakaszwili i Kos również puścili swego jeńca.

— Jeśli można wiedzieć — spytał zadziornie Janek — co kogo obcego obchodzą nasze zegary?

— Nie obcego — odpowiedział tamten.

Podniósł z podłogi połówkę z celofanowymi okularami nad daszkiem, wdział ją na bakier. Potem, masując nadgarstek i poruszając nadszarpiętą ręką, dodał wyjaśniającym tonem:

— Będziemy współdziałać.

Przyjął postawę zasadniczą, stuknął obcasami i lekko wysunął dłoń, a kiedy po sekundzie namysłu Kos podał mu swoją, przedstawił się:

— Kapral podchorąży Daniel Łażewski.

— Sierżant Jan Kos.

— Kuku — potwierdziła ze ściany drewniana zazula.

— Do mnie, jeśli krótko, to po prostu Magneto.

— Do mnie po prostu Janek. Skąd wiesz o współdziałaniu?

— Stary chce przed podejściem sił głównych most na kanale uchwycić.

Zegar spieszący się o sześć godzin i kwadrans skończył wystukiwać piątą i punktualny jak zawsze wszedł generał, a za nim w czarnym czołgowym kombinezonie krępy oficer o śniadej twarzy i kędzierzawej czuprynie, mieniającej się granatem jak skrzydło kruka.

— Widzę, że z dowódcą motocyklistów zawarliście znajomość.

— Tak jest, nawet bliższą — odpowiedział podchorąży, spoglądając zezem na Tomasza.

— A to porucznik Kozub, dowódca patrolu.

Kos odruchowo zrobił pół kroku na spotkanie, drgnęła mu prawa ręka, ale czarny nie zdradził zamiaru ściskania dłoni, tylko ostro spoglądając piwnymi oczyma lustrował załogę „*Rudego*”.

— Obywatelu generale — zaczął Kos — w Kreuzburgu...

— Zdążył ci już powiedzieć? — Dowódca udawał, że burczy. — Nie w samym mieście, ale na południe od niego betonowy most. — Na desce do prasowania rozłożył mapę, przycisnął jeden jej koniec wystygłym żelazkiem.

— Pozwólcie zameldować — przerwał znów Kos.

— Pilne? — generał niechętnie zmarszczył brwi i spojrzał na zegarek. — Mów.

— Więzień obozu koncentracyjnego przy fabryce amunicji w Kreuzburgu doniósł, że oddział wartowniczy ma rozkaz ich wymordować tuż

przed wyzwoleniem. Gdyby zaskoczyć esesmanów, organizacja bojowa obozu uderzy od wewnątrz na wachy...

— Gdzie on?

— W szpitalu. Ranny był i wycieńczony...

— Polak?

— Niemiec.

— Czemu eses ma zwlekać do ostatniej chwili?

— Fabryka robi przeciwpancerne pociski o zwiększonej sile przebijania.

Cztery tysiące więźniów... On przyniósł dokładny plan. — Podał dobytą z kieszeni szmatkę wielkości chustki do nosa, pokrytą misternym rysunkiem.

Generał oglądał ją w zamyśleniu, a potem wygładził dłonią arkusz mapy i żeby równiej leżał, przycisnął go z drugiego końca garnizonową czapką rotmistrza. Okuty daszek legł półkrygiem na Szprewie, a orzeł zawisł tuż nad ciemną plamą ogromnego miasta.

W otwartych drzwiach stanęła Lidka, ale nikt jej nie spostrzegł, bo wszyscy chcieli dokładnie mapę widzieć. Pochylający się Czereśniak odepchnął Jelenia, tamten szturchnął go w bok, a Tomasz myśląc, że to zachęta do zabrania głosu, powiedział to, czego się niedawno od plutonowego nauczył:

— Jakby się nie spieszyć do przodu, to więcej ludzi zginie.

— Tak — kiwnął głową generał, wpatrzony w mapę i wazący decyzję.

— Tak — powtórzył uzmysłowiwszy sobie sens wypowiedzi żołnierza i z zaciekawieniem patrzył chwilę na młodego Czereśniaka. — Po ojcu widać taki jesteś filozof, ale masz rację.

Kos też podniósł wzrok na Tomasza i ponad jego pochyloną głowę dostrzegł Lidkę, która wspięta na palce posyłała mu uśmiech i całusa. Uniósł rękę w cichym pozdrowieniu. Dziewczyna była ta sama, a jednocześnie inna. Nie mógł zrozumieć, na czym to polega. Może włosy jakoś inaczej czesze, może mundur lepiej dopasowany? Oni tam przy sztabie mają różnych szewców, krawców...

Tymczasem generał ostro zatemperowanym ołówkiem zmienił ku północy kierunek najdalej wysuniętej czarnej strzały na mapie i zwrócił się do oficera:

— Wszystko, Kozub, jak przedtem, tyle że nie most, lecz ludzie. Wydłużysz skok jeszcze o dziesięć kilometrów i po cichu musisz sforsować kanał.

— Jasne, towarzyszu generale.

— Przeniknąć, opanować, utrzymać do podejścia wojsk własnych — ostrym, zdecydowanym głosem rozkazywał dowódca. — Dla wykonania zadania wydzielam samodzielny patrol rozpoznawczy, w którego skład wchodzi pluton motocyklistów pod dowództwem Magneta, dwa ciężkie czołgi porucznika Kozuba i wasza załoga.

— Jako... — Saakaszwili zaciął się, z trudem przełknął ślinę — jako desant? — wydusił z siebie pytanie.

— Prawda, jeszcze nie mówiłem. — Generał klepnął się po kieszeni na piersi, wyjął kopertę i podał Kosowi. — Masz list. Był ojciec na tamtym brzegu, ale już was nie zastał. Zostawił pudełko od Pomorzan i ruszył na Szczecin.

— Co zostawił? — zdziwił się Kos, nieruchomiejąc z nożem w ręku, którym chciał rozciąć kopertę.

— Pudełko — powtórzył dowódca ze śmiechem. — Pamiętacie przecież, jak na zabawie w Gdańsku na czołg zaczęli zbierać. Wtenczas, co Franek Wichura i Grigorij Saakaszwili zakochali się w takich ładnych bliźniaczkach. Nawet fotografie przez ojca przysłały... — Dowódca szukał zdjęć w swojej torbie polowej.

— Nowy? Dla nas? Gdzie? — niczym szybkostrzelne działo wykrzykiwał pytania Gruzin, jeszcze nie dowierzając, ale już półprzytomny z radości.

— W podwórzu — odpowiedział generał z udawanym spokojem. — Myślałem, żeście słyszeli, jak podjeżdżał.

Saakaszwili skoczył do okna, za nim reszta załogi. Pod murem stał czołg — nowiutki, wprost z fabryki, nawet farba, podobna do wiosennych liści, nigdzie nie była zadrapana. Bielał na boku napis: RUDY, tylko odbitych rąk brakowało. W otwartym włączniku mechanika siedział Wichura i podnosząc twarz ku górze, wołał:

— Cześć, chłopaki!

Chciał im pomachać ręką i swym zwyczajem stuknął głową o długą lufę potężnej armaty.

Ze znieruchomiałej przy oknie załogi pierwszy oprzytomniał Saakaszwili, rzucił się do drzwi i nie dostrzegłszy Lidki, choć mało na nią nie wpadł, zniknął, jakby go wymiotło. Za nim, zasalutowawszy w biegu generałowi, potętnił Jeleń i przebiegając głośną dziewczynę po włosach. Tomasz wsunął do kieszeni konserwę, chwycił z kąta plecak, a z mapy rotmistrzowską czapkę. Mając obie ręce zajęte, uśmiechnął się usprawiedliwiając w stronę wysokich szarż, szurnał nogami, kłaniając się radiotelegrafistce, i pokłusował na schody.

Zadanie bojowe zostało postawione, część oficjalna wizyty generała skończona, więc Lidka, leciutko poprawiwszy włosy, podeszła do Kosa stojącego wciąż jeszcze u okna z listem w ręku, którego nie zdążył przeczytać.

— Serwus, Janek — wyciągnęła rękę. — Niepokoiliam się bardzo. Radiogramy takie przychodziły...

— Cześć. Jak widzisz, wszyscy cali — odrzekł z uśmiechem i zwracając się do generała spytał: — Skąd napis na pancerzu?

— Wichura malował, a ja nie bronilem. Widzę, że ty najmniej się cieszysz.

W jednej chwili prysnęło opanowanie, które utrzymywało młodego sierżanta na miejscu. Janek wsunął list do kieszeni, przepaszającym gestem dotknął ramienia dziewczyny i tak jak stał, prawie bez rozmachu, skoczył przez okno na pancierz wieży.

Szarik, pilnujący do tej chwili swego pana, wyjrzał, zaskomlał i oceniwszy, że ta droga jednak nie dla niego, pobiegł szczekając w kierunku schodów.

Podchorąży Łażewski, który od dłuższej chwili obserwował Lidkę i mundur pod pasem wyglądał, teraz jednak także wychylił się przez parapet, jakby miał sam ochotę skoczyć.

— Huraaa! — grzmiał na dole tryumfalny okrzyk załogi.

— Nie cieszy się pani razem z nimi? — zagadnął Daniel. — Tak ładnie pani z uśmiechem.

— Cieszę się — przełknęła łzę w gardle. — Nawet bardzo.

— Trzy czołgi gotów bym spalić za taki uśmiech.

— Niech obywatel podchorąży do jesiennych chłódów zaczeka, teraz za gorąco — parsknęła na niego niczym kotka.

— Huraaa! — wołał basem Gustlik, a Tomasz przeraźliwie świstał na palcach.

— Dzieci — powiedział z dezaprobatą porucznik Kozub.

— Smarkacze — przytwierdził dowódca.

— A jak nawalą?

— Nie, Hiszpan, nie nawalą.

Ze ściany obwieszanej zegarami odezwał się czysty, wysoki dźwięk kurantu.

— Nie nawalą — powtórzył generał. — Lepszych zagończyków pancernych ze świecą w Rzeczypospolitej szukać.

Z dołu, z podwórza zagrał czołgowy silnik i tętent pięciuset koni pokryj wszystkie inne dźwięki.

POCZĄTEK OFENSYWY OBWIESZCZAJĄ artylerzyści. Z luf armatnich, haubicznych i moździerzowych, z szyn raketowych wyrzutni ciskają w pozycje przeciwnika dziesiątki, setki i tysiące ton nadzianego trotylem metalu; na głębokości prawie dwudziestu kilometrów od linii frontu rozdziobują okopy, rozbijają bunkry, niszczą stanowiska ogniowe. Lotnictwo wydłuża ten cios, rozszarpuje węzły drogowe i kolejowe, burzy mosty, rozprasza wykryte zgrupowania odwodów, poluje na sztaby.

Jakakolwiek by jednak była, silna, długa i straszna, ta ogniowa burza, to kiedy ruszy piechota, tu i ówdzie odżyją milczące dotąd betonowe forty, odezwą się nie wykryte baterie, z zasypanych schronów wypełzną fizylierzy. Piechur musi te pozycje podpalić, zniszczyć i zdobyć, sięgając granatami i serią maszynowego pistoletu tam, gdzie nie trafił artyleryjski granat czy bomba. Wspomagany przez artylerię polową, moździerze, działa pancerne i czołgi bezpośredniego wsparcia, żołnierz kruszy punkty oporu, odpiera narastające w sile kontrataki i w setkach starć przepiłowuje linie obronne, które zachowały jeszcze prężność i zdolność oporu.

Dowódcy w napięciu śledzą ten etap walki, wiedząc, że zbliża się chwila, kiedy pod kolejnym ciosem, równym co do siły stu poprzednim, pęknie jakaś główna arteria, załame się wytrzymałość psychiczna obrońców. Chwili tej nie wolno przegapić. Wówczas właśnie, nie wcześniej i nie później, należy z maksymalną energią i mocą zadać cios, który zamieni odwrót przeciwnika w ucieczkę, a nasze natarcie w pościg.

W takiej chwili dowódcy frontów wydają rozkazy armiom pancernym, a dowódcy armii ogólnowojskowych — swoim pancernym brygadam, zmechanizowanym dywizjom i pułkom uformowanym w grupy szybkie.

W chrzeście panczerzy i tętencie setek tysięcy mechanicznych koni, niczym chorągwie husarskie ruszają wojska ciężkozbrojne. Jak burza łamią resztki obrony i gnają naprzód co silnik wyskoczy, opanowują drogi i mosty, błyskawicznym szarżami zdobywają komunikacyjne węzły, forsują przeszkody wodne, przełamują linie obronne, nim wróg zdąży je swymi wojskami obsadzić.

Pancerny pościg jest dla dowódców niczym żniwa dla chłopa, w ciągu godzin i dni przynosi plon hodowany przez miesiące żmudnych przygotowań. Nic też dziwnego, że generałowie wiodą pułki okryte stalą na pierwszą linię i osobiście wprowadzają do walki, jak niegdyś hetman swój husarski odwód.

Parę kilometrów na zachód od Ritzen, gdzie asfaltowa szosa wyplątawszy się z lasu wbiega na pagórek, w głębokim wykopie rowu, tuż pod horyzontem, ukrył się opancerzony transporter. Nad nim spod maskowania błyszczał maszt radiostacji, a obok stał generał z lornetką przy oczach.

W miarę jak szosą podciągały nowe bataliony — czołgi, działa pancerne, piechota na transporterach i samochodach — rozwijał je w lewo lub w prawo i przez pagórek kierował do walki, w stronę skrzyżowania dróg, nad którym snuły się dymy pożarów i tryskały ciemne wybuchy.

Dywizjon artylerii polowej wjechał po zboczach wzgórza, odprzodkował na przeciwstoku. Holujące półciągarówki zawróciły w ukrycie. Prawoskrzydłowy działon rozpoczął przystrelkiwanie i w chwilę potem grzmiało salwami dwanaście luf.

Dłuższy już czas generał nie korzystał z radia. Nie miał zwyczaju poganiać swoich podwładnych i przeszkadzać im w gorączce walki. Słuchał tylko strzepów komend chrypiących w głośniku ulokowanej na transporterze radiostacji i patrzył. Pierwsze dwa dymy nad polem były czarne — to przeciwnik rozbił z ukrycia nasze atakujące maszyny. Teraz jednak wyrosły trzy, nie, już cztery jasne kity nad gorejącymi wozami napędzanymi benzyną. Jeszcze chwila i grzęda wybuchów skoczyła na skrzyżowanie, szybciej popęzły naprzód nasze czołgi i transportery. A więc przełamali i poszli naprzód...

Generał odwrócił się, popatrzył na szosę za sobą, a potem odrywając lornetkę od oczu rzucił pytanie w stronę transportera.

— Masz łączność z Hiszpanem?

— Tak jest — odpowiedziała Lidka i ponad krawędzią pancerza podała słuchawkę z mikrofonem.

— Hiszpan, widzę cię. Skręcaj na zachód, dwa kilometry masz czyste, a dalej radź sobie sam.

— Ja, Daleki, zrozumiałem. Odbiór — zameldował głos porucznika Kozuba.

Chwilę generał i dziewczyna patrzyli, jak kolumna samodzielnego patrolu rozpoznawczego, nie dojeżdżając do wzniesienia, skręca w prawo: przodem szły motocykle najeżone lufami erkaemów, dalej dwa ciężkie jotesy z długimi lufami potężnych dział kalibru 122 milimetry, za nimi „*Rudy*” i znowu motocykliści. Ostatni jednak nie wykonał zwrotu, lecz pełnym gazem gnał naprzód w stronę stanowiska dowodzenia.

— Lidka... Stary puścił słuchawkę? — spytał niepewny szept w głośniku.

Generał oddał mikrofon radiotelegrafistce.

— Zdaje się, że fonogram nie dla mnie.

— Lidka, ale mamy fajny czołg. Słyszysz nas? — konspiracyjnym szeptem pogadywał Kos.

— Milczeć — odezwał się głos Kozuba.

Zerkając, czy dowódca nie patrzy, Lidka pokazała głośnikowi język i zdecydowała, że ten porucznik to gbur. Co by mu szkodziło, żeby jeszcze słowo lub dwa. Kto wie, kiedy znowu odezwie się załoga „*Rudego*”.

Motocykl zahamował w pisku opon, żołnierz zeskoczył z siodełka i przerzuciwszy okulary ponad daszek, podał kopertę.

— Od sierżanta Kosa — zameldował.

— Dobra. Doganiajcie — przyzwolił generał.

Kierowca pomrukując gazem zatoczył w tym czasie ciasny półkrąg i łącznik skoczył na swe miejsce, nim koła zdążyły znieruchomieć.

— Schowaj to do mojej torby polowej: — Dowódca podał dziewczynie papier. — Nie do meldunków. Do tej przedziałki, gdzie sprawy osobiste.

Wzięła do ręki otwartą już kopertę, nie odrywając oczu od żółtawych kłębow kurzu, które zakryły odjeżdżający patrol. Gonił za nimi motocykl osadzony niczym ciemny grot na siwych brzechwach pyłu.

Tuż obok wciąż jeszcze były salwami polówki, unosząc smukłe lufy na wydłużanych celownikach. Od ostrego dźwięku bolało w uszach i skroniach.



W lewo od dział nowa kompania czołgów rozwijała się z kolumny w bojową linię wozów i zwiększając szybkość szła w kierunku Berlina.

Sześć kilometrów na północny zachód od owego garbu, z którego generał wyprowadzał do walki armijną grupę szybką, drogi gruntowe, pełnące między polami i kępami gęstych krzaków, skręcały wszystkie ku szosie, by razem z nią przejść między torfowiskami a pagórkiem. Pilnował tej ciałniny murowany budynek na wzgórzu, którego okna z pomocą worków z piaskiem przekształcono w strzelnice.

W szosę wgrzyzały się z obu boków krótkie zapory: bite w odstępie półtora metra podwójne palisady belek, wypełnione wewnątrz kamieniami i piaskiem. By tędy przejechać, trzeba było na niskim biegu minąć pierwszą lewym poboczem, skręcić w prawo i znowu w lewo, aby nad rowem ominąć drugą. Dopiero po wypełnieniu całego zygzaka pojazd mógł dodać gazu.

Po zboczach biegła kopalniana kolejka z torfowiska, a na szynach czekały trzy rdzawe koliby wypełnione żelastwem i gruzem. Wystarczyło przeciąć linę, którą przywiązano ostatnią, by zjechały i zatarasowały przejście w barykadzie.

W cieniu wagoników siedział wartownik, siwawy i tęgi folkssturmista. Zapewne podczas pierwszej wojny światowej przywykł do bliskich odgłosów frontu, gdyż mimo kanonady sen go morzył w to ciepłe popołudnie. Powoli opuszczał głowę coraz niżej, dziobał w piersi spiczastym nosem i mozolnie dźwigał ją w górę, by znowu za chwilę zadrzemać. Jednak gdy tylko bliżej rozległ się warkot motoru, zameldował, podnosząc słuchawkę do ucha:

— Das Motorrad.

Z bocznej drogi wyskoczył na szosę motocykl z przyczepą, gnał na dużym gazie, ostro przyhamował przed barykadą. Podczas gdy zgrzytnąwszy biegami sprawnie przemykał na drugą stronę, wartownik patrzył na pokrytych pyłem żołnierzy w stalowych hełmach i w narzuconych na ramiona pelerynach. Nie przeszło mu nawet przez myśl, że mógłby to być ktokolwiek inny niż swoi. Wyrzwał powtórnie przez barykadę i znowu pokręcił korbką:

— Motorrad... Nein, das zweite.

Pierwszy motocykl wjechał na szosę po drugiej stronie, drugi forsował barykadę, trzeci zbliżał się do niej. O tym trzecim nie zdążył już powiedzieć folkssturmista, gdyż przed budynek na wzgórze wyszedł podoficer, ziewnął i

drapiąc się w piersi, osobiście popatrzył w dół. Przetarł oczy, jakby im nie chciał uwierzyć, a potem nagle chwycił za lufę pistoletu, który miał zawieszony przez plecy, przerzucił go na piersi i krzyknął:

— Alarm!

Nim zdążył wystrzelić, ścięły go kule. Sypnęło piaskiem z rozpruwanych worków, chroniących strzelnice. Z wnętrza odezwał się emge, potem drugi. Seria wyszarpnęła z siodełka i zwała na ziemię jednego ze zwiadowców, ale budynek już był atakowany przez sześć motocykli. Podczas gdy bliższe prowadziły ogień, inne podjeżdżały skokami i przystając pod osłoną skarpy, rowu czy krzaków, zaczynały walić seriami.

Ten, który pierwszy sforsował barykadę, wjechał po stromym zboczu aż pod boczną ścianę wyjąc forsowanym silnikiem. Żołnierz z tylnego siodełka cisnął w okno granatem, poprawił raz jeszcze i z wnętrza buchnął dym. Strzelanina ucichła, jak szablą ścięta.

Motocykle czołowego ubezpieczenia natychmiast poszły do przodu, a do przeszkody w niewielkich odstępach podjechały czołgi. „*Rudy*” pierwszy przewinął się między barykadami, jak tancerz wylazł na górkę i osłonięty z boku przez dymiący budynek, strzegł następnych wozów, węszył lufą na boki. Odczekawszy, aż oba jotesy miną labirynt, zjechał w dół i popędził w ślad za nimi. Na końcu warkocza kurzu terkotał motocykl z ciałem poległego żołnierza owiniętym w pelerynę, przewieszonym na siodle i przyczepie.

Koło barykady został już tylko jeden pojazd i kaprał podchorąży dopalający papierosa. Cisnął peta w kurz, przydeptał i przeciął linę bagnetem. Wózki zjechały po szynach, wywaliły się z trzaskiem i zatarasowały drogę. Łażewski skoczył na siodełko. Kierowca dodał ostro gazu i motor znikł w tumanach kurzu.

Gdy ucichł warkot, z dna rowu wstał wartownik, ostrożnie rozejrzał się na boki, potem, rwąc guziki, ściągnął kurtkę, wsunął karabin między belki palisady i w brudnej przepoconej koszuli pobiegł przez pagórek, dokąd oczy poniosą.

— Na czoło! — krzyknął Łażewski do ucha kierowcy.

Motor zwiększył tempo, wbił się w gęsty walec kurzu toczony przez gąsienice i wyprzedził „*Rudego*”. Chwilę czaił się za szerokim karkiem jotesa, wziął go gnając dnem płytkiego rowu, a potem w miejscu, gdzie

kolumna skręcała z szosy na trawiasty, mało jeżdżony trakt, obrośnięty ciemnymi kępami tarniny, wyskoczył przed drugiego.

— Pełniesz jak karaluch w powidłach — podchorąży niecierpliwie trącił kolaniem biodro siedzącego przed nim.

Żołnierz dodał gazu, wrzucił najwyższy bieg i obrócił rękojeść kierownicy do oporu. Silnik wył coraz ostrzej, brali wciąż większy pęd, który na byle garbie ciskał wszystkie trzy koła w powietrze. Daniel unosił się w siodełku jak jeździec przy skoku i nieustannie przepatrywał teren — pora było znaleźć ukrycie, w którym mogliby zapaść na parę minut potrzebnych dla rozpoznania trasy do lasu nad kanałem.

W prawo od drogi spostrzegł stare koleiny furmanek, suchą niebieskawość piołunu i odgadł raczej niż zobaczył stare żwirowe wyrobisko.

— Hamuj! — rozkazał i rękami wydał komendy gnającym za nim zwiadowcom.

Żwirowisko porośnięte było skąpą zielenią. Tylko w wilgotnych zagłębieniach ciemniały kępy olszyn i dywaniki soczystej, nieco wyższej trawy. Snuło się po tym ogromnym wykopie stadko krów pilnowane przez starego nie ogolonego pastucha, który stał nie dalej niż o pięćdziesiąt metrów i patrzył w stronę Łażewskiego nic na razie nie pojmując. Gdyby nie daleki pomruk samolotów pod obłokami, gdyby nie lekkie, idące od wschodu dudnienie ziemi bitej tysiącami granatów i chrzęst żwiru pod kopytami, cisza byłaby zupełna.

Nowy dźwięk skłonił pastucha tylko do podniesienia głowy. Warkot narósł błyskawicznie i przez krawędź wykopu, na stromą, dawno nie używaną i zarośniętą ostami drogę wyskoczył na pełnym gazie motocykl z karabinem maszynowym w przyczepie. Za nim drugi, trzeci i jeszcze dwa naraz.

Niemiec dopiero teraz zorientował się, że coś nie w porządku. Chwycił bat, chciał zgonić bydło i być może uciec, ale motocykle rozjechały się szerokim wachlarzem, we wściekłym ryku silników wspięły się ku krawędziom i zajęły pod nimi stanowiska, ubezpieczając wykop ze wszystkich stron.

W ślad za nimi pojawiły się czołgi, spelzły w dół, wepchnęły swe zielonkawe cielska każdy pod inną olszynową kępę. Wozy znieruchomiały, silniki zgasły i po minucie mogłoby się здаwać, że nie było tego gwałtownego najazdu, gdyby nie niskie smugi kurzu leniwie drzemiące w słońcu.

Chłop patrzył na najbliższy czołg z białą sylwetką orła na pancerzu, bezgłośnie poruszał wargami, usiłując odczytać napis, a potem siadł zrezygnowany z batem w rękę i gapił się na krowy, które, w pierwszej chwili spłoszone, wróciły znowu do swej najważniejszej pracy — do przeżuwania pokarmu.

Z wnętrza czołgu wysypała się jednocześnie cała załoga i bez słowa przystąpiła do ścinania grubych gałęzi olchy, do mocowania ich drutami na pancerzu.

Szarik, zmęczony długim bezruchem, pogalopował przed siebie, zawrócił, bez większej złości szczeknął na starego, ot tylko tak, by podkreślić, że obcego widzi, a potem zajął się zganianiem krów w ciasniejsze stado.

Jeleń wyjął siekiere z rąk Czereśniaka i pokazał mu siedzącego pastucha. Kiedy Tomasz podszedł, tamten uniósł ręce, żeby dać się Obszukać — widocznie i u swoich nieraz mu się to zdarzało.

W kieszeniach nie było niczego podejrzanego. Czereśniak szukał coraz wolniej, wyjął mu z ręki biczysko. To był zwykły chłopski bat: surowy rzemień na leszczynowym nie okorowanym trzonku. Tomasz siadł i przymrużywszy oczy tak, by niczego innego nie widzieć, popatrzył na krowy. Trwało to chwilę tylko. Wymienili ze starym spojrzenia. Potem lekko westchnąwszy żołnierz wstał, wrócił do czołgu, przy którym trwała prowadzona półgłosem rozmowa między Wichurą i Jankiem.

— Miałem przyprowadzić i przekazać.

— Ale w tym wozie pięć miejsc. Zgodziłeś się podjechać.

— Tylko do stanowiska dowodzenia naszego generała.

— Tam przystanku nie było.

— Specjalnie mi to robisz, na złość. Przecież motor do transportera jeździł. A ja pod pancerzem nie lubię, mnie duszno...

— Wracaj, Franek, ja cię nie trzymam.

— Jak? Przez front...

— To posiedź tu trochę. Krowy popasiesz i naszych doczekasz.

— Cholera! — zaklął Wichura i szarpnął za maskującą gałąź. — Ja nie jestem pancerny.

— Popraw — rozkazał mu Kos.

— Dowódca, do mnie — wezwał go podchodzący z boku porucznik Kozub.

— Jestem.

Pod stromą skarpą motocykliści kopali grób dla poległego kolegi. Przykro zgrzytały łopatki o kamienie, gorzko pachniał rozarty ze żwirem piołun.

— Maskowanie?

— Skończone.

— To dobrze.

Po zboczcu zbiegł podchorąży Łażewski, ciemny na twarzy od kurzu, w którym pot żłobił kręte dróżki.

— Droga do lasu wolna — zameldował. — Możemy ruszać.

— Pożywcie się. Zostaniemy do zmierzchu.

— Stracimy ze trzy godziny — obliczył Kos.

— Generał mówił, że każda minuta się liczy — wtrącił podchorąży. —

Ja mogę we trzy, cztery motory...

Ręka porucznika ciężko położona na ramieniu przerwała zdanie.

— Od dawna w boju? — spytał Kozub Daniela.

— Od pierwszego sierpnia.

— A ty?

— Też tak mniej więcej. Od Studzianek. Już ponad dziewięć miesięcy.

— Ja od trzydziestego szóstego, dziewiąty rok — na króciutką chwilę, jak duża kropka między dwoma zdaniem, zapadło milczenie. — Te czołgi i motory można stracić w ciągu minuty, a chcę mieć je wszystkie w Kreuzburgu.

Porucznik odwrócił się i odszedł krokiem zmęczonego, wcześniej postarzałego człowieka. Obaj młodzi dowódcy stali chwilę speszeni — racje były po stronie Hiszpana, lecz przecież sprzeczne z ich chęciami. Najlepiej przestać o tym myśleć.

— Marudzi — mruknął Kos i widząc, że Gustlik z Tomaszem już rozłożyli pod drzewami czysty ręcznik, krają chleb i smarują go konserwą, zaprosił nowego: — Zjedz z nami.

— Chętnie — zgodził się podchorąży i spytał podchodząc do czołgu: — Powiadali w sztabie, że wy tę służbę rozwaliliście?

— Prawda. A ty do nas przez Wisłę?

— We wrześniu. Z batalionu Parasol, z Czerniakowa.

Przysiedli razem z załogą. Czereśniak podał gościowi potężną pajdę, na palec grubo posmarowaną „*drugim frontem*”. Saakaszwili nalał kawy zbożowej z dwulitrowego czołgowego termosu.

— Macie łączność z generałem? — spytał Daniel po pierwszym łyku.

— Stary nie lubi gadania bez potrzeby — odrzekł Kos.

— Dawno go znasz?

— Jak myśmy z Gustlikiem przyszli nad Okę, to on już dowodził.

— A radiotelegrafistkę?

— Wcześniej. Jechaliśmy z Syberii jednym transportem.

— Ładna.

— Jak gdzie... Lubię tajgę, a zwłaszcza cedry.

— Ja o twojej dziewczynie, o Lidce.

— Dlaczego myślisz, że moja? — uśmiechnął się Janek.

Pochlebiły mu słowa Daniela. Choć niecelne, były w jakiś sposób przyjemne, podobne do pochwały w rozkazie.

— Przecież mam oczy — odpowiedział przełykając kęs chleba. — Widziałem, jak na ciebie patrzy. Zakochaną dziewczynę poznam na kilometr.

— A ty mniej patrz w jej stronę — doradził zadziornie Saakaszwili. — Tak czy owak Lidka na każdego z załogi może liczyć jak na brata.

Łażewski niespodzianie spoważniał i uważnie popatrzywszy na Gruzina, rzek krótko:

— Zgoda.

Rozmowa się urwała. Żeby ruszyć z miejsca, Gustlik zapytał:

— Czemu wołają cię Magneto?

— Pseudo. Że jak pokręcić, to iskra skacze.

Czereśniak wstał i z kawałkiem chleba poszedł w stronę pastucha, który od początku nie zmienił miejsca ani postawy.

— Ostro twoi jeźdźą — pochwalił Saakaszwili, pragnąc złagodzić wrażenie swoich zbyt ostrych słów. — Nadążyć trudno.

— Tych, co wolniej jeździli, dogoniły kule.

Przypatrywali się sobie uważnie — trzy godziny wspólnej akcji starczą za parę miesięcy znajomości.

Wrócił Czereśniak; podchorąży się skrzywił.

— Biłeś się o puszki jak tygrys, a teraz nie tylko mnie, ale i szkopowi dajesz. — Podniósł ku górze chleb z konserwą.

— Inna rzecz, jak siłą chcą wziąć, a inna, dać — odpowiedział Tomasz wskazując na Niemca. — Nad Wisłą szpadlem bym dobił, a tutaj dam chleba, niech ćpa.

— Nad Odrą to może on twojego nie chce. — Gustlik usiłował zbić z tropu ładowniczego.

— Przecie wziął — odpowiedział poważnie Czereśniak. — A my tu długo nie będziemy. Byle Hitlera do klatki wsadzić i od razu ku Wiśle ogłoble.

Pogwarzali coraz leniwiej i korzystając z osłony zwiadowców Łażewskiego, zadrzemali nawet na sto kilkanaście minut.

Obudził ich chłód. Sylwetki motocykli i czołgów, zatarte przez gałęzie maskowania, rysowały się jeszcze ostro, ale w zakamarkach żwirowego wykopu zapadł już zmierzch. Na tle skarpy, rdzawej od blasku zachodniego nieba, czerniał krzyż na świeżej żołnierskiej mogile. Koło pierwszego czołgu porucznik Kozub zebrał dowódców i mechaników na odprawę.

— Na każdym skrzyżowaniu orientujcie mapy. Lepiej tracić po pół minuty niż zablądzić. W nocy zgubić się łatwo.

Ustalali różne warianty trasy, znaczyli punkty docelowe, kiedy od strony krów podszedł stary pastuch, zdjął kapelusz z postrzępionym rondem i oparty na trzonku bata powiedział nie podnosząc głowy, ale wyraźnie i głośno:

— Ich kann den Weg zeigen.

Na dłuższą chwilę zapadło milczenie. Nikt mu nie odpowiadał. Kozub nie kwapił się korzystać z tego pokazywania drogi. Niemiec odczuł niechęć i nieufność, zrobił jednak jeszcze krok naprzód i podniósłszy wyblakłe na słońcu oczy, tłumaczył, dobierając jak najprostsze słowa:

— Ein Sohn in Polen — nakreślił batem krzyż na piasku. — Der zweite auf Kreta, dritte und vierte in Stalingrad.

Trzonek bata obrysował prostokątem ten cmentarz złożony z czterech krzyży.

— Ich kann den Weg zeigen — powtórzył.

Kozub skinął głową. Kapral Łażewski wziął pastucha pod ramię, podprowadził do czołowego motoru i sadzając za sobą na siodełku, rzekł:

— Nach Kreuzburg.

Zagrał pierwszy zapalony silnik. Niemiec podniósł bat i pokazał przed siebie. Patrol ruszył pod górę. Wozy wyjeżdżając ze żwirowiska rysowały się

chwilę na tle nieba zasnutego dymami wojny, a potem zapadły poniżej horyzontu i sunęły podobne ciemnym kępom skłębionych krzaków.

Godzina była przedwieczorna. Jechali przez zmierzch, czyli owo dziwne przemieszanie światła i mroku. Kształty przedmiotów się zacierają, są trudne do rozpoznania, choć jeszcze drogę widać dobrze i można iść pełną szybkością. Kozub korzystał z tego zapewne nie po raz pierwszy i nim pociemniało, doprowadził patrol pancerny między drzewa, na krawędź zielonej plamy zajmującej na mapie pół arkusza.

Las okazał się niespokojny. Stacjonowały w nim jakieś wojska, jakieś pojazdy pancerne zmieniały stanowiska i ciągniki wlokły po przesiekach działa. Te ruchy jednak, które w dzień natychmiast doprowadziłyby do starcia, maskowały w nocy ich własny marsz.

Nadleciały samoloty, rozsypały kilkanaście bomb niedaleko w przedzie, zwiększając przyjazne pancernym zamieszanie i rozgardiasz. Patrol przenikał coraz dalej na zachód. Gruntową drogą między pniami, oświetlonymi odblaskiem pożaru, szedł na czele zwiadowczy motocykl: na pełnym gazie rwał od osłony do osłony, nikał w cieniu na czas obserwacji, by potem znowu rzucić się do przodu. Gdy wjechał na pagórek, otworzył się przed nim widok na objęte ogniem zabudowania, obok których kręcili się żołnierze, usiłowali gasić pożar wodą noszoną w wiadrach.

Pastuch na tylnym siedzeniu pokazał Łażewskiemu, by zawrócił. Motor zakręcił w miejscu, cofnął się i wjechał w boczną przesiekę. Kaemista z kosza migając latarką dał znak następnemu, który ukrywszy motocykl w krzakach, wystawił posterunek regulujący.

Żołnierz wskazywał kierunek czołgom, które ryjąc głębokie ślady, obracały się, przesuwwały odblask pożaru z czoła na lewy pancierz. Obok nich i za nimi przemykały bokiem cztery motory. Wreszcie jako ostatni, zabierając regulującego, wyjechał z krzaków ten, który przedtem szedł jako drugi.

Ten sam manewr powtarzał się na każdym zakręcie, przy każdej zmianie kierunku. Działali jak na pokazowych ćwiczeniach, wykonując surowy rozkaz porucznika Kozuba, który wszystkim oświadczył na zwirowisku, że za najmniejszą niedokładność odda winnego pod sąd wojenny.

Objeżdżanie bokiem pożaru trwało dość długo, lecz wreszcie motocykl Łażewskiego, rozpryskując wodę, sforsował błotnistą zapadlinę, wyjechał na lekkie wzniesienie i wówczas zobaczyli odblask ognia we własnych stop-



sygnałach. Pastuch wskazał batem na lewo i znowu, posłuszne jego gestom, kolejno skręcały wozy rozpoznawczego patrolu na wąską krętą drogę, która biegła między kępami lasu, przez torfowiska, obok bauerskiej zagrody ślepiącej wygaszonymi oknami zza muru rozkruszonego bombą.

Przedzierając się wśród zarośli gęstego młodniaka czołowy motor podjechał do szosy, po której co chwila to w jedną, to w drugą stronę przelatywały ciężarówki, transportery, ciągniki z działami.

Łażewski zeskoczył z siodelka, pobiegł parę kroków w głąb lasu, by zatrzymać nadjeżdżający ciężki czołg. Wspiął się na pancierz i zameldował.

— Droga w poprzek. Znaczy, że kanał blisko.

— Blokujcie z obu stron i forsujemy.

— Żeby nie ten stary...

Podchorąży chciał dodać parę słów, ale Kozub zerknął na zegarek i uciał:

— Po tamtej stronie szosy natychmiast rozpoznacie przeprawę.

Zacisnąwszy zęby Łażewski zasalutował i bez słowa wrócił w sośninę nad szosą. Pomyślał, że choć porucznik ma dobrą szkołę wojny i żołnierz z niego doświadczony, to on, podchorąży Łażewski, wolałby drugi raz pod jego rozkazy nie trafiać. Cóż to za moda, żeby słowa nie dać powiedzieć. Może inni krócej wojowali, ale też co nieco wiedzą...

Czekał parę minut na dobry moment, pragnąc Kozubowi pokazać czystą robotę. Kiedy w stronę frontu przejechała sześciodziałowa bateria przeciwlotnicza, zrobiło się wreszcie luźno.

— Naprzód! — zawołał.

Z krzaków wyskoczyły na asfalt cztery motocykle i rozjechały się parami w przeciwne strony. Nim zniknęły z widoku, już na otwartą przestrzeń wypełzły wszystkie trzy nasze czołgi, kołyszac się przejechały karczowisko, sforsowały rów i wyszły na szosę.

Po prawej załomotała seria diegtiarowa, druga, trzecia. Błysnął daleki płomień zapalonego samochodu, ale już i reszta zwiadowczych motocykli przekraczała asfalt. Zjeżdżały jeszcze w las po przeciwnej stronie, kiedy Łażewski zamrugał sygnałową latarką, zwołując ubezpieczenie.

Obie pary nadleciały prawie równocześnie i znikły w cieniu między drzewami. Jako jedyny świadek skoku Polaków przez szosę został dopalający się wrak samochodu, wokół którego niczym ómy wirowały czarne sylwetki niemieckich żołnierzy.



## ROZDZIAŁ 48. WYZWOLENIE

Rozpoznawać przeprawę można po cichu i głośno.

W pierwszym przypadku trzeba niepostrzeżenie podpełznąć, obserwować i nasłuchiwać cierpliwie, póki nie ruszy się wartownik, nie szczęknie metal w okopie, nie nadjedzie kolumna zza rzeki lub kanału, demaskując strażę.

Druga metoda to szybki doskok, sprowokowanie osłony do otwarcia ognia i równie błyskawiczne zniknięcie.

Ponieważ porucznik Kozub nie określił sposobu rozpoznania przeprawy, Łażewski wykonał zadanie szybko. Może nawet szybciej niż zamierzał, bo wychodząc spod serii kaemów pognał wzdłuż wału i niespodzianie nadział się na osłonę drugiego mostu.

Wracali we czterech na jednym motorze, ogłuszeni wystrzałami, oślepieni ogniem i przybici stratą. Niewiele brakowało, a poplątałiby drogę, gdyż w ostatniej chwili dostrzegli przyczajonego łącznika. Gonił za nimi, póki hamowali, skoczył z tyłu na przyczepę i ręką wskazał kierunek.

— Nasi pałac zdobyli, panie podchorąży! Podobno generalski. — wołał Łażewskiemu do ucha. — Bez jednego wystrzału... W lewo i prosto! — krzyknął do kierowcy. — W bramę.

Dobijając resorami przeskoczyli betonowy próg i Daniel zobaczył leśny park w księżycowym świetle, a w głębi, na końcu szerokiej alei, nie pałac wprawdzie, lecz nowoczesną dużą willę z przylegającym do niej garażem i domkiem dla służby. Pod budynkami, podobne do rozrośniętych wysoko krzaków, czołgi stały nieruchomo, a koło nich spacerowali wartownicy. Nieco dalej, ukryci za grubymi pniami drzew, czuwali zwiadowcy przy swoich diegtiarach.

Nie czekając na zatrzymanie motoru podchorąży zeskoczył przed frontem budynku i wszedł pośpiesznie do wnętrza.

Za podwójnymi drzwiami, w dużym hallu obwieszonym skórami zwierząt i rogami, paliły się jasno lampy naftowe, a wielkie lustro na wprost drzwi powtarzało ich żółte płomienie. Na kanapie, między obwieszonymi starą bronią słupami, które podtrzymywały wewnętrzne schody, odpoczywali

Kozub, Kos i Wichura. Przed nimi na dywanie leżały cztery zdobyczne pistolety maszynowe, zapasowe magazynki i kilka granatów.

Nieco z boku, z automatem na kolanach, siedział na krześle Gustlik i pilnował jeńców stojących twarzą do ściany — czterech żołnierzy, tęgiego starego cywila w sportowym ubraniu i dwie kobiety. Podchorąży, prześliznąwszy się po nich spojrzeniem, stanął na baczność przed porucznikiem, ale ten podsunął mu krzesło.

— Siadaj i pij — podał na dłoni filiżankę prześwitującą pod światło.

Łażewski rozpromienił się wachając płyn.

— Kawa, prawdziwa kawa.

A coś myślał? Ona ma wszystko. — Kos pokazał na jedną ze stojących pod ścianą.

Była to rośla, tęga kobieta ubrana w szary, dobrze skrojony kostium i uczesana w starannie zakręcone loki.

— Którędy? — spytał Kozub, sprowadzając rozmowę na główny temat.

— Nie wiem. Przy mniejszym są bunkry i na przeciwległym brzegu stanowiska dział przeciwpancernych, a do betonowego nawet podjechać nie można — urwał na chwilę i podniósł głowę. — Straciłem w ogniu motor, żołnierza i tego... — jednym haustem dopił resztę kawy i odstawiwszy filiżankę, dobył zatknięty za cholewę ułamany kawałek bata. — Przewodnika straciłem.

Kozub zacisnął w pięść leżącą na kolanie rękę, a potem otworzył ją z wolna, ale nic nie powiedział. Są ludzie, którzy nigdy nie płaczą nad rozbitym szkłem, nie rozważają, co by było, gdyby nie stało się to, co się stało.

Jeśli niespodzianie wyskoczyć z ciemności, oślepić obsługę pociskiem, to... My moglibyśmy spróbować... — zaproponował Kos.

— Nie — porucznik pokręcił głową i powtórzył uparcie to samo, co na zwirowisku: — w Kreuzburgu potrzebne mi wszystkieczołgi.

Milczeli chwilę niewesoło.

— Wyżej głowy nie podskoczysz — stwierdził filozoficznie Franek Wichura i zmarszczył perkaty nos.

— Może jaka płycizna — powiedział Gustlik. U nas, koło Ustronia, to na Wiśle...

Przerwał zdziwiony, bo nagle od strony ściany rozległ się wysoki, przybierający na sile pisk. Nie od razu pojął, że dźwięki te wydaje niższa z

kobiet stojących pod ścianą. Jeleń zrobił groźną minę, wstał z krzesła, ale nie bardzo wiedział, jak postąpić. Zanim cokolwiek zdążył powiedzieć, dziewczyna o okrągłej buzi pokrytej piegami odwróciła się tak gwałtownie, że skoczyły w górę jej dwa długie warkocze, i zawołała:

— Tyś jest ustroński?

— Ustroński.

— A ja z Koniakowa, z za przełęczą! — Zarzuciła mu ręce na szyję, płacząc i śmiejąc się jednocześnie.

— Czemu żeś mi to prędzej nie rzekła? — mruknął gniewnie Gustlik.

Puściła go, cofnęła się o krok i aż przybladła ze złości.

— Jakże miałam co rzec, kiedyś się od razu automatem zamierzała. „*Raus, raus*” tak pysk na mnie rozdziawiał — poskarżyła się Kozubowi. — Pod ścianę postawił razem z tą generalską wiedźmą...

Ani śladu nie zostało po płaczu. Zarumieniły się policzki, a małe dłonie spoczęły na biodrach. Dziewczyna odwinęła nogą róg dywanu. Wskazała ukryte pod nim metalowe wieko w podłodze i skomenderowała osłupiałemu Gustlikowi:

— Dźwignij. Mocniej, sił nie masz?

Jeleń nie bez wysiłku podniósł płytę osadzoną na zawiasach i zobaczywszy stopnie, zeskoczył w dół. Obracając koło sterujące zasuwami, otworzył grube drzwi do niewielkiego pomieszczenia i zaświeciwszy sygnalizacyjną latarkę, zobaczył legowiska po bokach.

— Schron jak na sztab — oświadczył wychodząc.

— Wszystko dla tej jędzy. Na front dziadów pchają i dzieci, a u niej wartownicy jak byki...

Nie przestając mówić, dziewczyna podbiegła do ściany, szarpnięciem odwróciła pierwszego z brzegu Niemca i pokazując otwarty schron, krzyknęła:

— Włazić! Będiesz ty teraz łapy przy sobie trzymał. Właz!

Jednego po drugim wszystkich zagoniła do środka, pomogła ostatniemu kolanem i zatrzasnęła drzwi. Drobnymi, lecz mocnymi rękami zakręciła koło przesuwające zamki, a potem, chwyciwszy stojący przy wejściu łom, wstawiła go między szprychy, żeby tamci od wewnątrz nie mogli otworzyć.

Łażewski, Kos i Wichura wstali ze swych miejsc i razem z Gustlikiem w milczeniu i z podziwem obserwowali błyskawiczne działania dziewczyny. Aż

furczała plisowana kwiecista spódnica, kiedy wybiegła po schodkach, przeżegnała się i stanąwszy na palce pocałowała Janka.

— Honorata. Takem ślubowała, że pierwszego polskiego żołnierza...

Wspięła się znowu, cmoknęła podchorążego i za jednym zamachem Wichurę, który szeroko ramiona otworzył.

— Honorka mi mówią. Że pierwszego pocałuję, żeby był nawet...

Stała przed Gustlikiem, ale że chłop był na gwardyjską miarę, to i z wysokości czubków palców działania nie rokowały sukcesu bez pomocy atakowanego.

— Żeby nawet był bolszewikiem — dokończyła.

— Jakie my to zaś bolszewiki?! — oburzył się Jeleń i podstawił policzek.

— Od wschoduście przyszli, to bolszewiki — stwierdziła Honoratka, pocałowała Gustlika i zrobiła parę kroków w kierunku siedzącego na kanapie Kozuba. — Ale co mi tam — machnęła ręką — może i bolszewiki, ale przecież Polacy.

Dygnęła zgrabnie, przysiadła na kanapce, obciążając biały fartuszek na kolanach, i mówiła dalej ściszywszy głos, jakby się bała, że kto może usłyszeć:

— Ja panom żołnierzom powiem, gdzie taki most, co go nikt nie pilnuje.

— Powiedz. — Porucznik dopiero teraz rozchmurzył twarz. — Mocny?

— Mocny, bo stary — szturchnęła Kozuba łokciem w bok i zachichotała jak z dobrego dowcipu. — Dawniej jak co robili, to żeby się nie złamało. To taki most... — nie wiedząc, jak określić, machała wyprostowaną ręką wprost przed nosem dowódcy patrolu.

— Zwodzony — podpowiedział Janek.

— Nie zwodzę, tylko prawda. On się tak podnosi i opuszcza. Sto lat ma albo dwieście. Z żelaza zrobiony. Był tu jeden taki w cylindrze jak kominiarz — znowu się roześmiała głośno na samo wspomnienie — i generałowa pokazywała mu, że historyczny.

— Panna Honoratka nam pokaże? — spytał Gustlik.

— Jak pan Gustlik poproszą, to pokażę i most, i co tylko... Ale żeby potem odwieźli. W garażu stoi samochód generała, można wziąć.

— Jaki? — zainteresował się podchorąży.

— Może bym wziął to pudło — zaproponował Franek. — Prezent potem można by zrobić naszemu dowódcy...

— Tylko do samego mostu nie do jedzie, bo tam rów zeszłej niedzieli wryli głęboki, żeby czołgi bolszewickie nie przeszły.

— Na motocyklu odeślemy — zdecydował Kozub.

— Tych drani pod podłogą muszę dopilnować. Jak reszta naszych przyjdzie, to oddam i niech ich do Polski na roboty zawiozą — wyjaśniała swe plany długofalowe Honoratka, zaglądając jednocześnie w lustro i gładząc blond grzywkę szesana na czoło.

— Jaki ten wóz generała? Mercedes? — wypytywał Wichura.

— Duży i czarny — odpowiedziała dziewczyna. — Z chorągiewką.

— Ruszamy — rozkazał Kozub. — Szkoda czas tracić na gadanie. — Wstał i włożył hełmofon.

Wyszli razem z Kosem i Łażewskim, a za nimi ciężko westchnąwszy, ruszył Wichura.

Jeleń jeszcze zbiegł po schodach i sprawdził, czy dobrze siedzi łom w szprychach koła.

— Panna Honoratka umie strzelać?

— Umiem. Wujek w raubszycach chodził na dziki i sarny.

— My tu te strzelby zostawimy — wskazał na broń na dywanie.

— W kąć uprzątnę.

— Panna Honoratka to by co ciepłego oblekła, noce jeszcze są chłodne — mówił chwytając pokrywę, żeby ją z powrotem opuścić na podłogę.

— Ja, panie Gustlik? — roześmiała się, podchodząc bliżej i warkocze do piersi przyciskając. — Ja taki w sobie mam gorąc... — rozluźniła wysoki kołnierzyzek na szyi.

Jeleń spieszył się, puścił pokrywę. Trzasnęła jak wystrzał. W tej samej chwili na dworze zagrały silniki czołgów i motocykli.

— Laboga! — zawołała Honorata, chwytając Gustlika za rękę. — Jakby tak odjechali, a my tu sami we dwoje...

— Dobrze by było — zdobył się Jeleń na odwagę i nawet lewe oko jak do celowania przymrużył. — Tylko kto drogę pokaże?

— Prawda — przyznała z żalem.

Kiedy wybiegli, Łażewski już czekał u samych drzwi i pomógł wsiąść przewodnicze do wymoszczonej waciakiem przyczepy. Podkurczyła nogi, żeby zrobić miejsce, i pociągnęła Gustlika za rękaw.

— On za ciężki — wytłumaczył jej podchorąży ruszając. — Na czołgu pojedzie.

Jeleń rzeczywiście całą drogę raczej na wieży niż w czołgu przejechał, i choć parę razy mało go gałęzie na ziemię nie zgarnęły, nic, tylko wypatrywał ku przodowi. Trasa była kręta, ale nie bardzo daleka. Przystanęli w gęstwinie, żeby się nie dać zobaczyć. Kozub pobiegł do przodu i szybko wrócił.

— Jest? — spytał go Kos.

— Jest. Trzeba sprawdzić, jaka obsada.

— Pójdę.

— Ja zaś w ta pora pannę Honoratę odwiozę — poprosił Gustlik.

Było to odwiezienie szybkie i milczące. Jechali gąsienicowym śladem przez rozjaśniony księżycem mrok i nic nie mówili do siebie. Honorata jakby czekała, co Gustlik powie, a on im dalej od czołgu odjeżdżał, tym bardziej był pewien, że źle postąpił. Przecież jakby „*Rudy*” musiał wejść do walki, to tam ich jeno trzech zostało, bo dowódca na zwiadzie. Czuł, jak wilgotnieją mu plecy pod mundurem, choć gorąco nie było.

— Przyjedzie jeszcze pan Gustlik? — spytała, kiedy stanęli przed generalską willą, i zajrzała mu w oczy.

— Przyjadę — zapewnił.

Mocno uścisnął jej obie dłonie i nie zsiadając z motoru, umknął. Gnał lasem na złamanie karku i odetchnął dopiero na miejscu zobaczywszy zwaliste wzgórki czołgów między pniami.

— Gdzie porucznik?

— W przedzie.

Oddał motor zwiadowcom, a sam poszedł na skraj lasu. Z odległości kilku metrów zobaczył na płaskim pagórku, między krzakami wikliny, krępą pochyłą sylwetkę porucznika Kozuba, a obok szczupłą Łażewskiego. Milczeli obaj. Wyglądało nawet, jakby się posprzecziali — podchorąży siedział plecami do oficera i tylko od czasu do czasu odwracał głowę i zerkał spode łba w jego kierunku.

Za łąkami pokrytymi wysoką trawą i rzadkimi kępami krzaków bieleły w niepewnym nocnym świetle zapiaszczone brzegi rowu przeciwczołgowego,



czerniał nasyp kanału, a nad nim sterczące ku górze dwie połówki zwodzonego mostu i niewielka budka strażnicza.

Gustlik wyszedł spomiędzy krzaków, podkradł się, przygięty do ziemi, i zameldował szeptem:

— Odwiózł zech na miejsce. Ma szmajsery, jakby co.

Kozub nie odpowiedział, tylko gestem nakazał, żeby przysiadł. Znowu zapadła długa chwila ciszy. Podchorąży poruszył się, jakby chciał coś powiedzieć, ale pod uważnym spojrzeniem oficera znieruchomiał znowu.

Nie usłyszeli żadnego szelestu, niczego nie dostrzegli, lecz nagle parę metrów przed nimi pojawił się Szarik i Kos. Obaj ociekali wodą. Sierżant był boso, tylko w spodenkach kąpielowych i ze swym myśliwskim nożem przewieszonym na pasie przez ramię.

— Rów czołgi sforsują bez trudu. Wartowników przy moście dwóch.

— No to wreszcie jedziemy — ożywił się Łażewski. — Od razu trzeba było zdjąć...

— Za to po drugiej stronie nie jedno działo, lecz cała bateria przeciwlotnicza dużego kalibru.

— Pierona — zaklął Gustlik.

Na długą chwilę zapadła cisza. Janek schował się między wikliny, wytarł ciało ręcznikiem, a potem osuszył nim psa. Szybko włożył koszulę, wciągnął spodnie, narzucił kurtkę mundurową. Zerkał na nieruchomo siedzących, nie przestając myśleć, co zrobi Kozub w tej sytuacji. Jeśli nie chce doczekać świtu na tym samym brzegu, musi uderzyć, lecz wówczas bez strat się nie obejdzie. Nie wszystkie czołgi dojdą do Kreuzburga.

— Straciliśmy przeszło godzinę — podchorąży nie wytrzymał ciszy. — Trzeba będzie zawracać.

— Nie — przerwał Kozub. — Wolę mieć przed sobą zaskoczoną baterię niż przygotowany do strzału działon. Zobaczymy, czy nie da się ich czymś zająć.

Porucznik wstał, wśliznął się w krzaki. Za nim ruszył Kos.

Łażewski pochylił głowę i splatając palce zacisnął je tak mocno, aż zachrzęściły stawy.

— Więcej kombinowania niż walki. Trzy armatnie lufy i do tej pory zimne.

— Na starym czołgu było nas czterech — wyjaśnił Jeleń — a teraz pięciu. Dowódca na górze przy obserwacji i radiu — i tylko rozkazy dawać. Jo zech przedtem ładował, a teraz przy celowniku. A że ręka świerzbi, coby spust nacisnąć.

— No właśnie. Ja ci powiem, ten porucznik...

— Ale tak po prawdzie — zwierzał się dalej Gustlik — to najlepiej, jakby nie wystrzelić, a wygrać.

Podchorąży wzruszył ramionami i nic nie odrzekł. Pochylając wilgotne od rosy gałęzie wrócili do czołgów.

— Grot, Grot ja Daleki, wołam cię Grot ja Daleki. Odbiór — siedząc na wieży porucznik Kozub wywoływał znużonym głosem i wreszcie zniechęcony zdjął hełmofon. — Śpią czy jak?

— Obywatelu poruczniku, na naszym nowa radiostacja — odpowiedział Kos.

— Spróbuj.

Janek wskoczył na pancerz „*Rudego*”, sięgnął do wnętrza po hełmofon i szcęknał przełącznikami. Odczekawszy, póki nie nagrzeją się lampy, docisnął palcami laryngofon.

— Grot, ja Daleki, odbiór.

Chwila ciszy. Z wieży drugim włazem wyjrzał Tomasz. Grześ i Franek wyszli przez przedni i spoglądali ku górze, nasłuchując.

— Lidka, śpisz? Odezwij się, Lidka — wywoływał Janek.

Kozub podszedł, wspiął się na czołg i niechętnie marszczył brwi słysząc te nieregulaminowe wezwania.

— Nie — odpowiedziała dziewczyna sennym głosem, ale już następne słowa były rześkie: — To ty, Janek? Wszyscy cali?

Głos był tak wyraźny i czysty, że Szarik wspiął się, oparł przednie łapy na gaśienicy, zamerdał ogonem i zaskomlał wesoło.

— Wszystko w porządku. Daj Starego.

Sierżant podał swój hełmofon porucznikowi i zaraz w słuchawkach zgłosił się miękki baryton.

— Pierwszy na Grocie.

— Ja Daleki. Cztery tyczki na drodze, proszę o garść grochu bez światła. Współrzędne celu: trzydzieści dwa zero trzy... Pięćdziesiąt jeden siedemnaście na zachodnim brzegu. Czekam na odpowiedź.

Popiskiwały depesze, wołały obce głosy, a po chwili cicho, cichutko dziewczęcy głos zanucił parę taktów piosenki, urwał gwałtownie i znowu usłyszeli generała:

— Daleki, wysypią groch za dwadzieścia jeden.

— Ja Daleki, zrozumiałem was, Grot, za dwadzieścia jeden.

Kozub zdjął hełmofon i oddając go ścisnął lekko Janka za rękę, jakby chciał podziękować.

— Ile trzeba na zdjęcie wartowników?

— Sześć minut — odpowiedział Kos po krótkim namyśle. — Pójdę z plutonowym Jeleniem, bo tam krzepkiego trzeba, żeby most opuścić.

— Ruszajcie.

— A „*Rudy*”? — spytał Saakaszwili.

— Nie będzie próżnował — zapewnił go Kozub.

Nad nasypem kanału, jak podwójne wieko ogromnej skrzyni, sterczały uniesione połówki mostu, podpięte szerokimi kratownicami. Czerniało rusztowanie kołowrotu i urządzenia dźwigowego. Letni domek, w którym dawniej sprzedawano bilety wycieczkom, zbitą z desek chałupkę służącą przewodnikowi za schronienie przed deszczem, zamieniono w budkę wartowniczą.

Jeden z żołnierzy, powiesiwszy pistolet maszynowy na piersiach, siedział na ławce pod ścianą, a drugi leżał wyciągnięty na pryczy we wnętrzu i chowając ognek w dłoni, dopalał papierosa. Coś zaszeleściło w trawie, budząc czujność wartownika. Wstał i wpatrywał się w ciemność.

Zza wiklinowej kępy wyskoczył pies, warknął i pomknął w stronę mostu, to ukazując się na łące, to niknąć w cieniu.

— Ein Hund — żołnierz niezdecydowanie zaczął podnosić automat do oka.

— Warte doch — powstrzymał go drugi. — Das ich kein Russe, kein Pole, to nie Rosjanin czy Polak, lecz pies niemiecki, sondern ein deutscher Hund.

Wstał i teraz obaj spoglądali w stronę mostu, wypatrując wilczura, który gdzieś im się stracił.

— Aber wo ist der Hundeführer? Gdzie przewodnik?

Spoza węgła domku wysunęły się bezszelestnie dwie postacie i jednym susem dopadły Niemców. Ten drugi zdążył głowę obrócić, dźwignął pistolet maszynowy, ale obaj jak rażeni piorunem padli pod ciosami Gustlika i Janka.

Kos pobiegł od razu w stronę mostu, a Jeleń, dźwignąwszy obu, wszedł na nasyp i po wilgotnej od rosy trawie spuścił ich do kanału.

Na plusk wody nałożył się rosnący warkot samolotów. Z drugiego brzegu, od strony stanowisk baterii przeciwlotniczej usłyszeli przerywane buczenie syreny alarmowej.

Jeleń podbiegł do Kosa, który się szarpał z ogromnym kołowrotem.

— Nie idzie.

— Czekaj, trzeba zobaczyć.

Pochylił się nad trybami, obejrzał je uważnie i znalazł zwykły łom włożony między dwa zębate koła.

— Ciąg nazad... Ciut jeszcze.

Cofnięte koło zluzowało tryby, Gustlik wyszarpnął łom i rozkazał:

— Do przodu.

Teraz maszyna ruszyła ze skrzypem, ale bez większego oporu. Skrzydła mostu drgnęły zaczynając opadać.

Czas był po temu najwyższy, bo coraz bliżej słyszeli warkot czołgów i coraz głośniej dudniły samoloty.

Wielki jotes z obróconą do tyłu lufą podjechał do szerokiego wykopu, zwolnił przed krawędzią, by się jak najłagodniej przeważyc i spełznąć w dół. Potem gładko, ale zdecydowanie, dał duży gaz. Olbrzym wspinał się na przeciwskarpę, powolniejąc rozduszał ją swym ciężarem i wreszcie wyszedł na łąkę. Tuż za nim drugi.

Na pierwszym zgrzytnęły elektryczne silniki i w biegu ku mostowi lufa poszła do przodu.

Za kanałem huknęła pierwsza salwa przeciwlotniczej baterii. O parę sekund później zagwizdały bomby z niewidocznych samolotów.

Do wykopu rozrytego przejściem dwu ciężkich czołgów zbliżył się „Rudy”, powoli zjechał na dno rowu i jeszcze wolniej zaczął się wspinać — na długiej linii holował za sobą motocykle, które bez tej pomocy ugrzęzłyby w piachu przemieszanym z błotem.

Obok motorów biegli żołnierze podtrzymując kierownice i wózki, by maszyny szły równo. Kto tylko wy dostał się z rowu, ciął nożem pętlę, którą

był zaczepiony do głównej liny, wskakiwał na siodełko i dodając gazu, szaleńczym łukiem z prawej lub lewej objeżdżał „*Rudego*”, by jak najprędzej wpaść na most, dogonić forsujące kanał czołgi.

Na przeciwległym brzegu wybuchały już bomby i coraz pospieszniej waliły zenitówki. Jotesy wspięły się na nasyp kanału, przystanęły i obniżywszy lufy, z odległości nie większej niż dwieście metrów, dały ognia w oświetlone własnymi błyskami działa niemieckie.

„*Rudego*” wyprzedziły już ostatnie motory, ale czołg znowu zwolnił u wjazdu na most, by zabrać resztę załogi. Szarik pierwszy, a Janek i Gustlik za nim wskoczyli w biegu na pancierz, wspięli się od tyłu ku wieży.

W dwudziestej sekundzie po pierwszej salwie jotesów rozległa się druga. Wyjechawszy na nasyp Kos zobaczył przez wizjer, jak wybuchy pocisków kalibru 122 mm rozszarpują baterię przeciwlotniczą, wysoko w górę ciskają strzepy stali. Ciężkie deszeka z wież czołgów i chyba piętnaście naraz diegtiarów strzygło działobitnię.

— Mądry karlus ten Hiszpan, robota zna! — krzyknął Gustlik, zsuwając się do wieży.

Janek podał mu psa i jak kapitan podwodnego okrętu schodził pod pancierz ostatni. Zatrzymał się jeszcze sekundę, by spojrzeć dokoła. Na stanowisku baterii, odchodzącym po prawej do tyłu, jaskrawym karminem płonęły opony rozbitych dział. Grupa bombowców, które pomogły w przeprawie, zwała następną partię ładunku na miasto widoczne w przodzie, chyba już Kreuzburg, i szeroki pożar coraz jaśniej oświetlał drogę; nabierając szybkości gnały po niej czołgi otoczone motocyklami.

Kos zatrzasnął właz i wdział hełmofon w samą porę, by złowić głos Kozuba.

— Wszyscy słyszą? Zgłosić się.

— Drugi ciężki — usłyszał Janek.

— „*Rudy*” słyszy — zameldował nacisnąwszy przełącznik.

— Magneto słyszy — z sekundowym opóźnieniem odezwał się Łażewski.

Znowu upłynęło chwil parę wypełnionych tylko rykiem silników i popiskiwaniami sygnałów. Kos przez peryskop patrzył i rosła w nim ta groźna, dumna radość, wspólna wszystkim gnającym do szarży. Wozy rozpędzały się i czuł, wpierając plecy w pancierz, jak ziemia drga, kołysze się pod gaśnienicami.

Wiedział, że „*Rudy*” ma jeszcze rezerwę szybkości, która pozwoli mu wyjść na czoło. Niecierpliwie czekał rozkazu. Wreszcie usłyszał nieco zmieniony, jakby odrobinę bardziej uroczysty głos dowódcy dalekiego patrolu:

- Przed nami obiekt ataku. Wszystko bez zmian. Naprzód.
- Gaz, Grzesiu.

Kos zobaczył w wizjerze, jak szarpnęło się do przodu parę motorów i pognało na boki, żeby zająć ze skrzydeł i z tyłu. Czołgi na przedmiejskim ugorze rozsunęły się klinem. Pierwsi motocykliści już wpadli w luźno zabudowaną ulicę, na końcu której, w świetle coraz bliższego pożaru, pobłyskiwały zasieki i rdzawe dachówki na wieżach strażniczych. Ciemniał za nimi mur i wyższy od niego korpus fabryki z kominem dymiącym brązowo i gęsto.

- Na wprost na wieży kaem — wskazał Janek.

— Mam go — odrzekł Gustlik znad celownika. Rosła wieżyczka w peryskopie.

- Wolniej... jeszcze wolniej... Stop — rozkazał Kos.

Stali sekundę, która wydała się bardzo długa. Niemiecki wartownik wyglądał przez parapet, żeby zobaczyć, co za motory szaleją na ulicach miasta.

Wreszcie skoczyła w górę rakietą z wieży porucznikowego czołgu. Kos wyczuł ją raczej, niż dojrzał, i jeszcze nim się rozpałała zieloną gwiazdą, dał rozkaz:

- Ognia!

Erkaem Jelenia sprzężony z lufą armaty zmiótł oszczędnym warknięciem czarną sylwetkę, przerzucił ją za barierę, na druty.

- Naprzód!

Ze wszystkich stron grały już karabiny maszynowe czołgów i motocyklistów. Kos widział błękitne ogniki skaczące po naelektryzowanych drutach, usłyszał z wnętrza obozu syrenę alarmową. Jakaś seria zaczepiła o beczkę z paliwem, strzelił w górę płomień niczym wysoka pochodnia.

- W prawo... jeszcze.

Wywinęli się z za węgła parterowego budynku wprost pod bramę. Na konstrukcji stalowej, niczym pająk na wysokich łapach, zawisała duża drewniana wartownia, a na niej różowiały ogromne białe litery ARBEIT MACHT FREI. Pod brzuchem tego pająka rozjarzyły się oślepiające tarcze

reflektorów, ale Gustlik bez komendy roztrzaskał je długą serią. Wichura ściał wartownika uciekającego od okratowanych wrót.

— Zasieki — meldował Saakaszwili.

— Rwij — rozkazał Janek.

„*Rudy*” bez trudu złamał i rozgniółł omotane drutem kozły.

— Prawą podporę taranem — dowodził Kos.

Jeleń odchylił lufę w lewo. Z rozpędu uderzyli czołowym pancierzem podcinając metalową konstrukcję. Z hukiem i trzaskiem łamanych desek zawałiła się brama. Wjechali na szeroki dziedziniec apelowy zamknięty półkręgiem ponurych baraków.

— Piechota z prawej — ostrzegł Kos, widząc wybiegających z wartowni żołnierzy.

Czołg przyhamował krzesząc iskry z bruku, ale nim zdążył skręt wykonać, z cienia pod barakiem ruszył tłum. Esesmani, biegnąc, strzelali z biodra. Ktoś krzyknął, runął na ziemię, ale już reszta dopadła czarnych i bić poczęła prętami walcówki, deskami wyrwanymi z prycz, drewnianymi sabotami. Jak mrówki pokryli esesmanów, obalili i zmięli.

W ślad za „*Rudym*” wjechały ciężkie czołgi. Motocykliści sunęli wachlarzem na wszystkie strony, by zająć obronę.

Więźniowie zostawili za sobą kilka bezkształtnych postaci, poskręcanych w dziwacznych pozach, i na kawałku drąga rozwinęli sztandar. Wyczerpani walką z esesmanami biegli powoli do czołgu. Zaczęli jeden drugiego podsadzać, niezdarnie wspinali się po gąsienicach na pancierz.

Podobni ślepcom macali klamry. Z wyciągniętymi rękami szli do Gustlika i Kosa wychylonych z wjazdu: pasiaki, piszczele rąk i kuliste czaszki obciążone skórą, ogromne smutne oczy i drgające rozcapierzone dłonie. Wszyscy byli bardzo do siebie podobni — bracia w przedśionku śmierci. Nie śmieli, nie mieli odwagi objąć swych wybawców. Tylko z ogromnym wysiłkiem krzyczeli po cichu:

— La liberté!... Kameraden... Eviva!... Towariszczi...

— Ostrożnie, Gustlik — ostrzegł Kos.

Delikatnie objął najbliższego, przytulił do siebie nie ocierając gęstych łez, które spływały mu po policzkach.





## ROZDZIAŁ 49. KLIN

Ostatnią dekadę kwietnia 1945 roku rozpoczęło ostrzeliwanie Berlina przez artylerię radziecką. Nie jakieś szczególnie dalekonośne armaty, lecz po prostu działa kalibru 152 i 122 milimetrów były w centrum hitlerowskiej stolicy. Dwudziestego pierwszego, w sobotę, kilka pięćdziesięciokilogramowych granatów trafiło w Bramę Brandenburską, przebiło stropy Reichstagu i eksplodowało we wnętrzu Kancelarii Rzeszy.

Rozcięty pancernymi klinami front niemiecki rwał się na strzępy, cofał przed nacierającą piechotą, która doganiała czołgi. Daleki patrol porucznika Kozuba kilkanaście godzin strzegł zdobytego Kreuzburga, seriami kaemów rozpraszał lub odrzucał na boki grupy przeciwnika, a potem nagle znalazł się na tyłach i w strefie ciszy oczekiwał dalszych rozkazów.

Na resztkach metalowego rusztowania zwalonej bramy, prowadzącej na teren dawnego obozu koncentracyjnego, lekki wiatr kołysał flagi. Na samym szczycie dwie duże: polską i radziecką, a poniżej prawie dwadzieścia mniejszych, uszytych w ostatnich dniach z czego się dało i przytwierdzonych do kratownicy przez więźniów, których hitlerowcy zwieźli pod Berlin z całej Europy. Wspólną białą, czerwienią i błękitem nawoływały się francuska, holenderska i czeska; poziomymi krzyżami — norweska i brytyjska. Amerykańskie gwiazdy wycięte z puszek od konserw błyskały w słońcu jak lusterka. Również i teraz paru ludzi w pasiakach, podsadzając jeden drugiego, mocowało pasiastą białoniebieską flagę Grecji z krzyżem w górnym rogu.

Rozdeptane gąsienicami zasieki odciągnięto na boki. W bramie stał posterunek regulacji ruchu — żółtą jak łubin chorągiewką żołnierz wpuścił na teren obozu dymiącą kuchnię zaprzęzoną w konie, a za nią wysoko ładowaną ciężarówkę z kocami i ogromnymi garnkami.

Od tego popołudnia, kiedy to załoga wyruszyła z Ritzen na samodzielny patrol rozpoznawczy, minęło zaledwie parę dni, ale przygrzewające słońce zdążyło już otworzyć kwiaty na jabłoniach. Błada różowość, biel i mozaika cienia gęstych gałązek, zazielenionych pierwszymi liśćmi, dobrze maskowały „Rudego”, który stał opodal wjazdu do obozu, pod ścianą niewielkiego domu, w płytkim wykopie między owocowymi drzewami.

Czereśniak chodził po sadzie w samej koszuli, z wysoko podwiniętymi rękawami. Swym zakrzywionym, ostrym jak brzytwa kozikiem ścinał ułamane gałęzie, zasmarowywał mazią skaleczenia drzew.

Kos siedział na pancerzu i korzystając z ciszy czytał Saakaszwilemu po raz chyba trzeci list od ojca.

— „...zapewnił, że właśnie wam, jako wzorowej załodze, odda czołg”.

— Generał nas szanuje — Grigorij czule poklepał pancierz.

— „*Niech was wiedzie do zwycięstwa, a potem do domu...*”

Obaj nie spostrzegli, że stąpając cicho Szarik wspiał się na wieżę, wziął w zęby czapkę, wiszącą na zamku otwartego włazu, i gdzieś z nią poszedł.

— „*Dowodzę grupą operacyjną cywilów* — czytał dalej Janek. — *Jak tylko Szczecin będzie wolny, przejmujemy miasto dla Polski.*”

Od strony niskiego jeszcze, porannego słońca wiatr doniósł gwałtowną młóckę artyleryjskiego ognia. Kos przerwał czytanie i obrócił głowę.

— Ze wschodu — stwierdził zdziwiony.

— My na skrzydle, za kanałem Niemcy. Może właśnie Rokossowski ruszył... Czytaj dalej.

— Już prawie koniec: „*Czekać tu będę na twój powrót z frontu, a najlepiej przyjedźcie całą załogą. Uściskaj mocno Gustlika, Grigorija...*”

— Pisze Grigorija?

— „...*Grigorija i Tomasza, a także przednią łapę Szarikowi.*”

Saakaszwili jak szczupak wyciągnął się na pancerzu, zajrzał przez swój właz do wnętrza i usiadł z powrotem.

— Psa potem, śpi w swoim kącie. A mnie możesz teraz.

— Co teraz?

— Uścisnąć.

Janek ze śmiechem objął go ramieniem.

— Czekaj — przypomniał sobie nagle — przecież ja od samego Ritzen wożę dwie fotografie. Generał dał dla ciebie i dla Wichury.

Saakaszwili, ucieszony, chwycił zdjęcia, ale mina mu zaraz zrzędła, bo oba były prawie identyczne.

— Kaco, jak mam wiedzieć...

— Po drugiej stronie napisane — pokazał Janek. — „*Kochanemu Grzesiowi...*” Ta będzie twoja — wyjaśniwszy, odwrócił się w stronę odległej o kilkanaście kilometrów kanonady i nasłuchiwał.

Saakaszwili patrzył w niewielki prostokąt papieru i serce mu biło coraz mocniej. Tak, naturalnie, to właśnie Hania. Zapewne wkrótce po balu poszła do fotografa, bo ma na sobie tę samą białą bluzę z rękawami powyżej łokcia, z marynarskim kołnierzem trzykroć obszytym granatową tasiemką. I ten szeroki krawat z płaskim węzłem pod dekoltem...

A może nie... Naturalnie, nie po balu poszła, lecz teraz, niedawno, ale chcąc przypomnieć dzień szczęśliwy, specjalnie włożyła to samo, co miała wtenczas na sobie. Figlarne oczy, wysokie czoło pod piękną czapą ciemnych włosów, usta o kącikach uniesionych leciutko do uśmiechu. Tak, to Hania, zapewniał sam siebie, lecz na wszelki wypadek zerknął pod spód: „*Kochanemu Grzesiowi...*”

Ogromną radość sprawiło mu to zdjęcie i kiedy uniósł głowę i spojrzął wokół siebie, to spostrzegł, że drzewa i domy stały się barwniejsze i rysują się ostrzejszymi, bardziej wyrazistymi liniami.

— Kropią na całego — powiedział Janek — więcej niż setka luf i dźwięk jakby...

— Sąsiad ruszył — zapewnił Saakaszwili, spoglądając czule na fotografię. — Twój ojciec może już w Szczecinie.

— Laata-laata studiował her profesor Dolling — wołał Gustlik, wychodząc zza rogu — aże wystudiował taki klajster, co się Mintokur nazywo. Trzy krople Mintokur na wata, powoniać, poszmarować, a zaś ino się dziwować, jak klajstruje tynto fardoński Mintokur...

— Do metalu też przyklajstruje? — upewnił się Kos.

— Nie oderwiesz.

Wszyscy trzej ze starej załogi sieleckiej weszli do wieży i na skośnej chropawej stali, powyżej celownika armaty, zaczęli przyklejać fotografię pierwszego dowódcy. Robili to bez jednego słowa, lecz bardzo starannie: Gustlik równo rozmazał na metalu cienką warstewkę kleju, Janek ulokował na niej zdjęcie, Grigorij przez chustkę do nosa przyprasował je dłonią.

Dolnym włazem wszedł do środka zaciekawiony Tomasz, wsunął się na swoje miejsce do wieży po prawej stronie działa i kiedy chustka Grigorija nie chciała odejść od stali, Czereśniak przechylił się ponad zamkiem, delikatnie podciął ją nożem.

Kos zawiesił na radiostacji oba krzyże i skończywszy robotę powiedział w zamyśleniu:

— Cieszyłby się z wozu.

— W silniku pół setki koni więcej, po szosie ciągnie ponad pięćdziesiątkę — zaczął wyliczać Grigorij.

— Tako kanona przebije tygrysa od łba do ogona — pochwalił do wiersza Gustlik. — Ino pocisków mało: na starym setka, a tu pięćdziesiąt pięć.

— Po co ci więcej, kiedy i tak nie strzelasz? — zakpił Janek.

— Prawda, ani raz. Dępokąd ino z diegtiara. Ten Hiszpan niegłupi, wojować umie po cichu.

Nad nimi, widoczny przez otwarte włazy na tle pogodnego nieba, zjawił się Wichura. Grigorij kiwnął mu głową.

— Franek też strzelał. Nie wiem, czy celnie, ale gęsto.

— To jest dobry chłopiec — stwierdził Gustlik, udając, że nie widzi nowo przybyłego — ale kręcić lubi nie tylko kurbła i kierownica. Trocha jednego, trocha drugiego samochodem podwiezie, paczka cygaretek albo puszka konserw zarobi, a na czołgu...

— Nie wygłupiaj się, Jeleń — kapral chwycił go z góry za czuprynę, potrząsnął mocno, a potem, niczym wiadro w studnie, opuścił do czołgu pęczek butelek związanych kablem telefonicznym, jak postrzelane przepiórki. — By nie tęsknić za dziewczyną, macie tutaj dobre wino.

— Jakie? — spytał ciekawie Gruzin.

— Hiszpańskie. A w' ogóle to wylażcie z pudła. Oprócz wina jest nowina.

— Na mózg ci padło?

— Że do wiersza gadam? Nie. Wiosna.

Pierwszy wyskoczył na pancierz Saakaszwili.

— Siostry foto przysłały — wy dostał i sprawdzając napisy na odwrocie, rozdał. — Hania mnie, Ania tobie.

Wichura zerknął, schował zdjęcie do kieszeni na piersiach munduru i przysiadłszy na wieży zaczął klarować otaczającym go czołgistom.

— Na południu Świerczewski zajął Budziszyn, podjechał czołgami do Drezna, ale ze skrzydła uderzyli Niemcy, przerwali front i bitwa tam teraz jak jasny gwint.

— A za nami? — spytał Kos. — Słyszysz?

Ogień artylerii nie był już tak gęsty jak poprzednio, ale trwała nieustanna młocka.

— Słyszę.

— Nie wiesz, kto to?

— Nieważne — szofer machnął ręką. — Na południe od Berlina Sowietci okrążyli kupę dywizji. Dwie armie pancerne cisną jak obcęgi... Tyle... — pokazał na paznokciu kciuka — o, tyle jeszcze zostało, żeby Hitlera do kotła i koniec.

— Nie bardzo — pokręcił głową Kos. — Samo miasto żeby zdobyć, trzeba się spocić.

— Ale robota honorowa. Jak tort po obiedzie. Wiecie, co mówią? —

Wichura ściszył głos, jakby się bał, że kto sekret podsłucha. — Polska piechota i czołgi też mają iść do Berlina. Na defiladę. Batalion pontonierów pojechał, haubiczna brygada pojechała...

— Skąd ty to wszystko wiesz? — spytał niedowierzająco Gustlik.

— Może kapral miał sen i wszystko jak żywe zobaczył? — zemścił się Tomasz za kpiny podczas postoju w Schwarzer Forst.

— Armijna kolumna sanitarna przyjechała. — Franek puścił przycinek mimo uszu. — Więźniów'z obozu będą zabierać do szpitali na tyłach. Od łapiducha wiem, frajerze.

— A łapiduchy? — wypytywał Gustlik.

— Od rannych generałów.

Grigorij słuchał jednym uchem. Znowu wyjął z kieszeni zdjęcie Hani i odwróciwszy się nieco, oglądał je starannie.

— Wichura, pokaż swoją fotkę.

— Moją?

— Bliźniaczki.

Kapral dość obojętnie oddał mu zadedykowaną pamiątkę. Niechcący wyrzucił na pancierz błękitną kokardkę zabraną dziewczynie w Gdańsku. Gustlik, który nie lubił, żeby na czołgu choć najmniejszy niepotrzebny przedmiot się poniewierał, podniósł ją i wsunął do kieszeni.

— Wiecie — Saakaszwili zaczął porównywać — że one się chyba przy podpisywaniu pomyliły...

— Albo jak jakiego pułkownika ze sztabu zęby bolą — ciągnął dalej Wichura — to zanim mu wyleczą, mogą się wielu rzeczy dowiedzieć. Żebyście pamiętali, ja pierwszy powiedziałem, że pojedziecie do Berlina na defiladę.

— Ty nie jedziesz? — spytał Kos.

— Mówiłem, mnie pod pancerzem duszno — niechętnie przypomniał Franek i zaraz zmienił temat: — Chodźcie, to wam pokażę, jaka doktorka z sanitarkami przyjechała. Palce lizać. Ramona na dwanaście fajerek. Idziesz, Grigorij?

— Jasne — Gruzin schował obie fotografie do kieszeni. — Co znaczy Ramona?

— „*Ramona, jak słodko imię twoje brzmi...*” — zanucił Wichura. — Piosenka taka była... A ty, Kos, nie pójdziesz?

Janek się spieszył. Miał wielką ochotę zobaczyć tę piękną lekarzkę i jednocześnie nie bardzo mu jakoś wypadało.

— Przy maszynie jeszcze trzeba by...

— Wszystko jedno latać nie zacznie. Popatrzymy tylko — kusił Franek.

— Popatrzeć można — stwierdził Gustlik. — Dla mnie by trza iść dalej, na drugi brzeg...

Podciągnął spodnie, poprawił pas na mundurze, potem uniósł ręce do głowy, jakby chciał mocniej wcisnąć czapkę, ale jej tam nie znalazł.

Saakaszwili, stojąc przed „*Rudym*”, gmerał ręką we wnętrzu.

— Czego szukasz?

— Czapki — mruknął Gruzin, schowany po pas w czołgu.

— Mojej tam gdzie nie ma? — spytał Gustlik. — Po klej zech chodził z gołą głową.

— Żadnej — odpowiedział Grigorij, któremu już ledwie nogi wystawały. — Tylko ta rogata, ułańska.

— Ja pamiętam, że swoją tu na zamku powiesiłem. — Kos ze zdziwieniem oglądał otwarty właz.

Mnie lekarka nie dziwna, ja zostanę popilnować — oświadczył Tomasz. — Ale musiał być złodziej czapkowy, bo moja była na jabłoni na sęczku i mundur też był, a teraz nie ma.

Od wschodu stale grzmiała artyleria. Przywykli do niej już trochę i przestali zwracać uwagę. W tej chwili tuż obok przemknął ulicą motocykl gnający na pełnym gazie, ale nie obejrzeli się nawet, zajęci poszukiwaniami:

— Mam! — zawołał Saakaszwili, który wlaźł cały do wnętrza czołgu.

Jednocześnie z okrzykiem rozległo się stamtąd groźne, głuche warczenie, a zaraz potem odgłosy szamotania.

— Zabierz, Janek, tego bandytę — prosił Gruzin.

— Szarik!

Pies usłyszawszy rozkaz wyskoczył i patrzył uważnie na Janka. W ślad za nim poleciały wyrzucane przez Grigorija czapki i na końcu kurtka mundurowa Czereśniaka.

— Rozbójnik, burżuj nienasycony — wymyślał psu mechanik, wychodząc przednim włazem, i wyjaśnił załodze: — Twardo mu było i legowisko sobie wymościł.

— Moja wina — przyznał Kos, ale jednocześnie zwrócił się do Szarika z wyrzutem: — Tak nie wolno, nawet kiedy twardo.

— Wtedy na patrolu to on mnie, drań, cały czas łapami z siedzenia spychał — poskarżył się Wichura i pogroził wilczurowi palcem.

— Trzeba było łbem ruszyć i skombinować sobie co innego — tłumaczył psu Janek. — Za karę warta poza kolejką.

Szarik wysłuchawszy reprimendy zawstydzził się, opuścił łeb i grzecznie siadł przy gąsienicy.

— Ja prowadzę — Franek ruszył pierwszy.

Kiedy wychodzili na ulicę, przemknął tuż przed nimi motocykl z pochylonym nad kierownicą jeźdźcem w hełmie i okularach. Gnał dobrze ponad setkę.

— Maszyna zdobyczna — powiedział Kos, kiedy skręcili w stronę bramy obozu — a na niej chyba podchorąży.

Obejrzeli się wszyscy. Kierowca sto metrów dalej gwałtownie nacisnął hamulce, w pisku opon pozwolił maszynie zarzucić o sto osiemdziesiąt stopni i znowu dał pełny gaz.

— Oszalał, czy co?

Kos wyskoczył na jezdnię z podniesioną ręką. Tamten gnał, jakby go nie dostrzegał. Dopiero w ostatniej chwili zahamował, aż dym poszedł spod kół i ostro zapachniało gumą.

— Cześć, Magneto. Motor chcesz rozbić czy głowę? — zapytał Janek.

Wyciągnął rękę, ale tamten jej nie dostrzegł. Gwałtownym ruchem podniósł okulary na czoło.

— Jedno i drugie — odpowiedział.

Przerzuciwszy nogę ponad kierownicą, jakby to był koń, zeskoczył z siodełka. Gwałtownym pchnięciem postawił motocykl pod metalowym

rusztowaniem dawnej bramy, na którym powiewały flagi. Ściągnął rękawice z wysokimi mankietami i trzepnąwszy nimi po błyszczącym baku, zwrócił się do otaczających go zdziwionych czołgistów:

— Czyścicie, pucujecie wasze metalowe bydlę — wskazał spojrzeniem w stronę czołgu — i co?

Twarz miał dziwną, oczy w jasnych obwódkach na przykurzonej skórze, zaczerwienione białka.

— Pucujecie — powtórzył — i nawet nie macie pojęcia, co oni tu robili.

— Kto? — spytał Saakaszwili.

— Szkopy. Wiecie, dlaczego na grządkach pod fabrycznym murem taka duża i wczesna sałata? Bo tam popioły spalonych ludzi sypano zamiast nawozu. Wiecie, do czego te betonowe klatki?

Za rękę pociągnął Janka w bok od obozowej bramy, skrzył w okratowaną furtkę i wprowadził czołgistów na małe kwadratowe podwórko, otoczone ze wszystkich stron betonowym murem, na którym deszcze zostawiły ślad w postaci brunatnych zacieków. Pusto tu było. Na wydeptanym glinianym klepisku nic nie zostało poza dwiema kupami sypkiej ziemi w przeciwległych rogach.

Wprowadzali więźniów, dzielili pół na pół — opanowując nerwy mówił Łażewski przyciszonym głosem — i kazali taczkami piach przewozić. Stąd tam i stamtąd tu. Kto szybciej. Rozumiecie? Kto szybciej nie w ciągu kwadransa czy godziny, ale przez rok, dwa, trzy... Albo krócej, tylko do śmierci — zrobił pauzę i nagle nie wytrzymał przeszedł do krzyku: — Laufschrift, Laufschrift!... Schneller!

Spod ciemnego piachu sterczał kawał niebieskiej szmaty, strzęp obozowego pasiaka. Kos zdjął czapkę, otarł czoło dłonią. Za nim pozdejmowała czapki reszta, prócz Łażewskiego, który pokrzykując jak w transie szedł ku furtce. Przed wyjściem stanął jeszcze i odwrócił się do załogi:

— Widzieliście te stare kobiety w szpitalu obok laboratorium? Mają po osiemnaście, dziewiętnaście lat. To nasze dziewczyny z powstania, na których hitlerowscy lekarze robili eksperymenty. Jak na królikach albo na szczurach. Na ludziach wypadało im taniej. Wszędzie tu byłem, wszystkich pytałem, zajrzałem w każdy kąt.

— Po co ci to? — mruknął Wichura i wzruszył ramionami.



— Siostry szukam — podchorąży podszedł do niego z błyskiem szaleństwa w oczach. — Chłopaki! — głośno szepnął. — Ich trzeba zabijać, póki trwa wojna. Rozgniatać jak pluskwy. Bo potem będzie za późno.

Sekundę trwała cisza, w którą jak podkute obcasy esesmana były bliższe niż przedtem eksplozje artyleryjskich granatów. Kos patrzył w twarz Łażewskiemu, a potem nachylił się i zza cholewy jego buta wyciągnął ułamany kawałek bata. Skreślił na piasku pięć krzyży, obwiódł je prostokątem, podobnie jak pastuch na zwirowisku, i dopiero wtedy spytał:

— Takich jak on też?

Łażewski nie odpowiedział. Odebrał bat i wsunął go z powrotem za cholewę. Potem z opuszczoną głową, wyszedł pierwszy przez furtkę. Przystanął obok swego zdobycznego motoru.

— Chce się który przejechać? — spytał zachrypniętym głosem.

— Ja — zgłosił się Gustlik. — Ino dowódcy słowo rzeknę.

Odciągnął na bok Kosa i tłumaczył mu pośpiesznym szeptem:

— Do mostu jeden mig, a tam już daleko nie jest i zarozki z powrotem. Nie mogę przeca samej zostawić. Nad Odrą, Janek, sam żech ci rzekań: „Musisz, to idź”.

— Musisz, to gnaj — zdecydował Kos.

— Nim się spodziewiesz, będziemy z powrotem! — odkrzyknął Gustlik.

Podbiegł do Łażewskiego, przerzucając pistolet maszynowy z piersi na plecy, skoczył na tylne siodełko i wcisnął głębiej czapkę.

— Jadymy, panie podchorąży, na most. Popatrzymy, czy go nam kto nie ukradł.

Daniel zsunął okulary na oczy, kopnął rozrusznik. Sekundę lub dwie silnik wył na luzie, a potem motor, jak koń spięty ostrogami, skoczył do przodu ciskając żwirem spod opon.

Przypatrywali się gnającym na złamanie karku, póki im nie zniknęli za zakrętem, a potem długo jeszcze stali w milczeniu. Cień mieli na twarzach mimo słońca na czystym niebie.

Janek z goryczą pomyślał, że choć wygrał starcie z Łażewskim, choć zachwiał w nim przekonanie o konieczności pospiesznego, zbiorowego mordu, to sam przecież czuje w piersi gniew, który jest zdolny zabijać.

Czy można traktować jak ludzi tych, którzy latami znęcali się nad więźniami, znajdowali przyjemność w torturowaniu? Czarni, brunatni i

zgniłozieloni, ozdobieni trupimi czaszkami i swastykami, jak gnilne bakterie zarazili świat obłędem. Wymordowaliby nie tylko wsie czy miasta, ale całe narody, gdyby nie Stalingrad, gdyby nie wojna, którą odpowiedziały najeźdźcom całe narody.

Daniel lęka się naszej i swojej własnej łagodności. Wie, że jeśli już dziś nie potrafimy zapłacić śmiercią za śmierć, to tym bardziej nie będziemy umieli mścić się jutro, po zakończeniu wojny. Esesmani porwali mu siostrę z płonącej powstaniem Warszawy. Dlatego umilkł, kiedy na zwirowisku Saakaszwili powiedział, że wszyscy w załodze są dla Lidki jak bracia...

— Miałem wam tę doktorkę pokazać — przypomniał Wichura.

— Pokaż — zgodził się Kos bez większego entuzjazmu i z opuszczoną głową ruszył za Frankiem.

Przy samochodach byli tylko kierowcy i starzy sanitariusze, raczej do dźwigania noszy niż zakładania opatrunków.

— Gdzie wasza dowódca? — spytał kapral.

— Pani chorążyna z waszym porucznikiem rozmawiają — wskazał żyłasty dziadźka w stronę baraku.

Na granicy słońca i cienia stała przed Kozubem jasnowłosa kobieta w dobrze skrojonym mundurze. Z odległości paru metrów wyraźnie słyszeli jej ciepły, łagodny alt.

— Obywatelu poruczniku — tłumaczyła — połowa sanitarek gotowa do drogi. Mogłabym ruszać.

— Kończcie ładować resztę.

— Są tacy wyczerpani, że każda godzina ma znaczenie.

— Brak mi motorów i ludzi, by dawać podwójną osłonę:

— Po cóż osłona?

— Wykonujcie — polecił Kozub i uważając sprawę za skończoną odwrócił się do więźnia z opaską na ramieniu, który już chwilę czekał obok.

— Alors...

— A quelle heure mangeons-nous?

— Cette cuisine dans une heure — pokazał dymiącą kuchnię połową z dużą dwójką wymalowaną na kotle.

— Po jakiemu? — zainteresował się Grigorij.

— Po francusku — wyjaśnił dumnie Wichura. — Pytał się, kiedy coś do żarcia dostaną, a porucznik mu obiecał, że za godzinę.

Lekarka wzruszyła ramionami i odeszła do swoich sanitarek. Kiedy mijają czołgistów, stwierdzili, że Wichura mówił prawdę — była tak piękna, że oczy trudno oderwać. Nie wypadało im tak jednak od razu gonić za spódniczką, więc stali w miejscu, słuchając, jak Kozub załatwia nowych interesantów.

— Die Kranken von der holländischen Gruppe fahren heute ab?

— Nein. Übermorgen.

— What with the british pilots? — pytał wysoki i szczupły rudzielec w spłóviałym mundurze angielskiego lotnika.

— The house number seven Berlinerstrasse for you.

Czołgiści wciąż jeszcze stali w tym samym miejscu.

— Ale języków zna kupę... — mruknął z uznaniem Wichura.

— Wojna go nauczyła — rzekł Kos. — Był w Hiszpanii w międzynarodowej brygadzie.

Przez główną bramę wjechał zakurzony łązik z urwanym błotnikiem, z szybą podziurawioną kulami. Zeskoczył z niego sierżant, pokryty pyłem od stóp do głów, i podbiegł do oficera — Pakiet od generała — podał kopertę lewą ręką.

Prawą, którą salutował, miał przewiazaną bandażem ciemniejącym od krwi.

— Kiedy dostaliście? — spytał Kozub przecinając scyzorykiem nici i łamiąc lakowe pieczęcie.

— Dziesięć minut temu. — Żołnierz wiedział, że oficerowi chodzi nie o kopertę, lecz o to, kiedy samochód został ostrzelany.

W miarę czytania twarz porucznika pochmurniała. Złożył papier, wsunął go do torby i zawołał:

— Chorąży!

Lekarka usłyszała, ale sądziła, że nie o nią chodzi. Saakaszwili musnął wąsy i postanowiwszy skorzystać z okazji podbiegł do niej, zsalutował i pokazał w kierunku porucznika.

— Chorąży do mnie — powtórzył Kozub.

— Słucham.

— Chorzy zostaną w sanitarkach. Ustawicie je pod murem fabryki. Szoferzy zorganizują osłonę. Pomoc możecie dobrać ze zdrowych więźniów.

Wszyscy sanitariusze z bronią zameldują się u mnie za dziesięć minut. Wykonujcie.

Ton nie dopuszczał sprzeciwu. Nie pytając o wyjaśnienie lekarka zasalutowała i szybkim krokiem odeszła do swoich.

— Sierżant Kos.

— Na rozkaz.

— Wóz?

— Sprawny.

— Wjeżdżajcie do obozu i zajmujcie stanowisko we wschodnim narożniku. Dodam wam trochę piechoty jak sformuję.

— Z sanitariuszy?

— Z kogo się da — odpowiedział Kozub i podchodząc o krok dodał ciszej: — Od północy przeciwnik przeszedł do natarcia siłami trzech dywizji i wbił klin w nasze skrzydło. Generał rozkazuje bronić obozu.

— Gdzie Niemcy?

— Za kanałem. Tam gdzie my nocą.

## ROZDZIAŁ 50. WE DWOJE

Jeleń kolanami ścisnął biodra Łażewskiego i oburącz ułapił, wiedząc, że jazda raczej nie będzie spacerowa. Spaść natomiast nie miał ochoty, żeby przed czekającym go spotkaniem gęby sobie nie pokancerować.

Zamigały w pędzie domki przedmieścia. Pochylili się obaj do przodu, by zmniejszyć opór powietrza, i wyskoczyli na ugór. Obróciwszy głowę na lewo Gustlik obejrzał w przelocie baterię przeciwlotniczą rozbitą pociskami jotesów, westchnął z uznaniem. Żał mu się trochę zrobiło, że choć paru granatów nie zdążył ze swej osiemdziesiątkipiątki wystrzelić. Można by teraz sprawdzić, jak rwą żelazo.

Zaraz potem przy zjeździe z nasypu wyniosło ich w powietrze, opadli na most, przeskoczyli go i zahamowali nad rowem rozjeżdżonym i błotnistym.

— Nie wysoko, ale latasz — stwierdził Jeleń.

— Zaczekać? — spytał Łażewski.

— Zaś ale... Nie sam będę wracał.

— To najpierw pannę Honoratę odwiozę, a potem jeszcze raz po ciebie skoczę.

— Dziękuję pięknie. — Ślązak klepnął go po ramieniu.

— Za trzy kwadranse tu będę — obiecał Magneto.

— Dobra.

Gustlik zbiegł na dno rowu, przeskoczył największe błoto i wspiał się po przeciwległej stronie. Spojrzał za siebie, ale po Łażewskim już tylko obłok kurzu został nad nasypem.

Jeleń ruszył szerokim krokiem i zaraz o motocykliście zapomniał. Nawet nie tylko o podchorążym, ale o „Rudym”, o załodze, o wojnie... Takie go myśli zaczęły nachodzić, że coraz o jedną dziurkę pas podciągał, to mundur wygładzał, to czapkę na głowie poprawiał, aż wreszcie, rozejrzawszy się na boki, czy nikt nie słucha, zaczął śpiewać na cały głos:

*Hen, na górze stoi zamek, w nim ma luba przebywa, przebywa.  
Siedzi sobie przy jasnym okienku białe orły wyszywa!*

Ani to był zamek, ani na górze stał i luba białych orłów nie miała zamiaru wyszywać, ale pasowała mu ta piosenka. Uśmiechał się, pokręcił głową, że oto w słoneczny dzień idzie tak sobie beztrosko do panny Honoraty, i po małej przerwie zaczął drugą zwrotkę:

*Dobrze ci jest, moja luba białe orły wyszywać,  
wyszywać, my musimy...*

Z daleka przyleciał górą narastający świst. Jeleń odruchowo skoczył do przodu, padł w głęboką koleinę czołgową i już leżąc, z twarzą przytuloną do piachu, dośpiewał:

*...ubodzy wojacy*

Granat przeniósł, ale rozerwał się niedaleko w polu, wyrzucił słup ziemi i dymu.

— Nie macie gdzie strzelać, pierony?!... — zaklął, otrzepał spodnie i ruszył dalej, kończąc zaczętą zwrotkę:

*My musimy, ubodzy wojacy  
w pustym polu w rzędzie stać.*

Ukryły go kępy wikliny, pojawił się i zniknął znowu, ale wciąż jeszcze słychać było marszowe śpiewanie:

*W rzędzie stoim jako skała,  
w rzędzie stoim jako mur, jako mur,  
wtem nadleci kula rozpalona...*

Sam potem rozmyślał, czy tak niechcący wyszło z tym śpiewaniem, czy może specjalnie to sobie ułożył, ale fakt faktem, że panna Honorata z daleka go usłyszała i miała czas, żeby oknem wyjrzeć, a potem udać ogromne zdziwienie, kiedy w progu stanął.

Ubrana była tak samo jak w pierwszy wieczór, ale dniem jaskrawszą czerwienią krzyczały kwiaty na plisowanej spódnicy, a piegi na nosku pojaśniały niczym, nie przymierzając, rodziniki w wielkanocnej babie i trzeba się było mocno nogami w podłogę zapierać, żeby zaraz nie skoczyć i zbierać wargami nie zacząć.

Chwilę tylko patrzyli na siebie, ale ona pewno się zaraz wszystkiego domyśliła, bo kazała mu siadać i czekać, z miejsca ni krokiem nie ruszając, a sama, poróżowiawszy jak majowa jabłonka, wybiegła do kuchni.

Został więc plutonowy Gutlik Jeleń w obwieszonym dywanami i rogami zabitych zwierząt hallu generalskiej willi, w tym samym, pod którego podłogą byli uwięzieni w schronie jej mieszkańcy. Siadł, jak mu kazano, za stołem, a przed nim stały bogate srebra stołowe, kilka rozmaitych talerzy, naczyń i naczyńatek ze starego serwisu. Strach pomyśleć, co by się stało, jakby tak o które niezręcznie zaczepić.

Przechylając się w fotelu zająrzył Gustlik do wielkiego lustra, które wisiało na wprost drzwi wejściowych, poprawił kołnierz munduru i plując w garść przygładził nieposłuszne włosy. Trącił przy tych zabiegach stół, wszystko zabręczało, zadzwoniło, ale szczęśliwie nie spadło.

Przez otwarte drzwi do kuchni dobiegało pobrzękiwanie garnków, skwierczenie rozgrzanych skwarek i miły głos dziewczęcy:

*Ratujże mnie, Boże, ratujże mnie przecie,  
ratujże mnie, Boże, ratujże mnie przecie  
bo mnie straszna bieda po sercysku gniecie.*

Widać dzień dzisiaj taki śpiewający wypadł, pomyślał Gustlik i pociągnął nosem, wężąc smaczne zapachy. Przysłuchiwał się dalej, a nawet brwi chmurzył przeciw tej biedzie, o której mowa w piosence, i pomacał pistolet maszynowy przewieszony w dół lufą na poręczu krzesła.

*Zakochałam ci się aż po same uszy,  
zakochałam ci się aż po same uszy,  
chłopaka przygarnąć radam z całej duszy...*

Urwała się piosenka i weszła Honorata niosąc na tacy kopiastą porcję jajecznicy, nie mniej niż z tuzina jaj, z wkrojonymi do środka kawałkami mięsa, i spory dzbanuszek z czarną kawą. Postawiła to wszystko na stole, przystanęła obok, wstażki czerwone w warkoczach poprawiając.

— Panna Honorata jak słowik.

— Zaś ale... Pan Gustlik jii.

Oparła o piersi bochenek chleba, po spodzie przejechała ostrzem noża na krzyż i odkrajała dwie pajdy jak do kosy.

— Kto takiej porcji rady da? — wzbraniał się Jeleń.

— Pan Gustlik jak zechce, to każdej da radę — odrzekła bez zastanowienia, a potem jakby się czegoś przestraszyła, lekko przygryzła dolną wargę.

Szukał w głowie, co by tu odrzec na takie grzeczne słowa, ale niczego odpowiedniego nie znalazł, więc kęs chleba odgryzł czym prędzej, żeby nie wyszło, że mruk albo gapa.

Wydostała Honorata z kredensu sporą kryształową karafkę, nie oszczędzając naląła swemu gościowi pełny kielich od wina.

— Sam przecież nie będę.

Naląła sobie, ale tylko na dno, jak panience przystało.

— Panna Honorata to ale zgrabna kuchareczka.

— Najpierw trzeba świeżej świniny nakroić, z cebulką podsmażyć, a dopiero na to jaja.

— A skąd świeża świnina u panny Honorat ki?

— Generałowa miała trzy prosiaki, więc jak wyście odjechali, a przyszła polska piechota...

— Piechota przyszła?

— Nie mówiłam? Przyszła i zanim poszła, to te świnie znalazła. Ja im mówię: „*Dobrze, może być gulasz, ale pół szynki mi dacie*”. Oni na to: „*Damy, jak panna Honorata też nam czego da*”.

Jeleń słuchał opowiadania, denerwując się coraz bardziej i złoszcząc, choć nawet nie wiedział czemu. A im bardziej był zły, tym szybciej zmiatał jajecznicę z półmiska, jak to zwykle ludzie nerwowi. W końcu jednak nie wytrzymał i przerwał:

— Chachary ta piechota. Jak trzeba czołgi w ataku osłonić, to w bruzdy wleżą i leżą.

— Ja powiadam: „*Dam coś takiego, co mam schowane i z czego będziecie radzi*”.

Zakrztusił się Gustlik z przejęcia, ale Honorata palnęła go w kark z rozmachem i trąciła szkłem o szkło. Wypił czołgista duszkiem, a ona ledwo wargi zwilżyła i dalej tłumaczyła, prędkości nabierając.

— No więc jak dostałam mięso, to otworzyłam schron i oddałam ich wszystkich: starego, czterech wartowników i generałową. Trochę się zdziwili,



ale wzięli. Tylko broni nie chcieli i tłumaczyli, że po to dobro trochejszczyki przyjdą.

— Trofejszczyki — poprawił Jeleń. — To tacy, co trofeje czyli każda zdobycz bierą. A już jakby taki skarb jak panna Honorata znaleźli...

— Jaki tam ze mnie skarb. Tyle co na sobie i ręce do roboty.

Naląła dziewczyna drugi kielich żołnierzowi i znowu swoim trąciła, nasłuchując, jak ładnie dźwięczy. Jeleń wypił z ulgą i wrócił do jedzenia.

— Pan Gustlik, chciałabym to wiedzieć, jaki ma fach.

— Czołgista.

— A właściwie?

— Celowniczy.

Oderwał się na chwilę od jedzenia i pokazał, jak celuje, wyciągając do przodu rękę, która miała wyobrażać armatę.

— Ba–bach!

Ręką szarpnął odrzut, a kiedy wróciła do położenia wyjściowego, to niechcący trąciła dziewczynę w ramię. Honorata zdążyła trzepnąć go po palcach, ale przysunęła się bliżej, żeby nie miał daleko sięgać.

— Z takiego strzelania profit nieduży, a i wojna się kończy. Generałem pan Gustlik nie zostanie...

Jeleń spojrział na swoje naramienniki, wychylił się do lustra, żeby twarz zobaczyć, i pokiwał głową na znak, że prawda.

— Więc chciałam wiedzieć, jak pan Gustlik myśli na siebie i rodzinę zapracować?

W kuźni! — rozpromienił się Jeleń, zrozumiałwszy nareszcie, o co chodzi. — Ojciec od młodości w Ustrońskiej Kuźni robił i ja też. Przy młocie. To taka maszyna, że tu się podkłada rozpalone żelazo, a ona z góry jak przyfanzoli...

W ostatniej chwili Honorata powstrzymała opadającą pięść Gustlika, uratowała porcelanę od pogromu, i tak jakoś wyszło, że zaraz potem siedzieli obok siebie, jedno drugie w ramionach trzymając.

— Nie ma czego żałować.

— Nie żałuj, Gustliczku, nie żałuj — szepnęła Honorata unosząc twarz ku niemu.

— Czego żałować, jak wszystko niemieckie? — zamruczał Jeleń pod adresem naczyń na stole.

Odsunęła się dziewczyna, westchnęła i podzwaniając porcelana zaczęła ją zbierać, żeby odnieść do kuchni.

— Nieprawda, nie niemieckie — mówiła rozżalona. — Talerze od Duńczyków, karafka z Polski, kieliszki od Francuzów. Wszystko kradzione na wojnie i jakbym chciała, tobym nawet mogła zabrać.

— Jak zabierać, to lepiej to czarne auto, co panna Honoratka wtenczas mówiła — oświadczył z lekka wstawiony Jeleń i nie bacząc, że dziewczyna wyszła z naczyniami do kuchni, ciągnął dalej: — Ale jak panna Honoratka chce, to możemy talerze do auta, pannę Honoratę do auta...

Po alkoholu Gustlik nabrał odwagi. Sam się zdziwił, że mu jej przed chwilą zbrakło i okazję niezwykłą jak pies różę zmarnował. Jak pies właśnie, i to nie Szarik, który ma rozum większy od niejednego, co na dwóch nogach chodzi diabli wiedzą, co ma na naramiennikach naszyte.

Wstał, przytupnął sobie, leciutko zakołysawszy biodrami ruszył uśmiechnięty na spotkanie dziewczyny. Honorata akurat wybiegła z kuchni, ale lęk miała na twarzy, przemknęła do okna pokoju, wyjrzała i dopiero potem zawróciła do Jelenia.

— Niemcy.

— Gdzie Niemcy?

— I tu, i tam. Z karabinami.

— Co nam paru szwabów. — Jeleń wyciągnął rękę w stronę pistoletu maszynowego.

— Nie rusz! — krzyknęła do niego i tupnęła nogą.

Naląła czarnej kawy do kielicha po alkoholu.

— Pij!

Posłusznie wychylił jeden i zaraz potem drugi. Honorata tymczasem przydźwigał z kuchni wiadro pełne wody.

— Podstaw głowę. Niżej.

Bez słowa się pochylił, a ona wylała mu na ramiona i szyję cały kubek.

— Niemcy wrócili — szepnęła ręcznik podając.

Jeleń wytrzeźwiał. Ocierając jeszcze twarz podskoczył do jednego, do drugiego okna. Teraz on przejął dowództwo.

— Jest trzecie wyjście?

— Nie.

— A do garażu?

- Do środka. Ale od dworu zamknięty.
- Jest to żelazo, co był nim schron zawarty?
- Jest — pokazała w stronę kominka.
- Powrózek mi potrzebny, mocny a długi.

Pozrzucał stare szable i pistolety umieszczone na słupach podtrzymujących schody, a potem, wygarnawszy z kąta zdobyczne niemieckie automaty, zaczął mocować je na tych samych miejscach.

Honorata przyniosła duży kłęb sznura do wieszania bielizny i zorientowawszy się w lot, o co chodzi, pomagała plutonowemu przewlekać końcówkę przez kabłąki spustowe.

W ciągu tych kilkudziesięciu sekund, które upłynęły od pierwszego ostrzeżenia Honoraty, przez park podchodzili do willi niemieccy piechurzy — czołowy pluton pułku grenadierów należącego do grupy uderzeniowej generała Steinera.

Skoncentrowawszy na północ od Kanału Hohenzollernów, zwanego dziś Havelkanal, 7 dywizję pancerną i 25 dywizję grenadierów oraz jeszcze tuzin pozbieranych na tyłach batalionów, Steiner niespodzianie zaatakował skrzydło 1 Frontu Białoruskiego. Hitler rozkazał mu przedrzeć się do Berlina. Trafwszy na Polaków, na oddziały osłonowe 1 armii, Niemcy odrzucili je pierwszym impetem, liczebnością, ogromną przewagą ognia i posuwali się na południe.

Dobrze uzbrojony i wypoczęty pluton sprawnie wykonywał rozkazy podoficerów. Dwie grupy ubezpieczające zajęły stanowiska za grubymi pniami drzew, gotowe do otwarcia ognia, a czołowa drużyna zbliżała się do zabudowań. Szperacze podskoczyli już do samych drzwi, spróbowali klamki, a jeden załomotał kolbą.

— Wer da? — usłyszeli z wnętrza głos męski, ale niepewny i zalękniony.

— Die Wehrmacht. Aufmachen.

— Och, Gott sei dank! Warte doch, ich bin krank, ein Moment... — wyjęczał w odpowiedzi Gustlik i po cichutku mruknął: — Zaczekajcie, pierony klęte, już ja wam pokażę, jakim chory.

Na palcach pobiegł za Honoratą, która otwierała drzwi prowadzące z mieszkania do garażu. Za nimi drzemała w półmroku duża czarna limuzyna.

Światło wpadające przez przykurzone okienka nad wrotami czerwieniło trójkątną chorągiewkę generalską, na której orzeł z rozprostowanymi skrzydłami trzymał w szponach swastykę. Materiał był usztywniony wszytym w krawędzie drutem.

— Nie wybuchnie? — pytała niespokojnie Honorata podtrzymując lewą ręką wysoko zakasaną spódniczkę, w której ostrożnie niosła coś ciężkiego.

— Nie. Gdzie klucz od auta? — odszepnął Gustlik, wieszając na klamce końcówkę konopnego sznura od bielizny, który prowadził w głąb willi.

— Na haczyku.

Z tablicy na ścianie zdjął elegancki kluczyk wozu, otworzył drzwiczki i wśliznął się do wnętrza.

— Panna Honoratka na siedzenie wysypie — doradził otwierając limuzynę z drugiej strony.

— Nie wybuchnie?

— Nie.

Podczas gdy ona wybierała z podołka i układała na przednim siedzeniu zaczepne niemieckie granaty, Jeleń podszedł do wrót garażu, wsunął pod nie łom, dźwignął i bez większego trudu wysadził z zawiasów.

Honorata skończyła z granatami i pobiegła w głąb mieszkania.

— Ech, du Kranke, mach auf. Schneller! — usłyszał zniecierpliwiony głos jednego ze stojących przed willą żołnierzy i walenie butem w drzwi.

— Ein Moment — zamruczał do siebie Gustlik, wyważając ostrożnie garażowe wrota z drugiej strony.

Teraz były już tylko oparte o framugę — wystarczyło pchnąć mocniej, żeby wywalić. Przez szparę nad nimi zajrzało słońce, rozjaśniając przykurzone wnętrze, złote i srebrne błyski zawirowały w skośnej smudze światła.

Jeleń siadł do wozu, przekręcił kluczyk w stacyjce. Drgnął i do samego końca podskoczył czerwony wskaźnik paliwa — bak pełen. Przed krytyczną próbą plutonowy westchnął głęboko, uniósł kciuk prawej ręki na szczęście, jak zwykł robić przed każdym strzałem z armaty, i nacisnął starter.

Wóz zapalił natychmiast, za co został głośnięty po kierownicy i przegazowany. Podczas gdy grzał się na ssaniu, Jeleń wyskoczył i podbiegł do drzwi willi.

— Honoratka!

— Lecę przecież! — odkrzyknęła i pojawiła się, niosąc na ręku kurtkę, czapkę i pas befehlsleitiera NSDAP.

— Przyda się? Generał jak w cywilu, to taki mundur nosił...

— Panna Honoratka ma głowa — stwierdził z uznaniem Gustlik.

Tak prawdę mówiąc, to głowy w tej chwili nie było widać, bo dziewczyna ustawiała na tylnym siedzeniu koszyk z serwisem, który postanowiła zabrać ze sobą.

— Genug. Mach auf! — usłyszeli głos rozzłoszczonego zwłoką podoficera i zaraz potem ciężki łomot kolb wyłamujących drzwi wejściowe.

— Prawda, dość będzie. Już ja wam otworzę — zamruczał do siebie Gustlik i począł lekko napinać sznur.

Drzwi wejściowe już się chwiać zaczynały, gdy nagle tuż nad głowami grenadierów poszły drzazgi odłupywane kulami, a we wnętrzu załomotały serie automatów. Z brzękiem posypały się szyby z rozbitego okna, zagwizdały pociski. Zaskoczeni padli na ziemię i kryjąc się pod ścianami wyszarpywali zza pasów granaty.

Obie grupy osłonowe natychmiast otworzyły ogień. Serie karabinów maszynowych wydziobywały ciemne pryszcze na tynku, rozbijały resztki szyb w oknach, ciskały do wnętrza garście kul. Gdy zrzędy, a potem urwały się na chwilę, to jednak ze środka zaterkotały powtórnie pistolety maszynowe.

— Feuerschutz! — rozkazał oficer. — Osłona ogniowa!

Grad ze wszystkich luf uderzył w okna willi na parterze i piętrze. Czający się pod murami ciskali granaty.

W tej samej chwili z wnętrza po raz trzeci pistolety maszynowe zagrały długimi seriami i umilkły.

Wybuchy obluzowały drzwi wejściowe. Dwu z grupy szturmowej wyważyło je, skoczyli do przedsionka.

— Feuerpause! — krzyknął dowódca drużyny.

— Feuerpause, przerwać ogień — powtórzył za nim oficer i jednocześnie dał znak do zmiany stanowisk.

Krótkimi ostrożnymi skokami posuwali się w stronę willi, w której wnętrzu znowu łomotały serie.

Przez wyważone drzwi w ślad za pierwszymi żołnierzami wdarła się druga grupa. Nowi wsuwali lufy do pokancerowanego wybuchami hallu,

unosząc głowy nad podłogą zaglądali ostrożnie — i rzeczywiście za rozbitymi sprzętami ktoś się poruszył. Warknęło jednocześnie kilka luf i osypały się po ścianie resztki wielkiego lustra.

— Das war der Spiegel, du Idiot! — zaklął podoficer.

Zerwał się, wbiegł do wnętrza i spostrzegłszy sznur przywiązany do spustów pistoletów maszynowych, wiszących na słupach, cisnął najcięższe ze znanych mu przekleństw.

Nim rozerwały się pierwsze granaty, Gustlik już siedział za kierownicą generalskiego samochodu, ubrany w jasnobrązową kurtkę befehlsleiters, wysokiego partyjnego urzędnika NSDAP, w pasie z szeroką koalicijką przez lewe ramię, z czerwono-czarną opaską powyżej lewego łokcia. Zerkając w lusterko, poprawił sobie czapkę na głowie i uśmiechnął się do Honoraty, by jej dodać otuchy.

Usłyszawszy wybuchy, ostatni raz napiął sznur, przytrzymał, a potem, cisnąwszy koniec za opuszczoną szybę, począł coraz mocniej przydeptywać pedał gazu, drugą stopą luzując sprzęgło. Wóz ruszył i naparł zderzakiem na garażowe wrota. Wrota drgnęły, wyprostowały się i z wolna, a potem coraz szybciej poczęły padać.

Jeleń wyczekał, aż trzepną o ziemię, ruszył po raz drugi, wyjechał i natychmiast skręcił na tyły budynku, do służbowego wyjścia, które prowadziło w las. Przy otwartych wrotach spotkał drużynę piechoty, ale podoficer, zobaczywszy przymocowaną na lewym błotniku trójkątną chorągiewkę i mundur za szybą, zsalutował pospiesznie.

— Panna Honorata to mogłaby być plutonowym — stwierdził z uznaniem Gustlik, przełączając biegi.

— A pan Gustlik jaką ma rangę?

— Taki jak ten to się nazywa befehlsleiter.

— Ale naprawdę?

— Naprawdę, to jestem plutonowy.

Patrzyli sobie w oczy zachwyceni i uśmiechnięci, póki na wąskiej leśnej drodze samochód nie trafił na wysoko zrąbany pniak.

Trzepnęli solidnie, rzuciło ich do przodu, szczęściem, że nieprędko jechali. Honorata poprawiła koszyk z porcelaną na tylnym siedzeniu. Gustlik cofnął wóz, wyskoczył, przyglądał mu się z przodu.

— Da radę jechać? — spytała dziewczyna.

— Aby ino wyproście.

Chwycił koniec zgiętego zderzaka, który przyciskał oponę, wparł się nogą w błyszczącą niklowaną belkę i zaczął ciągnąć do siebie z całych sił.

Nie poszło mu to od razu, musiał prostować sposobem, przy pomocy łomika, i czasu zeszło więcej niż trzeba. Kiedy na tyle odgiął, żeby się koło mogło obracać, to w perspektywie drogi zobaczył półciężarówkę z żołnierzami. Za nią wyjechały trzy motocykle i zbliżały się szybko.

Jeleń skoczył do wozu, dał gazu, poderwał samochód z drugiego biegu. Jak nie patrzysz, dokąd jedziesz — pomyślał z pretensją do siebie samego — to możesz tam dojechać, skąd już nic nie zobaczysz.

Zobaczył w lusterku błysk wystrzelonej rakiety. Mocniej docisnął gaz, lawirował w lewo i w prawo, wybierając co równiejsze fragmenty leśnej drogi. Tuż nad samochodem przemknął kłębek światła, rozprysnął się wiśniowymi gwiazdami kilkanaście metrów przed maską.

— Strzelają do nas? — spytała zalękniona Honoratka.

Schowała głowę za oparcie, przycisnęła dłońmi warkocze do uszu, ściągając niechcący wstążkę.

— Jeszcze nie — odpowiedział Gustlik. — Ino proszą, coby my stanęli, to oni nas złapią i zastrzelą.

— Staniemy, panie Gustlik?

— Ale kaj, za żadne pierony! Panno Honorato, biercie te kluchy, wyciągajcie kółka. — Jeleń sam sięgnął ręką, zębami wyrwał zawleczkę i dodał: — A potem za siebie ciepajcie.

Honorata posłusznie odbezpieczyła zapalnik.

— Za siebie? — spytała nie bardzo rozumiejąc, jak ma to zrobić.

W lusterku Gustlik widział już twarze motocyklistów, którzy gwałtownie dodawszy gazu skracali dystans.

— O tak — wystawiwszy rękę za okno rzucił granat wstecz, ponad dachem.

Honorata powtórzyła jego ruch. W tej samej chwili warknęła seria, garść kul przegwizdała górą. Parę zawadziło o cel, podziurawiło blachę. Trzy małe otworki obrzeżone zmarszczkami wykruszyły się w przedniej szybie.

— Strzelają? — pytała Honorata i rwąc jedną po drugiej zawleczeni ciskała granaty na drogę.

— Uhm — zamruczał Gustlik.

Nie bardzo go było słyhać, bo minęły już trzy sekundy od pierwszego rzutu i jeden po drugim zaczęły grzmieć wybuchy, a z trawy, z kolein gwałtownie wyrastały czarno-czerwone krzaki. Motocykliści starali się wyminąć, przeskoczyć między nimi, ale już jeden, tuż za nim drugi wpadli w wykrot, polecieeli w bok na pnie.

Piechurzy z półciężarówki przez parę sekund prowadzili gęsty ogień, ale wjechawszy na granat, utknęli z urwanym przednim kołem.

— Dosyć! — wołał Gustlik, ale Honorata nie zrozumiała go w przestachu. — Przeca mówię, że będzie dość — przytrzymał ją za rękę.

Dopiero teraz dziewczyna się obejrzała i zobaczyła, że na pustej już drodze coraz to wyskakują płomienie i kurz, wybuchy gonią za samochodem.

Kiedy ostatni kłęb dymu rozwiął się w powietrzu, a nowych nie było widać, siadła na swoim miejscu z powrotem. W przedzie grupki niemieckich piechurów przechodziły z prawej na lewo przez drogę. Widząc samochód z chorągiewką dawali mu przejazd.

— Ale fajnie! — cieszyła się Honorata.

Cień spadł gwałtownie z góry na samochód, zawyło powietrze, rude krechy pocisków smugowych rozczesały korony drzew i tuż nad szczytami przemknęły szturmowce z szachownicami na płatach.

— Fajnie, ale nie bardzo — odpowiedział Gustlik. — Od swojego bym dostać nie chciał.

Spoglądał w lusterko do tyłu, przez szyby do przodu i na boki — sporo tej piechoty w kolumienkach plutonów.

— Panna Honorata mnie lubi?

— Może i lubię.

— Zrobi, co każe?

— Zrobię — zdecydowała dziewczyna.



— Jak dojedziemy blisko kanału, ja powiem kiedy, to panna Honoratka co sił pobiegnie przez most i kogo spotka, powie: „*Plutonowy Jeleń powstrzymuje przeważające siły wroga i prosi o pomoc*”.

— Ależ...

— Honoratko roztomiła, ten jeden raz mi się nie przeciwiaj. Pobiegniesz?

— Pobiegnę.

Gustlik cisnął gaz i czarny generalski samochód, skacząc po wybojach, rwał coraz szybciej do przodu.

Kanał, który nocą forsowały czołgi i motocykle patrolu pancernego porucznika Kozuba, jest prostopadłym odgałęzieniem Kanału Hohenzollernów i biegnąc z północy na południe, mógł stanowić dobrą osłonę skrzydła dla wojsk generała Steinera. Należało w tym celu zniszczyć na nim wszystkie mosty i ogniem uniemożliwić przeprawę przeciwnikowi.

Pluton niemieckich piechurów wraz z grupą minerów dotarł w pobliże zwodzonego mostu i zatrzymał się na skraju lasu. Oficer uważnie przepatrywał teren przez lornetkę ze szczytu tego samego pagórka, na którym siedzieli nocą Łażewski i Kozub. Przedpole wydawało się całkiem puste, tylko po drugiej stronie kanału, ścieżką na koronie nasypu jeździł motocykl. Gnał na południe, potem hamował, zawracał i równie spieszenie pędził na północ. Leutnant nie mógł pojąć, co on tam robi, jakie zadanie wykonuje.

Zmęczeni żołnierze pokładli się w cieniu pod wiklinami. Ocierali z potu twarze i chłodzili piersi pod rozpiętymi mundurami, dyszeli ciężko. Za plecami dowódcy plutonu stało dwu łączników i do nich wreszcie się zwrócił, wskazując motocyklistę:

— Abschiessen.

Zasalutowali i przygięci do ziemi ruszyli w kierunku kanału. Przebiegając od jednej kępy krzaków do drugiej zniknęli wkrótce z oczu.

Oficer patrzył, czy ich gdzie jeszcze nie dostrzeże, a potem obejrzał się, słysząc za plecami narastający szybko warkot silnika. Mignął między drzewami czarny kształt, zniknął i wreszcie o kilka metrów dalej pojawił się generalski samochód.

Dowódca plutonu stanął na drodze i podniósł rękę, by powstrzymać nadjeżdżającego. Tamten widocznie na zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa i bliskości przeciwnika, nie zwalniał. W ostatniej chwili

oficer zdążył uskoczyć w bok. Coś go zaniepokoiło, bo wyszarpnął pistolet z kabury i wymierzył w oponę. W tej samej chwili eksplodowały dwa granaty wyrzucone przez okna samochodu w momencie przejazdu.

Zerwali się grenadierzy, ktoś krzyknął, nie mogąc pojąć, co się stało. Ktoś inny pochylał się nad nieżywym dowódcą. Tymczasem auto odjechało około stu metrów i zniknęło tak nagle, jakby się pod ziemię zapadło. Spóźniona seria pistoletu maszynowego ścięła tylko parę wiklinowych witek.

Kule przegwizdały wysoko nad rowem przeciwczołgowym, na dnie którego z maską utkwioną w głębokim błocku stał generalski mercedes z postrzelaną szybą, podziurawionym dachem i bagażnikiem przeciętym serią.

- Biegnij, Honoratko — rozkazał Gustlik.
- Ty zostaniesz?
- Zostanę. Nie przeciw mi się, biegnij — pokazał w stronę mostu.

## ROZDZIAŁ 51. SAMOTNOŚĆ

Honoratka przeżegnała się, pobłogosławiła Gustlika znakiem krzyża i z miejsca ruszyła kłusem. Nie oglądając się biegła początkowo dnem rowu, potem skręciła między krzakami w stronę wartowniczego domku.

Nie należała do tych, które bez namysłu to robią, co im kto każe. Przeciwnie — gdzieś za uchem miała lichy przekorne, które naszeptywało, i nawet od matki nie raz oberwała ścierką za sprzeciwianie się starszym. Gustlikowi też miała zamiar być powolna tylko wtedy, kiedy jej będzie pasowało. Tym razem jednak posłuchała wbrew własnej woli. Chciała być razem, ale go zostawiła, bo coś takiego brzmiało w głosie żołnierza, przed czym musiała ustąpić. *„Nie przeciwiaj mi się — rzekł — Honoratko roztomiła, ten jeden raz”* i kazał powiedzieć, że trzyma wroga z całej siły i o pomoc prosi.

Zaczęła sobie w pamięci Gustlikowe słowa przypominać i powtarzać, zerkając pilnie na lewo, żeby jej tamci z lasu nie wypatrzyli. Domek był coraz bliżej, a i most już niedaleko, gdy niespodzianie wpadła na dwu zaczajonych grenadierów. Klęczeli z lufami wysuniętymi w stronę kanału, wytrzeszczali oczy na tamten brzeg, jakby się spodziewali diabła zobaczyć, i kroki Honoraty zdumiały ich bardzo.

— Was machst du hier? Co tu robisz — spytał jeden.

Drugi patrzył na koronkę wpiętą we włosy, na warkocze, na biały fartuszek i głupawo się uśmiechał, coraz szerzej otwierając usta.

Honorata wyrwała zawleczkę z trzymanego w garści granatu i cisnęła nim jak kamieniem, trafiając bliższego w głowę. Niemiec złapał się za czoło i upadł. Drugi skoczył do dziewczyny, chciał chwycić za gardło, ale tak dostał kolanem w żołądek, że zgiął się we dwoje.

Granat stoczył się w dół po skarpie betonowej, wpadł w wodę i stamtąd cisnął w górę mokrą fontannę, ogłuszając wszystkich troje.

Chwilę leżeli bez ruchu. Potem wstała Honorata, potrząsnęła głową, bo w uszach bardzo dzwoniło od huku. Z wysiłkiem wspięła się na nasyp i zebrawszy siły zaczęła biec w stronę mostu.

Ten roześmiany przed chwilą dźwignął głowę, klęknął na jedno kolano. Chwiało nim jak po przepiciu. Widząc, że nie dogna dziewczyny, podniósł do strzału pistolet maszynowy. Długo mierzył do biegnącej, bo go po wybuchu mdliło, nim wreszcie nacisnął spust. Zamek skoczył do przodu, iglica uderzyła w pustą spłonkę — niewypał.

— Donnerwetter — zaklął, repetując.

W tej samej chwili z przeciwnej strony zjechał z nasypu i wpadł na most motocykl Łażewskiego, zwabionego hukiem granatu. Podchorąży jednym rzutem oka zobaczył biegnącą dziewczynę i celującego Niemca. Błyskawicznie oceniwszy sytuację zeskoczył w pędzie z siodełka, wyrwał pistolet z kabury i strzelił.

Chybił, lecz życie Honoracie uratował, bo Niemiec, spostrzegłszy groźniejszego wroga, przeniósł lufę z biegnącej na motocyklistę. O ułamek sekundy wyprzedzając serię Magneto upadł, przetoczył się w bok pod osłoną krawężnika. W chwili gdy kule zadzwoniły o metalowe wiązania, wychylił się zza nabijanej nitami rozporki i strzelił powtórnie, tym razem bez pudła.

Nim zdążył wstać, Honorata przyległa obok.

— Plutonowy Jeleń bije przeważnie wroga i kazał, żeby sprowadzić pomoc.

Podchorąży dźwignął motor, który od paru sekund leżał na jezdni, przebijając przednim kołem w powietrzu.

— Pojedziemy do niego? — spytała z nadzieją.

Górami zagwizdały pierwsze kule wystrzelone z odległego o trzysta metrów lasu.

— Nie. Jednego pistoletu za mało — odpowiedział Łażewski. — Siadaj i trzymaj się mocno.

Gdy dziewczyna objęła go w pasie, Magneto dodał gazu i ścigany seriami dwu karabinów maszynowych ruszył z mostu pod górę na nasyp.

Zaskoczony przez Niemców w gościnie u Honoraty, wytrzeźwiawszy po dwu wychylonych kielichach kawy i wiadrze zimnej wody wylanym na głowę, Gustlik początkowo myślał tylko o jednym: jak dziewczynę ocalić i własnej głowy nie stracić. Już jednak w garażu, szykując wóz do ucieczki, przypomniał sobie, o czym była mowa z samego rana przy czołgu: Wichura opowiadał o zawziętych walkach 2 armii, a Janek się niepokoił, co to za

artyleria wali na północny wschód od Kreuzburga. Być może więc, że to nie drobny oddział wałęsający się po naszych tyłach, lecz czołowy pluton pułkowego ubezpieczenia...

To, co zobaczył na leśnej drodze, potwierdziło najgorsze przypuszczenia. Wtenczas zdecydował, że się zaczepi przy moście, a Honoratę pośle, żeby uprzedziła. Tam przecież nikt się niczego nie spodziewa i nawet parę czołgów czy kompania piechoty, jeśli zaatakują niespodzianie, mogą opanować miasto i zdobyć obóz. Tysiące ludzi, którym parę dni temu pancerny podjazd przywrócił życie, zostaliby skazanych na natychmiastową zagładę.

Nie mógł pozwolić, by po raz drugi wydano na nich wyrok śmierci. Mówili niezrozumiałymi językami, nie znał ich miast, wiosek i imion, ale kiedy patrzył, jak z trudem dźwigają ciężkie głowy na cienkich szyjach, kiedy kładł kromki chleba w dłonie niebieskawe i półprzezroczyste niczym błoniaste łapy kaczek, czuł, że od tego dnia, w którym „Rudy” zmiął zasieki i rozwalił bramę, ci ludzie znaleźli się pod jego opieką, że w jakimś stopniu jest odpowiedzialny za ich powrót do domów.

Dlatego, odesławszy Honoratę za most, został na dnie przeciwczołgowego rowu. Został z pepeszą, dwoma zapasowymi bębnami po siedemdziesiąt dwa naboje i kilkunastoma granatami na podłodze generalskiego mercedesa. Wyszukał wśród nich cztery obronne, jeden wsunął do kieszeni, a trzy powiesił na pasie.

Wgramolił się po stromym zboczach i zasiadł na dnie leja po artyleryjskim pocisku, który trafiwszy w krawędź skarpy wyrył dość znaczny okop, dobrze osłonięty od strony lasu splątana kępą wikliny. Widział stąd wszystkie podejścia, pozostając sam niewidoczny, a o to właśnie chodziło, bo przyczajony jak żbik miał strzec drogi, nie zdradzając możliwie najdłużej swego stanowiska. Być może przeciwnik zlekceważy ją albo zapomni czy wręcz ominie, idąc prosto w kierunku Berlina. Przypomnił sobie, jak niedawno stąd mówił do Łażewskiego, że najlepszy dowódca to taki, co potrafi wygrać nie otwierając ognia.

Huki armat chodziły po horyzoncie, wybuchy hurkotały nieustannie, jakby ciężko ładowane wozy pędziły szosą kocimi łbami brukowaną ku Berlinowi i z powrotem. W przydymionym lekko niebie wirowały trzy szturmowe kręgi i chyba ze czterdzieści iluszynów naraz obrabiało bombami i raketami kolumny przeciwnika. Lecz ten najbliższy las był spokojny i cichy.

Zieleniał przyjaźnie i wesoło najrozmaitszymi żółtościami. Nikt stamtąd nie nadchodził, nawet ruchu żadnego nie było widać. Załomotał dzięcioł i ostrym chichotem zawołał na samiczkę. Być może Niemcy straciwszy dowódcę cofnęli się albo poszli dalej na południe.

Właśnie od południowej strony wiatr przygnał warkot. Nasypem po drugiej stronie kanału nadjeżdżał motocykl. Ani chybi podchorąży na nim, bo sypie po ścieżce osiemdziesiątką z hakiem. Tylko gdzie Honoratka, która już powinna była dobiec do mostu?

Huknął przy budce granat. Motocyklista dał gazu i zjechał w dół z nasypu. Padł strzał z pistoletu, potem seria, znowu strzał pojedynczy.

Jeleniowi zrobiło się nagle gorąco. Rękawem otarł czoło i zauważywszy, że wciąż jeszcze siedzi w mundurze dostojnika hitlerowskiej partii, zerwał z siebie tabaczkową kurtkę, cisnął na dno rowu.

— Wolałbym prawa ręka stracić... — mruknął bezradnie.

Z krawędzi lasu odezwał się niemiecki karabin maszynowy. Kule smugowe wskazały cel, do którego strzelał: motocykl forsujący podjazd za mostem i wysoki nasyp. Bez lornetki Jeleń zobaczył na nim jaskrawą plamę spódnicy, a nawet mu się zdało, że i warkocze rozwiane pędem.

Nim seria smugowa dobiegła końca, Gustlik już klęczał z kolbą pepeszy przy ramieniu, chwycił błyski na muszkę i nacisnął spust. Wbił garść pocisków w leszczynową zieleń, tuż potem drugą o metr w prawo, bo jeśli tamten odchylił głowę od maszynki, to powinien teraz dostać. Z lewej zamajaczyło coś, zakołysały się gałązki, więc pociągnął przez nie gwałtowną kośbą. Automat bił równo, gniewnie, drgał mu w dłoniach jak żywa istota i Jeleń pomyślał z wdzięcznością, że we dwóch — on i pistolet maszynowy — dali radę faszystowskiej maszynie: udławiła się po pierwszej przymiarce, nie dosięgła podchorążego i Honoraty.

Odwróciwszy na sekundę głowę zobaczył niknący błysk czerwieni i aż dłonią po kolanie trzepnął z radości, że zdążyli skryć się przed ogniem.

Zaraz potem spowaźniał. Ten emge sprowokował go do otwarcia ognia, do zdradzenia stanowiska. Zniknęła ostatnia szansa, że uda się spokojnie doczekać podejścia naszych. A póki nie nadjadą, plutonowy Jeleń odpowiada za powstrzymanie przeciwnika i obronę mostu.

Wsparty plecami o stromą ścianę leja, patrzył sekundę jeszcze na obłok kurzu wiszący nad nasypem w tym miejscu, w którym zniknął motocykl

podchorążego. Górą szły spóźnione, lecz coraz gęstsze serie broni maszynowej. Jeleń zsunął się na dno wykopu, odłamał generalską chorągiewkę z błotnika i wbił ją w postrzelany dach. Potem strzępiastym odłamkiem nakreślił wzdłuż cienia rysę.

Energicznym szarpnięciem otworzył dziurawy bagażnik. Sporo tu było różnych przedmiotów, ale Gustlikowi przydał się tylko jeden — saperska łopatka. Zebrał do brezentowej torby resztę granatów, które zsywały się z siedzenia, poprawił koszyk z porcelaną. Gruchotało w nim na dnie, ale nie bardzo. Gdyby udało się resztę ocalić, miałyby jeszcze Honoratka na czym od święta podać.

Umilkły serie karabinu maszynowego, ktoś krzyknął niezrozumiałą z tej odległości komendę. Warknął szmajser. Jeleń nasłuchiwał niespokojnie, potem splunąwszy w garść wziął saperkę, wspiął się po zboczu wykopu i wyrztał ostrożnie przez krawędź.

Wyrztał w samą porę, bo po łące, nie kryjąc się wcale, nadchodziła grupka grenadierów. Na wszelki wypadek postrzelowali, rozsiewali kule przed siebie, nie wierząc jednak, że pojedynczy fizylier, który przed chwilą dał parę serii do erkaemu, odważy się stawić opór.

Gustlik oceniwszy, że odległość jest jeszcze zbyt wielka, podpuszczał ich bliżej. Przy stosunku sił jeden do dziesięciu zaskoczenie mogło mu pomóc bardziej niż wystrzelone w powietrze pociski. Ogień, który nie razi, ośmiela przeciwnika, przypominał sobie z regulaminu walki. Postanowił nacisnąć spust dopiero wówczas, kiedy wyraźnie zobaczy swastykę w szponach orła na piersi najbliższego. Zdawało mu się, że tamci idą coraz wolniej. Poczul lęk, że może go spostrzegli, ale to było tylko złudzenie.

Kiedy warknęła pepesza i prawie spod nóg wytrysnęły gęste serie, zaskoczenie sparaliżowało im mięśnie. Nim się rzucili na ziemię, paru wypuściło broń z ręki. Reszta ukrytych, w trawie, otworzyła ogień w to miejsce, z którego padły strzały.

Jeleń skorzystawszy z chwili zwłoki odbiegł kilka metrów w prawo, przymościł się za kępą zeschniętych traw zeszłorocznych. Widział stąd hełm i ramiona najbliższego, lecz nie dał się skusić łatwym łupem, czekał. Dopiero gdy przynagleni komendą zerwali się do biegu, dostali ogień z flanki, który powstrzymał ich po raz drugi.

Gustlik znowu odskoczył w bok, tym razem w lewo, i szerokimi zamachami ramienia cisnął cztery granaty. Ciemne jaja płaskimi łukami poleciały na rekordową odległość, wybuchły jedno po drugim, skłaniając resztę pokaleczonej drużyny do odwrotu.

Patrzył, jak zostawiwszy poległych wycofują się skokami od kępy do kępy. Otarł pot z czoła i spojrzał na dach samochodu — niestety, kąt między rysą a cieniem był jeszcze bardzo niewielki. W boju kule lecą szybciej od sekund. Rozpiął mundur, sięgnął po saperkę i wziął się do przygotowywania okopów.

W silnych, nawykłych do pracy rękach mała łopatką potrafi dokonać wielkich rzeczy. Ostra stal cięła ziemię równymi płatkami. Odrzucał ją za siebie w głąb rowu, a nie na przedpole, by przeciwnik nie spostrzegł tych spieszonych prac inżynieryjnych. Skarpa dobrze osłaniała przed obserwacją. Skończył jedną wnękę, przymierzył się i zaraz zaczął drugą kilka metrów dalej. Wiedział, że dłużej niż pół minuty nie dadzą mu strzelać z jednego stanowiska, że skoncentrują ogień paru kaemów albo i z moździerza trzepną.

Po tej drugiej przysiadł, żeby odpocząć i wyrównać oddech, bo gdyby tak teraz do strzelania przyszło, trudno by muszkę uspokoić. Sekundę lub dwie zastanawiał się, dokąd zdążył dojechać Łażewski, jak prędko może być z powrotem z posiłkami i czy pod dobrą opieką Honoratę zostawi. Potem jednak myśli same wróciły na pole boju. Jeśli chciał wieczora doczekać, musiał skoncentrować wszystkie siły mięśni i mózgu na tym rowie przeciwczołgowym, przewidzieć, co zrobi przeciwnik, i umieć go czymś zaskoczyć. Czym, tego jeszcze nie wiedział. W każdym razie nie potęgą ognia, gdyż dysponował jedną zaledwie lufą...

Nawet paru dobrych żołnierzy, zajmąwszy mądrze wybrane stanowiska, może zmusić wielokrotnie silniejszego przeciwnika do zwolnienia marszu. Gdy czołowy patrol trafia w ogień i zostaje odrzucony, ubezpieczenie musi się rozwinąć, zaatakować... Zanim dowódca zorientuje się w sytuacji, ustali kierunki i wyda rozkazy, upłynie zawsze trochę czasu.

Teraz już nie tylko w Kreuzburgu, ale i w sztabie armii wiedzą, co się święci, i czasu nie tracąc rzucili do ataku najszybsze, bo powietrzne pułki. Coraz gęściej nad lasem. Już nie tylko iluszyzny wbijają atakujących w ziemię, lecz i myśliwce szturmują i na górnym piętrze pojawiły się dwusilnikowe peszki. Właśnie eskadra ostronosa załamała lot i prawie



pionowo nurkuje w narastającym wyciu i gwiździe. Zwolniły bomby, sekundę szły równo z nimi, a potem ostrymi łukami wyskoczyły ku górze. Drgnęła ziemia od ciosu, osypały się grudki rdzawej gliny ze ścian Gustlikowego okopu.

Czas potrzebny Niemcom na przygotowanie ataku na most już minął. Przestrzeń między lasem a rowem jest jeszcze pusta, lecz jeśli lotnictwo nie skłoniło ich do odwrotu, to w każdej chwili może się pojawić tyraliera i wówczas przyjdzie koniec. Gustlik popatrzył w lewo i w prawo, spojrzał na pusty nasyp za kanałem. Nigdzie nikogo.

Był sam. Gdy ruszy tyraliera, może otworzyć ogień, skosić dwu czy pięciu, ale jej nie powstrzyma. Wygra jeszcze trzydzieści sekund, w najlepszym przypadku — minutę i to już będzie koniec. Koniec wszystkiego — przyjaźni z Jankiem, Grzesiem i Tomaszem, uczucia do Honoraty, którego jeszcze nie nazwał, nadziei na powrót do domu i powitania obojga stęsknionych rodziców.

Jak na kolorowym filmie zwidziały mu się beskidzkie góry: wilgotny cień nad potokami, błękit podparty czarnymi kolumnami świerków, łąki pochylone ku słońcu i barwnymi wyszywankami kwiatów pokryte, usypiska starych kolib zbójnickich wybielone mrozami i skwarem jak kości, pod którymi ponoć skarby leżą strzeżone przez jaszczurki.

Przypomniał sobie, co starzy żołnierze mówią, że jak kto ma zginąć, to raz jeszcze całe swoje życie widzi, jakby na jakim filmie. Przypomniał to sobie akurat teraz i na chwilę zamknął oczy, by sprawdzić, jak to jest, gdy gaśnie słońce. Słońce świeciło przez powieki, trzymało swoje ciepłe dłonie na jego twarzy. I wtenczas właśnie przyszedł strach, ścisnął lodowatymi palcami gardło, uderzył w dołek przerywając oddech.

Nim cokolwiek zdążył pomyśleć, spostrzegł, że zsuwa się w dół ze skarpy. Postanowił szybko, że za kanałem na nasypie przylegnie i będzie most ostrzeliwał. Stamtąd do swoich bliżej i wróg bokami nie obejdzie. Tak sam siebie w myśli przekonywał biegnąc dnem rowu, a jednocześnie już wiedział, że i tam nóg nie potrafi zatrzymać.

Mijając czarną limuzynę, spuścił oczy, żeby na swój zegar słoneczny nie patrzeć. Koło drzwiczek coś w piachu mignęło czerwono. Rozpęd odsądził go jeszcze z dziesięć metrów, nim zmusił nogi do zatrzymania, a potem do powrotu. Chwycił to czerwone łapczywie, z piachem, podniósł do twarzy, by

lepiej zobaczyć, bo mgłę miał w oczach. Tak, to była wstążka. Wstążka z warkocza Honoraty. Musiała zgubić, nim ją posłał po pomoc, obiecując wstrzymać wroga.

Lęk w piersiach krzyczał, że po co zawrócił i czemu stoi, kiedy droga każda sekunda, a Gustlik stał i patrzył na wstążkę. Widział ją teraz zupełnie wyraźnie: z warkocza wstążka, czerwona. Nie wiedzieć czemu wspomniał, jak matka na świętej Katarzyny, trzydziestego kwietnia, szła zawsze z takiej wstążki rozetki. Dla ojca i jego kolegów. I jeszcze pomyślał, że jakby taka wstążka szeroka i druga biała, to flagę można by uszyć. Potem owinął śliski jedwab na palcach, schował do kieszeni na piersi i zapiąwszy na guzik, przyklepał.

Znowu miał dużo czasu, więc zawróciwszy Wspiął się na skarpe. Zaczął w ścianach okopów wycinać saperką niewielkie nisze i układał w nich równo granaty. Poręczniej potem brać niż z torby.

Przedpole wciąż jeszcze było puste. Lotnictwo ciągle bombardowało i szturmowało las nie dalej niż dwa, trzy kilometry od kanału. Przysiadł i długą chwilę ostrzył na kamieniu boczną krawędź łopatk. Metal zgrzytał jak kosa pod osetką, nawet pobrzękiwał podobnie i jaśniał formując ostrze. Gustlik popróbowował go wreszcie na brzuścu dużego palca. Przy starciu wręcz saperka rzecz niegłupia. Każdy piechur, który walczył w okopach, wie o tym i taką bronią nie pogardzi.

Cały czas to z lewej, to z prawej postukiwały rzadkie i dość dalekie serie skierowane do nikąd, a teraz nagle ucichły. Jeleń rzucił okiem na cień chorągiewki i ryse — upływające minuty rozwarły kąt między nimi na szerokość trzech palców — a potem ostrożnie wyjrzał z okopu.

Nic jeszcze nie było widać, lecz w lesie zawarczał silnik i zgasł. Ktoś krzyknął. Znowu warkot.

Spomiędzy drzew wysypała się milcząca szeroka tyraliera. Sunęła szybko, ale nie biegła. Za nią druga w odległości kilkunastu metrów. Grenadierzy szli na wprost Jelenia, szli z lewej i z prawej, szerokim frontem w stronę kanału. Z każdą sekundą stawali się coraz zieleńsi, wyżsi i bliżsi.

— Trza było, Gustliczku, uciekać zawczasu — zamruczał pod nosem sam do siebie. — Cosik mi się widzi, że Honorata na darmo jajecznicę smażyła.

Zapiął się i obciągnął mundur, poprawił kołnierzyk, cofnął zamek pepeszy i nabrawszy powietrza w płuca, krzyknął nagle na cały głos:

— Kompanie, halt!

Zawahali się najbliżsi w tyralierze. Dwu czy trzech przystanęło i wówczas właśnie Jeleń otworzył ogień. Krótkimi mierzonymi seriami skosił dwu czy trzech, a paru bliższych położył.

Reszta tyraliery jeszcze jednak nie stanęła. Przeciwnie, zaczęli biec z krzykiem, zaginając oba skrzydła.

Jednocześnie od strony lasu zastękały moździerze. Salwa min położyła się na przedpolu, jeden z granatów wybuchnął na skarpie. Strzelcy wypatrzyli kierunek i kule gęsto zaświstały nad Gustlikowym okopem.

Cisnął Jeleń trzy granaty, zgiął się i wielkimi susami przebiegł na drugie stanowisko.

Wystarczyło tych paru chwil, by Niemcy podeszli na odległość szturmową. Jednocześnie z pierwszą serią Gustlika rzucili granaty i ruszyli do ataku.

Odpowiedział im dwoma ostatnimi obronnymi, które przygotował w szańczyku. Wstrzymał wstających gradem z automatu i nagle zamek znieruchomiał. Gwałtownie odciągnięty, klasnął po raz drugi. Jeleń sprawdził magazynek — nie było już ani jednego naboju. Odstawił pepeszę i mocno ująwszy za trzonek saperkę, przysiadł na piasku.

Kiedy pierwszy biegnący pojawił się na tle nieba, ciął go ostrzem w kolano i tamten zrolował po stoku na dno rowu.

Dostrzegł to jego sąsiad w tyralierze. Obrócił się w kierunku okopu i nadbiegał, strzelając z biodra. Kule coraz niżej dziobały torfiastą ścianę. Grudki ziemi pryskały na boki. Jeleń przymknął oczy i osłonił głowę łopatką.



## ROZDZIAŁ 52. ODSIECZ

Na terenie byłego obozu w Kreuzburgu po ogłoszeniu alarmu bojowego zaczęła się pospieszna krzątanina. Sanitarki zajeżdżały w możliwie bezpieczne miejsca, zwiadowcy ustawili parę erkaemów na piętrze fabryki, ściągnięto z powrotem kozły omotane drutem kolczastym, pozostawiając w bramie wąską i krętą ścieżkę wjazdową.

Trwało to wszystko nie więcej niż kwadrans. Potem zapadła spokojna rozświetlona cisza i w miarę upływu czasu zaczęło się nawet robić nudno. Ogień artyleryjski na wschodzie osłabł i jakby stanął w miejscu, nie przesuwając się dalej na południe. Wyglądało na to, że ów klin niemiecki, o którym była mowa w rozkazie generała, napotkał twardsze od siebie tworzywo, przytępił się i utknął.

Wszyscy uspokajali się stopniowo, zaczynali pogwarki z sąsiadami. Komu zimą chłód kości przemroził, to obracał się teraz ku słońcu, rozpinął mundur i piersi ciepłym promieniom podstawił.

„*Rudy*” czuwał w narożniku obozu, między murami spotykającymi się pod kątem prostym. Załoga specjalnie rozkruszyła beton od góry, by ponad nim można było swobodnie manewrować armatą. Na wieży, z nogami spuszczone do wnętrza czołgu siedział Janek z lornetką, przepatrywał okolicę. Coraz mniej niepokoiła go obrona obozu, coraz bardziej losy Gustlika i Łażewskiego, którzy tam właśnie pojechali, gdzie wdarł się przeciwnik.

— Coś długo plutonowego nie widać — zagadywał wychylony z wjazdu Tomasz po raz już chyba trzeci.

Na dole obok czołgu Wichura i Saakaszwili oskrzydłali piękną lekarkę, nie troszcząc się o nic innego.

— Panna chorąży może nie uwierzy, ale nasz czołg w całej armii najślawniejszy — opowiadał Franek.

— Nasz czołg — poprawił Grigorij.

— Nasz — przytwierdził kapral. — Właśnie ten obóz wyzwoliła w zasadzie nasza załoga.

— Nasza.

— No właśnie mówię, że nasza.

Saakaszwili, któremu trudno byłoby przegadać Wichurę, i to jeszcze po polsku, odepchnął go po prostu na bok.

— Oczy masz jak gwiazdy w letnią noc, wargi jak owoc kizyłu — ruszył do szturm Gruzin.

— Nie piliśmy bruderszaftu — lekarka udawała, że się gniewa.

— Jak chcesz, możemy wypić. Bruderszaft niedobre słowo, bo my nie bracia. Gruzini mówią wachtanguri.

Grześ uniósł w zapale rękę ku górze, a Tomasz, wychylony z wieży, wstawił mu szklanekę w dłoń i już nalewał drugą.

Dziewczyna śmiała się rozbrojona.

— Zaraz sobie przyniosę — rzekł Wichura.

— Nie leż do czołgu — ostrzegł go Grigorij.

— Czemu?

— Bo duszno.

Roześmiali się wszyscy, choć szofer dość kwaśno, a lekarka niezupełnie świadoma, o co chodzi.

— Tak miłej załogi jeszcze nie spotkałam — mówiła patrząc na Janka. — Co my mamy pić? — zwróciła się do Gruzina nie spuszczając oczu z Kosa.

— Hiszpańskie wino zdobyczne — wtrącił Wichura.

— Wachtanguri! — rzekł Grigorij.

— Z całą załogą?

— Naturalnie — odpowiedział Janek. — Tylko Szarika brak.

— Kogo?

— Szarika, psa mamy. Ale jak go zdjąłem z posterunku, to poszedł gdzieś i nie wraca.

— Mały kłopot — mruknął Wichura — i tak by nie pił.

— Kto wie — uśmiechnął się Kos przypominając sobie nocną przygodę w Schwarzer Forst.

Przerzucił nogi na pancerz, żeby zejść na dół, ale zatrzymał się i patrzył w perspektywę ulicy.

— Magneto pruje w naszą stronę — rozpoznał. — Bez Gustlika, ale Honoratę wiezie.

— Zostawił Jelenia po drodze i wróci po niego — uspokoił Grigorij, trącąc szkłem o szkło. Przełożyli ręce, wypili po łyku. Pocałował

Saakaszwili usta o barwie dojrzałego kizyłu, ale nie tak mocno, jak miałby ochotę, bo mu dziewczyna umknęła.

— Grigorij.

— Irena — odpowiedziała.

Wyciągnęła rękę ze szklanką w stronę Kosa, ale już jako drugi podwinął się Wichura, przegrodził drogę. Nie udałoby mu się, gdyby nie to, że Janek spoglądał ku bramie obozu, gdzie obok wielkiego jotesa Kozub urządził swe stanowisko dowodzenia. Naprzeciw porucznika stał Łażewski i nawet na odległość Janek z jego postawy odgadywał napięcie, choć słów naturalnie nie słyszał.

Starcie nastąpiło przed sekundą, natychmiast po złożeniu meldunku.

— Więc obywatel porucznik nie ruszy jotesów, nie da ludzi na obronę mostu? — pytał podchorąży oburzonym głosem.

— W regularnej armii nie ma zwyczaju mówić dwa razy — cedził słowa Kozub — ale powtarzam: możecie wziąć trzy motory i średni czołg. Osłonicie most, a w przypadku podejścia większych sił nieprzyjaciela postarajcie się go uszkodzić i odskoczycie na Kreuzburg.

— Tam człowiek sam broni pozycji, może zginie, może już zginął, a ci tu siedzą beczynn timer. — Daniel wskazał sanitariuszy rozlokowanych pod obozowym murem.

— Otrzymałem zadanie obrony obozu i jego wczorajszych więźniów — rzekł Kozub, wyprostował się i lodowatym tonem dodał: — Jeszcze słowo i przestaniecie dowodzić plutonem.

Łażewski chwilę walczył ze sobą, żeby nie wybuchnąć, lecz wreszcie zasalutował w milczeniu i zrobił w tył zwrot. Zostawiwszy zaskoczoną Honoratę, która cały czas podtrzymywała zdobyczny motocykl, pobiegł w stronę zwiadowców.

— Trzecia drużyna do maszyn — krzyczał z daleka tak głośno, że słyszać go było i przy „*Rudym*”.

— Grześ, Franek, Tomasz — wyliczyła lekarka, a Czereśniak tymczasem dolewał jej wina do prawie pustej szklanki. — Teraz z tobą wachtanguri — uśmiechnęła się do Janka.

— Jego całować nie warto — podstępnie wtrącił Wichura.

— Dlaczego? — zmrużyła figlarnie oczy.

— Bo zaręczony. Ma narzeczoną w szpitalu.

— Ładna?

— Ryża. Nazywa się Marusia Ogoniok.

— Rana cięta na przedramieniu — natychmiast przypomniała sobie pani doktor — przywieźli ją razem z Szawełłami.

— Do tego szpitala, gdzie pani? — Janek aż podskoczył z radości. — Jak się czuje?

— Dobrze. Młody Szawełło chodzi koło niej, usługuje i takimi oczami patrzy...

Warkot przerwał zdanie — trzy zwiadowcze motocykle z przyczepami podjechały do czołgu. Łażewski stanął na podnóżkach i zawołał z pierwszego motoru: '

— Jeleń sam broni mostu. Ruszajcie za nami. Hiszpan pozwolił.

Nie oczekując odpowiedzi machnął ręką i na ten znak kierowcy poderwali maszyny do biegu, sypnęli żwirem spod tylnych kół.

— Do wozu! — rozkazał Kos. — Silnik w ruch.

Załoga zniknęła pod pancierzem, jakby ich wiatrem zmiotło. Mruknął rozrusznik, zadudnił silnik. Irena zrobiła dwa kroki do tyłu, żeby dalej od spalin pykających z rur wydechowych.

Bucząc sygnałem „*Rudy*” cofnął się ze stanowiska, rozduśił gąsienicą butelkę z resztkami wina, rzuconą w pośpiechu na ziemię. Powolny jeszcze i pozornie niezgrabny, wykręcał w miejscu. Janek wyjrzał z wieży, kiwnął ręką lekarce, która podniosła szklanke i wypila do dna za żołnierskie szczęście załogi.

Czołg szybko przetoczył swe stalowe cielsko przez plac apelowy i zwolnił skręcając w bramę obozu.

Honorata wołała do Kosa, ale on jej nie słyszał. Rzuciła więc motor na ziemię, pobiegła za „*Rudym*” i dogoniła wóz, w chwili gdy mijał rusztowanie ozdobione różnokolorowymi flagami. Chwyciła za linę holowniczą zwiniętą w ósemkę na tylnym pancerzu, zgrabnie jak sarna skoczyła na wóz, nie spostrzeżona przez Janka, który zniknął w wieży i zatrzasnął właz.

„*Rudy*” rozpędzał się, przechodząc na coraz wyższe biegi, odjeżdżał w perspektywę przedmiejskiej uliczki, groźny, ciemny słoń z niewielką barwną kokardą na karku.



Przymknąwszy oczy i osłoniwszy głowę saperską łopatką, Jeleń czekał na uderzenie kuli. Jeśli sił jeszcze potem starczy, a grenadier podbiegnie blisko, to tak go rąbnę w nogę, jak tamtego przed chwilą.

Czekanie trwało dwie, może trzy sekundy, a potem nagle ustało cmokanie kul w torfie i nad skarpą weselszymi tonami zagwizdało powietrze. Serie szły górą i dołem, nie przystrzelane, lecz gęste. Jedna przestępnowała skarpe i okop, naprószyła Gustlikowi w oczy, nadgryzła daszek czapki. Tą się najbardziej ucieszył, bo pojął, że biją; zza kanału, i to nie mniej niż trzy diegtiary.

Ostrożnie wychylił głowę, żeby go swoi nie utłukli, zerknął za siebie i przed siebie. Erkaemy zmusiły tyralierę do zalegnięcia. Pod osłoną ich ognia jeden z motorów gnał przez most, lecz z lasu już zaczynały gdakać emge, tu i ówdzie podrywali się grenadierzy. Trzech dopadło rowu przeciwczołgowego. Już obok okopu Jelenia, skoczyli przez krawędź, by się skryć od ognia i spotkać kąśliwymi seriami coraz bliższych motocyklistów.

Gustlik zjechał na piętach ze skarpy i rzucił się na nich z tyłu. Ciął jednego saperką, aż trzonek mu pękł w dłoni, drugiemu kopnięciem wytrącił z ręki pistolet maszynowy.

W tej samej chwili na zjeździe, udeptanym gąsienicami przez nasze czołgi, pojawił się motocykl z pustą przyczepą i zjechałszy do połowy ze zbocza, żeby zejść z linii ognia, gwałtownie zahamował. Z drugiego siodełka szczupakiem skoczył Łażewski, wywinął z rozpędu pełne salto i przypadając na jedno kolano, kulą z pistoletu obalił szykującego się do strzału grenadiera.

Tymczasem ten rozbrojony rzucił się na Jelenia z nożem. Gustlik chwycił go lewą ręką w przegubie, a prawą uderzył z dołu podbródkowym.

Łażewski wsadził do ust dwa palce, przeraźliwie gwizdnął po gołębiarsku i machnął ręką.

Gustlik sam zrozumiał, że zwlekać nie wolno ni sekundy. Chwycił niemiecki peem, paroma susami dopadł motocykla. Zdążył jeszcze zerknąć na chorągiewkę wbity w dach mercedesa — wytrzymał samotnie dobre czterdzieści minut.

— Fajny wóz! — krzyknął podchorąży.

We trzech z kierowcą chwycili motor, obrócili go w przeciwną stronę i podepchnęli ku brzegowi rowu.

— Honorata fajna — między jednym a drugim dźwignięciem stwierdził Jeleń. — No nie?

— Fakt.

Koła chwyciły twarde grunt, szarpnęły motorem do przodu. Kierowca wskoczył na siodełko, legł piersią na baku, by zmniejszyć cel. Łażewski nogami uczepony maszyny wychylił się ku dołowi jak podczas wyścigu na zakręcie. Gustlik przyległ w koszu i obrócony do tyłu usiłował długimi seriami powstrzymać leżącą tyralierę.

Błysnęło pod lasem i pociski, wystrzelone na wprost, zawyły tuż nad ich głowami. Dwa przeniosły, jeden zawadził o nasyp, odbił się rykoszetem i rozerwał w górze jak szrapnel.

— Armaty — krzyknął Łażewski.

— Czołgi — odpowiedział Jeleń.

Tuż przed mostem dosięgły ich karabinowe kule. Niczym moździerz strzeliła opona pod koszem. Pęd szarpnął motorem w prawo, kierowca z trudem wyrównał, ocierając się prawie o barierę.

— Kapeć! — krzyknął Łażewski.

— Most — odpowiedział mu Jeleń.

Jak na komendę zeskoczyli obaj w pełnym biegu z motoru, który klapiąc poszarpaną gumą przeskoczył za nasyp.

Kule dziobały po jezdni. Kratownice odpowiadały im metalowym brzękiem. Z nasypu odszczekiwały polskie erkaemy i automaty, ale za mało ich było, by dobrze osłonić Łażewskiego i Jelenia, którzy krótkimi gwałtownymi skokami dopadli kołowrotu, wparli się w uchwyty i zaczęli obracać poskrzypujący mechanizm.

Trzeba było maksymalnego wysiłku, by dźwignąć ku górze ciężkie jezdnie. Pracujących osłaniała nieco metalowa belka konstrukcji, lecz i na niej wyskakiwały przestrzeliny, a kule strzępiły zadry. Powietrze gęstniało od gwizdu, jęku rykoszetów i huku dział, które były z atakujących czołgów niemieckich.

Podchorąży widział przez sekundę, jak pierwszy wóz, podchodząc do przejścia w przeciwczołgowym rowie, zwolnił i począł opuszczać w dół swą kwadratową mordę.

— Fajny był ten mercedes.

Wraz z obrotem kołowrotu Gustlikowi nasunął się przed oczy widok zjeżdżającego w dół czołgu.

— Mało wiała Honoratkowej porcelany zostanie.

Łażewski zobaczył szczyt wieży, potem lufę wysuwającą się z rowu.

— Zaraz nam przysuną.

Wyjeżdżający z rowu czołg niósł poniżej lufy, na przednim pancerzu, pogięte resztki czarnego mercedesa. Kiedy wspinając się pokazał na chwilę podbrzusze, nad nasypem zagrzmiął ostry armatni wystrzał i plama ognia przesłoniła kanciaste pudło ze stali.

— „*Rudy*”! — krzyknął radośnie Gustlik.

Wystrzeliwszy przeciwpancerny pocisk, Janek miał w celowniku na pierwszym planie nieostry fragment wznoszonego jeszcze skrzydła mostu. Pośrodku pola widzenia płonąca pantera osuwała się z wolna w głąb rowu. Czołg, który jechał tuż za nią, wrzucił wsteczny bieg i zaczął się cofać.

— Jeszcze raz — rozkazał Janek.

— Gotowe — odrzekł Tomasz ryglując zamek.

Błysnęło, huk uderzył w uszy niczym bokserska rękawica, świsnął odrzut, brzęknęła wyrzucona łuska.

Niemiecki wóz dostał w gąsienicę, zjechał z niej ryjąc bokiem piach, a rozpęd obrócił go półprofilem.

— Przeciwpancernym.

„*Rudy*”, osłonięty wałem ziemnym, stał wspięty gąsienicami na nasyp. Lufa drgnęła, uniosła się odrobinę i ostry huk znowu targnął powietrzem.

Ukryta za wieżą Honorata skuliła się jeszcze bardziej, mocniej zatkała dłońmi uszy, usiłowała wepchnąć w nie końce warkoczy.

Błyskało i grzmiało raz po raz, drgał wstrząsany odrzutami pancierz czołgu, ale dziewczyna nie miała zamiaru uciekać. Poruszała tylko wargami, jakby wołała albo modliła się, i przymykała oczy.

Gdy unosiła powieki widziała, że od strony Kreuzburga jadą wciąż nowe posiłki: ciężarówki wysypywały piechotę, ciągniki, zataczając łuki, ustawiały działa na stanowiskach ogniowych. Górą coraz więcej przelatywało samolotów, spoza kanału dobiegał gwizd bomb i grzmot ich wybuchów.

W zasięgu wzroku Honoraty od czasu do czasu eksplodował pocisk, wyrzucał ku górze czarną fontannę. Gęsto furkotały odłamki. Jeden nawet

spadł na pancerz, zakręcił się jak bąk i sparzył ją w palce, kiedy ze wstrętem strącała go na ziemię.

Na domiar złego wieża, której uchwyty trzymała się Honorata, jeździła to w lewo, to w prawo, ciągnąc ją po pancerzu. Zaczęły się mieszać i nakładać na siebie obrazy, gwizdy i huki, błyskawice przenikały nawet pod zamknięte powieki.

Wszystko to trwało bardzo krótko i jednocześnie bardzo długo. Potem zapadła ciemność zupełna, a kiedy dziewczyna otworzyła oczy, to zobaczyła tuż obok błyszczącą gąsienicę i obłoczone koła nośne „*Rudego*”, a nad sobą — pocziwą zatroskaną twarz Gustlika, który ocierał jej skronie mokrą szmatą.

Honorata uśmiechnęła się najpierw oczyma, a potem całą okrągłą, piegowatą i umorusaną w tej chwili buzią.

— Odwiozłem ją i zostawiłem w Kreuzburgu pod opieką porucznika — tłumaczył się Łażewski.

— Żeby zastukała w pancerz, to bym ci ją schował — dodał wyglądający z wieży Janek.

— Czemu panna Honorata w bezpiecznym miejscu nie została? — łagodnie spytał Jeleń ogromnie rad, że otworzyła oczy.

Zaczerwieniła się radośnie, a potem, opuściwszy powieki, wyjaśniła z lekka zawstydzona:

— Wiedziałam, że do czołgu to pan Gustlik wróci na pewno.

Janek z uśmiechem patrzył na tę parę z wysokości wieży „*Rudego*”, ale nagle spoważniał, głęboko wciągnął hełmofon, żeby lepiej słyszeć, a potem skrócił taśmę laryngofonu, przełączył radiostację na nadawanie i odpowiedział:

— Ja „*Rudy*”, zrozumiałem was, Grot. Wykonuję — pstryknął wyłącznikiem i podał komendę: — Do wozu. Generał woła. Ciebie, Magneto, też.

— Weźmiecie? — spytała z przestachem Honorata.

— Jakżeby nie? — zamruczał Gustlik podnosząc ją z ziemi i stawiając na pancerz.

Jeszcze się ładowali do środka, a Grigorij już ruszył i z wolna na tylnym biegu wykręcał.

Po tamtej stronie kanału zostawili pobojuwisko: kilka dopalających się czołgów i transporterów, nieruchome sylwetki poległych. Przez most

ponownie opuszczony maszerowała piechota, jechały działa. Nad lasem, do którego cofnęli się grenadierzy, krążyły ze dwie dziesiątki szturmowców, zrzucały bomby i szyły rakietami.

General oddał mikrofon Lidce siedzącej w opancerzonym transporterze, nad którym sterczał wysoko maszt radiostacji. Gestem ręki wstrzymał sanitariuszy mozolnie dźwigających nosze z obandażowanym po oczy Kozubem.

— Nie odzyskał przytomności?

— Nie — odpowiedziała doktor Irena, ściągając z dłoni gumową rękawicę i zdejmując biały fartuch, w którym dokonywała opatrunku.

— Dowieziecie żywego?

— Postaram się.

— Dziewięć lat w ogniu. Wyszłoby na to, że morze przepłynął, a zatonął u wejścia do portu.

Ostatnie słowa powiedział bardziej do siebie niż do niej. Chwilę milczał, a potem rozkazał dowódcy transportera:

— Ruszajcie za nimi.

— Zaczekajmy trochę — poprosiła Lidka. — Pojedziemy razem z „Rudym”.

— Nie po drodze. Odprowadzicie kolumnę sanitarną do szpitala i przed wieczorem wróćcie do sztabu armii.

— Obywatelu generale — powiedziała wstając z miejsca i pochylając się przez pancerz — ja muszę zobaczyć Janka, choć na pięć minut, nawet na dwie minuty, muszę mu powiedzieć...

Urwała, żeby przełknąć łzy, odgarnęła ręką jedwabiste włosy, przesłaniając twarz.

— Stało się coś? — spytał ostro dowódca.

— Tak — skinęła głową i zdecydowała się powiedzieć prawdę: — Widziałam jego raport...

— Nie do ciebie był przecież adresowany — uniósł brwi i zmarszczył czoło.

— Ja niechcący... Kiedy kładłam do torby polowej, koperta się otworzyła i to było zaraz w pierwszym zdaniu.

Lekarka, załadowawszy ostatnią sanitarkę, wracała, żeby zameldować odjazd. Generał gestem pokazał jej z daleka, by ruszała, i powtórnie zwrócił się do sierżanta dowodzącego transporterem:

— Długo tu będziecie sterczeć?

Pancerny wóz ostro ruszył z miejsca i pierwszy wyjechał za mury obozu. Za nim stadko motocyklistów osłony i jedna za drugą sanitarki.

Generał stał chwilę w miejscu, a potem poszedł przez dziedziniec w stronę bramy, mijając paru poległych w panterkach i hełmach. Kilka metrów za nim, jak wierny koń, sunął otwarty łazik z kierowcą i fizylierem.

Spomiędzy pogiętych kantowników rusztowania wywinął się Szarik, pobiegł na spotkanie, witał radośnie nie widzianego od paru dni przyjaciela.

— Co tu robisz? — zdziwił się dowódca targając psa za łeb. — „Rudy” w boju, a ty się włóczysz?

Wilczur szczechnął, zawarczał i zaskomlał, starając się wyjaśnić swą poranną przygodę z czapkami, ale nie bardzo mu się to udało.

— Trochę rozumiem, ale niezupełnie — odpowiedział generał. — Zaczekaj.

Nie zdążyły jeszcze wszystkie sanitarki wyjechać, gdy porykując sygnałami przecisnęła się obok nich pod prąd krótka kolumnienka motocykli i przystanęła pod murem.

Baczność! — podał komendę Łażewski, podbiegł i zameldował: — Obywatelu generale, most utrzymany. W trzeciej drużynie jeden zabity, dwu rannych. Reszta plutonu...

— Reszta twego plutonu w osłonie kolumny sanitarnej — przerwał mu dowódca. — Gdzie czołg?

— Zaraz będzie — zerknął za siebie podchorąży i dodał: — Plutonowy Jeleń wstrzymał pierwszy atak, podczas drugiego wsparła go moja drużyna, potem „Rudy” i wkrótce wojska podeszły. Nie puściliśmy szkopów przez kanał, a teraz tak ich lotnictwo grzmoci, że wiać zaczęli i już paścig poszedł. Żeby porucznik Kozub ruszył jotesy i cały mój pluton...

— Reszta waszego plutonu pomagała odeprzeć atak grup dywersyjnych. Obóz jest podminowany, oni go mieli wysadzić — generał wskazał na zabitych w panterkach. — Kozub dostał dwie kule przez pierś.

— Przez pierś... — powtórzył Łażewski marszcząc brwi.

Zadudnił silnik, pokazał się czołg. Stał przed bramą zatrzymany skinieniem ręki generała. Trzasnęły włązy, pojawili się w nich Gustlik i Tomasz, a obok Saakaszwilego wyjrzał Franek Wichura.

Kos zeskoczył, podbiegł i stanął na baczność przed dowódcą, udając że nie dostrzega siedzącego przy nodze Szarika.

— Dziękuję za utrzymanie mostu — generał zwrócił się zarówno do załogi, jak i motocyklistów. — To było ostrze klina silnej grupy, która miała zadanie przedrzeć się z północy do stolicy Rzeszy. Wstrzymaliście czołowe oddziały kilka minut, które wystarczyły na manewr ogniem artylerii i lotnictwem, a potem na przerzucenie piechoty.

— Ku chwale ojczyzny — odpowiedział Kos w imieniu wszystkich.

— Zmęczeni jesteście?

— Nie — stuknął obcasami Łażewski.

— Czemu psa zostawiacie samego?

— Zrobił sobie legowisko z naszych czapek, więc miał wartę poza kolejką... — zaczął tłumaczyć Janek.

— Jeszcze wam przepadnie — przerwał generał otwierając mapnik.

— Obraził się, polazł gdzieś. Do czołgu! — polecił Kos wilczurowi.

— Sam mu kazałeś, żeby kombinował — w obronie psa stanął Gustlik.

Szarik nie usłuchał rozkazu i warknąwszy krótko pobiegł tam, skąd wylazł przed chwilą, w stronę rusztowania bramy.

— Jeśli nie jesteście zmęczeni — dowódca gestem zaprosił bliżej Kosa i Łażewskiego — to chciałbym, żebyście zaraz ruszyli do Berlina.

— Na defiladę! — nie wytrzymał Wichura. — Mówiłem przecież...

Pod groźnym spojrzeniem generała chciał się cofnąć i rąbnął głową w pancerz.

— Defilada nieprędko. Trwają ciężkie walki o zamknięcie pierścienia. Tu Polacy, tu Rosjanie, tu Niemcy i znowu wojska radzieckie. Przekładaniec jak na Wielkanoc. W samym mieście walczą już nasi saperzy i artyleria. Chodzi o dostarczenie rozkazu do rąk własnych dowódcy haubicznej brygady. Samochód nie dojedzie, tam trzeba się przedzierać. Omijać, a jak się nie da, to odrzucić tego, kto drogę zastąpi.

W czołgu Saakaszwili trącił swego sąsiada w bok i nawiązując do tego, co obaj słyszeli, zakpił:

— Wichura, powiedz generałowi, że ci duszno. Ja tu Honoratkę posadzę.

Akurat... Żeby mi potem dzieci i wnuki wymawiały, że mogłem być w Berlinie i nie byłem.

Otwartą dłonią rąbnął się w czoło, żeby pokazać, jaki musiałby być głupi, gdyby teraz opuścił czołg. Trafił na guz i skrzywił się boleśnie.

Tymczasem Szarik przy targał to, co miał schowane pod rusztowaniem: dużą zieloną poduszkę z kanapy, bogato haftowaną w róże i motyle, obszytą podwójnym rzędem złotych frędzli. Skoczył przednimi łapami na pancierz, liznął Grigorija w rękę i zaskomlał. Mechanik wychylił się i wciągnął posłanie do wozu.

— Janek! — z wieży zawołał Gustlik, który się temu przyglądał. — Pies będzie miał miękko, ale jakbyś chciał przysnąć, to nie wiem, czy ci pozwoli...



## ROZDZIAŁ 53. WINO

Uderzenie grupy generała Steinera w prawe skrzydło 1 armii zostało sparowane w ciągu kilku godzin. Polskie plutony i kompanie atakowane siłami batalionów i pułków broniły się zawzięcie, wychodziły spod uderzenia krótkimi uskokami i otwierały ogień z następnej rubieży. Z kwadransa na kwadrans rosła siła obrony, wchodziły do akcji odwody pułkowe i dywizyjne, a jednocześnie od pierwszej chwili kolumny i rejony stanowisk wyjściowych wojsk hitlerowskich zostały zaatakowane z powietrza przez polski korpus lotniczy. Myśliwce, bombowce i szturmowce wykonały w tym dniu osiemset lotów bojowych. Armijne przeciwuderzenie napotkało załamane psychicznie i osłabionego przeciwnika.

Po paru dniach bitwa została ostatecznie rozstrzygnięta na naszą korzyść, ale już po południu nasilił się szybki ruch na zachód, w stronę głównego frontu, na którym 1 armia, niszcząc węzły oporu i forsując wciąż nowe przeszkody wodne, spychała wroga na północny zachód od Berlina, w stronę szerokiej nizinnej doliny Haveli.

W szerokim strumieniu wojsk, między ciężarówkami wypełnionymi piechotą, działami różnych kalibrów i wielkimi pudłami pontonów na traktorowych przyczepach, sunął „*Rudy*”. Na lewym błotniku, trzymając się lufy, stał Wichura i wskazując przeszkody pomagał Saakaszwilemu w prowadzeniu wozu. Co pewien czas ochrzaniał sąsiadów w kolumnie, którzy usiłowali wyprzedzić czołg.

— Dokąd się pchasz, lebiego smętna? Chcesz kacie pogubić?

Kos swoim zwyczajem siedział na wieży z nogami spuszczone do wewnątrz, popatrywał przed siebie i na mapę, żeby nie przegapić rozjazdu, a jednocześnie słuchał Jelenia.

— Godom, proszę i nic. Powiado, że nikaj nie pójdzie, a już najbardziej do Niemca — wyjaśniał plutonowy, odpychając na bok buty dowódcy i wznosząc głowę ku górze. — Nie dowieźliby my ją tak do tych haubic w Berlinie, a stamtąd jak będą po amunicję jechali...

— Gustlik... — Kos zaczął ostrzegawczo.

— Przecie chudzina dużo miejsca nie zajmie.

— Nie wiesz, czym są dla czołgu walki w mieście? Nie pamiętasz, jak dostaliśmy na Pradze? Chcesz jej życiem ryzykować?

— Nie — odpowiedział plutonowy.

Zasmucił się, lecz po namyśle dodał jeszcze:

— Wichura godo!ł, co na defilada jadymy... Kiejby my go odesłali, toby miejsce było.

— Kaemista potrzebny.

Znowu zamyślił się celowniczy na parę minut.

— Prowda — odpowiedział i zniknął we wnętrzu.

Skuliwszy się, przelazł pod armatą, przykląkł obok pustego siedzenia Wichury, za którym, na poduszce haftowanej w róże i motyle, złożyli pospołu swe strudzone głowy Honorata i Szarik.

— Panno Honorato...

— Do żadnego Kugla nie pójdę. Trzeba mnie było nie zabierać.

— Tam w Berlinie pierońsko niebezpiecznie.

— No właśnie. A tu dobrze, żelazo grube.

— Tu jeszcze gorzej. W takiej stalowej kiście... — chciał opowiedzieć, jak bywa w czołgu, zwłaszcza podczas walk w mieście, ale zrezygnował i zmieniawszy taktykę zaczął obiecywać: — Jeszcze mało wola a wojna się skończy, zajadę po pannę Honoratę do Ritzen...

Chciał ją ująć za ramię, ale dziewczyna natychmiast w krzyk. Szarik, był zdania, że zawsze należy ujmować się za słabszym, warknął ostrzegawczo, zmuszając Jelenia do cofnięcia ręki. Jednocześnie czołg przyhamował, zabuczał sygnałem.

Celowniczy przewinał się z powrotem na swoje miejsce i obok kolan dowódcy wystawił głowę.

— Stało się co?

— Skrećamy na południe, do miasta.

Spoza czołgu wyskoczyły do przodu motocykle, zwiadowcy wstrzymali nadjeżdżające z przeciwnej strony puste ciężarówki. Po stratach w walce nad kanałem mieli już tylko po dwu ludzi w załogach i celowniczy musieli wstawać od erkaemów, by kierować ruchem.

Zrobiła się mała przerwa i podchorąży Łażewski machnął ręką, że przejazd wolny. „Rudy” skrecił, zjechał z autostrady na wąską, choć asfaltowaną szosę, która obok niewielkiego jeziora wchodziła w las.

Z gruzów rozbitego domu, być może dawnej leśniczówki, wyskoczył zdziczały kot, przebiegł drogę przed czołgiem.

— Cholera! Psa darmo wozicie — zaklął Wichura odwracając głowę w stronę wieży. — Kot czarny, los marny.

— To wracaj, pieronie — doradził mu Gustlik. — Jo ci potem opowiem, jak w Berlinie było.

— Za daleko z powrotem iść — grymasił Franek. — Nogi bym ponacierał.

Gustlik zsunął się do wieży, przystanął i po chwili wahania zgiętym palcem zapukał w sztywnik wyczyszczonego do połysku buta.

— Janiczku.

— No.

— Nie wyklarowałbyś ty tej dziusze? Mosz tako mądra mowa.

— Nie ja ją na czołg podsadzałem. Gdyby każda dziewczyna...

— Janek! — groźnym głosem uprzedził Gustlik.

Kiwnął ręką, a kiedy sierżant się nachylił, chwycił go za mundur na piersiach.

— Każdo? Pierwszy raz proszę. Bo to będzie... bo panna Honoratka jest moja narzeczona.

— A wie o tym?

— Ona? Nie.

— To jej powiedz.

— Dobrze, powiem. Ale ostawisz ją?

— Nie. Czy ja Marusię w czołgu wożę?

Powtórnie skulił się Gustlik pod armatą, prześliznął do przodu, przyklęknął i oświadczył:

— Dowódca kazał powiedzieć, że panna Honoratka jest moja narzeczona.

Dziewczyna podniosła głowę z psiej poduszki, przełknęła łąkę przygotowaną na inną okazję. Chwyciła Jelenia za czuprynę, przyciągnęła i pocałowała w oba policzki.

— Prawda? — spytała i od uśmiechu pojaśniał czołgowy półmrok.

— Obych tak końca wojny nie doczekał.

— Ale... — poczuwszy się znacznie pewniej, postanowiła grymasić: — Ale zaręczyn nie było, pierścienia od pana Gustlika nie dostałam.

— Kaj jo tu pierścień najdę... — zaczął Jeleń.

Saakaszwili, puściwszy na chwilę drążki sterowe, szturchnął przyjaciela pięścią w bok i pogmerawszy w skrzynce za siedzeniem, wsunął mu w rękę nakrętkę.

— Chyba że taki... — zorientował się Gustlik. — Czołgowy.

— A taki ważny?

— Mocniej trzyma niż złoty — wtrącił Saakaszwili szczerząc swe białe zęby.

Chwilę przyglądał się wypiękniałej nagle dziewczynie, a spojrzawszy z powrotem we właz, zahamował gwałtownie.

— Co robisz? — warknął Gustlik. — Ludzi, nie kartofle wieziesz.

— Kakowo czorta?! — wrzeszczał Gruzin wychylając się do pasa z włazu.

— Szorta? — wesoło pytał chudy, wysoki, ubrany w beret mężczyzna, który wybiegłszy na środek szosy zatrzymał czołg. — Les Russes? — pochylony w bok spojrzał na wieżę i zobaczywszy orła zagadnął: — Polonais... Vive la Pologne! Vive la liberté!

Motocykl Łażewskiego, który poprzedzał czołg jako rozpoznanie, zawrócił teraz i gnał z powrotem.

Wichura zeskoczył z pancerza, nieufnie obchodził nieznajomego dokoła.

— Czego ty chcesz, la France? Pourquoi tu stoisz?

Francuz go objął i nacisnął dłonią brzuch kaprała.

— Niks?

— Niks nie dostaniesz — odrzekł Franek, sądząc, że tamten chciałby coś do zjedzenia.

— Vin — Francuz pokazał gestem opróżnianie szklanki. — Bien?

— Bien, ale nie ma. Niks vin.

— Le vin, le cochon — pragnąc się porozumieć zaczął chrząkać i udawać prosiaka. — Venez Polonais — ciągnął Wichurę za rękaw.

Załoga wyglądała z czołgu, motocykliści stanęli w swych kołyskach. Gapili się wszyscy, jak tamci dwaj przeskoczywszy rów pobiegli między krzaki i przystanęli na krawędzi leśnego jaru, nad którym unosił się dymek i drgało rozgrzane powietrze.

— Panowie! — zawołał Wichura w stronę czołgu. — On nie prosi, ale zaprasza. Tu jego kumple pichcą wyżerkę na sto dwa, dla kompanii starczy.

Kos zeskoczył z wozu, podszedł do Łażewskiego.

— Jak myślisz? Wszystko jedno, gdzie trzeba stanąć na obiad.

— Dobra. Tu gotowe, mniej czasu zejdzie. Jedzcie, a ja ze swoimi wrócę za dwa kwadranse.

— Dokąd? Głodny będziesz...

— Zostawicie nam.

Podchorąży rozkazał jednemu erkaemiście, by wyszedł z kosza i objął wartę przy wozie. Skinąwszy na resztę, dodał gazu i schylony nad kierownicą pognął z powrotem drogą, którą przyjechali, a dwa inne motory za nim.

Czołgiści ku ogromnej radości Francuzów zeszli na dno jaru pełnego zieleni i słońca, zapachów' leśnych i kuchennych. Posiłek zapowiadał się rzeczywiście wspaniale, lecz Kos natychmiast spostrzegł, że jeśli na czasie nie straci, to nie zarobi na pewno. Wkrótce potem zaczął żałować, że się zgodził. Odwrotu jednak nie było — Francuzi obraziliby się śmiertelnie, a i bez Łażewskiego wszystko jedno odjechać nie mogli.

Nie minął kwadrans, jak obiad przekształcił się w ucztę.

— A bas la guerre! Vive la paix! — wznosił toasty chudy Francuz, tocząc jednocześnie ze sporej beczułki wino do szklanek.

— A bas! Vive! — wtórowali dwaj jego koledzy, kudłaty i łysy, lecz obaj raczej nikczemnego wzrostu.

Po nawietrznej stronie dogasającego ogniska, nad którym na rożnie wędziły się w dymie resztki sporego prosiaka, siedziała załoga „*Rudego*”. Na skrzynkach po pociskach (moździerz tu pewno stał niedaleko i wszędzie ich było pełno) leżały pajdy chleba, plastry mięsa i poobgryzane kości. Szarik miał swoją własną skrzynkę, przy której ucztował druzgocąc gnaty w potężnych szczękach.

Francuzi pili raz po raz, a nasi tylko podnosili szklanki z winem, zerkając na Kosa, który pociągał niedużymi łykami i odstawiał.

— Za mir! — tłumaczył Saakaszwili ze zwichrzoną czupryną i błyszczącymi oczyma. — Piją precz z wojną i niech żyje pokój. Ja już nie mogę udawać, muszę wypić — pokręcił głową i wychylił do dna.

— Jak pragnę szczęścia, co oni sobie o Polakach pomyślą — westchnął Wichura, lecz brakło mu odwagi nie tylko, żeby wypić, ale nawet spojrzeć na Kosa.

Gustlik najpierw odpijał po trochu, potem zdecydowawszy naśladować Gruzina wziął rozpęd, ale Honorata, siedząca obok, przytrzymała go za rękę.

— Rano to panna Honorata sama dolewała — poskarżył się smutno.

— Dowódca nie kazał.

— Dowódca teraz zakazuje, a nie pamięta, jak sam pół faski wypił, a drugie pół wylał.

— Pamiętam — powiedział Janek. — Pamiętam i zabraniam.

— Ja też ci, Gustliku, zabraniam. Teraz inne prawa niż rano — błysnęła włożoną na palec nakrętką. — Czołgowy mocniejszy niż złoty.

— Quatre vingt chasseurs, quatre vingt chasseurs... — Francuzi, kołysząc się na boki, śpiewali wesołą piosenkę o osiemdziesięciu strzelcach i ich miłosnych przygodach.

— Gdzieże ty maja Suliko — wtórował im wstawiony Gruzin.

Łysy podniósł się, przewędrował do ogrodniczego wózka, na którym wszyscy trzej wieźli swój dobytek. Gmerał w nim, przesuwając jakieś graty i wreszcie wydobył harmonię.

Tomaszowi roześmiały się oczy, a ręce same wyciągnęły po instrument. Spotkał spojrzenie Kosa i zrozumiawszy, że nie wypada inaczej, udał, że mu chodziło o mięso.

Francuz, niezbyt pewnie stojący na nogach, zagrał wesołego paryskiego walczyka. Jego kudłaty kolega skłonił się przed Honoratą, zapraszając do tańca. Zaszurali nogami po trawie, zawirowali w lekkim obłoku kurzu z wysuszonych przeszłorocznych badyli.

Saakaszwili wyciągnął rękę ze szklanką w stronę beczułki, a kiedy mu ją wysoki napełnił, zaczął toast:

— Koledzy! Przebiegł nam drogę czarny kot. Kot mały, czołg duży i w ogóle: przesady opium narodu. Wystarczy splunąć za siebie, wypić z przedstawicielami wyzwolonych narodów Europy i nic już się stać nie może, bo koniec wojny nastąpi, zanim do tego czortowego Berlina dojedziemy... Czego złym okiem patrzysz, komandir? Czego brew marszczysz? — zwrócił się do pochmurnego Kosa. — Nie chcesz, mogę nie mówić.

Wypił duszkiem do dna, odstawił szklankę. Bił brawo Honoratce i kudłatemu, którzy skończyli tańczyć. Potem sam zrobił parę tanecznych ruchów, zanucił pierwsze takty, a grajek, chwyciwszy od razu, o co chodzi, zaczął Taniec z szablami.

Honorata patrzyła z uśmiechem na Gruzina, klaskała mu do taktu.

— Ładnie tańczy — rzekła do Gustlika.

— Najładniej panna Honorata.

— Ja bym jeszcze ładniej, ale warkocz mi się rozwiązał.

— Mom, mom! — zawołał uszczęśliwiony Jeleń i całą łapę wepchnął do kieszeni. — Panna Honoratka zgubiła w generalskim aucie, a ja żech znalazł i na sercu schowałem.

Wygarnął wszystko z kieszeni do dna: dwa naboje pistoletowe, kawałek kabla, sznurek i, o zgrozo, aż trzy wstążki, z których dwie były niebieskie, a jedna tylko czerwona.

Parę trudnych sekund trwało zdumione milczenie, a potem dziewczyna zaczęła mówić cichutko:

— Pan Gustlik... Pan Gustlik każdej tak samo... — nie mogła skończyć, bo płacz w niej wezbrał i zakrywszy twarz fartuszkim, pobiegła z boczem pod górę, gdzie stał „Rudy”.

W ślad za nią rzucił się Szarik, myśląc, że to zabawa. Oboje jednocześnie dopadli wozu i przez właz mechanika znikli pod pancierzem.

Zawarczały silniki, pojawiły się na krawędzi motocykle. K03 szybko wstał i do połowy zbocza wyszedł Łażewskiemu na spotkanie.

— Zjedzcie.

— W drodze moi zjedzą, będą się zmieniali. Mam komplet ludzi.

— Skąd wzięłeś?

— Dogałem sanitarki i zabrałem. Raz, że mój pluton, dwa — oni na tyły jadą. Generał dodał jeszcze swój transporter do osłony, a w nim Lidka przy radiostacji. I ta ładna lekarka pytała o ciebie. A tu wesoło było? — pokazał wzrokiem jar.

— Nie bardzo — odrzekł Kos.

Saakaszwili właśnie całował się z Francuzami, którzy pokazywali mu fotografie, wyjaśniając uparcie i głośno:

— Maman... Papa... Ma femme...

Czereśniak miał już w ręku harmonię, próbował basów i w sobie tylko wiadomym języku tłumaczył coś kędzierzawemu. Gustlik przysiadł się do beczułki i napełniwszy szklanekę, przemawiał do wysokiego chudzielca:

— Wypij ze mną, la France. Wszystko stracone bez te głupie kokardki. Zrozumiał żeś? Le kokard muła kaput.

Kos odwrócił się tyłem, żeby nie patrzeć. Wyciągnął zdobyczną mapę drogową okolic Berlina.

— Z której strony wróciłeś?

— Od południa — uśmiechnął się Łażewski. — Pustawo.

— Nasi poszli już dalej na zachód. Rosjanie skręcili na Berlin i chyba dlatego — zastanawiał się Janek.

— Pusto — powtórzył podchorąży. — Nie ma kogo o siostrę pytać...

Do czołgu podszedł Czereśniak z harmonią pod pachą.

— Za co? — spytał Janek.

— Za pepeszę.

— Broń oddałeś?

— Albo jej mało? Nie swoją dawałem, ale i tak nie wziął. Za samą wolność dał.

Wspierając się wzajemnie wychodzili z jaru Saakaszwili i Jeleń, który dźwigał na ramieniu beczułkę.

— Załoga! — podał komendę Kos.

Stanęli na baczność. Gustlik chwilę się wahał, co zrobić z antalkiem, ale pod twardym spojrzeniem Kosa postawił go na ziemi. Z wnętrza wozu wyskoczył Szarik i rozumiejąc rozkaz, też siadł na baczność.

We włazie pokazała się twarz Honoraty wilgotna od łez i ze zmartwienia jakby bardziej piegowata.

— Mam wyliżać?

— Nie — rozkazał sierżant. — Panna Honorata do przedniego kaemu. Wichura, was komenda nie dotyczy?

— Adresy chowam, obywatelu sierżancie. Zapisalem, bo jakbym kiedy był w Paryżu...

— Poprowadzicie czołg.

— Tak jest.

— Czereśniak na swoje miejsce.

Wygramolili się z lasu Francuzi, ciągnąc i pchając swój wózek pod trójbarwną flagą.

— Vous ä Berlin, nous ä Paris — wysoki objaśniał gestami i nakierowywał dyszel w przeciwną stronę niż czołg. — Au plaisir de vous revoir.

— Vivent les braves Polonais! — wołali chórem kudłaty i łysy.



Popchnęli wózek i odchodzili, machając rękami, pozdrawiani równie serdecznie przez motocyklistów i załogę. Tylko Grigorij i Gustlik stali nieruchomo na swych miejscach, bo nikt im nie dał komendy: spocznij.

— Szarik! — zawołał Kos, stojąc obok wieży.

Pies skoczył na pancerz znikł we wnętrzu.

Grały silniki motocykli, zapalił już czołg. Łażewski podniósł rękę, że gotów, i Kos dał mu znak, by ruszał, a potem dopiero rozkazał nie patrzeć za siebie.

— Obaj na tylny pancerz.

Podbiegli do gaśienicy. Mechanik wspiał się, a Jeleń zrobił taki ruch, jakby chciał zawrócić po beczułkę. W tej samej chwili Janek strzelił z pistoletu i na asfalt szosy wąskim strumieniem zaczęło ciurkać wino.

— Wichura, naprzód.

„Rudy” ruszył. Z dołu, obok działowego zamka, wyjrzała Honorata i chwyciwszy Kosa za nogi, podniosła ku górze jasną piegowatą buzię.

— Na zawsze zostanę?

Janek wyciągnął do niej rękę, uniósł dziewczynę i posadził na wieży.

— Pierwszą okazją pojedzie panna Honorata na tyły i tam zaczeka. Ostatnie dni są najgorsze. Moja narzeczona w szpitalu, a ja nie płaczę, tylko się cieszę.

Kiedy podnosił dziewczynę, zauważyła, że dowódca czołgu też ma pierścionek na palcu.

— To od niej?

— Sam wypiłowałem w szpitalu, podarowałem. A teraz ona mi go dała na parę dni, do końca wojny.

Honorata przysunęła się bliżej i zerknąwszy do tyłu, prawie zaszepotała do ucha:

— Zabierze po wojnie? Można takiemu wierzyć?

Oglądała nakrętkę na palcu, podarowaną przez Gustlika.

Kos obejrzał się z groźną miną, popatrzył z góry na gniewnych jeszcze, ale już kruszejących winowajców, a potem odpowiedział równie cicho:

— Można. Ze stu kilo wagi dziewięćdziesiąt poczciwości i dobroci.



## ROZDZIAŁ 54. UCIECZKA

Kilka kilometrów za linią frontu, w osadach na uboczu od szos położonych, w leśnych dolinkach kryły się armijne szpitale. Wróg nie uznawał praw międzynarodowych, nie szanował znaków Czerwonego Krzyża, więc maskowały się jak najstaranniej przed lotnictwem i w warunkach polowych, w trudzie bezsennych nocy i dni walczyły o życie żołnierskie podziurawione kulami, odłamkami, wystrzępione, poprzetręcane kontuzjami.

Nie było tu luksusów ani nadmiaru lekarstw. Pierwszego kontrataku na śmierć dokonywano na prostych stołach opatrunkowych, w nierównym świetle żarówek rozjarzanych przez polowe elektrownie, pod osłoną namiotowych płócien. Narkozę stosowano w przypadkach prawdziwej konieczności, znieczulenia — rzadko. Tu żołnierz musiał ponownie zebrać całą siłę woli i odwagę, by opanować ból.

Nie pomagało wietrzenie — w opatrunkowym już po godzinie pracy robiło się gorąco, stał duszny, słodkawy zapach krwi i potu. Tyle że teraz, kiedy dywizje przeszły do pościgu, rannych było znacznie mniej niż podczas forsowania Odry i pierwszych dni na przyczółku. Ten z postrzelonymi mięśniami prawej ręki był już ostatni na dziś.

Podczas oczyszczania postrzału leżał spokojnie, tylko na zeszywniałej twarzy wzbierały jak rosa i staczały się w dół coraz cięższe krople. Ból nie ustąpił, lecz wreszcie przyszła ulga i żołnierz pozdrowił siostrę operacyjną niepewnym jeszcze uśmiechem.

Felczer Stanisław Zubryk wyprostował plecy nie bez trudu, otarł ręcznikiem twarz, a pochylona Marusia kończyła bandażować rękę usztywnioną w łokciu. Mimo iż sama miała jeszcze opatrunek na lewym przedramieniu, szło jej to zgrabnie, tylko że wolno.

— Koniec na dziś — z ulgą westchnął świeżo upieczony chorąży.

Zdjął biały fartuch wdziany na koszulę i odrzuciwszy płachtę u wejścia, by wpuścić więcej powietrza, począł ubierać się w mundur, dopinać pas.

— Piękna robota — pochlebila mu Ogoniok.

— Praktyka, piętnaście lat. Sporo się szyło: po weselach, po chrzcinach, w okupację. Mnie znają nie tylko w Mińsku Mazowieckim, ale i w

węgrowskim, i w garwolińskim, a nawet w łukowskim powiecie. Ale ja, panno Marysiu — przyciszył głos, jakby powierzał jej wielką tajemnicę — ja jestem specjalistą od zupełnie innych spraw. Jakby pani miała mieć kiedy syna lub córkę, to proszę tylko do mnie.

— Nu, czto wy... — zarumieniła się Ogoniok, ale oczy jej błysnęły radośnie.

— Serio, wprawna ręka. I szczęśliwa. Siedmioro trojaczków ma na koncie, bliźniąt już wszak nie licząc. — W miarę jak mówił, robił się coraz weselszy, lecz potem nagle posmutniał, o froncie wspomniawszy. — A tutaj... Tak prawdę mówiąc, to ja się strzałów boję. Pokojowa natura, panno Marysiu. Jakbym się nie starał, jakbym silnej woli nie koncentrował, to jak mi nad uchem hukną, zaraz mdleję...

Skinąwszy ręką sanitariuszce i pacjentowi, chorąży Zubryk wyszedł z namiotu na słońce. Obok Marusi został czujny Józek Szawełło, który trzymając w lewym ręku nożyczki i plaster, w prawym bandażu, asystował niczym druga siostra operacyjna.

— Proszę — podał agrafkę, rozpinając ją w palcach. — Cóż z tego, że wskazujący sztywny, jeśli środkowy się przygina.

Ogoniok spięła opatrunki i leciutko klepnęła rannego w ramię.

— Gotowe.

Żołnierz dźwignął się i usiadł na stole.

— Dziękuję siostrze — powiedział, wkładając całe serce w słowa.

— Nie za czto — roześmiała się, muskając go dłonią po włosach.

— I ja dziękuję — Szawełło pochylił nieco głowę, żeby Marusi łatwiej było sięgnąć.

— Za co?

— Że pani sierżant pozwala sobie operującej pomagać.

Nie doczekał się Józek pogłaskania, bo usłyszeli motory i zobaczyli w rzadkim brzeziniaku skręcającą ku szpitalowi kolumnę. Prowadziły ją zwiadowcze motocykle, sto metrów za nimi szły samochody, a na końcu kanciasty transporter opancerzony z grubą lufą enkaemu nad burtą. Nim Ogoniok zdążyła zdjąć biały fartuch, sanitarki, wjeżdżały już na dziedziniec między namiotami.

— Pytaj, czy ich kto nie spotkał — rozkazała Józkowi Marusia i wybiegła pierwsza.

Ze wszystkich namiotów wyglądali ranni, ze wszystkich stron kuśtykali na spotkanie. W błękitnawych, spłowiałych piżamach z flaneli stracili wszelkie podobieństwo do żołnierzy, ale serca i myśli pozostały przecież te same.

- Z której dywizji?
- Gdzie ranili?
- Który trauguttowiec?
- Jest kto z czwartej?
- Gdzie nasi?
- Artylerzyści do naszego namiotu!

Między te krzyżujące się pytania i okrzyki wpadł potężny baryton siwiejącego już szofera.

— Odczepcie się. Frontowych nie ma. Wszyscy więźniowie z niemieckiego konclagru.

Z czołowej sanitarki wysiadła doktor Irena. Stanął przed nią na baczność plutonowy, dowódca motocyklistów.

- Pozwólcie wracać, obywatelko chorąży.
- Co wam tak spieszno? Zjedzcie w szpitalu obiad.
- Tak jest — odpowiedział podoficer, zrobił w tył zwrot i zawołał do swoich: — Tankujemy tutaj żołądki!

Irena zauważyła wśród rannych rudowłosą głowę Marusi.

- Sierżant Ogoniok, do mnie.
- Na rozkaz.

Dziewczyna, choć tak jak inni miała szpitalną kurtkę, to jednak ubrana była we własną spódnicę i buty. Nosiła się z prościutką, lecz wyraźną elegancją. Lekarka patrzyła na nią badawczo i uważnie. Zdecydowała w myśli, że młody dowódca czołgu ma dobry gust, i wreszcie uśmiechnęła się ciepło.

- Spotkałam „*Rudego*” i załogę.
- Wszyscy cali?
- Wszyscy.
- I mają czołg?
- Mają. Bardzo mili chłopcy. Jesteśmy po wachtanguri.
- Po czym? — spytała zdumiona i trochę przestraszona sanitariuszka.
- Co znaczy wachtanguri?

— Gruziński bruderszaft. Piliśmy doskonale wino, mówimy sobie po imieniu...

Irena ujęła Marusię pod rękę i opowiadając dalej, poprowadziła w stronę szpitalnego sztabu. Kiedy zniknęły obie między rannymi, Józef Szawełło, nasłuchujący ich rozmowy jednym uchem, znowu zakręcił się obok samochodów, zagadując sanitariuszy i szoferów. Po kilku bezskutecznych próbach trafił wreszcie na dowódcę motocyklowej osłony.

— Pan plutonowy pozwoli zagadnąć?

— Co zagadnąć?

— Zagadnąć, czy czasem okazji nie było poznać się z załogą sławnego czołgu „*Rudy*”.

— Jakże nie? — roześmiał się plutonowy. — Od paru dni, od samego Ritzena razem w boju. Teraz na „*Rudym*” do Berlina poszli, do dzielnicy Spandau, a z nimi dowódca naszego plutonu we trzy motocykle... Gdzie tu obiad dają?

— Ja pokażę.

Odsunęli się na bok, żeby przepuścić sanitariuszy dźwigających nosze z byłymi więźniami w stronę łaźni, a potem młody Szawełło podprowadził motocyklistę, pokazał dymiące kuchnie polowe.

— Józek! — usłyszał z daleka głos Marusi.

— Już pospieszam — rzucił się biegiem w tamtym kierunku.

— Ważna wiadomość. Przyrowadź stryja pod kasztan.

— Ja także chciałbym tam przyjść, bowiem...

— Możesz, ale już leć, nie marudź — machnęła ręką i wbrew własnym słowom zatrzymała go jeszcze na chwilę. — Nie wiesz, gdzie dowódca od tych motocyklistów?

— Ji.

— Co takiego?

— Ji obiad na kuchni.

Szybko odnalazła plutonowego i przysiadła obok niego na ławie.

— Priwiet — pozdrowiła go mrużąc oko. — Smaczne?

— Czołem — uśmiechnął się chłopak od ucha do ucha. — Kiedy na taką buzię patrzę, to i kamień jak ciastko.

— Zaraz wracacie?

— Jak tylko zjemy.

— Podwieziecie?

— Za całusa? Choćby do samego Berlina.

Zwiadowca otworzył szeroko ramiona, ale Ogoniok przytrzymała go za rękę.

— Jedzcie spokojnie. Ja tu niedługo wrócę.

Wywinęła się zgrabnie, pobiegła w stronę namiotu, by zabrać torbę polową i garść drobiazgów stanowiących jej cały majątek. Spieszyła się bardzo, lecz tuż u wejścia stanęła jak wryta zobaczywszy Lidkę siedzącą na ławeczce.

— Priwiet!

— Witaj.

Objęły się i ucałowały w oba policzki.

— Dobrze, że jesteś, Ogoniok, bo ja na minutkę. Nasz transporter odprowadzał rannych i zaraz ruszamy dalej. Chciałabym ci tylko powiedzieć...

— Już wiem, że wszyscy cali i zdrowi, że mają nowy wóz, że pojechali do Berlina.

— Kto ci mówił?

— List dostałam — skłamała Marusia i nagle zamyśliła się na sekundę.

— Dokąd teraz jedziesz? — spytała radiotelegrafistki.

— Do sztabu armii.

— Kiedy generała zobaczysz?

— Wieczorem. Chciałam ci powiedzieć....

— Lidka, miłaja. Mam ogromną prośbę. Zabierz tę kopertę, oddaj generałowi i powiedz, że dowódca armii...

— Jakiej armii?

— Mojej, radzieckiej. Powiedz, że odwiedzałam swoich rannych w szpitalu, że ja zameldowałam się z raportem i on od razu podpisał.

Lidka wzięła do ręki szary prostokąt, przesyty na ukos białymi nićmi i zalakowany po rogach. Ważyła go chwilę w ręku, słuchając niecierpliwego buczenia transportera, a potem powiedziała cicho.

— Dobrze. Oddam generałowi. Cześć Marusia, bo kierowca się wścieka.

Odwróciła się i pobiegła, a Ogoniok została z wyciągniętą do pożegnania dłonią. Chwilę jeszcze patrzyła w stronę transportera, a potem szerokimi krokami ruszyła w stronę brzezinowego młodniaka, a stamtąd wąziutką ścieżką pod górę.

Nad zalesioną doliną, w której rozlokował się szpital, panowało płaskie wzniesienie. Na samym szczycie rósł rozłożysty kasztan, który z lepkich, świecących w słońcu pąków wypuścił już kudłate zielonkawe łapki liści. Pod drzewem leżał płaski głaz narzutowy. Na tym szarym granicie Marusia nieraz już siadywała w wolnych godzinach i patrząc na zieleniejące drzewo, myślała o wiosnie nadchodzącej po latach wojennej zimy, o swoich przyszłych losach.

Kiedy przybiegła, czekali na nią obaj Szawełowie. Szybko wymieniwszy zdobyte informacje, pochyłili się nad zdobyczną mapą samochodową, a kamień posłużył im jako stół do sztabowej narady.

— Mieliliśmy wjeżdżać do Berlina od wschodu, ale teraz musimy zmienić zamiar — stwierdziła Marusia. — Spandau jest po tamtej stronie.

— Trzeba nam, znaczy się, wjechać od zachodu — potwierdził Konstanty Szawełło, wskazując kierunek końcem leszczynowego kija, który od czasu ranienia pełnił funkcję laski.

— Transport zapewniony. Motocykle czekają — pochwaliła się Ogoniok.

— Broń pożyteczna byłaby — rzekł Konstanty.

— Rzecz w tym, że bez munduru zaraz złapią — martwił się Józek.

— Mam plan — zaproponowała Marusia. — Gdyby towarzysz sierżant zabawił magazyniera...

— Plan niezły i ja magazyniera jak jeszcze zabawię — przerwał jej Szawełło, zdejmując i chowając do kieszeni okulary. — Tylko byłoby dobrze, żeby panna Marusia w naszym mundurze, polskim.

— Dlaczego?

— Na kontrolnych punktach sojuszników mniej o dokumenty pytają niż swoich...

Dwie czy trzy minuty radzili jeszcze nad szczegółami. Problem zasadniczy — uciekać czy nie uciekać — został rozstrzygnięty o cztery doby wcześniej, to znaczy w dniu, w którym zasklepiła się rana od uderzenia bagnetem na ramieniu Marusi, a sierżant Szawełło zaczął chodzić. Wszyscy troje byli zgodni co do tego, że nie po to lata całe wojowali, żeby teraz, kiedy deser na stole, wylegiwać się w szpitalu. Nie mieli jednak ochoty wiać byle gdzie. Żeby nie nadziać się na żandarmów i nie trafić do aresztu, trzeba było znać aktualny adres własnej jednostki. Szybkość i precyzja skoku dawała



szansę dotarcia na front. Wypytywali więc wszystkich szoferów, którzy wwozili rannych, ale poszczęściło się im dopiero dziś.

Po naradzie w kasztanowym cieniu pierwszy pobiegł w dół Józek, podtrzymując w garści przyłóżne spodnie szpitalne. Minąwszy bokiem cały szpital połowy, dotarł w rejon magazynów gospodarczych i wśliznął się do wielkiego niczym stodoła, skrytego pod grubym brezentem królestwa prześcieradeł, piżam, koszul i gaci.

W namiocie, zastawionym gęsto przez stelaże i obwieszonym paruset workami z ubraniami rannych, urzędował za stołem sam magazynier, a ściślej mówiąc magazynierka, potężna pani kapral o tuszy generalskiej, z bogatą, choć drobno karbowaną fryzurą na głowie. Była tak zajęta, czy też może za tak zajęta chciała uchodzić, że w ogóle nie zauważyła nowo przybyłego.

— Szeregowy Józef Szawełło melduje swoje wejście — wrzasnął stając na baczność.

— No?

— Ja bym potrzebował... — wyciągnął rękę w stronę worków na najbliższym stelażu.

— Nie rusz. Tam babskie mundury. Czego chcesz?

— Kurtka rozpruta i w plecy wieje.

— Tak i mów. Tu igła, tu nici. Siadaj i szyj.

— Tak jest.

Magazynierka wróciła do liczenia sterty przywiezionych z prania gatek, każdą przełożoną na bok dziesiątkę zapisywała na gęsto poliniowanym, wielkim jak stolnica zestawieniu.

Tak jak przed chwilą na Józka, nie zwróciła uwagi i na Konstantego Szawełłę, który wszedł z lekka utykając i stanął przed nią, oparty na leszczynowym kijaszku. Nie miała obowiązku go widzieć, bc na błękitnej piżamie nie było naramienników ani innych dystynkcji, zresztą w szpitalu rangi inaczej się liczą.

— Ależ... — zaczął sierżant głębokim basem.

— Czego? — przerwała mu. — Niedawno zmieniane, czystych nie dam.

— A ja bym i nie wziął — rzekł spokojnie i krok bliżej w stronę stołu postąpił. — Tylko patrzę ja, patrzę i tak sobie myślę: Ależ blada pani kapral, ponieważ w namiocie siedzi, promieni słonecznych nie widziawszy.

Wojna, nie czas się opalać — ucięła marszcząc brwi i bystrym wzrokiem zlustrowała Szawellę, pragnąc przejrzeć zamiary rannego.

— Wojna ku końcowi idzie — ciągnął z łagodnym uśmiechem — a ze spaceru czasem pożytek większy niż korzyść z roboty.

— Niby jak? — dopiero teraz przestała liczyć. — Jaki może być z chodzenia pożytek? — zadała pytanie i w zadumie popluła na chemiczny ołówek.

— Jakby na przykład sierżant jakiś, może już człowiek nie najmłodszy, ale jeszcze do rzeczy, miałby coś pani kapral do powiedzenia.

— Niech mówi.

— Tutaj ten sierżant nie powie — stwierdził z przekonaniem Konstanty. — Jest rzecz, że obojętnie wszędzie, a inną tylko blisko przyrodniczego łona, w wiosennym słońcu wypowiedzieć potrafisz, a nie, izwienicie za wyrażenie, wśród gaci, choć i z prania świeżo przybywujących.

Magazynierka wyszła spoza stołu, obejrzała dokładnie sierżanta z przodu i z boków. Nieczęsto ją zapraszano na spacer, więc zdziwienie kilkanaście sekund walczyło w jej sercu z nadzieją, póki ta ostatnia nie odniosła zwycięstwa i nie skłoniła do zgody.

— Katarzyna — wyciągnęła przed siebie rękę fioletową od pracy przy użyciu chemicznego ołówka.

— Konstanty — pochylił się sierżant, pocałował starannie i szurnąwszy gołymi piętami w szpitalnych kapciach, Zamarkował stuknięcie obcasami, jak najlepiej w tej sytuacji potrafił.

— Szyjesz, mały?

— Szyję — odpowiedział z kąta Józek.

Zastanawiała się przez chwilę, czy nie zaczekać, póki nie skończy, lecz bardzo była ciekawa, co też sierżant ma jej do powiedzenia, więc machnęła ręką i zdecydowała:

— No to szyj póki co.

Popchnęła pani kapral Konstantego przed siebie, wyszli oboje z namiotu. Sprawnie zasznurowała wejście i powiesiła kilową kłódkę na skoblach spinających płachty u góry. Nie było wątpliwości, że nikt się tędy nie wyśliźnie. Popatrzyła raz jeszcze na sierżanta i w pełnym świetle wydał jej się nawet bardziej przystojny niż w namiocie.

— No, jak mamy iść... — odstawiła lewy łokieć od boku.

— To idziemy — dokończył Konstanty ujmując pod rękę i poprowadził ją w cień drzew.

— Do lasu wiedzie — zauważyła surowo.

— Prawda — odrzekł.

— Miał mówić.

— Też prawda — przyznał. — Otóż, pani Katarzyno, wojna się ma ku końcowi i wiosna nastąpiła, ptaszka każda, jak na ten przykład jaskółka, szpak, zaworonek, wróbel, sójka, bocianiuk, sroczka...

— Powiedzmy, panie sierżant, krótko: oraz inne ptaki — magazynierka spróbowała wpłynąć na przyspieszenie wydarzeń.

— Oraz inna ptaszka — zgodził się Konstanty — gniazda wije.

— I cóż z tego, że wije?

— To z tego, że człowiek, któren przecież od ptaszki mądrzejszy stworzony został) także o przyszłości winien pomyśleć... — ciągnął Szawelło i obejrawszy się zdecydował łagodny łuk zatoczyć, skierować kroki z powrotem, gdyż między pniami dostrzegł przy kuchni szczupłą sylwetkę Marusi.

Ogoniok dotarła do szpitalnej stołówki pod brezentowym dachem w samą porę: przy długim wąskim stole, pospiesznie zbitym z chropawych desek, motocykliści kończyli obiad. Plutonowy przełykał ostatnie kęsy, kiedy podszedł do niego rusznikarz, mężczyzna w starszym wieku, niosący na ramieniu trzy pistolety maszynowe. O krok za nim stała Marusia z naręczem magazynków opartym o lewe obandażowane ramię.

— Mówiła sanitariuszka, że wam potrzebne.

— Nam? — spytał zdziwiony plutonowy, ale widząc znaki dawane przez dziewczynę, zmienił ton: — Ach, pepesze, tak właśnie...

— To bierzcie. Wojna się kończy, inwentarz będą robić, a u mnie na stanie superata.

Rusznikarz zawrócił, a Marusia, ruszając za nim, znalazła jeszcze czas i okazję, żeby szepnąć:

— Za kwadrans koło pagórka z kasztanem na szczycie.

Przebiegając obok składu mundurowego dała znak Konstantemu, żeby się pospieszył, a on kiwnął głową, że rozumie. Magazynierka nie spostrzegła

wymiany sygnałów, gdyż otwierała właśnie kłódkę, a potem, nie przestając się śmiać, rozsznurowywała namiot.

— Och, panie Konstanty, pan jak co powie, to już powie.

— Pani Katarzyna łaskawa bardzo.

— Znaczy zaraz po kolacji — podała mu rękę do pocałunku. —

Ciekawa jestem, jak też pan sierżant opowiadanie dokończy.

W kącie namiotu skromnie siedział na stołku Józek Szawełło, z ogromnym wysiłkiem i starannością wiązał supeł i odgryzał nitkę.

— Gotowe?

— Tak jest. Tu nici, tu igłę, dziękując pani kapral, kładę.

— Dobrze, dobrze synku — odrzekła łagodnie, a może nawet serdecznie.

Wzięła się z powrotem do liczenia bielizny, ale robota nie szła tak sprawnie jak przedtem, więc po chwili przerwała, uśmiechnęła się sama do siebie i wydobywszy z kieszeni lusterko, zaczęła poprawiać ufryzowane włosy.

Młody Szawełło raz jeszcze uklonił się od wyjścia i opuściwszy namiot niespiesznie obszedł go dokoła. Rozejrzał się, czy nikt nie widzi, i chwyciwszy w rękę koniec sznura wystający spod brezentu, skrył się między gęste krzaki leszczyny na skraju lasu. Zaczajony w zieleni począł wybierać linkę jak rybak, który już wie, że na dużą rybę na haku. Podciągnął pełnące po trawie trzy spore worki. Zwinął je ciasno, wsadził pod pachę i teraz już nie zwlekając, dal nura w brzeziniak schodzący z tej strony na samo dno doliny.

Chwilę między pniami nie było nikogo. Potem przyszła para żółtodziobych zakochanych szpaków i skrzydło przy skrzydle wędrowała trawą, zaglądając pod zeszłoroczne liście. Przybiegła wiewiórka, wykopała jakiś skarb spod pniaka i umknęła, zostawiwszy wiatrowi do zabawy puch rudy z zimowej pelisy.

Sroka ze szczytu brzozy zaskrzeczała, oznajmiając nadejście felczera Stanisława Zubryka. Chorąży wędrował wiosennym zagajnikiem, to przyspieszał trochę, to zwalniał, zatrzymywał się nawet. Rad był tej cichej godzinie. Właśnie cisza szczególnie go radowała. Wysokie brzęczenie samolotów i daleki pomruk dział pogłębiały ją tylko i przydawały spokoju.

Ścieżka wspinała się łagodnie, lecz stale, i zaprowadziła Zubryka na szczyt pagórka. Przykucnął, by się przyjrzeć z bliska dzieciom kasztana, który

tu rósł od dawnych czasów. Jesienią spadły dojrzałe owoce, stoczyły się po zboczu i utknąwszy we wgłębieniach gruntu, daty początek malutkim drzewom, które teraz wypuściły nowe zielone pędy, otworzyły u szczytów pięciopalczaste łapki. Bardzo to było ładne, wzruszające i chorąży pomyślał sobie, że natura, czyli przyroda, to takich rzeczy potrafi dokonać, że człowiek aż się dziwi, bo nigdy by nie przypuścił, póki na własne oczy nie zobaczy.

Uniósł głowę i zdumiał się ogromnie, bo to, co zobaczył, przeszło wszelkie najśmielsze oczekiwania nawet takiego jak on entuzjasty natury i wielbiciela jej ukrytych mocy. Oto na brzoźce rosnącej parę metrów dalej, która przed chwilą była okryta liśćmi tylko, wyrosły dwie szpitalne kurtki i para spodni. Podniósł rękę i kto wie, może by się nawet przeżegnał dla odegnania złych duchów, gdyby za gęstym krzakiem nie dostrzegł Marusi dopinającej mundur, gdyby w chwilę potem, stanąwszy na palcach, nie zobaczył obu Szawełłów: starego i młodego.

— Hop! Hop! — zawołał beztrosko, gdyż ucieszyło go naturalne wyjaśnienie dziwnego na pozór zjawiska.

Tamci nie okazali jednak radości, speszyli się, pochowali za siebie ręce.

— Ja na spacer. Możemy się przejść razem — zaproponował.

— My raczej... — zaczęła Marusia.

— Obywatel chorąży tam? — spytał Konstanty Szawełło i wskazał ręką w głąb lasu, a kiedy felczer kiwnął potakująco głową, sierżant dodał: — My właśnie, proszę wybaczenia, w stronę przeciwną.

Przykro zrobiło się chorążemu. Uniósł szerokie brwi, rozłożył lekko ręce i skłoniwszy głowę zupełnie po cywilnemu, ruszył dalej. Zrobił parę kroków, rozgniewał się na niewdzięczność niższych szarż i zawrócił.

— Co znaczą te piżamy na drzewie? Kto je do magazynu ma odnieść? — pytał założywszy ręce na plecy. — I właściwie dlaczego pani Ogoniok w polskim, a więc nie swoim mundurze? Ha?

Na chwilę zapadła cisza. Zagadnięci nie byli w stanie dać żadnej sensownej odpowiedzi, a pytający nie wiedział, jak mógłby ich do tego zmusić, i na dodatek ze strachem spostrzegł, że przedmioty, które przed nim chowali za plecy, były pistoletami maszynowymi.

Kto wie, jak długo staliby naprzeciw siebie, gdyby motocykliści nie nadjechali drogą i nie przystanęli, jak było umówione, w pobliżu pagórka.

— Hej, spiskowcy, gotowi? — zawołała plutonowy przekrzykując gdakanie rur wydechowych.

— Uciekacie ze szpitala? Dokąd? — zaniepokoił się chorąży.

— Do Berlina — odpowiedziała Marusia robiąc parę kroków w stronę drogi.

— Przecież tam najstraszniejsze walki, ogień, bomby, granaty.

— Otóż to właśnie — przytaknął starszy Szawełło, ruszając za Marusią.

— Głowę mi urwie komendant szpitala, kiedy się dowie, że was nie zatrzymałem, że uciekliście. Może nawet rozstrzela.

— Otóż to — po raz drugi automatycznie przytaknął sierżant.

Przez parę sekund sytuacja zdawała się chorążemu bez wyjścia i nawet już pomyślał, czy tu zostanie pogrzebany, czy zwłoki jednak do Mińska Mazowieckiego odeślą.

— A wy, towarzyszc wojenfielcher, dawajcie s nami — niespodzianie zaproponowała Ogoniok z czarującym uśmiechem.

— Ja? — Zubryk aż się cofnął i zachwiał na nogach z przestachu.

Podczas tej rozmowy wszyscy przesuwali się coraz bliżej ku szosie, w bezpośrednie sąsiedztwo motorów. Ogoniok, nie doczekawszy się odpowiedzi na swą propozycję, zasalutowała chorążemu, skoczyła zgrabnie do kosza. Za jej przykładem poszli obaj Szawełłowie. Młody dopomógł staremu, któremu trochę jeszcze noga raniona przeszkadzała.

W ciągu tych paru chwil Stanisław Zubryk podjął najtrudniejszą decyzję swego życia: z rozpaczą na twarzy skoczył na siodełko ostatniego ruszającego już motocykla i ruchem pełnym determinacji nacisnął czapkę po same uszy.

## ROZDZIAŁ 55. BIERSTUBE

Na zdobycznych mapach samochodowych, którymi posługiwali się Janek i Daniel, Berlin był podobny do ogromnego pająka, wyciągającego sześć łap w różne strony świata. Między te łapy wciskały się od zachodu lasy i podłużne jeziora, usiłując dotrzeć możliwie blisko centrum. Podczas błyskawicznej narady przed wyruszeniem z Kreuzburga postanowili wykorzystać jedno z tych zielonych pasm, prześliznąć się między Hennigsdorf i Schönwalde, dotrzeć do Spandau koło cmentarza.

Stamtąd już tylko jeden skok do rejonu stanowisk naszej artylerii. Generał mówił, że jeśli nie uda się ominąć wroga, trzeba go będzie odrzucić, ale obaj postanowili unikać tej ostateczności, a podchorąży przyznał szczerze wyższość taktyki porucznika Kozuba nad swymi ciągotami do rozstrzygania zadań przy pomocy szybkich ataków czołowych.

Skręciwszy z głównej szosy na południe, trafili wkrótce w obszar dość pusty. Dywizje prowadzące pościg były już znacznie dalej na zachód, pułki szturmujące Berlin weszły w ulice, zdobywając blok po bloku zaciskały pierścień okrążenia i odchodziły na południe, na wschód. Artylerzyści dalekonośnych dywizjonów ustawili armaty na polanach, na polach z dala od wszelkich wyraźnych obiektów, i dawali o sobie znać tylko niskimi grzmotami salw, szelestem wielkokalibrowych granatów niczym ryby płynących przez powietrze w kierunku pożarów i dymów.

Nie napotykając prawie nikogo poza ciężarówkami amunicyjnymi, „Rudy” sunął boczną szosą pod osłoną dwóch motocykli. Trzeci, rozpoznający, kręcił się w przedzie, a teraz zawrócił i gnał na spotkanie czołgu. Na jego miejsce, dodawszy gazu, wyszedł natychmiast inny motor, a Łażewski przeskoczył tuż obok gąsienicy, zakręcił ciasno, dognał, wyrównał szybkość, i na migi pokazał Jankowi, że tu niedaleko można wlać coś do baku.

— Dobra! — krzyknął Kos i kiwnął głową.

Na najbliższym rozwidleniu skręcili w lewo i zatrzymali się przy stacji paliwowej na skraju miasteczka. Ze dwie setki domów, krytych czerwoną dachówką drzemały w dole, na łagodnych zboczach pagórków, stanowiących

otoczenie niewielkiego jeziora. Widać je było stąd jak na makiecie zrobionej przez starannego ucznia.

Nie tylko na wszystkich domach, ale prawie z każdego okna zwisały białe chorągwie — prześcieradła, ręczniki i bielizna poprzywiązywana do kijów od szczotek, tyczek ogrodowych, lasek i metalowych prętów. Nad bezgłośnymi, jakby wymarłymi ulicami lekki wiatr kołysał tę zmęczoną biel.

Mimo bezruchu i bezludności dwaj zwiadowcy z erkaemami zajęli stanowiska bojowe po obu stronach stacji.

— Benzyna, olej, ropa, wszystko, co chcesz — zdejmując czapkę mówił Magneto do Kosa, zeskakującego na ziemię. — Prądu nie ma, ale ręczne pompy działają.

— Wichura — rozkazał Janek przyglądając palcami włosy potargane przy zdejmowaniu hełmofonu. — Tankuj do pełna główny i zapasowe, żeby na cały Berlin starczyło.

Gustlik i Saakaszwili również zeszli z pancerza, stali jeden obok drugiego z tyłu za wozem, nie wiedząc, co z sobą począć.

— Chodź, obejrzymy miasto — zaproponował Kosowi Łażewski.

— Piwa to bym się napił — odrzekł niepewnie Janek i zaraz dodał: — Dobra. Kapral Wichura, obejmiecie dowództwo.

— Tak jest — szofer służbiście się wyprężył i odczekawszy, aż tamci odejdą kilka kroków, rzucił w stronę ukaranych: — Nie poznać, że kolega. Daje wam do wiwatu.

— Psinco ci do tego, co on nam daje. Nasza rzecz. A ty mi nic dodawać nie musisz — zamruczał Gustlik.

Pociągnął za sobą Grigorija w stronę stanowiska do mycia samochodów, ściągnął mundur i koszulę, zaczął odkręcać kran.

— Co robić, żeby znowu było dobrze? — spytał Grigorij.

— Najprzód woda na łeb — zdecydował Jeleń, pakując głowę w chłodny strumień.

Wichura kpiąco się przyglądał, trzymając końcówkę węża u wlotu zbiornika. Tomasz energicznie pompował ropę do czołgowych baków. Honorata patrzyła to na jednego, to na drugiego i wreszcie spytała:

— Może ja bym mogła u dowódcy za panem Gustlikiem poprosić?

— Panna Honorata niech lepiej swego pilnuje, bo przez tego czarnego kota i przez nią wszystko się zaczęło — odrzekł kapral.



— Odesłać mnie chce.

— Dobrze chce — stwierdził Tomasz.

— To dlaczego do Niemca, i to jeszcze obergefrajtra, jak ja u generała służyłam.

— Między obergefrajtrami dobrych ludzi więcej — wyjaśnił Czereśniak.

— Ja tego Kugla znam. On dla plutonowego Jelenia będzie się starał i krzywdy pannie Honoracie nie robi.

Zamyśliła się dziewczyna. Dowódca czołgu mówił to samo, ale spytać go powtórnie nie da rady, bo poszedł do miasta. Widać jeszcze jak razem z podchorążym idą pustą, lekko opadającą ulicą. I pies z nimi pobiegł, goni przodom.

Z dołu, z uliczki, też widać było Honoratę w barwnej kwiecistej spódnicy. Ponad dachami domów rysowała się na horyzoncie stacja benzynowa, a obok niej czołg — mocny, zgrabny, z lufą podaną do przodu jak husarska kopia.

Wiatr toczył po ulicy zerwany plakat, przycisnął go na chwilę do wraku spalonego samochodu. Duże czarne litery krzyczały echem hitlerowskich manifestacji: „*Ein Reich, ein Führer. Jedna Rzesza, jeden Wódz*”. Podmuch mocniej zakolysał białymi flagami, głośniej zaświstał w popękanych szybach, w szparze uchylonych drzwi.

Zdawało się, że spoza firanek, z wnętrza ciemnych sieni spoglądają czyjeś oczy. Łażewski kopnął blaszaną puszkę po konserwach, żeby spłoszyć niemłą ciszę. Szarik potraktował to jako zaproszenie do zabawy, pogonił blaszankę za narożnik. Roześmieli się obaj, pobiegli. Pies odbił puszkę łapami, Janek zastopował ją niczym piłkę futbolową i wystawił do przodu Łażewskiemu. Jeden w kombinezonie, drugi w zwiadowczej panterce, przesłaniającej mundur, obaj bez czapek na roztrzepanych wiatrem włosach, grali w piłkę. Gdyby nie pistolety maszynowe przez plecy zamiast tornistrów, powiedziałbyś, że wybiegli ze szkoły.

Drzwi od sieni zatrzasnął wiatr albo człowiek.

Kopali, kiwając psa, coraz dalej wbiegali w ulicę, ale po jednym z podań podchorąży, zamiast kopnąć puszkę, zatrzymał się przed wystawą i zawołał Janka. Za oknem przedziurawionym paroma kulami stały piramidy jednakowych słoików z napisem „*Kunsthonig*”. Pośrodku, między tymi górami sztucznego miodu, między czterema wielkimi pszczołami, bardzo podobnymi do hitlerowskich gap, wisiał duży rozmiarów oleodruk, z

którego przemawiał Hitler szeroko otwierając usta, wytrzeszczając oczy i rękę unosząc ku górze.

— Widziałeś skurczybyka? Musieli nasi szybko tu wskoczyć i kupiec zdjąć nie zdążył. — Magneto sięgnął do kabury po pistolet.

— Daj spokój — wstrzymał go Kos. — Po co dziurawić obrazek? Piwa bym się napił.

Łażewski uważnie popatrzył dokoła. Naprzeciw był otwarty na oścież sklep z rowerami, ale w poprzecznej ulicy, idącej łagodnie pod górę i brukowanej kocimi łbami, było to, czego szukali.

— Tam powinno być.

— Sprawdźmy.

Szyld malowany złotymi literami na blasze głosił „*BIERSTUBE*”. Do piwiarni prowadziły dwa schodki w dół, a dalej ciężkie drzwi z uchwytem mosiężnym, wytartym przez lata wieloma tysiącami rąk. Pchnięte, wpuściły ich do środka ostrzegawczo dzwoniąc.

Piwiarnia miała ciemne ściany, sklepienie robione pod gotyk, brązowe stoły z grubych desek i ciężkie taborety. Wchodzącym z jasnego słońca wydało się w pierwszej chwili mroczno, ale na szynkwasio płonęła świeca. Za kontuarem stała gruba, nalana baba w męskiej marynarce. W głębi sali nad nie dopitymi kuflami milczało paru cywilów, którzy nawet twarzy nie obrócili do wejścia. Łażewski i Kos siedli w rogu obok drzwi, żeby za plecami mieć ścianę, a salę przed sobą.

Podeszła dziewczyna w fartuszkach i kusej, nie sięgającej kolan spódnicy.

— Zwei Halbe und Wasser — zamówił Kos.

— Sofort — odpowiedziała grzecznie kelnerka.

Stukając drewniakami na grubej podeszwie, przemknęła do kontuaru, naląła i przyniosła.

Janek postawił miskę z wodą na podłodze, Szarik chleptał nie spuszczać oczu z Niemców — czuł obcy zapach. Janek i Daniel pili w milczeniu, delektując się chłodną goryczką. Od szynkwasiu dobiegało podzwanianie szkła o metal, od stolików szmer ściszonych rozmów tych paru cywilów.

— Napiłbym się jeszcze — rzekł Łażewski.

— Zwei Halbe noch einmal.

Kelnerka przyniosła, postawiła i lękliwie spoglądając na psa, zbierała próżne kufle, ścierała blat. Kos podał jej dwa okupacyjne banknoty. Podchorąży obrócił swój pełny kufel, popatrzył pod światło i mruknął:

— Powiedz jej, żeby uczciwie nalewała. Połowa piany.

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy, pobiegła do kontuaru i zawiadomiła szefową szeptem, który słychać było na całej sali:

— Die Polen sind da.

Siwy, chyba najstarszy z Niemców wstał natychmiast i bardzo wyraźnie wymawiając słowa oświadczył:

— Die Stadt hat schon kapituliert. Miasto już skapitulowało.

— Waffe? Broń — spytał Kos.

— Wir haben keine...

— Sprawdź, czy rzeczywiście nie mają broni — rozkazał Kos Szarikowi.

Pies, węsząc, zaczął obchodzić salę. Zapadło głucho, napięte milczenie. Wszyscy znieruchomieli. Przy ostatnim stoliku w samym rogu wilczur zatrzymał się i ostrzegawczo warknął. Obaj żołnierze błyskawicznie wstali z miejsc, przerzucili na piersi pistolety maszynowe. Kos podszedł parę kroków bliżej i powtórzył:

— Deine Waffe.

Wysoki mężczyzna odsunął połą marynarki, zza pasa dobył pistolet i trzymając go za lufę, wyciągnął przed siebie. Kos zabrał broń.

— Der ist ein Fremder. To obcy — tłumaczył siwy.

— Daj w zęby — poradził Łażewski. — Żeby go pokusa do pistoletu nie brała.

— Chodźmy — rzekł Janek nie odpowiadając na propozycję.

— Nie dopijesz? — zdziwił się Magneto, podsuwając mu kufel.

— Nie. Nasi już pewnie zatankowali.

Janek przytrzymał drzwi, żeby przepuścić podchorążego, który w prawej niósł pistolet maszynowy, a w lewej kufel pełen piwa. Puszczone zadyndały z trzaskiem. Szarik parę razy spojrzął za siebie. Obaj żołnierze wracali zamyśleni.

— Cholera by ich wzięła — powiedział nagle Kos, przystając. — Pamiętasz, jak mówiłeś w obozie?

— Żeby tępić, póki czas. Głupio.

— Ale ten w kącie pistolet chował. Dla kogo miał w nim kule?

— Mówilem: daj w zęby.

Zza węgła, zza zakrętu ulicy, na którym przed chwilą sami kopali puszkę, wyskoczył czarny krążek, toczył się po asfalcie jezdni, wpadł na krawężnik i pękł na parę kawałków. Szarik szczeknął, podbiegł i skacząc usiłował złapać zębami drugi, potem trzeci i czwarty.

Kos, skręcając w ulicę, zobaczył Saakaszwilego i Jelenia, którzy siedzieli w drzwiach sklepu z gramofonami. Obok siebie na progu ułożyli dwie wysokie sterty płyt. Brali po jednej, starannie wyjmowali z kopert i ruchem wytrawnych kręglarzy puszczały z góry po asfalcie. Tak byli tym pochłonięci, że w ostatniej chwili spostrzegli nadchodzącego dowódcę czołgu.

— Czego tłuczecie?

— Im to już na nic — tłumaczył zaskoczony Gustlik. — Same marsze.

— Przestań. Głupia zabawa.

— Chcecie po łyku chłodnego? — Łażewski podał pieniący się kufel.

— Nie — ostro odrzekł Gustlik.

— Nie — powtórzył Grigorij, oblizując wargi i przetykając ślinę.

— My ci tu, Janek wyszli naprzeciw — ciągnął Jeleń — coby powiedzieć, że teraz już ani kropli.

Świeżo umyć, w wyczyszczonych butach i pasach stali na baczność.

— Ani kropli, nigdy? — Kos kpiąco zmrużył oko.

— Nigdy — potwierdził Gruzin.

— Chyba jakby była taka jakaś pierońska okazja... — zwątpił Jeleń.

— Zdaje się, że zaraz będzie — stwierdził Kos, który dostrzegł nowych gości i szybkim krokiem ruszył przed siebie.

Do stacji paliwowej podjechały trzy ciężarówki. Ostatnia miała z tyłu przyczepiony wózek z dumnie sterczącą francuską flagą i napisem na burcie: „*A Paris*”.

— Priwiet sojuzniki — wołał lnianowłosa kierowca wysiadający z szoferki pierwszego wozu. — Zaprawitsa bienzinczykom daditie? Zatankować można?

— Skąd i dokąd jedziecie, rebiata? — spytał Kos.

— A ty kto, czto zadajosz woprosy?

— Dowódca — wyjaśnił Gustlik. — Ma prawo pytać.

— Komandir — przytwierdził Grigorij.

— Waszym artileristam snariady wozili. Pociski do polskich puszek.

— Haubice sto dwadzieścia dwa?

— Toczno.

— Gdzie stoją?

— Kak w Spandau za popierecznoje szosse projediesz, srazu po lewoj rukiie uwidisz.

— Dokąd teraz?

— Na drugoj bierieg Odiera.

— Przez Ritzen?

— Da.

Żeby czasu nie tracić, Rosjanin nie przerywając rozmowy wstawił końcówkę węża w gardziel baku. Wichura mu pompował.

— Zabierzecie dziewczynę? — spytał Kos.

— Krasiwaja?

— O to się starać nie musisz — wtrącił Jeleń. — Pomacaj — podstawił mu rękę, napinając mięśnie. — Moja dzieuszka będziesz wiózł.

Od strony czołgu Saakaszwili przyprowadził Honoratę, która ciekawie spojrziała na młodego i przystojnego szofera ciężarówki, a potem odwróciła głowę, udając, że płacze.

— Nie dość, że do Niemca — pochlipywała — to jeszcze bolszewicy będą mnie więzli.

— Diewuszka, czto wy? — spieszył się kierowca. — Dowieziom, czestnoje komsomolskoje.

— Dość! — krzyknął Janek, bo choć bak był pełny, to czerwonoarmista tego nie spostrzegł, a Wichura pompował dalej i benzyna tryskała na boki.

— Co on powiedział na końcu? — dopytywała się Honorata.

— Powiedział: jak Boga kocha, że dowiezie — przełożył Gustlik z rosyjskiego na nasze.

Z pudła ostatniej ciężarówki, między poprzeczkami, wyjrzał zaspany długi Francuz i przetarł oczy, nie mogąc uwierzyć, że nie śni. Wreszcie zeskoczył na ziemię i dotknął najbliższego stojącego Wichury.

— Bonjour, c'est vous?

— My — odpowiedział kapral. — Nie w tę stronę was wiozą, co chcecie.

— O là, là quel malheur, nous ä Paris.

I on, i jego dwaj towarzysze wyraźnie się zmartwili, że niechcący nałożyli drogi. Pospiesznie zaczęli odkręcać druty z samochodowego zaczepu, odtoczyli swój wózek na bok.

— Spróbujcie — poczęstował ich Łażewski kuflem piwa, który cierpliwie trzymał w garści.

— Bon — stwierdził długi, odpiwszy łąpczywie połowę.

— Bierstube — pokazał ręką Magneto. — Ale gnata na drogę węz — podał mu odebrany Niemcom pistolet.

— Non. Jamais! Nous ne sommes pas des soldats. Vive la paix! — śmiał się długi, dowodząc, że nigdy, przenigdy, bo oni nie są przecież żołnierzami i że niech żyje pokój.

— Ruszamy! — zawołał Kos.

— Dobra — przytaknął Łażewski.

Zaczęły grać wszystkie silniki naraz. Załoga i motocykliści zajęli swoje miejsca. Tylko Gustlik stał jeszcze obok radzieckiej ciężarówki, mówił coś do Honoraty, usadzonej już w kabinie, a ona do niego. Długo ściskali sobie dłonie i wreszcie pocałowali się niezręcznie.

Radzieckie ciężarówki ruszyły na Wschód, a motocykle i czołg w przeciwną stronę, skręcając po chwili na południe.

Trzej Francuzi jeszcze stali koło swego wózka. Śmiali się, żartowali pospiesznie i głośno. Potem długi wskazał ręką na zachód, pociągnął wózek. Dwaj jego kumple hamowali za tylne koła.

Stanęli znowu na chwilę, a potem uzgodniwszy ostatecznie poglądy, zatoczyli niewielki łuk i skręcili w opadającą w dół ulicę. Wózek, mimo hamowania, zjeżdżał coraz szybciej w tę właśnie stronę, gdzie na metalowym szyldzie widniał złocony napis: „*BIERSTUBE*”.

Dłuższą chwilę w szoferce amunicyjnej ciężarówki, jeśli nie liczyć warkotu silnika, panowała cisza. Jasnowłosy radziecki kierowca nie zamienił ni słowa z Honoratką. Oboje zerkali na siebie: ona z lekką obawą, a chłopak kombinował, od czego by zacząć. Wreszcie wpadł na doskonały, choć może niezupełnie oryginalny pomysł, i stwierdził:

— Krasiwaja pogoda.

— Ja tam nie bardzo krasywa — odrzekła dziewczyna — ale pogodać mogę.

Znowu chwilę trwało niezręczne milczenie. Tym razem Honorata zdobyła się na odwagę i pokazała przez szybę.

— Kwiatki.

— Lubisz cwiety? — ucieszył się żołnierz i zahamował.

Wysiadając zauważył, że Honorata czyni w jego stronę znak krzyża.

— Ty czewo eto?

— We wsi mówili, że bolszewik nie straszny, byle przeżegnać.

Roześmiał się szofer wesoło, zerwał na poboczu kilka błękitnych bratków i podał je dziewczynie.

— U nas gawariat: Polka nie straszna, tolko cwiatok podarit'...

W przedzie zza zakrętu wyskoczyło naraz parę motocykli. Szły ostro. Słońce błysnęło na lufach erkaemów.

— Łožys — kierowca pociągnął Honoratę, by się skryła w kabinie.

Sam wziął do ręki pepeszę, odciągnął zamek, ale już po chwili rozpoznał, że swoi, i odłożył broń. Dał jednak znak Honoracie, by się nie pokazywała, i zatrzaskał drzwi.

Motocykliści zahamowali, a jadący na czele plutonowy spytał:

— Na Spandau charaszo jedziemy?

— Charaszo.

— Polskij tank 102 widieli? — wysokim głosem zagadnął młodziutki żołnierz z kołyski, bardzo do dziewczyny podobny.

— Piat' minut, kak rozpraszczalis. Wmiestie goriucze brali. Na motocyklach toże byli.

— A dowódca jaki? — zaniepokoił się plutonowy.

— Normalny, tolko u nie wo zdies — pokazał na rękaw munduru — kak u gienierała.

— Spasibo.

Uścisnęli sobie dłonie, Rosjanin wlaźł do szoferki i ciężarówka odjechała.

— W kabince u tego Ruskiego jakaś dziewczyna była — stwierdził sierżant Szawelło, który zsiadł z motocykla i podszedł bliżej.

— Ale on nie poznał, myślał że jestem chłopakiem — cieszyła się Marusia. — Zaraz dogonimy „Rudego”.

— Dalej nie pojedę — oświadczył niespodzianie, ale bardzo stanowczo plutonowy..

— Paczemu?

— Do piekła, ale nie tam. Jakby złapał podchorąży Magneto, że z drogi zboczyłem...

— Co racja, to racja — przyświadczył Szawełło.

— Na piechotę dojdziecie, niedaleko.

— Tagda paszli — zaczęła poganiać Marusia.

— Całusa obiecałaś — dopominał się plutonowy. — Nie takiego przecież — zaprotestował, gdyż Ogoniok przesłała mu ręką buziaka.

— Jak dowiozłeś, tak całuję: niedaleko.

Chorąży Zubryk i Józek Szawełło też już podeszli do rozmawiających i teraz wszyscy czworo energicznie ruszyli przed siebie. Sierżant kulał odrobinę, ale i tak nadał takie tempo, że felczer co pewien czas musiał podbiegać, żeby nie zostać w tyle. Młody Szawełło oglądał się za nim i niby to czekając na chorążego, zrywał po kryjomu przydrożne bratki.

Co innego na kolach, a co innego nogami drogę przemierzać. Każdy kilometr dla piechura dziesięć razy dłuższy albo i więcej. Zgrzali się solidnie, nim zobaczyli miasteczko. Kiedy podeszli do stacji benzynowej, z końcówki paliwowego węża jeszcze kapały krople do podstawionego wiadra, ale naturalnie nikogo już przy niej nie było.

— Tolko czto ujechali — zmartwiła się Marusia.

— Obszedłszy miasto, na drogę popadniemy i może kto podwiezie — rozmyślał głośno Konstanty.

— Przez miasto szybciej — doradziła Ogoniok.

— Bez potrzeby lepiej między domy nie wchodzić.

— Jakby ludzi nie było, taka cisza — odezwał się Józek.

Wciąż jeszcze ukrywał w dłoni bratki, których nie miał odwagi ofiarować. Teraz już zaczął rękę wyciągać zza pleców, ale odruchowo ją cofnął i krok za pompę zrobił, gdyż z dołu dobiegł stłumiony wystrzał z pistoletu, potem jeszcze dwa, jeden po drugim.

Sierżant także stanął w ukryciu. Felczer odbiegł parę kroków, pod osłonę murowanego garażu do mycia wozów. Marusia przyklękła za kolumnką benzynową i korzystając z okazji zerknęła w stłuczone lustro na czerwonej blasze, czy jej dobrze w polskiej połówce.

Z tej samej strony co wystrzał usłyszeli powolny, potem coraz szybszy turkot. Z bocznej uliczki wyjechał na główną jakiś wózek, uderzył w okno wystawowe. Zabrzęczała wybita szyba i ucichło.



— Biegniemy? — spytał Zubryk.

— Jasne — odrzekł Szawełło i rozkazał: — Józiu, idąc z prawej ubezpieczasz na lewo, a panna Marysia przeciwnie.

We troje ruszyli w dół ulicy, niosąc broń gotową do strzału.

Felczer, który proponował bieg w przeciwnym kierunku, zawahał się chwilę, lecz nie chcąc zostać sam, dobył pistolet i wielkimi susami popędził środkiem ulicy, postanawiając na przyszłość wyrażać się jaśniej. Był przekonany, że niepotrzebnie podniecił Szawełłę do działania.

Pochyłość niosła ich i wydłużała kroki. Ogoniok pierwsza zobaczyła zabitych i wskazała kierunek. Skokami przedostali się do nich i stanęli naprzeciw „*BIERSTUBE*”. Marusia i Szawełłowie, wciśnięci plecami w zagłębienia muru, obserwowali okna. Lufami pistoletów maszynowych osłaniali nawzajem siebie i Zubryka, który, pochylony nad leżącymi, kolejno sprawdzał, czy wszyscy trzej nie żyją.

W pewnej chwili Józek podrzucił do ramienia automat, oddał krótką serię w stronę dachu. Z mansardowego okna wypadł czarny szmajser i wykruszywszy rudy strzep dachówki zsunął się na ulicę. Trzepnął o bruk tuż obok Zubryka, ale tym razem felczer się nie przestraszył i tylko odsunął broń od siebie, nie przerywając badania. Po paru sekundach wstał i głośno oświadczył:

— Niczym nie możemy im pomóc. Exitus — nazwał zgon po łacinie.

Dopiero teraz w to samo okno, z którego wypadł pistolet, zwałił się człowiek, zawisł na parapecie głową w dół. Felczer popatrzył na niego, na broń u nogi, i nagle zrobiło mu się niedobrze, kolana zmiękły, poczęły uginać się coraz niżej.

Podskoczyła Ogoniok, podtrzymała go, podała nie dopity kufel stojący na krawężniku. Felczer łapczywie łyknął piwa.

— Nic tu po nas — rzekł sierżant. — Za mało, żeby gród opanować, a za dużo, żeby głów żal nie było.

Marusia podniosła niemiecki automat, wetknęła go chorążemu do ręki.

Ubezpieczonym marszem ruszyli z powrotem. Powtórnie minęli wózek z napisem „*A Paris*” i trójkolorową flagą, który wjechał w wystawę pełną słoików sztucznego miodu i ozdobioną sztucznymi czterema pszczołami podobnymi do hitlerowskich gap. Między pszczołami niedawno jeszcze wisiał widocznie portret, bo świeciła jaśniejsza prostokątna plama.

— W domu będą ich czekać — westchnęła Marusia.

— Czas niespokojny — odpowiedział Józek.

— Na welocypedach poręczniej niż piechotą — stwierdził Konstanty.

Z rozbitego sklepu wzięli rowery. Józek z kąta wyciągnął damkę dla Marusi, zamocował obok dzwonka przymięty bukiecik bratków. Potem jeszcze wypchnął młodzieżowy na balonach dla chorążego Zubryka.

— Welocypedy jak ludzie, same marne zostali — narzekał sierżant macając ramę i próbując trybów wolnego biegu. — Co mocniejsze poszli na front, przeciw nam walczyć.

— Ten z góry chciał do mnie strzelać w czasie wykonywania obowiązków lekarskich. Ha? — dopiero teraz domyślił się felczer i na samo wspomnienie otarł pot z czoła, musiał na chwilę przystanąć pod murem, by nabrać sił.

Podobnie jak koło stacji benzynowej został sam w tyle, więc skoczył pospiesznie na siodełko i ostro pedałowując ruszył śladem Szawellów i Marusi, którzy w luźnym szyku jechali w dół główną ulicą miasteczka, pilnie przepatrując połyskujące zdradliwe okna.

## ROZDZIAŁ 56. MIĘDZY FRONTAMI

Za miasteczkiem, w którym napili się piwa i napoili swe mechaniczne konie, jechali kawałek jeszcze szosą, a potem dali nura w las, na gruntową drogę. Nie był to bór beskidzki ani tucholski, w niczym nie przypominał ussuryjskiej tajgi, ale zawsze las.

Cień okrywał trakt ledwo o metr czy dwa od przesieki szerszy. Niskie słońce przeświecało górą, czerwieniło pnie sosen, ale w dole gęstniała szarość. Ubezpieczające od czoła dwa motocykle coraz częściej gubiły się w zieleni, coraz rzadziej błyskały w plamach świetlnych.

„Rudy” miał wszystkie włazy otwarte, ale na wieży dyżurował tylko Janek. Reszta załogi przysiadła na dnie i stamtąd dobiegały słowa śpiewanej pod harmonię piosenki.

*Dziesiąty sierpnia — upalny dzień,  
Ziemia pod stalą zadrży.  
Trzecia kompania przez dymów cień  
wali w pancерnej szarży.  
Przed nimi lśni tygrysi ząb.  
Tygrysa bierz na cel i rąb  
w tygrysa z działa rąb!*

— Dość! — zawołał Kos.

Śpiew ucichł i z sąsiedniego włazu wychynęła głowa Wichury.

— Nie podoba ci się?

— Rąb w ząb. Średnio. A w ogóle to się tak drzecie, że strzałów nie słyszeć, a bitwa blisko.

Rzeczywiście, teraz znacznie wyraźniejsze stały się niedalekie huki armat i suchy werbel ciężkich karabinów maszynowych.

— Blisko biją — zaniepokoił się kapral.

— Jak to na wojnie — mruknął dowódca czołgu.

— A jak po wojnie? — Wichura postawił filozoficzne pytanie i zaraz sam zaczął odpowiadać, żeby go Janek nie ubiegł. — Po wojnie musisz mieć fach. Z Krzyża Walecznych nie wyżyjesz.

— Myślisz, że z rymów dasz radę?

— Nie wiem, ale jakeśmy byli w Kazachstanie na ewakuacji, to jednego takiego poznałem, co wierszami listy na front układał. Za najkrótszy nikt mniej nie dawał niż kilo chleba, a żona przewodniczącego za trzystronicowy odpaliła mu baranią nogę.

— Dlatego układasz o rąbaniu w ząb?

— Próbuję. No i żeby pamięć nie zginęła o studziankowskiej bitwie — umilkł, a po chwili przebiegłszy myślami kilometry wspomnień, zapytał: — Pamiętasz, jakeś mnie prosił, żeby do szpitala co prędzej?

— Pamiętam — Janek zerknął na pierścionek Marusi na swym małym palcu i nagle tak zatęsknił, że poczuł w sercu ukłucie niczym igłą.

— Słuchaj — przypomniał sobie Wichura — wtenczas w Sielcach to tyś naprawdę szalik do rury wydechowej wepchnął?

— Załoga na miejsce! — rozkazał Kos zobaczywszy w przedzie znak Łażewskiego, ześliznął się w dół, trzasnął włazem.

Szczęknęły dwa inne zamki, pomroczeniało i ucichło we wnętrzu. Gustlik rozglądał się przez celownik i koniec lufy zatoczył płaską ósemkę.

Janek czujnie obserwował w swym peryskopie, jak motor podchorążego po usypisku kamieni i gruzu forsuje kanał, a potem niknie za nasypem.

— Mechanik wolniej... Odłamkowy w lufę.

— Załadowane — odpowiedział Tomasz równocześnie z metalowym szczękiem ryglowanego zamka.

— Gotów — zameldował Gustlik.

Kos wiedział z mapy, że gdzieś tu kanał Haveli skręca ostro na zachód, i jadąc na południe będą musieli go przeciąć. Jeśli przeciwnik utrzymał choćby resztki frontu, jeśli blokuje podjazdy do Spandau, to właśnie tu powinien zorganizować pozycję przesłaniającą lub choćby zasadzki. Widocznie jednak nie zorganizował, bo z tamtej strony ani rakiety, ani wystrzału.

Motocykle kryjące boki czołgu zaplątały się między krzakami, ale „Rudy”, nie czekając na nie, dźwignął się lekko w górę, przelazł przez kanał po kamiennym usypisku i bez rozkazu zahamował na nasypie.

Nie dalej niż dwadzieścia metrów przed nimi stał Łażewski i jego dwaj zwiadowcy z uniesionymi w górę rękami. Pilnowało ich pięciu radzieckich żołnierzy z bagnetami na karabinach. W stronę czołgu szedł młodziutki młodszy lejtenant z pistoletem w garści i wołał:

— Stoj! Stoj!

— Uważaj, Gustlik — rozkazał Janek i ześliznąwszy się po pancerzu wyszedł oficerowi naprzeciw.

— Każcie, towarzyszu lejtenancie, swoim ludziom, żeby opuścili lufy.

— Wy kto?

— Z 1 polskiej armii.

— Dokąd?

— Na stanowiska ogniowe naszej artylerii, do Spandau.

— W przedzie naszych wojsk nie ma.

— Jak pojedziemy, to właśnie będą. Każcie opuścić lufy.

— Nie wolno nikogo przepuszczać.

— Ale przecież macie rozkaz zatrzymywać jadących na północ, a nie na południe — usiłował zgadnąć Kos, słusznie rozumując, że ten oddział musi być jakimś odpryskiem wojsk okrążających.

— Tu zostaniecie — oficer nie miał zamiaru prowadzić dyskusji. — Złóżcie broń, a ja zawiadomię swoje dowództwo...

Sytuacja stawała się coraz bardziej denerwująca. Janek spojrzał w stronę czołgu i na drugim brzegu zobaczył dobrze zamaskowane działo kalibru 76 mm, którego lufa groźnie patrzyła na tylny pancerz „*Rudego*”. A więc trafili w pułapkę nie tylko bezsensowną, lecz groźną. W oczach lejtenanta, który miał lat nie więcej niż Kos i zapewne dopiero przed miesiącem opuścił szkołę, można było wyczytać wyuczone na pamięć punkty regulaminu. Jeszcze chwila i da komendę otwarcia ognia, bojąc się, że inaczej nie wykona rozkazu.

— Mam na imię Janek — rzekł Kos postanowiwszy zaskoczyć partnera zmianą tonu i uśmiechając się wyciągnął rękę. — A ty?

— Aleksander — nieco zdziwiony lejtenant przełożył pistolet do lewej, żeby móc się przywitać.

— Aleksander znaczy Saszka. A skąd rodem?

— Z Dalekiego Wschodu.

— Polowałem nad Ussuri. Na tygrysy. Popatrz...

Janek wyciągnął z kieszeni zawinięte w szmatkę kudłate ucho.

— Prawda! — zdziwił się dalniewostocznik.

— Długo będziesz porządnym ludzi i sojuszników na muszce trzymał?

— Ale dlaczego się naprzód pchacie, jak tam naszych wojsk nie ma? — pytał jeszcze, ale już znakiem ręki kazał swoim opuścić karabiny.

— Z tej samej przyczyny, dla której siedzisz ze swoimi działami w zasadzce. Taki rozkaz.

Łażewski podszedł bliżej, rozejrzał się i gwizdnął. Z krzaków na tamtym brzegu wyjechały zwiadowcze motory. Lejtenant się zdziwił, uniósł wysoko brwi.

— Ano właśnie — stwierdził Kos. — Złapał Kozak Tatarzyna a Tatarzyn za łeb trzyma...

— Prawdę mówiąc — przyznał Rosjanin — nie bardzo wiedziałem, co za wojsko. W szkole nie pokazywali, a na froncie tydzień dopiero.

— Tak myślałem. Przyglądaj się szybko, bo na nas pora, Sasza.

— Jezżaj, Wania. A jakby co, to zawracaj pod osłonę moich luf.

Ruszyli ostro, żeby stracone kilometry nadrobić. Nie zmieniając szyku szli lasem, przeprawili się wplaw przez niewielką rzeczkę. Nie napotykali nikogo, tylko co pewien czas między pniami widzieli przymięte sterty porzuconych mundurów, broń albo hełmy ciśnięte w krzaki.

Wichura znowu wylazł na wieżę i pogadywali.

— Żonę w cywilu trzeba mieć. Dziewczynę wybiorę po powrocie, na miejscu, ale o fachu z góry trzeba myśleć. Naturalnie, że najprościej wóz jaki zdobyczny skombinować i dalej kółkiem kręcić, ale trochę mi się znudziło, więc skoro do rymu układać potrafię... Słuchaj: Na polach rosną wybuchów krze...

— Co rośnie?

— Krze, znaczy krzaki. Słuchaj dalej: rosną wybuchów krze, kule dzwonią jak szklanki, pierwsza brygada lawiną prze do szturm na Studzianki. Dobre?

— Niezłe. Ale teraz, przyj.

— Nie rozumiem?

— Brygada prze do szturm, a ty przyj do kaemu. Proste?

Las coraz rzadszy, bardziej przejrzysty skończył się nagle i Kos zobaczył panoramę wielkiego miasta. Stał nad nim w powietrzu szeroki na pół horyzontu i na kilometr wysoki mur dymu i wapienno-ceglanego kurzu, podciekający od dołu blaskiem pożarów i niskiego słońca. Wyżej, uszykowane w kilka pięter chodziły bombowce, zwalając połyskujący w słońcu ładunek bomb.

Tuż za lasem stało parę opuszczonych, ponurych bloków z czerwonej cegły z zerwanymi dachami, kilka niezgrabnych domków podmiejskich, a dalej pustynny obszar gruzu, przemielonego na grubą kaszę nalotami, jakieś zabudowania fabryczne postrzępione przez artylerię.

Wszystko było martwe, nigdzie człowieka ani ruchu. A jednak to już Berlin i niemożliwe, żeby tu było tak pusto, jak w lesie.

— Załoga na miejsca — rozkazał Kes, a sam jeszcze wychylał się i korzystając z osłony otwartego wjazdu, przepatrywał teren.

Od chwili wyjazdu spomiędzy drzew prócz świstu ciężkich granatów idących górą słyszał przez cały czas dość ostrą karabinową strzelaninę, która była w przedzie, po obu bokach i jakby nawet z tyłu. Teraz nagle, nie dalej niż trzysta metrów przed nimi, rozjazgotały się zajadłe serie. Janek zobaczył, jak ubezpieczające motocykle dodały gwałtownie gazu, skrzyły w stronę ognia, który szedł zza muru fabrycznego. Strzelając z erkaemów zwiadowcy błyskawicznie szli do zwarcia, skracali dystans.

— W prawo... w lewo... — dyrygował Kos i odsłoniwszy manewrem widoczność na zaplecze muru, rozkazał: — Do piechoty na wprost...

Nim zdążył podać dystans, Gustlik uchwycił ich na celownik. Z karabinu maszynowego sprzężonego z lufą wypruł długą serię. Urwał, widząc zwiadowców atakujących już granatami i biegnących do walki wręcz.

Kos zatrzaskał włącz, przywarł do swego peryskopu. Chwycił w szkła fragment walki, potem czołgiem rzuciło na jakimś leju i stracił obraz.

Gustlikowi czuwającemu przy celowniku udało się jeszcze dogonić dwu uciekających chyłkiem wśród ruin i to już był koniec starcia, które równie niespodzianie zgasło, jak przedtem wybuchło.

Na spotkanie nadjeżdżającego czołgu wybiegł przygięty pod murem Łażewski, wskazał miejsce osłonięte ruinami niczym okopem.

— Nie otwieraj górnego! — krzyknął, widząc, że drgnęła płyta na wieży, i zastukał kolbą w przedni pancerz.

Szczęknął zamek, otworzył się włącz, a w nim obok rozgrzanego jazdą Saakaszwilego pojawił się Kos. Z boku wpychał ciekawą mordę Szarik.

— Mogą mieć gołębiarzy na dachach.

— Poza tym lejtenantem, który chciał nas rozbroić, ani śladu frontu — głośno myślał Janek — i od razu...

— Miasto. Gorsze niż las.

— Jak twoi?

— Jeden tylko draśnięty.

Podchorąży wskazał za siebie na żołnierza, który zrzucił bluzę i pomagał opatrywać własne ramię, przytrzymując zębami końcówkę bandaża.

— Ostro poszli na ogień, wy pomogliście i dlatego bez strat — dodał po sekundowej pauzie.

— Zasadzka?

— Chyba nie. Po prostu nadzialiśmy się na siebie. Co dalej?

— Będziemy szukali artylerzystów. Oni gdzieś niedaleko i chyba bardziej na lewo.

— Dobra. Tylko tu już ostrożnie, na paluszkach.

Janek kiwnął głową, ale w tej samej chwili nie dalej niż kilometr w przódzie wybuchła ostra strzelanina: gęste serie broni maszynowej i wybuchy pocisków zlewały się w jedno, a na tym tle basem, w dziesięciosekundowych odstępach biło działo.

— Może polskie?

Kos wysliznął się na zewnątrz i obaj z Łażewskim po rozchybotanych, ledwie trzymających się ściany schodach przeciwpożarowych wbiegli na balkon, na wysokość pierwszego piętra.

— Nam w inną stronę — stwierdził dość niepewnie sierżant.

— Kopertę trzeba doręczyć — dodał podchorąży.

Rozejrzał się, jakby szukając kogoś trzeciego, i pomyślał z żalem, że nie ma mu kto poradzić. Gdyby nie tamten grób pod wierzbami koło Wejherowa...

— Może skoczmy na pomoc? — zaproponował przecząc swym własnym słowom, wypowiedzianym sekundę temu.

— Jasne — przytaknął Daniel parszcząc śmiechem.

Pobiegli w dół dudniąc po blaszanych stopniach.

— Tak jakby haubica! — zdążył jeszcze krzyknąć Kos, wskakując do czołgu. — Może rzeczywiście nasi artylerzyści? — dopowiedział podłączając hełmofon do radiostacji, ale podchorąży nie mógł już go słyszeć.

Z ulicy pozostały tylko dwa domy naprzeciw siebie, połączone rumowiskiem i barykadą. W wykuszu barykady, szeroko rozkraczywszy ogony łoża, stała haubica 122 mm i prowadziła szybki, bezpośredni ogień. Po



przedpołu pełzły trzy czołgi i dwa transportery bijące ze wszystkich luf. Granaty dziurawiły ściany domów, po barykadzie skakały czarno–czerwone kłębki wybuchów.

Nieco w tyle pod samą ścianą stał spalony wrak ciężarówki i uszkodzony pociskiem, mocno przechylony na bok samochód propagandowy z głośnikiem nad szoferką. W rzadkich sekundach ciszy między strzałami i wybuchami słychać było płynące przez głośnik strzępy spokojnego tanga:

*I znów zakwitły kwiaty*

*i ...ów ...ą aromaty*

*i znów War... awi się*

*i znów swój urok śle.*

Coraz ciemniej robiło się wokół od dymu i kurzu, coraz bliżej były silniki nacierających wozów. Szczuplutki sierżant podchorąży, wciśnięty między złomy betonu na szczycie barykady a mur płonącego od stropu domu, krzyczał ochrypłym głosem:

— Gotów! Do prawego. Niżej celować. Ognia!

Płonął jeden z atakujących czołgów, ale transportery wpełzły za resztki ruin i wysypały piechotę. Niemcy ruszyli z głośnym hajlowaniem.

— Odłamkowym i pod nogi! — krzyczał sierżant.

Twarz miał pociemniałą, pot na niej złościł deseń podobny do korytarzy kornika. Szczęrząc zęby złożył się z automatu i zaczął strzelać seriami do piechoty, ale co chwila popatrywał za siebie, wiedząc już, że nie utrzyma pozycji. Drelich, luźno wiszący na wąskich ramionach, coraz bardziej ciemniał od potu.

Właśnie wówczas, skacząc po gruzach, wjechały między domy trzy motocykle. Załogi ich błyskawicznie zniknęły we wnętrzu domów i po paru sekundach z obu stron posypały się granaty z okien, zagrały peemy i karabiny maszynowe, ciskając garście kul prosto w twarze szturmujących piechurów.

Podchorąży, ucieszony niespodzianym wsparciem, obejrzał się raz jeszcze i zdrętwiał z przerażenia — spomiędzy obłoków dymu i kurzu wyskoczył rozpedzony czołg, gnał z tyłu wprost na działo.

— Cholera jasna!

Zerwał się, zeskoczył z barykady i biegł z pistoletem maszynowym w rękę na spotkanie stalowego kolosa, strzelał w pancerz, jakby miał szansę przebicia.

Kanonierzy przy działach również się spłoszyli, rzucili na boki, by uniknąć zmiżdżenia gąsienicami, lecz czołg skręcił pod lewy dom, gdzie barykada była niższa, wcisnął się między załomy muru i opuściwszy armatę otworzył ogień do Niemców.

— Nasz! — artylerzyści wrócili do dział i znowu zagrzmiała haubica.

Wściekła młocka trwała nie dłużej niż minutę, lecz załamała nacierających, zmusiła ich do ucieczki. Zrzędy potem i ucichły armatnie strzały, z wolna opadał kurz wybuchów. Wyraźnie słyhać było teraz melodię i słowa płynące z głośnika:

*W tę noc tętniącą wrzawą,  
w tę noc śmiejąc się, Warszawo  
i ciesz się swoją sławą,  
bo my kochamy cię.*

Mieszało się światło zachodu z blaskiem pożaru na dachu prawego domu. Świeciły pochodnie dwu rozbitych czołgów i transportera na przedpolu. Płyta dobiegła końca, głośnik wydał metalowy szczęk i umilkł.

— Armata mamy jak sto pieronów klętych! — grzmiał rozradowany głos Gustlika.

— Co pocisk, to w odcisk — zrymował Wichura.

— Cześć — rzekł Kos podchodząc z wyciągniętą ręką do artylerzysty.

— W samą porę — cieszył się nieznajomy, rozmazując rękawem kurz i pot na czole.

— Z brygady haubicznej?

— Nie, z propagandowej. Sierżant podchorąży Staśko.

— Łażewski — podwinął się z boku Daniel i pochwalił: — Twarda obrona.

— Twarda — przytaknął mu sierżant i wyjaśnił: — Inna być nie mogła. Działonowy zginął. Wóz propagandowy rozbity, samochód od holowania haubicy spalony. Jak mieliśmy wiać?

Czereśniak podszedł, słuchał uważnie i kiwał głową.

— Haubica z wozem propagandowym — rzekł Kos i spytał kpiąco: — Kto kogo miał wspierać?

— Siadajcie, to wam opowiem. Palicie? — zaprosił Staśko i zaczął wyciągać z kieszeni jedną książkę po drugiej, by wreszcie znaleźć papierosy.

— Ojciec prosił, żeby rzucić — wyjaśnił Kos.

— Dziękuję — Łażewski wziął papierosa, rozpiął kombinezon i siadł na skrzyni. — Bibliotekę po kieszeniach nosisz?

— Ja wprost ze szkoły oficerskiej. A że wiersze czasem piszę, to w zarządzie politycznym dali mi grający wóz. Powiadają: „*Naprawione działo goni brygadę, oni cię doprowadzą na miejsce*”.

— I nie doprowadzili — wtrącił Kos.

— Trafiliśmy pod ogień. Popatrzcie — strzepnął czapkę piach z chodnikowej płyty, kawałkiem cegły i tynku zaczął starannie rysować dwukolorowy schemat.

— Tego rozbitego patefonu to już się nie będzie zabierać? — spytał Czereśniak.

— Jak go zabierzesz? Na plecach? — obruszył się Łażewski.

— No właśnie — mruknął Tomasz odchodząc.

— Są dwa fronty. Wewnętrzny front okrążenia i zewnętrzny — tłumaczył Staśko. — Armia Czerwona zaciska pierścień i jednocześnie spycha resztę na zachód. My w środku, między; dworna frontami.

— Stanowiska ogniowe brygady podobno niedaleko, zaraz za szosą — powiedział Łażewski.

— Wiem. Ale szosa opanowana jest przez wojska, które wyrwały się z berlińskiego kotła. Możecie sprawdzić na własne oczy.

Staśko wygramolił się na barykadę, przez okno wszedł do domu i dalej podziurawionymi schodami prowadził na wyższe piętro.

— Stąd widać — pokazał na niewyraźne w zapadającym mroku szare pasmo szosy, po którym pełzły pojazdy, przebiegały wojska ostrzeliwane przez artylerię i same prowadzące ogień.

— Jak przerwą zewnętrzny front, trafią nad Łabę — rzekł Kos.

— Wszystko jedno, tam ich Amerykanie nakryją i też klops — zdecydował Magneto.

— Nakryją, ale im nie wszystko jedno — dodał Staśko i znowu zaczął szukać po kieszeniach papierosa, przekładając jakieś tomiki.

— Wyrzuć to — zachęcił go Łażewski. — Po wojnie będziemy czytać. Teraz najważniejsza dobra mapa, plan miasta.

— Plan też mam. Nawet dwa. Bierz — podał Kosowi spory, złożony w ośmioro arkusz.

Zapadło dłuższe milczenie. Z dołu słychać było rozmowy i pokrzykiwania kanonierów, szczękanie metalu i Czeresniakową harmonię ćwiczącą melodię, do której Wichura słowa układał.

Groźnie wyglądały te wojska sunące szosą między ruinami rozbitych domów. Oczy mieli dostatecznie bystre, by spostrzec, że broni im nie brak, że kolumna gęsto przetykana czołgami, działami pancernymi i transporterami. Nie pierwszy dzień byli na froncie i rozumieli, że tamtych prowadzi rozpacz i lęk przed zapłatą za zbrodnie, a więc, natrafiwszy na opór, bić się będą zaciekle. Im mroczniej robiło się wokół, tym wyraźniej dobiegał z tamtej strony stłumiony gwar, szczęk żelaza, warkot silników.

— Narwali się na mnie, próbując, czy tędy droga — mówił półgłosem Staśko. — Dostali po łbie i dali spokój. Ale wychodzić na główną drogę nie radzę... Lada godzina nasi podrzucą tu jaką jednostkę z rezerwy i wtenczas co innego. Tymczasem trzeba cicho siedzieć.

— Dla nas i kwadrans ważny — odrzekł Łażewski.

— Jeśli po ciemku podejść, bez światła, bez strzału kombinował głośno Kos — i dopiero kiedy spostrzegą, na pełny gaz...

— Chcecie mnie tu z haubicą zostawić?

— Skądże. Żeby przerwać tamten łańcuszek, trzeba uderzyć mocno i każda lufa się liczy, każdy bagnet. Ale rozkazywać ci nie będziemy. Jak chcesz.

## ROZDZIAŁ 57. ZNALEŻNE

Im bliżej szosy, tym bardziej ulica była zniszczona bombami i artyleryjskim ogniem. Ślepiły na nią podziurawione i rozdarte wybuchami mury, pozbawione futryn prostokąty okien. Na bruku i na chodnikach, wśród coraz gęstszych lejów po pociskach czerniały wraki samochodów jak ogryzione przez wilki szkielety. Pokaleczone działa tarasowały drogę, nikt tu nie usiłował nawet odciągać na bok zabitych. Leżeli rozrzućeni niedbale na ziemi w tych miejscach, w których dopadły ich kule czy odłamki. Mrok nie pozwalał odróżniać kroju i barwy mundurów.

Niecały kilometr w przedzie zamykało tę ulicę lekkie wzniesienie, przez które w poprzek biegła szosa, a po niej sunęły z lewa na prawo ciemne sylwetki ciężarówek, armat, nieregularnych grup piechoty. Rwały się tam co pewien czas granaty jakiegoś ciężkiego dyonu, który z daleka prowadził nękający ogień, oświetlały ludzi i sprzęt błyskawicznym blaskiem, ale bliżej, wśród domów podobnych do wypróchniałych zębów, był mrok i cisza.

Szybkie kroki zaszeleściły w bramie, lecz nawet stojąc obok nie sposób było zobaczyć ukrytych w cieniu ludzi.

— Pusty — zameldował ktoś półgłosem.

— Sprawdzajcie następny.

Dwie schylone postacie wyskoczyły z bramy, przebiegły parę metrów pod murem i znikły w czarnych otworach parteru. Długa chwila oczekiwania, a potem mrugnięcie latarki, oznaczające, że droga wolna.

Zwiadowcy wypchnęli z bramy motor, przetoczyli go chodnikiem w następne ukrycie, w cień podziurawionej tablicy ogłoszeń. Przystanąwszy, brali łapczywie powietrze w płuca drgające od wysiłku. Łażewski rozglądał się i wreszcie dał latarką znak — dłuższe mrugnięcie i dwa krótkie.

Spomiędzy domów z wolna wysunął się dziwaczny kształt, nastroszony pogiętymi blachami i krzyżakami z desek. Pełznąć pomrukiwał basem, lecz nie niósł ze sobą charakterystycznego dla czołgu szczęku metalu. Dopiero kiedy zatrzymał się za wrakami spalonych ciężarówek, za pochyłym słupem elektrycznym, można było stwierdzić, że to jednak T-34, zobaczyć z bliska

rolki omotane szmatami i niezgrabny garbaty kształt haubicy na holu, otoczonej przez paru kanonierów.

— Pusto? — spytał Kos wychylony z wieży.

— Tymczasem nikogo — odrzekł Łażewski wspinając się na pancerz. — Nie ma komu osłaniać, wszyscy wolą wiać.

Przez przedni właz Szarik usiłował wysunąć mordę, popiskiwał prosząco.

— Ani się waż — pogroził mu palcem Grigorij. — Wracaj na róże i motyle — odpychając psa ręką, trafił w ciemności na spory kanciasty pakunek, obmacał go i mruknął: — Kakowo czorta?...

— Nie klnij — poprosił przykucnięty obok Czereśniak. — To muzyka.

Od czoła trzykrotnie i krótko błysnęła sygnalizacyjna latarka.

— Cholera, ubezpieczenie ostrzega — szepnął Daniel do Kosa. — Zaczekaj.

Zeskoczył na ziemię, rzucił się pod ścianę domu w gęsty mrok i pobiegł ku swoim zwiadowcom działającym jako szpica.

W ciemności zabielała chustka, zatoczyła półkole. Stał jak wryty.

— Gdzie? — spytał szeptem przyczajonego żołnierza.

— Na wprost złamany słup, w lewo druga brama.

— Ilu?

— Czterech z rowerami.

— Brać bez strzału — rozkazał Magneto.

Rozkaz przekazywany szeptem z ust do ust przez zaczajonych motocyklistów cicho popłynął w mrok coraz dalszym echem.

— Bez strzału... strzału... ału...

Ciszę przerwał wybuch ciężkiego granatu w pobliżu szosy. Błysnęło i pociemniało jeszcze bardziej. Nikt ze zwiadowców nie drgnął. Wszystkie oczy skierowane były na bramę, w której zniknęli tamci czterej.

Wreszcie coś się poruszyło w ciemności, zaszeleściło. Jeden za drugim wyszli cykliści, przeprowadzili rowery za usypisko gruzu, potem wskoczyli na siodełka, nacisnęli pedały.

Z parterowych okien, niczym jastrzębie na stadko kuropatw, spadli na nich zwiadowcy. Zakotłowało się wszystko w milczącym, cichym zwarciu. Tak cichym, że słyhać było tylko zdławione stęknienia i szelest trybu w obracającym się kole przewróconego roweru.

— W łeb go, Józku! — ktoś wreszcie krzyknął szeptem.

— Stać! — zawołał niegłośno Łażewski i spytał: — Polacy?

— Dziewczyna z nimi? — zdziwił się jeden ze zwiadowców.

— A wy jak myśleli? Oczu nie macie?

— Nie złościście się, ojciec. Od Niemców jechaliście?

— Przez szosę nie da rady. Tam ich jak mrówek.

— We czworo nie da rady, ale nas więcej i czołg mamy. Idziecie z nami?

— Czołg? A jaki?

— Normalny.

— Taż my... — zaczął stary, ale dziewczyna szarpnęła go za rękaw i przerwała:

— Idziemy z wami.

Daniel miał zamiar spytać, czemu to baba sierżantem dowodzi, ale dał spokój. Chodziło przecież o to, żeby jak najszybciej zająć stanowiska wyjściowe. Każda minuta zwłoki zwiększała prawdopodobieństwo wykrycia ich grupy przez Niemców.

Ponownie ruszył zatrzymany na chwilę mechanizm — najpierw poszli do przodu pojedynczy zwiadowcy, potem ich motocykle przepychane z ukrycia do ukrycia.

— Czego panna Marysia, za rękaw szarpiąc, nie pozwoliła zapytać? Może właśnie oni?

— Nie — odrzekła stanowczo Ogoniok. — Idziemy.

— Oszaaleliście? — zapytał niespokojnie chorąży Zubryk. — Przecież widzieliśmy sami, że tam Niemcy. Przed chwilą niewiele brakowało...

— Ej wy, piechota. — Łażewski podszedł bliżej. — Trzymajcie się obok motorów, a dalej wytłumaczę, co i jak.

Odczekał chwilę patrząc, jak nowi pomagają w przetaczaniu, i zawrócił do czołgu.

— Co tam było? — spytał Kos.

— Nic specjalnego. Podgarnąłem cztery lufy z piechoty. Jak tak dalej pójdzie, przyprowadzimy artylerzystom batalion.

— Ruszamy?

— Właśnie to ci chciałem powiedzieć, że może lepiej, żebyście zaczekali i potem od razu na miejsce. Ruch najłatwiej zauważyć, a stąd już cholernie blisko...

— Dobra.

— Wrócę po was.

Kiedy podchorąży zniknął z oczu, Kos, nie dowierzając poznanym przed godziną artylerzystom, wysłał dodatkowo Wichurę i Tomasza na czaty. Sam siedział dalej w wieży i nasłuchiwał. Ostrzeliwanie szosy prowadziły dwie albo trzy baterie, bo kiedy rozsypywały nierówną salwę, można było wyłowić osiem czy dziewięć grzmotów. Granaty nie szły górą, a więc zapewne stanowiska artylerzystów były na południe od szosy. Kaliber trudno odgadnąć z samych wybuchów, a dźwięk wystrzałów gubił się i łamał wśród murowanych ścian. Porucznik naturalnie by potrafił. On nie tylko pogodę umiał przepowiadać, ale wszystko. Sprawiedliwiej byłoby, gdyby tacy nie ginęli.

Janek zdawał sobie sprawę, że choć decyzja forsowania nocą szosy była wspólna, podjęta po naradzie z Łażewskim, z Gustlikiem i Grigorijem, to przecież projekt wyszedł od niego. Jeśli się narwą na okopane działa czy czołgi, jeśli nie potrafią zaskoczyć przeciwnika, to stracą sprzęt i ludzi, nie wykonają zadania.

Może rzeczywiście rozsądniej było przycziąć się, doczekać podejścia jakiejś jednostki radzieckiej czy polskiej? Niemcy przerwali pierścień, sypią się jak groch z worka, ale niemożliwe przecież, żeby im długo wiać pozwolono. Na pewno już sztab Frontu uruchomił rezerwy i jeszcze przed świtem...

Wrócił Łażewski, dał znak ręką i poprowadził „Rudego” między wrakami, potem kawałek boczną uliczką i dalej przez podwórze, przez skąpy skwer z połamanymi drzewami aż do grubego muru z płyt betonowych, podziurawionego jak ser szwajcarski.

— Janek — zawołał cicho. — Chodź tutaj.

Kos wyszedł przez właz mechanika. Pchał się za nim na siłę Szarik, popiskując z oburzeniem, ale Kos rozkazał Saakaszwilemu:

— Trzymaj psa. Rwie się jak głupi.

— Tu dalej ładnej osłony — rzekł półgłosem podchorąży. — Trzeba się decydować na skok.

Wyszli ostrożnie przed mur na rekonesans.



Kilka metrów od czołgu stała w cieniu Marusia Ogoniok, Szawełłowie i felczer. Widać stąd było białe cyfry i orła na wieży, można nawet przeczytać napis na burcie.

— Ja sierżant, a zrozumieć tego nie mogę — burczał Konstanty. — Przecież panna Marysia cały czas...

— Co tu rozumieć? — szepnęła kładąc palec na wargach.

Staśko wyszedł do przodu od swej haubicy, przystanął koło czołgu. Przez otwarty przedni właz wyrzwał Wichura.

— Dowódca mówił, że pan podchorąży wiersze układa — zagadnął ciekawie.

— Układam.

— Interes będę miał. Wichura jestem.

— Staśko. Teraz czy potem.

— Potem, bo już wracają — cofając głowę, zawadził naturalnie o pancerz i zmarszczył perkaty nos.

W wyłomie muru zjawił się Kos i przednim włazem dał nurka do czołgu. Łażewski przystanął na chwilę obok Szawełłów.

— Z nami piechota?

— Z wami.

— Póki czołg nie wystrzeli, idziemy na paluszkach, a potem, jak kto woli, to można z przytupem i przyświstem.

— Tam przecież Niemcy — usiłował tłumaczyć Żubryk.

— Jakby kogo raniło, obywatelu chorąży, to położymy z tyłu na pancerz albo do kołyski jakiegoś motoru — tłumaczyła Ogoniok i gładziła po rękę felczera, żeby mu dodać odwagi.

— Naprzód... naprzód... naprzód...

Wzdłuż tyraliery popęzła komenda i podobni kłosom żyta, kolejno schyłanym podmuchem, przyginali się ludzie, wychodząc przed mur przez pęknięcia i wyłomy. Rzadki i krótki był łańcuszek tej tyraliery, ale nocą mógł pluton udawać: siedmiu artylerzystów, czterech piechurów i dziewięciu zwiadowców.

Motocykliści toczyli swe konie na lewym skrzydle, bliższym ulicy, która rozszerzała się tutaj w dojazd do autostrady. Niemcy szli od lewej, a więc i

większe stamtąd groziło niebezpieczeństwo, bardziej potrzebny był ogień erkaemów.

Za tyralierą, druzgocąc betonowe płyty, wytoczył się czołg, z którego załoga zdjęła pokraczne maskowanie. Szmaty zostawione na rolkach głużyły stuk traków. Kołysząc się na wyrwach sunęła z tyłu haubica podczepiona na krótkim holu.

Pod pancerzem, w mdłym świetle lampek podświetlających celowniki i tarcze zegarów, w odblasku dalekich pożarów, wpadającym przez peryskopy, załoga gotowała się do walki.

Wichura dopasowywał kolbę erkaemu do ramienia, lekkimi ruchami tułowia przesuwając lufę w lewo i w prawo, przymierzając się do kolby. Wydobył z kieszeni dwie kostki cukru, jedną wpakował do ust, drugą podał Szarikowi. Pies mruknął coś cicho, nadąsany jeszcze, że choć chciał o czymś ważnym załogę zawiadomić, to go nie wypuszczono z wozu, a kapral szepnął do niego:

— Trzymaj się dzwońcu.

Saakaszwili puścił drążki, zdjął nogi z pedałów, chwilę wykonywał drobne wahadłowe ruchy wszystkimi czterema kończynami, by rozluźnić mięśnie, wpasował się mocniej w siedzenie. Palcami lewej ręki sprawdził, czy dobrze wisi nad nim czapka rotmistrza, czy szabla nie wysunęła się ze swego miejsca pod ścianą.

Tomasz Czereśniak nogą przydeptał plecak wciśnięty w kąt, dotknięciami dłoni przeliczył pociski zawieszane na ścianach wieży, sprawdził, czy dobrze pamięta, gdzie odłamkowe, gdzie przeciwpancerne, a gdzie podkalibrowe na najgrubszego zwierza przydatne.

Gustlik od celownika przesunął się do peryskopu, który obejmował większy wycinek terenu. Dostrzegł w tyralierze sylwetkę jakby dziewczęcą i nawet zdało mu się, że ruchy poznaje.

— Ty, Janek — trącił łokciem dowódcę.

Kos, nie odrywając czoła od poduszki peryskopu, przechylił nieco głowę.

— Mów.

— Nic. Myślołech... Ale przeca nie w polskim mundurze.

— Kto? Nie rozumiem — zniecierpliwiał się sierżant.

— Nikt. Dobrze, że Honorata z nami nie jedzie. Miołbych terozki strach za dwoje.

Kos wzruszył ramionami i pomyślał niechętnie, że Jeleń, zamiast się skoncentrować przy celowniku, to nagle z dziwnymi wspominkami wyskakuje. Chwilę trwała cisza. Słuchawki radiotelefonu niczym oceaniczne muszle szumiały jakimś dalekim przyświstem. Kos wpatrzony w szkła peryskopu widział przesuającą się kolumnę artylerii i ciężarówek. Zerknął na pancerz nad radiostacją, na którym niewyraźnie majaczyła w mroku fotografia. Pora już była zaczynać, dać rozkaz. Spod hełmofonu pociekł na policzki wąziutki kręty strumyk potu.

— Lewo dziesięć transporter. Przeciwpancernym ładuj — głos Janka był spokojny, przyciszony, ale napięty jak struna.

Hitlerowski transporter stał w płytkim wykopie, ubezpieczał drogę. Na tle czerwonego od ognia nieba czerniały lufy sprzężonych poczwornie działek kalibru 20 milimetrów i sylwetka wartownika. Niemiec coś chyba dostrzegł, bo się poruszył. Z pudła 'wstało jeszcze dwu innych i celowniczy flakvierlinge wparł się ramionami w uchwyty, przesuając lufy niżej.

Łażewski widział to lepiej, bo z bliższej odległości, i wiedział, że nie ma co zwlekać. Wydobył z pasa raketnicę, odciągnął kurek i nie czekając dłużej, strzelił tamtym wprost w twarz.

Trzasnęły pomarańczowe rakiety. Dwukrotnie gdaknęły działka, lecz nie zdążyły dokończyć serii — pocisk armatni, wystrzelony z odległości dwustu metrów, rozpruł transporter, przepołowił go jak cios topora.

Wystrzał był sygnałem, a płonący transporter — pochodnią. Malutka tyraliera rzuciła się biegiem do przodu, strzelając ze wszystkich luf.

Warknęły silniki motocykli, zwiadowcy wyskoczyli na czoło i prując z trzech diegtiarowów wpadli na szosę, zapalili ciężarówkę.

Następne pociski z czołgu zmiotły dwa działa, rozerwały kolumnę.

Jakiś ogromny opel z brezentową budą zjechał w pisku hamulców do rowu, legł na boku, rozsypał niemiecką piechotę. Część grenadierów poderwana komendą wybiegła na beton i nie zdążywszy zająć stanowisk ogniowych, zderzyła się z naszymi twarzą w twarz. Pistolety maszynowe zawarzały długimi seriami, błyskały wylotami luf niczym drgające gwiazdy. Jakiś dryblas z płaskim bagnetem na karabinie skoczył w stronę Marusi, ale tuż obok czuwał Józek, ściał go serią.

Na sierżanta Szawełłę, w chwili gdy zmieniał magazynek, trzech naraz natarło bagnetem i kolbą. Staremu błysnęły oczy, wspomniął przedwojenne

lekcje szermierki — odskoczył w bok, przepuścił pierwszego jak torreador byka i przysiadłszy na rozkraczonych nogach rąbnął kolbą w pochylony łeb. Drugiemu odbił w dół bagniet i trzymanym oburącz automatem trzasnął go w twarz. Ostatniego zwałił ciosem w kolano. Skoczył dalej, a gdy ten trzeci odwrócił się i podniósł broń, celując w sierżanta, nadbiegający felczer z rozpaczą na twarzy zamachnął się kolbą i wbił grenadierowi hełm na oczy.

Nasza tyraliera już sforsowała szosę, a czołg z działem wyjechał na beton, gdy zza płonącej niemieckiej ciężarówki wyskoczył szybki gąsienicowy transporter. Taranem roztrzaskał i stratował najbliższy zwiadowczy motocykl, ciasno zawrócił, kierując czołowy pancierz na drugi. „*Rudy*” spełzał już z szosy, gdy Kos dostrzegł, co się dzieje. Czołg obrócił wieżę, dał ognia za siebie, rozszarpując na części stalowe pudło.

Od strony rozbitego motocykla zerwał się żołnierz, popędził w mrok, a na ramionach niósł płomień. Marusia skoczyła mu naprzeciw, podgięła nogi i kiedy stoczył się w trawę, otuliła peleryną, dławiąc ogień. Potem rozcięła nożem mundur, zerwała go z żołnierza i chwyciwszy poparzonego za ręce zaczęła ciągnąć. Podskoczył z drugiej strony chorąży Zubryk, dopomógł.

— Do kosza! — wrzasnął Łażewski podjeżdżając na motorze. — Czepiajcie się.

Motocykl obciążony pięcioma ludźmi ciężko dobił na wybojach, silnik zawył w najwyższym wysiłku, opony cisnęły za siebie żwirem i gruzem przemielonym granatami.

Jak stadko dzików, które, forsując przesiekę, wpada gwałtownymi susami w zarośla żarnowca i gęstą zieleń leśnych krzewów, nurkowali w mrok, klucząc między ruinami. Coraz dalej od płonących na szosie wraków grzmiała armata „*Rudego*”, coraz rzadziej szły smugowe serie jego karabinów maszynowych i wreszcie zgasły, gdyż nikt ich nie gonił. Trafili znowu na ziemię, jeśli nie niczyją, to widać rzadko zaludnioną przez wojsko.

Motocykl Łażewskiego, jak ciężko ranny, kulejący człowiek, zataczał się i lawirował wśród rumowiska jezdni. Za nim człapał „*Rudy*” wlokąc działo. Za haubicą kłusowało paru zziajanych kanonierów.

Jedna strona ulicy była wypalona, druga rozbita w gruzy. Mała kolumnienka poruszała się w chybotliwym, zmiennym świetle pożarów. Co ćwierć minuty oświeślał ją blask dyonu haubic strzelającego salwami.

Kierowali się w tamtą stronę, ufając, że artylerzyści wiedzą jedni o drugich, więc może drogę do naszych wskażą.

Podchorąży pierwszy dostrzegł nad rumowiskiem flagę z czerwonym krzyżem, skręcił ku niej, zatrzymał motor.

— Jest tam kto? Weźcie rannych.

— Zaraz — odkrzyknęli mu z dołu.

Błysnęło światło, z piwnicy wyszli sanitariusze.

— Skąd was przyniosło?

— Ostrożnie, plecy poparzone... Noga...

W skośnym mętym świetle sylwetki rannych, pomagającej im Marusi i felczera skracały się i jakby zapadły pod ziemię.

Łażewski zerknął na czołg, który zjechał w bok ulicy i obaliwszy resztki jakiegoś murku zatrzymał się osłonięty ruiną.

— Łapiduch — przytrzymał za ramię jednego z sanitariuszy.

— Czego?

— Gdzie tu haubiczna brygada?

— My z brygady.

— Fajnie. A sztab nie wiesz gdzie?

— Po drugiej stronie ulicy. Cholera by wzięła! Czołg prawie na samo wejście wjechał.

— Przed rankiem nie najdziesz — tłumaczył Gustlik Jankowi. — To jest tak, jakbyś chcioł po ciemku pchła za noga chycić.

— Daleko jeszcze do końca tego miasta? — spytał Tomasz.

— Wiorsta będzie, gospodarzu — odpowiedział mu z dołu Wichura. —

Od Studzianek ze dwa albo i trzy razy większe.

— Co się wygłupiasz? — burknął Saakaszwili.

— Bo mi duszno. Otwórz szyber.

— Rozkazu nie było.

— Boisz się, że fryce pod czołgiem siedzą? — zakpił kapral.

Pod brzuchem czołgu już od paru chwil rzeczywiście chrobotąło, a teraz ktoś rąbnął łomem w dolny pancerz.

— Kajok czort? — zdziwił się Saakaszwili.

— Pancerni — krzyczał z zewnątrz Łażewski. — Ruszcie no pięć metrów do przodu.

— Podjedź — rozkazał Janek mechanikowi.

Nie czekając, aż czołg ruszy i zahamuje, wyszedł na pancerz, z pancerza zeskoczył na ziemię. Chciał zapytać Daniela, czemu im kazał czołg przesunąć, ale nie zdążył. Z miejsca, na którym przed chwilą stał „*Rudy*”, z wąskiego, prawie pionowego zejścia wylazł porucznik, pomagał wydostać się na powierzchnię starszemu oficerowi.

— Trzeba mieć pecha, żeby akurat...

— Żaden pech — kuksnął go w bok Magneto. — Melduj się, bo to ten, kogo szukasz.

— Nie kpisz? — spytał Janek.

— Słowo — Łażewski uniósł dwa palce jak do przysięgi.

Czołgista dobył pakiet z mapnika i stuknął obcasami.

— Obywatelu pułkowniku, pakiet z dowództwa armii. Melduje sierżant Jan Kos.

Artylerzysta odsalutował, wziął podaną kopertę.

— Kazali wam do sztabu czołgiem wjeżdżać? — burczał niechętnie.

Cofnął się pod arkę ocalonej bramy, przeciął nożem nici, złamał pieczęcie i czytał w świetle elektrycznej latarki trzymanej przez oficera, który pomagał mu wyjść z podziemnej kwatery sztabu.

— Ruszamy za godzinę — rzekł pułkownik zwracając się do porucznika. — Uprzedźcie pułki. Jedziemy do Charlottenburga wspierać w natarciu kościuszkowską dywizję.

Porucznik zasalutował, zniknął we włazie, a pułkownik podszedł do stojącego na baczność Kosa.

— Pojedziecie z nami.

— Prócz czołgu czterech piechurów, pięciu zwiadowców i haubica z działonem.

— Haubicę włączamy do baterii, a resztę zabierzcie jako desant.

— Tak jest.

— Nie spodziewałem się, że mnie kto znajdzie w tej kaszy, i to jeszcze nocą.

Pułkownik uścisnął ręce sierżantowi i podchorążemu, zawrócił w stronę bramy.

— Ja chyba też z wami — zaproponował Staśko.

— Dobra.

— Janek! — wołał Gustlik. — Chodź tu, pieronie, bo nie strzymam.

— Co takiego? — spytał niespokojnie.

— Podziwej się na piechurów, co nas w ataku osłaniali — pokazał na obu Szawełłów.

— Już ze szpitala? — zdziwił się Janek. — A jak sierżant Ogoniok?

— Sowsiem charaszo — oświadczyła triumfalnie dziewczyna, wychylając głowę zza pleców Konstantego i Józka.

— Marusia — powiedział cicho, nie ruszając się z miejsca. — Ty z nami szłaś przez tę cholerną szosę? Czemu nie powiedziałaś?

— Twoje miejsce w czołgu, moje w tyralierze. Nie było o czym mówić.

— Dlaczego tu przyszałaś?

— Po pierścionek — uśmiechnęła się dziewczyna i zarzuciła mu rękę na szyję. — I po znaleźne, bo bardzo trudno „*Rudego*” w takim mieście odszukać.

— W polskim mundurze? — nie przestawał się dziwić Kos.

— Awansem — odpowiedziała z uśmiechem, przytuliła się i szepnęła mu wprost do ucha: — Ja napisałam, tak jak prosiłeś, dowódca armii dodał „*zgoda*” i podpisał czerwonym ołówkiem.

— Załoga, kaj indziej patrz! — podał komendę Gustlik.

Odwrócili się wszyscy, żeby nie przeszkadzać w pocałunku. Jeleń oparł łokcie na skrzydle czołgowego błotnika.

— Chodź, Szarik. Tam się podziwej.

Objął psa za łeb, żeby też nie patrzył, i nagle znieruchomiał ze zdumienia. Zobaczył, jak ze sztabu wychodzi porucznik, ich porucznik i pierwszy dowódca, tyle że w radzieckim mundurze, w stopniu kapitana. Z taką mocą zacisnął dłoń, że odgiął ku górze krawędź blachy. Zasłonił ręką oczy i odsłonił znowu. Kapitan odchodził w głąb ulicy, ale nie rozwiewał się w powietrzu.

— Janek...

— Nie przeszkadzaj — roześmiał się Kos.

— Grigorij! — zawołał Jeleń po chwili, gdy kapitan już niknął w ciemności. — Słuchajcie, widziolech na własne oczy.

— Drugi raz dzisiaj. Kogo?

— To nie on pod Wejherowem. Jo żech go teraz widzioł.

Na chwilę zapadło milczenie, a potem odezwał się Kos:

— Jeśli to miał być żart, chcę ci powiedzieć, że głupi.

— Janek.

Gustlik wymówił imię w ten sposób, że Kosowi nagle zrobiło się przykro. Podszedł bliżej i objął przyjaciela za ramię.

— No już. Coś się nadał? W taką noc wszystko może się zwidzieć.

Zdawało się Lidce podczas kolacji, że generał uważniej niż zwykle na nią patrzy i tak jakby miał zamiar porozmawiać, a potem się rozmyślił. Dopijając swą wieczorną szklanicę mocnej herbaty milczał, bawił się niewielkim zgrabnym pudełkiem z ciemnego drewna, a potem rzuciwszy je w kąt, poszedł do swego pokoju. Przez uchylone drzwi widać było jego ciężką ciemnowłosą głowę sklonioną nad papierami.

Wyniósłszy naczynia do kuchni, Lidka zgasiła światło, otworzyła okno i zasiadła przy radiostacji. Miała dziś dyżur do północy — kwadrans nasłuchu, a potem pięciominutowa przerwa na odpoczynek i znowu nasłuch.

Ściągnęła buty, bose stopy oparła o puszysty dywan. Ręce ułożyła wygodnie na oparciu skórzanego fotela. Na ścianach ciemniały obrazy, ze szklanych szaf połyskiwały kryształy i srebra. Z zewnątrz wpływał przyjemny chłód przemieszany z zapachem sosen i lasu.

Sztab armii rozlokowany był w willowej osadzie podberlińskiej, której domy, czy może raczej pałacyki, jeszcze parę dni temu należały do hitlerowskich bogaczy. Pełno tu było cennych i pięknych przedmiotów, ale Lidce wydawały się naznaczone piętnem kradzieży, a więc odrażające. Nie rozkaz surowy ją powstrzymywał od wzięcia czegokolwiek, lecz jakiś dziwny, trudny do wytłumaczenia wstręt. Podobało jej się tak naprawdę tylko to pudełko, które generał rzucił na podłogę.

Podczas pierwszej pauzy podniosła je i ułożyła we wnętrzu swoje dziewczynskie skarby: szminkę, pudełeczko z pudrem, nożyczki i pilnik, flakon perfum o zapachu fiołków.

Potem przyjęła dwa meldunki, pokwitowała, i generał słysząc stuk klucza przyszedł po nie. Czytał schylony nad wąskim paskiem światła padającego ze skali.

— Dobrze — powiedział i rozejrzawszy się spytał: — Gdzie pudełko?

— Czarne? — zdziwiła się. — Wyrzucone? — przysunęła je z cienia.

Skinął głową i opróżniwszy z zawartości zabrał do swego pokoju.

Zrobiło jej się przykro. Naturalnie nie ze względu na cenę przedmiotu, lecz z przyczyny zawodu, którego doznała. Cóż to za zachowanie? Najpierw



wyrzuca jak coś zupełnie niepotrzebnego, a potem... Pewno zauważył, że podniosłam z ziemi, i wtenczas dopiero mu się spodobało. Poczula pieczenie pod powieką, otarła łzę.

Generał znowu przyszedł, siadł obok i patrzył nic nie mówiąc. Rada była, że w półmroku nie mógł zauważyć wilgoci w kącikach oczu.

— Pauza — powiedział patrząc na zegarek i kiedy zdjęła słuchawki, spytał: — Mówiła ci Marusia, co w tym raporcie, który przywiozłaś?

— Nie.

— To przeczytaj.

Podsunał w światło kartkę papieru z czerwoną adnotacją radzieckiego dowódcy armii.

— Domyślałam się — odpowiedziała po chwili.

— Wiem, że to cię nie cieszy — generał mówił cicho i serdecznie — ale młoda jesteś, ładna, masz całe życie przed sobą, czeka cię w nim wiele dobrego. Sądzę, że nic powinnaś tamtej parze przeszkadzać.

— Dlaczego? — spytała rozgniewana, że dowódca wtrąca się do jej spraw osobistych.

— Bo byłoby to podobne do odbierania czegoś co raz już odrzuciłaś. Czy nie dlatego cię to zainteresowało, że ktoś inny podniósł?

Nie odpowiedziała nic, gdyż złość ścisnęła jej gardło. Cóż za porównywanie człowieka z pudełkiem?

— Marusia przyjdzie teraz do naszej armii, po wojnie załatwimy resztę formalności — mówił generał. — Pierwsza zgoda jest najważniejsza. Ta kartka papieru decyduje o losie dwojga ludzi, o losie dwojga zakochanych — rozprostowywał dłonią zgięcia papieru i po sekundzie wahania dodał: — Chciałbym, byś zrozumiała i była im przyjazna.

Zwrócił jej pudełko z ciemnego drewna, lekko pogładził dziewczynę po głowie i wyszedł.

Lidka bez słowa włączyła radiostację. Z zaciśniętymi zębami, z przymkniętymi oczami nasłuchiwała, czy wśród gwizdów i pisków nie odezwą się znaki wywoławcze oddziałów pancernych. Zwidywało jej się, że trzyma w dłoni tamtą kartkę, drze na drobne kawałki i rozsiewa na wietrze. Albo że rzuca ją w ogień i patrzy, jak się zwija, czernieje i marszczy.

O północy zeszła z dyżuru i zasnęła niespokojnym snem.

Nad ranem obudziło ją wycie syreny alarmowej, a w chwilę potem od bomb zakołysała się ziemia. Kiedy wybiegła na ulicę, samolotów już nie było.

— Stukasy — wyjaśnił kierowca transportera. — Trzy były, jednego zestrzelili nasi z przeciwlotniczej osłony sztabu. Narzucali sporo małych fosforowych, a las suchy jak pieprz...

Teraz dopiero Lidka spostrzegła, że willa, w której kwaterowali, płonie od strychu, że ogień skoczył już na piętro.

— Godzina, jak generała do dowódcy armii wezwali — ciągnął mechanik — ale u nas wszystko w porządku: nikt nie ranny, radiostacje na czas wyniesione, skrzynia stalowa wyniesiona...

— Papiery były na biurku — powiedziała mimo woli.

— Tego nie wiem. Myśmy nie brali — zastanowił się. — Chyba że może sam generał przed wyjściem do torby zgarnął. Ale i tak sprawdzić już nie da rady, nawet jakby kto złotem za znaleźne płacił.

Lidka patrzyła na złotawe jęczory, liżące ramę okienną pokoju generała, i serce jej biło coraz mocniej.

## ROZDZIAŁ 58. MARSZ NOCĄ

Otrzymałszy rozkaz towarzyszenia brygadzie haubicznej do Charlottenburga, Kos spieszył się nieco. Wyglądało na to, że będą musieli wdrzeć się na tę samą szosę, którą przed kilkoma minutami forsowali i iść nią na wschód, w stronę centrum miasta, walcząc z prądem wojsk hitlerowskich płynących na zachód. Działania takie można prowadzić przy pomocy piechoty lub jeszcze lepiej, jednostki pancерnej, ale jak tego dokonać samą artylerią?

Tymczasem przed upływem godziny sytuacja w Spandau zmieniła się radykalnie: przerzucone z odwodu radzieckie pułki pancerne siadły na karkach uciekających i naciskając coraz mocniej, pognały ich w matnię zastawioną o dziesięć czy piętnaście kilometrów dalej, gdzieś za przedmieściami Falkensee. Dziura w berlińskim worku została załatana.

Kiedy padł rozkaz wymarszu, szosa wiodąca do centrum Berlina była już pusta. Co sto, dwieście metrów czuwały grupki żołnierzy ze służby regulacji ruchu, wzmocnione plutonami fizylierów, gotowe w razie konieczności do odparcia jakiegoś błędzącego oddziału.

„Rudy” szedł w środku kolumny, razem z samochodami sztabu, niósł na pancерzu spory desant, a przy boku prowadził ostatni motocykl, który wyszedł z walki bez szwanku.

Noc była widna od pożarów. Kiedy dotarli nad Hawelę, leniwa woda w okutej betonom rzece wyglądała jak płynne żelazo. Wypalone domy dokoła zdawały się mieć tylko frontowe ściany, udekorowane jak na maskaradę strzępami afiszów, zerwanymi szyldami i dziesiątkami buńczucznych haseł, wśród których najczęściej powtarzały się słuszne skądinąd stwierdzenia, że milsza śmierć niż niewola „*Lieber Tod als Sklawerei*” oraz „*Berlin bleibt ewig deutsch*” i ogromna litera V.

Janek trącił Gustlika w bok i powiedział:

— Naturalnie, że Berlin będzie niemiecki, ale nie hitlerowski.

— Prowda — odrzekł Jeleń. — I to V, czyli Victoria, to też prawda, ino na nasze zwycięstwo.

Tu i ówdzie części hasel były zakryte białymi szmatami różnych rozmiarów i kształtów — flagami kapitulacji.

Na wprost wylotu ulicy rozsadzono trotylem krawężnik betonowego nabrzeża i zjazd, udeptany wieloma kołami, opadał łagodnie po gruzowisku nad płonąca wodą, wprowadzał na most gęsto podparty pontonami.

Z brzegu widać było sporą część idącej w przdzie kolumny. Haubice kołysały się lekko. Na holujących ciężarówkach, na skrzyniach z pociskami siedziały przygarbione zmęczeniem działony. Zrolowane brezenty zastępowały kanapy. Na szkieletach rusztowań trzepotały chorągiewki biało-czerwone. Na burtach i szoferkach bieleły hasła zarówno te oficjalne, jak i powymyślane przez szoferów.

„*Za Warszawę*”, „*Pomścij Majdanek*”, „*Od Lublina do Berlina*”, „*Z iwana pomocą nasi fryców grzmocą*”, „*Przegrał wojnę głupi malarz*” odczytywał Kos, czekając cierpliwie, aż przejdą wozy pułku poprzedzającego sztab, potem przepuścił całe dowództwo i wreszcie, korzystając z łuki, rozkazał Grzesiowi ruszać naprzód.

— Stój! — regulujący saper chorągiewką zatrzymał czołg przy samym wjeździe.

— My z nimi — tłumaczył Łażewski ze swego motoru.

— Zaczekać trzeba. Pukawki po trzy tony ważą, a ten grat trzydzieści trzy.

— Rzeka czy kanał? — spytał Kos z wieży.

— Rzeka Hawela, a tam trochę dalej na północ wpada do niej Szprewa.

— Dawno przeprawa pracuje?

— Od dwudziestego siódmego. Czwarta noc od tej pory, jak ją nasz batalion dla ruskich czołgów budował. Przyjemnie rodaków zobaczyć.

— Cześć, saper! — zawołał Wichura wyskakując z czołgu i wsunął mu w kieszeń płaszcza butelkę zdobycznego wina. — Jakbyś nogi przemoczył, to po robocie na rozgrzewkę dobre. Wlewasz z góry, a w pięty grzeje.

— Popróbuję. No to jazda — zezwolił regulujący wskazując pusty już most.

Podchorąży z miejsca dodał gazu i dudniąc po dylach przeskoczył na drugi brzeg. „*Rudy*” ruszył jak ostrożny słoń. Wichura podbiegł z tyłu, wspiął się na pancierz.

— Cześć, wiara! Miejsce dla kaprała.

T-34 wędrował kłapiąc trakami. Saakaszwili wyrównywał najłżejsze zmiany kierunku, bo zapasu na szerokość było niewiele. Przy zbliżaniu się czołgu pontony siadały głęboko w wodę, a po jego przejściu wypływały, nawierzchnia wyrównywała się z ulgą.

Na wieży siedzieli Tomasz i Janek, a teraz z dołu wylazł Gustlik, wcisnął się między ładowniczego a dowódcę i objął ich swymi potężnymi ramionami.

— Myślał z was kto, że my aż do samego miasta Berlina, po samego pierona Hitlera dojademy?

— Do Radomia trzy razy miałem jechać i jeszcze nie byłem — roześmiał się Czereśniak.

— Trochę myślałem, że tak będzie — rzekł Kos. — Pierwszy raz wtenczas, kiedy czołgi nad Okę przyszły. Że jeśli trafię trzy dziesiątki, to może i do Berlina, bo skoro mnie porucznik do załogi przyjmie...

— Janek — Gustlik przyciszył nieco głos — tyś mówił, że po ciemku, że w noc, a ja że go doprawdy widział.

— Wszyscy chcemy, żeby tu był — uśmiechnął się smutno. — Jak człowiek czegoś bardzo chce...

Klepnął Gustlika po ramieniu i obejrzał się w tę stronę, gdzie na pancerzu siedziała Marusia w polskiej połówce na kasztanowych włosach.

*W ciemnościach błysnął krwawy ząb,  
tygrysa bierz na cel i rąb!  
W tygrysa z działa rąb!*

Wyśpiewywał Wichura z zapalem i skończywszy, zapytał siedzącego obok sierżanta Staškę:

— Dobre, no nie?

— Pod względem rytmu...

— No właśnie. A jak gdzie co nie tak, to można przecież poprawić. Mam w czołgu prawdziwe wino hiszpańskie, więc pół tuzina butelek mogę odpalić.

— Wichura, ja dumam, żeś do mnie przyszedł, a ty jak astrachański kupiec.

— Jaki znowu kupiec? Ja, Maruśka, piosenkę układam o studziankowskiej bitwie.

— Dokoła Berlin płonie, a on na literaturaju konsultaju...

— Po prawdzie, Ogoniok, to ja na świeże powietrze. Jakby co, stamtąd nie wypłyniesz, a stąd... — zrobił rękami ruch, jak do żabki.

Rzuciło akurat czołgiem na przejściu z mostu na drugi brzeg, kapral zjechał w dół po skośnym pancerzu i ledwo się utrzymał na nogach podczas lądowania.

— Poczekajcie, a to Wichura nie dopływiot — wołała ze śmiechem Marusia.

Czołg nie brał rozpędu, lecz jeszcze bardziej zwolnił, zjechał w prawo i stanął, zatrzymany przez artylerzystę z plutonu regulacji ruchu.

— Dowódca czołgu do dowódcy brygady! — wołał porucznik ze sztabu.

Kos zmienił hełmofon na polówkę, zeskoczył na bulwar. Idąc w stronę grupy oficerów przy łazikach i półciężarówkach, obciągnął kombinezon, poprawił pas. Obok niego biegł Szarik i za przykładem dowódcy też wygładził jęzorem sierść potarganą na boku.

— Obywatelu pułkownika, sierżant Jan Kos melduje się na rozkaz.

— Działa poszły na stanowiska ogniowe. Jedziemy z plutonami dowodzenia organizować punkty obserwacyjne. Wasz czołg będzie zamykał i osłaniał kolumnę. Plan miasta macie?

— Mam.

— Musimy się przedostać między Szprewę i kanał Landwehry. Znaleźliście? Na północ od Politechniki, na zachód od parku Tiergarten.

— Już mam.

— Ruszamy za osiem minut. Możecie odejść.

Kos zasalutował, zrobił w tył zwrot i wrócił do czołgu. Gustlik i Tomasz szorowali wyciorem lufę, Wichura i Grigorij ostukiwali traki gaśienic. Naturalnie przerwali zaraz robotę i ciekawi wieści obstąpili ciasno dowódcę.

— Magneto. Sierżant Szawełło — zaprosił Janek. — Narada sztabowa.

— Poetę by zawołać — zaproponował Wichura. — Też sierżant, a jeszcze podchorąży.

— Dobra — przyzwolił Kos i nie czekając, aż kapral sprowadzi Staškę, zaczął przekazywać zadanie: — Mamy zamykać i osłaniać kolumnę dowództwa brygady. Tu ubezpieczeń nie wyślesz, bo jak?

— Jak Pragę żeśmy brali, przychodziło się dowodzić grupą szturmową — rzekł Szawełło. — Jeden uderza, drugi przykrywa.

— Trzeba tak, jak w powstaniu — zaproponował Łażewski. — Jakby kto ostrzelał, to wy z czołgu dajecie ognia. Ja wyskakuję do przodu na motorze, spieszymy się, we trzech atakujemy, a sierżant Szawelło z resztą wskakuje do budynku naprzeciw i przykrywa ogniem...

— Są starsi stopniem — skromnie stwierdził Konstanty i trąc kolano dodał: — W kościach łamie. Gdzież ty, Józku, ten spirt na mrówkach zapodział...

— Ja dopiero ze szkoły, bez praktyki — wyjaśnił Staśko. — Może następnym razem.

— Toż to Berlin! — rozżłościł się niespodziewanie Wichura. — Jakim znowu następnym razem?

Szarik, z przedniego pancerza obserwujący naradę, szcęknął na kaprała, niezadowolony z krzyków.

Od chwili, w której zjechali z mostu, cały czas po pontonowej nawierzchni szły samochody kolumny amunicyjnej, warsztatów remontowych, kwatermistrzostwa. Jednym słowem tyłowe, spore przecież gospodarstwo haubicznej brygady.

Saakaszwili zaraz na początku narady wlaźł na przedni pancerz i trzymając się ręką lufy, siedział swoim zwyczajem na piętach, słuchał, zerkając na przejeżdżającą kolumnę.

— Wejdeda... — szepnął nagle i osłonił oczy od blasku.

Rozprostował się jak sprężyna, skoczył ponad głowami innych i wrzasnął w locie:

— Janek! Gustlik!

Odbił się niczym piłka od ziemi, biegł kilkanaście kroków ścigając ciężarówkę, w której obok szofera siedział w mundurze radzieckiego kapitana człowiek o tak dobrze znanej mu twarzy.

Samochód wyjechał na nabrzeże, ostro dodał gazu, by dogonić jadące w przdzie. Gruzin zatrzymał się, widząc, że pościg beznadziejny. Ciężarówka odjechała w mrok i tylko przez chwilę jeszcze było widać dziwne hasło, wypisane białymi literami na tylnej klapie: „*Stukniesz — znikniesz*”.

Pierwszy dogonił Gruzina Szarik, tuż za nim Kos.

— Co się stało? — spytał zdyszany.

— Dziuouszki jechały abo wino wieźli? — zagadnął Gustlik.

— Widziałem go.

— Jaki miał mundur? — Jeleń nie spytał nawet, o kogo chodzi.

— Radziecki z gwiazdkami kapitana.

— Ja go też tak widział. Coś w tym jest — stwierdził Ślązak po chwili milczenia. — Numeru nie pamiętasz?

— Nie. Tylko na burcie były dwa słowa.

— Jakie? — spytał Kos.

— Coś jakby: „*Przyjdiesz — wyjdiesz*”. Nie pamiętam.

— Niemożliwe — pokręcił głową Janek. — Sami przecież...

— Wszystko może być — upierał się Gustlik. — Jedna znajomka od mojej ciotki Hermenegildy, co w Katowicach mieszkała i u której ja zech parę lat mieszkał...

— U znajomej? — zainteresował się Gruzin.

— Nie, godom przeca, że u ciotki. Ale znajomka miała szwagra, co go sześć razy na pierwszej wojnie zabili i przeżył.

— Wiesz, jak mogło być? — tłumaczył Saakaszwili. — Może on pod Wejherowem dał komu płaszcz, żeby się ogrzał, tamtego zabili, a dokumenty były w kieszeniach. Jego tymczasem ranili...

— Oszaleliście chyba — powstrzymał ich Kos. — Kto dokumenty w płaszczu nosi?... Niemożliwe, żeby żył i znaku nie dał.

Podbiegł Tomasz.

— Jechać każą — zawiadomił.

Od strony sztabowych samochodów usłyszeli potrójny klakson.

— Do wozu — rozkazał Janek.

Zmienili się w jednej sekundzie. Rozkaz odsunął wszystkie problemy na później, zmusił do natychmiastowego działania. Gdy tak biegli w jednym rytmie do swego wozu, każdy patrzący z boku musiał od razu zrozumieć, że wszystkich czterech — naturalnie czterech i psa — wiąże jedna nić, że są całością niepodzielną, czyli po prostu załogą.

W piwnicy narożnego domu, której wąskie okna wychodziły na dwie krzyżujące się ulice, urządzili piechurzy pułkowe stanowisko dowodzenia. W głębi przy stole, oświetlonym przenośną lampą elektryczną, siedział szef sztabu i paru jego oficerów, a bliżej drzwi radiotelegrafista, telefoniści i dowódca, który schrypniętym głosem krzyczał do słuchawki:



— Przestań, Rosomak, dreptać w miejscu. Melduj o wzięciu tych domów nie później niż za godzinę. Borsuk i Kuna gotowi, na ciebie czekamy. Przed świtem musimy uderzyć na stację.

Telefonista w locie złapał słuchawkę. Wszystko było podobnie jak przedtem pod Lenino, na Pradze, na Wale Pomorskim czy pod Ritzen, a jednocześnie zupełnie inaczej, bo dokoła płonął i huczał wybuchami Berlin.

— Jak ci radzieccy czołgiści? — spytał pułkownik szefa sztabu.

— Nie meldowali o nowych stratach. Tylko dwa spalone na początku.

— Nie ma sensu pchać ich do przodu. Między murami byle pęta z pancerfaustem może dobrą załogę wykończyć... Co zeznał jeniec?

— To jest U-Bahnhof. Cała stacja pod ziemią, stropy żelbetowe. Dokoła bunkry i domy umocnione, połączone chodnikami w piwnicach.

Niedaleko zerwała się strzelanina. Major nasłuchiwał parę sekund, a potem ciągnął dalej.

— Mają wkopane w ziemię tygrysy. Jeniec twierdzi, że nie wie ile, ale przynajmniej cztery. Załoga stacji mieszana: kadrowi esesmani, kompania ze szkoły oficerskiej i trochę młodzików z folkszturmu.

— Tego, co schowane pod ziemią, nie ugryzą ani radzieckie, ani nasze siedemdziesiątkiszóstki. Kiedy będą obiecane haubice?

— Godzinę temu minęli most na Haweli.

Kilkadziesiąt metrów od piwnicznych okienek sztabu gruchnęło naraz kilka granatów, zawarczały automaty.

— Chorąży.

— Na rozkaz — zameldował się młody oficer żandarmerii z medalem „Zasłużonym na polu chwały” przypiętym do munduru.

— Co to za hałasy? Przegońcie ich, bo przeszkadzają pracować.

— Kanałami przełazą, obywatelu pułkownika.

— Rozpoznajcie w kierunku Berlinerstrasse, czy tam kogo z artylerii nie widać.

Chorąży zasalutował i wybiegł ze sztabowej piwnicy.

— Dajcie mi Rosomaka — rozkazał pułkownik telefoniście.

— Przerwany kabel.

— A ty siedzisz?

— Poszli koledzy na linię.

— Cholerny świat! — zaklął pułkownik. — Dosyć tego. Przenosimy się bliżej frontu. I bezpieczniej, i mniej będzie drutów do przerywania.

— Zaczekajmy na artylerzystów — doradził szef sztabu. — Nocą łatwo się zgubić.

Krótką kolumna łazików i półciężarówek z plutonami dowodzenia haubicznej brygady skręciła ze Spandauer w szeroką Eerlinerstrasse, lawirowała między wielkimi lejami po bombach, wrakami, resztkami barykad i zapór przeciwczołgowych. Kilkanaście metrów za ostatnim samochodem człapał „Rudy” z desantem na pancerzu i motocyklem u boku.

Łażewski został w tyle, potem przyspieszył i zjechał w bok, by odczytać nazwę ulicy na słupie oblepionym dziesiątkami niemieckich, rosyjskich i polskich drogowskazów.

Nagle od przodu, z ciemnego domu po prawej stronie ulicy zagrzechotały serie erkaemów. Świetlne pociski poczęły rykoszetować po bruku przed czołem kolumny.

Kos błyskawicznie zatrzasnął właz.

— Mechanik, w lewo pod mur... — podał komendę. — Do erkaemu na trzecim piętrze odłamkowym.

— Gotowe — zameldował Tomasz.

— Mom, pierona — stwierdził Gustlik.

— Ognia!

Błysk wystrzału oświetlił gnający do przodu motocykl Łażewskiego i osłonową grupę Szawełły, która zeskoczyła z pancerza. Piechurzy i zwiadowcy znikli we wnętrzu domu po lewej, otworzyli ogień. Zaatakowani artylerzyści szukali schronienia za wrakami, strzelali do okien.

Zagrzmiał drugi wystrzał armatni, granat zerwał cały balkon, a z nim jeden z erkaemów prowadzących ogień.

Chorąży Zubryk, który przed chwilą, podczas zeskakiwania z czołgu, przewrócił się i skręcił nogę, pokuśtykał za wrak spalonej ciężarówki, przyklęknął i ponad osmolonym blokiem silnika obserwował walkę. Zwiadowcy Łażewskiego wypędzili Niemców z zasadzki na dach budynku, grupa Szawełły ich ostrzeliwała, wganiając za kominy. Teraz na każdy wystrzał tamtych odpowiadało parę naszych. Trzeba powiedzieć, że

wyglądało to ciekawie, a stalowy masyw „*Rudego*”, czerniejący kilka metrów przed kryjówką Zubryka, przydawał scenerii spokoju.

Niespodzianie z ciemnego okiennego otworu na parterze stoczyła się po usypisku gruzu puszka od konserw, grzechocząc uderzyła we wrak. Felczer schował się głębiej w cień, osłonił twarz i znieruchomiał. Kiedy ostrożnie uniósł głowę, by otrzeć pot, spostrzegł ze zgrozą, że kilka metrów od niego czai się w okiennym wykuszu dwóch cywilów, mierząc do czołgu ciężką maczugą pancerfausta.

Chorąży odruchowo się zgarbił, zatkał uszy, ale zebrawszy w sercu wszystką odwagę, pokonał strach i drżącą ręką odciągnął zamek pistoletu maszynowego. Wysunął drgającą lufę ponad silnikiem spalonej ciężarówki i z całej mocy zacisnął rękę na spuście.

Zagrała opętana, niekończąca się seria, zaświstały rozsiane szeroko kule i choć żadna z nich nie trafiła, to jednak spłoszyły Niemców w chwili strzału. Celownicemu drgnęła ręka. Głowica wymierzona w silnik przeniosła nieco, zahaczyła o dodatkowy zbiornik i rozszarpała go, zapalając ropę na tylnym panczerzu.

Obaj niszczyciele, cisnąwszy niepotrzebną już rurę, pobiegli piętro wyżej, zaczęli się z pistoletami maszynowymi na załogę.

Przez przedni właz płaskim szczupakiem skoczył Saakaszwili z gaśnicą w rękę, przetoczył się po chodniku za czołg. Nie bacząc na gwizd serii i rykoszety dzwoniące po panczerzu, rąbnął głowicą o krawężnik, skierował smugę piany na płomień.

Lekko uchylił się górny właz, lufa snajperki wyjrzała ze szczeliny jak żądło. Między iskrami, które zapalały na stali kule niemieckich automatów, błysnął pojedynczy wystrzał. Pocisk wyłuskał strzelca w mroku, ściągnął go przez parapet. Drugi chciał trafionego podtrzymać, wychylił się i dostał całą garść kul od Zubrka, któremu udało się zmienić magazynek i znowu otworzyć gwałtowny ogień.

Zgasł płomień na czołgu, umilkły strzały. Z wnętrza wyskoczyła reszta załogi.

- Cholera! — klął Wichura. — Wszystko przez kota.
- Jakiego? — zdziwił się Gustlik.
- Kot czarny, los marny. Trzeba mi było wtenczas zawrócić.
- Obywatelu chorąży! — wołał Kos szukając felczera obok wraku.

— Poszli już? Ha? — spytał Zubryk.

— Leżą — Kos pokazał dwie nieruchome postacie pod murem.

Chorąży nie myśląc nawet, co robi, podszedł, pochylił się nad nimi, badał puls, zaglądał w oczy i jednocześnie gadał:

— Prawdę mówiąc, to ja się strzałów boję — rozpiął cywilną marynarkę na leżącym, żeby poszukać bicia serca. — Exitus. Mundury mają pod spodem. Drugi też.

Od czoła kolumny nadbiegła zadyszana Marusia. Zobaczywszy, że załoga zdrowa i cała, odetchnęła wsparta ramieniem o mur. Tuż za nią przyklusował nieodłączny jak cień Józek Szawełło.

— Żeby nie wasza seria — Kos tłumaczył ciepło felczerowi — byłoby po „*Rudym*” i po nas.

Zamiast odpowiedzieć chorąży Zubryk zmiękł, oklapnął i przyległ pod ścianą.

— Dostał? — zaniepokoił się Kos.

— Chyba nie — odrzekła klękając obok Marusia. — Tylko jak się przestraszy, to potem mdleje. Sam mówił, że pokojowa natura — podsunęła mu pod nos butelkę amoniaku dobytą z sanitarnej torby.

Przykuśtykał sierżant Szawełło.

— Taktyka się nie godzi — oświadczył. — Wedle tanku stróżować musowo, jak przy stodole po żniwach, bo inaczej nieprzyjacioły kura puszczą.

— Ja tank budu storozyt’ — pospieszyła z odpowiedzią Ogoniok.

— Przypilnuje tanka i Janka — zamruczał Franek Wichura trącając w bok Gustlika.

Od czoła buczały już klaksony. Nadjechał Łażewski i krzyknął nie zsiadając z motoru:

— Ruszamy. Przez tę strzelaninę znalazł nas jakiś chorąży i poprowadzi do sztabu pułku.

Bez komendy załoga skryła się w czołgu. Piechurzy, wyszarpując z rolek resztki szmat, ścierali z pancerza gaśnicową pianę i sadowili się za wieżą.

— Stryju... — zwrócił się Józek do Konstantego, a napotkawszy surowe spojrzenie, poprawił się szybko: — Obywatel sierżant pozwolą, żeby ja też czołgu i panny Marysi pilnował.

## ROZDZIAŁ 59. TWARDY ORZECH

Minął dobry kwadrans, nim ucichła strzelanina obok stanowiska dowodzenia pułku piechoty, nim telefoniści związali kable wiodące do batalionu ochrzczonego kryptonimem Rosomak. Potem jeszcze czas pewien słyhać było, jak ochrona sztabu wyłuskuje niemieckich fizylierów z domów na sąsiedniej ulicy, zaterkotało gęstymi seriami jakieś ostrzejsze starcie i zgasło zgromione wystrzałami z armaty.

Parę minut później w wejściu do piwnicy stanął posiwiaty od zmielonego tynku chorąży żandarmerii i zameldował:

- Artylerzyści.
- Gdzie? — spytał pułkownik.
- Tu idą.
- To nie stój we drzwiach.

Zakołysał się płomień lampy od przeciągu, poruszył cieniami na ścianach. Wszedł dowódca brygady haubicznej i obaj oficerowie uścisnęli sobie dłonie.

- Siadaj — zaproponował piechur. — Zjesz coś, wypijesz?

Dał znak ręką i natychmiast na sztabowej mapie zjawił się półmisek z chlebem i konserwą, ciemnozielona butelka koniaku.

— Zdobyczny — wyjaśnił dowódca pułku, nalewając — od 1715 roku ta firma produkuje, żeby ci dziś dogodzić.

— Nie przekupisz — mruknął artylerzysta i zadzwonił szkłem o szkło. — Na kiedy ci ogień potrzebny?

- Druga, wpół do trzeciej. Żeby choć godzinę przed świtem.
- A czego ma nie być?
- Stacji kolei podziemnej.

— Betonowe stropy. Za grube na moje zęby. Trzeba by granatami kalibru dwieście trzy milimetry.

— Ale jak ciśniesz ze dwa tysiące pocisków, to choć ogłuszysz. Ostatni silny węzeł oporu, rozumiesz. Tam już tylko trzy i pół kilometra przez park i zaraz Reichstag, Brama Brandenburska.

Dowódca brygady haubicznej, słuchając, obracał w palcach szklankę i uważnie wpatrywał się w złote odbłyски migocące w głębi aromatycznego

płynu. Wypił łyk i z uchylonymi wargami czekał chwilę, aż smak i ciepło obejmą podniebienie.

— Dobra. Będziemy się starać. Dam ci jeszcze w prezencie czołg z desantem.

— Czołgów mam dosyć, lecz i ten się przyda. Skąd masz?

— Z dowództwa armii. Numer taktyczny 102.

— Znam załogę, to hydraulicy — uśmiechnął się i zawołał: — Chorąży!

— Na rozkaz — żandarm stanął w drzwiach.

— Znajomi przyjechali. Ci, coście ich chcieli sadzać i rozstrzeliwać...

Poproście tu sierżanta Kosa, to mu zadanie przydzielę.

Ruiny na pierwszej linii frontu przypominały księżycowy krajobraz i zdawały się chwiać w ostrym świetle pożarów. Szczyty rozłamanych kości betonowych szkieletów połyskiwały jasno, zagłębienia wypełniał gęsty mrok. Stanowisko wyjściowe grupy szturmowej sierżanta Kosa mieściło się w cieniu, we wnętrzu rozbitego bombą domu.

Zadania były już przydzielone i cel ataku wskazany — żółty czteropiętrowy dom po drugiej stronie ulicy. Z jednej z jego piwnic dobywał się leniwy płomień, oświetlał ostre pseudogotyckie sklepienia okien. W oczekiwaniu na przygotowanie artyleryjskie, na sygnał do ataku, żołnierze raz jeszcze sprawdzali broń, kieszenie i myśli.

Pod osłoną ceglanego łuku grubych ścian, na trójkącie podłogi ocalałej na wysokości pierwszego piętra klęczał Kos ze swoją snajperką w rękę, popatrywał na drugą stronę ulicy. Obok przykucnęła Marusia i powtarzała z uporem:

— Komandir w tankie, w tankie!

— Nie zawsze.

— Wsiegda. Zawsze.

— „Rudy” z miejsca będzie prowadził ogień. Wystarczy trzech ludzi.

— Pójdę z tobą.

— Nie. Sama zgłosiłaś się do osłony czołgu i jakby kto był ranny...

— Jest Zubryk.

— Chorąży pójdzie z nami.

— Strzałów nie lubi.

— To dobrze. Będzie się krył starannie. Maryjko — delikatnie dotknął jej włosów wypełzających spod hełmu — dajmy spokój sprzecze. Myślę sobie, że jak się wyda zamiana munduru, będzie straszna draka.

— Nie będzie. Generał ma papiery i pewno już jest rozkaz o moim przeniesieniu do polskiej armii...

Cztery metry niżej chorąży Zubryk, starannie ukryty między murami, wyglądał z piwnicy i zagadywał Łażewskiego, który siedział wśród swych zwiadowców pod osłoną resztek bramy i kurzył papierosa.

— Będą strzelali.

— Będą. Trzeba skoczyć razem z ostatnim granatem haubicy, to nie zabiją.

— Najniebezpieczniej, jakby kto z tyłu został — żartował dobrotliwie jeden z żołnierzy — bo jak się potknie, to nikt go nie podtrzyma.

Reszta palących wybuchnęła krótkim, nerwowym śmiechem.

— Ja nie zostanę — tłumaczył Zubryk. — Tylko że z Mińska jestem, dopiero cztery tygodnie jak w wojsku, to mogę się spytać, ha?

Chwilę trwało milczenie.

— Daj — poprosił jeden z żołnierzy.

— Bier? — drugi podał mu połówkę rozżarzonego papierosa.

— Panie Magneto — ścisząc głos szepnął Zubryk, przysunawszy się blisko do podchorążego.

— No?

— Ja, cholera ciężka, czasem mdleję ze strachu, więc jakby pan zauważył, to od razu trzask-prask — ruchami ręki pokazał, jak trzeba uderzyć. — Zrób mi pan tę przysługę.

— Dobra — Łażewski skinął poważnie głową, gdyż sam dobrze wiedział, że ciało nie zawsze chce być człowiekowi posłuszne, i dodał zmieniając temat: — A tamci się kąpią, jak na Wielkanoc.

Wybrał pod stopami poręczną grudkę betonu i szerokim zamachem cisnął w górę, skąd żółto prześwitywał spokojny blask.

W ocalałej od zniszczenia łazience paliła się świeca na półce przed lustrem, a obok niej, zamiast szklanek ze szczotkami do zębów, stały dwie pary butów z cholewami. Grigorij i Gustlik, siedząc na krawędzi wanny, moczyli nogi. Nie tracąc czasu Saakaszwili z głową pochyloną w stronę świecy studiował fotografie bliźniaczek.

— A jeśli zapomniały? — spytał tragicznym tonem.

— Przypomnisz — uspokoił go rzeczowo Gustlik, szorując pumeksem pięty, i z dużym uznaniem dodał: — Fajny kamień, ściera jak glaspapier.

— Z drugiej strony tak sobie myślę: prochu nie wachały, w czołgu nie były, to czy będą dobre żony dla żołnierza?

— Żony? Dwie by ci się, poganinie, zdały?

— Nie, jedna, ale dobrze byłoby mieć wspólne przeżycia, tak jak na przykład z Lidką...

— A najbardziej — przypomniał Jeleń wycierając nogę wzorzystym ręcznikiem — jakeście się w wozowni dali związać kiejby prosięta.

— Rozwiązałem.

— Nie ty, ino pies — odpowiedział Gustlik wylaząc z wanny.

Jakby na potwierdzenie dobiegły z dołu dwa szczeknięcia. Jeleń nastawił ucha. Przez hałasy berlińskiej nocy z trudem przebijała się energiczna wesoła melodia. Słów nie można było rozeznąć, ale plutonowy umiał je już na pamięć.

— Tygrysa bierz na cel i rąb — śpiewali chórem Staśko i Czereśniak.

Wichura dyrygował czujnie i zaraz po „*cel i rąb*” dał znak Szarikowi, który zaszczekał pod akompaniament harmonii.

*Hau, hau.*

*Tygrysa z działa rąb!*

*Hau, hau.*

— Pies nam dobrze wychodzi — stwierdził Staśko — tylko czy na początku zwrotki nie za bardzo pretensjonalnie: krze — prze i te kule, co dzwonią jak szklanki.

— Szklanki dobre — upierał się Wichura — a tamto może i warto poprawić.

— Jak Berlin zdobędziemy, to siądziemy razem, żeby doszlifować... Dawaj, Tomek, jeszcze raz, na czysto.

Czereśniak wziął parę akordów i wszyscy zgodnie zaczęli:

*Rosną na polach wybuchów krze,*

*kule dzwonią jak szklanki.*

*Pierwsza brygada lawiną prze*

*do szturm na Studzianki.*



*Kruszy i łamie tygrysi rąb...*

*Hau, hau.*

*Tygrysa bierz na cel i rąb...*

*Hau, hau.*

*Tygrysa z działa rąb!*

Ostatnie hauknięcia nie wyszły może najczyściej, bo z ruin rozległ się gwizd i Szarik uciekł chórzystom.

Gdy pies dopadł czołgu, stali już przy nim Kos i Łażewski z oficerem artylerzystą. Lekko kuśtykając podszedł sierżant Szawełło.

— Porucznik zawiadamia, że za chwilę zaczną — zwrócił się do Konstantego Janek. — Minutowa nawała ze wszystkich luf i naprzód, bo z pociskami krucho.

— Trzysta granatów — wyjaśnił porucznik i nieoficjalnym, koleżeńskim tonem spytał: — Weźmiecie stację?

— My mamy zadanie tylko ten dom — pokazał Łażewski.

— Historia ukaże — filozoficznie stwierdził Szawełło.

— No to na miejsca! — rozkazał Kos.

— My z Tomaszem ze trzy eleganckie dziury na parterze zrobimy — podżartowywał Gustlik wchodząc do czołgu. — Ino gibko skokejcie.

Franek Wichura, z wymontowanym z czołgu erkaemem, stanął obok Kosa.

— Piosenka pierwsza klasa. Nawet Szarika nauczyłem śpiewać.

— Ząb — głąb.

— Nie głąb, tylko rąb. Możesz się fachowca spytać — wskazał na Staškę.

— Dobra, zupełnie dobra piosenka — przyświadczył podchorąży.

Kos machnął ręką, żeby się odczepili, i podszedł do artylerzysty.

— Obywatel porucznik zna wszystkich oficerów brygady? — spytał go z naciskiem.

— Co do jednego — uśmiechnął się tamten.

— Czy jest u was porucznik albo kapitan...

Za ich plecami jakby ktoś bardzo szybko począł ogromne butle odkorkowywać, stęknęła ziemia, zaszumiało w powietrzu i ostatnie słowa Kos wykrzyknął już przez ten szum i świst:

— ...był przedtem dowódcą czołgu, a z cywila synoptyk, talii, co przepowiada pogodę.

Granaty haubic stromymi łukami spadły o kilkanaście metrów od ich stanowisk, po drugiej stronie ulicy; wybuchy złączyły się w jeden ryk. Padli obaj, bo w powietrzu gęsto zafurkotały odłamki. Tuż obok, ukryta w ruinach, szczeknęła ostro polówka piechoty. Osłonięty gruzami „*Rudy*” rąbnął pierwszym pociskiem w ścianę przeciwległego domu.

— Nie! — krzyczał porucznik wprost do ucha Jankowi. — Takiego nie było i nie ma, na pewno nie ma.

Kos wstał, za nim Wichura, Staśko... Zaroily się gruzy przygiętymi postaciami piechurów. Zeskoczyła tyraliera na szeroką ulicę, pobiegła chyłkiem prosto w płomienie, w dym, w piekło artyleryjskich wybuchów.

Działa umilkły gwałtownie. Z domu naprzeciw zaterkotały świetlne serie z trzech miejsc naraz, z różnych pięter. Kos ze snajperki zdjął strzelca z dachu. Wichura serią z diegtiarowa zmusił do milczenia drugie piętro.

Najszybszy w biegu Łażewski już zdążył przeskoczyć asfalt i przytulony do ściany tuż obok tryskającej lufy, wsunął odbezpieczony granat w piwniczną strzelnicę. Błysnęło stamtąd, cisnęło kurzem, jękiem i dymem.

— Huraaa!

Przez wyłomy, w ślad za pociskami „*Rudego*”, z krzykiem wpadli do wnętrza spieszeni zwiadowcy, a tuż za nimi reszta. Między murami płonęła sterta gratów zapalonych trotylem, oświetlała wysoką bramę.

— Ubezpieczaj od piwnic! — rozkazał Magneto jednemu ze swoich, a sam rzucił się schodami na górę.

Wyprzedził go niski bezszelestny cień. Szarik umknął z czołgu, by wziąć udział w walce. Kiedy podchorąży wybiegł na podest, z ciemności trysnęła seria, lecz natychmiast poszła w sufit i umilkła, przzerwana krzykiem i wściekłym warczeniem wilczura.

Gdzieś wyżej zapaliła się druga. Magneto odskoczył we wnękę, a Wichura z dołu, z opartego o poręcz diegtiarowa posłał wiązkę kul w kierunku błysków.

Żaden rodzaj działań bojowych nie przynosi tylu niespodzianek, co nocna walka w mieście. Dane rozpoznania tracą wartość już po paru minutach — puste przed chwilą ruiny mogą zostać po cichu obsadzone przez poważne siły

ukryte w piwnicach lub przerzucone z sąsiedniej ulicy, a cios artyleryjski trafia w pustkę przy przesunięciu linii frontu o jeden rząd domów. Sytuacje zmieniają się błyskawicznie i nacierający musi pilnie baczyć, by nie dać się zaskoczyć kontratakami, by nie wpaść w okrążenie.

Żeby być bliżej swych grup szturmowych, dowódca pułku obserwował atak przez strzelnice w założonych workami oknach drugiego piętra. Tu podciągnięto linie telefoniczne, tu zgromadzono odwodową kompanię fizylierów.

Lornetka była niepotrzebna. Z odległości kilkunastu metrów pułkownik widział tyralierę dopadającą murów, widział, jak żołnierze usiłowali się wdrzeć przez wybite granatami otwory, jak z ciemności biły w nich serie. Tych, którzy choć na sekundę opóźnili skok, przycisnął do ziemi krzyżowy ogień broni maszynowej. Z górnych pięter i z dachów zamienionych w fortece domów poleciały granaty. Po asfalcie pełzali ranni, nieruchomieli na chodnikach zabici.

Z głębi, od strony widocznej między domami stacji, zagrzmiały armaty tygrysów wkopanych po wieże w jezdnię. Płonął róg widocznego nad budynkiem napisu: U-BAHNHOF.

Czołgom coraz gęściej odpowiadały nasze polówki, ale nawet bezpośrednimi trafieniami nie mogły ugryźć grubego czołowego pancerza na wieżach.

Pułkownik zagryzał wargi, milczał.

— Tak. Rozumiem... — krzyczał w słuchawkę szef sztabu i wyjaśniał dowódcy: — Rosomak zdobył jeden dom, ale na całej długości został zatrzymany... Tak, słyszę... — krzyczał znowu i meldował: — Na lewym skrzydle, nad samą Szprewą, kontratakują.

— Każ im się cofnąć na pozycje wyjściowe. Połóż ogień zaporowy z moździerzy. Cholerni fryce, przesiedzieli przygotowanie artyleryjskie w piwnicach i teraz wyleźli. A co z tym żółtym domem?

— Znowu w niemieckich rękach — odrzekł major spoglądając przez lornetkę. — Nie utrzymali czołgiści.

Meldunek majora był bliski prawdy, choć niezupełnie ścisły. Przeciwnik gwałtownym kontratakami opanował parter, lecz piętra były jeszcze nasze.

Podczas gdy grupy szturmowe Kosa i Łażewskiego parły schodami w górę, o kilkadziesiąt metrów od żółtego domu, z podziemi stacji, po szerokich schodach przeznaczonych dla podróżnych wybiegały szturmowe plutony SS. Jedna z tych ciemnych kolumnienek, omijając martwymi polami kierunki przestrzeliwane, wpadła w szeroką bramę, w której dogasał jeszcze pożar.

— Treppe hinauf! — dał rozkaz oficer.

W mroku klatki schodowej zawrzała znowu walka. Z dołu szły coraz gęstsze serie, z góry padały granaty. Nasi zmienili front i poczęli bronić drugiego piętra.

Niespodzianie strzelanina umilkła. Na zewnątrz gęstniał łoskot wystrzałów i eksplozji, a w żółtym domu zapadła taka cisza, że słyhać było kroki i skrzypienie podłogi. W prostokąt światła padającego przez okno wszedł tyłem Zubryk, siadł, oparł głowę o półki z książkami.

— Panie Staśko — poprosił podchorążego — jakby trzeba było iść dalej, to zrób mi pan przysługę...

Głowa felczera uniosła się i stuknęła głucho o fornir, nim zdążył dokończyć zdania.

— Naturalnie — odrzekł grzecznie sierżant.

Przerzucił pistolet do lewej ręki, machinalnie wyjął parę tomów, oglądał okładki. Malutką książeczkę pełną rysunków i planów schował do kieszeni i spostrzegłszy Kosa, cofnął się, jak złapany na gorącym uczynku.

Janek podszedł do okna, ostrożnie wyjrzał i rozkazał Szarikowi:

— Skacz.

Pies węszył chwilę nad parapetem i nie usłuchał, bojąc się wysokości.

— Do czołgu! Paszoł, ty dzwońcu! — stanowczym, groźnym głosem powtórzył Janek i pchnął go lekko.

Wilczur się zdecydował, dał susa przez okno, wylądował na daszku nad klatką schodową. Stamtąd skoczył na ulicę i znikł w mroku poprzecinanym na krzyż seriami smugowych pocisków.

Niemcy wewnątrz domu skończyli widać przygotowania do ataku, bo kropnęli naraz ze wszystkich luf.

— Janek! — zawołał Wichura.

— Jestem — odpowiedział Kos strzelając z podrzutu do biegnącego w górę esesmana.

Kilka minut bronili drugiego piętra, lecz przeciwnikowi wciąż sił przybywało, a nasza piechota, choć odgradzona tylko szerokością ulicy, w niczym pomóc nie mogła. Esesmani rozwalili pancerfaustami strop, wspięli się po ustawionych w piramidę stołach i szafkach, atakiem z flanki zmusili czołgistów do opuszczenia pozycji przy klatce schodowej.

Walka trwała nieprzerwanie. Jeśli na parę sekund milkły pistolety maszynowe, to tylko po to, by załomotać ze zdwojoną energią. Coraz krótszymi, bardziej oszczędnymi seriami strzelali Polacy, coraz dłuższymi Niemcy.

Niewielka grupa naszych cofała się skokami wciąż wyżej. Wreszcie, rzuciwszy granaty, by choć przez chwilę powstrzymać ścigających, wydostali się na strych. Ciasnym włazem wypęzali jeden po drugim na płaski dach, oświetlony przedrannym brzaskiem. Siedmiu ich było — chorąży Zubryk, Wichura, obaj Szawelłowie, Staśko, Kos i Łażewski.

— Dom się skończył — stwierdził Janek.

— Trzeba było w czołgu zostać, choć duszno — Wichura nasadą dłoni klepnął w czoło.

Od dołu szły w stronę włazu gęste serie, kule rwały drzazgi z desek obramowania. Felczer szeroko otwartymi oczami patrzył na właz i powolutku, łagodnie zemdłał, rozciągając się płasko na porudziałej blasze.

— Ot i przykro, że się granaty skończyły — kręcił głową Konstanty. — Mówiłem, Józku, bierz więcej.

— Siedem miałem — tłumaczył bratanek.

— Młody jak to młody, weźmie i porozrzuca — sierżant, dogadując, posuwał się coraz bliżej włazu i wykorzystawszy sekundę pauzy, oddał w dół długą serię z automatu.

— Panowie, żyjemy! — zawołał Łażewski wybiegając zza komina z pęczkami zdobycznych granatów w rękę.

Trzymał je za trzonki niczym tłuczki kartoflane i pospiesznie tłumaczył:

— Mieli tu, dranie, stanowisko grenadierskie.

Niedbałymi ruchami ciskał jeden po drugim w ciemny właz. Zagrzmiały wybuchy powtórzone echem betonowej studni schodów. Buchnął z dołu wrzask i jęki, a przez właz zafurkotało parę odłamków.

— Uwaga na oczy — wesoło uprzedził podchorąży, ruszając po następną porcję.

— Nie siedź, Józku, jak starsi noszą — zwrócił uwagę Szawełło.

— Magneto! — zawołał Janek, który z krawędzi dachu spoglądał w dół.

Podchorąży położył się obok i chwilę obaj obserwowali w milczeniu: podziemne pomieszczenia stacji wyrzucały coraz to nowe plutony odwodowe. Widać stąd było wkopane w ziemię tygrysy, gęstą sieć rowów łączących i zasieki broniące piechocie dostępu.

— Jasne — powiedział Łażewski i przytrzymał za rękę Kosa, który podciągał snajperkę do przodu. — Daj spokój.

— Nieprędko nas wezmą.

— Prędko, bo brać nie będą. Podpalą od strychu. W Warszawie się nauczyli, jak takie fortece zdobywać.

NA POCZĄTKU ATAKU OGONIOK razem ze wszystkimi prowadziła ogień z pistoletu maszynowego. Pilnie wypatrywała blasków faszystowskich kaemów czy automatów i biła w nie krótkimi, mierzonymi seriami. Miała świadomość, że w ten sposób najlepiej pomaga Jankowi. Potem cele znikły, przybiegło paru rannych, którym nałożyła opatrunki, i od nich się dowiedziała o niepowodzeniu natarcia.

— Twardy orzech, panienko — tłumaczył wąsaty wiarus z medalem za Lenino na piersi. — Tu by trzeba zębów grubszego kalibru.

Z niepokojem patrzyła na żółty dom, do którego weszli znowu hitlerowcy. Załamała się, kiedy pies sam wrócił. Siadła w załomie muru obok czołgu, automat położyła na kolanach i zamiast pilnować „*Rudego*” płakała, obejmując lewym ramieniem łeb Szarika. Pies skomlał, usiłował pocieszyć, a nie potrafiąc wytłumaczyć sytuacji, lizał jej dłonie szorstkim różowym jęzorem.

„*Rudy*” raz po raz dawał ognia z armaty. Przez uchylony właz Czereśniak wyrzucił dymiące jeszcze łuski, spostrzegł dziewczynę.

— Czego płakać?

— Szarik wrócił, oni zostali.

— Ogoniok, ustań buceć! — krzyknął Gustlik. — Psa odesłali, bo do latania po schodach niezdatny. Pilnuj, coby nom nikt w robocie nie wadził.

Skryli się obaj w wieży, znowu huknęła armata i granat wstrzelony przez dziurę w murze eksplodował głucho we wnętrzu domu.

Na górnym piętrze pojaśniały nagle okna, blask nie przygasał, lecz mocy nabierał i wreszcie skoczył na mur wesołym jęzorem, liznął tynk podziobany kulami, sięgnął rynny i gzymsu.

— Gustlik! Gustlik! — wołała Marusia wysokim głosem.

— Jestem tu.

— *Eto ot snariada?*

— Nie, nie od pocisku. Niemiec sam zapalił.

— *Poczemu?* — pytała dziewczyna. — Bo nasi na dachu? Dlatego? Gustlik nie odpowiedział, tylko hełmofon zsunął na czoło, by osłaniać od blasku, i mrużąc oczy wpatrywał się w coraz smuklejsze, coraz bardziej zajadłe płomienie.

KIEDY ŁĄZEWSKI POWIEDZIAŁ, że esesmani szturmować nie będą, tylko podpalą od strychu, Kosowi zrobiło się chłodno. Może wiatr poranny przewiał po spoconych plecach, a może strach sięgnął łapą i chwycił niespodzianie. Chwilę leżał nie słysząc niczego i może nawet nie myśląc.

O czym zresztą miał myśleć w sytuacji bez wyjścia? Ocknął się niby ze snu, kiedy mu podchorąży rękę na ramieniu zacisnął.

— Benzynę czujesz? Zaraz zapalą. Trzeba wiać.

— Którędy? Spadochron masz?

— Jest droga. Chodź!

Przeprowadził Kosa na drugą stronę dachu i pokazał pionową drabinę na ślepej ścianie.

— Przeciwpozarowa! — zawołał, bo nie dalej niż pół kilometra na wschód nurkujące bombowce zwały ładunek i huk był okropny. — Wypatrzyłem jeszcze ze stanowisk wyjściowych. Wiedziałem, że może się przydać...

Pierwszego wyprawili starego Szawełłę, który się tylko przeżegnał i stwierdziwszy, że pierwszy raz w życiu widzi drabinę, „*coby dziesięć stodół, jedna na drugą postawiwszy, można było po niej na nie wyleźć*” polazł zrećcznie jak kot.

Pierwsze płomienie wyskoczyły spoza rynny, kiedy za stryjem ruszył Józek. Za nim poszli podchorąży Staśko i Wichura.

— Zdażymy, nim podgrzeje — ucieszył się Łażewski i wtenczas właśnie zaczęły się kłopoty, bo chorąży stawiał energiczny opór.

— O nie. Za żadne skarby! — Zubryk jak rak pełznął wstecz od prowadzącej w przepaść drabiny. — Na pierwszym piętrze do okna nie podchodzę...

Nie dokończywszy zdania rozpląszczył się i zemdłał.

— Nie udźwigniesz. Na skwarę trzeba będzie zostawić — mruknął wściekły Łażewski do Kosa.

Leżeli obaj przy zemdlonym na krawędzi dachu, a za nimi coraz ostrzej rozpalał się pożar. Płomienie objęły właz, strzelały wysoko w górę — klatka schodowa pracowała niby potężny komin.

W dole na szczeblach drabiny ciemniały schodzące coraz niżej postacie. Na przeciwległym dachu błysnął pojedynczy strzał snajpera, po sekundzie dobiegł huk, a z dołu krzyk trafionego. Ktoś spadł z najniższych szczebli na rumowisko.

— Psiakrew! Obudził się gołębiarz i pozdejmuje nas ze ściany.

Kos, zobaczywszy błysk, natychmiast się złożył i zastygł nieruchomo z kolbą u policzka. Powoli ściągając spust wystrzelił spokojnie i odpowiedział Łażewskiemu:

— Ten już nie pozdejmuje.

Zza komina wychylił się trafiony, zawzięcie walczył z ciężarem własnego ciała. Wreszcie załamał się w pasie. Zjechał po dachu i spadł w parapiętrową przepaść.

Strzał obudził Zubryka z omdlenia.

— Ranny czeka — krzyknął Kos.

— Po prawdzie, to ja się strzałów boję — tłumaczył tamten półprzytomnie i dopiero po chwili pojął, co do niego mówiono: — Gdzie?

— Na dole.

— Dwadzieścia lat pracy — mruzczał felczer i pokonując lęk zaczął pełznąć po gorącej już blasze — ale nigdy dotąd...

— Nogami w dół — przytrzymał go Łażewski.

— Dobrze — płaczliwie zgodził się Zubryk. — To też muszę nosić ze sobą? — spytał Kosa, wysuwając w jego stronę rękę z automatem.

— Nie, ja wezmę.

— Żeby tego Hitlera skurczybyka cholera najjaśniejsza wzięła... — nie przestając kląć chorąży zniknął za krawędzią ślepej ściany.

Pękła przepalona krokiew, szerzej buchnął płomień, sypnęło iskrami.



Podtoczyła się głównia, przepaliła mundur na rękawie. Kos syknął, odrzucił ją, trzepnął palcami po tłącej się bawełnie.

— Pora — powiedział do Łażewskiego.

— Sam spieprzaj — rzekł Magneto. — Ja ostatni. Mam trening z powstania.

Leżąc tuż obok krawędzi dachu, zwrócenie do siebie główkami, przez sekundę patrzyli w oczy jeden drugiemu.

— Dowodzę — stwierdził Kos. — Idź.

Magneto wykonał rozkaz.

Janek chwilę jeszcze musiał zostać na dachu, by dać Łażewskiemu czas na przejście choć paru metrów w dół — i to były chyba najtrudniejsze sekundy. Celowo powoli zakładał na plecy automat wzięty od Zubryka. Próbował zagwizdać parę taktów piosenki o studziankowskiej bitwie.

Znowu załamała się krowka, wyżej skoczyły płomienie. Na strychu eksplodował niewypał i wybuch cisnął w powietrze zmięte arkusze rozpalonej blachy, które zatoczywszy łuk zgrzytnęły po szczytowej ścianie.

Ten niespodziany dźwięk i łoskot do reszty przestraszył Zubryka. Chorąży potknął się, zaplątał w metalowych szczelach, puścił uchwyty z rąk. Spadł, ale szczęściem z paru ostatnich i prosto w ramiona Wichury.

— Tutaj, panie doktorze! — wołał stary Szawełło kończąc opatrywać nogę podchorążego Staški. — Złamana.

— Noga to nic — szepnął ranny do pochylonego nad nim Zubryka — i ale tu coraz bardziej boli — przycisnął dłonie do brzucha, a między palcami spływała krew prawie czarna w tym dziwnym świetle.

Felczer natychmiast wziął się do opatrunku, ręce miał szybkie i zwinne. Pomagał mu Szawełło, dźwigając Staškę, gdy trzeba. Ranny zaciskał zęby, oczy zachodziły mu bielmem bólu. Jak przez watę słyszał głos Zubryka:

— Wiem, że boli. Trochę musi. Ciesz się, bracie, że jesteś mężczyzną, bo jakby tak na ten przykład bliźniaki...

— Poetę, cholera, rąbnęli — mruknął Wichura do zeskakującego z drabinki Łażewskiego.

Podchorąży jednak nie podbiegł do rannego, lecz rozejrzał się uważnie dokoła — byli w ruinach między dwiema ślepyimi ścianami domów zajętych przez wroga. Póki nie ruszą stąd, nic im nie grozi. Chyba żeby Niemcy wybili strzelnicę.

Kos, zniecierpliwiony długim złażeniem, obrócił się na metalowym stopniu i skoczył z półpiętra w dół, przypadł obok Magneta.

— Zostać tu długo nie można, a przez ulicę dobrze będzie, jak co drugi żywy przeskoczy — rzekł podchorąży.

Nie odpowiadając, Kos odpełznął na bok i pochylił się nad rannym.

Opatrunek był skończony, białe bandaż, połyskiwało czoło i policzki Staśki mokre od potu i łez. Janek otarł mu twarz tym, co znalazł pod ręką — garścią pakuł dobytých z kieszeni.

— Praktyki już nie nabiorę — mówił tamten zmęczonym głosem do Szawelły, a potem obrócił głowę w stronę Wichury — i słów do końca nie poprawię. Nie są złe — uśmiechnął się lekko i cicho zanucił: — W ciemności błysnął krwawy ząb, tygrysa bierz na cel i rąb...

— Trzeba by... — zaczął Janek.

— Nosze gotowe — przerwał mu Szawelło.

— Kos — oprzytomniał Staśko i z wolna, ale wyraźnie powiedział: — Trzymaj, to się przyda — podał mu niewielką książeczkę. — Podwędziłem w tym domu z biblioteki.

Janek bez słowa wetknął tomik za pazuchę, położył rękę na gorącym czole Staśki.

— Dźwignijcie go bliżej ulicy.

— Zostanę. Nie warto. Mniej będzie bolało.

— Nie mądrz się — uciął szorstko.

Przebiegł na skraj ruin, wpatrywał się chwilę w stanowiska wyjściowe do ataku i podniósł do strzału automat Zubryka.

Obok pancerza „*Rudego*” Gustlik stał na baczność przed pułkownikiem. Nicco w tyle, obok przedniego wjazdu, Saakaszwili, Czereśniak i Marusia z psem.

— Melduję, obywatelu pułkowniku, że zadanie było wykonane, dom zdobyty. Ino że potem od dołu z piwnic wyleźli Niemcy i naszych do wierchu przegnali.

Pułkownik podniósł głowę, patrzył na objęte płomieniem górne piętra i dach budynku.

— Dam wam dwu ludzi do załogi.

— Nie trza.

- W cuda wierzycie?
- Nie. W kamratów.
- Dam na tymczasem. »
- Nie trza. Załoga pełna.
- Z psem?
- Też żołnierz... Atestat na jadło mo...

Jeleń urwał i ręką dał znak pułkownikowi, by nic nie mówił, bo z przeciwnej strony ulicy, z ruin, zaczął postukiwać w dziwnym rytmie pistolet maszynowy: ta-ta-ta, ta-ta... Gustlik odczytywał z coraz szerszym uśmiechem na twarzy: kreska-kropka-kreska, potem trzy kreski, trzy kropki.

- Kos — radosnym szeptem powiedział do załogi.
- Co takiego? — spytał pułkownik.
- Komandir nasz wraca — wyrwał się z szeregu Saakaszwili.
- Dowódca — tłumaczył Jeleń — pomocy chce. Do wozu! — rozkazał. Zapomniawszy o dowódcy pułku, wskoczył na pancierz, na wieżę, wspiął się na palce i zawołał niczym przez megafon:

— Piechota... na moją komendę, ognia!

Ślązak zniknął pod pancierzem, zagrzmiała czołgowa armata. Niczym płomień po lonce przeleciała kanonada wzdłuż całego odcinka. Kropiły seriami pistolety maszynowe i kaemy. Westchnął rozbudzony mózdzierz i wyrzucił wysoko minę. Huknęła stojąca po sąsiedzku polówka.

W szarówce wstającego dnia wymknęła się z ruin maleńka grupka z noszami, pokłusowała przez ulicę. Nim przeciwnik się opamiętał i zrozumiał, o co chodzi, żołnierze wpadli do bramy.

Przygasł ogień, wyskoczył z wieży Jeleń.

- Wam dywizją dowodzić — nie bez złośliwości stwierdził pułkownik.
- Kiej nie dają.

Obaj roześmieli się i poszli na spotkanie powracającemu.

- Obywatelu pułkowniku, sierżant Kofc melduje powrót sześciu...
- Exitus — głośno wymówił pochylony nad rannym Zubryk.
- ...powrót pięciu żołnierzy z grupy szturmowej.

Pułkownik pochylił się nad poległym, patrzył chwilę w bladą twarz i okrył ją czapką.

— Dziękuję za męstwo — rzekł stając na baczność — choć wy nie utrzymaliście domu... — umilkł na chwilę i dodał: — a ja nie zdobyłem tego U-Bahnhof.

— Sposobem można zdobyć — powiedział Kos.

— Wiesz jakim?

— Chyba wiem. Dzięki niemu — Janek wskazał na leżącego nieruchomo Staśkę.

— Idziemy.

Odeszli obaj ku wielkiemu niezadowoleniu Marusi.

— Tak to jest, jak się kocha dowódcę — Saakaszwili podszedł bliżej do dziewczyny. — Mnie trzeba było. Czemu mnie nikt nie wybiera?

— Sam wybierz — Marusia prychnęła jak kotka.

Na malutkim podwórzowym trawniczku tuż pod murem Józef Szawełło saperką rozkopywał gruzłową, miejską ziemię. Wichura znalazł ułamany bagnet, wydrapał w kamiennym oblicowaniu krzyż i rył pod spodem duże drukowane litery. ST miał już gotowe, pracował nad A.

Stary Szawełło wrócił z Czereśniakiem, usadowił go na wywleczonej z wnętrza kanapie, krytej zielonym pluszem, sam kucnął obok i rozkazał:

— Graj politycznemu. Jemu by było przyjemnie.

Cicho zanuciła harmonia, a stary nie tyle śpiewał, ile mówił pod melodię, bardzo po prostu i zwyczajnie, jakby w rozmowie, a nie wiersz:

*Lata już trwa śmiertelny bój,  
o wspólną wolność sprawa...*

Stanął za nimi Łażewski, zdjął czapkę, przyłączył się do żołnierskich godzin. Wichura przestał skrobać po kamieniu, patrzył i słuchał:

*Hasło i odzew twój i mój:  
Stalingrad i Warszawa.  
Przeciw nam obu tygrysie kły,  
Ognia w tygrysa ja i ty,  
Ognia ja i ty!*

Tomasz chciał powiedzieć coś o tym, że w przeddzień końca wojny to ludzie nie powinni ginąć, ale przypomniał sobie, co mu Gustlik powiedział nad Odrą, i nie rzekł ni słowa, tylko grał dalej.

Dzień wstawał i wiadomo było, że nie wszyscy nocy doczekają, bo skoro miał być koniec wojny, to musieli jeszcze tę stację zdobyć, co ją Niemiec pod ziemią zbudował. Może jakby gdzie indziej byli, to można by przeczekać, ale tutaj, w Berlinie, nie da rady. Trzeba zdobyć.



## ROZDZIAŁ 60.

### RACHUNEK NIEPRAWDOPODOBIENSTWA

Do piwnicy sztabowej świt sączył chłodne światło przez założone workami okna. Mroczno tu było i w pierwszej chwili można by sądzić, że prawie pusto. Dopiero kiedy wzrok przywykł, wyrysowywały się postacie oficerów i żołnierzy śpiących pod ławami, siedzących pod ścianami. Czuwał tylko dyżurny telefonista w kącie i ci dwaj pochyleni za stołem, w kręgu elektrycznego światła podłączonej do akumulatora żarówki. Pułkownik i sierżant patrzyli sobie w oczy, jak po wyczerpującej dyskusji czy może nawet sprzeczce. Milczeli.

Na stole leżał odręczny szkic Kosa: to, co widział z dachu budynku w rejonie stacji. Obok niewielka książka, wyjęta przez Staškę z biblioteki w żółtym domu, i rozłożony, wklejony do niej plan linii berlińskiego metra.

Wreszcie pułkownik podsunął talerz z pokrajanym chlebem, nóż i otwartą puszkę konserwy.

— Jedz.

Podczas gdy sierżant smarował razowiec mieloną wieprzowiną, oficer powtarzał argumenty:

— Zgadza się twój szkic z góry i plan podziemnej sieci. Prawda też, że od strony zatopionego tunelu nie powinni mieć posterunków.

— Nie powinni — przytwierdził Janek, żując chleb.

— Zbijałem argumenty, żeby uzmysłwić sobie wszystkie za i przeciw.

A teraz koniec dyskusji — uciał pułkownik. — Pora na rozkazy.

Sierżant chciał wstać, ale dowódca pułku przytrzymał go wyciągniętą ręką za ramię.

— Jedz. W ciągu dnia dostanę nurka od saperów, sprawdzę, czy nie ma przeszkód pod wodą... Ryzyko duże, ale na jednej szali szansa zdobycia stacji i przerwania się do Reichstagu, a na drugiej — życie pięciu ludzi.

Kos przełknął kęs, dodał pospiesznie:

— I psa.

— Pancernych i psa — uśmiechnął się lekko pułkownik, kiwnął głową i dodał: — Całej załogi, która teraz otrzymuje ode mnie rozkaz: wycofać wóz z linii i spać. Sam będę budził.

Przez otwarte parterowe okno widać było wieżę „*Rudego*”, pokrytą siwoceglanym nalotem kurzu, spod którego ledwo prześwitywała zieleń. We framudze, z automatem na kolanach, siedział szeregowiec Józef Szawełło i pełnił wartę, podobnie jak przed niecałym miesiącem Czereśniak w Schwarzer Forst. Ciepłe powietrze śmierdziało kurzem i spalenizną.

W pokoju drzemał na fotelu Konstanty z drucianymi okularami na nosie. Zbudziło go skrzypnięcie okna, więc wziął się za przyszywanie naderwanego galonu sierżanckiego do naramiennika. Za oknem grzmiała bitwa ogarniająca ogromne miasto, ale jej hałas nie przeszkadzał nikomu ze śpiących.

W poprzek małżeńskiego łóża leżeli Gustlik, Saakaszwili i Czereśniak. Indywidualista Wichura ulokował się na zestawionych w rząd krzesłach, wymoszczonych pierzyną.

Marusia spała na kozetce. Palce lewej ręki wplątała we włosy Janka leżącego na dywanie z torbą pod głową. Szarik przytulił się do nóg swego pana.

W ruinach za oknem rozległ się gwizd. Ktoś zawadiacko wyświstywał melodię powstańczego marsza Mokotowa. Józek spuścił nogi z parapetu, obciągnął mundur i stanął na baczność w chwili, gdy Łażewski wchodził do pokoju.

— Pst — stary Szawełło położył palec na ustach. — Niech póki co oddychają.

— Wieczór blisko. Już po nich idą — odpowiedział podchorąży. — Lepiej, żeby mieli czas się obmyć i rozczmuchać.

Zmieniwszy ton, krzyknął ostrym, kaprańskim głosem:

— Pobudka, pobudka, wstać!

Jeleń sięgnął za siebie i ledwo uchylwszy powieki, cisnął butem. Magneto odskoczył, złapał w locie.

— Ech i wojsko majowe!

— Kaj my to są? — spytał Gustlik siadając na łóżku.

— W Berlinie — odpowiedział służbiście Szawełło.

— Ten, co na spocznij wygrywo, lepszy przeca od tego, co na baczność przegrał. Prawda, Magneto?



Zbudzili się wszyscy, wstawali i przeciągali. Bolały mięśnie i kości po wczorajszej akcji, a Jeleń, włożywszy jeden but, gonił po pokoju Łażewskiego.

— Majowe wojsko, majowe! — pokrzykiwał podchorąży wywijając się z ręcznie.

— Oddaj! — dopadł go wreszcie Gustlik, odebrał but i wkładając przytupnął o podłogę. — Chłopcy, przeca to dziś Pierwszy Maja. Cale święto my przespali.

— Z wodą krucho — narzekała Marusia idąc do sąsiedniego pokoju.

— Do beczki nanoszone! — zawołał za nią Józek.

— Jeszcze się pierwszy nie skończył. Zdążycie do północy poświętować — złośliwie przygadał Łażewski i zawołał: — Janek!

— Mhm — odpowiedział Kos prychając nad miską i zaczął wycierać twarz świeżym prześcieradłem.

— Wyślizgałeś mnie z akcji...

— Tylko załoga potrzebna. Po co ryzykować?

— Ale was za to los pokarał. Dostajecie szóstego do czołgu.

— Mogę miejsca ustąpić — wtrącił Wichura.

— Kogo dostajemy? — spytał Janek.

— Dowódcę.

— Na pierona nam? Swego mamy! — krzyknął gołący się Gustlik.

— Kakowo czorta? — zaklął Saakaszwili. — Nie potrzeba!

— Oficera pułkownik wam daje, kapitana. I to jeszcze ruskiego.

Zapadło na chwilę milczenie. Umyta i uczesana Marusia wróciła akurat do pokoju, niosąc parujący czajnik.

— Komu tiopleńkoj? — nalewała do miski i spytała spokojnie: — Ruski kapitan gorszy?

Konstanty Szawełło, siedzący najbliżej drzwi, zerwał się i podał komendę:

— Baczność!

— Spocznij — rzekł wchodząc pułkownik. — Nie meldujcie, bo ja wam chcę zameldować, że nurek przeszkód nie wykrył. Możemy zaczynać. A dla wzmocnienia załogi przyprowadziłem минера-wirtuoza, jeśli tak można powiedzieć — odsunął się od drzwi, żeby go przepuścić.

Do pokoju wszedł oficer w mundurze radzieckiego kapitana, w czapce z czerwoną gwiazdą, stanął na baczność i wytrenowanym ruchem podrzucił wyprostowaną dłoń do czarnego daszka.

Czworo obecnych skamieniało na ułamek sekundy. Jeleń coraz mocniej zaciskał trzymaną w rękę brzytwę. Pękł mu pod palcami trzonek, ale Ślązak tego nie zauważył. Marusia stała z przechylnym czajnikiem, strumień gorącej wody ciurkał na podłogę obok kubka. Saakaszwili otworzył bezgłośnie usta, zamknął, szarpnął pod szyją kołnierz i oderwany guzik z trzaskiem uderzył o szybę. Kos patrzył z uśmiechem na twarz kapitana, która była twarzą ich pierwszego dowódcy, i trąciwszy psa powiedział:

— Przywitaj się, Szarik.

Wilczur spojrzał, jakby pytając, czego od niego chcą, podszedł do nowo przybyłego, obojętnie powąchał jego dłoń i wrócił do nogi swego pana. To zdecydowało — twarze całej czwórki zmieniły się w jednej chwili, jak gdyby we wnętrzu tych ludzi pękła napięta struna.

Kapitan wciąż jeszcze salutował dłonią i zgodnie z radzieckim regulaminem nie odrywając ręki od daszka, przedstawił się:

— Kapitan Iwan Pawłow, minior.

Tunel metra oświetlało parę jaskrawych żarówek w metalowych osłonach. Terkotała spalinowa prądnica, zatruwając gazami powietrze, którego tu i tak nie było za wiele. Na dnie pełzły zerwane, powyginane szyny, włożyły na niewysokie gruzowisko, za którym leżało czarne lustro polerowane światłem. Perspektywa tunelu, dość ostro opadającego w dół, nikła w wodzie i w mroku.

Kilku zlanych potem rozebranych do pasa saperów pracowało pod ścianą: łomami, kilofami i łopatami kopali rów. Słyszając zbliżające się dudnienie i chrzęst, podnieśli głowy, rozprostowali plecy, a jeden, ocierając pot z czoła, spytał:

— Ten pójdzie pod wodę?

— Ten — odpowiedział plutonowy nadzorujący robotę. — Ruszajcie się, bo on choć tyle powietrza pod sufitem musi mieć — pokazał dłońmi ile. — Przecież nie łódź podwodna.

Wrócili do pracy, przyspieszyli nawet tempo, ale nie przestali co chwila spoglądać w tę stronę, z której niespiesznie nadjeżdżał „*Rudy*”.

Czołg się zatrzymał. Gustlik uniósł rękę w stronę niskiego stropu, popatrzył na bliki światła w nieruchomej wodzie.

— Do czołgów zech poszedł, a za marynarza mom byd — rzekł do Kosa. — Jakby tu była Honorata, to by ci powiedziała, co jo o tym myślę.

— Dopilnuj lufy i przyrządów celowniczych.

— Bydź spokojny. Tak zatkam, że ani kropla nie przejdzie.

Zeskoczyli na ziemię, a za nimi Tomasz. Saakaszwili i Szarik wyleźli przez przedni właz. Pies podbiegł do wody, chlapnął jęzorem.

— Co pijesz, głupi? — burknął na niego Janek. — Chodź tu.

Czereśniak sięgnął do wnętrza, dobył termos i nalał w miskę wody wilczurowi.

— Jak ksiądz... — mruczał do kosmatego ucha. — Swoje masz, a w cudze nos wtykasz.

Nadjechała saperska ciężarówka. Wskoczył z kabiny i podszedł do czołgistów kapitan Pawłow.

— Musicie mi miejsce zrobić.

— Z prawej strony na dole. Kaemista nie jedzie — zameldował Kos niechętnie, a jednocześnie on i cała załoga jak zafascynowani patrzyli w twarz sapersa.

— Czołg widziałem z bliska — odpowiedział spokojnie Rosjanin. — Miejsca potrzebuję dużo. Trzeba będzie wszystko, co zbędne...

— Już usunięte — rzucił Kos.

— Rzeczy osobiste też na ciężarówkę. Odbierzecie przed stacją, w miejscu spotkania z grupą szturmową Szawelły.

— Coby my ino z tego pierońskiego chodnika wyszli... — zamruczał Gustlik.

— Jak nie wyjdziemy — odrzekł przyciszonym głosem kapitan — to nie będą potrzebne. Tyle że jeśli kto chce, może nie jechać.

Kos milczał. Jeleń rozejrzał się po twarzach i wyjaśnił Pawłowowi:

— Towaryszcz kapitan, my są załoga. Ponimacie? Ekipaż. Albo wszyscy jadymy, albo żaden.

— Wynosić rzeczy — rozkazał Kos i w stronę Jelenia: — Weź moje.

Trzech członków załogi znikło pod pancierzem, a saper zwrócił się do sierżanta:

— Od pierwszej chwili patrzycie na mnie, jakbym miał rogi. Powiedźcie czemu?

— Obywatel kapitan ma albo może miał bliźniaka?

— Dwóch chłopaków — ożywił się tamten i wy dostał z kieszeni fotografię. — Wania i Sasza. Nie bliźniaki, ale podobni. Są z żoną w Nowosybirsku. Tam Hitler nie dotarł. I ja cały czas byłem na japońskiej granicy. Tydzień, jak przerzucili, i do polskiego wojska. Munduru nie zdążyłem zmienić.

— A do polskiego czemu?

— Język znam. Wychowywałem się pod Żytomierzem. Tam polskich wsi sporo.

Gustlik wyniósł dwa plecaki, Saakaszwili jeden, Szarik wytaszczył w zębach swoją poduszkę haftowaną w motyle i róże. Stanęli obok wozu. Ostatni wygramolił się Tomasz z piekielnie ciężkim workiem i sporym podłużnym zawiniątkiem w brezencie pod pachą.

Kos wskazał ręką otwarty właz.

— Proszę.

Puścił przed sobą kapitana i przechodząc obok Czereśniaka rzucił półgłosem:

— Co znowu za graty?

Pawłow świecąc latarką rozejrzał się po wnętrzu czołgu. Krąg światła padł na czapkę rotmistrza, zawieszoną na pancerzu po lewej od mechanika.

— Na awans czekacie?

— Nie. Ranny oficer prosił, żeby ją do Berlina dowieźć.

Kapitan skinął głową i dotknął rękojeści Grzesiowej szabli.

— Mechanik kawalerzysta?

— Gruzin.

Dłoń kapitana musnęła przygotowane w uchwytach pociski, zamek działa, radiostację. Zatrzymał wzrok na orderach, na Krzyżu Walecznych i Virtuti Militari, umocowanych przy nadajniku, a potem na fotografii przyklejonej do pancerza.

Pawłow sięgnął do kieszeni, przejrzał się w lusterku, porównując swą twarz z fotografią. Zrozumiał sytuację, w której się znalazł.

— Dawno?

— Sześć tygodni temu, pod Wejherowem.

Kapitan wyprostował się w ciasnocie, podrzucił rękę do daszka i długą chwilę salutował tamtemu z fotografii. Potem wysiadł z czołgu i powiedział:

— Załoga do mnie.

Otoczyli go ciasnym półkręgiem uważnych twarzy. Błyszczały białka oczu.

— Nie przychodzę na niczyje miejsce — powoli wymawiał słowa. — Mm dwie godziny upłyną, będziemy się żegnać. Ale na ten czas musicie mnie przyjąć do załogi...

— Obywatelu kapitanie — zaczął Kos po chwili namysłu. — Myśmy widzieli was w Spandau i potem na moście przez Hawelę. Myśleliśmy, że może...

— Bierzcie się do uszczelniania — przerwał mu saper — a dwu pomoże mi nosić trotyl.

— Jo — zgłosił się Gustlik.

— Ja — dorzucił Tomasz.

Podchodząc do ciężarówki Jeleń wyprzedził oficera i wziął rozmach, żeby jednym uderzeniem otworzyć zamek tylnej burty. Kapitan przytrzymał go za rękę i pokazał biały napis na ciemnozielonych deskach: „*Stukniesz — znikniesz*”.

Nie wszystkim jednak praca przypada na wojnie. Gdy jedne armie nacierają, inne tkwią nieruchomo na biernych odcinkach frontu. Nawet w tej samej kompanii może się zdarzyć, że podczas gdy jedni spływają potem, inni śpią albo wynajdują zajęcia, byle zabić nudę.

W zniszczonym, ale nie spalonym domu, w pokoju na pierwszym piętrze zajmowali stanowiska ogniowe Zubryk i Wichura. Podsunęli stół do ściany między oknami i siedząc na przyniesionych z kuchni taboretach, rznąli w oko.

Choraży wziął pierwszą kartę, przyjrzał się jej i zdecydował:

— Dwa kanistry.

Wziął drugą, ucieszył się i chytrze powiedział:

— Sobie.

Trzasnęła bliska seria, odbiła kawał muru od futryny, cisnęło tynkiem na stół. Wichura błyskawicznie dorzucił do swojej karty drugą i trzecią, prawie nie patrząc położył na stole.

— Dwadzieścia.

— Punkt mniej — skrzywił się Zubryk.

W powietrzu złapał winnego asa i zaczął grę stawiając z hazardem:

— Cztery.

Wziął kpiąco uśmiechniętego waleta, wyciągnął rękę po trzecią i zobaczywszy czerwioną dziesiątkę, zniechęcony rzucił je na stół.

— Fura.

Od strony klatki schodowej, przez dziurę w ścianie wybitą najprawdopodobniej pancerfaustem, weszła Marusia.

— Gracie?

Niczym cień zjawił się tuż za nią Józek Szawełło i przysiadł w kącie.

— Gramy — przytwierdził kapral i dostrzegają kątem oka błysk serii, krzyknął: — Niżej głowa!

Ogoniok przysiadła, kule znów odłupały kawał tynku, cisnęły okruchami.

— Uparty fryc — stwierdził Wichura.

Chwycił pistolet maszynowy z kolan, zrobił zwrot o sto osiemdziesiąt stopni przez lewe ramię i nie wstając z taboretu rąbnął dwie krótkie serie w okno po drugiej stronie ulicy. Potem spokojnie odwrócił się do dziewczyny.

— Na co? — spytała Marusia.

— Żeby go uspokoić. Teraz pół godziny będzie cicho siedział.

— Pytam nie o strzelaninę, tylko o grę. Na co gracie: pieniądze, spirytus?

— Po polsku mówi się: o co? — poprawił szofer. — Forsa mało znaczy, a przez tych parę dni, co do końca wojny zostało, nie warto pić. Po kieliszku człowiek bardziej wyrywny, łatwiej na tamten świat. My na benzynę gramy.

— Po co ci benzyna?

— Nie teraz. Po wojnie w Mińsku Mazowieckim ma mi oddać trzy beczki i siedem kanistrów. Będiesz potrzebowała transportu, to do mnie. Firmę założę: „Przywóz — wywóz, kapral rezerwy Wichura”.

— Wichura — powtórzyła dziewczyna jak echo i zapytała niespodzianie: — Lubisz mnie?

Zakłopotany kapral wziął spod ściany granat, wzruszył ramionami, wyrwał zawleczkę i niepewnie się uśmiechnawszy, z całego rozmachu, z półobrotu, cisnął przez ulicę metalowe jajo. Przywarli do ściany, huknął wybuch. Ostrożnie wyglądając, Wichura i Zubryk popatrzyli na pusty otwór okienny, z którego walił dym.

— Pan przypilnuje pozycji, panie chorąży. Zaraz wracam.

Wziął Marusię za rękę, wyszli razem na schody, przysiedli pod okopconą ścianą.

— Gapicie się, szeregowy Szawełło? Co wam tu dziwne? Buty sobie wyczyśćcie.

— Póki co, nie warto — uśmiechnął się Józek. — Pył wszędzie.

— To siądź choć tyłem — mruknął szofer i zwrócił się do Marusi: — Ja, Ogoniok, wszystkie ładne dziewczyny lubię. Taki już durny łeb. — Nasadą dłoni kropnął się w czoło. — I wszystko dla nich zrobię. Czego chcesz? Masz — nie dając jej dojść do słowa, wyciągnął z kieszeni jedwabne pończochy.

— Ojej! — szepnęła Marusia i otarłszy dłonie o spodnie, podstawiła je pod przezroczystą mgiełkę.

— Z dobrego serca, za nic ci daję.

— Nie — westchnęła i stanowczym ruchem odsunęła prezent. — O co innego proszę. Wytlumacz, co oni mają zrobić?

Wichuria wzruszył ramionami, zawinął pończochy w chustkę do nosa i wsunął z powrotem do kieszeni. Wyjął scyzoryk i krótkim ostrzem do otwierania konserw kreślił na okopconej sadzą ścianie, komentując rysunek w sposób możliwie zwięzły:

— Tu ta cholerna stacja, cośmy rankiem brali i nie wzięli. Póki nasza artyleria bije, siedzą fryce spokojnie pod grubymi stropami, a jak skończy — koszą. Jest dojście przez tunel. Nie pilnowane, bo tam gdzie szyny idą w dół, wszystko zalane. Nasi przejadą pod wodą sto metrów i zaatakują od tyłu, a my jednocześnie od góry, i wtedy się droga otworzy do samego Reichstagu, gdzie Hitler siedzi.

— A jak nie przejadą?

— To też weźmiemy, tylko ludzi kupa zginie.

— Czemu to Janek wymyślił?

— Bo wyrywny.

— A ty zostajesz?

— Przy tobie mowa była, że miejsce dla sapera potrzebne. Mnie w czołgu duszno.

— Wyrywany nie jesteś.

— Nie — twardo odpowiedział Wichura.

Warknęła seria z kaemu, kule świsnęły przez okno, rykoszetowały od ścian mlaskając paskudnie. Jedna z nich odłupała kawał tynku z rysunku kaprała. Wichura dotknął palcem białej krawędzi, świeżej jak rana, i cicho powiedział:

— Nie mać myśli. Pod ziemię to niech mnie inni kładą, sam nie pójde.

Chwilę jeszcze patrzył jej w oczy. Czuł, że powiedział nie to, co trzeba, ale nie umiał naprawić błędu. Więc tylko wepchnął dziewczynie pończochy do kieszeni razem z chustką, wstał i wrócił na swoje stanowisko bojowe.

— Panna Marysia by odpoczęła przed nocą — niepewnie zaproponował Józek.

Jakby go nie słyszała. Wstała i poszła schodami na wyższe piętro. Józek ruszył śladem, trzymając automat gotowy do strzału.

Ogoniok weszła do takiego jak poprzedni pokoju, tyle że nieco mniej zniszczonego. Łażewski, który w butach leżał na kanapie, siadł na jej widok, uśmiechnął się. Dziewczyna kiwnęła mu machinalnie głową, poszła w kątek pokoju, gdzie przy lornecie nożycowej czuwał sierżant Szawełło.

— Muszę zobaczyć Kosa.

— Ma się wiedzieć, że panna Marysia musi zobaczyć. Oni z dołu, a my ze strony przeciwpołożnej. Nim pierwszy kur zapieje...

— Przedtem muszę — powiedziała błagalnie i w oczach miała łzy. — Zanim wjadą pod wodę...

— Cyt, cyt — stary końcami palców strząsnął słoną kroplę z różowego policzka. — Ot tobie i masz. Cyt... Jeżeli nieodzownie, to trzeba coś tak prawdziwie zełgać, żeby pułkownik pozwolił.

Spod brzucha czołgu wypełznął na łokciach Saakaszwili, ostrożnie niosąc przed sobą dłonie umazane towotem.

— Dobrze uszczelnione — pochwalił Tomasza, klęczącego przy gąsienicy, i zwrócił się do Kosa: — Wóz gotów, komandir.

Janek nie odpowiadając ruszył w inspekcyjną wędrowkę wokół „Rudego”. Czołg na krawędziach wszystkich włazów i otworów, na wszystkich złączach pokryty był grubą warstwą żółtego gęstego smaru. Nad wieżą sterczała rura prawie sięgająca tunelowego stropu. Na lufach kaemów i armaty brezentowe kaptury były oklejone izolacyjną taśmą i równie grubo obsmarowane towotem.



Nadszedł Gustlik, dźwigając fartuch z blachy, i z pomocą mechanika zaczął go mocować na specjalnych uchwytach przed czołem „*Rudego*”.

— Dobry buhaj rogiem przebije — sceptycznie zauważył Czereśniak.

— My, Tomek, krowy ominiemy z daleka, to i byk gniewać się nie będzie.

— Pancerfaust rwie na pierwszej przeszkodzie — wytłumaczył Kos.

— Jak Szarik ma ogon naoliwiony, to możesz meldować — stwierdził Jeleń dociągając ostatnią nakrętkę.

Pies usłyszawszy swe imię wstał z rumowiska, podszedł do załogi i zaczął się łąsić.

— Ręce.

Kos pierwszy, a za nim inni myli dłonie w rynience z naftą, a potem, przykucając nad brzegiem zalewu, płukali je w wodzie. Po czarnej powierzchni rozchodziły się coraz szerzej tęczowe kręgi tłuszczu, lecz mimo to zrzuciliby chętnie mundury i zmyli gryzący pot, od którego lepilo się ciało.

— Tomek, coś ty taskał w tym brezencie? — spytał Kos. — Wstyd robisz.

— Gramofon.

— Jaki znów?

— Ten, co świętej pamięci sierżant polityczny na nim grał. Jakbym nie wziął, to i tak by przepadło. A kiedy we wiosce założę, to we wszystkich chałupach będzie słyhać.

— Elektryczność jest?

— Nie, ale właśnie nieboszczyk Staśko mówił, że będzie.

— Jak larma na cała wieś narobisz, to takiego ci kota pogonią... — mruknał Gustlik.

Szarik usłyszał i spojrzał na beki zdziwiony, nie mogąc pojąć, gdzie tu w tunelu kot.

Wytarłszy dłonie pakułami, Kos obciągnął mundur i poszedł do kapitana. Pawłow wstrzymał go ruchem ręki — stał nad wykopanym przez saperów kanałem, rzucał na wodę drewnianka, spoglądał na zegarek i liczył na suwaku logarytmicznym. Skończywszy, podniósł głowę, uśmiechnął się lekko.

— Wóz gotów — zameldował Janek.

— Ruszymy za czternaście minut.

— Czemu nie za trzynaście albo za kwadrans?

— Tak wynika z rachunku. Przy tym wypływie za piętnaście minut w najgłębszym miejscu zalewu będzie dość powietrza nad lustrem wody. Przy szybkości trzech kilometrów na godzinę potrzebujemy minuty, żeby tam dojść.

— Jak się na tym liczy? — Janek pokazał suwak i teraz już nie był dowódcą czołgu, lecz tylko zaciekawionym chłopcem.

— Potem.

W głębi tunelu zawarczał silnik, błysnęły reflektory i podjechał gazik. W światło latarni wszedł pułkownik z piechoty.

— Baczość! — podał komendę Pawłow. — Jesteśmy gotowi. Za jedenaście minut ruszamy.

— W takim razie przed północą można się spodziewać?

— Tak jest.

— A widać będzie wybuch wyraźnie?

— Mam nadzieję — uśmiechnął się lekko saper.

— Jeśli nie do dwunastej, to sami ruszemy. Dajcie spocznij.

— Spocznij.

Ukryta do tej pory za słupem ostrego światła, wybiegła z ciemności Marusia, przypadła do Janka.

— Czołem załoga! — zawołała wesoło do wszystkich. — Nie spodziewaliście się mnie zobaczyć?

— Myśleliśmy, że dopiero na górze — powiedział Saakaszwili. — Zatęskniłaś?

— Nie, ja służbowo. Sierżant Szawello prosił, żebyście manierkę zabrali.

— Józek nieść nie może? — zagderał Jeleń. — W czołgu pełno, że nic utkać nie idzie, od dołu do wierchu sam.

Kos szturchnął kumpla w bok i Gustlik nie skończył zdania, nie wyjaśnił, czym wewnątrz czołgu wypchane.

— Co w tej manierce? — spytał Janek.

— Lekarstwo na mrówkach na reumatyzm. W ataku skakać trzeba, może się wylać, a u was pewne jak w banku.

Kos ujął dziewczynę pod rękę, odprowadził parę kroków na bok.

— Dobry pomysł z tym lekarstwem powiedział cicho — ale ras nie trzeba uspokajać. Powiedz prawdę, kto cię przysłał i po co?

— Kto przysłał? — Marusia dotknęła palcami piersi w tym miejscu, w którym bije serce, i wyjaśniła: — Ono... Żeby przytrzymać strzemień idącemu do szarży...

Słuchał tych słów i przez chwilę wydało mu się, że zelżała piekielna duchota tunelu, że powiało świeżym wiatrem i mniej drapie w gardło zatrute spalinami powietrze. Pomyślał, że nic złego nie może się stać załodze ani jemu samemu, bo nie powinni sprawić przykrości Marusi.

— Pora — rzekł spokojnie Iwan.

Załoga w milczeniu wspięła się na pancierz. Czołgiści zsuwali się do wnętrza jak do okrętu podwodnego, przez, jedyny otwarty jeszcze górny właz.

Pawłow, wdziawszy podany mu hełmofon, stał się jeszcze bardziej podobny. Saakaszwilemu udało się posłać całusa Marusi. Tomasz, podtrzymując Szarika, przesłał proszący uśmiech kierowcy saperkiej ciężarówki. Gustlik, skryty po piersi we włazie, wysunął się nieco ku górze, nabrał powietrza i opadł w dół, jakby nurkował w stawie.

Dowódca pułku cały czas oglądał ten załadunek z lekkim uśmiechem, lecz teraz cień przemknął mu po twarzy. Podniósł rękę do daszka polówki. Za jego przykładem poszła Marusia. Kos zsalutował pułkownikowi, a w stronę dziewczyny zrobił lekki ruch ręką i zniknął pod pancierzem. Najdłużej widać było jego dłonie podtrzymujące opadający wolno właz.

Kierowca od saperów stał cały czas tuż obok wieży z pudłem uszczelniających materiałów. Na sekundę jeszcze w nie domkniętej szczelinie pojawiło się oko Tomasza.

— Nie potłucz — przykazał.

— Spokojna głowa — odpowiedział tamten.

Dociskając właz, zaczął kleić izolacyjną taśmę, zasmarowywać szczeliny towotem.

Pułkownik i Marusia, stojąc tuż obok pancierza, słyszeli stłumione, ale wyraźne głosy z wnętrza czołgu.

— Mechanik gotów — meldował Saakaszwili.

— Gotów — westchnął Czereśniak.

Odpowiadając na apel, krótko szczechnął Szarik.

— U mnie, jak w trumnie. Porządek — zażartował Gustlik.

Saper stuknął trzykrotnie w wieżę i zlazł po gąsienicy.

— Wóz gotów — stwierdził Kos.

— Zatrzymanie pod wodą oznacza koniec. No i mój ładunek nie lubi wstrząsów — powoli mówił Pawłow. — Pora.

— Silnik w ruch.

Gwizdnął rozrusznik, zaszumiało koło zamachowe.

Pułkownik dotknął ramienia Marusi. Cofnęli się oboje pod ścianę, gdzie odpływowym rowem ciurkała sfalowana lekko woda.

— Oddaliście im to lekarstwo na mrówkach?

— Zapomniałam — spieszyła się i zakasłała.

— Mam nadzieję — rzekł oficer z uśmiechem — że to nie bardzo ważne.

Warknął silnik czołgu, chwilę dudnił na małych obrotach. Potem mechanik raz, drugi spróbował gazu i zapalił reflektory.

Powolutku wóz ruszył, przelazł usypisko i ostrożnie zaczął schodzić w ciemną, zda się, że gęstą wodę. Światło reflektorów kładło się na niej coraz bardziej poziomo, wreszcie zmętniało i przygasło zanurzone pod powierzchnię.

Pojedyncza fala idąca od lufy sięgnęła szponów orła na wieży. „*Rudy*” zniknął w mroku. Słyszeć było jeszcze równy, lecz coraz cichszy, coraz bardziej zdławiony pomruk silnika.

## ROZDZIAŁ 61. SZARIK POPEŁNIA BŁĄD

We wnętrzu szczelnie zamkniętego czołgu, którego jedynym otworem prowadzącym na zewnątrz jest rura wentylacyjna, inaczej brzmi silnik, inaczej słyszy się każdy odgłos. Zda się, że inaczej wyglądają twarze załogi, znane przecież lepiej niż własna. Inny, nieznajomy jest strach. To tak jak z chodzeniem po desce — jedna do przejścia po podłodze wystarczy, lecz jeśli wypadłoby iść na wysokości piątego piętra, to pięć wyda się pomostem zbyt wąskim, gdyż każde poślizgnięcie grozi upadkiem w przepaść.

To samo tutaj, wewnątrz idącego pod wodą czołgu. Jeśli nurek wykonał niedobrze pomiary, jeśli Pawłow omylił się obliczając szybkość odpływu i woda zaleje uchwyt lub też zaczepią o wystającą ze stropu belkę, to rozpędzony motor w ciągu paru sekund wysie powietrze i załoga zginie od podciśnienia, nim się zdąży udusić.

Wszystkie kąty wypełniają skrzynki i worki sapera, miejsca dla ludzi zostało niewiele. Światło od lamp podświetlających przyrządy i celowniki ledwo rozprasza mrok. Serca łomocą przyspieszonym rytmem. Wydaje się, że z każdą chwilą goręcej i duszniej.

Szarik siedzi obok mechanika i czując w powietrzu niepokój popiskuje cichutko. Przednie łapy mu drżą, a uszy położył po sobie.

Saakaszwili, napięty jak łuk, trwa z czołem przy wizjerze, za którym w osłabionym przez wodę świetle reflektora ledwo mającą najbliższe podkłady torowiska, czasem niczym groźny wąż błysnie zerwana szyna.

Tomasz również przykleił się do swego peryskopu — jeszcze przez chwilę widział na wodzie błyski dalekich światel, które zostawiali za sobą, a w górze zębrowanie betonowego sklepienia. Potem jedno, drugie chluśnięcie omyło szkła i zapadł mrok.

— Zalało — powiedział z lękiem.

— Pyto cię kto? — zamruczał Gustlik odrywając oczy od celownika i z nagłym zainteresowaniem począł oglądać własne dłonie.

Siedzący najwyżej Kos teraz dopiero zobaczył to samo, co przed chwilą Czereśniak, i zameldował Pawłowowi:

— Zanurzenie pełne.

— Wsio w normie. Czas się zgadza — odrzekł kapitan i cicho zaczął pogwizdywać narodzoną w czasie wojny melodię o ukraińskiej Wiśle: — Ech Dniepro, Dniepro, ty szypok, mogucz...

Zgrzytnęła gąsienica, rzuciło czołgiem. Saakaszwili skontrolował zmianę kierunku, wrócił na podkłady. Zamajaczyła mu szyna–przewodniczka. W tych paru sekundach spociał się, wargi mu zaschły.

Kapitan przez chwilę gwizdał trochę głośniejsz i wreszcie zawiadomił:

— Połowa drogi.

Zgrzytnęło, zaczepiła o strop rura wentylacyjna, drgnęła w osadzie nad głową Czereśniaka. Tomasz, słysząc zgrzyt, z lękiem spojrział w górę i wprost na piersi pod rozpięty kombinezon chlusnął mu wąski, twardy wąż wody.

— Cieknie, laboga!

— Pyto cię kto, kluku zatracony... — Gustlik przewinał się obok zamka armatniego, próbował szmatami uszczelnić przeciek.

Chwilę trwała ta beznadziejna zdawałoby się walka, ale niespodzianie strumień osłabł, przerwał się i tylko spóźnione krople kapały na twarz Tomasza.

— Początek wynurzenia — zameldował Kos.

Z ulgą obserwował w wizjerze, jak pojawia się koniec lufy, nasada działa, a po dłuższej chwili i przedni pancierz z włazem mechanika. Najpierw nad reflektorem rozlała się jasna plama, potem światło przebiło powierzchnię, skoczyło w głąb tunelu i wszyscy zobaczyli w nim przez peryskopy, że woda się kończy, a dalej leżą poskręcane szyny na resztkach opalonych bali, poniewierają się zmięte w ogniu blachy, poczerniałe od sadzy.

— Można? — spytał Jeleń.

— Otwieraj.

Szczęknął zamek, Gustlik napał na właz. Metal, szczelnie przyssany smarami, nie chciał odejść, ustąpił jednak pod drugim pchnięciem. Ślżak wyskoczył na pancierz z automatem w ręku.

— Stop — usłyszeli komendę Kosa.

„Rudy” zatrzymał się posłusznie. Miał jeszcze końce gąsienic w wodzie, ale cały stał już na brzegu, na zmoczonych falą podkładach.

Teraz wiele rzeczy poczęło się dziać jednocześnie i bez rozkazów, ale wedle z góry ustalonego planu. Gustlik hełmem osłonił światło reflektora od

przodu, by nie było widoczne zbyt daleko. Garścią pakuł starł smar z czołowego włazu, paroma szarpnięciami zerwał taśmę izolacyjną.

— Otwieraj.

Dla poparcia słów stuknął kolbą w pancierz, a kiedy właz odskoczył, gwizdnął cicho na psa. Razem z Szarikiem wybiegli w mrok tunelu, a za nimi, trochę spóźniony, popędził wielkimi susami Tomasz.

Janek z Grigorijem zrzucili rurę wentylacyjną wygiętą uderzeniem o strop, pozdejmowali kaptury z luf karabinów i armaty. Garściami pakuł ocierali tłustą izolację. Kończyli akurat i Kos niechętnie pomyślał, że jeszcze trzeba oczyścić właz awaryjny, kiedy ze zdziwieniem spostrzegł, że Pawłow wypęłza spod czołgu.

— Obywatelu kapitanie, nie trzeba było ruszać. Tam najbrudniejsza robota — rzekł z uznaniem w głosie.

— No to pomóżcie przy czystej. Wygruzajcie, jak leci, a ja będę układał.

Janek wszedł do czołgu, dźwigał skrzynie i worki na krawędź przedniego włazu. Saakaszwili odbierał, robił parę kroków i podawał saperowi, który układał je w sporej niszy ściennej, segregując po swojemu.

Gdzieś w głębi tunelu zgrzytnęła potracona blacha. Grigorij mocniej przysłonił światło, wysunął lufę pistoletu maszynowego ku przodowi i cofnąwszy się za gąsienicę patrzył uważnie. Najpierw pojawił się bezszelestnie Szarik, potem usłyszeli pospieszny tupot biegnącego.

— To ja — nawoływał cicho Tomasz i przystanąwszy, zameldował półgłosem: — Do rozjazdu nikogo, a potem w lewo, dalej ze sto sążni, Niemców jak mrówek. Plutonowy powiedział, że dopilnuje i że można pracować spokojnie.

— No to łap.

Saakaszwili podał mu kolejną skrzynkę i pewien czas linia wyładowujących pracowała rytmicznie w milczeniu. Potem mała przerwa, jeszcze dwie skrzynki i Kos, wychylony przez właz, zawiadomił: — Koniec.

Wszyscy trzej podeszli do kapitana, który świecąc sobie latarką liczył przedmioty, poszeptywał i na koniec powiedział głośno:

— Poriadok. Tank gotów?

Saakaszwili z Tomaszem bez słowa wrócili do czołgu, lecz Kos, zamiast odpowiedzieć na pytanie, wyjaśnił:

— W naszej załodze taki zwyczaj, że wszyscy znają całe zadanie.

Prawdę mówiąc, czuł się urażony. To on przecież poddał dowódcy pułku tę myśl, by zaatakować spod ziemi, i w dyskusji przekonywał pułkownika o zaletach rachunku nieprawdopodobieństwa, jak oficer ochrzcił jego argumenty. Potem, gdy załoga wypoczywała, inni opracowali plan szczegółowy i nikt go z nim nie zaznajomił.

Pawłow upychał po kieszeniach kostki trotylu, a potem, prostując się, spojrział uważnie na sierżanta.

— Chodźmy.

Zrobili kilkanaście kroków do przodu i kapitan zaczął opukiwać ściany — na wysokości metra od ziemi beton odpowiedział głucho, sygnalizując pustkę. Promień latarki prześliznął się po chropawej powierzchni, odnalazł szczerbę. Kiedyś zrobiono tu otwór, potem zalano cementem, ale plomba szerniała i spróchniała po brzegach.

— Stuknij.

Janek uderzył kolbą lekko, potem mocniej i kawał pociemniałego betonu wpadł do środka, odsłaniając owalny otwór. Pawłow poświecił do wnętrza, potem oddał latarkę Kosowi.

— Trzymaj.

W rękach saperów trotylowe kostki zgrabnie połączyły się jedna z drugą, zniknęła między nimi spłonka z ciemnym wąsem prochowego lontu. Kapitan zrobił zgrabne, skośne nacięcie. Błysnął płomień benzynowej maszyny, osadzonej w łusce naboju rusznicy przeciwpancernej. Zasyczała ścieżka prochowa wydmuchując wąską strużkę siwego dymu.

— Szarik, do nogi — rozkazał Kos.

Chciał biec, ale zrobiwszy dwa szybkie kroki zwolnił, gdyż spostrzegł, że kapitan idzie zupełnie spokojnie.

— Piętnaście sekund to kupa czasu — rzekł saper, a kiedy doszli do czołgu i stanęli pod osłoną pancerza, dodał głośniejszym głosem: — Nie wychylać się.

Minęła jeszcze chwila, potem oślepił ich błysk, sypnęło ostrym gradem betonowych odłamków.

— Chodźcie.

Kapitan podprowadził czołgistów do wyrwy w ścianie pachnącej jeszcze trotylem i dymiącej kurzem.

— Wasz dowódca przypomniawszy, że nie wyjaśniłem całości zadania — rzekł spokojnie i niczym nauczyciel przy tablicy zaczął tłumaczyć: —



Równoległe do tunelu biegnie kanał elektrycznych kabli. Można się nim przedostać i założyć ładunek. Silna eksplozja na tamtym końcu stacji i jednoczesny atak czołgu z tej strony powinny wykurzyć załogę. Jasne?

— Jasne — odpowiedział Saakaszwili z zadumany uśmiechem, bo zdawało mu się przez chwilę, że znowu są w komplecie — cała stara załoga.

Czereśniak kiwnął głową, że rozumie, i zaraz zapytał:

— Kto ma ten trotyl przynieść?

— Ja. Saperska robota — uśmiechnął się Pawłow.

— A jeśli... — zaczął Kos.

— Tak czy inaczej piechurzy pójdą do ataku o północy, więc i my musimy. Co jeszcze?

Janek spojrzał po twarzach swych podwładnych, chwilę wahał się, ale zrezygnował z dalszych pytań.

— Sprawdzę czołg — powiedział salutując.

Za nim ruszył Saakaszwili, a o dwa kroki w tyle — Tomasz.

Kapitan, zostawszy sam, zaczął pracować spokojnie i szybko, bez jednego niepotrzebnego ruchu. Do wąskiego brezentowego worka z długimi szelkami władował materiał wybuchowy. Pętlę na końcu zwoju cienkiej liny zamocował do wygiętego prętu zbrojenia.

Potem wśliznął się zręcznie przez wyłom i z końcówką sznura przywiązaną z tyłu do pasa, z szelkami ładunku na ramionach zaczął pełznąć, wlokąc za sobą podłużny wór. Kanał był prostokątny, dość wysoki, lecz wąski, i posuwanie się w nim wymagało dużej fizycznej sprawności. Przeszkadzały kable ułożone na hakach wbitych w ścianę.

Saakaszwili od czołgu widział sapera niknącego w betonowej ścianie, miał ochotę zobaczyć z bliska, jak on tam daje sobie radę.

— Poświeć! — zawołał Janek z wnętrza wozu, otwierając zamek działa i pochylając głowę.

Latarka w ręku Grigorija poruszyła się i spirala bruzd we wnętrzu lufy lekko zawirowała. Na ściankach ani śladu jakichkolwiek zanieczyszczeń. Kos trzasnął zamkiem i rzekł:

— Fajerant. Jakby trzeba, możemy zaczynać.

— Czas jeszcze — Saakaszwili spojrzał na zegar świecący z deski przyrządów. — Poluzujemy z Tomaszem gąsienice, bo na tych podkładach...

— Dobra. Zaraz wracam.

Janek podbiegł do wyrwy w murze. Patrzył, jak w równym, niespiesznym tempie odwija się linka z leżącego na ziemi kręgu. Sznur wpełzał w głąb, lecz nagle się zatrzymał. Kos czekał chwilę, zaglądał do wnętrza, ale widać było tylko niewyraźny i daleki błysk żółtawego światła.

— Utknął czy jak? — szepnął sam do siebie.

Wśliznął się do otworu, przymierzył i stwierdziwszy, że można pełznąć kanałem, wrócił na zewnątrz bardziej niespokojny niż przed chwilą. Być może przewody wychodzą przed stacją na zewnątrz albo Niemcy zrobili zasadzkę...

Nie, zasadzki nie było, lecz po prostu Pawłow dotarł do miejsca, w którym z zewnątrz przez nawiercony w betonie otwór wchodził nowy gruby kabel w metalowej osłonie. Zawieszony w połowie wysokości przewodził światło kanału tak bardzo, że nie było mowy, by człowiek mógł się precyzyjnie. Spróbował, czy nie można zrzucić go z haków, ale po chwili dał spokój — trzeba by było nożycami do drutów przecinać mocowanie i na każde dziesięć metrów drogi tracić co najmniej kwadrans. Pracując w tym tempie, zakończyć mógł robotę nie o północy, lecz na południe.

Pogwizdując przez zęby piosenkę o Dnieprze, saper chwilę się zastanawiał. Potem akrobatycznymi ruchami począł zmieniać położenie ciała, przekręcał się głową w przeciwną stronę, by łatwiej było wracać.

Tymczasem do Kosa stojącego przy otworze podszedł Gustlik szybkimi, skradającymi się krokami.

— Idą Niemcy w tę stronę? — spytał niespokojnie Janek.

— Nie — odpowiedział szeptem — ale za ścianą cosik chroboce i gwizda.

Zaabsorbowany obserwacją wnętrza, Kos machinalnie odpowiedział:

— Porucznik.

— Kto? — spytał Ślązak wytrzeszczając oczy i ocierając pot z czoła.

— Pawłow... Przepraszam — Kos położył mu rękę na ramieniu. — Podobny ten saper, może nawet nie tylko z twarzy.

Usłyszeli szelest i ciężki oddech zmęczonego człowieka. W chwilę później wypełznął kapitan. Nie mówiąc ani słowa, oparł się plecami o betonową ścianę i siadł zmordowany.

— Pierwsza porcja założona? — spytał Kos.

Zamiast odpowiedzi oficer pociągnął za szelki i z otworu wysunął się podłużny brezentowy worek z trotylem.

— Przełazu nie ma — domyślił się Gustlik.

Pawłow kiwnął głową, otarł twarz rękawem.

— Załoga! — wezwał Janek.

Obaj podbiegli natychmiast i Saakaszwili zameldował:

— Okręt podwodny „Rudy” gotów do działań naziemnych.

— Podziemnych — poprawił Gustlik ponuro.

— Staniesz na warcie — rozkazał Kos Czereśniakowi. — W tym miejscu...

— Wiem. Przy zwrotnicy, gdzie się te jamy w dwie strony rozchodzą, gdzie z plutonowym chodziłem.

Wziął dwa zapasowe magazynki od Gruzina, wetknął je za cholewę, gdzie miał już po jednym swoim, i ruszył w ciemność.

Trochę mu było żal, że został na wartę posłany akurat w takiej chwili, ale jasne, że ktoś powinien ubezpieczać. Może nawet i dobrze, że na niego padło, bo z twarzy sierżanta Kosa wyczytał niedobre. Coś się nie udało, radzić będą i mało by im się przydał. W polu — co innego, a tutaj w tych ogromnych piwnicach, które ludzie jak krety wyryli pod ziemią, czuł się nieswojo. Pomyśleć tylko, że ponad głową domy pobudowane i że to wszystko mogłoby się zawalić...

Stanąwszy na warcie koło zwrotnicy szybko się znudził. Poziewując liczył guziki munduru i owalne otwory w osłonie lufy. Zaczął nawet dłużyć przy szynach, a wreszcie, dobywszy z kieszeni francuski klucz, odkręcił sporą mutrę, zważył w rękę i schował — tak na oko wyglądało, że w sam raz do wozu.

Tylko patrzeć, jak wojna się skończy i można będzie do roboty wrócić. Ojciec dobrze pomyślał, że jak już trzeba wojować, to lepiej, żeby z mądrymi i dobrymi ludźmi, jak na ten przykład sierżant Kos, jak Gustlik i Grześ. Takim to i ze swego oddać nie żal. A jeszcze lepiej, jakby jaka rzecz się trafiła piękna wśród wojennej zdobyczy, a w gospodarce niepotrzebna. Miło się własnej załodze przysłużyć i warto w takiej sprawie drogi nałożyć, a może nawet i głowy nadstawić...

Przed sobą miał rozjazd i dwa tunele. W jednym, zagiętym łukiem na lewo, widać było w oddali mdłe światła, czasem udawało się spostrzec sylwetkę człowieka chodzącego po torach. Dobiegał gwar podobny do szumu rozbudzonego ulla. Czasami można było usłyszeć przytłumione huki — echo

wybuchów z powierzchni ziemi — albo bliższy, ostrzejszy terkot serii z broni maszynowej.

Tunel wiodący na wprost był mroczny, ale nagle błysnęło w nim światło, zakołysała się latarka ręczna. Czereśniak szybko przypadł do ziemi i osłonięty wajchą znieruchomiał z pepeszą gotową do strzału.

Światło było coraz bliższe, słyszał już chrzęst kilku par butów. Jeszcze chwila i zobaczył kolumnienkę sześciu Niemców, schylonych pod ciężkimi wypchanymi plecakami, którzy maszerowali za podoficerem. Doszedłszy do rozwidlenia skręcili w stronę stacji. Tomasz w rozkołysanym świetle latarki dostrzegł wyraźnie, że niosą żywność: brązowiały bochenki chleba pod pachami, z nadprutego plecaka wystawały kiełbasy i puszki konserw. Poprzez smród smarów i metalu idący od toru zapachniało nawet czymś wędzonym — rybą czy mięsem.

Kiedy drużyna aprowizacyjna oddaliła się na przyzwoitą odległość, Czereśniak wstał. Rad był, że nie musiał strzelać do ludzi niosących pożywienie. Zresztą to pewno ku lepszemu się obróci, bo nam przecież zależy, żeby przed czasem nikt nie wiedział, że tu ktoś obcy się zakradł. Stał jeszcze chwilę na miejscu, ale myśl, skąd tamci wzięli tyle dobra, nie dawała mu spokoju. Coraz częściej przełykał ślinę, grdyka chodziła mu w dół i w górę.

Wyjął z kieszeni owinięty w chustkę suchar, nadgryzł i żuł powoli, żeby na dłużej starczyło. W parę sekund potem schował jednak kromkę i kocim, miękkim krokiem ruszył w głąb tunelu prowadzącego na wprost.

Nie musiał nawet iść daleko. Sto metrów od rozjazdu przesłaniały tunel jakieś grube szmaty pozawieszane u sufitu, a za nimi mrok gęstniał jakby przed świtem. Jeszcze kilkadziesiąt kroków i zobaczył na lewej ścianie potężne drzwi stalowe, rozsunięte nieco na rolkach. Za nimi czerniała gruba krata. Zza kraty sączyło się mętne światło żarówek, ledwo rozżarzonych przez wyczerpane akumulatory.

Światła wystarczało jednak, by spostrzec wartownika, przygarbionego żołnierza z bagnetem na karabinie, który spacerował rytmicznie dwadzieścia kroków w jedną i dwadzieścia w drugą stronę. Nad wejściem do składu szarzał napis z wielkich białych liter. Tomasz próbował przeczytać, ale szybko zrezygnował z tego nieproduktywnego zajęcia. Naprzeciw napisu stała na torze drezyna, niewielka platforma z ręcznym napędem, na której kiedyś

wożono zapewne części zapasowe do remontu torów czy przewodów elektrycznych.

Wartownik, doszedłszy końca swej drogi, zawrócił. Za jego plecami oderwał się od ściany tunelu bezszelestny cień, przemknął bliżej i znikł w mroku niszy, jednej z tych, które co kilkanaście metrów rozmieszczone były wzdłuż toru.

Tak stało się raz i drugi, a za trzecim Czereśniak postanowił pokonać resztę odległości. Przygięty, sprężony jak ryś do skoku pędził wielkimi susami. Na swe nieszczęście potracił kawał blachy i spłoszony wartownik odwrócił się wcześniej, tuż za smugą światła padającego ze składu.

Brakło mu czasu, by podnieść karabin do strzału, ale znając wojskowe rzemiosło przysiadł w postawie szermierczej, sprężył mięśnie i wyprowadził pchnięcie z wypadem. Czereśniak ledwo przyhamował i odskoczył. Ostrze bagnetu minęło jego brzuch o centymetry.

Ułamek sekundy patrzyli na siebie. Tomasz nie chciał strzelać, a z automatem w ręku niewiele mógł zdziałać. Użył prostego fortelu: spojrzawszy za plecy wartownika, kiwnął głową i zrobił ruch, jakby drugiemu wskazywał, że ma atakować od tyłu.

Niemiec ćwierćobrotem osłonił sobie plecy stalowymi drzwiami, zerknął do tyłu i w tym momencie Czereśniak, odbiwszy w bok lufę karabinu, skoczył do zwarcia. Przechwyciwszy oburącz pepeszę, uderzył zamkiem. Wartownik padł na wznak, głową w cień.

Tomasz rozejrzał się, nasłuchiwał — cisza. Podeszedł do kraty i spytał, ukryty jeszcze za stalową blachą drzwi:

— Jest tam kto?

Cisza.

Obejrzał wielką kłódkę i podrapał się w głowę — ani otworzyć, ani rozbić. Wsunął rękę i obmacał zamocowanie skobli. Palcami odczytywał kształt jednej nakrętki, drugiej. Druga była z koronką i szpilką, ale to go nie speszyło. Przy pomocy noża odgiął i wyciągnął zatyczkę, a potem dopasował swój francuski klucz do nakrętki, chwycił i cierpliwie począł odkręcać, wciąż uśmiechając się do siebie i popatrując w obie strony.

Wyglądało na to, że jak się szybko uwinie, to będzie mógł zrobić prezent załodze. Sierżant Kos to może tak bardzo się nie ucieszy, ale Gustlik na pewno.

Kiedy Tomasz, wetknąwszy za cholewę dwa zapasowe magazynki do pistoletu maszynowego, ruszył w stronę rozjazdu, Kos zerknął na zegarek kapitana i zaproponował:

— Siadajcie, będziemy radzić.

Ulokował się na podkładzie naprzeciw Pawłowa. Grigorij i Gustlik przycupnęli na skrzynce po trotylu. Szarik przysiadł obok dowódcy, szczerknął krótko.

— Tak, naturalnie, ty też — zgodził się sierżant.

Pies przysunął mordę do jego ucha, pomrukiwał i powarkiwał cichutko, jakby tłumaczył rzecz skomplikowaną, a ważną.

— Czekaj, no czekaj, dzwońcu. Zaraz się wszystko wyjaśni.

Janek potrząsnął głową, zaświdrował palcem w ucho, bo go załaskotało od tych psich szeptów, i zwrócił się do sapersa:

— Jak daleko stąd do miejsca, gdzie trzeba założyć minę? Choćby mniej więcej...

— Dokładnie: trzysta czterdzieści metrów. Można odczytać z sygnałów przeznaczonych dla maszynistów podjeżdżających do stacji.

— Trza by zdobyć niemiecki mundur, wziąć worek na plecy... — zaproponował Gustlik.

— A wrócisz jak? — spytał Saakaszwili. — W proszku?

— Jeśli w ogóle dojdiesz... — rzekł Kos.

Po chwili milczenia zabrał głos kapitan:

— Trzeba się jednak zdecydować na ryzyko. Każdy, kto przesłania sobą strzelnicę bunkra albo idzie na taran samolotem, wie, że nie wróci, a tutaj jest jednak pewna szansa, choć bardzo niewielka.

— Pójdę, pierona. Najwięcej z was udźwignę.

— Nie pójdiesz — uciał Pawłow.

— A co, kto mi zakaze? — porywczo odrzekł Jeleń, zaczynając wstawać.

— Ja dowodzę i pójdę. Saperska robota.

— Nie — energicznie wtrącił Kos, podobnie jak przed chwilą kapitan.

Spojrzał na Szarika, pogłaskał go po łbie. Pies pomrukiwał i grzebał przednią łapą, jak koń tęskniący do biegu.

Szarik naturalnie nie rozumiał, o czym dyskutowano podczas narady. Natura nie dała mu umiejętności pojmowania mowy, lecz za to wyposażyła w węch, pozwalający odróżniać najlżejsze odcienie zapachu, i w słuch, notujący bezbłędnie zabarwienie uczuciowe każdego słowa. Od dłuższej chwili odgadywał już, że tutaj właśnie, w tej wielkiej norze, narasta zdenerwowanie najbliższych mu osób. Bardzo chciał im pomóc i coraz niecierpliwiej czekał, że Janek przetłumaczy bojowe zadanie na język zrozumiałych komend.

Dawno, dawno temu zdarzyło się coś podobnego — była noc, nikły zapach fajkowego tytoniu na dnie hełmofonu i Janek go prosił o znalezienie właściciela tego zapachu. Był długi bieg przez mrok, walka, ból rozciętej skóry, a potem ogromna radość, która go wypełniła od czubka nosa po najdłuższy włos na końcu ogona... Szarik przypomina to sobie jak przez mgłę, gdyż dziewięć miesięcy w życiu psa to mniej więcej pięć lat w przetłumaczeniu na ludzkie życie.

Tym razem jednak zadanie okazuje się prostsze. Chodzi o to, by na komendę ciągnąć dość ciężki ładunek i na komendę go rzucić, a potem szybko wracać do Janka po pochwałę. Tak myśli Szarik, idąc powoli, a w zębach, niczym wędzidło, trzyma szelki. Mocno wpierając łapy w beton, wlecze brezentowy worek saperski. Do obroży ma przywiązaną linkę. Równocześnie z szarpnięciem pada komenda:

— Stój!

Rozumie to słowo doskonale, więc zatrzymuje się, czeka.

— Połóż — równocześnie z rozkazem drga szarpnięta trzykrotnie linka. Wilczur wypluwa szelki, zawraca i biegnie do Janka.

— Masz, masz nagrodę — Kos podaje mu na dłoni kawałek konserwowego mięsa, głaszcze i drapie za uszami. — Jeszcze raz, ale teraz bądź mądry. Będziesz?

Szczeknięcie oznacza zapewne, że tak. Szarik chętnie chwyta w zęby szelki nowego ładunku, wlecze z uporem aż do chwili, w której, już bez komendy Kosa, szarpnięcie linki sygnalizuje, że ma stanąć, a potem trzykrotnie, że ma zostawić worek i wracać.

— Dobry, dobry pies — Kos potrząsnął łbem wilczura opierającego łapy na jego piersi i zdecydował: — Zaczynamy.

Zachęcony gestem sierżanta Szarik wskoczył przez wyłom do kanału, wziął w zęby szelki i spojrzał mądrymi ślepiami, jak gdyby pytał, czy już można ruszać.

— Naprzód — rozkazał Kos.

— W dobry czas — dodał kapitan.

Wszyscy czterej patrzyli w ciszy na unoszące się i niknące w wyrwie coraz to nowe kręgi sznura.

— Całego trotylu nie zdąży — rzekł Pawłow — ale tego, co potrafi przetargać, powinno wystarczyć.

Wlokąc w mroku kanału swój ładunek, Szarik początkowo słyszał jeszcze za sobą rozmowę Janka z saperem, a potem już tylko szelest brezentu po betonie. Nie przejął się, kiedy dotarł do węższego miejsca, gdyż jemu nie przeszkadzał gruby jak ramię kabel w metalowym pancerzu. Czasem tylko musiał trochę łeb w prawo odchyłać.

Na początku drogi było ciemno, a potem coraz jaśniej, coraz jaskrawsze błyski zapalały się w ślepiach psa. Do kanału przenikało światło i gwar.

Nastawił uszy, zwolnił nieco. Zapach był wrogi. Wiedział jednak, że póki sznur nie drgnie, nie wolno mu stanąć ani zawrócić. Napotkał nieregularną wyrwę w ścianie, ostrożnie przez nią wyjrzał.

Cały dworzec podziemny zajęty był przez żołnierzy w hełmach. Siedzieli na ławkach, na peronie, na szynach. Niektórzy, leżąc, próbowali drzemać, ale co chwilę budziły ich ostre, skrzekliwe komendy oficerów. Jakiś oddział się zerwał i poprawiając oporządzenie, ruszył ku wyjściu.

Wiedział, że to przeciwnik. Rozumiał, że nie może się zdradzić. Wyszczerył bezgłośnie zęby, cofnął się pół kroku i przyległszy na dnie kanału, zaczął pełznąć przez niebezpieczny odcinek. Tak było znacznie ciężiej i trudniej, ale na szczęście wyrwa się zaraz skończyła i można było wędrować dalej normalnie — na czworakach.

Teraz już bardzo szybko przyszedł sygnał — ostre szarpnięcie linki, a w chwilę potem jeszcze trzy.

Ułożywszy worek na dnie, Szarik zawrócił i pospiesznie ruszył z powrotem. Równocześnie z nim zaczęła przodem pełznąć linka, wybierana łagodnie w miarę luzowania, i to było przyjemne i wesołe. Musiał się powstrzymać od szczeniackiej chęci przydeptywania łapą i chwytania zębami.



Wrócił zgrzany, zmachany i radosny, ale to nie był koniec. Bez trudu pojął, że musi iść jeszcze raz i zrobić to samo. Poszedł więc, wrócił, lecz i tym razem Janek nie dał mu odpocząć dłużej niż kilka sekund.

— Naprzód, naprzód! — rozkazywał i prosił.

Gdyby można było uprzedzić wilczura i wytłumaczyć mu, że pracy będzie dużo, że powinien rozłożyć siły... Niestety. Nikt tego nie potrafił i Szarik w każdy rejs wkładał tyle sił, jakby to miał być ostatni. Nie umiał liczyć, a więc nie wiedział, za którym razem przytrafiła mu się paskudna przygoda.

Bardzo już zmęczony przyciągnął nowy ładunek do paru przetransportowanych poprzednio i wypluwszy szelki przyległ, ciężko dysząc. Wysiłkiem woli dźwignął po chwili nieposłuszną głowę, z trudem zawrócił w ciasnym kanale i ruszył z powrotem.

Pełznąc, minął niebezpieczną wyrwę, podreptał dalej, ale w pewnej chwili ślepie mu zmętniały, zatoczył się, oparł o kable i zaczepił obrozą o hak.

Wybierana linka naprężyła się, ale zaraz potem poluzowała. Ten, kto trzymał jej koniec, zrozumiał, że się coś stało. Wilczur chwilę jeszcze dyszał z opuszczoną głową, ciało jego zwisało w obroży nadzianej na hak. Potem zebrał siły i zaczął podskakiwać, drapiąc przednimi łapami o beton. Nie udało się za pierwszym razem ani za dziesiątym, lecz wreszcie pasek spełznął z haka.

Kiedy jednak dotarł na start i wyskoczył z wyrwy, zawiodły go siły, podgięły się przednie łapy. Upadł, nie miał siły wstać, leżał ciężko dysząc.

— Koniec. Ile mógł, tyle zrobił — stwierdził Kos.

— Jeszcze raz — odrzekł saper. — Musi przecież zanieść zapalnik.

— Niech odpocznie — poprosi! Janek patrząc na psa.

— Ryzyko. Chodzi coraz wolniej, ostatnie dwa razy przystawał — kapitan zerknął na zegarek. — Zgodnie z umową, jeśli nas nie usłyszą do północy, to i tak ruszą do ataku. Wielu dobrych żołnierzy zginie na parę godzin przed końcem, nie dożyje zwycięstwa.

— Na człowieka sposobów wiele — filozoficznie zauważył Saakaszwili. — Można groźbą, można prośbą. Można po komsomolskiej, po partyjnej linii, można naukowo i uczuciowo, ale jak sobace przetłumaczyć?

Kapitan cały czas patrzył na zegarek, a Kos na przemian na cyferblat i na twarz Pawłowa.

— Wolałbym na własnych plecach... Już teraz musi?

Saper kiwnął głową i zważywszy w rękach niewielki podłużny przedmiot, wyjaśnił:

— Chemiczny. Obrotem śruby nakłuwa się zbiornik, kwas zaczyna wyciekać kroplami, stopniowo przeżera metalową płytkę dzielącą dwa detonujące płyny. Dla pewności wsunąłem obok dwie laski trotylu.

— Cholera niech to weźmie — zaklął Janek i rozgniewany, że raz jeszcze musi wysłać śmiertelnie zmęczone zwierzę, wymówił ostro jego imię: — Szarik!

Wilczur leżał nieruchomo.

— Szarik!

Uchylił oko, poruszył łapą i usprawiedliwiająco zaskomlął.

— Pierona, jo na to nie chcę patrzeć — mruknął Gustlik.

Odszedł w stronę czołgu, a za nim ze spuszczoną głową Saakaszwili.

Kos siadł i ukrył twarz w dłoniach. Chwilę trwała cisza, lecz pies otworzył oko i dostrzegł zmartwienie swego pana. Zebrał wszystkie siły, dźwignął się, podpełznął. Głucho jęknąwszy stanął na chwiejnych nogach i polizał go w rękę, cicho powarkując.

— Martwię się, piesku — wyjaśnił Janek — bo wiem, jak ci trudno, a iść musisz. Musisz. Zrób to dla mnie.

Pokazał gestem, pomógł wilczurowi wleźć do kanału.

Pawłow przekręcił śrubę, wsunął zapalnik w brezentowy woreczek i powiedział:

— Śmierć już kapie.

Kos ostrożnie wziął pakunek w dłoń, zważył w palcach, trzymał chwilę wygładzając brezent, a potem podał psu, który powąchał, poznał zapach swego pana i delikatnie zacisnął zęby na paskach.

— Naprzód, stary — poprosił Janek.

Wilczur lekko zakołysał ogonem i raz jeszcze ruszył w drogę. Czuł ból w mięśniach i klucie w piersi. Ciemniej teraz było w kanale niż poprzednio, mgła zasnuwała czarne węże kabli. Co pewien czas mrok gęsty spadał mu na oczy i kilka czy kilkanaście kroków szedł jak ślepiec, wymacując łapami dno. Łeb niósł nisko, bojąc się zaczepić po raz wtóry o hak. Pamiętał głos Janka, wiedział, że dojść musi, i doszedł.

Doszedł tam, gdzie w ciasnym kanale obok przewodów elektrycznych piętrzyły się brezentowe podłużne worki, przywarte ciasno jeden do drugiego. Na środku składu tych piekielnych kiełbas legł i ledwie dyszał. Tracił i odzyskiwał przytomność. Starczyło mu sił, by dopełznąć i położyć woreczek z zapalnikami, ale brakło na powrót.

Trzykrotnie drgnął sznur. Potem linka leżała nieruchomo, napięta się i trafiwszy na opór znowu osłabła.

Trzy następne mocne szarpnięcia zbudziły Szarika z omdlenia. Podniósł powieki, dźwignął łeb, usiłował stanąć na nogi, ale trotylowe worki i kable kołysały mu się w ślepiach na lewo i prawo, a wreszcie zaczęły wirować młyńcem. Upadł znowu.

Tuż przed nosem leżał zapalnik w torbie, która przeszła zapachem rąk jego pana. W uszach wilczura brzmiał jeszcze jego głos proszący i nakazujący: „*Zrób to dla mnie. Naprzód, stary*”. Słowa w psiej pamięci były niewyraźne, prawie nie do rozróżnienia, ale zachowały barwę głosu, intonację i rytm. Jeszcze raz wilczur sprężył mięśnie i wstał. Machinalnie wziął w zęby leżący przed nosem zapalnik i zawróciwszy, pobiegł z powrotem.



## ROZDZIAŁ 62. SZTURM

Nie należy pić herbaty chochlą ani też dzielić zupy z kotła łyżeczką do herbaty — każda z nich ma odrębne zadania. Podobnie na wojnie: broń winna być stosowana zgodnie z jej przeznaczeniem. Karabiny maszynowe mogą prowadzić skuteczny ogień na tysiąc metrów, lecz lepiej jeśli spotkają wroga niespodzianymi seriami z odległości sześciuset metrów. Z tego samego dystansu zaczynają strzelać snajperzy, z czterystu metrów karabiny, a z dwustu — pistolety maszynowe. Czy jest w takim razie rzeczą rozsądną strzelać z armaty na odległość stu metrów?

Wszystko zależy od okoliczności. Życie jest bogatsze niż nasza wyobraźnia i nie sposób w regulaminach czy w instrukcjach strzelania przewidzieć wszystkich sytuacji. Nigdzie nie napisano, jak ma działać czołg w zatopionym tunelu metra. Nikt również nie ustalił wytycznych prowadzenia ognia artyleryjskiego z wysokich pięter.

— Razem... chyć! — komenderował ściszym głosem młody porucznik. — Uwaga, teraz w górę, hej... raz!

Dwudziestu kanonierów jak mrówki oblepiło niewielki przedmiot. Dźwignęli z trudem na ramiona haubiczną lufę.

— Wy ruszacie lewą, wy z prawej nogi — pokazał żołnierzom obu rzędów. — Naprzód... marsz! Raz — dwa, raz — dwa...

Niezgrabna ludzka czterdziestonoga powoli ruszyła z dziedzińca do sieni, zaczęła pełznąć w górę po schodach.

— Raz — dwa, raz — dwa — coraz wyżej słychać było głos porucznika.

Całą tę scenę obserwował dowódca haubicznej brygady. Odwrócił się słysząc kroki paru ludzi i głośny meldunek niedaleko od siebie.

— Obywatelu pułkowniku, grupa szturmowa plutonu żandarmerii gotowa do ataku.

— Ciszej tam! — zawołał artylerzysta.

— Cześć — powitał go dowódca pułku. — Czemu na moich krzyczysz?

— Żeby się nie darli. Fryce po drugiej stronie ulicy, a kanonierzy lufę windują. Spokój im potrzebny.

— Wysoko?

— Całą baterię na piąte piętro.

— Uderzymy z powietrza, z ziemi i spod ziemi.

— Nie myślałem, że będę miał stanowiska ogniowe na strychu.

— A myślałeś, że pukawki doprowadzisz pod Reichstag na jedną trzecią zasięgu haubic?

— Stamtąd go widać — pokazał artylerzysta w stronę piątego piętra — a bardziej w prawo Siegessäule i Bramę Brandenburską. Od pożarów jasno. Chcesz zobaczyć?

— Prowadź.

Kiedy weszli do sieni, zastąpił im drogę sierżant w hełmie rzucającym cień na twarz.

— Obywatelu pułkowniku, grupa szturmowa sierżanta Szawełły...

— Gotowa do ataku — dopowiedział dowódca pułku. — To wiem, ale jedenasta dawno minęła i nic. Cisza... Sanitariuszka, chodźcie tu bliżej — wypatrzył w cieniu postać Marusi. — Ten wasz chłopak zawsze taki powolny? Kto pierwszy powiedział, że kocha?

Na sekundę zapadła cisza, podkreślona bliską serią z automatu, a potem Ogoniok odpowiedziała uczciwie:

— Ja.

— No właśnie.

— Ale na nich można polegać — dodała szybko dziewczyna. — Załoga zrobi wszystko, a może nawet więcej, jeśli tylko przez wodę...

— Zobaczymy.

Ogoniok z Szawełłą cofnęli się do parterowego pokoju z zamurowanymi od strony ulicy oknami, w którym zgromadzona była grupa szturmowa. Wszyscy z cieniami na twarzy od hełmów, z granatami za pasem.

Dwu żołnierzy z miotaczem ognia, ubranych w stalowe półpancerze i azbestowe kaptury, siedziało daleko od reszty.

— Co tak na boku? — zagadnął sierżant.

— Żeby od palaczy dalej.

W drugim kącie, obok Zubryka, Wichury i Łażewskiego, młody Szawełło przygotował wygodne miejsce, układając wałki z kanapy pod ścianą.

— Czemu tak jest? — Ogoniok zwróciła się do Konstantego, gdy tylko siedli: — Nie masz nikogo, serce boli. A kiedy masz, jeszcze bardziej.

- Bo świat zrobiony głupio — stwierdził Wichura.
- Na to serce, żeby czasem bolało — odpowiedział Konstanty.
- Która godzina? — zaniepokoiła się Ogoniok.
- Trzy na dwunastą — pospieszył z odpowiedzią Józek.
- Za piętnaście północ — uzupełnił Zubryk.
- Powinni już...

— Co powinni, to zrobiamy — Łażewski przerwał ostro dziewczynie, a po chwili, spojrzawszy na nią, dodał: — No, co ty? Zupełnie jak moja siostra — urwał i odwrócił głowę, bo go zabolalo wspomnienie.

— Najbliższy na świecie — ocierając łzy szepnęła Marusia do Konstantego. — Jeśli cało spod ziemi wyjdzie, to do swojej wioski nie wrócę, z nim zostanę na zawsze. Żeby tylko...

— Nie ma się co nerwować — rzekł Szawełło i zmienił temat, żeby czas szybciej mijał: — Ot, my z Józkiem też do Starych Świącian nie wrócimy. Los, jak powiadają, dziejowy. Byli na jednej granicy, a teraz na drugiej osadę trzeba brać. Jego pięć, moje pięć i jeszcze pięć za Krzyż Walecznych. Razem piętnaście hektarów pod siew, a jakby jeszcze młyn, choć i nieduży... Tylko wody takiej jak u nas i lasu, to już nigdzie na świecie nie ma.

Na klatce schodowej zatupotały buty biegnących żołnierzy. Wichura wyskoczył na rozpoznanie.

— Cześć, druciarz! — przytrzymał za ramię jednego ze szpulą kabla na plecach. — Dokąd?

— Puść — szarpnął się telefonista i zobaczywszy kaprałskie belki, dodał: — Na strych ciągniemy, dla Starego.

Ruszył po schodach i dobiegł w samą porę, żeby nie dostać bury od drużynowego.

— Minuta została — mówił akurat dowódca pułku, patrząc na zegarek. — Skomplikowane manewry udają się rzadko — westchnął lekko.

— Brygada... — pułkownik artylerzysta rozkazał do mikrofonu — załadować, zameldować.

W telefonicznej słuchawce szemrały odpowiadające mu głosy, a obok piechur mówił trzymając lornetkę przy oczach:

- Trudno, sami musimy zaczynać.

W kręgu szkielec, poznaczonych kreskami i krzyżykami podziałki w tysięcznych, widział oświetlone blaskami pożaru ruiny domów i resztki

budynku stacyjnego. Z dużego szyldu zachowała się część z czarnymi wyraźnymi literami na białym tle. Odczytał dwa czy trzy razy ten kaleki napis: U-BAHNH...

A więc nie doszli. Nie można o to mieć do nich pretensji. Wiedział przecież, iż opiera plan na rachunku nieprawdopodobieństwa. Pora już na otwarcie ognia. Artylerzysta niepotrzebnie zwleka.

Czarne prostokąty stacyjnych wyjść pojaśniały nagle, eksplozja wydmuchnęła z nich kłęby kurzu i dymu, jak z kraterów wulkanu.

— Doszli — szepnął radośnie.

Na punkt obserwacyjny dobiegł przeciągły grzmot wybuchu i dalsze słowa trzeba było wykrzykiwać pełnym głosem:

— Zaczynaj!

— Brygada salwą ognia! — rozkazał artylerzysta do mikrofonu.

Rozległy się okrągłe, dźwięczne huki wystrzałów, jakby kartofle padały na blaszaną wagę z rozprutego worka, a w chwilę później plac wokół dworca pokryły błyski i grzmoty, przerastające w ciągły ryk.

Na parterze nie widzieli błysku, ale gdy tylko drgnęła ziemia i w świetle kaganka zawirował kurz, skoczyli do okien. Wichura i młody Szawełło raz po raz walili łomami w nadkruszone cegły. Nie minęła minuta, jak rzucili narzędzia i ciężko dysząc cofnęli się pod ścianę. Zamurowane jeszcze przed chwilą okna stały się teraz bramami wypadowymi dla grupy szturmowej.

Żołnierze gęsto stanęli w rzędzie pod murem, ściskając broń w dłoniach, gotowi do skoku na pierwszy znak.

Zubryk ocierał twarz i szyję z potu wyjętym z kieszeni ręcznikiem.

— Masz? — spytał Wichura, uzupełniając słowa gestem.

Kapral dobył z kieszeni płaską flaszkę i podał nie odwracając głowy. Felczer odkręcił korek drżącymi palcami.

— Co robić, psiakrew — zwierzał się — kiedy ja strzałów nie lubię, po prostu nie znoszę.

Odchyliwszy głowę do tyłu pociągnął solidnie.

Stary Szawełło był wśród nich najbardziej spokojny i tylko półgłosem mówił modlitwę:

Panno święta, Ojca, który kule nosi, zechciej dzisiaj miłosierdzia prosić...



Łażewski tuż obok wybitego w murze otworu dopalał papierosa. Chował ogień w dłoni i patrzył na sierżanta z sympatią.

Marusia ze swego miejsca na końcu szeregu przepchnęła się do samego przodu, żeby podchorążego zapytać:

— Najpierw był wybuch, artyleria potem?

— Potem.

— Znaczący, że nasi zaczęli.

— Nasi, Ogoniok. Chciałbym tam być — rzekł Daniel i pomyślał, że cieszyć się jeszcze wcześniej, bo wybuch nie odróżnia swoich od obcych i mógł być ostatnim dźwiękiem w życiu załogi „*Rudego*”.

— Tak ono i było, panienko — tłumaczył Józek. — Jak tylko błysnęło, stryj powiedział: „*Rudy*”...

Niewiele myśląc, Ogoniok z wielkiej radości pocałowała młodego Szawelę w policzek i zawołała:

— Doszli nasi, doszli!

Zakręciło się Józkowi w głowie ze szczęścia, poczerwieniał, a że kwiatów nigdzie blisko nie było, wybrał jeden z zawieszonych na pasie granatów.

— Panno Marysiu — podał dziewczynie — panienka weźmie. Ze wszystkich, co mam, ten najładniejszy.

Ogoniok zważyła granat w dłoni i uśmiechnęła się serdecznie.

— Do szturm, gotuj się! — śpiewnie, z wileńska zawołał sierżant Szawelę.

W tym czasie, gdy artylerzyści haubicznej brygady wnosili na piąte piętro rozebrane na części stodwudziestkidwójki, najcięższe ładunki, jakie kiedykolwiek dźwigali, Janek Kos przeżywał najtrudniejsze minuty w życiu. Linka przywiązana do obroży Szarika wciąż jeszcze stawiała opór, więc musiało się stać coś nieprzewidzianego. Wilczur mógł się zaplątać lub zemdleć, a zapalnik przecież działał i nic już nie było w stanie zapobiec eksplozji. Musiała nastąpić równie nieubłagane, jak noc po dniu czy dzień po nocy.

Przełykając łzy napływające mu do gardła powiedział do Pawłowa:

— To przyjdzie od razu. Nie będzie się męczył.

I wtenczas właśnie, gdy stracił nadzieję, poczuł, że sznur poluzował. Spróbował go wybierać. Poszedł. Poszedł równo i szybko.

— Maładziec pios — stwierdził kapitan.

— Zasłabł. Musiał odpocząć — mówił Kos, układając linkę kręgami na ziemi. — Chłopaki! — wołał radośnie w stronę czołgu — skocz który do przodu, żeby Tomasza ściągnąć. Zaraz ruszamy.

Pierwszy wyskoczył i pobiegł Saakaszwili.

— Ze sto kilogramów dobrego trotylu zostało — burczał kapitan, udając niezadowolonego.

— Ważne, że tam rąbnie. Za ile?

— Mniej więcej osiem minut.

Zaszurały w kanale lekkie kroki, z wyrwy w murze wyskoczył Szarik. Utrzymał się na nogach i dumny z wykonanego zadania zamachał ogonem, podając swemu panu torbę z zapalnikiem.

— Cholera... — powiedział Janek i odruchowo cofnął rękę.

— Zabierz mu — rozkazał kapitan.

Pogwizdując przez zęby swoją piosenkę, wziął z rąk Kosa zapalnik, podszedł do brzegu zalanego tunelu i rzucił torbę możliwie daleko w wodę.

— Zmywajmy się — rzekł do Kosa — cała robota na nic.

Janek na rękach niósł psa do czołgu, podał go Gustlikowi, przez właz mechanika.

— Dużo zrobił — usprawiedliwiał Szarika. — Tylko na końcu mu się pomyliło.

— Każdemu się może pomylić — odpowiedział Pawłow — ale wybuchu nie będzie.

Zdyszany nadbiegł Saakaszwili.

— Tomasz idzie? — spytał Kos.

— Jedzie.

— Na czym?

— Nie wiem, jak po polsku...

Stukając lekko na stykach szyn, nadjechała dreżyna. Tomasz kiwał się nad napędowymi dźwigniami, zahamował tuż przed czołgiem i ze szczęśliwym uśmiechem na twarzy pokazał stertę żywnościowych zapasów, ułożonych na wózku.

— Zwalimy? — spytał Gustlik i nachylił się, by chwycić za burtę.

— Jasne — przytwierdził Grigorij. — Drogę tarasuje.

Czereśniak sądząc, że powariowali, skoczył naprzeciw z rozkrzyżowanymi ramionami.

— Czekajcie! — krzyknął Kos i zwrócił się do kapitana, wskazując na niewykorzystany materiał wybuchowy pod ścianą. — Od armatniego pocisku eksploduje?

— Naturalnie — przytaknął Pawłow chwyciwszy w lot propozycję i zerknął raz jeszcze na zegarek. — Ładujcie.

Za przykładem Kosa cała załoga rzuciła się do roboty. Skrzynki błyskawicznie wędrowały z rąk do rąk. Czereśniak też pracował w łańcuchu między Gustlikiem a Grigorijem i co się w lewo czy w prawo przechylał, to albo jednemu, albo drugiemu usiłował wyjaśnić:

— Kiełbasy... ze składu... chleb i masło... na butelkach cognac pisze... dla rządu musi mieli... albo dla Hitlera...

Pawłow układał skrzynki ciasno jedna przy drugiej, sponki wysypał z pudła w środek między trotyl. Skrępował ładunek linka, a Kos mu pomagał.

— Rozganiaj, Gustlik, a za zwrotnicą skacz... Tomasz pomoże.

Jeleń i Czereśniak wleźli na drezynę. Ślązak splunął w garść i zaczął komenderować:

— Ciąg — pchaj, ciąg — pchaj!

Wózek ruszył, rozpędzał się szybko.

Reszta załogi wskoczyła do czołgu. Warknął silnik, grzał się chwilę na jałowym biegu, ale już dźwignął wóz z miejsca i pognął naprzód.

Niedaleko odjechali, kiedy za plecami wspięła się woda i dźwignęła ku górze. Uderzyła słupem w strop i pognała za nimi szeroką falą. Zadudnił wybuch i zdmuchnął kurz z betonu.

Janek, przywarty do celownika armaty, opuścił nieco lufę.

— Mechanik, wyłącz światła — rozkazał.

Zgasł reflektor. Drezyna w przedzie wyglądała jak czarne pudło, nad którym rytmicznie pochylały się i prostowały sylwetki Tomasza i Gustlika. Coraz wyraźniej podświetlał je odblask idący ze stacji, ale zamiast skrócić na zwrotnicy, przeskoczyli ją wprost. Tamci dwaj wypadli z rytmu, zaczęli wymachiwać rękami.

— Wolniej... Stój!

Kos wyskoczył na pancerz, z pancerza na ziemię i podbiegł do rozjazdu. Drezyna podjeżdżała na wstecznym biegu.

— Widzisz, wajcha źle przełożona — klął Gustlik.

Zeskoczył i przerzucił dźwignię, ale szyny w ogóle nie drgnęły.

— Rozkręcili, pierońskie podciepy!

— Pan plutonowy zaczeka — poprosił Tomasz z lekka wystraszony.

Przerzucił z powrotem dźwignię, wyjął z kieszeni nakrętkę i złączył ciągnęło.

— Zaraz przyrajbuje.

— Północ za dwie! — zawołał Pawłow z włazu mechanika.

Szczęknięły szyny rozjazdu przerzucone zwrotnicą.

— Ciśniemy!

— Jazda!

— Ino chyżo, bo blisko.

Niemcy spostrzegli ruch koło rozjazdu. Dwu czy trzech ruszyło torami w tę stronę. Przystanęli po paru krokach, coś pokrzykiwali, wymachując rękami. Jeden zapalił latarkę, ale jej promień był zbyt słaby, by pokonać prawie dwóchsetmetrową odległość.

Kos wparł się stopami w podkłady, pchał z całą mocą. Jeleń nacisnął dźwignię, Czereśniak pociągnął i wóz ostro ruszył. Stuknęły koła na pierwszym, na drugim złączy.

„*Rudy*” warknął i poszedł w trop. Dowódca z tyłu skoczył w biegu na pancerz, przedostał się do wieży. Miał zamiar sam załadować, ale na stanowisku Czereśniaka stał Pawłow gotowy do pracy.

— Odłamkowym — rozkazał Janek.

Kapitan sprawnie wyłuskał pocisk z uchwytu, załadował i ryglując zamek zawołał:

— Gotowe!

Celownik skraca odległość i Kosowi się zdawało, że dreżyna prawie wjeżdża na stację. Przemknęło mu przez myśl, że Gustlik niepotrzebnie ryzykuje. Podobnego jak Kos zdania był Tomasz ze strachem patrzący przez ramię.

— Trzeba wiać! — zawołał między pociągnięciem a pchnięciem.

— Jeszcze! — odkrzyknął mu Jeleń.

Przez szczęk kół i posapywanie słycać było, jak któryś z Niemców wrzeszczy do innego:

— Gib mir Leuchtkugel!

— Odbijaj! — dał komendę Gustlik.

Czereśniak skoczył z rozpędzonego wózka. Mimo pośpiechu i strachu zaczeplił ręką o stertę żywności, chwycił pęto kiełbasy.

Jeleń jeszcze raz szarpnął dźwignię. Zeskoczył w tej samej chwili, gdy strzał z raketnicy wyrzucił oświetlający pocisk w gardziel tunelu. Rakietka szybowała po płaskim torze i nie dognawszy naszych, którzy uciekali w pełnym pędzie, spadła na podkłady. Parokrotnie podskoczyła i sycząc płonęła na ziemi.

W tym świetle cienie miotały się po ścianach jak oszalałe. Zaterkotały serie automatów posyłane przez Niemców na oślep w blask i ciemność. Kule tłukły się o ściany, gwizdały potępieńczo, lecz nie trafiały.

Tomasz i tuż za nim Gustlik już dopadli człapiącego niespiesznie czołgu, wskoczyli na pancerz. Jeden za drugim zniknęli w wieży i zatrzasnęli włazy. „Rudy” przyspieszył.

Janek, cały czas tkwiący u celownika, widział, jak rozpędzona drezyna, machając napędowymi dźwigniami, wtacza się na podziemną stację. Paru żołnierzy uskoczyło jej z drogi. Ktoś rzucił kamień na szynę, żeby przyhamować.

Z peronu skoczył na wózek oficer w łaciatej panterce. Chwycił hamulec i ściągnął z całych sił. Spod kół idą iskry. Gwałtownie zwalniając, platforma mija wyrwę w murze, przejeżdża jeszcze parę metrów i staje.

— Stop! — rozkazuje Janek.

Hamowany czołg lekko obniża lufę, przekłada jeszcze trzy traki i nieruchomieje. Ten strzał musi być bezbłędny. Nici celownika krzyżują się dokładnie pośrodku drezyny.

— Ognia!

Gustlik naciska spust i prawie jednocześnie z odrzutem działa wszystkie peryskopy i celowniki rozjarza do białości gwałtowny błysk. Grzmot eksplozji uderza w pancerz jak pięść boksera — potężnie, choć miękko.

— Wsio normalno. Poriadok — słyszą stłumiony spokojny głos Pawłowa w słuchawkach hełmofonów.

Rozwiewa się dym, rzednie kurz, coraz wyraźniej w szklach peryskopów widać podziemną stację zawaaloną odłamkami betonu, poległymi i porzuconym sprzętem. Na długości kilkunastu metrów ściana została rozpruta

przez wybuch ładunku w kanale elektrycznym. Obok szerokich schodów, wiodących na górę, płonie i dymi sterta pustych skrzyń.

Człapiąc gąsienicami „*Rudy*” ruszył wolno naprzód.

— Tyle dobra zmarnowane, a butelki na pewno pobite, pisało na nich cognac...

— Zawrzyj, Tomek, ta kłapaczka! — przerwał mu Gustlik.

Nawet we wnętrzu czołgu usłyszeli młóckę artyleryjskich wybuchów na powierzchni ziemi. (

Pojedynczo, a potem grupkami poczęli zbiegać z góry niemieccy piechurzy, zgonieni ogniem na stację. Ktoś zauważył czołg, ktoś wrzeszczał:

— Panzer! Achtung, Panzerwagen!

— Stój! — podał komendę Kos.

Przeciskali się przez tłum niszczyciele czołgów, biegnący na stanowiska z blaszanymi rurami pancerszreków, z maczugami pancerfaustów. Chowali się za złomy rozbitego betonu.

— Do piechoty na wprost, odłamkowym...

— Gotowe — trzasnął zamkiem Tomasz.

— Gotowe — zameldował Gustlik.

— Ognia! — rozkazał Janek.

Prawie równocześnie trysnęły postrzępione błyski u wylotu lufy i eksplodował granat na schodach. Wybuch cisnął kęsami betonu, sprzętem i połamaną bronią.

Jedna z głowic pancerfausta uderzyła w ścianę tunelu, przywarła do niej plamą ognia. Druga trzępnęła od czoła w blaszany fartuch, zerwała go i odrzuciła.

— Dostaliśmy?

— Nie — odrzekł Saakaszwili — osłona poszła.

Zagrał karabin maszynowy przedniego strzelca, bił krótkimi seriami we wprawnych rękach Pawłowa. Między jednym a drugim wystrzałem armatnim terkotał sprzężony z działem diegtiarow Gustlika.

Raz za razem padały meldunki:

— Gotowe!... Gotowe!

— Ognia!... Ognia! — rozkazywał Kos w parosekundowych odstępach.

— Huraaa!

Grupa szturmowa Szawełły, przeskoczywszy ulicę, wpadła na gruzowisko. Szli szybko, seriami z automatów sprawdzali ciemne zakamarki. Nikt im nie stawiał oporu. Lekko dymiły świeże leje po wybuchach pocisków.

Paru pierwszych zeskoczyło na asfaltowe podwórze. Z prawej piwnicy oficyny zajazgotał ciężki karabin maszynowy. Tyraliera padła na ziemię, skryła się w lejach, odpowiedziała ogniem.

Dwaj w azbestowych kombinezonach, z pancernymi blachami na piersi, przemknęli chyłkiem pod ścianą, zapadli w cień i nagle strumień ognia rozjaśnił mrok, czerwony jęzor sięgnął strzelającego kaemu i zgasił błyski.

Po lewej na ruinach zjawily się jakieś postacie. Żołnierze skierowali ku nim lufy, nie wiedząc jeszcze: swoi czy obcy.

— Warszawka! — krzyczą tamci.

— Warszawa — odpowiada sierżant Szawełło i śpiewnie, jakby w kawalerii służył, rozkazuje: — Maaarsz — marsz!

Łażewskiego zaczepiła kula podczas kolejnego skoku. Przysiadł krzywiąc się z bólu, przycisnął do piersi lewą rękę, lecz już wypatrzył stanowisko i pojedynczym strzałem zdjął snajpera zaczajonego wysoko na resztkach ściany. Trafiony szarpnął się i zawisł nieruchomo nad przepaścią.

Przy podchorążym zjawił się Zubryk, przeciął nożem mundur na przedramieniu, nie mówiąc ni słowa bandażował sprawnie.

— Szybciej — pogonił go Daniel.

— Co nagle...

Od strony stacji zagrzmiął okopany tygrys. Trafiona ciosem na wprost zwała się ściana. W powietrzu zafurkotały, zagwizdały odłamki. Chorążemu zrobiło się słabo i głowa opadła na ramię.

— Wiąż! — wrzasnął Magneto. — Po szturmie będziesz mdłał.

— Już wiążę — pomagając sobie zębami, felczer zaciskał supły.

Parę metrów w lewo Wichura klął na czołg.

— Granatem skurczybyka nie sięgnie.

— Zaraz my jego... — odrzekł Konstanty Szawełło.

Z wolna opuszczając dłoń, żeby wyczuć właściwy kąt podniesienia, mierzył z raketnicy, strzelił i świetlny pocisk, zatoczywszy łuk, pękł nad czołgiem zielonkawymi gwiazdami.

Gwiazdy opadały na złą wróżbę dla czołgu, wydobyły ostry cień wieży i lufy. Z piątego piętra od artylerzystów wyraźnie było widać prostokątny obrys wielkiego pudła z utwardzonej stali.

— Na raketę rychtuj — wołał działonowy, wychylony nad parapetem.

— Ciut na lewo — mrucał celowniczy, spoglądając przez otwarty zamek i lufę. — Zasuway — rozkazał ładownicemu.

Pocisk zniknął w komorze, trzasnął zamek i obsługa odskoczyła na boki. Zamkowy napiął sznur.

Dwu- i półtonowa haubica stała rozkraczona pośrodku dużego pokoju, lemiesz tkwiły w rozprutej łomami podłodze. Z lekko opuszczoną krótką lufą podobna była do fantastycznego zwierza wyglądającego przez okno.

— Ognia!

Drgnął szarpnięty sznur, działo westchnęło odrzutem, podskoczyło gniewnie na oponach.

Szawełło, niecierpliwie oczekujący wystrzału, dostrzegł kątem oka błysk i prawie w tej samej chwili zobaczył, jak w tygrysa, ukrytego pod osłoną w wykopie, uderzył z góry pocisk niczym grom. Ciężki granat rozpruł pancerz i równocześnie z eksplozją strzeliły wysokim słupem płomień gorejącej benzyny.

Sierżant wstał, obciągnął mundur i krzyknął pełnym głosem:

— Maaarsz — marsz, synkowie!

Zerwała się cała grupa szturmowa i ruszyła biegiem.

— Warszawa! — wykrzykiwał Wichura rozpoznawcze hasło.

— Warszawa! Warszawa! — odpowiadały głosy ze wszystkich stron.

Wyroili się piechurzy z ruin, z cienia, z lejów — szli do zwarcia siejąc z pistoletów maszynowych. Odpowiedziały im nerwowe, pospieszne serie. Tu i ówdzie stęknął granat. W kilku miejscach szerokiego placu wyskoczyły naprzeciw grupy esesmanów. Jak wiatr chodząc po lesie podrywa wirem liście i ciska nimi o ziemię, tak wzdłuż tyraliery zawirowali ludzie w starciach wręcz.

Szawełłowi żołnierze zwarli się przy podziurawionym bunkrze, cięli saperkami, bili kolbami automatów. Łażewski strzałem z pistoletu położył oficera i nagle w tamtych jakby sprężyny pękły — cisnęli broń, podnieśli ręce do góry, przestali być żołnierzami.

— Pilnujcie ich — rozkazał Wichura obsłudze miotacza ognia.



— A ty?

— Co będziecie z tą sikawką biegać! Ja czołgu szukam.

— Na dół! Za mną! — wołał Szawełło, ale głos tonął w ogólnym harmiderze.

— „*Rudy*”! „*Rudy*”! — wrzasnął Łażewski i to słowo podziało jak hasło, skupiło ich w biegu.

Przemykając między jeńcami i żołnierzami, cała szóstka pobiegła schodami w dół. Zaczepiali ich, zatrzymywali kandydaci na jeńców.

— Hitler kaputt! Wir ergeben uns.

— Paszoł ty w diabły — Konstanty odepchnął z drogi grubasa z oficerskimi naramiennikami.

— Herauf! — pokrzykiwał Magneto, żeby wylazili na górę, na plac.

— Kolega — kciukiem pokazał za siebie Wichura.

Wpadli na peron zawalony ciałami poległych, szmatami, rozbitą bronią i kawałami betonu.

— Raus — wygonił Łażewski ostatnich folksszturmistów, przytulonych we wnęce do ściany.

— Ich kann nicht aufsteigen, nie mogę wstać — skarżył się leżący na ziemi podoficer i obiema dłońmi ścisnął przecięte odłamkiem udo. — Och, verseht meine Wunde, opatrzcie moją ranę.

Marusia przyklękła obok, rozcięła nogawkę. Zakładając opatrunek, wołała niespokojnie:

— Rebiata, gdzie „*Rudy*”?!

— Znajdziemy, poszukawszy, nie szpilka — zamruczał Szawełło i pobiegł, by zza węgła wyrzeć na tory.

— Panowie, ja chwileczkę odpocznę, bo już nie mogę — proszącym tonem oświadczył Zubryk, rozciągając się jak długi na peronie.

W głębi stacji, pod jednym z filarów wspierających strop, trzasnęła przewracana skrzynka. Magneto obejrzał się i spostrzegł oficera SS mierzącego do opatrującej Niemca dziewczyny. Błyskawicznie podniósł pistolet, ale tamten wcześniej zdążył nacisnąć spust. Kula podchorążego trafiła go po drugim błysku, przewróciła na wznak i reszta serii poszła w sufit.

Paroma susami podbiegł Józek, klęknął obok Marusi.

— Panienko!...

— Nic — uspokoiła go dziewczyna, spoglądając na mundur jak nożem przecięty na biodrze — wystarczy zaszyć.

— Jest! — zawołał sierżant Szawełło. — Ot gdzie stoi zachowany.

Wichura zeskoczył na tory i niczym w tańcu zaczął wymachiwać rękami.

— Chłopaki, stacja zdobyta! Tutaj do nas! Huraaa!

Warknął głośniejszy silnik, mielący dotąd na małych obrotach, pod niskim sklepieniem zadudniło i podzwaniając gąsienicami, „*Rudy*” wjechał na peron. Jeden po drugim odskoczyły włazy.

Nim się zatrzymał, Wichura dał susa na pancerz, objął obiema rękami ciepłą jeszcze armatę i wołał:

— Wszystko gra na sto dwa!

Chwycił w ramiona Janka, ale ten mu się wywinął i pobiegł na spotkanie Marusi. Przytrzymał więc Gustlika wychylonego do pasa z włazu, pocałował z dubeltówki.

— Dej pokój, bo deszcz będzie — zamruczał Ślązak i rozejrzawszy się, oświadczył niespokojnie: — Jak my stąd wyjademy, to nie wiem.

— Jak wjechaliście, tak i wyjedziecie — kpił Łażewski, ściskając mu rękę.

— Mom się kąpać dwa razy na dzień? Radziej bych to rozkręcił, a po kąsku wynosił.

Wichura chwycił w ramiona Grigorija, ucałował go w oba policzki. Gruzin zrobił to samo, ale zaraz spytał złośliwie:

— Nie było ci duszno?

— Ty, kaco — kaprał przysunął się i patrzył mu w oczy. — Zapomnij. Z wami żyć trudno, ale bez was gorzej.

Tomasz korzystając z zamieszania zeskoczył z czołgu i myszkował po peronie, zaglądał pod grube betonowe kolumny.

Kos przywitawszy dziewczynę wrócił do wozu, stanął obok Jelenia i patrzył w zamyśleniu na wysoki peron, na czołg.

— Może z tamtej strony jest suchy wyjazd na powierzchnię.

— Ale kaj.

Kapitan Pawłow ostatni wyszedł na tory, pomógł wygramolić się osłabionemu Szarikowi. Wziął go na ręce i postawił na płytach peronu. Pies, zrobiwszy z trudem parę kroków, wyciągnął się obok felczera.

— Co z nim? — zaniepokoiła się Ogoniok.

— Miał kupę roboty.

Zubryk otworzył jedno oko, po chwili drugie i siadając zadeklarował:

— Dam psu na wzmocnienie — dobył z torby ampułkę i wprawnym ruchem utracił szyjkę.

— Nie zaszkodzi? — zmarszczył brwi Kos.

— Skądże — chorąży sam wypił lekarstwo, żeby zareklamować działanie, a drugą ampułkę wylał na dłoń i podstawił wilczurowi pod mordę.

— Pij — zachęcił Janek.

Pies ostrożnie spróbował jęzorem, skrzywił się i spoglądając przekrwionymi ślepiami na swego pana, zaskomlał.

— Nie mądrz się, tylko pij.

Szarik posłusznie przyjął lekarstwo, choć z obrzydzenia drgała mu górna warga, obnażając kły.

Pawłow rozejrzał się tymczasem, opukał peron i stopnie schodów.

— Zrobię wam wyjazd, tylko trzeba by trochę wzrywczatki.

— Józku! — zawołał sierżant Szawełło. — Skocz no, rozejrzyj się za trotylem dla pana kapitana.

Ze szczęśliwą, rozpromienioną gębą wracał w stronę czołgu Czereśniak, niosąc w obydwu rękach spłaszczony wybuchem puszeki.

— Trochę pogięte, ale da się zjeść — oświadczył, pokazując je załodze.

Chwilę spoglądali na niego w milczeniu, a niektórzy może i ze złością.

Bo ledwo głowy z ciężkiej opresji wynieśli, stację podziemną zdobyli, która drogę do Reichstagu zagradzała, a ten, cholera by go, z konserwami... Pierwszy roześmiał się Gustlik. Potem Saakaszwili i Kos, a za nimi Wichura, Pawłow i reszta. Nawet Zubryk chichotał cieniutko i brzuch ręką podtrzymywał.

Na ten śmiech trafił Józek Szawełło, który przed chwilą wybiegł po schodach szukać trotylu dla pana kapitana, ale zawrócił i stanąwszy na ostatnim stopniu zawołał wielkim głosem:

— Ludzie, cichajcie!

Było coś w jego słowach, co nagle zgasiło śmiech i kazało odwrócić głowy.

— Czego ty, Józku, wołasz? — spytał Konstanty.

— Niemiec przez radio zmiłowania prosi.

Zapadła taka cisza, że usłyszeli szybki oddech zmęczonego biegiem młodego Szawełły i dalekie stukanie pojedynczego kaemu, podobne do kucia dziecioła. Przez szeroką klatkę schodową, razem z podmuchem wiatru, wpadł krzyk niedalekiego głośnika.

— Achtung! Wnimanije! Uwaga! — mówił spiker drewnianym głosem z niemiecka wymawiając wyrazy. — Tu radiostacja dowództwa obrony Berlina. O godzinie pierwsza zero zero do wiaduktu przy Charlottenburgerstrasse przybędzie z białą flagą delegacja dowództwa obrony Berlina celem omówienia warunków kapitulacji.

Tak długo czekali na tę chwilę, tak bardzo jej pragnęli, że teraz ledwo mogli uwierzyć.

Sierżant Szawełło włożył okulary, żeby lepiej słyszeć, i bezgłośnie poruszał ustami w dziękczynnej modlitwie. Tomasz uśmiechał się i nie tracąc czasu próbował nożem otworzyć puszkę; Zubryk westchnął z ulgą i szepnął do Józka:

— Przeszaną strzelać.

— Flagę trzeba by uszyć — powiedział Janek do Marusi.

— Prawdę szwab mówi? — spytał Wichura Łażewskiego.

Podchorąży, przygryzając wargę, dał znak, żeby milczał, i odwróciwszy głowę szybkimi ruchami przetarł oczy. Głośnik darł się, jakby pragnąc, by głuchy usłyszał:

— Proszę o zaprzestanie ognia i wysłanie pełnomocnych przedstawicieli dowództwa wojsk radzieckich...

Marusia przytuliła się do Janka, a on objął ją ramieniem.

— Achtung! Wnimanije! Uwaga! — powtarzał ten sam głos po chwili przerwy.

Pawłow znalazł łom pod filarem, podważył nim betonową płytę peronu.

— Mogę pomóc — zgłosił się Gustlik. — Chyba to koniec.

— Może jeszcze nie koniec, ale na pewno początek — odpowiedział kapitan. — Tak czy inaczej czołg trzeba na górę wyprowadzić, zanim zaczną chodzić pociągi.

## ROZDZIAŁ 63. BRAMA BRANDENBURSKA

Podpalić znacznie łatwiej niż ugasić. Uliczne blaszane głośniki, przez które jeszcze parę dni temu krzyczał Hitler, prosiły zwycięskie wojska o przerwanie ognia, lecz nie wszystkie węzły oporu przestały strzelać. W ruinach dymiącego miasta jazgotały jeszcze szmajsery i karabiny maszynowe, gdzieś od południa skrzypiał paskudnie nebelwerfel — sześciolufowy móździerz ochrzczony przez naszych żołnierzy „szafą” albo „krową”. Wydawało się, jakby oficerowie SS i Wehrmachtu spieszyli wystrzelać do końca amunicję w trosce o to, by granaty i kule zdążyły zabić, nim nastąpi pokój.

O pierwszej po południu u wiaduktu na Charlottenburgerstrasse miała się stawić delegacja dowództwa obrony Berlina pod białą flagą, lecz dochodziło dopiero wpół do ósmej. Wpół do ósmej według czasu środkowoeuropejskiego. Zegarki w sztabach radzieckich i polskich pułków wskazywały wpół do dziesiątej — na całym froncie liczono czas według Moskwy, nie zmieniono go od bitew pod Leningradem i nad Wołgą. To była ta sama wojna i sprawiedliwie było, że mierzył ją ten sam czas.

— Rosomak, przestań filozofować. Skoro strzelają, to raz jeszcze wezwij do poddania i bierz blok siłą! — krzyczał schrypnięty dowódca do słuchawki. — Pora wojnę kończyć i do domu wracać. Melduj o wykonaniu.

Telefonista w powietrzu złapał słuchawkę. Uśmiechnął się pobladłą i zarośniętą gębą.

— Ogól się, synu — rozkazał pułkownik i ziewnął potężnie.

Stanowisko dowodzenia po raz pierwszy zorganizowano nie w piwnicy, lecz na piętrze. Przez wybite okna, w których leżały worki z piaskiem, pozostawione przez niemiecką załogę, widać było plac stacyjny i poszarpany napis : U-BAHNH...

Słońce już dawno wzeszło, ale promienie przedzierały się z trudem przez chmurę dymu i kurzu zwisającą nad pokonaną stolicą Rzeszy. Na wszystkich przedmiotach leżał dziwny blask, podobny do zgaszonego światła podczas zaćmienia.

— Rany gorzkie, jak ja bym przespał się te głupie trzysta trzydzieści minut — powiedział pułkownik do szefa sztabu i dopiero teraz spostrzegł, że major chrapie oparty czołem o stół zasłany papierami.

Zgrzytnęło na posadzce rozbite szkło, stuknęły obcasy.

— Obywatelu pułkowniku, sierżant Kos melduje się na rozkaz.

Czołgista stał wyprostowany na baczność we framudze, z której podmuch wybuchu wyrwał drzwi. Spod czarnego hełmofonu opadał mu na czoło kosmyk jasnych włosów, na brudnej twarzy świeciły wesoło oczy jasne jak pogodny błękit.

— Siadaj — zaprosił gestem pułkownik, zgarnawszy mapy z narożnika stołu. — Napijesz się?

— Po wódce sen morzy.

— Kto ci wódkę proponuje, smarkaczu — mruknął gospodarz nalewając dwie filiżanki z kamionkowego czajnika, który grzał się na parze nad spirytusową kuchenką. — Kawa. Syp więcej cukru, bo worki wyciągnięte z pożaru i przypaliło zbyt mocno.

Chwilę siedzieli w milczeniu, pociągali małymi łykami orzeźwiająca czerń.

— Wnioski odznaczeniowe zaczniemy pisać za parę dni, jak sztab się wyśpi — powiedział dowódca pułku. — A teraz mam dla was jeszcze jedną robotę. Wylazł „Rudy” z nory?

— Lada chwila.

— Na radzieckich czołgach posyłam batalion przez cały park Tiergarten pod Bramę Brandenburską i Reichstag. Nie powinni natrafić na opór. Choć jeszcze nie wszyscy przestali strzelać, to co minuta ciszej.

Na przekór słowom pułkownika za oknami gruchnął silny wybuch, a potem jedna po drugiej przetoczyło się parę słabych detonacji.

— Na lewym skrzydle silny ogień... — mamrotał rozbudzony szef sztabu.

— Spij — uspokoił go dowódca podchodząc do okna.

— Kapitan Pawłow rozwalił trotylem peron i schody, żeby było można...

„Rudy” właśnie wylaził spod ziemi na nawierzchnię, więc Kos przerwał wyjaśnianie. Po rozkruszonych stopniach, porykując silnikiem, czołg

wypełznął na plac i skręciwszy w lewo zajął stanowisko za rozbitym tygrysem.

Pułkownik wrócił do stołu i tłumaczył dalej:

— Chcę, żeby na czele tej kolumny szedł czołg z orłem na wieży.

— Rozkaz.

— Umyjcie się, ogólcie raz dwa. Ruszycie za kwadrans. Na pancierz weźcie grupę szturmową Szawelły.

Wracając do czołgu Janek skakał po trzy schody i gwizdał z radości. Spełniło się marzenie — pójdą na czele kolumny, w samym sercu Berlina. A więc prawie jakby defilada, i miał trochę racji Wichura, jak im ją jeszcze w Kreuzburgu obiecywał. Przy czołgu Kos jednak spoważniał i nie wyjaśniając zadania nakazał pełną gotowość bojową. Lepiej na zimne dmuchać niż się sparzyć.

Niewielka była radziecka kolumna ciężkich czołgów i niewielki nasz batalion w maju 1945 roku. Zebrali się szybko i nawet kwadrans nie minął, jak ruszyli. Zaraz za placem „*Rudy*” wjechał pomiędzy drzewa parku Tiergarten. Szedł z zamkniętymi włazami. Za wieżą czaił się sześciuosobowy desant, przepatrujący teren do przodu i na boki. Z tyłu, w odległości kilkudziesięciu metrów, jechała kolumna ciężkich jotesów z desantem polskich piechurów.

Cisza tu była i bezruch połamanych drzew, pierwszymi jasnymi liśćmi zazielenionych na poczerniałych od ognia kikutach. Tylko z daleka sypała się jakaś zabłąkana, uparta seria i niczym puszczyk pohukiwał samotny móździerz. Wypełnili park rześkim, dźwięcznym gangiem czołgowego silnika, falującym przy forsowaniu przeszkód.

Sporo było tych przeszkód na drodze Grzegorza: okopy, rowy, zasieki z kolczastego drutu, przeciwpancerne jeże z szyn pospawanych spiesznie, które musiał pancierzem rozsuwać na boki albo omijać. Czołg lawirował, wspinał się i opadał. Czasem z gniewnym porykiwaniem odpychał wrak działa lub samochodu, tarasujący przejazd.

— Kilometrami tak mogę jechać — zwierzył się Zubryk sierżantowi Szawelle. — Byle nie strzelali...

Rzuciło wozem na kolejnej przeszkodzie, felczer o mało się nie zesunął na ziemię.

— Otóż ja na furmance wolę — odrzekł Konstanty.

— Nudno — stwierdził Łażewski i zastukał w pancerz. — Nudno! — krzyknął do załogi.

Kos otworzył właz, wysunął się do ramion.

— Chyba to już tę bramę widać?

— Niechybnie — skinął głową Konstanty. — Wrota duże bardzo.

— Miejsce kapitanowi ustąpiłem — przypomniał Czereśniak siedzący na pancerzu.

— Czego chcesz za to?

— Instrument został. Zagrałbym. Pan podchorąży właśnie mówi, że nudno.

— Fason rzecz ważna — wsparł go Łażewski. — Niech słyszą, że Polacy jadą.

— A jakby nie usłyszeli, to mogliby pomyśleć, że Niemcy? — nieśmiało spytał Zubryk i staranniej się schował za wieżę.

— Dobra — przyzwolił Kos widząc, że niedaleko do celu, a wokół nikogo nie widać.

— Masz — wynurzył się z drugiego włazu Gustlik z harmonią w ręku.

— Stosowne byłoby coś wesołego — doradził sierżant.

— Do samej bramy graj — rozkazał Janek. — I głośno.

Czereśniak siadł na wieży, rozciągnął miechy. Nie próbując akordów, nie namyślając się, gwizdnął przeraźliwie i z miejsca zagrał oberka na pełne obroty.

Po lewej między drzewami widzieli już wyraźnie bryłę Reichstagu, nakrytą pogiętym durszlakiem kopuły. Nadchodziła od tamtej strony czwórkowa kolumna, około pięciuset ludzi.

— Niemcy — rzekł felczer.

— Jeńce — dopowiedział Józek.

— Na wesele jadąc — śmiał się Szawełło — radośniej na sercu nie było. Jedno mroczy, że ja miłą niewiastę zem oszukał szpital opuszczając...

Kolumna Niemców szła nierównym krokiem, ale w zwartych szeregach. Oficerowie w pierwszej czwórce. Mijali bokiem czołg na równoległym, spotkaniowym kursie, gdy nagle parę głosów coś zaczęło krzyżeć. Prysnęły szeregi. Żołnierze znikli za pniami i w wykrotach, odezwało się kilka pistoletów maszynowych, poleciały granaty.



Piechurów desantu jakby wiatr zdmuchnął. Trzasnęły zamki włazów, obróciła się wieża i działo plunęło pociskiem. Zagdakały oba kaemy czołgowe, zagrały automaty Szawełłów i Łażewskiego, Marusi i Zubryka.

Tomasz grał na harmonii. Tyle że zeskoczył na ziemię i szedł obok jadącego wolno czołgu, osłonięty pancerzem od kul.

Od strony batalionowej kolumny warknęło naraz kilkadziesiąt luf, pierwsze czołgi dały ognia i cztery armatnie granaty kalibru 122 milimetry wybuchły ciężko wśród drzew łamiąc pnie niczym ołówki.

Znowu rozległy się krzyki. Od strony Niemców ucichły strzały i nad tyralierą podniosły się białe szmaty.

— Przerwać ogień! — krzyknął Kos uchylając włazu.

— Dostatecznie — zawołał Konstanty Szawełło.

— Będziemy ich brać? — spytał Józek.

— Nie nasza rzecz — sierżant wskazał na piechurów, którzy nadbiegli z pomocą od strony jadącej w tyle kolumny. — Nasza sprawa drogę rozpoznać. Siadamy na wóz! — powiedział takim tonem, jakby chodziło o drabiniasty.

Obaj pomogli wejść na pancerz Czereśniakowi, który nawet na sekundę nie przerwał oberka.

— Czego się wygłupiasz zamiast strzelać? — spytał go surowo Kos.

— Gram. Rozkaz był do samej bramy.

— Rozwinąć? — spytała Ogoniok. — Uszyłam, jak kazałeś.

— Rozwijaj — zdecydował Janek.

W chwili gdy „Rudy” wjeżdżał na podziobaną minami, lecz przecież asfaltowaną Charlottenburgerstrasse, podnieśli biało-czerwoną flagę nad wieżą. Grigorij dodał gazu i na zwiększonej szybkości pognął ku Bramie Brandenburskiej — podłużnej ciężkiej skrzyni, wspartej na dwunastu stojących parami kolumnach, ozdobionej u szczytu kwadrygą, nad którą czerwieniła się chorągiew.

Bramę Brandenburską wspierają po obu bokach pseudoklasyczne, ozdobione kolumnami budynki o trójkątnych frontonach, mające przypominać świątynie greckie. Domy te, zagięte jak krótkie skrzydła, tworzą od strony wschodniej plac, na którym późnym rankiem 2 maja 1945 roku zebrało się paruset radzieckich żołnierzy.

Koło przelotów między kolumnami Brandenburger Tor, zabarykadowanych do wysokości czterech czy pięciu metrów, stały

ciężarówki i parę czołgów. Przed nimi dwie przyczepy do przewozu mebli, bezsensownie przekrzywione na bok. Bliżej, wokół ciężkiego jotesa i transportera opancerzonego, wokół wysokiej witki masztu radiostacji, sterczącej ku górze, stała grupa rozbawionych, pokrzykujących żołnierzy, do których z pancerza przemawiał tęgi oficer.

Gdy z za południowego skrzydła, grmiąc oberkiem granym na całą moc harmonii, wyjechał „*Rudy*” z biało–czerwoną flagą nad wieżą, wszystkie głowy obróciły się w jego kierunku.

— Eto kto?

— Kakoj czort?

— Amerykancy!

— Niet, biełoje z krasnym i orioł znaczyt Polaki.

— Towariszcz gienierał! — wołał gruby pułkownik z czołgu. — Prawdu gaworili. Wot wasz tank prijechał.

Część piechoty pobiegła na spotkanie „*Rudego*”, zrobiło się luźniej i dopiero teraz można było zobaczyć orła na pancerzu transportera i polską czapkę ze srebrnym wężykiem. Generał machnął ręką, że widzi, odwrócił się i ruszył swoim na spotkanie.

Tymczasem wjeżdżały już następne czołgi z desantem polskiej piechoty, przystawały, robiło się coraz gwarniej i tłoczniej.

Kiedy generał podszedł do „*Rudego*”, cała załoga prężyła się w bojowej postawie, a w odległości paru metrów przyklękał i kuczał fotograf, robiący im wspólne zdjęcie z radzieckimi żołnierzami.

— W gazietie napieczatajem! — wykrzyknął. — Wnimanije, towariszcz! Ułybczoka i... gotowo.

Generał położył rękę na ramieniu Kosa. Sierżant odwrócił się i radośnie zawołał:

— Obywatelu generale, zadanie wykonane i wojna...

Urwał, zobaczywszy nad wężykami generalskimi nie jedną, lecz dwie gwiazdki. Rozumiał, że trzeba by pogratulować, cieszył się przecież szczerze tym awansem, lecz ze wzruszenia słowa nie mógł wydobyć. Cała załoga stała już obok i nikt nie potrafił powiedzieć tego, co należało. Jednego Szarika nie speszyła nowa gwiazdka, skoczył łapami na piersi generała, merdał ogonem i szczekał radośnie.

— Widzę, że wszyscy zdrowi i cali — mówił generał i nagle uniósł brwi. — Marusia w polskim mundurze? Myślałem, że będę pierwszy, który ci powie, ale jak widzę, już wiesz o rozkazie.

— Nie — zarumieniła się dziewczyna. — Tylko żeby ze szpitala na front...

— Masz rację. Teraz pora oficjalnie załatwić zezwolenie na ślub.

— Wdzięczny będę, obywatelu generale dywizji — Janek odzyskał głos.

— Dobra. Jest tu z wami Łażewski?

— Na rozkaz — wysunął się do przodu podchorąży.

— Dobrze, że jesteś, bo mam coś dla was obu, dla ciebie i Kosa — wydobył papier z mapnika i rozkładając go zrzędził: — Szabla by się przydała.

— Jest, obywatelu generale — zawołał radośnie Saakaszwili.

— Przedwojenna, panie generale — dodał Konstanty Szawelło.

Gruzin, wyciągnąwszy broń z czołgu, dobył ją z pochwy i podał, trzymając za klingę.

Generał wziął nagą szablę do ręki.

— W imieniu Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego — powiedział nie patrząc w papier i stanął na baczność.

Za jego przykładem znieruchomiał cały krąg naszych i radzieckich żołnierzy. Nawet ci, co słów nie dosłyszeli czy nie zrozumieli, przyjmowali postawę zasadniczą.

— Nominacje. Od razu do stopnia podporucznika, bo czas wojenny, a zasług na trzy awanse starczy. W korpusie oficerów piechoty — kapral podchorąży Daniel Łażewski. W korpusie oficerów broni pancernej — sierżant Jan Kos.

Obaj przybledli, przyklękli na lewe kolano. Dwukrotnie błysnęła w powietrzu szabla, uderzając pasowanych po ramieniu.

— Huraaa! — wrzasnął Wichura.

Za nim cały krąg ryknął tak niespodzianie, że Zubryk się zachwiał, przymknął oczy, ale oprzytomniał, gdy mu Marusia dała kuksańca w bok.

— Nie siejczas.

Generał objął obu, przytulił do serca, a potem, kryjąc wzruszenie, podał na dłoni wydobyte z kieszeni gwiazdki.

— Przywiozłem — przekrzykiwał tłum — bo pewno nie macie, a przyczepić od razu warto.

Łażewski zaczął przypinać z pomocą Wichury, Gustlik wyciągnął rękę w stronę Kosa, ale Janek nie potrafił opanować wzruszenia.

— Nie teraz — pokręcił głową. — Za chwilę wrócę.

Przez przedni właz sięgnął do czołgu i zabrawszy rotmistrzową czapkę z amarantowym otokiem, pobiegł w stronę kolumnady Brandenburger Tor, jakby go ścigano.

Marusia zrobiła za nim parę kroków, ale zatrzymał ją. Gustlik.

— Czekaj. Niech sobie wszystko ułoży.

— Lidka nie przyjechała? — spytał Grześ.

— Poparzona.

— Małom jej razy mówił, coby była uważna, jak herbata nalewa... — wtrącił Jeleń, lecz umilkł spotkawszy wzrok dowódcy.

— Nie przy herbacie — powiedział generał. — Obie ręce ma poparzone i włosy straciła w ogniu.

— Co się stało? — zawołał Saakaszwili przestraszywszy się nie na żarty.

— Nad ranem samoloty zaatakowały sztab armii. Od fosforowych bomb zapaliło się parę domów.

— Sen to ona ma mocny — nie wytrzymał Gustlik.

— Wstała na czas, ale potem z bezpiecznego miejsca pobiegła jeszcze papiery ratować. Byłem akurat na odprawie u dowódcy i kiedy wróciłem, zabrano ją już do szpitala — wyjaśnił generał. — Lekarze obiecują, że niedługo już wyjdzie.

— Inna to już dziouiszka niż ta, co my ją z Jankiem w transporcie poznali — rzekł w zamyśleniu Jeleń.

— Nie inna — zaprzeczył gwałtownie Grigorij. — Tylko oczy trzeba mieć otwarte. Takiej jak Lidka ze świecą po świecie szukaj i nie znajdziesz.

— Dowódca czołgu uciekł — rzekł generał zwracając się do załogi — a ja mam do was jeszcze dwie ważne sprawy.

— Jo za niego — Jeleń stanął na baczność i zamyślony nad przygodą Lidki mruknął cicho do siebie samego: — Po cóż ona w ten ogień szła?

— Jeszcze dziś delegacja 1 armii jedzie do Warszawy, żeby Krajowej Radzie Narodowej zameldować o zdobyciu Berlina — mówił generał. — Z

różnych jednostek po jednym żołnierzu, więc w imieniu brygady pancерnej może by kogoś z waszej załogi...

Jeleń popatrzył na Grigorija, który przyglądał węży, na Wichurę, mrużącego porozumiewawczo oko, i wreszcie na Tomasza, który weń wlepił wytrzeszczone gały.

— Szeregowy Czereśniak niech jedzie. Ojca ma tam blisko.

— Przenoś, Tomasz, rzeczy na mój transporter — rozkazał generał, kiwając głową.

Tomasz już ruszył z miejsca, ale Jeleń przytrzymał go za rękaw.

— Zapamiętaj se: jak się choć godzina spóźnisz, to ci wszystkie kości połamię. A bambetli połowa ostaw, bo się przerwiesz.

— Ja się nie przerwę — zapewnił Czereśniak.

— Jeleń! — wezwał generał.

— Na rozkaz.

— A kogo na jego miejsce?

Gustlik, zamiast odpowiedzieć, obejrzał się na sapersa, który cały czas stał o parę kroków dalej i obserwował wydarzenia. Generał poszedł za wzrokiem plutonowego i znieruchomiał.

— Kapitan Iwan Pawłow — zameldował oficer — saper przydzielony na czas bojowego zadania.

— Niesłychane — zamruczał generał, wyciągając rękę. — Żywcem skóra zdarta.

— Razem my pod wodą wojowali, brali stację pod ziemią — wyjaśnił Jeleń. — Poznali my się...

— Chcecie tych parę dni z nimi jeździć? — spytał generał kapitana.

— Dobra załoga — odrzekł oficer.

— Nasze jednostki podchodzą już do Łaby. Marusię, Łażewskiego i resztę ze sobą zabieram, a czołg tam właśnie chciałem pchnąć. Gdzież ten Kos się podziewa?

— Podporucznik Kos? — przepytał Jeleń, smakując nowe zestawienie słów. — Zaraz go, pierona, zawołam — złożył dłonie koło ust i unosząc twarz ku górze zawołał w kierunku Bramy Brandenburskiej: — Janeeek!

Teraz wszyscy zobaczyli obok wielkiej kwadrygi drobną postać chłopca w białej koszuli, machającego ręką na znak, że słyszy.

Janek, pomachawszy wołającemu Gustlikowi, nie miał jednak zamiaru wracać. Siadł z powrotem na stopniach schodów, wiodących do stóp ogromnej rzeźby, i kończył przymocowywać gwiazdkę do drugiego naramiennika, myśląc, jak wiele stało się w ciągu ostatnich godzin.

Włożył mundur i pas, a potem wspiał się jeszcze wyżej, stanął tuż u kopyt wspiętych w galopie koni. Położył na postumencie czapkę rotmistrza. Przyjrzał jej się i poprawił, wsuwając głębiej między kamienie, żeby wiatr nie zrzucił.

Jeszcze raz z dołu dobiegło wołanie:

— Jaaneek!

— Zaraz, nie pali się — mruknął do siebie.

Zbiegł pospiesznie kilka stopni, zwolnił i dalej szedł już spokojnie, zerkając zezem to na lewy, to na prawy naramiennik, na nowe i błyszczące gwiazdki. Twarz miał marsową, a oczy uśmiechnięte.

## ROZDZIAŁ 64. NAD WISŁĄ I ŁABĄ

Z Berlina, z tego placu pod wielką bramą, pojechał Tomasz transporterem do sztabu armii. Nie bardzo miał ochotę wysiadać, bo oficerów tu było jak grzybów po ciepłym deszczu w lesie studziankowskim i jakby każdemu salutować, to po godzinie ręki by nie czuł. Zaszył się w kąt, ale pułkownik kazał się zabierać i włączyć wprost do ciężarówki, na której już paru różnych siedziało. Zasalutował Czereśniak, worki swoje pod ławkę wcisnął i sam tam zalaź jak świerszcz za komin, bo na leżąco lepiej w długą drogę jechać.

I pół godziny nie minęło, jak ruszyli. Przodem czarny mercedes, a w nim chudy i wysoki pułkownik, co był zastępcą dowódcy 1 armii do politycznych różnych spraw, i zaraz za nim sfatygowany sztuder, po burty wyładowany pstrokatym i pyskatym frontowym bractwem. Różni tam byli, bo i szeregowcy, i pancerniacy, a nawet jeden kapitan–pilot z pułku myśliwskiego „Warszawa”. Byli z piechoty i z artylerii, z moździerzy i od saperów, z łączności i z kawalerii.

Jechał nawet jeden z armijnej gazety, co miał to wszystko potem opisać. Nosił okulary w drucianej oprawie, miał włos jasny, kędzierzawy, a do tego był bardzo pyskaty i pół drogi coraz to nowe kawałki do śmiechu opowiadał, przytupując długimi jak u bociana nogami w zielonkawych butach z brezentu.

Czereśniak widział ich z dołu, spod ławki, ale nie mówił nic. Wolał słuchać. A jak mu się sprzykrzyło, to zamykał oczy i myślał, jakby tu tak skombinować, żeby czasu starczyło do ojca skoczyć, bo z Warszawy to i osiemdziesięciu kilometrów nie będzie. Albo znowu otwierał powieki i przez szparę między burtą a ławką patrzył na zieleniejące oziminami pola, na wioski, gdzie popalone, a gdzie całe, czy też świeżymi belkami świeące i na miasta rozmaite, przez które przejeżdżali.

Jechali pół dnia, potem całą noc z krótkim tylko postojem, żeby się szofer zdrzemnął, bo już polewanie wodą nie pomagało — chłopak przedtem amunicję na front dowoził. Spieszyci się bardzo, ale do Warszawy przybyli dopiero koło południa. Patrzył Czereśniak szeroko otwartymi oczami na ruiny, na resztki domów już tu i ówdzie przyzielenione trawą, pobrązowiałe od

wilgoci czy może mchu. Dziwił się, gdzie mogą mieszkać ci ludzie, co się na ulicach mrowili.

Ten z gazety, to był warszawiak i nazywał ulice, którymi się toczył samochód, więc Tomasz wiedział, że jechali Alejami Jerozolimskimi, skręcili w Poznańską ulicę, potem w Nowogrodzką i z piskiem hamulców dobili do krawężnika przed budynkiem, co jakby dziewczyna nazywał się Roma i nie był zniszczony.

Z pierwszego wozu wyskoczyło czterech, a wśród nich chudy pułkownik, co był zastępcą politycznym samego dowódcy. Z ciężarówki wysypali się młodzi oficerowie, podoficerowie, żołnierze, a za nimi Tomasz. Zdziwił się trochę, bo był jedyny, który dźwigał wypchany plecak. Tamtym widać na niczym nie zależało. Hurmem pobiegli do wejścia, jak do ataku i aż się trochę zdziwili wartownicy, co tam stali — milicjanci i cywile z czerwonymi opaskami.

— Obywatele! Towarzysze! Dokąd?

— Delegacja 1 armii na sesję Krajowej Rady Narodowej — odpowiedział pułkownik.

— Nie poznajesz?! — szepnął starszy między cywilnymi stojącemu w drzwiach milicjantowi i tamten ustąpił z drogi.

Za pułkownikiem gęsiego weszli do hallu i zaczęli się wspinać po schodach, czerwonym dywanem przykrytych.

— Obywatelu... — dogonił ten od drzwi Tomasza i klepnął go po plecaku. — Z tym na salę nie można.

— Ja z boku stanę i u nogi postawię...

Czereśniak bronił się dzielnie, ale tamci byli też twardzi i doholowali go pod szatnię.

— Nikt wam przecie nic nie zabierze. Oddacie potem numerek i dostaniecie z powrotem...

Nieufnie obejrzał metalowy krążek z cyframi. Wolałby nie rozstawać się ze zdobyczą, ale już mu zabrali plecak, powiesili na haku jak zarżniętego prosiaka, trzonek siekiery sterczał niczym zeszywniała noga.

Od strony sali słychać było oklaski, wrzawę, a potem nagle wszystko ścichło i tylko pojedynczy głos dobiegał przez mury.

— Już żeście się spóźnili, obywatelu — poganiał wartownik.



Tomasz skinął głową uspokajająco, bo przecież zebranie nie czołg, żeby go nie dognać, i ruszył po schodach kosmato i miękko wysłanych. Na dywanie zostały zakurzone ślady po żołnierskiej delegacji — nie było kiedy ani się umyć, ani ogolić, ani otrzepać. Po tym tropie łatwo trafił do bocznego wejścia, a potem zostało mu już tylko pięć metrów po terenie otwartym. Sforsował ostatni odcinek, schylając się jak pod ogniem, i stanął wyprostowany na lewym skrzydle szeregu delegatów, zwróconych twarzami do sali.

— Na ruinach Berlina — mówił dalej pułkownik z wysokiej trybuny — obok zwycięskich chorągwi czerwonych powiewają nasze sztandary. Na szlaku walk od Wisły do Berlina zadaliśmy wrogom ciężkie straty: zabitych 55 000 niemieckich żołnierzy i oficerów, wziętych do niewoli 28 000, zniszczono czołgów 106, zdobyto 98, zniszczono dział 763, zdobyto 652...

Ze źle ukrywaną dumą, z ledwo opanowywanym zwycięskim uśmiechem słuchali tych słów delegacji różnych rodzajów wojsk, wszystkich jednostek 1 armii, a wśród nich Tomasz z hełmofonem w garści. W wybielonych słońcem i deszczami mundurach, w niezgrabnych butach, w wyszmelcowanych polówkach, ale widać było, że każdy niejedno przeżył, że duszę ma żołnierską, bo to na gębach wojna im wypisała.

— Jesteśmy i pozostaniemy mieczem polskiej demokracji. Pierwsza armia nigdy was nie zawiedzie!

Twarze zdawały się wszystkie podobne, wpatrzone w trybunę i w żołnierzy. W dalszych rzędach mignęły dwie jakby znajome, ale rozpoznać nie było kiedy, bo posłowie już zerwali się z miejsc, zaczęli klaskać i krzyczeć na cały głos:

— Niech żyje armia! Niech żyją!

Jakaś kobieta podbiegła, podała trzy białe i złote narcyzy lotnikowi, a za nią ruszyli inni i ścisk się nagle zrobił. Wokół każdego dziesięć roześmianych twarzy, do każdego dziesięć par rąk wyciągniętych. Tomasz ścisnął pracowicie te ręce, ale ponad głowami spoglądał, jakby kogo szukał, bo mu się zdało, że widział chłopca bardzo podobnego do ojca.

Zza pleców szerokich czerwonego na twarzy grubasa, spod łokci chudego w okularach wynurzył się tuż obok ten właśnie tak jakby Czereśniak. Z bliska był mniej podobny, bo uroczysty, w ciemnym garniturze i przy krawacie, ale okazało się, że naprawdę on, i ręce do syna wyciągnął. Objęli się w mocnym

uścisku, chwilę milczeli, a potem pierwszy zagadnął ojciec, usiłując przydać głosowi surowości:

— A co ty tu robisz, Tomek? Na przepustce czy jak?

— Delegat jestem, razem z zastępcą dowódcy armii...

— Akurat ciebie wybrali? — nie dowierzał jeszcze.

— Mnie. A ojciec jak tutaj?

— Też delegat. Poseł znaczy. Z ojcem twojego dowódcy — pokazał na Stanisława Kosa, który kiwał im ręką ponad głowami innych, starając się podejść bliżej.

— I co tata tu robi? — nie mógł wyjść z podziwu Tomasz.

— Rządę — stwierdził stary.

— Czym?

— Polską — powiedział i czując potrzebę bardziej szczegółowego wyjaśnienia sytuacji, dodał po chwili: — Nie sam. Z innymi razem.

Pomilczeli dłuższą chwilę mocno zdziwieni obaj, bo niezwykajne to było, żeby ze wsi, i to jeszcze folwarcznego do rządów brali albo do armijnej delegacji. Nowy był czas, inny niż przedtem. Wreszcie syn westchnął i spytał głos przyciszając:

— Plutonowy przyprowadził?

Stary skinął lekko głową i twarz mu pojaśniała w uśmiechu.

— Cielna. Nim z wojny wrócisz, to już albo jałoweczka będzie, albo byczek...

— Cześć, Tomasz — dopchał się wreszcie West.

— Czołem, obywatelu poruczniku — podając rękę, przełożył szybko do lewej numerek z szatni, który cały czas ścisnął, żeby nie zgubić.

— Co tam chowasz?

— Nic, takie kółko — pokazał i podał ojcu. — Na tę blaszkę plecak dadzą i ojciec tam znajdzie siekierkę dobrą, kantar i takie inne — zawstydził się nagle, ale jeszcze sięgnął ręką do kieszeni i dodał pudełeczko. — Maść. Wróć, to drzewka będziemy szczepić...

— Jak załoga? — zagadnął Stanisław Kos.

— Dobrze. A podporucznik to się chyba niedługo ożeni.

— Jaki podporucznik?

— Wasz Janek. Wczoraj rano gwiazdki dostał. Mieli już tylko do Łaby dojechać, a potem wracać.

Przez Berlin jechać było trudno. Z ruin, z piwnic, z podziemnych tuneli metra powyłaziły tysiące w zgniłozielonych mundurach. W pierwszych godzinach po kapitulacji nie można było ani wartowników nastarczyć, ani z przyjmowaniem broni nadażyć, więc niektóre kolumny szły jeszcze z karabinami i pistoletami maszynowymi, tyle że kolbami je niosąc do góry.

Za miastem poszło szybciej i już pod wieczór dogнали transportery armijnego batalionu rozpoznawczego. Przez ten czas, co brali miasto, front odskoczył daleko na zachód. Cztery polskie dywizje i kawaleryjska brygada, wsparte czterema brygadami artylerii i korpusem lotniczym, spychały hitlerowców ku Łabie, nad którą z drugiej strony już docierali sojusznicy zachodni.

Generał, straciwszy na skok pod Bramę Brandenburską nie więcej niż trzy godziny, w dalszym ciągu energicznie odbierał czołgi, działa szturmowe i transportery ze wspieranych przez nie jednostek, chwycił je wszystkie mocno w garść, ale Kos i Gustlik pogadywali cichutko, że przydadzą się już tylko do defilady.

Wyszło jednak, że generał dywizji, a nie podporucznik, miał rację, bo czwartego maja grupa pancerna, poderwana radiowym rozkazem, poszła ostro do przodu, na stanowiska wyjściowe, gdyż front nagle stwardniał i stanął w miejscu. Mieli go złamać ciężarem stali i gwałtownością ognia, umożliwić natarcie piechocie. Rozwinięto ich na płaskim polu. W lewo i w prawo od „*Rudego*” widać było po dwadzieścia parę wozów. Gustlik próbował policzyć, lecz zmylił rachunek przy pięćdziesięciu. Nie maskowali się, bo samoloty wroga już nie miały skąd startować, a od frontu osłaniał ich szeroki nasyp drogowy wysokości piętrowego domu.

Grigorij nucił cichutko coś gruzińskiego i ręce trzymał na drążkach, Wichura przy erkaemie wachlował się czapką, żeby pokazać, jak mu duszno. Kapitan Pawłow z miejsca ładowniczego wyglądał na pole przez peryskop. Gustlik majstrował przy celowniku. Silnik milczał. Za pancierzem co kilka sekund przesuwiał się niski gwizd i wybuchały granaty moździerzowe wielkiego kalibru.

Jeleń wzruszył ramionami, potrząsnął głową i przerwał milczenie:

— Toż żech wom trzy razy godoł: wy, towarzyszcz, do celownika, a ja będę cisi granaty do lufy. Kapitanowi ładować nie pasuje.

— Kapitan i partizan wsio mogut diełať. Ja na miejsce Tomasza, na tymczasem. Do końca wojny już tylko parę kilometrów.

— Na mapie blisko — rzekł Janek z wysokości swego stanowiska dowódcy; urwał na chwilę, bo tuż obok rąbnął pocisk, zadzwoniły odłamki po panczerzu i przez szczeliny zakurzyło, a potem dokończył: — a dojechać trudno. Chcą resztę amunicji wystrzelać czy jak?...

— Inaczej myślę — odpowiedział Pawłow. — Im nie wszystko jedno, do kogo iść w plen, do niewoli. Ni u Amierikancew, ni u Angliczan Hitler Oświencima nie stroił...

Znowu pod panczerzem zaległa cisza. Janek pomyślał, że Iwan ma rację — co innego doświadczyć, a co innego wiedzieć ze słyszenia i może nawet niezupełnie uwierzyć, bo to tak straszne, że do uwierzenia trudne. Potem rozwinął na kolanach sporą kartkę, na której były wydrukowane sylwetki amerykańskich i angielskich czołgów — M-3, M-4, A-2, Matylda, Walentin, Churchill... Chodziło o to, żeby przypadkiem sojusznika nie postrzelić, jakby z przeciwnej strony nadjechał.

— Uwaga, wszystkie wozy! — usłyszeli w słuchawkach znajomy głos generała. — Silniki w ruch.

Nim jeszcze motor zapalił, dobiegły ich zza panczerza wydawane obok głośne komendy piechurów:

— Pluton kierunkowy — pierwszy. Kierunek — trzy topole na wprost. Kompania... naprzód!

Zadudniły cylindry i zaraz potem padł radiowy rozkaz generała:

— Kierunek Łaba! Naprzód!

Ruszył „Rudy”, a pół sekundy później wszystkie czołgi i działa pancerne zgromadzone na pozycji wyjściowej do natarcia, ruszyły łagodnym przeciwstokiem. Kurząc lekko toczyły się niewidoczne jeszcze dla wroga, który dalej metodycznie bił z ciężkich moździerzy w puste już miejsce. Janek poczuł chłód w piersi, jak zwykle kiedy szedł na spotkanie niebezpieczeństwa, i z ulgą pomyślał, że wszystkie dziewczyny załogi są daleko na tyłach. Czemu Lidka wpakowała się w ogień pod sam koniec wojny? — przemknęło mu przez głowę pytanie i zgasło zaraz, bo pora było myśleć tylko o walce.

Piechota wyszła na horyzont, przyspieszyła. Dodały gazu czołgi. Mechanicy równali, by jednocześnie sforsować grzbiet, by nie dać celowniczym pepanców okazji do wielu strzałów. Poczujący, że są już na tle

nieba, dali ognia z kaemów i dział, przewalili się na drugą stronę nasypu, zgrzytając gaśnicami po kamiennej kostce.

Na maksymalnej szybkości ładowania grzmiała nasza artyleria. Ławice ciężkich pocisków przepływały po niebie, zwały się czarno–czerwoną chmurą na płataninę okopów widoczną w przedzie. Lekko opadającymi polami, za którymi czuło się już brzeg wielkiej rzeki, szło szerokie, silne natarcie dywizji piechoty. Ostatnie polskie natarcie w tej wojnie.

Wróg nie ustępował, nie milczał. Błysnęły gęste ognie zaporowe, szczeknęło kilka armat przeciwpancernych, za jazgotały diunie serie z bunkrów, z ufortyfikowanych folwarczków, z wkopanych w ziemię czołgów.

— Topola na wprost, prawdo dziesięć, działo... — dowodził Kos.

— Jest działo — naprowadził Jeleń lufę.

— Gotowe — zameldował o załadowaniu Pawłow.

— Ognia!

Padł wystrzał i Grigorij natychmiast zmienił kierunek, by zejść z linii celowania, jeśli ktoś do nich mierzył. Spocony, ciężko oddychający Wichura oczyszczał drogę krótkimi warknięciami kaemu.

Bili gęsto. Między jednym wystrzałem a drugim Pawłow ledwo nadszedł zerknąć w peryskop. Spostrzegł jednak, jak czołg sąsiedni wjechał na minę, zginął w chmurze wybuchu, stanął w wiśniowym płomieniu.

Zagwizdał ciężki granat moździerzowy. Bliska eksplozja wstrząsnęła czołgiem. „Rudy” toczył się dalej, lecz kapitan spostrzegł w dole za sobą smużkę dymu przenikającą do wnętrza.

— Gorim — zameldował.

— Za osłonę — rozkazał Kos.

Saakaszwili posłusznie zjechał w stary okop, osłonięty od zachodu resztką ściany dawno rozbitego domu. Nim zdążył stanąć i silnik wyłączyć, Pawłow już zerwał gaśnicę, otworzył właz i nie bacząc na świst serii skoczył w górę, stoczył się po pancerzu.

Za wieżą, po żaluzjach nad silnikiem pełzał ogień. Pawłow uderzył kranem i skierował nań strumień piany.

Przez przedni właz wyskoczył Grigorij, również z gaśnicą w rękach, ale już jej nie musiał używać.

— Zgaszone! — zawołał do wnętrza wozu.

— Pomóc wam? — pytał zdyszany major, nadbiegający z paroma piechurami, z których jeden dźwigał batalionową radiostację.

— Nie, spasibo — podziękował Pawłow.

„*Rudy*” zagrział armatnim wystrzałem, bił z wieżowego kaemu, wspierając z miejsca natarcie.

— Jak będziecie mogli ruszyć — rozkazał major — jedźcie nad Łabę, na sam brzeg.

Piechurzy pobiegli dalej, a Pawłow i Saakaszwili ścierali pianę, strącali szare płaty na ziemię.

— Byle uchwyt powietrza oczyścić — mruczał Gruzin — reszta się spiecze, wyparuje.

Nim dwie minuty minęły byli gotowi.

— Puść mnie swoim włazem — rzekł Iwan do Grigorija, pokazując na wieżę czołgu. — Ostro strzelają i mogliby pod sam koniec krzywdę zrobić.

— Jak tam? — pytał wchodzącego Wichura spływający potem. — Bo tu duszno.

— Wsio normalno — odrzekł kapitan. — Czerez czas rybu bendziesz w Łabie łapać.

Silnik zapalił bez trudu. Cofnęli się z okopu i poszli pełnym gazem naprzód, lecz ledwo dognali tyralierę, ledwo trzy pociski odpalili, cele nagle zgasły i białe płótna na drągach rozjaśniły horyzont.

— Naszykowane mieli czy jak? — zdziwił się Janek.

Piechota zgarniała jeńców. Czołgi, a wśród nich „*Rudy*” omijały te zielonkawe stada i z otwartymi włazami szły tyralierą w stronę coraz wilgotniejszej zieleni. Przez okryte młodymi liśćmi gałęzie błysnęła woda i Pawłow powiedział:

— Elba.

— Po polsku, Łaba — dodał podporucznik Kos.

— Nie wiem jak wy — odezwał się Wichura — ale ja buty już zdjąłem.

Wichura wytaszczył z czołgu siedzenie, ułożył je na czterech kamieniach i moczył nogi w ciepłej przybrzeżnej płyciźnie, trzymając w garści kawał solidnego drąga, który pełnił obowiązki wędki. Moczył się sznurek przywiązany do termosowego korka zamiast spławika.

Coraz mocniej przygrzewało słońce. Mundur kaprała wisiał na wierzbowych gałęziach, obok niego flaga państwowa, a pod krzakiem wietrzyły się buty.

Parę kroków dalej, w cieniu potężnej kępy wikliny przyległa na brezencie reszta załogi. Ponieważ skończyła się wojna, nie mieli chęci ani czołgu myć, ani lufy czyścić. W ogóle nie wiadomo było, co robić. Opalali się, odpoczywali pogadując leniwie.

— Ryba pierwsza — twierdził Janek.

— Oberkommando der Wehrmacht — przeczył mu Gustlik.

— Ryba.

— Zaś ale. Jo ci powiadom, że Oberkommando prędzej się podda.

— O co zakład?

— O co?... Jak wygram, to dasz przepustka do Ritzen.

— Sam nie mogę. Generał by musiał. Tak ci tęskno?

— Coś mi się cni — przyznał Ślązak z westchnieniem — i do Honoraty, i do domu. Niedługo cztery lata, jak zech ojców nie widzioł.

— Jak wygram, ty będziesz tego kielbia skrobał, patroszył i smażył.

Podsunęli splecione ręce Pawłowowi, żeby przeciął zakład. Grigorij myślał, że to jemu, i razem z kapitanem uderzył z góry. Na sekundę połączyły się dłonie wszystkich czterech, przypominając dawne czasy nad Oką. I dwa lata od tamtej pory nie minęły, lecz ile się zdarzyło, ile zmieniło, jak wiele już nigdy nie wróci. Spadła na nich zaduma i lekki cień smutku. Nie wiedzieli, co teraz dalej będzie.

Saakaszwili wciągając buty oświadczył:

— Pójdę do szosy, może się czego dowiem.

— Idź.

Kos też wstał, wlażł boso na czołg.

— Czeka — odsunął na bok Szarika wartującego na wieży.

Przestępując z nogi na nogę, bo rozgrzany metal parzył w stopy, zdjął krzyże Virtuti i Walecznych z radiostacji. Wrócił na brezent i zaczął czyścić je szmatką.

— Nie, ja już nie — odpowiadał Pawłow na pytanie Gustlika, którego Janek nie słyszał. — Nawet metal wielokrotnie obciążany do granic wytrzymałości ulega zmęczeniu, a co dopiero człowiek. Parę tysięcy razy wygrywałem pojedynki z minami. Na przykład po wyzwoleniu Warszawy, na

ulicy Szucha... — urwał, zamyślił się i niechętnie trzepnął dłonią po rozgrzanym brezencie. — Nawet opowiadać „nie mam ochoty. Niech inni rozminowują, a ja będę przechodził ulice tylko na skrzyżowaniach, będę pił przegotowane mleko i zawsze nosił szalik, żeby się nie przeziębic. My użę porabotali...

Kos nie zgadzał się z tym, co mówił saper, a nawet pomyślał, że Iwan tak tylko gada, by ciężar z serca zrzucić. Postanowiwszy zmienić temat, zagadnął:

— Dokąd teraz, towarzyszc kapitan?

— Kiedy?

— Teraz. Zaraz — powtórzył Gustlik, myśląc o tym samym co Kos. — Wojna się kończy.

— Zaraz do swojej jednostki. Pewno jeszcze na miesiąc czy dwa poślą na komendanta miasta, bo znam język, a zaraz potem — do Nowosybirsk. Do swoich. Pokazywałem wam przecież zdjęcia.

— Jo bych jeszcze raz popatrzyl — rzekł Jeleń.

Ostrożnie wziął fotografię, przyglądał się chłopcom i okrągłolicej uśmiechniętej kobiecie, kręcił głową. Raz i drugi otwierał usta, jakby chciał spytać, ale nie mógł się zdecydować, i dopiero za trzecim razem powiedział nieśmiało i po cichu:

— Trudno takich synków zmajstrować?

— Nawet się nie spostrzeżesz — odrzekł poważnie kapitan — a już będziesz miał, już ci na głowę wejdą.

— Szkoda — stwierdził Kos.

— Czego?

— Pięć dni się znamy i powiadacie: do domu.

— Nie wojowało nam się źle — dodał Jeleń. — I we wodzie, i w ogniu. Wyście dziś „Rudego” uratowali...

— Też do was jak do braci przywykłem — przerwał Pawłow, żeby podziękowań nie słuchać.

Nieruchomy do tej pory Wichura skoczył nagle na równe nogi razem z wędką.

— Ryba? — spytał Kos z nadzieją w głosie.

— Jada! Do nas jada! — wołał kapral.

Jednocześnie wsadzał bosą nogę w but, wkładał mundur i zaczynał przywiązywać flagę do drzewca, które mu służyło za wędkę.



— Kto jedzie?

— Ochajtnijcie się trochę, jak pragnę szczęścia, żeby wstydu przed obcymi nie było.

Kos skoczył na czołg, z wysokości Szarikowego posterunku zobaczył spory ponton gumowy, podpływający z przeciwległego brzegu rzeki. Prąd znosił go na kępy wikliny, wśród których stał „Rudy”. W łódce siedziało trzech amerykańskich żołnierzy: na dziobie Murzyn czarny jak noc sierpniowa, przy wiosłach młody chłopak z krótko ostrzyżoną czupryną i na rufie starszy nieco kapral z wąsikami.

Wilczur szczeknął na obcych. Oni go też spostrzegli, zagadali wszyscy naraz, roześmieli się i ten młody mocniej pociągnął piórami. Jeszcze chwila i gumowana tkanina zaszurała po piachu. Wszyscy trzej wyskoczyli na brzeg, wyciągnęli ponton i zatrzymali się niezdecydowanie.

Naprzeciw stali nasi czterej, już w mundurach i butach, tylko Gustlik z przepaszającym uśmiechem na twarzy dopinał haftki pod szyją. Pies siedział przy nodze Janka i przekrzywiając łeb patrzył uważnie.

Chwilę trwało milczenie. Gdy Kos już otwierał usta, to i ten młody Amerykanin, otrzymawszy od kaprała kuksańca, zaczął się wykrzywiać jak po zjedzeniu niedojrzałej cytryny i wreszcie wyrzucił w przestrzeń dźwięk podobny do pisku skwarek na patelni.

— Ssstrasswujcze.

Szarika i Jelenia zdumiały te dziwne dźwięki, ale Pawłow zrozumiał i przypomniawszy sobie szkolną angielszczyznę, odpowiedział uprzejmie:

— How are you?

Roześmieli się wszyscy naraz. Murzyn pierwszy wyciągnął dłoń i zaczęli ścisnąć ręce, poklepywać się po ramionach i krzyżeć jeden przez drugiego:

— Nazi kaputt.

— Victory!

— Russia, America, popieda! — wołał ten młody, któremu się zdawało, że coś niecoś po rosyjsku potrafi.

— Pobieda — poprawił Pawłow.

— Peace — mówił kapral, potrząsając ręką Gustlika — all world peace.

— Puść ta ręka, bo urwiesz. Jaki pic? — zniecierpliwił się Jeleń.

— Pis — podpowiedział Janek — czyli żeby był pokój na całym świecie.

— Skąd po polsku mówisz? — niespodzianie zagadnął amerykański kapral.

— Mnie będziesz pytał, amerykański faronie, skąd ja po polsku umiem? — nie na żarty rozzłościł się zaskoczony Gustlik. — A ty skąd?

— Ja Ohio, ale moja matulka miała farmeckę malučką kole Nowego Targu.

— Tak zaroz gadej. Dej tu ten głupi dziób! — otworzył ramiona Gustlik. — To aże nad Łabę musieli my przyjechać — wydziwiał między jednym a drugim pocałunkiem z dubeltówki — coby się spotkać...

—t Polak? Polak? — przybysz tykał palcem w piersi Wichury i Kosa. — Ty?

— Ruski — odpowiedział mu Pawłow — Russian.

— He is Russian, and they all are my countrymen — wyjaśnił swym współtowarzyszom, że poza jednym Rosjaninem to reszta sami rodacy.

Podczas tych pogwarek Wichura się zakrzętnął, rozłożył na błotniku czysty ręcznik, postawił butelkę, chleb i otwartą puszkę konserw, jedną ze spłaszczonych wybuchem na stacji berlińskiego metra.

— Silwuple — zapraszał gestami i kubki do pełna nalewał.

— Polska wódka? — Przepytywał kapral i tryumfalnie oznajmił kumplom: — Polish vodka.

— No, a jak żeś chcioł? — potakiwał Gustlik. — To jest tata z mamą, czyli spirytus i woda.

Amerykanie jako goście wzięli do ręki wszystkie naczynia.

— Friendship — rzekł Murzyn.

— No more war — dodał młody.

— Żadna wojna, tylko przyjaźń — przetłumaczył kapral z Ohio.

Wychylił haustem, a tamci dwaj poszli za jego przykładem. Płyn sparzył gardła, przerwał oddech i nieprzywykłym oczy na wierzch wysadził.

— Mocna — podoficer pierwszy był w stanie rzec słowo.

— Trza coś przegryźć — doradził Gustlik.

— Na taki upał warto byłoby coś lżejszego — mruknął niechętnie Janek.

— Swojej nie macie? — zagadnął Wichura. — Łyski?

— Nie, no whisky — z żalem stwierdził kapral — ale beer mamy. — Piwo. Harry, give some can.

Pobiegli obaj, przynieśli dwie blaszane puszki i zręcznie je dziurawiąc naleli pełne kubki.

— Teechnika — rzekł z podziwem Wichura stukając palcem w blachę.

Amerykanie już po pierwszym toaście stali się odrobinę weselsi i ruchy teraz mieli szersze niż trzeba. Nasi sączyli ze smakiem piwo, zdmuchując delikatną piankę. W tym czasie amerykański kapral, który zdążył sobie nalać i szybciotko wychylić dodatkowe pół kubka, zaczął filozofować:

— Tu Ruskie, tam Amerykany, a Polaki i tu, i tam — pokazał na oba brzegi Łaby. — Lubię was, chłopaki, a kiedy wrócę i matuleńce powiem...

— Cheerio! — zachęcił Murzyn, pokazując białe zęby na czarnej jak heban twarzy.

— Ja was lubię i chcę mieć pamiątka na dzisiejszy dzień.

Kapral chwycił Gustlika za guzik, oglądał orzełka i nie wypuszczając go z palców, spytał:

— Można?

— Po co ci? — zdziwił się Jeleń, ale widząc smutną minę tamtego, dobył z kieszeni scyzoryka i uciął. — Bier.

Wzruszył się amerykański Polak, urwał sobie guzik od munduru i podał Jeleniowi.

— Bierz.

Młody i Murzyn, spostrzegłszy kapraleskie zabiegi, zrobili to samo, wpychali naszym w ręce okrągłe pamiątki. Czarny chwycił Wichurę za guzik i usiłował oderwać.

— Czekaj, Bwana Kubwa, nie rwij, sam dam! — wrzasnął Franek z angielskim akcentem i dobywszy z kieszeni garść guzików, porozdawał Amerykanom.

Najmłodszy z gości podarował Kosowi scyzoryk. Janek sięgnął do czołgu, odszukał w plecaku swe stare rękawice z jenotowego futra i bez słowa mu wręczył.

— Ou!... — zawołał tamten.

Oburącz potrząsnął ręką Kosa i prawie łzy miał w oczach, gdyż nie potrafił powiedzieć, jak bardzo jest wdzięczny.

— It's your dog? — pytał i gładził psa po puszystym łbie.

W tym momencie, nie spostrzeżony przez nikogo prócz Szarika, wrócił Grigorij i stanąwszy o parę kroków, przez chwilę przyglądał się załodze.

Wilczur szczechnął, zwracając uwagę swego pana na powrót mechanika — Grigorij, chodź, przedstaw się.

— Saakaszwili — trzykrotnie powtórzył Gruzin ściskając ręce wyciągnięte do niego.

— Gruzja, Kaukaz — tłumaczył Janek. — Tam skąd Stalin.

— Oh, yes — dopiero teraz zrozumiał kapral — Georgia.

— Czego się dowiedziałeś?

— Gustlik wygrał zakład.

— Skończona wojna, chłopaki, skończona! — ucieszył się Jeleń i klepnął Amerykanina po ramieniu, a on mu oddał ze śmiechem.

— Ogólna kapitulacja?

— Nie jeszcze, ale na naszym odcinku koniec. Wszystkie załogi mają się uszykować w kolumnę na szosie — wyjaśnił Saakaszwili. — Generał kazał, żeby zaraz.

— Jedziemy — zdecydował Kos i zwrócił się do amerykańskiego kaprala: — Powiedzcie kolegom, jaka sytuacja.

— Mus to mus — zmarszczył brwi odrobinę wstawiony podoficer. — Service to żadne żarty.

Wichura wsadził Murzynowi nie dopitą butelkę do kieszeni, sprzątnął resztę jedzenia. Saakaszwili wśliznął się do wnętrza wozu, otworzył dopływ paliwa.

Amerykanin przytrzymał Kosa za rękę:

— Mam jeszcze jedna prośba.

— Mów.

— Jakbym przywiózł do domu taki flag, matka by się ucieszyła, że prawdziwy polski...

— Bierz — zgodził się Kos, ścisnął mu mocno dłoń i wskoczył na czołg. Zawarczał silnik, „Rudy” powoli zaczął się cofać. Amerykanie wyciągnęli ręce z kciukami uniesionymi do góry na szczęście.

— Good luck! — krzyczał Murzyn, składając dłonie przy ustach.

Kapral odwiązywał flagę od drzewca.

— What for? — zapytał go młody.

— For my mother and the Pulaski's Day — wyjaśnił mu podoficer.

Zepchnęli ponton na wodę i z wolna popłynęli w stronę zachodniego brzegu, podając sobie z ręki do ręki nie dopitą butelkę taty z mamą.

„*Rudy*” obracał się w miejscu, biorąc kierunek na wschód. Janek hełmofonem pomachał gościom na pożegnanie i skrył się w wieży. Przelazł dołem do przodu i przykleknąwszy obok mechanika, spytał:

— Nie wiesz dokąd?

— Wiem. Tylko nie chciałem mówić przy obcych.

— Ale nom powiesz? — z drugiej strony podkraść się Gustlik.

— Nad Nysę. Ale najpierw koncentracja niedaleko Ritzen...

— Będę miał blisko — wtrącił Jeleń.

— ...i wielkie przyjęcie u generała na cześć zwycięstwa.

— Tam go o przepustka poproszę i pozwolenie, żeby panna Honorata z nami mogła wracać.

Powiedział „*wracać*” i od tego krótkiego słowa jakby pojaśniało we wnętrzu wozu. W tej właśnie chwili poczuli wszyscy, że cokolwiek by jeszcze miało się zdarzyć, to jednak właśnie teraz rozpoczął się nowy, już nie wojenny, rozdział w życiu załogi „*Rudego*”.



## ROZDZIAŁ 65. PORWANIE HONORATY

O północy, dzielącej dni 8 i 9 maja 1945 roku, w miejscowości Karlshorst, leżącej w granicach Berlina, marszałek Żukow kazał przyprowadzić feldmarszałka Keitla i jego dwu towarzyszy do sali, w której na stole leżał przygotowany akt bezwarunkowej kapitulacji.

*„My niżej podpisani działając w imieniu niemieckiego Naczelnego Dowództwa zgadzamy się na bezwarunkową kapitulację przed Naczelnym Dowództwem Armii Czerwonej i równocześnie przed Naczelnym Dowództwem Sojuszniczych Sił Ekspedycyjnych wszystkich naszych sił zbrojnych na lądzie, na morzu i w powietrzu...”*

Dziesięć minut po godzinie dwudziestej czwartej czasu moskiewskiego podpisy zostały złożone i wojna zakończona.

O godzinie drugiej w nocy, czyli dokładnie o dwunastej czasu warszawskiego, radiostacja moskiewska przekazała tę wiadomość i wówczas na całym froncie wybuchła gwałtowna strzelanina jak nigdy podczas walk — wszyscy strzelali już z radości, już nie do przeciwnika, lecz w rozgwieżdżone granatowe niebo, po którym chmury snuły się jeszcze tylko nad samym horyzontem. Nazajutrz we wszystkich armiach, dywizjach i pułkach rozpoczął się szal bankietów, przyjęć i świąt. Kto żyw został, pragnął się bawić.

Czołgiści przywykli działać zdecydowanie i szybko, więc w jednostkach wojsk pancernych i zmotoryzowanych nakryto stoły, gdy tylko kolumny dosięgły rejonów koncentracji.

Majowe słońce połyskiwało na wypucowanym mosiądzu instrumentów, zapalało ogniki na srebrnej batucie dyrygenta i w okularach chudego kaprała dmącego w największą trąbę. Orkiestra grała stojąc na schodach białego szerokiego dworu. Z kwitnących jeszcze jabłonek, grusz i śliw nieśmiałym śniegiem opadały płatki do taktu uderzeń bębna.

Pod drzewami, przy stołach ustawionych w rzędy i zasłanych prześcieradłami siedzieli towarzysze pancerni, goście generała. Uczując, śpiewali do wtóry muzyki *Oką*, *Ziemianką* i *Rozszumiały się wierzby płaczące*, wznosili toasty zakończone niechybnym: *„Niech żyje!”*

Załoga czołgu 102 opanowała stolik nieduży, lecz w pięknym miejscu, pod rozłożystą kosztelą stojący, która kwitła i pachniała bladuróżowo.

Piętrzyły się przed nimi apetyczne potrawy, nie brakowało butelek, ale z daleka można było spostrzec, że tych czterech nie najweselej się bawi.

Może dlatego siedzieli markotni, że właśnie dziś rano pożegnali kapitana Pawłowa, który ze względu na znajomość języka został mianowany komendantem miasteczka w północnych Łużycach. Zapraszał wszystkich w goście, ale nie bardzo było wiadomo, czy się jeszcze zobaczą, czy tamtędy im droga wypadnie.

Wichura, wymachując w powietrzu rękami, tłumaczył coś od dłuższej chwili, a kiedy orkiestra urwała dla zaczerpnięcia tchu i przegryzienia świeżo wędzoną kiełbasą, dokończył, pięścią po stole postukując:

— Wszystkie domy pozajmują, robotę rozłapią, co ładniejsze dziewczyny do ślubu powiodą, a my z naszymi orderami będziemy się mogli za strachy na wróble najmować.

— Nie ma tak źle — mruknął uspokajająco Gustlik. — Sam żeś mówił, co jako firma samochodowa założysz albo wiersze będziesz układał...

— Co mi wiersze — przerwał mu Franek — jeśli starym kawalerem zostanę. Jeden Kos martwić się nie musi.

— Jo też ni. Panna Honorata...

— Nie bądź taki pewny. Może jej dawno już w Ritzen nie ma, albo za Kuglą wyszła za mąż.

— Jest i nie wyszła — uśmiechnął się Gustlik, ale zaraz pomroczył, bo przez myśl mu przeszło, że rozmaicie z dziewczynami bywa.

— Franek — Grigorij trącił Wichurę w bok. — Napiszemy razem list do Gdańska, żeby siostry Borowianki w odwiedziny do nas przyjechały.

— Przepustek im nie dadzą — kapral zmarszczył nos i potarł czoło dłonią.

— Może niech się starają przyjechać do Lidki i Marusi, do szpitala — doradził Janek i zaraz potem dodał: — Dostałem list od Marusi, z którego niewiele mogę pojąć.

— Pokaż, to może razem... — zaproponował Grigorij.

Nie doszło jednak do czytania, gdyż zbliżył się generał, który z kielichem wina w ręku szedł od stołu do stołu, wymieniał uśmiechy, pozdrowienia i



przepijał, jak dobremu gospodarzowi przystało. Ze zdumieniem spostrzegł, że załoga „*Rudego*” ledwo tknęła jadła i napoju.

— Cóż to takiego? Post? — zapytał, przekrzykując startującą do walca orkiestrę.

— Tak jest — odpowiedział za wszystkich Saakaszwili. — Najpierw post, potem tort.

— Nie rozumiem.

— Na słodkie czekamy, obywatelu generale — wyjaśnił Kos. — Starszy sierżant Szawełło uprzedził, że on dziś z okazji zakończenia wojny...

— Że on takie coś zrychtuje, co żaden z nas jeszcze w gębie nie miał — wtrącił Gustlik.

— A może was zbujął i zostaniecie głodni — roześmiał się dowódca i wyciągnął rękę z kielichem do Kosa. — Wypijmy za tę gwiazdkę, żeby się mnożyła...

— I za ta druga wielka też my nie pili — podpowiedział Jeleń, wskazując na generalski naramiennik.

Umoczywszy wargi w winie dowódca ruszył dalej.

— Czegoś o przepustkę nie poprosił? — burknął Janek.

— Nie zdążyłeś — usprawiedliwiał się Jeleń.

— Może prawda, że Szawełło nas zbujął? — spytał z niepokojem Wichura.

— Idą — pierwszy zauważył Grześ.

Między drzewami pojawił się długi szereg kuchcików w białych fartuchach, z ciastami i tortami na tacach, a na przedzie we wspaniałym czepcu kroczył sierżant z okularami na nosie, które zwykł wdziewać tylko w chwilach najważniejszych wydarzeń. Wypatrzył, gdzie generał, i wyprostowany sunął w tę stronę z uśmiechem szczęścia na twarzy. Na kryształowym talerzu niósł tort, dwukrotnie przewyższający rozmiarem minę przeciwczołgową, lśniący lukrem, pieniący się kremem i pachnący nadzwyczaj wspaniale. Nie spostrzegł nawet, że mija załogę „*Rudego*”.

— Przeniesie pieron — szepnął Gustlik.

— Nie przeniesie — półgębkiem odrzekł Wichura i obróciwszy się na krześle, zręcznie podstawił nogę.

Szawełło zachwiał się, wyciągnął ręce do przodu. Saakaszwili przechwycił kryształ i podał tort na stół. Wichura starał się tak podnosić

sierzanta, by jak najskuteczniej przeszkadzać mu we wstawaniu. Gdyby nie Józek, który odstawił ciasto w trawę i też pospieszył stryjowi z pomocą, trwałoby to bardzo długo.

— Ot człowiek idzie, idzie i się potknie — pomrukiwał Konstanty otrzepując piasek z kolan. — Dobrze, że choć tort...

Zdumienie i rozpacz przerwały mu oddech. Załoga wcinała na tempo, oblizując się i pomrukując z rozkoszy, a na kryształach została już tylko połowa, z nożem tkwiącym w czekoladowym wzgórzu.

— Tankisty! — wrzasnął Szawełło wielkim głosem i wyszarpując spod kitla pistolet, szepnął przez łyżę. — Mówcie wy, bracia, pacierze...

— Stryju, co stryj?! — chwycił go Józek za rękę.

Z tyłu przyskoczyło dwu służbowych z opaskami. Wyrwali sierżantowi rewolwer i poprowadzili pod rękę w stronę domu.

— Co tu się stało? — spytał surowo generał, zawróciwszy od sąsiednich stołów. — Pijany?

— Nie — odpowiedział Janek. — Nie wiem, czemu on na nas z pistoletem...

— Wyjaśnimy.

Dowódca ruszył pierwszy, za nim podporucznik Kos, Jeleń i na końcu Wichura. Szybko minęli uczujących, obeszli dom od tyłu. Józek Szawełło z pasem w ręku i żołnierz u wejścia do aresztu stanęli na baczność. W odpowiedzi na niecierpliwy gest, wartownik otworzył zasuwę.

Nie widząc jeszcze dokładnie mrocznego wnętrza, generał zapytał groźnie:

— Oszaleliście, Szawełło?

— Nerwy... — chlipnął głos zza ściany.

— Wojna skończona, to wy swoich chcecie strzelać?

Wysunął się starszy sierżant o krok do przodu, stanął bez pasa na krawędzi słonecznego światła w postawie na baczność i szlochając, tłumaczył:

— Taż ja całą noc się starał... Usta ja zrobił z pomarańczy, nos i oczy z orzeszków, włosy pięknie z czekolady pofalował, a oni nożem w samo oblicze i zębami... — zrezygnowany machnął ręką.

Słowa na chwilę utonęły we łzach, lecz opanował się i wyjaśnił do końca:

— Taż ja portret kochanego generała na torcie zrobił, a oni zeżarli, nim kto zobaczył...

— Wypuścić — rozkazał dowódca i popatrzawszy niechętnym okiem na pancernych, odszedł w sad.

— Panie Konstanty, my nieumyślnie... — Kos wyciągnął rękę na zgodę.

— Jak można było odróżnić, że portret? — pojednawczo rzekł Wichura.

— Popatrzawszy, można było... — chlipnął Szawello, ściskając dłoń Janka. — Teraz już przeszło, nie było. Ale żeby za rękę nie przytrzymali... — dopinając pas odszedł na bok, by się uspokoić do reszty.

Za nim jak cień, tyle że o dwa kroki z tyłu, ruszył Józek.

— Teraz parę dni nie masz co o przepustkę prosić — rzekł Kos do Jelenia.

— Daj sam zgodę. Skoczymy z Frankiem, uwiniemy się gibko.

— Pozwól mu — wsparł przyjaciela Grześ.

— Stąd i trzydziestu kilometrów nie ma, a potem jak nad Nysę ruszymy, trudno będzie wracać — dowodził Wichura. — Specjalnie dziś ani kropli do tej pory nie piłem...

— Dobra — zezwolił Janek, widząc, że sytuacja się gmatwa — ale żebyście wrócili przed świtem.

Zniknęli, jakby ich wiatr zdmuchnął. Saakaszwili westchnął i powtórzył swoją propozycję:

— Pokaż ten list, to może razem zrozumiemy.

Nie mając ochoty wracać do stołu, poszli przez sad, w pole, przysiedli na trawie pod kępą tarniny i tam przy wtórze szalejących z wiosennej radości skowronków Janek zaczął czytać Grzesiowi kartkę od Marusi:

— „*Kochany! Nie wiem, czy kiedykolwiek potrafimy oboje wywdzięczyć się Lidce za to, co dla nas zrobiła. A teraz proszę i ciebie, i całą załogę — nie przyjeżdżajcie do szpitala...*”

Kos urwał w połowie zdania i spytał:

— Rozumiesz?

— Nie wszystko — westchnął Saakaszwili. — Jedno pewne, że nie chcą wizyt przez te opalone włosy. A co Lidka dla was zrobiła, nie wiem, ale takiej dziewczyny ze świecą po świecie szukać...

Od godziny łazik Wichury tłukł się leśną wyboistą dróżką, podskakując na korzeniach i kamieniach.

— Pierońska droga — klął Jeleń, zaciskając dłonie na stalowych uchwytych, by nie wypaść.

— Szosą bez przepustki daleko nie zajedziesz — odburknął mu zza kierownicy Wichura. — Najgorsze jeszcze przed nami, bo jakby nie kluczył, trzeba przeciąć główną drogę na Kostrzyń i Poznań, a po niej jednym ciągiem wojska idą.

— Nie szło już dłużej czekać. Jak Honoratę do Marusi do szpitala damy, to wszystkie trzy razem do Polski wrócą. Nikaj mi się nie zgubi.

— Nie wiadomo tylko, czy jeszcze czeka — złośliwie podpowiedział kierowca.

— Jużeś mówił — wtrącił spokojnie Gustlik. — Byłeś drogi nie zmylił...

Chwilę jechali w milczeniu. Las prześwitywał coraz mocniej i wkrótce samochód, forsując płytki rów, wyjechał spomiędzy drzew, stanął w cieniu rozrośniętego krzewu leszczyny.

Kilkanaście metrów w lewo, na wypalonym karczowisku, piętnastoletni może chłopak w przydługiej kapocie wiódł przy uździe konia o żebrach sterczących przez skórę. Starzec w koszuli z zawiniętymi rękawami, w wojskowych spodniach i polowej czapce, na której został cień po odprutym hitlerowskim orle, prowadził pług. Skończywszy skibę, przystanęli, by odpocząć i popatrzeć z łagodnego pagórka w dół, na szeroką szosę, którą płynęły wojska podobne do wartkiej, niespokojnej rzeki.

Wichura zgasił silnik i wówczas poprzez gwar i pomruk motorów usłyszeli głosy wesołe i zadzierzyste, podbite stukotem kopyt. Poznawszy melodię zaczęli odróżniać słowa:

*Od Berlina jadę, szabelką toczę,  
szabelką toczę,  
Wynieś mi chusteczkę, moja najmilejsza,  
o to cię proszę.*

Spojrzeli po sobie, Wichura sięgnął do schowka pod siedzeniem, dobył lornetkę i popatrzywszy oddał Jeleniowi.

— On.

— Prawda — przyświadczył Gustlik. Warto by podjechać, ręka ścisnąć.

— Od razu byśmy wpadli. Trzeba wyczekać chwili i wtenczas skok na pełnym gazie.

W kręgu lornetki wyraźnie widać było na czele oddziału wąsatego dowódcę, już nie wachmistrza, lecz porucznika Kalitę. Poznać łatwo, choć szrama przez policzek nowa, a i medali na piersi przybyło. W pierwszej trójce jechał harmonista, po bokach najtęższe gardła w zwiadowczym szwadronie. Dalej śpiewali zawadiacko, ale i tęsknie.

*Za białą chusteczkę dam ci pierścionek, dam ci pierścionek,  
Nim ziarno dojrzeje, nim las posiwieje, wezmę za żonę.*

Na ułański śpiew nakładał się coraz silniej warkot silników. Brygada ciężkiej artylerii podjeżdżała do skrzyżowania dróg. W otwartych łazikach dowództwo, na ciągnikach traktorzyści i działonowi, a na lawetach, niczym wróble na parkanie — kanonierzy.

Pod brezentami amunicyjnych ciężarówek pełno było żołnierskich gratów, a na burtach bieleły hasła świeżo malowane: „*Witaj, kraju ojczysty*”, „*Zwyciężyliśmy w boju, zwyciężymy w odbudowie kraju*”. Na wyrost tak pisali, bo żołnierz już wiedział, że nie prostą drogą i nie zaraz powróci.

Jeleń przesunął lornetkę i odczytał na drogowskazie u skrzyżowania dwa wielkie napisy BERLIN, łańskimi literami i cyrylicą, ostrza zaciosanych w szpic desek wskazywały, skąd wojska idą. Na wprost do Kostrzyna było 20 kilometrów, do Poznania 207, ale polskie jednostki, zarówno kawalerzyści, jak artyleria, skręcali w stronę Frankfurtu, Kotbusu i Szpremberga.

Ciągnęła jeszcze kolumna dział, a już bokiem przemknęła błyskawicznie kompania motocyklistów i Gustlik pomyślał, że może żeby nie kurz, to by podporucznika Łażewskiego wypatrzył.

Zaraz potem maszerował radziecki pułk piechoty gwardii. Na przedzie dowództwo w orderach i sztandar, a tuż za nim zwiadowcy śpiewający piosenkę o Katuszy i kwitnących jabłoniach, przyświstujący po każdej zwrotce.

Maszerowali radzieccy piechurzy na Poznań, a obok nich nadciągali nasi, również z dowódcą pułku na czele. Kolumna skręcała na południe, śpiewając:

*Kiedy powracamy z Berlina, z Berlina,  
Wychodzi na spotkanie dziewczyna, dziewczyna,  
będzie dużo śmiechu, będzie trochę łez  
i w lufach automatów zakwitnie biały bez.*

Nakładały się na siebie piosenki, jak ongiś na tej syberyjskiej stacji, na której z Jankiem się spotkali. Żołnierze sąsiednich kolumn pokrzykiwali i bardziej dla zabawy niż z potrzeby wymieniali papierosy i tytoń. Słów naturalnie nie było słycać, a po chwili nawet nie słycać pieśni, bo za piechotą pełzła kolumna czołgów w kurzu i ryku silników, zatrzymała się, żeby przepuścić przez skrzyżowanie resztę zamykającego batalionu.

Wojska szły, a oni wciąż siedzieli w swym zaczajonym łaziku pod leszczynami. Cień się przesunął, słońce przygrzewało w plecy, Gustlikowi było coraz smutniej i nudniej.

— Do jesieni tu myślisz przeczekać? — zagadnął Wichurę.

— Póki na szosie coś się nie zatka, nie ma co marzyć.

— A jak nigdy?

— Maszeruje tyle wozów, to któryś stanąć musi — stwierdził Franek z przekonaniem.

Czekali jeszcze kwadrans w napiętym milczeniu, a potem się okazało, że Wichura zna prawa tłumnych przemarszów. Od strony Berlina, może pół kilometra od nich, coś się stało, jakiś traktor z działem czy samochód z przyczepą utknął skośnie do prądu, dwa usiłowały go minąć jednocześnie i zaklinowały wąskie gardło na amen. Za nimi tłum gęstniał, a bliżej się przerzedziło.

— Chwyć mocno za klamry — poradził Franek Gustlikowi, zapalając silnik.

Ruszyli jak do sportowego rajdu. Piaszczystą dróżką przeskoczyli w obłoku kurzu karczowisko, z piskiem hamulców zwolnili nad rowem, sforsowali go i bucząc sygnałem przepchnęli się między piechotą.

Gwałtownym skretem Wichura uniknął zderzenia z ciężarówką, która, pewna swego na głównej drodze, nie miała zamiaru zwalniać. Po mostku przedziurawionym granatem artyleryjskim zjechali na boczną szosę, odsadzili się od głównej i dopiero wtedy, ocierając pot z czoła, kapral odetchnął.

— Już myślałem, że mnie ten gruby naznaczy i karnego raportu nie uniknę — powiedział do Gustlika i pokazując kierunkowskaz z napisem RITZEN, dodał: — Popatrz, już blisko.

Ślązak z radości trzepnął go w plecy, łazik się zatoczył i rąbnął w kamienny słupek.

— Cholera by cię wzięła — zaklął Franek zatrzymując samochód. — Będzie znak.

Wybiegł przed maskę i dotykając palcami oglądał wgniecenie na zderzaku, a potem siadł, ruszył i dalej jechali bez słowa aż prawie do celu.

Kiedy z zalesionego wzgórza zobaczyli Ritzen, wydało im się jakieś większe. Może dlatego, że sporo ludzi chodziło po ulicach, wojskowych i cywilów. Dzięki wysadzeniu tamy zostało szybko zdobyte i teraz, po oszkleniu okien, wyglądało na nie zniszczone. Tylko dzioby na tynku wskazywały, którędy szły serie.

Nie znając adresu postanowili zacząć poszukiwania od centrum, od tego trójkątnego placu, na którym stała bateria przeciwlotnicza. Okazało się, że trafili dobrze, bo w ceglany budynek, służącym im ongiś za kwaterę i muzeum zegarów, była teraz komendantura i zarząd miasta. Przed wejściem zobaczyli w grupie kobiet mężczyznę w ubraniu przerobionym z niemieckiego wojskowego munduru. Wydawał polecenia i kartki, na których kreślił po parę słów.

Zasalutował mu przechodzący radziecki oficer, odpowiadając na uchylenie czapki.

Grupa robotnic odeszła ze szpadlami i grabiami na ramieniu, parę z nich wzięło się do przekopywania trawnika, na którym zostały jeszcze ślady po okopach.

Kiedy łązik z Gustlikiem i Wichurą podjechał do krawężnika, mężczyzna odwrócił się, a spostrzegłszy żołnierzy, szeroko otworzył ramiona.

— Oh, Herr Jeleń! Ich warte... Czekam na pana z duża tęsknota.

Gustlik, wyskoczywszy z wozu stanął o dwa kroki i nie podając ręki spytał surowo:

— Jak się mo panna Honorata?

— Ja myślę nadzwyczaj dobrze.

— No to...

Dopiero teraz starszy sierżant chwycił Niemca za rękę, potrząsnął mocno, a potem przedstawił:

— Obergefreiter Kugel. Kapral Wichura. Gdzie ona?

— Idziemy zaraz od razu. Parę kroków.

— Jedziemy — zaprosił gestem Franek.

Zakręcili ostro w miejscu, a potem pomknęli w prawo, w boczną uliczkę i zahamowali przed willą ukrytą w białym i różowym obłoku kwitnących jabłoni, grusz i wiśni. Nad bramą wisiał duży napis: „*MILITAR-ANSTALT*”.

— Co to za ansztalt wojskowy? — spytał Jeleń.

— To właśnie Fraülein Honorata — odpowiedział z szacunkiem Kugel.

Śniło się Honoracie pięć albo sześć razy, że po nią Gustlik przyjechał, i raz to nawet tak wyraźnie, że kuferek spakowała i nazajutrz ze łzami musiała rozpakować. A dziś wiedziała całkiem na pewno, że nie przyjedzie. Skoro po śnie się nie zjawia, to co dopiero niczym nie zapowiedziany...

Siedziała na piętrze w pokoju gęsto zastawionym meblami, założonym serwetkami i narzutkami, ozdobionym setką farfurek zniesionych z całej ulicy na polecenie Kugla, który wiedział, że ich odkurzanie trochę uspokaja panią Honoratę, siedziała więc przy oknie i podśpiewywała cicho, a smętnie:

*Ratujże mnie, Boże, ratujże mnie przecie,  
Ratujże mnie, Boże, ratujże mnie przecie,  
Bo mnie straszna bieda na sercysku gniecie,  
Zakochałam ci się aż po same uszy...*

Podśpiewywała nie tyle wyszywając białe orły, co wypruwając hitlerowskie z serwetek i obrusów. Zostawiała tylko haftowane pięknie, niczym monogram, litery gotyckie, ale przecież do naszych podobne.

W jednym warkoczku miała czerwoną wstążkę, drugi lekko rozpleciony u końca, na pamiątkę pewnego wydarzenia sprzed miesiąca. Na palcu połyskiwała wypucowana do wysokiego blasku sześciokątna nakrętka, pełniąca obowiązki zaręczynowego pierścionka.

Kiedy na parterze rozległ się dzwonek, Honorata przerwała jednak robotę, podniosła głowę i czekała zarumienwszy się lekko z niecierpliwości.

Słysząc było szcęk zamka, gwar przyciszzonej rozmowy, a potem szybki stuk drewniaków na schodach. W drzwiach stanęła pokojówka w fartuszkach i koronkowym czepeczku na włosach.

— Herr Kugel mit zwei Soldaten.

— Nie chcę go widzieć — tupnęła nogą Honorata. — Ani jego, ani tych jakichś... — urwała w połowie zdania i ukłuła się igłą w udo, żeby sprawdzić, czy na pewno nie drzemie.



Za pokojówką, we framudze otwartych drzwi, pojawiło się prócz Kugla dwu polskich żołnierzy, a jednym z nich był plutonowy Jeleń. Łzy rozmazały wszystkie twarze prócz tej jednej, dzień po dniu od miesiąca oczekiwanej. Chciała wstać, pójść mu naprzeciw, ale sił zbrakło.

Jeleń zrobił parę kroków, zatrzymał się przed fotelem.

— No to jużem jest, Honoratko.

Niespodzianie dla samej siebie zrobiła groźną minę.

— Czemu tak późno? Tyle czasu tu siedzę i siedzę, dwudziesty obrus wypruwam.

— Wojnę musieli my skończyć. A teraz pójdemy...

— Nie pójdę za pana Gustlika.

Potrząsnął głową, jakby go kto pałką zdzielił, i bez słowa zaczął zawracać.

— Chodźże tu. Pierścioneł zabieraj.

Chciała zdjąć nakrętkę z palca i nie mogła, więc ręce prosząc o pomoc wyciągnęła:

— Gustliczku...

Rymnął na oba kolana, do dłoni się pochylił. Dziewczyna, wstydliwie zasłaniając monogram na obrusie, podniosła płótno do wilgotnych oczu.

— Czysta — podał Gustlik chusteczkę. — Nie trza w Hitler Jugend oczek wycierać.

— Głupi — stwierdziła dziewczyna. — Albo to się pan Gustlik nie domyśla, co litery znaczą?

— Ani chybi Honorata Jeleniowa — oświadczył Wichura podchodząc bliżej i salutując. — Co mamy, to zabieramy, i jazda do gniazda. Dowódca kazał szybko wracać.

— Nie tak chyżo. Tu ja dowodzę — sprzeciwiła się Honorata.

Wstała podając mu rękę, a potem specjalną pałeczką uderzyła w mosiężny gong.

Na ten sygnał z całej willi zbiegła się służba: ogrodnik, dozorca, kucharz z pomocnikiem, dwie pokojowe, i wszyscy, niczym dobrze musztrowane wojsko, stanęli w szeregu pod ścianą. Honoratka wzięła się pod boki i oświadczyła:

— Alarm an allen Fronten. Rżnać, ciąć, ważyć, smażyć. Dziś wieczorem przyjęcie. Taki grosses Fest, jakiego od przed wojny nie było.

Wysoko poszła rakieta w nocne niebo, zakreśliła łuk i rozsypała się w kolorowych gwiazdach. Kugel stojąc przy otwartym oknie ładował następną, ale go Jeleń przytrzymał za rękę.

— Ostatnia.

— Starczy.

— Dość, powiadom. Pora jechać.

— Dawno pora — przytwierdził Wichura. — Co za zabawa, jak nie wszyscy pić mogą.

— Strzelę, jak pojedziecie. Żeby my się jeszcze w życiu spotkali.

— Lecę silnik zapalić, a wy wychodźcie z gratami.

— Ino coby my, Kugel, nie tak się spotkali, jak tamten raz na służbie.

Gustlik podniósł nie dopity kielich i trącił się z Niemcem.

— Spać ochota — rzekła Honorata wyciągając rękę. — Dziękuję panu, panie Kugel. Prawda to, że wśród obergefrajtrów zdarzają się porządni.

— Przejdzie ci sen, Honoratko, jak ruszymy i wiatr owieje.

Tymczasem wrócił Wichura i stwierdził z ponurą miną.

— Nie ruszymy.

— Czemu?

— Bo nam podpieprzyli samochód. Był i nie ma.

Na długą chwilę zapadło kłopotliwe milczenie.

— To tutaj chodźmy spać — proponowała wstawiona z lekka Honorata.

— Armia jutro nad Nysę rusza. Dwadzieścia cztery godziny spóźnienia liczy się jak dezercja — wyjaśnił Wichura, podniósł niewidzialny karabin do ramienia i pstryknął głośno palcami.

— Laboga! — przestraszyła się dziewczyna i otrzeźwiała natychmiast.

— Na kim auto zdobyć, kiedy się wojna skończyła? — myślał głośno Jeleń.

— Sowieci tu zaraz ze sto mają — odpowiedziała nieśmiało Honorata.

Kugel usłyszawszy te słowa zaniepokoił się wyraźnie i cofnął pod ścianę.

— Listy piszcie — mówił, zaczynając się wspinać na schody.

— Cześć — kiwnął mu głową Wichura, a potem zwrócił się do Jelenia: — Innego wyjścia nie ma.

— Od sojuszników, co my razem krew przelewali? — wrzasnął z oburzeniem Gustlik i spytał Honoraty: — Mocno pilnują?

— Z przodu wartownik, z tyłu siatka — wyjaśniła dziewczyna, wyciągając z kąta przedpokoju ogrodnicze szczypce.

Ślązak wziął je do ręki, spróbował i za Wichurą powtórzył:

— Innego wyjścia nie ma. Trzeba pożyczyć.

W równych rzędach stały obok siebie wielkie ciężarówki, zgrabne półtoratonówki i krępe przysadziste łąziki. Jeden z nich, bez widocznego powodu, ruszył po cichutku, wytoczył się przez dziurę w siatce na parkowy trawnik, z trawnika na alejkę i przystanął koło kępy gęstych krzaków.

Z cienia wyskoczył Wichura, błyskawicznie załadował trzy walizy i kufer, wcisnął między nie Honoratę, a sam siadł przy kierownicy i skomenderował półgłosem:

— Pierwszy bieg.

Łazik posłusznie ruszył, pchany niewidzialną siłą nabrał szybkości, wyjechał na ulicę, skręcił za węgiel i dopiero tam zza wozu wyszedł zziębnięty Gustlik.

— Starczy. Dasz radę zapalić? — spytał zmęczonym głosem i siadł obok kierowcy.

— Kluczyk pasuje — ucieszył się Wichura.

Silnik zaskoczył natychmiast. Ruszyli i nabierając pędu wyjechali na szosę. Z tyłu za nimi strzeliła w niebo pożegnalna rakietka obergefrajtra Kugla.

— Poczciwe Niemczysko — stwierdził Franek.

— Ale my niepoczciwi — ze złością mruknął Gustlik. — Pierona, żeby u swoich kraść!

— Pożyczać — poprawił go Wichura.

Wyjechali spomiędzy domów i na szosie wysadzonej owocowymi drzewami pojaśniało od blasku księżyca.

— Coś ciśnie — stwierdził Ślązak.

Uniósł się, dźwignął do góry siedzenie i wy dobył spod niego tablicę rejestracyjną.

— Podziwej się, Wichura, chyba nasza...

— Fakt — stwierdził kapral.

Zjechał na pobocze, zahamował i wyskoczywszy oglądał maskę.

— Chodź tutaj — zawołał Gustlika. — Patrz — pokazał mu wgniecenie na zderzaku, które zarobili trzasnąwszy w słupek zaraz za skrzyżowaniem. — Własny wóz nam się trafiło pożyczyć.

— To ci pierońska historia — zdziwił się Jeleń siadając do łazika i szczelniej otulił kocem śpiącą słodko Honoratę.

— Co tu dziwnego? — wzruszył ramionami Wichura, wrzucając pierwszy bieg. — Normalnie, jak to między sąsiadami — filozofował. — W sumie na jedno wychodzi: ile było samochodów u nas i u nich, tyle jest.

Ciągnęli coraz ostrzej pustą szosą, żeby zdążyć przed wymarszem armii na południe, na ziemie nad Nysą Łużycką, które znowu znalazły się u kresów Rzeczypospolitej.

## ROZDZIAŁ 66. OSTATNIA KULA

Wrócili z Honoratą na czas. Początkowo zdawało się nawet, że nikt nie zauważył rajdu po Gustlikową narzeczoną, ale kiedy jednostki pancerne w ślad za piechotą ruszały na Łużyce, to generał przytrzymał załogę „Rudego” na miejscu.

— Zostaniecie tu jeszcze dwa, trzy dni. W tym czasie, podporuczniku Kos, załatwicie sprawy formalne związane z życiem osobistym załogi.

— My może... — zaczął Kos.

— Ani słowa — uciął generał. — Chcę mieć czołg, a nie oddział towarzystwa turystycznego czy domek jednorodzinny na gąsienicach. Wichurze za karę odebrałem samochód. Pojedzie z wami jako kaemista i pomocnik u Saakaszwilego.

— I tak jedno miejsce wolne, bo Tomasz nie wrócił.

— Nie szkodzi. Pojedziecie we czterech. Czereśniakowi zastępca dowódcy armii dał w Warszawie urlop dwutygodniowy celem odwiedzenia rodziny w Studziankach. Wróci wprost na Łużyce.

— Sprytny ten Tomasz jak lis — mruknął Gustlik zaraz po odejściu dowódcy i z uznaniem pokiwał głową.

— A tyś chytry jak mucha — mruknął Janek. — Do jesieni będziemy po urzędach chodzić, nim Honorata żołnierzem zostanie.

Sprawy formalne były rzeczywiście żmudne, gdyż wszelkiej maści pisarzom sztabowym zupełnie się po wojnie we łbach przewróciło i trzeba ich było mocno do muru przyciskać, by chcieli wypisywać papierki. Chodzili załatwiać całą ekipą i tam gdzie nie pomagał oficcerski stopień Janka, ani prośba Grigorija, to Gustlik chwycił opornego za rękę i ściskając mówił powoli:

— Jakbyście nam to napisali, tobym był rad.

Dopiero pod koniec trzeciego dnia Honorata została zmobilizowana i jako szeregowiec batalionu sanitarnego przydzielona do pomocy siostrze Ogoniok, która rządziła oddziałem armijnego szpitala polowego. Kiedy odwieźli nową sanitariuszkę na miejsce, Marusia, korzystając z okazji, słowo po słowie wyjaśniła Jankowi sens swego listu i na zakończenie dodała:

— Wszystko trzeba by od początku zaczynać, a tymczasem rozdzieliłyby nas kilometry, dni i miesiące, a może nawet lata...

Póty prosili wszyscy trzej (Wichura pilnował wozu), póki Lidka nie zgodziła się podejść do okna. Stojąc ukryta za framugą powiedziała:

— Jestem tu... Dzień dobry.

— Zdrowiej szybko — pierwszy odezwał się Janek — i wracaj do nas. Dziękuję ci, Lidka.

— Jakbyś chciała, to nawet w wozie jest miejsce, bo Tomek na urlopie — dodał Gustlik.

Grigorij nic nie powiedział, choć usta nawet otwierał i wąż gładził. Machnął tylko ręką i twarz odwrócił, bo mu było smutno. Niełatwo mówić do pustego okna, zwłaszcza wówczas, gdy ma się dużo ważnych rzeczy do powiedzenia.

Dopiero kiedy odchodzili i Grześ się odwrócił, mignęła mu za szybą szczupła twarz i biała chusteczka na głowie. Nie dał po sobie poznać, że cokolwiek zobaczył, bojąc się, że dziewczynie mogłoby być przykro.

Na czwarty dzień ruszyli skoro świt, chcieli bowiem na nocleg stanąć u kapitana Pawłowa, w mieście, którego został komendantem. W południe, nie zatrzymując się, przegryźli chleba z konserwami i pruli dalej, luzując co pewien czas Saakaszwilego przy drążkach sterowych, żeby mógł gnaty rozprostować.

— Iwan nam tako wieczera zrychtuje, jakiej my już dawno nie jedli — zapewniał Gustlik.

— Obiecał mi pokazać, jak się na suwaku liczy — wspomniał Janek.

„*Rudy*” gnał rozslonecznioną szosą, wysadzaną po bokach owocowymi drzewami. Prócz Grigorija, który znowu prowadził maszynę, wszyscy siedzieli na wieży wypatrując niecierpliwie.

— Za tą górką — powiedział wreszcie Kos spojrzawszy na mapę.

Wyjechali na płaskie siodło i w dole, nie dalej niż pół kilometra, zobaczyli nad rzeką miasteczko łużyckie. Ciemną czerwienią świeciły jego strome dachy, połyskiwały kopuły kościołów, wieża zegarowa ratusza złotawą iglicą kłuła niebo. Nad samą rzeką widać było porośnięte zielenią ruiny starego zamku, a obok nich szerokie bastiony dziewiętnastowiecznego fortu.

Wszystko to barwiło majowe słońko, sady prześwitywały między domami przedmieścia i obrazek nadawałby się do fotografii z napisem: „*Pamiętka*”

znad Nysy”, gdyby nie ludzie, którzy wypełzali z wylotowych ulic niczym mrówki z płonącego domu. Ci, którzy mogli iść, uciekli widocznie wcześniej, a teraz wlekli się starzy, kuśtykały kaleki, wnuk pchał na wózku sparaliżowaną babkę. Kierowali tym ruchem radzieccy piechurzy, pomagali co słabszym ładować się na ciężarówki i odwozili ku zachodowi.

Czołgiści spojrzeli po sobie, nie rozumiejąc.

— Ki diabeł? — zamruczał Wichura.

— Pogłupieli czy co? — burknął Gustlik.

Kiedy podjechali bliżej, Kos zauważył Pawłowa w grupie kierującej tą dziwną ewakuacją.

— Zaraz się dowiemy — powiedział. — Zatrzymaj — dał rozkaz mechanikowi i stojąc obok wieży zawołał z daleka: — Towariszcz kapitan!

Iwan odwrócił się i osłaniając od słońca oczy patrzył zdziwiony na czołg. Janek zeskoczył i podbiegł na spotkanie z wyciągniętymi rękami.

— My k wam w gosti. Nie poznajecie?

— Nie wo wremia — z zakłopotaniem odpowiedział saper. — Gorod ewakuirujem.

— Dlaczego?

— Składy materiałów wybuchowych w forcie zostały zaminowane — pokazał na miasto. — Wszystko wyleci w powietrze.

— Kiedy? Dlaczego?

— Chodź ze mną, to się dowiesz — ruszył pierwszy. — Nasza kontrazwiadka złapała właśnie tego, co minował.

— Rządź tu, Gustlik — zawołał Kos w stronę czołgu. — Zaraz wrócę.

— Tak jest.

Jeden z regulujących piechurów dostrzegł „Rudego”, podbiegł na krawędź rowu i wymachując czerwoną chorągiewką, krzyczał do Jelenia:

— Nazad. Kak dołbaniot, to się gąsienicami nakryjesz.

— Nie drzyj się, synku, bo ochrypniesz — ryknął mu w odpowiedzi Ślżak.

Pawłow i Kos zeszli z szosy koło niewielkiego betonowego mostku na skarpe pokrytą okopami i rowami łącznikowymi. Kilka kroków dalej zeskoczyli na dno transzei, szli gęsiego, pospiesznie omijając ostre zakręty, i wreszcie za trzecim Janek zderzył się prawie z wartownikiem.

— Stoj! — rozkazał żołnierz.

— Ja komiendant goroda — precyzyjnie się Pawłow do przodu.

— Prochaditie.

Jeszcze jeden zakręt, a potem okop się rozszerzył i zobaczyli radzieckiego pułkownika, który pokrzykiwał w słuchawkę:

— Powtariaju, ani jednego żołnierza nie puszczaj poza wyznaczoną granicę. Wojna kończyłaś' i nie masz prawa pchać ludzi na pewną śmierć dla uratowania paru kalek. Kraw spadnie na tego drania, co zaminował.

Rzucił słuchawkę i przywitał Pawłowa.

— Zdrastwuj komiendant. Kak dieła?

— Ewakuacja się kończy. Teraz jeszcze pójdę do fortu i poszukam.

— Kto z tobą?

— Podporucznik Kos — przedstawił się Janek.

— Drug z polskiej armii. My razem w Berlinie wojowali.

— Ty sam szukać pójdiesz?

— Ja przecież saper.

— Nie pchaj głowy pod topór. Saper czy nie saper — nie twoja sprawa. Co z tego, że jeszcze dwóch, trzech Niemców wyprowadzisz, jeśli oni skazali na śmierć swój sobstwiennyj gorod.

— Ja właśnie nie po trzech chcę iść, ale po miasto. Gdyby się udało znaleźć detonator...

— Za mało czasu. Drań twierdzi, że o szóstej będzie po wszystkim. Sądę, że nikt lepiej od niego nie zna tej sprawy — wskazał na jeńca.

W kącie okopu stał major z czarnymi saperskimi wyłogami, z zawziętą twarzą fanatyka. Prawą ręką w skórzanej rękawiczce podtrzymywał lewą dłoń omotaną bandażem.

— Niczego więcej nie powie — dodał pułkownik — poza tym, czym nas już parę razy uraczył: „*Po śmierci Führera niech ginie cały świat*”.

— Wiedziałem... — rzekł w zadumie Pawłow. — Wiedziałem, że stary fort jest wypełniony setkami ton materiałów wybuchowych, ale skąd wziąć transport i ładowaczy, żeby wywozić. Życie trzeba było ludziom organizować...

— Ty życie, a on śmierć. Zabił wartownika, wkradł się do podziemi i gdzieś tam założył detonator albo może tylko uruchomił mechanizm zegarowy, założony, kiedy tu jeszcze hitlerowcy rządzą... Kiedyśmy go brali,



postrzelił starszynę gwardii i stary żołnierz do domu bez nogi wróci, choć całą wojnę przemaszerował szczęśliwie...

— Pójdę — postanowił Iwan.

— Pojedziemy — wtrącił Janek. — Raz, że szybciej, dwa, że pod pancernem bezpieczniej, i trzy, że szukać pomogę.

— Pozwólcie działać — poprosił kapitan.

Kos również stanął na baczność.

Pułkownik spojrział na zegarek, który wskazywał czwartą czterdzieści trzy, i chwilę pomyślawszy, odrzekł:

— Nie mam prawa zakazać.

Niemiecki saper rozumiał widocznie toczoną w jego obecności rozmowę, a może domyślił się jej treści, gdyż nagle zaśmiał się kpiąco.

— Blitztod das ist ein guter Tod — rzekł drewnianym, przyciszonym głosem.

— Masz rację, że śmierć błyskawiczna to dobra śmierć — mruknął Kos i podchodząc do niego uniósł rękę.

Zdawało się, że chce uderzyć, ale czołgista tylko zerwał z głowy Niemca furazerkę.

— Nie kracz — powiedział krótko.

Wichura rozglądał się z wysokości czołgu i mówił do Gustlika:

— Nie w porę myśmy tu przyjechali. Póki co, trzeba by w drugą stronę obrócić dyszel — wskazał na działo.

— Siedź, póki co.

Saakaszwili zdążył już wywiad przeprowadzić z tym, co na nich krzyczał, i wróciwszy oświadczył:

— Podminowane wszystko i miasto wyleci w powietrze. Pora wiać. Gdzie Janek polazł?

Jeleń nie odpowiadał, głaskał po łbie Szarika i rozglądał się wokół.

— Wysłałeś? — zagadnął nagle Grigorij Wichurę.

— Co?

— List. Do Hani i Ani, żeby przyjechały — przypominał natarczywie.

— Wysłałem i dostałem z powrotem — flegmatycznie odpowiedział Franek, wyciągnął z kieszeni kopertę i przeczytał Gruzinowi dopisek poczty:

— Adresatki nieznane.

— Jak to nieznane? — zdziwił się Grześ.

— Tobie znane, a poczcie nie — mruknął Gustlik. — Może gdzie wyjechały, może je kto ukradł — tłumaczył, lecz dostrzegłszy nadchodzącego z Pawłowem Janka przerwał i uprzedził załogę: — Pozór, nasz komandir wraco.

Wychyleni z włazów salutowali z uśmiechem kapitanowi.

— Z wozu — niespodziewanie rozkazał Kos.

Posłuchał go tylko Szarik i tańczył dookoła, bardzo ucieszony szybkim powrotem swego pana.

— Spokój — rozkazał Janek i zdziwiony dodał: — Nie słyszeliście? Powiedziałem: z wozu. Sam poprowadzę.

— Nie wolno przekazywać maszyny. Mów dokąd — odrzekł Saakaszwili, sadowiąc się wygodniej przy dźwigniach. — Jak ci za ciasno, to możesz wyrzucić strzelca kaemu albo celowniczego.

— Grześ! — ostrzegawczo mruknął Jeleń.

— Co?

— Mom cię gdzieś — dociał Ślżak włączając do wnętrza wieży.

— Chodzi o to — mówił Kos podniesionym tonem — żeby znaleźć detonator i unieszkodliwić. Cała załoga niepotrzebna, nie ma sensu powiększać ryzyka.

— Czterech prędzej znajdzie jak dwóch — upierał się Jeleń.

— Jak to czterech? Pięciu — rozzłościł się Wichura. — W Berlinie zostałem i do dziś, jak wspomnę, to męczy mnie czkawka.

— Tam ci przejdzie — zakpił Jeleń.

Kos wskoczył na wieżę, wdziewał hełmofon.

— Silnik w ruch — rozkazał i prawie jednocześnie zaczęły dudnić cylindry. — Szarik!

Pies wskoczył mechanikowi na kolana i wpełznął do swego kąta, gdzie leżała wygodna poduszka, haftowana w motyle i kwiaty.

— Wolne miejsce Tomasza — wyjaśnił Janek, pomagając wejść Pawłowowi.

— Normalnie, załoga — dorzucił Gustlik.

Czołg ruszył po lekkiej pochyłości szosy, rozpędzał się szybko. Po chwili gnali pełną mocą, skośnie przecięli podmiejski ugór, stratowali sad i nie zmniejszając pędu wjechali na ulicę. Ostrzej grzmiał tu czołgowy silnik, jazgotały gąsienice po kamiennej kostce. Dudniło echo odbite od pustych ulic,

od porzuconych domów z rozdziawionymi oknami i drzwiami. Wszystko nosiło ślady pospiesznej, panicznej ucieczki: leżały porzucone walizki, które okazały się zbyt ciężkie; stał wyładowany betami ogrodniczy wózek, wparty w rynsztok ułamaną osią; bielą na środku jezdni duża lalka. „*Rudy*” lekko zmienił kierunek — Saakaszwili brał zabawkę pod pudło, by nie rozdeptać gąsienicami.

— Wolniej... w’ prawo — podawał komendy Janek.

Wywinęli się pomiędzy murów, aleją wysadzoną lipami pomknęli przez skwer w stronę fortecznej fosy.

— Wolniej... Jeszcze wolniej...

Pod ciężarem „*Rudego*” zatrzeszczały i wygięły się dyle drewnianej nawierzchni mostu. Delikatnie, jak stopy skradającego się zwiadowcy, stąpały stalowe traki gąsienic. „*Rudy*” przypominał sprężonego do skoku zwierza...

Wszystkie włazy mieli zamknięte. Wszystkie twarze były przyklepione do peryskopów z wyjątkiem Wichury, wkulonego w kąt pancerza i osłaniającego ramionami psa na wypadek gwałtownego wstrząsu.

Skończył się most, innym tonem zabrzmiał silnik pod sklepieniem fortecznej bramy, odrobinę nawet przyspieszył, ale zaraz potem Saakaszwili wycisnął sprzęgło, zahamował gwałtownie.

— Kabel — zameldował. — Rwać?

— Nie — odrzekł spiesznie Pawłow. — Trzeba sprawdzić — sięgnął ręką do zamka wjazdu.

— Stop — powstrzymał go Kos. — Z czołgu sprawdzisz, Iwan — po raz pierwszy powiedział do kapitana po imieniu, ale nikt na to nie zwrócił uwagi. — Zamknij za mną — rozkazał Gustlikowi.

— Janiczku...

— Nie gadaj.

Kos już był na pancerzu, docisnął włącz i ostrożnie, jakby się bał najlżejszego wstrząsu, zeszedł po gąsienicy na ziemię.

Wewnątrz bramy, na poobtlukiwanym tynku czerniał napis ozdobiony rysunkiem czaszki: „*Lieber Tod als Niederlage*”.

Czarny wodoszczelny kabel leżał skośnie na kamieniach jezdni. Jeden jego koniec nikał w studziencie kanalizacyjnej, drugi prowadził do niskich, uchylonych drzwiczek, również oznaczonych trupa czaszką i skrzyżowanymi puszczelami.

Na tle łagodnego, spokojnego pomruku czołgu, którego silnik pracował na wolnych obrotach, każdy krok Janka odbijał się wyraźnym echem. Rozsypane na jezdni kawałki koksu chrzęściły ostro pod podszwami.

Z bramy widać było okrągłe podwórze fortu. Nad koroną nasypu coś jakby się poruszyło. Janek znieruchomiał z ręką na kolbie pistoletu, ale to chyba był wiatr albo przywidzenie. Dźwignął więc spod ściany dwie chodnikowa płyty, ułożył je na wprost prawej gąsienicy po obu stronach kabla i wyszedłszy przed czołg dał znak Grigorijowi, by ruszał.

Drgnął „*Rudy*”, położył trak na płycie, wspiał się leciutko i powoli sunął prawą gąsienicą nad kablem. Janek się cofał i w chwili gdy ostatni trak przeszedł nad drutem, dał znak do lekkiego skrętu i zatrzymania.

Kiedy wrócił do wnętrza, właz desantowy był już otwarty. Kapitan leżał na podłodze i dłońmi w gumowych rękawiczkach ostrożnie zdejmował scyzorykiem izolację pogwizdując cicho piosenkę o Dnieprze.

Po chwili na obu drutach lśnił goły metal. Pawłow ostrożnie zamocował do tych miejsc zaciski amperomierza. Szczęk przełącznika wydał się ostry jak wystrzał. Wskazówka drgnęła, ale tylko od lekkiego wstrząsu. Drugie szczęknięcie, trzecie... Wskazówka stała nieruchomo...

Pawłow odkręcił zaciski gwizdząc dalej, a pochylony nad nim Gustlik, ocierając pot z czoła, podawał nożyce do cięcia drutu. Przerwany kabel zwinął się jak ranna żmija.

— Naprzód! — padła komenda.

Czołg wyjechał z bramy na okrągły niewielki dziedziniec. Wieża niespiesznie wykonała pełny obrót. Peryskopy uważnie przepatrywały fort.

— Z wozu — rozkazał Janek. — Gustlik przy dziale.

— Zostało dwadzieścia siedem minut — powiedział Pawłow. — Jeśli los nam nie pomoże...

— Los albo pies — wtrącił Janek i dobywszy z kieszeni furażerkę niemieckiego majora, dał Szarikowi do wachania.

Saakaszwili z Wichurą podeszli tymczasem do metalowych, olejno malowanych wrót, których kilka par zieleniało w forticznym murze. Skrzypnęły zawiasy ciężkich wierzei. W środku zobaczyli setki czy tysiące ustawionych pod sufit skrzynek z trotylem.

Saakaszwili przecisnął się wąskim przejściem do środka, poświecił latarką. Za pierwszą kazamatą był drugi i trzeci magazyn, równie starannie

nadziany pod strop. Strach go zdjął, zawrócił i spieszenie dysząc, rzekł do Wichury:

— Tam jeszcze sto razy tyle, co tu... Jakby...

— Co się wzruszasz? — i przerwał mu Wichura. — Na nas z tobą po ćwierć kilo i to za dużo. Czy tu tysiąc czy sto tysięcy ton, to wszystko jedno, wsio rawno.

— Szukaj Szarik — zachęcał Kos wilczura.

Pies obiegł magazyn wachając skrzynki i wrócił zawiedziony.

— Nie było tu tego drania? Nie było?

Szczeknięcie miało oznaczać, że nie — nie chwycił zapachu, który bił z niemieckiej czapki.

— Myślisz, że sam major detonator zakładał? — spytał Wichura.

— Rękę sobie przy jakiejś robocie pokaleczył. Myślę, że przy tej.

— A jak nie? Mógł mieć pomocników. Oni prześcieradła wywieszali, ale i tacy byli, co własnej czaszki wściekłością przez Hitlera nabitej nie żalowali.

— Nie zawracaj głowy. Trzeba było zostać.

— Tu jest sto takich magazynów jak ten — wtrącił Grigorij. — Musiałbyś sprawdzać co piętnaście sekund jeden, żeby znaleźć, a potem dwie minuty na rozminowanie.

— Janek! — zawołał Pawłow, który aż do tej pory nie ruszył się od czołgu, lecz uważnie oglądał podwórze fortu.

— Jestem — podbiegł razem z Szarikiem.

— Niemcy lubią porządek i zapasy...

— Tak. Ordnung und Vorräte — potwierdził Kos.

— Myślisz, że wiosną szykowali opał na zimę?

Saakaszwili rozdeptał spory kęs i koks ostro trzasnął pod podeszwą.

— Nie. Tym bardziej pod koniec wojny. Rozumiem — powiedział Janek.

Zrobił parę kroków patrząc pod nogi: wszędzie kęsy koksu wielkości włoskich orzechów, lecz przed niskimi metalowymi drzwiczkami więcej niż gdzie indziej.

— Zamknięte.

— Czekaj — Wichura podszedł i ramieniem odsunął dowódcę.

Nie było czasu na słowa, więc nie pytając o nic dobył zza cholewy cienką piłkę do metalu i sprawnie ciął skobel.

— Dobrą stal na czołgi wzięli — mruknął otwierając po chwili drzwiczki. — Taki ajs jaki szajs.

— Czekaj — Pawłow zatrzymał Janka. — Teraz saper na czoło.

Świecąc latarkami poszli gęsiego w dół. Na schodach zgrzytnęły drobne kawałki koksu. Zaraz za pierwszym półpiętrem leżał na stopniu pistolet przykurzony i pokryty pajęczyną, ale przecież od razu widać, że piękna belgijska efenka z grubą rękojeścią, mieszczącą magazynek na szesnaście pocisków.

— Zamawiam, zaklepuję — powiedział Wichura i pochyłony wysunął się do przodu.

Grześ, który szedł ostatni, był jednak szybszy: zdążył dopaść Franka, chwycić za nadgarstek i wykręcić mu rękę do tyłu.

— Ty czego? Puść.

— Wiri!

— Co wiri?

— Po polsku osioł — stwierdził Saakaszwili. — Palców masz za dużo?

— Za węgieł! — rozkazał Pawłow.

Gdy czołgiści się cofnęli, saper przykląkł i lekko pogwizdując założył pętlę cienkiego sznurka na lufę. Potem zza załomu muru ściągnął sznur i na schodkach zagrzmiała krótka detonacja.

Kapitan podniósł odrzucony wybuchem pistolet, obejrzał i podał Wichurze. Kapral odruchowo cofnął rękę.

— Bierz. Wygląda, że nie uszkodzony.

Jeszcze jedno piętro zeszli schodami w dół, a tam wąski podziemny korytarz rozgałęział się w kilku kierunkach. Glinianą podłogę ktoś czysto zamiótł i koksu nie było ani śladu.

— Którędy? — spytał Pawłow.

Janek raz jeszcze dał psu czapkę powąchać i rozkazał:

— Szukaj.

Szarik znowu wciągnął w nozdrza niemiły mu zapach niemieckiego sukna. Systematycznie węsząc, obszedł wszystkie korytarze i wrócił. Potrząsnął łbem, lekko zamachał ogonem — nie ma.

— Musi być, piesku — przekonywał go Janek, przysiadając na piętach.  
— Szukaj.

Jeszcze raz wilczur zaczął badanie. Był skupiony i dokładny, wchodził po parę kroków w korytarze, zawracał.

Pawłow spojrzał na zegarek.

— Ile? — spytał Kos.

— Osiemnaście.

Jednym z korytarzy, na półtorametrowej wysokości ponad ziemią, biegła wzdłuż muru drewniana poręcz z wgłębieniami — być może opierano o nią karabiny. Szarik zatrzymał się, wziął górny wiatr, skoczył łapami na ścianę i węsząc zaskomlał. Pobiegł w głąb, wspiał się raz jeszcze i tryumfalnie szczechnął.

— Znalazł — stwierdził Kos i rozkazał wilczurowi: — Prowadź.

Pobiegli za psem, dogonił ich Pawłow. Łomotał tupot pod niskim sklepieniem, ślizgało się światło latarek po ścianach. Nagle wilczur skoczył, forsując jakąś przeszkodę.

— Stop — rozkazał Pawłow. — Każ mu, niech stanie.

— Szarik! — zawołał Kos. — Ani się rusz.

O metr przed nimi leciutko drgała pajęczyna cienkich drutów trącona podczas skoku.

— Sam nie dam rady — stwierdził kapitan. — Żadna z tych czterech strun nie może zmienić naciągu.

— Jasne — odrzekł za wszystkich Wichura.

Wszyscy trzej ostrożnie przysunęli się do pajęczyny i każdy po swojemu ujął drut w palce: Wichura ulokował przedramię na kolanie, Gruzin oparł pięść na bucie, Kos położył się i chwycił dwie metalowe nici tuż nad ziemią.

Szarik chciał przyjść mu z pomocą, powoli unosił łapę i przesuwiał, by się przybliżyć.

— Stój, ani się waż!

— Gotowe? — spytał Pawłow i spojrzawszy po skupionych twarzach oświadczył. — Tnę.

Teraz przez długą minutę nikt nie mówił ni słowa. Jedyne dźwięki to szybkie oddechy i spokojne pogwizdywanie kapitana.

Przeciawszy metalową pajęczynę Pawłow przeszedł na drugą stronę i klęcząc, błyskawicznie pracował palcami. Najpierw odgarniał grudki gliny,

obnażał końcówkę zapalnika, potem chwycił ją w palce i, odsunawszy na bok dłoń trzymającego, wykręcał detonator z miny. Pierwszego uwolnił Kosa, któremu było najbardziej niewygodnie. Potem, spojrzawszy na krople potu spływające po czole Wichury, zluzował go jako drugiego.

Najdłużej trzymał drut Gruzin i kiedy już mógł puścić, z przeciętych poduszeczek dwu palców kapłała krew.

Kapitan świecąc latarką uważnie oglądał dalszy odcinek korytarza.

— Czego ściskałeś tak mocno? — Janek rozdarł pakiet opatrunkowy i podał Gruzinowi gazę.

— Pomyślałem — odpowiedział Grześ — że jeśli utrzymam, to jeszcze w tym roku dziewczyna mi pisana.

— Naprzód — rozkazał Pawłow.

Po kilkunastu krokach weszli do dużej podłużnej kazamaty zasypanej pod jedną ścianą koksem do wysokości człowieka. Zatrzymali się zaskoczeni rozmiarami podziemia.

— Ile? — raz jeszcze spytał Kos.

— Trzynaście.

— Dnia mało, żeby przerzucić — podrapał się w głowę Wichura.

— Skąd wiadomo, że właśnie tu.

Szarik, który węsząc wędrował wzdłuż sterty opału, dotarł prawie w sam róg, warknął głośno i skoczywszy przednimi łapami na koks, zaczął energicznie kopać, zrzucając szeleszczącą, suchą lawinę.

— Sukin ty syn! — krzyknął Iwan.

— Stój, Szarik, do nogi! — zawołał Janek, biegnąc w jego kierunku. Pies nie usłuchał. Parę razy jeszcze energicznie skrobął łapami i warcząc chwycił coś pyskiem, by wreszcie skoczyć na piersi swego pana z rękawiczką w zębach. Janek odebrał mu ją, oświetlił latarką.

— Lewa i czarna. Tu ją ten hitlerowiec zgubił.

— Uwaga — Pawłow pokazał na ciemny drut, sterczący z koksu. — Zaczepienie o wąs powoduje wybuch. Wszystko zależy od tego, czy na czas potrafimy dotrzeć do miny.

— Grigorij do czołgu! — rozkazał Kos.

— Dlaczego, ja mogę — Gruzin wyciągnął lewą rękę, chowając prawą za siebie.



— Do czołgu — ostro powtórzył dowódca. — Biegiem! Przyślij Gustlika z łopata.

Nim umilkły oddalające się kroki Grigorija, wszyscy trzej, pochyleni nad usypiskiem, rozpoczęli pracę. Biorąc przykład z Pawłowa, lekkimi uderzeniami palców strącali w dół grudki koksu. Trzeba to było czynić delikatnie, pojedynczo, a nie garścią, i równomiernie po całej powierzchni. Wichura wybrał zbyt głęboko w jednym miejscu i zaraz sypnęła się miniaturowa lawina.

Wszyscy zastygli na sekundę. Iwan spojrzał wymownie i wrócił do roboty.

— Ile? — spytał kapral.

— Nieistotne — odpowiedział kapitan. — Uciec już i tak nie można. Koks zsypywał się w dół trzema strumykami, a na dole pod ścianą stanął do pracy Szarik i z ogromnym zapalem odrzucał urobek łapami za siebie.

Przybiegł Gustlik z łopata. Bez słowa zorientował się w sytuacji.

— Cof się, Szariczku. Posztygaruj trocha, a ja będę fedrował. Rytmicznie pobrzękiwała łopata. Pod trzema parami dłoni topniał koks, coraz wyżej sterczały groźne wąsy zapalników i wreszcie pojawił się potężny korpus lotniczej bomby.

Teraz odsypywanie poszło szybciej. Pawłow wydobył z kieszeni lekarski stetoskop, wetknął końcówki do uszu.

— Stop.

Przycisnął słuchawkę do pękatego łba bomby — cisza. Przesunął w bok i usłyszał groźny, wyraźny stukot zegarowego mechanizmu. Pokrywa, pod którą go schowano, umieszczona była piekielnie niewygodnie, od strony ściany.

— Przytrzymajcie, żeby się nie obsunął.

— Ja.

Gustlik stanął na szeroko rozkraczonych nogach, ujął Pawłowa za biodra i zastygł zgięty w pałąk.

Kapitan, pogwizdując, dopasowywał specjalny klucz do dwu okrągłych wgłębień. Pociągnął łagodnie. Metal stawiał opór. Trudno było próbować szarpnięciem, bo tu właśnie najgęściej sterczały groźne wąsy drutów. Stopniowo, aż do bólu, zwiększał napięcie mięśni. Zgrzytnął wreszcie gwint. Pokrywa zrobiła pierwszy obrót, drugi i zsunęła się w dół po usypisku.

Janek podał latarkę. Iwan zajrzał do wnętrza, potem włożył tam rękę i długą chwilę manipulował palcami. Wreszcie tykanie ustało. W ciszy szeleściły tylko oddechy, sapanie Szarika i czyste, spokojne pogwizdywanie melodii. Kapitan w dwu palcach wyjął nieduży mechanizm, obejrzał i rzucił na koks.

Raz jeszcze włożył rękę i paroma szybkimi ruchami wykręcił zapalnik, włożył go do kieszeni na piersi. To był już koniec — niedbałym ruchem trącił wąsy, które przestały grozić śmiercią. Pociemniała od kurzu twarz rozjaśniła się w uśmiechu. Potem, stojąc pod ścianą, Iwan wydobył z kieszeni chustkę i otarł z potu czoło Gustlika.

- Chodźmy na powietrze — powiedział zmęczonym głosem.
- Ile? — spytał Wichura.
- Cztery przed czasem — odrzekł Pawłow.

Saakaszwili wymontował karabin maszynowy dolnego strzelca i siedząc na wieży trzymał go na kolanach. Uważnie się rozglądał i ze złością posysał skaleczone palce prawej ręki. Rozpromieniła mu się twarz dopiero wówczas, gdy zobaczył wychodzących z fortecznych kazamat.

Mundury mieli zakurzone, twarze pokryte węglowym pyłem. Mrużąc oczy przekraczali granicę między cieniem a słońcem i mocno wciągali powietrze w płuca.

— Fajerant — oświadczył Gustlik. — Grześ, jakby my słowa nie dali, toby my się teraz napili, nie?

— Jakby jeszcze było co — mruknął niezadowolony Wichura. — Moje zapasy Amerykańcy wytrąbili, a tutaj jakoś sucho.

— Za godzinę nakarmię was i napoję. Spokojna głowa, wsio budiet normalno — zapewnił Pawłow.

Kos podniósł rękę udając, że chce trzepnąć Jelenia, tamten udał, że się przestraszył, wskoczył na metalowe schody przykręcone do muru, za nim Szarik i obaj wybiegli na zieloną koronę bastionu, porośniętą młodą trawą. Za nimi ze śmiechem ruszyli Wichura i Kos, a w końcu również kapitan.

- Chłopaki, a ja? — wołał Saakaszwili.
- Zostaw żelazko i chodź — przyzwolił Janek.
- Pewno. Kto ukradnie, jak tu żywej duszy — wzruszył ramionami Wichura.

Wilczur tarzał się w trawie, wytrzepując kurz z sierści. Do załogi podbiegł Saakaszwili, objął Gustlika i Franka.

— Dobrze żyć — powiedział. — Wróżyłem i wyszła mi w tym roku dziewczyna.

— Albo i dwie — zamruczał Gustlik otaczając ramieniem Gruzina.

Pawłow i Kos stali z boku. Przed nimi, nieco w dole, leżało w przedwieczornym słońcu ocalone miasteczko.

— Charoszyj gorod — w zamyśleniu powiedział Iwan. — Jak o wojnie zapomną, będzie tu ludziom dobrze.

Po drugiej stronie fortecznej fosy, pustą ścieżką skweru wędrował czarny kot.

— Popatrz no, Szarik — pokazał Janek.

Pies wstał, ale zamiast na kota patrzył w przeciwną stronę, za plecy załogi, i coraz bardziej obnażał kły.

W tym momencie padł strzał. Czterej czołgiści błyskawicznie się obrócili, podnieśli broń, lecz nie nacisnęli spustów. W odległości pięćdziesięciu metrów stał może piętnastoletni chłopak z opaską folksszturmisty na rękawie i rzuciwszy na ziemię karabin, trzymał ręce w górze.

Pawłow, który po strzale jakby się odrobinę bardziej wyprostował, zrobił ćwierć kroku do przodu i wolno, a potem coraz szybciej począł obracać całe ciało na pięcie, padając jednocześnie na wznak.

— Ukatrupię — wycedził przez zęby Wichura.

— Gad — cisnął Saakaszwili.

— Poczekajcie — wstrzymał ich Gustlik. — Ja.

Kos przyklęknął nad kapitanem.

— Iwan...

Ranny spróbował uśmiechu. Dźwignął rękę i wyjął z kieszeni na piersiach zapalnik.

— Wyrzuć, Janek, żeby kogo nie pokaleczył.

Sięgnął raz jeszcze, podał suwak logarytmiczny, ale nie miał już sił, by mówić. Skurcz bólu przebiegł po twarzy sapersa, zeszywniały mięśnie szczęk. Janek podniósł z trawy hełmofon, położył zabitemu na oczy i wstał.

Jeleń za kołnierz trzymał zielonego ze strachu strzelca.

— Ostatnia kula wystrzelił. Więcej nie miał.

Chłopak, nie rozumiejąc, co mówią, patrzył w największym przerażeniu na zabitego, na lufy automatów, i nagle pojawił się, że nic go nie ocali, histerycznie wrzasnął:

— Heil Hitler!

Gustlik uderzył na odlew otwartą dłonią.

— Cichej! Jakby wam się jeszcze jeden Hitler zdarzył, to już potem nie byłoby komu po niemiecku godać.

Janek stał sparaliżowany żalem. Płonącymi, suchymi oczyma wpatrywał się w folksszturmistę. Poczłł nagle dreszcz idący przez mięśnie i ruchem lufy dał znak Gustlikowi, żeby odszedł na bok.

Jeleń, wbrew temu gestowi, wysunął się odrobinę do przodu i powiedział:

— Jeniec. I jeszcze głupi.

Gestem rozkazał Wichurze i Saakaszwilemu, by zabrali chłopaka. Kiedy tamci zniknęli na schodach, schylił się i podniósł zabitego Iwana.

Kos nagle jakby oszalał.

— Dość tego, dość! — krzycał szeptem i przysiadając bił pięścią w kolano, a potem nagle z rozmachem cisnął pistolet maszynowy o ziemię.

— Dźwignij — groźnym głosem rozkazał Jeleń.

Parę sekund mierzyli się wściekłymi oczyma. Wreszcie Kos ustąpił, wziął broń do ręki.

— Dopokąd nie uradzą, że wszyscy na świecie o ziemię to żelazo ciepną, nie masz prawa rzucać.

Gustlik z poległym na rękach ruszył w kierunku żelaznych schodów. Po paru krokach zobaczył stojący w dole czółg, a obok niego Grigorija, Wichurę i jeńca. Wówczas na chwilę przystanął, obrócił głowę i spojrzawszy na nieruchomą twarz Iwana, na której śmierć już położyła błękitnawy cień, łagodnie powiedział do Janka:

— Peem nie winien. I tyś go na ziemia nie ciepął. Nikt nie widział. Ani ja, ani on.

## ROZDZIAŁ 67. PARY

Upał był taki, że nawet liście na wierzbach siwiały i więdły, ale od wody szła ochłoda. Szawelowie na zbitej z desek łodzi, ostro pachnącej smołą, wracali przez Nysę na niemiecki brzeg. Konstanty siedział na dziobie, przez okulary oglądał na dłoni dojrzałe żytnie kłosy i liczył w myśli, że oto trzy miesiące minęły od czasu, jak wojna się skończyła, a służbie jeszcze końca nie widać.

Józek wiosłował niespiesznie, twarz ku słońcu podstawiając, jakby na piegach chciał się wzbogacić. Młodzi zawsze mają czas. Dopiero bliżej brzegu przeszedł na pych i parę razy zgiął grzbiet jak trzeba.

Dobili gdzie zawsze — koło pnia zwałonego wiosenną powodzią albo może i polskim granatem kwietniowym. Stary zapiął łańcuch na kłódkę, a Józek wsunął wiosło między wikliny, pod zeschnięte liście zeszłoroczne.

Stromą ścieżką wyszli na górkę. Stąd widać już było park czołgowej kompanii na wygonie, a po prawej wieś niewielką i murowaną, okrytą zielenią drzew.

— Odwiedzić zajdziemy? — spytał Józek.

— Obowiązkowo — odrzekł Konstanty, kierując kroki w stronę wioski.

W sadzie, koło pierwszej z brzegu chałupy stał starszy sierżant Saakaszwili i jadł ze smakiem zerwaną z gałęzi dojrzałą papierówkę. Obok siedział przy ogrodowym stole podporucznik Kos, pilnie rachował i zapisywał w nadpalonym granatowym zeszycie.

— Można? — spytał Konstanty opierając dłonie na płocie.

— A jakże — zaprosił i krzyknął w stronę domu: — Gości mamy!

— Jacy tam goście, tak tylko my zaszli.

— Piękny czas.

— Oj, piękny bardzo — przysiadł Konstanty na ławce i pokazał kłosy.

— Zza Nysy, z naszej wioski wracamy. Otóż choć późno siane, to pora już jego przychodzi.

Z głębi sadu i z domku wysypała się reszta załogi: sierżant Jeleń, plutonowy Wichura, kapral Czereśniak. W nowych odprasowanych mundurach, z Krzyżami Walecznych i medalami na piersi mogliby zdać się

inni komuś, co ich od czasu walk nie widział. Ale po prawdzie to byli ci sami. Witali gości, sadowili się obok.

— Jak za tydzień nie zacząć kosić, będzie się sypać — tłumaczył Szawełło.

— Komu kwasu chłodnego, komu? — żartobliwie nawoływała Honorata wynosząc na tacy omszały od chłodu dzban i gliniane kubki.

— Otóż i gospodyni. Gdzieżby taką drugą znaleźć? — witał uprzejmie Konstanty. — Jeśli już nie dla mnie, to choćby dla młodego.

— Co też stryj? Moja pora nie przyszła — zawstydził się Józek.

— Czyż ty myślisz, że ja oczu nie mam i nie widzę, jak ty na tę radzistkę patrzysz? Tobie pora i żytu pora. Tylko ty śmiały nie bardzo jesteś.

— Pora — przyświadczył Czereśniak. — Ja bym może i pomógł żać — obiecał rozgryzając twarde ziarno.

— Bo też siedzimy tu i siedzimy jak strachy w maku — mruknął Wichura i spulnął z obrzydzeniem. — W kraju wszystkie ładne dziewczyny rozłapią, a nam pokraki zostawią...

Grigorij podszedł z boku i objąwszy Franka za ramię szepnął mu na ucho:

— Hanka piękna dziewczyna.

— Gniewa się już drugi tydzień — odburknął plutonowy.

— Nie gniewałaby się, gdyby nie kochała — dorzucił cicho Grześ i ze smutnym uśmiechem odszedł na bok.

— Przeca zech ci, kręcikorbo, tłumaczył, czemu tu musimy siedzieć — grzmiał Gustlik postukując' pięścią po stole.

— We wojsku, jak nie ma rozkazu, to i postarzejesz i posiwiejesz, a nie odejdiesz — ośmielił się wtrącić Józek.

— Nie o to idzie, ino że w Poczdamie radzą.

— Niedaleko do tego miejsca, gdzie was podchorąży Łażewski do niewoli złapał — dopowiedział Czereśniak.

— Nie gadaj, Tomek, jak mówię. O granicach tam radzą. Stalin powiada, że ma być na tej Nysie, co wedle nas, a Churchill palcem po mapie jeździ, a udaje, co znaleźć nie może.

— Po angielsku może litery inne — zdradził wątpliwość Konstanty.

Jeleń, puściwszy uwagę koło uszu, ciągnął:

— Na to ruski generał powiada: „*Towariszcz Churchill, to jest prawie tam, taj polskie dywizje stoją*” i zarozki wszyscy wiedzą, bo w polityce mogą się rzeki pomylić, abo miasta, ale kaj czyja dywizja, każdy wie.

— Z naszego rządu też są i tłumaczą im, co i jak — wtrącił znowu Czereśniak.

— Odkąd zech cię, Tomek, do Warszawy posłał, toś ale zmądrzał.

— Na przyszły raz niech sierżant sam jedzie.

Jeleń zamachnął się, żeby go trzepnąć, ale zatrzymał rękę w pół drogi i szepnął do Kosa:

— Dowódca.

— Baczość! — podał komendę Janek.

— Spocznij, spocznij! — wołał generał od furtki. — Ja całkiem prywatnie. Wstąpiłem do szpitala tylko po lekarstwo, ale od sierżanta Ogoniok dostałem rozkaz, żeby do was zajechać.

— A dziewczęta? — spytał Grigorij.

— Jedną przywiozłem — generał wskazał na Marusię biegnącą od strony furtki — ale Lidki już przy radiostacji nie było. Pewno wracając ćwiczy swoje wojsko w marszu.

— Kwasu pan generał wypiją? — spytał Gustlik. — Czy może coś mocniejszego?

— Spirytus mamy na miodzie — zaproponowała Honorata.

— Nalej kwasu, jeśli chłodny.

Generał uniósł właśnie do ust oszroniony kubek, gdy za parkanem rozległo się dziarskie, choć sopranowe śpiewanie i w chwilę później do sadu, pod jabłonie, wbiegła Lidka, a za nią dwie jednakowe radiotelegrafistki. Speszyły się wszystkie trzy nie tyle obecnością generała, co wesołym śmiechem, który je powitał.

— Kiejby jej raniej awans na sierżanta dali i te dwie dziuouszki, toby my wojnę we kwietniu skończyli, panie generale — twierdził Gustlik.

— Lidka dobry dowódca — chwalił Kos. — Żeby łatwiej podwładne odróżniać, dała Hani awans na starszego strzelca.

Pomagając się na ławie, podał dziewczynie rękę i lekko uściskał wąską dłoń, na której płomień zostawił smugę gładkiej, pobielącej skóry.

Borowianki nie mówiły ni słowa. Skromnie stanęły z boku, tak jednak zajmując pozycję, by Ania mogła na Józka Szawełłę spoglądać, a Hanka, żeby się plecami do Franka Wichury obrócić.

Generał dopił, otarł dłonią wargi i postawiwszy kubek na stole, skłonił się Honoratce.

— Kwas doskonały. Czym też się za ochłodę odwdzięczę?

— Może wieść jaka dobra przyszła? — spytała dziewczyna. — Bo myśmy tu radzili... — urwała napotkawszy surowe spojrzenie Gustlika.

— No właśnie, nad czym żeście radzili? — spytał dowódca.

Chwilę trwała cisza, wszystkie oczy zwróciły się na Kosa, jako najstarszego stopniem.

— O domu, obywatelu generale. Żeby do Polski wracać. Szawełłowie na przykład mają zwolnienie do cywila od dnia, w którym przejdziemy granicę. Gospodarkę dostali nad samą Nysą. Żyto dojrzewa...

— Tobie chyba nie na żniwach zależy. Dam zezwolenie i bierzcie ślub choćby jutro.

— Czto wy? — zawstydziła się Marusia. — Podażdiom.

— Umowę mamy z Gustlikiem, że razem, w jednym dniu — wyjaśnił Kos.

— Dam dwa zezwolenia.

— Dopokąd moi ojcowie i ojcowie Honoraty nie pobłogosławią, nie da rady — tłumaczył Jeleń. — Do powrotu odłożyć trzeba.

— Stoimy tu i pilnujemy, żeby ściany wspólnego domu we właściwym miejscu stanęły — powiedział zamyślony generał.

— Sierżant Jeleń tłumaczył, panie generale — wtrąciła Honorata — ale już bardzo się cknę.

— A mnie na te wesela zaprosicie?

— Jakże by inaczej — oburzył się Jeleń. — Wszystkich, jak tu stoimy.

— Was pierwowo — zapewniła Marusia.

— W takim razie powiem w sekrecie, że jutro koniec poczdamskiej narady i zapewne już za trzy dni... — pokazał ręką w tę stronę, gdzie za rzeką zieleńiała Polska.



Tego samego dnia wieczorem, kiedy już wszyscy prócz wartowników pokładli się spać, Honorata wyszła do sadu i przy księżycu trzy jabłka na dobrą wróżbę zerwała, ku wschodowi patrząc.

Zaszedł ją przy tym zajęciu Gustlik, służbę w kompanii sprawujący, za ramiona delikatnie chwycił i zapytał:

— Na marmoladę?

— Nie. Na powrót. Żeby już nie zatrzymali.

— Zgoda — rzekł Jeleń.

Po cóż miał się Honoracie sprzeciwiać, kiedy jak o czym dowództwo zadecyduje, to i wróżba przy księżycu nie przeszkodzi.

Zajęci sobą nie dostrzegli, że w drugim końcu sadu, za gęstymi rzędami pachnących malin, był ktoś jeszcze, komu księżyc i myśli spać nie dawały, kto plany na przyszłość układał.

— Serce nie kaprał, co sierżanta posłucha, ani nie pułkownik, co rozkaz generała wykonać musi — mówił cicho Saakaszwili siedząc na piętach i plecami o parkan oparty. — Cóż znaczy słowo podczas zabawy powiedziane, wstążka czy fotografia wobec prawdziwego uczucia...

— Drugi tydzień się gniewa... — przerwała mu Hania.

— Nie gniewałby się, żeby nie kochał. Franek chropawy jak pancerz, ale tylko po wierzchu. A w środku człowiek, prawdziwy człowiek.

— I ładny taki — westchnęła Borowianka.

— Może... — przyznał Grigorij i po chwili, zmieniwszy zamiar, zaczął opowiadać: — Dawno, dawno temu, wojna wtenczas dopiero w Hiszpanii się rozpalala, pojechałem na Daleki Wschód świat zmieniać i budować komsomolskie miasto. Od tamtej pory Gruzji nie widziałem. A nasze góry rok cały w śnieżnych czapach, rzeki rok cały w biegu ku morzu, lasy rok cały zielenieją. Obiecuj, że przyjedziesz odwiedzić i zobaczyć...

— Obiecuję — powiedziała i mocno przytuliła ciemną czuprynę do piersi starszego sierżanta Grigorija Saakaszwili, pomocnika dowódcy kompanii do spraw technicznych i jej pomocnika w sercowych troskach. — Razem z Anią i z jej Józkiem przyjedziemy. Jesienią, kiedy już mniej pracy i Konstanty sam dopilnuje...

— Można jesienią — zgodził się Grigorij. — W listopadzie dojrzewają mandarynki, młode wino nabiera mocy, a barany są tłuste i soczyste.

Hania poszła pierwsza do domu. Saakaszwili cichutko odśpiewał pieśń o mieczu, wspominając swą najtrudniejszą godzinę wojny, a potem wstał i ruszył wzdłuż maliniaka. Spostrzegł ze zdumieniem pod papierówką znajomą buzię.

— Czemu nie śpisz? — zapytał.

Dziewczyna wstała i cicho rzekła:

— Mylisz mnie z Hanią — pokazała naramiennik bez belki.

— Przepraszam — skinął głową z uśmiechem.

— Nie szkodzi, panie sierżancie — odpowiedział Józek Szawełło z zielonego cienia. — W taką noc spać trudno i my z panną Anią o życiu rozmawiamy.

Podczas tych trzech dni po raz setny chyba przejrżeli wozy i mapy, skontrolowali zapasy paliwa i smarów. Na czwarty dzień przyszedł rozkaz, a na piąty przed świtem ruszyli przez Nyse, przez pontonowy most.

Na wzgórzu stał słup wysoki, biało-czerwony, z orłem i napisem POLSKA. Mijając go, wojsko salutowało niczym sztandarowi.

— Nasz był z gruzińską górą — przypomniał Jeleń — bo Grześ go malował.

Kosowi wydało się to bardzo dawno — wtenczas jeszcze na starym czołgu jeździli, nie znali ani Łazewskiego i Staśki, ani chorążego Zubryka i kapitana Pawłowa. Wtenczas dopiero co poznali Szawełłów, którzy teraz stali obok, trzymając się uchwyty wieży. Ubrani byli w odświętne mundury, tyle że nie mieli już broni.

— Tutaj? — spytał Janek, poznając kępę leszczynową i kasztan na miedzy, niczym zielona kopuła kaplicy sterczący nad łąnem.

— Tu — potwierdził Konstanty.

Lekko dociskając laryngofony, Kos rozkazał:

— Kompania, stój. Przerwa w marszu.

Wozy skręciły na pobocze. Stanął „Rudy”, a za nim pozostałych dziewięć maszyn. Z pancerza zeskoczyła załoga. Odczepili przywiązany z tyłu pług dwuskibowy i wspólnymi siłami przewlekli go przez rów na skraj falującego na wietrze pola.

— Mosh to, Konstanty, od nas na prezent — rzekł Gustlik. — Coby głęboko orał.

— Od serca wam dziękujemy — powiedział stary i obaj Szawełłowie pokłonili się nisko.

Konstanty podniósł grudkę ziemi, roztarł na dłoni.

— Las tu nie taki duży i studnie bez żurawi, ale ziemia dobra.

— Piastowska — mądrzył się Tomasz.

Pożegnawszy się, sekundę jeszcze stali naprzeciw siebie, a potem podporucznik Kos, zwróciwszy głowę w stronę szosy, krzyknął:

— Kompania... do maszyn.

Czołgiści zerwali się, wybiegli z rowu, siedli do wozów. W chwili gdy Janek dał znak chorągiewką „*silniki w ruch*”, Konstanty zawołał:

— Jeżeli po kartoflanych wykopkach, to przy jedziemy. Dajcie znać.

— Będziemy dzwonić! — odkrzyknął Jeleń.

Zagrały silniki i ruszyła pancerna kompania.

Szawełło długą chwilę patrzył w jej ślad, a potem, nie mówiąc ni słowna, rozpiął haftki munduru pod szyją, pas główny przewiesił skośnie przez ramię. Westchnął i przeżegnawszy siebie i łan, zaczął kosić.

Józek odczekał, póki stryj się w pszenicę nie wetnie, i równym zamachem zaczął drugi pokos.

Pochylali się i prostowali w tym samym rytmie. Połyskiwały kosy w słońcu, pobrzękiwała cienka stal niczym dalekie, rozkołysane dzwony na kościelnej wieży.

Rozhulane dzwony na kościelnej wieży wyglądały na przemian z cienia murów na słońce i błyskały rytmicznie jak kosy przy żniwach. Przez powietrze, poznaczone nitkami babiego lata, słał się miękki, wesoły bas.

Odpowiadały echem beskidzkie góry, ciemnozielone od świerków. Odpowiadał bęben, basetla i skrzyпки beskidzkiej kapeli, która we wstęgach, w piórach, w poświstywaniu i melodią zawadiacką owinięta leciała ponad szosą.

Woźnica trzykrotnie strzelił z bata nad karkami galopujących koni, orkiestra przycichła, zabeczała kobza podkładając melodię, a druźbowie i druhny z następnych furmanek zaśpiewali:

*Żenią się, żenią żołnierze;*

*Oj, każdy dziewczynę bierze,*

*Oj, żegna żołnierz kamrata,*

*Bo już stracony dla świata.*

Na trzecim miejscu w szyku terkotała wysokimi kołami bryka pożyczona od pana nadleśniczego. Po obu bokach asysta honorowa galopowała wierzchem, a wśród nich czerniła się skórzana kurtka starszego sierżanta Saakaszwilego i zieleniał kapral Czereśniak, dzwoniąc medalami na piersi, czapkę w garści ściskając. Obok koni biegł Szarik, poszczeniwał wesoło.

Na bryczce siedziała Honorata w bieli. i w rozwianym na wietrze welonie. Marusia w polskim mundurze i z kwiatem we włosach zamiast czapki, a naprzeciw wypucowany do glansu Janek i Gustlik. Powoził Wichura z gębą ze szczęścia roześmianą. Jechali, twarze podając na słońce i wiatr, objęci i przytuleni, a może nawet trochę przestraszeni tym lotem i niefachowym woźnicą.

Od czoła przyszła nowa przyśpiewka cienkimi głosami druhen pytająca:

*Czołgiści, czołgiści,  
Jakież macie myśli?*

Druhowie na to basem odpowiedzieli:

*Jeśli mamy czyste,  
Szykujcie kołyskę...*

Skrecały wozy jeden po drugim na boczną drogę, pełnym pędem szły w wodę i przeleciawszy rzekę po kamieniach, zwalniały na drodze stromo prowadzącej pod górę. Pierwszy już stanął koło parkanu, który otaczał dom duży, drewniany, w sadzie bielejący.

Zleźli na ziemię muzykanci, podstrajali instrumenty. Zsiedli roześmiani goście. Witali się niektórzy, co przyjechali późno i dopiero teraz znajomych czy przyjaciół spostrzegli.

— Myślałem, że nie przyjedziesz — generał wyciągnął ramiona do Stanisława Kosa.

— Prosto z pociągu. Trzy doby ze Szczecina razem z Łażewskim jedziemy.

— To ty, Daniel, nie w Warszawie?

— Granicy, obywatelu generale, pilnuję. A jak do cywila, to zgadujemy się z Jankiem, żeby może na politechnikę i potem okręty budować. Jest morze, to i flota będzie duża potrzebna.

— Sekretarzem podobno zostałeś — zagadnął generał Westa.

— Nie, ale prawie.

— Mnie, panie generale, sekretarzem wybrali — wtrącił ojciec Tomasza.

— W gminie? — spytał dowódca.

— Nie w gminie, ale partyjnym.

— Nie wiedziałem, Czereśniak, żeście taki polityk — zdziwił się szczerze generał.

— Delegat do Krajowej Rady, ale gdzie tam polityk... Tylko myśmy ziemię pani dziedziczki dzielili i chłopcy powiedzieli, że jakby mnie pepeerem wybrać, to już na pewno nie oddam... — tłumaczył stary, zerkając w stronę, gdzie białały welony.

Obie młode pary stały jeszcze przy bryczce, druhny poprawiały stroje i bukiety.

Nieco z boku ze smętnym uśmiechem przypatrywał się im Zubryk, całkiem po cywilnemu ubrany, jedyny chyba w tym towarzystwie z czarną muszką pod białym kołnierzykiem.

— Dobry czas — powitał go Konstanty Szawełło. — To pan chorąży już nie chorąży?

— Za to mnie wywalili, że do Berlina z wami uciekłem — wyznał felczer i pokazał na klapę. — Medal dali, ale wywalili.

— Gdzie teraz pan chorąży pracuje?

— W tym samym szpitalu.

— Panie Zubryk, a któż tam, izwienicie wyrażenie, gacie w magazynie liczy? Czy kudłata?

— Kudłata.

— Otóż gdyby mi pan dał adres odpisać... Widzi pan, syn się z kierowniczką poczty ożenił, a ja sam jak borsuk, choć jeszcze lata strojowe.

— Serwus — wołał podchodząc Wichura. — Jak tam moja benzyna?

— Z każdej pensji odkładam.

— No bo jak tylko do cywila, to zaraz firmę przywóz–wywóz organizuję.

— Prośbę bym miał, panie plutonowy. Jak tu się wszyscy rozsiądą, to może my byśmy...

— Co byśmy?

— W oczko. Odegrać się chciałem... — wyjaśnił Zubryk.

Wichura chwycił felczera pod łokieć, odprowadził na stronę i cicho wyjaśnił:

— Nie da rady, panie Stanisławie, żona nie pozwala.

— A któraż to pani? — zapytał były chorąży.

— Te dwie jednakowe, pan widzi? — spytał Franek. — Ta jedna Szawellami dowodzi, a druga mnie rozkazuje.

— Czworaczki być mogą — stwierdził fachowo Zubryk i zobaczywszy nagłą bladość na twarzy Wichury, dodał szybko: — Naturalnie ogólnie rzecz biorąc, czyli dwie pary bliźniaków. Bo bliźniactwo, panie plutonowy, to tak jak kolor oczu czy włosów, czyli być może dziedziczne...

Do młodych par podszedł drużba w góralskim stroju i uprzedził:

— Jak tylko muzyka zagra, to zaraz iść.

Drużbowie rzucili papierosy, rozdeptywali niedopałki. Druhny poprawiały koronki na głowie, a obok nich szedł wolno Grigorij, przepatrując uważnie, i kręcił głową. Pod śliwą obsypaną owocami spostrzegł opartą o pień Lidkę. Zaszedł z tyłu, zerwał parę owoców i wrzuciwszy jedną węgierkę do ust, podał resztę na otwartej dłoni.

— Śliwkę chcesz? Przyjrzałem się druhnom, wszystkie ładne, ale serce nic. Nie przyspiesza.

Zdziwiony, że dziewczyna się nie odwraca i nie odpowiada, obszedł dokoła i zajrzał w twarz.

— Ty co? — dostrzegł łzy w jej oczach. — Powiedz, kto, to ja go... No, powiedz — zacisnął zęby i podciągnął rękawy.

Oparła mu dłonie na piersiach i powiedziała cicho:

— Pożartować, pocałować to każdy, a żeby jak Janek i Marusia, to nikt.

— Nieprawda. Każdy, którego byś tylko chciała.

— Każdy? Nie...

— Prawda.

— A ty?

— Ja?

Zdumiał się Saakaszwili niezmiernie, gdyż sprawa była jasna i prosta, a wcześniej mu jakoś do głowy nie przyszło. Zdjął czapkę i włożył z powrotem, sprawdził, czy serce mocniej mu bije, rozpromienił się, ale zaraz posmutniał.

— Do Gruzji przecież nie pojedziesz.

— Pojadę, Grześ, jeśli chcesz — podniosła zapłakaną twarz i oczy rozświetlone radością.

Pocałowaliby się może, gdyby nie huknął bęben, nie zaśpiewały skrzypce, nie zadudniła kobza tryumfalnym marszem.

Ruszyły obie pary przez sad gęsty od owoców, mimo stołów ciężkich od jadła, przez zieloną murawę poznaczoną cętkami słońca. Za nimi kolorowe rzędy druhen i druhów, a wśród nich generał i podporucznik Łażewski za Jankiem, Tomasz Czereśniak i Konstanty Szaweło za Gustlikiem. Szarik, choć nie przewidziany programem, wkręcił się między dwie pary i kroczył poważnie w pierwszym rzędzie.

Na przyzbie czekali rodzice Honoraty. Matka na tacy pokrytej haftowanym ręcznikiem trzymała chleb i sól. Pół kroku za nimi stali rodzice Gustlika, ojciec Janka i starszyna Czernousow, chudszy niż zwykle po szpitalu i na lasce oparty.

Młodzi pochylili się nad tacą w niskim pokłonie i sądząc z gestów starszych, z poruszenia warg, wysłuchiwali błogosławieństwa, które tryumfalne granie orkiestry zagłuszało.

Długo musiał ojciec Honoraty sygnały dawać, zanim spostrzegli je muzykanci i przerwali melodię.

— Narodzie, żołnierze i wy, kobiety! Pięknie prosimy do stołów, a czym chata bogata...

— Ludzie, ludzie! — krzyczał siwy wysoki mężczyzna, dźwigający w rękę ogromny aparat na statywie. — Naprzód fotografia trza zrobić, bo po przyjęciu wszyscy krzywo stoją...

— Fotografia... Do zdjęcia.... Ma racjo, ino chyżo — rozległy się głosy.

Przepraszając się i zapraszając nawzajem goście zaczęli gęsto stawać pod ścianą, na schodkach, na werandzie. Przodem dzieci, a w pierwszym szeregu parobczaki klękały albo i kładły się na trawie, normalnie, jak to do zdjęcia.

— Starszyna! — zawołała Marusia. — Bliżej, wy zdies' moj otiec.

— Charaszo, doczka — utykając podszedł bliżej wąsaty sierżant. — Tyle że po wojnie kulawym został.

— Na zdjęciu nie będzie widać — pocieszył go Janek.

Podbiegł Grigorij, ciągnąc za rękę Lidkę, i wepchnął się w sam środek.

— Dokąd? — wstrzymał go Kos.

— Nie żeniaci na bok — zaburczał Gustlik.

— Ja żeby dwa razy zdjęcia nie robić — wyjaśnił Saakaszwili. — Jutro ślub.

— Niechże mi dętka strzeli! — krzyknął leżący u ich stóp Wichura. — Czyj?

— Nasz — odpowiedziała mu Lidka i pokazała koniec języka.

— Iii — zapiszczały z uciechy obie bliźniaczki, z których jedna już była Szawełłowa, a Wichurowa druga.

— Ot widzisz, Józku, jaka konfuzja — rzekł Konstanty — a my tylko dwie kołyski w prezencie przywieźli.

— Schować ozór, dejcie pozór! — krzyczał fotograf.

Zamilkli, wyciągali szyje, żeby ich było dobrze widać. Aparat naturalnie nie wszystkich obejmował, lecz przecież było miejsce na kliszy i dla rodziców młodych, i dla najważniejszych gości.

— Dziwiejcie się, zaraz ptaszek wyleci.

Fotograf zdjął pokrywkę z obiektywu, wykonał nią magiczny zawijas i założył z powrotem.

— Już? — spytał ktoś z boku.

— Zarozki–zaroz, jak mówi feroż.

Zamienił kliszę na nową, okrył głowę czarną płachtą i unosząc statyw, zrobił parę kroków do przodu.

— Chwilka ino.

To właśnie było to drugie zdjęcie, na którym widać Gustlika z Honoratą, Janka z Marusią i Grzesia z Lidką; u dołu leżą Tomasz i Wichura, a pośrodku wystawia łeb roześmiany Szarik.



# SPIS TREŚCI

<b>CZTEREJ PANCERNI I PIES</b>	<b>1</b>
<b>CZĘŚĆ 1</b>	<b>3</b>
ROZDZIAŁ 1. TYGRYSIE USZY	5
ROZDZIAŁ 2. KRZYK DZIKICH GĘSI	13
ROZDZIAŁ 3. POCIĄGI IDĄ NA ZACHÓD	21
ROZDZIAŁ 4. FORTEL	31
ROZDZIAŁ 5. GULASZ	39
ROZDZIAŁ 6. TRZY DZIESIĄTKI	49
ROZDZIAŁ 7. ZAWIEDZIONE NADZIEJE	61
ROZDZIAŁ 8. PRZEMARSZ	73
ROZDZIAŁ 9. RADOŚĆ I GORYCZ	81
ROZDZIAŁ 10. ZACHODNIA GRANICA	95
ROZDZIAŁ 11. W ZASADZCE	107
ROZDZIAŁ 12. NOWE ZADANIE	119
ROZDZIAŁ 13. NA TYŁY WROGA	133
ROZDZIAŁ 14. PSI PAZUR	145
ROZDZIAŁ 15. RUDY	159
ROZDZIAŁ 16. SZTURM	169
ROZDZIAŁ 17. KRZYŻE WALECZNYCH	183
ROZDZIAŁ 18. MOST	189
ROZDZIAŁ 19. POŁOWY SZPITAL I POCZTA POŁOWA	203
ROZDZIAŁ 20. ROZSTAJNE DROGI	219
ROZDZIAŁ 21. POWRÓT	227
ROZDZIAŁ 22. NOWY CZWARTY	239
ROZDZIAŁ 23. BRZEG MORZA	249
<b>CZĘŚĆ 2</b>	<b>261</b>
ROZDZIAŁ 24. ZARĘCZYNY	263
ROZDZIAŁ 25. TOMASZ I KOŃ	283
ROZDZIAŁ 26. PUŁAPKA	307
ROZDZIAŁ 27. SCHWARZER FORST	319
ROZDZIAŁ 28. KWADRANS PO NIEPARZYSTEJ	333
ROZDZIAŁ 29. ŚNIADANIE	349
ROZDZIAŁ 30. ADOLF	363
ROZDZIAŁ 31. SZARŻA	375
ROZDZIAŁ 32. SIEW	385
ROZDZIAŁ 33. SPOTKANIA	395
ROZDZIAŁ 34. HERMENEGILDA Z WODY	407
ROZDZIAŁ 35. POD ZIEMIĄ	417
ROZDZIAŁ 36. SZARPANA WOJNA	433
ROZDZIAŁ 37. PODWÓJNA WPADKA	447
ROZDZIAŁ 38. PRZEPRAWA	465
ROZDZIAŁ 39. ATAK NA ŚMIERĆ	479
ROZDZIAŁ 40. SPRENGKOMINANDO	497
ROZDZIAŁ 41. OBERGEFREITER KUGEL	509
ROZDZIAŁ 42. CZARNY LOS	521
ROZDZIAŁ 43. SWÓJ	533

ROZDZIAŁ 44. ROZKAZY I LUDZIE _____	547
ROZDZIAŁ 45. WYSOKA WODA _____	571
<b>CZĘŚĆ TRZECIA _____</b>	<b>585</b>
ROZDZIAŁ 46. BICIE ZEGARÓW _____	587
ROZDZIAŁ 47. ROZSTANIE _____	599
ROZDZIAŁ 48. WYZWOLENIE _____	627
ROZDZIAŁ 49. KLIN _____	641
ROZDZIAŁ 50. WE DWOJE _____	653
ROZDZIAŁ 51. SAMOTNOŚĆ _____	667
ROZDZIAŁ 52. ODSIECZ _____	677
ROZDZIAŁ 53. WINO _____	689
ROZDZIAŁ 54. UCIECZKA _____	699
ROZDZIAŁ 55. BIERSTUBE _____	711
ROZDZIAŁ 56. MIĘDZY FRONTAMI _____	723
ROZDZIAŁ 57. ZNALEŻNE _____	733
ROZDZIAŁ 58. MARSZ NOCĄ _____	747
ROZDZIAŁ 59. TWARDY ORZECH _____	757
ROZDZIAŁ 60. RACHUNEK NIEPRAWDOPODOBIENSTWA _____	775
ROZDZIAŁ 61. SZARIK POPEŁNIA BŁĄD _____	789
ROZDZIAŁ 62. SZTURM _____	805
ROZDZIAŁ 63. BRAMA BRANDENBURSKA _____	821
ROZDZIAŁ 64. NAD WISŁĄ I ŁABĄ _____	831
ROZDZIAŁ 65. PORWANIE HONORATY _____	847
ROZDZIAŁ 66. OSTATNIA KULA _____	861
ROZDZIAŁ 67. PARY _____	877
<b>SPIS TREŚCI _____</b>	<b>889</b>